Z POWODU KLASYCYZMU.

Wobec zamierzonej reformy wykształcenia średniego, a mianowicie zmniejszenia liczby godzin, przeznaczonych na wykład języków starożytnych, oraz ulgi co do rozległości wymagań, jakim uczeń winien czynić zadość po tym względem, prasa rosyjska zajmuje się obrachunkiem kosztów, które państwo ponosi z powodu klasycyzmu. Jeden z tygodników, „Niediela", dokonał drobiazgowego wyliczenia łożonych pieniędzy, a obrachunek ten przytaczamy w całej jego rozciągłości.

„W dniu pierwszym stycznia r. 1900 we wszystkich okręgach naukowych państwa rosyjskiego znajdowało się 199 gimnazyów klasycznych z 73,524 uczniami oraz 42 progimnazya z 6,854 uczniami. A więc razem było przeszło 80 tysięcy uczniów klasycyzmu. Przypuśćmy, że utrzymanie każdego wychowańca gimnazyum lub progimnazyum kosztuje rodziców i skarb trzysta rubli rocznie oraz że każdy uczeń gimnazyum jedną trzecią część swego czasu i pracy poświęca na naukę języków starożytnych. Wówczas na rzecz kosztu języków starożytnych wypadnie odliczyć trzecią część wydatków, t. j. sto rubli rocznie, a więc ogół kosztów, ponoszonych przez wszystkich uczniów, wyniesie przeszło osiem milionów rubli. Co do czasu, to każdy uczeń poświęca językom starożytnym około trzech

miesięcy rocznie, czyli przez cały ciąg pobytu swego w gimnazyum— co najmniej trzy najlepsze lata życia swego. W każdem gimnazyum powinno znajdować się czterech nauczycieli języków starożytnych, a często jest ich więcej. Licząc na każde gimnazyum tylko po czterech klasyków, otrzymamy, że wykładaniem łaciny i greki zajmuje się około 900 pedagogów, pobierających rocznie, przy przeciętnej płacy, 1,500 rubli w ogólnej sumie prawie 1,500,000 rubli. Dodawszy do tego koszty, łożone na klasycyzm w seminaryach, otrzymamy jeszcze 3,500,000 rubli".

Może tu i ówdzie w powyższym obrachunku nieco przesadzono, ale w całości obraz powyższy niezbyt oddala się od rzeczywistości. Zamierzona reforma zmierza do uszczuplenla znaczenia, przypisywanego wykładowi języków starożytnych w szkołach średnich, zmniejszenia kosztów, niezbyt produkcyjnie łożonych na naukę greki i łaciny, a w dalszym ciągu do większego uwzględnienia w szkolnictwie wymagań realnego życia, mogącego poprzestać na daleko mniejszej znajomości języków martwych. Korzystając z tego, że kwestya weszła na porządek dzienny, pragnęlibyśmy zatrzymać się nieco nad początkami klasycyzmu oraz powiedzieć słów kilka o tem, czego od niego oczekiwano, a z czego nie wywiązał się.

Mądrze powiedział Goethe:

......Vernunft wird Unsinn,
Wohlthat Plage,
Weh dir, dass du ein Enkel bist...

Biada wnukom! Zaiste, często dokuczają nam niedomagania, związane bezpośrednio a przyczynowo z istniejącą teraźniejszością, ale niemniej ciężkiem brzemieniem daleka przeszłość kładzie się na żyjące pokolenia i przygniata je tradycyą swoją i pamięcią dziadów, którzy już oddawna rozpadli się w prochy w mogiłach. To ciążenie czynów praojców spostrzegamy na każdym kroku w najrozmaitszych dziedzinach życia, a pedagogika nie stanowi wyjątku z pod tej ogólnej zasady. Niemowlę, spowite w kołysce, chociaż pragnęłoby wyprostować rączęta i powierzgać nóżkami, ani przeczuwa, iż w wieku XX-ym pokutuje wciąż jeszcze za genialną ideę prababek swoich w setnem, a może tysiącznem pokoleniu. Kobieta okresu dzikiego, zmuszona w ciągu dnia uskuteczniać długie podróże pieszo z niemowlęciem na karku, pętała maleństwo, ażeby jak najmniej ruszało się i nie przeszkadzało matce. Kobieta ówczesna wiedziała, czego chce. Ale matka dzisiejsza poza zdawkowem tłómaczeniem

się, że „trzeba" powijać rączęta i nóżki dziecku, nie przytoczy żadnego rzeczywistego argumentu na poparcie swego postępowania. Jej niemowlę pokutuje za to, że jest „wnukiem".

Otóż tak samo nasze dzieci ponoszą karę za to, że ongi była Troja, a jej synowie wykradali niewiasty Grekom, oraz że istniał Homer, który połączył w artystyczną całość pieśni rapsodów; że Rzym panował nad światem, a losy zrobiły Horacego poetą. Za swoich lat pacholęcych nieraz zazdrościłem dawnym Grekom, iż byli wolni od wertowania słowników i uczenia się na pamięć przeróżnych zasad, a jednemu z obrońców klasycyzmu, dowodzącemu, iż bez greki i łaciny nie zostanę porządnym człowiekiem, odparłem zapytaniem, jakim to sposobem stało się, że starodawni synowie Hellady bez studyów nad jakimkolwiek klasycyzmem, bez zaglądanie do Kurcyuszów (dzisiaj może inaczej nazywają się źródła mądrości) i bez ślęczenia nad extemporaliami, zdołali wytworzyć takie dzieła sztuki i płody myśli filozoficznej. Już wtedy rozumiałem, że otwarta głowa i energiczna natura, sprzyjające warunki życia, które dla obywateli upływało w rozprawach na agorach i w dysputach filozoficznych, wreszcie brak ojców, po których odziedziczonoby gotowe wzory, sprawiły tam to, co my winniśmy otrzymać drogą naśladownictwa. Na ten temat nawet coś pisałem, był to mój ówczesny odwet na klasykach za klasycyzm; mściłem się, wykazując, iż Grecy przynajmniej trzymali się innego systemu wychowawczego. Odtąd jedynie udoskonaliłem swe argumenty, lecz nie samą istotę zarzutów. Grecy nie byli wnukami, nie posiadali dziadów. Żyli oni i myśleli, tworzyli i działali, mieli treść własną i szukali własnej formy, a na złe im to jakoś nie wyszło...

My, po wiekach dwudziestu i więcej, czujemy jeszcze, że była Troja, a w niej mieszkał Parys z Heleną, że na forum rzymskiem Cicero pozował na wielkiego obywatela. Jednak na taką moc tradycyi złożyły się liczne a wpływowe czynniki. Tradycya klasycyzmu ciąży na nas nie tylko dlatego, że istniała ongi kultura grecka i rzymska, ale również i z tej przyczyny, że w pewnym okresie dziejowym stała się ona źródłem, które zasiliło mały strumyczek kultury średniowiecznej obfitym przyczynkiem wiedzy i sztuki.

Feodalizm powstał na zwaliskach cywilizacyi rzymskiej, ale pomiędzy nim a starożytnością nie było głębszego spoidła ideowego. Istniała jedna tylko nić, wiążąca teraźniejszość feodalną z przeszłością rzymską, a mianowicie kościół katolicki. Żywa mowa chrześcijan rzymskich pozostała na zawsze w rytuale katolicyzmu, jako język obrzędowy. Ktoś w kościele musiał przecież

tę mowę rozumieć i władać nią swobodnie, a obowiązek ten spoczywał na kapłanach. Powstają szkoły, które winny uczynić zadość tej potrzebie, a wyszkoleni w nich kapłani, będący w pierwotnym okresie feodalizmu jedyną warstwą, umiejącą czytać i pisać, korzystają z nabytej nauki i w języku łacińskim spisują kroniki. Łacina cieszyła się poważaniem, ale znajdowała się, że tak rzekniemy, poza widownią szerokiego życia. Dopiero rozwój miast wprowadza ją na przestrzeń rozleglejszą i nadaje to znaczenie, dzięki któremu dotrwała do dnia dzisiejszego w naszem szkolnictwie. Rozwój stosunków społecznych już w w. XIV zaczyna wyłaniać nowe wzory, daleko odbiegające od urządzeń pierwszej połowy wieków średnich. Wówczas punkt ciężkości ekonomicznej ludów tkwił w bogactwie nieruchomem, produkcya na sprzedaż była nieznaną, umowa wolna nieobecną. Pod wpływem miast gromadzi się w coraz znaczniejszej ilości mienie ruchome, pieniężno-towarowe, umowa i kontrakt rozpowszechniają się zamiast dawnego zwyczaju, podział spadkowy majątku ruchomego i udział w nim małżonków kształtują się zgoła inaczej, jak w okresie barbarzyńskim. Powstające stosunki społeczne wymagają odpowiednich norm prawnych, a jak to jest ważne dla mieszczan, świadczą o tem ich nieustające zabiegi około pozyskania zatwierdzenia książęcego dla nowych zasad prawnych. Niema wątpliwości, że społeczeństwo średniowieczne wyłoniłoby te normy samodzielnie, choć zwolna, drogą doświadczenia. Ale puścizna, którą pozostawili Rzymianie, uwolniła je od tego zadania, z mozołem a powolnie uskutecznianego. Miasta średniowieczne w prawie rzymskiem, które swym jędrnym a jasnym językiem formułowało te same potrzeby i normy, znalazły już gotowe wzory. Znajomość łaciny staje się nieodzowną koniecznością dla prawników ówczesnych; jeśli pragną zapoznać się z zasadami prawa, wyzyskać je na rzecz interesów codziennych, wykształcić się sami w swoim zawodzie, to mają jedną tylko drogę, a mianowicie zwrócić się do dzieł starożytnych. Klasycyzm w takich warunkach bynajmniej nie był stratą czasu, ale owszem, zużytkowaniem jego jaknajwydajniejszem. Sztuka lekarska, która zwolna wyzwala się z pod przesądów znachorstwa barbarzyńskiego, znajduje w piśmiennictwie klasycznem bogatą kopalnię wiadomości, wprawdzie bez wartości naukowej z dzisiejszego stanowiska nauki, ale na owe czasy pod każdym względem przewyższających to, co posiadano.

Pomijając pomniejsze wpływy, które nadawały studyom klasycznym w w. XIV znaczenie praktyczne, jakiego klasycyzm dzi-

siaj nie ma, winniśmy przecież uwzględnić jedno ze źródeł rozwielmożnienia się łaciny, a następnie i greki w tych społeczeństwach średniowiecznych, które wyprzedziły inne na drodze postępu kulturalnego. Bogactwa materyalne, mnożące się w miastach, umożliwiają znacznej liczbie osób byt spokojny bez pracy i zachodów. Pochodzenie mieszczańskie wyklucza je od rycerskiego trybu życia, niema tam żyłki do myśliwstwa, pozostaje tylko pijatyka albo nauka i sztuka, jako środek zapełnienia wczasów. Ale ówczesna teraźniejszość jest bardzo jałowa pod tym względem, pomniki zaś greckie i rzymskie przedstawiają jedyne istniejące źródło wykształcenia. Przeszłość pogańska jest skarbnicą, z której czerpie swą naukę epoka Odrodzenia, jako też i zachętę do dalszej pracy. Starożytność dostarcza jeszcze czegoś więcej — teoretycznego rynsztunku dla niezadowolonego mieszczaństwa, które we wzorach klasycznych, poważnych wiekiem, szuka oparcia dla własnych aspiracyi i nadużywa bohaterów klasycznych, jako taranu przeciw swemu bezpośredniemu otoczeniu.

Humanizm, przybrany z grecka i po rzymsku, przetrwał bardzo długo, znacznie dłużej, aniżeli o tem wiedzą pospolite podręczniki. Zastępy filozofów niemieckich długo jeszcze kształcą się na wzorach starożytnych, w nich Lessing ostrzy jeszcze pióro swoje, a nawet ludzie 1792 — 1794 r. we Francyi, chociaż rozstali się z niejedną tradycyą, tworzą historyę ojczyzny swojej i nowożytnego społeczeństwa mieszczańskiego w kostyumach klasycznych. W Konwencyi i u Jakobinów wciąż obijają się o uszy nazwiska bohaterów starożytnych, a ludzie żywego czynu drapują się w togi Grakchusów; lecz życie było wtedy zanadto wrzące a pełne, w tragedyi topiło farsę, i dzisiaj zapomnieliśmy o staroświecczyźnie, w jakiej pozowali działacze francuscy.

Humanizm i wogóle cała epoka Odrodzenia, te zwiastuny naszej dzisiejszej kultury umysłowej, dojrzały pod ożywczem tchnieniem tradycyi starożytnej. Wnukowie u odległych dziadów szukali form wypowiedzenia swoich realnych wymagań i dążeń praktycznych, odpowiedzi na liczne zagadnienia życia codziennego oraz polotu fantazyi. Klasycyzm w tym okresie był ruchem nawskroś racyonalnym, praktycznym, utylitarnym, bo kształcącym myśl i doskonalącym stosunki codzienne, odpowiadał on bardzo istotnym potrzebom i umożliwiał korzystanie z jedynych podówczas dzieł sztuki, nauki, a nawet skodyfikowanej praktyki codziennej.

Ale życie nie zatrzymało się na poziomie nauki, sztuki i potrzeb, które były właściwe epoce Odrodzenia. Rozwój kulturalny

posuwa się szybko w splocie wciąż mnożących się postępów wiedzy i techniki, tworów sztuki i zagadnień społecznych. Zródło, z którego czerpano wskazówki w początkowym okresie naszej kultury, dzisiaj okazało się mało wydajnem, a nawet niewiele mającem wartości. Przyrodnicy przestali szperać w Arystotelesie lub Pliniuszu, bo nawet w najpopularniejszem dziełku przyrodniczem tkwi więcej wiedzy, aniżeli w traktatach wielkich umysłów i wielkich erudytów starożytności. Prawodawstwo nasze, zaczerpnąwszy od Rzymian zasadnicze normy prawne dla skodyfikowania potrzeb rozwijającego się ustroju pieniężno-towarowego, stanęło o własnych siłach, a życie wytworzyło taką złożoność sytuacyi, iż pomniki prawa starożytnego przestały dawać na nią zadowalającą odpowiedź. Wreszcie humanizm nowoczesny całą pełnią czerpie z własnego otoczenia, żyjącego, nie tylko ideały swoje, ale i szaty, w które je przyodziewa, a sztuka nasza wyprzedziła te wzory, które pozostały po przeszłości. Klasycyzm przestał być dźwignią kulturalną i źródłem postępu społecznego.

Ale taka już jest jedna z najpowszedniejszych zasad życia społecznego, że formy, w których płynął kiedyś potok rozwoju, opóźniają się stale w swej ewolucyi, bo, gdy ów potok potężnieje i wyłania zgoła nowe zadania, wówczas stare formy pozostają i najniepotrzebniej ciążą na wnukach, jako tradycya dziadów. Biada nam, żeśmy przyszli na świat, jako wnukowie! Klasycyzm epoki Odrodzenia, owo zdrowe, jędrne i ożywcze źródło myśli ówczesnej, został wykoszlawiony i przekształcony, duch dawny z niego wywietrzał, a studya humanistów Odrodzenia, wzbogacające umysł doświadczeniem starożytności, zmieniły się na pospolite ślęczenie nad końcówkami i wokabułami! Co było niegdyś czynem rozumnym i dobroczynnym, stało się w okresie dojrzałości nowoczesnego społeczeństwa bezcelowem i nieutylitarnem, a wyraz „nieutylitarny" bierzemy w szerokiem znaczeniu, pojmując przezeń nie tylko cele, wyłącznie praktyczne, lecz i wpływ zapładniający na myślicieli i artystów. *Wohlthat wird Plage!* Naturalnie, czas robi swoje. Jak ostry głaz, unoszony wartkim potokiem górskim, ściera kanty swoje i przybiera kształty zaokrąglone, tak samo klasycyzm utraca swoją krańcowość i w dniu dzisiejszym nie jest już takim klasycyzmem, jakim był przed pół wiekiem. Życie podmywa jego stanowisko w ciągu całego wieku XVI — XVIII, kiedy myśl nowoczesna coraz bardziej przyzwyczajała się do własnego, samodzielnego lotu; a gromadząc przyczynki do nauki i wyłaniając nowe stosunki społeczne, nieznane ludom starożytnym, wyzwalała się z pod uroku tego, że

ongi była Troja. Jest to okres, w którym bezduszny klasycyzm stacza zażarte walki, tracąc pozycyę po pozycyi.

Rutyniści ówcześni, dla których forma tradycyjna więcej znaczy, niż istota rzeczy, dochodzili wtedy w swych twierdzeniach i żądaniach do absurdów. Niejaki Sturm (1538 — 1583) uważał za nieszczęście publiczne, że dzieci niemieckie od kołyski nie słyszą języka łacińskiego, jak maleństwa rzymskie. Nauczyciele winni byli przedsiębrać wszelkie możliwe środki, ażeby uczniom i wykładającym nie wolno było mówić poniemiecku, nawet zabawa szkolna była dozwolona jedynie pod warunkiem, że hałasująca dziatwa będzie wrzeszczała w mowie Cyceronów i Liwiuszów. Czytać i pisać po niemiecku nie uczono, jak nie wykładano historyi, ani geografii, ani nauk przyrodniczych, o arytmetyce uczniowie dowiadywali się dopiero po przebyciu ośmiu klas w szkole.

Albo zatrzymajmy się nad własnem, ojczystem szkolnictwem w czasach przed reformą Konarskiego, a ujrzymy, jak łacina, która wówczas już utraciła dawne znaczenie niezbędnego środka dojścia do głębszej oświaty, obchodziła w szkolnictwie kompletne orgie. Ktoś dowcipnie ochrzcił stan umysłowy nauczycieli ówczesnych krótkiem a dosadnem wyrzeczeniem: *stupor paedagogicus.* Czem był ów *stupor* oraz jakie wydałby wyniki, niezłamany przez rozwój życia, to wszystko możemy dzisiaj przewybornie studyować u Tamilów dekańskich, uginających się pod ciężarem „klasycyzmu" oraz tradycyi wielkich dziadów. Tamilowie są tak przytłoczeni potęgą literacką przodków i tak zwątpili o własnych siłach, że cała wiedza i sztuka, ich zdaniem, powinny polegać na pisaniu o tych samych przedmiotach, o których opowiada klasycyzm tamilski, w tych samych zwrotach mowy i według tego samego planu. Klasycy zaprzeszłego wieku, gdyby cokolwiek wiedzieli o tem poszanowaniu szczepu bronzowej cery względem swojskiego klasycyzmu, niewątpliwie podnieśliby je do ideału, naturalnie, o ile nie stanęłaby na przeszkodzie ta okoliczność, że ów klasycyzm nie chciał nic słyszeć i nawet nie słyszał o grece i łacinie. Na szczęście, społeczeństwa europejskie nie zakrzepły w nieruchomym i niezmiennym ustroju kastowym, nieodłącznym od ludów Indyi przedgangensowych. Owszem, odznaczają się one niepomierną ruchliwością, taką ruchliwością, iż glob ziemski po raz pierwszy widzi na sobie taki wartki, a nieustający potok postępu. Potężny prąd życia stargał wysiłki Sturmów w kierunku produkowania *stuporis paedagogici* u nieszczęsnych wnuków i sprowadzania nauki do wykuwania na pamięć słówek, które po wyjściu ze szkół idą w zu-

pełne zapomnienie. Wprawdzie klasycyzm pozostał, jako system średniego wykształcenia, ale uszczuplony i krytykowany, a każde dziesięciolecie robi w nim nowe wyłomy. Przesiąka on bądź co bądź duchem nowoczesnym, a jeśli jeszcze trzyma się, to ma przeciw sobie dziatwę i rodziców, myślicieli i mężów stanu, wreszcie usposobienie całego społeczeństwa z wyjątkiem specyalistów i mocy tradycyi. Tylko dla krajów romańskich winniśmy zrobić wyjątek, gdy mówimy o powszechności tej niechęci. Nauka łaciny przedstawia tam i winna przedstawiać pierwiastek bardzo zasadniczy w systemie szkolnym. Języki włoski, francuski, hiszpański zrodziły się z łaciny, związek rodowodowy jest widoczny, znajomość dobra mowy ojczystej jest niemal niemożliwa bez studyów rozleglejszych nad językiem starożytnego Rzymu. Umiejętny wykład łaciny byłby tam bardziej wpływowem źródłem wykształcenia historycznego, aniżeli zapamiętanie nazwisk wszystkich Merowingów, bo wyjaśniłby zmiany, przez które przechodziła łacina, zanim wydała języki romańskie. Natomiast w takich Niemczech klasycyzm jest zbyteczny w wykształceniu średnim; a tymczasem nigdzie chyba nie sroży się z taką siłą, jak tam, i nigdzie tradycya Sturmów nie jest tak jeszcze żywa; stamtąd zarazem rozchodzi się on po innych krajach, nie posiadających tak poważnego powodu, jak ludy romańskie, do uprawiania klasycyzmu i poświęcania mu trzeciej części lat szkolnych dziecka.

Minęły, a raczej mijają, złote dni klasycyzmu — tradycyi. Epoka nowoczesna mnoży szkoły realne i techniczne, uniwersytety popularne i inne urządzenia, które, nie tykając systemu klasycznego, odprowadzają przecież od niego liczne łożyska życia i rosną we wpływy i znaczenie coraz większe. Gałązka istnieje, ale obok niej wyrastają coraz obficiej inne. Usiłuje on się bronić, ale argumenty jego nie mają siły przekonywającej wobec tego, iż rozszedł się z potrzebami realnego życia, a wychowańców swoich, do przesytu napajając zasadami gramatycznemi, oddala od wątków praktycznych, które znajdą się pod ich ręką, gdy dojrzeją i wstąpią w życie, jako zawodowcy i obywatele. Rzecznicy kierunku klasycznego nawet nie odwołują się do dowodów, któreby jako tako związały ich ulubieńca z życiem. Jedynym poważniejszym argumentem jest twierdzenie, że języki martwe bardziej, niż żyjące, nadają się do wyrobienia giętkości młodocianego umysłu. Guyau np. broni klasycyzmu, wychodząc z tego założenia. Starannie zorganizowane studya klasyczne mo-

głyby stać się, pisze myśliciel francuski, najlepszym środkiem ćwiczenia umysłowego, rodzajem gimnastyki, pozostawiającej po sobie elastyczność myśli, umiejętność formułowania swego zdania. Klasycyzm byłby, jako drabina, którą trzeba przystawić do muru, ażeby przezeń przeleźć. Pozyskana w szkole znajomość przedmiotu może wywietrzeć, ale sprawność umysłowa, wyćwiczona podczas studyów, pozostanie. Naturalnie, gdyby tak było, pożytek klasycyzmu nie ulegałby wątpliwości. Ale to jeszcze wielkie pytanie, czy w samej rzeczy ćwiczy on umysł ucznia w taki sposób, jak mniema Guyau. Ma on to do siebie, iż bardziej, niż w zakresie innych wykładanych przedmiotów, wyniki dodatnie zależą w zupełności od „duszy" nauczyciela oraz sposobu wykładu. Matematyka, nawet najgorzej wykładana, robi swoje, t. j. wytwarza umiejętnosć myślenia, bo sam przedmiot wdraża ucznia w tory systematycznego rozumowania. Nauki przyrodnicze mimowoli, bez względu na sposób wykładu, przyuczają umysł do doświadczeń i znowu wyrabiają w nim pewne nawyknienia metodologiczne. Logika, najgorzej nawet prowadzona, pozostawia pokrewne rezultaty. Czemkolwiek będzie nauczyciel, przecież nauka w tych przypadkach przyniesie pewien pożytek. A tymczasem w nauczaniu języków martwych niewątpliwie rozbiór konstrukcyi zdania byłby przewyborną gimnastyką umysłową, ale tylko wtedy, gdy nauczyciel będzie wyjątkowo dobrym pedagogiem, nie mówiąc już o jego zamiłowaniu do przedmiotu. Wartość klasycyzmu, jako środka pedagogicznego, w zupełności jest zależna od osób.

Ale, czyniąc możliwe ustępstwa w obliczu argumentów w rodzaju tylko co wyłuszczonych, nie zapominajmy o tem, że poza klasycyzmem znalazłoby się jeszcze wiele środków do wyrobienia giętkości umysłowej, bardziej odpowiadających potrzebom życia. A co najważniejsza, obrońcy klasycyzmu zapominają o tem, że argumentami swymi nie zdołają przekonać ani rodziców, ani szerokich kół inteligencyi, które przy każdej sposobności wkładają młodemu pokoleniu do głowy bezużyteczność nauki martwych języków. Powstaje osobliwy rozdźwięk pomiędzy szkołą a rodzicami, na który, mojem zdaniem, w dysputach, wywoływanych przez klasycyzm, za mało kładą nacisku. Uczeń siedzi nad gramatyką grecką lub łacińską, głęboko przeświadczony, iż traci czas i zdolności. Kiedyś kwestya ta gorąco mnie interesowała. Rozpytywałem rodziców, mówiłem z przedstawicielami młodego pokolenia, zwracałem się nawet do wykładających języki staro-

żytne. Chodziło mi o to, jak zapatrują się oni na sprawę, a pragnąc otrzymać możliwie prawdziwy obraz, występowałem nawet, jako obrońca klasycyzmu. I, rzecz dziwna, jedynie kilku staruszków, urodzeniem swojem sięgających czasów napoleońskich i szkół Pijarów, upierali się przy łacinie, chociaż poświęcali grekę, reszta zaś z całą stanowczością oświadczała się przeciw marnowaniu czasu na języki klasyczne. Rej wodzili ludzie, którzy sprytem i praktycznością dorobili się nieraz znacznego majątku. Jeden z nich, rolnik-przedsiębiorca, ubolewał, iż dzieci jego muszą uczyć się takich niepotrzebnych rzeczy, a nawet oświadczał, że żałuje, iż oddał je do szkół zamiast posłać do kupca lub do fabryki na praktykę. Takie zdania każdy z czytelników niejednokrotnie słyszał w swem otoczeniu, a może i sam niejednokrotnie dawał folgę pokrewnym własnym poglądom. Niepodobieństwem jest, ażeby taki powszechny nastrój nie oddziałał jak najujemniej na dziecko. W domu, z ust starszych słyszy on nieubłaganą krytykę szkoły, powtarzają mu, iż uczy się rzeczy zbytecznych, ale zmuszają go się ich uczyć, bo bez ukończenia zakładu średniego nie może zająć wybitniejszego stanowiska w życiu. Przyzwyczaja się on w nauce szkolnej widzieć nie treść i pożytek, lecz tylko promocyę z klasy, do klasy, i pojmuje jedno, że tylko w ten sposób zostanie inżynierem, lekarzem, adwokatem. Krytykę, słyszaną w domu, rozciąga na wszystkie przedmioty, a w ten błąd wpadają i sami rodzice. Nieufność dla szkoły wzrasta. Nie są to gołosłowne moje twierdzenia, ale rzeczy, wzięte z życia, które niejeden z nas sam wygłaszał, a każdy niewątpliwie często słyszał. Ileż to razy obijało się o moje uszy, jak matka przekonywała syna, iż wprawdzie łacina na nic mu się nie przyda, ale zarazem dodawała prośbę, ażeby starał się o dobry stopień, bo inaczej nie zrobi karyery! Wątpię, czy którykolwiek z obrońców klasycyzmu pragnąłby widzieć taki rozdźwięk pomiędzy uczniem a szkołą, pomiędzy systemem szkolnym a masowem przeświadczeniem rodziców. A jednak takie jest powszechne usposobienie. Nawet, gdyby klasycyzm niewiem jak rozwijał giętkość umysłową, poświęciłbym go bez najmniejszego wahania, byleby tylko zapobiedz temu dysonansowi. Mojem zdaniem, jest to najpoważniejszy zarzut, jaki można postawić przeciw niemu. Zresztą rozdźwięk ten już jest objawem pochodnym, wypływającym stąd, że pomiędzy potrzebami i umiejętnościami życia codziennego a wykładem języków martwych niema żadnego pomostu. Dzieli je nieprzebyta przepaść i zwiększa się z każdym rokiem. Uniwersytety

szkoły techniczne i handlowe, gimnazya realne, akademie sztuk pięknych, wiedza teoretyczna, wykładana w uniwersytetach popularnych, wówczas nawet, gdy niema tam zupełnie pospolitego, zdawkowego utylitaryzmu, przecież wiążą się z życiem, czerpią z niego ducha swego i wzamian dają coś, tymczasem języki martwe wyodrębniają się z pod tego prądu powszechnego: biorą dużo, nie dają wzamian nic. W ostatnich dziesięcioleciach szkolnictwo amerykańskie weszło zgoła na nowe drogi, a reformom przyświeca myśl, iż nie dziecko do szkoły, ale szkoła winna przystosować się do dziecka. Uwzględniono więc niejednakowe napięcie uzdolnień wśród uczniów, różnorodność skłonności i zdolności i mnóstwo innych rzeczy, które nawet w głowie nie postały pedagogom naszej części świata. Europę wstrzymuje od tego wszystkiego walka z umarłymi, która tam, za Atlantykiem, przebrzmiała. Umarli-to oddzielili szkołę europejską od życia i zamknęli możliwość doskonalenia się.

K. R. Żywicki.

W przededniu reformy szkolnej

(Akty urzędowe i przegląd głosów prasy rosyjskiej za kwiecień i maj 1901. r.)

W roku bieżącym zaszły w stosunkach szkolnych państwa rosyjskiego fakty, które postawiły kwestyę szkolną w szeregu najważniejszych zagadnień bieżących i zniewoliły do zajęcia się nią zarówno sfery rządowe, jak i opinię publiczną. Mamy tu na myśli z jednej strony zaburzenia młodzieży szkół wyższych w niektórych miastach uniwersyteckich, zwłaszcza w Petersburgu i w Moskwie, trwające ogółem od 4 do 17 marca, a z drugiej strony — zmianę, która zaszła w zarządzie ministeryum oświaty wskutek śmierci ministra Bogolepowa, oraz widoki reform, zapowiedziane przy mianowianiu na to stanowisko jen. Wannowskiego.

Wytworzona w ten sposób chwila dziejowa ma tak doniosłe znaczenie dla życia szkolnego we wszystkich prowincyach państwa rosyjskiego, że z korzyścią będzie zebrać w całość główniejsze jej objawy zarówno w aktach urzędowych, jak i w głosach prasy.

Punktem wyjścia wszystkich ostatnich zarządzeń w ministeryum oświaty i nadziei społeczeństwa co do przyszłych reform

szkolnictwa był następujący reskrypt Najwyższy do jenerała-adjutanta Wannowskiego, b. ministra wojny, z dnia 25 marca (7 kwietnia) r. b.:

„Prawidłowy ustrój oświaty narodowej stanowił zawsze jedną z głównych trosk Monarchów Rosyjskich, dążących stale, lecz stopniowo do jego udoskonalenia zgodnie z podstawowemi zasadami życia rosyjskiego i wymaganiami czasu. Doświadczenie lat ostatnich wykazało jednakże tak istotne braki naszej organizacyi szkolnej, że uznaję za rzecz na czasie niezwłoczne przystąpienie do gruntownego jej przejrzenia i naprawy.

„Ceniąc wysoko pańskie doświadczenie państwowe i światły umysł, obrałem pana na współpracownika Swojego w sprawie odnowienia i urządzenia szkoły rosyjskiej i powołując pana na szczególnie ważne teraz stanowisko ministra oświaty, jestem mocno przekonany, że będzie pan ściśle i nieugięcie dążył do wytkniętego przeze Mnie celu i że do sprawy wychowania młodzieży rosyjskiej wniesiesz pan nauczony doświadczeniem rozum i serdeczną o tę młodzież troskliwość.

„Niechaj Bóg błogosławi Naszej pracy; aby Nam pomogli w niej rodzice i rodziny, najbliżej obowiązane troszczyć się o swoje dzieci, a wtedy rychło nadejdzie czas, kiedy Ja, a ze Mną cały naród, z dumą i pociechą widzieć będziemy w młodem pokoleniu trwałą i pewną nadzieję ojczyzny i mocną podporę jej przyszłości".

Reskrypt powyższy powitany był przez prasę rosyjską z najwyższą radością nie tylko ze względu na wybór osoby jen. Wannowskiego, ale głównie z powodu wyrażonej w tym akcie krytyki dzisiejszych stosunków szkolnych i zapowiedzi stosunków innych, odpowiadających potrzebom kraju i duchowi czasu.

Pogląd prasy na znaczenie nominacyi jen. Wannowskiego streścił się w poniższej opinii *Now. Wrem.*:

„Nowy minister oświaty z powodu swego poprzedniego stanowiska i znaczenia, jako też z powodu swego wieku podeszłego, nie jest dostępny dla jakichkolwiek względów i pobudek prócz uczucia misyi, które stawia obowiązki ponad prawami i pobudki charakteru osobistego poddaje wymaganiom wyższym. To wyjątkowe położenie P. S. Wannowskiego na stanowisku ministra oświaty daje mu bardzo ważne przywileje w wykonywaniu wziętego na siebie zadania, a przedewszystkiem, co najważniejsza, swobodę kroczenia prosto i bez wahań w powierzonej mu sprawie po tej drodze, którą mu wskaże nauczony doświadczeniem rozum i obowiązek człowieka państwowego i patryoty, powołanego do odbudowy szkolnictwa.

Przypisujemy szczególne znaczenie tej szczęśliwej właściwości nowego ministra oświaty; stawia go ona poza bieżącymi wpływami i powiewami w tem wyższem środowisku państwowem, z którem będzie miał styczność, i być może, będzie ścierał się przy stosowaniu obranych środków dla osiągnięcia celu".

Reskrypt Cesarski poruszył umysły, otwierając w prasie upusty krytyki i projektów. Teraz dopiero opinia miała możność wypowiedzenia się, co myśli o dotychczasowych stosunkach szkolnych. Z mnóstwa zdań w tym przedmiocie przytoczymy kilka z różnych obozów dziennikarskich.

Tygodnik petersburski, poświęcony sprawom społecznym, *Niediela,* z powodu nominacyi jenerała Wannowskiego pisał: „W obecnych rozpolitykowanych, oportunistycznych czasach, w czasach wszelkich kompromisów i „przepisów tymczasowych" odzwyczailiśmy się od takich prostych, pełnych wagi słów, jakie są w reskrypcie. Oko spoczywa na nich, niby na jasnych punktach wśród szarej, bezbarwnej perspektywy, a myśl zaledwie daje wiarę w ich realne istnienie, gdy głos pragnienia tajemnego szepce: czyż nie będzie także reskryptu jeszcze do kogo? Jeżeli wykonawcy nie dodadzą do tego dantejskich „dobrych chęci", to reskrypt Najwyższy będzie dokumentem historycznym: będzie to punkt, zamykający zabójczo długi i zawile ułożony okres pseudo-klasycznej wymowy oświatowej. Trzydzieści pięć lat prawie bez wytchnienia ciągnął się ten zadziwiający okres o wciąż wzrastającym tonie, z wciąż nowymi efektami, ogarniający coraz wyższe sfery, aż nareszcie stało się rzeczą widoczną, że dalej tak nie można, że już dosyć, że tak myśleć i mówić jest zbyt archaicznie. Trzydzieści pięć lat — pomyślcie: 35 lat prawie całego pokolenia nowej Rosyi — trzeba było użyć na to tylko, żeby dowieść tej oczywistości, że należało ich użyć zupełnie inaczej, aczkolwiek wszyscy, nie obałamuceni stronniczością, widzieli to od samego początku. Jakiegoż to potrzeba było specyalnego przyćmienia umysłowego i nieczystości pomysłu, aby 35 lat temu, a potem 16 lat temu po raz drugi, zmusić ogół do wierzenia, że jest inne wyjście, niż to, które uznano obecnie! Katkowsko-Tołstojowski system pseudo-klasycznego gimnazyum oraz ustawa uniwersytecka Cytowicza i Deljanowa, jako korona tego systemu! Czegóż pozytywnego można było oczekiwać po takich nieciekawych próbach twórczości pedagogicznej?" *Niediela* wyraża przekonanie, że bez względu na wyniki oczekiwanych reform to już jest pewne, że dzisiejszy system szkolny *moralnie* po ostatnim reskrypcie przestał istnieć.

Piet. Wied., dowodząc potrzeby reformy, w ten sposób charakteryzują stan szkół obecny:

„Uniwersytety zatraciły związek z nauką, programom bowiem dano urzędniczy zakres i kierunek; straciły związek ze studentami, tych bowiem uznano za ludzi obcych *almae matri;* straciły związek ze społeczeństwem, bo społeczeństwo spostrzegło, że pobladło światło wiedzy i nauki w jej świątyniach, a dzieci tego społeczeństwa uznano za wyrzutków. Uniwersytety od 20 lat przestały być szkołami twórczości narodowej. Ujawniły one nie tylko słabą produkcyjność sił naukowych, lecz nawet wyzbyły się tych, które im przekazały czasy dawniejsze. Ludzi talentu, wybitnych i oryginalnych, uniwersytety wytwarzały mało, a i to niedługo się ostawało... Życie wewnętrzne uniwersytetów pełne było niepokojów. Regularnie, jakby według ustanowionego prawa, życie akademickie zakłócane było peryodycznymi rozruchami. Setki młodych i najwięcej uzdolnionych sił musiały przerywać dalsze kształcenie. Tysiące serc rodzicielskich płakało, cierpiało, męczyło się. Państwo w każdych „zaburzeniach" traciło wiele sił cennych, których tak potrzebuje.

„Wszystkie sfery oświaty jednocześnie zaczęły nabierać całego szeregu cech wspólnych. Ubóstwo sił materyalnych — w podstawach; pod względem dążeń — przewaga biurokratyzmu, brak „serdecznej opieki", niedowierzanie inicyatywie prywatnej; w wykonywaniu zadań oświatowych — brak mniej lub więcej wybitnych sił duchowych, szerokiego wszechstronnego talentu, któryby umiał pogodzić „nauczony doświadczeniem rozum" z „serdeczną troskliwością" o młodzież rosyjską. Ministeryum oświaty nie umiało dotąd przyciągać ku sobie wybitnych i silnych pracowników. Typ pedagoga gimnazyum klasycznego panował w niem niezależnie od tego, jakie funkcye sprawować miał dany urzędnik. Formalizm ministeryum stał się przysłowiowym".

Niemniej dosadna była charakterystyka, skreślona przez ks. Meszczerskiego w organie zachowawczym *Grażdaninie* na kilka dni przed Najwyższym reskryptem:

„Poczytując się za optymistę w poglądach na świeże wypadki uliczne, jako na obraz obyczajów środowiska, w którem te wypadki się zdarzyły, czuję silne wezbranie pesymizmu pod wpływem dręczącego mnie niepokoju, aby fakt pomyślnego załatwienia się z temi zaburzeniami ulicznemi nie wywołał przypuszczenia, że przez to nasza sprawa szkolna stała się choćby na jotę mniej poważną i mniej groźną, i aby wskutek tego nie odłożono znowu na czas nieokreślony uznanej już za konieczną radykalnej reformy szkolnictwa. Dla

mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cała zmora wypadków ulicznych jest jednym z objawów tej dramatycznej prawdy życiowej, że kwestya szkolna w swoim rozdźwięku z życiem doszła do tego punktu, poza który nie może pójść dalej nigdzie, tylko na ulicę w postaci nerwowych konwulsyi, i że przeto zadania odrodzenia jej nie można odkładać ani na chwilę; co chwila bowiem w razie zwłoki zwiększać się będą konwulsye i wzmagać się będzie proces paraliżowania oświaty. A pesymizm mój dlatego jest tak silny i głęboki, że w sprawie tej, zarówno jak w kilku innych, przekonanie moje, iż nadeszła chwila dziejowa likwidacyi i obrachunku tego systemu szkolnego, wzniesionego bez żadnego liczenia się z życiem, podziela bardzo niewielu ludzi i że narazie tylko garstka nas tak myślących jest przeświadczona, iż nie może być tutaj mowy o jakichkolwiek półśrodkach, skoro cała szkoła dotknięta jest gangreną, większość zaś ludzi inteligentnych, nawet ze sfer liberalnych, żywi mnóstwo odrębnych opinii, a ten i ów myśli naiwnie, że wystarczy mała tu i owdzie naprawa, aby szkoła była ocalona.

„Hrabia Tołstoj stworzył to sztuczne i martwe w swym klasycyzmie gimnazyum 8-klasowe, polegające na wczesnem odrywaniu od życia rosyjskiego minionego i współczesnego, niby fabrykę, gdzie wysuszanie mózgu było uznane za środek przygotowawczy do wykształcenia uniwersyteckiego; 15 prawie lat ta szkoła średnia wytwarzała ludzi tępych i suchych dla audytoryów uniwersyteckich. Następnie hr. Deljanow ponurą surowość przykazań hr. Tołstoja zastąpił wesołą dobrodusznością, lecz nie powstrzymał procesu duchowego drętwienia i rozkładu młodzieży. Biedny Bogolepow wypłynął z cichego portu swego gabinetu uniwersyteckiego na burzliwy i bezbrzeżny ocean szkoły cywilnej i z osoby podwładnej stał się dowódcą okrętu; dwa lata chodził niezdecydowany i roztargniony po swym pomoście komandorskim, nie wiedząc, od czego zacząć: czy od zmian w nieszczęsnem gimnazyum z dołu, czy od zawichrzeń uniwersyteckich z góry. I oto w tem położeniu bez wyjścia stoi przed nami szkoła cywilna... Ją, a wraz z nią całą Rosyę zbawić może tylko przebudowa całego gmachu, począwszy od podwalin, powolna i stopniowa”...

Z niecierpliwością oczekiwany głos w tej sprawie samego ministra jen. Wannowskiego dał się słyszeć wkrótce w poniższym rozkazie do ministeryum z dnia 2 (15) kwietnia): „Monarszą wolą Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana zostałem powołany na szczególnie dziś ważny posterunek ministra oświaty. Dołożę wszelkich sił swego umysłu, ażeby usprawiedliwić wysokie zaufanie Monarchy

i wypełnić Najwyżej poruczone mi obowiązki. W Najwyższym reskrypcie, którym Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu podobało się zaszczycić mnie w dniu 25 marca r. b., wskazany został w krótkich słowach cały program przyszłej mojej działalności. A jest nią: gruntowne zbadanie i naprawienie naszego ustroju szkolnego odnowienie i reorganizacya szkoły rosyjskiej oraz wniesienie do sprawy nauczania młodzieży rosyjskiej rozumnej i serdecznej troskliwości.

„Ścisłe i konsekwentne wypełnienie tego Najwyżej podyktowanego programu powinno być uważane za świętą powinność podwładnych mi instytucyi, przyczem pierwszą i najważniejszą częścią programu jest: reforma ustroju szkolnego, co w zastosowaniu się do Najwyższej Woli, rozpoczęte niezwłocznie, wymaga w każdym razie, w celu zupełnego urzeczywistnienia, pewnego czasu; druga niemniej ważna jego część — wniesienie do sprawy wychowania młodzieży rozumu, miłości i serdecznej pieczy — była zawsze najbliższem zadaniem personelu naukowego, który stosował ją też z większym lub mniejszym skutkiem. Odtąd stawia mu się to za najpierwszy, stały i bezwarunkowy obowiązek.

„Spodziewając się, że najbliżsi moi współpracownicy i wszyscy, znajdujący się w służbie powierzonego mi ministeryum, okażą rzeczywistą pomoc w wykonaniu Najwyżej włożonego na mnie obowiązku, wzywam ich do wspólnej, zgodnej i nieustannej pracy na drodze dokonania Najwyżej wskazanej reformy. Wzywam personel nauczycieli, aby wszedł w bliższe stosunki z uczącą się młodzieżą i niezależnie od wykładów dopomagał wychowaniu młodzieży na gruncie miłości i serdecznego z nią obchodzenia się. Wzywam rodziców i rodziny uczniów, aby przez wpływ domowy na dzieci pomogli powierzonemu mi ministeryum w dokonaniu wielkiej sprawy wychowania młodego pokolenia, pomnąc, że grunt tego wychowania spoczywa w rodzinie, a dokonanie go możebnem jest tylko przy wzajemnem współdziałaniu rodziny i szkoły oraz stałego ich otoczenia.

„Wzywam uczącą się młodzież, aby ufała środkom rządowym, wierzyła w nieustanną troskliwość, pamiętała o swych obowiązkach, wypełniała je i spokojnie zajmowała się nauką, umożliwiając nam przez to poświęcenie naszego czasu na organizacyę szkoły rosyjskiej i sprawy szkolnej. Jestem głęboko przekonany i wierzę święcię, że przy tej jedności i wzajemnem współdziałaniu, z pomocą Bożą w najbliższej przyszłości będziemy w stanie spełnić pragnienie Ukochanego Monarchy i widzieć w młodzieży rosyjskiej

trwałą i wierną nadzieję ojczyzny i silną podporę jej w przyszłości".

Rozkaz powyższy nowego ministra oświaty wywołał w prasie liczne komentarze. *Now. Wr.*, zaznaczając niezwykłą formę tego aktu (w postaci rozkazu), pisze między innemi: „Cała treść rozkazu ministeryalnego przekonywa, że w naszych sferach naukowych nastała chwila nader ważna. Nigdy jeszcze społeczeństwo rosyjskie nie czytało w komunikacie rządowym ministra oświaty takich wymagań, zwróconych do personelu naukowego, jak pomieszczone w ostatnim programie: wprowadzenie do sprawy wychowania młodzieży „rozumu, miłości i serdecznej troskliwości", z uwagą, że odtąd wkłada się to na niego, jako pierwszy, stały i konieczny obowiązek".

„Podstawa wychowania — mówi rozkaz — spoczywa w rodzinie i osiągnięcie pożądanych w tym razie skutków możliwe jest tylko przy współdziałaniu rodziny i szkoły i wzajemnem ich porozumiewaniu się. Wszystko to są nowe rzeczy i nowe wyrażenia, do których społeczność rosyjska nie jest przyzwyczajona. Rodzina i szkoła w stosunkach dotychczasowych były to dwa obozy, jeżeli nie wprost sobie wrogie, to przynajmniej nieprzyjacielskie. Szkoła przyjęła na siebie rolę kierowniczą kancelaryi, uzbrojonej niezliczonymi artykułami przepisów pisanych i niepisanych, ażeby traktować rodzinę jako coś, pozbawione prawa i głosu w sprawach wykształcenia i wychowania, a jednocześnie, aby czynić ją odpowiedzialną za nieodpowiednią działalność szkoły, za bezduszny formalizm, za niezdatny i opieszały jej skład pedagogiczny. I wszystko to, co określa się wyrazem: „kancelarya", zostaje zniesione.

„Jakież to wszystko nowe i niezwykłe!—kończy gazeta.—Tak jakby z innego świata ozwał się głos wieszczy, wzywający do zapomnienia grzechów przeszłości i rozpoczęcia nowego życia — w duchu miłości, pokoju i życzliwości, jako głównych podstaw wychowania naszych dojrzewających pokoleń".

W podobnym duchu oceniły rozkaz ministra wszystkie inne organy prasy, zarówno zachowawcze, jak liberalne, zaznaczając przytem, że dzięki takiemu stanowisku nowego ministeryum nastąpiło uspokojenie się umysłów i ogół młodzieży z ufnością i spokojem czekać będzie zapowiedzianych reform. W ten sam sposób oceniono komunikat urzędowy w sprawie ułatwień w tegorocznych egzaminach w szkołach wyższych (podany w całości w majowym zeszycie „Ateneum").

Z następnych zarządzeń nowego ministra oświaty wymienić

należy wezwanie młodzieży, aby na wiecach (schodkach) porozumieli się z sobą co do terminu tegorocznych egzaminów. Dzienniki w końcu kwietnia zaznaczyły, że wiece takie odbyły się: w uniwersytecie petersburskim (22 kwietnia), w jurjewskim (25 kwietnia), charkowskim (27 kwietnia). Wszystkie te zebrania odbywały się w murach uniwersytetów pod dozorem zwierzchności. W Charkowie na wiecu postanowiono powrócić do zajęć szkolnych. Zaproszony na zebranie rektor uniwersytetu, profesor Lagermark, przyjąwszy do wiadomości uchwały zebranych, zwrócił się do studentów z serdecznem przemówieniem i w końcu oświadczył, że w jesieni wszyscy wydaleni studenci przyjęci będą do uniwersytetu z powrotem.

Minister oświaty zwiedził osobiście zakłady wyższe w Petersburgu i w Moskwie. Podczas bytności w Moskwie w dniu 9-ym maja w sali aktowej uniwersytetu wobec kuratora okręgu, zarządu uniwersyteckiego i profesorów wygłosił słowa następujące (*Russkij listok* № 112):

„Żywiąc oddawna wysoką cześć dla najstarszego uniwersytetu rosyjskiego, przyszedłem tutaj, aby mu się pokłonić i zapoznać się z wami, panowie, coście z takiem zainteresowaniem i tak ochoczo odezwali się na wezwanie do działania sercem na młodzież, oddaną waszej opiece. I mnie tutaj między wami miło jest zaświadczyć, że uniwersytet moskiewski, zarówno jak i Cesarska szkoła techniczna, wyszły zwycięsko ze wstrząśnień, którym uległy wyższe zakłady szkolne. Tutaj nie było ani dnia przerwy w pracy, a zajęcia praktyczne profesorów ze studentami szły trybem zwykłym. Przyczyniły się do tego środki, przedsiębrane przez Najdostojniejszego Jenerał-Gubernatora, kuratora okręgu, rektora i profesorów. Proszę was, panowie, abyście działali równie skutecznie w sprawie badań naukowych i w kierowaniu młodzieżą, z taką energią, jak dotąd, i abyście względem młodego pokolenia, względem jego potrzeb naukowych i moralnych, zajmowali stanowisko tak serdeczne, jak w chwili ostatniej, tak ciężkiej dla zakładów wyższych.

„Trzeba pamiętać, że bez względu na przemiany, jakim uledz może życie praktyczne, bez względu na rozstroje, jakie się dadzą zauważyć w życiu społecznem, uniwersytet pozostanie wiecznie, w uniwersytecie zawsze będą nauczać i oddawać się badaniom zagadnień naukowych, zawsze, we wszelkich okolicznościach. Dlatego więc uniwersytet nie może i nie powinien być zamykany.

„Wy swoją działalnością sprawiliście, że uniwersytet moskiewski nie przerwał biegu swych czynności; dziękuję wam za to i proszę serdecznie, abyście w tymże duchu postępowali z wychowańca-

mi uniwersytetu, gotując ich na wierne sługi Monarchy i ojczyzny Program działalności nakreślono mi w krótkich i wyraźnych rysach w reskrypcie Monarchy. Wykonanie tego planu wymaga czasu i stopniowania. Dajcie mi nadzieję, że mi pomożecie. Ja zaś złożę dla wykonania świętej woli Monarchy wszystkie siły swoje, całą gorliwość, choć wiem, że w wieku moim wiele już zdziałać nie można. Lecz, jako stary żołnierz, na pierwsze wezwanie Najjaśniejszego Pana złożyłem u Jego stóp wszystko, czem rozporządzam".

Z powodu tej mowy, zakomunikowanej telegraficznie prasie petersburskiej, *Rossija* ogłosiła artykuł redakcyjny, w którym czytamy: „Mowa ministra oświaty, wygłoszona w uniwersytecie moskiewskim, jest wydarzeniem pierwszorzędnego znaczenia publicznego. Dotychczas żaden minister nie zniżał się do publicznego wyrażania swojej czci i szacunku dla uniwersytetu; żaden minister dotąd nie stawiał tak wysoko społecznego i państwowego znaczenia uniwersytetów. P. S. Wannowski powtórzył słowa zmarłego Pirogowa, które nawet w szóstym lat dziesiątku poczytywane były za myśl śmiałą. Uniwersytet jest nieprzerwalny, mówił Pirogow, tak, jak myśl ludzka jest nie do zgaszenia. Uniwersytety, uznane przez ministra za ogniska nauki, przeznaczone do badania zagadnień naukowych, oczywiście będą przezeń uwolnione od wszelkich przeszkód, nie odpowiadających ich przeznaczeniu i powołaniu. Tak społeczeństwo rosyjskie zrozumie mowę P. S. Wannowskiego i, sądzimy, nie pomyli się. Ta wiara w nieugiętość woli i zamiarów ministra przyczyni się do uspokojenia uniwersytetów. Więcej, ona podniesie energię społeczeństwa, znajdującego się już nie pierwszy rok w stanie jakiegoś beznadziejnego odrętwienia. P. S. Wannowski w zakończeniu swej mowy powiedział, że w jego wieku niewiele już zdziałać można. Nie, on już wiele zdziałał i, da Bóg, to, co zrobił, stanie się wstępem do dalszej działalności, mającej na celu odświeżenie atmosfery, w której żyjemy nie od roku w skutek różnych powiewów i prądów niepomyślnych".

* * *

Wkrótce potem ukazały się wiadomości, że ministeryum oświaty pragnie powołać do opracowania projektów reformy szkolnictwa wszystkie ciała pedagogiczne i naukowe, i że w tym celu rozesłano do kuratorów okręgów szkolnych i zarządów uniwersyteckich ankietę. Pytania ministeryum oświaty dotyczą: zarządu uniwersytetów (mianowicie, czy rektor i dziekani mają być mianowani, czy też obiera-

rani, jak określić sferę kompetencyi rady, zarządu, fakultetów oraz inspekcyi); następnie systemu opłaty w postaci czesnego w związku z podwyższeniem pensyi profesorom; dozoru fakulteckiego nad wykładami; organizacyi prywat-docentury; środków zachęcania młodzieży do badań naukowych; przywrócenia egzaminów corocznych (kursowych); praw służbowych dla osób, kończących uniwersytety; egzaminów państwowych; środków zbliżenia profesorów ze studentami; możliwości organizacyi studenckich i sądu uniwersyteckiego. Odpowiedzi na te pytania mają być nadesłane do ministeryum przed 28-ym września r. b.

Niektóre ciała uniwersyteckie, nie czekając na to wezwanie, pracowały już nad memoryałami; za ich przykładem poszły niektóre zarządy miejskie (saratowski, niż.-nowogrodzki) i jednostki z pośród uczonych i profesorów (Filippow, red. *Naucz. Obozr.*, prof. Fojnicki), najgoręcej zaś zajęła się sprawą reform prasa, zamieszczając bez przerwy do dni ostatnich niezliczoną ilość rozpraw w tej materyi i przyczynków. Poniżej postaramy się zebrać te głosy w dwu grupach. Pierwsza dotyczeć będzie reformy szkoły średniej; druga — szkół wyższych. Przedtem jednak zwrócimy uwagę jeszcze raz na opinie ogólne, wywołane zwróceniem się władz państwowych do rodziny i społeczeństwa o współdziałanie w sprawie naprawy szkolnictwa.

Czasopismo *Prawo* pisało: „Zwrócenie się reskryptu o pomoc do rodziny wyprowadza społeczeństwo z biernego stosunku do zdarzeń. Przez jawne i wszechstronne rozstrząsanie sprawy szkolnej opinia publiczna i jej rzecznik — prasa, zdająca sobie sprawę ze świętego obowiązku swego wobec ojczyzny, okaże rządowi nieocenione usługi. W zupełnem porozumieniu ze społeczeństwem rząd rozstrzygnie wielkie zagadnienie naprawy szkoły rosyjskiej zgodnie z podstawowemi zasadami życia i potrzebami czasu".

Prof. Wiktor Ostrogorski w dzienniku *Nowosti* nastawał na to, że „w podstawie całej reformy szkolnej znaleźć się powinna jedna ogólna kierownicza zasada. Ta idea — to zaufanie do społeczeństwa rosyjskiego, do rosyjskiej inteligencyi. Zaufanie to powinno być dalekie od jakiejkolwiek obawy i wątpliwości, te bowiem zrodzą tylko nieporozumienia, niezadowolenia, a co główna, pozbawią społeczeństwo możności przyjścia z pomocą oświacie". Co do postaw reformy p. Ostrogorski radzi, aby zbadać naprzód to, co dawniej się projektowało i było już wcielone przed 30 — 40 laty (idee Uszyńskiego, Pirogowa i in.).

Wiestnik Wospit. zaznacza, że mimowoli wszystko, co się teraz

mówi o reformie, wiąże się ze świeżymi wypadkami wśród młodzieży. Lecz w istocie swojej „zagadnienia, dotyczące wychowania i nauczania młodzieży nie mogą być traktowane tylko ze stanowiska uprzedzania niesnasek w przyszłości, zadanie prawdziwie mądrej polityki nie może tem się ograniczać. Bo przecież same te zaburzenia i nieporozumienia są tylko dowodem braków i nienormalności w całej organizacyi szkolnej; według nas braki te powinny być gruntownie naprawione niezależnie od kwestyi zaburzeń, niedoskonałość bowiem naszych szkół odbija się w opłakany sposób na całem naszem życiu społecznem, nawet wtedy, gdy ono biegnie napozór spokojnie i cicho. Choroba ukryta bywa niebezpieczniejsza od jawnej".

Prasa zwracała dalej uwagę na konieczność zniesienia biurokratyzmu w szkołach, uprzystępnienia szkoły średniej wszystkim klasom i warstwom społecznym bez względu na ich zamożność, na konieczność traktowania wszystkich szkół: niższych, średnich i wyższych, jako jednej organicznej całości, usunięcia ze szkół wszystkiego, co jest polityką, zwiększenia swobody inicyatywy prywatnej w sprawie zakładania szkół i t. d.

Pribałt. kraj utrzymuje, że „rękojmię spokojnego rozwoju oświaty w Rosyi może stanowić tylko swoboda nauczania prywatnego. Gdyby społeczeństwo rosyjskie miało tę swobodę 40 lat temu, to do tej pory powstałoby już mnóstwo szkół rozmaitych typów". Dziennik ten jest zdania, że każda reforma szkolna rządowa musi być poniekąd teoretyczna; materyał faktyczny mogłyby dać tylko szkoły prywatne. „Szkoły prywatne brałyby na siebie wszystkie nieprzyjemne skutki dokonywania pierwszych prób, one dałyby przytułek młodzieży, nie znajdującej miejsca w szkole rządowej, one odciągałyby od tej szkoły nadmiar uczniów, co pedagogom rządowym umożliwiłoby intensywną pracę". Tegoż zdania jest *Russk. Bogatstwo*, utrzymując, że inicyatywa prywatna bodaj nadonioślejsze znaczenie ma w sferze wychowania, gdzie „w skutek swej elastyczności i giętkości może łatwiej, niż ciężka maszyna rządowa, wyszukiwać nowe drogi i przezwyciężać przeszkody. Zwłaszcza jest to ważne dla szkoły niższej, która daje najlepsze wyniki wtedy, kiedy zarządzają nią organy samorządu miejscowego". *Russk. bogatstwo* dodaje, że „szkoła bez względu na to, w czyich rękach się znajduje, powinna być tylko szkołą, i niczem więcej. Jedynem jej zadaniem może być służenie interesom oświaty, a żadnych innych widoków względem swoich wychowańców mieć nie powinna".

Wołyń (dziennik żytomierski) podnosi konieczność reformy

zasadniczej we wszelkich stosunkach szkolnych, poczynając od szkół ludowych, i utrzymuje, że reforma dzisiejsza tak ogólna i trudna nie byłaby potrzebna, gdyby istniała dawniej swoboda krytykowania zamierzeń ministeryów za czasów ministrów Tołstoja i Deljanowa. Wielka szkoda, że, kiedy wprowadzało się systemy tych ministrów, „wszystko było pomyślnie", niekiedy tylko słychać było nieśmiały głos, wskazujący tę lub inną niedokładność; rodzice musieli milczeć i patrzeć na to, jako szkoła kaleczy ich dzieci; utajona nienawiść między rodzicami a pedagogami zaostrzyła się do niemożliwości, i wszystko to gromadziło się na to, aby po kilku dziesiątkach lat przyjść do przekonania, że trzeba zaczynać nanowo".

Niektóre dzienniki kładły nacisk także na ilość szkół i na związaną z tem zagadnieniem sprawę ich wyposażenia. Poczynając od szkółek ludowych, z których 10 — 15% dzieci corocznie odpada dla braku miejsca, wszystkich szkół wogóle jest zamało. Uniwersytety zdaniem *Now. Wr.* i in. powinny istnieć w każdem mieście gubernialnem. Na odpowiednie pomnożenie szkół potrzebne są duże fundusze, a tych ministeryum skarbu na cele oświaty poświęca za mało. *Now. Wremia* kładło w kilku artykułach na tę stronę kwestyi największy nacisk, powołując się na zdanie Pirogowa z przed 40 lat, który utrzymywał, że bez pieniędzy niemożliwa jest reforma szkolnictwa. Budżet państwa, wedle obrachunku *Now. Wremia* i *Nowosti*, w ostatnich latach przeznaczał na cele oświaty około 30 milionów rub., co stanowi 1.8% ogółu wydatków państwowych. Jest to stosunek gorszy, niż był w latach 1877 — 87, bo wtedy wydatki na ministeryum oświaty wynosiły 2.5% ogółu wydatków.

* * *

Co się tyczy reformy szkoły średniej, zanotować należy najprzód pogłoski o projektach zamierzonych. Dziennik *Rossija* podał pogłoskę ze źródła wiarogodnego, że język grecki będzie zupełnie usunięty z gimnazyów. Istnieje projekt podzielenia szkół średnich na trzy kategorye: 1) szkoły realne, 2) gimnazya stołeczne, gdzie nauka języka greckiego będzie nieobowiązkowa i 3) gimnazya prowincyonalne, gdzie język ten nie będzie wcale wykładany. *Piet. Wied.* doniosły jednocześnie, że w dniu 9-ym kwietnia dr. fil. Filippow, redaktor czasopisma *Naucz. obozrenje*, złożył ministrowi oświaty swój projekt reformy szkolnictwa. Główne punkty tego projektu są następujące: 1) Szkoły niższe powinny być organizowane według typu szkół ziemskich. Nauka początkowa powinna być po-

wszechna i obowiązkowa. 2) W szkołach średnich trzeba znieść obowiązek uczenia się języków starożytnych i pozostawić je tylko do woli samych uczniów i tylko w trzech klasach wyższych. Natomiast należy wznowić wykład języków nowożytnych i przywrócić nauki przyrodnicze. Niezbędną jest rzeczą opracować ustawę normalną kółek rodzicielskich i ułożyć ich stosunek do rad pedagogicznych i t. d.

Tenże p. Filippow w zeszycie majowym swego czasopisma ogłosił ciekawą rozprawę o „Kryzysie systemu klasycznego". Wogóle trzeba zgóry zaznaczyć, że opinia rosyjska przeciwna jest klasycyzmowi w szkole średniej i wszystkie wady tej szkoły widzi w przewadze klasycyzmu. W obronie języków starożytnych nie udało nam się spotkać prawie żadnego głosu. P. Filippow za podstawę do krytyki wziął broszurę z r. 1900, wydaną przez ministeryum oświaty po francusku specyalnie na wystawę paryską. Z tabelki, tam umieszczonej, wynika, że w gimnazyum rosyjskiem z 225 godzin wykładowyzh we wszystkich klasach przypada tygodniowo na języki starożytne 75 godzin, t. j. $^1/_3$ ogółu lekcyi. Extemporalia w r. 1900 co prawda zostały zniesione, ale tak głęboko zakorzeniony jest duch klasycyzmu między nauczycielami, że odbijają je na uczniach w inny sposób, mianowicie na czytaniu autorów starożytnych w oryginałach. Owa broszura rządowa głosi, że „wykład języków starożytnych ma na celu zapewnienie uczniowi odpowiednich wiadomości, aby mógł rozumieć i tłómaczyć autorów klasycznych"; a dalej: „bez gruntownej znajomości gramatyki czytanie autorów nie mogłoby stać się pouczającem. Przeto gramatyka zajmuje główne miejsce w nauce języków klasycznych". Co do języków nowożytnych program rządowy postępuje inaczej, nie kładzie nacisku na gramatykę, bo tu chodzi o cele istotnie praktyczne, aby uczeń umiał z języków tych korzystać. P. Filippow stąd wnioskuje, że czytanie autorów starożytnych jest celem mniemanym, zasadą zaś pedagogiczną klasycyzmu szkolnego jest gimnastyka umysłu na gramatyce. Tymczasem, według p. Filippowa, mylne jest zdanie, iż tylko nauka języka jest odpowiednim środkiem formalnego kształcenia umysłu, chociażby nauka języka nowożytnego. Że myśl wyraża się słowem, to nie znaczy, że wystarcza dla wyćwiczenia myśli ćwiczyć się tylko w słowie. Jest to werbalizm scholastyczny, nie zawierający w sobie nic zgoła tego formalnego pierwiastku, jaki się znajduje w logice lub matematyce. „Dla formalnego rozwoju umysłu daleko więcej korzystne są takie nauki, jak logika i matematyka, a poczęści nawet takie, jak chemia z jej symbolistyką".

O tym klasycyzmie szkoły średniej tak pisze urzędowy organ gubernialny *Niżegorodz. Gub. Wiedom.* „Klasycyzm, o którym Dostojewski powiedział, że „wprowadzono go kijem, aby nie było idei", istotnie można nazwać jarzmem mongolskiem, pod którem młode pokolenia znajdowały się 30 lat, psute czytaniem niecnych utworów; mógł on wychowywać mandarynów chińskich i filozofów, lecz nie ludzi, zdatnych do życia. Jeden mógł być tylko cel wprowadzenia klasycyzmu: powstrzymać rozwój umysłowy narodu rosyjskiego, znieprawić jego dzieci i podkopać dobrobyt kraju, który potrzebował wiedzy w celu dobywania swoich bogactw dziewiczych. Przecież reformatorzy szkoły musieli rozumieć, że literatura i język narodu padającego, wyniszczonego i rozpustnego, prześladującego chrześcijan, nie mogą być wzięte za podstawę wychowania, nie są godne poznawania przez silny, samorodny naród rosyjski, posiadający sławną historyę z bohaterami, swój język, najbogatszy ze wszystkich na świecie, swoją nie wcieloną jeszcze w życie wiarę chrześcijańską"... „Mamy nadzieję — kończy dziennik — że nowy minister wykona rozkaz Monarchy i życzenie Jego narodu; postawi szkołę tak, że ona i jej nauczycielowie będą istnieć dla uczniów, rodzin i państwa, nie zaś uczniowie, rodzina i państwo dla szkoły i dla programu, wymyślonego przez nauczycieli w jakimś niepojętym dla społeczeństwa celu".

Now. Wremia zabierało kilka razy głos w sprawie reformy szkoły średniej. Ktoś W. S. K. w liście do redakcyi rzucił projekt takiej reorganizacyi szkoły: „Proponuję kurs sześcioklasowy szkoły średniej i trzechletni dla wyższych kursów. Taka reforma miałaby na celu umożliwienie młodzieży oddawania się wcześniej gałęziom wiedzy, które odpowiadają ich zdolnościom". Szkoła sześcioklasowa byłaby przygotowawczą i nie byłoby w niej wcale języków starożytnych. Na kursach wyższych, w liceach byłby swobodny wybór przedmiotów; wychodziliby stamtąd uczniowie, doskonale przygotowani do uniwersytetu i przez to krócejby w nim zostawali. Jeden z profesorów, pisząc w *Now. Wremia* o reformie szkolnej, proponuje tę złożoną kwestyę podzielić do rozpraw na następujące pytania: 1) Czy potrzeba na przygotowawcze ogólne wykształcenie 7 — 8 lat? Czy nie dosyć byłoby na ogólne wykształcenie gimnazyalne przeznaczyć wiek od 10 do 15 lat, a następujący od 15 do 20 lat już na specyalne wyższe wykształcenie? 2) W jakim stopniu i w jakiej formie wprowadzić do szkoły średniej i wyższej pierwiastek wychowania fizycznego?

Dzienniki doniosły, że minister oświaty jen. Wannowski, przyj-

mując w Moskwie w d. 9-ym maja dyrektorów szkół moskiewskich, oświadczył się za zniesieniem w gimnazyach klasy ósmej. *Rus. Wied.* podnoszą z uznaniem tę myśl, utrzymując, że młodzież niepotrzebnie traci ten rok na nieprodukcyjnem powtarzaniu przedmiotów, które już były w klasach niższych. „Przypuśćmy—pisze ten dziennik — że gimnazya będą zreformowane tak, jak to według pogłosek jest projektowane, t. j., że język grecki będzie usunięty, łacina zaś pozostanie tylko w klasach wyższych. Wtedy, rzecz oczywista, przybędzie we wszystkich klasach wiele czasu. Pewno tego zyskanego czasu nie da się zapełnić przedmiotami, które mają być wprowadzone (nauki przyrodnicze) lub rozszerzone (języki nowożytne), zapełnić oczywiście tak, żeby ten czas był istotnie spożytkowany, a nie zmarnowany, jak to jest dotąd. Nauka szkolna zawsze pozostanie szkolną; ona nie może w miarę rozwijania się uczniów rozrastać się wszerz i wgłąb wiedzy w skutek wielu warunków, w których się znajduje i w których pozostanie. I jest to niepotrzebne, skoro istnieją wyższe zakłady szkolne. Lecz w takim razie niema także potrzeby przedłużać terminu nauki szkolnej. Gimnazyum zreformowane jeszcze łatwiej może się obejść bez klasy ósmej, niż dzisiejsze. Powtarzanie przedmiotów dawnych, logikę, kosmografię i różne dodatki do kursów można będzie z łatwością rozłożyć na lat siedem". *Russk. Wied.* radzą, aby zamiast tej klasy ósmej urządzić według projektu prof. Kariejewa w uniwersytecie kurs początkowy filozoficzny dla wszystkich wydziałów. Przeniesienie tego roku z gimnazyum do uniwersytetu będzie z wielkim pożytkiem dla ogólnego wykształcenia młodzieży i dla dalszych studyów w uniwersytecie.

Nieco mniej, niż o klasycyzmie, pisano w tym czasie o potrzebie reformy wychowania fizycznego. Na najogólniejszem stanowisku wychowawczem stanął dr. Wirenius w *Nowoje Wremia*, utrzymując, że postępy młodzieży zależą od sumy tej radości życia, jaką szkoła dać jej potrafi. „Żadne środki, żadne reformy programów szkoły nie doprowadzą do niczego, jeżeli na czele tych zabiegów nie stanie myśl o zapewnieniu młodzieży radości życia. Znając pedagogów, wiemy z góry, że będą się śmiali z tego twierdzenia. Pięknie. Lecz *rira bien qui rira le dernier*, a tym ostatnim będzie lekarz-hygienista, nie pedagog". Najmniej wszakże zwracano uwagi na to, że żaden system nie odpowie zadaniu, jeśli nie będzie dobrych wychowawców. Wykształcenie władz umysłowych może być osiągnięte zarówno na językach, jak i na matematyce; Niemcy przy takim samym, jak w Rosyi, klasycyzmie dochodzą do wyników do-

brych. Do posiadania dobrych wychowawców dochodzi się drogą powolnej kultury, wytwarzającej ze wszyskich funkcyonaryuszów społecznych narządy rozumne i czułe, odpowiedzialne moralnie za wyniki pracy. Program szkolny jest zawsze sztywny i nie odpowiada nigdy wszystkim warunkom czasu i potrzebom społecznym; ożywienie go i zastosowanie do tych potrzeb jest rzeczą żywych wychowawców. Bez takich najlepszy program zesztywnieje i spaczy się w rzecz szkodliwą.

Na uwagę zasługuje memoryał, złożony w sprawie reformy szkoły średniej przez zarząd miasta Saratowa, zredagowany przez radnego Sokołowa, adw. przys. W memoryale tym zarząd miejski wyraża opinię: 1) Obecnie całkowite wykształcenie kończy się dopiero w 22-im roku życia młodzieńca. Jest to termin zbyt późny, tembardziej, że nie usprawiedliwiony otrzymywanymi wynikami. System wychowawczy odpowiada zadaniu, jeżeli się zbliża do typu wychowania, liczącego się, jeżeli nie z właściwościami indywidualnemi ucznia, to przynajmniej z właściwościami i potrzebami każdego wieku. Między wychowańcami 15 a 20 letnim istnieje wielka różnica w organizacyi fizycznej i duchowej. Tymczasem szkoła dzisiejsza nie bierze tego pod uwagę, traktując młodzieńca do końca, jak wyrostka. Da się to uniknąć przez usunięcie balastu w nauce, który młodzieńca niszczy i napawa go wstrętem do pracy umysłowej i pozostającym na całe życie strachem pracy. Memoryał żąda skrócenia kursu i usunięcia języków starożytnych, a wprowadzenia natomiast w szerokim zakresie nauki języka ojczystego, historyi, geografii, matematyki i t. p.; 2) Memoryał żąda podzielenia szkoły średniej na okresy, z których każdy stanowiłby zaokrąglony cykl nauki i dawałby możność uczniowi, albo iść do końca szkoły lub wycofać się z pewnemi kwalifikacyami po ukończeniu jednego lub dwu okresów; 3) Wychowawcy — głosi memoryał—powinni rozumieć, że rodzina, oddająca im dziecko, nie wyrzeka go się przez to; mają oni nie tylko prawo dysponowania osobą dziecka, jako materyałem, mają obowiązek zachowania indywidualności dziecka w całości, nie psucia w niem tego dobrego, co rodzice osiągnęli, lecz przy pomocy pedagogii doskonalić te pierwiastki, rozwijać osobowość dziecka. Wychowawcy powinni pamiętać, że mają do czynienia nie z przestępcami i że nawet prawo karne nakazuje względność dla przestępców małoletnich. Typ nauczyciela szóstego lat dziesiątka był sympatyczniejszy. Żeby podnieść stan nauczycielski, należy zmienić cenzus nauczyciela, jako pedagoga, i nie tworzyć z nauczycieli kasty. Prócz tego należy zreformować rady pedagogiczne tak aby

w nich brali udział przedstawiciele społeczeństwa z głosem decydującym, a nie doradczym, i żeby czynności ciał pedagogicznych podlegały krytyce publicznej.

* * *

W rozprawach na temat reformy szkolnictwa na pierwszem miejscu znalazła się kwestya statutów uniwersyteckich. Tłómaczy się to rozgłosem ostatnich wydarzeń w życiu uniwersyteckiem i ich charakterem społecznym. Głosów publicznych w prasie, omawiających potrzebę reformy i jej kierunek, było tak dużo, że nie kusimy się o ich zebranie w całości; wskażemy tylko niektóre dla scharakteryzowania głównych prądów opinii.

Jakież są obecnie statuty uniwersyteckie i skąd się wzięły? Na to daje odpowiedź artykuł *Now. Wremia*, umieszczony w № 9023 i nast. Rok 1804 należy poczytywać za początek prawidłowego życia uniwersyteckiego w Rosyi. W tym roku wydano statuty dla uniwersytetów w Moskwie, Charkowie i Kazaniu. Ustawa 1804 r. zapożyczona była z Niemiec i jako taka, dawała uniwersytetom ustrój szerokiego, swobodnego życia akademickiego. Profesorowie wybierali rektora, dziekanów — to był zarząd uniwersytetu. W posiedzeniach gospodarczych brał udział jeden z profesorów, delegowany przez kuratora. Zarząd był jednocześnie sądem uniwersyteckim. Wówczas uniwersytety miały pod swym zarządem wszystkie szkoły niższe w swoim okręgu. Była to dążność do wytworzenia ze szkolnictwa jednej organicznej całości. Po 13 latach uniwersytety straciły wiele swoich przywilejów w skutek złączenia się ministeryum oświaty z wydziałem do spraw duchownych. Okres „braku zaufania do uniwersytetów" trwał po założeniu uniwersytetu kijowskiego (1833). W r. 1835 nadano uniwersytetom nowy statut, który przetrwał lat 28. Szkoły średnie i niższe odjęto z pod dozoru uniwersytów, urządzenia wewnętrzne straciły samodzielność; i zarząd, i rada uniw., i fakultety pozostały, lecz zależne od kuratorów; sąd zniesiono; dozór nad studentami powierzono inspekcyi. Rady uniwersyteckie stały się organami doradczymi kuratorów i przestały być odpowiedzialnemi za bieg życia akademickiego. Wszelki związek między profesorami a młodzieżą ustał, wpisowe było podniesione, ilość studentów ograniczona; wiele katedr było niezajętych dla braku sił naukowych. Trwało to do r. 1863, kiedy wszedł w życie nowy statut zreformowany.

Według ustawy 1863 r. na czele rady uniwersyteckiej, złożo-

nej z profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, stał wybierany na lat 4 rektor; zebraniami fakulteckiemi kierowali wybierani na lat 3 dziekani; zarząd gospodarczy składał się z rektora, dziekanów i inspektorów; sąd uniwersytecki składał się z 3 członków profesorów, wybieranych przez radę co roku. Profesorowie powoływani byli przez fakultety, a zatwierdzani przez ministra, docenci zaś — przez kuratora. Większą część spraw uniw. rozstrzygała korporacya naukowa, niektóre — administracya (minister lub kurator). Pensye profesorów podniesiono: dla zwyczajnych do 3,000 rub., nadzwyczajnych 2,000, docentów 1,200 rub.

W r. 1875 pod przewodnictwem Deljanowa powstała komisya, mająca przejrzeć statuty uniw. Komisya ta wypowiedziała się przeciwko ustawie z r. 1863, pomimo to przetrwała ona z małemi zmianami do r. 1884, kiedy wszystkie uniwersytety rosyjskie, oprócz jurjewskiego, warszawskiego i helsingforskiego, otrzymały statut nowy, który również nie pomyślał o nadaniu studentom praw jakiego takiego samorządu korporacyjnego, a zniósł pierwiastek samorządu w ciele profesorskiem, wprowadzając do zarządu zasadę administracyjną i biurokratyczną. Od r. 1884 minister ma prawo mianować profesorów według swojego uznania, on też mianuje rektora i dziekanów; sąd uniwersytecki zniesiono; student uznany został za jednostkę, luźnie uczęszczającą na wykłady, nie mającą żadnych praw życia zbiorowego.

W organizacyi uniwersytetu najtrudniejszy jest do umiarkowania stosunek między władzą kuratora a władzą autonomiczną ciała uniwersyteckiego. Prof. Wwedenski, który kilkakrotnie zabierał głos w tej sprawie w dziennikach, tak charakteryzuje w *Rossji* ten stosunek w przeszłości. „W r. 1804 władza kuratora w uniwersytetach była mała: kurator miał obowiązek dbać prawie wyłącznie o dostarczenie środków pomocniczych, aby uniwersytety kwitły. W drugim lat dziesiątku, wbrew ustawie, władza jego była wzmocniona do tego stopnia, że w Charkowie kurator mianował rewirowego profesorem filozofii, a Magnicki i Runicz zupełnie spustoszyli uniwersytet petersburski, rozpędziwszy lepszych profesorów. Uniwersytety upadły, poczem władza kuratora nieco osłabła i była opisana statutem z r. 1835. Lecz stopniowo, wbrew ustawie, znowu wzrosła do dawnych rozmiarów, a w r. 1861 wynikły wszechrosyjskie zaburzenia uniwersyteckie bez żadnego uprzedniego porozumienia między uniwersytetami; niektóre z nich za to były zamknięte na dwa lata. Ustawa 1864 r. ograniczyła władzę kuratora. Rozruchy pod wpływem przyczyn pozauniwersyteckich zdarzały się, ale straciły swój

ostry charakter — aż do r. 1879, kiedy wbrew ustawie zniesiono sąd uniwersytecki i poddano studentów władzy inspektora, mianowanego przez kuratora i bezpośrednio podległego kuratorowi. Wtedy zaburzenia przybrały charakter tak powszechny, że postanowiono po roku powrócić do ustawy z r. 1863. Według statutu z r. 1884 zależność uniwersytetu od kuratora przeprowadzona była jaknajkonsekwentniej, konsekwentniej, niż w r. 1835; rada, rektor i inspektor stali się fikcyjnymi naczelnikami uniwersytetu, schodząc do roli prostych wykonawców zleceń kuratora. I jakiż rezultat? Niesnaski uniwersyteckie stały się częstsze i silniejsze; jeżeli nas pamięć nie myli, w Petersburgu zaczęły się powtarzać regularnie co dwa lata i ostatecznie stały się wszechrosyjskiemi".

Prof. Wwedenski dochodzi do wniosku: najlepszem uporządkowaniem uniwersytetów, dającem najwięcej rękojmi normalnego biegu ich życia, byłby mojem zdaniem nie powrót do ustawy z roku 1863, która była dziełem kompromisu między świadomością, że samorząd uniwersytecki jest nieunikniony, a 40-letniem przyzwyczajeniem poddawania uniwersytetów pod władzę kuratorów, lecz dalszy, konsekwentny rozwój zasady samorządu uniwersyteckiego. W tym celu uniwersytety powinny być wyjęte z pod władzy okręgów naukowych i przez rektora powinny się porozumiewać wprost z ministrem. Pod innymi względami można zachować ustawę 1863 r. ze zmianami następującemi: „Organizacye sądu dyscyplinarnego, bytu studenckiego oraz inspekcyi należy zupełnie pozostawić władzy rady uniwersyteckiej". Natomiast autor proponuje, aby w każdym uniwersytecie istniał z ramienia ministeryum „efor", nie należący do korporacyi uniwersyteckiej, którego zadaniem byłoby kontrolowanie biegu spraw w uniwersytecie.

Dziennik *Nowosti* urządził na swoją rękę ankietę i w szeregu artykułów ogłasza rozmowy z profesorami na temat reformy. Ze znanych nam w tej ankiecie odpowiedzi zacytować możemy opinię prof. Muszkietowa, Borgmana, Brandta, Gezechusa, Janżuła i w. in. Wszyscy nastają jednomyślnie, że konieczny jest powrót do ustawy 1863 r. z uzupełnieniem jej pod względem organizacyi życia studenckiego.

O ustroju korporacyjnym studentów pisał w *Rosyi* jeden z profesorów, doradzając pozostawienie młodzieży organizacyi zwyczajnej (dziś nielegalnej) współpowietnictw (ziemlaczestw), w których młodzież skupia się według pochodzenia gimnazyalnego; prócz tego zaleca organizowanie towarzystw naukowych i literackich. Inny profesor podał w *Piet. Wied.* taki projekt organizacyi: 1) studenci

wybierają na każdym kursie swoich przedstawicieli, starostów; 2) studenci mają prawo zbierać się na narady; 3) narady kursowe zwoływane są przez starostów; sprawy rozstrzyga prosta większość głosów; głosowanie tajne; 4) w pewnych razach mogą odbywać się wieca wszystkich kursów; gdyby ilość studentów była za duża, odbywają się narady przedstawicieli, 5) program ogólnych zebrań musi być zatwierdzany przez władzę uniw., 6) obowiązki stałe w instytucyach studenckich spełniają jednostki, wybrane przez ogół; 7) studenci mają prawo zakładać biblioteki, kuchnie i kasy pomocy, 8) do biblioteki wolno wcielać wszystkie cenzuralne druki, dozór należy do zwierzchności, 9) kuchniami zarządza komitet z osób, urzędujących w zakładzie; studenci mają dozór gospodarczy i głos doradczy; 10) kasa studencka służy tylko jednemu zakładowi szkolnemu; rewizyi dokonywają władze szkolne, 11) studenci mają swój sąd honorowy, 12) studenci mają prawo urządzać dla siebie towarzystwa naukowe, samokształcenia i t. p. 13) statuty wszelkich urządzeń studenckich opracowuje komisya, złożona z delegatów rady uniwersyteckiej i przedstawicieli młodzieży.

Projekt ten w temże piśmie był zasadnie skrytykowany przez E. L. B., jako hołdujący zasadzie *divide et impera*. Zasady przeciwstawianego projektu są: 1) każdy, kto pragnie należeć do słuchaczów danego zakładu, musi należeć do jednego z miejscowych towarzystw studenckich według swej woli; 2) odpowiedzialnym kierownikiem towarzystwa jest obrany na rok kolega z przedostatniego kursu; protokuły są dostępne władzom szkolnym. Prócz tego do zarządu towarzystwa wybierani są w miarę potrzeby kasyer, bibliotekarz, gospodarz lokalu i t. p. 3) każde towarzystwo przedstawia władzy do zatwierdzenia listę kuratorów swoich, którzy reprezentować mają władzę na zebraniach ogólnych; 4) zebrania odbywają się co tydzień i decydują większością ²/₃ głosów; 5) zarząd tow. stanowi władzę wykonawczą i t. p.

Z pośród wielu artykułów o życiu uniwersyteckiem zanotować należy głosy *Wiestnika Jewropy* (kwiecień), przytoczony przez *Now. Wremia* stary list Pirogowa z r. 1862, artykuł w temże piśmie prof. Jarosza, szereg artykułów w *Piet. Wied.* p. t. „Kwintesencya zagadnień uniwersyteckich", art. w *Rossji* (z 19 maja) „Podstawy społeczne kwestyi studenckiej" (M. Jordańskiego) i w. in.

W ostatnich dniach *Nowosti* (z d. 24 maja) zapoznały nas z projektem głównych zasad reformy uuiwersyteckiej, złożonym radzie uniwersytetu petersburskiego przez znakomitego prof. prawa karne-

go Fojnickiego. Oto punkty tego projektu: „1. Uniwersytet jest wyższym zakładem naukowym, bezpośrednio poddanym władzy ministra oświaty. Kuratorowie okręgów naukowych nie biorą żadnego udziału w sprawach uniwersytetów; władzę ich rozdziela się między radę i rektora uniwersytetu z jednej strony, a ministra oświaty z drugiej.

2. Profesorowie, dziekani fakultetów i rektor uniwersytetu wybierani są przez radę przez balotowanie tajne bezwzględną większością głosów z pośród osób, przedstawionych przez fakultet, w każdym razie nie mniej, jak przez 5 członków rady i zatwierdzani są przez władzę Najwyższą na przedstawienie Ministra. Profesorowie wybierani są na 25 lat, dziekani, sekretarze fakultetów i rektor —na 5 lat. Przed upływem terminu wyborów uwolniani być mogą tylko na mocy wyroku sądowego.

3. Uniwersytety urządzają egzaminy i wydają dyplomy na stopnie naukowe: rzeczywistego studenta, kandydata, magistra i doktora, dyplomy te dają prawa społeczne i polityczne według statutu z r. 1863. Dokonywanie egzaminów jest sprawą wewnętrzną uniwersytetów, określaną przez fakultety i radę. Do ministra należy ogólny dozór nad zupełnością wykładów i programów egzaminacyjnych.

4. Dążność powiększania ilości kandydatów do egzaminów z pośród tych, którzy nie przeszli kursów w Rosyi, nie ma dla siebie poważnych podstaw. W wypadkach wyjątkowych uniwersytety lub minister mogą zezwalać na takie egzaminy.

5. Wykłady w uniwersytetach odbywają się według planów, opracowanych przez fakultety i radę. Plany te przedstawiane są ministrowi oświaty i jeżeli z jego strony w ciągu miesiąca nie będzie zastrzeżeń, uważane są za przyjęte przez niego.

6. Do egzaminów mają prawo przystępować studenci, którym zaliczono odpowiednią ilość semestrów. Lecz studenci mogą także składać egzaminy nie corocznie, nie tracąc przytem prawa zapisywania się na dalsze kursy. Student, który wysłuchał ośm semestrów, chociażby wcale nie zdawał egzaminów, otrzymuje świadectwo z wysłuchania kursów, które wszakże żadnych praw mu nie daje.

7. Studenci mogą tworzyć kółka wzajemnej pomocy i towarzystwa naukowe; o każdym kółku i towarzystwie zawiadomiony jest rektor i dziekani, którzy zezwalają na to, o ile cel

nie sprzeciwia się prawu. Do udziału w każdem kółku czy towarzystwie rada uniwersytetu wybiera jednego lub kilku profesorów.

8. Studenci według fakultetów i kursów wybierają z każdych 50 osób jednego starostę, który staje się przedstawicielem ich potrzeb i odpowiada za swoich kolegów.

9. Rada starostów pod przewodnictwem jednego z profesorów poczęści sama rozstrzyga kwestye drobniejsze, poczęści dla rozpoznania ich zwołuje za pozwoleniem rektora zebrania ogólne i kursowe, wydziałowe i ogólno-uniwersyteckie. Dla zebrania wiecu ogólnego potrzeba większości $^2/_3$ głosów w radzie starostów.

10. Zebrania zwoływane są wyłącznie do rozstrzygania spraw, należących do życia studenckiego. W razie zboczenia na inne kwestye niezwłocznie są rozwiązywane. Na zebraniu przewodniczy biuro, wybrane przez radę starostów, złożone z 5 osób, odpowiedzialne za zboczenia zebrania w sfery niedozwolone. Na każdem zebraniu ogólno - uniwersyteckiem do składu biura wchodzi jeden z profesorów według wyboru rady oraz inspektor studentów. Jeżeli zebranie przystąpi do rozpatrywania spraw, nie leżących w jego atrybucyach, wtedy jest rozwiązywane. Nieprzerwanie obrad po takiem rozwiązaniu jest występkiem, podlegającym sądowi uniwersyteckiemu.

11. Inspektor studentów i pod-inspektorowie mianowani są i zwalniani przez rektora. Gdyby ktoś z profesorów wyraził gotowość być pro-rektorem i gdyby rada wybrała go na to stanowisko, to osobnego inspektora już się nie mianuje, a prorektor spełnia jego obowiązki.

12. Studenci za słuchanie lekcyi i za egzaminy składają pewną opłatę na rzecz uniwersytetu; część jej przeznaczona jest na polepszenie utrzymania profesorów; system honoraryów (czesnego) zniesiony, lecz i pensya profesorów winna być powiększona.

13. Występki studentów podlegają: a) sądowi kolegów; członkowie sądu wybierani są na zebraniach fakulteckich, po dwu z każdego wydziału; b) sądowi profesorów; członkowie tego sądu wybierani są przez radę uniwersytetu.

14. Wszystkie próby ograniczania ilości słuchaczów w tym lub innym uniwersytecie lub przeznaczanie maturzystów do

tych lub innych uniwersytetów jest niepożądane tak ze stanowiska szkolnego, jak i państwowego".

Na dniu 24 maja zamykamy ten przegląd prasy rosyjskiej. Zapewne jest to dopiero początek rozpraw, i niejeden ciekawy projekt reformy na szpaltach prasy ukaże się jeszcze, zanim godzina reformy wybije, wszakże to, co dotąd wypowiedziano, określa już dostatecznie stanowisko opinii i kierunek zmian oczekiwanych.

Z. Wasilewski.

Opieka nad umysłowo-chorymi w Europie

XIX wieku. *)

II.

W pierwszej części niniejszej pracy zaznaczyliśmy, że, biorąc pod uwagę wszystko, co dla opieki nad umysłowo-chorymi u nas zrobiono, wynika, iż obecnie zaledwie 6% ogółu naszych chorych znajduje jaki taki przytułek.

Dziwna rzecz, społeczeństwo, które wiele rozprawia, a przyznać trzeba, i robi dla starców i kalek, które rozumie, że normalny rozwój społeczny możliwy jest tylko wtedy, gdy szerokie warstwy cały zasób swej energii, niczem niekrępowanej, obrócić będą mogły na wytwórczą produkcyę, nic prawie nie robi dla tych nieszczęśliwych, którzy wskutek cierpienia są większym, niż starość i kalectwo, hamulcem do zużytkowania energii. Starość, ślepota, kalectwo lub inna nieuleczalna choroba fizyczna są ciężarem, zmuszającym najbliższe otoczenie do wzmożonej pracy, sprawiają, że zdrowe jednostki, zmuszone za dwie—trzy osoby pracować, prędzej się zużywają. Cierpienie umysłowe zaś tem się od tamtych różni, że wytrąca z rąk najbliższego otoczenia możność pracy.

I, gdybyśmy mogli usunąć z naszych rozumowań wszelką cechę uczuciowości, gdybyśmy, rozprawiając o należytej opiece nad umysłowo-chorymi, trzymać się chcieli wyłącznie tylko punktu widzenia ekonomicznego, to i wtedy ta wielka krzywda, wynikająca

*) Ob. „Ateneum", kwiecień — maj. 1901.

ze zmniejszonej produkcyjności kilku dziesiątków tysięcy ludzi, zmuszonych opiekować się 2 dziesiątkami tysięcy obłąkanych, zamieniona na brzęczącą monetę, powinna przemówić za dobrym interesem, jakie społeczeństwo zrobiłoby, gdyby wprowadziło należytą opiekę nad obłąkanymi i umysłowo-upośledzonymi.

A czyż z punktu widzenia uczuć ogólno-ludzkich obłąkany powinien na mniejsze zasługiwać współczucie, niż ślepy, kulawy lub starością przygarbiony? Czyż opanowany strasznemi widziadłami chory, czyż podlegający okresowemu opilstwu lub częstym napadom wielkiej choroby (padaczki) osobnik nic poza uczuciem strachu w nas budzić nie powinien? Czyż za winy ojców pokutujący głuptasi pozostawieni być winni własnemu losowi?

Czy przeważy wzgląd ekonomiczny, czy też uczucie ludzkości, czy wreszcie oba te względy zmuszą społeczeństwo do obmyślenia należytej opieki nad obłąkanymi i umysłowo-upośledzonymi, nie będziemy rozstrzygali. Zdaniem naszem, przesyt z dotychczasowej gospodarki na tem polu odczuwamy wszyscy, jak również wszyscy przeczuwamy, że nastała ta chwila przełomowa, w której należy zrobić krok naprzód. A robić taki krok w sprawie tak ważnej należy z całą oględnością i wyrachowaniem, gdyż uchybienie, wywołane pośpiechem, nie tylko, że nie posunie sprawy naprzód, lecz co najważniejsza, narazi społeczeństwo na niepotrzebne wydatki. Sprawa opieki nad umysłowo-chorymi dotąd nie ruszy się z miejsca, dopóki nie będzie ujścia dla przewlekłych chorych, będących w naszych szpitalach. Według wykazu urzędowego za rok 1899 pensyonarze w szpitalach przebywają:

od roku	1862	1863	1864	1865	1866	1867	1868	1869	1870	1871	1872	1873	1874	1875	1876	1877	1878	1879	1880
Szpital Ś-go Jana Boż.	1	—	—	1	—	1	1	1	—	—	—	1	1	2	—	2	2	2	2
Szpital Żydowski	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	1	—	—	—	—	—

od roku	1881	1882	1883	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890	1891	1892	1893	1894	1895	1896	1897	1898	Razem [illegible]
Szpital Ś-go Jana Boż.	3	3	2	4	1	2	1	5	3	2	1	11	7	5	12	26	39	80	22[illegible]
Szpital Żydowski	—	—	—	—	2	—	—	—	—	—	4	3	3	1	2	9	16	58	10[illegible]

Czyli, że każdy szpital zamyka rok z nadetatową liczbą chorych, a tem samem nie jest w stanie, zasadniczo rzecz biorąc, przyjmować nowych chorych. Należy przeto przedewszystkiem obmyś-

leć sposób opróżniania dotychczasowych szpitalów z nadmiaru chorych. Praktyka państw, które dawno już pomyślały o prawidłowej ewakuacyi zakładów, wykazuje kilka takich sposobów. Najtańszym bezwarunkowo jest system oddawania chorych pod opiekę domową rodzin włościańskich. O „patronage familial", który z Geel rozszedł się na wsze strony, przedewszystkiem należy pomówić.

Domowa opieka w Geel różni się od niemieckiej, francuskiej, a nawet szkockiej przedewszystkiem tem, że w Belgii opiekunowi oddają nieraz chorego bez uprzedniej dłuższej obserwacyi w specyalnym zakładzie. Jeżeli „patronage familial", w ten sposób pojęty, może mieć zastosowanie w Geel, to tylko dzięki wielowiekowemu wyrabianiu się szeregu pokoleń miejscowej ludności, która po dziadach i pradziadach otrzymywała pewne nawyknienie i umiejętność obchodzenia się z umysłowo-chorymi. System ten, przeniesiony do Ellen, jak wykazują sprawozdania specyalistów, nie odrazu się przyjął i zaczął rozwijać się dopiero od chwili, gdy pod strzechę gospodarza wiejskiego wprowadzać zaczęto chorych, którym ich stan psychiczny pozwalał na korzystanie z większej swobody. Niema więc potrzeby szczegółowego rozpatrywania typu opieki w Geel, gdyż z góry powiedzieć można, że na gruncie naszym mowy być o nim obecnie nie może. Zjawia się jednak drugie pytanie: czy nie udałoby się spokojnych chorych ze szpitala oddawać pod opiekę okolicznych wiejskich mieszkańców?

Włościanin nasz, w miarę trzeźwy, w miarę pracowity, a chciwy na dorobek, chętnie garnący się do oświaty, mógłby stanowczo nadać się na opiekuna dla spokojnego obłąkanego. W każdym jednak razie, zdaniem naszem, aby opieka domowa w przyszłości mogła sobie zdobyć należyte uznanie, potrzebne jest przedewszystkiem pewne wyćwiczenie ludności wiejskiej.

Aby wyćwiczyć mało oświeconego gospodarza wiejskiego, potrzeba dłuższego czasu i, co ważniejsza, systematycznej pracy. Doświadczenie poucza, że rekrutowana służba szpitalna z pośród kandydatów, wprost ze wsi przybywających, rzadko da się urobić na dobrych i umiejętnych dozorców. Parobek wiejski w murach szpitala rzadko grzeszy okrucieństwem względem chorego, wykazuje natomiast brak inteligencyi, potrzebnej do zrozumienia chorego; trudno go także przyzwyczaić do utrzymania porządku, zamało wreszcie ma wytrwałości. Wobec tego stwierdzić można, że w sprawie samodzielnej opieki nad chorym nieprędko należyty będzie brał

udział. A jednak myśl o wyćwiczeniu ludności wiejskiej musi przyświecać każdemu, kto pragnie, aby opieka nad obłąkanymi rozpowszechniła się i nie zaciężyła nad materyalną stroną społeczeństwa. A ciężyć wydatki na utrzymanie chorych w szpitalach koniecznie muszą, gdyż koszt utrzymania chorego wynosi już dzisiaj bezmała 220 rb., a wydatki te będą rosły, ponieważ dotychczasowy byt naszych chorych jest zaledwie dostatni. Gdybyśmy przeto chcieli zająć się opieką nad wszystkimi bez wyjątku obłąkanymi i gdybyśmy opiekę tę poprowadzili na modłę obecną, wtedy społeczeństwo conajmniej 2,500,000 rb. rocznie wydawałoby na samo utrzymanie obłąkanych, nie licząc umysłowo - upośledzonych i nie biorąc pod uwagę kosztów wzniesienia odpowiednich zakładów dla tak wielkiej armii nieszczęśliwców.

Zważywszy, że w miarę trudniejszych warunków bytu ogółu ludności zapotrzebowanie miejsc szpitalnych musi się wzmagać, że ogólna liczba cierpień umysłowych wszędzie się zwiększa, nietrudno przewidzieć, że nasze społeczeństwo w żaden sposób kroczyć nie może po dotychczasowej drodze gospodarki szpitalnej. Lecz za zmianą systemu opieki przemawia nie tylko widmo nadmiernych wydatków, ale i to przeświadczenie, że nasi chorzy w przeważnej liczbie nie potrzebują takiej szpitalnej opieki, jaka jest obecnie. Kto bowiem uważnie przyjrzy się życiu chorych w naszych zakładach, temu nasuwa się pytanie, azali wszyscy ci, którzy w bezczynności podpierają brudne ściany szpitala, którzy wszczynają ciągłe kłótnie i bijatyki, koniecznie muszą być trzymani w murach szpitala?

Otóż możemy odpowiedzieć, że wielu z tych biedaków powinno mieć inne otoczenie i inne warunki bytu.

Aby sprawę opieki nad obłąkanymi postawić na należnem stanowisku, wypada wniknąć w istotę umysłowego cierpienia każdego pacyenta, wyrozumieć dobrze przebieg choroby i oba te czynniki zestawić z wielu względami natury życiowej. Na zasadzie zestawienia powyższych czynników u 1000 chorych w szpitalu Ś-go Jana Bożego między r. 1892 a 1898, moglibyśmy ich podzielić na 5 kategoryi: a) chorzy, którzy od początku do końca choroby powinni być w szpitalu; b) chorzy, którzy przez pewien tylko czas powinni być w szpitalu, a następnie w przytułku lub w odpowiedniem otoczeniu domowem; c) chorzy, którzy po opuszczeniu szpitala mogliby pracować czy to w kolonii roboczej, czy też będąc pod opieką poza murami szpitala; d) chorzy, którzy od początku do końca choroby powinni być umieszczani tylko w przytułku; e) chorzy, którzy tylko

w t. zw. „patronage familial" odpowiednie dla siebie warunki znaleźćby mogli.

Z pośród 1000 chorych zaliczyć należy: do grupy 1—304 chor. czyli 30,4%, 2 — 139 czyli 13,9%, 3 — 131 czyli 13,1%, 4 — 342 czyli 34,2%, 5 — 84 czyli 8,4%.

Wprawdzie materyał ten jest niedostateczny, bo do pewnego stopnia jednostronny, jako obejmujący tylko tych chorych, którym udało się zdobyć miejsce w szpitalu. Szpital zaś przyjmuje przeważnie tych chorych, którzy zdradzają znaczne podniecenie, o ile zaświadczą to świadectwa urzędowe; przyjmuje dalej przeważnie stałych mieszkańców Warszawy (bo szpital Ś-go Jana Bożego wyłącznie dla nich miał być przeznaczony), wreszcie — chorych na wodowstręt, których żaden inny szpital nie ma prawa przyjmować.

W praktyce jednak te jaskrawe cechy jednostronności znacznie bledną, każde bowiem świadectwo urzędowe, na zasadzie zeznań otoczenia sporządzane, zawiera zazwyczaj krótki opis tych groźnych czynów, których miał się chory dopuszczać, których my jednak w murach szpitala dopatrzyć się nie mogliśmy. Tym przesadzonym strachem otoczenia tłómaczy się ta okoliczność, że do szpitala, przeznaczonego dla chorych o ostrym wybuchu, dostawali się chorzy spokojni; chorych na wodowstręt wogóle jest tak mało, że i pod tym względem poważnych zarzutów naszemu zestawieniu robić nie można; co się wreszcie tyczy jednostronności, wypływającej jakoby z tego, że chorzy w szpitalu Ś-go Jana Bożego należą przeważnie do mieszkańców wielkiego miasta, zarzut ten upada wobec poniższego wykazu, z którego widać, że w roku 1899 z pośród 397 chorych tylko:

163	pochodziło	z Warszawy,	
79	„	z gubernii	Warszawskiej,
30	„	„	Piotrkowskiej,
13	„	„	Płockiej,
12	„	„	Łomżyńskiej,
12	„	„	Siedleckiej,
11	„	„	Kaliskiej,
10	„	„	Radomskiej,
8	„	„	Lubelskiej,
7	„	„	Kieleckiej,
6	„	„	Suwalskiej,
34	„	z Cesarstwa,	
9	„	z zagranicy.	

Ten sam mniej więcej stosunek panuje w Tworkach i w szpitalu żydowskim, gdyż w pierwszym na 595 chorych, w drugim na 100 chorych, zapisanych w księdze głównej w d. 1 stycznia r. 1899 było:

	Tworki	szpital żydowski
z Warszawy	158	58
z gubernii Warszawskiej . .	88	7
„ Piotrkowskiej . .	69	5
„ Płockiej	27	0
„ Łomżyńskiej . .	30	4
„ Siedleckiej . . .	25	1
„ Kaliskiej	36	4
„ Radomskiej , . .	36	2
„ Lubelskiej . . .	27	2
„ Kieleckiej . . .	36	1
„ Suwalskiej . . .	32	3
z Cesarstwa	27	13
z zagranicy	4	0

Gdybyśmy się zgodzili na wnioski, wypływające z zestawienia przebiegu choroby owych 1000 chorych, wypadnie, że 57,4% wszystkich umysłowych chorych powinno przejść przez szpital.

Chcąc przeto zadośćuczynić potrzebom całego kraju, należałoby mieć w szpitalach specyalnych 7,328 miejsc. Liczba ta jednak nie jest absolutna, zważywszy bowiem,że 13,9% chorych po pewnym czasie można przenieść do przytułków, 13,1% oddać pod opiekę domową lub do kolonii roboczych, że conajmniej 30% chorych po pewnym czasie może wyzdrowieć, a 8% umiera, musimy zgodzić się, że 65% powyższej liczby dla tych lub innych powodów zakład opuszcza; pozostaje jednak 35% wszystkich chorych, dla których miejsca w specyalnych szpitalach w każdej chwili być powinny. Wobec tego należy mieć w Królestwie Polskiem przynajmniej 2,564 miejsca szpitalne, gdy tymczasem obecnie posiadamy co najwyżej 720, o ileby szpital w Tworkach, szpital Ś-go Jana Bożego, oddziały psychiatryczne przy szpitalu żydowskim i przy szpitalach w Lublinie wyłącznie przyjmowały tylko chorych, wymagających nieodwołalnie opieki szpitalnej.

Poniższe zestawienie najlepiej wyjaśnia, co powinno być i co jest obecnie:

	Ogólna liczba obłąkanych	Powinno być miejsc szpitalnych	Obecnie zaś jest miejsc	
w Warszawie . . .	784	274	490	200 w szpit. Ś-go Jana Boż., 33 w Tworkach, 200 miejsc w Górze Kalw., reszta w szpitalu żydowskim.
w gub. Warszawsk.	1585	554	85	42 w Tworkach i 43 w szpitalu żydow.
„ Kaliskiej . .	1220	427	31	31 „ (16 m. + 15 kob.)
„ Kieleckiej. .	954	334	26	26 „ (13 m. + 13 kob.)
„ Łomżyńskiej	858	300	20	20 „ (10 m. + 10 kob.)
„ Lubelskiej .	1526	534	136	36 „ (18 m. + 18 kob.) i 100 miejsc w Lublinie
„ Piotrkowsk.	2077	726	97	36 w Tworkach (18 m. + 18 kob.) i 61 w 2 przytułkach w Łodzi
„ Płockiej. . .	839	293	20	20 w Tworkach (10 m. + 10 kob.)
„ Radomskiej .	1116	390	41	26 „ (13 m. + 13 kob.) i 15 miejsc w przytułku w Radomiu
„ Suwalskiej .	784	274	24	24 w Tworkach (12 m. + 12 kob.)
„ Siedleckiej .	1025	358	26	26 „ (13 m. + 13 kob.)
	12768	4464 a z tego 57,4% =2562	996	

W rzeczywistości Królestwo Polskie posiada w danej chwili tylko 720 miejsc szpitalnych (co stanowi 28% zapotrzebowania, bez wliczenia pensyonarskich oddziałów w Tworkach), które mogłyby przyjmować chorych, wymagających leczenia, gdyby nie były zajęte w przeważnej mierze przez nieuleczalnych, spokojnych chorych.

Statystyka wykazuje, że chorych, którzy od początku cierpienia swego aż do końca zycia pozostawać mogą w przytułkach specyalnych, jest 34,2%. W danej przeto chwili w Królestwie Polskiem jest conajmniej 4366 umysłowo-chorych, których należałoby trzymać w przytułku. Doliczywszy do tego 13,9% tych chorych, którzy po pewnym czasie mogą być ze szpitali przeniesieni do przytułku, wypadnie, że Królestwo Polskie powinno rozporządzać 6140 miejscami w przytułkach. Licząc, że rocznie 10% chorych tej kategoryi będzie umierało, 30% conajmniej może być oddanych na opiekę do-

mową, wypada, że powinno być u nas obecnie conajmniej *3684* miejsca w przytułkach. Na pomieszczenie zaś tak licznej rzeszy rozporządzamy zaledwie 276 miejscami (200 miejsc w Górze Kalwaryi, 61 w Łodzi i 15 w Radomiu), co wynosi zaledwie 7,5% potrzeb teraźniejszych.

W pierwszej części niniejszej pracy widzieliśmy, że los biedaków w przytułkach jest godny pożałowania. I rzeczywiście, przyglądając się wewnętrznemu urządzeniu naszych przytułków, śmiało rzec możemy, że nie odpowiadają one najelementarniejszym wymaganiom opieki nad chorymi. Spójrzmy tylko na chorych: obok drżącego paralityka zobaczymy fizycznie zdrowego, lecz wskutek częstych napadów padaczki ogłupiałego epileptyka, a przy nim obłąkanego, który w urywanych i mało zrozumiałych zdaniach wypowiada oderwane słowa, z których się składał dawno przeżyty system urojeń. Wszyscy tam czują się nieswojo, bo jeden drugiemu przeszkadza, jeden drugiego nie rozumie, jeden drugiemu nie pomoże. W prasie peryodycznej od pewnego czasu powtarza się wiadomość, że w każdej gubernii ma powstać mały (na 50 chorych) przytułek dla spokojnych, nieuleczalnych obłąkanych. Nie wiemy, o ile wiadomość ta jest prawdziwa; w każdym razie niech nam wolno będzie zrobić kilka uwag, które się nasuwają przeciwko takiemu projektowi.

Tworzenie małych prowincyonalnych przytułków dla obłąkanych uważamy za mało praktyczne i ze stanowiska ekonomicznego, i lekarskiego. Pomijając już, że dźwignięcie 10 małych przytułków więcej wyniesie, niż jednego dużego, należy zwrocić uwagę na to, że utrzymanie małej jednostki administracyjnej kosztuje zazwyczaj bardzo dużo. I, gdyby za stosunkowo duże pieniądze można było w małym przytułku dokonać ścisłej segregacyi chorych według stanu ich psychicznego, nie powstawalibyśmy przeciwko tworzeniu takich przytułków. Kierownictwo małym przytułkiem nie może być oddane w ręce lekarza, to zaś stanowczo przeważy szalę na niekorzyść bytu przyszłych pensyonarzy takich przytułków. Małe przytułki mogą powstawać tylko dla pewnej określonej kategoryi chorych, którzy ze stanowiska lekarskiego mało się różnią od kalek, a szczególniej paralityków. Nad zniedołężniałym obłąkanym nie chce się podjąć opieki nawet wieśniak w Geel, chyba, że za potrójną opłatą. Otóż, gdyby dla takich tylko zniedołężniałych chorych powstawały przytułki prowincyonalne, nie mielibyśmy nic przeciwko temu pod warunkiem, że będą one gminne, nie gubernialne. Tylko wśród swoich krewnych, znajomych lub powinowatych zniedołężnia-

ły chory może znaleźć współczucie. Przytułek zaś mały, przeznaczony dla wszystkich tych, którzy usunięci być muszą ze specyalnych szpitalów, nie wytrzymuje krytyki.

Przeciwko tworzeniu małych prowincyonalnych przytułków przemawia i to jeszcze, że psułyby one ogólny plan opieki nad obłąkanymi, który należy, zdaniem naszem, przeprowadzić.

Nim jednak pomówimy o ogólnym planie opieki, należy zwrócić jeszcze uwagę na trzecią kategoryę chorych, którzy zdolni są do pracy fizycznej, którzy ze względu oszczędności, a co ważniejsza, z punktu widzenia leczniczego powinni się zająć pracą fizyczną. Według naszych wyliczeń 8,4% ogółu nowowstępujących chorych odrazu można skierować do kolonii roboczych, 13,1% zaś może po pewnym czasie przejść na kolonie. **2745** chorych, zamiast siedzieć w szpitalu, mogłoby swą pracą ulżyć społeczeństwu w wydatkach, łożonych na ich utrzymanie.

Wszystkie dotychczasowe kombinacye i wyliczenia robiliśmy pod wpływem tej przewodniej myśli, że społeczeństwo wcześniej czy później musi się zająć opieką nad wszystkimi bez wyjątku umysłowo-chorymi.

Kierowani tem przeświadczeniem nie zapominaliśmy, że wprowadzenie w życie tak poważnej reformy musi wymagać i dużych środków materyalnych i wiele czasu. Zapominać jednak nie należy o koniecznej potrzebie zachowania jak największej oszczędności przy uwzględnieniu wszystkich wymagań racyonalnej ze stanowiska lekarskiego opieki.

Najoszczędniejszym typem jest opieka domowa („patronage familial"), drugie miejsce zajmują kolonie robocze, najdrożej zaś kosztuje opieka w przytułkach i szpitalach. Opieka domowa (mamy na myśli kolonizacyę tylko tych chorych, którzy przeszli przez zakład), będzie mogła znaleźć szerokie zastosowanie, jeżeli będziemy wyćwiczali lud wiejski zapomocą jaknajszerszego stykania się ludu z zakładem dla obłąkanych. W tym celu więc należy zakłady budować nie w blizkości wielkich miast, lecz na prowincyi. Przy obieraniu miejsca pod zakład należy mieć na uwadze nie tylko stopień umoralnienia okolicznej ludności, lecz i zamożność wieśniaków, gdyż tylko z pośród mniej zamożnych gospodarzów lub rzemieślników wiejskich mogą się rekrutować przyszli opiekunowie chorych. Dla prędszego wyćwiczenia okolicznej ludności wartoby zastosować system poglądowej metody nauczania: zakład na początek powinien zasłużonej rodzinie z pośród służby zakładowej dopomódz do zaprowadzenia w jednej z wiosek okolicznych własnego gospodarstwa

pod warunkiem, że rodzina podejmie się za opłatą utrzymywać chorych. Wybór oględny chorych bez wątpienia zachęci wkrótce i innych do podjęcia się opieki nad chorymi.

W imię pozornej oszczędności zaprojektowano w dawnych zabudowaniach poklasztornych tworzyć przytułki dla nieuleczalnych obłąkanych. Nie mówiąc już o tem, że zabudowunia te po większej części mało nadają się pod zakład, że po pewnym czasie przebudowanie pochłonie poważne sumy, należy zwrócić uwagę na tę niewygodę, jaka z podziału zakładów na szpitale w ścisłem znaczeniu w jednem miejscu i na przytułki w drugiem wynikać musi. Gdybyśmy np. pozostawili Tworki i szpitale warszawskie dla ostrych chorych, nieuleczalnych zaś odsyłali do przytułków gubernialnych, to, pomijając koszty przewiezienia chorego do Warszawy i po pewnym czasie odsyłania go z dozorcą do właściwej gubernii, pomijając wreszcie przykrość, jaką odczuwać musi rodzina na myśl, że ich ojciec, brat lub siostra są zdala od nich, — nie należy lekceważyć tego pewnika, że małe przytułki gubernialne w ciągu roku, a co najwyżej 2 lat, zapełnią się zupełnie. Wypadnie dobudowywać do starych murów nowe, a tu i owdzie wznosić nowe przytułki.

Jak wiadomo, istnieje specyalny podatek na utrzymanie szpitali dla umysłowo-chorych. Ze 125,000 rb., wpływających na ten cel, 116,288 rub. przeznacza się corocznie na utrzymanie Tworek, pozostałe zaś pieniądze na pokrycie deficytów szpitala Ś-go Jana Bożego. Za 116,288 rb. mieszkańcy Królestwa stosownie do wysokości wnoszonej sumy mają zapewnioną mniej lub więcej pokaźną liczbę miejsc szpitalnych bezpłatnych.

Poniższe zestawienie najlepiej uwidocznia ilość bezpłatnych miejsc w Tworkach i ruch chorych bezpłatnych za r. 1899.

	Zagwarantowan. miejsc szpitalnych	Pozostało z roku 1898	Przybyło w ciągu roku 1899	Wypisało się chorych lub umarło	Pozostało na rok 1900	W szpit. zaś Ś-o Jana Boż. w r. 1899 było chor. za opłatą 30 k.	W Tworkach było za opłatą 30 k.
				wypisało się + zmarło			z r. 1898 + przybyło
m. Warszawa . .	33	51	15	3+9	53	163	49+58
gub. Warszawska	42	38	12	3+4	43	79	41+27
„ Piotrkowska	36	32	8	3+3	34	30	25+11
„ Kaliska . . .	31	27	4	1+2	28	11	8+4
„ Kielecka . .	26	27	2	1+2	26	7	5+2

	Zagwarantowan. miejsc szpitalnych	Pozostało z roku 1898	Przybyło w ciągu roku 1899	Wypisało się chorych lub umarło	Pozostało na rok 1900	W szpit. zaś S-o Jana Boż. w r. 1899 było chor. za opłatą 30 k.	W Tworkach było za opłatą 30 k.
				wypisało się zmarło			z r. 1898 przybyło
„ Radomska .	26	26	3	3—	26	10	4+5
„ Lubelska . .	36	20	13	4+4	25	8	1+1
„ Siedlecka. .	26	19	12	—5	26	12	3+5
„ Suwalska. .	24	22	8	2+1	27	6	8+7
„ Łomżyńska.	20	20	2	1+1	20	12	5+5
„ Płocka . . .	20	20	2	3+1	18	13	5+10

Powyższe zestawienie poucza, że nie tylko z roku na rok liczba niezajętych bezpłatnych miejsc nie zwiększa się, lecz, że każda gubernia coraz mniej ma widoków zdobycia bezpłatnego miejsca dla biednego chorego. Powtóre zestawienie to poucza, że bezpłatne pozornie miejsce w Tworkach kosztuje mieszkańców 363,4 rb. rocznie.

Pozostający z roku na rok chorzy po największej części należą do kategoryi nieuleczalnych i co najmniej połowa ich nadaje się raczej do opieki w przytułku, niż w szpitalu. Z chwilą otwarcia przytułków gubernialnych zakład centralny dla całego Królestwa, chcąc uprzystępnić bezpłatną pomoc tym, którzy obecnie muszą płacić po 30 kop. dziennie, zechce zapewne przynajmniej połowę chorych chronicznych oddać do przytułków, a w takim razie te po roku, a najwyżej 2 latach, będą pełne, jeżeli nie zechcą przyjmować spokojnych chorych, będących na miejscu, którzy do zakładu się nie dostali, a którzy, jak wezbrana fala, cisnąć się do przytułku będą.

Wobec powyższych kombinacyi, zdaniem naszem, tworzenie małych przytułków gubernialnych nie wytrzymuje krytyki ze stanowiska ekonomicznego, a i ze stanowiska lekarskiego musi być zaliczone do mniej szczęśliwych.

Wyjść jednak z przykrego położenia należy. Wyjście zaś jest tylko jedno. Należy zerwać z obecnym systemem centralizacyi chorych w szpitalach warszawskich i dążyć do tego, by każda gubernia posiadła swój własny zakład i swój przytułek dla nieuleczalnych. Należy następnie w celach oszczędności dążyć do tego, by szpital i przytułek stanowiły jedną całość. A że zarówno wskazania

lekarskie, jak względy taniości utrzymania przemawiają za tem, by zakłady dla umysłowo chorych były w posiadaniu znaczniejszej przestrzeni uprawnego pola, należy przeto nowopowstające zakłady łączyć z koloniami roboczemi.

W ten sposób przeprowadzona reforma opieki wobec zwiększającej się liczby chorób i wobec tej pewności, że w miarę cięższych warunków bytu i płynącej stąd potrzeby zużywania większej energii przez zdrowe jednostki zapotrzebowanie opieki szpitalnej wzmagać się musi, — nie na długoby starczyła. Niezbędna jest troska o należyte i tanie opróżnianie zakładów leczniczych i przytułków. „Patronage familial" musi być u nas zastosowane; w przeciwnym razie za lat 20 — 25 groziłoby nowopowstałym zakładom niemal takie same przepełnienie, jakie odczuwamy obecnie.

Pomimo ogromnych postępów w opiece nad umysłowo-chorymi narody zachodnio-europejskie nie są zadowolone ze stanu obecnego, gdyż, zdaniem światłych przodowników, wtedy dopiero będzie stan zadowalający, gdy **każdy** kandydat znajdzie opiekę. Stanu takiego niema jeszcze nawet w Anglii i Szkocyi, gdzie i prawodawstwo, i społeczeństwo od wieku przeszło w tym kierunku dążą.

Gdybyśmy chcieli dla naszych chorych zabezpieczyć opiekę w niedługim przeciągu czasu, musielibyśmy poświęcić przechodzącą naszą zamożność sumę pieniędzy, gdyż, licząc bardzo skromnie, że nie 57,4%, tylko 45% ogółu chorych będzie wymagało opieki szpitalnej, 37% mieścić się może w przytułkach, a 18% jest takich, którzy jako tako pracować mogą w odpowiednich warunkach, otrzymamy w gubernii Warszawskiej (z Warszawą) 1066 chorych, wymagających opieki szpitalnej, 876—opieki w przytułku i 427 —w kolonii; w gub. Kaliskiej: 549—451 —220; w Kieleckiej: 429—352 — 173; w Łomżyńskiej: 386 — 312 — 160; w Lubelskiej: 686 — 564 — 276; w Piotrkowskiej: 934 — 768 — 375; w Płockiej: 377 — 310 — 152; w Radomskiej: 502 — 412 — 202; w Suwalskiej: 352—290— 142; w Siedleckiej: 461 — 379 — 185.

W chwili obecnej wszystkie nasze specyalne szpitale i przytułki nie mogłyby zadośćuczynić zapotrzebowaniom jednej gub. Warszawskiej!

Reforma radykalna musi być przeprowadzona względnie prędko, zapominać bowiem nie należy, że liczba zapotrzebowań opieki, jak wykazuje doświadczenie, z każdym rokiem zwiększać się będzie, że każdy rok zwłoki odznaczać się musi narastaniem coraz większych trudności finansowych. W tem miejscu przypomnieć

należy, że we Francyi w okresie 15-to-letnim liczba umysłowo-chorych, potrzebujących opieki, wzrosła o 34,275 osób, że w Szkocyi w ciągu 39 lat przy zwiększonej ludności o 39%, liczba ta wzrosła o 149%.

Z jakiegokolwiek punktu widzenia patrzeć będziemy na sprawę opieki nad umysłowo-chorymi, zawsze wyzierać będzie konieczność budowania nowych zakładów. Aby jednak zakłady te mogły opędzić najgwałtowniejsze potrzeby, sądzimy, że powinny posiadać przynajmniej 1/4 część miejsc, na które niewątpliwie kandydaci natychmiast się znajdą.

Każda gubernia powinna niezwłocznie przystąpić do budowy własnego zakładu dla leczenia i opiekowania się chorymi. Nim przystąpimy do nakreślenia pobieżnego chociażby szkicu finansowej strony zamierzonego przedsięwzięcia, niech nam wolno będzie zwrócić uwagę na następujący szczegół. Obecnie istniejące zakłady, obok innych ważniejszych braków, posiadają i ten, że mają jednakową liczbą miejsc dla kobiet, co dla mężczyzn. Prawdopodobnie projektodawcy szpitala w Tworkach, oddziału żydowskiego na Czystem i obecnie dokonywanej gruntownej przebudowy szpitala Ś-go Jana Bożego, zapomnieli, że liczba kobiet u nas jest większa, niż mężczyzn, i że kobiety obłąkane ze względu na gwałtowniejsze przejawy cierpienia częściej muszą być usuwane z otoczenia domowego. Jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy ostatni urzędowy wykaz statystyczny za r. 1893 i doliczymy do podanych tam cyfr 2,2% przyrostu naturalnego ludności, otrzymamy, że w roku 1899 Królestwo liczyło 5,128,201 kobiet, a 4,854,280 mężczyzn. Sprawozdania Rady miejskiej dobroczynności nie zawierają danych co do stopnia spokojności umysłowo-chorych, jednak na zasadzie wielu statystyk zagranicznych i ziemskich zakładów wyprowadzić można następujący wniosek.

Na 45% spokojnych chorych mężczyzn bywa tylko 39% spokojnych kobiet, a za to na 27% niespokojnych chorych mężczyzn — 32% niespokojnych kobiet; na 9% furyatów mężczyzn — 14% furyatek, na 19% zanieczyszczających się chorych mężczyzn — 20% kobiet.

Przystępując do naszkicowania wysokości kosztów, które narazie wypadałoby ponieść dla wzniesienia niezbędnych zakładów, z góry zastrzedz się musimy, że sumy podane mogą wywoływać różne zdania, zaznaczyć jednak wypada, że koszta te obliczaliśmy na zasadzie średniej, otrzymanej z porównań sum, wydanych przez ziemstwa, na wzniesienie wzorowych zakładów. Zakłady ziemskie

w teraźniejszej swej szacie „przedstawiają”, jak zaznacza dr. Marie et Vallon („Les aliénés en Russie”, 1899), wydelegowani przez departament Sekwany do zwiedzenia zakładów w Rosyi, „po większej części widok imponujący”.

Według wykazu powyżej cytowanych autorów:

1 łóżko	w Twerskim zakładzie	(na 245 miejsc)	kosztowało	1083 rb.
1 „	w Nowgorodzkim „	(na 113 „)	„	1239 „
1 „	w Saratowskim „		„	1239 „
1 „	w Riazańskim „		„	1577 „
1 „	w Tulskim „	(na 220 „)	„	1377 „
1 „	w Charkowskim „	(na 220 „) .	„	1377 „
1 „	w Połtawskim „	(na 200 „)	„	1350 „

Jedno przeto łóżko w zakładzie skanalizowanym, posiadającym ogrzewanie i oświetlenie centralne i zbudowanym na większej przestrzeni rolnej (do 500 i więcej morgów ziemi mają niektóre), kosztowało średnio 1320 rb. Ponieważ powyższa suma wydaje się naszym budowniczym, których zapytywaliśmy, wystarczającą, przeto według tej skali zamierzamy czynić przybliżone wyliczenia.

Gub.					
Kaliska, według przyjętej powyżej zasady, powinna narazie posiadać zakład	o 300	miejscach	koszt wzniesienia		396,000 rb.
Kielecka	„ o 238	„	„	„	314,160 „
Łomżyńska	„ o 215	„	„	„	283,800 „
Lubelska	„ o 382	„	„	„	504,240 „
Piotrkowska	„ o 520	„	„	„	686,400 „
Płocka	„ o 210	„	„	„	277,200 „
Radomska	„ o 280	„	„	„	369,600 „
Suwalska	„ o 196	„	„	„	258,720 „
Siedlecka	„ o 256	„	„	„	338,920 „
	2,597 miejsc.		kosztować będzie .		3,428,040 rb.

Nie wliczając do powyższego rachunku gub. Warszawskiej, dla której obecne urządzenia z małemi przeróbkami narazieby wobec powziętej reformy wystarczały, wypada, że koszt wzniesienia najniezbędniejszych urządzeń dosięgałby poważnej sumy 3,430,000 rb. Ma się rozumieć, mieszkańcy wysoko opodatkowanego Królestwa w żaden sposób ponieść tak poważnego wydatkuby nie mogli, jeżeliby rząd nie przyszedł nam z pomocą.

Pomoc rządu w danym razie jest konieczna wobec tego, że utrzymanie zakładów padnie na barki ludności Królestwa Polskiego. Utrzymanie zaś 3,000 z górą miejsc szpitalnych, licząc tylko po 200

rb. utrzymanie jednego łóżka, wyniesie z górą 600,000 rb. Zważywszy, że utrzymanie obłąkanego w ciągu całego szeregu lat nawet za opłatą 10 rb. miesięcznie stanowi ciężar, któremu podołać niewielu może, należy dążyć do tego, by koszty utrzymania chorych, o ile można, były pokrywane z podatku, nałożonego na ogół ludności, a nie ze skromnych funduszów tych, którzy chorego w swej rodzinie mają. Obecnie mieszkańcy Królestwa Polskiego płacą rocznie 250,000 rb. podatku na rzecz domu wychowawczego przy szpitalu D-tka Jezus i na rzecz utrzymania Tworek. Gdyby się dało znaleźć dla domu wychowawczego inne źródło dochodu (możnaby opodatkować loteryę klasyczną Królestwa Polskiego), a cały obecnie ściągany podatek w ilości 250,000 rub., nawet podwojony, obracano na rzecz utrzymania zakładów dla obłąkanych, wówczas wypadłoby, że rodzina chorego musi płacić bardzo niewiele. Zaprowadzając wreszcie w każdym zakładzie pewną liczbę miejsc pensyonarskich o opłacie co najwyżej 30 rb. miesięcznie, dopiąćbyśmy mogli, że przeważna liczba chorych mogłaby znaleźć opiekę zakładową zupełnie darmo. Dotychczasowy system pobierania w szpitalach opłaty w ilości 75 rb. i 45 rb. miesięcznie od pensyonarzów jest stanowczo zbyt wysoki i nie powinien być dopuszczany, chociażby z tego względu, że dobroczynność publiczna przestaje być dobroczynnością, jeżeli ciągnie zyski z chorych.

200 rb., przeznaczone na utrzymanie chorego w zakładzie — kolonii, zbudowanym na prowincyi, ciągnącym zyski z pracy samych chorych i z przynależnych mu gruntów, wydają nam się zupełnie wystarczającymi. Wszak obecnie utrzymanie, wprawdzie niezbyt świetne, chorego w Górze Kalwaryi wynosi tylko 130 rubli rocznie, w szpitalu S-go Jana Bożego i w oddziale żydowskim kosztuje nieco mniej, niż 200 rb., w Tworkach zaś, według sprawozdań Rady miejskiej za r. 1896 wynosiło 215 rb. Według sprawozdań poszczególnych ziemskich zakładów za r. 1896 utrzymanie jednego chorego: w Zięmstwie Twerskiem kosztowało rocznie 226 rb., w Nowgorodzkiem — 256, w Saratowskiem—215, w Riazańskiem—215, w Tulskiem — 189, w Charkowskiem — 248, w Połtawskiem—166, w Chersońskiem — 257.

Opieka nad ¼ częścią chorych to zaledwie pierwszy krok na drodze postępu. Drugi etap polegać powinien na umiejętnem tworzeniu w okolicznych wioskach ognisk opieki domowej, trzeci wreszcie powołać powinien do życia jaknajliczniejsze Towarzystwa opieki nad obłąkanymi i upośledzonymi na umyśle, które, jako główne zadanie, winny mieć opiekę nad wychodzącymi ze szpitali, nad licz-

ną kategoryą tych zniedołężniałych paralityków, którzy, wymagając tylko przytuliska, próżno zajmują miejsca w szpitalach specyalnych. Do zadań takich Towarzystw opieki należeć również winna troska o kształcenie i wychowywanie głuptasów i opieka nad zniedołężniałymi epileptykami.

Mówiąc o zakładach specyalnych, przypomnieć należy również, że niewłaściwym jest dotychczasowy zwyczaj odsyłania przestępców, podejrzywanych o rozstrój umysłowy, do szpitalów specyalnych. Pomiędzy licznymi podsądnymi bywają i tacy, którzy w obawie przed odpowiedzialnością za popełniony czyn karygodny, udają cierpienie umysłowe i używają wszystkich sposobów, by uciec ze szpitala. Dla jednego takiego osobnika należy częstokroć zaostrzać środki ochronne, które dotykają wszystkich. Szpital, przeznaczony dla chorych, powinien unikać wszystkiego, coby mu nadawało cechę więzienia, i dlatego podsądnych przyjmować nie powinien. Dla tej kategoryi osobników powinien być oddzielny zakład, utrzymywany kosztem zarządu więziennego. Osądzony dopiero osobnik i uznany za człowieka, który w przystępie choroby czyn karygodny popełnił, powinien znaleźć opiekę w odpowiednim zakładzie.

Warszawa, ześrodkowując w swych murach niemal całą opiekę nad obłąkanymi w Królestwie, powinna wystąpić z omawianą powyżej reformą. Dla dopięcia zaś tego należałoby przedewszystkiem przytułek w Górze Kalwaryi przez dokupno potrzebnej ilości uprawnej roli i przez dokonanie przeróbek zamienić na wzorową kolonię dla umysłowo-chorych. Szpital Ś-go Jana Bożego, urządzony dla 150—200 ostrych chorych, przeznaczyć wyłącznie dla mieszkańców Warszawy. Ci z chorych, którzy uznani będą za nieuleczalnych i spokojnych, powinni być odsyłani do kolonii i tam w miarę kwalifikacyi zachęcani albo do robót polnych, albo warsztatowych, albo wreszcie do przytułku. Kolonia w Górze Kalwaryi pod kierunkiem wytrawnego specyalisty powinna dbać, by w okolicznych wioskach powstała domowa opieka, pod której skrzydła za stosunkowo małą opłatą (nie przenoszącą 100 rb. rocznie) mogliby udawać się chorzy.

Kontrola nad rozgałęzioną siecią zakładów nie może się ostać w ręku warszawskiej Rady Miejskiej dobroczynności publicznej w dotychczasowym układzie, a nawet w ręku Rad gubernialnych. Dolą, mieniem i bytem obłąkanych i upośledzonych na umyśle musiałaby się zająć odrębna organizacya, przy najwyższej władzy krajowej utworzona. W skład tej organizacyi oprócz przedstawicieli sądownictwa, administracyi i psychiatrów powinni wejść przedstawiciele obywatelstwa miejscowego. Odrębna ta organizacya zapo-

mocą komisyi prowincyonalnych powinna zarządzać funduszami, przeznaczonymi na utrzymanie chorych, powinna kwalifikować do szpitala, wypisywać uzdrowionych, umieszczać nieuleczalnych i wogóle ująć w swe ręce wszystkie te czynności, które są związane z opieką nad chorymi. Do obowiązków takiej organizacyi należeć również winna inicyatywa w powoływaniu do życia nowych Towarzystw opieki nad chorymi i nadzór nad czynnościami dawniej powstałych.

Kładziemy nacisk na konieczność zainteresowania się ludności kraju sprawami gospodarki szpitalnej, gdyż z doświadczenia innych narodów wiemy, że tylko tam sprawa opieki nad chorymi kwitnie, gdzie ludność sama pod kontrolą i życzliwą opieką władz rządzi szpitalami i musi myśleć o środkach, potrzebnych do prawidłowych rządów.

III.

Na zakończenie tej pracy słów kilka o opiece nad głuptasami i epileptykami. Jak wiadomo, do tej pory nic u nas dla nich nie zrobiono. Bezdomni głuptasi po długich formalnościach administracyjnych dostają się wreszcie do zakładu dla obłąkanych, gdzie przeszkadzają i administracyi, i innym chorym. O epileptyku wtedy dopiero organy porządku publicznego myśleć zaczynają, gdy w napadzie furyi popełni czyn straszny. Odesłani do szpitala epileptycy po przejściu napadu czują się nieswojo w murach szpitala, a że często odznaczają się charakterem nierównym, trudno dającym się ujarzmić, wynikają przeto częste z nimi kolizye, które i zdrowym, i chorym dają się we znaki.

Co do idyotów, należy pamiętać, że, lubo wszystkie niemal przypadki niedorozwoju mózgowego zależą od takich lub innych wad rozwojowych mózgu lub od organicznych cierpień utkania nerwowego, w zaraniu życia osobnika otrzymanych, jednak istnieje cały szereg głuptasów, którzy przez stosowne wychowanie i kształcenie mogliby się stać pożytecznymi pracownikami. Druga kategorya tych nieszczęśliwców, dzięki niedającemu się wyrównać defektowi mózgowia, do wychowania nie jest zdolna i kwalifikuje się tylko do opieki w przytułkach. Trzecia wreszcie grupa obok zaniku inteligencyi przez całe swe życie zdradza objawy bezmyślnego, a często bardzo szkodliwego podniecenia. Ta okoliczność zmusza do trzymania takich idyotów w zakładach ściśle zamkniętych. Nie wdając się

w bliższe określanie patologii głuptactwa i wynikających stąd wskazówek co do sposobu opieki, nadmienić musimy, że nadszedł czas, by liczni idyoci znaleźli u nas stosowne warunki bytu.

Aby zapocząć reformę w tym kierunku, należy starać się, by powstał w Królestwie Polskiem przynajmniej jeden zakład dla idyotów. Zakład taki składać się winien: 1) ze szkoły rzemieślniczej dla tych głuptasów, którzyby mogli nauczyć się jakiegoś rzemiosła; 2) z przytułku dla zniedołężniałych idyotów; 3) ze ściśle zamkniętego oddziału dla głuptasów niespokojnych i szkodliwych.

Opieka nad epileptykami musi mieć odrębny charakter. Epileptycy, podlegający od młodości częstym napadom, prędko idyocieją, i tacy śmiało podprowadzeni być mogą pod upośledzonych poprzedniej kategoryi.

Epileptycy, u których napady powtarzają się rzadziej, którzy w młodzieńczym wieku mogli się czegoś nauczyć, którzy jednak dzięki chorobie systematyczną pracą zająć się nie mogą, powinni znaleźć umiejętną opiekę w stosownie urządzonej kolonii roboczej. Epileptycy wreszcie, którzy podlegają częstym zamroczeniom świadomości, którzy, pod wpływem strasznych, a tak niespodzianie i gwałtownie uzewnętrzniających się omamów, należą do kategoryi najniebezpieczniejszych dla siebie samych i dla otoczenia obłąkanych, muszą być zaliczeni do tych, którzy przez całe swe życie wymagają opieki szpitalnej.

W ścisłem znaczeniu należy pomyśleć o utworzeniu zakładu—kolonii tylko dla tych epileptyków, którzy, zachowując cały zasób świadomości w chwilach, wolnych od napadów, odsuwani są od wszelkiej pracy w obawie przed możliwością powtórzenia się napadu. Tacy chorzy stanowią liczny kontyngens wykolejonych osobników, nie mogących zrozumieć powodu niechęci ludzkiej. Rozgoryczeni do blizkich, do ludzkości i świata oddziaływają na otoczenie, oddają się często rozpuście i pijaństwu, wstępują w szeregi mniejszych, a nawet większych przestępców i niosą hańbę rodzinie i społeczeństwu. Dla tej kategoryi cierpiących nie z winy własnej należy stworzyć specyalny zakład.

IV.

Z dziedziny życzeń przeszedł w rzeczywistość jeden z postulatów, zawartych w niniejszej pracy. Od listopada roku zeszłego społeczeństwo nasze posiadło Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo-chorymi.

Chcąc uniknąć powtarzań, nadmienić tylko winienem, że pan Bolesław Koskowski w zeszycie lutowym w gorących słowach przedstawił program Towarzystwa. Do słów kronikarza, z których wieje wielkie przeświadczenie o doniosłości pracy, jaką ma przed sobą nowopowstałe Towarzystwo, dodać mogę tylko kilka cyfr, zaczerpniętych u źródła.

Przez 6-cio miesięczny okres swego istnienia Towarzystwa zyskało 242 członków rzeczywistych z opłatą po rb. 5 rocznie, 11 członków z opłatą wieczystą (100 rb.), jednego członka z opłatą wieczystą 1000 rb. i kilku członków zwyczajnych z opłatą od rb. 1 do 3 rocznie. Dochody, płynące głównie ze składek członkowskich, ma się rozumieć, wystarczyć nie mogą na zadośćuczynienie nawet najpilniejszym potrzebom Towarzystwa.

Do pilnych potrzeb Zarząd towarzystwa zaliczył: 1) utworzenie schroniska dla spokojnych umysłowo-chorych; 2) Zaszczepianie na gruncie naszym t. zw. opieki domowej („patronage familial"); 3) dążenie do jaknajprędszego urządzenia kolonii dla mogących pracować umysłowo-chorych.

Urządzenie schroniska (o co zostały już porobione kroki przez wystosowanie podania do władz) jest naglące nie tylko ze względu na to, że dopiero z chwilą posiadania własnego schroniska będzie mogło Towarzystwo przyjść z pomocą tym, którzy obecnie, próżno kołacząc do wrót szpitala, nieleczeni często przechodzą w stan nieuleczalny, lecz, co ważniejsza, dlatego, że z musu praktykowany obecnie przez Towarzystwo system pomagania rodzinom przez wydawanie im zapomóg pieniężnych do celu nie prowadzi. Zadanie Towarzystwa, według rozumienia mego, polegać powinno, nie tyle na doraźnem obcieraniu łez, nie tyle na wspieraniu pieniężnem, ile na dążeniu do tego, by przez usunięcie chorego z rodziny, dać możność pracowania pozostałym przy zdrowiu. Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo-chorymi stać się winno instytucyą o wielkiej doniosłości społecznej. Wychodząc z założenia, że opieka nad chorym, starcem, kaleką i wogóle niezdolnym do pracy należy do obowiązków każdego obywatela, a w żadnym razie nie może być dłużej uprawiana, jako akt miłosierdzia społecznego, osobiście pragnąłbym widzieć Towarzystwo nowe, stąpające po drodze radykalnych reform, których wymaga nasze lecznictwo i przytulanie, niż uprawiające zdawkową filantropię przez udzielanie jednorazowych wsparć lub miesięcznych zapomóg. Ostatni czyn miłosierdzia publicznego jest i będzie nieodłącznym towarzyszem ludzi, którzy u steru nowej in-

stytucyi stać będą, nie powinien być jednak głównem zadaniem szerzej pojętego obowiązku społecznego.

Uprzystępnić racyonalne leczenie tym, którzy wyleczeni być mogą, danie schroniska tym, którzy pielęgnowani być muszą, umiejętne wyzyskanie sił fizycznych tych, którzy, dotknięci obłędem, pracować mogą, oto zadanie Towarzystwa.

Utworzenie schroniska, według słusznego rozumowania Zarządu towarzystwa, to zaledwie pierwszy krok na uciążliwej drodze. Schronisko takie, jeżeli nie będzie miało ujścia dla swych pensyonarzów, w ciągu dwu miesięcy zapełnić się musi. Aby uniknąć braku miejsca dla tysiącznego tłumu obłąkanych, który się snuje po ulicach miasta, należy już teraz pomyśleć o organizacyi, któraby umożliwiała opróżnianie schroniska. Miejsce zdolnego do pracy pensyonarza przytułku zająć powinien więcej przytulania potrzebujący chory. Zdolny do pracy obłąkany musi być umieszczony w kolonii roboczej, gdzie w pracy znajdzie ukojenie w cierpieniu, gdzie przez pracę, przynajmniej w części, zabezpieczy swój byt. Utworzenie przeto kolonii dla umysłowo-chorych należy do zadań pierwszorzędnych. Utrzymać poziom moralny chorego na wysokości poczucia, że nie jest on pasorzytem społecznym, lecz że bez względu na chorobę, bierze czynny udział w ogólnej pracy, częstokroć jest czynnikiem zbawiennym. Względy zaś oszczędności, które w gospodarce społecznej ważną odgrywają rolę, przemawiają również za tem, by podobna kolonia jaknajprędzej powstać mogła.

Dzięki szlachetnej ofierze p. Feliksa Bobrowskiego Towarzystwo posiadło pod Brwinowem 20-to morgowy grunt, na którym powstać musi pierwsza kolonia dla umysłowo-chorych. Powstać musi, mówimy, gdyż wierzymy, że powolny rozwój Towarzystwa jest chwilowem zjawiskiem, wywołanem skierowaniem upustów ofiarności w obecnej chwili w inną stronę. Jesteśmy przekonani, że Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo-chorymi znajdzie poparcie wśród wszystkich tych, którzy rozumieją wszelką pracę społeczną o szerszym zakresie.

Pewna atoli kategorya chorych, wymagających tylko pielęgnowania nie będzie się nadawała do kolonii i śmiało pozostać będzie mogła w domowem otoczeniu nie własnej, lecz obcej rodziny. Wyszukiwanie odpowiednich rodzin, któreby się podjęły opieki nad obłąkanymi, kontrola nad sumiennem i uczciwem wypełnianiem wziętych na się obowiązków należeć będzie do komisyi opieki domowej opieki, którą wytworzyło już Towarzystwo.

Poza temi czynnościami, które, już opracowane, czekają zatwierdzenia, Towarzystwo zajęło się organizacyą opiek okręgowych. Miasto Warszawa wraz z Pragą podzielono na 6 okręgów opiekuńczych. W każdym okręgu ustanowiono opiekunów i lekarzy. Do zadań opiekunek okręgowych (gdyż w tych czynnościach nasze panie prym trzymają) należeć będzie: 1) wyznaczanie doraźnych zapomóg tym, którzy tego wymagać będą; 2) doglądanie, by zapomogi były zużytkowane należycie; 3) dopomaganie w wystaraniu się potrzebnych do umieszczenia chorego w szpitalu papierów; 4) staranie o umieszczenie chorego w schronisku lub szpitalu.

Pomocnikami opiekunek, samodzielnymi w zakresie swej specyalności, będą lekarze okręgowi. Do nich należeć będzie: 1) kwalifikowanie chorych do szpitala, schroniska, kolonii lub do opieki domowej; 2) leczenie ambulatoryjne tych chorych, którzy do tego rodzaju leczenia nadawać się będą. Zarząd towarzystwa, pragnąc wytworzyć ambulatoryum dla swych klientów, doszedł do przekonania, że Warszawa posiada dostateczną liczbę bezpłatnych ambulatoryów i że otwieranie jeszcze jednego byłoby narazie zbyteczne. Pragnąc jednak, by lekarze Towarzystwa mieli możność przyjmowania chorych w istniejących ambulatoryach Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi, zwrócił się Zarząd do Rady opiekuńczej z prośbą o udzielenie miejsca dla naszych chorych. Prawdopodobnie wskutek jakiegoś niezrozumienia Rada opiekuńcza Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi' odpowiedziała na prośbę Zarządu odmownie. Mamy jednak nadzieję, że wkrótce sprawa przyjmowania ambulatoryjnych chorych przez lekarzy Towarzystwa w ten lub inny sposób pomyślnie załatwioną będzie.

Do obecnej chwili zgłosiło się do Towarzystwa 65 rodzin z prośbą o pomoc i opiekę nad chorymi. 11 podań Zarząd Towarzystwa odrzucił, pozostałe zaś uwzględnił w ten sposób, że w 8 wypadkach ułatwił przyjęcie chorego na koszt rodziny, dla 3 chorych wystarał się o bezpłatne umieszczenie w przytułku w Górze Kalwaryi, 2 chorych umieścił bezpłatnie w instytucyach dobroczynnych, 7 zaś gwałtownych chorych umieścił na koszt Towarzystwa w szpitalu Ś-go Jana Bożego lub w Tworkach. 36 zaś rodzin wspierał, wyznaczając miesięcznie lub jednorazowe zapomogi. Oprócz zapomogi chorzy są pod stałą opieką lekarza Towarzystwa, lekarstwa zaś dostają darmo. Pomimo, że Zarząd w wyznaczaniu zapomóg jest oszczędny, gdyż pragnie jaknajwię-

cej zachować na założenie przytułku, ogólna suma zapomóg dosięga już teraz 400 rb. Tylko dzięki wielkiej oszczędności Zarząd mógł wyznaczyć 1466 rubli na sprawienie niezbędnych sprzętów i bielizny dla pierwszego schroniska, które wkrótce zamierza urządzić na krańcach miasta w wynajętym *ad hoc* domu.

Towarzystwo bez środków rozpoczyna dzieło doniosłej reformy pielęgniarstwa, gdyż wierzy, że dobrej sprawie nie pozwolą upaść dobrzy ludzie.

Dr. Karol Rychliński.

J. W. Goethe.

Prometeusz,

FRAGMENT DRAMATYCZNY.

AKT I.

Prometeusz. Merkury.

Prometeusz. Nie chcę, powiedz im to!
Krótko i dobitnie, nie chcę!
Ich wola przeciw mojej!
A tak mi zda się,
Że równy przeciw równemu!

Merkury. Mam to zanieść Zeusowi, ojcu twemu?
Matce twojej?

Prometeusz. Co tam ojciec! matka!
Czy wiesz, skąd twój początek?
Gdym poczuł po raz pierwszy,
Że stoję na nogach własnych,
I wyciągnąłem ręce,
Zauważywszy ich władzę, —
Znalazłem tych, baczących na kroki moje,
Których ty zowiesz ojcem, matką.

Merkury. I przychodzących tobie z pomocą,
Dziecięcemu wiekowi konieczną.
Prometeusz. Za to mieli uległość mego dziecięctwa
I mogli z biednym swym potomkiem
Postępować dowoli, wedle wichrowatych
[kaprysów.
Merkury. Ochraniali cię.
Prometeusz. Przed czem? Przed niebezpieczeństwami,
Których *oni* obawiali się.
Czyż zdołali ustrzedz serce
Przed wężami, co je tajemnie kąsały?
Czy opancerzyli tę pierś,
By urągała Tytanom?
Czyż mężem hartownym
Nie uczynił mię czas wszechmogący,
Władca *mój* i *ich*?
Merkury. Nieszczęsny! To mówisz o bogach,
O wiekuistych?
Prometeusz. Bogach? Nie jestem bogiem,
A czuję się równym jemu.
Wiekuiści? — Wszechmocni? —
Cóż wy możecie?
Możecież wy te przestwory
Nieba i ziemi rodzącej
Wcisnąć w pięść moją?
Czy zdołacie oddzielić
Mnie ode mnie samego?
Czy macie wy siłę
Rozprzestrzenić ze mnie cały świat?
Merkury. Fatum!
Prometeusz. Uznajesz jego moc?
Ja także! —
Odejdź, nie służę wasalom!

(Merkury odchodzi).

Prometeusz (zwracając się do swych posągów, porozstawianych po całym gaju).

— Niezrównany widoku!
Z waszego grona
Wyrwany przez głupca,

O dzieci me!
Cokolwiek wstrząsa piersią waszą,

(Zbliżając się do dziewczęcia)

Niech piersi te falują ku mnie!
To oko mówi już teraz!
Przemówcie do mnie, kochane usta!
O, gdybym mógł dać wam odczucie tego,
Czem jesteście!

(Epimeteusz wchodzi).

Epimeteusz. Merkury gorzko się uskarżał.
Prometeusz. Gdybyś ty ku skargom nie nakłonił ucha,
Byłby powrócił bez uskarżań się.
Epimeteusz. Mój bracie! słuszność przedewszystkiem.
Propozycya bogów
Była w tym razie godna:
Wszak ustępują ci sam szczyt Olimpu,
Tam masz zamieszkać
I ziemią zarządzać.
Prometeusz. Ich kasztelanem być
I ochraniać ich niebo? —
Propozycya moja jest godniejsza:
Chcą się ze mną dzielić, a ja sądzę,
Że nie mam z nimi nic do podziału.
Tego, co ja mam, zabrać mi nie mogą,
Co mają oni, niechaj strzegą sami.
Tu moje, tu twoje,
I już po podziale.
Epimeteusz. Ileż jest tedy twoje?
Prometeusz. Zakres, objęty moją działalnością!
Nic pod nim i nic nad nim! —
Jakież prawo mieć mogą
Te gwiazdy na niebie,
Stąd tylko, że się gapią na mnie?
Epimeteusz. Stoisz sam!
Nie dostrzegasz przekorny, co w tem za
[błogość,
Gdyby wszyscy bogowie i ty,
I twoi, i świat, i niebo całe
Poczuli się spoistą całością.

Prometeusz. Znam to!
Proszę cię, bracie drogi,
Postępuj, jak zechcesz,— mnie daj pokój.

(Epimeteusz odchodzi).

Prometeusz. Tu mój świat, moje wszystko!
Tu czuję siebie;
Tu wszystkie me pragnienia
W kształtach cielesnych.
W tysiączne części duch mój podzielony
I dany między drogie moje dzieci.

(Minerwa wchodzi).

Prometeusz. I ty się odważasz, bogini?
Ty się odważasz przyjść do wroga twego
[ojca?
Minerwa. Szanuję mego ojca
A ciebie kocham, Prometeuszu!
Prometeusz. Duchowi memu jesteś tem,
Czem on sam sobie.
Zawsze twe słowa
Były mi nieba światłością!
Zawsze, jakby ma dusza rozmawiała z sobą,
Otwierała się w sobie,
I zrodzone z nią harmonie
Grały w niej same przez się.
To bóstwo podnosiło głos,
Gdym mniemał, że to ja mówię;
A gdym sądził, że to mówi bóstwo,
Mówiłem sam.
Z tobą i sobą
W jedność spojony,
Wiecznie oddany tobie!
Minerwa. A ja wiecznie obecna przy tobie.
Prometeusz. Jak słodka zorza wieczorna
Po słońca zachodzie
Rozszerza się tam,
Ponad ciemnym Kaukazem
I błogą ciszą duszę moją poi,
Choć tak daleka, przecież mi obecna:
Podobnie siły moje

Wzrosły z każdym oddechem twej sfery
[niebieskiej.
I jakież prawo
Mają żywić dumni
Mieszkańcy Olimpu
Do moich sił?
Moje są one i mojem jest ich użycie.
Ani kroku więcej
Nawet dla najwyższego z bogów!

Minerwa. Tak mówi moc.

Prometeusz. Tak mówię ja, o bogini,
I jestem mocen! —
Dawniej!—Czyż nie widziałaś mię często,
Jak w dobrowolnem poddaństwie
Dźwigałem ciężar, złożony
Przez nich na moje plecy z ogromną powagą?
Czy nie dokonywałem mych prac,
Całodziennych robót na ich rozkaz,
Bom dawał wiarę,
Że oni widzą, co Było i Będzie
W tem, co Jest,
A ich wodze, ich przykazanie
Jest prapierwotną
Bezinteresowną mądrością?

Minerwa. Służyłeś, aby zasłużyć na wolność.

Prometeusz. I nie chciałbym za nic
Zamieniać się z ptakiem gromów
I pioruny pana mego
Dzierżyć dumnie w niewolniczych szpo-
[nach.
Czemże są oni? Czem ja?

Minerwa. Nienawiść twa jest niesłuszna!
Bogom przypadła trwałość w udziale
I moc, i mądrość, i miłość.

Prometeusz. To ich dziedzictwo,
Ale nie tylko ich!
Ja trwam tak, jak oni.
Wszyscy jesteśmy wieczni!
Początku mego nie sięgam pamięcią,
Kończyć nie czuję ochoty,

Końca nie widzę zgoła.
Jestem wieczny, bo jestem!
A mądrość —

(oprowadzając Minerwę wśród posągów)

Spójrz na te czoła!
Czy nie mój palec
Lepił ich kształty?
A moc tej piersi,
Co prze się naprzód
Wbrew grożącym jej zewsząd zatratom!

(Staje przed jednym z posągów kobiecych).

A ty, Pandoro,
Święte naczynie wszelkich darów,
Niosących zachwyt
Pod tem szerokiem niebem
I na ziemi nieskończonej, —
Wszystko to, co mi błogość lało w piersi,
Co w chłodzie cienia
Krzepiło siły moje,
Ile tylko mizernych upojeń
Dało mi słońce miłości,
Ile pieszczoty rzuciła na mą pierś
Rozgrzana fala morska,
Gdziekolwiek kiedy czystych blasków [nieba
I spokoju mej duszy zażyłem —
Wszystko to, wszystko — moja Pandoro!

Minerwa. Jupiter oznajmia tobie,
Że udzieli życie tym statuom,
Jeżeli żądaniom jego
Dasz posłuch.

Prometeusz. Jedyny to wzgląd, uwagi godny,
Lecz — ja miałbym być sługą
I, jak wszyscy,
Uznać nad sobą berło gromowładcy?
Nie!
Niech trwają tak, jak są,
Związane bezżyciem,
Przecież są one wolne,
A ja czuję ich wolność!

Minerwa. I będą żyć!
Władzą jest losu, a nie bogów
Obdarzać życiem i brać je napowrót;
Chodź! wskażę ci źródło wszelkiego żywota,
Którego Jupiter nie zamknął przed nami.
Będą one żyć, i to przez ciebie!

Prometeusz. Przez ciebie, o bogini moja,
Będą żyć i czuć się wolnymi,
Żyć!—Ich radość będzie ci podzięką!

AKT II.

NA OLIMPIE.

Jupiter. Merkury.

Merkury. Zgroza — ojcze Jowiszu — Zdrada!
Minerwa, córka twoja,
Trzyma stronę buntownika,
Wskazała mu źródło życia
I jego orszak gliniany,
Jego świat ulepiony
Ożywiła wokoło niego.
Wszystko to rusza się, jak my,
Roi się i wykrzykuje wokół niego,
Jak my wokoło ciebie.
O! twoje gromy, Zeusie!

Jupiter. Są! i będą!
I niech będą!
Ponad wszystkiem, co jest,
Pod tem szerokiem niebem,
Na tej ziemi nieskończonej,
Trwa me panowanie!
A ten robaczy ród pomnaża tylko
Mych niewolników tłum.
Pokój im, jeżeli woli mojej ojcowskiej [ulegną!
Biada, jeżeli się sprzeciwić zechcą
Książęcej władzy mej!

Merkury. Ojcze nasz! Ty najdoskonalszy,
Co przebaczasz zbrodniarzom ich czyny,
Cześć i chwała tobie
Po wszystkiej ziemi i w niebie!
O ześlij mię, abym tym nędznym ziemia-
[nom
Zwiastował ciebie, Ojcze,
Twoją dobroć i twoją potęgę!

Jupiter. Nie jeszcze! Dziś młodość pierś im rozpiera,
Ich duch czuje się samym bogom równy;
Nie będą cię słuchać, aż cię
Potrzebować będą. Pozostaw ich samych.

Merkury. Równie mądrze, jak wspaniałomyślnie.

(Dolina u stóp Olimpu).

Prometeusz. Spójrz na dół, Zeusie,
Na mój świat: on żyje!
Ulepiłem go na podobieństwo własne,
Rósł, co równo ze mną
Cierpi, płacze, używa i raduje się
I nie dba o ciebie,
Jak ja!

(Po całej łące rozproszony ród ludzki. Jedni pną się na drzewa rwać owoc, inni kąpią się w strumieniu, biegają do met; dziewczęta rwą kwiaty i wiją wieńce).

(Człowiek przystępuje do Prometeusza ze ściętemi młodemi drzewkami).

Człowiek. Oto drzewka,
Których żądałeś.

Prometeusz. Jak je wydobyłeś z ziemi?

Człowiek. Ostrym kamieniem — tym właśnie
Przetarłem je tuż przy korzeniu.

Prometeusz. Najpierw precz z gałęźmi! —
Teraz wbij je tu,
W ziemię, pochyło,
To drugie tutaj, naprzeciw;
Zwiąż je u góry! —
Znowu dwa drzewka wokół, poza niemi,
A z góry połącz je jednem poprzecznem.

A teraz na to od góry do dołu
Narzuć gałęzi,
Zwiąż je, umocuj,
Darni dokoła
I jeszcze nowych gałęzi od góry,
Aby żaden promień słońca,
Żaden deszcz, wiatr nie zdołał się przedrzeć.
Tu, drogi synu, schronisko i chata!

Człowiek. Dzięki ci, drogi ojcze, dzięki!
Powiedz mi, czy w chacie mojej
Mają mieszkać wszyscy moi bracia?

Prometeusz. Nie!
Tyś ją zbudował, do ciebie należy.
Możesz ją dzielić, z kim zechcesz,
Kto pragnie mieszkać,
Niech sobie własną chatę wybuduje.

(Prometeusz odchodzi).

D W U M Ę Ż C Z Y Z N.

Pierwszy. Nie bierz mi ani kawałka
Z tych kóz ułowionych.
Moje są!

Drugi. Skąd twoje?

Pierwszy. Przez cały dzień wczorajszy i przez noc
Spinałem się po górach
W pocie i znoju,
Schwyciłem je żywcem,
Strzegłem przez całą noc
I tu zaparłem
Między głazy i gałęzie.

Drugi. To daj mi jedną!
I ja upolowałem był wczoraj,
Upiekłem zwierzynę na ogniu
I zjadłem razem z braćmi.
Dziś potrzebujesz tylko jednej,
A jutro znów inną ułapim.

Pierwszy. Wara od moich kóz!

Drugi. Ale!

(Pierwszy chce go odsunąć, drugi daje mu pchnięcie, że się tenże przewraca, poczem porywa kozę i ucieka).

Pierwszy. Gwałtu! Och, och!
Prometeusz (wraca). Co takiego?
Człowiek. Zrabował mi moją kozę! —
Krew ciecze mi z głowy,
Rzucił mię
O te kamienie.
Prometeusz. Zerwij hubkę z tego drzewa
I przyłóż do rany.
Człowiek. O tak — drogi ojcze!
Już ustało.
Prometeusz. Idź, umyj swą twarz.
Człowiek. A moja koza?
Prometeusz. Zostaw go.
Zwrócił on swą rękę przeciw innym,
Zwrócą inni rękę przeciw niemu.

(Człowiek odchodzi).

Prometeusz. Nieodrodni wy, dzieci moje,
Pracowici i leniwi,
Okrutni i łagodni,
Użyczliwi i skąpi,
Podobni jesteście do waszych braci po losie,
Podobni do zwierząt i bogów.

Pandora wchodzi

Prometeusz. Co ci jest, córko moja,
Skąd ten przestrach?
Pandora. Mój ojcze!
Ach, com ja widziała, mój ojcze,
Com czuła?
Prometeusz. Cóż?
Pandora. O moja biedna Mira! —
Prometeusz. Cóż się jej stało?
Pandora. Dziwne uczucia bez nazwy!
Widziałam ją, jak szła w gęstwinę leśną,
Gdzieśmy tak często wiły wieńce z kwia-
[tów;
Ja za nią.
A gdym schodziła ze wzgórza,
Widzę w dolinie
Mirę bez ruchu, na trawach leżącą,

Na szczęście Arbar, co był niedaleko,
Chwycił ją silnie w swe ramiona
I podtrzymywał, aby nie upadła,
Ach! i sam upadł razem z nią.
Jej piękna głowa zwisła,
On ją całował po tysiące razy
I zawisł na jej ustach,
Aby w nią tchnąć swego ducha.
Zdjął mię niepokój,
Przyskoczyłam do niej i krzyknęłam.
Mój krzyk rozbudził jej zmysły.
Arbar puścił ją; zerwała się
I padła mi na szyję
Z przysłoniętemi oczyma.
Robiła piersiami,
Rozpartemi szybkim oddechem,
Jej lica płonęły,
Usta rozchylone pragnieniem,
I tysiące łez rzuciło się z jej oczu.
Czułam, jak jej kolana uginają się,
Trzymałam ją, drogi ojcze,
A jej całusy, jej żar
Wlały mi w żyły tak nowe,
Nieznane przedtem uczucie,
Żem, zmieszana, wzruszona i płacząc,
Opuściła i ją, i ten las, i pole
I tu przychodzę, mój ojcze! Opowiedz,
Co znaczy to wszystko, co wstrząsało
Nią i mną?

Prometeusz. To śmierć!

Pandora. Co to jest?

Prometeusz. Moja córko,
Użyłaś wiele radości.

Pandora. Tysiąckrotnie! Dzięki. Zawdzięczam je [tobie.

Prometeusz. Pandoro, twe piersi grały
Nadchodzącemu słońcu
I zmianom miesiąca,
A w całusach twej towarzyszki
Znajdowałaś upojenie najczystsze.

Pandora. Niewysłowione!
Prometeusz. Co nadawało w tańcu twemu ciału
Lekkość i odrywało je od ziemi?
Pandora. Radość!
Wszystkie me członki, grą poruszone
I śpiewem, kołysały się w takt,
W melodyę rozpływałam się cała!
Prometeusz. Wszystko to w końcu spływa w sen,
Tak radość, jak boleść.
Czułaś na sobie żar słońca,
Pragnienia oskomę
I twoich kolan zmęczenie.
Płakałaś, gdy ci owca zaginęła,
I drżałaś z bólu,
Gdyś nastąpiła w lesie na cierniaka,
Pókim cię nie wyleczył.
Pandora. Różnorodne są życia i czary, i bóle.
Prometeusz. I czujesz w sercu swojem,
Że wiele jeszcze czarów kryje życie
I bólu wiele,
Których ty nie znasz.
Pandora. O tak! Jak często tęskni serce moje
Za niczem, ach i za wszystkiem!
Prometeusz. Aż przyjdzie chwila, co wszystko wypełni,
Wszystko, co było naszym snem, tęsknotą,
Nadzieją, trwogą, Pandoro —
I to jest śmierć.
Pandora. Śmierć?
Prometeusz. Kiedy wstrząśnięta w samej głębi duszy
Odczuwasz wszystko w tej jednej chwili,
Co było życia twego bólem i radością,
I burza wzbiera w twem sercu,
Łez szuka dla ukojenia,
A żar jego wzrasta,
I wszystko w tobie drży i dzwoni,
I wszystkie twe zmysły omdlewają,
I ty sama jakby omdlewasz
I zapadasz się,
I wszystko wokoło ciebie przesłania się [nocą,

A ty uczuciem coraz istotniejszem
Świat obejmujesz:
Wówczas człowiek umiera.

Pandora (obejmując go za szyję). Ojcze, daj nam umrzeć.

Prometeusz. Nie jeszcze.

Pandora. A po śmierci?

Prometeusz. Gdy wszystko, — radość, boleść, pożąda-
[nie —
Znalazło ujście w gwałtownem użyciu,
Wówczas przychodzi sen kojący, błogi,—
Wówczas odżyjesz znów na życie nowe
Nanowo tęsknić, lękać się i żądać.

AKT III-ci.

Prometeusz (w swej pracowni).

Zakryj twe niebo, o Zeusie,
Dymami chmur
I wprawiaj rękę na dębach i szczytach
Z swawolą chłopca,
Co ostom głowy ucina!
Tę ziemię moją
Musisz mi jednak zostawić w spokoju
I moją chwałę, boś jej nie zbudował,
I me ognisko,
Którego żar
Zazdrość obudza w tobie.
Nie znam nic biedniejszego pod słońcem,
Jak was, o bogowie!
Z darów ofiarnych
I westchnień modlitwy
Żywicie nędznie
Wasz boski majestat,
I niedostatek byłby losem waszym,

Gdyby nie dzieci i żebraki,
Ta rzesza głupców, nadziana nadzieją.

Gdy byłem dzieckiem
Słabem i bezradnem,
Zwracałem błądzące oko
Ku słońcu, jak gdyby tam było
Ucho, mych skarg słuchające,
Serce, jak moje,
Litujące się nad uciśnionym.

Kto mi dał pomoc
Przeciw samowoli tytanów?
Kto mię zratował
Od śmierci i od niewoli?
Czyś nie ty, serce moje płonące,
Wszystkiego tego samo dokonało?
A przez swą młodość i dobroć
Choć okłamane, żywiłoś ogień wdzięczności
Dla tego śpiącego tam, w górze?

Ja ciebie czcić? I za co?
Czyś ulżył kiedy
Cierpieniom obciążonego?
Czyś ty osuszył łzy z oczu
Zrozpaczonego?
Czyż mężem hartownym
Nie uczynił mię czas wszechmogący
I fatum wieczyste,
Władcy moi i twoi?

Myślałeś może,
Że znienawidzę to życie
I pójdę na puszczę,
Bo kwiaty mych marzeń
Nie wszystkie owoc wydały?

Tu trwam, tu tworzę ludzi
Na własny wzór,
Ród, co podobnie

Cierpi i płacze,
I używa, i szuka radości,
I nie dba o ciebie,
Jak ja!

Minerwa wchodzi, występując raz jeszcze z pośrednictwem.

KONIEC FRAGMENTU.

Przełożył *A.* Górski.



WYOBRAŹNIA
PIOTRA SKARGI.*)

W pracy niniejszej główne nasze zadanie polegało na przedstawieniu materyału wyobraźni, budulca, z którego tworzył Skarga porównania i przenośnie. Niejednokrotnie wypowiadano zdanie, że głównem źródłem, z którego czerpała bujna fantazya Skargi, jest Pismo Święte. Otóż na podstawie zestawienia całego szeregu porównań i przenośni, doszliśmy do przekonania, że wyobraźnia kaznodziei, lubo tu i ówdzie, zwłaszcza we wspaniałych proroctwach, czerpie z nieprzebranej skarbnicy Starego Testamentu, ale zazwy-

*) W studyum niniejszem pominęliśmy „Żywoty Świętych“, nie są one bowiem w całości oryginalnem dziełem Skargi. Wprawdzie wyobraźnia indywidualna kaznodziei odbiła się nawet na tłómaczeniu lub naśladowaniu, ale, żeby dojść, co tam zapożyczone, a co oryginalne, należy nasamprzód przeprowadzić badanie porównawcze. Zresztą wyobraźnia Skargi w „Żywotach“ objawia się przeważnie w plastyce charakterystyki. Jest to rys, który zrzadka tylko prześwita w kazaniach, i o nim należy pisać osobno. To też „Żywotom“ poświęcimy studyum oddzielne.

czaj szuka pokarmu w otoczeniu najbliższem, że jest ona nawskroś rodzima i swojska. Wysoka kultura kraju, bogactwo i bujność, panujące we wszystkich dziedzinach życia, przepych i malowniczość uroczystości, czyny rycerskie, wzmagające się z dnia na dzień poczucie odrębności narodowej, miękka i łagodna, to znów gwałtowna i burzliwa natura — wszystko to żywi ekstatyczną i w najwyższym stopniu pobudliwą wyobraźnię kaznodziei.

Najczęściej korzystał Skarga ze sfery gospodarstwa rolnego. Jest to bardzo naturalne. Na audytoryum Skargi składały się przedewszystkiem szlachta i możnowładztwo, oba zaś te stany, obok zabaw wojennych i polityki, zajmowały się głównie pracą około roli. Chcąc więc najlepiej trafić do serc i umysłów swych słuchaczów, należało posiłkować się najbliższą im sferą życia. Porównania z tej dziedziny zdobią niemal każde kazanie. Na 271 obrazów, na których podstawie kreślimy swą pracę, ze sfery gospodarstwa rolnego zaczerpnięto 37. Przedewszystkiem mamy porównania, malujące stosunki w gospodarstwie rolnem. W kazaniu na Niedzielę Mięsopustną stosunek, jaki winien zachodzić między Bogiem a wiernym, Skarga porównywa ze sferą zjawisk w gospodarstwie. „Wiara tedy jest, jak zmowa z Panem: służyć ci będę, co jeno mi rozkażesz, a ty mnie zapłacisz, co zasłużę. Tę taką umowę wiara czyni, lecz dobre uczynki są robotą, na którą się z Panem umawiamy. Jako to zdradliwy sługa, który się ujednał, a wypełnienie zakonu i woli Bożej zaniedbywa, a rozumie, iż mu do łaski Pańskiej nie służy — Jako Pan takiego zdrajcę za sługę swego mieć, abo jako mu płacić ma?" (KNS) [1]). Inny rodzaj porównań z tej dziedziny obejmuje obrazy, w których wprowadza kaznodzieja rolę lub jej wytwory. „Są (ci, którzy tylko poprawę obiecują, ale nigdy o poprawie szczerze nie myślą), jako rola, na wierzchu trochę miękkiej ziemi mająca, a pod spód kamieniami twardymi i opoką, jako Pan mówi, napełniona" (tamże). „Kto tedy pożytek z słuchania słowa Bożego mieć chce— czytamy w kazaniu na Niedzielę sześćdziesiątnicę — otwarzaj serce, a miękką czyń i zdrową ziemię myśli twoich, pragnąc bardzo co pożytecznego słyszeć, jako głodny a zmożony, gdy go do obiadu wzywają" (tamże). W innem kazaniu niedzielnem złe serce ludzkie, dobra nie pragnące, porównywa kaznodzieja do złej roli. „Jako

---

[1]) Objaśnienie skróceń. Kazania na niedziele i święta. Kraków, 1618= KNS. — Kazania przygodne i inne prace. Wilno (S. J.), 1738 i Kazania przygodne z innemi drobniejszemi pracami, Połock. (S. J.), 1808=K P. — Kazania sejmowe także wzywanie do pokuty, Kraków. 1857= K S.

zła rola wymówić się może: deszcz z łaski nieba dają, nasienie dobre i drogie dają, czemuż nie rodzisz? Iżeś sama zła: złe serce ludzkie, złe chęci do świata, pieniędzy, rozkoszy, woli oset i ciernie rodzić, kopać i pracować nie chce, użyć się pługowi namów Bożych nie daje". Wzmianki o owocach ziemi i trawach szkodliwych znajdujemy bardzo często w kazaniach. „Jako ziarno między cierniem — czytamy w kazaniu o jedności kościoła—niema dostatecznej w niem wilgotności, bo mu ją korzeń cierniowy odejmuje; nie ma dostatecznego słońca, bo ciernie, się rozkrzewiwszy, cień nad nim czynią; niema wolnego wzrostu, bo cierń gęsty kłosu w górę nie puści: tak zbytnie sprawy świeckie odejmują ten czas, który się na duchowne zabawy obracać ma: gaszą słońce łaski Bożej, któraby się nabywać miała, gdyby się serce z świeckiego cienia wychylało" (KP). „Oni miasto pszenicy słowa Bożego kąkol posiewają", mówi Skarga o heretykach (KNS). W innem kazaniu zwraca się do Chrystusa w ten sposób: „Wprowadź nas, jako dobrą pszenicę, do gumna wiecznej radości Twojej" (tamże). W ósmem kazaniu sejmowem wyrzuca kaznodzieja szlachcie: „Jako ziarna pod młyńskiem kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swymi" (K S). W kazaniu na niedzielę starozapustną błaga Boga: „Posyłaj nam, Panie, dobre zboże zbawienia naszego" (K N S).

Mamy także porównania, w których kaznodzieja mówi o zajęciach około roli i uciechach, wieńczących troskę o ziemię i jej wydajność. „Prosimy Pana Boga... aby codzień lepsze i świętobliwsze nam (kapłany) dawał, aby na żniwo swoje posyłał robotniki dobre i mądre, z którychby robota zbawienia naszego była spora, wdzięczna ofiara ich Panu Bogu, który ich posłał" (K P). W kazaniu o chwale i radości niebieskiej, gdzie ta sama myśl ukazuje się w sześciu różnych obrazach, powiada: „Teraz, tu na ziemi i z pracą orzem i ze łzami siejem; przyjdzie czas, gdy żniwo nas hojne uweseli, gdy kopy liczyć i w gumno bogate zbierać będziem" (K P). Sztukę rządzenia porównywa Skarga między innemi do „siekiery z młotem, do których jeżeli się nie przyłożysz, nic nie będziesz umiał" (K S). W kazaniu na niedzielę mięsopostną walkę ze złemi skłonnościami i poszeptami zestawia z zabiegami rolnika w celu uchronienia roli lub ogrodu od szkodników. „Jako i około grodzej abo murów i poprawy ich niemało pracy, bo miawszy dobry już i pożyteczny ogród i winnicę opatrzoną, jako ogrodzenia dobrego nie będzie, aby złodziej nie wykradł i bestye nie popsowały, wszystek pożytek ginie: ustawicznie o dotrwanie Panu Bogu prosić potrzeba, ustawiczną straż mieć około serca swego, aby nazad nie obróciło i nie ustało.

Bo wiele jest bestyi, które się podkopać mogą, wiele przygód, od których się grodzić musi, wiele złodziei i pokus, i jadów szatańskich, na które się oglądać musi, aby to, co się naprawiło, dotrwało" (K N S). W Próbie Zakonu Soc. Jesu różność zajęć duchowieństwa zestawia kaznodzieja z rozmaitością robót w gospodarstwie. „Bo jako gospodarz raz robotniki wysyła z kosami, drugi raz z sierpami, drugdy z radły abo motykami, drugdy z siekierami, wedle czasu i potrzeby: tak Pan Bóg rozmaitą wzbudza do roboty dusznej czeladź: jedne z samemi modlitwami, drugie z kazaniami, drugie z śpiewaniem dziennem i nocnem, drugie z nauką na przeparcie heretyków, drugie na oświecenie pogańskich narodów, drugie na opatrzenie szpitalów, drugie na święcenie młodzi i nauk wszelakich podawanie, wedle potrzeby i pogody" (K P).

Przechodzimy do innego rodzaju porównań. Ludzie, trudniący się pracą koło roli, najwięcej są zbliżeni do natury. Znajdujemy dość często przenośnie, oparte na zjawiskach natury. Niekiedy są to zestawienia suche, jak gdyby tylko dla wyjaśnienia rzeczy użyte, ale częściej odczuwamy całą świeżość wrażenia zjawisk przyrodzonych. W kazaniu na pogrzebie Anny z Rakus np. czytamy: „Zasmuciłaś bardzo głowę naszą i króla naszego, okraso i uciecho domu jego, któraś kąty wszystkie w niem, jako słońce, mówi pismo, oświecała, za jakieś ciemne obłoki zaszła. Teraz dom wszystek królewski smutny bez słońca tego, ciemnością i czarną chmurą zaszedł" (K P). A oto inny przykład: „Na końcu i zachodzie świata tego, zwraca się do rzeszy narodów ruskich, straciłeś słońce kościoła Bożego, które Tobie na wschodzie świeciło, które, iż na zachodzie dłużej trwa, i tam się przeniosło ku nocy i końcu świata tego, proszę cię, na zachodne kościoły obróć oko twoje: a tam, gdy się wieczór przybliża, szukaj i patrz objaśnienia twego" (K P).

Za przedmiot porównania służy Skardze nie tylko słońce, ale i zorza, zarumieniona purpurą poranku. „Jako sam Jan był zorzą przed Chrystusem słońcem — poucza w kazaniu o chrzcie świętym— goniec przed wielkim posłem: tak też jego chrzest był przed chrztem Chrystusowym. Skoro słońce weszło, zorza ustała. Skoro Chrystusów chrzest nastąpił, Janów ustał. Skoro poseł wielki przyjechał, żaden się o gońca nie pyta, żaden w Janie ani w chrzcie jego nadziei nie ma" (K P).

Często też używa Skarga do porównania — rosy. „Płynęły łzy, jako źródło, ale dusze chłodziły, jako rosa z nieba" (K N S).

Dla wyrażenia siły lub bezmiaru ucieka się Skarga do porównania do morza, a czasem — dla powiększenia grozy—do nawałnicy

lub burzy. „Nie ustraszyły ją — mówi o Rakuszance w kazaniu wyżej wspomnianem — srogie nawałnice i ciężkie rozruchy i podnoszenia morskie i straszliwe owe wiatry... mężna się na wszystko stawiła i przebyła niebezpieczne morze, przewozem onym takiej bojaźni pełnym, w którym wiele ludzi ginie" (K P). Z pośród porównań do morza, użytych dla podniecenia wyobraźni lub ujęcia w kształty umysłowe czegoś ogromnego lub pełnego majestatu, przytoczymy jeszcze jedno o zadziwiającej żywości i plastyce wysłowienia. „A my co za rozum mamy! Do raju myślimy, a za łakomstwem się, za nieczystością, za nienawiścią, lichwami, mężobójstwy i innymi przeciwnymi wiatry puszczamy. Bracie, wiatr ten do piekła pędzi, a tyś się do nieba obiecał. Wiatr to nie twój, nie udaj się za nim, sprzeciw się, spuszczaj żagle, czyń odwrót, jaki możesz, a Pan Bóg cię wspomoże".

Ale nie zawsze jest w porównaniach do żywiołu wodnego potęga morska. Tu i owdzie porównanie jest łagodniejsze, oczywiście, jeżeli treść przemówienia tego wymaga. „Jako rzeczka, na wiele części rozdzielona, słabo koło młyńskie obraca, abo ina nie ruszy: a złączona i wszystkę całą wodę mająca, mocno robi i prędko miele: tak też serce myśli u człowieka, na wiele robót rozdzielone, słabe na duchowne zabawy, które są najlepsze, wstają" (K P). A oto inne porównanie do rzeki. „Jako wielkiej rzeki nikt nie zatrzyma, aby ciec i grobel zrywać nie miała... tak dobroć Boska i hojność nigdy nie ustaje, nigdy się nie wraca, zawżdy i wszystkim z przyrodzenia swego dobrze czyni, daje, daruje, opatruje, a ręki nigdy ściśnionej nie ma" (K P). Do zgromadzonych na sejmie przemawia: „Wyście, jako góry, z których rzeki i zdroje wytryskają, a my, jako pola, które się onemi rzekami polewają i chłodzą" (K S). W celu tem plastyczniejszego uwypuklenia obrazu, nadania mu barwy swojskiej, wymienia kaznodzieja nazwę rzeki. „Abo nam smakują świeckie mieszaniny — powiada w piśmie na artykuł o Jezuitach — odmiany i nowiny i postępki, kościołowi Bożemu i Ojczyźnie straszliwe, krzywdy, ciężkości, wrzaski ludzkie, które się do dworu, jako rzeczki do Wisły zbiegają?" (K P).

Las i drzewa leśne nieraz dostarczają Skardze materyału do porównań. „Nie potrzeba sobie pisma św. lekceważyć i za łacne je poczytać i ludziom je tak za łacne i proste udawać. Zakryte jest, trudności ma wiele, uczyć się go potrzeba: bez klucza do niego nie przystępuj, bez mistrza i wodza, jako w gęstym lesie, w nim pobłądzisz" (K N S). W innem miejscu czytamy: „W tejże nędzy wszyscy, gdy się stany poniżą, i wszystko się pomiesza, jako w gęstym...

lesie i wielkie i małe drzewa .. i wysokie dęby i sosny na ziemię upadną; bogaci zubożeją, prawa się wszystkim połamią, żaden z tego, co miał, weselić się nie będzie" (K P). Chcąc plastycznie odtworzyć wrażenie, jakie wywiera śmierć ludzi niepospolitych, w państwie wybitne zajmujących stanowiska, używa porównania do dębu, który z łoskotem upada na ziemię. „Gdy pan wielki umarł, jako dąb mocny, ogromny głos i trzask, lecąc na ziemię, uczynił. Wszyscy się przelękli, drudzy w niepokoje i w swary wielkie po nim wpadli: drudzy szkodę i zgubę swoją śmiercią jego odnieśli" (K P). I kwiaty różnobarwne, rosnące na polach i łąkach, zdobiące trawniki ogrodowe, zakwitają w pismach wielkiego kaznodziei. „Sąchmy, jako trawa i kwiat polny, który lada wiatrem uschnie i upadnie, iż z miejsca, gdzie było, nie poznać" (K P). W innem miejscu ze słodyczą kochającej matki mówi o dzieciach, porównywając je do kwiatów. „Gdy usechł kwiat, nie frasujem się, póki korzeń zdrowy, z którego się zaś wiele ich narodzi. Korzeń tych wonnych kwiatów, które wszystką koronę chłodzą i cieszą, są to najmilsze dziateczki, na które patrzym i z których nam matka została i z których nanowo się zaś odrodzi" (tamże). „Gdy się we wszystko szczęście ludzkie (Anna z Rakus), jako lilia i róża, rozkwitnęła, owo zły wiatr na miękki i wonny i wszystkiemi farbami ozdobiony kwiat uderzył, i uwiądł i usechł, i ozdoba jego upadła" (K P).

Przejdźmy do królestwa fauny. Nazywano Skargę tyranem dusz; nad duszami musiał panować, bo był natchniony; uczucia jego wirują, jak huragany, oburzenie staje się przekleństwem, przewidywanie — proroctwem i wizyą. U takich mówców zawsze znajdziemy wiele porównań ze słońcem, burzą, morzem, jeżeli zaś wypadnie im sięgnąć do królestwa zwierząt, najchętniej używają zestawienia z lwem, ich wyobraźnia zatrzymuje się na królu zwirząt. Na 21 porównań do zwierząt, ptaków i gadów, w ośmiu występuje lew: zaważył tu oczywiście wpływ Starego Testamentu. Lwem nazywa Skarga pokusę, krążącą dokoła człowieka (K N S), złe prawa to „lewi bestya nierozumna, która namówić się nie da, aż ją zabić i umorzyć" (K S). Chcąc obrazowo pokazać, jaki powinien być stosunek ludzi do Boga, przytacza kilka porównań, a na ich czoło wysuwa porównanie do króla zwierząt. „Bo tak wielki jest Pan Bóg, tak mocny, najwyższy i najstraszliwszy, iż pod nim upadać, i jemu się ze wszystkiempodać z przyrodzenia musim, jako szczenię przede lwem, jako jeden pojmany przed wojskiem wielkiem, jako kmieć przed królem i monarchą świata" (K N S). Ludzi, pozbawionych poczucia chrze-

ścijańskiego, zatwardziałych grzeszników, nazywa często lwami lub wilkami. „A nie tak się, Panie, z naszego wybawienia uradujesz, jako z chwały Twojej, iż opuszczone, a ukrzywdzone, a Tobie samemu ufające w obronie Twojej trzymasz i wyrywasz owieczki swoje z paszczęki lwów i wilków niemiłosiernych" (K P); monarchów, którzy mordowali chrześcijan, porównywa do „lwów, wilków i lampartów" (K S).

Niekiedy dla uplastycznienia swej myśli używa Skarga porównań z ptakami. W kazaniu na III niedzielę po Trzech Królach upomina wiernych: „Ten twardo śpi, który tego niebezpieczeństwa teraźniejszego i zguby prędkiej, którą nam Pan Bóg grozi, nie widzi: a jak ślepy dołu przed sobą nie upatrzył, i jako głupi ptak na sieć przed sobą nie patrzy i poznać jej nie może" (K N S). W innem kazaniu czytamy: „Jako ptak, gdy przeleci, żadnego po nim śladu nie masz, tak i po onych rozkoszach i dobrem mieniu ziemskiem naszem, dla któregośmy Pana Boga odstąpili, nic nam nie zostaje, jeno wieczna nędza w ręku naszych" (K P). Czasem w porównaniach do ptaka wymienia jego nazwę. „Przychodzili do Chrystusa czarni, jako krucy, ale odchodzili, jako łabędzie, biali" (K N S). Chcąc plastycznie oddać walkę Zakonu Jezusowego z heretykami, obok innych porównań, o których mowa niżej, używa następującego. „Bo w tym wieku przyrodzoną wojnę i nienawiść, jako bocian z wężem mają" (K P).

Nakoniec znajdujemy w porównaniach Skargi żaby, ryby i węże. „Jako w mętnej wodzie nic nie widać, ani ryby, ani żaby, a w przezroczystej wszystko się widzi, tak między zamąconemi myślami i zabawami świeckiemi nie widzim potrzeb naszych i niebezpieczności naszej, aż w cichem i odosobnionem od ludzi sercu i miejscu" (K N S). „Jako pod cierniem wężowie się chowają, tak pod bogactwem wszystkie grzechy, i gdy ich nabywają, i gdy ich chowają, i gdy ich rozpraszają" K N S).

Myśliwstwo dostarczyło Skardze pomysłu do kilku porównań w celu uwypuklenia myśli lub uczuć, nie mających nic wspólnego z odgłosem rogów i trąb myśliwskich. „Łaski wielkiej boskiej — powiada w jednem z kazań niedzielnych—i mądrości potrzeba do tego miarkowania (w mowie), jako sypanie prochu do strzelania i do ugodzenia w ptaka miernej miary chce, żeby albo nie przesypał i ptak się w niwecz nie obrócił, albo kulą do niego nie doniósł" (K N S). „Zakon ten Societatis Jesu — czytamy w Próbie Zakonu Soc. Jesu—zgody mieć z heretyki nigdy nie może, jako charci z zającami i psy z wilkami" (K P). „Rozkosze cielesne i potrawy zby-

tnie, i napoje gorące, i kochania zmysłów ciała naszego, i muzyki, i biesiady, i ubiory, i chęci złe, które są w ciele naszem" nazywa kaznodzieja „sidłami na ptaki, które się wszystkie potem odcinają, tak iż nieprzyjaciel nie ma się czego ująć, czemby nas do złego przyciągnął, nie ma owego wabu, na którymby nas potargnąć mógł" (KNS). Z tej dziedziny przytaczamy jeszcze jedno porównanie: „Bo, jako, gdzie zwierz albo ryby łowią, jeden musi być, który rządnie ludzi rozsadza na swe miejsca, aby zwierz dobrze do sieci przychodził, bo, gdyby każdy biegał i stał, gdzie chciał, płoszaćby i rozpędzać zwierz albo ryby, a na łowieniu przeszkadzać mógł. To na innem miejscu nie figurą, ale odkrytemi słowy dał znać Piotrowi, gdy go opoką, fundamentem i klucznikiem kościoła swego uczynił" (K N S).

* * *

Horyzont życia publicznego w Polsce XVI w. raz po raz pokrywał się chmurami i odzywał złowrogim grzmotem. Wewnątrz państwa ponawiały się ciągle niesnaski między szlachtą a możnowładztwem, walki religijne podniecały umysły i wyobraźnię. Zresztą wojna obok zajęć około roli i polityki stanowiła sferę życia najbardziej bliską słuchaczom złotoustego kaznodziei. To też często używa on zestawień z zakresu wojny. „Czego się tedy bać mamy? mówi w kazaniu na dzień Ś-tej Trójcy... Przy marnem i wielkiem wojsku pana swego żołnierz śmiele sobie poczyna, a nikogoż się nie boi" (K N S). W innem miejscu czytamy: „Sam Pan Bóg zowie się Panem zastępów, abo wojsków, nie tylko iż na niebie niezliczone swego anielskiego żołnierstwa i sług poczty, ale iż tu na ziemi wszystką ludzką siłą, która jest na wojnie największa, władnie" (K P). W „Modlitwach żołnierskich" Chrystus nazwany jest „największym Hetmanem" (tamże). I jeszcze — w kazaniu na III niedzielę po Trzech Królach: „Jako hetmanowi na wojnie nie potrzeba miecza dobywać ani w bitwę wchodzić, rozkazuje rotom i rotmistrzom: tam stańcie, tu uderzcie, te tam rozgromcie, tak Ty wszystko słowem Twojem i rozkazaniem sprawujesz i rządzisz".

Niekiedy używa Skarga porównania ze sfery bojowej, zrozumiałego tylko dla tych, którzy znają się na rzemiośle rycerskiem. „A jako ostatnią rotę zowią tę, co na końcu miasta idzie, choć może mieć więcej ludzi, niźli wszystkie pierwsze, tak te czasy zakonu Chrystusowego i państwa Rzymskiego ostatnią godziną Pismo zowie, iż po niem innego zakonu i kapłaństwa i testamentu nie będzie, choć może mieć lat więcej, niźli drugie" (K P). Bardziej szczegóło-

we porównanie znajdujemy w kazaniu na III niedzielę po Trzech Królach. „Jako ja słucham, powiada setnik, hetmana, a mnie słuchają żołnierze i słudzy, tak ciebie, jako króla i hetmana wszystkiego świata i wszystkiego stworzenia, i wszystkich przygód i niemocy ludzkich, każda rzecz słuchać musi, rozumna i nierozumna".

Różnorodne rodzaje broni często służą Skardze do uzmysłowienia pojęć oderwanych. O naukach heretyckich powiada kaznodzieja, że dla tych, „których sobie Bóg obrał, są, jako działo bez kuli, al bo pochwy bez miecza" (K P). „Bo nieprzekonana jest w nim prawda o wieczności i Bóstwie Chrystusa Pana naszego... Jako i w owych słowach: chrzcijcie w imię Ojca i Syna i Ducha Św., i innych, i żadnych okrom tych dwu przeciw Aryanom dział i strzelby nie potrzeba. Tych dwu murów miedzianych nigdy nie przebiją, i na nich głowy swoje potłuką" (Zawstydz. II Aryan. Połock, 1808). „Moc Jego (Chrystusa) będzie w niezliczonych anielskich wojskach, które pójdą rozszykowane, jak do boju, na nieprzyjaciela Pana swego ze wszystkiem sprzętem, z armatą i broniami, i z ogromnością wojenną" (K N S). „Apostoł Paweł—mówi Skarga w Żołnierskich naukach i nabożeństwie—na wojnę chrześcijanina każdego ubiera, i każe mu brać przyłbicę, miecz, tarczę, a mężnym być na nieprzyjaciela duchowego" (K P). Podobnie wyraża się kaznodzieja w Modlitwie żołnierskiej, gdzie walkę ze złemi pożądliwościami przedstawia, jako bój z zewnętrznym nieprzyjacielem: „Takim (duchowym) się nieprzyjaciołom mężnie stawić, gdyż każdemu do zbawienia potrzeba: pokornie proszę, pierwej mię Panie takim żołnierzem uczyń, i daj mi mocno siłę, daj zbroję potrzebną i opatrzenie na wojnę duchowną... Przepasujcie biodra swoje prawdą, obłoczcie się w pancerz sprawiedliwości, obujcie się i gotowymi bądźcie na Ewangelię pokoju wszędzie, bierzcie tarczę wiary i miecz ducha w modlitwie na każdy czas" (tamże).

Lotna wyobraźnia Skargi, z taką łatwością chwytająca malownicze obrazy zzewnątrz, nie mogła nie zatrzymać się bodaj na chwilę na chorągwi, która tak magicznie działa na żołnierzy i dowódców. I oto wiarę Chrystusową kilkakrotnie nazywa chorągwią. „Ciemno nań było w mieście, czytamy w kazaniu na wtorek wielkanocny, popsować owe mury, a po wszystkim świecie puścić miały, aby w polu i na górze chorągiew Chrystusa stanęła, do którejby się, wedle Izajasza, narody wszystkie zbiegały" (K N S). Albo w innem miejscu: „Krzyż Twój, Jezusie Boże, jak chorągiew nasza: izali kto ją nam poniżyć i pod nią nas zwyciężyć może?" (KP).

Nie tylko wojsko i broń wprowadzał Skarga do swych prze-

mówień, ilekroć chciał porwać swoich słuchaczów-rycerzów; w jego kazaniach jest i taktyka bojowa i zgiełk bitwy. „Gdy powstaje nieprzyjaciel, wszystko ma się polerować i do wojny a szczęśliwego zwycięstwa sposobić: toć się mówi i o obyczajach dobrych nabożeństwa wszystkich katolików, abyśmy z tych sąsiad naszych najazdów na pobożność i wiarę naszą mocniejszymi i gotowymi na obronę zostawali, a ten z ich utraty i zguby, których się Boże pożal, pożytek brali" (K N S). „Naprzód poznać dobrze nieprzyjaciela potrzeba, powiada w kazaniu o poprawie po spowiedzi, z którym się masz potkać, jaki jest, z jaką na cię bronią idzie: tak i my poznajmy pierwej, która nas namiętność i zła skłonność najbardziej trapi, abyśmy walczyć z nią umieli" (K P). A oto obóz polowy, rojący się od żołnierza: „Teraz w polu na żołnierce leżym, cierpieć deszcze, zimno, niepogody, upalenia, głody i niewczasy musim. Ale gdy bitwę wygramy, a korzyści zbierać będziemy, wszystkiej nędzy onej, i ran, i rozlania krwi żałować nie będziem. Dobre żołnierze król bogaty ukoronuje i wielkiemi imiony nada" (tamże, 160). Nakoniec porównania, w których grzmią już odgłosy samej walki: „Abyśmy wiedzieli i doznawali, jako ogniste tego sakramentu strzały do serca wlatają, i jako nas odmieniają" (K N S). „Toć najostrzejsze strzały, które do duszy przenikają, słowa, Duchem Twoim zapalone, jako ogniste kule na niewierność i grzechy" (tamże). W piśmie na artykuł o Jezuitach mówi Skarga o sobie: „Mieszkamy w dworze, iż nam kazano, nie obieraliśmy sobie miejsca tego: ino, gdzie nas postawiło święte posłuszeństwo, tak stoimy, jako żołnierze, choć i tam, gdzie gęsta strzelba bije, taki nam postąpić nie każe" (K P). Niekiedy jest w obrazie bitwy cała groza śmierci i spustoszenia. „A jako w wojskach na hufce stracone, które naprzód idą, na strzelby i działa, i trupy swoimi zawalają wały, i góry czynią, aby po nich towarzysze ich na pewne zwycięstwo postąpili: tak i straceni, którzy w tych hufcach męczeńskich byli, śmierciami swemi osłabili niewierne pogany, którzy je przez trzysta lat zabijali, i zawalili doły i wały upory ich i okrucieństwa, iż się poddać drugim następującym musieli" (K N S). I inne objawy życia publicznego dostarczają Skardze materyału do porównań. Często czerpie z dziedziny hierarchii państwowej lub funkcyi urzędników. „A jako królowie, czytamy w kazaniu o Miłosierdziu, urzędy i panowie najwyższe miejsca mają, bo najpotężniejszy urząd, ludziom służąc i dobro ich mnożąc, odprawują: tak miłosierdzie nad innemi cnotami najwyższe miejsce ma: bo jako król i Pan, na wielkiej posłudze ludzkiej siedzi" (K P). Albo: „Jest pan jeden doma, jest sędzia jeden, ma swoje urzędniki i po-

ruczniki widome, którzy porównać wszystko i ugasić niesnaski między swymi mogą" (K S).

Nie pomija kaznodzieja również sfery sądownictwa. „Nakoniec pokazuje się Pan Bóg, czytamy w Pobudce do modlitwy czasu wojny, w tym swoim rządzie, iż wojska są egzekutorami i jakoby katowie woli i dekretów jego. Kogo on na śmierć potępił, oni zabijają, a bez uprzedzenia jego sądu i wyroku, nikt na wojnie nie zginie" (K P). W kazaniu o śmierci znajdujemy najzupełniejszą paralelę między sądem ostatecznym a trybunałem sprawiedliwości. „Nieskwapliwy Pan na ten sąd pierwej na nas rozmaite pozwy i roki... kładzie, pókiśmy tu na ziemi w tem ciele, abyśmy się przestrzegli i na jego trybunał gotowali. Takie pozwy są przygody i porywania innych przez nagłe i niespodziewane śmierci, na które często patrzym, abyśmy się tegoż bali, a żadnemu zdrowiu swojemu i lekom nie dufali... A nie tylko czas, ale i pewien obyczaj wykwitowania się z tych długów i grzechów, o które sądzeni być mamy, ukazać nam raczył. A my ten czas drogi tak tracim, tak się sami niedbalstwem i złością bawim. A na cóż innego przychodzić ma: jedno na zawity rok i ostatni, za którym już iść na sąd musim, to jest na śmierć, która nas przed Twój straszliwy trybunał postawi. Uważmyż, najmilsi, jako nas poprowadzą, jako nas przed Chrystusa postawią, jako obżałują, jako prawo przewiodą. Jakie nasze pohańbienie i posromocenie będzie, jaki edykt i jaka egzekucya owego edyktu. Jako na rokach ziemskich księgi otwarzają, z których się pokazują długi, zapisy, obowiązki, zastawy i krzywdy, tak i tam ukażą nam zapisy, w którycheśmy Panu Bogu i Chrystusowi wiele winni zostali, nie iszcząc na się i wiary nie dochowując... Zatem się ukaże drugi regestr, z tychże ksiąg wyjęty, złości i grzechów nowych... Potem powstaną na czas instygatorowie, żałobnie się na nas opowiadając... Pójdzie zatem dekret i straszliwy wyrok, przed którym assesorom owym, którzy z Chrystusem zasiedli, wstawać każą" (K P). Widzimy, że kaznodzieja dla wzbudzenia grozy w słuchaczach wspomnieniem sądu ostatecznego, wysuwa stosunki rzeczywiste, przyczem uwzględnia te jeno szczegóły, które najbardziej uprzytomniają salę sądową oraz funkcye stróżów sprawiedliwości.

Tu i owdzie wprowadza Skarga do swych kazań stosunki skarbu państwowego, zahacza o naturę monety. „Jako gdy w skarbie królewskim pieniędzy nie staje, dają drudzy ołowianą myńcę z cechą królewską, aby ważyła, jako złoto, a gdy skarb pieniądze mieć będzie, płacić ją będą, jako złoto: tak nasze uczynki z siebie są ołowiem, ale za cechą i znakiem krwi Chrystusowej i wysługi jego,

która się na nas prawem synowskiem wlewa, za złoto poczytane jest" (K N S). I w innem miejscu: „Jako w czerwonym złotym jest pieniądz, jest kwartnik, jest szeląg, jest półgrosz, jest grosz, jest potrójny, jest poszósny, jest talar: tak w ciele Chrystusowem wszystko upodobanie swoje, jako w monecie onej znajdziesz" (tamże).

Przemawiając do szlachty i możnowładztwa, należało wysunąć cały przepych ówczesnego życia. Byli tam bowiem i siwi senatorowie, często goszczący w komnatach królewskich, i można szlachta z poselskiego koła, i świetnie urodzona młodzież, z której rekrutowali się dworzanie i przyboczni Króla Jegomości. To też dla nadania majestatu i blasku przemówieniom tu i owdzie wprowadzi Skarga króla w stosunku do poddanych lub świetnym otoczonego dworem, zaciekawi uwagę słuchacza opowieścią o życiu na zamku, niekiedy rzuci obraz zewnętrznej pompy i połysku: „ktoby widział królewicza, piec palącego, czytamy w kazaniu o chrzcie świętym, abo u szewca robiącego, jakoby się na jego nikczemność gniewał, iż swemu domowi i rodzajowi swą zelżywość czyni, mając ojca króla i pana tak wielkiego: tak się wszyscy święci i aniołowie gniewają, gdy ludzie ochrzczeni i tak wysokiego stanu urodzeni do ziemi tej i do błota tego i do ziemskich zabaw i bydlęcych rozkoszy wszystko serce swe kładą, nic na bogactwo ojca i domu swego nie pominając" (K P.) To znowu król występuje, ozdobiony złotem i purpurą. „Żaden tej myśli nie ma, aby się temu w sakramencie kłaniał, co widzi: ale temu, czego nie widzi, a wierzy, jako królowi się kłaniając, żaden tej myśli nie ma, aby się purpurze i złotu, które na nim jest, kłaniał" (tamże). Co za bogactwo olśniewające zamyka porównanie, wyjęte z jednego z kazań niedzielnych: „Do pokazania królewskiej dostojności i wielkości wiele potrzeba, a zwłaszcza, gdy nie król świecki ani królestwo jest to, jako na świecie malowane i cieniowi mijającemu podobne: ale boskie, wieczne, z którego wszystkie ziemskie idą. Do takiego okazowania, po naszemu mówiąc, siła tam była dworu, wojska, rycerstwa, dostatku, złota, srebra, kamieni drogich, rozkoszy, szaty, pompy, majestatu. A jako się Salomon Sabie królowej z swoją wielmożnością i chwałą pokazał, tak daleko to było okazowanie, gdy dziedzic nieba i ziemi swój dom, pałace, rozkoszy, dostatek swoim uczniom w oczach stawił, pokazując się panem w państwie i królem w królestwie swojem nieustającem i wiecznem" (K N S). Często napotykamy porównanie do pałacu, przyczem niekiedy wyraźnie jest wspomniany zamek królewski, tu i owdzie zaś wogóle piękne pałace. Nazywa Skarga pałacem „odpuszczenie grzechów", jako „wesołe pałace", oddany świat zagrobowy.

Ciało ludzkie to „pałac, z muru drogiego postawiony". W śmierci każe nam Skarga widzieć „chłodny pałac, w którym wiatry wdzięczne przewiewają". Serce ludzkie nazywa „komorą i pokojem, w którym sam król przemieszkiwa". Niekiedy roztacza cały przepych i okazałość otoczenia. „Druga (przyprawa) doskonała ludzi wielce świętych, którą do tego przyjścia wielkie i drogie cnoty zbierają, i jemu ściany serca swego, jako złotemi oponami, na przyjęcie takiego gościa obijają... wiele drogich dla niego przypraw gotując... w wielkich chrześcijańskich cnotach, do których, jak do wonnego ogrodu, rozmaitych drzew i ziół pełnego, oblubieńca najmilszego przyjmują... A iż onych kobierców, i drogiego obicia, i potraw, któremiby Pana częstował, to jest cnót swych wielkich nie ma, prosi Pana, aby, w dom ubogiego idąc, toż z sobą wyniósł, co sam rad je, a posłał pierwej sługi swe do domu jego, którzyby z bogatej komory i skarbnicy dom duszy jego ochędożyli" (K P). Większy jeszcze zbytek znajdujemy w kazaniu o chwale i radości niebieskiej. „Jeśli tę stajnię i turmę tego świata Pan Bóg ozdobił i nadał, a cóż pałac swój, gdzie sam osobą mieszka? Gdyby cię kto wprowadził do domu i pałaców tureckiego cesarza, i do ogrodów, i sadów, i komor, i ubiorów jego: ujrzałby rozmaite i kosztowne obicia, służby, srebra, skarby, sług ubranych i niewiast wesołych chodzenia i ludzi młodych urody, i ubiory drogie, dziwowałby się. A gdyby kogo spytał: co to za dom i kto tu mieszka? Rzeczonoby mu: jest to więzienie Pana wielkiego, i mieszkają tu zbrodniowie, i niewolnicy, i więźniowie jego. Nie wierzyłby. Aż gdyby cię potem do innych górnych pokojów, gdzie sam król mieszka, wprowadził, a również owego mieszkania, od tego pokazałaby się taka, jako tu u nas jest, izba królewska od smrodliwej wieży złodziejskiej: dopierożby uwierzył, iż pierwej w ciemnicy u więźniów był" (tamże).

Między słuchaczami Skargi bywali nie tylko „szlachetnie urodzeni", lecz i mieszczanie, trudniący się handlem lub rzemiosłem. Trzeba więc było niekiedy przemówić i ich językiem, to też Skarga używa porównań z dziedziny handlu lub warsztatu. Mówiąc o tajemnicy Ciała i Krwi Pańskiej, Skarga w następujący sposób ubarwia przemówienie. „Niedbalstwo nasze przyczyną jest, iż się z tego skarbu (ciała i krwi pańskiej) nie bogacim, a zażyć go nie umiemy. Komu na kupiectwo i zarobek dają sto tysięcy złotych, małą bardzo pracą może wiele zarobić, a jeżeli go lenistwo zwycięży, a nic sobie nie przyczyni, godzien jest, jako Pan mówi, aby wszystko odebrano... Tego się my bójmy, a z tego bogactwa skarbu ofiary naszej zyskujmy małą pracą wielkie i wieczne dobra sobie".

W innem miejscu czytamy: „Krótkość życia naszego na ziemi ten ma przywilej, iż w nim głupich i wiecznych i szczęśliwych lat dostać możem, i onych się dosłużyć, żyjąc w posłuszeństwie zakonu, i praw Pana Boga naszego. Jako jeden dzień targowy, na którym wszystkich potrzeb dostają: który gdy minie, już ich kupić nie dostanie" (K P).

Częściej zagląda kaznodzieja do ciemnych warsztatów rzemieślniczych. „Jako rzemieślnika i rozum jego, poucza w kazaniu o Miłosierdziu, po robocie i majsterstwie poznawany, acz osoby jego nie widzimy, tak niewidomego Pana Boga z tej przedniejszej roboty jego, z dobroci i miłosierdzia, najznaczniej i najlepiej, jako z obrazu rzetelnego, znamy i chwalimy". „Wiara nie czyni chrześcijanina ani wiernego, przekłada w kazaniu o chrzcie św., bo jeszcze nie jest ona, którą duch św. przez chrzest do serca wlewa. Jako kto się rzemiosła uczy, może i dzielność jego mieć i cokolwiek zrobić; ale nie z nauki ani z rzemiosła, którego jeszcze nie nawykł. I przeto dzieło, które robi, nie czyni go mistrzem ani rzemieślnikiem" (K P). Zawód garncarski często dostarcza Skardze materyału do porównań. „Co za głupstwo nasze! Tyś nas stworzył i jako garniec ulepił: a garniec swemu stwórcy się sprzeciwia: nie chcę czynić, i tam stać, i to nosić, co on każe (tamże). Mamy i obrazki z bednarstwa. „Gdy bojaźń Boża ginie i wstyd upada, w samej wżdy karności urzędowej nadzieja do ukrócenia złości zostaje, której, gdy nie masz, królestwo ginie, a jako gdy obręcze z beczki opadają, a nikt ich nie pobija, wszystka się rozsypuje". I cieśla znajdzie stosowne dla siebie porównanie. „Jako mularz inakszą do swego murowania materyę, a inakszą cieśla do swego budowania bierze, i tak ją przyprawuje, jako mu do jego końca potrzeba: tak heretyk i katolik inaczej o rzpltej sądzić musi, jako któremu do zatrzymania wiary swojej potrzeba" (K S). Nie zapomina kaznodzieja o zegarmistrzu i złotniku: „Jako zegar na to uczyniony jest, aby godziny ukazował; gdy się zepsuje, na żadną się rzecz nie przyda, aż go naprawić ten mistrz, który go robił, musi: tak człowiek, na używanie niebieskiego królestwa stworzony, na inną się rzecz z natury nie godzi, aż się naprawi, do przyrodzonego końca swego wrócić musi, boby mistrzowi, który go uczynił, to jest Panu Bogu przygana była" (K P). „Teraz na sprawy Boże patrzym, jako na rozebrany godzinnik, na kółko i żelazka jego, nie wiedząc, gdzie się co przydać ma, i rzemieślnikowi przyganiamy. Ale gdy się złoży, poznamy dowcipnego rzemieślnika i pochwalim sądy jego i sprawy wszystkie jego" (K N S). „Mielibyśmy zawżdy z dobrem uważaniem, jako złotnik z wagami, chodzić, robi uwagę

w kazaniu o poprawie żywota po spowiedzi, kładąc na wagę, jako co waży. Wielebyśmy plew i słomy i fałszywej myńcy tych zabaw świata tego odmiatali" (K P). I życie rodzinne i wogóle domowe wprowadza Skarga do przemówień, jeżeli mianowicie pragnie o czemś ciepło i tkliwie pomówić ze słuchaczem. W jednem z kazań niedzielnych w następujący sposób odzywa się o dobrym chrześcijaninie, który miłuje Zbawiciela. „Jako dobra małżonka, z dalekiej drogi czekając męża, a czyniąc to, co jej rozkazał, wiary mu dochowując, ustawicznie wzdycha, oknem wygląda, co wrót ruszą, jego się spodziewa, o nim najmilsza jej rozmowa i lepszej nowiny niema, jedno gdy powiedzą: przyjechał; a zła cudzołożnica radaby o nim nie słuchała i do wrót go nie puściła (Skarga tu z większą lubością zatrzymuje się przy obrazach życia o sielskiem nastroju, niż mających cechy przeciwne): tak dobry chrześcijanin z swoim Chrystusem czyni, tak przyjście jego miłuje" (K N S). Bardzo często porównywa ojczyznę do matki, najpiękniej w kazaniu sejmowem drugiem. „Jako najmilszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała i wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją. A któraż jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest? która gniazdem jest matek wszystkich i powinowactw wszystkich i komorą dóbr waszych wszystkich" (K S). Religię katolicką zowie „żoną i oblubienicą królestwa i ojczyzny" (K S). Tło życia domowego rozwija w kazaniu na czwartą niedzielę adwentu: „O Jezu Chryste, przyjmij tę czeladkę Twoją, którąśmy Tobie przygotowali. Nie gardź ubogim domem ich, sam poślij przed Sobą dary Twoje i kuchnię, potrawy i obicie do ich serca: to jest żałość wielką, i pokutę, i dobre a mocne postanowienie do poprawy żywota" (K N S). Tu i owdzie znajdujemy przenośnie ze stosunków dzieci do rodziców, a nawet z życia dzieci, ich zabaw i rozrywek. „Sąchmy, jako dzieci półroczne, które żadnej sobie pomocy dać nie mogą, na matkę tylko oczy swe otwarzając, wrzeszczą. Tyś (Chrystus) matką naszym i ojcem, który w miłosierdziu matki i w obmyślaniu potrzeb naszych ojce wszystkie przechodzisz" (K P). Albo w innem miejscu: „Gdy się para chłopiąt szarpie, ojciec jednego bierze za włosy i karze, a drugiemu nic nie czyni, mówiąc: nie mój to syn, nic do niego nie mam; tak też, gdyby nas Pan Bóg nie karał, zaprzałby się nas, żeśmy nie są synami jego" (K N S). Pozorną chęć poprawy ubarwia kaznodzieja przenośną następującą: „Są (pozornie obiecujący poprawę), jako ptaszkowie, z którymi chłopięta igrają, za nóżki je wiążąc i popu-

szczając, i, gdy ptaszek mniema, że już wolno, gdzie chce, polecieć, oni go zasię nitką potargną i do siebie wracają" (tamże). Dziedzina medycyny i fizyologii — to także zakres, w którym wyobraźnia Skargi znajduje materyał do porównań i przenośni. „Brać je (nauki Chrystusa) nie tylko w pamięć, ale dobre uważanie i rozmysł mamy, jako w żołądek biorą pokarm, który się tam trawi i w dobrą krew obraca. Znak złego żołądka, gdy się w nim pokarm nie pokryje, a wyrzucić się musi. A jako u wołów i owiec dwa są żołądki, w jednym, gdy zeżwać dla prędkości nie mogą, potrawy chowają, które potem, stojąc albo leżąc, żują i do drugiego żołądka już głębszego puszczają: tak dobry słuchacz słowa Bożego puści do pamięci i do baczenia to, co słyszał, a zaś doma, i chodząc i leżąc, o tem myśli, aż mu się w pożytek zdrowia dobrego obróci" (K N S). Częściej mówi Skarga o chorobie, ranie i lekach, zestawiając społeczeństwo z organizmem. Zdrowie duchowe, które następuje po spowiedzi, jest jako „lekarstwy łatane i naprawiane ...zawżdy niejaka ułomność po niej zostanie" w przeciwieństwie do chrztu, który nazywa odrodzeniem. „Używanie Ciała Pańskiego —mówi w kazaniu o poprawie żywota po spowiedzi i stołu tego niebieskiego—rozpędza te (wewnętrzne) nasze nieprzyjaciele; jako na jad i robaki lekarstwa piją, tak na te złe skłonności bierzmy tę świętą poprawę" (K P). „Jako mała rana na początku — codzień większa, dowodzi w piśmie o jedności kościoła, gdy jej godzisz, rośnie: tak odszczepieństwo od kościoła, codzień w nowe i większe błędy idzie, iż się z niego różna i kacerska wiara uczyni" (K P). Chcąc słuchaczom swoim przedstawić łatwość powrotu do dawnego grzechu, przypomina febrę, która do wyleczonego wraca. „Jako po febrze, gdy wzmagający nieostrożnie się sprawuje, febra się i gorsza, która go i umorzy, do niego się wraca: tak kto z grzechu powstaje i towarzystwa sobie nań przyczynia, aby się człowiek do pierwszego grzechu wrócił" (K N S). W kazaniu o poprawie żywota po spowiedzi, Chrystusa nazywa lekarzem, który wszystkie niemoce ludzkie łacno leczy i oddala" (K P). Czasem posunie się Skarga do porównania nieestetycznego, aby tylko nadać mu wyrazistość i siłę. „Spowiedź jest wstydliwa i ciężka, a jednak z przyrodzenia radby człowiek z tem, co go bardzo boli, komu się wiernemu zwierzył i na się powiedział, aby mu nie tak ciężkie serce było: jako gdy ma w żołądku to, co go morzy, radby ono, co go trapi, wyrzucił" (tamże).

W większości obrazów, uzmysławiających abstrakcyę, przemagają u Skargi wrażenia wzrokowe, rzadziej ukazują się wraże-

nia smaku i powonienia, np. „Kto słów Bożych nie waży, przestrzega w kazaniu niedzielnem, duszy nie utuczy... Drogiego olejku wonności nie poczujesz, jeśli go nie rozetrzesz, a im się więcej rozciera, tem lepszą woń puszcza” (K N S). „Jako od dobrego olejku, poucza gdzieindziej, woni odegnać nie możesz, tak dobre uczynki bez pociechy i woni nadzieje dobre nie są” (tamże). „Kto czosnek jadł, czosnek puka, a kto różę albo cynamon, taż mu woń z ust wychodzi” (tamże). O łasce boskiej powiada: „Niech się otworzy mocą męki i śmierci Twojej grób skrytych myśli moich, aby zła wonia z nich spowiedzią wychodziła” (tamże). „Jak w zapiżmowanej skrzyneczcze, czytamy w jednem z kazań niedzielnych, co jeno z niej wyjmiesz, każda rzecz piżmem wonieje, tak w sercu, w głowie i w uczynkach chrześcijańskich, które są Chrystusem i miłością jego zaczynione, co jeno się pocznie, jego sprawiedliwością, wysługą i naśladowaniem uważać ma” (K P). Wiarę katolicką bez miłosierdzia nazywa Skarga „potrawą bez soli” (tamże). Nieco rubaszne, ale jędrne porównanie znajdujemy w kazaniu o sakramencie ciała i krwi Pańskiej. „A jako ten, który się dobrem i zdrowem jadłem napełni, już się innem niezdrowem brzydzi; kto się kapłona najadł, do kapusty chęci nie ma: tak ten, który się tym duchownym pokarmem nasyci, świeckie mu żądze nie smakują” (tamże).

Zwracamy jeszcze uwagę na dwa rodzaje porównań: jeden obejmuje zestawienia z przedmiotami, dającymi światło, drugi to — porównania z płomieniem. W kazaniu o sakramencie chrześcijanina błaga Zbawiciela: „Uczyń go (kapłana) jasną świecą na tym świeczniku kapłaństwa Twojego, aby dom wszystek objaśniał” (K P). Kościół w innem kazaniu nazywa „pochodnią na świeczniku”. Panowie i królowie, wogóle ludzie, mający w Rzeczypospolitej wpływ duży i znaczenie, „są nam ową świecą, jako Dawid, która nam na stolicy królewskiej dostojności świeci” (tamże). Porównanie to powtarza w kazaniu na pogrzebie Anny z Rakus, bogacąc ją innymi szczegółami. „Na pięknym świeczniku postawiona świeca wszystkim jasność podaje, mówi Pan, którzy w domu są. Wysoki jest stan królewski, wysoki stan cesarski przodków jej (Anny z Rakus), ozdobny i podniesiony świecznik, na którym im jaśniejsza pochodnia gore, tem więcej ciemności odgania i domowniki uwesela, która gdy gaśnie, smutną ciemność czyni” (K P). W jednem z kazań niedzielnych do światła porównywa prawdę. „Bez prawdy człowiek nie człowiek; bo rozumu użyć dobrze nie może... Gdy człowiek nie wie, co prawda, a co fałsz... chodzi, jako w piwnicy ciemnej bez świecy” (K N S).

Do płomienia porównywa Skarga objawy życia zewnętrznego i wewnętrznego. Szerzącą się szybko herezyę nazywa „wielkim ogniem i płomieniem, którym acz nie wszyscy zgorzeli, ale przedsię mało nie każdy się sparzyć musiał" (K P). „Z ognia, z świata tego, powiada w kazaniu III-iem o miłosierdziu, w którym wszystko gore i codzień się mieni, wyrwij cokolwiek z majętności swej, oddalaj od płomienia pożerającego... a daj Panu Bogu twemu" (tamże). W innem kazaniu porównywa do ognia prześladowanie, a także dobrą wolę. „Jako ogień jest najpierwsza próba dobrego złota albo srebra, tak cnoty każdej chrześcijańskiej, prawdy i dobroci i mocy jest prześladowanie, którem cnota, jak potrawa solą, smak bierze i dobry uczynek, jako ogień wiatrem, umacnia się". W pierwszem kazaniu sejmowem ogniem mieni mądrość. Wnętrzny smutek po skonie Anny z Rakus mamy upostaciowany w kształcie ognia. „Temi powierzchownemi posługami i pompami dobyć wnętrzych bólów i żałości, nad tą umarłą naszą musim. Bo na to uczynione są i z nich, jako dym z ognia, pochodzą". Skoro wypadnie nauczać o przymiotach i potędze Boga, i wówczas Skardze nawija się pod pióro porównanie z ogniem. „Pan Bóg zatwardza i zaślepia, czytamy w jednem z kazań niedzielnych, nie czynieniem, ale opuszczeniem i łaski swej oddaleniem. Jako gdy od wosku ogień odejmiesz, wosk stwardnieje, gdy z pieca żelazo wyjmiesz, żelazo oziębnie. A któż czyni owę oziębłość i twardość: nie ogień, ale samo przyrodzenie wosku i żelaza" (K N S). Z jakąż potęgą, jak szczerze i gwałtownie zestawia Skarga gniew Boży z płomieniem w kazaniu na pobudkę do nabożeństwa 40 godzin: „Bo trudno ogień gniewu Pańskiego gasić, póki te słowa i drzewo suche grzechów naszych trwa... Dlatego do spowiedzi świętej przychodzimy i w niej składajmy te suche drwa, na które zapalczywość gniewu Bożego upada" (K P). W kazaniu o sakramentach ogniem są sakramenty. „Jako do rozniecenia ognia suche drwa pomagają, a suche przeszkadzają, iż się ich ogień nie imie, ale mocy i gorącości ogniowi nie dają; bo moc i gorącość w samym ogniu jest: tak wiara biorącego sakrament sakramentom mocy nie daje, ale się do pożytku z nich brania, jako suche drwa do ognia, sposobi i przyprawuje". Wreszcie i prawdę w pięknem nad wyraz i dosadnem porównaniu ukazuje Skarga w kształcie płomienia. „Jak woda z wodą, biała i czarna, wilgotność z wilgotnością i w piwie, i w winie, i w miodzie, i w polewce, i w occie, zmieszać się z sobą dopuszczą, sprośną i szkodliwą i przykrą smakowi mieszaninę czyniąc, ale na ogień wszystkie jednako biją, z nim się żadne z tych zgodzić nie może, jednako się go boją: tak fałsz z fałszem

zmieszać się z sobą dopuści, ale z prawdą nigdy: od prawdy unikać, na prawdę bić i z nią walczyć, i od niej ginąć musi" (K P).

* * *

Bogata i rozległa była wyobraźnia Skargi. Widzieliśmy mianowicie, że kaznodzieja bierze porównanie z dziedziny gospodarstwa rolnego, z natury, łowów, wojny; niekiedy potrąci o instytucye polityczne i społeczne, przejdzie próg mennicy, sali sądowej lub więzienia, roztacza przed słuchaczami pompę życia na zamku lub w pałacach możnowładztwa, zajrzy do komory kupca, odwiedzi izbę rzemieślnika; wplecie tu i owdzie obrazek z życia domowego, stosunków rodzinnych; nie gardzi nawet fizyologią i medycyną; stara się przemówić do zmysłów bezpośrednio, obok obrazów, działających na zmysł wzroku, uwzględnia zmysły smaku i powonienia.

Teraz słów kilka o innej cesze wyobraźni Skargi, mianowicie o jej intensywności.

O tej ostatniej świadczą najlepiej dwa rysy wyobraźni: siła pojedyńczego obrazu oraz ich obfitość dla wyrażenia jednej myśli lub uczucia.

Skarga, lubo po większej części poprzestaje na jednym tylko dosadnym obrazie, którym zdobywa umysł słuchacza, ale czasem używa ich więcej, a to dla dłuższego zatrzymania uwagi na pewnym przedmiocie lub też w tym celu, aby trafić do serc i wyobraźni c a ł e g o audytoryum, które składali ludzie rozmaitego stanu i zajęcia. Mamy więc dla wyrażenia jednej i tej samej myśli od 2—7 obrazów. Oto np. w jaki sposób kaznodzieja jedną myśl uplastycznia cztery razy, a za każdym razem inaczej. „Wszystko minęło, jako cień, jako posłaniec bieżący, jako łódź, po której nic nie znać, jako ptak, gdzie przeleci, żadnego po nim śladu niemasz" (K P). Podobnie w innem miejscu, „Zachowajże nam, Panie Jezu Chryste, tego Piotra i ten zamek wszystkiego powszechnego kościoła, ten kamień fundamentu i nauki wiary wszystkiego chrześcijaństwa, ten zgody naszej i jedności mocny węzeł, a skałę obrony naszej przeciw nawałnościom wszystkiej niewierności" (K N S). W III sejmowem kazaniu czytamy: „Patrzcie na blizką sąsiedzką ziemię Węgrów niegdyś bogatych i możnych, na ono złote jabłko królestwa, jako na oblециały dom, jako na kuczkę przy winnicy". W kazaniu sejmowem VII prawo porównane do świecy w ciemnościach, sternika u łódki, woźnicy u wozu, wodza w wojsku. Do posłów na sejmie zgromadzonych mówi: „Zjachaliście się w imię Pańskie... abyście... jako głowy

ludu, braci i członków naszych, jako stróżowie śpiących i wodzowie nieumiejętnych, i świece ciemnych, i ojcowie dzieci prostych o ich dobrem i spokojnem obmyślali" (K S). Stolicę Piotra Św. uważa za „matkę jedności kościoła, zamek wiary katolickiej, za skarbnicę tajemnic niebieskich, za podporę prawdy objawionej, za opokę niezwyciężoną, za łódkę, nigdy nie tonącą" (O jedności kościoła, K P). Kaznodzieja nie zatrzymuje się tu długo nad jednym obrazem, ale szybko, strzałę po strzale wyrzuca z niewyczerpanego kołczanu, z rogu wyobraźni sypie brylanty i perły, zapala siedem świec na ołtarzu, bije naraz w siedem dzwonów, razi piorunem po piorunie. Obrazy jeden za drugim biegną, jak kaskada bałwanów; wyścig to skrzydlatych rumaków, uciekających w niebo. Oto np. w jednem zdaniu pięć porównań, jednym niemal tchem wypowiedzianych, a wszystkie dosadnie i błyskawicą myśl malujące. „Bez miłosierdzia wiara katolicka, jako drzewo bez owocu, nadzieja, jako najemnik bez roboty, miłość, jako matka bez dzieci, modlitwa, jako ptak bez skrzydeł, post, jako potrawa bez soli" (K P). A oto drugie o porównaniach barwniejszych „Te znaki (sakramenty) nie są przyrodzone, jako jest dym, po którym się ogień, i zorza, po której się wschód słońca, i woń, po której się ziele znaczy; ale są z woli i postanowienia, jako gdy kamień dla rozgraniczenia albo chorągiew dla żołnierzów postawią" (tamże). Dla przeciwstawienia bytu ziemskiego rozkoszom żywota wiecznego wprowadza Skarga sześć obrazów, malowniczych i żywych, każdy z innej dziedziny. I oto mamy przeciwstawienie cierpień żołnierza w kurzu bojowym — słodyczy zwycięstwa, czas mozolnego siania — hojnemu żniwu, znojne żaglowanie po morzu — szczęśliwemu przybyciu do brzegów ojczyzny, glinę ciała naszego — złotu chwały pełnego domu, uznojenie wieku dziecięciego—pełni i szczęściu doby dojrzałości, mrok celi więziennej — weselu przyszłemu, które nas zewsząd i z każdej miary ogarnia (K P). W innem kazaniu również aż sześcioma obrazami maluje kaznodzieja potęgę i wielmożność królów oraz panów. „A więc panowie i królowie, są onem szerokiem i wysokiem u Daniela drzewem, po którem się wszystkie zwierzęta żywią, są onym orłem u Mojżesza, który skrzydłami dzieci pokrywa i na ramionach nosi, są owem zielem szerokiego listu, pod którem Jonasz odpoczywał..., są nam świecą oną, jako Dawid, który nam na stolicy królewskiej dostojności świeci, są nam, jako Heliasz, którego wozem i woźnicą królestwa wszystkiego nazwano, są nam, jako okręta naszego sternicy" (K P). To bogactwo porównań największe jest w kazaniu Na wielki Piątek. Ta sama myśl, jak kameleon, w coraz nowych

ukazuje się barwach. „Stójmy (pod krzyżem), zranieni mieczem śmierci Pana niewinnego... Stójmy, jako pod ciepłą, a z góry spadającą wodą... Stójmy pod prasą jagód, z których nam mocne i słodkie wycieka... Stójmy, jako pod obłokiem, chłodzącym wszystkie upalenia i nędze nasze... Stójmy, jako szczenięta pod stołem, z tak bogatego obiadu odrobiny darów niebieskich zbierając... Stójmy, jako pod chorągwią hetmana naszego... Stójmy pod rodzajnem drzewem owoców zbawiennych".

Obok wielości obrazów na wyrażenie jednej i tej samej myśli spotykamy u Skargi szerokie niekiedy opisy scen lub przedmiotów, które mu służą do uplastycznienia pojęć religijnych i uczuć. Tu i owdzie zdaje się na pierwszy rzut oka, że zapomniał Skarga o rzeczy porównywanej, ale on umyślnie tak długo bawi przy malowaniu scen i przedmiotów, bliższych umysłowi słuchacza, i tym sposobem wzbudza w duszy jego spółczucie dla rzeczy, które omawia. Jeśli porównywa co do życia królewskiego, przesuwają się przed oczyma: dwór, wojsko, rycerstwo, przenośnia połyskuje złotem i srebrem, pełno w nich pompy i majestatu. Przestępując próg celi więziennej, zawsze dla czerpania przenośni, mówi o niej nie ogólnikowo, ale owszem, wysuwa wszystkie najcharakterystyczniejsze szczegóły, jak: okowy, nędze w wieży, nawet „skrzypienie drzwi" nie uchodzi uwagi kaznodziei. Kiedy ma mówić o sądzie, porównywając go do sądu ostatecznego, gromadzi wszystko dla dania dobitnego obrazu sądu na ziemi. A więc wprowadza: roki, trybunał, obżałowanie, prawo, dekret, egzekucyę, długi, zapisy, obowiązki, zastawy i krzywdy, zapiski, instygatorów i asesorów. We wstępie do Próby Soc. Jesu, gdzie duchowieństwo porównywa z czeladzią w gospodarswie i podział pracy duchowieństwa zestawia z podziałem pracy czeladzi, mamy cały obraz roboty w polu: gospodarz wysyła robotniki z kosami, drugi raz z sierpami, drugdy z radły abo motykami, drugdy z siekierami, wedle czasu i potrzeby. W innem porównaniu, zaczerpniętem z tejże dziedziny, napomyka o kąkolu, pszenicy, kłosach, słomie, ziarnie, łozie winnej, gronach i jagodach (K P). Gdzieindziej, malując serce katolika, jako domek, w którym kmieć prosty króla podejmuje, cnoty chrześcijańskie, jako potrawy i cenne obicia, które na przybycie króla przyspasabia, nadmienia o kuchni i kredensie, nawet mówi o pawimencie w przenośni (K N S).

Na zakończenie należy jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na jeden rys wyobraźni Skargi, który prawdopodobnie nie uszedł jego uwagi, jeżeli zastanawiał się nad powyżej przytoczonymi

przykładami porównań i przenośni. Mamy tu na myśli doskonały realizm wyobraźni złotoustego kaznodziei. Skarga nigdy prawie (wyjątki można obliczyć na palcach) nie sięga w swych obrazach do sfery nadprzyrodzonej. Owszem, ilekroć ma przedstawić rzeczy, wychodzące poza obręb pojęć przeciętnego czytelnika lub słuchacza, ilekroć chce uprzystępnić myśli oderwane lub uczucia, tylko dla umysłów niepospolitych zrozumiałe i dostrzegalne, używa obrazów z dziedziny życia rzeczywistego. Jest to znamienny rys wyobraźni autorów i artystów XVI wieku, tej świetnej epoki odrodzenia, którą w Polsce zamknął Skarga. Artyści dają świętym potężne i piękne ciała, a pisarze rzadko ściągają na ziemię aniołów lub szatanów. Nie mogło być inaczej w okresie, kiedy ludzkość, zrzuciwszy z siebie jarzmo ascetyzmu i scholastyki, dążyła do rozwoju zupełnego wszystkich władz duszy i ciała.

Jak wyobraźnia Dantego, który dla odmalowania okropności piekła lub piękności raju brał barwy z życia ziemskiego — z ziemi włoskiej, tak i wyobraźnia Skargi szukała piękna w ukochanej ziemi rodzinnej. I znalazła na niej nieprzebrane mnóstwo pereł i brylantów, ale nie miotała ich na marne, skąpa nie była, ale ustrzegła się bezmyślnej rozrzutności. Skarga niekiedy gasi umyślnie połysk swej gorejącej wyobraźni; nigdy, jak Krezus, nie otwiera swoich skarbnic, aby ich blaskiem olśnić czytelnika lub oszołomić słuchacza. Powiada raz: „Łaski wielkiej, boskiej i mądrości potrzeba do tego miarkowania (w mowie), jako sypanie prochu do strzelania i do ugodzenia w ptaka miernej miary chce, żeby albo nie przesypał i ptak się w niwecz nie obrócił, albo kulą do niego nie doniósł". Być może, że słowa te powstały pod wpływem pism retorycznych Cycerona, które Skarga wysoko cenił i często czytywał. Wszystko jedno: mało który z mówców całego świata posiadł owo „umiarkowanie" w takim stopniu, jak Skarga. On zawsze umiał zmierzyć odległość pomiędzy swojem sercem a sercem słuchaczów, zawsze wiedział, z jaką siłą trzeba rzucić pocisk, aby do serc doniósł, lecz aby w niwecz ich nie obracał. Kto wie, może nie tylko dzięki swemu uczuciu i rozumowi był „tyranem dusz ludzkich", ale i dzięki temu, że umiał trzymać na wodzy swą genialną wyobraźnię; nie ona jemu, lecz on jej rozkazywał.

Jan Zahorski.

MIEJSCE URODZENIA
X. STANISŁAWA KONARSKIEGO.
(Żarczyce Większe).

Przy dawnym trakcie, łączącym kiedyś Warszawę z Krakowem, ongi królewskim zwanym, w dawnem województwie sandomierskiem, powiecie chęcińskim, a w dzisiejszej gubernii kieleckiej, powiecie jędrzejowskim—leżą dwie wioski: Żarczyce Większe i Mniejsze, także Górnemi i Dolnemi zwane. W Żarczycach Większych, bliżej miasteczka Małogoszcza położonych, dwieście lat temu ujrzał światło dzienne (dnia 30-go września 1700 r.) X. Stanisław Konarski, Pijar.

Dotychczas w literaturze naszej nie było ściśle ustalone miejsce urodzenia wielkiego pijara. Najdawniejsi biografowie, jako to: Janocki, Krajewski, Albertrandi i Bielski albo pomijają je milczeniem, lub też zmieniają na Zarzyce w województwie krakowskiem, pomimo, że Konarski sam siebie sandomierzaninem nazwał. Chociaż ksiądz Łopacki w roku 1820 podaje wspomniane Żarczyce,

a w ostatnich czasach Stanisław Krzemiński wiadomość tę potwierdza, powołując się na metrykę Hieronima, późniejszego Stanisława, znajdującą się w kościele Złotnickim, do którego Żarczyce należą [1]), jednakże do ostatniej chwili miejsce jego urodzenia nie przestaje być chwiejnem. Należy więc raz na zawsze wątpliwości te usunąć. Nim do dokumentów przystąpimy, przypatrzmy się najpierw okolicy, wśród której leżą Żarczyce. Położone one są na północnym skraju tak zwanej nadnidziańskiej zatoki kredowej. Opoka kredowa, występująca bezpośrednio, tworzy na wzgórzach glebę pszenną, „rędziną" zwaną, w nizinach zaś zalegają piaski. Na północnym krańcu wyżyny występują one częściej, tak, iż okolicę Żarczyc charakteryzują już „częste, gęste piaski, laski", najbardziej ziemi polskiej przyrodzone. Okolica to płasko-falista, mało urozmaicona. Dopiero tuż za Żarczycami, w znacznej wyniosłości, „Górą Żarczycką" zwanej, roztacza się widok na pasma gór: Śto-krzyskie, Chęcińskie i najbliższe Małogosko-Przedborskie, które to ostatnie, ciągnąc się tędy swą południową granicą, przecinają dolinę rzeki Nidy. Z jednej więc strony ku północy piętrzą się wyniosłe szczyty, z drugiej ku południowi zalegają płaskowzgórza, aż ku Karpatom sięgające. O ile sąsiednie górzyste okolice zawsze mniej zaludnione były, o tyle wyżyna, na której leżą Żarczyce, będąca, według słów Staszica, świadkiem ...poczęcia życia, uznojona pracą rąk ludzkich, gęstemi wioskami się pokryła, których początek prastarych sięga czasów.

Nazwa wsi, według wywodów autora „Chrobacyi", prof. T. Wojciechowskiego, powstać musiała w zaraniu doby historycznej, a jak końcówka jej wskazuje, należy do grupy osad patronimicznych, założonych przez poddanych księcia, które to osady do najdawniejszych u nas należą.

Pierwszą wzmiankę o Żarczycach znajdujemy w jednym z najstarszych kodeksów małopolskich: a mianowicie w akcie z roku 1166, w którym Jan (v. Janik) Jaxa, arcybiskup gnieźnieński, nadaje klasztorowi Cystersów w Jędrzejowie dziesięciny z 11-tu wsi, pomiędzy któremi wymienione są „Zarczice" [2]). Następnie wymienione są one w dokumencie z roku 1256 w liczbie włości klasztoru Jędrzejowskiego, zwolnionych przez księcia Bolesława od daniny, „staw" zwanej [3]). W następnych wiekach wśród osad chłopskich

---

[1]) Złota Przędza IV.
[2]) Rzyszcz: III. 6.
[3]) Słownik Geograficzny.

rozsiadła się szlachta, a z początkiem 16-go wielu właścicieli wsi przyjmować zaczęło nazwy od swych włości. I tak pod datą 1508 wymieniony jest, jako dziedzic, Andrzej, a pod rokiem 1540 Stanisław Żarczycki [1]). Księgi metryk przy kościele złotnickim, przechowane od 1597 roku, już rodziny Żarczyckich nie wymieniają. W połowie 17-go wieku w Żarczycach Mniejszych zamieszkują Rawitowie Gawrońscy, a w Żarczycach Większych pod datą r. 1658 spotykamy Jerzego Czermińskiego. Do Czermińskich Żarczyce nie zbyt długo należą, i zdaje się, że nie mieszkali oni tu stale, spotykamy bowiem w metrykach inną szlachtę, dzierżawiącą tę wioskę: jako to Jaworskich i Mierzwińskich. W roku 1682 Zofia z Tarłów, wdowa po Łukaszu Czermińskim, aprobuje sprzedaż Żarczyc, dokonaną w roku 1681 Jakóbowi Glince przez jej męża [2]), a w dziesięć lat później osiada w Żarczycach Jerzy Konarski, ożeniony z Heleną Czermińską, córką Zofii Tarłówny i Łukasza, kasztelana Zawichojskiego, mieszkającego poprzednio (pod datą 1658) w sąsiednich Rembieszycach, a następnie w Rudzie, położonej w parafii Małogoskiej. Małżonkowie Konarscy osiedlają się tutaj, już obdarzeni czworgiem dzieci. Po raz pierwszy w aktach kościelnych złotnickich spotykamy się z Konarskim pod datą 1691 r., a w następnym roku 1692 przychodzi im na świat piąte dziecię, ochrzczone w Złotnikach. Z rodowodu rodziny Konarskich [3]) wiadomo, iż najstarsza córka, Zofia, w zakonie Natalia, przyszła na świat w 1685 roku, druga, Joanna, w 1686 r., syn najstarszy, Bogusław, w 1689 r., a następnie drugi, Michał, w 1691, lecz aktów chrztu tych czworga dzieci niema w Złotnikach. Dopiero spotykamy tu następne liczne potomstwo: i tak pad rokiem 1692 metrykę syna, Bartłomieja, w roku 1693 Mikołaja, w następnym roku w parafii Małogoszczu chrzczą Konarscy syna Jana Franciszka, w roku 1695 znów w Złotnikach Stanisława Karola, w 1698 Władysława Wojciecha, w roku 1699 Stefana Felicyana, aż nareszcie w roku 1700 11-te dziecię z rzędu, Hieronima Franciszka, późniejszego księdza Stanisława, — zaszczyt i chlubę całego rodu.

Jerzy Konarski, występujący w aktach, jako miecznik inowrocławski, wywodził się ze starożytnej rodziny Jaxów-Gryfitów, którzy do najpotężniejszych władyków w piastowskich czasach należeli. Z nich to wyszli dwaj sławni fundatorowie klasztorów: Janik,

---

[1]) Pawiński. Małopolska.

[2]) Chenc. Insc. Ind. l. 63. f. 440.

[3]) Niesiecki.

arcybiskup gnieźnieński, założyciel Cystersów w Jędrzejowie, i jego bratanek, fundator Bożogrobców w Miechowie. Jednakże ród ten w następstwie się rozmnożył, dając początek wielu oddzielnym rodzinom, które jedynie wspólnym klejnotem swoje pochodzenie od pierwotnego pnia stwierdzały. Jedna z tych gałęzi pierwotnych Gryfitów od Konar Konarskimi zwać się poczęła. O ile moje dociekania stwierdzają, gniazdem rodzinnem Konarskich herbu Gryf są Konary, położone nad Koprzywnianką, w powiecie sandomierskim. Konary te słynne były ruinami zamku, do którego jest przywiązana legenda, zapisana u Kromera, o braciach Słupeckich z sąsiedniej Słupczy, broniących się w zamku konarskim za czasów Ludwika Węgierskiego, których następnie tu oblegał sam król Władysław Jagiełło w pierwszych latach swego panowania. W wieku XVI-tym Konary te z sąsiedniemi wsiami: Głogów, Zadąbrowie, Kaleń i Młodnicze należały do braci Konarskich Stanisława i Jana, synów Marcina [1]. Na zasadzie działów familijnych, uznanych w aktach łukowskich, dobra te przeszły na Jana, który aktem, oblatowanym w Radomiu w 1540 roku, sprzedaje je Piotrowi Kochanowskiemu, ojcu poety [2], sam zaś wzamian nabywa od tegoż Kochanowskiego wieś Strykowia Mniejsze [3]. Tym sposobem rodzinne Konary już w XVI-tym wieku wychodzą z rąk Konarskich, chociaż zawsze później z Konar się piszą. W roku 1579 spotykamy Hieronima Konarskiego [4], jako właściciela Mękarzewic i Swoszowic, wsi, położonych pod Wiślicą (również Hieronima wymienia genealogia Konarskich). Według Niesieckiego, syn Hieronima Jan, generał w wojsku brandenburskiem, osiadłszy w kraju, z dwu żon licznego bardzo doczekał się potomstwa; w aktach występuje on, jako sędzia chełmski [5]. Jednem z jedenaściorga jego dzieci był również Jan, służący w wojsku, a występujący w aktach, jako dziedzic wsi Kanie i Wola Kańska w województwie ruskiem [6], ojciec Jerzego, o którym właśnie mowa. Jerzy był młodszym synem z ośmiorga potomstwa i, gdy starsi bracia żołnierką dosługiwali się krescydywy przy rozdrobnionym majątku ojczystym, on również, osiadłszy na roli, ciężkie koleje prze-

---

[1] Rad. terr. Inscr. l. 4. f. 398.
[2] „ „ „ l. 4. f. 399 — 416.
[3] „ „ „ l. 6. f. 34.
[4] Pawiński, Małopolska.
[5] Trib Lub. Inscr. l. 44. f. 654.
[6] Trib Lub. Inscr. l. 47 f. 896.
„ „ „ l. 55 f. 170.

chodzić musiał, zanim na Żarczycach z drugą swą żoną osiadł. I oto najpierw pod datą 1679 spotykamy Jerzego Konarskiego, ożenionego z Rudawską wdową, dzierżawiącego Bolmin w powiecie chęcińskim, gdzie procesuje się z pasierbami swoimi Strzyżewskimi [1]), tu zbliża się do Czermińskich i Tarłów. W roku 1674 trzyma do chrztu z wojewodziną lubelską Tarłową córkę Łukasza Czermińskiego, Franciszkę [2]). W roku 1684 mieszka w Borczynie i pożycza sumę od panien Klarysek w Chęcinach [3]), a pod datą 1686 już zapisuje dożywocie na rzecz swej drugiej małżonki, Heleny z Tarłów Czermińskiej [4]). W roku 1690 nabywa majętność Góry pod Książem od Zabielskich [5]), a w następnym roku widzimy go, już osiedlonego w Żarczycach, chociaż akt nabycia Żarczyc od sukcesorów Jakóba Glinki spisany został dopiero w 1694 r. [6]). Z wyciągów tych z akt grodzkich chęcińskich, jako i późniejszych zapisów wyderkafowych, ciążących na Żarczycach [7]), widzimy, iż pan miecznik w ciężkich był pieniężnych interesach i, chociaż z mocy wspomnianego aktu staje się właścicielem i dwu sąsiednich wiosek: Żarczyc Mniejszych i Wygnanowa, to jednakże, obarczony tak liczną rodziną, zaledwie skromny żywot ziemiański prowadzić może. Stosunki jednak przez żonę, urodzoną z Zofii Tarłówny, córki wojewody lubelskiego, muszą mu pomódz do krescydywy. Według Niesieckiego po teściu Łukaszu Czermińskim miał sobie ferowaną kasztelanię zawichojską, której jednak że nie otrzymał, gdyż w drodze do jej objęcia miał życia dokonać. Trudno wszakże temu uwierzyć, gdyż w aktach chęcińskich znajdujemy ślad, jako po śmierci drugiej swej żony oddał się stanowi duchownemu; pod datą 1705 występuje, jako *„perillustris et admodum reverendus praepositus Grudzinensis"* [8]). Niebawem

---

[1]) Chen. Castr. Inscr. Ind. l. 62 f. 384.
„ „ „ „ l. 63 f. 538.

[2]) Metryki parafii Małogoszcz.

[3]) Chen. Cast. Inscr. Ind. l. 63. 575.

[4]) „ „ „ „ l. 63. 1107—1110.

[5]) „ „ „ „ l. 64. 154.

[6]) „ „ „ „ l. 64. 594 et. 840.

[7]) „ „ „ „ (Fa 6 p. festa Pentacos. prox. a. 1699.
(F 6 p. Dominicam rogation. prox. 1699.

[8]) Chen. Cast. Insc. Ind. l. 65. p. 348 i 500. Na miejscu przy kościele w Grudzynach w dzisiejszej parafii Mierzwin dekanatu Jędrzejowskiego niema aktów, któreby mogły rzucić światło na tę okoliczność. Metryki przechowały się tam zaledwie od 1760 roku; również i testamentu Jerzego, o którym wspomina akt działowy, między synami dokonany, nie dało się w aktach chęcińskich odszukać.
(*Przypisek autora*).

odumiera licznej swej rodziny. Z potomstwa jego trzech synów, zdaje się, umarło za życia rodziców (Bartłomiej, Jan i Mikołaj); z ośmiorga pozostałych: najstarsza córka, Zofia, zostaje mniszką w Chęcinach, Joanna, zamężna Odrowąż-Kietlińska, niebawem umiera, a pozostałe młodsze rodzeństwo dostaje się pod opiekę brata matczynego, Antoniego Czermińskiego, kasztelana małogoskiego, posiadającego sąsiadującą z Żarczycami wioskę Mieronice. Opiekun — trzech braci, Stanisława, Władysława i Hieronima, sposobi do stanu duchownego. Wstępują oni do zgromadzenia O. O. Pijarów i znani są pod zakonnemi imionnami: Ignacego, Antoniego i Stanisława. Trzej zaś bracia, Bogusław, Michał i Stefan, dochodzą do spadku po ojcu. Z podziałem majątku czekano do pełnoletności brata Stefana, co gdy nastąpiło, sporządzono akt działowy [1]), według którego Żarczyce Większe prawem wyboru dostał Stefan, Mniejsze Michał, już podówczas starosta bachtyński, Wygnanów najstarszy brat Bogusław, kapitan kawaleryi koronnej. Akt ten rzuca dodatnie światło na stosunki rodzinne Konarskich; świadczy o zgodzie i miłości wzajemnej braci. Między innemi zastrzega: „jeżeliby przyszło któremu z nas przedawać dział swój, tedy *non praetereundo* braci z wiadomością, jeżeliby który był *in statu* kupienia tej ojczystej fortuny i pracy naszej; pomimo inszych konkurentów obcych za najbliższych siebie samych *justo et adequato praetio* mieć do takowego kupna będziemy”. To też niebawem Michał odstępuje Żarczyce Mniejsze bratu Bogusławowi, a sam w inne strony się przenosi. W roku 1731 zostaje kasztelanem wiślickim, w roku 1740 sandomierskiem, osiada w Bogoryi, którą, zdaje się, po Tarłach dziedziczy, i za żoną Teresą Lipską znaczne na Rusi obejmuje majątki. Jest on protoplastą do dziś dnia żyjącej linii hrabiowskiej Konarskich, których najstarszy dzisiejszy przedstawiciel, Stanisław, urodzony z Krasickiej, mieszka w Dubiecku, rodzinnem miejscu biskupa Ignacego Krasickiego. Najstarszy brat, Bogusław, ożeniony z Justyną de Nadole Łącką, umiera w 1730 roku, pozostawiając dwie córki, z których Maryanna wychodzi za Bonawenturę Oraczewskiego, łowczego wiskiego, a Joanna za Stanisława Saryusz Wolskiego, podkomorzego chęcińskiego, stąd dziedziczne ich wioski: Żarczyce Mniejsze przechodzą do Oraczewskich, a Wygnanów do Wolskich. W Żarczycach Większych, gdzie „dwór ze wszystkiemi generalnie należytemi wygodami opatrzony”, osiada najmłodszy Stefan, ożeniony z Maryanną Dunin-Wąsowiczówną, i, jako miecznik chęciński, pędzi żywot zie-

[1]) Inscr. Chenc. F-a 4-a pridie festi present. B. V. Mariae a. 1724.

miański. O dobrym stosunku dworu z włościanami świadczą częste w metrykach kościelnych zapisane podawania do chrztu dzieci wiejskich przez Stefana i jego żonę. W aktach kościoła parafialnego w Złotnikach pamięć Stefana zapisana jest ustanowieniem przy kościele bractwa N. P. Maryi Łaskawej, na którego uposażenie zapisuje pół łana ziemi [1]). O pobożności rodziny świadczy także zapisanie się Stefana, żony jego i córki Salomei, a także dwu bratanic po Bogusławie, Maryanny i Joanny, do bractwa Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi w sąsiedniej parafii w Kozłowie.

Najstarszy z ośmiorga dzieci Stefana, Józef, kapitan pieszego regimentu, ożeniony z Teklą Laskowską, dziedziczy Żarczyce, a po nim trzej jego synowie, Feliks, Reymond i Tomasz, podówczas kapitan gwardyi artyleryi konnej, w roku 1821 sprzedają Żarczyce Większe Marcelemu Pstrokońskiemu za sumę 71,000 złp. [2]).

Żarczyce Mniejsze i Wygnanów w połowie tego wieku od Oraczewskich i Wolskich również w obce przechodzą ręce [3]). Z trzech wymienionych synów Józefa najmłodszy, Tomasz, późniejszy generał artyleryi, z drugiego małżeństwa na emigracyi zostawił syna Włodzimierza, mieszkającego we Francyi, będącego dziś jedynym przedstawicielem męskiej tej linii.

Oto w krótkości zebrane koleje, jakie przechodziła najbliższa rodzina X. Stanisława, a teraz przyjrzyjmy się, jakim losom uległy rodzime jego wioski. W ciągu tego wieku zmieniały one ciągle właścicieli. W Wygnanowie ostał się dotychczas folwark dworski, Żarczyce Mniejsze uległy losowi wielu folwarków — zostały rozparcelowane, a obecnie i Żarczyce Większe temuż losowi ulegają. Nie szukać więc we dworze wspomnień i pamiątek po Konarskich. Zajrzyjmy pod strzechy wiejskie, do tych prastarych dziedziców, co

---

[1]) Insc. Chęcin. F-a 4-a pridiae S-ta Marger. a. 1737.

[2]) W chwili sprzedaży Żarczyce Większe miały następującą przestrzeń:

w polach i ogrodach	mr.	271	sąż.	367
w kopaninach	„	38	„	446
w polach chłopskich	„	174	„	842
w łąkach	„	51	„	1015
w lasach	„	182	„	224
w pastwiskach	„	51	„	1243
w stawach	„	3	„	928
w kontrowersie	„	175	„	150
Razem	mr.	945	sąż.	415

[3]) Żarczyce Mniejsze sprzedaje Edmund Wolski w 1853 r. Wygnanów Marya z Wolskich Duninowa w 1859 roku.

niełatwo siedziby swe zmieniają [1]), może tu choć słabe o przeszłości przechowują się tradycye. Akta kościelne wskazują, iż ród włościański Sosnowskich, głównie osiadły w tej wiosce, już w XVI w. tu zamieszkiwał, a pod datą 1691 Helena Czermińska z bratem męża, Piotrem Konarskim, Błażeja Sosnowskiego do chrztu trzymali. Ciekawy przybysz dopytuje się o Sosnowskich i zaraz natrafia na Andrzeja i Mateusza braci Sosnowskich, którzy, jak to metryki pokazują, w prostej linii od owego Błażeja pochodzą [2]). Na zapytanie o dawnych dziedzicach tej wioski wiedzie Andrzej przybysza na swe pole i opowiada taką miejscową legendę: „oto tu, gdzie dziś ten mój połanek i brata mego Mateusza, nazwane „pogorzeliskiem" i gdzie ten odwieczny dąb, co na niwie mego sąsiada Musiała stoi, stał dawniej dwór, w którym dziedzice Konarscy mieszkali; byli to panowie z panów i niejedne Żarczyce mieli, a dwór to był obszerny, jakby pałac. Spalił się on za jednego z Konarskich od pioruna w niedzielny dzień, gdy dziedzic z żoną Marynią (a więc Stefan) wracał z Częstochowy, dokąd jeździł Pana Boga przebłagać, bo mu się na gospodarstwie wieść przestało; a nie wiedło mu się, bo przy budowie nowej stodoły dworskiej wmurowano nieopatrznie resztę figury Pana Jezusa Nazareńskiego, która przy drodze stała, to też i pożar dworu, jako karę Bożą, zato powiadają. Po zbudowaniu nowego dworu na przeciwległej górce, który do dziś dnia stoi, została tu figura, przeniesiona przez pobożnych ludzi od lasu przy drodze, i zbudowano nad nią kapliczkę, która już za mojej pamięci odnowioną została".

Tak więc po dostatnim dworze, w którym X. Stanisław ujrzał światło dzienne, niema dziś ani śladu. Rola dworska, pogorzeliskiem zwana, przy regulacyi gruntów dworskich w połowie tego wieku przeszła na własność dzisiejszych jej dziedziców, a jeno stary dąb wypróchniały, z liści prawie ogołocony, znaczy dziś miejsce urodzenia wielkiego Konarskiego. Miejscowa tradycya, przechowująca pamięć dobrych panów, pominęła największą chlubę — Stanisława, lecz z dumą, jakby przeczuciem wiedziony, ów kmiotek, dawne dzieje Żarczyc opowiadający — dodaje, iż od Konarskich nasze przesławne Żarczyce Wielkie, Górne albo Zamkowe się zowią!

Ostał się wszakże z tych czasów trwały świadek współczesny—

---

[1]) W roku 1864 Żarczyce Większe miały 12-tu uwłaszczonych gospodarzy, obecnie liczą 240 dusz ludności.

[2]) Piszący wywiódł z metryk genealogię Sosnowskich od Błażeja.

a tym kościół parafialny, który pamięć o ochrzczonym tu Stanisławie w najdalsze czasy przechowa. Kościół złotnicki, erygowany jeszcze w 1393 roku, w obecnej swej postaci po pożarze wzniesiony został przez Denhofa, opata jędrzejowskiego, w roku 1666; posiada on starą chrzcielnicę, przy której zapewne nadane zostały późniejszemu pijarowi imiona chrzestne Hieronim Franciszek, a akta kościelne metrykę tę przechowują [1]).

Dla utrwalenia tej wiadomości, dotychczas mało dla każdego dostępnej, w roku 1900, jako w dwusetną rocznicę urodzin wielkiego w narodzie męża, w nawie kościelnej, po prawej stronie ołtarza wmurowaną została tablica pamiątkowa, przeszło dwa metry wysoka. Zdobi ją piękny medalion z wizerunkiem Konarskiego i odpowiednimi emblematami, roboty prof. Piusa Welońskiego, a odlany w zakładzie braci Łopieńskich. Na zwoju pergaminu, wplecionym w liść laurowy, wyryto tytuły dwu naczelnych dzieł wielkiego pijara: „O skutecznym rad sposobie" i „Volumina legum"; na czarnej marmurowej tablicy widnieje napis:

Na wieczystą rzeczy pamięć.
W kościele tym chrzest Ś-ty otrzymał Hieronim Konarski,
urodzony dnia 30 września 1700 r. we wsi Żarczyce Większe,
położonej w parafii Złotniki, ziemi Chęcińskiej,
z ojca Jerzego miecznika Inowrocławskiego
i małżonki jego Heleny z Czermińskich.
W młodzieńczym wieku wstąpił do zgromadzenia O. O. Pijarów
w Podolińcu, przyjmując imię Stanisława.

Ten to:
X. Stanisław Konarski
oddany służbie Bożej i pracy dla dobra narodu
wprowadził zdrowe zasady wychowania publicznego,
gromił bezrząd w narodzie,
zwiastował nową epokę w piśmiennictwie polskiem.

---

[1]) 1700, 18 October. Ego Stanislaus Molędzki Plebanus Złotnicen: babtisavi infantem filium, cui Nn inpositum est Hieronimus Franciscus, Magnifici Georgii Konarski Ensiferi Vladislaviens: (w innych metrykach Inovraclaviens:) et Magnificae Helenae Czermińska Con. legit. in villa Żarczyce Haeredum, Levantes de sacro fonte aderant: Gns Theophilus Komornicki cum Magnifica Sophia Czermińska Castelanida Zawichosten. virgine de villa Ruda.

Wydawca zbioru ustaw krajowych,
założyciel szkoły „Collegium Nobilium” w Warszawie,
autor dzieł znakomitych.
Zmarł w Warszawie dnia 3 sierpnia 1773 roku.
Wybitnemu synowi kościoła Ś-go,
miłośnikowi światła w narodzie,
mężowi pełnemu jasnowidzącego rozsądku i twórczej działalności
społecznej, w dwusetną rocznicę urodzin
wielbiciele cnót i zasług jego kamień ten kładą
R. P. 1900.

Odtąd kamień ten tu na miejscu mówić będzie najdalszym pokoleniom, jakim to mężem chlubić się może parafia złotnicka, a zarazem, zanim Konarski doczeka się wzniesienia większego zbiorowemi siłami społeczeństwa pomnika oraz wyczerpującej pracy o swych zasługach i dziełach, niechaj ta skromna tablica przypomina o czci, jaką winniśmy jego pamięci: w myśl słów Józefa Szujskiego, przytoczonych w jednem z ostatnich wspomnień o Konarskim:

Pamięcią wielkich w ojczyźnie ludzi
Krzepi się naród, mocni się duch.

Gdy myśl ta w czyn się oblecze, przestaną nam być wyrzutem słowa, wypowiedziane we Florencyi do Polaków, przez X. Ricci, historyka włoskiego, generała O. O. Pijarów: „Polacy sami nie chcą brać skutecznego lekarstwa, jakie im dawał Stanisław Konarski do ich życia, bo prace Konarskiego, które dziesięćkroć razy czytywałem, nie znalazły nawet drugiej edycyi w Polsce, a duch pijarski zagasł w waszym narodzie, bo dotąd Stanisław Konarski nie doczekał się pomnika”.

St. K[illegible]

POSZUKIWANIE LITERACKIE.

W „Noworoczniku literackim”, wydanym w roku 1838 w Petersburgu staraniem ks. A. S. Krasińskiego, znalazłem wiersz p. t. „Dumanie w nocy jesiennej”, który treścią i formą nastręczył mi pewne domysły o swem pochodzeniu. Pragnąc zaś rozstrzygnąć swe wątpliwości, zarówno wiersz sam, jak i wszystko, co mi na myśl nasunął, ogłaszam drukiem w „Ateneum” tytułem „poszukiwania” literackiego.

Ażeby zaś nie oddziaływać w niczem na samodzielną krytykę czytelnika, zacznę od przytoczenia wiersza, a potem dopiero komentarza, jak się sam nastręczył i ułożył.

Oto jest ten wiersz:

Dumanie w nocy jesiennej.

Przeszła północ — dokoła cichość i milczenie,
Jam nie spał, i wiatr nie spał — on jeden z żałobą
W brzęczące okien szyby dzwonił i za sobą
Strumienie ciągnął liści i kurzu strumienie.

Na niebie księżyc, w pasy poranne (?) rozrosły.
Utopiwszy w chmur głębie zamyśloną głowę,
Płynął — gdzie go wydęte czarne fale niosły.
Czasem *gwiazdy błysnęły, jak lampy portowe*;
A tak — w całym obszarze uśpionej natury
Jam nie spał, i wiatr nie spał, i gwiazdy, i chmury.
Do wyższych rzeczy wzdychać przyuczony z młodu,
Obciągałem (?) oczyma z wschodu do zachodu,
I zazdrościłem wichrom, gwiazdom, nocy całej:
Wichrom — ich błyskawicy, gwiazdom — pędu jazdy,
I ja chciałem tam gonić skąd te wichry wiały,
I schwycić błyskawicę, *i z gwiazdy do gwiazdy,*
Wyciągnąwszy ramiona, pędem fali płynąć
I w chmurach, gwiazdach, światach, w niebie zginąć!...
Duch mój objął potężne przyrodzenia siły,
W twarzy bladej krwi błyski nagle zaświeciły.
Niech wyją dzikie wichry po pustym przestworze,
Niech fala szumi, w kłębach przez fale niesiona!
Jam zapłakał!... Łza stanie za potopu morze!...
Światy moje! kochanko! bracia! przyjaciele!
Ku wam wyciągam moje zemdlone ramiona,
A gdy z wami uczucia i myśli zestrzelę;
Wichry, chmury dziś mocne! czem jutro będziecie?
Słońce wznijdzie, noc spłynie i inne nastaną,
I słońce kiedyś—w nocy, i noc zginie — w świecie;...
W duchu jednym poety niema — noc i rano!
Wiecznie się myśli — w gwiazdy, duch — wyświeca w słońce,
Pamięć czas, jako więźnia ubiegłego, trzyma.
Nie zazdroszczę wam wichry, chmury, fali gońce! —
W stworzenia ogrom — ducha wybiegłem oczyma.

Wiersz ten — zlekka, zaniedbany w formie (może źle przez kogoś przepisany), uderzył mię wielką siłą uczucia i potęgą obrazów. Równocześnie zaś i charakter uczucia, i rodzaj obrazowania, i wyrażenia, i sama kadencya i wreszcie pewien charakterystyczny tok rozumowania w wierszu — przypominał mi w sposób nieodparty — inną, a zbyt znaną poezyę. Pod wierszem podpisana tylko litera M.

Zaraz na następnej (31) stronie noworocznika znalazłem inny wiersz p. t. *Do M. A.* I ten wiersz przytoczę w całości:

Do M. A.

Gdzie moja myśl nie wzleci, mój duch się nie wzniesie.
Gdzie tron Getych, Bajronów za marzeń obłokiem
W nadzmysłowych państw zakresie;
Tam — duch twój, pospolitem niedojrzany okiem,
Prędzej, niż piorun, niż oka mgnienie,
Przebiega wielkie niebios sklepienie,

I coraz wyżej, wyżej się wznosi,
Jak wyobraźnia na skrzydłach myśli —
Dalej, niż słońce, mija obie światów osi
I kiedy mu granicę samo bóstwo kreśli,
W głębszem, niż oceanu bezdenne otchłanie,
Burzliwszem, niż zhukane wichrów panowanie,
W sercu człowieka, w uczuć krainie,
Twój duch założył świątynię.

Ja patrzę — nic nie widzę, słucham — nic nie słyszę...
Wietrzyk fali nie marszczy, listka nie kołysze.
A w twojej duszy — biją pioruny,
Świat się trzęsie w posadach, drżą oba bieguny,
Zbawienia słońce czarne wypędza całuny,
Brzmią niebieskiej muzyki najgórniejsze struny,
Zgrzytnął zębem samolub — złość go wściekła pali,
Twój się geniusz wznosi i zagłębia dalej!
Zcichła cała natura, ród ludzki się zdumiał,
Tyś język duszy boskiem natchnieniem zrozumiał,
Tyś głos natury odkryć się ośmielił,
Nadzieję złotem odział malowidlem,
Najwyżej ze śmiertelnych wzniósł się uczuć skrzydłem,
Okiem duszy — w niebo strzelił —
Leć więc, jak orzeł, jak błyskawica,
Tajne ludzkości przepowiadaj losy,
Od gwiazd do ziemi niechaj brzmią twe głosy,
Granica twego lotu — natury granica!

Leć nieścigłemi genijuszu pióry,
Tyś królem — w państwie uczuć, twem dziełem świat ducha,
Zgłębiaj bezdenność serca, mierz wielkość natury,
Niech pieśni twojej ziemia, niechaj przyszłość słucha.

A. S. K.

Tu nie było już żadnej wątpliwości: wiersz do M. A., napisany przez samego redaktora zbiorku, ks. Krasińskiego, niewątpliwie mógł mieć na myśli tylko Mickiewicza.

W takim jednak razie, co oznacza położenie tej ody tuż obok „Dumania w nocy jesiennej", podpisanego M. i tak ogromnie rozbrzmiewającego tonem mickiewiczowskim?

Dla mnie zestawienie to było potwierdzeniem domysłu, który się zrodził już przy czytaniu, że „Dumanie" jest wierszem Mickiewicza.

Zanim jednak domysł ten zostanie stanowczo obalony lub dowiedziony, przytoczę wszystko, co mówi za i przeciw, niestety, i w pierwszym, i w drugim wypadku nie dość stanowczo.

Że to jest wiersz mickiewiczowski, jeśli nie Mickiewicza — to

jest rzeczą niewątpliwą. Wszystkie wyżej podkreślone wyrażenia, cały ton jego, dusza wiersza, że tak powiem, znajduje się w poezyach Mickiewicza. Ton zasadniczy — to mierzenie ogromu świata ogromem uczucia, a uczucia — potęgą duszy, życzliwie obejmującej człowieczeństwo — a człowieczeństwo znów — to przedewszystkiem: „Światy moje: kochanko, bracia, przyjaciele". To jest, że tak powiem, sam rdzeń Mickiewiczowskiego nastroju. Od „Pierwiosnka" do „Farysa" tem właśnie oddycha ta poezya. Ten wiersz — zna wszystkie Mickiewiczowskie obyczaje:

I tylko w nocy cicho na twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

(*Rozmowa wieczorna*).

Zestrzelmy myśli w jedno ognisko!

. . . .

Szumią wichry, cichną głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią.

. . . .

Ale młodość ogniem płonie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Miłość go pocznie w swem łonie
A przyjaźń w wieczne utwierdzi spójnie.

(*Oda do młodości*, waryant poznański 1828).

Teraz oczy kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie...

. . . .

Odetchnąłem — ku gwiazdom spoglądałem dumnie...

. . . .

Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu
Wyżej, wyżej i wyżej aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą — duszę utopiłem w niebie.

(*Farys*) [1]).

I tak aż do „Improwizacyi" włącznie możnaby było przytaczać te brzmienia tonu mickiewiczowskiego — owej struny potężnej, od serca ku gwiazdom napiętej.

Ścieśniając jednak nieco zakres przypomnień — ułatwimy so-

---

[1]) Przytaczam podług wydania paryskiego z r. 1861.

bie jakieś określenie czasu, kiedy powstać mogło „Dumanie", gdyby było wierszem Mickiewicza.

Otóż stylistycznie i nastrojowo wiersz ten łączy się najlepiej z tymi utworami Mickiewicza, które powstały między 1824 a 1829 rokiem —przez czas jego tułaczki od Wilna i Kowna przez Moskwę, Odessę, Krym, Petersburg—zagranicę. Od chwili, gdy żegnał przyjaciół, gdy sam sobie zapowiadał: „lećmy i odtąd nie zniżajmy lotu" — myśl jego często tak waży się między „chmurami i gwiazdami", towarzyszami podróży, serce nieustannie uprzytomnia „braci, przyjaciół, kochankę" — dość przejrzeć jakiekolwiek wydanie wierszy różnych od 1825 do 1829 r. Często tak „w stworzenia ogrom— ducha wybiega oczyma" — rzecz w „Dumaniu" najbardziej charakterystyczna — w tem osamotnieniu uczy się tego tonu rozmowy z sobą —(z Bogiem i naturą), którym nikt inny już z taką potęgą a prostotą nie władał.

Ten ton brzmi w Sonetach krymskich, i tam też prócz wyżej przytoczonych zestawień znajdujemy dalsze dowody tożsamości języka „Dumania" z językiem jego poezyi.

Znowu ten sam nastrój, gdy woła: „Ziemia śpi —mnie snu niema (tak)" w sonecie „Bajdary". Znowu pokrewne ważenie się myśli nad dwiema otchłaniami — duszy i żywiołu:

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy niebo się chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony —
O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne — zatapia w niem szpony.

(*Cisza morska*).

A oto kilkakrotne powtórzenie zwrotu o „gwiazdach—lampach portowych":

Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi...
. . . .
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi:
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu...

(*Stepy akermańjskie*).

I jeszcze raz mówi:

Rzeźwią się (tak) wiatry, dzienna wolnieje posucha,
Na barki Czatyrdahu spada lampa światów.

(*Ałuszta w nocy*).

I wszystkie te powtórzenia, jak wreszcie pewna charakterystyczne w tym właśnie okresie naleciałości języka — a więc zalety i wady naraz — proszę tylko uważnie przejrzeć podkreślenia — zdaje się stwierdzać, że „Dumanie w nocy jesiennej" jest to wiersz Mickiewicza, napisany gdzieś około 1824—5 roku między Odessą a Krymem. Potem zaś został może ów wiersz gdzieś zapomniany w przyjacielskich dłoniach i tylko szczęśliwsze wyrażenia jego znalazły się w utworach późniejszych, powstających między rokiem 1824 a 1829 (Sonety, Farys).

Ten dowód — dowód tożsamości języka naraz w wadach i zaletach charakterystycznych, jest dla mnie w rzeczach literackich najsilniejszym dowodem autorstwa wogóle, tu autorstwa Mickiewicza w szczególności.

Pragnąc jednak przed ogłoszeniem tego poszukiwania w druku zgromadzić jaknajwięcej dowodów za i przeciw, zwróciłem się o opinię o „Dumaniu" do kilku najwybitniejszych znawców rzeczy mickiewiczowskich. Zdania znalazłem podzielone, nie brak jednak i takich, które wiersz uznają stanowczo za utwór Mickiewicza.

I tak p. Władysław Mickiewicz nic stanowczego o „Dumaniu" powiedzieć nie może. Jednak dziwi go, że ks. Krasiński, z którym obcował nieraz, nic mu o „Dumaniu" nie wspominał, choć miał znakomitą pamięć do późnej starości.

Nawiasem powiedzmy, że, gdyby nawet można było posądzić ks. Krasińskiego o mistyfikacyę (za pomocą owego M., i nastroju wiersza, i obok dodanego „Do M. A."), to nie mógł sam napisać tak doskonałego naśladownictwa. Bo to nie wiersz jakiś jeden, ale cały ton poezyi Mickiewicza potężnie byłby naśladowany. A o to kogoś posądzić — bodaj czy nie większe zuchwalstwo, niż Mickiewicza posądzić o autorstwo „Dumania".

Jednak p. Wł. Mickiewicz dodaje, że ks. Krasiński miał dużo z Mick. wspólnych znajomych — dość tu wymienić Malewskiego. Może więc od kogoś otrzymał jakiś odpis?

Dalej — prof. Piotr Chmielowski z wielką stanowczością wypowiada się przeciwko domysłom o autorstwie Mickiewicza i uważa „Dumanie" jedynie za naśladowanie jego stylu. „Mickiewicz — powiada prof. Chmielowski — nie napisałby nigdy, zdaje się, w je-

dnym wierszu: *dokoła cichość i milczenie*, a zaraz potem obraz wichru, co dzwonił w szyby *brzęczące* i ciągnął za sobą strumienie liści i kurzu. Wyrażeń: *Obciągałem oczyma z wschodu do zachodu, zazdrościłem — wichrom ich błyskawicy* — nie wydają się mi dobremi i mickiewiczowskiemi. Nie przeczę, że są to i wyrażenia silne, malownicze, ale całość, jako obraz, za mało ma plastyki i konsekwencyi, którą tak u Mickiewicza podziwiamy".

Dowody prof. Chmielowskiego stwierdzają właściwie tylko to, że „Dumanie" nie byłoby jednym z najlepszych wierszy Mickiewicza, nie zaś to, że nie on je napisał. Przypomnę tu znowu własne zestawienia, a jeśli chodzi o stopień doskonałości, to dość przypomnieć czy poznańskie waryanty „Ody do młodości", czy historyę jednego wiersza np. „Stepy akermańskie", ażeby uprzytomnić sobie, ile i jakich niedokładności pełne są poezye mistrzów przed ostatecznem wykończeniem, a nawet w najbardziej wykończonych (Sonety krymskie np.), czyż nie rażą nas wyrażenia: *mnie snu niema*, *rzeźwią się wichry* i t. p.?

Wreszcie — prof. Józef Kallenbach, zastrzegając, że przepisywacz musiał popełnić omyłki przed oddaniem wiersza do druku, czem się tłómaczą niektóre chropowatości (oznaczyłem je w wierszu znakiem zapytania) — oświadcza się za autorstwem Mickiewicza. Dowody językowe, wewnętrzne — mówi prof. Kallenbach — są wystarczające, aby wiersz ten uznać za wiersz Mickiewicza.

Prof. Kallenbach oświadcza nawet w swym liście gotowość dostarczenia tych dowodów.

Taką jest historya „Dumania", a raczej domysłów, które obudziło we mnie, oraz komentarz, który się z nich ułożył.

Przytoczyłem opinie trzech wybitnych znawców Mickiewicza, ażeby usprawiedliwić niejako opublikowanie całej tej sprawy. Robiłem wpierw wszystko, aby wątpliwości rozstrzygnąć i publiczności albo dać wiersz Mickiewicza, albo już nie przysparzać t. z. wierszy wątpliwej autentyczności wcale. Opinie znawców są jednak podzielone, dotąd zaś brak dowodu stanowczego.

Dowód psychologiczny, językowy, jak sądzę, został powyżej dostarczony. Dowód pośredni w podpisie, sąsiedztwie „Dumania" z Dedykacyą — wykazałem. Dowód pomocniczy, że Mickiewicz pisywał do noworoczników, a raczej pozwalał tam drukować swoje

wiersze często, istnieje również. Że się trafiać mogą takie zaległości mickiewiczowskie — o tem aż nadto nas przekonały skrzętniejsze badania ostatnich czasów. Kto wie, gdzie i jakie jeszcze mogą się odnaleźć poezye Mickiewicza, skoro w r. 1830 w № 195 „Kuryera Warszawskiego" czytano takie oto ogłoszenie: „Rękopism pierwotnych poezyi Adama Mickiewicza, drukiem nie objętych, złożono do sprzedania w drukarni „Kuryera Warszawskiego" [1]. Cóż się z poezyami temi stało — może i o tem coś się przy sposobności dowiemy? Ale dowodu jedynie rozstrzygającego dotąd niema. Dwa zaś mogą być tylko takie dowody: albo, jeśli kto chce dowieść, że *Dumanie nie jest* wierszem Mickiewicza — musi wskazać autentycznego i faktycznego autora wiersza; albo, jeśli ktoś chce dowieść ostatecznie, że to *jest* wiersz Mickiewicza — musi dać bądź autograf, bądź świadectwo również autentyczne. Osobiście wraz z prof. Kallenbachem uważam „Dumanie" za wiersz Mickiewicza — na podstawie wyżej podanego dowodzenia literackiego. Wobec siły i charakteru wiersza, powtarzam, trudniej mi go uważać za wiersz tylko mickiewiczowski, niż za wiersz Mickiewicza samego.

Może jednak ktoś kwestyę rozstrzygnie stanowczo?

Antoni Potocki.

---

[1] Patrz ks. Jub. Kuryera str. 457.

ŻYWIOŁY PLASTYCZNE
W POEZYI SŁOWACKIEGO.

Krasiński, zdając sprawę z wrażenia, jakie na nim sprawia poezya Słowackiego, mówi:

„Ogół poezyi Słowackiego ma za formę ciągłe pojedyńczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie — i utrzymuje się następstwem tych znoszeń, raczej ruchem, niż postacią — tak, jak muzyka. Pęd tej siły, poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się, jak muzyka, ciągłem drganiem cząsteczek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności".

„Ojciec zadżumionych" przypomina Laokoona i Ugolina, ale, jak powiada Krasiński, „ani u rzeźbiarza greckiego, ani u toskańskiego gibelina nie zapożyczył się Słowacki: oni ból nad wszystkie bóle wydali plastycznie, kiedy Słowacki, jak zwykle, raczej następstwem muzykalnem, niż kamienną posągowością".

„Któż, czytając „W Szwajcaryi" lub Anhellego, nie dozna mistycznej tęsknoty? Komuż te dwa arcydzieła wewnętrznej melodyi ducha, nie zostawią po sobie jakby uczucia, że

wszystko już przeminęło, że, co światłem było, już nie jaśnieje, co łzą — już nie płynie, co chwałą — już nie połyska?".

Krótko mówiąc, Słowacki, jako poeta, należy, zdaniem Krasińskiego, do typu twórców muzycznych, gdy Mickiewicz przedstawia jaknajpiękniejsze wcielenie typu plastycznego. „Mickiewicz— to Michał-Anioł naszej poezyi: jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię „Pan Tadeusz" [1]).

W dalszym ciągu jednak Krasiński dodaje, że „Słowacki nie urodził się rzeźbiarzem, jak Mickiewicz, lecz muzykiem, w którego muzyce płyną farby Corregia i Rafaela, niesione Bethovena tonami". Znaczy to, że Słowacki był wprawdzie w pierwszym rzędzie muzykiem, w drugim jednak — kolorystą. Później Klaczko, podobno, nazwał autora „Balladyny" — „Weronezem poezyi polskiej", i porównanie to do dziś dnia kursuje, jako moneta pełnej wartości i wagi.

Otóż, pomijając to, że Słowackiego, jako artysty, nie można w żaden sposób zestawiać z plastykami czystej wody w rodzaju Rafaela, Corregia i Weroneza, gdyż zbliża się do innego bliższego nam typu malarzy i rzeźbiarzy (Prerafaelici etc.), swoją drogą niepodobna zaprzeczyć, iż w obserwacyach Klaczki i Krasińskiego tkwi pewna doza prawdy. U Słowackiego jest kolor czyli element plastyczny, nad którym muzyka dominuje wprawdzie, niosąc „farby Bethovena tonami", którego jednak nie przytłumia zupełnie, jak np. u Novalisa. Czy Słowackiego jednak można nazwać „kolorystą" w malarskiem, wzrokowem tego słowa znaczeniu?

Stanowczo nie.

I.

Koloryt w terminologii malarskiej oznacza nie siłę i bogactwo pojedyńczych plam barwnych, lecz harmonijny pomiędzy nimi stosunek, z uwzględnieniem warunków i wpływów oświetlenia w danym momencie i miejscu. Autor „Pana Tadeusza", jak tego dowiódł Witkiewicz w swojej świetnej rozprawie, był nie tyle rzeźbia-

[1]) Krasiński, Kilka słów o Juliuszu Słowackim, cytowane u Małeckiego i u Hösicka (Juliusz Słowacki).

rzem, ile właśnie kolorystą w poezyi, gdyż odtwarzał nie tylko linie oraz barwy lokalne, lecz i zmiany, zachodzące w nich pod wpływem większego lub mniejszego natężenia światła, liczył się z perspektywą powietrzną, optycznem działaniem kontrastów etc. Podobnych subtelności kolorystycznych, świadczących o wzorowaniu się na naturze realnej spotykamy u Słowackiego bardzo niewiele. Kiedy niekiedy, dla efektu humorystycznego, zaznaczy on, że pan Rzecznicki, goniąc za porwaną jejmością „butów cholewy pokazuje szare", na ogół jednak nie troszczy się wcale prawie o t. zw. kolory lokalne, zastępując je, że się tak wyrazimy, barwami symbolicznemi, opartemi na analogiach ze lśniącym światem szlachetnych kruszców i drogich kamieni oraz fenomenow astronomiczno-meteorologicznych. Srebro, złoto, rubiny, szafiry, szmaragdy, perły, słońca, gwiazdy, błyskawice, zorze, tęcze, komety, rzadziej—żywo zabarwione materye i kwiaty: oto zjawiska świata zewnętrznego, dostarczające autorowi „Króla-Ducha" materyału do porównań kolorystycznych.

Mówimy: porównań, gdyż Słowacki rzadko odtwarza kolor bezpośrednio, lecz zwykle przedstawia go zapomocą jawnego, a częściej jeszcze ukrytego porównania z przedmiotem, który jest niejako synonimem, krystalizacyą, symbolem danej barwy w jej największej oraz najstalszej świetności i blasku. Kolor żółty więc zawsze prawie pod piórem poety zmienia się w złoto; kolor biały — w srebro, lilię lub alabaster; czerwony — w koral, krew lub różę; zielony — w szmaragd; niebieski — w szafir lub turkus i t. p. Każde ognisko światła staje się słońcem; każdy refleks — błyskawicą; wszelka gra barw — tęczą i t. p. „W Szwajcaryi" płowe sarny przedstawiają się poecie w barwie złota, oczy ich lśnią, jak błyskawice; mgła i śnieg mają kolor srebra; usta kochanki są „z pereł i róży", piersi jej — to „alabastry widne, choć zakryte", łzy jej— to brylanty. We fragmentach z dalszego ciągu „Pana Tadeusza" trznadle są również złote; zimorodek leci „niby anioł w równi złote skrzydła trzymający", Napoleona twarz,

> jak marmur, niezmienna,
> Owszem, rzekłbyś, że bielsza od mrozu — promienna,
> Jak miesiąc złota.

W „Nowej Dejanirze" hr. Respekt każe na cześć gościa z północy srebrnym cukrem wysypać dziedziniec.

Jeżeli w dziełach, odtwarzających życie realne, autor nie tro-

szczy się zbytecznie o realny koloryt, to w poematach fantastycznych roztacza z większą jeszcze swobodą najwspanialsze barwy i blaski, ale barwy i blaski, podniesione do takiej potęgi, że tracą niekiedy zupełnie charakter optyczny, ziemski i zmieniają się w jakieś promieniste emanacye ducha, będące niejako syntezą kolorów i dźwięków z uczuciem i myślą. A określenie powyższe nie jest bynajmniej metaforą.

Słowacki sam zdawał sobie doskonale sprawę z syntetycznej natury swojego języka i stylu i dążył świadomie, o ile tego wymagała potrzeba, do łączenia wrażeń wzrokowych i słuchowych w jedną niepodzielną całość, w jedną subtelną, lśniącą i dźwięczną zarazem tkaninę, w którą odziewał swoje wewnętrzne uczucia, myśli i wizye. Najdoskonalszy typ mowy: język duchów, w których istnienie i działanie wierzył poeta głęboko i szczerze, przedstawia mu się właśnie, jako barwny równoważnik słów, dźwięków i pojęć, działający współcześnie na oko, ucho i serce:

> Gdzieś z ostatecznej krainy zachwyceń
> Przyszły te duchy i nauczyciele,
> Bez słów i dźwięków i bez tych przesyceń,
> Które duchowi są od nauk w ciele.
> Ci — zapomocą różnych się o ś w i e c e ń
> I blasków — szybom podobni w kościele
> Wymalowanym — z myśli tłómaczyli,
> Jak kwiat, gdy zamknie się i znów rozchyli.
> Język z s ł o n e c z n e j był miłości wzięty,
> Nią z ł o t y... gdy się zniżał — m a l o w a n y —
> Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
> I n i e m ó w i o n y, lecz z ducha b ł y s k a n y.
> Jak dziecko krzyczy „ach“ na dyamenty,
> Tu ogień widząc złoty — tam rumiany,
> Bo wszystkich złowić płomyków nie może:
> Tak ja, słysząc twój język ducha, Boże,
> Ścisnąłem chmurę purpurową, chłodną,
> A to ściśnięcie było znakiem słuchu...

W innej znowu strofie „Króla-Ducha”, który jest niewyczerpaną i niewyzyskaną dotąd kopalnią uwag autokrytycznych, poeta powiada:

> Któżby, nie zajrzawszy
> W krainy ducha, wiedział, co to znaczy,
> Że jednych s ł ó w jest k o l o r w oczach k r w a w s z y,
> I n n e—jakoby z t ę c z wite przez tkaczy,

A drugie — całą woń swoją wylawszy,
Gdy przyjdą na ton wieszczowi w rozpaczy,
To w długą rymu kładną się kolumnę
Bezwładne — cicho — jako trupy w trumnę.

Możnaby z tego wnosić, że Słowacki posiadał zdolność „barwnego słyszenia", że pewne dźwięki i pojęcia łączyły się u niego z pewnemi barwami. Fenomen ten, znany w psychologii pod francuską nazwą „audition colorée", istnieje rzeczywiście w formie zaczątkowej prawdopodobnie u większości ludzi, w formie rozwiniętej u wyjątkowo czułych osobników. Zwrócili na to uwagę i romantycy niemieccy, a zwłaszcza genialny nastrojowiec, Hoffman, autor, muzyk i malarz w jednej osobie. Pisze on w fantastycznym pamiętniku, noszącym tytuł „Kreisleriana".

„Nie tyle w marzeniu sennem, ile w stanie półjawy, poprzedzającej zaśnięcie, odkrywam łączność pomiędzy barwami, tonami i woniami. Zdaje się, jak gdyby wszystko to powstało w jednaki, tajemniczy sposób z promienia świetlnego, by się potem skojarzyć w jeden wspaniały koncert".

Otóż analogicznych wrażeń doznawał i Słowacki, jak świadczy nie tylko przytoczona wyżej strofa o „kolorze słów", lecz i ustęp z autobiograficznego felietonu p. t. „Krytyka krytyki i literatury", napisanego dla „Orędownika", ale wydrukowanego dopiero po śmierci poety [1]). W ciekawym tym dokumencie autor „Lilli Wenedy" wyznaje, że przy tworzeniu dzieł „jakieś monotonne usposobienie duszy harmonizuje wszystko i oblewa jedną barwą, tak, iż po napisaniu dziwię się sam kolorytowi, który moje dzieło jedno od drugiego rozróżnia, a wytłómaczyć tego nie mogę inaczej, jak powiedziawszy Wam, że mi się mój „Sen nocy letniej" wydaje błękitnym i księżycowym, a Makbet — szarym i czerwonym obrazem" [2]).

Realność i względną częstość tego zjawiska psychicznego stwierdzono dziś naukowo, a poeci szkoły modernistycznej umieli wydobyć z niego nowe efekty „nastrojowe". Czy odkrycie owej właściwości, zmieniającej się bardzo silnie stosownie do obserwowanego osobnika, odegra w sztuce tak szeroką rolę, jaką jej przypisują

[1]) Staraniem d-ra Bolesława Erzepkiego. Por. Streszczenia i cytaty, podane u Hösicka „Juliusz Słowacki".

[2]) Poeta ukrył się pod maską Szekspira, „Sen nocy letniej" więc oznacza świat duchów w „Balladynie", a „Makbet" jej żywioły i sceny tragiczne.

estetycy najnowszego kierunku [1]), tego rozbierać nie będziemy, wystarczy nam stwierdzenie faktu, że Słowacki i na tym punkcie był poprzednikiem modernizmu oraz że „słyszenie barwne" wpłynęło do pewnego stopnia na charakter jego poetycznego kolorytu. Niedarmo więc Krasiński nazwał Słowackiego muzykiem, w którego muzyce płyną farby, „niesione tonami".

Nie znaczy to wcale, żeby w wyobraźni autora „Króla-Ducha" dany dźwięk zlewał się stale i ściśle z jedną i tą samą barwą i żeby ta barwa nie miała absolutnie żadnego objektywnego i genetycznego związku z pojęciem, jakie ów dźwięk przedstawia. Nie, „słyszenie barwne" nie jest u Słowackiego, jak u „instrumentystów" francuskich zasadą estetyczną, do której poeta się formalnie stosuje;

---

[1]) Przybyszewski powiada: „Dźwięk może i rzeczywiście wywołuje potopy barw, woń jakiegoś kwiatu wywołuje zupełnie przeciwnie konglomeraty wrażeń, a zaledwie dostrzegalny przebłysk jakiejś barwy może w nieświadomości (t. j. w bezwiednych głębinach duszy) wywołać całe życie w nieskończonej perspektywie. A więc zasadniczą cechą „nowej" poezyi, nowych prądów jest odtwarzanie wrażeń według ich uczuciowego powinowactwa, bo dwa różne wrażenia mogą mieć ten sam uczuciowy rdzeń".

Przybyszewski bierze kwestyę z najogólniejszego stanowiska, kładąc nacisk tylko na niewątpliwe pokrewieństwo uczuciowe różnorodnych wrażeń zmysłowych, ale nie wchodząc w szczegóły konkretne. Francuzi jednak próbowali zbudować na zjawisku „słyszenia barwnego" całą estetykę. Za punkt wyjścia posłużył im znany sonet jednego z pierwszych symbolistów, Artura Rimbaud, który półżartem, półseryo połączył dźwięki samogłosek z pewnemi barwami w stałe pary wrażeniowe: A miało być czarne, E — białe, I — czerwone, U — zielone, O — niebieskie.

> *A* noir, *E* blanc, *I* rouge, *U* vert, *O* bleu, voyelles,
> Je dirai quelque jour vos naissances latentes
> A. noir corset velu des mouches éclatantes,
> Qui bombillent autour des puanteurs cruelles,
> Golfe d'ombre, *E* candeur des vapeurs et des tentes
> Lance des glaciers fiers, rois blancs, frissons d'ombrelles,
> *I*, pourpres, sang craché, rire des lèvres belles
> Dans la colère ou les ivresses penitentes;
> *U*, cycles, vibrements divins des mers virides
> Paix des patis semés d'animaux, paix des rides
> Que l'alchimie imprime aux grands fronts studieux;
> *O* — supreme Clairon, plein de strideurs étranges
> Silences traversés des Mondes et des Anges:
> *O* — l'omega rayon violet de ses yeux.

Sam autor tej dowcipnej błyskotki nie uważał swego subjektywnego przekładu dźwięków na barwy za powszechnie obowiązujący; Gustaw Kohn nazywa

nie jest również objawem anormalnym, zbliżającym się do granic patologicznych, nie: jest to tylko nadzwyczajna czułość, bezprzykładna zdolność chwytania i odtwarzania tajemniczego, a jednak rzeczywistego związku, istniejącego pomiędzy wszystkiemi wrażeniami zmysłowemi.

Zdolność tę posiadają w mniejszym lub większym stopniu wszyscy prawdziwi poeci, gdyż ostatecznie cała technika poetycznego odtwarzania zewnętrznych przedmiotów czy stanów wewnętrznych ducha polega na budzeniu w umyśle czytelnika odpowiednich wyobrażeń zapomocą rytmicznej i logicznej kombinacyi słów. A cóż to jest słowo? Jest to dźwiękowa krystalizacya, streszczenie całego szeregu procesów psychicznych, jest to suma olbrzymiej masy wrażeń różnorodnego typu, zaklętych w jeden ton. U każdego więc artysty, który posługuje się mową, jako materyałem twórczym, słowa, będąc dla większości ludzi tylko suchemi abstrakcyami, zmieniają się w żywe istoty, w ogniska różnorodnych bodźców psychicznych, w mistyczne źródła, skąd płyną współcześnie barwy, dźwięki i wonie.

Jeden atoli z poetów, jak np. Mickiewicz, więcej kładzie nacisku na p r z e d m i o t o w y związek dźwięku i rzeczy, ukryty w każdem słowie; drugi, jak Słowacki, postępuje z pewną, niekiedy znaczną dowolnością i, nie troszcząc się zbytecznie o najbliższą i najlogiczniejszą, że tak powiemy, asocyacyę dźwięku słownego z zawartem w jego ramach pojęciem, szuka pokrewieństw dalszych, mniej znanych i widocznych dla ogółu. Dlaczego jeden wybiera taką, a drugi inną drogę, to tajemnica ich organizacyi psychicznej, którą można stwierdzić, ale trudno zbadać. W każdym razie właściwość podobna stoi zawsze w ścisłym związku z ogólnym charakterem twórczości danego poety.

---

ten sonet „paradoksem, wykładającym jedną z możliwych harmonii rzeczy“. René Ghil atoli stworzył, wychodząc ze spostrzeżeń zawartych w wierszu Rimbaud'a, całą poetykę „ewolucyjno-instrumentacyjną“, utożsamiając dźwięki samogłosek z kolorami z jednej, a instrumentami muzycznymi z drugiej strony: U — miało odpowiadać kolorowi złota i brzmieniu trąb, klarnetów, I — to błękit, a zarazem dźwięk kontrabasu i skrzypiec, etc. etc. Błąd powyższej teoryi polega na tem, że wyniki wrażeń subjektywnych podnosi do godności zasady ogólnej i że na jednym d r u g o r z ę d n y m czynniku buduje ciasny systemat obejmujący całą twórczość poetycką. Swoją drogą nie podobna zaprzeczyć, że kojarzenie barw z dźwiękami i pojęciami może być źródłem ciekawych efektów stylowych i nastrojowych. Przekonamy się o tem, rozpatrując w dalszym ciągu poezye Słowackiego.

II.

Każda rzecz, na którą Słowacki patrzy, wyjątkowo tylko przedstawia mu się w swojej naturalnej, pospolitej, elementarnej postaci. Wyobraźnia poety przerabia w tej chwili odebrane wrażenie na coś nowego, niezwykłego i często bardzo odległego od prawdy realnej. Jeżeli Mickiewicz porównał karczmę żydowską „z przodu do korabia, a z tyłu do świątyni", w dalszym zaś ciągu do „Żyda, gdy się modląc kiwa" — to w porównaniach tych nie zatracił ani jednego charakterystycznego szczegółu rzeczywistości, tylko spotęgował i ożywił wrażenie, jakie na każdym widok podobnego budynku sprawia. Słowackiemu drewniana oberża, w której rozlega się wesoły gwar tańczących, nasuwa na myśl „skrzypce olbrzyma, napełnione Mirmidonami" (Listy II, 204). To porównanie jest tak niespodziewane, tak mało ma związku z istotą opisywanego przedmiotu, że budzi nie jego obraz, lecz szereg wrażeń ogólniejszej natury: nasuwa jakieś wspomnienie bajek o wielkoludach, igrających z lilipucim rodem człowieczym, jakieś mgliste refleksye o słabości i lekkomyślności naszej i t. p.

Smugi deszczu są u Słowackiego „strunami"; chmura ćwierkających wróbli — „harfą szarą"; szkło, gdy pęka „nie mogąc wytrwać ogniowi" — „staje w *gwiaździstych ranach*", stary połatany płaszcz rapsoda zmienia się w „błękitną chmurę", jego noga

> Bosa dziś *świeci* przed memi oczyma
> W obwiązkach *srebrna*, jak *muszla pielgrzyma*.

Najpospolitsze zjawisko, obraz, czyn zmienia się pod piórem poety w coś wytwornego, eterycznego i — niezwykłego. Zamiast życzyć nikczemnikom haniebnej śmierci, powiada, że „radby uczynić ich na lauru drzewie — liśćmi". Księżyc, „idąc po fali", nie błyszczy poprostu, lecz „szeleści złotem". Słowem autor „W Szwajcaryi" umie, że użyjemy staroświeckiego wyrażenia, „w przyjemny sposób zadziwiać" — co Novalis uważał za istotę poetyki romantycznej, twierdząc, że zadaniem artysty jest „uczynić dany przedmiot nowym, obcym, a zarazem znanym i pociągającym"[1]).

---

[1]) Die Kunst auf eine angenehme Art zu *befremden*, einen Gegenstand *fremd* zu machen und doch bekannt und anziehend — das ist die romantische Poetik. Novalis Schriften II, 264. Wiedeń, 1820.

Traktowanie kolorów stanowi u Słowackiego tylko szczególny przypadek owej ogólnej metody subjektywnego traktowania rzeczywistości. Jeżeli Mickiewicz, opisując strumyki wódki, miodu i piwa, lejące się z beczek, mówi:

Jeden biały, jak srebro, krwawnikowy drugi,
Trzeci żółty: troistą w górze grają tęczą,

to obraz ten, potęgując barwne wrażenie rzeczywistości, nie odbiega od niej zbyt daleko. Słowacki bez wątpienia nie byłby tak dyskretnym w koloryzacyi: zamiast powiedzieć biały, jak srebro — powiedziałby wprost srebrny, a zamiast żółty — złoty lub słoneczny. Wogóle, jak wiemy, lubi on brać *maximum* barwy pokrewnej danemu kolorowi lokalnemu i w dodatku używa zawsze prawie barw lśniących, dających silne, ale jednostajne refleksy i słabo się zmieniających pod wpływem różnic„ oświetlenia. Nie tylko w oczach bohaterów i bohaterek widzi gorejące rubiny lub łagodne ametysty: prosty bocian, który zbudował gniazdo na kominie chaty wieśniaczej, daje mu temat do odegrania całej symfonii kolorów.

Dziś jeszcze widzę — jakby w tajemnicy
Najgłębszej ducha mojego — tę chatę
Na szmaragdowych łąkach, przy Kruszwicy,
Zapraszającą bociany skrzydlate.
Kat wielki wężów, król tej okolicy,
Miał gniazdo trawy srebrnemi brodate,
Dziwnie świecące, na wysokiej tyce —
Koło ubrane w komina iskrzyce.
Nie szkodziły mu jednak ognie złote,
Lecz, jako źródło, szły prosto do góry
I, przebiwszy się przez dymu ciemnotę,
Czyniły różę ognistą z purpury.
Widziałem dziwną aniołów robotę
Około ptaka, ich tęczowe sznury,
Czyniące nieraz, ze chata — kościołem,
Koło miesiącem było, ptak — aniołem.

Ten cudny wytrysk barw i płomieni zniszczył prawie bez śladu prosty i szary obrazek rzeczywistości, stawiając na jego miejscu jakieś czarodziejskie widziadło.

Dla czego jednak, pomimo że Słowacki używa stale niewielkiej względnie liczby jednych i tych samych barw o najwyższem natężeniu, nie harmonizując ich, jak malarze i Mickiewicz, przez uwzględnienie perspektywy powietrznej i warunków oświetlenia, dlaczego,

mimo to wszystko, nie wpada w dekoracyjną monotonność? Dlaczego, operując prawie ciągle „jubilerskim" materyałem plastycznym, tworzy coś więcej nad bogate naszyjniki i przecudowne ornamenty? Jakim sposobem trafia zapomocą tych olśniewających, potężnych, ale chłodnych i jednostajnych barw do głębin naszej duszy, roztwierając przed nią mistyczne horyzonty uczuć i myśli?

Dlatego, że Słowacki, pomimo dekoracyjnej formy, nie jest dekoratorem, tylko poetą w najgłębszem znaczeniu tego wyrazu, że, sypiąc garściami perły, dyamenty i złoto, czyni to nie dlatego jedynie, by upajać siebie i czytelnika ich wspaniałością, lecz dlatego, żeby z przeczystej, kryształowej barwy i blasku tych szlachetnych kamieni i kruszców tkać szatę dla swoich wizyi wewnętrznych. Wizye te są niekiedy tak dalekie, tak różne od rzeczywistości, że, gdyby je odziać w kolory pospolite, straciłyby swój właściwy nadziemski charakter; są zaś współcześnie tak potężne, tak zindywidualizowane, że niepodobna ich było rozwiewać zupełnie w bladą, bezbarwną i bezkształtną mgłę. Pozostawała jedna droga: wybrać barwy bogate, szlachetne, rzadkie, a zarazem przezroczyste, trwałe, jednolite i sprawiające wrażenie samoistnych źródeł światła. Takich barw właśnie dostarczyły poecie drogocenne minerały, zjawiska meteorologiczne, a po części i kwiaty. I dlatego można o wszystkich fantastycznych postaciach poety powiedzieć to, co on sam mówi o duchach, dających nauki Popielowi:

> Ci — zapomocą różnych się oświeceń
> I blasków — szybom podobni w kościele
> Wymalowanym — z myśli tłómaczyli,
> Jak kwiat, gdy zamknie się i znów rozchyli.

Rzeczywiście, wizye Słowackiego podobne są pod względem plastycznym — do witraży kościelnych.

Harmonijność kolorytu tych barwnych, a zarazem nie realnych tworów, osiąga poeta nie na drodze malarskiej, lecz na drodze muzyczno-lirycznej. Jeżeli nie pojedyńcze pojęcia i uczucia, to pewne typy pojęć i uczuć kojarzą się u niego często z pewnymi typami ulubionych barw. Rubin, purpura są u Słowackiego synonimami czy symbolami potęgi i grozy tragicznej. Złowrogi i dręczony walkami wewnętrznemi tytan, Popiel, mówi, że mu

> W powiekach rubin i błysk dziwny gore,
> Powieki nożem zdają się przecięte,
> A przez czerwoną rubinową korę
> Patrzy duch, widmo przeszłości przeklęte.

Duch ów, który za życia „tłoczył purpurowe ślady”, przyjmuje w świecie zagrobowym kształt chmury purpurowej; wspomnienia jego zbrodni biegają za nim, jako światła, sny, upiory czerwone (Król-Duch). Niekiedy, jeżeli idzie o potęgę tragiczną, znajdującą się w stanie upadku, poeta łączy purpurę z kolorem zielonym. Czarownica Pycha, ginąc, ukazuje „na prześcieradle ognistej purpury — twarz zielonego, jak trupi, koloru”. Ametyst symbolizuje łagodność i czystość:

> czysta z najczystszych na ziemi
> Stała z oczyma, w ziemię spuszczonemi:
> Dwa z ametystów blaski, jak z krynicy,
> Lały się ciągle, choć rzęsą pokryte.

Złoto, którego poeta bardzo często używa i nadużywa, mniej ma określoną rolę, choć przeważnie występuje, jako barwa połączona z wyobrażeniami dodatniemi: „Napoleon ma twarz złotą”, kochanka jest „złotym snem”, „złotym aniołem”, tradycye ludowe są złotymi upiorami i t. p. i t. p.

Naturalnie, nie twierdzimy wcale, że Słowacki nie odstępował nigdy od tego symbolizmu barw, że zawsze pewne wyobrażenia przybierały taki, a nie inny charakter kolorystyczny. Nie o to nam zresztą w gruncie rzeczy idzie. Chcieliśmy tylko dowieść powyższemi cytatami, że dany kolor nigdy nie był użyty li tylko dla efektu, dla ozdoby, dla podniesienia blasku wiersza, lecz że zawsze uzmysławiał jakieś wrażenie wewnętrzne, wypowiadał jakieś uczucie.

Słowacki nie osadzał w swoich strofach pereł i rubinów, jak jubiler, nie troszcząc się o nic innego, prócz dekoracyjnej harmonii plam, lecz używał ich jako środków charakterystyki psychologicznej, jako czynników do spotęgowania nastroju duchowego.

Ze stanowiska realnego, człowiek o złotej czy zielonej twarzy i rubinowych, ametystowych lub bursztynowych oczach może się wydać absurdem; ze stanowiska czysto malarskiego podobna surowa kombinacya jaskrawych kolorów może być grzechem przeciwko harmonii kolorystycznej — to prawda, ale Słowacki nie jest ani realistą, ani kolorystą, lecz poetą subjektywnym, który posługuje się barwami nie dlatego, żeby wywoływać złudzenie wzrokowo-plastyczne, lecz dlatego, żeby budzić uczucia, podobne do tych, jakie w nim samym zrodziła pewna myśl, idea, wizya, wrażenie. Charakter i ton danej barwy dostraja się zawsze znakomicie do charak-

teru i tonu danego zdania, strofy, poematu; kolory przystosowują się do pojęć i dźwięków, harmonia muzyczno-liryczna dominuje nad harmonią malarską. Twierdzenie to nie jest pustym frazesem, lecz faktem, którego istnienie można z łatwością stwierdzić, wczytując się z uwagą w dzieła Słowackiego. Jeżeli elegijna tęsknota „W Szwajcaryi" przetapia się w barwy błękitu, srebra i kryształów, jeżeli w gromowych rapsodach „Króla-Ducha" dźwięczą tony „purpurowe", to w razie potrzeby poeta umie złagodzić albo przyćmić blask tych kolorów i nadać im brudną matowość i szarość. Tak np., kiedy Popiel, spełniwszy miliony ohydnych zbrodni, jedzie mordować swego najlepszego przyjaciela i najwierniejszego sługę, wojewodę Śwityna, autor daje tyranowi — twarz z grynszpanu i odziewa go w ciemny hełm ołowiany.

> Ja przodem. W czerep czarny ołowiany
> Ukrywszy głowę moją, jak w kapturze:
> Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany,
> Twarz mieć, jak grynszpan, wzrok, jak ogień w chmurze.

Dlaczego autor, który żywy kolor łąk i drzew zestawia zwykle ze szmaragdem, wziął tym razem za termin porównawczy grynszpan? Dlaczego kładzie Popielowi na głowę nie stalową, żelazną, miedzianą, srebrną, lecz ołowianą przyłbicę, kiedy wie o tem, że hełmów z ołowiu robić nie można, gdyż metal ten jest za ciężki, za miękki i za kruchy do podobnego użytku? Czy to kaprys, przypadek? Nie. Bo ta grynszpanowa twarz i ten kaptur ołowiany powracają później kilkakrotnie; poeta kładzie nacisk na te materye i barwy, łącząc ich brud, szarość i jadowitość ze stanem duszy zbrodniarza w danej chwili. Popiel, mocując się niedługo potem, z zesłaną przez Boga kometą „trawi ją jadów duchowych grynszpanem", a „sto tysięcy iskier, idących od cudownej gwiazdy, przenika ołowiany kaptur", pokrywający mu głowę. Nawet duch tyrana, ukazując się dla postrachu wojewodom, przybiera kształt „czarnego upiora" w ołowianym kapturze.

Tak więc, jak kolory jasne, lśniące i czyste łączą się u Słowackiego najczęściej z wrażeniami natury podniosłej, tak kolory matowe, ciemne, pospolite uzmysławiają nizkość, zbrodniczość, ohydę moralną lub też wogóle brak wyższych duchowych przymiotów. Pogardzony przez aniołów Wodan jest „czarny, jako stal — ciemny, jak mogiła"; Ziemowit zaś, cnotliwy brat jego — to „róża rozkwitła i świeża". Ale dlaczego tym razem czarny, jako stal, a nie, jak ołów? Bo Wodan nie jest świadomym siebie tyranem, zło-

czyńcą, zabójcą, tylko żywiołowym reprezentantem pogańskich, przeżytych już, ale, bądź co bądź, nie zbrodniczych sił ducha. Jakkolwiek więc w stosunku do nowych chrześcijańskich idei należy uważać Wodana za potęgę ciemną, nie można jednak skazywać go na nienawiść i pogardę.

Podobnych subtelności kolorystyczno-symbolicznych znajdziemy u Słowackiego, zwłaszcza w „Królu-Duchu", całe szeregi. Jedna i ta sama postać może występować w rozmaitych oświetleniach, zależnie od uczuć, jakie w danym momencie budzi w sercu poety. Jeżeli, malując Popiela, Słowacki widzi w nim tylko wcielenie okrucieństw i zbrodni, to odziewa go w barwy mętne i brzydkie; skoro zaś przypomni sobie o tem, że poza krwawym tyranem ukrywa się wielki działacz ewolucyjny, kujący tytaniczną dłonią formy dla przyszłych przeobrażeń społecznych — otacza go w tej chwili tragiczną aureolą purpury i błyskawic. Poeta zdaje się uznawać mistyczną hierarchię barw, blasków, kryształów i kruszców [1].

Czem jest rząd dany k r u s z c o w i z ł o t e m u
    Nad metalami, czem k r y s z t a ł y s ł o n e
Muszą ustąpić dyamentowemu,
    Czem gasną ś w i a t ł a na s ł o ń c u czerwone,
Tem właśnie święty głos ducha przemaga,
    Że w nim jest c z y s t o ś ć cudowna i waga.

Strofa powyższa jest poniekąd kluczem do zrozumienia tajników symboliki kolorystycznej Słowackiego. Uzmysławiając uczucia swoje, czy bohaterów, stosuje on poprostu hierarchiczną skalę barw do hierarchicznej skali stanów psychicznych.

„Cudowna czystość i waga uczuć" znajduje wyraz w czystości i blasku porównywanych z nimi przedmiotów i odwrotnie, mętność i nieszlachetność namiętności odbija się w szarzyźnie i brudzie łączonych z nią kolorów.

Naturalnie, że koloryzacya oparta na takiej symbolicznej, nie optycznej podstawie, nie może mieć nic wspólnego z kolorytem w malarskiem tego słowa znaczeniu. Że, pomimo to, koloryt Sło-

---

[1]) Słowacki wierzył rzeczywiście w ciągłą ewolucyę ducha, który, zamknięty początkowo w skałach, dążył, przybierając co raz to piękniejsze, wyższe i subtelniejsze formy do stworzenia człowieka, by w jego ciele oczyścić się stopniowo z więzów materyi i osięgnąć zupełne zupełne wyzwolenie. Por. „Genezis z Ducha" oraz Ign. Matuszewski. Swoi i Obcy, str. 233, 270.

wackiego sprawia na czytelnika silne wrażenie, pochodzi to z dwu przyczyn.

Po pierwsze, poeta nie posługuje się swemi ulubionemi barwami dowolnie i kapryśnie, lecz trzyma się pewnej, subjektywnej, rzecz prosta, ale stałej metody logicznej. W skutek tego każdy blask, czy cień, mający wyrażać coś więcej nad zwykłe zjawisko optyczne, nie bywa rzucany nigdy na martwą i gładką płaszczyznę, lecz złączony ściśle z uczuciową — choć niekoniecznie z plastyczną — całością danego ustępu, wiersza, strofy, charakterystyki etc. Każdy rubin ametyst, perła, metal nie tylko błyszczy, lecz, dzięki dopasowanej odpowiednio oprawie rytmicznej i psychologicznej — dźwięczy i mówi. Każda barwa jest współcześnie tonem; za każdą — ukrywa się jakaś myśl lub uczucie; każda poddaje czytelnikowi nie tylko wrażenie wzrokowe, lecz i muzyczne i ideowe. Kiedy Popiel postanowił

> Niebiosa zatrwożyć,
> Uderzyć w niebo tak, jak w tarczę z m i e d z i,
> Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć
> I kolumnami praw, na których siedzi
> Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
> Aż się pokaże Bóg w niebiosach — b l a d y.

To porównanie sklepienia niebios do dźwięcznej, czerwonej tarczy miedzianej, w którą bezbożna pięść tytana uderza, potęguje grozę i podniosłość obrazu. Czytelnik s ł y s z y przeciągły, ponury, metaliczny odgłos zuchwałego uderzenia, którego echa zdają się wstrząsać fundamentem świata, i widzi, jak się zełżone niebo rumieni z gniewu.

Sprobujmy zamiast „tarczy z m i e d z i" podstawić tarcz ze złota, srebra, stali, żelaza — a wrażenie zniknie. Tylko krwawa czerwoność miedzi w połączeniu z posępnym, żałobnym charakterem jej brzmienia daje obraz, odpowiadający tragicznemu nastrojowi momentu, który dochodzi do szczytu w chwili, kiedy poeta zbliża do siebie pojęcie najpotężniejszej istoty z barwą, będącą synonimem ziemskiej słabości i przerażenia. Bóg w niebiosach blady — to *contradictio in adiecto*, to nielogiczność. Ale właśnie ta nielogiczność życzenia maluje wybornie nastrój duszy Popiela, który nie walczy z Bogiem o władzę, jak szatan, lecz pragnie się przekonać, czy ma nad sobą kogoś, kto czuwa i sądzi jego czyny. I całą tę walkę wewnętrzną, to zwątpienie, oddaje poeta w jednem zdaniu, w jednym wyrazie prawie, postawionym w odpowiedniem otoczeniu i zamyka-

jącym strofę, jak rzeźbiony dziwacznie zwornik zamyka sklepienie gotyckie.

Przeczytajmy teraz strofę o biegunowo odmiennym nastroju:

> W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
> Gdzie wiecznie smutno, posępnie i głucho,
> Ja, rycerz, jako śpiąca nawałnica,
> Z otwartą, szklaną źrenicą i suchą,
> A ty, jak moja smętna czytelnica,
> P e r ł a p o p e r l e t o n l e j ą c a w u c h o,
> Taka wyrazów i pieśni mistrzyni,
> Że pieśń z tysiąca lat... chwilę... uczyni!

Jest to poetyczna krystalizacya tęsknoty do spokoju, marzenie o stanie jakiejś błogiej, półsennej bezczynności, kiedy kontemplacya myślowa zastąpi zupełnie miejsce brutalnych czynów i męczących wysiłków woli: kiedy znużony bohater, niby „śpiąca nawałnica”, będzie wolał słuchać dziejów, niżeli je tworzyć. Zauważmy teraz, jąką rolę w tej oktawie odgrywa wiersz, w którym poeta zestawia tony pieśni, lejące się wolno, jeden po drugim w ucho — z p e r ł a m i.

Czysty, szlachetny, ale zmatowany nieco blask tych klejnotów, ich przytłumiony, dyskretny szmer przy uderzeniu o siebie, łagodnie zaokrąglona i jednostajna forma — wszystko to razem tak doskonale roztapia się w elegijnym nastroju muzycznym całej strofy, a zarazem nadaje mu tak silny wyraz plastyczny, że niepodobna sobie wyobrazić w danym wypadku właściwszego i wymowniejszego obrazu czy symbolu nastrojowego. Gdyby poeta, zamiast pereł, użył brylantów, rubinów, szmaragdów i gdyby nawet zdołał je wtłoczyć w ramy tegoż samego cudownego rytmu, efekt byłby bezwarunkowo inny i pod względem muzycznym i kolorystycznym. Inny i słabszy, bo nie odpowiadałby tak ściśle psychicznemu nastrojowi całości.

Przeczytajmy tylko głośno wspomniany wiersz:

> Perła po perle ton lejąca w ucho...

i zestawmy go z cytowanym poprzednio:

> Uderzyć w niebo tak, jak w tarczę z miedzi...

W pierwszym zachwyca nas jakaś leniwa miękkość i senna płynność; drugi brzmi szorstko, energicznie, surowo. Pierwszy działa na ucho, jak melodyjna kołysanka, drugi, jak dzwon alarmowy;

pierwszy śpiewa, drugi grzmi i huczy; pierwszy odurza i obezwładnia, jak rozkoszny narkotyk, drugi wstrząsa i niepokoi.

Zależy to bezwątpienia od różnicy w rytmie, od rozkładu akcentów, od powtarzania pewnych samogłosek i spółgłosek; zależy również od treści myślowej każdego wiersza, ale, jak wykazaliśmy wyżej, niemałą rolę odgrywają tu obrazy i barwy, które poeta z pojęciami i dźwiękami połączył.

Otóż właśnie ta umiejętność harmonijnego dostrojenia barwy do muzycznego i duchowego tonu danego wiersza, ta fenomenalna zdolność chwytania pokrewieństw pomiędzy kolorem, dźwiękiem a pojęciem jest jedną z przyczyn, dzięki którym poezye Słowackiego sprawiają tak silne wrażenie nie tylko uczuciowe, myślowe oraz akustyczne, ale do pewnego stopnia i — optyczne.

Ten pośredni, że tak powiem, czynnik uplastyczniania nastrojów byłby może nie wystarczającym, gdyby mu nie przyszedł w pomoc drugi, a mianowicie: wielkie poczucie ruchu i linii.

Słowacki nie jest kolorystą w znaczeniu malarskiem, nie jest także rzeźbiarzem, nie umie rozkładać i oświetlać plam barwnych w przestrzeni, ani modelować brył — to prawda, ale jest wybornym rysownikiem: chwyta i odtwarza doskonale kontury zjawisk, na które patrzy lub które sobie wyobraża.

Ta właściwość jego talentu występuje nie tylko w utworach realistycznych i historycznych, jak „Złota czaszka", „Horsztyński", „Niepoprawni", „Mazepa" etc., ale i w poematach fantastyczno-symbolicznych, jak „Anhelli" i „Król-Duch". Dana postać może być niejasną i rozwianą w treści duchowej, może się niezupełnie tłómaczyć pod względem logicznym, może być paradoksalną, dziwaczną, nienaturalną, może nie zawierać ani odrobiny tego, co nazywamy zwykle „prawdą objektywną, realną", może być pozbawiona ciała i krwi i składać się z samych mistycznych promieni i blasków, może być lotną i mglistą, jako istota, a mimo to zawsze posiada ostre, wyraźne kontury linijne, jak je posiadają figury, wycinane na lśniącej, twardej, przezroczystej powierzchni kryształów.

Można się spierać o ideowe znaczenie Anhellego, Eloi, Popiela, Rzepichy, Wodana, ale niepodobna zaprzeczyć, że każda z tych postaci, pomimo swej eteryczności, ma określone i zindywidualizowane zarysy i że się odrzyna, niby błyszcząca inkrustacya, od ogólnego tła opowieści.

Toż samo, cośmy powiedzieli o rysunku pojedyńczych figur, da się zastosować w zupełności do scen zbiorowych i do całej akcyi epicznej poematów. Pomimo niezwykłej, nieprawdopodobnej, nadprzyrodzonej treści, w której pierwiastki mistyczne dominują nad

realnymi, poeta nigdy nie traci poczucia jasności konturów, nie wpada w chaotyczność, mętność, nie gmatwa linii w nierozwikłane kłębki. Oto jeden z licznych opisów, zawartych w „Królu-Duchu":

Na dworach wówczas nasze wojewody
    Trzymali sobie nadwornych gęślarzy,
Ci byli, jako rycerstwa Rapsody,
    Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy;
Jako pancerze srebrne, długie brody
    Na piersiach mieli, a słoneczność w twarzy;
Liry nosili małe, ale sławne.
W koral lub srebro, lub w bursztyn oprawne.

W ręku trzymali, niby pastorały,
    Długie, wierzbowe, ostrugane kije.
Tymi, bywało, chłopczyków chorały
    Pędzą... i wiodą takt przez harmonie;
A kiedy w górę kij podniosą biały..,
    Wtenczas z chóralnej pieśni piorun bije·
A kiedy spuszczą na dół berło dziada—
To na kolana pieśń, jak anioł, spada.

Czyż linie i kontury tego obrazu nie odznaczają się idealną czystością, subtelnością i wyrazistością?

Weźmy teraz wyjątek z cudownej w pomyśle i w wykonaniu sceny, kiedy Bolesław Śmiały, mając wydać sąd o kwiatach, przyniesionych przez zalotną mieszczkę, Krystynę, wzywa pomocy pszczół, które

Niewielkie to u mądrych dziwo.
Wybrały kwiatów girlandę prawdziwą.

Zrazu brzęk tylko w różach, i organki
    Głosów z lilii szły, jak źródło szemrze,
Nagle z c z e r n i a ł y one jasne wianki,
    Z g r u b i a ł y i z ł e s t a ł y s i ę, j a k w ę ż e...
Potem brunatno-złoty włos mieszczanki
    Zabrzęczał! Jak chłop, gdy rzuca oręże,
Gdy opadnięty jest gdzie na podjazdach:
Tak biegła na mnie w pszczołach — niby w gwiazdach...

Opis ten, jak zwykle u Słowackiego, przemawia współcześnie do oka i do ucha: słyszymy brzęk i widzimy rojenie się całej masy pszczół, które obsiadają gromadą wieniec żywych kwiatów i nadają mu pozór grubego węża. Porównanie jest oryginalne i wyszukane, ale pod względem rysunkowym bardzo wymowne i wyraziste.

A teraz weźmy motyw ruchu. Oto jedna z wielu charakterystycznych strof „Króla-Ducha”.

A cóż dopiero, gdy ja groźne lice
Odkryłem, z hełmu spojrzałem surowo
I, połamawszy miecza, w błyskawicę
Cisnąłem jego kawałki nad głową;
Nade mną ducha mrok i złote świece
Miecza nad kitą moją purpurową,
Jak zawierucha olimpijska, wstały —
Mój duch na hełmie stanął w ogniach cały.

Ile siły, ruchu i blasku zamknął poeta w tych ośmiu wierszach! Widzimy gniewnego zdobywcę, jak łamie z wściekłości miecz i rzuca jego lśniące szczątki w górę, otaczając czerwony pióropusz swego hełmu aureolą stalowych połysków. Nie jest to obraz epiczny, pełny, wykończony, wypukły, logiczny, lecz jakiś gwałtowny wybuch siły, jakieś *fortissimo* błysków i ruchów, które działa na wzrok oślepiająco.

Wszystko to jednak były obrazy, jeżeli nie realne, to w każdym razie związane z kształtami, mającymi pewne, choćby odległe, analogie w swiecie realnym. Spójrzmy teraz na obraz zupełnie fikcyjny, a mianowicie na słynne porównanie siedliska duszy do tęczowej kopuły (Beniowski):

O tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem,
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa,
Serce wygląda, jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca;
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz, kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów, ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz, jak niebo, nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją, i serce, które biedna chowa,
Jak smętny łabędź pod skrzydły białemi...
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

I tutaj barwy lśniące, choć dobrane ściśle do nastroju metafory, osadzone zostały w rysunek, złożony z linii delikatnych, ale wy-

raźnych, czystych i tworzących doskonałą całość architektoniczną i perspektywiczną.

Niema więc wątpliwości, że Słowacki posiadał zdolność optycznego uzmysławiania swoich wizyi, że więc był do pewnego stopnia plastykiem. Czy posiadał jednak tyle zdolności plastycznych, żebyśmy mieli prawo zaliczyć go do epicznego typu artystów, w rodzaju Homera? Stanowczo nie. Czy zdolności plastyczne i muzyczne równoważyły się u niego przynajmniej tak, jak u Dantego lub Szekspira? Także nie.

III.

Chcąc poznać dokładniej złożoną naturę twórczości Słowackiego, niepodobna poprzestawać na analizie czysto estetycznej, lecz trzeba wziąć do pomocy wyniki badań ogólno-psychologicznych.

Znany uczony, Th. Ribot, w swojej poważnej i pouczającej monografii „O wyobraźni twórczej" [1]) dowodzi bardzo słusznie, że za podstawę do klasyfikacyi typów nie podobna brać jedynie materyałów, jakimi się artyści, myśliciele czy wynalazcy posługują, „ten sam rodzaj wyobraźni konstrukcyjnej bowiem może się uzmysłowić zapomocą dźwięków, słów, barw, linii, a nawet liczb" (str. 150). Nie przedmiotowe więc, lecz podmiotowe, indywidualne cechy rozstrzygają o typie, do jakiego dany twórca należy. Otóż rozpatrywane z tego stanowiska wszystkie indywidualności, obdarzone wyobraźnią twórczą, dadzą się według Ribota podzielić na dwie klasy: na typy o wyobraźni zewnętrznej i na typy o wyobraźni wewnętrznej.

Typ pierwszy operuje głównie wrażeniami, odbieranemi od świata realnego, typ drugi czerpie pokarm ze wzruszeń, zrodzonych w głębi własnej jaźni. Podział ten, obejmujący u Ribota wszelkie rodzaje wyobraźni, zarówno artystycznej, jak i metafizycznej, naukowej, mechanicznej, życiowo - praktycznej etc., odpowiada w estetyce podziałowi na typy epiczno-plastyczne i liryczno-muzyczne.

Psycholog francuski zbliża się jeszcze więcej do tej klasyfikacyi, określając właściwości głównych odłamów wyobraźni zewnętrznej i wyobraźni wewnętrznej. Imaginacya zewnętrzna prze-

---

[1]) Essai sur l'imagination créatrice par Th. Ribot, Membre de l'Institut Professeur au collège de France (Paris. Felix Alcan, 1900. str. 304).

jawia się najczęściej, jako imaginacya plastyczna, za której cechę zasadniczą uważa Ribot jasność i wyrazistość wyobrażeń, bez względu na ich naturę, oraz przewagę asocyacyi objektywnych i dających się ściśle określić [associations à rapport objectifs, determinables avec précision, str. 153]. Dominują w niej przedewszystkiem wyobrażenia wzrokowe, następnie zaś ruchowe i dotykowe, słowem wyobrażenia, związane z poczuciem i pojęciem przestrzeni.

Biegunowe przeciwieństwo wyobraźni plastycznej stanowi, według Ribota, imaginacya rozlewna (diffluente), która dąży do uwolnienia się z więzów przestrzeni, nie używa obrazów jasnych, konkretnych, określonych i nie kojarzy ich z sobą według naturalnego objektywnego pokrewieństwa, lecz według subjektywnego upodobania i nastroju duchowego twórcy.

Najczystszym może, chociaż zarodkowym tylko typem tej wyobraźni jest marzenie, senne czy półsenne, zupełnie zaś rozwiniętą i skończoną formę przybiera imaginacya rozlewna w muzyce, która wyraża z największą swobodą podmiotowe stany i wzruszenia wewnętrzne duszy ludzkiej.

Jako dalsze odmiany wyobraźni rozlewnej wymienia badacz francuski usposobienie romansowe (l'esprit romanesque), usposobienie chimeryczne (l'esprit chimerique) etc., a za typ pod wieloma względami pokrewny uważa imaginacyę mistyczną.

Imaginacya artystyczna jest tylko specyalnym gatunkiem wyobraźni twórczej wogóle, podchodzi więc pod te same formuły klasyfikacyjne. Wyobraźni plastycznej w sztuce odpowiada, według Ribota, przedewszystkiem t. zw. realizm, dążący do jasności w oddaniu zjawisk złożonych (netteté dans la complexité[1]). Wyobraźnia rozlewna w dziedzinie estetycznej obejmuje, prócz muzyki, która, jak wiemy, jest najdoskonalszem jej wcieleniem, wszelkie rodzaje sztuki nastrojowo-symbolicznej, która działa na widza, czy słuchacza nie w sposób bezpośredni, lecz pośredni, nie daje mu obrazów konkretnych, lecz budzi w jego duszy nieokreślone wzruszenia, nie liczy się z wymaganiami logiki normalnej, lecz działa na uczucie i t. zw. nerwy.

„Zamiast odtwarzać jasno i wyraźnie zjawiska świata zewnę-

[1]) Wyobraźnia racyonalistyczna, dążąca do jasnego oddawania zjawisk uproszczonych (netteté dans la simplicité), jest, według Ribota, tylko zubożałą, zwiędłą, wysuszoną odmianą wyobraźni plastycznej.

trznego — powiada Ribot w dalszym ciągu — sztuka tego rodzaju zamienia się w rodzaj muzyki, pragnącej wyrazić ruchliwą i płynną wewnętrzność duszy ludzkiej. Jest to szkoła indywidualistów, którzy troszczą się tylko o przelotne stany duszy własnej".

Jak widzimy z powyższego streszczenia i cytat, psychologia doszła do tego samego wniosku, co estetyka, t. j. stwierdziła równoległe i równouprawnione istnienie dwu zasadniczych typów imaginacyi twórczej. Czy typy te nazwiemy, jak Ribot, zewnętrznym i wewnętrznym, plastycznym i rozlewnym, czy, jak Krasiński, dośrodkowo-wcielającym i odśrodkowo-odwcielającym, czy wreszcie zatrzymamy naszą własną terminologię i będziemy mówić nadal o sztuce epiczno-plastycznej i liryczno muzycznej — to nie wpłynie w niczem na samą naturę faktu. Terminy te różnią się, co prawda, w odcieniach, w zasadzie, jednak są z sobą prawie identyczne i mogą być podstawiane jeden za drugi, nie naruszając ścisłości rozumowania [1]).

---

[1]) Jakkolwiek różnie brzmieć mogą terminy, używane przez estetyków i psychologów na oznaczenie obu zasadniczych typów twórczości, we wszystkich plastyka przeciwstawia się muzyce, przestrzeń — czasowi, wzrok — słuchowi. Nie należy jednak brać tego w znaczeniu dosłownem, tylko przenośnem, nie materyał bowiem, lecz sposób traktowania materyału rozstrzyga o tem, do jakiego typu należy dany artysta. Zwracaliśmy na to uwagę kilkakrotnie w toku naszej pracy, dla uniknięcia jednak możliwych nieporozumień, nie zawadzi dodać kilka słów wyjaśnienia. Termin m u z y c z n y, brany, jako określenie pewnego typu twórczości, nie powinien być utożsamiony bezwzględnie z pojęciem dźwiękowy, dźwięczny, słuchowy, lecz raczej z pojęciem uczuciowy, liryczny, wzruszeniowy, nastrojowy, subjektywny, wewnętrzny, jak termin p l a s t y k a ogarnia nie tylko wrażenia wzrokowe, lecz całą wogóle sferę wrażeń, wywoływanych przez zjawiska świata objektywnego. Wrażenia i wyobrażenia słuchowe, dźwięki, szmery, głosy, ryki zwierząt, śpiew ptasząt, huk dział i gromów, świst wiatru, a nawet tony instrumentów muzycznych, o ile będą odtwarzane w sposób opisowo-przedmiotowy, należą do kategoryi epiczno - plastycznej, nie liryczno-muzycznej. Tak np. Gra Wojskiego na rogu, oraz koncert Jankiela w „Panu Tadeuszu" Mickiewicza są to poetyczne opisy muzyki, ale nie utwory liryczno-muzyczne. Poeta odtwarza w nich z niepospolitą plastyką sam proces gry, wnika w naturę odgrywanych melodyi, podkreśla i uzmysławia charakter dźwiękowy pewnych akordów oraz maluje w sposób wyrazisty uczucia i zachowanie się słuchaczów, wzruszonych do głębi tonem instrumentu, ale nie przekracza przy tem prawie wcale granic objektywizmu, nie przestaje być epikiem, nie rozlewa opisu w mgle subjektywnej nastrojowości. Tymczasem Słowacki, spowiadając się z wrażeń, jakie na nim sprawił „Pan Tadeusz", traktuje motyw Gry Wojskiego w sposób nawskroś muzyczny, odtwarza bowiem uczucia, jakie w nim poemat Mickiewicza obudził. Muzyka instrumentalna wkracza w dziedzinę opisowości, o ile próbuje n a ś l a d o w a ć

Przechodzimy teraz do innej kwestyi, a mianowicie do typów mieszanych, łączących w jednej osobie właściwości wyobraźni plastycznej i rozlewnej.

Ribot przyjmuje, że zwłaszcza twórczość estetyczna obfituje w podobne typy, ale nie poddaje ich, niestety, ścisłej analizie psychologicznej, zaznaczając tylko, iż w poezyi czarodziejskiej (1001 noc), fantastycznej (Hoffman, Edgar Poë), religijno-mistycznej (Dante) oraz w pewnych formach malarstwa (*Goya*, prerafaelici etc.) imaginacya plastyczna kojarzy się często z imaginacyą rozlewną. W innych wypadkach znowu psycholog francuski tłómaczy niezwykłą potęgę i wszechstronność twórczości danego poety, np. Szekspira, połączeniem wyobraźni czysto plastycznej z wielkiem napięciem uczucia. Otóż, naszem zdaniem, Szekspir pod względem psychologicznym należał do tegoż samego typu, co i Dante, t. z. jednoczył w swoim geniuszu wyobraźnię plastyczną z wyobraźnią rozlewną i dzięki temu mógł oddawać całą prawdę życia codziennego i roztapiać się współcześnie w eterycznych marzeniach „Snu nocy letniej" i „Burzy", mógł tworzyć Falstafów i Arjelów, mógł rzeźbić epiczne posągi potężnych bohaterów dziejowych i opiewać chorobliwe nastroje dusz nadczułych, subtelnych i chwiejnych.

Główną, choć tylko powierzchowną, różnicę pomiędzy istotą poezyi Szekspira i Dantego stanowi materyał: tematy, oraz koloryt i wymagania epok, w których pisali. W gruncie rzeczy jednak są to geniusze pokrewne pod względem psychologicznym: są to rzeźbiarze i muzycy słowa. Dante w „Piekle" nakreślił tyle obrazów konkretnych, zaludnił otchłań tyloma żywemi indywidualnościami, że, gdyby nie skomponował rozlewnej symfonii „Raju", mógłby być zaliczony do najwybitniejszych plastyków w poezyi. Co do Szekspira, to niezależnie od licznego szeregu dzieł fantastyczno-muzycznych („Sen nocy letniej", „Burza" oraz cała grupa nastrojowych komedyi i scen, rozrzuconych po różnych utworach), rozlewność wy-

odgłosy przyrody, szum wichru, ryk fal morskich, śpiew słowika, pianie koguta („Taniec szkieletów" St. Saëntsa) i t. p. Ponieważ jednak muzyka czysta jest sztuką z natury swojej liryczną, wszelkie więc próby tego rodzaju nie mogą w niej znaleźć zastosowania na wielką skalę. Wagner, który, podobnie, jak Słowacki posiadał wyobraźnię złożoną, rozlewno-plastyczną, używa często efektów malowniczych w muzyce, ale, odtwarzając życie wody („Złoto Renu"), naturę ognia („Walkirya"— Feuer-Zauber) czy też tajemnicze odgłosy lasu („Zygfryd"—Waldweben), nie schodzi do roli prostego naśladowcy dźwięków i szmerów realnych, lecz dąży do oddania głębszej, wewnętrznej, mistycznej istoty i treści żywiołów przyrody.

obraźni autora „Jak się Wam podoba" występuje nawet w jego stylu, gdzie, obok ścisłych realistycznych określeń i obrazów, spotykamy huczne kaskady paradoksalnych przenośni, wybujałych metafor, dziwacznych symbolów, zaciemniających niekiedy swojem nadmiernem a bezładnem bogactwem plastyczną czystość i jasność epicznego rysunku i uznanych słusznie przez Taine'a [1]) za wytwór artystyczny, „bliższy muzyki, niżeli literatury".

IV.

Otóż wyobraźnia Słowackiego jest wyobraźnią mieszaną, łączącą w sobie muzyczną rozlewność z plastyką. Jeżeli jednak u Szekspira i Dantego plastyka stanowi twardy i logicznie spojony szkielet, dokoła którego układa się i drapuje rozlewno - muzyczna szata, to u Słowackiego stosunek obu żywiołów przedstawia się odwrotnie. Wyobraźnia rozlewna jest u autora „Balladyny" gruntem, z którego wyrasta barwny, wonny, ale delikatny i powiewny kwiat plastyki.

Pomimo swej wiotkości jednak kwiat ten nie jest płodem cieplarnianym, zaszczepionym i wyhodowanym sztucznie przez poetę. Nie, to naturalny objaw jego twórczości, organiczna i ważna cząstka jego geniuszu.

I rzecz ciekawa, zarówno pod względem psychologicznym, jak i estetycznym, że właśnie wtedy, kiedy Słowacki zużytkowuje swoje zdolności plastyczne nie samoistnie, lecz w połączeniu z muzyczno-lirycznemi, osiąga najoryginalniejsze i najpotężniejsze rezultaty. Dowiedliśmy tego uprzednio, rozbierając szczegółowo charakter kolorystyki w dziełach śpiewaka „Smutno mi Boże". Ta spójność, to zupełne zlanie się dwu odrębnych żywiołów w jedną organiczną i artystyczną całość nastąpiło dopiero w epoce dojrzałości, kiedy poeta znalazł właściwą drogę, kiedy stał się sobą, słuchał tylko głosu własnego natchnienia i mówił sam o sobie:

Bóg ojców, który mnie raz na śpiewaniu
　　Śpiącego zastał i nadszedł wieczorem,
I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
　　I mocy swojej przeraził upiorem,
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
　　Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem, —

---

[1]) Histoire de la litt. angl. II (185—218).

Niech mi da głosy i kolory trwałe,
A weźmie z pieśni wieczną złotą chwałę.

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę.
. . . .
Tak od cielesnej uwolniony troski,
Cały się zdając na moc i duch boski.

Wtedy, nie troszcząc się o sławę ziemską, lecz ulegając tylko „fatalnej sile" i potrzebie tworzenia, śpiewak

Jak gdyby inne uczuł w sobie życie,
Szeroki święty, jakiś obraz śniony
Malował mu się na wietrznym błękicie:
Duchy, wezwane westchnieniem boleści,
Znosiły wonie — kolory — i wieści.

To wyznanie, umieszczone w początkowych strofach III Rapsodu „Króla-Ducha", zasługuje na uwagę, świadczy ono bowiem, że Słowacki czuł różnicę pomiędzy dawną a nową drogą własnej twórczości, że z poety zmienił się w wieszcza, przez którego przemawiają jakieś potęgi wyższe, popychające go w mistyczną toń nieznanych oceanów i nasuwające mu pod pióro kolory, kształty i wieści, zrodzone z mgieł, snów i westchnień. Uświadomienie tej przemiany potwierdzają i liczne wyjątki z listów do matki (Tom II, str. 221, 311, wyd. Meyeta). Słowacki mówi tam głównie o przewrocie moralnym, jaki w nim zaszedł pod wpływem mistycyzmu, ale wiąże ów przewrót ze swoją działalnością poetycką i wyznaje, że sobie „żadnego z utworów ostatnich wytłómaczyć nie może" (r. 1844), oraz „że nic nie pisze z zimnej myśli i utworzenia rozumowego, ale wszystko „z prawdy wnętrznej" (maj, 1845).

Otóż, zostawiając w danej chwili na boku mistycyzm i biorąc pod rozwagę li tylko estetyczno - psychologiczną stronę płodności poetyckiej Słowackiego, nie podobna zaprzeczyć, że ewolucya jego twórczości szła ciągle i stale w kierunku coraz większego uwewnętrzniania się, czyli że pierwiastek rozlewno-muzyczny brał górę nad epiczno - plastycznym, wchłaniał go w siebie, przeobrażał i przystosowywał do swojej natury.

Przystąpienie do skrystalizowanej akcyi mistyczno-reformatorskiej przyśpieszyło tylko naturalny proces rozwoju duchowego poety, który, prędzej czy później, musiał wyśpiewać dźwięczno-barw-

ną symfonię w rodzaju „Króla-Ducha",jak Mickiewicz musiał wyrzeźbić i wymalować „Pana Tadeusza". Przeszkodzić powstaniu tych dwu biegunowo przeciwnych sobie arcydzieł sztuki naszej mogły tylko okoliczności zewnętrzne. W warunkach normalnych, każdy z obu poetów, o ileby nie przestał tworzyć, musiał iść po linii najmniejszego oporu i doprowadzić do zenitu dominującą potęgę swojego ducha.

Linia rozwoju artystycznego Mickiewicza wygląda prościej, był on bowiem indywidualnością, nie tylko niezwykle głęboką, ale i niezwykle jednolitą i prostą. Potężne nad wyraz uczucie kojarzyło się u niego z niemniej potężną wyobraźnią plastyczną, ale głównie plastyczną. Rozlewności muzycznej nie spotykamy u autora „Pana Tadeusza" prawie wcale. Wszystko, nie wyłączając wulkanicznych wybuchów namiętności, najfantastyczniejszych wizyi, a nawet mistycznych wzlotów, przybiera formy jasne, określone, wypukłe i logiczne.

Nie mówiąc już o opisach życia i przyrody, które należą bez wątpienia do jedynych w swoim rodzaju, weźmy metafory, dotyczące najmniej materyalnych przedmiotów i uczuć, a wszędzie znajdziemy tęż samą wyrazistość i plastykę. Oto przykład:

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje,
Lać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje;
Rozkładać ją, jak złotą blachę, gdy się kuje
Z ziarnka złotego; siać ją, jak się zboże sieje;
Hodować ją, jak matka dziecko swe piastuje etc.

To przykazanie wszechmiłości wyrzeźbione, nie wyśpiewane: poeta widzi, jak się uczucie rozsnuwa, rozpływa, rozkłada, rozsiewa, rozrasta, by ogarnąć ogół i dać sercu moc wyższą „jak moc przyrodzenia, a równą mocy aniołów i Stwórcy". A weźmy teraz utwór zupełnie mistyczny: „Widzenie", w którem Mickiewicz opisuje wyzwolenie się duszy z więzów ciała:

Dźwięk mnie uderzył... Nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,
Prysło, zerwane anioła podmuchem,
I ziarno duszy nagie pozostało,
I zdało mi się, żem się nagle zbudził
Ze snu strasznego, co mnie długo trudził.
Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
Które wisiały przy mnie, jak łupiny
Wokoło świeżo rozkwitłego zioła

. . . .

I mogłem latać po całym przestworze,
Biegać, jak promień przy boskim promieniu
Mądrości bożej; i w dziwnem widzeniu
I ś w i a t ł e m b y ł e m i ź r e n i c ą r a z e m...
. . . .
Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie na wskroś zmaca
I wiecznie czysty przybywa i wraca,
I uczy wodę, skąd się światło leje,
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje...

Tutaj sięga poeta po za świat widomy, lecz nie przestaje być dostępnym dla naszego wzroku, tłómaczy rzeczy nieznane i niezrozumiałe przez znane i zrozumiałe, nadzmysłowe przez zmysłowe; tworzy wizyę nadziemską, nie obrażając wymagań ziemskiej logiki, daje obraz nierealny w realnej i wypukłej formie i, pomimo rozlewności i podmiotowości tematu, pozostaje od początku do końca artystą przedmiotowym, plastykiem, który i sam widzi, i każe nam przedewszystkiem w i d z i e ć rzeczy, nie dające się na pozór ująć w kształty cielesne, a mimo to ucieleśnione.

Porównajmy analogiczny opis u Słowackiego, kiedy dusza Popiela opuszcza jego złamane ciało:

Krwawe mgły były, które ducha gniotły,
    Kiedy wychodził z bolesnego ciała,
Które ból strzaskał, a węże oplotły,
    Gdy ducha — gwiazda jasna wywołała.
W mgłach długie. złote komeciane miotły
    Czyniły szelest — a bezdenność grzmiała ..
Duch w państwo ducha niewidzialne wchodził,
    Jak gdyby ocknął się — i znów się rodził...
Ani jesienna mgła, chmurą jaskółek
    Mętna, cielesnym oczom wyobrazi
Ów straszny, wielki ducha bezprzytułek,
    Bezdno, które duch krwawy sobą kazi...
Ani tę chwilę, gdy do harfy pszczółek
    Złotych podobna myśl brzękiem cię razi,
I odlatuje we mgły nakształt tęczy,
I gdzieś daleko jeszcze brzmi i brzęczy.

Ani tę chwilę pojmiesz odbieżany
    Teraz przez cały świat, chwilę rozpaczy,
Gdy serce, jak już zegar zatrzymany,
    A ból godzinę zawsze jedną znaczy...
Serdeczne ci się otwierają rany,
    A myśli anioł już nic nie tłómaczy;
Z świata cię żadne nie dochodzą wieści
Wszystko ucichło w duchu — prócz boleści...

I tutaj są obrazy, i obrazy te, rozpatrywane pojedyńczo, posiadają nawet wielką wyrazistość, suma ich jednak nie wiąże się w całość wypukłą i plastyczną, jak u Mickiewicza, nie przemawia bezpośrednio do oka, lecz rozlewa się w barwną i lśniącą harmonię dźwięków, budzących w nas jakiś mistyczny dreszcz, jakieś niejasne, a jednak silne uczucie grozy. Nie widzimy prawie nic konkretnego, ale odczuwamy głęboko i serdecznie wewnętrzny stan ducha, który wszedł nagle w bezdno wieczności, przerażony i samotny, dręczony „brzękiem" własnych myśli i wspomnień, dławiony bólem i niepewny losu, jaki go czeka, oderwany od świata i wsłuchany z niepokojem w „szelest" komet, sunących po firmamencie, oraz w huk grzmotów, wstrząsających bezmiarami otchłani...

Szczegółowe zestawienie przytoczonych wyżej cytat uwydatnia doskonale różnicę pomiędzy typami twórczości obu naszych wielkich romantyków. Mickiewicz maluje nam nadprzyrodzony byt ducha z możliwą w danym wypadku dokładnością, Słowacki uderza z olbrzymią siłą w pewne tylko struny naszej wrażliwości i otwiera pole do marzeń na temat życia zagrobowego.

U Mickiewicza w i d z i m y [1]) wszystko, co się dzieje, choć to, co się dzieje, jest cudem, u Słowackiego c z u j e m y tylko, że się stało coś przechodzącego granice ludzkiego pojmowania, że poeta

---

[1]) Jeszcze w r. 1885 w numerze 46 „Kraju", poświęconym uczczeniu 30 rocznicy śmierci Mickiewicza, Bolesław Prus, rozbierając „Farysa", zwrócił uwagę na konkretność Mickiewiczowskiego języka i wyliczył statystycznie, że autor „Pana Tadeusza", używa 38% rzeczowników, 9% przymiotników i 15% słów i imiesłowów i dzięki temu osiąga szczyt jędrności stylu. Nie robiłem obliczenia ścisłego, ale sądzę, że u Słowackiego procent rzeczowników jest stosunkowo znacznie mniejszy, a procent słów i przymiotników — większy. Wynika to prawdopodobnie z odmiennej natury wyobraźni obu poetów, której charakter określiliśmy wyżej. Imaginacya rozlewna, odtwarzająca nie przedmioty zewnętrzne, lecz wewnętrzne nastroje, musi się posługiwać przymiotnikami i czasownikami, jako materyałem giętkim, elastycznym i podatniejszym do oddawania odcieni i półtonów uczucia, niż rzeczowniki. Faktem jest, że t. zw. „epitety ozdobnicze" grają w stylu Słowackiego większą rolę, niż w stylu Mickiewicza. Zwracamy również uwagę na doskonałą analizę psychologiczną „Improwizacyi", dokonaną przez Jul. Ochorowicza w rozprawie p. t. „O twórczości poetyckiej" (Lwów 1877). Autor kładzie nacisk na zmysłowość i logikę obrazowania „jednego z najwspanialszych, najmniej ziemskich objawów naszej poezyi". „Ileż tu porównań, kontrastów, przenośni, a w s z y s t k o z m y s ł o w e, a l e j a k ś w i e t n i e s k o j a r z o n e! Wszystko się uzupełnia, objaśnia, uplastycznia — jedno wyobrażenie nie kłóci się z drugiem, tak jak w owych mglistych tajniach mózgowych. A pod tem wszystkiem czuć prawdę najczystszego, nadludzkiego niemal uczucia i polotu w szacie czysto zmysłowej" (str. 44—45).

i jego bohater przekroczyli kres ziemskiego istnienia i wprowadzają nas w jakieś niezgłębione i tajemnicze przepaści, których natura pozostanie dla nas na wieki zagadką mistyczną: Mickiewicz daje nam obraz, Słowacki budzi w nas nastrój.

Jeżeli jednak Mickiewicz stanął odrazu na właściwym dla swego geniuszu gruncie i wskutek tego rozwijał się zupełnie normalnie, Słowacki zaczął od tworzenia rzeczy, w których nie mógł ujawnić wszystkich właściwości swojego ducha, gdyż żadna ze znanych wówczas i popularnych form poezyi nie dawała do tego odpowiedniego pola. Liryka czysta, krystalizująca w kunsztownej formie uczucia osobiste, nie wystarczała poecie, którego geniusz domagał się szerszych lotów. To też, chociaż wiersze egotyczne autora „Testamentu" należą niewątpliwie do najcudniejszych pereł liryki nowoczesnej, stanowią one drobny tylko ułamek całego ogromu twórczości i posiadają przeważnie charakter okolicznościowy, są najczęściej owocem chwilowego podniecenia, wyrazem bólu, zachwytu, nienawiści, uwielbienia, wywołanego jakimś faktem zewnętrznym, który wyprowadził serce poety z równowagi.

Co prawda, arcydzieła poezyi egotycznej zawsze i wszędzie powstawały w ten sposób i w takich warunkach, Słowacki jednak posługiwał się tą formą nie stale, lecz wyjątkowo, nie dla tego, żeby nie umiał sobie z nią radzić, ale dla tego, że ramy utworów czysto lirycznych były dla niego za ciasne, że nie mógł w nich rozwinąć swobodnie skrzydeł swojej wyobraźni, w której łonie drzemały kaskady barw oraz korowody figur i kształtów, czekających wyzwolenia. Zwrócił się więc poeta do istniejących form poezyi objektywnej: do powieści poetyckiej w stylu Byrona i Mickiewicza oraz do dramatu w stylu Szekspira i stworzył kilka rzeczy bardzo wybitnych, nie będących jednak ostatnim wyrazem jego olbrzymiego talentu. Dla czego?

Bo i te formy były zbyt jednostronne i za mało elastyczne dla złożonego typu wyobraźni Słowackiego, który, jak wiemy, nie był plastykiem czystej wody i nie umiał nadawać swoim subjektywnym marzeniom dostatecznie wypukłych i namacalnych kształtów, ani przedmiotowego zabarwienia. Prawda, że zdolności plastyczne, jakie autor „Mazepy" wykazuje w pierwszych swoich dramatach i poematach, mogłyby zapewnić każdemu poecie pierwszorzędne stanowisko w literaturze, ale Słowackiego nie można mierzyć miarą ogólną. Wobec tego, co zrobił później, pierwociny jego talentu, aczkolwiek niezwykle piękne i silne same w sobie, bledną i słabną, jeżeli je zestawimy z arcydziełami epoki dojrzałości, kiedy poeta

zdał sobie sprawę z natury i wymagań swojego geniuszu i zapanował nad właściwą sobie techniką artystyczną, jak mistrz, nie mający godnych współzawodników.

W początkach swojej działalności silił się Słowacki na sprzeczną ze swoim usposobieniem objektywność epicką. Cały „Żmija" np. składa się z szeregu opisów natury stepowej i życia kozackiego; niema tam jednak ani jednego ustępu mogącego stanąć na równym poziomie nie tylko z obrazami „Pana Tadeusza", ale choćby z tym wyjątkiem z „Ballad i Romansów" Mickiewicza:

> Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona
> W wielkiego kształcie obwodu,
> Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
> A gładka, jak szyba lodu.
>
> Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
> I zwrócisz ku wodom lice:
> Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
> I dwa obaczysz księżyce.
>
> Niepewny, czyli szklanna z pod twej stopy
> Pod niebo idzie równina,
> Czyli też niebo swoje szklanne stropy
> Aż do nóg twoich ugina:
>
> Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
> Dna nie odróżnia od szczytu:
> Zdajesz się wisieć w środku niebokręgu,
> W jakiejś otchłani błękitu.

W porównaniu z tym jasnym, prostym, logicznym, realnym, a zarazem podniosłym obrazem przyrody znany opis „Czertomeliku" („Żmija"), chociaż niewątpliwie piękny i dźwięczny, wydaje się ubogim, pomimo większego bogactwa w szczegółach.

> Piękny to widok Czertomeliku,
> Sto wysp przerżnęły Dniepru strumienie,
> Brzoza się kąpie w każdym strumyku,
> Słychać szum trzciny, słowika pienie;
> A kiedy wiosną wezbrane wody
> Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
> Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,
> Jakby rusałek cudne ogrody.
> Gałązką mącą wodne błękity
> I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
> I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
> Wznosi się fala i nikną drzewa;
> Dziki Dniepr szumi, gdy w jego łonie
> Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Poeta daje tu za wiele i za mało; obrazowi brak koncentracyi epicznej: każdy szczegół wysuwa się naprzód, mącąc jasność ogólnej kompozycyi. Widać, że Słowacki nie panował tak silnie, jak Mickiewicz nad objektywnemi wrażeniami. Ale za to w „Anhellim", „Beniowskim" lub w „Szwajcaryi", gdzie poeta nie troszczył się o malowniczość epiczną, gdzie świat zewnętrzny odgrywał tylko rolę bodźca psychicznego, nie modelu, gdzie poeta rozlewał wrażenia przedmiotowe w muzycznych falach podmiotowego uczucia — tam tworzył opisy—jeżeli te nastrojowe obrazy opisami nazwać można—przecudowne i jedyne w swoim rodzaju.

Bo też „W Szwajcaryi", „Balladyna", „Lilla Weneda", poczęści „Kordyan" i „Podróż na Wschód", następnie „Beniowski", a zwłaszcza „Król-Duch" — to utwory, w których złożona, rozlewno-plastyczna wyobraźnia Słowackiego znalazła właściwy i podatny grunt do rozwoju. W tych dziełach jest on nie tylko wielkim, ale wyjątkowym poetą, jest *Słowackim par excellence*, jest pisarzem, pod którego piórem rzeczywistość zmienia się w marzenie, a marzenie przybiera pozory jakiejś eterycznej rzeczywistości, jest artystą na wskroś podmiotowym, który snuje bogatą, lśniącą i dźwięczną przędzę snów, dalekich od życia realnego, a jednak żywych.

Im bardziej poeta dojrzewał, im swobodniej tworzył, tem więcej oddalał się od przedmiotowości, tem głębiej pogrążał się w przepastne otchłanie własnego ducha, wydobywając z nich na jaw nowe, samoistne światy, pełne uroczej harmonii i oślepiającego blasku.

Ignacy Matuszewski.

Balzac czy Słowacki?

W r. 1897 ogłosił *Piotr Chmielowski* w „Ateneum" (tom I, str. 334 — 344) artykuł p. n. „Balzac i Juliusz Słowacki" [1]), w którym starał się wykazać wpływ nowelli Balzaca p. n. „La Grande Bretèche" na motyw zamurowania kochanka żony przez męża, wprowadzony przez Juliusza Słowackiego do tragedyi „Mazepa". Równocześnie prawie poruszył tę samą kwestyę autor francuski *Jan Jullien* w dziele „Le théâtre vivant" (Paris, 1896), doszedł jednak w swych wywodach do zupełnie odmiennego rezultatu, jak Chmielowski, dopatrywał się bowiem raczej wpływu „Mazepy" Słowackiego na wspomniany utwór Balzaca.

W książce swej omawia Jullien dramat Richepina „Par le glaive", wystawiony w r. 1892 w Komedyi francuskiej. W jednej ze scen bohaterka tego utworu, Rinalda, zamyka kochanka swego w kaplicy, którą mąż jej Konrad każe zamurować. O scenie tej wyraża

---

[1]) Rozprawa ta jest przedrukowana w książce Chmielowskiego „Nasza literatura dramatyczna", Petersburg, 1898, tom I, str. 376 — 396. Por. recenzye tej rozprawy w Przeglądzie literackim. Kraków, 1897, № 4, str. 12 — 13 i w Kwartalniku historycznym, 1898, str. 593—594 (pióra podpisanego).

się Jullien w następujący sposób [1]): „Wyszukanie tej sytuacyi przypisano Balzacowi, znajdujemy ją rzeczywiście w całości w Grande Bretèche, datowanej r. 1842:

— Ktoś jest w gabinecie pani — mówi mąż.

Ona spojrzała na męża spokojnie i odpowiedziała z prostotą:

— Nie, panie.

Wstał, chcąc otworzyć gabinet. Pani de Merret wzięła go za rękę, zatrzymała, spojrzała nań melancholijnym wzrokiem i rzekła dziwnie wzruszonym głosem:

— Proszę pomyśleć, że, jeśli pan nie znajdzie nikogo, wszystko między nami będzie skończone...

— Czekaj... oto twój krucyfiks. Przysięgnij mi na Boga, że niema nikogo, a uwierzę ci i nigdy nie otworzę tych drzwi.

Pani de Merret wzięła krucyfiks i rzekła:

— Przysięgam.

Po tej scenie mąż każe zamurować drzwi, a gdy żona błaga go o litość nad nieznajomym, odpowiada:

— Przysięgłaś, że niema nikogo.

Nikt, zdaje się, nie zwrócił dotąd uwagi na to, że Balzac, pisząc to studyum nad duszą kobiecą, poprostu przerobił na studyum psychologiczne główną scenę z trągedyi Juliusza Słowackiego „Mazepa", granej około r. 1829 i popularnej w Polsce. Nie powinno to dziwić tych, co pamiętają o jego stosunkach z Polakami.

Autorowi „Komedyi ludzkiej" zdało się wydać praktycznem przeniesienie tego bohaterskiego a średniowiecznego wypadku do ogniska domowego szlachcica pikardyjskiego. Dla nas ciekawą jest rzeczą, że mistrz romansu analitycznego pożyczył pomysłu od jednego z najzapaleńszych romantyków, przetwarzając zresztą myśl jego na oryginalną niemal sytuacyę".

W dalszym ciągu swych uwag zestawia Jullien z owem miejscem Balzaca znaną scenę między wojewodą, Amelią i Chmarą według niedrukowanego dotąd tłómaczenia na język francuski w prozie, który posiadał dawno w swych rękach.

Z twierdzeniem Julliena zaznajomił publiczność polską Kuryer Warszawski z r. 1898, w nr. 188 z 10 lipca w artykuliku, podpisanym literą „R." [2]). Wiadomość tę powtórzyła jeszcze Gazeta Lwowska

---

[1]) L. c. II, s. 82. Miejsce to podaję w przekładzie polskim, umieszczonym w „Kuryerze Warszawskim", 1898, № 188 s., 4 n.

[2]) S. 4—5 w „Wiadomościach zagranicznych": „Balzac naśladowcą Słowackiego".

z r. 1898 w nr. 158, str. 4 w artykuliku bezimiennym: „Słowacki i Balzac”, pomieszczonym w „notatkach literacko-artystycznych”, godząc się w zupełności na twierdzenie Julliena. W ostatnich wreszcie czasach poruszył tę samą sprawę również nieznany autor, kryjący się pod znakiem pytajnika (?) w „Pogawędzie na werandzie”, umieszczonej w „Bluszczu” z r. 1900 w nr. 40, str. 314, gdzie utrzymuje również, że Balzac był naśladowcą Słowackiego: do rzeczy nowych zupełnie należy w jego notatce uwaga, jakoby o owem korzystaniu ze Słowackiego wspominał sam Balzac w swoich listach. Tak więc do dziś dnia kwestya nadzwyczaj ważna jest nie rozstrzygnięta: o wywodach Chmielowskiego niemal zapomniano, przyjęto zaś bez wahania twierdzenie Julliena, nie zastanawiając się nad tem, czy twierdzenie to jest w istocie wiarogodne.

W wywodach Julliena znajduje się jeden bardzo ważny błąd rzeczowy, który musi wzbudzić w czytelniku pewne powątpiewanie. Oto Jullien utrzymuje, że Balzac znał utwór Słowackiego „Mazepę” z r. 1829. Data ta jest zupełnie mylną, pierwszy plan bowiem napisania „Mazepy” zrodził się w umyśle poety dopiero w r. 1834, w wydaniu zaś książkowem wyszła tragedya poety dopiero w r. 1840. Ponieważ utwór Balzaca wyszedł w druku już w r. 1832, a nie 1842, jak mylnie podaje Jullien, przeto jasną jest rzeczą, że Balzac nie mógł korzystać z dzieła, wydanego dopiero w r. 1840!

Twierdzenie Julliena mogłoby tylko w jednym wypadku być możliwe, gdyby było rzeczą pewną, że Balzac i Słowacki znali się osobiście. Tymczasem o spotkaniu obu poetów w Paryżu podczas pobytu Słowackiego tamże nie przechowała się żadna wzmianka ani w listach Słowackiego, ani też w korespondencyi Balzaca: podobnież o spotkaniu się z Balzakiem, przebywającym w Genewie od grudnia 1833 do lutego 1834, nie wspomina ani słowem Słowacki w swej korespondencyi, żadna też wzmianka o Słowackim nie zachowała się w listach Balzaca z owych czasów.

Pozostawałoby tylko przypuszczenie, że za pośrednictwem pani Hańskiej poznali się obaj poeci w Genewie i że wtedy może Słowacki opowiedział Balzakowi o planie swej tragedyi. Gdyby jednak nawet tak było, to nie doprowadziłoby to nas do żadnego rezultatu, bo „La Grande Bretèche” była już wykończoną zupełnie w r. 1832 [1]). Tak samo przypuszczenie, że Balzac poznał Słowac-

---

[1]) Por. Lovenjoul Charles de: Histoire des oeuvres de H. de Balzac. Paris, 1879, s. 32—43, 321, 326. 339. Chmielowski l. c. I, 385—6 nie zna roku powstania nowelki Balzaca.

kiego podczas pobytu jego w Paryżu, nie może przydać się na nic, wtedy bowiem plan tragedyi nie zrodził się jeszcze w umyśle Słowackiego. Pozostaje jeszcze jeden punkt, ważny bardzo, gdyby był w istocie prawdziwym: jest nim twierdzenie, pomieszczone w „Bluszczu", jakoby Balzac wspominał o zapożyczeniu się ze Słowackiego w jednym ze swych listów. Pragnąc sprawdzić tę wiadomość, przejrzałem znane dotychczas listy Balzaca do pani Hańskiej [1]), żadnej jednak wzmianki o Słowackim w pierwszym tomie ogłoszonej dotąd korespondencyi Balzaca nie znalazłem. Wiedząc jednak, że znaczna część listów Balzaca dotąd jeszcze nie jest ogłoszoną, zwróciłem się do hr. Karola de Spoelberch de Lovenjoul, w którego posiadaniu znajduje się cała korespondencya Balzaca, najlepszego zresztą znawcy życia i dzieł jego, z zapytaniem, czy w korespondencyi Balzaca nie znajduje się jaka wzmianka o naszym poecie. De Lovenjoul w odpowiedzi potwierdził tylko me powątpiewanie, w liście bowiem do mnie, pisanym dn. 19 lutego r. b., zapewnia mnie, że żadnej wzmianki o Słowackim w korespondencyi Balzaca niema. Słowa jego przytaczam dosłownie: „Je ne connais pas un mot dans la Correspondence, publiée ou inédite de Balzac se rapportant à Jules Słowacki et vous pouvez être certain que rien n'a été publié en France sur cette question de la priorité de ce dernier à propos de la Grande Bretèche".

W ten sposób hipoteza Julliena nie może się ostać wobec krytyki: jedynie twierdzenie Chmielowskiego o wpływie Balzaca na Słowackiego jest prawdziwe. Przy tej sposobności trudno nie wyrazić życzenia, by nasza publicystyka starała się nie rozszerzać wiadomości błędnych, nieraz zupełnie wyssanych z palca, jak to np. uczynił ów nieznany autor w „Bluszczu".

Wiktor Hahn.

[1]) H. de Balzac: Oeuvres posthumes. I. Lettres à l'Étrangère (1833 — 1842). Paris, 1899.

Pierwszy utwór Sienkiewicza.

Biografie powieściopisarzy naszych świadczą, że bardzo wielu z pośród nich zaczynało swą działalność od poezyi albo przynajmniej od rymów. Kraszewski, jako uczeń klasy trzeciej, napisał balladę „Klasztor na górze"; Kaczkowski, zanim napisał „Bitwę o Chorążankę", umieścił w „Pamiętniku literackim" (1850) kilka utworów wierszem; T. T. Jeż, jeszcze jako uczeń gimnazyum w Niemirowie, pisywał wiersze; Eliza Orzeszkowa w roku 1866 ogłosiła w „Tygodniku Illustrowanym" wierszowany obrazek z lat głodowych (Nr. 351, z dnia 23 czerwca), a wkrótce potem — także wierszem — „Tęschnotę" (Nr. 362 z dn. 1 września).

Podobnież i Sienkiewicz na dwa lata przed zaczęciem pierwszej swej powieści „Na marne" [1]), napisał dn. 18 października roku 1867 — wyraźnie pod wpływem i na wzór „Sielanki młodości" Gaszyńskiego— żartobliwy obrazek wierszowany, przeznaczając go nie do druku, lecz do odczytania w gronie koleżeńskiem.

Treść tej niedrukowanej dotychczas „Sielanki młodości" jest wzięta z życia — nawet imiona osób nie są zmienione. Autograf

[1]) Por. „Tyg. Illustr." r. b. № 1—2.

jest własnością przyjaciela lat młodzieńczych Sienkiewicza, doktora Konrada Dobrskiego, który — za zgodą Sienkiewicza — łaskawie zezwolił niżej podpisanemu ogłosić go w całości.

Jaś był studentem w szkole... i nad medycyną
Siadywał dnie i noce, pracując ochoczy,
A Helcia była sobie ładniutką dziewczyną:
Usta miała, jak róże — a jej cudne oczy
W takie blaski i barwy mieniły się jasno,
Jak czerwie świętojańskie, co, ukryte w lesie,
Gdy wszystkie światła dzienne wieczorem zagasną,
Czekają, aż noc chwile miłości przyniesie.

W jej piersi okrąglutkiej i bielszej od śniegu
Serduszko jakoś dziwnie, jakoś szybko biło,
Jakby w skutek uczucia ze zwykłego biegu
Wypadło i o drugiem serduszku marzyło. —
I tak było niestety!!! Nieraz, gdy usiadła,
By zagrać, i rączęta kładła na klawisze,
To jakaś tęskna łezka z oka jej wypadła,
I piosnką rzewną, smutną — przerywała ciszę. —

I choć nikomu jeszcze serca nie oddała,
Nikt nie usłyszał słowa: kocham cię, mój drogi,
Jednak czas ten nadchodził — Helcia to wiedziała
I czekała nań... można powiedzieć bez trwogi —
Owszem, z radością nawet... Jaś o tem nie wiedział,
Bo on Helenki nie znał, nawet nie przeczuwał;
On sobie nad nauką całe życie siedział
I z pracy całe szczęście i przyszłość wysnuwał.

Jaś był przystojny chłopak — miał oczy błękitne
I ciemne bujne włosy — rumieniec na twarzy
I rysy regularne, chociaż nie wybitne,
A czoło jasne, piękne, co myśli i marzy.
Oboje byli ładni tak, jakby dla siebie
Stworzeni, jakby złączyć ich Opatrzność chciała.
Lecz, nieszczęsna Helenko! wszak Jaś nie znał ciebie,
Lecz, nieszczęsna Helenko! tyś Jasia nie znała.

Helcia chciała się kochać. — Bywała w kościele
Na kazaniach u Fary — zwykle się modliła.
Tam bywało i brzydkich, i przystojnych wiele,
Lecz nie było takiego, jak Helcia marzyła.
Bywał tam jakiś blondyn, przygarbiony trocha,
Przez całą mszę on wzrokiem pożerał dziewczynę,
Widać mu było z twarzy, jak czuje i kocha,
Ale nie był przystojny i nudną miał minę.

Bywał i drugi blondyn, nosił on surduty
Modne, białe kołnierze, à la Szekspir ścięte,
Kamizelkę otwartą i błyszczące buty,
Krawat i rękawiczki szczelnie obciśnięte. —
Lecz miała jedną wadę ta strojna persona
... Była ... nie nazbyt mądra ... A to sęk nielada,
Bo panna prędzej wstręt swój ku brzydkim pokona,
Ale głupiec jej nigdy w oko nie podpada.

* * *

I tak się kołysała na swej giętkiej stopie,
Jako to młodociane i wesołę chłopię,
Co, pędząc tchem swym puszek lub goniąc motyla,
Przed gałązkami wierzby swą główkę uchyla,
Aby nie zranić czoła. . . . .
. . . . Szła właśnie z kościoła,
Gdyż była to niedziela. — Więc w jasnej sukience,
W kapelusiku z piórkiem, z pączkiem róży w ręce,
Szła wraz z matką na spacer, by wśród drzew i chłodu
Popatrzeć na zieloność Saskiego ogrodu.

Szedł tam także i Jasio odpocząć po pracy,
Bo tak już zwykle robią studenci biedacy.
Cały tydzień nad książką ze schylonem czołem,
Ale w święta dzień cały z spojrzeniem wesołem —
Spędzają na przechadzkach, sięgając oczyma,
Czy wśród tłumu publiki Beatryczy niema,
Żeby się z nią ucieszyć chociaż jedną chwilką,
Bo każdy student — kochać ma w niedzielę tylko
Sposobność — i to z rana. — Krótki czas, do kata!
Zwłaszcza, że dzisiaj młodość tak prędko ulata.

Szedł więc Jaś — a szedł szybko, śmiało i zuchwale
I zaglądał po drodze pod gęste woale,
Gapił się na pojazdy — gdy w tem na uboczu
Spostrzegł wlepionych w siebie dwoje jasnych oczu.

Zczerwienił się, jak wiśnia, i zmieszał się cały,
Bo te oczy tym dziwnym wyrazem patrzały,
Co wstrząsa całą duszę i serce człowieka.

Więc też Jaś się zczerwienił i krzyknął: „Eureka”!!!
Eureka!! szepnęły usteczka dziewczyny.
Oczy jej powiedziały: To tyś! mój jedyny!
Pierś się zlekka podniosła — opadły jej ręce,
Oczy się przymrużyły... kwiatek po sukience
Zsunął się do nóg Jasia. — O Helenko miła!
Czy wiesz, żeś serce Jasia na wieki zraniła,
Że mu twój obraz wiecznie przed oczyma staje
I że mu na prelekcyach uważać nie daje,
Że, jeśli mu egzamin niedobrze wypadnie,
To wina nie na niego, lecz na ciebie spadnie?

* * *

Pokochały się dzieci.—Co tu mówić wiele!...
Odtąd Jaś się czerwienił na mszy co niedzielę.
Lecz i w Helence zmiany też zaszły niemałe:
Dawniej było, chychocząc spędzała dnie całe,
Dziś jakoś tęskno — rzewnie modrem okiem goni.
Dawniej było, jak ptaszę — zawsze piosnką dzwoni,
Dziś smutna, zamyślona, nieraz łezkę kryje.
Ach! bo kto się z kielicha miłości napije,
Nie dla niego już śmiechy i huczne zabawy,
Ni wesołość dziecięca: — zawsze smutny, łzawy
Obraca się bez celu w wielkiem marzeń kole
Z piersią, rozdartą w głębi przez rozpacz i bóle,
Których z duszy nie wyrwą wszystkie skarby świata,
Nie ukoi niepamięć, nie utulą lata.

* * *

Jak pszczoła, gdy nad kwiatem zawiśnie na skrzydłach
Tak, jakby w niewidzialnych uplątana sidłach,
Wisi w powietrzu jasnem nad kwiata kielichem,
I ledwo ją rozpoznasz po brzęczeniu cichem:
Tak Jaś ponad Helenką zawisł myśli kołem,
Omotał ją marzeniem, nazwał ją aniołem,
Tęczą, gwiazdą, jutrzenką o różanym blasku,
Błyszczącą, jak korona na świętym obrazku;
Z jej postacią na myśli do snu się układa,
O niej myśli, gdy wstaje, o niej tylko gada.

* * *

Tymczasem koło Helci zalotników wieniec
Powiększał się z dniem każdym — nie jeden młodzieniec
I młody, i przystojny — comme il faut — bogaty
Przysyłał już do matki o jej rękę swaty; —
Helcia wszystkich odrzuca, a za Jankiem wzdycha.

Jak powój, co za dębem z tęsknoty usycha,
Tak onaby go białem oplotła ramieniem,
Złączyła się na wieki — choćby dłoni drżeniem,
Chociażby wzrokiem tylko...... Ach!!!! gdyby ustami!!
Nie!! Ona tak nie marzy, — jej myśli nie płami
Żadna pieszczota ziemska. Myśl jej, jak niebianka,
Tak jasna i przejrzysta, jakby oczy Janka.

Ona dotąd go kocha, chociaż ani słowa
Jeszcze nie zamienili.—On miłość swą chowa
I strzeże, jakby ogień pogańskiego boga,
Wichry życia nie zgaszą jej — ani śmierć sroga
Z duszy jej, jak z ołtarza, wiatr nigdy nie zwieje,
Czas płynący nie stłumi — deszcz łez nie zaleje.

Koniec?!! Nie — to dopiero początek powieści,
Lecz, co się dalej stanie, niech inny obwieści,
Dziś jedno ku drugiemu równą miłość czuje,
Co ja, ich dziejopisarz, jako fakt notuję.
Lecz czy tak będzie zawsze... czy tak będzie wiecznie,
Ja nie wiem..... a zgadywać trudno... niebezpiecznie.

Dr. Dobrski (wówczas jeszcze student Szkoły Głównej), mając — wbrew mniemaniu kilku innych kolegów — głębokie przeświadczenie o zupełnie niezwykłym talencie Sienkiewicza, pragnął stwierdzić swój sąd, zasięgając u innych fachowej i bezstronnej opinii. W tym celu przytoczony wyżej wiersz posłał do redakcyi „Tygodnika Illustrowanego". Lecz to nie doprowadziło go do celu. W numerze 425 z r. 1867 (str. 235) ukazała się następująca odpowiedź redakcyi — kilku naraz autorom:

„Nadesłane utwory drukowane nie będą. W szczegółową ich „ocenę wdawać się nie możemy; chociaż niektóre z nich nie są po„zbawione pewnych zalet, ale brak miejsca i czasu zmusza nas do „sądu sumarycznego".

Ign. Chrzanowski.

Sören Kierkegaard:

Albo-albo.

Sören Kierkegaard, jakkolwiek należy do kategoryi „ukrytych i bezimiennych", nie jest obcy publiczności polskiej. Dwutygodnik „Życie" (w Krakowie) w roczniku swoim z r. 1899 pomieściło jego powieść p. t. „Z dziennika uwodziciela". [1]) Jest to raczej studyum psychologiczne, niż powieść; fabuła kilkunastokartkowej noweli stanowi tu tylko podstawę, pretekst raczej do przenikliwie bystrych refleksyi i spostrzeżeń, wypełniających objętość grubego tomu.

W utworze tym stworzył sobie Kierkegaard własną swoją formę literacką. Nie jest on, co prawda, literatem w ścisłem tego słowa znaczeniu; literaci uważać go będą za filozofa. Nie jest jednak i filozofem, bo nie tworzy żadnego systemu myślowego; filozofowie odeślą go między literaty. Tem lepiej jednak dla niego. Jest on bowiem filozofem serca.

---

[1]) Nadto p. Jadwiga Krausharowa ogłosiła o nim studyum w „Dzienniku Łódzkim", 1898 (*Przyp. Red.*).

Stworzył sobie własną formę, jak powiedzieliśmy, a jeżeli nie jest dzisiaj zaliczony do pierwszych twórców powieści psychologicznej, to dzieje się to prawdopodobnie dlatego, że poza swoją ojczyzną, Danią, jest prawie zupełnie nieznany. Że taka genialna indywidualność, taki umysł pierwszorzędnej głębi i bystrości mógł przemknąć się niespostrzeżony i dziś dopiero zwrócić na siebie uwagę, ma to głównie w tem swą przyczynę, że autor dzieła „Albo-albo" wyprzedził swój czas. Spotkał go los podobny Stendhalowi. Przytem język jego nie był, wówczas przynajmniej, t. j. około roku 1840, językiem europejskim w literaturze. Dopiero bujny ruch i rozkwit literatury duńsko-norweskiej, dopiero Ibsen, Brandes, Niels-Lyhne, Hamsun, Garborg i inni wyrobili językowi temu zaszczytne miejsce wśród narodów kulturalnych.

Po części i sam Kierkegaard przypisać sobie winien swą niepopularność. Pisze rozwlekle i w ogromnych foliałach. Obładowany tysiącem myśli, nasuwających mu się na dany temat, niosąc z sobą broń wszelkiego kalibru na wszelkie możliwe argumenty nieprzyjaciela, które stara się zgóry w zupełności przewidzieć, przypomina on ciężką powolnością ruchów indyjskiego słonia z wieżą, pełną wojowników.

A zawsze pisze właśnie z pewnym zamiarem polemicznym. Lubi twierdzić, natężenie zatem walki pozwala mu tem silniej wierzyć we własne twierdzenia.

Pozostawiony sam sobie chwieje się. Opada go posępność i ten przeciwny rytm ducha, na który narzeka w swych „Diapsalmałach".

Poza psychologiem tkwi w nim głęboki moralista — i ten nadmiernie wrażliwy i czujny zmysł moralny stanowi jego właściwość przedziwną. Wszelkie wrażenie, dolatujące go z życia, opada na to zasadnicze dno jego duszy i krystalizuje się na osi dobrego i złego, obowiązku i użycia. Jemu przypada zasługa pogłębienia tych właśnie pojęć. Dobro i zło nie są dlań ani dogmatem kultu, ani nakazem społecznym, lecz kwestyą psychologiczną, wyborem absolutu w duszy własnej i oparciem całego jej rozwoju na tem zasadniczem uczuciu, jakie łączy duszę indywidualną z ogarniającym wszechświat absolutem.

Głównem jego usiłowaniem było atoli przekonanie czytelnika, że oparcie duszy i życia na poczuciu obowiązku i dobra ani nie stoi w sprzeczności z najbujniejszym rozrostem naszej indywidualności, ani życiu temu piękności jego w niczem nie umniejsza. Owszem, całkiem odwrotnie. Tworzy ono nowe i wyższe piękności, pozba-

wione ostrego kolca zniechęcenia i rozpaczy, który tkwi zawsze we wszelkiem pozaetycznem użyciu. Zwalczanie tego właśnie estetycznego światopoglądu staje się jego zadaniem życiowem, zadaniem, będącem kwestyą dnia w czasie, na który działalność jego w Danii przypadała, ale trwającem do dziś, jako walka nierozegrana na polu ogólnoludzkich zagadnień.

W czasie, o którym mowa powyżej, owładnęła umysły Danii pewna estetomania, mająca swe źródło w pismach i wykładach głośnego wówczas estetyka Heiberga. Kierkegaard, jako prawdziwy sokratyk zarówno w tendencyi, jak w metodzie, uważał za rzecz, wskazaną względami taktycznymi, stanąć na gruncie przeciwnika, zaakceptować jego poglądy i następnie, dotrzymując mu kroku, doprowadzić go do progów absurdu.

Tej to metody trzyma się on w poniżej streszczonej pracy, której tytuł w oryginale brzmi: „O równowadze pierwiastku estetycznego i etycznego w rozwoju osobowości".

Przechodząc różne możliwe formy życia estetycznego w poszczególnych tego życia objawach i stosunkach, wykazuje autor „Albo-albo", że wszystkie one jeden mają rezultat końcowy: zrozpaczenie. Rezultat ten jednak jest owszem według autora momentem pożądanym, po nim bowiem nastąpić musi w naturach nierozluźnionych doniosła chwila moralnego wyboru. Przeważa albo poczucie nieskończoności i żal, właściwa istota miłości duszy do absolutu, i wówczas człowiek powraca do swej natury ogólno-ludzkiej, do rodziny, społeczeństwa i bóstwa, albo wybór nie następuje wcale, człowiek prowadzi życie z dnia na dzień, dla chwili, dla nastroju, bez przekonania i bez wiary w szczęście, czuje jednak, że coś najbardziej istotnego zatraca się w nim.

Cały ten proces psychiczny przeprowadza Kierkegaard z genialną oryginalnością.

Nie na wszystkie jego poglądy godzić się można, zwłaszcza, gdy, zapędziwszy się zbyt daleko, przybiera szeroki gest kaznodziei i rozpoczyna homilie. Może się to komuś podobać albo nie, w każdym razie łatwo podpada sporowi i krytyce.

Powstrzymaliśmy się jednak od wszelkich uwag, gdziekolwiekby się takie nasuwały, dając jedynie możliwie najwierniejszy obraz poglądów i myśli autora. Chodziło nam tu głównie o zapoznanie publiczności polskiej z tak niezwykłą i dziwnie głęboką indywidualnością bez zmącenia w czemkolwiek siły jej suggestyi.

I.

Albo-albo, aut-aut—pisze Kierkegaard w formie listu do przyjaciela — słowa te proste i niewyszukane czyniły na mnie zawsze bardzo silne wrażenie. Wprawdzie jest tylko jeden stosunek, który nadaje tym słowom ich wartość absolutną, a zachodzi on wówczas, gdy po jednej stronie mamy prawdę, sprawiedliwość i świętość, po drugiej zaś żądze, rozkosze, ciemne namiętności i przepaść występku; jednak i w innych stosunkach życiowych jest rzeczą ważną, by wybór był trafny i nie pociągał za sobą wracania do tego samego punktu wyjścia po pewnym straconym czasie. Używając tych słów nawet w powszedniem, codziennem znaczeniu, nie mogę się oprzeć pewnemu wstrząśnieniu, jak przy słowach przysięgi. Są jednak ludzie o duszy rozluźnionej, na których dylemat ten nie robi żadnego wrażenia i którym brak na tyle energii, aby umieć sobie powiedzieć na seryo: albo—albo.

Dla ciebie natomiast, mój przyjacielu, albo - albo istnieje, nie jako dwie koniunkcye rozdzielcze, lecz jako jeden nierozłączny wyraz, jako wykrzyknik, którym wołasz za ludzkością, podobnie, jak się woła hop-hop albo łap-cap za uciekającym. Rezultat wyboru uważasz zawsze za rzecz ostatecznie świetną, a więc i wybór za rzecz obojętną. Nie jest to u ciebie ani melancholią, ani posępnością. W naturze twojej tkwi sekret, którego życie i jego stosunki dotąd odkryć nie zdołały. Uważasz życie za maskaradę i sam nosisz maskę. Z pasterką będziesz przeżywał sielankę, z czcigodnym księdzem zamienisz braterski pocałunek. Jesteś sfinksem i nosisz na czole napis: albo-albo. Ale czy nie wiesz, że przyjdzie północ, i wtedy każdy zdjąć musi maskę? Kto przyucza się zwodzić ludzi, ten w końcu nie jest zdolny objawić szczerze swej własnej istoty. A kto nie umie się objawić, ten nie może kochać i jest człowiekiem najnieszczęśliwszym.

Wybór decyduje o treści danej indywidualności; przez wybór oddaje się ona przedmiotowi wybranemu, a gdy nie wybierze, ginie z wycieńczenia. Kto się cofa przed wyborem, naraża się na to, że za chwilę może być zapóźno, że wyboru tego dokonają za niego siły, w nim ukryte, lub ludzie inni.

Ty natomiast rozważasz i wahasz się bez końca; wolałbyś, aby ci zaoszczędzono wyboru. Masz, przypuśćmy, do wyboru zawód aktora i księdza. Entuzyazmujesz się przez pół roku do jednego z nich, dumny jesteś, że tak szybko objąłeś charakter danego zawodu. Ale, gdy w drugie pół roku zdecydowałeś się na drugi z tych

zawodów, staje ci przed oczy trzecia ewentualność: adwokatura. Obrońca karny ma coś wspólnego z obu tych zawodów. I trwa to wciąż, a czas upływa, aż w końcu powiadasz sobie: vanitas, vanitatum vanitas, machniesz ręką na wszystko i wybierasz — wolność.

Jest to wybór estetyczny; ale wybór estetyczny nie jest żadnym wyborem. „Wybierać" — to wyraz ściśle z zakresu etyki. Wszędzie tam, gdzie mowa o takiem albo-albo w poważnem znaczeniu, można być pewnym, że wchodzi tu w grę pierwiastek etyczny. Wybór estetyczny natomiast jest albo całkiem bezpośredni, np. wybór serca, albo gubi się w różnorodności.

Kto natomiast ma na oku wybór etyczny, ten nie ma tak różnorodnego wyboru, lecz sam akt wyboru posiada u niego głębszą powagę i energię. Osobowość występuje tu skonsolidowana, objawia się w swej wewnętrznej nieskończoności.

To albo-albo nie oznacza koniecznie wyboru między złem a dobrem: oznacza ono wybór między dobrem wogóle a estetycznem. Pierwiastek zaś estetyczny nie jest złem, lecz indyferentyzmem.

Filozofia dzisiejsza odrzuca również przeciwieństwo dobrego i złego i godzi je w najwyższej jedności. W zakresie myślenia jest to nawet zapatrywanie słuszne. Syntetyzuje ona zawsze przeszłość, jest kontemplacyą, ale staje się bezsilną, gdy chodzi o przyszłość, o pytanie, co człowiekowi czynić wypada. Rozpatruje ona logikę, naturę i dzieje pod kątem konieczności. Co do dziejów samych, to przedmiotem jej badań jest zewnętrzna strona ludzkich działań; rozróżnia ona tutaj działania prywatne od czynów, należących do historyi i pochłoniętych przez wyższy porządek rzeczy. Ale to, co jest wolnością w człowieku, żyje w jego czynie wewnętrznym, stanowi jego istotę, jest jego własnością, której mu nic nie odbierze przez całą wieczność. W tym świecie wolności wewnętrznej istnieje absolutne albo - albo, z którem filozofia nie ma nic wspólnego.

Przedewszystkiem tedy chodzi nam o uznanie realności wyboru. Chwila tego wyboru nadaje człowiekowi młodość niespożytą. Wszystko cichnie koło nas, otacza nas uroczysta powaga nocy jasnej od gwiazd, dusza czuje się samą w całym wszechświecie; wówczas objawia się jej odwieczna niebiańska moc, i dusza czyni wybór samej siebie. Wówczas widzimy rzeczy najwyższe, których żadne śmiertelne oko nie dojrzy i których niepodobna zapomnieć. Osobowość otrzymuje rycerskie pasowanie, uszlachetniające ją na całą wieczność.

Przez wybór absolutny staje się żywioł etyczny prawem życia, co zgoła nie wyklucza żywiołu estetycznego. Chodzi bowiem tylko o to, by uznać konieczność wyboru i rozpatrywać życie z punktu

etyki, wówczas dopiero wraca cała estetyczność życia, wówczas może człowiek duszę swoją uradować i świat cały zyskać.

Cóż to jednak znaczy żyć etycznie albo żyć estetycznie? Na czem np. polega życie estetyczne? Polega ono na zasadniczym poglądzie na cel życia, które zamyka się mniej więcej w słowach: należy życia używać. Pojęcie tego użycia może być bardzo różne, ale cel życia ten sam. Kto jednak utrzymuje, że chce życia użyć, ten czyni je zależnem od warunku, który albo leży poza indywiduum, albo, wprawdzie jest właściwy danej indywidualności, ale nie w niej ma swój początek.

Jednym z takich warunków, leżących w danej indywidualności, ale od niej niezależnych, jest zdrowie lub piękność ciała. Kto na tych warunkach buduje swój sposób użycia, opiera się na podstawie zmiennej, przemijającej. Tu należy także talent—merkantylny, matematyczny, artystyczny, poetycki, filozoficzny i t. p.: użycie bywa opierane na dążeniu do najwyższego rozwoju talentu. Ty używasz życia o wiele wytworniej i kunsztowniej od ludzi, oddanych swemu talentowi; ale między tobą a zagorzałym myśliwym lub sportsmanem zasadnicze podobieństwo to samo. Szukacie użycia.

Podobny pogląd na życie zachodzi w wypadkach, gdy warunki użycia leżą poza nami, a więc wszędzie tam, gdzie celem życia staje się wielka ambicya, żądza wielkich dostojeństw, bogactwo, nawet wielka miłość płciowa. Weźmy pod uwagę młode dziewczę, zakochane wyżej uszu,— jej oczy szukają jego tylko, w jej duszy niema innej myśli, jak o nim, poza nim nic, nic zgoła, na niebie i na ziemi, nie ma dla niej znaczenia. Oto także estetyczny pogląd na życie.

Wszystkie te estetyczne ujęcia bytu to mają nadto z sobą wspólnego, że posiadają pewną jedność, pewne oznaczone centrum, około którego wirują. Opierają one życie na jednej oznaczonej namiętności, przez co życie to nie ulega takiemu rozbiciu, jak wówczas, gdy opiera się na samem sobie, to jest na zmiennem upodobaniu chwili.

Przypatrzmy się tej drugiej metodzie. Uczy ona również: „używaj życia”, ale objaśnia to w ten sposób: żyj według własnych upodobań. Że jednak upodobania są zmienne z natury, powstaje stąd rozproszenie się, rozbicie w bezkresie. Składa się ono z krótkich momentów użycia, w których indywiduum występuje bezpośrednio, tudzież z refleksyi, zamkniętej w granicach skończoności. Żyć w ten sposób, by zadowolić każde swe upodobanie, jest to w istocie wspa-

niały zawód życiowy, ale niewielu ludziom danem było przeprowadzić go całkowicie, najczęściej z powodu braku warunków. Szczęście to, a raczej nieszczęście, dostaje się ludziom rzadko w udziale— z ręki nie łaskawego, lecz raczej rozgniewanego, bóstwa.

Najczęściej spotykamy się z fuszerami na tem polu, niekiedy jednak widzimy przykład podobnego rodzaju życia, dostarczony nam przez historyę. Takim był cesarz *Nero*. Okrucieństwa Nerona przerazić muszą każdego, ale nie radzę nikomu dowierzać sobie, że nie mógłby nigdy sam zostać takim Neronem. To, co stanowiło samą istotę natury Nerona, nie jest obcem żadnemu z nas, jakkolwiek wydaje się nam czemś całkiem niewinnem. Istotą Nerona była posępność. W naszych czasach dopatrujemy się w tej ciężkiej melancholii czegoś wielkiego; a jednak dawniejsza nauka kościoła liczy posępność do grzechów głównych. Może bowiem wielkie zmartwienie towarzyszyć człowiekowi aż do grobu, nie zabierając mu przytem wewnętrznej prawdy i piękności życia; p o s ę p n y m s t a j e s i ę c z ł o w i e k t y l k o z w ł a s n e j w i n y.

Przedstawmy go sobie starszym nieco, pierwsza młodość leży już poza nim, a z nim lekkomyślna radość z życia. Już go życie nie cieszy, dusza jego dojrzała — ale duch jego nie zdołał się przepracować w wyższą formę bytu. Żyje życiem bezpośredniem, marząc o wyższem. Zacząć go nie ma jednak odwagi: trzebaby wówczas przeniknąć całą nędzę potęgi tronu i jego wspaniałości. Odtąd goni on za chwilą przyjemności, bo tylko ona daje mu chwilę spokoju. Gdy przeminie upojenie, duszność spada mu na piersi. Duch jego wciąż gotuje się do wybuchu, ale rozmach kończy się na złudzeniu. Wówczas duch ten zbiera się w nim w ciemną, groźną chmurę, jej gniew unosi się nad jego duszą — a wówczas chwyta go przestrach wewnętrzny, który go nie opuszcza nawet w momentach użycia. Dlatego oko jego tak ponure, tak ciemne, że nikt go znieść nie może, jego spojrzenie tak złowrogo błyszczące, że napełnia ludzi przerażeniem. Nazywają to spojrzenie spojrzeniem cesarskiem, cały świat drży przed niem, a jednak jego najgłębsza istota jest pełna tajemnej trwogi. Kiedy dziecko małe spojrzy nań inaczej, niż przywykł, wówczas chwyta go bojaźń boża, tylko, gdy świat drży przed nim, jest spokojny. Stąd jego przestrach przed ludźmi. Żyje, jak opętany, jak niewolny w sobie, lada spojrzenie intryguje go. Oto najniższy niewolnik rzucił nań wzrokiem, a jego oko już wpatruje się weń i stara się go przeniknąć. Ma go w podejrzeniu, lada podszept, a człowiek ten nie żyje. Tylko wielka przyjemność daje mu chwilową rozrywkę. Pali dla niej pół Rzymu, ale męka jego nie zmniejsza się,

wkrótce przestaje go to bawić. Więc poczyna męczyć ludzi wkoło siebie. Jest sam sobie zagadką, sam w sobie lękiem; chce być tedy zagadką i dla innych, chce bawić się ich lękiem. Stąd ten uśmiech, którego nikt nie pojmuje. Do tronu jego zbliża się kobieta, on spogląda na nią z przyjaznym uśmiechem, pełen łaskawości monarszej, a ona chwieje się napół omdlała z przerażenia; może ten uśmiech wybiera ją na ofiarę jego chuci. A ten strach to jego rozkosz. On nie chce imponować, on chce przerażać, budzić zaniepokojenie. Dlatego, zamiast występować w pełnym przepychu władcy, woli przemykać się niepozorny, słaby, bo ta słabość niepokoi ludzi jeszcze bardziej. Dusza jego jest, jak omdlała, gra myśli, dowcipy zdolne są jeszcze ożywić go na chwilę, ale wszystko, co świat dać może, już wyczerpane. Gotówby kazać zarąbać dziecko w oczach matki, by spróbować, czy jej rozpacz nie będzie miała w sobie czegoś nowego zupełnie, co go rozerwie. Gdyby nie był cesarzem rzymskim, zakończyłby może życie samobójstwem.

U ludzi tego rodzaju występuje zarazem czasami dobroduszność. Tam, gdzie wszystkie skarby świata nie zdołają go ucieszyć, tam jakieś jedno słowo, jakaś rzecz bez znaczenia wywołuje wybuch radości prawie dziecięcej. Osobowość dojrzała nie zdoła się tak cieszyć, bo, choć zachowała w sobie dziecko, ale przestała niem być. Tymczasem taki Nero jest w codziennem życiu człowiekiem starym, a w pewnych chwilach prawdziwie dzieckiem z całą bezpośredniością jego życia.

Czem jest tedy posępność? Histeryą ducha. Człowiek, żyjąc życiem bezpośredniem, dochodzi do kresu przesytu, gdzie pragnie uświadomić się w sobie, jako duch wieczny i niezmienny ponad całą zmiennością i rozmaitością życia ziemskiego. Gdy ten impuls wewnętrzny zostanie przerwany lub przygłuszony, wówczas występuje melancholia, posępność. Ta choroba, a raczej ten grzech rozpowszechnił się dzisiaj nadmiernie. Lekarze dopatrują się źródła tej choroby w przyczynach fizycznych, w ciele, a jednak, lecząc ciało, niepodobna jej wyleczyć. Jest ona bowiem chorobą woli, woli, która nie umie chcieć dość głęboko i wewnętrznie; spotyka się ją u natur właśnie wyżej rozwiniętych. Człowiek, dotknięty nią, jest przeświadczony, że nie potrafi współżyć z ludźmi, że przyszedł na świat zapóźno albo zawcześnie, że niema dlań miejsca w życiu. Kto jednak potrafił opanować siebie i wyzwolić, kto posiadł samego siebie w swej wiecznej wartości, ten łatwo zrzuci wówczas z siebie te wszystkie małe cierpienia. Co prawda, nigdy nie zdoła człowiek zwolnić swego ducha zupełnie od tego bezprzyczynowego smutku, śpiącego

na dnie jego duszy. Ale to ma już swoje głębsze przyczyny; to pochodzi stąd, że człowiek nigdy nie zdoła w życiu ziemskiem objawić się i poznać w całej swej istocie.

Powracając do zasady życia według własnych upodobań, dla zadowolenia własnej przyjemności, spotykamy się dalej z inną, wyższą jej formą. Subtelniejszy egoizm spostrzega się, że w ten sposób użycie traci swą ponętę. Przychodzi tedy refleksya wyższa: używaj siebie samego. W użyciu główną rzeczą staje się nie bezpośredniość użycia, lecz refleksya wrażeń. Eplkureizm ten, opierając się jednak również ostatecznie na użyciu, opiera się tem samem na warunkach zewnętrznych. A czy w używaniu siebie samego ucieknie się do odrzucenia warunków zewnętrznych, to i wówczas stoicyzm tego rodzaju czyni człowieka od nich zależnym — a nadto refleksya, zajęta sobą w granicach skończoności, jałowieje.

Gdybyśmy, idąc dalej, przyjęli, że wszyscy ci, którzy życie swe oparli na użyciu, osiągnęli całkowicie swój cel—czy z tego wyniknie, że ludzie ci poczują się istotnie szczęśliwi? Doświadczenie nas uczy, że nie; ludzie ci robią po pewnym czasie odkrycie, że oparli życie na czemś pustem — i wówczas chwyta ich zwątpienie. Że jednak użycie w istocie swojej nie uległo zmianie, trzeba tedy przyjąć, że zwątpienie, zrozpaczenie raczej, stanowiło zasadniczy ton ich usposobienia już wtedy, gdy sięgali po użycie, a tylko uświadomienie sobie tego przyszło później.

Widzimy tedy: każdy estetyczny pogląd na życie jest zrozpaczeniem, a każdy, kto żyje estetycznie, jest zrozpaczony, choćby sobie z tego sprawy nie zdawał.

Jest jeszcze jeden pogląd na życie, pogląd twój, mój przyjacielu, a jest nim zrozpaczenie samo. Pogląd to również estetyczny, bo osobowość trwa tu w swej bezpośredniości. Mamy tu do czynienia ze zwątpieniem myślowem, a nie aktualnem. Myśl twa wybiegła daleko naprzód i przejrzała próżność wszystkiego. Ale dalej, poza to stanowisko nie poszła. Rzucając się w chwilowe użycie, masz w sobie całą świadomość jego próżności i illuzyi. Stąd pochodzą dwie zasadnicze przeciwności twej natury: od czasu do czasu gwałtowna energia, a po niej równie wielka bezwładność.

Stąd życie twoje jest niespokojnie czynne, ale brak mu stałej ciągłości. Wszystkim twym gorliwym studyom brak celowości. Mimo pracy jesteś bezczynny, stoisz na rynku, jak ów robotnik ewangeliczny, i z rękoma w kieszeni przyglądasz się życiu. Zobojętniały na wszystko patrzysz na własne uchodzące życie i czekasz końca.

Ale nagle zjawia się coś, co cię przejmuje do głębi, jakaś idea, sytuacya, uśmiech dziewczęcy — i rzucasz się cały w przedmiot, czy to będzie obmyślenie dzieła, czy ułożenie awantury, czy kupienie nowego kapelusza. Pracujesz dzień, miesiąc, kilka miesięcy z energią niedościgłą — niespodzianie tracisz dalszą ochotę. Rzucasz dalszą pracę, pocieszając się myślą, że, gdybyś chciał, pracowałbyś do końca z tą samą energią, co dawniej. Na tem jednak polega twe złudzenie; brak ci zwykłej potrzebnej wytrwałości. I dlatego prace twoje są bez rezultatu. Siła twoja jest siłą rozpaczy; jest ona intensywniejszą od zwykłej siły ludzkiej, lecz trwa krótko.

Stawisz się przed sobą, w wyższych regionach rozpaczy i używasz świadomie wielkiej rozmaitości nastrojów i stanów. Umiesz być sentymentalnym, zimnym, ironicznym, dowcipnym; porwany czemś umiesz być praktycznym w działaniu mimo namiętności. Według ciebie to byłoby prawdziwym urokiem życia, gdyby można każdej nocy schodzić się na grecki symposion z kilkoma młodzieńcami, nałożyć wieniec na skronie i rozmawiać z zachwytem o miłości. Trzeba tu dodać, że cały nasz czas żywi przesadny respekt dla uzdolnień umysłowych, podczas gdy o wiele ważniejszą jest ta wewnętrzna głębia całej natury człowieka, na którą język nie ma innego wyrazu, jak — wiara.

Żyjesz chwilą i wtedy jesteś potężny, masz żelazną wolę, bo na chwilę zdołasz być panem siebie. Ktoby cię sądził według tych momentów, popełniłby grubą pomyłkę, o której wkrótce zdołałby się przekonać, gdyby nie twoja przezorność, z jaką umiesz wycofywać się z widowni.

Teoretycznie załatwiłeś się ze światem i wszystkiem tem, co świat dać może; praktycznie wyrobiłeś sobie nań pogląd estetyczny, który daje ci pewien spokój, jakkolwiek nie daje ci stałego zaufania do życia. Spokój ten twój odbija się zwłaszcza w porównaniu z tym, który goni jeszcze za marą użycia, *per mare pauperiem fugiens, per saxa, per ignes*. Ułatwiłeś się ze skończonością, w stosunku do użycia zachowujesz dostojną dumę. Wielki majątek zająłby cię może przez miesiąc, wielka miłość najpiękniejszej z dziewcząt—przez pół roku. Nieinaczej wysokie zaszczyty i uznanie świata. Nie życzysz sobie właściwie niczego; gdyby ci dano czarodziejską rózgę, która daje wszystko, o co zawołać, użyłbyś jej, jako przetyczki do fajki. Że jednak twój duch myślący odjął ci wszystko, nic wzamian nie dając, przeto dość często umiesz schodzić ze szczytu dumnej obojętności ku czemuś zgoła drobnostkowemu, co cię na czas pe-

wien pochłonie. I wtedy jednak zdajesz sobie sprawę, żeś się zniżył do tej rzeczy. Stąd w stosunkach z ludźmi zachowujesz zawsze wysoki stopień niewierności, nieszczerości, z czego jednak nie można ci robić zarzutu etycznego. Będąc z ludźmi, nie bierzesz współudziału z nimi lub bierzesz współudział fałszywy. Ale przez to wzrosła twa wewnętrzna posępność, dusza twa zapada w smutek i zgryzotę, od której ratujesz się znowu uśmiechem zrozpaczenia. I ten uśmiech nie opuszcza cię już nigdy, nim oszukujesz świat i ludzi, nie zdradzając jego treści istotnej. Inni w podobnym stanie rzucają się naoślep w użycie aż do zapomnienia o świecie; ciebie ratuje od tego właściwa tobie duma.

Życie zawsze w końcu okaże się zrozpaczeniem. Ty wiesz o tem dobrze, twój smutek wewnętrzny dał ci to już do poznania — ale jesteś za lekkomyślny, by zrozpaczyć zupełnie. Jesteś, jak rodząca, która zwleka moment porodu i ciągle się wije w bólach. Ją przymusi w końcu sama natura, tobie jednak może się udać. O cóż tu bowiem chodzi? O własne odrodzenie. Chwila, w której przychodzimy do poznania swej wiecznej wartości, w której łączymy się na zawsze z wieczystą wszechpotęgą, z absolutem, chwila ta ma grozę wstrząsającą w sobie. W niej leży ludzkie albo-albo.

Zdecyduj się. Opuść ojczyznę, jedź, dajmy na to, do Paryża. poświęć się dziennikarstwu, ubiegaj się o uśmiechy pięknych kobiet, rozpraszaj im nudy swym dowcipem, zagłusz w swej piersi każdy czystszy głos, każde wyższe uczucie, rozwłócz swe życie po błyszczącej nędzy zebrań salonowych, zapomnij o tem, żeś duch nieśmiertelny — a gdy mózg twój zużyje się do cna i pióro stanie bezsilnem, wówczas, ha, dość wody w Sekwanie, a nabojów u prochownika. Ale jeśli tak żyć nie chcesz, nie potrafisz, to skup się, stłum myśli, buntujące się przeciw twemu lepszemu ja, odsuń z pogardą obłudną cnotę, co dźwiga niechętnie ciężar życia, a jednak pożąda uznania dlatego, że go dźwiga, odsuń od siebie ludzi, którzy i tak zazdroszczą ci twych uzdolnień; lecz nie pogardzaj przez to jeszcze życiem, szanuj każde uczciwe dążenie, każdą pracę rzetelną a ukrytą, a przedewszystkiem miej więcej wewnętrznego szacunku dla kobiet.

Nie radzę ci na twą melancholię ani żenić się, ani szukać zapomnienia w pracy, ani żadnego z podobnych środków, branych z zewnątrz. Jedna jest tylko rada dla ciebie: zwątp, popadnij w rozpacz.

Nie radzi ci tego ani młodzieniec egzaltowany, chcący cię wciągnąć w wir namiętności, ani demon ironiczny; radzi ci człowiek żonaty, przywiązany do swej żony i dzieci, doradza ci to, jako czyn, wymagający całej energii duszy. Mam to przekonanie, że człowiek,

który nie zakosztował gorzkości rozpaczy, chybił celu swego najwyższego, choćby życie jego płynęło mu pomyślnie.

I, kiedy wglądam w twoje życie, widzę, że można je nazwać do pewnego stopnia pomyślnem. Bywa bowiem, że w momencie zrozpaczenia chwytamy się pewnego fałszywego poglądu na życie. Kto, popełniając grubą pomyłkę, mniema, że nieszczęście leży poza nim, w warunkach zewnętrznych, ten znienawidzi świat zamiast zachować dlań miłość.

Wybierz tedy zwątpienie, a przez zwątpienie wybierz siebie samego, nie w swojej bezpośredniości, nie jako przypadkowe obecne indywiduum, lecz siebie w swej wiecznej wartości.

Nawiasem należy nam tu wspomnieć o różnicy między wątpieniem, sceptycyzmem a zwątpieniem, zwłaszcza, gdy nowsza filozofia kładzie taki nacisk na doniosłość sceptycyzmu. Wątpienie jest wątpieniem myśli, a jako takie, leży ono w zakresie niewoli, lecz konieczności. Sceptycyzm, będąc ruchem wyśli, często nie dosięga samej osobowości. Może być przeto sceptyk umysłowy, który ani nie wątpi o ważności obowiązku, o doniosłości uczuć wzniosłych i tp. Zdarzają się również ludzie, którzy w głębi serca noszą zupełne zrozpaczenie, choć pokonali sceptycyzm. Zwątpienie jest głębszem w swej istocie, bo sięga do absolutu w duszy. Wątpienie natomiast, sceptycyzm, jest rzeczą talentu, a więc rzeczy przypadkowej, nieabsolutnej. Zwątpić może chłop, młode dziewczę, a więc istoty, nie mające wiele wspólnego z myśleniem.

Wracając do założenia, do wyboru absolutnego, należy nam zdać sobie sprawę, na czem on polega. Jest nim nasze własne ja w jego znaczeniu wiecznem, w jego związku z absolutem. Tu się jednak nasuwa pytanie, na czem jednak polega nasze ja.

Polega ono na wewnętrznem poczuciu wolności. Każdy, kto pragnąłby mieć czy to talent, czy bieg życia, czy charakter drugiego, nie będzie jednak żywił na seryo życzenia, by być kim innym, jak sobą. To przywiązanie do siebie wzrasta nawet w nieszczęściu, bo niedola pogłębia w nas poczucie istoty wiecznej. Nawet samobójca nie pragnie w gruncie rzeczy rozstać się z sobą, i on żywi jeszcze pewne życzenie w duszy, życzy on sobie innej formy swego ja; może być tedy ktoś samobójcą, kto wierzy głęboko w nieśmiertelność duszy, ale czuje się zarazem pogrążonym w taki mrok, że tym właśnie krokiem pragnie wydobyć się z niego.

Przed tym absolutnym wyborem stawia człowieka zwątpienie, zrozpaczenie. Nie jest to retorycznym tylko zwrotem, gdy powie-

my, że w wyborze tym po jednej stronie stoi cały świat, skończoność życia, a po drugiej dusza jego własna, wolność jego moralna. O tym dylemacie mówi Pismo Św.: cóż pomoże człowiekowi, gdyby cały świat zyskał, a poniósł szkodę na swojej duszy? Ta „szkoda na duszy" należy do tych tajemniczych „grzechów przeciw duchowi świętemu", o których Pismo wspomina.

Wybierając siebie, staje człowiek na gruncie, który go wiąże z całością życia, opiera się na miłości, która budzi w nim żal. Przez żal powraca on do siebie, do swej godziny, do społeczności, do Boga wreszcie. Ten żal jest właśnie miłością Boga. Jeżeli teraz zestawimy estetyczny i etyczny sposób życia, zobaczymy, że, kto żyje estetycznie, rozwija się według naturalnej konieczności, kto zaś etycznie, ten wchodzi w zakres wolności i dokonywa w sobie metamorfozy, która zbliża go do absolutnej formy jego bytu.

Przy życiu estetycznem cała bogata złożoność uczuć i popędów człowieka ma równe prawo do swego rozwoju, do zaspokojenia swej tęsknoty. Dusza wtedy jest, jak rola, na której buja wszelakie zielsko, człowiek rozbija się w tej rozmaitości i nie ma w sobie nic wyższego nad nią. Kto ma pewną mądrość życiową i zmysł estetyczny, ten z mnóstwa tego wybierze to, co ma większą siłę do rozwoju. Pomyślmy sobie człowieka, który nie ma nic wspólnego z etyką. Wówczas może on rozumować w ten sposób: mam dane na Donżuana, na Fausta, na piratę; potrzeba tedy, abym tę skłonność rozwinął w sobie do *maximum*, bo estetyczny postulat wymaga tego, bym był czemś oznaczonem, stałem. Estetyczny rozwój jest zatem rozwojem rośliny. Kto natomiast zapatruje się na człowieka etycznie, ten ma do czynienia z różnicą absolutną, różnicą między złem a dobrem. Rozwijając się etycznie, t. j. wybierając dobre, nie znosi w sobie przez to życia estetycznego, lecz patrzy nań ze stanowiska wyższego.

Pociąg do życia estetycznego opiera się jednak na niechęci do powszedniości życia, na pociągu do dyferencyi. Człowiekiem dobrym może być każdy, który zechce, ale, aby być złym, trzeba mieć talent. Dlatego wielu woli być filozofami, niż chrześcijanami, filozof bowiem musi mieć talent, a chrześcijanin tylko pokorę. Trzeba mieć nieco etycznej odwagi, by brać życie z całą powagą nie w jego różnicach lecz w tem, co w niem jest ogólno-ludzkie. Czas nasz potrzebuje przeto gwałtownych wstrząśnień, potrzebuje widoku, jak indywidua, najwyżej rozwinięte w estetycznem znaczeniu, a więc ludzie, których życie polega właśnie na dyferencyach, zwątpią w nie, w te dyferencye, by znaleźć życie ogólno-ludzkie.

I każdy człowiek, żyjący tylko estetycznie, czuje tajemny przestrach przed zwątpieniem, bo wie, że to, co zwątpienie na wierzch wydobywa, jest ogólne, a to, na czem on życie swe oparł, jest różnicą, odrębnością. Im wyżej ktoś stoi, tem więcej różnic przełamał, tem częściej popada w zwątpienie; zawsze jednak zatrzymuje on jedną z nich, na której oparł życie, a która odpowiada najbardziej jego naturze estetycznej. Czuje tedy ten człowiek przestrach przed zwątpieniem, ale nie idzie dalej, nie przekracza tej ostatniej dyferencyi życia, nie umie zwątpić zupełnie i wyjść poza zwątpienie, już jako człowiek etyczny.

Estetycznem użyciem samego siebie jest n a s t r ó j. Kto żyje estetycznie, szuka nastrojów, roztapia się w nich, ginie prawie, tak, że cały staje się nastrojem. A że nastrój jest m o m e n t e m i szybko ulega przemianom, stąd wynika gwałtowna oscylacya życia Żyjący etycznie zna również nastrój, ale sam znajduje się niejako ponad nim, nie ginie w nim zupełnie, zachowuje ciągłość swego życia. On opanował użycie, nie zabija w sobie ochoty, nie zrzeka się jej, lecz umie sam wyznaczyć jej moment odpowiedni. Nie traci on przez to swego stałego nastroju, ma własne centrum w sobie, podczas gdy esteta jest ekscentryczny.

Weźmy tu przy sposobneści pod uwagę pogląd na życie, który tobie zwłaszcza, mój przyjacielu, szczególnie się podoba. Opiera się on na zasadzie, że znaczenie życia polega właściwie na znoszeniu cierpień, a nieszczęśliwiec jest najszczęśliwszym. Nie jest on już poglądem estetycznym, a jeszcze nie etycznym; porusza się na ich granicy, gdzie dusza z pod konieczności przyrodniczej ucieka się do jednej z teoryi predestynacyi. Jest to jedna z twych najniebezpieczniejszych herezyi, której używasz w praktyce do uwodzenia młodzieży. Ponieważ patrzysz na całe życie pod estetycznym kątem widzenia, przeto i cierpienie nie uszło twej uwagi, jako rzecz, równie interesująca, jak radość. Szukasz więc raz uciechy, a drugi raz oddajesz się cierpieniu; stąd ludzie z twego otoczenia mają cię raz za człowieka bez serca i współczucia, drugi raz widzą w tobie poczciwca, który tylko ukrywa się ze swą poczciwością. Bo umiesz współczuć z cierpiącym i przynieść mu ulgę; znasz siłę słowa i patos tragedyi. Zachwyca to ciebie, że posiadasz władzę nad cierpieniem, ale, gdy pomoc twa staje się jemu niezbędną, ciebie poczyna to już nudzić. Już poznałeś to, co było interesującego w tem cierpieniu, już masz tego dosyć — a teraz szukasz odetchnienia w czemś wprost przeciwnem, rzucasz się w uciechę. Czasem pragniesz nawet zupełnie szcze-

rze pomódz cierpiącemu i usunąć jego cierpienie — ale poza tem pragnieniem tkwi w tobie pewna zazdrość cierpienia; chcesz, aby tylko twe cierpienie było nieuleczalne.

Cały rozwój modernistyczny ma to do siebie, że więcej poszukiwane jest cierpienie, niż radość. Czas nasz, pojąwszy próżność życia, nie wierzy już w radość, aby jednak w coś wierzyć, wierzy w cierpienie. Radość przemija, mówimy, a cierpienie zostaje, a kto życie swoje buduje na tem ostatniem, ten się opiera na gruncie pewnym.

I ja gardzę płytką radością z życia, jaka wypełnia filistra; ale wiem i to, że nie należy nam pogrążać się w smutku, jak ci, co nie mają nadziei. Nie potrafię żyć w kategoryach estetycznych, czuję bowiem, że coś najświętszego zapada się we mnie; a gdy staję na gruncie etycznym, wówczas cierpienie nabiera innego znaczenia. Obudza ono żal, poczucie winy — a wszystko jedno, czy cierpienie moje jest zasłużone przeze mnie, czy nie. Nie dochodzę tego, nie prawuję się z Bogiem, mam tylko jeden wyraz na to, co cierpię— winę, jeden wyraz na mój ból — skruchę, jedną nadzieję przed oczyma — odpuszczenie.

II.

Życiu estetycznemu, inaczej mówiąc, użyciu, przeciwstawiają często pogląd inny, który znaczenia życia dopatruje się w spełnianiu obowiązków. Ma to uchodzić za pogląd etyczny. Określenie to atoli jest absolutnie niedokładne, jakby obliczone na to, by zdyskredytować żywioł etyczny. Błąd tkwi tu w tem, że człowiek postawiony zostaje w stosunek zewnętrzny do obowiązku. Żywioł etyczny oznacza się, jako obowiązek, a obowiązek, jako zbiór pojedyńczych wskazówek, przez co człowiek i obowiązek są czemś odrębnem, odosobnionem. Oczywiście tak pojęte życie obowiązkowe jest i nudne, i niesmaczne, i z trudnością zdołałoby wytrzymać konkurencyę z życiem estetycznem. Są wprawdzie ludzie, którzy nie wyszli nigdy poza inne pojęcie etyki; ale to już wina nie obowiązku etycznego, lecz ich samych.

Kto jednak zoryentował się sam w sobie, ten przyjść musiał do przekonania, że „powinność” jest stosunkiem wewnętrznym. Tkwi ona nie w przypadkowości życia, nie jest zbiorem pojedyńczych nakazów, lecz naszą najgłębszą istotą. Stąd daje ona spokój i pewność siebie. Inne, zewnętrzne, a więc powierzchowne pojęcie mo-

ralności czyni człowieka chwiejnym i niezdecydowanym; będzie on ciągle widział obowiązek przed sobą i ciągle zabierał się do jego urzeczywistnienia.

Żywioł etyczny jest ogólnoludzkim i, jako taki, abstrakcyjnym. Realizuje się on dopiero przez człowieka, w którym na dnie sumienia dokonywa się tajemnicze skojarzenie się życia indywidualnego z ogólnoludzkiem. „Człowiek ogólny" nie jest jakimś fantomem, każdy może nim być. Kto żyje estetycznie, ten jest człowiekiem przypadkowym i sądzi, że przez to właśnie, jako człowiek jedyny, będzie człowiekiem doskonałym. Kto żyje etycznie, dąży do człowieczeństwa ogólnoludzkiego. Gdy np. ktoś zakocha się estetycznie, wówczas przypadkowość gra w jego oczach ważną rolę i zależy mu na tem, by nikt właśnie nie kochał tak, jak on; kochający etycznie natomiast żeni się i realizuje życie ogólno ludzkie. Być człowiekiem jedynym nie jest jeszcze niczem szczególnem, każdy produkt natury ma tę samą właściwość. Ale, będąc nim, być zarazem powszechnością, w tem leży prawdziwa sztuka życia.

Zasadnicza różnica między człowiekiem etycznym a estetycznym jest ta, że indywiduum etyczne jest samo dla siebie jasne, przejrzyste i nie szuka niebieskich migdałów, jak właśnie indywiduum estetyczne. Ten pierwszy zna siebie, nie dopuszcza do siebie ani nieokreślonych myśli, ani takichże pomysłów. Ale ta znajomość siebie nie jest czysto umysłową kontemplacyą, jest to raczej opamiętanie się w sobie, wybór samego siebie, rodzaj poznania, które zapładnia, jak to „poznanie" czy „zaznanie", o którem mówi Biblia przy Adamie i Ewie.

Gdy natomiast człowiek estetyczny ustala sobie swoje zadanie życiowe, to zazwyczaj polega ono na tem, że wybiera w sobie jakieś przypadkowe uzdolnienie i pogłębia się w niem aż do paradoksu, aż do wykrzywienia w sobie człowieczeństwa.

Rozwój etyczny w człowieku przechodzi przez stadya coraz szersze, rozbudzając w nim dane cnoty: osobiste, obywatelskie, religijne. W miarę tego rozwija się i jego życie, postępując od jednego stadyum do drugiego. Rozwój ten jest tylko wchłanianiem w siebie coraz szerszego zakresu życia i stapianiem go z własną indywidualnością. W każdym wypadku nie chodzi tu o ilość i rozliczność obowiązków, jak raczej o intensywność poczucia, o energię świadomości moralnej.

Przypatrzmy się teraz, jak będzie wyglądało życie, rozważane pod kątem etycznym. Estetycy twierdzą, że wówczas życie to traci na piękności. Przyznają oni etyce pewne znaczenie, ludzi z poczu-

ciem obowiązku uważają za godnych uznania, sami jednak nic z tem wspólnego mieć nie chcą, etycznie bowiem pojmowanie życia ma niszczyć wszelkie piękno.

Cóż jest tedy pięknem według pojęcia estetyków? To, co ma cel samo w sobie, np. młode dziewczę, natura, dzieło sztuki. Tak twierdzą. Nietrudno jednak dostrzedz, że wszędzie tam, gdzie mówi się o celu końcowym, musi zachodzić pewien ruch. Tymczasem ruch ten przy rozpatrywaniu piękna natury lub dzieła sztuki, odbywa się nie w nich, lecz w myśli ludzkiej, która je obejmuje; a tem samem przekraczamy tu granice natury lub sztuki i wchodzimy w dziedzinę wolności, a więc etyki. I dopiero ten wnętrzny ruch ducha ludzkiego do celów końcowych, w nim samym zawartych, stanowi najwyższe piękno życia. Jest to jednak piękno etyczne. Nie ma ono form stałych i oczom widocznych, jest bowiem walką, dążeniem, ale przemawia wszędzie i jest wszędzie, gdzie jest życie.

Aby je widzieć, nie potrzeba uganiać się za niem po morzach i lądach. Dość np. w wolnej godzinie (człowiek, pojmujący życie na seryo, nie ma tych godzin wolnych nazbyt wiele), stanąć w oknie i przypatrywać się ludziom w ich właściwej piękności. Choćby ten człowiek, na którego patrzę, był czemś zupełnie biednem i niepozornem, widzę w nim piękność, jemu właściwą, widzę w jego duszy żywioł ogólnoludzki i własne jego zadania życiowe, i własny cel końcowy, i jego realizacyę, i walkę o nią. I wierzę, że człowiek ten w walce swej zwycięży, a zwycięstwo jest tryumfem piękna, w który również wierzę i wierzyć będę. Gdybym tę wiarę utracił, utraciłbym świat. Przez tę wiarę widzę i czuję piękno życia, a piękno to nie ma w sobie nic z tego smutku, jaki owiewa wszelkie piękno natury i sztuki, choćby to była nawet sztuka i natura grecka.

Ale przypatrzmy się bliżej poszczególnym stosunkom życiowym, w których piękno i dobro spotykają się z sobą, by poznać, o ile etyka obniża piękno lub może je raczej podnosi.

Weźmy np. zwykłego przeciętnego człowieka. Człowiek ten zwraca się do estetyka z zapytaniem, jak ma sobie życie urządzić. Odpowiedź będzie brzmiała mniej więcej w ten sposób: „Przedewszystkiem potrzeba mieć pieniądze. Wystarczy 6 — 8 tysięcy rocznie, nb. jeśli się jest kawalerem,—żonaty potrzebuje najmniej 10 tysięcy. Bez pieniędzy niepodobna być patrycyuszem, w przeciwnym razie jest i musi się być plebejuszem. Ale nie każdy patrycyusz umie żyć, sztukę tę posiadają wśród nich dopiero prawdziwi optymaci".

— „Ależ ja nie mam żadnych zgoła leżących kapitałów", odpowiada interpelant.

„Ha, to zmienia postać rzeczy. W takim razie zostań robotnikiem. Zresztą nie rozpaczaj tak odrazu, można popróbować innych dróg, zanim się zdecydujesz zrezygnować z wszelkiej radości i przyjemności życia. Ożeń się bogato, stawiaj na loteryę, jedź do kolonii, przypochleb się jakiemu bogatemu samotnikowi, by cię wyznaczył na swego spadkobiercę głównego, słowem obróć kilka lat życia na zebranie pieniędzy. Tymczasem musimy się rozejść. Zbieraj monetę, a jak zbierzesz, masz we mnie znowu przyjaciela, który już będzie umiał o tobie zapomnieć, żeś był przedtem biedakiem".

Są niezawodnie i tacy estetycy życiowi, których duma polega na pieniądzu.

Inni, w lepszym stylu, ogarniają wprawdzie swą sympatyą ludzi, wydziedziczonych z używania, ale w końcu wychodzą z tych samych założeń. „I cóż komu z tego" — twierdzą — „że jest człowiekiem i panem wszelkiego stworzenia, gdy on nie ma wprost czasu do odetchnięcia w gonitwie codziennej za kawałkiem chleba? Największa część ludzi żyje, aby się utrzymać przy życiu; a gdy znalazła środki ku temu, musi umierać, musi już właśnie umierać".

Człowiek etyczny odpowie natomiast poprostu: „praca jest obowiązkiem człowieka; trzeba pracować, by módz żyć". I nie jest to bezlitosne skazywanie kogoś na życie obowiązkowe, pełne w nędzy i kłopotów, jak to czyni estetyk, traktujący pracę, jako wyjątkową konieczność. Przeciwnie, praca postawioną jest tutaj, jako zasada ogólno-ludzka, a niepracowanie, jako wyłamanie się z pod niej, nie przynoszące zaszczytu, ujmę raczej. Praca ta przed jednym staje, jako konieczność, przed drugim, jako prawo, przed wszystkimi, jako droga do wolności.

Takie etyczne pojmowanie pracy jest w zgodzie z rzeczywistością i obejmuje całego człowieka.

Idźmy dalej. Jaki charakter ma tedy nosić praca człowieka? Że nie ma to być praca niewolnicza, to rzecz oczywista. Poza tem jednak stosunek jej do pracującego może być rozmaity. I tu znowu okaże się różnica między estetycznem a etycznem jej pojmowaniem.

Według estetyka praca winna zawsze nosić charakter przyjemności. Najlepiej, gdy się posiada jakiś talent arystokratyczny, przez który można będzie oddzielić się od wielkiego tłumu. Talent ten trzeba w sobie rozwinąć z możliwie największym wysiłkiem, a wówczas i życie nabiera znaczenia, i praca staje się przyjemnością.

Gdy jednak nasz bohater nie posiada żadnego arystokratycznego talentu, cóż ma wówczas z sobą uczynić?

Wówczas następuje rada druga. Trzeba traktować pracę, jako konieczność taką, jak np. sen, który nam rabuje 7 godzin życia codziennie. Trzeba odtrącić, przypuśćmy, 5 godzin na zarobkowanie, na walkę o chleb, trzeba je przepędzić możliwie najnudniej, wkładać w tę pracę jak najmniej siebie. Pozostaje dopiero reszta dnia, którą można już spożytkować po ludzku, dla siebie, na rozwój np. jakiegoś specyalnego talentu, z którego lepiej będzie nie czynić źródła zarobkowania, lecz źródło własnej głębokiej radości.

Ale nasz bohater nie czuje się zadowolonym i z tej interpretacyi. Częścią nie posiada on żadnego specyalnego talentu, a częścią ma inny, piękniejszy pogląd na pracę. Decyduje się tedy zwrócić się ostatecznie do etyka po doradę.

Odpowiedź tego ostatniego jest prosta i jasna: „Jest obowiązkiem każdego człowieka mieć swój zawód".

Jakiby to miał być zawód, tego z góry oznaczyć niepodobna, każdy jednak człowiek ma swój zawód. Zapatrywania na pracę, wyłuszczone przez estetyka, opierają się głównie na r ó ż n i c y: jedni ludzie mają talent, inni go nie posiadają, z tego tedy należy skorzystać. Ich pogląd wnosi tedy w cały byt pewną sprzeczność, uzbraja przeciw życiu, ale nie umie pogodzić z niem. Etyk natomiast kojarzy z życiem, stawiając zasadę, że każdy człowiek ma zawód. On nie niszczy przez to różnic, lecz pod niemi wskazuje na wspólne tło ogólnoludzkie. Nawet najświetniejszy talent jest zawodem.

A z tego wynika w ciągu dalszym, że istnieje pewien rozumny układ i porządek rzeczy, w którym każdy człowiek, gdy tylko zechce, tak zdoła wypełnić swoje miejsce, że będzie wykazem i tego, co jest ogólnem, i tego, co indywidualnem. Czyż życie staje się przez to mniej piękne? Wprawdzie arystokratyzm jego odpaść musi, jako rzecz, na przypadku oparta, ale otwierają się natomiast szerokie horyzonty.

I talent, gdy nie jest traktowany, jako zawód, musi być egoistyczny. Kto w ten sposób opiera na nim swe życie, ten tworzy rodzaj rozbójniczej egzystencyi. Talent ten wybucha bowiem wówczas w całej swej różnicy i stara się ją wszelkiemi siłami utrzymać. Robi on z siebie środek świata i prze naprzód z całą bezwzględnością, bo w tem parciu leży właśnie właściwe całe estetyczne użycie talentu.

A teraz przypuśćmy, że bohater nasz chce się żenić. Przypuśćmy, że dał się przekonać, iż ożenić się jest poprostu obowiązkiem każdego człowieka, że jest rzeczą niegodną i niepiękną kochać się połowicznie, a nie całem sercem lub ze swej miłości czynić jeden moment, a dziewczęciu zabierać całą jego miłość. Przypuśćmy, że

nie wierzy on, aby ten, kto prawdziwie kocha, mógł uledz zmianie, a gdyby tak miało stać się, to sądzi, że siła stosunku zdoła wszystko znów zmienić na dobre. Przypuśćmy to wszystko, ale przypuśćmy nadto, że człowiek ten ma pewną skłonność do nadzwyczajności. Szuka tedy jakiejś niezwykłej istoty, bo wszakże chodzi tu o całe życie.

I znalazł ją, natrafił na nimfę, która wyszła z leśnych uroczysk i okazała się oczom świata, a nasz bohater był właśnie tym szczęśliwym wybrańcem, któremu udało się ją posiąść. Ponętą jego miłości czy jego małżeństwa jest to, że wybrana jego jest jedyną istotą na całej ziemi. Jest możliwe, że się z nią wcale nie ożeni, aby nie sponiewierać takiego uczucia tak wulgarną jego formą.

A jednak, czy małżeństwo zabiera mu co z jego skarbów, czy znosi tę główną różnicę, którą on uważa za najcenniejszą? Wcale nie. Ono nie tylko wskazuje, że stosunek ten, jako małżeński, staje się absolutnym, ogólnym, a towarzyszące mu szczegóły są przypadkowością. Gdy i one, gdy i te różnice nabiorą wyrazu trwałości absolutnej, może on być pewnym ich posiadania. Małżeństwo odejmuje mu tedy próżną przyjemność niezwyczajności, by mu dać prawdziwą radość powszedniości. Wprowadza go ono w harmonię z całym bytem, uczy go czuć jego piękno. Jako wyjątek, jako niezwyczajność, jest on w konflikcie z otaczającem go życiem; a musi to być chyba rodzajem nieszczęścia być w posiadaniu szczęścia, które różni się zasadniczo od szczęścia ludzi innych. Jeżeliby tedy nawet zyskał piękność przypadkową, to utracił jednak piękność prawdziwą, jaka tkwi w absolutnym charakterze małżeństwa. A piękność ta jest tego rodzaju, że, choćby dziewczę, które wziął za żonę, było mniej piękną czy mniej utalentowaną istotą, szczęście jego mniejsze przez to nie będzie, lecz rozwinie się w swej pełni tą siłą absolutną, wieczystą, która tkwi w samym stosunku małżeńskim, to jest w miłości, pojętej etycznie.

Tak tedy nasz bohater żyje ze swej pracy, praca ta jest zarazem jego zawodem, pracuje zatem z ochotą, w związku z innymi ludźmi. Jest żonaty i nie pojmuje, jak czas może być komuś ciężarem albo wrogiem szczęścia, — a to właśnie dzięki swojej żonie.

Można być bowiem i mądrym, i pracowitym, i przejętym ideą, dla której jest się oddanym, przecież jednak przychodzą chwile, w których człowieka opada zniechęcenie czy nuda. I mnie zdarza się czasem, że siedzę w swym pokoju, jakby złamany w sobie; jakaś melancholia ogarnia mię, staję się obcym we własnym domu, staję się obcym samemu sobie. Wówczas i czas poczyna mi ciężyć. Gdy-

by żona moja miała podobne męskie usposobienie, to prawdopodobnie wkrótce popadlibyśmy oboje w stagnacyę. Ale kobieta posiada dziwny sekret obchodzenia się z czasem. Bo kiedy tak siedzę bezwładny i patrzę na nią, jak oddana swoim codziennym zajęciom czyni to wszystko z lekką, taneczną prawie swobodą, czuję po chwili, że sam zaczynam brać udział w jej pracy i koniec końcem znów nawiązuję związek z czasem, znów on dla mnie nabiera znaczenia, jak przedtem.

I na tem polega wirtuozowstwo kobiety: wyjaśnia ona wybornie problem czasu, a dokładniej mówiąc, skończoności. Kobieta ujmuje skończoność i rozumie ją do głębi. Na tem właśnie polega jej urok, na tem jej wewnętrzna swoboda i poczucie szczęśliwości. Jej życie jest istotnie szczęśliwsze, niż życie mężczyzny, bo skończoność może istotnie dać szczęście, nieskończoność—nigdy. Jest ona też bardziej skończona, niż mężczyzna, już znalazła wyjaśnienie życia, podczas gdy mężczyzna szuka go dopiero. Tak być powinno, i każde z nich ma swą własną boleść. Kobieta rodzi w boleści, a mężczyzna tworzy w trudzie idee, i dlatego jest jej oszczędzony strach przed zwątpieniem i męka rozpaczy. Wyjaśniając skończoność, jest ona głębokiem życiem mężczyzny, ale życiem jego ukrytem, jak życie korzenia. Stąd nic bardziej niedorzecznego, jak hasła emancypacyi kobiety, jako hasła, stworzone przez ludzi, co, sami za słabi, by być mężczyznami, psują kobietę, robiąc z niej podobnych sobie półmężczyzn.

Jest ona bliższą natury, pojmuje ją, i natura rozumie ją nawzajem. Przez ten żywioł ziemi uzupełnia ona mężczyznę, bez niej czuje się on duchem niespokojnym, niestałym, nieszczęśliwcem, który miejsca sobie znaleźć nie może. Duch popada istotnie w pewne roztargnienie, jeśli nie posiada swej niejako gminy, a kobieta jest właśnie duchem gminy. Dlatego, rzecz dziwna, Pismo mówi, że nie dziewczyna ma opuścić ojca i matkę, a iść za mężczyzną, lecz naodwrót.

Nawet modlitwa kobiety jest inną, jak inną jest jej natura. Ona się modli za innych, za rodziców, za ukochanego, za męża i dzieci, zawsze za innych. Tymczasem jest już właściwem mężczyznie modlić się za siebie. Stąd i rezygnacya mężczyzny jest różną od rezygnacyi kobiety. On czuje swoje zadanie życia, swoje miejsce oznaczone, jakie zajął czy zająć dąży, stąd i w modlitwie jest on szermierzem. Jeśli zrezygnuje, to z własnych pragnień, a jeśli prosi, to o to, by miał siłę wyrzec się ich. Modlitwa kobiety jest o wiele istotniejsza. Ona prosi o spełnienie życzeń, ona rezygnuje z siebie, ze swego przyczynienia się, ale dlatego właśnie umie ona modlić się o wiele lepiej,

o wiele goręcej. Pod pewnym względem jest też kobieta bardziej wierząca, niż mężczyzna. Wierzy ona, że nic nie jest niepodobnem u Boga, podczas gdy on przypuszcza, że i dla Boga są granice możliwości. Ma ona tedy pokorną odwagę prosić o rzeczy jakoby niemożliwe. Pochodzi to stąd, że wątpienie jest właściwe naturze mężczyzny, nawet jego pewność nosi tę cechę.

A teraz kilka jeszcze słów o stosunku przyjaźni. Zauważy kto może, że słowa to trochę spóźnione, jeśli odnosić się mają do tego rzekomego bohatera, który miał odwagę nie być człowiekiem nadzwyczajnym, odrzucić życie estetyczne, wybrać zawód i ożenić się z kobietą, nie nimfą. Ale nieco baczniejsza obserwacya doprowadzi nas do przekonania, że prawdziwe stosunki przyjaźni zawiązuje się nie w pierwszej młodości, lecz później. Natury żywsze i ruchliwsze uczuciowo dokonywają wprawdzie dość rychło tej wzajemnej wymiany uczuć, którą nazywamy przyjaźnią. Natury głębsze natomiast nie umieją jeszcze samych siebie ująć na tyle, by módz dać siebie wzamian za przyjaźń ofiarowaną; dlatego, dopóki nie odnajdą się same, dopóty nie czują pragnienia przyjaźni. Są one albo zagłębione w sobie, albo obserwują — a obserwator to nieprzyjaciel.

Według mnie, przyjaźń winna być traktowana również etycznie i wymaga pewnych warunków, którym już rozwinięty duch ludzki zadość uczynić jest zdolny. Twoje poglądy, poglądy estetyka, inne są. Duszy twej brak do tego stopnia skupienia, że twoje wyjaśnienia przyjaźni są z sobą sprzeczne i świadczą, iż sentymentalność i brak serca są pojęciami identycznemi. Raz unosisz się nad tem, co to za boska rzecz kochać ludzi młodych, co to za piękna chwila, gdy dwie podobne sobie dusze znajdą się i złączą; innym razem widzisz w przyjacielu istotę zagadkową, coś podobnego do mgły, bo widzialnego dopiero z odległości, gdyż dopiero w nieszczęściu widzimy, żeśmy mieli przyjaciela. Takiem jest twoje zdanie o przyjaźni, którą raz pojmujesz i określasz w sposób intellektualny, a drugi raz w sposób praktyczny. A rezultatem tych pojęć jest przekonanie, że przyjaźń to nonsens.

Otóż absolutnym ogólnym warunkiem przyjaźni jest, mojem zdaniem, wspólny pogląd na życie. Gdy ta podstawa wzajemnej sympatyi istnieje, wtedy i sympatya nie ulegnie takim fluktuacyom, aby w jednym dniu mieć przyjaciela, a na drugi dzień nie.

Pogląd ten musi być dalej pozytywnym. Wówczas ludzie ci, patrząc sobie w oczy, nie będą śmiać się, jak augurzy. Że augurzy śmiali się, to było całkiem naturalne, bo ich pogląd na życie był negatywny. Ty, jako esteta, dobrze to rozumiesz, wszakże to nawet

jedno z twych życzeń wymarzonych znaleźć taką duszę bratnią, z którą mógłbyś śmiać się z całego świata — a to jest właśnie według ciebie najbardziej w życiu zatrważające, że mało kto spostrzega, jak ono jest nędzne, z tych zaś niewielu, co wiedzą o tem, mniej jeszcze takich, coby mimo to umieli zachować dobry humor i śmiać się ze wszystkiego. A gdy życzeniu twemu nie stało się zadość, umiesz to sobie dobrze wytłómaczyć. Powiadasz, że z samej idei śmiechu wynika, że tylko jeden może się śmiać naprawdę. Będzie to prawdziwy pesymista. Gdyby ich było więcej, świat nie byłby tem samem tak nędzny. Co więcej, idąc za myślami swego serca, dochodzisz dalej do wniosku, że pełnym wyrazem ironii życia jest nie śmiech, lecz coś poważniejszego. I oto byłoby dopiero skończonem wyszydzeniem życia, gdyby ktoś, kto obwieścił światu prawdy najgłębsze, był nie marzycielem, lecz sceptykiem. Nie jest to rzecz nie do pomyślenia, gdyż nikt tak doskonale nie zdoła przedstawić prawdy, jak właśnie sceptyk, który w nią nie wierzy. Gdyby był obłudnym, to szyderstwo byłoby tu tylko osobistem; a jeśli jest sceptykiem, który sam pragnie wierzyć w to, co mówi, wówczas szyderstwo to będzie objektywnem, świat zakpi sam z siebie przez niego. Nauka, którą przynosi, objaśniłaby wszystko, cały rodzaj ludzki znalazłby w niej spokój, tylko jej założyciela wyjaśnićby nie zdołała. Takie są myśli i marzenia twoje.

Myśli, dodajmy, nowe niezupełnie. Żył w Grecyi jeden z siedmiu mędrców, a zwał się Myson. Piszą o nim, że był mizantropem, i że „śmiał się, gdy był sam. Gdy się go pytano, dlaczego to czyni, odpowiadał: właśnie dlatego, że jestem sam".

A kto tak, jak ów Myson, śmieje się ze wszystkiego, ten nie może mieć przyjaciela. Dlatego przyjacielem jego będzie szatan, wszakże mówią o szatanie, że, gdy jest sam, śmieje się w głos do siebie.

Przyjaźń tedy wymaga wspólnego poważnego poglądu na życie, a taki nie da się pomyśleć bez momentów etycznych. Wówczas przyjaźń trwa nawet po śmierci przyjaciela, zmarły żyje nadal w żywym.

Etycznie pojęta przyjaźń jest nawet obowiązkiem, to znaczy, że jest powinnością każdego człowieka mieć przyjaciela. Aby temu wyrazowi nadać wysłowienie estetyczne, powiem, że jest powinnością każdego być otwartym. Na otwartości opierać się winno życie i wszystkie jego stosunki realne. Tymczasem estetyk nie przydaje żadnego znaczenia życiu realnemu, osłania się przed niem, a ile kroć oddaje się światu, nie czyni tego nigdy całkowicie, to znaczy ety-

cznie. Mści się to na nich w ten sposób, że sami sobie są potem zagadką.

Ty jednak jesteś za dumny, aby umieć się oddać w przyjaźni; każdemu masz coś do wytknięcia. Jak we wszystkiem, tak i tu szukasz niezwyczajności.

Ale bogowie oddają niezwyczajność za cenę wcale nie tak nizką, jakby się zdawało. Człowiek, istotnie niezwykły, z pewnością usiłuje ułatwić sobie życie przez wejście na ten ogólnoludzki gościniec, przez zrealizowanie zadań człowieka wogóle. A im bardziej zamknięta w nim siła rozwojowa odchyla go od tej drogi, tem bardziej czuje przestrach, przestrach osamotnienia, wyjątku, niepewności. Odczuwa on to, jakby rodzaj winy i często tłómaczy się i usprawiedliwia wobec własnego sumienia. Walka ta z samym sobą jest bardzo bolesna, a boleść łączy go napowrót z duszą ogółu i budzi harmonię.

Dobiegłem do końca. Chciałem dowieść, że etyka we wszystkich dziedzinach życia codziennego jest jak najdalsza od tego, by je pozbawiać uroku piękna; że owszem, wprost przeciwnie, nadaje mu piękno prawdziwe. Daje ona spokój i pewność, wyzwala od bezpłodnych rozmarzeń, które tylko nużą duszę, a daje jej siłę i zdrowie, siłę do znoszenia i szczęścia, i nieszczęścia — czego estetycy nigdy nie potrafią.

Artur Górski.

PRZYCZYNEK DO HISTORYI

WOJNY PÓŁNOCNEJ.

Pomiędzy dokumentami z czasów Wojny Północnej, znajdującymi się w archiwum książęcem w Pszczynie, na Górnym Śląsku (po niem. Pless), znalazłem nie datowany, ale widocznie z r. 1702 pochodzący odpis wiersza satyrycznego, odnoszącego się do wojewody kaliskiego, Feliksa Lipskiego, i ówczesnego prymasa Radziejowskiego. Jak wiadomo, posądzano Lipskiego, którego kilkakrotnie wysyłano dla traktowania z Karolem XII-ym, o sprzyjanie Szwedom. Lipski padł ofiarą tego podejrzenia podczas sejmu pod Gorzycami. Satyra posądza prymasa o poduszczanie Lipskiego do zdrady króla Augusta II. O porąbaniu Lipskiego podczas sejmu pod Gorzycami w aktach tegoż archiwum pszczyńskiego znajduje się relacya blizkiego świadka, który o tym wypadku opowiada w te słowa: „Z obozu pod Gorzycą 28 Augusti 1702. Król JM. ruszył się z woyskiem z Nadbrzezia y stanął tu w Gorczycy (!), wsi do eckonomiey Sendomierskiey należącey. Woysko JKM. Saskie przeprawiło się za Sąn. JEM. X. Biskup Helmski tu stanął. Dzien tu był prawie fatalny JEmsi P. Woiewodzie Kaliskiemu, bo gdy iechał do Wojewodztwa Sandomirskiego, gdzie się koło odprawowało, chcąc functionis od siebie geste relationem uczenić, tam od szlachty powiatu Opoczyń-

skiego, motu, ut fertur, Pana Wolskiego y innych, inpetitus, iakoby miał bydz faktiey Szwedzkiey zdradą, ztyłu w głowę razow kilka zadano mu, tandem upadłego na zięmie rąbano y za umarłego do namiotu P. Regimentarza wyniesiono. Non sedatus tumultus, bo gdy się dowiedziano, iż iescze spirat, chciano tamże do ostatka JMP. Wojewodę impetere. Dowiedziawszy się hode fatali casu JMP. Wojewody, Krol JMsc posłał tamże JM Xa Biskupa Chełmskiego, a potym y list pisał do Województwa Sandomirskiego, żalić się, iż sevitum est super innocente senatore, zachęcając raczey przeciwko nieprzyiacielowi. Tandem się też rozeszło koło, y JMP. Wojewoda Kaliski, confecto tamże w namiocie testamento y uczyniwszy dyspozycyą, iuz prawie in extremis będący, przeniesiony do kwartiru JKM., gdzie dotychczas subsistit. Dość iest rzeźwy, nie iest jescze iednak extra periculum" etc. (Dalej relacya opowiada o obradach na Kole generalnem). Wzmiankowana satyra, której autor nie mianowany, brzmi jak następuje.

„Spowiedz Pana Wojewody Kaliskiego

przed Xciem Kardynałem.

P.(an) W.(ojewoda) K.(aliski).

Naprzod ci się spowiadam, moy Xięze Prymasie,
Radbym wrócił monetę, ale już po czasie.
Com był wziął od Francuza, od Krola Szwedzkiego,
To mię pono pozbawi zdrowia mnie miłego.
Juz mię wiesci dochodzą, ze Szlachta szemraią
Y wkrotce mię do nieba poslac zamyslaią.
A ia tego poselstwa radbym się zborgował
Y pod ziemię gdyby iak pewniebym się schował.
O iakie tam poselstwo lepiey ty wiesz, Boze,
Bo ras tam zaiachawszy, wrocic się nie moze.
Więc WMCi zawczasu o wiatyk proszę,
Gdysz na sobie mortale periculum nosze.

X.(iążę) K.(ardynał).

Nie desperuy! wszakes się rodził Chrzescianem.
Teraszes Senatorem a oras y Panem.
Mieyze nadzieię w Bogu przy stałości twoiey,
A proszę cię, chciey słuchac zdrowey rady moiey.
Mamy Szweda po sobie z Woyskiem gotowego:
Krola z Tronu zrzuciemy, wsadziemy innego,

Y Szlachta nąm nie będzie w Polszcze Burmistrzowac,
Ani tesz na Seymikach interessow psowac.
Ustanie nie pozwalam y Polskie wolnosci,
Byle tylko stateczny był umysł WMci.

P. W. K.

Rad słucham Mci Xiąze zdrowey rady twoiey,
Byle zdrowiu, Fortunie nie szkodzilo moiey.
Bo tak mowią, zem Szweda na wolnosc sprowadził
Y Monarchę z Monarchą iakobym powadził.
Czegoc się na spowiedzi ia z zalem przyznaię
Y przed Bogiem y tobą winnym się bydz daię.
Musiałem ci prowadzic, kiedy mię proszono,
Y swiatowey mamony sporą Summę dano.

X. K.

Nie uwazay! y iam brał! nie masz za to grzechu.
Szlachty płaczu, a siebie nabawiemy smiechu.
Y cosz? choc tego zrzuceni, to inszy Krol siędzie,
A prziecię nasze Velle tryumphowac będzie,
Y zawsze nas za Panow miec będą narody,
By naymnieyszey nie będziem mieli przez to szkody.
Y pod inszym Monarchą będziemy Panami,
Szlachetkowie zas Polscy iuz będą pod nami.
Teras za popełnione chciey grzechy załowac,
A z Krolem Szwedzkim wiernie Condiktament chowac.
Teras cię iuz ab omni absolvo peccato,
A trzymay stronę Szwedzką: nagrodzic cię za to.

P. W. K.

Sis mihi propitius, Deus, peccatori,
A miey w swoiey opiece wszystkie moie dwory,
Bo słyszę, że się na mnie Szlachta sprzysięgaią
Y cale Wioski moie confiscować maią.

Averte Dne iram eorum, ne videant me et bono mea.

Przy tej sposobności załączam w zmodernizowanej pisowni list niejakiegoś R. Schumann, obywatela Gór Tarnowskich (po niem. Tarnowitz), na Górnym Śląsku, de dato Tarnowitz 22 Julij 1702, w którym znajduje się ciekawy opis wojny pod Kliszowem. Nazwiska odbiorcy listu brak.

„Hochgeehrtester Herr Schwager! Die Particularia von dem unglücklichen Haupttreffen des Königs von Polen wollen von seinen Sächsischen Herrn Officiers sehr coloriret werden, um nich allein ihres Königs, sondern auch ihre selbsteigene Schande zu bemänteln;

alleine der gemeine Mann hat es bereits der ganzen Welt bekannt gemacht und ist ein grosses Versehen, dass sie ihre Bagage-Wagen hart an der Armée postiret, und zwar diesseits eines Morastes, dann sie anders nicht die Rechnung ohne einen guten Wirt gemachet, als dass der Sieg ihrerseits fallen müsste. Und nun in dem Widrigen, was nicht erschlagen und durch den Morast kommen können, darinnen umkommen müssen. Dass nun die Polnische oder Kron-Armée totaliter geschlagen, haben wir hier ein ganz anderes, dass davon über 6 oder 10 Mann geblieben, denn sie haben den rechten Flügel geführet, worauf die Schweden zuvörderst losgangen, und nicht einmal die völlige Salve ausgehalten, sondern alsogleich na odwrot w rosypkę poszli (sic!), nachdem die Schweden an die Herren Sachsen sich gemacht und fast nach ihrem Willen gehauset, dass ihnen also das völlige Lager, Artillerie und Bagage, nebst der königlichen geheimen Kanzlei- und Krieges-Cassa von 80 tausend specie Thaler, denn der Herr v. Beichling kurz darvor 120 tausend Thaler gebracht, davon aber der Cron-Armée 46 tausend ausgezahlet worden, nebst dem königlichen Silber-Servis zur Beute worden... Die anhero (t. j. do Gór Tarnowskich) gekommene Artillerie ist diese Nacht zurück gangen, alleine bei heutiger Ankunft des Herrn Obristen Seiffert und seines Herrn Bruders hinwider zurück berufen worden, und sollen mit denen bereits im Marsch begriffenen 7 Regimentern unter Krakau gehn, nebst den flüchtigen Sachsen, welche bei Oppeln aufgehalten werden sollen; so vernehme auch gleich von ihrem allhier subsistirenden Landes-Dragoner, dass der Marsch derselben über Ratibor und sodann durch das Plessnische kommen dürfte" etc.

E. Zivier.

Rola Jezuitów w dziejach Rzplitej Polskiej

(KILKA ZASTRZEŻEŃ).

Mało jest zjawisk w naszych dziejach, w którychby sąd historyków był tak chwiejny, a nawet do dziś tak niejasno wyrażany, jak rola Towarzystwa Jezusowego w naszej przeszłości politycznej. Nie będę sięgał zbyt daleko. Dość wskazać na sprzeczności w poglądach ostatniego pokolenia historyków. W spuściźnie przekazało nam ono wprawdzie kilka nowych spostrzeżeń, poruszyło i wyszczególniło kilka punktów spornych, sam jednak problemat, sam węzeł gordyjski oddało nam nierozwiązany. Rzec nawet można, że wahania sądów równie daleko sięgają, jak i przedtem. Jakże odskakują bowiem ostatnie apologie Zakonu od tak niepochlebnej krytyki, jaką wypowiedział o wpływie Zakonu na politykę Zygmunta III Bobrzyński! Jakże bardzo wahają się sami najpoważniejsi przedstawiciele starszego pokolenia (jak Szujski) nawet w swych własnych w tej mierze poglądach!

I nie dziw. Potrzeba była nagląca, by jaknajrychlej stworzyć sobie jakąś syntezę dziejów, nagwałt trzeba było uogólniać, nim sprawę w szczegółach przetrząśnięto. Musiało się raczej dowodzić,

jak badać. Badać możnaby dopiero w drobiazgowych „przyczynkach” i monografiach specyalnych z dziejów Zakonu, których brak daje się odczuwać bardzo, — więcej może nawet, niż ogólnych koncepcyi. Nie przeszkadza to oczywiście, że z całą życzliwością powitać należy dzieło naukowe o szerszym zakroju, a cóż dopiero mówić o dziele, traktującem naukowo o całych dziejach Towarzystwa Jezusowego w Polsce. Zadanie to olbrzymie, tem trudniejsze, że brak właśnie przedwstępnych drobiazgowych opracowań. Napisać historyę tego zgromadzenia, które, posiadając najbardziej sprężystą organizacyę ze wszystkich instytucyi, w Polsce, taki wpływ wywierało w XVII i XVIII wieku na całe nasze społeczeństwo, bo i na króla, którego jezuita spowiadał i dla którego kazanie prawił, i na panów i szlachtę, którą wychowywał od dzieciństwa w swych kollegiach, i na mieszczańswo, które wiązał w bractwa, i na lud wreszcie, dla którego urządzał misye, i na całe wschodnie kresy państwa, gdzie propagował katolicyzm i unię, i na całą naszą literaturę, budownictwo, — umysłowość wogóle; napisać taką historyę, oczywiście według wymagań dzisiejszej krytyki historycznej, to znaczy zapełnić wielką lukę w dziejach naszej cywilizacyi i oświaty, naszych obyczajów i religijności.

Świeżo ukazało się we Lwowie (r. 1900 i 1901) dzieło, zakrojone na bardzo szerokie rozmiary, pod tytułem „**Jezuici w Polsce**”. Całość ma obejmować pięć potężnych tomów [1]). Dwa pierwsze już wyszły. Tom pierwszy, imponujący rozmiarami, obejmuje dzieje zakonne do r. 1608.

Ten tom najwięcej ze wszystkich zapowiedzianych budzi interesu. Zawiera bowiem najciekawszy okres dziejów jezuitów polskich, dobę ich najruchliwszego działania, bo pierwszego ich zorganizowania się w kraju i gorącej walki z różnowierstwem polskiem. Ten tom rozstrzyga o wartości całego dzieła.

Autor — bardzo płodny pisarz — **ks. Załęski**, sam członek tegoż zakonu, pracował nad tem dziełem, jak zapewnia na wstępie, przez lat trzydzieści, mając zamiar stworzyć „dzieło naukowe, a dające się czytać łatwo z zajęciem, jak p o w i e ś ć”. Z ciekawością zabrałem się do czytania, podniecona jeszcze oceną tego dzieła, któ-

---

[1]) Tom I. 1555 — 1608. Walka zakonu z różnowierstwem. Tom II. 1608—1648. Praca nad spotęgowaniem ducha wiary i pobożności. Tom III. 1648—1772. Misyjna praca Zakonu (nad ludem zwłaszcza). Tom IV. 1564 — 1773. Kronika domów jezuickich w Polsce. Tom V. 1773—1820. Resztki skasowanego Zakonu na Białej Rusi (aż do czasów dzisiejszych).

rą wyczytałem w „Kwartalniku historycznym”, oceną tak pochlebną, o jakiej tylko marzyć mogą pracownicy pióra. Nazwano tam to dzieło „monumentalną publikacyą”.

Usposabia na wstępie bardzo mile zapewnienie autora, że pisze „ściśle przedmiotową historyę”, że w „badaniach i sądach starał się być bezstronnym” i zawsze zmierzał ku „ścisłości historycznej”. To też spotykamy niebawem raz w raz ustępy, zaczynające się od słów: „Prawda historyczna każe nam wyznać”; „Prawda historyczna każe i to wyznać” i t. d. Ale spotykamy i wyrażenia, trochę z tem nie licujące, bardziej ostre i szorstkie, jak bezustannie używany na oznaczenie ewangelików i wogóle różnowierców wyraz „heretyk”, „herezya”, „zheretyczały”, „herezyą zarażony”, „herezyą nadpsuty“, „herezya i idące z nią w parze błędy i występki” (str. 73), „chwastem herezyi i ignorancyi gęsto zarosłe pole pracy otwierało się przed jezuitami” (183). „Pokora nie była zaiste cnotą heretyków, więc żółknieli z zazdrości” (380); lub takie zwroty, w których się autor lubuje, jak „ministrowie zbiegali się do „herezyarchy” Radziwiłła, jak „kruki do ścierwa, a brały jurgielty i żebrały o nowe” (181 — 2).

Właściwą historyę jezuitów poprzedził autor ogólnym wstępem o ustroju Rzplitej. Nie powiem, żeby dla samego dzieła ten wstęp mógł usposobić krytyka dodatnio; jest to jeden z najmniej udatnych rozdziałów w całej książce [1]). Jest to wiązanka uogólnień, które pisać zazwyczaj najłatwiej. Szkicował je też autor zamaszyście z wielkim rozmachem pióra, które, biegnąc za jakimś drobnym szczególikiem, wiodło go nieraz daleko, daleko poza granice samego tematu. Tak np. rozpisuje się autor ni stąd ni z owąd bardzo szeroko o stanowisku... kata w Rzptej (56), rozpowiadając żywo, że często kat trudnił się obok zwykłego swego krwawego zajęcia i leczeniem, że do niego należało czyszczenie kanałów i kloak miejskich; a to znów naprowadza autora na myśl o innem podobnem zajęciu i każe mu podzielić się z czytelnikiem wiadomością, że „majster szerokiego pola, czyli, jak tłómaczy w nawiasie: hycel, czuwał nad zdrowiem bydła, grzebał padliny, chwytał psy i wściekłe koty”. Wszystko to może

---

[1]) Więcej już wartości przedstawia drugi rozdział wstępny o organizacyi samego Towarzystwa Jezusowego, bo więcej na poznaniu i doświadczeniu osobistem oparty. Z porównania tych dwu wstępnych rozdziałów powstaje jakby wrażenie kontrastu, który może autor zbyt jaskrawo przedstawił,— między nierządem w Rzptej a sforną i rządną organizacyą Zakonu. Szczególnie ciekawe są uwagi autora o „niewoli ducha“ i „tresurze zakonnej“ (str. 87—88).

niezmiernie cenne i ciekawe szczegóły dla historyi kultury, ale co te kloaki, katy, hycle i te wszystkie psy i wściekłe koty mają wspólnego z jezuitami w Polsce? Autor w tym wstępnym rozdziale zbyt się zapatrzył w drobiazgi i stracił zmysł oryentacyjny, odczucie perspektywy, tak potrzebne w tworzeniu większego syntetycznego dzieła.

Rozdział wstępny ma rzucić przed oczy czytelnika obraz Rzeczypospolitej w chwili, gdy w jej progi wstępowali i w niej się zagnieżdżali jezuici. Doznajemy wrażenia, że zastali ją już w okropnym stanie, że nie oni ją zepsuli. Z kart tych wieje czarny pesymizm ostatniej generacyi naszych historyków. Autor widzi wszystko złe, wszystko przewrotne, wszystko wyjątkowe i anormalne w ustroju Polski i, aby to udowodnić, wymienia całą litanię wad, zaczynając monotonnie każdy ustęp od złowrogich słów: „Wielkim błędem było, że...“ i t. d. i t. d. „Błędem było, że“ i t. d. „A już koroną błędów było, że ...“,— z czego sumuje autor wyrok surowy: wszystko, co działo się w Polsce pod względem rządu, wojska, prawodawstwa, działo się „w sprzeczności z tem, co się na zachodzie Europy działo“ (10): wyrok, którego stanowczy ton umiarkowałyby może nieco gruntowniejsze porównawcze studya powszechnodziejowe.

Właściwie rozdział ten jest zbiorem samych cytat i wyimków z historyi Szujskiego i Bobrzyńskiego, powiązanych szeregiem oklepanych biadań i przestarzałych lamentów (właściwie zupełnie nie naukowych) — na temat ustroju Rzptej, jako wykrzywionego i spaczonego, jedynego pod słońcem, dziwotwora z formą rządu „najswawolniejszą, najniepraktyczniejszą, fałszywą, niemożliwą“ (460—461), z formą rządu republikańską, w której król schodził do rzędu dożywotniego prezydenta pierwszej lepszej republiki (234), z formą rządu, do którego przywyknąć mogło tylko „obałamucone“ i „spaczone sumienie ogółu“ i t. d. i t. d. [1]).

Było więc źle w Polsce, — ale okropne stosunki w Rzptej doszły do szczytu wówczas dopiero, gdy w niej rozszerzyła się reformacya. Nie wierz, żeby ta epoka reformacyjna, epoka Zygmuntów

---

[1]) Tym, którzyby mieli nieco łagodniejszy sąd o tem wszystkiem, autor daje... polityczno - społeczną markę: „Azali krom zapamiętałych demokratów radykalnych, którzy się niczego nauczyć i niczego zapomnieć nie chcą czy nie umieją, azali nie wszystkie szkoły historyczne wskazują na niepojęte skąpstwo dla Rzptej, niezgodę, poniewieranie królem, na złe prawa, brak rządu i sprawiedliwości, a stąd bezkarność i swywolę, jako na tyleż wewnętrznych przyczyn upadku Polski“ (732)?

była złotą: była „pozłoconą tylko i rdzą wszelaką gęsto obsiadłą". Strach, co się w niej nie działo! „Ze zmianą wiary... Polska rozluźniła się w obyczajach, zdziczała aż do barbarzyństwa prawie... (którego oczywiście przedreformacyjne średniowiecze nie znało...). Herezye zerwały tamę... ludzie odczłowieczali się więc i odspołeczniali" (str. 29). „Czysta ewangelia" sprowadziła wcale nie czyste, a powszechne rozluźnienie obyczajów" (czy przed reformacyą trudno było się go doszukać?) (str. 12). Słowem zaroiło się w Polsce od okropnych grzechów. Całe ich stosy wylicza autor w uwadze (str. 29) (dopuszczali się ich ludzie oczywiście tylko w czasach reformacyi), podkreślając takie brzydkie rzeczy, jak lubieżność w poezyi i t. p. Właściwie temu wszystkiemu, jak i wogóle rozszerzeniu reformacyi, jak i upadkowi władzy królewskiej, winien jeden człowiek: Zygmunt August. On „liberalny" i „tolerantny" „tchnął jakoby tego ducha niemocy i rozkładu w maszynę rządową" i społeczeństwo [1]).

Na innej stronie dowiadujemy się jednak znowu, że właściwie nie tyle Zygmunt August, ile różnowierstwo w organizm społeczny wszczepiło anarchię. Herezya to wprowadziła anarchię i rozkład w publiczne życie i wszelkie instytucye kraju, w całe społeczeństwo (41), (498), ona tronowi była wroga (165 [2]).

Autor przytacza przykład na dowód, jak reformacya podkopywała Polskę i jad w jej organizm wszczepiała, przedstawiając zdarzenia w czasie pierwszego bezkrólewia. Zaczyna od szeregu pytań następujących (które skracam):

Jak Zygmunt August mógł dopuścić, aby kwestya elekcyi tronu w niczem a niczem przygotowaną, tem mniej uregulowaną nie została? Jak się stało, że owi mądrzy posłowie nie dołożyli starań, aby tę sprawę zabezpieczyć? Jak się stało, że nikomu z ministrów nie przyszła ochota przedstawić Zygmuntowi Augustowi przepaści i nakłonić, aby przecież coś konkretnego w tej mierze po-

---

[1]) Na innej stronie wbrew temu spotykamy raz wreszcie jedną porównawczą uwagę, oświadczającą, że ten „liberalizm" polski nie był wówczas czemś znowu wyjątkowem, bo tę samą drogę kompromisu obrać kazały stosunki Karolowi V.

[2]) O jezuicie Marianie, który nie okazał zbyt wiele wiernopoddańczych uczuć w swem dziele, „De rege et regis institutione" autor zaznacza tylko, że był „najśmielszym pisarzem swego wieku", choć nadawała się sposobność ku szerszym wyjaśnieniom powodów, które mogły wytłómaczyć genezę dekretu generała (r. 1614), zakazującego pisać jezuitom, że godzi się zabijać tyranów.

stanowił? Czy oni wszyscy, król, senat, szlachta dotyla byli politycznie ograniczeni albo do tyla niepatryotyczni? Ani jedno, ani drugie. Jakże się to więc stało, kto tu zawinił, na kogo spada odpowiedzialność za nieszczęścia, które *electio viritim* na Rzptą sprowadziła?

Z naprężoną uwagą czekamy na odpowiedź, którą podaje w końcu autor krótko i węzłowato w dosłownem brzmieniu: „Na reformacyę".

Na dowód tego między innemi podaje autor wiadomość, która ma popierać uogólnienie autora; oto przytacza, że właśnie protestant Rej wraz z grupą posłów różnowierczych przekłada wniosek elekcyi przez reprezentacyę (przez senat i izbę poselską lub jej połowę) i że nie kto inny, tylko właśnie odwrotnie „partya katolicka" i biskupi nie życzyli sobie elekcyi przez izbę poselską, gdyż obawiali się, aby wpływowi w izbie różnowierczy posłowie nie trzęśli zbytnio całą elekcyą; „przeciwnie, pewniejsi byli wyboru katolika, jeżeliby go wybierała wszystka na polu elekcyi szlachta, bo znaczną jej część składali Mazowszanie, znani z swej żarliwości katolickiej". A stąd wyłania się ten jasny, jak słońce, wniosek: „Tak więc reformacya swem zuchwalstwem, którego się obawiano, spowodowała wotum większości katolickiej wybierania króla *viritim*".

Oto próbka ścisłej logiki. Zamiast oświadczyć, że *pacta conventa* i wszystkie prawa elekcyi były przywilejem, zdobytym i uchwalonym przez całą szlachtę (mniejsza o to, czy katolicką, czy protestancką), autor koniecznie chce stąd ukręcić bicz na „herezyę". Biskupi pragnęli, by wybierała szlachta wszystka, różnowiercy, aby wybierała izba, i dlatego to oczywiście różnowiercy winni są, że ustanowiono elekcyę *viritim*, bo się przecież ich... bano. Do tego rodzaju „naukowej bezstronności, nie zasępionej żadną tendencyą", nie przywykła dostatecznie jeszcze owa biedna *magistra vitae*, którą przecież codziennie wszyscy spragnieni owych wskazówek życiowych poczciwi ludzie nakręcają i wplatają w koło własnych tendencyi i zapatrywań, wedle upodobania bezustannie powtarzając owo tak częste: „Przecież historya nas uczy..." „Wszak historya dowodzi..." „Z historyi nauczyliśmy się przynajmniej tego, że..." i t. p. i t. p.

Trochę może autor za stanowczo głosi, że nierząd w Polsce narodził się z reformacyi i że „najkrzykliwszych trybunów owej anarchii dostarczało różnowierstwo" (245). W mig bowiem suną zaraz sylwetki „anarchistów" wyznania katolickiego, którzy wymownie mogą dowieść, że nie jedno wyznanie, ale cała ława szlachty bez różnicy

wyznań biła taranem o tron monarszy. Nasuwa się choćby postać— Zebrzydowskiego, jednego z pierwszych wychowanków jezuitów, owego „łowcy dusz" innowierczych, dobrodzieja zakładów jezuickich, fundatora Kalwaryi Zebrzydowskiej, który przecież pisze rokoszowe listy do króla z żądaniem przemienienia dotychczasowego postępowania na inne po wysłuchaniu zamówionej wotywy na intencyę króla do Przemienienia Pańskiego [1]), a umarł w habicie bernardyńskim tercyarzem tegoż zakonu...

Co do reformacyi jedna jeszcze uwaga. Jak wiadomo, w r. 1573 uchwalono tak zwaną „konfederacyę warszawską", którą popularnie uważa się za piękny wyraz tolerancyi religijnej śród „narodu" szlacheckiego w Polsce. Wbrew temu autor godzi się (222) ze Skargą, że była ona wolnością bluźnienia Bogu, krzywdzenia matki kościoła, zrażaniem dusz ludzkich herezyami, gardzeniem biskupów, wolnością nieoddawania tego, co się nieprawnie katolikom zabrało. W każdym razie powinien był autor, zaznaczając, że tego rodzaju konstytucya „dopełniała błędnego koła instytucyi polskich" (jak mówi autor w tytule § 25), dodać, że jednak nie była ona czemś niesłychanem w Europie, anormalnem, że ostatecznie była stworzona na podobieństwo wszystkich „pokojów" religijnych w zachodniej Europie.

Autor wytyka w niej jeden błąd, że zawierała rzecz wstrętną, mianowicie „o pomstę do nieba wołającą niesprawiedliwość", wprowadzając „najgorszą z tyranii", bo niewolę sumień biednych poddanych. Według niej inaczej wierzyć i modlić się nie było wolno, tylko tak, jak dziedzic kazał.

Budujący entuzyazm autora dla sprawy ludowej i gorące jego oburzenie na szlachtę potrzebuje jednak kilku objaśnień i zastrzeżeń. Popierwsze, takie a nie inne pojmowanie konfederacyi warszaw-

---

[1]) Bibl. Krasińskich, „Rokosz" r. 1893, 115. Rembowski. Niemałym powodem do namiętnego wystąpienia tego wojewody krakowskiego przeciw małżeństwu króla z Konstancyą i rokoszu była prócz niechęci przeciw Austryi zarazem odraza do bezbożnego ślubu z rodzoną siostrą poprzedniej zmarłej małżonki Anny. Komiczne sprawia wrażenie, jak Zebrzydowski zgon papieża Klemensa VIII i niebawem Leona, jego następcy, którzy zezwalali na to bezbożne małżeństwo, tłómaczy sobie, jako palec Boży, jako wskazówkę, że król nie powinien popełniać tego „kazirodztwa" (Bibl. Krasiń. Rembowski, 369). Ascetycznej głowie wystarczało to. Bardziej katolicki, niż sam papież, oświadczywszy sobie, że tedy niepodobna, aby go (króla) Pan Bóg skarać, i tej zaś korony pozbawić nie miał (lc. 107), postanowił Panu Bogu pomagać, i to tak zaciekle, że nawet jezuici, jak Skarga, nie mogą go pohamować i powstrzymać od wywołania pamiętnego rokoszu.

skiej przez współczesnych jest jeszcze do dziś kwestyą sporną; odsyłam autora do cennych uwag w tej sprawie prof. Zakrzewskiego [1]). Podrugie, nie można sądzić owych wieków według pojęć XIX czy XX stulecia. Znowu brak powszechno-dziejowej porównawczej miary. Zasada „czyj kraj, tego i religia" obowiązywała w całej Europie, — obowiązywać mogła i u nas w „państwach" szlacheckich.

A już myli się wprost autor, oświadczając, że nikt prócz biskupów nie podniósł głosu protestu przeciw niewoli chłopów (223) i że wogóle „herezye" przyczyniały się do pogarszania doli poddanych, iż właśnie dlatego na Litwie sroższa była niewola ludu, że tam „herezye grasowały swobodniej", podczas gdy katolika-dziedzica miała więcej miarkować „obawa sądu Bożego i kary piekła" (65) — jakgdyby tem samem nie przerażały swych wiernych i inne religie... Wszak w imię tych samych uczuć biorą synody ewangelickie w obronę kmieci w dnie świąteczne; autor powinien był znać wiadomość, podaną przez prof. Zakrzewskiego [2]), że już w r. 1558 synod protestancki występuje w Polsce przeciw ciemiężeniu poddanych. Wszak, jeżeli już mowa o jakichś społecznych dążnościach, to chyba najmniej krwawo lud uciskali owi najokropniejsi heretycy „aryanie", co z drewnianą chadzali karabelą. Wszak, jak to wykazał prof. Brückner w swych niepospolitych rozprawach „Z dziejów różnowierców polskich" [3]), już wówczas w imię słów biblijnych taki socynianin, jak Jakób z Kalinówki, rzucał się na synodzie z protestem na ustach przeciw wszelkiej niewoli wogóle! Nie dokładam już tak ogólnie znanych pism Frycza, pism tak wczesnych, że trochę za przesadnem mi się wydaje zdanie autora, że głos jezuity, ks. Skargi, w obronie ludu był „pierwszym głosem..."

W końcu — co do poglądów autora na reformacyę — jedna ogólna uwaga. Ostatecznie zgoda, że autor ma swoje tendencye i konsekwentnie je w dziele przeprowadza; ale mamy prawo żądać znajomości przedmiotu, a tej nie widzimy. Co więcej, autor jest niepoprawny. Przed 14 laty wytknięto mu w „Kwartalniku historycznym" błąd, jaki popełniał, licząc w Polsce aż 32 sekty; autor zaś w dziele niniejszem znowu tę czarodziejską liczbę raz w raz powtarza, pomstując na Polskę, —jako asylum wszelakich herezyi... oczy-

---

[1]) W krytyce pracy Lubowicza („Kwartalnik historyczny").

[2]) Rodzina Łaskich. Ateneum. 1882.

[3]) Ateneum. 1896, tom II, str. 21.

wiście nie probując choćby na chwilę wymienić ich po kolei. Powtarzam: nie chodzi nam o to, czy autor pomstuje, czy nie na „heretyków”, ale o to, żeby ich znał. A autor ich nie zna. Wybitnym tego dowodem jest błąd, niby to drobny, a jednak odrazu wyjawiający, że autor nie zapoznał się z tymi „heretykami” zupełnie. Jeżeli bowiem kto tak, jak autor, za czasów Zygmunta III — ustawicznie takiego Piotra Gorajskiego, głowę polskich kalwinów, nazywa (625, 627) „hersztem aryanów”, odznaczającym się specyalnym jakimś „aryańskim rankorem” (633), — tego samego Gorajskiego, który znany był, jako nakładca postylli kalwińskiej, a przedewszystkiem właśnie ze swej „helweckiej” niechęci i odporności wobec aryanów, był nawet „dyrektorem” synodów, wysyłających odmowne odpowiedzi na przyjazne listy i zaprosiny do zgody ze strony aryanów[1]), — ten w dzieje kontra-reformacyi za Zygmunta III nazbyt się nie zagłębił[2]), nawet należycie nie przestudyował podstawowych w tym razie dzieł Łukaszewicza, gdzieby się mógł przekonać o swej omyłce.

Właściwe dzieje Zakonu prowadzi autor mniej więcej w porządku chronologicznym[3]), poczynając od r. 1555, kiedy to pierwszy

---

[1]) Listy te z 27 VI 1612 r. w „Acta synodalia in districtu minoris Poloniae K. 70 — 72. Rękopis Bibl. Ord. hr. Zamoys. № 1182. Powód błędu tkwi w tem. że autor nie bada imion swych bohaterów. Ten Gorajski jest Piotr, nie Adam (por. Siarczyński, Obraz wieku).

[2]) O tem samem świadczy § 60 dzieła. Na podstawie akt miasta Torunia robi autor uogólnienie (535—6), że tylko miasto Gdańsk i Toruń dostały przywileje królewskie na swe wyznanie na lat 4 i że na podstawie tych przywilejów różnowiercy rozciągnęli to pozwolenie królewskie na wszystkie miasta i na zawsze. Czyżby autor nie znał dokumentów drukowanych jeszcze w r. 1786 przez Friesego (Beiträge)—dla koronacyjnego miasta Krakowa, a więc największe mających znaczenie dla miast polskich, dokumentów z r. 1569 i 1571 z terminem właściwie nieograniczonym.

„Wynalazkiem“ autora jest mandat Zygmunta III z r. 1592, wydany na naleganie biskupa Rozrażewskiego do wojewodów i starostów, ze zleceniem, aby się w jurysdykcyę biskupią nie wdawali. Ni stąd ni z owąd ten mandat królewski autor wydyma do znaczenia epokowego „edyktu z r. 1592“ (547), od którego dopiero datuje się właściwa reakcya katolicka, rewindykacya kościołów przez biskupów i usuwanie z miast zborów przez wojewodów, kasztelanów i starostów! Na dobitkę autor pomieszał zupełnie i zidentyfikował sprawę rewindykacyi kościołów ze sprawą jurysdykcyi biskupiej. Uchwała sejmowa rewindykacyi kościoła katolickiego w kościele P. Maryi w Gdańsku równać się miała przywróceniu jurysdykcyi biskupiej w tem mieście (537)? Sam autor oświadcza (543 uw. 1), że mimo, iż czasem biskupi wzywali przed swój sąd pastorów, ci nigdy nie stawali, „i na tem się zwykle kończyło“.

[3]) Spis rozdziałów: I. Polska w chwili przybycia jezuitów. II. Jezuici (or-

raz na ziemi polskiej stanął jezuita Alfons Salmeron, towarzysz żyjącego jeszcze podówczas Lojoli, poczem snuje opowiadanie o założeniu pierwszych kollegiów i gniazd jezuickich.

Dzieje jezuitów za Stefana Batorego niewiele przynoszą rzeczy nowych. Są mniej więcej powtórzeniem tego, co autor dawniej już pisał o Batorym, a co spotkało się swego czasu z tak surową oceną w „Kwartalniku historycznym". Nowszą za to część i ciekawszą przedstawiają dzieje Zakonu za „króla jezuitów", Zygmunta III. Na nią zwrócę główną uwagę.

Mimo wszelkich zastrzeżeń, mimo wszelkich pochwał, oddanych Zamoyskiemu, —naogół ks. Załęski występuje, jako apologeta Zygmunta III. Zaznacza (str. 459), że pod tym względem nie jest zresztą samotnym, że owszem historyk Walewski napisał był swego czasu historyę Zygmunta III, w której go przedstawia jako „największego" króla Polski. Niestety, praca ta znajduje się dotychczas w rękopisie, dlatego nie możemy wiedzieć, na jakich argumentach oparł Walewski swe przełomowe twierdzenia. W sprawie znanych „praktyk rakuskich" jego z Ernestem o odstąpienie Habsburgom korony polskiej wzamian za Estonię (dla Szwecyi), 400,000 zł. (dla samego Zygmunta III) i t. d. autor bierze w obronę Zygmunta III (§ 53), uniewinnia go, broniąc go przed nazwą „krzywoprzysięzcy", jaką mu dał Szujski, i występując stanowczo przeciw zarzutom Bobrzyńskiego, który tego rodzaju postępowanie uznał za oszustwo, spekulacyę na rachunek narodu, otwartą zdradę kraju. Obronę króla opiera autor na tej podstawie, że w tajnym układzie piśmiennym, czyli tak zwanej „asekuracyi" między Ernestem a Zygmuntem III znajduje zapewnienie, że ustąpienie tronu polskiego Ernestowi stanie się „za uchwałą i zgodą stanów polskich" (*legitima electio*). „Szczegół to bardzo ważny, powiada autor, i nie pojmuję, jak mógł ujść uwagi zacnego Szujskiego, który tę asekuracyę tak, jak ja, czytał w archiwum tajnem wiedeńskiem".

---

ganizacya). III. Pierwsi jezuici na ziemi polskiej, pierwsze kollegia. IV. Stefan Batory i jezuici. V. Legacya pierwsza O. Possevino do Moskwy 1581 — 1582 VI. Druga niedoszła legacya O. Possevino do Moskwy. —Possevino, powiernik Batorego, pośrednik jezuitów 1582 -- 1587. VII. Misya polskich jezuitów w Szwecyi 1574 — 1600. VIII. Zygmunt III i jezuici 1587—1608. IX. Nietolerancya religijna jezuitów i Zygmunta III. Unia Rusi z Rzymem 1587 — 1608. X. Misya w Mołdawii 1587 — 1608. XI. Jezuizi i Dymitr Samozwaniec 1604 — 1608. XII. Rokosz Zebrzydowskiego i jezuici 1605 — 1607. XIII. Rzut oka na stosunki. i sprawy jezuitów w Polsce 1564 — 1608. XIV. Jezuici pisarze 1564—1608.

Czy jednak ten „szczegół" istotnie sprowadza zupełne „uniewinnienie" postępku Zygmunta III? Pomijam, że autor mógł był trochę podznaczyć ostatnią uwagę we wspomnianej asekuracyi, w której powiedziano, „że, jeżeliby co do punktu 1, 2 i 5 stany robiły trudności, to je Ernest usunie". Zwrócić chciałbym tylko uwagę autorowi, że, jeżeli już ma sądzić o legalności lub nielegalności tego rodzaju „konszaktów", to trzeba je sądzić według praw, wówczas w Rzptej obowiązujących. Tem zaś dziwniejszem wydać nam się musi postępowanie Zygmunta III, jeśli zważymy, że przecież dostał się na tron polski tylko dzięki odrazie, jaką czuła szlachta przeciw *absolutum dominium* Habsburgów; a mimo to, wiedząc o nieubłaganym antagonizmie Zamoyskiego i jego partyi do Austryi, — z tymiż Habsburgami w tajemne wchodzi układy, aby wbrew woli swoich wyborców ustąpić im tronu wzamian za osobiste i Szwecyi korzyści.

Sam autor, uniewinniając to, czuje się w kłopocie i robi to w sposób niezupełnie jasny. „Dlaczego (Zygmunt III) sam obierał następcę po sobie, dlaczego nie złożył korony w ręce narodu — szlachty? Bo... chciał Rzptej oszczędzić niebezpieczeństw bezkrólewia, a sobie i Szwecyi zapewnić korzyści, do których miał prawo. Dlaczego więc wypierał się (potem na sejmie) wszystkiego, Maksymilianowi (który odkrył te konszachty przed senatorami polskimi) zarzucił fikcyę, zmyślenie? Bo... dzięki Zamoyskiego zawziętości zrobiono mu z tego *crimen* (a więc snadź według wyobrażeń prawno - publicznych, współcześnie w Polsce panujących, był to *crimen*...), *a on* czuł, że go nie popełnił, *a* jako król przyznawać się do tej winy nie mógł. Ileż to razy w polityce, dyplomacyi wypierali się królowie swoich czynów, poleceń, rozkazów"!

* * *

Z całej historyi jezuitów najbardziej oczywiście zaciekawia historyka „politycznego" stosunek jezuitów do polityki w Polsce. Czy wpływali na nią? i jak? Jak szczególnie działo się za Zygmunta III, którego zwie się „królem jezuitów", „monarchą zasad", „wychowankiem jezuitów" i t. p.?

Zaczyna autor od tej ostatniej nazwy.

Zdaniem autora „wychowankiem jezuitów" przezwali Zygmunta III współcześni „heretycy" i późniejsi liberalnego posiewu historycy (453). Co prawda, nie przypuszczałem, że to autor będzie

uważał za przezwisko. Dawnymi czasy jezuici, owszem, chwalili się tem (Skarga w kazaniu wiślickiem), że „jeszcze w dzieciństwie i młodziuchny będąc i dorastając, zamiłował sługi swe (jezuitów) królewicz szwedzki" (Zygmunt III). Zdaniem autora jednak, Zygmunt III nie był faktycznie wychowankiem jezuitów, bo dopiero w 12-tym roku życia zajęli się jego wychowaniem jezuici, odtąd co prawda już nie odstępując go. A zresztą — dodaje autor — chcecie — żeby był wychowankiem jezuitów? Dobrze. „Niechże i tak będzie" (str. 456), ale z tem zastrzeżeniem, że nawet, gdyby jezuitów uważać za jego wychowańców, to wszystkich jego wad i złych stron jego charakteru nie można kłaść na karb wychowania jezuickiego, ale na barki samego Zygmunta. „Były to bowiem wady urodzenia, a nie wychowania" (457). Albowiem „smutny, przygnębiający, a pełen trwogi i niepokojów był nastrój matki przezacnej Katarzyny Jagiellonki, gdy chodziła w ciąży i karmiła swego Zysia", stąd to jego jedna wada z urodzenia: usposobienie zasępione (458) i t. p.

A końcu Zygmunt III, zdaniem Szujskiego, panując tak, jak panował, „miał racyę", więc „jeżeli tak, to znowu niema się co tak gniewać na edukatorów jego, ani też oni nie potrzebują zrzucać odpowiedzialności z siebie, że go tak wychowali" (480).

Niepewni ostatecznie, czy właściwie Zygmunt III był, czy nie był „wychowankiem jezuitów", przechodzimy do najciekawszej kwestyi, do stosunku jezuitów do polityki. O niej autor z góry zdaje się mieć przekonanie jasno i pewnie zakreślone. Już w przedmowie (str. X) uprzedza autor wyniki swych badań, oświadczając dobitnie, że „jezuici od stronnictw i walk politycznych trzymali się zdala".

Jest to kwestya, którą głównie mam zamiar w niniejszej recenzyi poruszyć, zaznaczając przytem z góry, że nie obchodzi mnie tu, czy działanie jezuitów polityczne było dodatniem, czy nie. Chodzi mi tylko, czy było p o l i t y c z n e m.

Na wstępie autor rozstrząsa stosunek jezuitów do spraw politycznych ogólnie i zasadniczo, z początku rozstrząsa stosunek jezuitów, na dworze królewskim bawiących, więc spowiednika i kaznodziei, do króla. Zaczyna od syllogizmów (§ 57). „Każdy król ma i musi mieć najbliższe otoczenie dworskie", więc i Zygmunt III „miał i musiał mieć" otoczenie dworskie, miał i musiał mieć jednych zaufańszych od drugich i t. d. i t. d.; i po tak kunsztownie ułożonem

rusztowaniu rozumowań dochodzi przezornie do samych jezuitów nadwornych. Zaprzecza jednak ks. Załęski, jakoby ci jezuici nadworni należeli do tego otoczenia, do „kamarylli". Nie! on ich zalicza tylko do „kółka domowego" króla; owa kamarylla mogła zajmować się sprawami publicznemi, ale to „kółko domowe", a więc i ci jezuici nadworni — gdzieżby tam! Król chętnie w kółku familijnem przebywał i często do niego jezuitów zapraszał, wiele rozmawiał, nawet z braciszkami pożartował. Że rozstrząsanie spraw publicznych z takich ściśle rodzinnych zebrań było wykluczone, to jasne, boć król... wytchnienia w nich szukał, był zresztą małomówny, nie wywnętrzał się łatwo i przed byle kim. Skarga w swym dyaryuszu wspomina nieraz, że był na obiedzie u króla, że mówiono tam o tej, o owej sprawie publicznej i wypadku dnia; oprócz Skargi byli u stołu i inni zacni goście, o jakichś więc... tajemnych konszachtach, intrygach mowy być nie może...

Mniejsza o to, że biskup Piasecki w swej kronice zaznacza, że jezuici w prywatnych rozmowach z królem, do których droga stała im zawsze otworem, naprzykrzając się królowi, tak go ścisnęli, że wszystko za ich radami czynił. Oczywiście ten kronikarz jest stronniczy i jezuitom niechętny. A zresztą, po prawdzie, ci jezuici nadworni (508 uw.) to same prawie niedołęgi, starcy i t. p. „Nie nadawali się" oni na doradców politycznych króla, boć jakże królowi mógł coś doradzać taki np. jezuita Bekan, kiedy przecież on cierpi na podagrę; drugi znów jezuita, Fabrycy, jest ciemny prawie na oba oczy, a trzeci Seidel ma znowu inną przeszkodę, bo cierpi na kamień... Ale znowu nie wszyscy byli niedołędzy: jezuita Merkwart i jezuita Bembus niemałe mieli zdolności i t. d. „Co do jezuity Skargi, to, znając jego miłość ojczyzny, chyba tylko życzyć sobie wypadało, aby król jak najwięcej w sprawach publicznych z tym kapłanem nadwornym rozmawiał, do rady swej wzywał i głosu jego słuchał. Niestety, nie było tak. Do r. 1606, przynajmniej do rokoszu (Zebrzydowskiego), jezuici dworscy trzymali się zdala od wszelkiej ingerencyi do spraw publicznych, wymawiali się od wszelkich protekcyi, chociaż ich nachodzono, a gniewano się, że odmawiają..."

Zaciekawieni pytamy się, skądże autor wybrał sobie właśnie ten rok rokoszu 1606 za niewzruszoną granicę (o tej granicy nieraz wspomina potem autor np. 508). Oto dlatego, że w tym roku Skarga publicznie przed stanami, zebranymi w Wiślicy, na kazaniu za-

przeczył, jakoby jezuici w świeckie sprawy i rządy się wdawali lub za kimkolwiek u króla orędowali [1]).

Przyznaję, że nie bez znaczenia jest to świadectwo Skargi. Ale zawsze to świadectwo, bądź co bądź, jezuity w obronie jezuitów, i to wypowiedziane w chwili, gdy miano ich z miast Rzptej wydalić właśnie z powodu mieszania się ich do spraw politycznych. Rozstrzygającem nie może być to świadectwo, choćby je wypowiedział człowiek tak świątobliwy. Historya jest historyą ludzi.

Świadectwo to, mem zdaniem, nie przedstawia wielkiej wagi dlatego, że Skarga inaczej, jak to się zwykle dzisiaj pojmuje, pojmował i inne zataczał granice dla spraw, które nazywamy politycznemi. Zdaniem jego, on, jako kaznodzieja królewski, nie potrzebuje się obracać tylko w ramach ściśle religijnych i dotyczących nabożeństwa, — on traktował kaznodziejstwo, „jako poselstwo wielkiego posła od wielkiego pana", — on może o nich mówić tak, jak poseł szlachty „może nauczać o wojnach, o prawach i rządach, o sądach i kontraktach, o policyi, o ekonomii, o sejmach... o ile do czci bożej i zbawienia ludzkiego służy. Już to piętnaście sejmów za panowania... się odprawiło. Na każdym byłem posłem, ale nie z jednego powiatu". Sądził, że wprost w politykę wdawać się nie należy, ale, jak mówi we wspomnianem właśnie kazaniu wiślickiem, trzeba *„politykę do teologii naciągać"*.

Dlatego to niewiele dla nas wagi może mieć i świadectwo jezuity Argenti, naczelnika prowincyi polskiej, który w liście do Zygmunta III przypominał mu, że podczas sejmu w Warszawie w r. 1613 król sam na posłuchaniu na jego prośby oświadczył publicznie, że jezuici nie mieszają się do spraw politycznych. Rzecz jasna, że Argenti, jako naczelnik wszystkich jezuitów w całej Polsce, wydobył to świadectwo od króla dlatego, że właśnie o to był krzyk w Rzptej. I król, i Argenti byli stroną interesowaną, na którą wpadano i która się broniła. A przedewszystkiem równie, jak Skarga, i on pojmuje bardzo wązko sprawy czysto polityczne [1]).

---

[1]) Dotychczas zwykle inaczej zapatrywano się na tę datę r. 1606. Uważano, że rokosz, który wybuchnął takim potokiem skarg na jezuitów — z powodu „mieszania się jezuitów do spraw politycznych" — musiał mieć jakieś do tego podniety w zachowaniu jezuitów. Stąd raczej przypuszczano odwrotnie, że do r. 1606 działy się rzeczy, które wielu się nie podobały, a dopiero wybuch rokoszu umiarkował jezuitów. Rok 1606 zatem raczej był terminem „a quo", nie „ad quem".

[2]) „Non politicus est religiosus qui intra suae conditionis limites cum

Podobnież i dziś sam ks. Załęski pojmuje przez sprawy czysto polityczne — tylko te, ktore żadnego nawet pośredniego nie mają związku z religią, — no, a takich niewiele. Oświadcza bowiem (506), że „sprawy państwowo - polityczne prowadzone być powinny w zgodzie w podstawami państwa, a więc z religią, moralnością, sprawiedliwością. Mieszać się do tych podstaw było obowiązkiem jezuitów, ale i do spraw państwowo-politycznych o tyle, o ile sposób ich prowadzenia psuł, podkopywał podstawy państwa, naruszał wiarę, obyczaje, sprawiedliwość".

Jak widzimy, zatacza się tu bardzo szerokie granice dla spraw religijnych i dla ingerencyi w nich jezuitów, a bardzo wązkie dla „czysto" politycznych. Właściwie tylko chodzi o różne pojmowanie sprawy. My np. mieszanie się do sprawy ligi przeciw Turkom nazwiemy akcyą polityczną, autor tymczasem wiąże ją z sprawą religii czy też sprawiedliwości, jako podstawy państwa, i nazwie ją religijną, czy teologiczno-polityczną i t. p.

W końcu ks. Załęski zaznacza, że dowodu na to, że jezuici mieszali się do spraw publicznych, niema (508). „Takiego dowodu ani dokumentu niema; ja sumiennie, szczerze, dla mojej własnej informacyi w archiwach zakonnych szukałem — i nie znalazłem. Więc, jeżeli takiego dokumentu niema, jakiem prawem i jakiem czołem historyk (autor ma tu na myśli Bobrzyńskiego. Dzieje II, 179) odważa się twierdzić, że jezuici byli „doradcami", „ministrami" króla, a doradzali mu „mrzonki" polityczne. Oczywiście, jeżeli ks. Załęski przypuszczał, że znajdzie wystawione przez Zygmunta III z jegoż własnoręcznym podpisem, z pieczęcią zaświadczenie, jako szukał zawżdy ich porady, to takiego nie znalazł, ale mimo braku takiego świadectwa — pozwolę sobie zauważyć — krytyka historyczna podaje jednak środki, aby i bez takich dotykalnych pergaminów na podstawie świadectw współczesnych, ich ocenie i zestawieniu dotrzeć do prawdy dziejowej.

Ostatecznie, chcąc raz na zawsze usunąć wszelkie podejrzenia, autor powołuje się (687) na innego rodzaju dokumenty, jak na dekret 79 kongregacyi jezuickiej V, który zakazuje pod srogiemi (w „erratach" poprawione na surowemi) karami mieszać się do spraw państwowych, „quae ad rationem status pertinent", lub podejmowania się tychże pod jakimbądź pozorem, podobnież (688) na instruk-

principe vel magistratu agit et quae ad fundamenta reipublicae (superius explicata) spectant vel sponte suggerit vel interrogatus exponit".

cyę, daną przez Zakon spowiednikom królewskim, by nie mieszali się do spraw politycznych, protegowania i t. p.

Niestety, jesteśmy takimi sceptykami historycznymi, że nawet te ostatnie uchwały nie są dla nas jeszcze rozstrzygającem świadectwem—a jeśli tego rodzaju „hyperkrytycyzm" wywołałby w autorze zniecierpliwienie, to pozwolę sobie w takim razie powołać się na ciekawe zestawienie tego rodzaju dokumentów, przedstawione przez jednego z najpoważniejszych badaczów kontrareformacyi, *Philippsona* (Revue historique, 1895, I, 186). Przedstawia on, że z jednego i tego samego roku 1579 posiadamy oficyalne rozporządzenie jenerała jezuitów Mercuriusa do braci, zakazujące mieszać się im do spraw publicznych, i z tegoż roku list tegoż jenerała, w którym obowiązuje się pracować nad poddaniem Portugalii pod panowanie hiszpańskie i posyła zarazem w tym celu wielu jezuitów do Portugalii, aby tamże wszelkimi środkami, jakimi tylko Zakon może rozporządzać, popierali roszczenia hiszpańskiego Filipa II do następstwa tronu w Portugalii.

*
* *

Jakby zaprzeczeniem wszystkiego tego, co autor przytaczał na dowód, że jezuici nigdy nie zajmują się polityką, jest sama osobistość jezuity Possevina. Był on uosobieniem politykującego człowieka, dyplomaty, pół jego życia — i właściwa jego działalność, o której autor tak szeroko się rozpisuje — to sama polityka. Sam autor spostrzega się i zaznacza, że Possevina „pięcioletnia rola dyplomatyczna, lubo z rozkazu Stolicy św. i dla sprawy chrześcijaństwa podjęta, niezupełnie odpowiadała duchowi Zakonu" (341—343). Podejmował się on jednak i akcyi dyplomatycznej, nie mającej wprost związku z walką „chrześcijaństwa" z Turcyą, jak np. w sprawie z Moskwą. Mimo, że generał jezuitów Aquaviva i jezuita Possevino (podobnie, jak i dziś autor) uważali tę misyę za „przeciwną instytutowi Zakonu" (350—351), jednak n a r o z k a z p a p i e ż a podejmuje się jej Possevino. Co prawda, to i sam nie był temu tak znów bardzo niechętny.

Jezuita musiał słuchać skinienia z Rzymu — na to był bojownikiem papiestwa, to był cel całego Zakonu. Na opór bierny nawet było lekarstwo. Gdy np. ten sam Possevino następnie po śmierci Batorego wbrew zamiarom kuryi apostolskiej, która forsowała na tron polski Habsburga, nie popierał kandydata austryackiego, a partya austryacka rozpuściła namacalne pogłoski, że Possevino moc

pieniędzy przywiózł z Włoch i zakupuje głosy dla elekta szwedzkiego, późniejszego Zygmunta III, wtedy papież rozkazuje, aby Possevino natychmiast opuścił Polskę, i Possevino wraca do Włoch i odtąd przestaje raz na zawsze być używany do misyi politycznych [1]).

Jedna z głównych myśli politycznych, którą pod koniec panowania Batorego zajmował się Possevino, a którą papież gorąco popierał, był plan ligi czyli wojny państw chrześcijańskich z Turcyą. Jakkolwiek zapatrywać się będzie ks. Załęski na pojęcie polityki, ja pozwolę sobie zaliczyć tego rodzaju akcyę polityczną do stosunków politycznych.

Plan ten był marzeniem kuryi papieskiej, i autor nie przeczy, że jezuici gorąco go popierali, przyczem nie waha się dodać (495 — 7): „Nie potrzeba było być wielkim politykiem, aby zrozumieć, na jak kruchych podstawach opierała się ta budowa św. ligi. Ze strony Austryi wieczna nieszczerość wobec Polski... Nic więc dziwnego, że kanclerz Zamoyski, wierny tradycyi Jagiełłów i Batorego, nie wierzył w skuteczność ligi, dlatego opierał się on i liczne stronnictwo jego projektom ligi. Król Zygmunt III przeciwnie poczytywał za święty obowiązek króla-katolika z ligą lub bez niej wojować z Turcyą. Jezuici: Possevino, Warszewicki, Gołyński i Skarga utrzymywali go w tych usposobieniach. Można to nazwać ich błędem, ale nie winą. Dla nich, jak dla Zygmunta, dyrektywą w tej mierze była Stolica św., inaczej być nie mogło. Ta zaś wołała o ratunek dla cesarstwa“.

To też, kiedy do Polski w celu nakłonienia jej do wojny tureckiej przybył kardynał Henryk Gaetano w towarzystwie dwu jezuitów i komisarzów cesarskich, we wszystkich kościołach jezuickich— pisze sam ks. Załęski — odprawiały się przez cały czas układów 40-godzinne nabożeństwa, procesye biczowników, msze św. wotywne

---

[1]) Czy może Possevino istotnie popierał Zygmunta III wbrew Habsburgom? Possevino znał Zygmunta jeszcze chłopięciem, utwierdzał go w katolicyzmie, jeszcze będąc w Szwecyi w Torwesund, marzeniem jego, nad którego spełnieniem swego czasu gorączkowo pracował, było nawrócenie Szwecyi. Przez wybór Zygmunta III na króla polskiego otwierała się droga dla misyi katolickiej w Szwecyi. Autor przyznaje, że nad wyborem Zygmunta III na króla polskiego pracował Possevino oddawna, że ten cel miał na oku, jadąc do Wolborza do krolowej Anny na jakąś poufną naradę r. 1580 (439) i że „w latach 1581 — 86 istotnie sprawę kandydatury Zygmunta z królową Anną kilkakrotnie rosztrząsał (451). Wniosku żadnego z tych przesłanek wyciągnąć nie można prócz może tego, że myli się ks. Załęski, sądząc, że „wykazał“ najzupełniejszą Possevina w czasie tego bezkrólewia neutralność“ (453).

o zgodę i jedność książąt chrześcijańskich, o zwycięstwo oręża chrześcijańskiego, o odwrócenie napadów turecko-tatarskich na bezbronne dla niezgody książąt lub skąpstwa sejmów kraje chrześcijańskie. W tym duchu przemawiali najżarliwsi kaznodzieje ze Skargą na czele. Powtarzam — powiada autor—niech to rozum stanu nazwie błędem, sąd historyi uwolnić musi od winy i jezuitów, i króla Zygmunta. Nie było też, sądzę, z tego powodu przez czas jakiś szczerego porozumienia między Zamoyskim a jezuitami. Czuli to, że stali na przeciwnych biegunach i politykowali z sobą. Stwierdza to w swej relacyi Vanozzi, sekretarz legata Gaetana, oświadczając, że „Zamoyski nieprzychylnym był jezuitom, a w swojem mniemaniu miał ich za zbyt wykrętnych polityków" [1]).

* * *

Plan ten wspólnej akcyi państw przeciw Turcyi wiązał się z drugą dążnością stolicy apostolskiej — ku zespoleniu i związaniu jak najsilniejszymi węzłami Polski z Austryą. Pragnienie to było tem gorętsze, że sojusz taki Habsburgów z Polską odrazu darzył ogromną przewagą katolicyzm w tych stronach i wzmacniał go w walce z protestantyzmem. Tu źródło swe mają starania kuryi rzymskiej w czasie pierwszych bezkrólewi, aby Habsburg zasiadł na tronie polskim.

Jak wobec tych zamiarów papiestwa zachowali się jezuici? Czy tylko poprzestawali na pobożnem westchnieniu i modlitwie, czy może przykładali ręki do akcyi politycznej? Jest to jedno z najciekawszych zagadnień w dziejach jezuitów w Polsce.

Ks. Załęski zaprzecza stanowczo (§ 26), jakoby „w pierwszych dwu bezkrólewiach jezuici mieszali się do walki stronnictw politycznych. Sam rozum dyktował jezuitom trzymać się zdala od niepewnego morza bezkrólewia. Polecał to samo instytut".

Ostatnia uwaga traci na sile, gdy przypomnę zastrzeżenia wyżej przytoczone Philippsona. Kuryi papieskiej przedewszystkiem słuchają jezuici, a ona sama zupełnie nie uważała za

---

[1]) O stosunku Zamoyskiego do jezuitów i katolicyzmu nic nowego autor nie dorzuca; nawet nie wyzyskał tych cennych uwag, które ubocznie podaje prof. Morawski w swym „Nideckim". O Zamoyskim błędnie mówi (idąc za Dzieduszyckim), że wychowany był w „luterskiem" wyznaniu (zamiast helweckiem, porówn. Hist. Reform. Lubowicza, 320). Pisząc o Zamoyskim, autor opiera się na takiem źródle, jak Bohomolec (!).

rzecz zdrożną udziału ich w akcyi politycznej. Owszem, sam autor przyznaje, że legat papieski Commendone, wysłany z poleceniem popierania elekcyi arcyksięcia Ernesta, zwrócił się do wybitnego jezuity Warszewickiego z żądaniem pomocy i porady w powierzonej sobie tej akcyi politycznej na rzecz Habsburgów. Zdaniem autora (który w tym wypadku idzie za Rostowskim), Warszewicki odmówił mu jednak z obawy przed ludzkimi językami i pomny nakazów instytutu. Czy wszyscy i zawsze odmawiali? Na to odpowiedzieć mogą następujące słowa — autora (231):

„Zato w biskupie płockim, Piotrze Myszkowskim, znalazł Commendone dzielnego sojusznika. Biskup ten wtajemniczył w swe plany elekcyjno-austryackie między innymi kanclerza swego ks. Fogelvedera, tajnego niegdyś sekretarza Zygmunta Augusta, a obawiając się przejęcia korespondencyi, ułożył z nim formę pisania listów na modę jezuicką, pseudonimy osób głównych, wchodzących w grę zabiegów elekcyjnych, i zmianę kalendarza: nowy rok rozpoczynał się od 1 września. Listy adresowane były *po jezuicku* i opatrzone, niektóre przynajmniej *pieczęcią jezuicką*. Stąd przypuszczenie *mylne*, że jezuici, zwłaszcza O. Massimo Milanese, profesor podówczas w kolegium w Pułtusku, któremu autorstwo listów przypiswano, mieszali się do elekcyi, popierając gorliwie kandydata austryackiego. *Prawdopodobniejszem* zdaje się być to, że jezuici *odmówić nie mogli zacnemu dobrodziejowi* Myszkowskiemu, aby korespondencya jego z kanclerzem adresowaną była do ich kolegium w Pułtusku i Ołomuńcu, i w tym celu użyczyli swej pieczątki".

Może słuszniejby można zrobić przypuszczenie, że, jeśli już tyle narażali się i nie odmówili swemu biskupowi, to oddali się mu już zupełnie i służyli całej akcyi politycznej [1]). Wielkie prawdopodobieństwo takiego przypuszczenia odczuwa snadź sam autor, kiedy dodaje, że listy te nie zawierają znowu nic takiego złego do tego stopnia, że „nawet, gdyby który z jezuitów, co nie jest prawda, autorem był tych listów, to jeszczeby ich one nie *kompromitowały bardzo*".

Podejrzenie, że śród jezuitów polskich wówczas wiać mogły prądy przyjazne dla Wiednia, nasuwaćby mógł jeszcze i ten fakt, że

---

[1]) Porówn. W Zakrzewskiego: Po ucieczce Henryka (str. 38, uw. 1) „Massimo Milanese, powiernik Myszkowskiego". Owe tajne listy znajdują się w cesarskiem tajnem archiwum w Wiedniu.

jezuici polscy od lat 10 stanowili jedną całość organizacyjną z austryackimi, tworząc jedną „prowincyę"; że nie gdzieindziej, tylko w Wiedniu, na początku tworzenia się organizacyi zakonnej w Polsce kształcili się polscy jezuici, tak, że swego czasu nad Anizą, na 70 jezuitów było 40 Polaków [1]). Dopiero w roku 1575 po wyborze Walezego na króla, prawdopodobnie przez wzgląd na antagonizm królów francuskich i Habsburgów, odłączono jezuitów, przebywających w Rzptej polskiej, od Austryi, tworząc z niej udzielną prowincyę. Widać, że już w Polsce na to sarkano, kiedy sami jezuici tłómaczą powód tego odłączenia, „ne litterarum ex Austria commercio occasio avidis sermonum daretur". I później jednak jeszcze kontroluje prowincyę polską delegat z Austryi [2]), a nawet w czasie samego wybuchu najgwałtowniejszego oburzenia w Polsce przeciw Austryi, bo w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, prowincyałem polskim jest „Austryak" Strinerius. Sam autor przyznaje, że jezuici podzielali zapatrywania kuryi co do korzyści sojuszu Polski z Austryą dla chrześcijaństwa, ale „w cichości", (464) i że żywili ku Habsburgowi przyjazne usposobienie, bo mu „istotnie mieli wiele do zawdzięczenia i, jako dom katolicki, szanowali" (625).

W czasie drugiej elekcyi, zdaniem ks. Załęskiego, jezuici „lgnęli może do habsburskiego kandydata, ale od wszelkich agitacyi elekcyjnych trzymali się jak najdalej" (234). Możeby ks. Załęski nie wyraził w tak stanowczym tonie tego ostatniego zaprzeczenia, gdyby znał i rozprawił się z dowodną nieco odmienną wiadomością, którą podaje nam list Myszkowskiego do Dudycza, gdzie wyraźnie zaznaczono, że wówczas to właśnie jezuici nie tylko „nie trzymali się jak najdalej", ale wprost n a L i t w i e e n e r g i c z n i e z d o b y w a l i ś r ó d n a j p o w a ż n i e j s z y c h d o m ó w i r o d z i n s t r o n n i k ó w n a r z e c z k s i ę c i a E r n e s t a [3]).

I doprawdy, dziwnemby było, gdyby w owych czasach, które podręczniki mianują okresem „wojen religijnych", gdzie waśń o wiarę wstrząsała podwalinami państw i była główną osią, około której kręciło się niemal całe ówczesne życie polityczne Europy, — aby w tych czasach jezuici, ci najwierniejsi szermierze stolicy apostolskiej, nie mieli iść karnie tam, gdzie interes polityki Rzymu i katolicyzmu iść im kazał, a w danym wypadku nie popierać, o ile

---

[1]) Lubowicz, Naczało, 108.

[2]) Rostow, 94.

[3]) List oryginalny w archiwum watyk. przytacza Wierzbowski. Krzysztof Warszewicki, str. 53—54, uwaga 5.

można było, objęcia tronu polskiego przez przodowników reakcyi katolickiej Habsburgów w przeciwieństwie do Batorego, któremu wogóle nie bardzo ufało polskie duchowieństwo. Jak zgodnie postępowali jezuici z dążnościami kuryi, to najlepiej dowodzi, że — jak sam autor wskazuje — już „po koronacyi króla Stefana nie śpieszyli z swemi gratulacyami, czekali, aż stolica św., o której wiedziano, że elekcya Maksymiliana była jej pożądaną, Stefana królem polskim uzna. Stało się to dopiero w trzy miesiące po śmierci cesarza, dopiero, gdy papież Stefanowego posła przyjął“.

* * *

Jaka tendencya polityczna płynęła z Rzymu, takim duchem przejmował się i generał Zakonu i cały Zakon. Oczywiście członkowie poszczególni Towarzystwa, choćby może mniej skłonni ku tym dążnościom, posłuszni skinieniom starszych musieli kłonić głowy przed wskazówkami z Rzymu. Oporni doznawali losu Possevina.

Weźmy np. takiego Skargę [1]). Oczywiście, że nie polityka była celem życia tej największej i najpiękniejszej postaci, jaką wydał zakon jezuicki w Polsce. Przywiązany przedewszystkiem ogniście a serdecznie do wiary katolickiej, do jej dogmatów, trzymał się ich i propagował je z niezłomną i żelazną energią woli. Przypuszczać jednak się godzi, że człowiek tak czynny i ruchliwy i nieustannie na dworze królewskim stykający się z kwestyami politycznemi, musiał niejednokrotnie dla spraw religijnych poruszać i polityczne, czyli, jak mówił, „politykę do teologii naciągać”. Miał przecież serce obywatelskie, boć nie tak, jak reszta jezuitów, wychowanych od młodości w zakonnej regule, wstąpił do Towarzystwa, już będąc zupełnie dojrzałym i głośnym już kapłanem - obywatelem. Do działalności politycznej nadarzała się Skardze, jako nadwornemu kaznodziei i „teologowi”, nieustannie sposobność. Zygmunt III bowiem, który go niezmiernie (semper unice) [2]) kochał i szanował, uciekał się doń niejednokrotnie po radę w zawilszych sprawach. Przez 24 lat codziennie kazał ks. Piotr przed królem. Nie trzeba chyba dowodzić,

---

[1]) Nie wiem, dlaczego autor, lubo przytacza rozprawę p. Czuczyńskiego, dowodzącą mieszczańskiego pochodzenia Skargi, zwie go „szlachcicem z Grójca“. Snadź wiadomo to było śród współczesnej szlachty, kiedy w jednym z paszkwilów rokoszańskich czytamy wezwanie do Skargi, że mu „lepiej było młotem w Grojcu karmić świnie“ (Bibl. XX Czartor. Rękp. № 339, k. 375).

[2]) Wielewicki.

ile to dawało Skardze wpływu na króla, który, wstępując na tron, był 21-letnim młodzieniaszkiem, podatnym na obce wpływy. Na dworze królewskim Skarga stał się z czasem jakby członkiem rodziny królewskiej, zżył się z nią, chrzcił dzieci królewskie, przygotowywał je do praktyk religijnych, grzebał najdroższe królowi osoby, które na jego rękach konały, mieszał się do spraw dworzan, wskutek czego ciż dworzanie (słowa jezuity Wielewickiego [1]) niepowodzenia i kary swe przypisują wpływowi Skargi. Niemniej, jako kaznodzieja sejmowy, wypowiadający kazania w czasie obrad sejmów co niedziela, mógł mieć Skarga pewien wpływ na usposobienie zgromadzonych, co prawda, więcej może na senatorów, niż posłów, których zrażały początkowo ostre jego ataki przeciw ogromnemu politycznemu znaczeniu izby poselskiej i jej „wstydu godnym postępkom", zrażały gromy jego, rzucane na posłów za to, że „moc sobie tak wielką poczytują, którą królewskiej i senatorskiej przeszkodę czynią, a monarchię chwalebną i ludzkości zbawienną w demokracyę, która jest w rzeczach najgorsza i najszkodliwsza i tu w Królestwie tak szerokiem niepodobna, obracają". Nie potrzebuję rozwodzić się, że sama ta ogólnie znana dążność Skargi ku wzmocnieniu władzy monarszej, a ukróceniu izby poselskiej ma już w sobie barwę prawno-publiczną, polityczną.

I to właśnie jątrzyło brać szlachtę przeciw kaznodziei królewskiemu. Co więcej, to popieranie *absolutum dominium* króla podsuwało szlachcie podejrzenie, że może Skarga żywi też i przyjazne usposobienie królewskie ku „absolutystycznym" Habsburgom, przed którymi tak szlachta truchlała, bojąc się, aby Habsburgowie „nas szlachtę w chłopstwo i niewolniki nie obrócili" [2]).

Wszystkie jednak kroki Skargi dowodzić się zdają, że nie odznaczał się ten mąż zbyt wielką znowu sympatyą dla Rakuzów. Gdy oto po elekcyi Zygmunta III jego kontrakandydat arcyks. Maksymilian dobywał Krakowa, przesłano z obozu arcyksięcia list do Skargi i reszty jezuitów krakowskich z prośbą o popieranie na kazaniach partyi austryackiej i ich interesów. Dziś taki list nas dziwi, ale wówczas snadź ludzie nie strachali się przed myślą użycia kazalnicy, jako środka politycznego, owszem uważali ją za walną w takiej akcyi pomoc. Skarga jednak oddał, nie rozpieczętowawszy, list w ręce Zamoyskiego [3]).

---

[1]) Por. też Sekretarz Gaetana: Pamiętniki Niemcewicza.

[2]) Bibl. ord. Krasińskich. 1893. Rembowski. Rokosz, 463.

[3]) Wielewicki. I, 110.

Jeszcze bardziej jaskrawo maluje się nieprzychylne usposobienie Skargi wobec partyi austryackiej w Polsce w jego kazaniu na zwycięstwo Zamoyskiego pod Byczyną, w którem piętnuje Habsburgów, jako tych, którzy „na karki wolnych jarzmo włożyć pragnęli, którzy gwałtem nad nami panować i poczytywać nas za swe sługi chcieli", występuje przeciw polskiej partyi austryackiej, jako „składającej się z kilku tylko senatorów i garstki *przekupionych*" [1]).

Snadź Skarga wraz z Possevinem należał do tych jezuitów, którzy nie Habsburga, ale „wychowanka jezuitów", Zygmunta III, chcieli widzieć na tronie polskim. Samo to jednak kazanie byczyńskie dowodzi, że Skarga musiał uledz władzom wyższym Zakonu i skinieniom z Rzymu. Tego bowiem kazania — tak wybitnie antihabsburskiego — nie pozwolono ogłosić Skardze drukiem. Przynajmniej Skarga go nie ogłosił nigdy, zapewne dlatego, że ten sam Zygmunt III, który dostał się na tron polski w walce z Habsburgami, został sojusznikiem Rakuzów, zawiązał z nimi węzły przyjaźni, pojmując z tej dynastyi za żonę siostrę po siostrze i wchodząc w konszachty z Ernestem.

Znowu znamienne jest stanowisko Skargi wobec planu drugiego małżeństwa z Austryaczką, planu swatów, który poddała Zygmuntowi arcyksiężna Marya. Skarga był temu związkowi przeciwny dlatego, że małżeństwo z siostrą pierwszej żony uważał za grzech kazirodztwa,—że obawiał się rozruchów i oburzenia stronnictwa anti-austryackiego, jaki ponowny ten związek wywołaćby musiał.

A widząc, że król stara się u kuryi o dyspensę, która wobec tego, że Rzym życzył sobie zbliżenia dwu mocarstw, łatwa była do przewidzenia, zaczął na kazaniach przekładać, ża takie dyspensy złym się kończą skutkiem, a kiedy i to nie pomogło, kiedy król nie słuchał jego przedstawień, w r. 1602 Skarga postanowił odejść precz z dworu królewskiego i istotnie otrzymał (choć z trudnością) dymisyę.

Król jednak, który chciał go zatrzymać przy sobie, wiedział, że Skarga musi być posłuszny swym przełożonym, wiedział, że papież żywo popiera zamierzony związek z Habsburgami. Zwrócił się tedy ze sprawą swego konfliktu do Rzymu, aby odpowiednio wpłynięto na Skargę, i generał Zakonu istotnie[2]) polecił Skardze, aby nie sprze-

---

[1]) Ogłosił fragmenty z tego kazania Dzieduszycki. Skarga i jego wiek. II, 33.

[2]) Wielewicki. II, 31, 32.

ciwiał się skojarzeniu tego stadła, bo król co do tego już pertraktuje z papieżem, a zresztą część senatu i partya dworska projekt króla pochwala i t. p. Skarga usłuchał i w czasie wybuchającego zaraz niezadowolenia szlachty przeciw polityce austryackiej króla, w czasie rokoszu Zebrzydowskiego odgrywa jedną z najwybitniejszych ról, jako obrońca tronu, jego polityki i jezuitów.

* * *

Tak się rzecz miała ze Skargą. Nie mamy jednak najmniejszego powodu twierdzić, że inni jezuici w Polsce nie żywili gorętszych uczuć względem Austryi lub że czulsi byli na skinienia nuncyuszów i kuryi rzymskiej, szczególnie, jeśli przypomnimy sobie ową wzmiankę o agitacyi jezuitów za Ernestem na Litwie.

Nie możemy ślepo wierzyć w kategoryczne oświadczenie autora (626), iż „nie ulega najmniejszej mątpliwości, że jezuici z tej samej racyi, co Skarga, przeciwni byli" owemu powtórnemu małżeństwu z Rakuszanką. Czy dlatego, że właśnie generał był innej myśli, jak Skarga, że mu kazał w tej sprawie właśnie milczeć, że przedewszystkiem papież Klemens VIII parł do tego małżeństwa? Czy może miałby nie popierać tych dążeń kuryi, dążeń skojarzenia króla z domem austryackim, np. taki prowincyał polskich jezuitów w czasie rokoszu, Strinerius, który był „Austryakiem"?

Ciekaw jestem bardzo, na jakiej podstawie ks. Załęski wydaje zbyt porywczy sąd, że np. drugi towarzysz Skargi na dworze królewskim, spowiednik króla, jezuita Gołyński, z tych samych powodów, co i Skarga, również sprzeciwiał się tym ślubom Zygmunta z arcyksiężniczką Konstancyą (488). Jest to analogia zbyt śmiała, ponieważ Gołyński nie miał... czasu wypowiedzieć swego zapatrywania względem tego powtórnego małżeństwa z Rakuszanką, gdyż umarł już... w roku pogrzebu pierwszej żony króla i w chwili, na którą autor chciałby uogólnienie swe przeciągnąć — w chwili zwierzenia się króla z tą myślą Skardze — już jezuita Gołyński czwarty rok... leżał w ziemi.

Inaczej trzeba traktować jezuitę Gołyńskiego od Skargi dlatego, że, kiedy o usposobieniu Skargi względem Austryi w źródłach prawie zupełnie głucho, to na tego właśnie spowiednika Piasecki wypisuje wyraźnie owo oskarżenie, że on to był główną sprężyną nawiązania bliższych stosunków Zygmunta III-go z Austryą na przekór Zamoy-

szczykom [1]). Wiadomości, skądinąd czerpane — przytaczane przez samego autora — dowodzą, że jezuita Gołyński nie był znowu sobowtórem Skargi.—Konduita Zakonu o nim brzmi: „człowiek dworski, umie niewiele, choleryk, zdolny do słuchania spowiedzi, zwłaszcza kobiet". Wszystko to, powtarzam, nie uprawniało autora do zaprzeczenia, jakoby ten jezuita nie mieszał się z zasady zakonnej i usposobienia swego do żadnych spraw publicznych (455) [2]).

* * *

Skarga i Gołyński spełniają dwie funkcye jezuitów na dworze Zygmunta III. Jeden jest kaznodzieją, drugi spowiednikiem. Ci dwaj „nadworni" jezuici są jakby dwiema kolumnami zakonu na zamku królewskim. Przez ich ręce płyną dary od króla i przebywających na dworze osób dla Zakonu. Oni ślą uwiadomienie do swych współbraci o takiem a takiem usposobieniu króla, znając go tak dobrze, że nawet nuncyusze dostają wskazówki z Rzymu, by wypytywali się jezuitów nadwornych, „jakie są najlepsze sposoby ujęcia króla, królewiczów i miłych mu osób". Do nich to ściąga się wyznanie sekretarza legata Gaetaniego, że ks. jezuici posiadają największy wpływ na dworze. Oni przedewszystkiem są dowodem powagi i wpływu Zakonu na króla, bo, jeżeli gdzie, to u nich znaleźć można protekcyę u króla.

O tej właśnie protekcyi jezuitów nadwornych, jako o jednym z objawów mieszania się ich do spraw państwowych, chciałbym kil-

---

[1]) W liście tegoż jezuity Gołyńskiego do Reszki spotykamy zwrot: „o małżeństwie (z Austryaczką?) nie mów W. Mć nic, ażbych ja co pisał o tem do W Mci. Król nie rad już o tem mówią" (Grabowski. Starożytności, tom II, list z 28 VII 1588. Listy cyfrowane jezuity Gołyńskiego, tam umieszczone, należy dopiero rozwiązać (wdzięczne zadanie dla początkujących historyków). Cyfry nie pozwalają wniknąć w treść, stąd zawcześnie ks. Załęski oświadcza, że niema w nich śladu jakiejkolwiek politycznej roli (506).

[2]) Czy naprzykład nie ma charakteru politycznego fakt, opowiedziany przez samego autora, że, kiedy król Zygmunt III w Rewlu miał porzucić Polskę i jechać do Szwecyi, „nasłano spowiednika O. Gołyńskiego, aby królowi rozstrząsał sumienie i świętość przysięgi przypomniał" (467), że tenże Gołyński w tym celu, aby króla wzruszyć „z wielkiem żalem pożegnał króla, iż go od wyjazdu do Szwecyi odwieść nie jest w stanie" (468), że podobnież Skarga „jął mu (królowi) szeroce dowodzić, że wracać do Szwecyi w żaden sposób nie powinien, a gdy Skarga począł się z nim żegnać, nie dozwolił tego i dnia następnego król zmienił zdanie i zaraz o godzinie 3-iej po południu powrót króla do Polski został ogłoszony"?

ka zastrzeżeń dorzucić. Chodzi tu o to, czy jezuici nadworni swoim wpływem u króla: 1) odpychali różnowierców od urzędów; 2) czy nie popierali pewnych miłych sobie osób?

Co do pierwszej kwestyi, autor wbrew utartemu zdaniu, że Skarga właśnie wpływał na usuwanie różnowierców od dygnitarstw, oświadcza, że nieprawdą jest, aby systematycznie w tym kierunku działał, i wylicza na dowód garstkę różnowierców, którzy jednak zdołali dostać się na dygnitarskie stanowisko [1]).

Ciekawą jest rzeczą, że właśnie wyraźne o tem świadectwa dają sami jezuici w swych dziełach, jak Wielewicki, Rostowski i Niesiecki. Prawda, że uważali to oni za rzecz chwalebną i dlatego mogli przesadzić te zasługi jezuitów w sprawie skatoliczenia senatu. Lecz mamy świadectwa i nie jezuickie [2]).

Że Skarga zwracał baczną uwagę na stołki, zajęte przez różnowierców w senacie, wskazuje bardzo charakterystyczna uwaga Wielewickiego o notatce Skargi, zrobionej w dyaryuszu (zapewne z uciechą), że na sejmie roku 1593 już tylko jeden senator przyznawał się do różnowierstwa [3]).

Co do drugiej sprawy, to nie ulega już żadnej, mem zdaniem, wątpliwości — mimo, że Skarga uroczyście temu zaprzeczył (w kazaniu wiślickiem)—że jezuici istotnie wyzyskiwali swe stanowisko na orędowanie za miłymi sobie petentami. Z samego listu ks. Skargi do generała jezuitów z 20 września roku 1606 [4]) dowiadujemy się, że właśnie wspomniany wyżej jezuita Gołyński stał się powodem owej rozgłośnej, a tak zapamiętałej nienawiści ks. Zbaraskiego do jezuitów przez to właśnie, że miał go obmówić przed królem. Musiał mu do żywego dopiec, kiedy odtąd stał się nieprzebłaganym ich wrogiem i na rokoszu z naciskiem podnosił, że jezuici „na dworze królewskim do spraw świeckich się mieszają i wszystko w pałacu, gdzie wiecznie przesiadują, dzieje się według ich woli” [5])

---

[1]) Dorzuca autor uwagę, że rady w tym kierunku „nie Skarga, nie Jezuici, ale dawał je kardynał Aldobrandini“. Rzecz to znana, że nuncyusze i kurya rzymska zawsze dawali tego rodzaju wskazówki królowi. Ale dlaczego to ma wykluczać współdziałanie nadwornych jezuitów? Owszem, wskazówki z Rzymu mogły tylko znaleźć posłuch u jezuitów.

[2]) Porówn. sekretarza legata Gaetana. Zbiór pamiętn. Niemcewicza, II, 174. Relacye nuncyuszów Malaspiny i Torresa (Rykaczewski, II, str. 73, 81, 119, 140); por. Listy Annibala z Kapuy Theiner, III, № CLX i t. d.

[3]) Wielewicki, VII, 167.

[4]) Wielewicki, II, 208, 210.

[5]) VII. 269. W listach, umieszczonych u Grabowskiego, czuć bardzo pou-

Niejeden snadź to był o to gniew na jezuitę Gołyńskiego, kiedy jezuita Wielewicki oględnie zaznacza [1]), że zachowanie, jakiem cieszył się ten spowiednik u króla, było powodem, że zapamiętałą rozgorzeli nienawiścią ku niemu i jezuitom ci, którzy rozumieli mylnie, że za jego poradą i wskazówką król dokonywał rzeczy im niemiłych.

Najlepiej jednak o zażywaniu protekcyi jezuickiej na dworze królewskim świadczą wstawiennictwa spowiedników królewskich za różnemi osobistościami. Tak Steisson np., starając się o plebanię elbląską, wie, gdzie szukać „pleców", wiadomo mu, że przez króla spowiednik (po Gołyńskim) Bartcz jest bardzo lubiony (*admodum charus* [2]), więc jedzie z listem polecającym właśnie do tego jezuity. Albo: biskup warmijski, Rudnicki, jest wielkim dobrodziejem kollegium jezuickiego w Brunsbergu, a zato rektor tegoż kolegium, Petrosa, czuwa pilnie nad synowcami ks. podkanclerzego, a znowu ks. podkanclerzy z wdzięczności dla biskupa opiekuje się sprawami jego przy dworze. Albo np. ks. Gajewnicki, kanonik warszawski, radby się dostać do kancelaryi królewskiej na sekretarza, więc Stanisław Łubieński poleca jego sprawę gorąco jezuicie Seideliusowi, następnemu spowiednikowi królewskiemu [3]).

Piasecki, jak wiadomo, podaje wiadomość, że za sprawą jezuitów zdobywały sobie infuły osoby im miłe. Sam nawet prowincyał jezuitów Argentus nie zaprzecza temu, żeby jezuici popierali pewne osobistości [4]).

*

* *

Jeżeli już mowa o orędownictwie jezuitów na dworze królewskim, to trudno opuścić jedną na nim postać, szeroko omawianą, a czasem ośmieszaną przez historyków. Chcę mówić o podkomorzym królewskim, Jędrzeju Boboli, owem „narzędziu" jezuitów,

---

fały ton, jakim traktuje ten spowiednik króla. Zwie go raz w raz „nieborakiem". Prosi króla za Reszką o prowizyę dla niego. W tym celu „trzy razy już dziś chodziłem na zamek, że mię też i nogi bolą".

[1]) Porówn. list tegoż Zbaraskiego do jezuity (w Pamiętnikach Niemcewicza, II. 487) i jego słowa „byle Rzpta (państwo) wolna była (od jezuitów") lub „I by nie sprawy p u b l i c z n e przymuszały mnie do tego, że W. Mciów (jezuitów) czasem wspomnieć muszę..."

[2]) Wielewicki. XIV, 11.

[3]) Por. Sokołowskiego Aug. Przed rokoszem.

[4]) Argent. lc. 99.

którego, zdaniem Piaseckiego, jezuici, a on ich wzajemnie popierał [1]). „Prostak i zrzędny" ascetyzmem przechodził wielu współczesnych, w celibacie żył przez całe siedem krzyżyków swojego żywota.

Autor godzi się na to, że Bobola istotnie gorąco popierał plany jezuitów na zamku królewskim, że zbierał gorliwie składki na ich kollegia i kościoły, i tylko protestuje przeciw uważaniu go za „manekina" jezuitów na dworze.

Jeżeli autor uważa kronikę Piaseckiego za stronnicze źródło do charakterystyki tego podkomorzego, to w każdym razie nie powinien również za „główne" źródło uważać mowy pogrzebowej jezuity Bembusa, jaką w tonie oczywiście panegirycznym skreślił ten jezuita dla najwierniejszego przyjaciela swego zakonu.

Słusznie autor podnosi, że nie dopiero Zygmunt III wziął go na dwór swój za wpływem jezuitów, ale, już wstępując na tron, zastał go na zamku, jako wytrawnego sługę dworskiego [2]). Z tem wszystkiem jednak na wyższe szczeble swej karyery dostał się dopiero za tego króla, który go zrobił w r. 1599 sekretarzem [3]).

Z tej łaski królewskiej korzystał Bobola i istotnie wstawiał się za swymi znajomymi i przyjaciółmi. On to wyprasza dla Zebrzydowskiego, wówczas wielkiego przyjaciela jezuitów, województwo krakowskie [4]). W listach współczesnych uderza nas ciekawy obraz,

---

[1]) Istotnie co rok, czasem co pół roku, zacząwszy od r. 1594, śle dary pieniężne, baryły wina kanaryjskiego, pszenicę i t. p. do domu jezuickiego św. Barbary w Krakowie (Wielewicki). Jest dobrodziejem domów jezuickich warszawskiego, krośnieńskiego, wileńskiego; jego zajęciu się i prośbom, do króla zanoszonym, zawdzięcza między innymi swe powstanie wspaniały kościół jezuicki św. Piotra w Krakowie.

[2]) Dzieje w koronie. Łukasz Górnicki, ostatnia strona; „rządził chłopięty" na dworze króla Stefana (Bibl. xx. Czartor. Rękp. № 339. K. 378).

[3]) Ks. Załęski waha się co do tej daty między 1599 a 1600. Zarewicz w swej apologii Boboli kładzie ją mniej więcej na r. 1601. Ustalić ją mogę na podstawie aktów grodu bieckiego (Archiwum akt. grodz. i ziems. w Krakowie) Inscr. Rel. etc. castr. Biec. t. XXXIII, z porównania str. 1365 — 1366 a str. 894. Wypadałoby stąd, że został sekretarzem między 8 kwiet. a 23 paźdz. r. 1599. Do tego zapewne sekretaryatu odnosi się wzmianka w źródłach, że kardynał Jerzy Radziwiłł i Stanisław Radziwiłł, marszałek W. K. Litew., poparli go na podkomorstwo koronne, gdyż podkomorstwo koronne otrzymał on dopiero na początku r. 1607 (jak o tem świadczy cedułka, załączona do listu Żerońskiego z 10 III 1607 w Bibl. xx. Czartor. Rękp. № 1628) z uwagą, że „podkomorstwo koronne Panu Boboli dano".

[4]) Bibl. Ord. Krasiń. Rokosz r. 1893, str. 372; por. Dzieduszycki. Skarga II. 365, uw.

do wodzący wielkich wpływów pana podkomorzego na dworze królewskim. Wszyscy, pomni na to, że „bliżej jest ucha pańskiego" (królewskiego) [1]), biegają za Bobolą i z nim „konferują". Nawet, gdy wyjedzie z Warszawy, ścigają go komornicy od ówczesnych panów. Złorzeczą mu ci, którzy stracą lub nie uzyskają jakiejś łaski królewskiej. Tak np. na rokoszu pod Sandomierzem „skarży się pan starosta sochaczewski, że za instancyą Boboliną osądzili owo go dekretem obciążliwym z ukrzywdzeniem wielkiem i zniszczeniem. A Bobola do niego wskazał, że tem okazał nieprzyjaźń swą. Skarży się pan Lubomirski, że mu szyb (solny), swym kosztem bity na jego gruncie, odjęto gwałtownie za radą Boboliną [2]). Skarży się pan Cikowski, że mu zgwałcono przywilej, dany mandaty surowymi, za informacyą Boboliną" [3]).

Tak samo tylko do wstawiennictwa u króla odnieść należy słowo Stan. Albrechta Radziwiłła o Boboli, że tenże „okazał się niewdzięcznym dla mojej familii" [4]).

O orędownictwie może też zaświadczyć choćby taki fakt, uwydatniony w listach Boboli do Rudnickiego, biskupa warmijskiego [5]). Biskup ten potrzebuje poparcia Boboli u króla, wyzyskuje to spowiednik królowej, jezuita Fredler, prosząc wzamian przez Bobolę o względy dla swego brata, kanonika warmijskiego, który chce wyprosić dla siebie znowu od tegoż biskupa drzewo budulcowe.

Ten wpływ podniecał do żywego wszystkich tych, którzy od jezuitów nie mogli spodziewać się poparcia, i to było powodem głównym rozgoryczenia, a nie ów za mało światowy i wesoły ton, jaki był cechą podkomorzego. Nie dlatego obrażali się nań „heretycy", że, jak sądzi autor, „wolelibyzamiast poważnego, pobożnego podkomorzego przy królu widzieć Giżankę, jak za Zygmunta Augusta bywało" (519).

* * *

---

[1]) Archiwum Radziwiłłów. Scr. rer. Pol. VIII. 51.

[2]) O co tu chodzi, tłómaczy Zarewicz lc. 26—27.

[3]) Rękp. Bibl. xx. Czartor. № 1368. K. 39, wyborny dyaryusz rokoszu pod Sandomierzem. Prośby zresztą Boboli musiały być pokorne — nie był to wpływ pewnego siebie możnowładcy. Illustrować to może wieść rozchodząca się po dworze, że Bobola dostał w twarz od króla (Bibl. xx. Czartor. Rękp. № 1628).

[4]) Rys panowania Zygmunta III. Athaeneum. 1848, str. 25.

[5]) Dołączonych do dziełka Zarewicza.

Zamiast onej Giżanki śród czarnych sukien jezuitów i takich postaci, jak starego ascety — kawalera Boboli, przewija się jedna żeńska osobistość — nader ruchliwa. Jest to stara panna, bardzo pobożna, Urszula Gienger, Niemka, ochmistrzyni, czyli zwykle z niemiecka „Mejerin" zwana. Ks. Załęski broni panny Urszuli przed zarzutami księdza Siarczyńskiego, szczególnie przed nazwą, jaką ją obdarzył — zwąc ją „dewotką jezuitów. Autor wprawdzie przyznaje, że była przyjaciółką jezuitów, że posiadała wpływ na dworze, że, jak dowodzą listy biskupa Łubieńskiego, udzielała pewnym osobom protekcyi. Dodaje, że, według wyraźnego świadectwa nuncyusza Visconti, ta kobieta „należała nie tylko do familijnych, ale i do rad ważniejszych i miała niemały wpływ w szafunku łask królewskich, że, co więcej, cesarz Rudolf przez nią odbierał wiadomości o tem, co się tyczyło familii królewskiej, a w nieobecności króla także o toku spraw publicznych..." W końcu zaznacza autor, że Bobolę i ochmistrzynię Mejerin przyjął generał jezuitów *ad merita Societatis* „do zasług Zakonu jezuitów" i przesłał im ten dyplom przyjęcia" (686, uw. 1).

* * *

Nawet mimo wszystkich poprzednich protestów przeciw udziałowi jezuitów w sprawach świeckich w jednem miejscu autor, nieco więcej czyniąc ustępstw, robi różne następujące restrykcye (510), czyli „przesiodływa", jak mówili dawni Polacy.

„Być mogło, że król, naradziwszy się z senatorami, a nie umiejąc sobie uformować z rozstrzelonych ich zdań wypadkowego zdania, zasięgał zdania i rady spowiednika... Być nawet może, że król tę lub ową sprawę poddał pod zbadanie i sąd teologów jezuickich, że przy obsadzaniu wakansów, zwłaszcza przy nominacyi biskupów, zasięgał od nich informacyi. Przypuścić można i to, że czynili to samo panowie radni". Ale po tych ostrożnych ustępstwach dodaje zaraz autor. „Są to wszelako przypuszczenia, hypotezy, a nie dokumenta, bo i przeciwna hypoteza również możliwa, że w danej kwestyi np. szwedzkiej albo Lisowczyków król już miał zdanie i sumienie uformowane i spowiednika o zdanie nie pytał".

Tymczasem, wbrew zdaniu autora, zaznaczyć muszę, że to wszystko nie hypotezy, ale fakty. Oprócz wyżej przytoczonych faktów mogę na zakończenie przytoczyć jeszcze jeden, dowodzący, że zupełnie nie na gorące naleganie króla i prośbę jego o radę jezuita nadworny udzielał wskazówek, ale wbrew jego zakazowi

mieszał się do spraw politycznych. Jest to sprawa jezuity, nadwornego kaznodziei, Bembusa, [1]) sprawa, którą autor, posługując się inną logiką, chce odwrotnie uważać za dowód, że Zygmunt „unikał troskliwie jakiegokolwiek mieszania się ojców do spraw państwowych". Dla innego może służyć za dowód, że czasem sobie tak pozwalali, że i Zygmuntowi III było już tego za dużo.

Sprawa miała się tak, że kaznodzieja nadworny, jezuita Bembus, pragnął zwiedzić Rzym i wyprosił sobie u króla, że go tam wysłał. Czy to liczył na wpływy swego Towarzystwa, czy z jakiego innego powodu, dość, że, będąc w Rzymie, traktował z kuryą rzymską w pewnych sprawach królewskich, których mu król nie powierzył, a nawet zakazał o nich rozprawiać. To już rozgniewało Zygmunta III. Nie chciał do siebie przypuścić śpieszącego z powrotem Bambusa ani mieć go za swego kaznodzieję. W pierwszym jednak punkcie nie okazał stałości, bo, jak prowincyał jezuitów Argentus, zaczął (co prawda przez cały rok) [2]) królowi przedstawiać, że to przecież nie zaszczytne dla Towarzystwa Jezusowego, jeżeliby Bembusa król odprawił ze swego dworu bez pożegnania,—wtedy król, choć poprzednio kategorycznie odmówił, zgodził się wreszcie na złożenie przez Bembusa relacyi z poselstwa, lecz, co prawda, na kaznodzieję wziął już sobie innego jezuitę.

Zdaje się, że nie każdy wyciągnąłby z tej przedstawionej sprawy taki sam wniosek, jak autor, który uważa (513 — 514), że „wina O. Bembusa musiała być żadną albo małoznaczącą, skoro prowincyał

---

[1]) Jezuita Bembus był następcą Skargi. Chciał rządzić się na dworze niepodzielnie. Zraził sobie tem i pokojowych, w czem, zdaje się, nie różnił się od Skargi, na którego oburzeni też byli dworzanie, pomawiając go o wpływ na królewską względem nich niechęć. Usunąć chciał wszystkich rywali, a ponieważ pewnem u króla zachowaniem cieszył się Dinhof, Inflantczyk, protestant, więc Bembus chciał go wysadzić i urządził w tym celu intrygę, wciągając w to królowę z królewiczem. Król się jednak oparł.

[2]) Pewna uporczywość jest jedną z wybitnych cech Zygmunta III. Wielewicki oświadcza, że król od tego, co raz postanowił, nie pozwolił się odwieść, chyba wobec oczywistego i przekonywającego dowodu (Scr. rer. Pol. X). Z listów Lwa Sapiehy nabiera się przekonania, że król mimo wielokrotnych próśb i nalegań nie odmienia raz powziętego postanowienia (Archiwum Radziwiłłów. Scr. rer, Pol. VIII. 11, list 15. „Lecz podobno już W. Mć wiedzieć raczysz jako jest constans pan nasz, gdy się już na co usadzi" (list 17). „Polacy (w przeciwieństwie do Litwinów), co przed się i sami się odjąć mogą i p. kanclerza (Zamoyskiego) dosyć potężnego mają, a wżdy nie mogą (króla przełomić" (str. 198).

O. Argenti ujął się o honor jego" (? ? Wielewicki mówi wyraźnie, że o honor Zakonu, a nie jego!) i że „z tego jednego szczegółu każdy snadno pojmie, jak wielkiej roztropności i wstrzemięźliwości zażywać musieli dworscy jezuici..."

W rezultacie, konstatując tedy udział jezuitów w akcyach politycznych, nie myślę zupełnie rozwodzić się nad oceną dodatniego lub ujemnego tychże dla Rzptej rezultatu. I tak, jeżeli już mowa o stosunku jezuitów do państwa polskiego, to zaznaczę otwarcie, że w niektórych naprzykład sprawach, jak w akcyi jezuitów wobec wschodniego kościoła (ręka w rękę z Zamoyskim), zupełnie się piszę na wywody autora z tem tylko zastrzeżeniem, że wszystko to, co autor porusza co do politycznego znaczenia katolicyzmu w dziejach naszych, jest ogólnie oddawna uznane [1]). Spodziewałem się, że autor w sprawie unii, w której jezuici spełniali jeden z najważniejszych postulatów państwa polskiego i położyli zasługi, autor dorzuci coś nowego — i nie zbędzie całej sprawy w dwu tylko ustępach [2]), podczas gdy takiej misyi jezuitów w Mołdawii poświęcił cały rozdział (X).

* * *

Niemała była gromada ludzi w Polsce, którzy pomawiali jezuitów o udział w sprawach politycznych. Dowodem tego tak powszechny krzyk na nich w czasie rokoszu Zebrzydowskiego. Wprost niesposób, aby bez żadnych powodów wysypała nasza szlachta wówczas tyle ulotnych pisemek, wierszów satyrycznych, paszkwilów i różnych broszur przeciw tym ojcom [3]), i to z taką zapamiętałością, że nawet nuncyusz papieski dostaje instrukcyę z Rzymu, aby tylko

---

[1]) Oczywiście, że jezuici działali w ramach ówczesnego układu stosunków. Polonizacya nie ogarnęła też warstw innych prócz szlachty. „W Wilnie i Połocku otwarli jezuici bezpłatną szkołę ruskiego czytania, pisania i rachunku. a w Brunsbergu takąż szkółkę niemiecką dla dzieci rzemieślników" (str. 377).

[2]) Słusze i śmiałe są uwagi autora o zwykłej w kuryi rzymskiej nieznajomości stosunków w kościele wschodnim — i o tejże zbyt różowych nadziejach mimo tylokrotnych zawodów (str. 265—267).

[3]) Częścią drukował Maciejowski (Piśmienn. Dodat. III. 270. Pieśni rokoszowe), Schmitt, Rembowski. Wiele niewydrukowanych. Np. Excytarz opisuje w sposób przesadny zjezuiciały dwór królewski (Czartor. № 339. K. 468). Porówn. „Przestrogę Rzptej potrzebną" (Bibl. Krasińs. № XCIII), gdzie mowa o „ministrach ab Austro" (jezuitach).

tajemnie znosił się z jezuitami, by nie ściągnąć nienawiści szlachty na siebie [1]).

Tą nienawiścią pałają nie tylko różnowiercy, ale i katolicy [2]).

Jak wspomniałem, Zebrzydowski, katolik, wystąpił z podobnymi zarzutami w swym uniwersale, zwróconym przeciw Skardze i Boboli. Powstano na zjazdach rokoszowych, że jezuici są *faces* domu rakuskiego, że popierają plany cudzoziemskich stron w Rzptej. Znany wydawca dzieł Długosza, rokoszanin Herburt, wołał na rokoszu, że jezuici wspierają Rakusy, czyhające na to królestwo polskie.

„Wypadli z domu tego (austryackiego), jak kurczę z jaja; to są emissarzy, właśnie szalbierze, którzy nami handlują". Nieprzyjaciel jezuitów, książę Zbaraski, wykazywał, że jezuici przez swoich przełożonych cudzoziemców znoszą się z królem, aby oddać Polskę Austryakom. Na sejmie roku 1607 rokoszanin Gorajski wytykał jezuitom, że się mieszają do spraw publicznych, tak samo senator Dorohostajski.

Nad rokoszem, a szczególnie nad artykułem rokoszu, wydalającym masowo jezuitów z Polski, autor rozwodzi się długo — i słusznie, gdyż wrzenie to stanowi epokę nie tylko w dziejach Polski, ale i samego zakonu.

Sam zamiar wypędzenia jezuitów z Polski [3]) traktuje jednak autor, jako coś niesłychanego, dziwacznego, popełniając błąd, który może jest najbardziej wybitną, ujemną cechą jego dzieła — a tym jest brak porównawczej miary powszechno-dziejowej. Gdyby autor więcej miał na oku i znał dzieje powszechne współczesne, toby świadomy był, że ruch przeciw jezuitom w Polsce to tylko jedno z drgnień, przebiegających wówczas katolicką zachodnią Europę. Drgnienia te mają jedną wspólną cechę: odruch narodowy przeciw uniwersalnym tendencyom kuryi papieskiej i jej sług jezuitów; jest to wstrząśnienie społeczeństwa na znak, że reakcya katolicka nie może zupełnie wrócić na dawne stanowisko średniowieczne, że musi

---

[1]) Rykaczewski. Rel. II, 104.

[2]) Myli się szanowny autor, sądząc, że przez cały okres dziejów jezuitów (1564 — 1608) „wszystkie stany i warstwy sympatyzują z zakonem" z wyjątkiem rokoszu i heretyków. Owszem, śród kleru samego nie znajdują wiele sympatyi. Sam autor wspomina o duchowieństwie w Wilnie (184), szczególnie o archiprezbitrze Roizyuszu (187), o kapitule poznańskiej (206—211).

[3]) Pierwszy pomysł wypędzenia jezuitów z kraju, zdaje się, podniesiono jeszcze w r. 1574 na sejmiku w Środzie (jako burzycieli pokoju). Lubowicz. Naczało. 352.

w pewnej mierze przystosować się do nowożytnych wymagań poszczególnych państw i nowych warunków. Z początku następuje starcie prądów, w czasie którego z ramienia państwa jezuici zostają wydaleni z granic różnych terytoryów katolickich.

I tak we Francyi. Tu nie ukrywali jezuici swych niechęci wobec Henryka IV, byłego hugonoty, żywiąc przyjazne usposobienie dla Filipa II hiszpańskiego. Potrzeba było tylko, by młody fanatyk Chastel, „wychowanek" jezuicki, wykonał zamach (nieudany) na życie króla (27 grudn. r. 1594), a wszyscy członkowie zakonu wyrokiem parlamentu w przeciągu 3 dni zostali wydaleni z Paryża, a w 2 tygodnie z całej Francyi. Chastel doznał losu naszego Piekarskiego, jezuita Guignard ukarany śmiercią za znalezione u niego traktaty o morderstwie tyranów. W roku 1603 z ograniczeniami na rzecz państwa i przystosowaniem się do nowych jego wymagań przywróceni przez króla — mimo że parlament stawiał im zarzuty, że spiskują z Hiszpanami [1]).

Podobnież wygnano jezuitów z Wenecyi, — gdzie ruch był czysto narodowo-polityczny i niebyło w nim zupełnie przymieszek innowierczych. Ruch ten jest współczesny z naszym rokoszem. Pomijam zatarg o kwestye sporne z kuryą rzymską, które się tu nad lagunami wyłoniły, a które robią wrażenie wielkiego podobieństwa do artykułów układowych współcześnie u nas nad Wisłą (plany wiązania ściślejszego organizacyi duchowieństwa z państwem), dość, że, kiedy spór zaostrzył się do tego stopnia, iż papież rzucił klątwę (17 kwietn. roku 1606) na republikę, — duchowni stanęli po stronie państwa.—Prawie sami tylko jezuici weneccy stanęli po stronie kuryi i opuścili natychmiast Wenecyę, „odbiegając — jak mówi Skarga — gniazdeczek swoich i sprzęteczka swego". Nie, jak w Polsce, skończyło się na strachu jezuitów, ale istotnie przez całe pół wieku nie mogli wrócić do królowej Adryatyku [2]).

---

[1]) Ten ruch we Francyi oddziałał i na polski. Polacy, którzy wówczas się kształcili, wrócą potem do Polski. Uczestnicy rokoszu, zdaniem Skargi (Próba Societatis) niektórzy byli we Francyi owych czasów wychowani, których zakon ten nasz zelżony był... ci szerzyli przez katoliki potwarze, na nas we Francyi obwołane, szerzyli wyroki parlamentu", to też na rokoszu słychać głosy, „żeby jezuity baniować, którzy przysięgli królowi hiszpańskiemu", i długie mowy, „że jest Rex Galliae Christianissimus, a wżdy ich z państwa swego wygnał. Dux Bavariae etiam catholicus wygnał ich też z państwa swego. Tego złego w narodzie cierpieć nie chcą insze nacye, a my najgorsi być mamy". Dyaryusz rokoszu sandom. dokładniejszy, niż u Rembowskiego: Czartor. № 2729, № 15.

[2]) Współcześnie rokoszanie w Polsce drwili z rzuconej przez papieża na

W bliższym jeszcze związku z Polską pozostaje również współczesny ruch w Węgrzech Boczkaja, zakończony podobnież, jak w Wenecyi, wydaleniem jezuitów. Poprzestaję na wskazówce, że w Węgrzech, jak i w Polsce, ruch jest zwrócony przeciw Habsburgom, że żądania, stawiane przez powstańców węgierskich Habsburgowi, przypominają niezmiernie współczesne polskie artykuły rokoszowe, jak i artykuły, dotyczące poddania kościoła pod wymagania państwowe[1],—jak i artykuł, wydalający jezuitów z państwa. Zaznaczam, że wódz powstania, Boczkaj, „nazbyt jadowity heretyk-kalwin", wydalił istotnie jezuitów z ziemi siedmiogrodzkiej (11 listop. 1606), powołując się na to, co było jednak nie urzeczywistnione — że „też sąsiednie królestwo (na polskie ukazując) jezuity wygnało". Synowie Lojoli przenieśli się do Polski, ale i powstańcy węgierscy też do niej się chronili [2]). W Polsce odbiło się też echem to powstanie, a szlachta nawzajem podawała sobie za przykład i chwaliła Węgrów, że cesarzowi rebelizowali i wypędzili „Hiszpanków" (jezuitów) [3]).

Pomijam podobne ruchy w Czechach i gdzieindziej — gdyż te przykłady wystarczą na dowód, że odruch przeciw jezuitom był wówczas czemś powszechno-dziejowem — i powstawać na niego — jest to samo, co uważać za błąd np., że wicher zawiał po polu.

Nawet w gnieździe jezuitów, w Hiszpanii, budzi się ruch na tle narodowem, i to (r. 1590) zwrócony przeciw kosmopolityzmowi całej organizacyi jezuickiej. O tym jednym ruchu przygodnie przy jednej sposobności wspomina też (697) autor, zaznaczając, że przymieszało się coś w tym ruchu „dumy narodowej", że „chcieli zdecentralizować władzę zakonu, skoncentrowaną w ręku generała osobnego wicegenerała dla Hiszpanii niezależnego od generała Zakonu, osobnej kongregacyi hiszpańskiej, czyli, jak mówi autor, „urządzić zakon na modłę innych zakonów".

Wszak każda organizacya świeża kosmopolityczna, zamierzająca dobywać siły żywotne intelektualne na rzecz sprawy ogólniejszej z łona narodu, obudza odruch egoizmu narodowego. Czyż można się tedy dziwić, że i u nas obudził się takiż sam odruch przeciw

---

Wenecyę klątwy, czyli, jak mówili „z papieru urobionej papieskiej strzelby" (Czartor. № 339. K. 339.

[1]) Geschichte v. Ungarn, v. Fessler. 1877, IV.

[2]) Ileskazy bawił u Zebrzydowskiego, patrz jego listy. Czartor. № 2737, list 45.

[3]) Wotum Prawdzickiego. Czartor. № 339. K. 502. Na te ruchy zagraniczne powołuje się w wierszu № 107 (Bibl. Jagiell. 101).

tak wyśmienitej, tak sprężystej organizacyi, która mogła działać nie na rękę interesom „narodu" szlachty, organizacyi, której naczelnikami w polskiej prowincyi byli Włosi, Hiszpanie, Austryacy, tylko nie Polacy. Najlepszy dowód, że nie inną cechę, tylko tę miał rokosz, widać na przeobrażeniu organizacyi polskich jezuitów zaraz po wybuchu rokoszu (r. 1608), gdy na urząd przełożonego prowincyi polskich jezuitów naznacza generał zamiast, jak dotychczas cudzoziemców, pierwszy raz Polaka, Piotra Kowalskiego, Wielkopolanina, usuwając z tego naczelnego miejsca „Austryaka", jezuitę Striveriusa [1]).

Snadź ruch o zakroju narodowym, zwrócony przeciw Austryi, wywołał wrażenie na generale jezuitów, który lekceważył dotychczas i niechętnie słuchał próśb samych jezuitów (np. r. 1598), domagających się o prowincyała narodowości polskiej [2]).

Użycie miary porównawczej, powszechno - dziejowej dałoby autorowi niejedną cenną wskazówkę, doprowadziłoby do rezultatów, więcej naukowo zabarwionych, a przedewszystkiem pouczyłoby, że nie można zawsze traktować Polski, jako jakiejś zaczarowanej wyspy, na której ludzie chodzą do góry nogami.

Mimo, że rokosz stanowi jeden z najważniejszych epizodów w dziejach zakonu jezuitów polskich, autor właśnie w rozdziałach,

---

[1]) Rozumiano dobrze, o co chodzi, już wonczas w roku 1605, kiedy bowiem w roku 1605 Katarzyna Austryaczka przybyła do Polski, by zostać małżonką Zygmunta, tenże prowincyał Striverius mimo, że z przyszłą królową przybyło dwu jej dawnych spowiedników z Austryi, dał jej innego, obywatela polskiego „ne maiori aversioni a domo Austriaca Polonis daretur occasio" (Wielewicki 104). Ten antiaustryacki rys w rokoszu jest tak uznany, że niepotrzeba go chyba podkreślać — dorzucę chyba tę znamienną wiadomość, że i królowa z tym objawem się liczyła, a w czasie rokoszu demonstracyjnie chciała zaznaczyć swą sympatyę dla narodu. Tak przy końcu roku 1606 pisze nuncyusz Rangoni (Teki rzymskie, Kraków. Akademia Umiejętn., depesza z 30 grudnia roku 1606): „Król i królowa na Boże Narodzenie byli w kościele w loży drewnianej. Królowa zdjęła kapelusz niemiecki, a wdziała „a la Polacca" ku ogólnemu zadowoleniu".

[2]) Podobnie też skutkiem rokoszowych ataków „narodu - szlachty" na jezuitów było przystosowywanie się jezuitów — do woli szlachty i jej wolności. Dowodzi tego fakt, że w nowem wydaniu (r. 1610) kazań Skargi nowy prowincyał polski, Piotr Fabrycy Kowalski, wypuścić kazał szóste kazanie sejmowe „O monarchii i królestwie", popierające dążności ku wzmocnieniu władzy monarszej, co, jak wiadomo, posłużyło historykom (Maciejowski, Bobrzyński II, 179 — 180) za pobudkę do pomawiania Skargi o tchórzostwo, a jezuitów o zmienność przekonań i „apoteozę szlacheckiej wolności". Ks. Załęski broni jezuitów (669—670), oświadczając, że dlatego to kazanie opuszczono, „bo napsuło dużo krwi trybunom szlacheckiej wolności". „Umysły nie były jeszcze uspokojone", więc ogłoszenie w takiej chwili mogło wydać się prowokacyjne.

temu wstrząśnieniu społecznemu poświęconych, szczególnie grubych dopuszcza się niedokładności i wprost błędów.—Podkreśla np. na str. 508: „rzecz uderzająca, że z partyi opozycyjnej, a tem samem anti-jezuickiej nikt nigdy nie wymienił żadnego jezuity", jako doradcy króla.

Tymczasem to, co autor mówi, jest zupełnie mylne. Kto tak kategorycznie pisze, powinien być pewnym swego. Czy ks. Załęski, pisząc tę rozprawkę na podstawie rękopisów, sądził, że przewertował je wszystkie? Owszem, wyraźnie wskazywano palcem na oskarżonych, a jeśli już autor koniecznie, jako dowodu, chce dokumentu z podpisem i pieczęciami, to i owszem — z kilkunastu pieczęciami oryginał uchwały całej masy szlacheckiej, zebranej na sejmiku w Upicie, znajdzie autor w Bibl. xx. Czartoryskich (Nr. 2244, str. 217), gdzie szlachta wyraźnie wymienia nazwisko, oświadczając, „do tego zagrodzić, aby takich kazań na katedrach przy królu J. Mci szkodliwych Rzptej nie czynili, jako je ks. Skarga zwykł czynić, do zamieszania ojczyznę naszą przywodząc i do rozlania krwie drogę królowi J. Mci w tem państwie ukazując i poprzysiężonych artykułów, mianowicie konfederacyi, zabraniając królowi J. Mci temu państwu dotrzymywać".

Co do jednej osobistości słynnego rokoszanina, Stadnickiego, „Dyabłem" zwanego, popełnia autor dwa błędy. Jakoś tak wypadło, że wbrew woli okazał wielką protekcyę i pobłażliwość dla tego najskrajniejszego nieprzyjaciela jezuitów. I tak dwie zdrady, jakich dopuścił się ten awanturnik - szlachcic, ks. Załęski składa na barki innych zupełnie niewinnych osób. Raz oświadcza (662), że wedle wieści pewnych miał dostać Zebrzydowski od cara Dymitra Samozwańca 100,000 rubli na zaciągi wojska rokoszańskiego przeciw własnemu królowi. Tymczasem wieść posądzała o to nie Zebrzydowskiego, ale właśnie tego „Dyabła" Stadnickiego[1]).

Drugi raz znowu same sprzeczności o tymże Stadnickim spotykamy tuż zaraz na dwu sąsiednich stronicach (656, 657). Zdaniem autora, w czasie, kiedy król dopadł Zebrzydowskiego pod Janowcem „nie tęgi w czynie Herburt", rokoszanin, zdradził Zebrzydowskiego i umknął za Wisłę, tak, że Zebrzydowski ze Stadnic-

[1]) W sprawie osławionej Dymitra Samozwańca autor, wbrew zdaniu p. Hirszberga, zaprzecza politycznemu udziałowi w niej jezuitów. Skarga prawdopodobnie, zdaniem autora, nawet przeciwny był całej aferze (przeciw temu świadczyć może udział obu jezuitów nadwornych w konferencyi jezuitów z Dymitrem, po której się nawrócił (16 kwietn. r. 1604). Rola jezuitów — mówi autor —

kim osamotnieni zostali osaczeni przez króla. Tymczasem zdrady tej dopuścił się sam Stadnicki, a nie Herburt [1]). Myłka ta stąd powstała, że autor pomieszał to spotkanie pod Janowcem z ucieczką Herburta po bitwie pod Guzowem.

Gdyby jednak autor tylko z większą uwagą zaraz na drugiej stronicy myślał nad treścią punktów pewnej cytowanej przez siebie satyry antirokoszańskiej, w której mówi się o „zdradzie" dyabła Stadnickiego... — nie popełniłby tego błędu.

Oto jak się przedstawia pełen niedokładności ustęp w „Historyi" o rokoszu, który był jednym z najważniejszych faktów w dziejach całego życia politycznego jezuitów, ustęp, który snadź sam autor uważał za rodzaj perły w swem dziele, kiedy go osobno ogłosił w „Przeglądzie" jezuickim.

Jeszcze o jeden epizod rokoszu chciałbym się zetrzeć z autorem, mianowicie o cały bardzo ciekawy przebieg przedrokoszowego sejmu roku 1606, gdzie innowiercy mieli królowi ukradkiem „podsunąć" uchwałę jakiejś „tolerancyi" religijnej (tylko temu Skarga zapobiegł) i wogóle o cały stosunek jezuitów do wybuchów fanatycznych zaburzeń po miastach przeciw kultowi różnych wiar („procesu konfederacyi" i t. p.), lecz dla braku miejsca odkładam to na inne miejsce [2]).

* * *

Do swego dzieła [3]) autor wydobył materyał z licznych źródeł, i to po części rękopiśmiennych. Szczególnie, mem zdaniem, ciekawy materyał autor miał w archiwum miasta Torunia i biskupiem w Pelplinie. Uderza nas dziwnie nieporządek w podziale źródeł,

---

była wyłącznie religijna, a nigdy polityczna, t. j. polegała tylko na nawróceniu jednej duszy na katolicyzm. Na końcu jednak, mówiąc o wysłaniu przez cara Dymitra jezuity Ławickiego do papieża w sprawach czysto-politycznych, zaokrągla całą kwestyę zapytaniem: „Byłaż to misya polityczna? Tak, ale — dodaje autor restrykcyę — i religijna zarazem i miała na celu ogólną sprawę chrześcijaństwa". Tak możnaby właściwie zdefiniować każdą polityczną akcyę jezuitów, bo oni oczywiście zajmowali się tylko tą akcyą polityczną, która leżała w interesie kościoła (chrześcijaństwa).

[1]) Patrz Bibl. Ord. Krasińskich. r. 1893. Rembowski 137. Łubieński. Opposth — 87.

[2]) W mej rozprawie pod tytułem: „Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III (pod prasą).

[3]) Ocena niniejsza przybiera i tak zbyt szerokie ramy. Dlatego zupełnie pomijam sprawę osławionego systemu nauk i wychowania jezuitów.

umieszczonym na wstępie dzieła, podziale na „źródła i opracowania”, a tych pierwszych na „rękopisy” i „druki”, podział tak niekonsekwentny, że np. opracowanie arcybiskupa gnieźnieńskiego Korytkowskiego znajdziesz nie pod „opracowaniami”, lecz pod drukowanemi „źródłami”. Czy autor wyzyskał źródła krytyczne, o tem kilkakrotnie już mówiłem. W każdym razie autor powinien był z większem zastrzeżeniem budować swe poglądy na takich niepewnych autorach, których ustawicznie cytuje, jak Rostowskiego (któremu sam wytyka myłki, str. 136) lub Bohomolca (Życie Zamoyskiego).

Korzystając ze źródeł, autor czasem nie ma tego na pilnej pieczy, aby być ścisłym i dokładnym [1]). Czasem nawet, znać jakby zbytni pośpiech, zaniedbanie, brak wykończenia i zgruntowania. Czasem zaniedbuje autor wyjaśnić sobie czy czytelnikowi, kto jest właściwie osobą działającą, o której mówi źródło. Tak np., przytaczając jeden z ciekawych aktów tajnych, dotyczących praktyk Zygmunta III z Ernestem, pisze (474): „Aliści w dzień św. Szczepana wchodzi do biskupa Jędrzeja biskup Koiński i oznajmia”. Co do biskupa „Koińskiego” probuje przynajmniej autor i stara się odgadnąć, co to jest za osobistość, ale, nie mogąc sobie z nią w żaden sposób poradzić, daje pokój. Kto zaś jest ten biskup Jędrzej? autor nawet nie tłómaczy, czytelnik patrzy weń, jak w sfinksa. Możnaby to jeszcze autorowi puścić płazem, gdyby nie to, że o tym biskupie Jędrzeju autor ustawicznie na następnych stronach rozprawia i nim operuje, a nikt nie wie, kto to ten przewijający się biskup w czarnej masce. Potem znów słyszymy o cesarskim pośle, biskupie Jędrzeju Jerinie, i nie wiemy, czy to nowa postać, czy ten sam?

Nie myślę stawiać autorowi zarzutu, że nie znał tego lub tamtego źródła, boć, kto tworzy dzieło o tak szerokich rozmiarach, może poprzestać na zdaniu sprawy z tego, co w opracowaniach przedstawiono. Ale zato właśnie muszę zarzucić, że autor nie posługuje się opracowaniami, które znać był powinien. Nie widzimy w spisie źródeł ani w odpowiedniem miejscu, gdzie traktuje o praktykach ra-

---

[1]) Wytknąć musimy też autorowi, że przytacza źródła nie według oryginalnego brzmienia polskiego, — lecz z tłómaczenia łacińskiego (np. str. 546: artykuły rokoszowe, drukowane przez Rembowskiego). Przestarzałym też trzeba nazwać zwyczaj autora, że na poparcie swego zdania przytacza bardzo często poglądy różnobrzmiące współczesnych autorytetów i powag — zamiast swe zdanie oprzeć i budować na własnem opracowaniu źródeł.

kuskich, rozprawy W. W. Tomka, Snahy domu rakouského o nabyti koruny polske w 16 stoleti. Podobnież, kto tak wysoko, jak autor, stawia znaczenie rokoszu w dziejach jezuitów, widzi w nim przełomowe zdarzenie dziejowe — ten bezwarunkowo powinien znać rozprawę A. Sokołowskiego: „Przed rokoszem" i rozprawić się z jego zarzutami przeciw protekcyi jezuitów na dworze Zygmuntowym.

Pod względem technicznym i ugrupowania godzę się na to, że autor, idąc utartą drogą, właśnie w tym punkcie (rokoszu) widzi przełom w dziejach historyi jezuitów polskich i pierwszą epokę jezuitów polskich pod ten czas doprowadza.

Co do reszty jednak ugrupowowania — nie zgodziłbym się na wszystko z autorem. Co prawda, ugrupować różnorodne objawy życia zakonu nie było zadaniem łatwem. Na przeszkodzie temu stanęło jeszcze i to, że autorowi pod niejednym względem brakło miary wytrawnego historyka, który umie obciąć swoje dzieło i przekreślić rzeczy, choćby najstaranniej badane, lecz psujące jednolitość dzieła. Jeśli wynajdzie jaki list, to już cały cytuje, choćby część jego nie dotyczyła zupełnie omawianego przedmiotu (146). Jeśli mówi o Batorym, to już musi popisać się szerokiemi wiadomościami co do rodu Batorych, choć już, co prawda, w wywodzie tej genealogii nie sięga tak już daleko, jak w swej dawnej rozprawie o Stefanie Batorym (aż hen do króla Alaryka [1]).

Autor, traktując o cząstce Zakonu międzynarodowego, dawał się ustawicznie pociągać samej osnowie w sprawy zakonu ogólnoeuropejskie. Mogło to wpłynąć bardzo dodatnio — podsuwając autorowi wskazówki porównawcze między dziejami Europy a samej Polski. Niestety, tego wpływu nie widać zupełnie, i to, jak wskazałem, jest kardynalnym błędem autora [2]). Ten pociąg ku reszcie Europy dał się odczuć tylko w sposób ujemny w ugrupowaniu faktów — w przeskakiwaniu z Szwecyi do Mołdawii — z Moskwy do Wiednia i mieszaniu dziejów jezuitów siedmiogrodzkich z polskimi. Lepiej było traktować o nich w osobnym ekskursie (363). Należeli oni do prowincyi polskiej, ale krótko, i wpływ ich przez to nie był taki na dzieje Polski, aby ich razem z nimi wiązać.

Gdzieniegdzie ugrupowanie jest wprost fatalne. W samej in-

---

[1]) Porówn. Spis na wojnę moskiewską (353), spis złotych róż (528).

[2]) Oczywista, że sam frazes „stan Polski był tylko odblaskiem i oddźwiękiem ówczesnego stanu Europy" (71) nie naprawi złego.

tytulacyi ustępów spotykamy (§ 41 i § 43); dwukrotnie „śmierć króla Stefana Batorego”, i istotnie w tych ustępach mówi się już o śmierci Batorego, o elekcyi Zygmunta III, nawet o układach będzińskich, a potem znowu widzimy — jak zmartwychwstały Batory układa plany, potem powtórnie autor opowiada szczegółowo o chwilach jego konania i „lekkich pigułkach”, „sześciu pijawkach”, „krwie” upuszczeniu i t. p. lekarstwach, wszystko o rzeczach bardzo ciekawych, jak dla... historyi jezuitów w Polsce.

Wiązał te ustępy stylem pięknym, choć znowu nie tak olśniewającym, aby autora wraz z krytykiem „Kwartalnika historycznego” nazwać: „jednym z najlepszych naszych stylistów” (str. 710). U autora wprawdzie widać dążności nadania swemu stylowi pewnej staropolskiej powagi — ale polega to tylko na dorzucaniu od czasu do czasu słów, naprzykład, tego rodzaju, jak „ony”, „ona”, „onej” zamiast „ów”, jak „nie lża” (str. 430), jak „dumne pany”, „biskupy”, „senatory” i t. p., albo w tytułach takich, jak „Wojsko Skargi i jezuitów na wojnę przeciw różnowiercom” (§ 59).

Nie powiedziałbym też, żeby do najszczęśliwszych należało upodobanie, naprzykład, do takiego zwrotu, jak „na zognioną ranę, zadaną przez Islam, radził położyć plasterek seminaryów wojskowych i kas wojennych” (str. 323) lub „pod G u z o w e m g u z rokoszowy przecięto, rana jednak ropiała”, „kłaść główną forsę na co” (102), „pod o b o i m tym względem” (108), wyrażenia czasem zbyt dosadne, naprzykład jezuici „p r a ż y l i niesforne kupy różnowiercze”.

O tendencyjności autora nic więcej nie powiem prócz tego, co wyżej. Gotów jestem zgodzić się na to, że każdy autor musi mieć jakąś tezę z góry do dowiedzenia w swych rozprawach, że nawet powinien to ostentacyjnie zaznaczać i wszystko do niej kierować. Ale przynajmniej niech mi wolno będzie wymagać od takiego autora, aby w wieku obecnym nauki historycznej, w wieku takich Jantzenów, robiono to w sposób udatniejszy, aniżeli, naprzykład, w dziełach polemicznych XVII-go wieku. Jeśli się już wyszukuje dokumenty specyalnie w celu dowodzenia swoich pomysłów, to niechże mi wolno będzie żądać zgrabnej w tem ręki, a tej nie możemy autorowi przyznać. Tak, naprzykład, autor w apologii swej Zygmunta III-go nie godzi się na dotąd utarte mniemanie, że Zygmunt III odrazu nie umiał sobie ująć serc narodu, mniemanie, illustrowane zwykle słowami Zamoyskiego, wyrzeczonemi do Leśniowolskiego o Zygmuncie III („Cożeście nam

za nieme dyablę przywieźli"). Przeciwnie, chce dowieść, że Zygmunt III odrazu zdobył sobie sympatyę narodu i przypadł mu do gustu. W tym celu szuka świadectwa i... znajduje list Karnkowskiego do ojca Zygmunta III, Jana szwedzkiego, pełen oczywiście przesadnych komplementów i pochwał dla syna — list, o którego szczerości sam autor musi—powątpiewać.

To się nazywa... niezgrabność. Jeżeli bowiem autor chciał już dowodzić, to mógł znaleźć świadectwo więcej bezstronne, a tak wspaniałe, jakim jest list Skargi z tego czasu, ogłoszony jeszcze przez Maciejowskiego (Dod. 182), chyba, że autor ich nie znał, lecz toby autora, który do pracy swej czerpie nawet z rękopiśmiennych i nieznanych źródeł, nie usprawiedliwiało.

Zakończyć możemy swoją krytykę, powtarzając słowo w słowo zdanie jednego z najpoważniejszych i najgruntowniejszych dziś badaczów naszej przeszłości, który zawsze dawał w swych dziełach dowody niezmiernej staranności o bezstronność dziejopisarską, który pierwszy z historyków naszych wykazał bezzasadność zarzutów, miotanych na jezuitę Possevina za pośrednictwo w pokoju jamo-zapolskim [1]).

W jednej z krytyk pracy ks. Załęskiego (w Kwartalniku Historycznym, I, 520) wspomniany uczony na zapytanie, które sobie postawił, czy ojciec Załęski jest historykiem, odpowiada: „od ludzi, którzyby mogli mieć o tem własne zdanie, nie słyszałem tego"; ks. Załęski „sam chyba się uważa za doskonałego historyi znawcę, skoro zwykł w kwestyach historycznych odzywać się stanowczo..."

Zakończa swe uwagi ów uczony, powtarzając jedno tylko skromne żądanie, aby, ten, „kto chce ogłaszać książki historyczne, znał sam historyę bez względu na to, czy jest świeckim, czy duchownym".

Powtórzeniem tego samego żądania i my zamykamy swój rozbiór.

Wacław Sobieski.

---

[1]) Ks. Załęski zaznacza, że i on „w tym samym czasie dowiódł tego samego w swej książce „Czy jezuici zgubili Polskę?", wyd. I, 1872 roku, str. 257—265.

PAN JABOT.

Karol Jabot w dzieciństwie przywędrował z nad Sekwany do brzegów Wisły, gdzie się też wraz z rodzicami zatrzymał.

Tu pozornie przynajmniej spolszczył się do tego stopnia, że jedynie dobra znajomość rodowitego języka, nazwisko i gardłowe *r* zdradzały w nim cudzoziemca. Te przymioty, zwłaszcza dwa ostatnie, były mu niepoślednią pomocą w zawodzie nauczycielskim, któremu za przykładem ojca postanowił się poświęcić. W mieście, gdzie po dojściu do młodzieńczych lat osiedlił się na stałe, uchodził powszechnie za oryginalnego Paryżanina, a widząc, jak to popłaca, taił szczegóły przeszłości, rozpowiadając, iż zdobył znajomość miejscowego języka usilną pracą w tym kierunku, do czego go skłoniły względy natury pedagogicznej oraz sympatya dla przybranej ojczyzny.

Jednało mu to popularność wśród patryotycznych mieszkańców, a co ważniejsza, wysoko płatne lekcye.

W gruncie rzeczy Jabot nie posiadał narodowości wcale. Dziecinne wspomnienia z kraju z czasem zatarły się zupełnie. Z chwilą zgonu ojca pękł łącznik ostatni, a z całej przeszłości trwała w nim ukrywana przed otoczeniem dumna świadomość, że pochodzi z nacyi, przodującej całej Europie, nie mówiąc już o tym mizernym jej okrawku, który chciałby uchodzić za „Francyę północy". Jakoż do

nowej ojczyzny Jabot wcielił się tylko o tyle, że posiadł sztukę trafnego wzdychania w odpowiednich chwilach. W procesie tym wprawdzie brały udział jedynie mięśnie jego piersi, podczas gdy u reszty towarzyszyły mu pewne skurcze serca, słabe zresztą; różnica więc była tak subtelną, że niepodobna było jej zauważyć. To też Jabot niemal jednogłośnie był uważany za człowieka pewnego, godnego zaufania i poparcia.

W miarę wzrastania dochodów Jabot podnosił stopniowo skalę życia do normy, którą sobie z góry zakreślił. A nie był zbyt wymagającym.

Dwa pokoje z alkową, ładnie, choć trochę po kobiecemu umeblowane, wystarczały mu najzupełniej; kuchnię oddawał za usługę posłańcowi, stołował się przeważnie w domach prywatnych, ubierał się modnie, ale poważnie, stając się pod jesień życia coraz pedantyczniej porządnym.

Ów zewnętrzny fizyczny porządek i zegarkowa systematyczność były to zasadnicze cechy jego charakteru, wrodzone i rozwinięte przez regularny i umiarkowany tryb życia, który prowadził z początku z musu, a potem z przyzwyczajenia. Stąd płynęła mechaniczna skrupulatność w formalnym wypełnianiu obowiązków sumiennego nauczyciela, akuratnego stołownika i terminowego lokatora, jedynych, które posiadał, stałość upodobań, zamiłowanie spokoju oraz niemal przesadna poprawność i przyzwoitość w sposobie życia, wysławiania się, a z czasem i myślenia.

Jeżeli Jabot wyrzekł się papierosów, to głównie dlatego, by nie widzieć na klapie surdutu śladów popiołu i okruchów tytuniu. Dla tych samych przyczyn, dla których nie znosił brudnego kajetu, miał odrazę do tanich miłostek, a że był oszczędny, pędził pod tym względem żywot nader wstrzemięźliwy.

Tęsknił wprawdzie trochę do kobiet i nieraz myślał o żeniaczce, ale, wyobrażając sobie swą przyszłą, nie widział nigdy koloru jej oczu, włosów, kształtów lub wyrazu twarzy, dostrzegał zato zawsze rurkowany biały fartuszek, zarys ręki, a w niej ściereczkę lub pióropusz do okurzania mebli.

Żona jego miała być przedewszystkiem uosobieniem porządku i czystości.

O takiej marzył, nie żenił się jednak. Gwałcony instynkt, jakby przez zemstę, wszczepił mu w duszę pierwiastek płochliwości, który wywoływał w całej istocie Jabota trwożliwy zamęt, ilekroć się pokusił w matrymonialnych zamiarach zbliżyć do osoby płci odmiennej.

Straciwszy w ten sposób możność przystępu do żywych kobiet, zastąpił je sobie zbiorem fotografii mniej i więcej dekoltowanych piękności, które nie posiadały żadnych przywar swej płci, a wszystkie zalety plus przewilej wiecznej młodości. Była to kolekcya bogata i oryginalna, istny harem papierowy, gdzie królowały wybrane odaliski, dla których Jabot żywił uczucie, bardzo zbliżone do rzeczywistej miłości.

Zresztą oschły w stosunkach z ludźmi Jabot zdobył szczególny dar przywiązywania się do przedmiotów wogóle i szanował rzeczy nawet zupełnie zepsute, zgoła nieużyteczne. Stąd alkowa jego mieszkania była formalnie zawalona gratami. Jak w poczciwym zamożnym dworku, znajdował tam przytułek rezydent-fotel kulawy, rolę starej panny ciotki grała spłowiała, stękająca kanapa, a w kufrach mieściły się sterane służbą pantofle, dymisyonowane części garderoby i inne drobne rupiecie, które wysłużyły emeryturę lub chwilowo spadły z etatu.

Wszystko to miało w grubej księdze odpowiednie miejsce, cenę nominalną, cenę rzeczywistą, krótką biografię w formie detalicznych kosztów przeróbek, poprawek, opakowania lub przenosin, a nawet rodzaj zwykłej charakterystyki, jak naprzykład: „prawą szufladę przy otwieraniu pociągać mocno, bo się zacina!" lub „spodni tych nie podpinać, bo przykrótkie..." a dalej, „jako w p e w n e m miejscu wytarte, możliwe jedynie pod surdut!..."

W otoczeniu swych rzeczy, z książką rachunkową przed oczyma Jabot doświadczał tego ciepła i błogiej radości, jakiej doznajemy nieraz w gronie domowników wśród rozmowy wspomnień. Przytem wobec tych przedmiotów zajmował on szczególne stanowisko, niejako ojca-patryarchy, który własną pracą to wszystko zgromadził i od zmarnienia zachował; i to przeświadczenie, że samemu sobie to zaszczytne stanowisko zawdzięcza, podnosiło go we własnych oczach i mile łechtało kiełkującą w nim próżność, która rosła w miarę powodzenia.

Jabot początki miał ciężkie, ale stosunkowo dość szybko wybrnął o własnych siłach z otchłani nędzy, która go już wciągać zaczęła. Jak płetwonogie stworzenie, zapomocą niemal bezwiednych, ale zręcznych ruchów potrafił wypłynąć z topieli i na ląd twardy się wdrapać. Niegdyś zupełnie nieznany — dziś był poszukiwany, ceniony i dobrze płatny, a biletów lekcyjnych, które chował, jak trofea, w specyalnem pudełku, przybywało z każdym rokiem coraz obficiej. Jabot w przystępie dobrego humoru lubił się bawić tymi skrawkami; układał z nich mianowicie piramidę, której przygląda-

się z takiem upodobaniem, jakby to była podstawa jego pomnika, wznoszonego własnoręcznie codzień o kilka milimetrów wyżej i wyżej.

Patrząc na tę kolumnę z kartek, rozróżniał pokłady lat dalekich i bliższych i widział postęp powolny, ale stały, nie tylko ilościowy, ale i jakościowy: na spodzie szarzał lichy karton — smutne wspomnienie pierwszych lekcyi dwuzłotowych, wyżej błyszczał ponętny brystol rublowych godzin prywatnych, a w górze lśniły się pysznie grube warstwy jeszcze zyskowniejszych lekcyi na pensyach, gdzie, tytułowany profesorem, miał możność przemawiać z podniesienia do licznego, choć trochę sennego audytoryum. Każdy taki przegląd generalny dotychczasowych owoców życia utwierdzał Jabota w wierze we własne siły i zdolności. Kiedy zaś wpadł na pomysł napisania metody, która, jego zdaniem, miała, jeśli nie wyrugować, to przynajmniej stanąć na równym poziomie z słynnym Margot'em, ambicya jego dosięgła niemal chorobliwych rozmiarów.

Jabot, jako materyalista z natury, utożsamiał sławę z rozgłosem, a wielkość zasługi mierzył bezpośrednim pożytkiem; jakkolwiek więc praca jego posuwała się opornie i powoli, w przekonaniu, iż tworzy wiekopomne dzieło, niejako na rachunek przyszłych laurów i sukcesów, przejął się własną wyższością do tego stopnia, że stał się patetycznym, z czasem nawet istotnie podniosłym w mowie, pompatycznym w gestach, jeszcze więcej powściągliwym w stosunkach z ludźmi, szczęśliwym w odosobnieniu i samolubnym w tem szczęściu.

W tym okresie życia Jabot, niby gąbka, z morza zadowolenia, pragnień i pożądań wchłonął akurat tyle, ile był w stanie w sobie utrzymać. Czuł się sytym, pełnym pomyślności, wzdętym powodzeniem, niemal ociężałym, a o sto mil dalekim od przypuszczeń, że może się trafić coś takiego, co zeń szybko wszystek sok wyciśnie.

Tak się jednak stało.

Był to czysto zewnętrzny, drobny przypadek: spróchniały stopień od katedry, po którym szczęśliwie przeskoczył na krzesło fertyczny matematyk, a po nim z kolei obszerny ksiądz-prefekt wstąpił bez szwanku, załamał się właśnie pod stopami Jabota.

Kilka krótkich stłumionych wybuchów śmiechu ze strony klasy, zwięzłe „sapristi” z ust poszkodowanego, żądło bólu w kolanie— oto były wszystkie bezpośrednie skutki tego skrzyżowania się dwu pozornie niezależnych łańcuchów przyczyn.

Po kilku dniach ledwie dostrzegalny siniak znikł, po tygodniu

jednak ból się nanowo odezwał, zawadzał, wiercił się niecierpliwie przy żywszych ruchach nogi, świdrował głębiej przy wchodzeniu na schody, w ciągu godziny lekcyi uspakajał się powoli, a chwilami przyczajał się zupełnie.

Jabot pilnie śledził wszystkie te objawy i doszedł do wniosku, że dłuższy wypoczynek usunie je zupełnie i bezpowrotnie.

Nawinęło się akurat pięć dni wolnych od zajęć: galówka, Wszyscy Święci, a potem niedziela. Korzystając ze sposobności, Jabot z porady doktora położył się do łóżka, jodynując co trzy godziny stłuczone kolano. Ponieważ zaś nie lubił tracić czasu nadaremnie, postanowił sobie w ciągu świąt oszlifować ostatecznie dwa pierwsze rozdziały metody. Szło mu to jednak ciężko, doświadczał jakiegoś rozemdlenia wewnętrznego i rozpierzchania się pojęć. Co gorsza, łapał się na gorącym uczynku odwracania się myśli do wspomnień dawno minionej przeszłości lub snucia nieokreślonych planów na przyszłość. Jako człowiek praktyczny, człowiek chwili bieżącej, uważał takie zaniedbywanie planów realnej rzeczywistości dla nieprodukcyjnych rojeń za naganne wogóle, a w danym wypadku, gdy wchodziła w grę rzecz pierwszorzędnej wagi, t. j. losy metody — za wysoce lekkomyślne, wprost karygodne: zbierał się tedy ze wszystkiemi siłami, zaciskał władze duszy, ale po chwili przykrego natężenia wszystko się luzowało ponownie, jak mutry na śrubach wytartych.

Uporczywość tego dziwnego stanu zaczynała go niepokoić.

Wezwany powtórnie lekarz zaproponował konsylium. Jakoż w oznaczonym dniu wpadł w towarzystwie niepozornego jegomościa o przenikliwych rozbieganych oczach i drobnych filigranowych rękach pieszczonej kobiety. Sława medyczna, bo była to ona, opukała Jabota w mgnieniu oka, palnęła go młotkiem w kolano, aż chory stęknął, poczem usunęła się z „kolegą" do drugiego pokoju; po chwili ożywionej rozmowy przyfrunęła stamtąd i, opróżniwszy w powrotnym przelocie zawartość dłoni Jabota, rozwiała się w okolicach drzwi wchodowych.

Mniej sławny towarzysz, jako istota bardziej pozioma, zabawił nieco dłużej. Paląc papierosa, wyłożył Jabotowi w sposób pobieżny i zawiły nieodzowność małej operacyjki, jasno i treściwie udowodnił mu kosztowność i kłopotliwość przeprowadzenia kuracyi w domu, zalecał osobliwie w danej sytuacyi szpital, pozostawił mu łaskawie trochę czasu do namysłu oraz bilet polecający do asystenta; poczem, wyskrobawszy jednym palcem przygotowaną trzyrublówkę, pozostałymi uścisnął zdrętwiałą dłoń oszołomionego Jabota i, jako nie

specyalista w danym zakresie medycyny, pożegnał go tak, jak się żegna na rozdrożu przygodnego towarzysza podróży,—z miłym grymasem na obojętnej twarzy.

Jabot wodził czas jakiś rozszerzonemi źrenicami po lśniącej płaszczyźnie biurka, po szklistych powierzchniach rozwieszonych na ścianach fotografii, po lakierowanych połyskach mebli giętych — jakby pytając: co to wszystko ma znaczyć?!

Chłodne i ślizkie wrażenie, niby topniejący sopel lodu, rozpływało mu się pod piersiami. Wstrząsnął się, zamknął oczy i pozostawał chwilę w owem nagłem zatrzymaniu się wszystkich procesów ducha, które jest jakby sekundą przemijającej śmierci, punktem zwrotnym kierunku uczuć i myśli, a wydaje się wiekami oczekiwania.

Oto przystanął na moment w biały dzień na znanej ścieżynie, pewny siebie, rzeźwy i syty, a ocknął się w mrocznem trzęsawisku, mizerny, wyczerpany, wyrzucony za kark z pewnej kolei, którą sam sobie zrobił w ciągu lat mozołu.

Konieczność szybkiej decyzyi, perspektywa raptownej zmiany dotychczasowego biegu życia, a zwłaszcza materyalnego środowiska, z którem zrósł się, jak żółw ze skorupą, — to głównie sprowadziło ów krótki, ale bolesny zamęt w duszy Jabota.

Operacyjki małej — podkreślał te wyrazy — nie uważał za niebezpieczną, a szpital, który mu się przedstawiał dość abstrakcyjnie, uznał po głębszym namyśle za instytucyę istotnie dogodną.

Zato nie mogło mu się pomieścić w głowie: w co się właściwie obrócą godziny jego lekcyi? czy pozostaną one w czasie, jako luki, niewypełnione niczem? czy doba się o nie zmniejszy? czy też — i to mu dokuczało najwięcej — kto inny je zabierze i z jego krzywdą dla swych osobistych celów wyzyska?

Troskał się też silnie o losy mebli i mieszkania; nie miał komu tych skarbów powierzyć, a myśląc o zamknięciu lokalu na czas nieobecności, doświadczał przykrego wrażenia chłodu, zaduchu, pustki i ciemności, jaka panuje w opuszczonych murach.

Wszystko niemal skłaniało go do pozostania w domu, ale praktyczny rozsądek protestował w niebogłosy. Wprawdzie Jabot posiadał pewne oszczędności, przeznaczone na tak zwaną czarną godzinę; przezorność jednak nie pozwalała ich ruszać, zwłaszcza, że sumka była przedziwnie okrągła; prócz tego odpychał on rękami i nogami dojmującą myśl, że jakaś tam czarna godzina rzeczywiście nadchodzi.

Ostatnie względy przeważyły szale.

Jabot, i tym razem pokonawszy popędy ślepego instynktu, według wskazówek trzeźwego rachunku skorzystał z bileciku, który mu doktór zostawił.

W pierwszych dniach listopada w chłodnawy, ale piękny poranek Jabot, oparty na ramieniu stróża, zstąpił bohatersko ze schodów i zajął miejsce w odrapanej karetce. Był trochę blady, niezwykle sztywny i poważny, skupiony w sobie, niemal majestatyczny. W ręku trzymał ostentacyjnie związany równą wstążeczką zeszyt—rękopisu rozpoczętej metody, a zarazem klucz do zrozumienia jego heroicznego zachowania się w chwili stanowczej. Sił i męstwa dostarczyło mu, jakkolwiek mętne, ale jedyne źródło miłości, jakie posiadał, — miłość własna. Szukając bowiem w swym nagłym zachwianiu się na wszystkie strony jakiegoś oparcia, drogą dziwacznych skojarzeń przypomniał sobie, że jeden z głośnych pisarzów (który mianowicie—nie pamiętał dokładnie) najświetniejsze stronice słynnego dzieła wykończył właśnie w szpitalu. Analogia sytuacyi wydała mu się dziwnie i nie bez kozery rażąco podobną.

Silnie uderzony tym jedynym punktem stycznym w historyi swego życia z biografią sławnego człowieka, z gorączkowem wzruszeniem odświeżając w pamięci życiorysy ludzi niezwykłych, odnajdywał takich punktów coraz więcej, aż w rezultacie z fanatyzmem maniaka uczepił się wiary w nadzwyczajność swego posłannictwa.

Zawirowało mu w głowie od tysiąca olśniewająco-świetnych pomysłów, temat do wzruszającej przedmowy nastręczał się sam przez się, a załamanie się deski nabierało w tem oświetleniu szczególnych, tajemniczych cech zrządzenia Opatrzności.

To też Jabot jechał, szczerze przejęty ważnością chwili, i okiem pobłażliwej wyniosłości spoglądał z wyżyn trzęsącej karetki na płynące ulicami tłumy. Ale patetyczny ów nastrój, jak cieplarniany kwiat, zwiądł w mgnieniu oka w dusznej atmosferze sali szpitalnej, przesyconej zapachami leków i wyziewami chorych. Na Jabota wionął ze wszech stron piwniczny chłód i posępny smutek. Gdy zaś znalazł się na łóżku wprost ogromnego okna, widok dużych spotniałych szyb pognębił go ostatecznie. Uczuł pod sercem jakgdyby łopotanie skrzydeł śmiertelnie wystraszonego ptaka, a cała jego istota skurczyła się boleśnie przed druzgocącem uderzeniem warczącego gdzieś w mrocznej dali pocisku. Był to moment krótki, dotkliwy i prawie proroczy: pobyt w szpitalu miał się dlań stać długo-

trwałem pasmem udręczeń, woboc których sama choroba zajęła stanowisko podrzędne.

Po ozdobnem, miękkiem pudełeczku, jakiem było jego mieszkanie, ta olbrzymia sala z wyszczerzonemi groźnie szybami dużych okien czyniła wrażenie odpychającej szorstkości. Na ponurych ścianach wyłomy i rysy łupiącego się tynku wyglądały, jak zastarzałe rany i blizny w jakiemś wielkiem skostniałem cielsku. Proste żelazne łóżko, przy niem gładka szafka bez ozdób z cienką blaszaną tacką, z ordynarną pękatą karafką i takąż szklanką z grubego zielonkawego szkła — całe to umeblowanie raziło Jabota swą bezczelną prostotą i przejmowało uczuciem surowego chłodu.

Co gorsza, nie mógł się poszczycić wyjątkowością swojej sytuacyi: po obu stronach sali pionowo do bronzowego lampasu w regularnych odstępach sterczały zimne szeregi takich samych łóżek, szafek i karafek. Na łóżkach leżały, to znów siedziały ze zwieszonymi piszczelami brudnych nóg jakieś zakazane postacie — jednego typu, niechlujne, często koślawe, a wszystkie nacechowane wspólnem piętnem niedostatku lub nędzy. Była to przeważnie wielkomiejska hołota, szary, nieokrzesany świat, odcięty ostrą linią od sfery, do której Jabot należał, wśród której nadto we własnem mniemaniu, jako człowiek niezwykły, dodatnio się wyróżniał. Napełniała go przeto gorzkiem uczuciem poniżenia i wstrętu krzywdząca świadomość, że został niejako zniwelowany do niższego poziomu, brutalnie zmieszany z motłochem, jak klejnot z kupą śmieci. Postanowił z tem walczyć i chwytał się rozlicznych środków, by się od tej jednolicie plugawej masy odróżnić i w jakikolwiek sposób wyższość swego stanowiska zaznaczyć.

Wystrzegał się więc starannie wszelkich poufalszych stosunków z chorymi, co mu przychodziło tem łatwiej, że ci nader szybko, choć bezwiednie, zdali sobie sprawę z wrogiego nastroju jego uczuć i patrzeli nań z ukosa.

Zato, gdy lekarz główny lub który z asystentów obchodził salę, Jabot usiłował go jak najdłużej przy sobie zatrzymać, starając się nawiązać serdeczniejszą rozmowę po francusku. Z początku udawało mu się to i mógł się pochlubić pewnymi względami władzy naczelnej. Ale w miarę, jak się przeciągała choroba, całemu personelowi spowszedniała i jego choroba, i jego cierpienie. Zaczęto go wkrótce traktować w ów zabijająco-zdawkowy sposób, z pewną dozą lekceważącego zniecierpliwienia, w jaki się traktuje chronicznie chorych, nudnych, hipokondrycznych pacyentów.

Rozżalony Jabot nie dawał za wygraną; zawiódłszy się na ludziach, zapomocą przedmiotów postanowił wyodrębnić się z pośród otaczającej go lichoty.

Sprowadził sobie tedy pięknie haftowane pantofle, turecką czapeczkę i szlafrok z niebieskimi kutasami. Rzeczy te nie były mu właściwie potrzebne, gdyż, mając nogę w gipsie, nie ruszał się z pościeli, ale ich obecność wyróżniała ten kwadrat przestrzeni od innych, i w tem znajdował szczyptę pociechy.

Ilekroć manifestacyjnie rozwieszony na poręczy łóżka szlafrok zwracał baczniejszą uwagę, Jabot doświadczał w okolicach piersi lekkiego wzdęcia. Prostował się wówczas na łóżku, chrząkał, chwytał zeszyt metody i z lekkim rumieńcem na twarzy kreślił zamaszyście ołówkiem kabalistyczne znaczki. Były to momenty chwilowej ulgi, po których następowały nieprawdopodobnie rozwlekłe dni upadku, poniewierki, jakby doszczętnego zalania przez lepki brud, bijący od tego dwunożnego bydła, które, instynktownie czując, że Jabot niem pogardza i w sercu swem maltretuje, obrało go z kolei za cel płaskich żartów i niewybrednych docinków.

Bądzur mosiu szczur! Koman wu porty wu? witał go z przeciwległego łóżka co ranek zezowaty sklepiczarz z prawym policzkiem, przeżartym od kąta warg aż pod oko przez nieuleczalnego wilka. Skąd znowu szczur? z głupia frant rzucał zapytanie połamany mularz o zapadłych gorejących oczach i cerze koloru wapna.

Szczur czy żaba—jedna baba! odpowiadał ni w pięć ni w dziewięć zapytany, i obaj wybuchali grzmiącym, rozlewnym, serdecznym śmiechem. Wówczas pod zaciśniętemi powiekami Jabota zapalały się złe, suche ognie, dymiące zgryzotą. Udawał, że śpi, i przyczajony nadsłuchiwał z trwogą, czy nie budzi się jego bezpośredni sąsiad, zdziecinniały staruszek z kamieniem w pęcherzu, napuchnięty, jak wór, a na nagiej czaszce i zmiętej twarzy pokryty czemś w rodzaju pleśni.

Jakoż najczęściej, ledwie śmiech przebrzmiał, rozlegał się cichy, drobny kaszel, potem przewlekle stękanie, przeplatane pluciem, a w końcu resztki ludzkiego głosu składały wieczne zapytanie:

Panie Żábo! czy to piątek, czy niedziela?

Ten głos, rozbity, pozbawiony intonacyi, jakby pochodzący nie z ust żywych, lecz z zepsutego fonografu, akcent na pierwszej zgłosce nazwiska i jednostajna treść pytania—doprowadzały Jabota do wściekłości.

Próbował udawać, że nie słyszy, zżymał się, groził, w końcu odpowiadał.

Nic jednak nie mogło zadowolnić ani zrazić uprzykrzonego staruszka.

Po dłuższej przerwie, ocknąwszy się ze zdrętwienia, ponawiał z mechaniczną dokładnością wszystkie czynności od kaszlu, plucia aż do zapytania, które zdawało się tkwić ustawicznie w jego stygnącej krtani.

Sąsiad mimowoli stawał się dla Jabota źródłem najdotkliwszych udręczeń.

Nie tylko bowiem zrobił sobie z niego żywy kalendarz, ale zdawał się nie przypuszczać nawet, że Jabot może mieć jakieś inne znaczenie poza zadaniem informowania go w tym względzie.

Kiedy zaś zrozpaczony Jabot próbował go raz przekonać, jak dalece się myli, zidyociały staruszek w trakcie przemowy chrapnął, co się zowie.

Obezwładniony Jabot stracił ostatnią nadzieję sprostowania błędnych poglądów starca, który co krok ranił i rozdeptywał jego miłość własną.

W dodatku ten trup ruchomy odbywał wobec wszystkich najobrzydliwsze funkcye zdezelowanego organizmu z właściwem swemu wiekowi niedołęstwem, nie krępując się ani trochę obecnością drażliwego sąsiada.

Próżno czysty i przyzwoity Jabot wzdrygał się ze wstrętu, przeklinał, spluwał — niezachwiany staruszek przyjmował te oznaki niezadowolenia z kamienną obojętnością, bardziej obelżywą, niż najwynioślejsza wzgarda.

Rezjątrzony do żywego Jabot życzył w duchu staruszkowi rychłego, ciężkiego skonania i wielokrotnie z zajadłością pastwił się nad nim we wnętrzach swego serca, zachwaszczanych coraz silniej piołunami mściwej nienawiści.

Gorzkie to uczucie powoli rozciągało się na całą salę, na wszystkich bez wyjątku chorych, których teraz uważał już nie tylko za istoty nieskończenie nizkie, ale za wrogi obóz, spiskujący podle na jego zgubę.

W tem przeciwstawianiu siebie samego wszystkim ambicya jego doświadczała jakby ostrego, podniecającego zadowolenia. Gdyby mu odjąć to złudzenie, że jest przedmiotem ogólnego prześladowania, czułby się zapewne znacznie gorzej, niż morfinista, pozbawiony ukłuć, które go trują, ale obdarzają zarazem zapasem sztucznej energii.

To też istotnie Jabot doznawał największego pognębienia, rozklejenia się i pogruchotania wszystkich władz ducha w niedzielę

i we czwartki, to jest wówczas, kiedy martwa naogół sala ożywiała się niezwykle i stawała się pochłoniętą do szczętu przez odwiedziny blizkich osób. W dni te świat chorych, wyjęty z czarnej, ale normalnej oprawy życia, wracał do niej chwilowo z całą tęsknotą serdecznego przywiązania, z ożywieniem szczerej ciekawości, z niezwalczoną siłą głęboko wkorzenionych uczuć i nałogów. Wtedy właśnie zjawiały się z tobołkami pod pachą dozgonne towarzyszki dawnych trosk i mozołów, przedwcześnie zwiędłe baby, o wytartych oczach, twarzach i salopach, grubych, kostropatych dłoniach, stworzonych raczej do prania, nie zaś pieszczoty; prócz nich przychodziły jakieś kumy-koczkodany w potwornych czepcach, niby monstrualne rozlane ropuchy, owinięte w kraciaste płachty; dalej przewalały się w ubrankach na wyrost zasmarkane Ignasie, Walki i Zośki z gapiowatemi minami, różne „oćcy”, „wuje”, „brachy” w długich, śmierdzących butach i zawadyackich kaszkietach z butelkami i paczkami machorki w kieszeniach.

Wszystko to od rana do zmroku zaśmiecało dokumentnie podłogę, rozsiadało się naokół łóżek, czuliło się, całowało, biło się z głośnym śmiechem po rękach, popłakiwało, wzdychało i opowiadało niezdarnie o domowych kłopotach, smutkach, plotkach i radościach; a chorzy zapominali o boleściach, niemocy i widmach śmierci, pijąc ów pieniący się łzami i śmiechem, gorzki w smaku, ale mocny trunek życia.

Wszyscy, nawet staruszek, któremu jakiś obdartus z pod ciemnej gwiazdy, o ponurem, a zarazem bezczelnem wejrzeniu, dostarczał od czasu do czasu w kawałku gazety szczyptę tabaki, zdawali się stawać lepszymi i zdrowszymi w ciągu tych kilku godzin zarwańskiej ulicy.

Jeden Jabot czuł się gorzej, niż zazwyczaj, a serce jego zacinało się przed tem całem otoczeniem na podwójny zatrzask — nienawiści i jakby zazdrości. Rodziło się w nim chwilami jakieś mętne, niesformułowane wyraźnie, niemniej jednak krzywdzące poczucie ograniczoności własnego istnienia w porównaniu z istnieniem reszty chorych.

Cały jego interes życiowy, wszystkie myśli, pociechy, a także cierpienia ogniskowały się obecnie w żelaznych ramach łóżka, ich życie wylewało się poza te ramy, sięgając daleko za salę do dusznych poddaszy i wilgotnych suteryn, do których przenosili się w jego oczach dwa razy w tygodniu. Do tego dołączało się palące duszę podejrzenie, że jednak temu „bydłu” lżej cierpieć, niż jemu,

i wszystko rozdrażniało go do tego stopnia, że po owych zgiełkliwych dniach nie mógł usnąć w nocy.

Po jego wytężonych bezsennością nerwach wśród halucynacyi i zlepionych z wrażeń chwil świeżych i dawno ubiegłych przebiegały od czasu do czasu jakieś drgania nieokreślonego smutku, niewysłowionego bólu, nieznanej tęsknoty, i nieraz płakał bez trwalszej ulgi dla serca, bo były to łzy zazdrości, łzy rozżalenia, płacz nad sobą jedynie. Zdarzało się to coraz częściej w miarę, jak wpływy psychiczne, a zwłaszcza nurtująca organizm choroba rozsprzęgała silnie usystematyzowaną i starannie wytresowaną osobowość Jabota. Jabot nie zdawał sobie sprawy z groźnego stanu zdrowia.

Przeraził się wprawdzie mocno, gdy w kilka dni po zdjęciu gipsu ujrzał rozpuchnięte, jak klosz, kolano, ale szybko się uspokoił, gdy po powtórnej operacyi opuchlina spadła, a ból się zmniejszył, choć rozlazł się szerzej, sięgając prawie do obojczyka. Wierzył święcie, że to się wszystko rozejdzie, że wkrótce wyrwie się z tej błotnistej kałuży i ponownie wypłynie na powierzchnię życia do wysokości poziomu, który mu się słusznie należy. Nieznane dawniej stany żałośnego smutku, bezprzedmiotowych pragnień lub gorączkowego rozdrażnienia —ową grę niegdyś zatajonych, a dziś wyzwalających się z pod gwałtu sił — przypisywał destrukcyjnym wpływom otaczającej go kanalii.

Pracować nad książką mimo wysiłków nie mógł; przychodziły nań wprawdzie istne nawałnice świetnie pomyślanych rozdziałów, lecz ulatniały się bez śladu, skoro je próbował pismem utrwalić.

Odkładał więc pracę na później, ciesząc się zawczasu przyszłem powodzeniem dzieła, które mu miało stokrotnie chwilową poniewierkę wynagrodzić.

Od tych radosnych, różowych marzeń coś go nieraz przerzucało nagle i bez widocznego powodu w przykry stan wyniosłej oschłości lub natężonego osłupienia.

W podobnym uciążliwym nad wyraz letargu zastał go pierwszy majowy wieczór tak ciepły, że okna w sali poroztwierano naroścież.

Była to sobota.

Obfity napływ świeżego powietrza, blizkość niedzielnego dnia, przyjemne ciepło — wszystkie te czynniki podniecały chorych, dodając werwy humorom.

Nieraz najwątpliwszej wartości dowcip toczył się, grzechocząc śmiechem, od łóżka do łóżka i omijał jedynie już bardzo schorza-

łych. Przez okna od strony miasta wdzierał się grzmotliwy turkot i huczny zgiełk walącego ulicami życia.

Jabot nie spał, choć miał oczy zamknięte.

Wesołość i gwar otoczenia drażniły go niewymownie, jako rzecz zgoła mu obca, a nieznośnie natrętna. Śmiech, wykrzykniki i krzyżujące się szmery wkręcały mu się w ucho i, niby ostre młoteczki, stukały boleśnie po wyprężonych, jak przeciągnięte struny, nerwach. Słyszał wyrazy dokładnie, odróżniał nawet pojedyńcze akcenty, ale całość zdań rozsypywała się u brzegu świadomości, na chaos dźwięków, pozbawionych wszelkiego sensu.

Ze zgaszeniem lamp hałas się uśmierzył, wyczerpana sala pogrążała się we śnie, a Jabot w dalszym ciągu słyszał tak potężny szum, jakby mu dwie niezmierne muszle konchami do uszu przywarły.

W zgorzelinach trawionego gorączką mózgu zrywały się co pewien czas poszarpane szczątki niewyraźnych myśli i ułamkowych obrazów, niby chmury skier i popiołów nad świeżem zgliszczem. Chwilami przysłaniał wszystko siny tuman gryzącego dymu. Wówczas zdawało mu się, że lada moment zmorzy go sen, i doznawał pilnej potrzeby jakiegoś wypoczynku.

Jakoż omdlał istotnie.

Ocknął się, wyczerpany do cna i strasznie osłabiony, ale stan ten po uprzedniem napięciu całej istoty sprawiał mu niemal przyjemność.

Dźwignął ociężałe powieki.

Było ciemno; wszyscy chorzy już spali, czuwały za to ich choroby wyrywając z głębi drzemiących ciał to jęk, to chrapliwe westchnienie, gwałtowny odruch, to znów zgrzytający drewniany bełkot poskręcanych wyrazów lub nieludzki krzyk, jakby nie z piersi, lecz z dna wnętrzności gwałtem wydarty.

Rogi sali tonęły w pomroce, przez co wydawała się większą, przybierając rozwiewne kształty przepaścistej groty.

Długie szeregi łóżek wyglądały, jak szczelne aleje wyniosłych grobowców, idących w nicość i mrok.

Regularne plamy okien od strony ulicy sprawiały wrażenie ogromnych zaklęsłych źrenic potwora, zgaszonych i wystygłych; zato pozostawione otworem okna na ogród były jasne, jakby ociekające rozpylonem srebrem.

Jabot wodził wpółprzytomnemi oczyma dokoła z uczuciem lekkiego niepokoju, lecz i ciekawości zarazem, jakby to nie był zna-

ny obraz realnej rzeczywistości, lecz fantastyczna dekoracya, po raz pierwszy widziana.

Wzrok jego machinalnie odwracał się od ciemności i z uczuciem ukojenia zawisał na promienistych wiązkach wątłego światła.

Od tej strony płynął ku niemu falą szeroką przesycony zapachem, pieszczotliwy szept kwiecistych rozmarzeń miłości. Za temi oknami, jak dziewczę u progu kochanka, wzdychała raz po raz słodko i głęboko ciepła księżycowa noc.

A po każdem takiem westchnieniu następowało rytmiczne drgnięcie wszystkich gałązek liści i kwiatów, i ten tkliwy dreszcz wzruszenia sięgał do najgłębszych, nietkniętych nigdy myślą podkładów duszy Jabota; on jednak nic o tem nie wiedział.

Tuliły się z cichym szelestem rozkoszy kity bzów do siebie, nabrzmiewały rosą i słodyczą lekkie pęki nowej zieleni: pogrzebane żywcem w czeluściach ziemi zczerniałe korzenie, poskręcane, męką poświęceń i pracy odnajdywały siebie i swe szczęście na szczytach liściastych koron, szumiących ku gwiazdom i niebu.

Słowik rwał serce i przepojony krwią głos rzucał w pachnące powietrze.

Jabot wszystkimi zmysłami wchłaniał urocze wrażenia, ale świadomość jego, coraz mniej ruchliwa i tężejąca, niby marznące zwierciadło bezdennego jeziora, nie miała władzy ani ich nazwać, ani określić.

Sypały się one wgłąb jego jestestwa, niby puszyste kwiaty, nie rwane, ale tryskające wprost z drzewa, w całym swym przepychu rosistej wilgoci i pachnącej krasie i biły w dno duszy. Każde takie uderzenie krzesało drobną błękitną skrę, aż w końcu zatliło się to wszystko i buchnęło, jak ofiarniczy stos wonnym płomieniem.

Wówczas w oczach Jabota, niby odblask tego wznieconego światła, zamigotały dwie duże łzy czyste i dobre, a na twarzy rozlała się łagodna łuna cichego szczęścia.

Gdyby go w tym momencie spytał staruszek, co to za dzień, odrzekłby mu życzliwie z cichą radością, że to jest jakieś wielkie, uroczyste święto!

Bo w istocie w jego sercu odbywała się w tej chwili cudowna tajemnica zmartwychpowstania.

Wszystko, co było w nim z dobra, dźwigało się po długim letargu z pod skorup gruzów zjadliwych i zapleśniałych namułów—jedynego trwalszego dorobku samolubnego życia.

Ale staruszek nie pytał, bo spał.

Tymczasem z najczarniejszego kąta sali pomału wyłaniał się

właśnie przyczajony tam oddawna, posępny, groźny, bezkształtny cień.

Chmurzył się, gęstniał i rósł, jakby rozkoszując się, w stronę Jabota.

Rozległ się nieuchwytny dla zwykłego ucha szmer, coś —niby czołganie się ślizkiej, galaretowanej masy, przelewanie się grzązkiej kurzawki lub szelest usypiska miałkiego, chłonnego piasku.

Źrenice Jabota poczęły mętnieć i zachodzić szklistem bielmem, a wszystkie pory ciała wypełniać się wstrząsająco obcym, aż do boleści odrażającym pierwiastkiem.

Myśli, obrazy, pojęcia — cała jego świadomość, wszystkie instynkty i uczucia w przerażającym szale i popłochu jęły się rwać, szarpać na sztuki, pękać i, rozsypując się w nicość i proch, tonąć na wieki w ciemnych otchłaniach wstrętnego żywiołu.

Po chwili Jabot wyprężył się i wydał ostatnie tchnienie.

A w tem westchnieniu z trupa jego, jak z żużla kropla złota, wytopiona owym zatlonym w godzinę śmierci dobrym płomieniem, wytoczyła się łzawa, jasna perełka i, uniósłszy się w górę płynęła szybko po srebrnym szlaku księżycowych blasków.

Ona jedna oparła się zniszczeniu i szła w jasność i nieskończoność zlać sie z tem niespożytem źródłem żywota miłości, które gdzieś w zaświatach wulkanicznem tętnem bić chyba musi.

G. Daniłowski.

Krwawa Pomsta[1].

Ktobykolwiek wylał krew człowieczą, będzie wylana krew jego.
Genesis, 9; 6.

Jeśliby wół ubódł rogiem męża abo niewiastę i umarliby, ukamionowan będzie on wół,i nie będą jeść mięsa jego, pan też wołu nie będzie winien.
Exodus, 21; 28.

„Był okres w rozwoju człowieczeństwa, podobny do dzieciństwa i młodości jednostki, kiedy duch ludzki w nieświadomej sile twórczej położył fundamenty naszego wewnętrznego życia; czas, w którym powstały mowa, poezya i religia, czas, kiedy nie było osobniczego rozumu ni woli, kiedy myślały i chciały tylko rody, tak dalece wszyscy członkowie rodu myśleli i czuli jednakowo;—na ten okres przypada powstanie pomsty krwawej". — Tak mówi Miklošić (*Blutrache bei den Slaven*), a niżej: „Pomsta krwawa powstaje wówczas, gdy ludzkość dzieli się na rody".

Trudnym się może wydać na razie związek pomiędzy genezą pomsty krwawej a ustrojem rodowym. I rzeczywiście, bezpośrednią przyczyną powstania tego zwyczaju nie jest bynajmniej taki lub

---

[1]) *St. Ciszewski.* Wróżda i pojednanie. Studyum etnologiczne. Z zapomogi kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1900. Str. 97 i VII. — *Steinmetz.* Etnologische Studien zur ersten Entwickelung der Strafe. 1894. T. I str. 486 i X LV. T. II str. 425.

inny ustrój społeczny, ale raczej psychologia jednostki. „Żądza zemsty leży w naturze ludzkiej. mówi Ciszewski, powstaje ona tak szybko, iż nieraz, zamieniona w czyn, wydawać się nam może czynnością odruchową.“ Dziecko, kiedy się uderzy, bije przedmiot, o który się uderzyło, chociażby to był przedmiot martwy; działa w nim oczywiście ta wrodzona potrzeba odwetu, instynktowa i niewyrozumowana, będąca może w związku z instynktem samozachowawczym, chociaż w znacznej mierze od niego różna. Ta sama potrzeba, żądza odwetu, usunięcia przedmiotu, który przyprawia o ból, powodowała człowiekiem pierwotnym wówczas, kiedy się rodziło jądro samego zwyczaju pomsty krwawej. Jak dziecko, tak samo i pierwotny człowiek nie ogranicza się w wywieraniu pomsty tylko do istot żyjących.

W Przemyskiem np., jeżeli drzewo owocowe nie rodzi, uwiązują mu kamień, ważący do trzydziestu kilogramów i mówią: „Nie chcesz rodzić, więc dźwigaj kamień.“ Papuowie, w Nowej Gwinei, biją miejsce, na którem się potknęli, lub przedmiot, który był przyczyną upadku. Biblia nakazuje zabić wołu, jeśli się stał sprawcą śmierci ludzkiej. W prawie karnem Zend-Awesty, zwierzęta są traktowane na równej stopie z ludźmi. Jeszcze w Atenach sądzono przedmioty martwe, np. kawałek drzewa, jeśli bez czyjegoś współdziałania stał się przyczyną śmierci człowieka; skazane drzewo wyrzucano ostentacyjnie za granice miasta. A potem, w wiekach średnich, spotykamy również wiele faktów podobnych, jak procesy, wytaczane zwierzętom za różne zbrodnie.

Oczywiście, przyczyną tego nieodróżniania przedmiotów żywych i martwych jest pierwotny animizm używotniający, t. j. przypisujący własności psychicznego życia zwierzętom, a nawet martwym przedmiotom, wogóle całemu zewnętrznemu światu. Czasami zwierzę lub przedmiot karany jest tylko powłoką złego ducha, czarownicy; wywierając na nim zemstę, ludzie mszczą się na złym duchu, za krzywdy od niego doznane (suszę, nieurodzaje). Wywierając zemstę na zwierzętach lub za ich pośrednictwem na reprezentowanych przez nie duchach, nie przypuszczają ludzie, ażeby one miały zachowywać się biernie, są również przygotowani na odwet z ich strony. Spodziewają się zemsty również i ze strony dusz zmarłych, jeśli obowiązkom względem nich uchybią. Według ludu białoruskiego, kto nie obchodzi uroczystości „dziadów“, ściąga na siebie zemstę. Nawet bogowie mszczą się i podlegają zemście (Rzymianie, dziś—Samojedzi).

Te wszystkie cechy i objawy odwetu, jak widzimy, nie potrzebują wcale do wyjaśnienia genezy swojej nawet wzmianki o ustroju

rodowym, wystarcza tu najzupełniej psychologia jednostki. Jeżeli jednak psychologiczna potrzeba może wytłómaczyć, skąd się wzięła pomsta i rzucić światło na niektóre jej cechy, jeżeli jest nawet w pewnej mierze konieczną i niezbędną, będzie ona jednak zupełnie niewystarczającą, jeśli zechcemy badać pomstę z punktu jej historycznego i socyologicznego znaczenia, jako zwyczaj, regulujący stosunki ludzkie, zwyczaj, powszechnie znany i praktykowany, związany bezpośrednio z innemi spółczesnymi sobie objawami życia społecznego ludzkości, będący źródłem historycznem całego prawa karnego i t. d. Tu z konieczności musimy uznać podział społeczeństwa na rody za najważniejszy czynnik, któremu zawdzięcza zwyczaj nasz swój rozwój, a nawet (częściowo) swoje powstanie.

Solidarność będąca cechą charakterystyczną ustroju rodowego, sprawiająca, że „cień jednego pada na wszystkich“, [1]) wyjaśnia znakomicie fakt odpowiedzialności całego rodu za czyn jednego jego członka. „Któż odda dziewczynę za mężczyznę ze złego rodu, w którym byli zabójcy lub złodzieje? Taki ród nie ma szczęścia“[2]). Przestępstwa rodziców nakładają piętno na ich dzieci, syn czy brat zabójcy jest winny tyleż niemal, co sam zabójca, chociażby do spełnienia przestępstwa ręki nie przyłożył, a nawet nie wiedział o niem; to też zemsta pokrzywdzonego rodu zwraca się przeciwko całemu rodowi krzywdziciela, cały ród jest odpowiedzialny za zabójstwo, wogóle krzywdę, wróżda przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Z drugiej strony ten sam ustrój rodowy ze swą typową solidarnością wyjaśnia również obowiązek pomszczenia śmierci czy krzywdy jednostki, który to o b o w i ą z e k leży na całym rodzie pokrzywdzonego, tak samo, jak na całym rodzie krzywdziciela leży plama przestępstwa i odpowiedzialność. Mówię: o b o w i ą z e k, ponieważ pomsta bardzo wcześnie, niemal z chwilą powstania, przybiera charakter sakralny. „Powszechnem jest mniemanie, że zmarły dopóty nie zaznaje spokoju, póki nie został pomszczonym“ [3]). Duch zmarłego mści się na współrodowcach za brak troski o jego szczęście w życiu zagrobowem, a zemsta duchów stokroć jest gorszą, niż ludzka, bo duchy mają środków więcej do jej wywierania; aby się jej ustrzedz, trzeba spełniać wszystkie ich żądania, tembardziej jeśli one, jak w danym razie, wydają się zupełnie słusznemi

---

[1]) Sieroszewski. Jakuty.

[2]) Tamże.

[3]) Post. Grundriss der ethnologischen Jurisprudenz.

i usprawiedliwionemi. A więc pomsta staje się świętym obowiązkiem względem duszy zmarłego, który trzeba wypełnić ze względu na swoje własne bezpieczeństwo. To pojmowanie pomsty, jako obowiązku, towarzyszy zwyczajowi przez cały ciąg jego trwania i wywiera znaczny wpływ na sam charakter zwyczaju. Beduini obrazowo wyrażają to pojęcie obowiązku, mówiąc, że czerwona plama krwi dopóty pozostanie niezgładzoną na ziemi w miejscu, gdzie była wylaną, póki nie zostanie pomszczonym jej właściciel. „*Ko se ne osveti, taj se ne posveti*“ i „*Ko se osveti, taj se posveti*“, mówią przysłowia czarnogórskie. Na tym obowiązkowym charakterze pomsty opiera się zależność dobrej czci człowieka, na którym leży obowiązek pomszczenia, od wywarcia pomsty: „*Che bell'onor s'acquista in far vendetta!*“ mówi stary wiersz włoski. A w Odyssei czytamy: „Czyś nie słyszał, do jakiej Orest doszedł sławy między ludźmi, że zgładził Egista, mordercę, który mu ojca zabił?“

Niewypełnienie tego obowiązku ściąga hańbę. „Jeślibyś był co wart, pomściłbyś śmierć swego ojca, brata, krewniaka, pobratymca...“ może powiedzieć każdy takiemu człowiekowi, każdy otacza go pogardą i niechęcią, prześladują go drwiny. Matka wymawia synowi, jeśli pomsty nie wywarł: „Gdy ci nie dosyć jeszcze tej hańby, to zrzuć portki, a włóż choćby moją kieckę!“ [1]).

Zwyczaj krwawej pomsty z początku nosić musi oczywiście charakter pierwotny, niezłożony i dopiero z upływem czasu poczyna się przystrajać w szeregi rozlicznych, mniej lub więcej zawiłych ozdób w formalistykę. Każdemu z okresów trwania wróżdy towarzyszą pewne, zwyczajem przepisane obrzędy i ceremonie, które nadmiernem rozpanoszeniem się swojem, jak to zobaczymy, torują drogę zmianom i przekształceniom, jakim podlega sama osnowa zwyczaju. Ludzie, na których leżał obowiązek pomsty, nie mogąc na razie zadość mu uczynić, starali się przynajmniej okazać dobre chęci w tym względzie. Zewnętrzne oznaki pomsty niedopełnionej raz są podobne do zwykłych oznak żałoby, to znowuż inny przybierają charakter, zupełnie oryginalny, jak np. *Olding*, praktykowany u pelauczyków. Pokrzywdzony krewniak zabitego wtykał w ziemię przed domem włócznię zwaną *kotimb*; przyjaciele i krewni odwiedzali go, a jeden z nich wyciągał włócznię, w ziemię wetkniętą, na znak gotowości pomagania w spełnieniu obowiązku. W Gwinei najstarszy syn dopóty co rok wkładał sandały zabitego ojca, dopóki mu się nie udało pomścić śmierci jego. W Czarnogórzu, Dalmacyi, Sardynii dzisiaj

---

[1]) Bogišić. Zbornik sadašnjih prawnih običaja u južnih Slovena.

jeszcze chowają okrwawioną koszulę zabitego, jako pamiątkę, nie dającą zapomnieć o obowiązku. Często również starano się wywrzeć pomstę na grobie ofiary, jeśli zaś tego z powodu trudności pojmania żywcem zabójcy spełnić nie było można, to przynajmniej zawiadamiano zmarłego o dokonanym fakcie, przychodząc na grób jego.

Do szeregu tych samych, że tak powiem, ornamentów należy również zwyczaj, który się da najlepiej sformułować w znanej biblijnej sentencyi: „oko za oko, ząb za ząb,“ chociaż może ta cecha była właściwą pomście w jej najpierwotniejszem stadyum. Indyanie brazylijscy starają się zadawać takie same rany zabójcy, jakie ten zadał swojej ofierze; gdzieindziej znowu pomsta bywa wywierana taką samą bronią, jakiej użył winowajca. Czarnogórcy za porwanie kobiety porywają kobietę i t. p. Później już ta sama zasada występuje przy pojednaniu i okupie, kiedy się szczegółowo oblicza ilość ofiar i ran ze stron obu. Sądy nawet stosują tę zasadę: kupiec angielski, który wybił kobiecie w Marokko dwa zęby, musiał, na wyrok sędziego, sam dwa zęby postradać.

Zresztą cały ten aparat ozdób, upiększeń i ceremonii, chociaż posiadał pewne znaczenie przy przekształcaniu się pomsty, nie jest rzeczą tak ważną, jak ów właśnie rodowy charakter zwyczaju, o którym mówiliśmy już wyżej, a który, jak wiemy, był jednym z czynników powstania i rozwoju pomsty.

Solidarność wewnątrz-rodowa, posunięta nieraz do granic zupełnie dla nas przy obecnych warunkach niezrozumiałych, wywarła wpływ na cały wewnętrzny charakter zwyczaju. Przytaczamy przykład tej solidarności. W odmacierzystym rodzie Goadżirów, jeśli się ktoś sam przez nieopatrzność skaleczy, zrani albo nawet wystawi na niebezpieczeństwo, krewniacy jego, głównie zaś ich odmacierzysta połowa, żądają od niego zadośćuczynienia w tej lub innej postaci, gdyż skrzywdził on w swojej osobie cały ród, którego sam jest tylko częścią, członkiem. To do przesady prawie posunięte pojęcie solidarności spotykamy tylko u Goadżirów, ale powszechnem jest to poczucie wszędzie, jeśli chodzi o czyn lub krzywdę członka rodu, zadaną przez kogoś z innego rodu. W razie zatargów wewnętrznych pomsta nie ma miejsca, spory bywają rozstrzygane przez sąd patryarchy (Post. Grundriss. Porów. Sieroszewski, Jakuty). W przeciwnym wypadku do boju powstaje cały ród *in corpore* i walczy, dopóki nie padnie jeden z rodu zabójcy. Oczywista, że przy takiej wróżdzie pada zwykle więcej, niż jeden, wtedy znów ród pierwszego zabójcy uznaje siebie za pokrzywdzony i wróżda trwa dalej, pochłaniając coraz nowe ofiary. Człowiek, który się stał przyczyną niezgo-

dy, umiera, wymiera całe spółczesne mu pokolenie, następne jednak nie składają broni i dalej prowadzą rozpoczęte przez ojca dzieło: mordują, przelewają krew, grabią mienie...

Solidarność jednak wraz z samym ustrojem rodowym poczyna się chwiać i rozluźniać, koło ludzi, na których leży obowiązek pomsty, zacieśnia się coraz bardziej, zacieśnia się również i koło ludzi, podlegających pomście. Post rozróżnia w tem ograniczaniu kilka momentów, mianowicie: 1) Mści się i podlega zemście cały ród, bez różnicy płci, wieku, stopnia pokrewieństwa; 2) pomsta ogranicza się do bliższego koła krewniaków, którego granice w poszczególnych wypadkach bywają bardzo zmienne; 3) ogranicza się pomsta tylko do rodziny i wogóle członków rodzinnej spólnoty; 4) wreszcie — do określonych osób z najbliższych krewnych, z drugiej zaś strony z pośród grona osób, biorących pomstę, zostają wyłączone dzieci i kobiety[1]). Wraz z tem ograniczeniem liczby osób, biorących czynny lub bierny udział we wróżdzie, następują również pewne zmiany w formie jej wykonania, zmienia się w pewnej mierze jej część ceremonialna, zewnętrzna, chociaż samo jądro, sama osnowa zwyczaju i wiele cech zasadniczych pozostaje bez zmiany.

I teraz, jak dawniej, wróżda trwa całe dziesiątki lat, dłużej może nawet, niż pierwej, kiedy przy większej ilości wróżdujących łatwiej było ubić kogokolwiek; nabiera cech tajemniczości, niema otwartego boju, częściej zdarzają się zasadzki, skrytobójstwa i t. p. Krzywdy nie zapominają się łatwo; przekazywana na łożu śmierci dzieciom pamięć o nich przechodzi z pokolenia w pokolenie; u Jakutów, aż do d z i e w i ą t e g o pokolenia trwa wróżda. Sieroszewski[2]) przytacza znamienne opowiadanie o charakterze wróżdy jakuckiej w tym właśnie okresie jej trwania. Dawnemi czasy, jeśli ktoś z rodziny padł, podczas gdy matka była w ciąży i przyszła potem na świat córka, to dziecko zabijano, nie natychmiast jednak, lecz kiedy już podrosło. Zabijając, mówiono: „przez ciebie zginął twój starszy brat (najbardziej mszczono się za śmierć brata), sławny, dorosły człowiek, tyś nam przyniosła wielkie nieszczęście!“ Jeśli zaś niemowlę było płci męzkiej, wychowywano je z pieczołowitością, dobrze karmiono. Powoli przyzwyczajano do ran, bólu i walki. Jeszcze w kolebce bito je rzemieniem o ostrych końcach, żeby, kurcząc się i drgając pod razami, ciało jego stawało się

[1]) Post. l. c. t. I. str. 231—233. Steinmetz. Etn. Studien. t. I. str. 369 — 380 zapatruje się nieco inaczej, zdanie jednak Posta wydaje nam się bardziej uzasadnionem. [2]) Jakuty. str. 454—459.

sprężystem, a członki nabierały giętkości. Gdy dziecko podrosło, strzelano do niego z małych, służących do zabawy łuków, maleńkiemi strzałami, których ostrza mogły mu tylko przebić skórę, nie czyniąc większej szkody. Dzieciak, chroniąc się od pocisków, uczył się obserwować lot wypuszczonych strzał i nabierał zręczności umiejętnego unikania pocisków. Następnie uczono go strzelać, zażywać włóczni, podpatrywać i wyśledzać zdobycz i wroga, aż póki nie wyrósł na junaka, będącego w stanie wziąć na swe barki obowiązek mściciela. Mówiono mu wówczas, kto jest zabójcą, a on szedł spełnić swoją powinność i miał do wyboru zginąć, lub zabić mordercę swego krewniaka. Jeśli morderca tymczasem zmarł lub został przez kogokolwiek zabity, obowiązek brania pomsty przechodził na jego krewnych. Możnaby przytoczyć więcej przykładów dla tego okresu pomsty krwawej, ale poprzestaję na tym jednym, gdyż wydaje mi się on dość jaskrawo malującym charakter i cechy tej pomsty.

Zanim przejdziemy do następnego stadyum w rozwoju wróżdy, jeszcze kilka słów o t. zw. „odpowiedzi“ czyli uprzedzeniu, zapowiedzi o mającej nastąpić akcyi zaczepnej i wróżdzie. Odpowiedź jest może objawem późniejszym, bo nosi nawet na sobie pewne oznaki możliwości pokojowego załatwienia sprawy, co było wyłączonem przy pomście krwawej w jej pierwotnym charakterze. Bądź co bądź, odpowiedź ta, jako jedna z „ornamentacyi“ wróżdy, wiąże się bezpośrednio z tem, com mówił dotychczas. Weźmiemy, za Ciszewskim, dwa przykłady odpowiedzi.

Karo-Batakowie nazywają odpowiedź „wróżdą nocną;“ jest to list, skreślony na liściu bambusowym, mającym mniej więcej piędź długości i $1\frac{1}{2}$ palca szerokości. List taki wiesza się w nocy przed domem osoby, której się zapowiada pomstę. Wiesza się trzy razy, dwa pierwsze mają charakter pokojowy i powinny zachęcać do zgody, ostatnia, trzecia, oznacza mające nastąpić pożogi i mordy; wraz z tą ostatnią odpowiedzią rozpoczyna się wróżda.

Liczne przykłady odpowiedzi polskiej mamy w księgach sądowych wieku XV, XVI i XVII. W roku 1558 istnieje już wzmianka o odpowiedzi w konstytucyi, która, dbając o ustalenie porządku i spokoju w rzeczypospolitej, zaleca, żeby każdy żył spokojnie, ani się krzywd swych *privata authoritate* mścił, ale prawem pospolitem się kontentował. Nie na wiele się jednak zalecenie to przydało: zbyt głęboko zakorzenionym był zwyczaj pomsty i dochodzenia krzywd osobiście po za przepisami prawnemi; jak dziś przepisy przeciw pojedynkom nie są w stanie całkowicie im zapobiedz, tak wówczas walka przeciwko pomście wogóle i „zajazdom“ w szczególności by-

ła bezskuteczną. W roku 1633 znowu wydano konstytucyę przeciwko wróżdzie i samodzielnemu dochodzeniu krzywd, ustanawiającą ostrzejsze przepisy, jeszcze jednak potem spotykamy przez czas długi wzmianki o wróżdzie, odpowiedzi, zajazdach i t. d.

Oto przykład tej odpowiedzi:

„Janie Mościcki! Iżeś nad spodziewanie moje, bez wszelakiej mojej winności, ani nie dawszy znać z jakiej nieprzyjaźni od siebie, niezwyczajnieś śmiał broń swą podnieść przeciwko mnie, a niewinną krew mą iżeś przelał: przeto ja, pomnąc na przystojność swą ślachecką, odpowiadam ci to tym moim pisaniem, które do ciebie posyłam, iż żalu, bólu i despektu swego chcę i mam tę wolę, za pomocą bożą i za sprawiedliwością swą na tobie i na gardle twym zemścić się. A tak się mnie ze zdrowiem i gardłem swoim strzeż na każdem zwykłem miescu okrom domu twego własnego, okrom którego na wszelakiem miescu masz ze mnie takiego nieprzyjaciela dotąd, póki się nie będę mógł na tobie i na gardle twym żalu mego pomścić. Dla czego lepszej pewności i wiary list ten swój odpowiedni ręką swą własną pisany i zapieczętowany tobie, jako nieprzyjacielowi swemu, zwykłym obyczajem posyłam. Dan z Gromadzic anno 1576. L. S. (podpis własnoręczny)“ [1]).

Czasami wróżda miała inne przyczyny, nie tylko zabójstwo. W Albanii np. mszczą się za: zabójstwo, porwanie, uwiedzenie, gwałt, złamanie ślubów małżeńskich, niedotrzymanie obietnicy, kradzież i t. p. [2]).

Widzieliśmy, że początkowo przy wróżdzie wyłączone są wszelkie pertraktacye pokojowe: krew musi popłynąć, żeby zmyć krew przelaną, dusze zabitych wymagają pomsty, wymaga jej honor mściciela i własny jego interes, przedewszystkiem zaś interes, wypływający z obawy przed gniewem dusz niepomszczonych. Cały szereg tych samych motywów, które się przyczyniły do rozwoju i nadały charakter, barwę zwyczajowi, staje na przeszkodzie do zgody, jest niby ścianą lodową, powstałą między danymi rodami, i nie pozwala im zbliżyć się, spotkać inaczej, jak z bronią w ręku. — Przeciwko temu charakterowi pomsty i czynnikom, które się nań złożyły, stają wszakże inne, nowe czynniki, i wróżda zmienia swój

---

[1]) Pawiński. Odpowiedzi, str. 393, 395 — 6.

[2]) Post. (c. t. I. str. 239. *Studien z. Entwickl. d. Familienrechts.* Str. 13[illegible] Miklošič. l. c.

charakter, ponieważ te ostatnie przeważają, a jako skutek tej ich przewagi, pojawia się możliwość pokojowego zakończenia wróżdy.

Jest to bezwątpienia najciekawszy okres w historyi pomsty krwawej, tem ciekawszy, że wymagający dla wyjaśnienia umiejętnego przedstawienia licznych czynników, które się złożyły na tę zmianę. Na przeszkodzie temu przewrotowi stało wiele względów tych, o których mówiliśmy już; względy te częściowo były wspólne obu wróżdującym stronom, częściowo zaś różne. Strona pokrzywdzona musiała się liczyć z gniewem ducha zmarłego. Strona winna zaś nie zawsze do winy się poczuwała i mogła nie być z tego powodu do zgody skłonną, tembardziej, że zgoda ta dla niej łączyła się z zapłatą okupu i często z wielce przykrym aktem pokory. Ciężkiem bezwątpienia była brzemieniem długo trwająca wróżda, szczególniej jeśli zważymy, że, ciągnąc się przez kilka pokoleń, zatracała pierwotny charakter bezpośredniego odwetu. Jakiś Jakut, którego pradziad zupełnie mu nie znany padł z ręki dawno zmarłego zabójcy, oczywiście nie czuł tak silnie pragnienia zemsty, jak to był czuł syn czy brat zabitego; obowiązek dopełnienia jej był dlań co najmniej uciążliwy, a może i przykry. Z gotowością zgodziłby się on na ucztę pokojową, uważając jednak, że robi ze swej strony ustępstwo i łaskę. Z drugiej strony praprawnuk zabójcy, nie poczuwający się bynajmniej do żadnej winy, mógł nie mieć wcale ochoty do przeprosin. Wypadek taki mógł się zdarzyć naturalnie dopiero później przy znacznem rozluźnieniu solidarności rodowej. To też to rozluźnienie jest z najważniejszych czynników zmiany w charakterze pomsty. Z rozkładem rodów, mówi Post (Grundriss I. 243 § 68) może pomsta być zamienioną przez okup. — Na to samo wpływały inne czynniki, jak wspomniana już uciążliwość długo trwającej wróżdy, stopniowy zanik poczucia potrzeby wylania krwi za krew, a dalej już drugi najważniejszy czynnik, to zrodzone przez samą pomstę pojęcie sprawiedliwości między - rodowej, która przedtem nie istniała. Względy etyki pierwotnej obowiązują ludzi tylko w stosunkach pomiędzy współrodowymi, do członków innych rodów nie jest stosowana żadna etyka, chyba jeśli mianem etyki można nazwać jej negacyę — „Jeśli ja zabiłem człowieka z innego rodu lub porwałem kobietę, to zrobiłem dobrze, mówi dziki, a jeśli człowiek z cudzego rodu postąpił w ten sposób względem mojego, to zrobił źle“. Krwawa pomsta przekonywa ludzi, że za krzywdę człowieka z innego rodu następuje kara, że nie można nikogo zabić ni krzywdzić bez narażenia się na odpowiedzialność i w ten sposób przyczynia się do powstania, — tworzy pojęcie międzyrodowej etyki. —

Nie małe również miała znaczenie potrzeba wypełnienia szczerby, jaką śmierć współrodowca zrobiła w krewniaczym organizmie rodu. Potwierdzają to dobrze znane fakty pobratymstwa, adoptacyi zabójcy przez ród ofiary[1]).

Nie wszystkie te czynniki jednocześnie występują na widownię i nie wszystkie naraz poczynają działać. Nie wszędzie również przebieg procesu jest jednakowy. Na pierwszem niewątpliwie miejscu w czasie i co do znaczenia musimy postawić pewne unormowanie i usystematyzowanie życia ludzkiego; przy pasterstwie i odmacierzystych rodach pasterskich, pomsta nie łagodnieje, przeciwnie, jest to czas jej rozkwitu w jej pierwotnym stanie. Rolnictwo, osiadłość i towarzyszące im rozluźnienie organizacyi rodowej z powodu, iż względy walki o byt zmuszają rody do rozbijania się na mniejsze grupy, wzrost ludności i t. d.—wszystko to zmienia charakter społeczeństwa i człowieka o tyle, że toruje drogę działaniu innych czynników wspomnianych i ułatwia im wywieranie wpływu.

Bezwątpienia i teraz jeszcze w ciasnych spólnotach rodzinnych wiele jest podobieństwa do dawnych koczujących rodów, i teraz istnieją rody, lecz dziś nie biorą już one *in corpore* udziału we wróżdzie. O ile pierwej całe życie rodów można byłoby nazwać nieustanną wzajemną wróżdą, o tyle teraz normą stają się stosunki, mniej lub więcej pokojowe. Dawniej może nawet nie zawsze dostatecznie jasno zdawano sobie sprawę z przyczyny niezgody rodów; była ona zjawiskiem stałem i normalnem, nad którem się wcale nie zastanawiano. Teraz pierwotny chaos ustępuje miejsca względnemu ładowi, stosunki przybierają bardziej określoną formę, można się dopatrzeć pewnych norm obowiązujących. Może nawet cały ten aparat formalny wróżdy, o którym mówiliśmy wyżej, jest właściwością tego właśnie okresu; jest nawet to niewątpliwe, gdyż prawie wszystkie znane nam fakty pochodzą od ludów, stojących na tym właśnie stopniu rozwoju lub na wyższym jeszcze, o charakterze wróżdy pierwotnej u hord ludzkich możemy tylko apriorystyczne wyprowadzać wnioski. Teraz dopiero nabiera znaczenia czynnik uciążliwości wróżdy i potrzeby powrotu przerwanego pokoju; obadwa rody wróżdujące skłaniają się ku zgodzie.

Tutaj prawdopodobnie występuje ograniczenie czasu i miejsca, w których może być wywieraną pomsta, tudzież rozróżnienie

---

[1]) Por. Steinmetz. t. I. 432—434. „Wir sind berechtigt die Ueberlegenheit im Kampfe um das Dasein, als einen bedeutenden Factor in der Entwickelung der Composition, zu betrachten."

umyślnego od przypadkowego zabójstwa. „Postanówcież sobie miasta, aby tam uciekał mężobójca, którzyby zabił kogo z nieobaczenia“ (Numeri, 35, 11). „A toć będzie prawo mężobójcy, który tam uciecze, aby żyw został, gdyby zabił bliźniego swego z nieobaczenia, a nie miałby go przedtem w nienawiści“ (Deuteronomium, 19, 4). Takich miast, oddanych Lewitom, było sześć, po obu stronach Jordanu po trzy. Jeśli się schronił tam zabójca z rozmysłu, należało go wydać mścicielowi. Może również ograniczenie czasu wywierania pomsty, spotykane w starożytnem prawie polskiem, czeskiem i ruskiem, z tegoż pochodzi źródła, co i ograniczenie miejsca w księgach Mojżeszowych.

Czynniki wyszczególnione dają najpierwotniejszy prawdopodobnie sposób pokojowego zakończenia wróżdy, przez fikcyjne pokrewieństwa, małżeństwa pomiędzy członkami zwaśnionych rodów, rozliczne formy adoptacyi; jako rzecz wagi drugorzędnej, towarzyszy temu pojednaniu solenna uczta pokojowa.

Tak się przedstawia proces najpierwotniejszego jednania. Nie jest on jednak zupełnie wyczerpany zawarciem pokrewieństwa i ucztą, z tego względu, że pomsta była nietylko p r a w e m, przysługującem pokrzywdzonemu rodowi, ale również, i to przedewszystkiem, obowiązkiem, na nim ciążącym. Godzącego się mściciela muszą trapić wyrzuty sumienia, pewna obawa przed gniewem zabitego współrodowca, który, jeśli krew za krew jego przelaną nie będzie, nie zazna spokoju w kraju cieniów i mścić się będzie za to. Znajdując się jakby między Scyllą a Charybdą chęci i obawy, poczyna się człowiek pierwotny z właściwym sobie dowcipem wykręcać, zdobywa się na środek, przy którym i „wilk będzie syty, i koza cała.“

Wiadomo już skądinąd, że ofiary z ludzi mogły być zamienione przez ofiary ze zwierząt lub przedmiotów martwych podobizn ludzkich i t. p. (obszernie o tem mówi Tylor w Cywilizacyi Pierwotnej); ta sama zasada mogła być zastosowaną i tutaj. Za przykład może tutaj służyć ustęp z obrzędu pokory, zaczerpnięty od Kirgizów. Kiedy krewniacy ofiary zbliżają się do aułu zabójcy w celu otrzymania zagłównego i zawarcia zgody, rozbijają dla nich osobny namiot (jurtę), do którego przywiązują czarnego barana. Mściciele pędzą co koń wyskoczy ku przygotowanej jurcie z flagami i gołemi szablami w rękach i krzycząc: „aj krewniaku!“ rąbią na kawałki uwiązanego przy namiocie barana. Barana tego oczywiście ofiarowywał zabójca lub jego krewniacy.

Ten ostatni czynnik odpowiedzialności przed cieniem ofiary miał znaczenie tylko dla jej krewniaków i tylko im utrudniał zgo-

dzenie się na pojednanie. Ród zabójcy, nie kierując się tym względem, a tylko powodowany czynnikami, przemawiającymi za zgodą, skorszym być musiał do jej zawarcia, a wyradzające się z czasem poczucie etyki międzynarodowej utwierdziło go w mniemaniu, że, jako odszkodowanie, powinien dać przynajmniej barana, przemawiała za tem również świadomość, że w przeciwnym razie zginie nie baran, lecz on sam. Pod każdym względem ród mścicieli miał przewagę, i tem łatwiej mu było stawiać warunki. Kiedy już obie strony stopniowo przyszły do przekonania, że koniecznem jest pokojowe zakończenie zbyt długiej i uciążliwej wróżdy, ród mściciela mógł z łatwością wywierać swój wpływ na kształtowanie się obrzędowej strony jednania, taki lub inny nadawać jej charakter.

Jak niegdyś pomsta, tak teraz pojednanie, zajmując jej miejsce, a właściwiej przyłączając się do niej, niby zakończenie, zdobi się w ceremonie i obrzędy. Te ostatnie są koniecznością dla myślącego obrazami człowieka pierwotnego, dzikiego i barbarzyńcy, jako forma zewnętrzna idei, w danem zjawisku zawartej[1]). Ta zaś forma zewnętrzna tak się może niekiedy rozpanoszyć, że wprost zakrywa przed oczami naszemi rdzeń rzeczy, że, zabłąkawszy się w masie obrzędów i formalności, w ich opisach, nie możemy dociec do jądra, do istoty badanego faktu lub zjawiska. Czasami jednak obrzędy te bywają tak charakterystyczne i jasne, że wskazują drogę, jaką dany zwyczaj się posuwał, nim doszedł do stanu, w jakim go obserwować możemy. Pokora i cały ceremonialny aparat pojednania może się na pierwszy rzut oka wydać takim właśnie przeładowaniem ozdób, zaciemniającem tylko styl gmachu; w ozdobach tych łatwo się zabłąkać, lecz oko badawcze z łatwością odnajdzie w nich niejedną cenną wskazówkę, wyjaśniającą najbardziej ciemne na pozór fakty.

Pierwotne pojednanie, oparte na fikcyjnem pokrewieństwie, adoptacyi i t. p., przy pomocy wspomnianego czynnika obawy odpowiedzialności przed duszą zabitego, daje zwyczaj zamiany krwi zabójcy lub jego krewniaków przez krew zwierzęcia. W samym już zarodku tego zastępstwa tkwi potrzeba ceremonii; z początku jest ona może względnie prostą i mało zawikłaną, później staje się nią coraz bardziej, aż wreszcie dochodzi do formy, jaką miała w XV i XVI wieku w Polsce i Czechach, a do dziś dnia u Słowian południowych.

---

[1]) Porów. Pawiński. O pojednaniu w zabójstwie. Str. 40—49.

Przytoczymy jeden taki obraz pokory; z małemi tylko zmianami odbywała się tak samo pokora i w innych miejscach i czasach, jak w przytoczonym poniżej przykładzie, wziętym od słowian południowych, mianowicie Serbów [1]).

Wstępem do jednania i pokory jest rozjem czyli t. zw. „vjera“. Kiedy pierwsze kroki wywiadowcze wykażą, że mściciel na rozjem się zgodzi, dwanaście kobiet ze strony proszącej o rozjem z dwunastoma niemowlętami w kolebkach udaje się rankiem do jego domu. Na czele tego pochodu postępuje dwunastu, niekiedy dwudziestu mężów z rodu zabójcy. Mężowie ci odpowiadają staropolskim „jednaczom“, „przyjacielom“ (*mediatores*, *arbitri*, *amicabiles compositores*, *amici* i t. d.). Kiedy orszak stanie przed domem mściciela i ten się ukaże, wszyscy proszą chórem: „Primi, kume, Boga i svetoga Jovana!“ Czasami, przy uporze mściciela, obrzęd ten powtarza się dwa i trzy razy, wreszcie następuje zgoda na rozjem (*vjeru*), którego termin określa się z góry. Mściciel oświadcza: „przystaję i sprzedaję wam brata mojego; chcę się z wami pogodzić i chcę, abyście mi dali dziesięć dukatów za moje słowo, którem wam zapewniam rozjem (*vjeru*). Krew zaś moją przelaną, krew mego krewniaka niech sądzi dwudziestu czterech jednaczy, których sam wybiorę.” Po tej przemowie całuje jedno z dzieci i przez ten obrzędowy pocałunek staje się jego krewniakiem, kumem; jedenastu braci rodowych mściciela w ten sam sposób zawiera pokrewieństwo z resztą dzieci.

Przechodzimy do ceremoniału odbywania pokory. W dniu oznaczonym wyrusza mściciel z drużyną, złożoną ze swych współrodowców, których liczba dochodzi czasami 150 osób i udaje się do domu zabójcy, aby przyjąć od niego pokorę i zawrzeć z nim akt zgody. Naprzeciw niego i drużyny jego wychodzi dwudziestu czterech sędziów. Idą z gołemi głowami i bez broni, podczas gdy strona „bolejąca“ pozostaje w czapkach i zbrojna. Chwila jest bardzo uroczysta. Powitania obustronne wymawia się głosem cichym, są krótkie i urywane. Sędziowie zawiadamia oficyalnie strony, jaki był wyrok i do czego są zobowiązane. Następuje sam akt pokory. Zabójca w bieliźnie tylko, boso i bez czapki, pełznie na czworakach ku mścicielowi, mając na szyi zawieszoną na rzemieniu broń, którą popełnił zabójstwo. Czołgając się tak ku mścicielowi, błaga go w pokorze: „Przyjmij, kumie, Boga i św. Jana!“ Powtarza się to trzykrotnie. Mściciel po pewnem wahaniu zbliża się do zabójcy, staje obok niego i, podnosząc go z ziemi, mówi: „Kumie, niech będzie szczęśliwe

[1]) Bogišić. Zbornik. 580—582.

nasze kumostwo“. — Czasami, gdy mściciel, stojąc już obok zabójcy, waha się jeszcze ciągle, pragnący pogodzić zwaśnionych i sędziowie wołają na mściciela: „Oto syn (brat) twój; przyjmij go za syna (brata)!“ — Na to on odpowiada: „Skoroście, sędziowie, osądzili, że według ludzkich i boskich praw ma człowiek ten być moim synem (bratem), więc go przyjmuję za syna (brata) w imię Boga i św. Jana“. — Potem mściciel zdejmuje korzącemu się broń z szyi, a ten całuje go w nogę, potem w połę ubrania i w rękę, tamten zaś podnosi go i całuje w twarz. Broń zbrodnicza staje się własnością mściciela lub też czasami bywa wspaniałomyślnie zwracana zabójcy.

Gdzieindziej powtarzało się to samo prawie z nieznacznemi zmianami; z czasem przybrała pokora charakter kościelny, odbywała się na cmentarzu lub na progu kościoła (w Polsce i w Czechach [1]).

Materyalizm człowieka pierwotnego, ten sam który go skłaniał najpierw do wykrętów z adoptacyą, z fikcyjnemi pokrewieństwami i z przelewaniem krwi baraniej zamiast ludzkiej, ten sam materyalizm w dalszym ciągu stworzył okup, zagłówne. Śmierć współrodowca była uszczerbkiem materyalnym dla rodu, ściślej — rodzinnej spólnoty, trzeba ją było wypełnić czy to wstąpieniem do rodu nowego członka, czy też wynagrodzeniem pieniężnem (w znaczeniu w ogóle wartości zamiennej). Teorya okupu, szczególniej w późniejszem stadyum rozwoju, staje się zawiłą i subtelną, nie o to nam jednak idzie. Wiemy już, że okup był może jądrem samego aktu pojednania, pokora zaś służyła za maskę, którą się pokazywało żądnemu krwi duchowi. Teraz przejdziemy do przykładu i przyjrzymy się aktowi sądu, wypłaty zagłównego i końcowi pojednania zwaśnionych rodów.

Zagłówne jest rzeczą, znaną całemu niemal światu, czy to w przeszłości, czy to dziś jeszcze. Aby dać o niem pojęcie, przytoczymy przykład znów z życia Słowian południowych. Zgodnie ze wzmiankowaną zasadą: „oko za oko, ząb za ząb“, przy rozstrzyganiu sporów między wróżdującymi rodami, jeśli te spory trwały długo i ze stron obu padały ofiary, koniecznem było szczegółowe obliczenie ilości ofiar poniesionych przez każdą stronę. Dalej, nie samo tylko pozbawienie życia wchodziło w rachubę, liczono również rany zadane, istniał cały mniej lub więcej zawiły cennik ran czyli

---

[1]) Patrz R. Hube. *Wróżda.*—Ulanowski. *O pokucie.* — Pawiński. *O pojednaniu.* — Dębkowski. *Zemsta, okup i pokora.* — Brandl. Kniha Toračorska.

„krwi“. — Za głowę ludzką płacono więcej, niż za ranę, rany zaś podlegały klasyfikacyi zależnie od ciężkości oręża, którym były zadane i t. p.

Mówiliśmy już poprzednio o zawieraniu kumostw. Świeżo spokrewnione rody zasiadały przy wspólnym stole, przy którym miejsce główne zabierali dwaj starsi jednacze, jeden ze strony mściciela, drugi ze strony zabójcy. Sędziowie uprzednio już naradzili się z sobą, zrobili szczegółowy rachunek i spisali wyrok. — Teraz, przy uczcie pojednawczej, składającej się z wódki, mięsiwa i chleba, powstaje najstarszy ze strony ofiary i mówi: „Sędziowie, którzyście sądzili, wymierzcie mi teraz okup za krew, jak się należy“. — Powstaje 24 sędziów, wyciąga z za pasa pistolety, rzuca je przed jednacza strony bolejącej, jako zastaw, z zapytaniem: „czy ci dosyć tego zastawu?“ — „Dosyć“, odpowiada zapytany. — „Więc trzymaj go, przeczytamy wyrok“. — Duchowny lub też inna osoba, która napisała wyrok, czyta: „W imię Chrystusa. Roku N. N., miesiąca N. N. Amen. My 24 sędziowie, jednacze i synowie jednaczów, zgromadziwszy się na zwykłem miejscu radnem i przyzwawszy imię Boże ku pomocy, według obyczaju ludzkiego zawyrokowaliśmy i naznaczyliśmy za głowę ś. p. N. N. dukatów sto i trzydzieści trzy i pół i grosz jeden i p a r ę (drobna moneta turecka) jednę i pół“.

Po odczytaniu wyroku następuje wypłata okupu. Najstarszy z pomiędzy sędziów zwraca się do najstarszego jednacza strony bolejącej z prośbą, żeby ten darował zabójcy coś z okupu, co też bywa najczęściej spełnionem przez zwrot części broni, danej w zastaw. — Potem, zwracając się do zabójcy, mówią sędziowie: „Wykupuj teraz broń naszą“. Ten uskutecznia to lub też daje w zamian za broń jakiś zastaw, odpowiadający wysokości okupu. — „Czyście zaspokojeni teraz za krew?“ pytają sędziowie. „Tak, jesteśmy zaspokojeni“, brzmi odpowiedź strony bolejącej. Poczem następuje rozcinanie p a r y. Dwa egzemplarze wyroku są związane i przypieczętowane „parą“, jeden z tych egzemplarzy idzie do rąk mściciela, drugi — zabójcy, para zaś, łącząca je, bywa rozcinaną. Znowu powtarzają się pocałunki, i trwa dalej uczta, która kończy ceremonię pojednania zwaśnionych rodów.

Wyrok wydaje się już niejako przejściem od zwyczajnej pomsty krwawej do ściślejszych norm prawnych. Wiele znaczącem jest już samo wyrażenie: „z rozporządzenia władzy wyższej“, użyte na samym wstępie wyroku, przytoczonego w książce Ciszewskiego na str. 91. Oczywiście ta „władza wyższa“ wszelkimi środkami sta-

rała się ograniczyć samowolne załatwianie sporów (jak to było w Polsce w XVI i XVII wieku), trudną jednak i długą musiała staczać walkę z wsiąkłym w krew zwyczajem. Sam przez się z biegiem czasu doszedł on do zaniku, dając życie prawu karnemu tak samo drogą powolnych przeobrażeń, jak z pierwotnego dzikiego przelania krwi za krew przekształcił się w społeczny serbski zwyczaj, zdobny w szeregi ceremonii i obrzędów.

Ani w dziesiątej części nie wyczerpaliśmy tutaj tego ciekawego, niezmiernie rozległego i bezpośrednio związanego z życiem tematu; ale też naganną zarozumiałością byłoby kuszenie się o coś podobnego w krótkim szkicu. — Nie chodziło nam bynajmniej o to, chcieliśmy tylko wskazać psychologię i ogólny zarys ewolucyi krwawej pomsty. — A ewolucya ta była taka. — Nasamprzód, bezpośrednio pod wpływem pobudek psychologicznych, zjawia się w człowieku potrzeba zemsty, odwetu. Potęgowana przez ustrój rodowy z jego wzorową solidarnością, jak nie można lepiej sprzyjającą powstaniu i rozwojowi danego zwyczaju, tudzież przez zabobonną obawę przed zemstą dusz zmarłych, pomsta rozwija się, staje się świętym obowiązkiem, oddziaływa na inne strony życia ludzkiego; wreszcie staje się tak potężną i rozpanoszoną, że poczyna ciążyć, pojawia się myśl zakończenia jej w pokojowy sposób, pojednania okupu. — W początku myśl tę przeprowadza się w postaci pewnych ograniczeń, normujących wywieranie pomsty, co do czasu i miejsca, po którego upływie i gdzie mścić się nie było można. Jednocześnie cały szereg rozlicznych czynników wpływa na pojednanie rodów zwaśnionych. Czynniki te rozpadają się na dwie kategorye: jedne, bardziej materyalne, zradzają okup, inne, idealniejsze,— pokorę. — Krwawa pomsta prawie z chwilą powstania swojego przystraja się w barwną szatę ceremonii, często czczych i bezmyślnych napozór, często jednak kryjących w sobie wiele cech ciekawych i znamiennych. Te właśnie ceremonie później torują niejako drogę złagodnieniu zwyczaju, gdyż pod nawałą ozdób ukrywa się samo jądro zwyczaju nie tylko przed oczami badacza, ale niemniej zapewne i przed samym mścicielem. — Podobnież i na gruncie pojednania i okupu wyrasta cały szereg form i ceremonii, zakrywa grunt, na którym wyrósł, i toruje drogę dalszemu przeobrażeniu zwyczaju, przejściu jego z dziedziny prawa zwyczajowego do kodeksów państwowych.

Zwyczaj krwawej pomsty był i jest do dziś dnia bardzo szeroko rozpowszechniony. Powstał on w zaraniu istnienia ludzkości i, kształtując się coraz bardziej, przetrwał bardzo długo i uporczywie u wysoko nawet pod względem cywilizacyi stojących narodów. W Polsce przechował się do XVII wieku, dziś jeszcze istnieje u Słowian południowych, a w jaskrawych przeżytkach u Włochów. Ta żywotność zwyczaju wskazuje, po pierwsze, na ścisłe jego zespolenie z innymi objawami życia społecznego i, po drugie, na bezpośredni związek z psychologią ludzką.

Pomsta krwawa posiada bogatą i wyczerpującą literaturę we wszystkich językach. Po polsku pisał o niej nasamprzód R. Hube w roku 1829 w czasopiśmie „Themis Polska“ (Pokora według praw polskich i czeskich), potem ukazywały się inne, mniej lub więcej cenne i wyczerpujące, prace. Dawał się jednak uczuwać brak dzieła, któreby usystematyzowało cały nagromadzony, bogaty i różnorodny materjał. Dopiero w 1894 roku ukazała się bardzo cenna i wyczerpująca praca p. Steinmetza, a w roku zeszłym studyum p. Ciszewskiego. Te właśnie dwie prace posłużyły nam głównie przy opracowaniu niniejszego szkicu. Dwutomowe dzieło Steinmetza pomimo masy materyału, w niem zużytkowanego, nie wyczerpało kwestyi całkowicie. Bardzo mało uwagi poświęca autor zwyczajom np. Słowiańszczyzny południowej, gdzie, jakeśmy widzieli, zwyczaj rozpatrywany najjaskrawiej się do dnia dzisiejszego utrzymuje. Zresztą i tak już bogaty materyał, bardzo sumiennie, z niemiecką iście pedanteryą, opracowany, posłużył autorowi do wyprowadzenia wniosków teoretycznych, po większej części zupełnie usprawiedliwionych. Począwszy od pierwszych chwil pojawienia się zwyczaju, od genezy jego, którą rozpatruje z punktu widzenia psychologicznego i socyologicznego, zatrzymuje się autor na pierwszych objawach mniej lub więcej usystematyzowanego prawa karnego, szuka źródeł pojęcia k a r y i jej stosowania, zwracając przytem ciągłą uwagę na stopień kultury, na jakim się znajdują ludy badane.

Studyum p. Ciszewskiego nie bierze tematu tak szeroko, ani go tak wszechstronnie wyczerpuje; jest ono pracą tylko etnologiczną, podczas gdy Steinmetz raczej do prawa się zbliża. P. Ciszewski główną uwagę zwracając na psychologię pomsty i zwyczajów, z nią związanych, daje jej monografię. Oczywiście z psychologią zwyczaju łączy się ściśle ewolucya jego, to też i o niej autor nie zapomina. W ogóle studyum to, mimo szczupłych rozmiarów,

posiada treść obfitą i świadczy o wielkiej erudycyi i pracy autora, który każde twierdzenie, każde zdanie, licznymi popiera przykładami. Wszystkie prawie uprzednie w tej kwestyi prace są mu znane W wywodach swoich zbliża się głównie do Steinmetza, dodając jednak fakty, z życia słowiańskiego czerpane.

W. Makowski.

SOCYOLOGIA UDUCHOWIONA.

Jeżeli przyszły historyk myśli ludzkiej zechce wymienić znamiona charakterystyczne jej rozwoju w ubiegłem stuleciu, to z pewnością nazwie wiek XIX-ty przedewszystkiem dobą nauk społecznych wogóle, socyologii zaś w szczególności, gdyż bujny rozkwit wiedzy naszej o tej właśnie dziedzinie zjawisk świata zewnętrznego stanowi rys najistotniejszy i bodaj najważniejszy w dziejach umysłowych Europy zeszłowiecznej. Nie przeczymy tu olbrzymim postępom innych nauk, osobliwie biologicznych; bądź co bądź wszakże, budowały się one na podstawach, odziedziczonych częściowo po stuleciu XVIII-em; socyologia przeciwnie w czasach młodości dziadów naszych nie miała za sobą nic jeszcze: ani tradycyi, ani zasobu spostrzeżeń, ani najszczuplejszych bodaj uogólnień, ani metod badania, ani nawet imienia. Trzeba było całego genialnego zuchwalstwa Comte'a, ażeby, powołując ją do życia z nicości, dając jej miano, gdy brakowało jeszcze treści, szkicując zarysy najogólniejsze i wytykając dopiero drogi postępowania, odrazu przeznaczyć socyologii miejsce naczelne w układzie nauk, powierzyć jej rolę główną, przewodnią i kierowniczą w ogromnej krainie wiedzy i umiejętności. A jednak dzisiaj, po upływie lat siedemdziesięciu kilku, poczuwamy się w prawie orzec, iż przewidywania uczonego francuskiego były

w znacznym stopniu słuszne, to zaś sprawdzanie się przeczuć i przepowiedni jego co do możliwości i znaczenia nauki o społeczeństwie dowodzi nie tylko, że on sam posiadał umysł głęboki oraz przenikliwy, lecz nadto, że nauka, której Comte był ojcem, apostołem i apologetą, miała i ma niespożyte zasoby siły żywotnej, istotną racyę bytu i wreszcie pewien pęd rozwojowy, dzięki któremu w ciągu trzech pokoleń za sprawą kilku rzutów twórczych, a przy pomocy licznych wysiłków gorliwych przebyła okres organizacyjny, okres wahań wstępnych i skupiania się kierunków rozstrzelonych, aby trafić w końcu na drogę, prowadzącą do prawdy. Punktem wyjścia tej drogi jest pojmowanie społeczeństwa, jako pewnego rodzaju organizmu, powstającego i utrzymującego się przy życiu przez wymianę stanów duchowych między składającemi go jednostkami, których stosunki wzajemne stają się coraz bardziej świadomemi.

Szczęśliwy i poniekąd dziwny zbieg okoliczności sprawił, że polskie piśmiennictwo socyologiczne poszczycić się może pracą, która nie tylko nie ustępuje w niczem najznakomitszym traktatom socyologów wszechświatowej sławy, lecz nawet pod niejednym względem posuwa dalej naukę, stawiając autora swego w szeregu mężów, którzy na podwalinach, założonych przez Comte'a, Spencera, Darwina i Marxa, budują obecnie socyologię nową, socyologię uduchowioną, godząc w wykładzie swoim stronę przedmiotową rozwoju społecznego, pojmowaną w świetle teoryi ewolucyi i często w wyrazach energetyki, ze stroną podmiotową, której szukać należy w dziedzinie ducha, w procesach świadomości jednostek uspołecznionych. Rozpatrzenie się zatem w szkicach socyologicznych J. K. Potockiego da nam poznać współczesne wyniki myśli naukowej w zakresie socyologii, a jednocześnie pozwoli zrozumieć istotę zjawisk społecznych [1]).

*

* *

---

[1]) Oprócz ostatnio wydanej książki (*a*) p. n.: Współzawodnictwo i współdziałanie (Lwów, 1900, nakład Towarzystwa Wydawniczego, str. 443 + 1 n.), bierzemy tu pod uwagę: (*b*) O energii społecznej, rzecz z powodu „Logiki ekonomii" Herynga; Łódź, 1900 (rozprawa, napisana w r. 1897), wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego", str. 138; (*c*) Początki narodowości, „Głos", 1891, № 50—52; (*d*) O metodzie nauk społecznych, „Głos", 1893, № 9 — 12, i (*e*) Emancypacya i macierzyństwo (pod pseudonimem B. Darskiego), „Głos", 1896, № 15 — 21. Ponieważ szkice, które złożyły się na Współzawodnictwo i współdziałanie, w wydaniu książkowem nie idą po sobie w takiej kolei, w jakiej wychodziły z pod pióra autora, porządek zaś chronologiczny prac dostarczyć może niejednej ciekawej wskazówki do poznania

Gdy chodzi o poznanie i ocenę poglądów jakiegoś myśliciela, obrać można dwie drogi: albo rozważać jedno po drugiem wszystkie studya jego, albo też z prac osobnych wyłuskiwać rzeczy zasadnicze w porządku logicznym, tak, aby dały się zestawić w całość spójną i systematyczną, w teoryę, mniej lub więcej zaokrągloną. Zamierzam tu trzymać się ostatniego raczej sposobu, mając zwłaszcza na uwadze, że wszystkie wogóle rozprawy Potockiego świadczą, iż posiadał on już niewątpliwie taką wyraźnie zarysowaną i dokładnie obmyśloną teoryę socyologiczną, której wszakże nie wyłożył nigdzie w całej rozciągłości. Dlatego też, odtwarzając ją sobie na zasadzie rozrzuconych gęsto ułamków, musimy być z góry przygotowani, że nie zdołamy uniknąć trudności, zapełnić luk i wyjaśnić różnych pozornych błędów, których rozwiązanie dać by nam mógł sam chyba tylko autor.

Socyologia ogólna — powiada Potocki (*a*, 128) — wyczerpuje się w odpowiedziach na trzy następujące pytania: 1) z jakimi zasobami ducha i ciała organizm biologiczny wogóle, w szczególności zaś człowiek może już wytworzyć skupienie nadorganiczne, 2) jakie zewnętrzne, materyalne, rzeczowe warunki otoczenia winny nieuchronnie odpowiadać owemu *minimum*, 3) na czem polega mechanizm wzajemnego oddziaływania jednych czynników i drugich. „Dwa pierwsze z tych pytań dotyczą propedeutyki socyologicznej... odpowiedzią na pytanie trzecie musi być właśnie cała dynamika socyologiczna". Że socyologia ogólna powinna udzielać odpowiedzi na trzy pytania powyższe, o tem niepodobna wątpić, ale natomiast należy wątpić, czy się na tem kończy i tem wyczerpuje. Gdyby bowiem tak być miało, tedy socyologia byłaby nauką całkiem dedukcyjną: uzyskawszy bądź z biologii lub psychologii, bądź zapo-

---

rozwoju myśli pisarza, a nawet jest niezbędny do zrozumienia kilku zdań w książce, więc ku wiadomości czytelników podaję stosowne daty, opierając się na rocznikach „Głosu", w których wszystkie owe szkice niegdyś były drukowane. W roku 1891 powstały kolejno: Darwinizm i kwestya kobieca, Współzawodnictwo i współdziałanie, Tak zwana „intuicya kobieca". Społeczeństwo, jako organizm (część I); w r. 1892: Dobór miłosny, Różnice psychologiczne, Społeczeństwo, jako organizm (część II); w r. 1893: Wrogowie nauki, Geniusz i tłum; w r. 1894: Rola kobiety i mężczyzny w sprawie ideałów. Szkic p. n. „Współzawodnictwo i współdziałanie" pozostał i w książce niedokończony; pod tym względem informacya przedmowy od autora jest błędna. Cenny nieraz materyał do poznania teoryi socyologicznej Potockiego znajdujemy w jego felietonach, pisywanych w „Głosie" pod pseudonimem Maryana Bohusza, oraz w paru artykułach wstępnych z roku 1887.

mocą obserwacyi pośredniej dane, wystarczające do oznaczenia *minimum* zasobów ciała i ducha, z jakimi osobniki już mogą wytworzyć społeczeństwo, a następnie określiwszy odpowiednie warunki materyalne, snułaby wnioski co do wzajemnego ich oddziaływania czyli wyprowadzałaby dedukcyjnie „mechanizm" rozwoju społecznego. Wówczas i wyraz „mechanizm" mógłby nie razić w ustach socyologa, dopóki wszakże nie przestanie być rzeczą jasną i pewną, iż w biegu życia społecznego zarówno „zasoby ducha i ciała" jednostek, jak i warunki otoczenia, ulegają głębokim i ciągłym zmianom, dopóty ani o wyczerpywaniu się socyologii w odpowiedzi na kwestyę, jakie jest wzajemne oddziaływanie jednostek i otoczenia, czyli ani o dedukcyjności socyologii, ani też o „mechaniczności" oddziaływania mowy być nie może. Trzeba przeciwnie pamiętać ustawicznie o przeobrażaniu się jednostek oraz otoczenia z biegiem życia społeczeństw i dlatego trzeba stać zawsze i ciągle na gruncie indukcyi, która jedynie może nas pouczyć o porządku rozwoju społecznego. Skrzywdzilibyśmy wszakże Potockiego, gdybyśmy odmawiali mu rozumienia tej najważniejszej w badaniach socyologicznych prawdy; mówi on owszem wielokrotnie z naciskiem i nader obszernie o „działaniach zwrotnych" rozwoju społecznego (np. *a*, 182 — 184) i, jeżeli tutaj okazał się mniej ścisłym, to zapewne przypisać to wypada mimowiednemu uleganiu wpływom Spencera, którego ślady odnajdujemy w pracach Potockiego raz po raz, począwszy od założeń, przesłanek i argumentacyi, aż do sposobu wykładu i mianownictwa włącznie [1]). Na pierwsze z postawionych przez siebie pytań autor odpowiada natychmiast: „w zakresie umysłowym niezbędną jest zdolność wyobrażania sobie i poznawania osobników podobnych, pojmowania korzyści wymiany usług; w zakresie uczuć — zdolność uciechy z owego wyobrażania i wymiany; w zakresie czynu — zdolność poddawania pewnych pobudek bezpośrednich innym bardziej odległym" (*a*, 129). Sądzę, że jest to określenie bardzo trafne, zupełnie zadowalające i bez porównania wyższe od wszystkich wywo-

---

[1]) Por. *Social Statics*, str. 23 — 29, a także Z a s a d y s o c y o l o g i i w przekładzie Potockiego, Warszawa, 1887, tom I, str. 16: „Czy to będzie społeczeństwo zaczątkowe, czy też rozwinięte, zawsze przedstawia nam ono zjawiska, które dają się przypisać działaniu przymiotów jednostek oraz działaniu warunków, w jakich one żyją". Potocki sam nawet wytykał błąd ten (*a*, 175): „Twierdzenie Spencera, że charakter całości jest wytworem charakterów części składowych, posiada jedynie wartość naukowej tautologii", — ale nie ustrzegł się podobnej nieścisłości.

dów Spencera, który, gubiąc zamiar pierwotny w toku wykładu, opowiada nam raczej o prawdopodobnych właściwościach człowieka dzikiego, lecz już uspołecznionego, niźli o niezbędnem do utworzenia społeczeństwa *minimum* zasobów duchowych jednostki. Potocki potrafił też ustrzedz się bezcelowych prób oznaczenia *minimum* „zasobów ciała” (zresztą wbrew samemu sformułowaniu kwestyi), wiedziony szczęśliwem przeczuciem, że ani długość piszczeli, ani szerokość miednicy, ani nawet stopień uwspółrzędnienia ruchów nie mogą pozostawać w bezpośrednim związku z narodzinami życia społecznego, należąc wyłącznie do kategoryi warunków biologicznych, umożliwiających osiągnięcie pożądanego stopnia rozwoju duchowego jednostki. Już ten jeden przykład daje nam poznać w Potockim przedstawiciela tego kierunku socyologicznego, który pojmuje społeczeństwo, jako wytwór sił duchowych, i tylko duchowych [1]). „Zasoby ciała” natomiast powinny znaleźć miejsce między „rzeczowymi warunkami otoczenia”, ale o tych autor już z całą świadomością mówić nie chce i nie uważa za potrzebne, gdyż wyświetlić je powinna „już nie socyologia, lecz biologia” (*a*, 130). Jest to punkt, rozstrzygający o całym charakterze socyologii Potockiego, o wszystkich dalszych jego rozumowaniach i wnioskach, które z wyborną konsekwencyą przestrzegają stanowiska czysto psychologicznego, odsuwając zagadnienie czynników materyalnych życia społecznego w sferę pozaduchową, a więc pośrednio tylko obchodzącą socyologa. „Czynnikami życia społecznego — powiada gdzieindziej (*b*, 37) — mogą być oczywiście wszelkie a wszelkie postacie energii fizycznej, ale, dopóki objawom tej energii... odpowiadać nie będzie w jednostkach jakaś postać świadomości społecznej, dopóty energia owa nie zostanie uwzględniona przez socyologa”. Nie wynika stąd przecie, żebyśmy mieli lekceważyć wpływ czynników materyalnych na przebieg rozwoju społeczeństw; waga ich jest owszem ogromna, lecz dopiero wyraźne oznaczenie stosunku hierarchicznego między nimi

---

[1]) „Zdolność wyobrażania sobie i poznawania istot podobnych“ odpowiada zupełnie temu, co Giddings zwie „świadomością gatunku“, uważając ją za „fakt podmiotowy, pierwiastkowy i pierwotny w społeczeństwie“, za „postulat socyologiczny“. Świadomość gatunku — mówi dalej Giddings — „odpowiada wszelkim wymaganiom socyologicznym; jest ona współrozciągła z faktem istnienia społeczeństwa i z niczem więcej“ (przekład francuski przez Combes'a de Lestrade'a: *Principes de sociologie*, Paryż, 1897, str. 16). Oryginał angielski wyszedł w r. 1896, a więc w trzy lata po napisaniu przez Potockiego szkicu, który dostarczył cytaty.

a czynnikami psychicznymi, wyraźne przyznanie bezpośredniości ostatnim, pośredniości zaś pierwszym stawia w jasnem świetle istotę życia społecznego. Pozostaje ono pod władzą sił duchowych, pod panowaniem świadomości, która przez swoje stany umysłowe i jednocześnie przez swoje stany wzruszeniowe, przez wyobrażenia, pojęcia, ideały i przez uczucia, wzruszenia, pragnienia—tworzy, przeobraża i pobudza całokształt stosunków społecznych, wcielając je w coraz to nowe formy materyalne. Sama zaś świadomość poczęści ulega wpływom otoczenia rzeczowego i wtedy tylko towarzyszy działaniom „energii fizycznej" lub raczej działanie to przenosi w sferę zjawisk społecznych, poczęści znów występuje samorzutnie i wtedy dorzuca do wpływu czynników materyalnych pewien moment, który albo je zmienia, zobojętnia lub nawet wprost znosi. Jest przeto świadomdść siłą, pierwotnie kształtującą rozwój społeczny, siłą samorzutną, niezależną od warunków życiowych — i cała rzecz polega teraz na tem tylko, jakie jej przejawy należą już wprost do dziedziny życia społecznego, innemi słowy, jakie jej przejawy należą do socyologii?

„Idee klasowe", twierdzi Potocki (*a*, 199). Na takie twierdzenie trudno się zgodzić naprzód dlatego, że „idee" wogóle nie są przecież jedynymi objawami świadomości, które stany posiadają prócz pierwiastków umysłowych także i uczuciowe, niemniej od tamtych doniosłe w życiu jednostki i społeczeństwa. Wprawdzie autor pośpiesza zastrzedz się w przypisku przeciw posądzeniu, że „zapoznaje rolę uczuć": widzi on w nich owszem „jakgdyby stałe pobudki działania", ale w idei — powiada — „uświadamia się forma tegoż działania", i dlatego idea ma być „symbolem działalności ludzkiej". Myślę przecież, iż cały ten wywód, jak z jednej strony jest zbyteczny, tak znów z drugiej świadczy swoim porządkiem o pewnej predylekcyi dla „idei". Jeżeliby działalność ludzka wogóle potrzebowała jakichkolwiek „symbolów", to niechby już symbolem takim była po staremu raczej świadomość, która stanowi znamię wspólne „pobudek" — uczuć i „zrozumienia formy" — idei. Termin „świadomość klasowa" służył już nieraz z powodzeniem, gdy chodziło o oznaczenie ogółu idei i uczuć, właściwych klasie; posiada zaś tę wyższość nad terminem „idea klasowa", że nie wymaga zastrzeżeń, omówień i wyjaśnień i nie może nikogo w błąd wprowadzić. Nadto zaś, gdy chodzi nam o wyświetlenie przebiegu życia społecznego i wykazanie czynników rozwoju, pobudki działania, a więc uczucia, są o wiele ważniejsze oraz ciekawsze, niż idee, w których tylko „uświadamia się forma działania". Zresztą należy dodać, że rozgra-

niczenie to jest do pewnego stopnia sztuczne, bo w zakresie działalności, zwłaszcza zaś działalności zbiorowej idea nigdy nie występuje w odosobnieniu od uczucia, lecz zawsze się niem zabarwia, i to jest jeszcze jedna przyczyna, dla której lepiej byłoby uważać za „moment socyologiczny świadomości" chwilę, gdy objawia się ona, jako świadomość klasowa, aniżeli wraz z Comte'em kłaść nacisk szczególny na jej stronę umysłową [1]. Chociaż w jednem miejscu Potocki rozszerza pojęcie świadomości społecznej, mówiąc, że jest ona „pod względem umysłowym takiem lub innem pojmowaniem całokształtu społecznych zjawisk i stosunków, pod względem zaś uczuciowym jest odczuwaniem wspólności i zależności interesów" (*a*, 125), ale z czasem znów powraca do ciaśniejszego określenia: „świadomość społeczna... jest pewną wiadomością, wiedzą, pewnym uprzytamnianiem podstawowych czynników i stosunków życia społecznego" (*b*, 37). Zresztą żadne z tych określeń nie jest poprawne i ścisłe, nie rozstrzyga bowiem zasadniczej kwestyi, kto lub co jest podmiotem owej świadomości. — Następnie wątpię, czy świadomość klasowa jest jedynym przejawem świadomości, obchodzącym socyologa. „Klasa — powiada Potocki (*a*, 211) — nie stanowi ani najwyższego, ani jedynego, ani wiecznotrwałego typu ugrupowań wewnątrz społecznych", skąd płynie wniosek prosty i pewny, że były, są lub będą wypadki, kiedy socyolog, wykazujący „czynniki społecznego rozwoju", nie potrafi powołać się na „świadomość klasową", lecz będzie zmuszony uwzględniać inne jakieś świadomości zbiorowe: kastową, stanową, wyznaniową, zawodową, stowarzyszeniową i t. p. — słowem, gdy, wyrażając się ogólnie, ujrzy się w konieczności przyznania, iż biegiem życia społecznego kieruje świadomość społeczna, w takim pozostająca stosunku do rozmaitych tamtych świadomości zbiorowych, w jakim one z kolei pozostają do świadomości jednostkowej [2]. Każda jednostka czuje się członkiem społeczeństwa, z którem ją łączy poczucie solidarności oraz wspólne pojęcia o życiu — to właśnie zwiemy świadomością społeczną; każda

---

[1]) „Rozbiór statyczny dowodzi, że ustrój społeczny spoczywa na pewnych poglądach. Zmiany, zachodzące w tych poglądach, muszą więc wywierać wpływ przeważny na kolejne przeobrażenia życia ludzkości". Emil Rigolage: *La socyologie par Auguste Comte*, Paryż, 1897, str. 117.

[2]) Por. Pierwiastki indywidualne w fenomenalizmie socyologicznym dr. Zygmunta Balickiego („Przegląd filozoficzny", rok IV, zesz. I): „Indywidualność nasza rozszczepia się na tyle osobowości, ile jest grup społecznych, z któremi łączy ją poczucie solidarności"—oraz resztę uwag odnośnych.

też czuje się członkiem jakiegoś „ugrupowania wewnątrzspołecznego", z którem ją łączy również poczucie solidarności szczególnej oraz pewne szczególne pojęcia o życiu — i to są szczegółowe przejawy świadomości społecznej. Bądź co bądź wszakże, dopóki autor nie zamierza określenia swego stosować w wykładzie „międzyspołecznej walki o byt" (*a*, 212), możemy uznać tymczasowo, że socyologicznym momentem świadomości jest przejście jej w świadomość (byle nie ideę!) klasową, albowiem „dzisiaj walka klasowa jest przemijającym typem społecznej walki o byt".

Obok świadomości społecznej (a względnie klasowej), której przejawy stanowią jedną kategoryę czynników społecznego rozwoju, mamy kategoryę drugą, mianowicie czynniki materyalne: klimatyczne, geograficzne, etniczne, wreszcie techniczne, rozumiejąc przez ten wyraz ogół właściwych danemu społeczeństwu w danym okresie jego życia — narzędzi wytwarzania. Potocki w sposób bardzo umiejętny ogranicza charakter socyologiczny tego rodzaju czynników w słowach: „do dziedziny socyologii wkracza wynalazek wtedy, gdy stanie się narzędziem społecznie niezbędnem... Socyologiczny ów moment odpowiada pewnemu dość znacznemu zakresowi upowszechnienia narzędzia, ale na tem nie koniec. Socyologa obchodzi on o tyle, o ile wprowadza zmianę w budowie, w ustroju społecznym" (*a*, 198) — i dodajmy od siebie — w czynnościach społecznych. Ale narzędzia wytwarzania są zawsze w oczach Potockiego czynnikiem wtórnym i pochodnym; „działanie ich całą swą socyologiczną skuteczność i sprawność z a w d z i ę c z a działaniu" czynników ideowo-uczuciowych (*a*, 193), których stosunek do form produkcyi „jest raczej czynny, niż bierny" (*a*, 130). Potocki, jak już poznajemy z tych dwu zdań, był stanowczym, nieubłaganym i namiętnym przeciwnikiem teoryi „materyalizmu czy ekonomizmu socyologicznego"; chociaż z przekonań społecznych stał bardzo blizko stronnictwa, które teoryi tej dało życie i do dziś ją z osobliwem piastuje umiłowaniem, jednak wytrwale, zawzięcie, porywczo niemal walczył ze wszelkimi objawami „materyalistycznego pojmowania dziejów", wkładając w tę walkę wszystek zasób swej wiedzy, cały ogień serca, wszystkie swoje znakomite uzdolnienia polemiczne. Każda praca Potockiego zawiera mniej lub więcej obszerne nawiasowe wycieczki przeciw doktrynie owej, która, posłużywszy niegdyś genialnemu jej twórcy za taran do rozbicia zaczarowanych sklepień fantastycznego idealizmu, z czasem stała się wygodną oklepaną formułą, zdawkowym argumentem wszystkich umysłów, niezdolnych do rozwikłania rzeczywistości. Dowody, zarzuty i szyderstwa Po-

tockiego przyczyniły się w wysokim stopniu do zdyskredytowania u nas „materyalizmu historycznego”, który też zaszedł u nas na stanowisko antyfony, obowiązującej wyznawców pewnego kościoła.

Zaznajomiwszy się z głównymi czynnikami rozwoju społecznego, przejdźmy z kolei do „mechanizmu działania” tych czynników, albo raczej — w myśl poczynionych wyżej poprawek — do samego procesu rozwoju społeczeństw. Stosownie do tego, czy na sprawę ewolucyjną zapatrujemy się, jako na przejaw sił kosmicznych, zmodyfikowanych w pewien szczególny, właściwy naturze skupień społecznych sposób, czy też, jako na ziszczanie się wyobrażeń i pojęć naszych o życiu społecznem, możemy mówić o przedmiotowej lub podmiotowej stronie zjawiska, o przedmiotowej lub podmiotowej formule rozwoju. Jeżeli chodzi o pierwsze stanowisko, to naturalnie nasuwa się myśl, czy zjawiska życia społecznego nie dadzą się podciągnąć pod najogólniejsze z praw, które zna fizyka, mianowicie pod prawo zachowania energii, wpierw jednak należy wyjaśnić sobie, czy wogóle może tu być mowa o energii, oraz z jakiemi jej postaciami mamy do czynienia. „Ktokolwiek miał pojęcie o energii, nie wątpił nigdy, że pierwiastkiem czynnym w życiu społecznem... jest, była i będzie jakaś cząstka ogólnej energii kosmicznej” (*b*, 9), kwestya więc polega na tem tylko, czy domniemanej „energii społecznej” mamy prawo przypisać taki stopień odrębności, taką odmienność konfiguracyjną, topograficzną, jaką przypisujemy „energiom”: elektrycznej, cieplnej, świetlnéj, magnetycznej i t. d. (są one wszystkie tylko pewnem upostaciowaniem, ukształtowaniem jednej jedynej energii kosmicznej, działającej w pewnem środowisku, w pewien odmienny sposób lub z pewnem odmiennem natężeniem), czy też mamy ją raczej uważać za łączny wynik działania innych postaci energii, uznanych za proste. Rozstrzygnięciu tej kwestyi Potocki poświęca długi wywód (*b*, 21 — 30), rozumując, jak następuje. Musimy uznać w społeczeństwie istnienie wielu form energii, których ze społeczną utożsamiać nie wolno, dopóki pozostają sobą, które jednak są społeczeństwu do życia równie potrzebne, jak i domniemana energia społeczna. Tak np. przerwanie procesów biologicznych, zachodzących w jednostkach, które składają społeczeństwo, jak niemniej zawieszenie ich czynności psychicznych równałoby się śmierci społeczeństwa. Jeżeli więc pierwiastkiem czynnym zjawisk społecznych musi być obok domniemanej energii społecznej także i „energia psychiczna”, a nawet i „energia biologiczna”, i jeżeli, znów warunkiem istotnym odbywania się spraw psychicznych oraz biologi-

cznych jest obecność w organizmie energii chemicznej, elektrycznej, cieplnej i t. p., tedy widzimy się w konieczności jaknajbardziej stanowczo zaprzeczyć nazwom: „energia biologiczna”, „psychiczna” i „społeczna” charakteru konfiguracyjnego i topograficznego w tem znaczeniu, w jakiem charakter ów przypisujemy nazwom przypuszczalnie prostych form energii czynnej w zjawiskach elektrycznych, magnetycznych, świetlnych i t. d. Mianem „energii biologicznej” lub „psychicznej” moglibyśmy co najwyżej oznaczyć wysoce złożony całokształt przyczyn fizycznych, powodujących zmiany w ustroju żywym lub wpływających na przebieg spraw psychicznych, mianem zaś „energii społecznej” — jeszcze bardziej złożony całokształt przyczyn fizycznych, wywołujących zjawiska życia społecznego; ale wówczas „nazwy te byłyby nie konfiguracyjnemi w znaczeniu fizycznem, lecz figuralnemi w znaczeniu powieściowem” (*b*, 27) i nie nadawałyby się do wywodów ścisłych. Zanim więc nauka nie zdoła wskazać, co jest w życiu społecznem skutkiem działania znanych już prostych form energii, co zaś tłómaczyć i uzasadniać się musi działaniem hipotetycznej „energii społecznej”, lepiej zrzec się wyszukiwania jej, bo sprawa to nie nagląca, natomiast zająć się trzeba raczej ogólnikowem tylko wykazaniem stosunku ogólnych i znanych zasad energetyki do zjawisk społecznych (*b*, 33). Zdaje mi się, że rada ta brzmi dziwnie trochę w ustach myśliciela, który w sposób tak gruntowny i przekonywający wskazał trudności, tkwiące w naturze przedmiotu, trudności, nieprzezwyciężone przy dzisiejszym stanie wiedzy. Cóż pewnego, cóż niewątpliwego da się powiedzieć o „stosunku zjawisk społecznych do ogólnych zasad energetyki”, skoro nie wiemy, gdzie szukać specyalnego pierwiastku czynnego tych zjawisk? skoro, jak przyznaje sam autor, „ustosunkowania sił dokładnie nie znamy, a wzór energetyczny tych zjawisk zawierać będzie zawsze jedną lub więcej niewiadomych” (*b*, 90)? Możemy zapewne zgodzić się z Potockim, gdy twierdzi, że „działaniom i stanom energii społecznej towarzyszy zawsze świadomość posługujących się nią albo podlegających jej jednostek” (*b*, 135); możemy też przyjąć podział energii społecznej na „użyteczną” i „nieużyteczną”; możemy wreszcie nie przeczyć, gdy mówi, że „zasada zachowania energii obchodzić może socyologa tylko w związku z zasadą samozachowawczości układów społecznych” (*b*, 136) — będą to wszystko niezbite prawdy — ale nie jest to przecież stosowanie zasad energetyki do tłómaczenia zasad społecznych, i nikt na seryo nie zechce tego traktować. Będą to tylko omówienia „figuralne w znaczeniu powieściowem“; analogie, ułatwiające zrozumienie natury życia

społecznego, dobrze pomyślane zwroty opisowe, oddające lepiej i trafniej swoiste właściwości zjawisk, niż jakieś „prawo trzech stanów" Comte'a lub „budowa segmentarna" Durkheim'a. Energetyka musi naprzód owładnąć dziedziną psychiki, zanim wkroczy do społeczeństwa — jeżeli wogóle nastąpi to kiedykolwiek — tymczasem zaś niepodobna zdobyć się już nie na energetyczną, ale wprost na fizykalną formułę rozwoju społecznego, bo wszelkie próby, aż do najudatniejszej spencerowskiej włącznie, z konieczności pomijają stronę duchową życia, której przedstawić nie umiemy w terminach materyi i ruchu [1]).

Nie idzie zatem, żeby formuła przedmiotowa rozwoju była niemożliwa, lecz musi ona z całą dobrą wiarą uznawać realność, równoprawność i równowartościowość obu kategoryi czynników życia społecznego: materyalnej i duchowej, obejmujących je równocześnie. Wymaganiu temu zupełnie czynią zadość wywody Potockiego. Za punkt wyjścia służy mu podobnie, jak Spencerowi, analogia między organizmem biologicznym a ustrojem społecznym, analogia, która doprowadza go do następującego określenia społeczeńswa: „jest to całość, składająca się z części świadomych (niekiedy samowiednych), zespolonych dzięki swym własnościom psychicznym i pozostających w stosunku funkcyonalnej zależności, ujawniającej się najgłówniej w czasie" (*a*, 86). „Całość, składająca się z części s a m o w i e d n y c h", będzie właśnie społeczeństwem ludzkiem, i o niem tylko mówi autor w dalszym ciągu. Ostateczną podstawą socyologiczną zależności funkcyonalnej jest wymiana psychicznych stanów świadomości (pojęć, idei, pożądań, instynktów i t. p.); zmiany, zachodzące zarówno w tej sprawie, jak i w spowodowanej przez nią zależności funkcyonalnej, obejmujemy pojęciem rozwoju społecznego. Polega on 1) na coraz większem natężeniu indywidualnej i międzynarządowej asymilacyi psychicznej, 2) na coraz obszerniejszym podziale pracy oraz towarzyszącem mu różniczkowaniu się i całkowaniu narządów. Siłą sprawczą rozwoju jest zasadnicza właściwość jednostek, składających społeczeństwo, mianowicie samowiedza, „owo ciągłe, jakgdyby organiczne przeciwstawianie siebie przed-

---

[1]) Por. też Ludwika Kulczyckiego Z a r y s p o d s t a w s o c y o l o g i i o g ó l n e j (Lwów, 1900) oraz moją ocenę książki p. Herynga („Głos", 1897). Kulczycki mówi: „Sprowadzanie zjawisk społecznych do zjawisk przeobrażeń energii wydaje się nam do osiągnięcia niemożliwem... kiedy nie mamy możności znalezienia podścieliska energetycznego, ściśle określonego w zjawiskach społeczno - psychicznych (str. 21 i 23).

miotom zewnętrznym". Samowiedza rodzi więc badawczą ciekawość, ta znów ustawicznie wykrywa i rozsprzęga instynkty szkodliwe, a nawet—powiedzmy za autora—i pożyteczne. Słowem, „samowiedza jednostek jest siłą, nie pozwalającą przechodzić psychicznym ich własnościom w stan instynktów niezmiennych, opartym zaś na tych własnościach instytucyom w stan niezmiennych urządzeń"; w ten sposób „dokonywa ona ewolucyi skupień nadorganicznych", nadając „psychicznym własnościom coraz wybitniejsze znaczenie w sprawie rozwoju społecznego" (*a*, 96). Po tak świetnem postawieniu kwestyi spotykamy nagle na str. 123 zdanie, że „władza idei w zaraniu życia społecznego jest o wiele bardziej despotyczna, niż dzisiaj; warunki i czynniki materyalne ulegają jej w stopniu o wiele znaczniejszym", niewolnicy zaś peruwiańscy „posiadali daleko wyraźniejszą świadomość społeczną, aniżeli ogół ludności każdego z najbardziej oświeconych ludów dzisiejszych" (*a*, 126)! Jakże pogodzić jedno z drugiem? Czemuż to wymiana stanów psychicznych ma być coraz częstszą, obfitszą i żywszą, świadomość zaś społeczna ma się owszem zmniejszać lub przynajmniej trwać na jednym stopniu natężenia i rozszerzenia? Daremnie łamalibyśmy głowę nad tą zagadką, której nie sposób rozwiązać inaczej, jak tylko biorąc pod uwagę stosunek Potockiego do „materyalizmu dziejowego", stosunek tak wrogi, że zaszczepił w Potockim pierwiastki odruchowej opozycyi, niemal nałogowej przekorności przy każdem zetknięciu się z twierdzeniami niemiłej mu szkoły. I w tym razie nic innego, jeno chęć przywrócenia godności poniewieranemu przez materyalistów czynnikowi uniosła Potockiego aż do sprzeczności z własną teoryą. Zasłania się wprawdzie omówieniem, że „życie ludów pierwotnych cechuje tylko brak znajomości istotnych potęg przyrody i praw społecznego rozwoju, nie zaś brak społecznej świadomości (*a*, 124), ale zastrzeżenie to nie ocala go od zarzutu niekonsekwencyi, bo właśnie świadomość społeczna ma być jeno „pewną wiadomością, wiedzą, pewnem uprzytamnianiem podstawowych czynników i stosunków życia społecznego" (*b*, 37). Już wyżej napomknęliśmy, że określenie to jest za szczupłe i błędne; tu wystarcza wskazać, iż, choćby nawet było prawdziwe, zniewalałoby wbrew zdaniu Potockiego wnosić, iż rozwój stosunków społecznych idzie w parze z rozwojem świadomości. Ale na pochwałę socyologa naszego dodajmy, że jest to jedyna bodaj niekonsekwencya, jaką w studyach jego spostrzegamy.

Zanim posuniemy się o krok dalej śladem myśli autora, budującej teoryę socyologiczną z dorobku naukowego poprzedników

i z własnych dociekań badawczych, poświęćmy chwilkę na rozpatrzenie tego jej ogniwa, do którego dotarliśmy właśnie: zobaczmy naprzód, co spowodowało Potockiego do uznania „wymiany stanów psychicznych" za podstawowy proces życia w ustrojach społecznych. Napozór nic innego, jak tylko analogia. Cechą zasadniczą ustroju organicznego, cechą, wspólną wszystkim jego, nie zaś niektórym tylko składowym pierwiastkom, jest „metabolizm biologiczny czyli poprostu zdolność przemiany materyi, a dalej odżywiania się"; procesy nerwowe są udziałem niektórych tylko części organizmu, pewnych jego narządów i komórek, a na nie występują wcale wyraźnie w ustrojach najniższych. A zatem w dziedzinie zjawisk nadorganicznych, t. j. społecznych, których istnienia warunkiem są własności psychiczne jednostek, metabolizmowi biologicznemu odpowiadać musi jakiś „metabolizm psychiczny" czyli poprostu zdolność przyswajania oraz wymiany stanów duchowych; proces ten będzie też cechą zasadniczą ustroju społecznego, cechą, wspólną wszystkim jego, nie zaś niektórym tylko składowym pierwiastkom (*a*, 58 — 60). Wygląda to na wniosek, osiągnięty przez analogię, naprawdę wszakże analogia służy tu tylko do uzmysłowienia prawdy, otrzymanej całkiem indukcyjnie, mianowicie przez obserwacyę zjawisk życia społecznego. Analogia sama przez się nie mogłaby wskazać Potockiemu, gdzie szukać „zasadniczej cechy, wspólnej wszystkim składnikom społeczeństwa", lub, co najwyżej — rozumiana literalnie, jak przez Spencera, Schäfflego, Lilienfelda i całą szkołę biologiczną, albo organistyczną — kazałaby upatrywać odpowiednika dla „metabolizmu biologicznego" w czynnościach gospodarczych społeczeństwa, zapomocą których odżywia się ono, przyswajając dobra materyalne, biorąc znów za odpowiednik procesów nerwowych duchowość społeczną i powołując najbardziej wykształcone jednostki do kierowania rzeczą bezmyślną. Aby wznieść się ponad ten błąd, trzeba było wpierw powiedzieć sobie, że „nasze przymioty duchowe w odniesieniu do ustroju społecznego nie są bynajmniej tem, czem okazują się być w stosunku do biologicznego ustroju; nie są one ostatecznym wykwitem społecznego rozwoju, ale jego warunkiem wstępnym" (*a*, 59); powiedzieć zaś to sobie można było dopiero po głębokiem wniknięciu w istotę spraw społecznych. Jeżeli więc z jednej strony z przykładu tego widzimy, że metodą naukową Potockiego była przedewszystkiem obserwacya, uogólnianie, indukcya, analogia zaś służyła mu tylko za środek sprawdzania i uplastyczniania wniosków, to znów z drugiej strony dostrzegamy, że stanął on o całe niebo wyżej od bezpośrednich mistrzów swoich, którymi byli socyologowie

kierunku biologicznego, zwłaszcza Spencer, tak obfitujący w porównania i zwroty w rodzaju powołanego. W tem też znaczeniu śmiało twierdzić można, iż Potocki znakomicie posunął naprzód rozwój nauki socyologicznej, bo nie tylko wskazał błędy poprzedników, lecz i poprawił je, przywracając doniosłą płodność analogii między społeczeństwem a organizmem, analogii, która wydać powinna niejeden jeszcze owoc wspaniały pod warunkiem, że nie zapomni nigdy o zasadniczych między porównywanemi dziedzinami różnicach. — Drugim niemniej godnym podziwu punktem, świadczącym o śmiałym polocie myśli Potockiego, jest znów poprawka, którą wprowadza do spencerowskiej formuły ewolucyi, której rzekoma prostota i skończoność nie potrafiły powstrzymać zapatrzonego w rzeczywistość badacza. Pozwolę sobie przytoczyć cały ustęp odnośny zarówno dlatego, że jest on zbyt zwięzły, aby dał się streścić, jak i dlatego, że doskonale uwidocznia swobodę, z jaką umysł socyologa naszego poruszał się w dziedzinie rozważanych przez się zjawisk. „Ewolucya w dotychczasowem jej pojmowaniu — mówi Potocki — przedstawia dwie główne sprawy: różniczkowania i całkowania, dyferencyacyi i integracyi. Natomiast wszelka deintegracya uważaną jest za objaw wsteczny, za synonim dyssolucyi — rozprężenia, zagłady. Jednakże tak samo, jak dyssolucya, składa się nie tylko z procesów deintegracyi, lecz w pewnych wypadkach — z procesów integracyi wstecznej, tak też jedną z najbardziej nieuniknionych wyższych faz ewolucyi musi być deintegracya, powstrzymująca rozpęd niższych form ewolucyjnych i umożliwiająca ukazanie się wyższych. Deintegracya ewolucyjna, polegająca na zburzeniu scałkowań i różniczkowań uprzednich, różni się od dyssolucyi zarówno pod względem wyników swych, jak i przyczyn — czyli zarówno pod względem teleologicznym, jak i genetycznym. Następstwem jej nie jest ostateczna zagłada danego skupienia (np. ustroju), ale, jak mówię, umożliwienie wyższych faz ewolucyi; przyczyną jej bywają zazwyczaj zwrotne oddziaływania czynników wyższych na niższe, nie zaś, jak w dyssolucyi — wpływy niższych czynników, wyłamujących się z pod kontroli wyższych" (*a*, 281). „W zakresie zjawisk społecznych objawem deintegracyi ewolucyjnej jest rewolucya właściwa, t. j. taka, w której przewrót odbywa się dzięki wpływowi czynników wyższych na niższe, nie zaś za sprawą niższych czynników (zjawiska rokoszu)... Uznanie deintegracyi ewolucyjnej może być uważane za postępową fazę ewolucyi" (*a*, 282). W ten sposób w oczach Potockiego zarówno różniczkowanie i całkowanie, jak i deintegracya, są tylko pewnemi formami przebiegu zjawisk, formami, napotykanemi

tak dobrze w ewolucyi, jak i w dyssolucyi, formami przeto, które same przez się nic nie stanowią o charakterze ewolucyjnym lub dyssolucyjnym (rozwojowym lub rozsprzężonym) spraw, zachodzących w danem skupieniu, o postępowości lub wsteczności przeobrażeń, skutkiem czego między pojęciem ewolucyi a dyssolucyi niepodobna pociągnąć granicy dopóty, dopóki używamy terminów wyłącznie fizykalnych, dopóki uwzględniamy tylko zmiany materyalne i ruchowe, a nawet dopóki wogóle stoimy na gruncie przedmiotowym, zwłaszcza że i „działanie wyższych czynników na niższe bywa również niekiedy dyssolucyjnem" (*a*, 281). Aby zrozumieć ostatecznie, co jest ewolucyą, co zaś dyssolucyą, trzeba uwzględnić stronę teleologiczną procesu czyli przejść na stanowisko podmiotowe. Innej konkluzyi nie można też było oczekiwać od socyologa, który uznał świadomość społeczną za jedyny czynnik pierwotny życia społeczeństw, za cechę zasadniczą i podstawową skupień społecznych. Rozwiązaniem zagadnieuia socyologicznego może być tylko formuła podmiotowa rozwoju społeczeństw.

Wierny sobie Potocki dochodzi i do tej formuły zapomocą kolejnego przeglądu różnych dziedzin życia — od najniższych jego przejawów w świecie roślinnym aż do najwyższych w sferze stosunków społecznych, tylko że i tu, jak wszędzie, aż nazbyt ubolewać wypada nad publicystycznym charakterem studyów, których przeznaczenie i sposób tworzenia wywarły wpływ ujemny na sposób wykładu: czystą indukcyę maskuje maniera odwoływania się do prawd, znanych już skądinąd czytelnikom, co czyni wrażenie odstępowania od metody, chociaż posiada spoistość doskonałą. System *laissez-faire*'yzmu — powiada nasz autor — upowszechniający mniemanie, że nieograniczone współzawodnictwo jednostek jest podstawą rozwoju indywidualności ludzkiej, a zarazem cechą stałą życia społecznego, jest skutkiem ciasnego pojmowania darwinowskiej „walki o byt". Tymczasem już Darwin sam wykazywał, iż 1) walka o byt bynajmniej nie zawsze oznacza zapasy pomiędzy istotami żyjącemi, lecz często oznacza li tylko pokonywanie ujemnych oddziaływań przyrody martwej; 2) zapasy pomiędzy istotami żyjącemi nie zawsze odbywają się w sposób bezpośredni, ale i pomiędzy ich gromadami. Ale nadto — dodaje od siebie Potocki — „sama walka o byt, podobnie, jak i kształtowane przez nią organizmy, podlega prawu stopniowego rozwoju; formy jej, zrazu najprostsze, stają się coraz bardziej złożonemi; z najbardziej bezpośrednich przeobrażają się na takie, co zmierzają do celu pośrednio... Coraz większa pośredniość jest wynikiem działającej wszędzie zasady zdążania po

linii najmniejszego oporu — zasady, która po ukazaniu się i wejściu w grę czynnika **ś w i a d o m o ś c i** — staje się zasadą działania w kierunku najmniejszych **w y s i ł k ó w**" (*a*, 28). „Walcząc z członkami gromady wrogiej, członkowie danej grupy nie tylko nie walczą w tymże czasie z sobą, ale przez sam już fakt wspólności pokonywanych wrogów działają z sobą wespół" (*a*, 29). Kooperacya najprzód przymusowa, potem dobrowolna zaczyna bodaj sporadycznie zjawiać się na widowni życia. „Podobne komplikacye mogą się ukazywać i wówczas, gdy grupa jakaś walczy o byt z otoczeniem przyrody martwej... Zauważyć należy, iż świadomość wspólności celów, płynące stąd uczucie większej pewności, ukazując się (z początku) tylko sporadycznie, w wypadkach większego natężenia walki, stają się z biegiem czasu chronicznemi, a w ten sposób współdziałanie, będące zrazu tylko sporadycznym objawem bardziej złożonej walki o byt, staje się jej cechą stałą" (*a*, 30). „Oczywiście przeto wyrazem coraz wyższych stopni rozwoju walki o byt, coraz większej jej złożoności i pośredniości... będzie coraz częstsze zlewanie się grup najmniejszych w większe, coraz znaczniejszy stopień integracyi i różniczkowania wewnątrz grup pochodnych"; wynikiem pierwszego procesu musi być coraz znaczniejsza **i l o ś c i o w o** domieszka **w s p ó ł d z i a ł a n i a**, wynikiem drugiego — coraz większa **j a k o ś c i o w o** jego doza. Najwyższą zaś postać walki o byt cechować musi w stopniu największym zarówno ilościowy, jako też jakościowy wpływ **w s p ó ł d z i a ł a n i a** (*a*, 31). „Mówiąc językiem socyologii, największy być musi... zakres koordynacyi i subordynacyi jednostek". Lecz cóż się stanie ze sprawą doskonalenia się rodzaju ludzkiego, gdy walka jednostek ustanie? Jaką rolę odegra wówczas jednostka? „Odpowiemy na to, że, skoro wszystkie jednostki danego gatunku zespolić się muszą w grupę jedną, skoro wewnętrznym regulaminem tej grupy nie może być współzawodnictwo jednostek, lecz tylko ich współdziałanie, tedy jednostkowa walka o byt wewnątrz gromady owej będzie mogła przybrać jedną tylko postać, jedyną—**w s p ó ł u b i e g a n i a s i ę w e w s p ó ł d z i a ł a n i u**" (*a*, 32). W sposób przedziwnie porywający godzą się tutaj ścisłe wnioski naukowe z pierwiastkami najszlachetniejszego idealizmu, trzeźwe przewidywania myśli badawczej z tęsknotą serca, spragnionego dni pogodnych i ciepłych, krytycyzm socyologa, wykształconego na teoryach ewolucyonistycznych i wychodzącego z założeń pozytywnych, z marzeniem humanisty, dla którego życie ludzkości jest ogniskiem wszechświata, szczęście zaś jej — jego celem. W rezultacie otrzymujemy formułę, która jest jednocześnie syntezą najpotężniej-

szych w stuleciu ubiegłem prądów społecznych i politycznych, nie przestając być kwiatem wiedzy najnowszej. Formuła ta obejmuje tak dobrze dotychczasowe dzieje rozwoju społeczeństw, jak i współczesne zjawiska ich życia, co zaś najważniejsza, nie stawia kresu przyszłej ewolucyi, lecz owszem, otwiera przed nią najrozleglejsze i nieskończone widnokręgi. Kamieniem jej węgielnym jest fakt niewątpliwy, fakt, rzucający się w oczy: wzrost dobrowolnego współdziałania w biegu stuleci; cokolwiek zaś dałoby się zarzucić sposobowi, zapomocą którego Potocki ustanawia rodowód zjawiska kooperacyi, a nawet cokolwiek dałoby się zarzucić samemu jej rodowodowi (z pewnością niezupełnemu, bo uwzględniającemu tylko wpływy wtórne), pozostanie pewnikiem, iż przyszłość rodzaju ludzkiego leży we współdziałaniu swobodnem i dobrowolnem.

* * *

Potocki, jak już nadmieniłem, nie ujął teoryi swej w wykład systematyczny i nie oświetlił nią całej dziedziny zjawisk społecznych, co mogłoby nas uwolnić od wchodzenia w szczegóły poglądów jego na tę lub ową kwestyę; niemniej przeto uważam za rzecz wysoce pouczającą i ciekawą zapoznać czytelników z zapatrywaniami Potockiego na sprawę kobiecą, stosunek kobiety do mężczyzny, metodę nauk społecznych oraz zagadnienie o narodowości. Będę jednak teraz zwięzły i ograniczę się do wykładu dogmatycznego.

Wychodząc z zasady, że wszystkie wogóle funkcye fizyologiczne powstały przez różniczkowanie jednej jedynej podstawowej czynności protoplazmy, mianowicie czynności odżywczej, Potocki śladem biologów angielskich wskazuje, że czynność ta czyli sprawa wymiany materyi przedstawia dwie fazy: anaboliczną, czyli fazę skupiania się cząsteczek, i kataboliczną, fazę ich rozpraszania. „Pierwsza jest jakgdyby drobinowym równoważnikiem i synonimem bierności, druga — czynności" (*a*, 244). Z biegiem czasu przez wyspecyalizowanie się skupiających się skłonności w jednej, rozpraszających zaś w drugiej bryłce pierwsza li tylko po wchłonięciu takiej substancyi czynnej może stać się zdolną do wydawania z siebie bryłek nowych. Mamy tu najpierwsze stadyum odrębności płciowej i najpierwsze, najbardziej podstawowe znamiona płci obojga; znamiona te są skutkiem seksualizacyi (upłciowienia) własności zrazu niepłciowych. Podobnież i drugorzędne znamiona płciowe powstają przez seksualizacyę innych, niezasadniczych już przymiotów, a to

pod działaniem zarówno okoliczności przypadkowych, jak i czynników stałych, bądź biologicznych, bądź społecznych. Dobór płciowy z jednej strony, interesy gatunku oraz interesy i warunki życia społecznego z drugiej wywierają wpływ przeważny na uwyłącznienie się różnych zrazu niepłciowych znamion w obrębie jednej tylko płci; tak tworzą się drugo,- trzecio- i czwartorzędne cechy płciowe. Nawet rzekome psychiczne znamiona odrębności płciowej są tylko widocznem następstwem seksualizacyi ogólnych przymiotów ducha, uwyłącznieniem ich na korzyść płci jednej w sferze szczególnych warunków tawarzyskiego i społecznego środowiska (*a*, 264). Ponieważ wszakże deintegracya jest równie prawowitą fazą ewolucyi, jak i różniczkowanie lub całkowanie, fazą niekiedy owszem konieczną, przeto ze zmianą warunków życia, głównie ze zmianą wpływów otoczenia społecznego zdarzać się musi stopniowy powrót znamion już useksualizowanych do rzędu ogólnych, niepłciowych przymiotów osobnika. Ta sprawa deseksualizacyi objąć musi przedewszystkiem przymioty, niezbędne w danym okresie rozwoju dla obu płci zarówno i w stopniu jednakim, posuwać się jednak może aż do częściowego przynajmniej wyrównania koniecznych równoważników męskiego katabolizmu i kobiecego anabolizmu w sferze ducha (*a*, 289). — Potocki, jak widzimy, doskonale zdawał sobie sprawę z istnienia różnic duchowych między obu płciami, rozumiał też całą nieuchronność wiekuistej między niemi pod wielu względami odrębności, wszakże potrafił nadać zagadnieniu temu pożądaną ścisłość, przenieść je na grunt naukowy, w dziedzinę faktów i wyciągnąć z nich wnioski, które mimo najgorętszej jego sympatyi dla kobiet ustrzegły go od przedzierzgnięcia się w płytkiego feministę, a mimo najgłębszego szacunku dla męskiego ducha — od popadnięcia w brutalny egoizm męski. Punkt widzenia ewolucyjny i *par excellence* socyologiczny nadaje poglądom jego równowagę, harmonię i sprawiedliwość, że się tak wyrażę, wyczekującą: przyszłość przywróci kobiecie, co zabrała jej przeszłość, przywróci jej wszystko — prócz energii czynnej i ducha inicyatywy.

Ale nie sądźmy, że ujednostajnienie przymiotów duchowych kobiety i mężczyzny doprowadzić może i powinno do tego, co dziś uchodzi pospolicie za warunek istotny emancypacyi, do ujednostajnienia rodzajów pracy obu płci. „Cywilizacya posuwa się nie od różnorodności trudów męskich i żeńskich ku jednorodności, lecz przeciwnie od jednakowości ku odmienności... T. zw. równouprawnienie ekonomiczne, będące właściwie ujednostajnieniem rodzajów pracy, nie jest postępem, ale cofaniem się; objawy takiego ujedno-

stajnienia muszą zawsze odpowiadać okresom r o z s p r z ę g a n i a s i ę budowy społecznej, okresom pogmatwania i nieładu, bezrządu i bezprawia" (*e*, 341), albowiem wynika stąd tylko „u s z c z u p l e n i e praw: ekonomicznych praw mężczyzny, moralnych (macierzyńskich) i biologicznych praw kobiety" (*e*, 342). W innym kierunku szukać więc trzeba postępowego rozwiązania kwestyi, w kierunku, zgodnym z biegiem ewolucyi rodziny. Rozwój stosunków ekonomicznych, uszczupliwszy władzę ojcowską oraz obowiązki ojcowskie, uspołecznił zarazem odjętą mężczyźnie część praw i obowiązków, wywłaszczywszy zaś kobietę z wielu funkcyi macierzyńskich, „nie wynalazł dla niej zastępstwa, nie unarodowił ich". Otóż czynności kobiet w rodzinie są tak ważne, iż troska o należyte ich spełnianie powinna być żywotnem zadaniem społeczeństwa, które musi też wymagać od kobiet przedewszystkiem pracy wychowawczej w rodzinie. Ale słuszność i sprawiedliwość nakazuje, żeby kobiety spełniały czynności swe w sposób najekonomiczniejszy i najwłaściwszy, a zarazem, żeby korzystały wzamian za swe prace z takich samych praw obywatelskich, co i mężczyźni. „Przygotowawczy okres wychowania kobiet musi być znacznie dłuższy; poszczególny ich zawód wychowawczyń powinien dla dobra społeczności otworzyć im możność uczestniczenia w ogólnem życiu społecznem" (*e*, 486). „Olbrzymia i niezmiernie trudna specyalność wychowawcza będzie stanowiła o zawodzie, o prawach obywatelskich, o ekonomicznej niezależności ogromnej liczby kobiet zamężnych i niezamężnych; zbiorowa zaś organizacya wzajemnej pomocy pracownic na tem polu pozwoli innym kobietom oddawać się specyalnościom innym — z pożytkiem dla społeczeństwa i bez nieodzowności marnotrawnego zarzucania po zamążpójściu tego, czego zdobycie kosztowało wiele trudów tak jednostkę, jak i społeczeństwo" (*e*, 487).

Kwestya narodowości, albo raczej początków jej i rozwoju, nie została nigdy opracowana przez Potockiego w całości; w przedmiocie tym powiedział on właściwie tyle tylko, ile potrzeba było do wykazania błędów, którymi oszpecił daną sprawę materyalizm socyologiczny w osobie Kautsky'ego. Wyłuszczę więc najogólniejsze jeno twierdzenia Potockiego. — „Narodowość jest sumą znamion cielesnych, duchowych i społecznych, jakie, wyrobiwszy się na gruncie... właściwości antropologicznych, pod zewnętrznym wpływem... żywego i martwego otoczenia oraz pod działaniem wewnętrznem ideowo-uczuciowych i materyalnych czynników, za sprawą głównie tradycyi historycznej—dochodzą stopniowo do świadomości myśli i uczuć nacechowanego w powyższy sposób ogółu" (*c*, 594). Określenie to,

które podaje zarazem definicyę narodu, jest, jak zaznacza już sam autor, nawskroś dynamiczne, a przytem pozostaje w ścisłym związku z całokształtem zapatrywań Potockiego na rolę świadomości w życiu społecznem: rzecz oczywista, iż rozwój narodowości zależy bezpośrednio od postępów uświadomienia jednostek, z których składa się naród. Nawet t. zw. ideały klasowe, które, według opinii wielu, mają pozostawać w sprzeczności z interesami narodu, muszą jednak ogarniać interesy szersze, gdyż „klasa, przodująca w danej chwili dziejowej, bierze faktyczne i teoretyczne przedstawicielstwo całej społeczności” (*c*, 616). Produkcya zaś towarowa, o ile wpływa na rozwój narodowości nowożytnej, „dokonywa tego nie inaczej, tylko jako jeden z bardzo wielu czynników, powiększających liczbę jednostek, obdarzonych prawami, biorących czynny udział w życiu społecznem i tem samem dochodzących do coraz większej świadomości” swych wspólnych znamion (*c*, 606). Ten ustęp oraz jego pobieżne zresztą uzasadnienie przypomina bardzo poglądy Achillesa Lorii, który rozwodzi się nad błogim skutkiem antagonizmu między klasą właścicieli ziemi a właścicieli kapitałów; zresztą względy polemiczne tym razem powstrzymały Potockiego od przedstawienia innych stron kwestyi.

Daleko bardziej wyczerpująco została omówiona metoda nauk społecznych, a to z powodu, iż dała ona Potockiemu sposobność do uzupełnienia wyłożonej o rok przedtem myśli o współzależności zjawisk i nauk. Szkic, poświęcony metodologii, dzięki właśnie takiemu podkładowi filozoficznemu, posiada spoistość niezwykłą. Autor przegląda po kolei różne kategorye skupień od najprostszych do najbardziej złożonych, od brył materyi martwej do ustrojów społecznych i, charakteryzując właściwości każdej kategoryi zjawisk, przychodzi do następujących wniosków. W miarę wzrastania złożoności skupień oraz ich dynamiczności [1]) zależność tak części względem całości oraz innych części, jak i zależność całości od otoczenia staje się coraz słabszą i coraz bardziej pośrednią, aż wreszcie spostrzegamy niejako odwrócenie stosunku zależności i uzależnienie samego środowiska od skupień (*d*, 99 — 100). Ponieważ jednocześnie skupienia najniższe są wytworem najbardziej podstawowych, a tem samem najpowszedniejszych warunków zewnętrznych, skupienia zaś

---

[1]) Dynamicznem nazywamy zespolenie wówczas, gdy części skupienia, dążące do równowagi stałej, pozostają w ruchu; statycznem — gdy są unieruchomione.

najwyższe — warunków najbardziej szczególnych i do osiągnięcia najtrudniejszych, więc, w miarę wzrostu złożoności skupień i w miarę wzrostu ich niezależności, zacieśniają się granice, w jakich otoczenie umożliwia byt skupień. Wniosek ten, wyprowadzony nader umiejętnie, wypowiedziany ze ścisłością subtelną i całkiem prawdziwy, upoważniać nie może jednak do tak paradoksalnego twierdzenia, jakie opiera na nim Potocki. Oto powiada, iż z dwu środków badania, właściwych metodzie indukcyjnej, obserwacya najstosowniejsza jest, gdy chodzi o skupienia najprostsze (opis zjawiska będzie tam odrazu sformułowaniem jego stosunków przyczynowych, jego prawa), doświadczenie zaś — gdy chodzi o skupienia najbardziej złożone, np. ustroje społeczne [1]). Autor utrzymuje, że, skoro skupienia proste są wytworem warunków ogólnych i powszednich, a więc takich, których zmiana jest dla nas najtrudniejsza, tedy niepodobna prawie urządzić tam właściwego eksperymentu; odwrotnie nad szczególnymi, rzadko spotykanymi warunkami istnienia skupień złożonych mamy mieć niby władzę największą. Cokolwiek przytacza się dalej na obronę niewątpliwego paradoksu tego, pozostaje przecież pewnikiem, iż wszystko polega na niepozozumieniu. Naprzód Potocki zapomina, że o doświadczeniu wolno mówić wtedy tylko, gdy z pośród warunków wewnętrznych lub zewnętrznych zmieniamy jeden lub kilka dobrze wiadomych i oznaczonych, nie zaś, gdy na chybił trafił wprowadzamy jakiś czynnik nowy lub niweczymy jakiś stary, nie wiedząc zgoła, czy niweczymy lub wprowadzamy jedną siłę, czy też może kilka współzależnych. „Zbudowanie fabryki” tak samo zasługuje na miano eksperymentu socyologicznego, jak np. wbicie gwoździa w drzewo w celu zbadaniu wpływu żelaza na tworzenie się chlorofilu w liściach. Powtóre, mając na uwadze względną szczególność i nietrwałość warunków otoczenia skupień złożonych, Potocki nie uwzględnia zupełnie ich liczności, nie myśli o tem, że jest ich takie mnóstwo, iż niepodobna nawet wymienić wszystkich. To znów utrudnia doświadczenie w socyologii— z tego samego zupełnie powodu, który czyni tu trudną i obserwacyę. Dlatego też socyologia, będąc — jak wskazuje sam autor — nauką

---

[1]) Pod tym względem Potocki posunął się dalej nawet od Comte'a, który też uznawał w zasadzie przydatność metody doświadczalnej w socyologii, lecz ograniczył ją do „eksperymentów pośrednich“, które w gruncie rzeczy są u niego tylko obserwowaniem zmian, zachodzących w normalnym przebiegu zjawisk społecznych pod wpływem jakiegoś zakłócenia. Por. Rigolage d z. p r z y t., str. 73 — 75.

o największej dedukcyjności podstaw badania i o największej indukcyjności sposobów dochodzenia prawdy, a zarazem mając najbardziej ograniczoną możność stosowania głównych oręży indukcyi: doświadczeń i obserwacyi, musi rozwijać się wolno i z wysiłkiem odnajdywać prawdę. Sprawiedliwość, należną metodzie historycznej w socyologii, Potocki oddał znacznie później, dowodząc, że „nie tylko o kierunku odkształceń przyszłych pouczyć nas ona może, ale też przyczynić się do wyjaśnienia zasadniczych pytań co do wzajemnej zależności zjawisk" (*b*, 91), gdyż w rzędzie czynników życia społecznego jest pamięć albo tradycya przeszłości, której niepodobna zrozumieć i ocenić bez pomocy historyi [1]).

* * *

Niejednokrotnie w ciągu artykułu tego wypadało mi wymieniać kierunki naukowe, których wpływy widoczne widzimy w umysłowości i w poglądach Potockiego, oraz wskazywać ludzi, z którymi łączyło go podobieństwo zapatrywań lub stanowiska, tu więc ograniczę się w zakończeniu na krótkiej zdania mego rekapitulacyi. Potocki był uczniem duchowym Spencera i urabiał się w atmosferze ewolucyonizmu, który służył mu zawsze za punkt wyjścia, za tezę podstawową i za wzór badań, jak znów Spencer pozostawił mu w spadku, prócz niezłomnego przekonania o istotnej analogii między organizmem a społeczeństwem, metodę wykładu, sposób argumentacyi i nawet charakterystyczne swoje mianownictwo. Ale socyolog nasz dzięki wybornym zaletom umysłu swego: przenikliwości, zmysłowi konsekwencyi, nałogowi trzeźwej obserwacyi, poczuciu ścisłości oraz dzięki bardzo znacznej erudycyi osobliwie w zakresie biologii i psychologii, erudycyi, której niewiele śladów widzimy w studyach, tworzonych na użytek czasopisma,— odrazu stanął wyżej od mistrza przez to głównie, iż dostrzegł braki analizy jego, pogłębił ją w kierunku psychologicznym i wprowadził czynnik świadomości na przynależne mu w nauce o rozwoju społecznym miejsce. Stanął więc w szeregach socyologii psychologicznej (albo dualistycznej) obok Warda, Mackenziego, Haurion, Giddingsa, Grant Allena, Z. Balickiego, Karejewa i innych—jak również obok angielskich pisarzów politycznych o barwie demokratyczno - społecznej, a to ze względu na swe ideały, których na każdem bronił miejscu. Nie mogę tu za-

---

[1]) P. Kulczycki w książce przytoczonej poprostu parafrazuje tylko odnośny ustęp rozprawy Potockiego.

jąć się szczegółowem porównywaniem Potockiego z pokrewnymi mu socyologami, ale muszę zaznaczyć, iż studya jego nie tylko wyprzedziły w czasie ich dzieła (prócz Warda i poczęści Giddingsa), lecz także wzniosły się pod wielu względami daleko wyżej — może i dlatego, że Potocki, uzbrojony w duży zasób wiedzy przyrodniczej, umiał ustrzedz się tak pospolitego u szkoły swej apryoryzmu. Natomiast w pracach Potockiego widać pewne słabe strony; wytłómaczenie ich znajdziemy, zdaje się, w szczupłym materyale etnograficznym, którego nieobecność, często wprost rażąca, wywołuje niekiedy wrażenie pobieżności. Ale Potocki nie był nigdy pobieżnym: bywał tylko czasami zbyt treściwy lub też takim być musiał. Nie odejmuje to wartości studyom jego: są one wysoce ważnem zjawiskiem w historyi nauki polskiej, bardzo cennym nabytkiem dla nauki wszechświatowej; są pokarmem posilnym dla głowy i — ciepłem ożywczem dla serca.

W Potockim straciliśmy uczonego w wielkiem i szlachetnem znaczeniu tego wyrazu.

Jan Stecki.

Dwie historye literatury polskiej.

Piotr Chmielowski. „Historya literatury polskiej" tom III, IV, V, VI. Warszawa, 1899, 1900.

St. Tarnowski. „Historya literatury polskiej" tom I — V. Kraków 1900.

Dwaj wybitni przedstawiciele krytyki literackiej u nas i autorzy licznych monografii z zakresu dziejów literatury wystąpili współcześnie z dziełami, równych niemal rozmiarów, streszczającemi ich trzydziestoletnią pracę na tem polu.

Starszy latami i głośniejszy, dzięki właściwościom talentu i przyjaznym okolicznościom, hr. Stanisław Tarnowski, pozyskał za swe studya, prócz sławy, cały szereg najwyższych odznaczeń, jakiemi można uczcić uczonego: katedrę profesorską, rektorstwo, godność prezesa akademii umiejętności; młodszy wiekiem, cichszy, bogatszy wiedzą i pracą, niż zaletami formy, Piotr Chmielowski, ciężką pracą, przy zrujnowanem zdrowiu, zdobywa kawałek chleba. Konieczność dostarczenia wydawcom na oznaczony termin książek zamówionych musi nieuchronnie, przy pośpiechu w robocie, oddziaływać ujemnie na jej wartość.

Oceniając w roku zeszłym dwa pierwsze tomy pracy Chmielowskiego [1]), zwracałem uwagę przedewszystkiem na metodę, jakiej trzymał się autor zarówno w klasyfikacyi pojawów, jak w rozbiorze utworów i charakterystyce autorów.

W czterech dalszych tomach, obejmujących wiek XIX, zachował ten sam układ, lecz wynikające stąd zarówno w ciągłości historycznej, jak i łączności współrzędnej pojawów, przerwy i skoki mniej nas tu rażą z powodu coraz ściślejszej spójni wewnętrznej, zachodzącej między zjawiskami życia umysłowego, jak i dzięki zajęciu, jakie budzi opowieść, a raczej wykład autora, obznajmiającego nas z wielką ścisłością, sumiennością, jasnością i znawstwem z bogatym plonem literatury wieku ubiegłego.

Chmielowskiego należałoby uczcić mianem „kustosza" tego plonu, w którym nic nie uszło jego uwagi, nic godnego pamięci nie zostało pominięte, wszystko, co było ogłoszone drukiem, przeszło przez jego rozumną, życzliwą i bezstronną kontrolę.

Ta nieustanna, trzydziestoletnia czynność czytania i oceniania niezliczonej ilości pism wytworzyć musiała w duszy krytyka przewagę władzy myślenia nad sercem, którego uczucia gorące przekształcają się w niewyczerpane źródło energii, umożliwiającej długotrwałą i płodną tak pracę.

Odwrotny poniekąd stosunek władz duchowych przedstawia drugi historyk literatury, Tarnowski, którego dzieło, ogłoszone współcześnie z drugą połową pracy Chmielowskiego, ułatwia jej ocenę, uwydatniając przez zestawienie nietyle wady, ile zalety ostatniej.

W dziele Tarnowskiego przeważa ocena uczuciowa nad analizą i sądem pojęciowym, namiętność polityka i katolika, uczuciowość patryoty nad poważnym sądem historyka, objektywnością krytyka, pogodą estetyka. Autor chce być na przemian to wytwornym przewodnikiem, objaśniającym wykwintnemu towarzystwu zabytki, nagromadzone w skarbcu literatury ojczystej, to znowu przedzierzga się w rycerza, stojącego na straży narodowej arki przymierza, do której przyjmuje na przechowanie to tylko, co jest w harmonii z dogmatami jego wiary i polityki, odpychając i druzgocąc niekiedy to, co uważa za przeciwne swym zasadom, lekceważąc zresztą to wszystko, co się bezpośrednio z jego dogmatami nie wiąże.

Stąd u Tarnowskiego wymagania metodyczne, troska o ścisłość, zupełność, stoją na drugim planie. Umie on wymownie uwiel-

---

[1]) „Nowa historya literatury polskiej". „Ateneum" styczeń r. 1900.

biać, namiętnie potępiać, walczyć z zaciętością, ale mozolne zbieranie i rozpatrywanie faktów, spokojna a gruntowna analiza, objektywny sąd nie godzą się z właściwościami jego organizacyi duchowej. Potrafi on czytelnika zainteresować, pociągnąć niekiedy siłą uczucia, ująć jasnością, płynnością wykładu, ale nie nauczy, nie wyjaśni istoty i stosunków zjawisk, o których przyjemnie i zajmująco rozprawia.

Ten uczuciowy stosunek do przedmiotu i polityczny kąt widzenia w rozpatrywaniu dziejów literatury sprowadza w dziele trudne do usprawiedliwienia braki, rażącą nierównomierność i stronniczość w traktowaniu utworów i autorów.

Całą dawniejszą literaturę łacińską i początki polskiej, aż do wystąpienia Reja, pomija Tarnowski niemal, zbywając krótką, powierzchowną i wielce ułomną charakterystyką. Podczas gdy w dalszym ciągu dzieła znajduje dość miejsca na obszerne rozbiory bądź dzieł historyków i polityków łacińskich, bądź poematów łacińskich („Victoria deorum"), bądź wreszcie drobnych broszur („Idea apocalyptica" Solikowskiego), cała dawniejsza historyografia została wyłączona z książki. „Annales" Orzechowskiego streszcza historyk rozdział po rozdziale, zato wielkie dzieło Długosza zbyte wzmianką ogólnikową. Z poetów łacińskich poświęca Tarnowski, słusznie zresztą, Janickiemu aż cztery strony, nie pomija też Dantyszka i Krzyckiego, ale najświetniejszy liryk, jedyny głośny w Europie mistrz poezyi nowołacińskiej, Sarbiewski, znikł z kart książki prof. Tarnowskiego. Za to do panteonu literatury narodowej wprowadza historyk autorów, jak Lemka i Siemek (t. II 133), którym nie śniło sią pewnie o tym zaszczycie. Na ośmiu aż stronach streszcza znowu bezimienną broszurkę p. t. „Rozmowa ziemianina z plebanem", napisaną „niesmacznym mięszanym językiem pół po polsku, pół po łacinie przeładowaną cytacyami", choć to, co w niej było ciekawego, możnaby zamknąć w 10 wierszach. Wpływ reformacyi, najważniejszy z czynników rozwoju literatury polskiej w pierwszej połowie w. XVI, tak bogate piśmiennictwo religijne, któremu zawdzięczamy głównie rozwój poezyi i prozy polskiej, przekłady pisma świętego, postylle, śpiewniki, setki wyznań wiary, katechizmów, pieśni, broszur, zostały usunięte z dziejów literatury. Oto, w jaki sposób charakteryzuje Tarnowski wpływ reformacyi na ówczesne życie duchowe: „Większość chwyta ciekawie nowości religijne, w każdym domu szlacheckim, na każdym zjeździe prowadzą się dysputy teologiczne, decyduje się gospodarskim rozumem, kto ma słuszność, czy papież, czy Luter, a zwłaszcza z wielką przyjemnością wygaduje się na księży, wypo-

mina się wszystkie wielkie zgorszenia i drobne anegdotki, o jakich kto słyszał lub wiedział. Rej tak samo. Puszcza się śmiało na pole teologiczne, ale widocznie dobrze wie tylko jedno, że ten lub ów proboszcz miał złe obyczaje, ten biskup był chciwy, ten przeor lub opat miał dobrą kuchnię lub piwnicę" (t. I, 67 i 68). Słowem, ruch religijny, który wstrząsnął do głębi dusze takich ludzi, jak: Łaski, Modrzewski, Orzechowski, Rej, Kochanowski i tylu innych, pobudzał ich do zastanawiania się nad najważniejszemi zagadnieniami życia, wytwarzał w ich duszach podniosłe ideały, przewodniczące ich działalności i opromieniające ich pisma, przedstawia się tu, jako kolportowanie anegdotek o księżach lub gawędzenie towarzyskie o kwestyach, tak dalekich i obojętnych dla ówczesnych, jak dla nas kwestya chińska lub marokańska. Jeżeli chodzi o anegdotki skandaliczne, to Długosz, choć najlepszy katolik, umie opowiedzieć daleko więcej o biskupach i papieżach nawet, niż przejęty kalwinizmem Rej.

Jak w dziejach politycznych historyk najwięcej uwagi i miejsca poświęcać powinien tym faktom, które w rozwoju życia narodowego wyróżniają się swą doniosłością społeczną, ekonomiczną, kościelną czy prawno-polityczną, podobnież w dziejach literatury uwydatniać i na pierwszy plan wysuwać należy utwory, będące wiernem a pięknem, a więc trwałem odbiciem wybitnych momentów rozwoju indywidualnego, idei religijnych, społecznych, politycznych. Im mniej mamy takich utworów, tem więcej przywiązywać musimy do nich znaczenia, tem lepiej je rozumieć i żywiej się nimi interesować. Prof. Tarnowski posiada pożądane u przemawiającego do szerszych kół zalety: dar słowa, płynność, jasność, a przytem właściwą sobie wytworność, ustępującą pod wpływem gorętszego uczucia miejsca szczeremu zapałowi. Ile razy ten dar słowa łączy się z głębszą znajomością przedmiotu, tylekroć pozwala czytelnikowi w łatwy i miły sposób zaznajomić się z autorami i książkami, do którychby nigdy sam nie zajrzał i o którychby w innem przedstawieniu słuchać nie chciał. Tem więcej żałować należy, iż autor, oddając swój talent tylekroć na popularyzowanie drobnostek lub wytwarzanie sztucznych wielkości (ks. Kajsiewicz), nie miał dość czasu na rozważne odczytanie dzieła Modrzewskiego, pierwszego pomnika naszej literatury, w którym odsłaniają się z taką pięknością i siłą głębie myśli i uczucia indywidualnego, pod wpływem prądów reformacyi. Zamiast rozpraszać uwagę czytelnika podsuwaniem mu kolejnem niewiążących się z sobą średniej lub małej wartości broszur, należało przykuć ją na dłuższą chwilę do takiego arcydzieła literatury społeczno-politycznej, jakiem jest książka „O poprawie rzeczypospolitej".

Gdyby prof. Tarnowski, specyalnie przecie studyujący pisarzów politycznych, odczytał choćby tylko zamknięcie księgi o „Obyczajach”, w przekładzie Bazylika, musiałby dostrzedz nieporównaną piękność myśli i formy, w jakiej ją wyrażono.

Najlepszym argumentem będzie tu kilka urywków z zapomnianej księgi Modrzewskiego:

„Zaprawdę serdeczne niemoce niebezpieczniejsze są niźli cielesne, a częstokroć one bywają przyczynami tych. Niech przeto każdy zleczy myśl swoją.”

„Nie godzi się nam, którzy się za bracią liczymy, sobie tylko gwoli żyć, ale rzeczy i dobrodziejstw ojca naszego między się udzielać, które on różnie różnym dał, aby tą różnością a spólnem udzielaniem powinowactwo braterstwa zachowane było. Kto tedy jest bogaty, niech się szczodrobliwością ukazuje być ubogiego bratem; kto jest rozumem i mądrością obdarzon, niech nauki swej i rady udziela potrzebnym; kto szlachectwem albo możnością wiele może, niech zwierzchność i możność swą obraca na bronienie niewinnych a pokornych. Bo prawdziwa ludzkość i braterstwo udzielaniem wszech rzeczy ludziom zawiera się... Zaprawdę nie jest godzien w przygodzie swej miłosierdzia drugich, który nad nędznemi niema zmiłowania; niegodzien jest pomocy ludzkiej, kto w niebezpieczeństwie będącym ratunku nie dawa, kto zamyka uszy przed proszącymi, a drzwi przed potrzebnymi”

Kochanowski, gdy w swej pięknej pieśni („Jest kto, coby, wzgardziwszy te doczesne rzeczy“) wskazuje ludziom wyższe cele życia w pracy nad dobrem ogólnem, nie dosięga tej prostoty i podniosłości zarazem, bo nie dorównywa Modrzewskiemu głębokością pojęć społecznych i siłą uczuć chrześcijańskich, a Bazylikowi pięknością w ich wysłowieniu. Rzecz niepojęta doprawdy, że żaden z naszych krytyków i historyków literatury nie dostrzegł, a raczej nie odczuł, choćby samej cudownej muzyki słowa, płynącej z duszy, natchnionej ideałem ewangelicznym. Skarga, który tak wiele zaczerpnął z dzieła Modrzewskiego myśli i obrazów, przy całym ogniu i sile swych uczuć nie wydobył z własnej duszy tak pełnych, czystych i podniosłych tonów.

W ćwierć wieku po dziele Modrzewskiego pojawia się „Psałterz“ Kochanowskiego, jedyne obok „Trenów“ w naszej poezyi przed Mickiewiczem wynurzenie uczuć duszy cierpiącej, spragnionej sprawiedliwości, zawdzięczające temu pogłębieniu źródeł natchnienia niezwykłą piękność formy i cudowną muzykalność języka, której aż do „Dziadów” napróżnobyśmy szukali w dawniejszej poezyi.

Na nieszczęście, zarówno Chmielowskiemu, jak Tarnowskiemu, zbywa na poczuciu muzycznem. Oceny „Psałterza”, pomieszczone w ich dziełach, polegają na omawianiu zalet formalnych. Tarnowski np. widzi największy stopień piękności w psalmie „Super flumina”, w który właśnie poeta najmniej włożył swego serca i dał nam chłodne i ciężkie odtworzenie myśli oryginału. Historyk każe poecie dopatrywać się w tym psalmie „analogii”, której on tam nie czuł i nie myślał pewno szukać. Historyk czy krytyk, oceniający utwory Kochanowskiego, powinien pamiętać, iż data ogłoszenia „Psałterza” jest zarazem datą zgonu Urszulki, że więc to pogłębienie duchowe, ta świadomość własnego artyzmu, wypowiedziana w dedykacyi „Psałterza“, umożliwiły powstanie „Trenów“, stanowiących najwyższy wyraz duchowego procesu poety. Poza utworami Kochanowskiego, na schyłku doby odrodzenia, jedynie „Sielanki“ Szymonowicza, a zwłaszcza najdoskonalsza z nich artystycznie, „Kołacze”, zasługiwałyby na szerszą i głębszą ocenę. Tymczasem Tarnowski pomija milczeniem ten klejnot poezyi, a za to wraz z Mickiewiczem i Chmielowskim widzi w „Żeńcach” najpiękniejszą i najbardziej polską sielankę. Czytelnik niejeden przyjąłby bez sprawdzania i apelacyi wyrok trzech takich powag, ale, na nieszczęście, budzi w nim poważną wątpliwość prof. Tarnowski, uznając, że w „Żeńcach” pięknym jest wstęp i koniec jedynie, a środek zajmuje długa rozmowa Oluchny z Pietruchą o „jakiejś babie”. Prawda, że sielanka ta nie jest „najpiękniejszą i najbardziej polską”, że spotykamy w niej trywialności i naturalizmy rażące, ale to niemniej pewnem, że prof. Tarnowski nie przeczytał jej uważnie i stąd nietylko scharakteryzować i ocenić, ale streścić należycie nie potrafi. I w jakim to szczególnym towarzystwie umieścił historyk te „Sielanki“, oto pomiędzy „Kanclerzem“ Heidensteina a Arystotelesem w przekładzie Petrycego. Wprawdzie, Szymonowicz, być może, znał te księgi, jako humanista i profesor w Zamościu, ale w chwili tworzenia „Kołaczy“ czy „Żeńców“ był duszą niezmiernie daleki zarówno polityki, jak filozofii greckiej. Jeżeli „Sielanki“ Szymonowicza zostały zbyte tak pobieżną i niesłuszną oceną, to cóż dziwnego, iż wiele drugorzędnych utworów („Daphnis“, „Paskwalina“ i poematy Twardowskiego, prócz wielu innych) spotkała powierzchowna, pobłażliwem lekceważeniem nacechowana ocena.

Ze wszystkich utworów literatury wieku XVII największą popularnością, a nawet dość znaczynym wpływem na naszą twórczość literacką i artystyczną, cieszą się dotąd „Pamiętniki“ Paska. Historyk literatury powinienby więc nietylko pilnie przestudyować ten

zabytek, ale i poddać ścisłej kontroli krytycznej autora samego, jego umysł i charakter, żeby sprawdzić w ten sposób wartość i wiarogodność jego świadectw. Pasek jest dła nas zwierciadłem, odbijającem życie wieku XVII, należałoby więc poznać czystość i wartość zwierciadła. Tarnowski, tak surowy dla Opalińskiego, w którego zgorzkniałej duszy zbyt czarno się odbiło życie ówczesne, dał się wywieść w pole Paskowi, bo... widocznie za mało z nim przestawał. „Pedagogiem pana Paska, powiada, nie chciałoby się być za nic; ale jego kolegą, przyjacielem, towarzyszem broni czy ochoty — zawsze; bo to jeden z tych ludzi pewnych co nigdy nie odstąpią w złym razie. Można go ganić czasem, łajać często, ale nieraz podziwiać ten instynkt, którym wiedziony, robi rzeczy bardzo trudne, heroiczne—z taką prostotą i naiwnością, że nie domyśla się nawet, jakby on lub ktokolwiek mógł był zrobić inaczej“.

Że Pasek swym rubasznym humorem, mającym źródło w łatwem u niego zadowoleniu z siebie i życia, może czytelnika ująć i zjednać sobie, o tem świadczy najwymowniej ocena prof. Tarnowskiego. Ale, choć dalekim jest on od szczerości i prawdomówności, to jednak, wskutek zaniku poczucia moralnego, sam tu i owdzie przyznaje się, niekiedy nawet chwali się ze spraw, które o jego charakterze czy honorze dają najgorsze pojęcie. Czyż nie chlubi się z tego, że, zawarłszy z kolegą układ o ustąpienie mu za 100 talarów funkcyi komisarza przy posłach, udał pijanego, by niedotrzymać umowy, ponieważ objaśniono go, że ta funkcya „tysiącami pachnie“. A z jakąż gorliwością i nieludzkością wyciska on do własnej kieszeni, jako komisarz poselski, aż 10,000 zł. od biednych, zniszczonych przez wojny mieszczan i włościan litewskich? Jak znowu natarczywością swoją wyciska u króla, przy pustym skarbie, 7,000 zł. nagrody za swą fatygę? A ta ciemna, napomykana tylko z lekka sprawa o zabójstwo w zwadzie, z której Pasek wykręcał się swą służbą wojskową, tak, iż brat zabitego nie mógł uzyskać sprawiedliwości? Wreszcie owo porzucenie związku nie dla wierności królowi lub Czarneckiemu, ale dla tego, iż mu nie dano urzędu, któryby mu pozwolił przy rozdziale zaległego wojsku żołdu obłowić się dobrze! Nie będę zresztą powtarzał tego, com szerzej uwydatnił przed laty w rozbiorze „Pamiętników“ [1]), co zresztą potwierdziły i jaskrawo zillustrowały akty spraw sądowych, odnalezione i wydane przez Kraushara. Gdyby profesor Tarnowski bliżej się przypatrzył Paskowi, to nietylko, że

---

[1]) „Tygodn. illustr.“ rok 1879.

wyrzekłby się jego przyjaźni, ale zawahałby się pewno z podaniem mu ręki.

Z pomiędzy pierwszorzędnych pisarzów nowszej epoki pośpiechowi jedynie przy wydawaniu dzieła należy przypisać pokrzywdzenie Fredry przez tak pobieżną wzmiankę i pozbawienie czytelnika rozbioru i oceny takich wybitnych utworów, jak Zemsta i Śluby.

Jeszczo bardziej rażącym brakiem jest pominięcie w dziele, doprowadzonem do r. 1850, a opartem na zasadzie chronologicznej kolei utworów, całej grupy autorów, którzy rozwinęli swą działalność w Warszawie między r. 1840 a 1850. Z krótkiej a nieprzychylnej wzmianki o Karolu Balińskim możnaby się domyślać, iż niechęć historyka rozciąga się zarówno na wielką poetkę, będącą przedmiotem uczuć autora „Farysa", jak i na całe grono poetów „ludowców", mówiąc językiem dzisiejszym. Milczeniem przecie nie usunie się z dziejów literatury ni „Poganki", ni prześlicznych liryk Żmichowskiej, ni pieśni Lenartowicza, nie zatrze się wpływu prądu idei demokratycznych, który zarówno w życiu społeczeństwa, jak i w literaturze wywołał doniosłe przekształcenia.

Na szczęście, po tych dysonansach mogę zamknąć ten przegląd sądów prof. Tarnowskiego o najwybitniejszych pomnikach literatury akordem zgody wobec głębokiej pojęciem i odczuciem, a prostej i poprostu wspaniałej oceny „Pana Tadeusza", oceny, stanowiącej największą ozdobę dzieła i dającej najlepszą miarę wysokiego uzdolnienia autora.

Dzieło prof. Tarnowskiego przedstawia istotnie dziwną nierównomierność zarówno w ustosunkowaniu szczegółów, w rozmiarach ocen, poświęconych różnym utworom, jak i w usposobieniu duchowem autora w chwili kreślenia różnych ustępów i wreszcie w przygotowaniu się do oceny utworów. Metoda przytem, zastosowana w dziele, a mianowicie szeregowanie utworów na podstawie daty wydania, wzmaga jaskrawość tej chaotyczności, zmuszając autora i czytelnika do ciągłych i to gwałtownych skoków i przeskoków myśli i uczucia.

Trafiają się momenty, gdy np. w tomie piątym Tarnowski rozbiera wybitniejsze pojawy rozkwitu poezyi po r. 1830, utwory, w których łączność pojęć i uczuć, wzajemne oddziaływanie wytwarza ścisłe powinowactwo, a podniosłość treści i piękność formy nie pozwalają drzemać duszy historyka wtedy z pod jego pióra wychodzą karty, tak ciepłe, wymowne i rozumne, że przekonywują i pociągają tak czytelników, jak i krytyka, zapominających wtedy o wadach poprzednich czy dalszych rozdziałów. Lecz za to ileż to razy historyk daje się unosić stronniczym niechęciom (np. w ocenie Goszczyńskiego), albo też mówi o niemiłych, obojętnych lub niedość znanych

mu utworach z pańską pobłażliwością lub lekceważeniem. Niekiedy, zapominając o powadze swego stanowiska i przedmiotu, przechodzi w ton i luźność szlafrokowej gawędy, gdy np. określa treść „Żeńców“, jako długą rozmowę „o jakiejś babie“, albo, potrąciwszy o Paulinę Wilkońską, powiada, iż „pisała powieści poważne, uczuciowe, n a w e t w z n i o s ł e, ale śmiertelnie nudne i oklepane“.

Pomimo te braki i wady, książka Tarnowskiego przedstawia w rozwoju pracy nad historyą literatury polskiej dość ważny postęp pod względem metodycznym, postęp, polegający na wyswobodzeniu zjawisk literackich z ram biograficznych, w jakich je dotąd rozmieszczano. Utwory wystąpiły tu na pierwszy plan, szczegóły biograficzne służą jedynie do wyjaśnienia ich treści lub genezy. Prócz tego historyk stara się wyjaśniać pojawy literackie na podstawie ich związku z życiem, politycznem wyłącznie, danej chwili. Szkoda jednak, że w tej emancypacyi utworów nie posunął się o krok dalej i nie uwolnił przez powiązanie pokrewnych treścią i formą w oddzielne grupy od przypadkowych, dziwacznych nieraz połączeń, w jakich stawia je porządek dat wydania. Również żałować należy, iż, zajęty głównie życiem politycznem i jego odbiciem w literaturze, lekceważy sobie inne strony bytu społecznego i odbicie tylu tak doniosłych dążeń i potrzeb w utworach literackich; wreszcie, że w pracy swej nie uwzględnia rezultatów badań dotychczasowych nad utworami i pisarzami, albowiem, choć podaje w końcu tomów bibliografię opracowań dla każdego autora, to jednak w wydawanych o pisarzach i dziełach sądach i przytaczanych szczegółach nieznać najczęściej zaznajomienia się ze specyalnemi monografiami. Profesorowi i historykowi literatury nie wolno chyba zaniedbywać obowiązku skrupulatnego śledzenia i kontrolowania wszelkich objawów pracy, jaka się dokonywa na tem polu.

Czego brakuje książce Tarnowskiego, to znajdziemy, w znacznej części przynajmniej, w pracy Chmielowskiego. Podczas gdy Tarnowski prześlizguje się często po zabytkach, z którymi się bliżej nie zna, opuszcza nawet ważne postacie i utwory, a nieuwzględnianiem rezultatów, osiągniętych przez specyalnych badaczów, pozbawia książkę swą związku organicznego z rozwojem współczesnej pracy nad tym przedmiotem, Chmielowski nietylko przeczytał wszystko niemal, co u nas ogłoszono drukiem od połowy wieku XVIII, ale również zapoznał się dokładnie ze wszystkiem, co napisano o każdym autorze lub jego dziełach, z całą półtorawiekową pracą nad dziejami literatury. To też książkę Chmielowski cechuje przedewszystkiem ścisłość i zupełność, zbyteczna niekiedy, bo wprowadzająca na karty dzie-

jów literatury pisarzów, których utwory unieśmiertelniać ma prawo bibliograf jedynie. W licznym zastępie drugorzędnych powieściopisarzy, autorek, piszących dla dzieci i młodzieży, publicystów i pedagogów, cieszących się chwilową popularnością, należało dokonać „selekcyi“ i przekazać pamięci potomnych to, co wyróżnia się trwalszą wartością i doniosłością wpływu. Wpuszczeniem do Panteonu literatury tylu niepotrzebnych tam postaci spowodował sumienny „kustosz“ natłok, który nie pozwolił mu w należytej perspektywie uwydatnić pierwszorzędnych zjawisk literackich. Trudno istotnie odróżnić tu czytelnikowi słońce od krążących w około nich planet, a te ostatnie od roju satellitów i drobnych meteorów. Jak Tarnowski grzeszy nierównomiernością w traktowaniu i zmianami w nastroju uczuciowym, a więc i w stylu, jakim się posługuje w różnych ustępach dzieła, tak znowu Chmielowski chce być dobrym i sprawiedliwym opiekunem wszystkich pisarzów, uczcić każdą najskromniejszą zasługę, pamiętać o każdym robaczku, który choć chwilkę przyświecał drugim, stąd wolny zazwyczaj od uprzedzeń stronniczych, z równą życzliwością, starannością i spokojem rozbiera i ocenia wszystkie zjawiska i postacie. Zyskują na tem mali, lecz tracą wielcy, a czytelnik nie może sobie wytworzyć należytego pojęcia o stosunkowej wartości pojawów literackich. Za to znajdzie on zawsze niemal w książce Chmielowskiego ocenę jasną, rozumną, na znajomości utworów opartą, zwykle bezstronną, umiarkowaną w sądzie i wysłowieniu.

Książki Chmielowskiego i Tarnowskiego przeznaczone są dla szerszych kół publiczności, która znaleźć w nich może przystępną, kształcącą, niekiedy pociągającą nawet lekturę. Potrzebom nauki jednak z różnych względów i powodów nie czynią one zadość. Byłoby pożądanem wielce, by potrzebę tę wziął do serca ktoś zbrojny odpowiednią wiedzą, obdarzony zarówno zmysłem historycznym, którego brakuje często wybitnym krytykom, jak poczuciem estetycznem, niezbędnem dla historyka-artysty, i odtworzył wreszcie rozwój dziejowy literatury naszej w obrazie, czyniącym zadość najważniejszym wymaganiom prawdy w treści, a piękna w formie.

Bronisław Chlebowski.

GRAMATYKA JĘZYKA POLSKIEGO

A. A. KRYŃSKIEGO.

(Gramatyka języka polskiego przez Adama Antoniego Kryńskiego, członka korespondenta Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydanie z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa. Druk J. Jeżyńskiego. 1897. Cena rb. 1, w 8-ce, str. 4 + 345 + 10. Wydanie drugie, powiększone i poprawione. Warszawa, 1900. Cena rb. 1 k. 20, w 8-ce, str. 13 + 381).

Doczekaliśmy się nareszcie książki, mającej za przedmiot opracowanie gramatyki polskiej, najzupełniej odpowiadające dzisiejszemu stanowi nauki językoznawstwa. Po monografiach i pracach dawniejszych H. Cegielskiego, C. W. Smitha, Fr. Miklosicha, J. Przyborowskiego, H. Sucheckiego, B. Trzaskowskiego, po „Gramatyce języka polskiego większej“ Antoniego Małeckiego z roku 1863, licznych wydaniach jego „Gramatyki mniejszej“, po „Krytyczno-porównawczej gramatyce języka polskiego z dzisiejszego stanowiska lingwistyki porównawczej“, napisanej przez ks. Franciszka Ksawerego Malinowskiego“ (Poznań, 1869), wreszcie po „Gramatyce historyczno - porównawczej języka polskiego“ A. Małeckiego (2 tomy, we Lwowie, 1879) i całym szeregu umiejętnych prac językoznawców współczesnych— pierwszy raz pomyślano o tem, aby uczącej się młodzieży i szerszemu ogółowi uprzystępnić wyniki wiedzy lingwistycznej w dziele, które treścią i sposobem wykładu do umysłu każdego czytelnika polskiego trafić powinno. Jak wiadomo, pomimo zapowiedzi w tytule dzieła ks. Malinowskiego, że jest to „krytyczno-porównawcza gramatyka“, że jest ona „z dzisiejszego stanowiska lingwistyki porów-

nawczej napisana", pomimo nazwy „gramatyki historyczno - porównawczej" prof. Małeckiego,—obie te książki, jakkolwiek są owocem pracy poważnej, z niepospolitym mozołem wykonanej, niezupełnie jednak wymaganiom ściśle naukowej krytyki odpowiedziały (por. „Rozbiór gramatyki polskiej księdza Malinowskiego" przez J. Baudouin'a de Courtenay, odbitka z „Niwy", Warszawa, 1875, str. 47, i „Rozbiór gramatyki polskiej historyczno-porównawcznej d-ra Antoniego Małeckiego" przez Adama Antoniego Kryńskiego, odbitka z „Bibl. Warsz.", 1880, str. 51). Jak wówczas, tak i dziś ogół publiczności czytającej nie dość jest obeznany z tem, co się dzieje na polu nauki językoznawstwa, rzadko bowiem spotykać się dają w czasopismach artykuły, tej dziedziny wiedzy dotyczące; jeszcze rzadsze są książki, naukę tę umiejętnie popularyzujące, a pomimo częstych nawoływań takie wydawnictwa, jak „Prace filologiczne", „Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności", „Sprawozdania Komisyi językowej", „Archiv für slavische Philologie", specyalne dzieła i rozprawy lingwistyczne,— szczupły tylko bardzo zastęp czytelników znajdują. Należało więc poświęcić wiele czasu i pracy, aby to, co w latach ostatnich trzydziestu, odkąd właśnie datuje się u nas żywszy rozwój badań językoznawczych, stało się trwałym dorobkiem naukowym, umiejętnie i przystępnie wyłożyć. Rozumie się, że zadanie takie mógł podjąć i rozwiązać szczęśliwie tylko ten, kto sam w rozwoju nauki czynny bierze udział, kto przez ćwierć wieku przeszło skutecznie w jednym kierunku pracuje, kto wybornie obeznany jest z metodą badania i wynikami wszystkich prac naukowych na niwie językoznawstwa ogólnego i ojczystego, słowem jeden z najwybitniejszych językoznawców naszych. Takim jest właśnie autor dzieła, wymienionego w nagłówku, — Adam Antoni Kryński. Zajmuje on nie od dziś poczesne miejsce w gronie takich uczonych, jak Baudouin de Courtenay, Brückner, Kalina, Karłowicz, Nehring i z wielką dla nauki stratą zmarli niedawno J. Przyborowski i L. Malinowski.

Wobec dość licznych, zwłaszcza w czasach ostatnich wydanych podręczników gramatyki polskiej przez autorów, częstokroć mało do tego powołanych lub niepowołanych wcale, zastanawiać musi tak mała ilość dzieł, opierających się na podstawach naukowych, żeśmy wymienić mogli zaledwie dwu autorów, do których obecnie trzeci przybywa. Nie będziemy tu omawiali wartości tych przeróżnych szkolnych „gramatyk polskich" (bodaj najlepsze z nich są Boczylińskiego i Bema), gdyż wogóle są to bardzo nędzne książki, których autorowie i autorki zapomnieli, że nie błaha to rzecz, ale bardzo trudne zadanie ułożyć gramatykę języka ojczystego, odpowiadającą stanowi nauki lingwistycznej. Gramatyk znać wybornie powinien zasady językoznawstwa ogólnego i liczyć się z niemi ściśle, gdyż każdy język jest tylko jednym szczególnym objawem mowy ludzkości całej; szczególnie zaś lingwistyka indoeuropejska i jej wyniki znane mu być powinny. Nie można traktować gramatyki polskiej bez związku z innemi mowami, z któremi najbliżej jest spokrewniony język polski; gramatyka więc polskiego obowiązuje znajomość filologii słowiańskiej i wielu dzieł, broszur i rozpraw specyalnych, w językach słowiańskich, łacińskim, niemieckim i francuskim wydanych. Nakoniec, przedewszystkiem, aby gramatykę polską napisać, znawcą wybornym trzeba być języka własnego, nie tylko w jego postaci obecnej literackiej, ale nadto dziejów jego rozwoju i wreszcie zmian, jakim na przestrzeni, przez ludność polską zajętej, podlega, t. j. dyalektologii polskiej.

Pracownikiem takim właśnie, od którego mogliśmy się spodziewać ściśle naukowego podręcznika gramatyki polskiej, pracownikiem umiejętnym i pilnym

jest autor „Gramatyki“, z której zdać mamy tu sprawę. Zanim jednak do niej przystąpimy. uważamy za odpowiednie przypomnieć w krótkości zasługi naukowe Adama Antoniego Kryńskiego.

Urodzony w roku 1844 w Łukowie kształcił się w gimnazyum realnem w Warszawie, od roku zaś 1862 do 1869 w Szkole Głównej, w której z początku studyował nauki fizyczno-matematyczne, od roku zaś 1866 filologiczno-historyczne. W roku 1869 uzyskał stopień magistra nauk filologiczno-historycznych na podstawie rozprawy, ogłoszonej drukiem w roku 1870: „O dźwiękach nosowych w językach słowiańskich“. Będąc od roku 1871 nauczycielem gimnazyum III-go, a następnie II-go w Warszawie, w czasie wycieczek letnich obznajmiał się w latach 1874 i 1875 z wykładami G. Curtiusa i Leskiena w Lipsku. Już w roku 1875 został członkiem Komisyi językowej Akademii Umiejętności, a w roku 1889 członkiem korespondentem tejże instytucyi. Z licznych prac Kryńskiego wymienimy przynajmniej ważniejsze: „Kwestya językowa o bezzasadnym odróżnianiu rodzaju nijakiego od męskiego w deklinacyi przymiotników“, Warszawa, 1872; zebrał tu autor z historyi języka i gramatyki porównawczej dowody, że należy pisać zgodnie z wymową i historyą języka: dobrym człowiekiem i dobrym (a nie dobrem) dzieckiem. W cennej pracy pod napisem: „Z dziejów języka polskiego“ (1879) Kryński zbija dopatrzone przez W. Makuszewa „Ślady wpływu ruskiego na piśmiennictwo staropolskie“; w roku 1881 do wspaniałego wydania dzieł Wojciecha Oczki o „Przymiocie“ i „Cieplicach“ dodał rozprawę o języku tego autora; w roku 1880 ogłosił rozbiór „Gramatyki historyczno-porównawczej“ Małeckiego. Gruntowną rozprawę „O pisowni polskiej wraz z objaśnieniami niektórych form językowych“, wydał w roku 1882. Cenne studyum dyalektologiczne o „Gwarze Zakopańskiej“ podał do „Rozpraw wydz. filolog. Akad.“, t. X; w wydawnictwach Akademii z roku 1885 i 1886 znajdujemy wydany wzorowo „Porządek prawa bartnego dla Starostwa Łomżyńskiego z roku 1616“, ułożony przez Stanisława Skrodzkiego, ze słownikiem Kryńskiego; rzecz ważna pod względem prawnym, zwyczajowym i językowym. W pomnikowem wydaniu dzieł Jana Kochanowskiego, rozpoczętem w roku 1884, a dotąd nieukończonem, bierze Kryński bardzo czynny udział, jako członek komitetu wydawniczego: do pierwszego tomu tego wydania dał wstęp i wyborny komentarz „Psałterza Dawidowego“; według zapowiedzi we wstępie do tomu I-go (str. V i VI) mają w tomie IV-ym ukazać się jeszcze 3 rozprawy niestrudzonego badacza. Od roku 1884 jest redaktorem przy współudziale Baudouin'a de Courtenay, Karłowicza i ś. p. Malinowskiego „Prac filologicznych“, w których wydawnictwie największej podjął się pracy, gdyż sam dogląda druku i prowadzi niezmiernie mozolną korektę; wydawnictwa tego ukazuje się mniej więcej co rok 1 zeszyt; dotąd wyszło 5 tomów. Z umieszczonego w tem cennem czasopiśmie szeregu rozpraw i drobnych przyczynków z językoznawstwa polskiego oraz recenzyi i sprawozdań z dzieł w tym zakresie wymienimy kilka najważniejszych. W tomie I umieścił przedruk i wzorowe opracowanie trzech najdawniejszych druków polskich, a mianowicie: pacierza z roku 1475, Bogarodzicy z roku 1506 i formuł polskich przy obrzędach chrztu i ślubu oraz „Powieści o papieżu Urbanie“ z „Agendy“ r. 1514. Nieocenioną przysługę wszystkim pracującym nad językiem polskim i chcącym się obeznać z tem, co w tym zakresie zdziałano na polu badań naukowych, oddał „Przegląd bibliograficzny prac naukowych o języku polskim“, opracowany przez Kryńskiego wspólnie z p. Karolem Appelem. Jest to dzieło wyczerpujące (liczy str. 222) i krytyczne, nie tylko bowiem zawiera wyszczególnienie treści każdej pracy, ale i krótko wyrażony sąd o jej wartości,

a nadto wymienia oceny fachowe, jakie o każdej z nich gdziekolwiek się ukazały. Znakomita ta praca stanowi niewątpliwie największą ozdobę całego wydawnictwa. W tomie II, w rozprawie „O Aoryście w języku polskim", zebrał autor wszystkie, jakie się dało, resztki czasu przeszłego niezłożonego. Nadmienimy, że w czasach ostatnich sporo tych form z zabytków rękopiśmiennych przybyło, szczególnie dzięki prof. Brücknerowi, który odnalazł szczątki „Kazań Świętokrzyskich" z wieku XIV. W tymże czasie pracowicie zebrał i przedstawił „Glosy w dziele Baltazara Opecia" z roku 1522 p. n. „Żywot Pana Jezu Krysta": glosy te rękopiśmienne znajdują się w prześlicznym egzemplarzu Opecia w Bibliotece Głównej w Warszawie; świadczą one, jakim zmianom ulegał język nasz w pierwszej połowie XVI wieku. Piękne i serdecznie napisane wspomnienie pośmiertne poświęcił Kryński młodemu przedwcześnie zmarłemu filologowi, Janowi Hanuszowi, podając przytem ocenę prac jego. W następnym III tomie „Prac" wydał i z właściwą sobie sumiennością opracował zabytek rękopiśmienny języka polskiego z roku 1524 p. n. „Żywot św. Eufraksyi". W tomie IV; w artykule p. n. „Wyjaśnienie kilku pytań z zakresu pisowni", wyłożył główne kwestye sporne pisowni polskiej. W tomie V, w artykule „Z historyi wyrazów", podał wyjaśnienie pochodzenia i użycia kilkunastu wyrazów, bądź i dziś znanych, bądź przestarzałych. W każdym zeszycie spotykamy też pióra Kryńskiego recenzye, drobiazgi lingwistyczne i pracowicie ułożone wykazy wyrazów,w „Pracach" omawianych. Zapowiedź obszernego opracowania gramatyki polskiej można było już przed 10 laty widzieć w „Przeglądzie Pedagogicznym" (rok 1887 i 1888) w artykułach o „Deklinacji polskiej". Nie tu miejsce wymieniać liczne artykuły naszego autora krytyczne i sprawozdawcze z zakresu językoznawstwa polskiego i słowiańskiego w czasopismach: w „Niwie" od roku 1872, Bibl. Warsz., Ateneum, Archiv für slavische Philologie, Przeglądzie Krytycznym, Nowinach, Prawdzie, Świecie, Przeglądzie Pedagogicznym, Opiekunie domowym, Tygodniku Illustrowanym i Wędrowcu. Cały szereg artykułów umieścił z działu językoznawstwa w „Wielkiej Encyklopedyi powszechnej illustrowanej" Sikorskiego i Granowskiego[1]), w której prowadzi dział filologii i językoznawstwa. W niedawno

---

[1]) Wymieniamy tutaj dla użytku czytelnika ważniejsze z artykułów „Encyklopedyi" pióra Kryńskiego, niewiele bowiem znajdzie się wydawnictw w Europie, gdzieby dział językoznawstwa tak sumiennie był opracowany, jak właśnie w „Encykl." przez Kryńskiego: opisy pojedyńczych brzmień języka polskiego i ich zmian pod literami A, B, C, D, E, F, G, artykuły o językach: aglutynacyjnych, ałtajskich, amerykańskich, angielskim, armeńskim, baskijskim, białoruskim, birmańskim, bretońskim, bulgarskim, buszmańskim, celtyckich, cerkiewno-słowiańskim, chińskim, cygańskim, czeskim, czeczeńskim, czeremiskim, czerkieskim, o jęz. Czerokiezów, Czjapanelów, czoktawskim, czuchońskim, czukczowskim, czuwaskim, czybczowskim, czykwickim, czypewajskim, dajackim, dakockim, duńskim, drawidyjskich, drewiańskim, etyopskich, europejskich, fińskich, flamandzkim, fryzyjskich, gockim, greckim, gruzińskim i i. d. Artykuły o aglutynacyi językowej, o abecadle, analogii i asymilacyi językowej, o Baskach, przekładach biblii na języki polski, czeski, łużycki, litewski i łotewski, o pieśni Bogarodzica, św. Cyrylu i Cyrylicy, o czasie w gramatyce, czasowaniu, częściach mowy, słowach częstotliwych, czynnych, o deklinacyi, deputacyi ortograficznej, dopełniaczu, dopełnieniu, etymologii, filologii, fleksyi i językach fleksyjnych, rękopisie fryzyngeńskim,

rozpoczętym, a od lat dziesięciu przeszło przygotowanym nowym „Słowniku języka polskiego“, nie tylko jest z J. Karłowiczem i W. Niedźwiedzkim czynnym współredaktorem, ale nadto opracowuje do niego wyrazy staropolskie. Do przygotowywanego oddawna przez Akademię Umiejętności słownika staropolskiego, którego potrzebę wszyscy pracujący nad językiem polskim bardzo odczuwają, również Kryński rękę swą położył. Nakoniec, w pięknie pomyślanem i znakomicie wykonywanem wydawnictwie zbiorowem p. n. „Poradnik dla samouków“ Kryński jest autorem działu o nauce języka polskiego (w części II-iej). Zasługują na uwagę z pomiędzy artykułów w czasopismach życiorysy ś. p. Józefa Przyborowskiego, Lucyana Malinowskiego i Franciszka Malinowskiego. Po tym przydługim może wstępie, którego obszerność niech tłómaczy wzgląd na ważność dzieła, o którem mówić mamy, i jego autora, tak zasłużonego od lat przeszło 30 badacza na niwie nauki języka ojczystego, przechodzimy do właściwej oceny „Gramatyki“.

„Gramatyka“ Kryńskiego jest tej prawie wielkosci, co „Gramatyka większa“ Małeckiego, obejmująca i składnię, a więc obszerniejsza od „Gramatyki mniejszej“, ale o połowę mniejsza od „historyczno - porównawczej“ tegoż autora i o tyleż mniejsza od „krytyczno - porównawczej“ ks. Malinowskiego; ponieważ jednak obejmuje tylko głosownię, fleksyę czyli naukę o odmianach i pisownię, opuszcza zaś słoworód, części mowy nieodmienne i składnię [1]), należy przeto do najobszerniejszych podręczników gramatyki polskiej. Nie o to jednak autorowi chodziło, aby książka jego ogromem podziw budziła, i nie z tego też punktu widzenia oceniać ją należy, ale z tego, czy i o ile wymaganiom naukowym odpowiada.

Nie wyjaśnia autor w przedmowie do wyd. I-go, dla kogo książkę swą przeznacza, jaki stopień nauki języka ojczystego miał przedewszystkiem na względzie; w przedmowie do wyd. II-go zaznaczono, że książka przeznaczona jest głównie dla młodzieży dojrzalszej; w rzeczy samej, wnieść już z samego jej układu łatwo, że ma ona służyć do nauki średniej, t. j. średnich i wyższych klas gimnazyalnych, chociaż z opuszczeniami tego, co drukiem drobniejszym odbito, może i dla klas niższych być bardzo użyteczną; dalej niezbędną stać się powinna dla nauki uniwersyteckiej, gdzie język historycznie jest badany, wreszcie znaleźć się powinna w rękach każdego, kto pragnie gruntownie z budową języka ojczystego się zapoznać.

Autor zaznacza w przedmowie, że „co do obszerności wykład nie jest równomierny we wszystkich częściach. Głosownia opracowana jest znacznie kró-

---

filologii germańskiej, głagolicy, głoskach, kazaniach gnieźnieńskich, grafice, gramatyce, grażdance i inne. Życiorysy K. Appela, J. Baudouin'a de Courtenay, L. Biskupskiego, M. Bobowskiego, Boppa, R. Brandta, Bréala, Bretkuna, A. Brücknera, J. Bystronia, Z. Celichowskiego, F. Cejnowy, A. Cinciały, Chylińskiego, Jerzego Curtiusa, J. Daničića, Delbrücka, E. Denisa, Deszkiewicza, Dieffenbacha, Dieza, J. Dobrowskiego, Douchy, Florińskiego, braci Grimmów, Gebauera, Geitlera, W. Grigorowicza, Grota, Grodka i t. d.

[1]) Zwracamy uwagę na obszernie obracowaną niedawno wydaną „Systematyczną składnię języka polskiego“ Antoniego Krasnowolskiego, Warszawa, 1897 i tegoż autora „Składnię języka polskiego“ (mniejszą), Warszawa, 1898.

cej. aniżeli działy następne" (t. j. nauka o odmianach i pisownia)... „Nauka deklinacyi i konjugacyi stanowi dział najobszerniejszy". Sądzimy, że na krótkość opracowania głosowni (str. 10 — 42 wyd. I-e i 13 — 43 wyd. II-e) w stosunku do fleksyi (w wyd. I-em str. 43 — 284, w II-iem 44 — 304) znaczny bardzo wpływ wywrzeć musiał stan tej części gramatyki w nauce naszej: głosownią zajmowano się dotąd u nas niewiele; do nauki o odmianach w ich historycznym rozwoju posiadamy wyborną książkę prof. Antoniego Kaliny: „Historya języka polskiego, tom I, formy gramatyczne" (Lwów, 1883) i Jana Hanusza: „Materyały do historyi form deklinacyjnych" w t. I, II i III „Sprawozdań Komisyi językowej"; w wydaniach zabytków staropolskich obszernie zwykle i szczegółowo opracowywane są formy gramatyczne, a dość szczupłe uwagi poświęcone są głosowni (i składni); skoro więc dział zjawisk głosowni w monografiach odpowiednich nie jest wyczerpany (najobszerniejszą dotąd pracą o dziejach dźwięków języka polskiego, jeżeli się nie mylimy, pozostaje dział fonetyki w dziele Baudouin'a de Courtenay z r. 1870 o „Języku staropolskim do wieku XIV"), nie możemy się dziwić autorowi „Gramatyki", że krócej go przedstawił, niż inne działy. Zresztą w przedmowie do wyd. II-go autor omawia stosunkową krótkość głosowni: „W wykładzie jej objęto tylko pytania zasadnicze: wiele zaś zjawisk z zakresu głosowni wyjaśniono lub zaznaczono w działach następnych, szczególnie w części drugiej, gdzie wykład odmian deklinacyjnych i konjugacyjnych nastręczał po temu sposobność. Taki sposób objaśnienia zjawisk głosowych jest ze względów dydaktycznych właściwszy, celowi swemu nierównie odpowiedniejszy, aniżeli wykład ich systematyczny i drobiazgowy w osobnym dziale głosowni".

Zanim dotkniemy szczegółów, postaramy się w kilku słowach przedstawić, jakie są mianowicie główne zalety rozbieranej tutaj „Gramatyki". Przedewszystkiem jest to dzieło, rzeczywiście na dzisiejszym poziomie nauki stojące, czemu, jak wspomnieliśmy, pomimo zapowiedzi nie w zupełności odpowiadały gramatyki Małeckiego i Malinowskiego: Kryński uwzględnił w swej pracy przeszłość mowy polskiej i jej rozwój od czasów najdawniejszych. Dotychczasowe objaśnienia zewnętrzne, mechaniczne, nie sięgające do głębi organizmu języka, zastąpił tłómaczeniem zjawisk językowych historycznem, udając się do porównań z językiem starosłowiańskim oraz innymi słowiańskimi i indoeuropejskimi, tymi ostatnimi zresztą w stopniu nieznacznym, mając na względzie nawet naukę elementarną. Licząc się z rozwojem języka w czasie, t. j. jego dziejami, autor nie pomija jego stanu i zmian w przestrzeni, t. j. uwzględnia i postaci gwarowe, chociaż nie dość wyczerpująco nie w tej mierze, co starą polszczyznę. Jakie ma znaczenie dla gruntownego i wszechstronnego poznania języka zbadanie jego narzeczy i gwar, nie tu miejsce dowodzić; odesłać natomiast możemy ciekawego czytelnika do treściwej rozprawki d-ra Karłowicza p. n. „O ile należałoby uwzględnić narzecza ludowe w gramatykach", odczytanej na Zjeździe literackim we Lwowie d. 20 lipca 1894 r., a wydrukowanej w zeszycieI-ym tomu V „Prac filologicznych", str. 186 — 192. Że autor „Gramatyki" podejmował samodzielne studya nad dyalektologią, widzimy z powyżej przytoczonego wykazu jego prac (o gwarze zakopiańskiej i in.). Żałować przeto możemy, że szczupłe tylko i dość rzadko przytacza wiadomości o postaciach dyalektycznych.

Wyrobiony na pracach najnowszych szkół w językoznawstwie, uznających w języku działanie czynników natury psychicznej, jako to analogii lub asymilacyi morfologicznej, apercepcyi, dyferencyacyi czyli dążności do wyróżniania jednych postaci od drugich, słoworodu ludowego (Volksetymologie) i tym podobnych czyn-

ników, które niezaprzeczony wpływ wywierały i wywierają na kształtowanie się języka, nie pozwala sobie autor na jakieś mistyczne, mechaniczne i fantastyczne objaśnienia, ale ściśle uwzględnia wyż wymienione czynniki. W ciągu ostatnich lat 30 pierwszorzędni badacze nasi na polu językoznawstwa w kilku cennych pracach dostatecznie działanie czynników analogii uwydatnili; dość wspomnieć rozprawy J. Baudouina de Courtenay „Einige Fälle der Wirkung der Analogie in der polnischen Declination“ w czasopiśmie „Beiträge zur vergleichenden Sprachforschung“ (t. VI z r. 1870, str. 19—88), ś. p. L. Malinowskiego „Zur Volksetymologie“ (tamże, 1869), tegoż autora „Studya nad etymologią ludową“ w t. I — III „Prac filologicznych“, J. Karłowicza „Słoworód ludowy“ r. 1878, ś. p. M. Kruszewskiego „O analogii i etymologii ludowej“ (w szasop. „Rusk. fił. wiest.“, 1870); dziś więc byłoby wielkim anachronizmem nieuwzględnianie takich silnych i ważnych czynników. U naszego autora na każdej stronie niemal możemy spotkać się z szerokiem i umiejętnem zastosowaniem analogii.

Język autora odznacza się czystością szczeropolską, jak przystoi gramatykowi polskiemu; nie tylko wolny jest od wyrazów obcych i niepotrzebnych cudzoziemskich terminów naukowych, ale od przeróżnych dziwolągów językowych i wyrażeń, któremi tak umieją szpecić swe prace niektórzy autorowie galicyjscy i poznańscy. Za zasługę autorowi poczytać należy i tę okoliczność, iż pomimo, że oparł swój wykład na zasadach nowych, dotąd wcale nie stosowanych w naszych podręcznikach szkolnych lub nadzwyczaj słabo uwzględnianych, zatrzymał dotychczasową terminologię gramatyczną, która od lat 100 zupełnie się przyjęła i utarła.

I pod względem dydaktyczno - pedagogicznym ważne zalety dostrzegamy w dziele Kryńskiego: autor wykład swój prowadzi w sposób bardzo prosty i jasny, a wielka obfitość przykładów, dobrze dobranych, czerpana z najlepszych autorów całego piśmiennictwa polskiego, bardzo ułatwia zrozumienie przedmiotu, utrwala go w pamięci.

Nie możemy tutaj, rozumie się, streścić całego dzieła A. A. Kryńskiego, zwrócimy tylko uwagę na te szczegóły, które przy czytaniu więcej zastanawiają. W dość obszernym wstępie (str. 1 — 12) wymienił autor naprzód języki szczepu indoeuropejskiego albo aryoeuropejskiego, wskazał niewłaściwość nazwy „szczep indogermański“, przeciw której występował już Fr. Bopp w przedmowie do „Gramatyki porównawczej“, t. I, str. XXIV, wyd. 2-go z r. 1857. Następnie dzieli języki słowiańskie na trzy gromady: wschodnią, południową i zachodnią, obszerniej omawia znaczenie języka starosłowiańskiego albo starobulgarskiego i zabytków piśmiennych, w nim pozostałych, oraz ważność badań starosłowiańszczyzny. Dalej określa stanowisko języka polskiego w gromadzie zachodniej i poświęca słów kilka narzeczom polskim, dzieląc je na górne, średnie i dolne. „Do górno-polskich narzeczy należą: podhalskie, śląskie i małopolskie, t. j. krakowskie, sandomierskie i lubelskie“. Należałoby tu dodać zachodnio-galicyjskie, gdyż nie cała Galicya krakowskiem mówi narzeczem. „Do średnio-polskich: wielkopolskie czyli zachodnio-polskie z częścią północno-wschodnią, zwaną narzeczem kujawskiem, oraz narzecze mazowieckie. Do dolno-polskich—narzecze mazurskie oraz narzecze kaszubskie“. Przez narzecze mazurskie rozumie autor mowę Mazurów pruskich, będące, właściwie mówiąc, gwarą narzecza mazowieckiego, bardzo blizką lub prawie taką samą, jak z jednej strony gwara Kurpiów, a z drugiej Warmiaków. Objaśnia autor, dlaczego naprzód narzecze wielkopolskie, a następnie małopolskie wyrobiło sobie znaczenie języka ogólno-polskiego i literackiego. Wymienia waż-

niejsze zabytki piśmiennictwa staropolskiego wieku XIV i XV, wskazując ich wydania; wreszcie uwydatnia znaczenie wieku XVI dla dziejów języka, w którym ustaliły się, dzięki wielkim pisarzom i drukowi, formy deklinacyjne i konjugacyjne i język znacznie się wyrobił i wzbogacił.

Po określeniu gramatyki i jej podziale objaśnia autor, co to są zmiany fonetyczne i analogiczne; te ostatnie „są zmianami postaci wyrazów nawzór innych i polegają na upodobnieniu jednych form gramatycznych do drugich“; jako przykłady działania analogii. przytacza postać przymiotnika miejski zam. miestski na wzór wiejski (to zaś z wieś + ski, wyd. I, str. 11); formy: duszy, pracy, lutni zam. dusze, prace, lutnie na wzór: głowy, ściany i t. d., ciągnij, tnij zam. ciągni, tni przez analogię do bij, pij; *depczę*, *kłopoczę* zam. depcę, kłopocę przez upodobnienie do tłoczę, skoczę; łac. *laterna* brzmi po polsku *latarnia* skutkiem przybrania przyrostka *arnia*, właściwego innym wyrazom np. owczarnia, księgarnia.

Dając w głosowni podział dźwięków polskich, autor ułatwia jego zrozumienie rysunkiem narzędów mównych (§ 8). W § 13, gdzie mowa o samogłoskach nosowych, wskazuje Kryński, że w języku staropolskim była oprócz *ą* i *ę* samogłoska nosowa *an*, słyszana i dziś u ludu; możnaby dodać, że u ludu w niektórych stronach są nosowe *i* oraz *u*, których ślady mamy i w staropolskim. W § 21, wymieniając takie wyrazy, w których, chociaż należałoby oczekiwać samogłoski pochylonej, nie znajdujemy pochylenia, np. Karol, rolnik, szkolny, chodź, rektor, nie wspomniał autor, że w gwarach wyrazy te mają samogłoskę pochyloną: na Kujawach mówią *Karól*, *rólnik*, na Śląsku *szkólny*, *rechtór*, na Podlasiu i w Lubelskiem *chódź*. Mówiąc o zmianie zamogłoski *e* na *o* i *a*, dodaje autor uwagę słuszną o niewłaściwej nazwie tego zjawiska „natężenie samogłoski“; również niewłaściwą jest nazwa „zwątlenie“ na oznaczenie stosunku biorę — bierzesz, wiara — wierze, gdzie odwrotnie tutaj pierwotne *e* uległo zmianie na *o* lub *a*. Na str. 29 brak przykładu na przejście *u* w *ow* np. kuć — kować; na str. następnej, gdzie jest mowa o miękczeniu spółgłosek gardłowych, braknie przykładu na zmianę *ch* w *ś* np. cichy — cisi; Włoch—Włosi (w wyd. I-em, w drugiem jest przykład: głuchy — głusi). Z powodu uwagi drobnym drukiem w końcu § 25, że w starej polszczyźnie, jak i w innych zresztą językach słowiańskich, spółgłoski *cz*, *rz*, *sz*, *ż* wymawiały się miękko, czego liczne ślady pozostały w zabytkach z wieku XIV i XV, np. część, occiu, żierdź, wszięty i t. p., nadmienić trzeba, że niektórzy językoznawcy nasi kładą to *i* na karb niedokładnej pisowni ówczesnej; w wyd. II-iem dodano, że ta miękkość istnieje w gwarach np. na Śląsku Cieszyńskim i na Mazurach pruskich. W samej rzeczy w gwarach śląskich (w ok. Cieszyna) i u Mazurów pruskich słyszał takie wymawianie miękkie piszący te wyrazy; być więc może, że ten sposób pisania w zabytkach jest śladem dawnego wymawiania dyalektycznego. W § 27 przy uwadze, że z formy pierwotnej wieśski powstała późniejsza wiejski, możnaby dodać, że u ludu słyszymy dotąd *wieski*.

Rozdział o iloczasie i akcencie czyli przycisku traktowany jest obszernie (w. I, str. 36 — 42, wyd. II, str. 36 — 43); zdaje się, że z gramatyków polskich Kryński najobszerniej rzecz tę wyłożył; Małecki bowiem w „Gramatyce większej“ tylko w nauce wierszowania zastanawia się nad akcentuacyą (§ 857 — 863), o długości zaś samogłosek daje wykład w rozdziale „Gram. hist. por.“ o samogłoskach pochylonych (§ 31 nast.), ks. Malinowski zaś rozprawia obszernie o iloczasie wogóle, a w szczególności w językach polskim i starosłowiańskim (§ 68), o przygłosie greckim, litewskim i serbskim (§ 69), o miejscu przygłosu w ogóle w rodzinie języków jafeckich, a w szczególności języków słowiańskich (§ 70), ale nie więcej

nad 3 stronice poświęca rozdziałowi o miejscu przygłosu w języku polskim (§ 71). I w tym rozdziale, jak i w innych, autor uwzględnił działanie analogii na akcent wyrazów.

Główną część książki stanowi „Fleksya czyli nauka o odmianach albo odmiennia“, opracowana wybornie i wyczerpująco. Rzeczowniki autor dzieli na 4 deklinacye: do pierwszej należą rzeczowniki rodz. męskiego, druga obejmuje rzeczowniki rodz. nijakiego, trzecia — żeńskiego zakończone na *a*, *i* i męskiego na *a*, *o*, czwarta — żeńskiego, zakończone na współgłoskę miękką. Podział to naturalny i oparty na jednej zasadzie; w „Formenlehre“ Miklosicha widzimy 5 deklinacyi; podział jego, nie odznaczający się ścisłością, przyjął Małecki zarówno do „Gram. większej“, jako też „Hist. porówn.“. Podział Miklosicha i Małeckiego różni się od systemu Kryńskiego tem tylko, że do deklinacyi piątej zaliczają imiona rodzaju nijakiego na *ę* (*n* i *ęt*). Ks. Malinowski rozróżnia 3 odmiany rzeczowników stosownie do ich rodzajów. Prof. Kalina w „Hist. języka polskiego“ uznaje 4 deklinacye: A — deklinacya, do której należą tematy rodzaju męskiego, nijakiego i żeńskiego, I — deklinacya, obejmująca rzecz. rodzaju żeńskiego na spółgłoskę miękką, U — deklinacya, do której należą syn, dom, wół, i deklinacya spółgłoskowa, obejmująca tematy na *w* (np. krew), *n* (imię), *s* (niebo), *nt* (zwierzę). U Kryńskiego w przedstawieniu deklinacyi mamy bardzo starannie zebrane wszelkie osobliwości odmian; miał tu autor, podobnie jak w nauce o konjugacyach, szerokie pole do objaśnień przez analogię czyli upodobnienie jednych form do innych, do których też bardzo często się ucieka. Zaznaczyć tu wypada, że na str. 61 (wyd. II, 63), gdzie mowa o formowaniu liczby mnogiej od rzeczowników na *anin*, szkoda, że nie wyjaśniono znaczenia przyrostka *in*, przez co byłoby widocznem, dlaczego w liczbie mn. tego przyrostka niema. Do § 72 o postaciach liczby podwójnej należałoby dodać, że utrzymuje się ona i dziś w mowie ludu, np. w wyrażeniu przysłowiowem: „zakalca na dwa palca“, w przemówce wierszowanej w baśni: „moja pani bez nosa, daj mi piwa za dwa grosa“ i t. p. Na str. 90 (wyd. II-ie — 93), gdzie mowa o dop. rzecz. rodz. żeń. na *e* w starej polszczyźnie, nie zawadziłoby dodać, że postaci te żyją do dziś dnia w mowie ludu: słyszymy w Małopolsce: tej okolice, do Wiślice, ze Stopnice; czytałem napis na Śląsku: „wchód do piekarnie“.

W wykładzie deklinacyi i całej zresztą gramatyce zdarzają się nierzadko bardzo pożyteczne i pouczające objaśnienia znaczeń wyrazów niektórych w dawnej polszczyźnie, np. na str. 98 (wyd. 2-gie — 101) czytamy: wyraz „mężczyzna“ w w. XVI-ym używany był, jako zbiorowy rodzaju żeńskiego, podobnie jak „bracia“, np. Krzyżacy, posiekszy mężczyznę wszystkę... Podobnież w dziale konjugacyi wskazano, że zamiast stpol. dostatczyć — mamy dziś dostarczyć, twierdzić zam. ćwierdzić, rozgrzeszyć zam. rozrzeszyć (§ 336) i t. p. W rozdziale o zaimkach przytacza autor na str. 100 (wyd. II str. 115) w odmianie *ja* i *ty* postaci liczby podwójnej: *na*, *naju*, *nama*, *wa*, *waju*, *wama* z dodatkiem w nawiasie: w jęz. staropolskim, pożądanem byłoby i tu zaznaczenie: i ludowym. Trzymając się zasady, że gramatyk nie jest prawodawcą języka, ale jego badaczem i pilnym spostrzegaczem, Kryński nie pozwala sobie, jak czynią to często inni autorowie, na odrzucanie pewnych form, a zalecanie innych, jeżeli w języku są jednakowo uprawnione; robi to tylko z wielką ostrożnością, i uwagi praktyczne tej treści rzadko w książce jego się trafiają. Przytaczając np. podwójne postacie dopeł. l. m. uczniów i uczni, aptekarzów i aptekarzy i t. p., powiada: „Każda z przywiedzionych

tu form podwójnych jest jednako uprawniona w języku; tym samym zalecanie w piśmie lub mowie jednej z nich, a unikanie lub potępianie drugiej nie ma żadnej słusznej podstawy“ (str. 65, wyd. II — 68). Powstaje też na wyszukiwanie fantastycznych różnic pomiędzy podwójnemi formami jakoby w ich znaczeniu „Nie mniej też niesłusznym jest wyszukiwanie różnicy nie istniejącej w znaczeniu pomiędzy formami dopełniacza na *ów* i formami na — *i* (*y*) w pewnych wyrazach. Przepis np., orzekający, że forma *pisarzów* ma oznaczać autorów piszących (scriptorum), a forma *pisarzy* — przepisywaczów (scribarum), albo też, że formy *uczniów* używa się wtedy, gdy jest mowa o uczniach w szkole, a *uczni* — gdy o uczniach rzemieślniczych [1]), przepis tego rodzaju zupełnie dowolny, nie oparty na rzeczywistych faktach żywego języka, zgoła bowiem obcy językowi mówiącego ogółu, nie może mieć znaczenia prawidła gramatycznego“ (str. 65 — 66, wyd. II. — 68). Uwzględnia autor, jako powstałe przez upodobnienie do innych rzeczowników rodzaju nijakiego formy, przerobione z liczby podwójnej *oczów*, *uszów*, *oczami*, *uszami*, zam. *oczu*, *uszu*, *oczyma*, *uszyma* i uważa jedne, jak drugie, za jednakowo uprawnione (§ 99 i 100). Za błąd jednak słusznie poczytuje i ostrzega o błędnem użyciu zaimka *go* zam. *je* w bierniku rodz. nijakiego (str. 116).

Zgodnie z dzisiejszym stanem nauki autor objaśnia zjawienie się w zaimku osoby trzeciej *ń*: nim, nią, do których *n* dostał się z pierwotnej formy przyimków *sŭn* i *wŭn* zamiast dzisiejszych *z* (*s*) i *w*. Szczegółowy wykład tego zjawiska podał prof. Baudouin de Courtenay w rozprawie „Głottołogiczeskija zamietki“ „O tak zwanem eufonicznem wtrąceniu spółgłoski *n* w językach słowiańskich“ w czasopiśmie „Fiłoł. zapiski“ 1887 r. i w osobnej odbitce. Objaśnia Kryński, w jaki sposób z zaimka staropolskiego *wszytek* powstała dzisiejsza forma *wszystek*: naprzód w l. m. z *wszytcy* na wzór polscy, czescy, boscy powstała postać mianownika *wszyscy*, a następnie *s* odczuwano jako należące do osnowy, i stąd powstały nowe postaci: wszystek, wszystka, i t. d. (str. 134 — 5, w wyd. 2-iem 142). Takież objaśnienie autor podał w „Pracach fil. t. II str. 136 — 7 w art. „Z historyi wyrazów“.

W rozdziale o rzeczownikowej odmianie przymiotników, opracowanym wybornie, autor zebrał wielką ilość odpowiednich przykładów szczególniej z literatury staropolskiej. W § 227 wspomina autor, że stopień najwyższy w dawnej polszczyźnie miał przedrostek *na* — i *naj* — ; tuby można dodać, że dotąd u ludu istnieje przedrostek *na*, najczęściej z pochylaniem *ná*—, np. nálepszy.

W odmianie liczebników (str. 165, wyd. II — 175) nie wspomina autor o postaciach *obydwa* (w wyd. 1-ym) i *obydwie* (w obu wyd.), podając tylko *obadwa*, *obiedwie;* formy obydwa i obiedwie zaświadczone są przez słowniki Lindego i Wileński i gramatyki Małeckiego i Malinowskiego. Obie postaci dopeł. *dwu* i *dwuch* [2]) uważa autor za jednakowo uprawnione; stanowczo jest za sposobem pisania *dwuch* i objaśnia końcówkę *ch* jako dodaną na wzór form *trzech*, *czterech*, *tych*, *dobrych* i t. d. Co do postaci *dwuch* i *dwóch* nadmieniamy, że forma ludowa *dwoch* w Lubelskiem, Radomskiem i na Podlasiu powstała drogą analogii do takich form, jak dwom, dwo-

---

[1]) Por. Małecki „Gram. większa“ § 146, „Hist. por.“ § 116.

[2]) Ks. Malinowski „formy nieorganiczne *dwuch* lub *dwóch* ma za całkiem niepotrzebne i mącące ze szkodą nauki pojęcia gramatyczne“ (str. 456).

ma. W wydaniu 2-iem w rozdziale o liczebnikach dodano § 241 b i c, gdzie wyjaśniono genezę form jedenaście i t. d., dwadzieścia i t. d. i ich odmianę w języku dawnym i dzisiejszym.

Wykład o słowie równie, jak o imionach, opracowany jest wybornie, wyczerpująco (str. 173 — 284, wyd. II, 187 — 304), opatrzony wielką ilością przykładów ze staropolszczyzny; przykłady na formy gramatyczne przedstawia autor w związku z innymi wyrazami, t. j. przytacza całe zdania, skrzętnie z piśmiennictwa ojczystego pozbierane. I w tym dziale gramatyki wykazano wiele zjawisk analogii, działającej na powstawanie form podobnych do innych. Przechodząc do szczegółów, zauważymy, co następuje. Trybów wyróżnia nasz autor 4: oznajmujący, rozkazujący, który nazywa i rozkaźnikiem, tryb warunkowy, tryb bezokoliczny, nazywany i bezokolicznikiem. W „gramatyce“ Małeckiego znajdujemy nazwę trybu idealnego czyli przypuszczającego, mającego 3 odcienie czyli sposoby: życzący, celowy i warunkowy. Czwarty tryb w „Gram.“ ks. Malinowskiego nosi nazwę życzącego. Podając na str. 181 formy staropolskie *powiadaję*, *składaję*, *znaję*, nie wspomina autor, że częste są w gwarach: umieraje, przegrajesz, graje, gnaje, umieję i t. p.

Słusznie poucza nas badacz, że przyrostek *i* w tr. rozkazującym jest szczątkiem trybu życzącego (optativus), który zachował się w innych językach indoeuropejskich (str. 183, wyd. II — 197). Nie możemy się zgodzić z autorem, aby w wyrażeniach takich, jak: *siądź* pan, *weź* pani, *przyjdź* pan, *bądź* pan łaskaw — formy przytoczone trybu rozkazującego były 3-cią osobą liczby pojed.; w dawnej polszczyźnie, jak słusznie autor zaznacza, os. 3-cia l. p. rozkaźnika nie różniła się zewnętrznie od osoby 2-giej, czego dowody mamy w dawnych wyrażeniach; bądź wola Twoja, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, Bóg zapłać, dziej się wola Boża, (str. 184); w wyrażeniach zaś siądź pan, weź pani — mamy osobę 2-gą, nie trzecią, co się ujawnia, gdy zmienimy tryb, np. czy pan nie siądziesz? przyjdziesz pan do mnie. Z dwu sposobów mówienia przy wyrazach pan, pani jedni przekładają osobę 3-ią np. niech pan siądzie, niech pani to zrobi, inni zaś 2-ą, jak w przytoczonych wyrażeniach; osoba trzecia jest w tych zwrotach więcej utartą i, zdaje się, za grzeczniejszy sposób mówienia uchodzi.

Słusznie ostrzega Kryński, że formy, używane przez niektórych pisarzy: sięgniej, dźwigniej, weźmiej, rośniej, krzykniej... są nieprawidłowe (str. 186 wyd. II, 201). W § 264 o czasie przeszłym trwałym (imperfectum) zebrał autor z zabytków najdawniejszych znaczną ilość takich postaci cz. przeszłego, jak *biesze* (=był), *biechą*, *siedziesze*, *mołwiach*, *mołwiasze*, *wychadzasze*, *błogosławiachą*, *poklinachą*, *szukachą*, *chwalechą*, *przysięgachą*. Obszerniej zaś rozwiódł się o czasie przeszłym chwilowym czyli aoryście (§ 269 i 270), któremu, jak wspomnieliśmy, poświęcił w t. II-im „Prac fil.“ cenną rozprawkę (str. 265—275). Aorystami są nie tylko takie postaci staropolskie, jak *bych*, *zginą* (Psałt. Flor. 9, 5), *mołwich* (tamże 119, 6), *widziech*, *poczęchą*, *idziechą*, *zapłakachą*, *wzdachą* (kazania świętokrzyskie) i t. p., ale nadto spotykane u pisarzy złotego wieku i w polszczyźnie dzisiejszej postaci: „W tym drab *przyskoczy*, król *ustąpi* kroku, Przypadszy drugi, poimał ji z boku“; (Szachy J. Kochanowskiego); „Brzękły wrzeciądze, pochodnia zaświeci“, (Grażyna Mickiewicza).

W rozdziale p. n. „Układ konjugacyi“ autor dzieli podług osnowy teraźniejszości wszystkie słowa polskie na 5 klas czyli konjugacyi. Podział ten, oparty na

ściśle określonej zasadzie, różni się nieco od przyjętych w gramatykach poprzedników. Miklosich ma 6 konjugacyi; podział ten przeszedł do „Gramatyki“ Małeckiego z r. 1863 i do „Hist. jęz. pol.“ Kaliny; w „Gr. hist.-por.“ Małecki dzieli słowa na 8 klas, zmieniając podział poprzedni w ten sposób, że niektóre gromady z 6-ciu klas Miklosicha wyosabnia, tworząc z nich oddzielne klasy. Ks. Malinowski utworzył 4 gromady (1-a obejmuje słowa jednotematowe ze spójką *je*, 2-a — słowa dwutematowe ze spójką *je*, 3-cia — jednotematowe ze spójką *i*, 4-a — dwutematowe ze spójką *i*). Wspomnieć też należy o rozprawie H. Cegielskiego „O słowie polskiem i konjugacyach jego wraz z wstępem krytycznym“ z r. 1843 i 1852, w której autor zastosował po raz pierwszy wśród pisarzy polskich nowszą metodę językoznawstwa do gramatyki polskiej; poszedł tu za śladem Dobrowskiego, który w swoich „Institutiones linguae Slavicae veteris dialecti“ (Wiedeń 1822) podzielił słowa na 6 konjugacyi na podstawie zakończeń trybu bezokolicznego. Świeżo wprowadzony system Kryńskiego oparty jest na różnicy odmiany słów w czasie teraźniejszym. Według niego do konj. I-ej, odpowiadającej tej samej konj. Miklosicha, należą słowa, których osnowa teraźniejszości utworzona jest z pierwiastku za pomocą przyrostka *e* np. niesie, bierze, drze; rozróżniamy w tej konjugacyi 3 gromady; konj. II tak samo, jak u Miklosicha, obejmuje słowa z przyrostkiem w cz. teraźn. —*nie* (na nąć w bezokoliczniku); do konj. III-iej należą słowa, których osnowa teraźniejszości utworzona jest od osnowy słownej zapomocą przyrostka —*je* np. bije, pisze, siwieje, kupuje; odróżnia w niej autor 4 gromady; konjugacya ta odpowiada III-iej i VI Miklosicha, który ze słów na —*uje*, —*ować*) stworzył osobną konjugacyę; konjugacya IV, dzieląca się na dwie gromady, mieści w sobie słowa, których osnowa czasu teraźniejszego utworzona jest zapomocą przyrostka —*i* np. wozi, widzi; równa się więc IV-ej konj. Miklosicha, konjugacya V, tak samo, jak u Miklosicha, obejmuje słowa, których osnowa teraźniejszości zakończona jest dzisiaj przyrostkiem —*a*, ściągniętym z dawniejszego —*aje* np. czytać, mawiać. Widzimy więc, że Kryński uprościł system konjugacyjny Miklosicha, od którego różni się włączeniem konjugacyi VI-ej, jako gromady, do konjugacyi III (słowa na —*ować*). Poza obrębem tych konjugacyi 4 słowa *być*, *jeść*, *wiedzieć*, *dać* mają odmianę p i e r w o t n ą bez żadnego przyrostka w czasie teraźniejszym. Tu zaznaczyć należy, że w uwagach szczegółowych autor podał wyjaśnienie wielu osobliwości konjugacyjnych, a wszystko to poparł bardzo odpowiednio dobranymi przykładami z całego piśmiennictwa polskiego. W uwadze na str. 239 o używaniu w języku ludowym często formy imiesłowu przeszłego na *l* bez przyrostka *na* od słów jednolitych, np. krzykła, drapła, dmuchła możnaby dodać, że te formy gwarowe oddawna już nawet do języka literackiego się wkradają. Uwaga na str. 266 (wyd. II str. 286) o końcówce w l. mn. *m* zamiast późniejszej *my* (widzim i widzimy) jest właściwie zbyteczną tutaj webec tego, co czytamy na str. 182 (wyd. II str. 196), gdyż należałoby ją powtarzać przy każdej konjugacyi. Z powodu słowa *rzekać* autor powiada, że spotyka się ono w zabytkach jeszcze w wieku XVII-ym; dodaćby wypadało, że i dziś w gwarze śląskiej (§ 348). Niekiedy autor dotyka i wymawiania, które w pewnych wyrazach różni się nieco od języka literackiego: tak objaśnia, skąd powstało wymawianie nimam, nima i t. d. zamiast nie mam, niema; w zjawisku tem mamy przykład ściągnienia dwu zgłosek w jedną, a mianowicie przeczenia *nie* z dawną pełną formą słowa imać (str. 282, wyd. II, 301). Objaśnił to zjawisko dokładnie ś. p. L. Malinowski w „Pr. fil.“ t. I str. 191—2 w artyk. p. n. „Nimam, nimogę“.

Ostatnią część „Gramatyki“ Kryńskiego stanowi pisownia (str. 285 — 345. wyd. II, 305 — 369), która wydana została i w osobnej odbitce p. n. „Pisownia polska. Prawidła i ich uzasadnienie“ (str. 61. wyd. II. 1899 r., str. 94). Zasadę, którą przeprowadzono w pisowni, wyłuszczył autor w przedmowie: „W prawidłach pisowni uwzględniono przedewszystkiem warunki p r o s t o t y i p r a k t y c z n e j d o g o d n o ś c i, a jednocześnie, o ile można, utrzymano zgodę z z a s a d a m i n a u k o w e m i. Nie chodziło nam zgoła o zaprowadzenie jakichś pisowniowych n o w o ś c i, lecz z dwu lub więcej sposobów pisania, jakie w pewnych razach są w użyciu, zaleciliśmy jeden, najprostszy, do nauczenia najłatwiejszy, a przytem wymaganiom nauki najodpowiedniejszy“ (str. II). Pisowni dotykał autor i w głosowni, a częściej w nauce o odmianach, por. § § 31, 107, 146, 151, 157. 159, 164, 175, 217, 220, 267, 299, tutaj zaś systematycznie i szczegółowo zasady ortograficzne rozwinął.

Kwestya pisowni nieraz w ciągu ostatniego dwudziestolecia podnoszona była przez językoznawców naszych, a dotąd, niestety, pozostaje niezałatwiona. Cenną rozprawę ortograficzną wydał Kryński w r. 1882 p. n. „O pisowni polskiej wraz z objaśnieniem niektórych form językowych“ (osobne odbicie z Bibl. Warsz.); był to memoryał, wypracowany na skutek odbywanych w r. 1880, 1881, 1882 dyskusyi w przedmiocie pisowni w redakcyi „Biblioteki warszawskiej“, następnie przedstawiony Akademii Umiejętności w Krakowie. Z biegiem czasu autor zmienił niektóre z wyrażonych tam twierdzeń (np. co do pochylania *é*, co do *ą* w bierniku imion obcych na ja: opiniją, fonetycznego pisania *z* głową i *s* prawdą, ro*s*piąć i be*s*pieczeństwo, *ji* zamiast *i* np. jimię, twoji, *yja* i *ija*, *—ymi*. Wkrótce potem wyszedł „W sprawie pisowni polskiej i wiążących się z nią zagadnień gramatycznych głos Jana Karłowicza“ (Kraków 1883). wywołany przez rozprawę Kryńskiego. Jota. ów „zły duch gramatycznego odmętu i niepokoju“, jak nazwał ją Jan Śniadecki w rozprawie „O języku polskim“ („Pisma rozmaite“ t. III Wilno 1818, str. 65), od lat już 100 blizko niepokojąca ogół piszący i wywołująca coraz to nowe rozprawy (np. L. Osińskiego, Aloizego Felińskiego, S. Borodzicza, P. Czarkowskiego. A. Małeckiego, F. Malinowskiego, F. Sławińskiego, J. Majera, (por. ich wykaz i tytuły na str. 12 rozprawki Ludwika Korotyńskiego p. n. „Słów kilka o grafice, pisowni i czystości języka polskiego“, Warszawa 1882) była powodem dwu prac J. Baudouina de Courtenay p. n. „Jedna z kwestyi spornych pisowni polskiej“ i w obszerniejszym wykładzie pod tymże napisem w tomie III-im „Prac filol.“ str. 786—832 i J. Karłowicza „Niezałatwiona kwestia kwestya kwestyja kwestja ortograficzna“ (obie w Warszawie w r. 1890). Autorowie oświadczają się za pisaniem *kwestja*. W tymże r. A. Kalina zabierał głos „W sprawie pisowni polskiej“ w czasopiśmie pedagogicznem „Muzeum“. Wkrótce potem w t. IV-em „Prac filologicznych“ ogłosił Kryński „Wyjaśnienie kilku pytań z zakresu pisowni“ (str. 327—344); wyłożone tam zasady stały się odtąd obowiązującemi dla „Prac filologicznych“ i „Wisły“. a obecnie w „Gramatyce“ znalazły szersze rozwinięcie. W r. 1892 wyszły „Uchwały Akademii“ w sprawie pisowni polskiej z dnia 31 października 1891 r. Na zjeździe literackim we Lwowie dnia 20 lipca 1894 r. odczytano rzecz p. n. „Sprawa przyjęcia jednolitej pisowni, proponowanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie“ (wyszła w t. V „Prac filol.“ i w osobnej odbitce (1895). Podpisani pod referatem J. Baudouin de Courtenay, A. Brückner, A. Kalina, J. Karłowicz i A. A. Kryński przedstawiają krytykę „Uchwał“ i proszą Akademię o polecenie ponownego ich przejrzenia językoznawcom specyalistom. Pominęliśmy tutaj

kilka jeszcze drobniejszych artykułów w tej sprawie, w czasach ostatnich wydanych.

Kryński w nowym wykładzie swej pisowni objaśnia naprzód ogólne jej zasady, t. j. fonetyczną, etymologiczną i historyczną, a w następnych trzech rozdziałach wykazuje, w jakich wypadkach trzymamy się każdej z tych trzech zasad. Pod względem pedagogicznym lepiejby, zdaje się, było wyłożyć pisownię samogłosek, spółgłosek i wypadków oddzielnych pisowni, jak to autor uczynił w rozprawie z r. 1882; w dzisiejszem bowiem przedstawieniu pisowni jednej i tej samej rzeczy trzeba dotykać parokrotnie. W rozdziale o pisowni fonetycznej autor zaleca między innemi nie kreskować *e*, pisać *historję*, *tę panią*, *kie* i *gie* w wyrazach obcych np. algiebra, markier. W § 372 uzasadnia pisanie bez wyjątku *s* w przyrostkach *stwo*, *ski*, *sko*. W § 374 autor twierdzi, na co trudno się zgodzić, że w „wyrazach polskich grupy liter: *ss*, *zz*, *cc*, *ćć*, *czcz*, *dżdż*. *ww*, *dd*, *łł*, *mm*, *nn*, *ńń*, *kk* nie oznaczają właściwie dwu osobnych spółgłosek, lecz bardziej przeciągłe i energiczne wymawianie jednego dźwięku“. Pomiędzy przykładami na *łł* można byłoby dodać nazwiska Jagiełło, Zabiełło, Radziwiłł. Dla ułatwienia piszących autor podaje w § 377 spis wyrazów swojskich i obcych, w których piszemy samogłoskę *u*; spis ten obejmuje przeszło 4 stronice druku po 4 kolumny, nie jest jednak zupełnym; w uwadze zaznacza autor (str. 301, wyd. II, 321), że pisownia w nich zgodna jest z etymologią i że zaledwie w kilkunastu naruszona została zasada etymologiczna; przytacza tu autor wyrazy: but, drut, dziura, łut, śrut, ślusarz, jałmużna, jaszczurka, marmur i t. d. Do takich należą też: butwieć, furta, luźny, nucić, nurek, nurzać, nuta, protokuł, struna, stuła, tłumaczyć. W § 378 o samogłosce *u* w przyrostkach, ponieważ podzielił przyrostki ua 2 działy: a) swojskich i przyswojonych i b) cudzoziemskich, przeto niewłaściwie do działu pierwszego są włączone wyrazy, w których przyrostka właściwie niema tego, jaki autor wskazuje, np. w wyrazach: fartuch, flejtuch, wańtuch mamy nie przyrostek, lecz cały wyraz niemiecki *Tuch*; podobnież pod przyrostkiem *uk* niewłaściwie znajduje się munsztuk, pod *uz* — intruz z łac. in*trus*-us, szlacht*uz* z niem. Schlacht-*haus*, st. niem. hus. Niesłusznie też zaliczono do mających przyrostki *us*, jak całus, garbus i t. d., wyraz *psikus*, gdyż są to właściwie dwa wyrazy psi kus t. j. psi figiel; *kus* w tym znaczeniu por. w „Słowniku“ Lindego. Zresztą w wyd. II-iem (str. 321) dokładniejsza redakcya tego ustępu i dodany przypisek rzecz tę wyjaśniają zupełnie dobrze. W rozdziale o pisowni etymologicznej autor rozpatruje naprzód wypadki, w których używamy ó; niewłaściwie dostał się tu wyraz *perjód*, którego w tej postaci nie znajdujemy w słownikach i w mowie ukształconego ogółu. W § 391 — 7 autor wyjaśnia wypadki pisania *rz*, dalej używanie litery *ż*, wypadki, w których piszemy *z* przed *k* i *c*; w przymiotnikach blizki, grzązki, nizki, ślizki, wązki należy pisać *z*, gdyż mają one przyrostek *ki*, nie zaś *ski* (§ 400); *dz* przed *ki* i *two* pisać należy w rzeczownikach i przymiotnikach, utworzonych zapomocą przyrostków *-ski*, *-stwo* od osnów na *d* np. wojewódzki, dowództwo; pisze tu autor *wychodztwo* (str. 315), podobnie, jak śledztwo, dowództwo... (por. jednak wychodźca i wychodziec z *dź*). W bezokolicznikach słów, mających ostatnią spółgłoskę pierwiastku *z*, pisze się przed *ć*—*ź* nie *ś* np. gryźć, znaleźć (§ 403); przedrostki *roz-* i *bez-* w wyrazach złożonych piszą się stale przez *z* (§ 404), w rozkaźniku słów konj. II *ij:* dmij, zajmij, nie *iej*, ale w III-iej *iej*: umiej, odziej (§ 406).

W rozdziale o pisowni historycznej autor przytacza naprzód wyrazy, w których piszemy *h*; do ich wykazu zapewne przez niedopatrzenie dostał się wyraz

chybkość w postaci niewłaściwej *hibkość* (str. 317 wyd. I, w wyd. II usunięto go). Dalej w § 408 autor szczegółowo dowodzi, że, zgodnie z zasadą fonetyczną, etymologiczną oraz tradycyą, pisać należy *biec*, *lec*, *móc* i t. d. Obszernie uzasadnia następnie, dlaczego w zakończeniach narzędnika i miejscownika liczby pojedyńczej bez różnicy rodzaju męskiego od nijakiego pisać należy *-ym*, *-im*, w narzędnikach zaś liczby mnogiej *-emi* na trzy rodzaje (§ 409). Wiemy już, że jeszcze w r. 1873 wydał Kryński o tej kwestyi obszerną rozprawę, 60 stronic liczącą. Nie będziemy tu przytaczali dowodów autora, podamy tylko do rozprawy p. n. „Kwestya językowa", str. 55 i „Gramatyki", tu omawianej, str. 324 dopełnienie. Jak wiadomo, po raz pierwszy wzór przymiotników i zaimków z różnicą zakończeń (*ym*, *em*, w rodz. męskim i nijakim w l. p., spotykamy w gramatyce języka polskiego; (napisanej przez Szylarskiego 1770 r. [1]), jakkolwiek ten autor w tekście samym dziełka swego nie

---

[1]) „Początki nauk dla narodowej młodzieży. To jest gramatyka języka polskiego. Ucząca, a tym samym pojęcie obcych języków... ułatwiająca przez M. Walentego Szylarskiego, 1770 we Lwowie. Jest to pierwsza gramatyka, po polsku napisana; przedtem były wydawane w językach łacińskim i niemieckim: P. Statoriusa—Stojeńskiego „Polonicae grammatices institutio" 1568 w Krakowie u Wierzbięty, dalej J. Rottera z r. 1616, 1638, 1646 „Schlüssel zur polnischen Sprache" we Wrocławiu u Baumana, Bliwernitza z r. 1618, 1678 „Tabella grammaticae polonicae", F. Menińskiego (Mesgnien) „Grammatica sen institutio polonicae linguae" 1649 w Gdańsku u Förstera, wyd. 2-ie we Lwowie 1747, M. Dobrackiego-Gutthetera „Goniec gramatyki polskiej oder Courrier" 1668 w Oleśnicy, „Polnische Sprachkunst" 1669, 1699, St. Malczowskiego „Compendium oder kurzer Begriff der polnischen Sprache" w Rydze 1687 i 1698 po łacinie „Parva institutio in lingua polonica", J. Ernestiego „Polnischer Wegweiser" w Brzegu 1682, 1689, 1702, Woyny gramatyka po łacinie 1690 i po niemiecku 1762, 1780, B. K. Malickiego „Tractatus ad compendiosam cognitionem linguae polonicae" 1699, J. E. Müllenheima „Neu erörterte polnische Grammatik" 1717 w Brzegu i 1726, 1735, 1755, J. Monety „Enchiridion Polonicum" 1720, 1722, 1763, 1774, 1786 (wyd. z r. 1774 przerobione przez D. Vogla), G. Schlaga „Neue polnische Sprachlehre" 1734 w Wrocławiu, 1744, 1754, 1768, C, Fr. Müllera „Polnische Grammatik" w Królewcu 1750; A. Adamowicza „Praktische polnische Grammatik" w Berlinie 1794 r., Cassiusa „Lehrgebäude der polnischen Sprache" tamże 1797, J. C. Krumbholza (Krumpolza), „Kurzgefasste und deutliche deutsch-polnische Grammatik" wyszła w r. 1775 w II-iem, a w r. 1797 w Wrocławiu już w VI-em wydaniu, i inne mniej znane i ważne. Por. niewystarczający dziś spis bibliograficzny gramatyk i słowników polskich w rozprawie A. F. Kucharskiego: „Ks. S. Zaborowskiego ortografia polska". W XVI-ym już wieku jednak drukowano w języku polskim traktaty o ortografii polskiej: po łacińskich pracach Jakóba Parkosza (1440) i Stanisława Zaborowskiego (1518), pierwszą w jęz. polskim podał Jan Seklucyan w r. 1551; w r. 1592 w 8 lat po zgonie Jana Kochanawskiego ogłosił Jan Ursyn w swej „Methodicae Grammaticae libri 4" — „Ortografię Polską" wielkiego poety, we 2 lata później wydaje J. Januszowski: „Nowy karakter Polski... Jana Kochanowskiogo i Łukasza Górnickiego"... W wieku XVII-ym często wydawano w podręcznikach gramatyk łacińskich dodatki, obejmujące pisownię polską. Patrz bardzo cenną rozprawę Wł. Wisłockiego p. n. „Nauka języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim" Lwów 1868 str. 63.

trzymał się tego prawidła; co się zaś tycze niewłaściwego rozróżnienia rodzajów w końcówkach *ymi* i *emi*, to spotykamy się z dowolnemi regułami dość wcześnie. W trzeciem wydaniu podręcznika gramatyki łacińskiej Joannis Ursini Leopoliensis z roku 1698 w Zamościu p. n. „Grammaticae libri IV" (wyd. I-e wyszło we Lwowie 1592, drugie w Zamościu 1619), do której dołączony jest traktat Jana Kochanowskiego, przerobiony już powtórnie przez bezimiennego autora (pierwszej przeróbki i rozszerzenia dokonał do wydania 2-go gramatyki Ursyna Gaspar Trądkowski, profesor Akademii Zamojskiej; przedrukował je bez zmiany Andrzej Abrek w r. 1640 i w r. 1651) znajdujemy ustęp następujący: „Czwarta (Regułá) w tákowychże i podobnych słowách (t. j. „słowach przydatnych", dziś przymiotnikach) najczęstsza iest wiedzieć czyli *y* czyli *e* pisać. Naprzykład: *Z łaskami obfitemi* żyć, czemu nie *obfitymi*, bo sobie trzeba formowáć Miánuiący spadek *te łáski obfite*, tedy słowo *obfitemi* ma być pisáne przez *e*, bo poszło z słowá *obfite*. Przećiwnie záś weźmiy słowá te z *sługámi życzliwymi dobrze Pánu*, w tym słowku *życzliwymi* iuż nie *e* ále *y* pisáć się powinno, bo pochodzi od mianuiących słow, lubo w máłey liczbie *sługá życzliwy* lubo w wielkiey *słudzy życzliwi*" (p. Wisłockiego „Nauka języka polskiego"... str. 37). Sięgnąć zresztą można o 100 lat jeszcze wcześniej mianowicie do „Nowego karakteru" z r. 1594; a tam znajdziemy taką uwagę Januszowskiego: „Przy tych Orthográphiách zdáło sie nie od rzeczy położyć kilka deriwáciy, áby sie tym łácniéy obaczyć mogło, iáko które słowo pisáć, to iest, áby w pisániu záwsze było baczenié na primitium onégo słowá. *Cudzé przygody*. Ztądże, *cudzémi przygodámi, cudzémi sprawamī*, przez *é* nie przez ypsylon. Ale kiedy rzekę *cudzy ludźie*; tedy też iuż *cudzym ludźiom*, *cudzym sprawam*, etc. *Miłośierny człowiek*: *miłośierni ludźie*: ztądże *miłośiernymi* bądźcie. Ale kiedy rzekę *miłośierné vczynki*, tedy téż *miłośiernémi vczynkámi*, etc. *Obłudny człowiek*, obłudni ludźie i ztądże, *z obłudnymi* spráwy nie mieć. Ale zaś *obłudné myśli*, *obłudnemi myślámi*. *Pewny*, *widomy*, *prawdźiwy świádek*, ztądże *pewnymi*, *widomymi*, *prawdźiwymi świadkámi*. Ale gdy rzekę *pewné*, *widome*, *prawdźiwé rzeczy* etc. tedy téż będźie *pewnémi*, *widomémi*. *prawdźiwémi rzeczami* etc." (p. str. przedostatnia traktatu). Widzimy z tych przytoczeń, że uzasadniano różnicę w rodzajach w liczbie mnogiej *ymi* i *emi* w taki sam sposób w r. 1594 i 1698, jak później Kopczyński.

W § 410 Kryński wyjaśnia błędność pisowni zjad*ł*szy, rzek*ł*szy zam. zjadszy, rzekszy; w § 411 dowodzi, że pisać należy *dwu* i *dwuch* (p. wyżej). Dalej (§ 412—414) dowodzi, że tylko *j* pisać należy w wyrazach typu *historja*, *religja*. Wskazaliśmy wyżej obszerną literaturę kwestyi joty. Przyjmując dowodzenie zwolenników *j*, zaznaczamy jednak, że 1) zgodnie z wymawianiem należy pisać *lińja*, *mańja*, nie *linja*, *manja*. 2) Co do przenoszenia wyrazów tego typu mamy w § 38 wskazówkę, że dzielić należy: ko-mi-sja, fan-ta-zja i t. d. Pisowni imion własnych cudzoziemskich autor poświęca § § 418 — 422, wyjaśniając, które z nich oddajemy pisownią polską, a które obcą. Następnie § § o wyrazach, w których pisać należy litery duże (424 — 428), o pisaniu wyrazów złożonych z przyimkami łącznym i oddzielnym (§ § 429—436), o dzieleniu wyrazów na zgłoski i ich przenoszeniu (§ 437—438) mają nie małą wagę, gdyż wpłyną niewątpliwie na uporządkowanie pisowni naszej co do tych rzeczy, tyle budzących kwestyi, nie dających się częstokroć ściśle naukowo rozwiązać. Kończąc sprawozdanie o tym dziale książki Kryńskiego, nadmieniamy, że w samej rzeczy, jak autor w przedmowie zaznaczył, nowości w pisowni nie zaprowadza i w zgodzie z nauką pozostaje; z uchwałami zaś Akademii krakowskiej nie zgadza się w 5-ciu głównych punktach: 1. Akademia nakazuje pisać

módz, autor nasz zgodnie z etymologią *móc*, 2. w „Uchwałach“ *zjadłszy*, u Kryńskiego *zjadszy*, 3. pisownia Akademii — *geograf*, Kryńskiego *gieograf* zgodnie z zasadą fonetyczną, 4. Akademia pisze *Francya*, *Anglia*, Kryński — *Francja*, *Anglja*, według tejże zasady i 5, Akademia za Kopczyńskim rozróżnia: dobrym chłopcem i dobrem dzieckiem, dobrymi uczniami, dobremi dziećmi, Kryński — w l. p. dobrym, w l. m. dobremi.

Na końcu swej książki autor podał „wykaz wyrazów, przy których znajdują się ważniejsze objaśnienia“, wykaz ten wobec wielkiego z niego pożytku szczególnie w książce tej miary i objętości w wyd. II-iem jest znacznie obszerniejszy i zupełniejszy, niż w I-ym, co ułatwia bardzo korzystanie z gramatyki. Język autora, jak wspomnieliśmy, bardzo jest prawidłowy i czysty. Wyrażenia staropolskie lub rzadsze wyrazy, podawane w przykładach, autor niekiedy objaśnia; pozostały jednak bez objaśnienia wyrazy, nie każdemu chyba zrozumiałe, a nawet w słownikach się nie znajdujące: str. 184 (wyd. II-ie str. 199). „Miecz ich wnidź w serce jich, a *łęczyszcze* jich złomiono bądź“, z Psałterza floryańskiego; łęczyszcze i używane w tymże zabytku i w temże znaczeniu łęczysko jest to łuk *(arcus)*; objaśnienia wymaga wyraz wrzemienny —doczesny w przykładzie na str. 187 (wyd. II, 143) z kazań świętokrzyskich: obiązał się tomu, czsoż jest *wrzemiennego;* na str. 204 (wyd. II, 220) dałbych iście staremu *kościenek* ku podpieraniu jego; wyraz podkreślony, zdrobniały od koścień oznacza to samo, co laska kościana, kostur, i t. p.

Korekta bardzo jest staranna w książce Kryńskiego; oprócz wymienionych w sprostowaaiach spotkaliśmy w wydaniu pierwszem niewiele więcej nad 10 omyłek drukarskich, w wydaniu II-iem jeszcze mniej, a między niemi nie zdarzają się ważne, któreby zasługiwały na wymienienie. W sprawozdaniu naszem uwzględniliśmy oba wydania „Gramatyki“; nadmienić nadto należy, w czem różni się wydanie drugie od pierwszego: do wydania drugiego autor wprowadził wiele poprawek, drobnych uzupełnień i wyjaśnień oraz większych dodatków i uwag, wskutek czego książka powiększyła się prawie o 40 stronic. Ze znaczniejszych uzupełnień wymienimy: § 130 b, w którym szerzej omówiono kategorye i odmianę rzeczowników, używanych tylko w liczbie mnogiej (pluralia tantum); o uzupełnieniach w liczebniku § 241 *b* i *c* mówiliśmy wyżej; w § 269 dodano wzór odmiany aorystu w dawnej polszczyźnie. W § 352 *a* wyjaśniono, skąd od słowa *jąć*, *imać* utworzyła się postać analogiczna zawzinać się zam. zawzimać się, skąd powstała ludowa postać weznę zamiast wezmę. W § 352 *b* wyjaśniono takie twory analogiczne, jak naginać, wyginać i t. d. Wobec wymienionych, niewątpliwie, znakomitych zalet książki Kryńskiego drobne i nieznaczne usterki, które w niej wykazaliśmy, nie mogą wpłynąć na obniżenie wartości dzieła. Że jest ona rzetelną, dowodem najprzód bardzo szybkie wyczerpanie wydania pierwszego, a powtóre, wpływ zbawienny, jaki „Gramatyka“ Kryńskiego wywarła na ukazujące się od roku 1897 podręczniki szkolne gramatyki polskiej; wspomnieć też należy, że zaledwie w rok po wyjściu książki Kryńskiego ukazało się znakomite opracowanie gramatyki polskiej w języku serbskim przez profesora szkoły Wyższej w Belgradzie Radowana Koszuticza p. n. „*Gramatika polskogu jezika*“ w roku 1898 (w Belgradzie, 8-ka str. 201); prof. Koszuticz w przedmowie pisze, że, układając swą książkę, posługiwał się znakomitą „Gramatyką“ prof. A. A. Kryńskiego („*poslužio sam se odličnom Gramatikom prof. A. A. Kryńskog*“) i starym, ale bardzo dobrym dziełem prof. W. Nehringa („J. Poplińskis Grammatik der polnischen Sprache, neu bearbeitet

von Prof. Dr. W. Nehring, Toruń 1881 r.). Świeżo także prof. Hora w Pilznie oparł swoją gramatykę polską dla Czechów na gramatyce A. Kryńskiego (*Praktická mluvnice jazyka polského* 1900). Życzyć przeto szanownemu prof. Kryńskiemu, autorowi omówionej tutaj „Gramatyki“, należy, aby co najprędzej rozeszło się i drugie wydanie, podobnie jak pierwsze, i aby wskutek tego był zmuszony wydać ponownie dzieło swe, któreby już zawierało oprócz części, zupełnie wystarczających w opracowaniu dzisiejszem, t. j. fleksyi i pisowni, rozszerzoną głosownię, wykład części mowy nieodmiennych i słoworód.

Hieronim Łopaciński.

Z sankcyą czy bez sankcyi?

Obok wielkich prac książkowych, stanowiących ozdobę naszej literatury filozoficznej, profesor Struve rzuca od czasu do czasu rozprawy, pouczające o sprawach bieżących z zakresu prądów myśli, jakie powstają wśród różnych społeczności i usiłują wyrobić sobie stałe prawo obywatelstwa. Niedawno, w broszurze „Anarchizm ducha“ (mającej dwa wydania, niezależnie od pierwotnego tekstu w „Bibliotece Warszawskiej”, snadź zatem dla ogółu interesującej) streścił szały francuskiego dekadentyzmu w poezyi w związku ze zbójecką doktryną rzekomo filozoficzną Nitzsche’go, która i u nas w pewnych kołach, zapewne dzięki nienawiści swej do chrystyanizmu, znalazła zwolenników, a nawet poparcie płci pięknej.

W tejże samej „Bibl. Warsz.” (obecnie także w osobnej odbitce) prof. Struve obznajmia ogół ze świeżym prądem, zwanym „ruchem etycznym” (który i u nas znalazł poważne, a sympatyczne odbicie w tygodniku „Głos”), kreśląc dzieje jego powstawania, a zarazem rozbierając naturę.

Ruch ten począł się przed 34 laty w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i wyszedł z natchnienia religijnego w postaci pewnego rodzaju bractwa, zowiącego się *Free religions Association*, Zwrócił on uwagę, lecz wkrótce, przy dalszym rozwoju, zrzucił opoń-

czę religijną i osiadł na gruncie czysto ludzkim, humanistycznym, jako idea, od żadnej innej niezależna, gromadząca zatem koło siebie prozelitów w imię jedynie człowieczeństwa. Świadectwem takiego nastroju są wszystkie dzieła, powołujące do ruchu etycznego, czasopisma, broszury, równie jak szkoły i stowarzyszenia, które z Ameryki przeniosły się do Europy, mianowicie do Anglii i Niemiec, i dziś są w pełnym rozwoju. Autorzy tych pism, debatujących o szczepieniu moralności, z najbliższego nam czasu, a wśród których najwybitniejsze stanowisko zajął dr. Giżycki (*Grundzüge der Moral*; *Moralphilosophie*; r. 1888), jeśli nie wrogo, to zgoła obojętnie zachowują się względem religii i metafizyki.

Usuwając tak zasady wiary, jakoteż insynuacye doktryn transcendentalnych, czyli czynniki te uważając za niepotrzebne do swych celów, koryfeusze ruchu etycznego zdają się być tem samem przekonanymi, że idea moralności powszechnej, jako równoważnik przyszłego dobra i szczęścia powszechnego ludzkości, wystarcza samej sobie: innemi słowy, że człowiek, odpowiednio tresowany, ma w sobie samym, w ustroju własnym, materyał, dostateczny do zbudowania i utrwalenia za pomocą jedynie cementu—racyonalnego gmachu szczęśliwości powszechnej, a zgoła niezależnie od wszelkich wierzeń i systematów idealistycznych.

Pewność tę osłabić, złudzenia rozproszyć czyli wykazać niemożliwość moralności bez przekonania o moralnym początku i porządku świata czyli bez Boga—zadaniem jest prof. Sruvego w przytoczonej na wstępie rozprawie.

Z szacunkiem dla celu, przy kilkakrotnem oświadczeniu o potrzebie gorącego poparcia, należnego ruchowi, dążącemu do umoralnienia ludzi w imię najwyższej zasady miłości bliźniego, zapożyczonej od chrystyanizmu, o czem ruch ten tendencyjnie jednak zamilcza lub wyraża się zbywająco, autor, przygotowując zarzuty i wyrażając obawy co do skuteczności działań, z takim nakładem serca i rozumu podejmowanych, pominął jedną okoliczność, zdaniem naszem, nadzwyczaj ważną, a na korzyść tego ruchu przemawiającą, mianowicie to, czy i o ile on jest uprawniony potrzebą społeczną.

Owoż, inna jest rzecz traktowanie moralności w sposób akademicki, jako pewnego działu filozofii lub socyologii, inna—badanie jej w stosunkach bezpośrednio życiowych i stosowanie do życia. W życiu potocznem subjektywne zachcenia człowieka, wiodące do czynów, ograniczają się dwoma właściwie różnorodnymi czynnikami: prawem religijnem i prawem państwowem; obu zaś tym czynnikom towarzyszy postrach przed odpowiedzialnością wobec sądu, albo

karą w razie nieuszanowania ograniczeń, przez dwie te potęgi nałożonych. Praktyka jednak życiowa uczy, że, jakkolwiek daleko zachodzą te ograniczenia, a za niemi odpowiedzialność, postrach im nie dorównywa, i wykraczania trwają bez przerwy. Dowodzi to, że w subjektywizmie człowieka jego skłonności, namiętności i wola stanowią potęgę trzecią, wyższą nad wszelkie prawa, przejmowane drogą objawień albo narzucanych przez społeczność.

Siła nawet obu praw, porządku religijnego czy państwowego jest bardzo nierówną. Mistyczny charakter religii, ażeby skutecznie oddziaływał na wolę, trafić musi na również mistyczne usposobienie jednostki; wtedy wyradza się potężne uczucie: wiara, która, zawładnąwszy jednostką, niezawodnie utrzyma ją w granicach czynów, przez religię zakreślonych, a przynajmniej zbytecznie zbaczać jej nie pozwoli. Ale ponieważ nastrój mistyczny nie jest powszechnym, raczej rzadkim, a usposobienia realistyczne najczęstsze, skłaniają do zwątpień, od których do indyferentyzmu i niewiary krok tylko, przeto religia staje się niekiedy szyldem, pokrywajacym grunt Bóg wie jaki, skoro do *forum internum* człowieka zajrzeć niepodobna. Faktem jest wszelako, że wśród społeczeństw, nie wypierających się religijności, zarówno chrześcijańskich, jak niechrześcijańskich, stopień umoralnienia bywa bardzo rozmaity, odstępstwa od nakazów religijnych bardzo częste, czyli, że oglądanie się na wpływ religii, jako na jedyną dźwignię porządku etycznego, zawodzi, jak świadczy, niestety, zbyt wymownie cała dziejowość Europy od czasów feudalnych aż do handlarzy niewolników, Bismarcka, Chamberlaina i hakatyzmu czyli faryzeuszów chrześcijaństwa.

Jeżeli więc te prawa, nie pisane, ale wyryte w sumieniach ludzkich, nie są zdolne powstrzymać zła wobec straszliwego majestatu, do którego się początek ich odnosi, cóż dopiero mówić o prawach, pisanych z dnia na dzień, wiecznie przekreślanych, a tworzonych przez jednostki rozkazujące, równe tym, którym rozkazują! Tutaj też *liberum veto* głosi się bez skrupułu, a ileż go milczącego kryje się w umysłach ludzkich, aby wybuchnąć czynem przeciw kodeksowym! Całą rękojmię takiego prawa, bez względu, czy jest ono mądre, czy głupie, sprawiedliwe lub ciemiężcze, stanowi bojaźń kary. Lecz, jeżeli jest środek jej uniknięcia pewny, nieszkodliwy, to i koniec: z sumieniem sprawa z góry załatwiona. Pięknieby w wykonaniu wyglądało prawo społeczne, gdyby nie policya i żandarmi!..

Ktokolwiek się nad tem zastanawiał, przyznać musi, że wydatną, esencyonalną właściwością ducha ludzkiego jest egoistyczne dążenie do absolutnej swobody; i z tem każdy ustrój społeczny

liczyć się musi. Pierwotna niezaradność mas wobec przeciwności i klęsk wyradza wprawdzie potulność względem pewnych jednostek silniejszych, zbawczych: masy uchylają czasowo przed niemi głowy i karki, pozwalają im rządzić sobą, długo pamiętne zasług, położonych przez nie lub przez przodków dla ogółu, ubóstwiają swych zbawców—i słusznie. Ale przy wzroście sił, przy nadużyciu zwłaszcza władzy, dobrowolnie przyznanej, instynkt swobody budzi się w jednostkach, przenika do nas, sugestyonuje się i następuje wstrząśnienie decydujące. Grody helleńskie pozbywają się tak zwanych tyranów, i masy przejmują ich władzę; lud rzymski wychodzi na górę Świętą i wybiera swych trybunów; naród angielski rządy powierza parlamentowi; pospólstwo francuskie głosi prawa człowieka; szlachta polska zatwierdza *liberum veto* i t. p. Wszystko to są dzieła instynktu swobody, tak w masach, jak w jednostkach, instynktu, nigdy niezadowolonego, który objawia się w ciągłem uszczuplaniu granic przewodnictwa na rzecz samorządów, w ciągłem dążeniu do reform w prawodawstwie nie tylko społecznem, ale i religijnem (sekty), ciągłem wyzwalaniem się jednostek.

Skoro zatem przeciwko tak potężnemu czynnikowi, tkwiącemu w organizmie człowieka, nawskroś egoistycznym, niedostatecznemi okazują się prawa religijne i prawa społeczne dla wykorzenienia do gruntu zła, właściwie tego, co przeciwi się idei, uznanej za dobro i szczęście powszechne, toż wolno każdemu pomyśleć, że temu niesfornemu i wojowniczemu instynktowi można przeciwstawić coś trzeciego, coby go przekonało lub pokonało, przywiodło, słowem, do dobrowolnego i szczerego zaparcia się niektórych dogodności indywidualnych na rzecz ogółu. Alež cóż to będzie tym nowym żywiołem o tak szerokich nadziejach?

Tu właśnie koryfeusze ruchu etycznego upatrzyli miejsce dla tak zwanej moralności niezależnej, o której wartości względnie do praktycznych celów społeczeństwa tyle już rozprawiano, że zbytecznem zdawałoby się jeszcze te debaty wznawiać. Dlaczego i od czego jest ona niezależną?... Oczywiście od dwu praw, poprzednio omawianych: ma to być zatem moralność samoistna, b e z s a n k c y i.

Czy taka moralność istniała kiedykolwiek i czy zasadniczo istnieć może?... takie, zdaje się, pytanie w rozprawie swej, po wyłożeniu historyi ruchu etycznego, zadaje sobie prof. Struve, a cały charakter jego działalności na polu filozofii z góry uprzedza, iż pytanie to rozwiązanem będzie negatywnie.

Przed zgodzeniem się na taką lub inną konkluzyę musimy je-

szcze zwrócić uwagę na okoliczności, usprawiedliwiające niejako zjawienie się tego bądź co bądź protestu, jakim jest ruch etyczny.

Jeżeli nie można zaprzeczyć, iż w pewnym, doniosłym nawet stopniu moralność społeczna zależną jest od religii, to z drugiej strony utraca ona przez to samo charakter jednolitości, bez którego żadna idea nie może być samoistną i bezwzględną, a tem samem powszechnie obowiązującą. Zasadniczych punktów wspólnych między religiami jest zaledwie kilka (Sokrates w „Apom". Ksenofonta wymienia tylko dwa: czcić bogów i czcić rodziców), natomiast różnic bardzo wiele; na podstawie zatem religii wyrastać mogą tylko moralności, lecz nie moralność: tak, iż każdy np. sprawiedliwy mahometanin, utrzymujący trzy żony i półtuzina nałożnic, będzie niemoralnym chrześcijaninem, i t. p. O prawie publicznem moglibyśmy przytoczyć toż samo, i w przykładach jeszcze jaskrawszych, ale mniejsza o nie. Dość, że ze względu na tę zależność, a raczej emanacyę, słusznie powiedziano kiedyś, iż moralność zależy od stopnia szerokości geograficznej, czyli, że umysł niepodległy i zgoła bezinteresowny ma przed sobą dwie drogi: wybrać jedną z moralności istniejących, do której uczuwa największą sympatyę, albo stworzyć sobie nową, sposobem ektektycznym wybierając z każdej, co mu się wydaje najracyonalniejszem, względnie najdogodniejszem; i takich to eklektyków, tytułujących się nawet chrześcijanami, jest dziś podobno najwięcej.

Cóż dziwnego, że w tym chaosie pojęć przepada jednolity pogląd na dobro społeczne i indywidualne, na szczęście lub niedolę? Co dziwnego, że znajdują się umysły, niepokojące się takim stanem, dbałe o tę jednolitość poglądu, rękojmię wzajemnego porozumienia się i zbliżenia w imię braterstwa członków ludzkości? Są to owszem chęci zbyt szanowne i doniosłe, abyśmy sprzyjać im nie mieli. O cóż tu bowiem chodzi? Nic więcej, tylko o stworzenie wspólnego, jednolitego kodeksu postępowania, uznanego za narzędzie wspólnego dobra i szczęścia, i któryby stał się obowiązującym, a to bez pomocy żadnego obcego pierwiastku, bez żadnej sankcyi zewnętrznej.

Ale czy układ moralności bez sankcyi, to jest bez kryteryum niezaprzeczalnego, jak pewnik matematyczny, może liczyć na powodzenie? Gdyby chodziło tylko o sam kodeks moralny, poza sankcyą religijną, nic łatwiejszego; mamy ich dosyta we wszystkich kierunkach, począwszy od Platona, do Benthama, Spinozy, Kanta, Fichtego, Fouriera i Comte'a. Ale są to kodeksy, wypływające z systematów podmiotowych, przedstawiające się, niby dzieła sztuki, nie obowiązujące zatem nikogo: tu zaś nie chodzi o moralność akademi-

cką, lecz o regułę postępowania, od której, gdy będzie ściśle przestrzegana, zależą wielkie sprawy ludzkości. Usunięcie zatem sankcyi religijnej, która bądź co bądź krępuje sumienie i wdraża choćby częściowo pewną obowiązkowość oraz poczuwanie się do odpowiedzialności, wygląda na zamach stanu w świecie moralnym i, o ile nie jest czynem anarchicznym, wróży jakąś silniejszą i pewniejszą obowiązkowości podstawę.

Jaką więc jest ta podstawa, z korzyścią zastępująca sankcyę w mniemaniu koryfeuszów ruchu etycznego? Podstawą tą nie jest nic innego, tylko wprawa ducha ludzkiego, odpowiednio do celu skierowana, wprawa, którаby przez ustawiczną pracę i ciągły kierunek stosownie naturę ludzką urobiła, a raczej przerobiła, wytworzyła taką, którаby nie tylko poczuwała wstręt do czynów przeciwetycznych i przeciwspołecznych, ale którejby czyny takie nawet na myśl nie przychodziły, przestały istnieć zarówno w woli, jak w umyśle.

Nim rozpoznamy, czy kultura taka jest możliwą, wspomnieć musimy o rzeczy najważniejszej i którą też, jako swe działo pozycyjne, wystawił prof. Struve, to jest o samym celu ruchu etycznego. Rzeczywiście, jego koryfeusze niemniej podmiotowi są od filozofów; dla nich cel moralności jest taki a taki, dobro i zło społeczne wygląda tak a tak. Skąd jednak prawo do takich twierdzeń? Gdzie rękojmia niezaprzeczalności takich cech, a nie innych, po których się poznaje moralną wartość czynów. Jak swoboda, to swoboda. Przeciwko takiemu celowi i regule postępowania może równem prawem wystąpić inny, tak, jak przeciw republikańskiej np. formie politycznej bytu społecznego występuje forma monarchiczna, bez rozjemcy, bez stałego punktu, do któregoby się zwrócić można, jako do kryteryum. Ruch etyczny w imię dobra powszechnego żąda ustępstw ze strony egoizmu. Nic piękniejszego.

„Ale cóż odpowiemy — zapytuje między innemi prof. Struve— niechętnemu egoiście na pytania: poco to wszystko? na co ta walka? Dlaczegóżbym nie miał urządzić swego życia jak najdogodniej i jak najprzyjemniej dla siebie? Niech każdy o sobie myśli! Że ja wyrzeknę się tych lub owych przyjemności, że przyniosę jaką dotkliwą dla siebie ofiarę na rzecz swych bliźnich, cóż z tego wyniknie? Oni będą trochę więcej zadowoleni, niż byli, ja zaś zato utracę pewien zasób przyjemności, który dotąd posiadałem. W ogólnej tedy sumie wszechludzkiej szczęśliwości nic przez to nie przybywa, tem mniej, im większe ofiary na siebie nałożę, bo przecież moja szczęśliwość musi także wejść w rachubę szczęśliwości powszechnej" i t. d.

Takiemu programowi nie ma prawa przeciwić się, kto wystę-

puje z własnym: co najwięcej otwiera się tu pole do debatów, czyli stają znowu przeciwko sobie dwie podmiotowości, zawieszone w powietrzu. Cóż będzie, jeśli opozycya przybierze charakter jaskrawszy i radykalniejszy; jeżeli kto w przedstawieniu etyków niezależnych odezwie się np. w ten sens: Ja nie podzielam waszych zasad; jest to moralność niewolników, której nie cierpię; jam jest uczniem Zaratustry, i moja wola, moje ja stoi ponad wszystkimi; dla mnie złem jest tylko słabość, i tę należy wytępić; moim ideałem nie jest człowiek, lecz nadczłowiek; idę w ślady Attyli, Dżyngishana, Napoleona, Bismarcka, wielkich podczaszych krwi, którzy, szafując tym eliksirem życia, odmładzali ludzkość! Na takie *dictum*, my, koryfeusze ruchu etycznego, my, moraliści niezależni, oparci o miłość bliźniego, gotowiśmy załamać ręce i zawołać: Co ty mówisz, człowieku! ty grz.... I nie dokończymy zdania z obawy, aby nie popaść w niekonsekwencyę, bo niema i nie może być grzechu tam, gdzie niema sankcyi, a tęśmy odrzucili.

Ale przypuśćmy, że cel ruchu etycznego zyska zgodę powszechną, a przynajmniej przeważną; jak się przedstawiają jego środki po usunięciu sankcyi? Jedyna pozostaje kultura (mówiąc ogólnie), która ma zastąpić wszystko.

Tu na nierównie pewniejszym gruncie staje ruch etyczny: dostarcza mu świadectw i natura człowieka, i doświadczenie życiowe. Od czasu, jak Arystoteles powiedział, że „nawyk jest drugą naturą", zwrócono uwagę na tresunek, brano go za czynnik urabiający—i niebezowocnie. Drobny przykład: znamy kraj, a w nim miasto, gdzie ukształcone mamy tolerują, a nawet zachęcają swoje małe pieszczotki do zrywania bez względu na brzydką i potępianą przez ogół naturę faktu kwiatów w ogrodzie publicznym, byle poza oczami dozorcy; gdzie ojciec rzuca ci się do oczu, jeśli jego podrostkowi, łamiącemu krzew, zwrócisz uwagę na niewłaściwość postępku w miejscu, oddanem „pod opiekę publiczności"; gdzie chłopu na wsi nie wbijesz do głowy, aby owoc w cudzym sadzie był dlań nietykalnym. Znamy też inne kraje, gdzie pośród ludu podobnież przed laty, względnie do publicznej własności usposobionego, dziś najdrobniejszy choćby zamach na nią nikomu, od starca do dziecka, nawet na myśl nie przyjdzie, a gdyby taka myśl przebiegła, to tylko w towarzystwie naturalnego, odruchowego wstrętu. Czem się to stało? Przez prostą kulturę, w której zrazu podobno i rzemień odegrał pewną rolę niefiguryczną: ogół n a w y k n ą ł do wstrzemięźliwości od złego.

Przykład ten niech służy za miarkę; ale możemy wskazać objawy nierównie ogólniejsze i okazalsze przez porównanie etyki całych grup narodowych, a przykład Szwajcaryi jest może najwymowniejszym. Tam, śród gór niedostępnych i karkołomnych ścieżek, w kraju wrogim wszelkiemu dobrobytowi, a na trakcie, dzielącym społeczeństwa najucywilizowańsze, można z najlepszem powodzeniem uprawiać rozbój, jak to działo się i dzieje nawet dotąd wśród innych gór. Tymczasem ci ubodzy Szwajcarowie — pomijając już wzorową cywilizacyę — stali się wzorem moralności; dziwna społeczność, gdzie, pomimo niedostatku i upornej walki o byt, nie tylko nie słychać o wielkich złodziejstwach i oszustwach, ale nawet małego złodzieja z latarniąby nie znalazł, a kobieta sprzedajna znajdzie się tylko, jako artykuł przywozowy, na sezon cudzoziemców. Praca wypełnia życie biedaków, zdala od wszelkich zysków nieprawych. O ścianę mieszkają Włosi: jakaż to gwałtowna różnica! A skąd się ona bierze? Wszakżeż Szwajcarzy to nie żadna rasa uprzywilejowana. Nie, tylko przodownicy ludności potrafili im wmówić, że cnota to dobry interes, a odrobina wytrwałości sprawiła, że ogół przekonał się, iż lepszego niema. Czy podejmowano tam dla umoralnienia ogółu jakie środki nadzwyczajne? Bynajmniej. Czyniono tylko stale, wytrwale i rozumnie to, co gdzieindziej czyni się cząstkowo i niedbale. Zahartowywano do moralności od dziecka, jak niegdyś w Sparcie hartowano do cięgów, i kultura poskutkowała, a system trwa w całej mocy. W którekolwiek zajrzymy gospodarstwo społeczne, zobaczymy, że wszędzie, bez względu na wszelkie sankcye, stopień umoralnienia ludności zależy od stopnia nacisku, jaki społeczność na specyalną w tym kierunku kulturę wywrze wśród pokoleń. I oto fakt, już nie drogą dyalektyki, ale realnie i pozytywnie przemawiający na korzyść moralnej kultury niezależnej. Idea, „jak wilgoć w drzewie, przez związki, z pnia w konary, z konarów przesącza w gałązki".

Też same jednak dane służyć mogą do obalenia stanowczości wpływu. Rozebrawszy go, zobaczymy na dnie jedno tylko znamię pozytywne: fakt psychologiczny, n a w y k. A cóż to jest nawyk? Czynność, która przez częste powtarzanie stała się wprost odruchową, automatyczną. Nic łatwiejszego, jak przypuścić okoliczności, które czynność tę zastosują do podmiotu w innym kierunku, odwrotnym; a wtedy według tegoż samego prawa, co nawyk, nastąpi o d w y k czyli nowy nawyk z odwrotnym znakiem algebraicznym. Wszak według znanego w Europie przysłowia dawnymi czasy „byli jeszcze w Prusach sędziowie" i byli urzędnicy administra-

cyjni, których *Ehrlichkeit* stała się również przysłowiową. Dość było jednej orgii zwycięstwa na polu bitwy, ażeby na miejsce niezależnej prawości wkroczyła obłuda, serwilizm i przeniewierstwo, rozciągające się i na klasy nieurzędnicze. Owoż i mamy odwrotną stronę medalu moralnej kultury niezależnej, odruchowej. O ten zwrot w kierunku przeciwnym tem łatwiej, że, jak to wspomnieliśmy wyżej, natura ludzka zasadniczo ciągnie do absolutnej swobody, że jednostkom sprzykrzyć się może rutyna, w jakiej grzęzną, i że taki stan wzbudzić może pytanie: dlaczego ja mam się stosować do form, które mi się nie podobają? Pytanie takie bywa bardzo płodne.

Daremnie moraliści niepodlegli na poparcie swej doktryny przytaczają wzniosłość charakteru i poprawność życia niektórych ludzi, obywających się bez żadnej sankcyi, jak: Darwin, Spencer, Mill, Littré i t. p. Przedewszystkiem są to jednostki wyjątkowe, na które wzgląd nie może stanowić prawidła. My, owszem, powiemy więcej. Na mniejszej nierównie stopie, w szarym tłumie ludzkim znamy bardzo wielu indyferentów lub zgoła niedowiarków, dobrowolnie zadośćczyniących wymaganiom moralności objawionej. Ale i ta liczna dosyć grupa stanowi jeszcze wyjątek, bynajmniej nie stwierdzający prawidła: iż moralność obejść się może bez sankcyi. Istotnie, wpływ wychowania, zżycie się koleżeńskie z towarzyszami szlachetnego sposobu myślenia, ambicya dorównania, dbałość o szacunek ludzi, przeświadczenie o wartości własnej, wzgląd zwłaszcza estetyczny, przedstawiający dobro w świetle piękności, głęboko wzruszającem istotę ludzką, wszystko to są czynniki, zdolne wysoko posunąć jednostkę w godności moralnej i na tym ją poziomie wbrew ofiarom ze strony egoizmu utrzymać. Lecz niechaj nikt nie mówi, ażeby ta ofiara odbywała się bez żadnej sankcyi. Wszystkie te właśnie czynniki, poprzednio wymienione, duma czy honor, czy jak kto zechce nazywać pobudki owe, stanowią właśnie dla jednostki sankcyę. Nie będzie ona pozaświatową, jak sankcya religijna, ale podejdzie pod to, co Kant ogólniej i nader trafnie nazwał nakazem stanowczym, pod który podciągnąć można wszystko, co wobec skierowania woli ku czynowi jest dla podmiotu powagą, od wymiaru ścisłej sprawiedliwości aż do zabobonu. Ten nakaz kategoryczny Kanta jest czemś tak przekonywającem, jako nić, utrzymująca różaniec czynów ujednostajnionych wobec pewnej idei, że wszelkie czyny, nie w imię jego spełnione, wydają się lekkomyślne lub przypadkowe. I nie jest on tem samem, co bezpośrednia pobudka deterministów, krępująca wolę i zniewalająca do czynu. Gdy

np. nadchodzą wybory na ważny posterunek społeczny, ja mam już kandydata, którego rozum i uczucie obywatelskie wskazują mi, jako najlepszego i jedynego. Aliści na drodze do urny otaczają mnie krewni, przyjaciele z gorącą prośbą, ze łzami, ze słodkiemi przyrzeczeniami, nalegając o głos za kim innym, według mego przekonania, nieodpowiednim. Ulegam jednak naporowi tego wpływu postronnego, który w tej chwili jest dla mnie pobudką przeważną, i zmieniam kartkę wyborczą. Popełniłem czyn niemoralny, przełamałem nakaz kategoryczny mojej zasady obywatelskiej, o czem przekonywa mnie zaraz po spełnieniu czynu wyrzut obywatelskiego sumienia.

Mylą się więc ci, którzy utrzymują, że moralność obejść się może bez sankcyi. Obejść się ona może bez pewnej sankcyi, ale nie bez wszelkiej. A skoro już musi jej towarzyszyć jakaś sankcya, to pytanie: jaka?

Moralność jest wytworem czysto ludzkim, jak wszystko wreszcie, co w biegu wieków odróżniło człowieka od prostego zwierzęcia. Natura czyli to, co rozpoznajemy w świecie zapomocą zmysłów, wzoru moralności nam nie daje, owszem, zdaje się być w wielu razach postulatom naszej moralności przeciwną: poza ludźmi w świecie zjawisk zmysłowych moralności niema. Stąd też trudno dla niej wynaleźć podstawę pozytywnie naukową, jak dla botaniki lub biologii. Początek jej dała potrzeba urządzenia stosunków międzyludzkich, i tu dla wzmocnienia powagi praw pisanych zaczęto się powoływać na prawa niepisane — boskie: moralność zetknęła się z religią, lecz nie wszędzie i nie zawsze. Zlała się z nią u Hebreów, oddzieliła u Greków, gdzie bogowie byli tylko przedmiotem czci, nie wzorem postępowania. Ogólniejsze znaczenie usiłowała jej nadać filozofia i utworzyła nawet dla niej u siebie osobny dział, integralny z całym systematem; ale też, ile systematów, tyle okazało się moralności nie obowiązkowych.

Czy dzisiejszy ruch etyczny nadaje swym usiłowaniom podstawę naukową? Także nie. Mniej dowierzalibyśmy własnemu w tym względzie obeznaniu się z przedmiotem, ponieważ żyjemy tu poza obrębem głównych ognisk tego ruchu; ale prof. Struve zwiedził je wszystkie, rozpoznał, a co najważniejsza, gruntownie zbadał w tym kierunku całą literaturę wielojęzyczną, której cząstkę zaledwie znają tutejsi uprawiacze ruchu etycznego. I nie znalazł on tam innej zasady nad wiarę w możność udoskonalenia człowieka i szlachetny nastrój humanitarny. Przyjmu-

je też tę zasadę, cieszy się z niej, ale przeczy stanowczo, aby ona wystarczała do dokonania „wielkiego dzieła uzdrowienia moralnego ludzkości". Do tego celu, zdaniem jego, zbliżyć nas tylko może silne przekonanie o istnieniu moralnego porządku wszechświata, czyli, rozwijając z bawełny to wyrażenie, wywód krytyczny istnienia Boga i nieśmiertelności duszy. W myśl tej swojej zasady, którą uważa za jedynie zbawczą, nie może on podzielać nadziei ruchu etycznego, który ją ze swych usiłowań wykluczył, a natomiast powierzył się orędownictwu natury, ujawniając wcale niedwuznacznie swą sympatyę do materyalistycznego na świat i istotę człowieka poglądu, który, zdaniem autora rozprawy, prędzej czy później, zamiast do dobra i szczęścia doprowadzić musi do obojętności i pesymizmu.

Jesteśmy zupełnie tego samego zdania, co prof. Struve, że bez przekonania o moralnym porządku świata moralność podstawy niewzruszonej nie ma i mieć nie może, że zamiast niej istnieć może tylko przymus okolicznościowy, narzucony przez cobądź lub przez kogobądź, choćby przez sam podmiot, fantazyjnie i nietrwale. Wąż, ukrywający się w trawie ruchu etycznego, zanadto swym czarującym sykiem zdradza chęć obalenia idealnych, wprost boskich i nieśmiertelnych podstaw moralności, aby nie zbudził nieufności tych, którzy obawiają się w praktyce sumienia ludzkie pozostawić na bezdrożu, na łup poszeptom dekadenckich indywidualistów, układających hymny na cześć Szatana. Moralność naturalna! Gdzież ona jest w naturze? Czy w tem ciemiężeniu słabego przez silnych, czy w torturach przedśmiertnych, zadawanych organizmom żyjącym? Nie: odkąd człowiek począł cierpieć bólem nie tylko własnym, ale i cierpieniem drugiego, czego nie znają inne twory natury, nastąpiło przekonanie, że jego moralność jest innego, jak natura, porządku. Moralność naturalna jest taką samą fikcyą, jak zgasłej pamięci religia naturalna, przywidzenie kilku główі filozoficznych, i tak samo się rozwija, jak ona.

Głębokie przejęcie się moralnym początkiem i porządkiem świata z natury rzeczy mogłoby stanowić podstawę i dla moralności międzyludzkiej, ale jest to dopiero teorya, na której gruncie gmach tejże moralności budować można i lepić cementem obowiązkowości. Umysły pozytywne zarzucić mogą, że teorya, jako wymysł podmiotowy, do niczego nie zobowiązuje; że początek i porządek świata nie da się ani wywieść, ani określić naukowo, że zatem stawianie gmachu na gruncie niepew-

nym jest budowaniem na piasku. Ależ i moralność niezależna, z żadnego naukowego pochodzenia wylegitymować się nie może; opiera się ona na wierze w doskonałość natury ludzkiej, czemu i my nie przeczymy, boć to fakt zbyt ujawniony: cała rzecz zatem pomiędzy dwiema teoryami rozchodzi się o środki tego doskonalenia, mianowicie, czy łatwiej i prędzej dojdzie się do celu z Bogiem czy bez Boga, z sankcyą czy bez sankcyi.

Jeżeli mowa o Bogu, to tu już nie można wyminąć udziału religii. Pomijając inne, zostańmy przy swojej. Pomimo zboczeń od pierwiastkowej zasady, jakich się wykonawcy dopuszczali i jeszcze dopuszczają, ślepy tylko albo tendencyjnie uparty nie dostrzeże czy nie przyzna, że religia chrześcijańska dokonała przynajmniej w połowie na rzecz umoralnienia ludzkości tego, co stanowi ogólny i niezależny postulat etyczny. Jeżeli wiarą umoralnienia ma być abnegacya egoizmu na rzecz innych, toż chyba szpitale, ochrony, przytułki, zakłady dobroczynne i ofiarne, owoce natchnień nauki Chrystusowej, którymi zasypana jest kula ziemska, świadczą do pewnego stopnia o wartości drzewa, jakie je zrodziło. Tu siostra miłosierdzia oddaje młodość i wszystkie powaby życia na posługę cierpiącym; tam człowiek silny w kwiecie wieku zaprzepaszcza się do końca życia w piekle trędowatych, aby ich nędzę osładzać; ówdzie kapłan rzuca się w jamę łomem zawalonych górników, aby im nieść pociechę religijną i razem z nimi umrzeć; indziej zatwardziały złoczyńca przed trybunałem spowiedzi zwraca zbrodniczo wydarte przedmioty właścicielom... I jaż to, dążąc do rozszerzenia, do utrwalenia podobnych uczuć w ludzkości, mam odrzucać taką dźwignię, taką ideę, w imię której wszystko się to dokonywa, a na jej miejscu stawiać jakiś honor ludzki i interes wspólny? Nie, ja wolę tę ideę spożytkować i, nie mówiąc już o szczęściu wiecznem, użyć ją za narzędzie do szczęścia doczesnego, które jest nieodzownym wynikiem dobra; nie do szczęścia które ustawicznie śmieje się i podryguje, ale które, choć z oczyma załzawionemi, zachowuje w głębi serca spokój i radość.

Za spożytkowaniem tej idei, która, jak powiedzieliśmy, dokonała już z połowę dzieła, a dokonałaby nierównie więcej, gdyby była sumiennie i gorliwiej uprawianą, przemawia mi mój rozum. Ale moraliści niezależni mają inny rozum. Wierzą oni w prawo postępu, a ramionami ruszają na chrystyanizm, tak, jakby on nie był postępem, nie zadając sobie pytania, jakby też dziś wyglądał świat

od czasu Neronów i Elegabalów, gdyby był pozostawiony głuchemu prawu postępu. Najlepszą wskazówkę tego mamy w społecznościach, do których chrystyanizm nie dotarł.

Prof. Struve w usunięciu idealnych podstaw etyki widzi groźbę wtargnięcia powszechnego pesymizmu i nirwany. My, nie zachodząc tak daleko, w moralności bezwyznaniowej dostrzegamy przedewszystkiem oschłość oraz dążność ku samowoli, rozsprzęgającą wszelką możność ujednostajnienia poglądów na dobro i zło, zatem ciągłą anarchię pojęć, której najlepsza wola, najbardziej krasomówcze wywody koryfeuszów (czyli, jak ich prof. Struve nazywa, „romantyków") ruchu etycznego bez powrotu do sankcyi końca nie położą. Zdaniem naszem, albo sankcya, albo anarchia, czyli, jak się wyraża autor rozprawy: *Aut Caesar, aut nihil.*

Kazimierz Kaszewski.

„KRZYŻACY“

SIENKIEWICZA.

I.

Rozprawiano u nas dużo o dokonanem za sprawą Sienkiewicza odrodzeniu powieści historycznej. Niewątpliwie, autor „Trylogii” i „Quo vadis” temi arcydziełami swojemi, z przeszłości wysnutemi, porwał i zachwycił cały ucywilizowany świat współczesny. Ale czy istotnie zawarta w nich treść historyczna stanowi głównie o ich wartości i znaczeniu? Można o tem powątpiewać.

Są wprawdzie wybitne utwory powieściowe, niekiedy i dramatyczne, zdające się mieć za jedyne zadanie wierne odtworzenie i upoetyzowanie historyi. Ale czy genialne arcydzieła poezyi, na tematach dziejowych osnute (jak „Konrad Wallenrod”, „Narzeczeni” Manzoniego, „Dziewica Orleańska” Schillera i niektóre dramaty Shakespeara), zawartej w nich prawdzie historycznej zawdzięczają swą siłę i trwałość niespożytą? — Czy doniosłość ich nie wynika raczej z prawdy poetyckiego natchnienia i poetyckiego zamysłu, ze swobodnej gry uczucia i fantazyi, przez samorodną dążność twórczą zbudzonej? A źródłem takiej dążności mogą być jedynie pewne

stany i usposobienia zbiorowej duszy społecznej, które w indywidualnej duszy poety najwyższe osiągają natężenie i najpełniejszy znajdują wyraz.

Są epoki, kiedy owe prądy życia duchowego ku przeszłości przeważnie się zwracają, w jej postaciach i zjawiskach najlepiej wyrazić się mogą. Czyż nie z takiego zwrotu wynikły różne znamienite twory naszej poezyi i sztuki, począwszy od „Pana Tadeusza" aż do obrazów Matejki i powieści Sienkiewicza? — Jeśli dzieła tych dwu ostatnich mistrzów zowiemy historycznemi, to nie dlatego, aby miały one na celu odtwarzanie historyi, lecz dlatego, że historya dostarczyła im zjawisk i kształtów, zdolnych jedynie uplastycznić ożywiające je idee twórcze; idee, które wysnute zostały z teraźniejszości, stanowią odbicie pewnych bardzo istotnych jej dążeń, ale nie znajdują w jej życiu odpowiednich dla swego wyrażenia form konkretnych. Ogólnie bowiem biorąc, sztuka w najznamienitszych swych objawach przedstawia nie z j a w i s k a czasu, z natury swej zmienne i znikome, lecz d ą ż e n i a czasu, będące objawem pewnych trwałych prądów duchowych, odwiecznie nurtujących w łonie ludzkości. Dla ujawnienia i unaocznienia nam tych prądów artysta może się posługiwać dowolnie zjawiskami teraźniejszości, przeszłości lub przyszłości, może nawet przekroczyć wszelkie granice czasu i przestrzeni, byle tylko odczuwał wiekuiste falowanie życia i to odczucie swoje umiał wyrazić z siłą i z prawdą. Prototypem takiej twórczości jest twórczość ludowa i nieśmiertelne jej płody: mity i podania. Ale ściśle biorąc, czemże są wielkie kreacye poetyckie: Hamlet, Faust, Konrad, Irydion i t. p., jeśli nie postaciami mitycznemi, które nie istniały nigdy w życiu rzeczywistem, a jednak istnieją wiecznie w idealnem życiu ducha ludzkiego?

Nie miejsce tu na rozwijanie tego poglądu, dotyczącego samej istoty sztuki. Zastosujmy go tylko do jednego zajmującego nas tu jej rodzaju, do romansu historycznego i niezrównanych w nim kreacyi Sienkiewiczowskich.

Owóż są dwie odmiany tego rodzaju literackiego. Jest romans historyczny w ścisłem znaczeniu, t. j. mieszaniec literacko-poetycko-naukowy, który zajmuje wyobraźnię czytelników i dostarcza im pewnych wątpliwych wiadomości i niewątpliwych fałszów przez mniej lub więcej udatne uplastycznienie i zabarwienie postaci i typów dziejowych; a obok tego jest romans, albo (żeby nie posługiwać się tym konwencyonalnym terminem) jest powieść, wysnuta z wątku dziejowego, rozwinięta na określonem tle dziejowem, lecz mająca

niezawisły swój byt w dziedzinie czystej sztuki, jako artystyczne i poetyckie upostaciowanie wiekuistej prawdy życia ludzkiego.

Czyż potrzeba dowodzić, że do tej drugiej, jedynie uprawnionej w sztuce, odmiany literatury powieściowej należą „historyczne” powieści Sienkiewicza? — Czyż występujące w nich postaci nie żyją własnem samoistnem swem życiem, jako typy ogólno-polskiej natury, niezawisłe od poszczególnych epok dziejowych i odrębnych warunków ich bytu?

Sienkiewicz jest jednym z najznamienitszych u nas twórców prawdziwych mitów poetyckich, które istnieją nie tylko w literaturze, lecz dziś już przechodzą do żywej tradycyi i na zawsze zapewne w niej pozostaną, a unoszone na jej falach żyć będą w pamięci i wyobraźni tych pokoleń nawet, które już może nie będą czytały zawierających je utworów literackich. Sądzę, że na tem rozszerzeniu się jej poza sferę czysto literacką, na tem jej przejściu do sfery żywej tradycyi polega głównie znaczenie wyjątkowe twórczości znamienitego epika naszej prozy powieściowej. To też nie ze stanowiska literatury tylko, a tem mniej historyi, lecz z punktu widzenia epickiego i tradycyonalnego, należy przedewszystkiem oceniać wielkie kreacye powieściowe Sienkiewicza.

Spróbujmy rozważyć z tego punktu widzenia ostatnie jego arcydzieło, „Krzyżaków”.

II.

Pewną jest rzeczą, że i w poprzednich swych powieściach, wysnutych z przeszłości, Sienkiewicz nie powodował się li tylko historycznem i literackiem zamiłowaniem przedmiotu — świadczą o tem słowa, umieszczone na ostatniej stronicy „Trylogii”, oraz słowa, stanowiące zakończenie „Quo vadis” — wszelako w „Krzyżakach” dobitniej, aniżeli w tamtych dziełach, występuje z życia i z żywej tradycyi wysnuta dążność twórcza autora. Jest w tej powieści tenże sam, co w „Trylogii”, kult bohaterskiej dzielności, jako objawu niepożytej energii żywotnej, i tenże sam, co w „Quo vadis”, kult heroizmu duchowego, jako najwyższej potęgi moralnej, a obok tego jest też głębokie odczucie żywiołowej walki plemiennej, od wieków toczącej się między zaborczym germanizmem a Słowiańszczyzną, przezeń zwalczaną, walki, która stanowi o istnieniu ludów zachodnio-słowiańskich i za dni naszych na innem, jak dawniej, polu, z niemniejszą jednak, owszem w ostatnich czasach ze wzmagającą się wciąż wre siłą i zaciętością.

Kulminacyjny jej punkt w dziejach naszego narodu przypada w starciu litewsko-polskiej monarchii jagiellońskiej z potężnym Zakonem teutońskim. W starciu tem występuje z jednej strony cała nienasycona żarłoczność żądnych coraz to nowej zdobyczy germańskich zaborców, a z drugiej strony objawia się w najwyższem swem natężeniu siła odporna zwalczanego przez nich narodu.

Wobec tego niedziw, że Krzyżak w tradycyi i w poezyi naszej stał się typem srogiego ciemięzcy i krzywdziciela, a zwycięska przeciw niemu walka wspominana była, jako tryumf sprawiedliwości i odwet za doznane krzywdy. A czemże jest dzisiejsze państwo pruskie, ojczyzna hakatyzmu, jeśli nie wskrzeszonem Krzyżactwem i urzeczywistnieniem zaborczych jego dążeń? Z tego zestawienia jasno się okazuje cała żywotność zasadniczego tematu powieści Sienkiewicza. A zważmy przytem, że pisarz-artysta z tak wybitnym, wyjątkowym za dni naszych talentem epickim, odczuwający tak silnie heroiczne stany duszy i pobudzone przez nie czyny, — skoro podjął przepełniający całe życie współczesne motyw wiekowej walki plemiennej, wybrać musiał okres najwyższego spotęgowania i rozpostarcia się najszerszego walczących żywiołów — bohaterski okres Płowiec i Grunwaldu.

W ramach tego okresu, między wspomnieniami pierwszego zwycięstwa nad Zakonem teutońskim a następstwami ostatecznego nad nim tryumfu rozwija się akcya „Krzyżaków”, mająca, jak zawsze u Sienkiewicza, zakrój szeroki, pełna epizodów i powikłań, a mimo to jednolita w głównym swym przebiegu i przejrzysta w ogólnym swym układzie.

Ale nie trzeba w niej szukać wyczerpującego obrazu danej epoki dziejowej, którego tak niesłusznie domagają się krytycy od tak zwanej powieści historycznej. Powieść Sienkiewicza to nie historya Polski z końca XIV-go i początków XV-go wieku, lecz historya młodzieńca polskiego z owych czasów, Zbyszka z Bogdańca, opowieść o jego sprawach, czynach i przygodach, o jego wielkiej miłości dla uroczej, a nieszczęśliwej Danusi Jurandówny, zdradziecko przez Krzyżaków porwanej, o jego srogich cierpieniach, stąd wynikłych, i heroicznych bojach, podjętych dla wyzwolenia ukochanej; — o gorącem, a niewzajemnem doń przywiązaniu pięknej i dzielnej Jagienki Zychówny i wreszcie o tem, jak po wielu przejściach bolesnych, smutnych zawodach i powikłaniach rozlicznych, po tragicznej śmierci wyzwolonej wreszcie, lecz złamanej na duchu w niewoli krzyżackiej Danusi zrozpaczony zrazu Zbyszko, przebolawszy stratę i przezwyciężywszy siłą niepożytej żywotności młodzieńczej

gnębiący go smutek, zwraca swe uczucie ku wiernej mu zawsze Jagience i złączony z nią węzłem dozgonnym żyje w szczęściu i błogosławieństwie Bożem, a w dniu Grunwaldu, w dniu kary i pomsty nad zbrodniczym Zakonem, wraz ze starym „stryjcem", Maćkiem, gromi wrogów swego plemienia i rodu, katów Juranda, dręczycieli nieszczęsnej jego córki, sprawców tylu krzywd, tylu cierpień i łez, zalewających rozległe obszary ziemi polskiej.

Ponad roztoczoną w całej tej osnowie powieściowej szeroką dziedziną życia, ponad rozlicznemi jej sprawami i zjawiskami, ponad jej dolą i niedolą unosi się wciąż, niby chmura burzliwa nad rozległem i żyznem polem, złowroga potęga Zakonu. Cień jej ponury pada na najjaśniejsze chwile życia, gromy, z niej bijące, druzgocą szczęście jednostek i rodzin, a gwałtowny wicher nienawiści, co z niej wciąż wieje, wikła i mąci wszystkie sprawy ludzkie i płomienie żądzy mściwej w sercach rozdmuchuje.

Niedarmo powieść nosi tytuł „Krzyżacy". Określa on osnowę powieściową w zasadniczym jej motywie i w głównym jej przebiegu. Napozór wprawdzie Krzyżacy nie odgrywają w niej głównej roli. Stosunkowo dość rzadko występują na scenie wypadków i epizodyczne zazwyczaj mają w nich znaczenie. Wszelako, stojąc poza obrębem głównej akcyi, czyż nie są najważniejszym jej motorem, sprawcami wszystkich powikłań w historyi Zbyszka z Bogdańca i ukochanej jego Danusi?

Oto zaraz na początku powieści dowiadujemy się o spowodowanej przez Krzyżaków tragicznej śmierci matki Danusi i o srogiej pomście, jaką Jurand ze Spychowa wywiera na zabójcach swej małżonki. Wiadomość ta, udzielona Zbyszkowi przez Mikołaja z Długolasu, oraz widok uroczej, przedwcześnie osieroconej dzieweczki skłaniają młodego wojaka do uczynienia ślubu rycerskiego, którym obowiązuje się służyć wiernie pięknej Jurandównie i pomścić śmierć jej matki na zdradzieckich Krzyżakach. Następujące bezpośrednio po uczynionym ślubie spotkanie z komturem Lichtensteinem powoduje szalony napad zapamiętałego w swej żarliwości rycerskiej młodzika, a mściwa zawziętość nieużytego Krzyżaka, który odrzuca wszelkie przeproszenia i wstawiennictwa za nieopatrznym rycerzykiem, omal że nie staje się przyczyną jego śmierci, tylko go Danusia swoją „nałęczką" od miecza katowskiego wybawia.

Historya tej przygody Zbyszka, rozwijając się wraz z towarzyszącemi jej okolicznościami na tle dziejowem ówczesnego życia krakowskiego, zapełnia większą część pierwszego tomu powieści, jako główny, choć dopiero wstępny wątek jej osnowy, która pełne

swoje rozwinięcie osiąga od chwili zdradzieckiego przez Krzyżaków porwania Jurandówny. Następstwa tego faktu — czyny i dążenia głównego bohatera powieści, intrygi i matactwa rycerzy zakonnych, cierpienia okropne, nieszczęścia i katastrofy tragiczne, przez ich okrucieństwo i przewrotność zrządzone; — oto zasadnicze motywy dalszej osnowy powieściowej, znajdującej naturalne swe zakończenie i wyczerpanie w ostatecznem ustaleniu się losów Zbyszka i w zadośćuczynieniu, jakie on wraz z całym narodem za wszystkie doznane od Krzyżaków krzywdy na polach Grunwaldu osiąga.

We wspaniałym opisie bitwy grunwaldzkiej akcya powieściowa zlewa się niejako ze służącą jej dotąd za tło akcyą historyczną i całkowicie zostaje przez nią pochłonięta. Tę ostatnią w ogólnym jej wśród obszarów czasu rozwoju możemy sobie wyobrazić, jako falującą wiekuiście powierzchnię morską. Sienkiewicz otwiera nam w swej powieści rozległy na nią widok podczas burzliwej pory i ukazuje szereg potężnych jej fal, które przesuwają się bezpośrednio przed wzrokiem naszej wyobraźni i, niosąc na swych grzbietach dolę i niedolę ludzką, to wznoszą się, to opadają, aż w końcu zmieszane z napływającą olbrzymią masą wód giną nam z przed oczu w przestworach morza dziejowego.

III.

Z powyższego przeglądu widzimy, że powieść Sienkiewicza nie wysługuje się historyi, jak to czynią różne popularyzujące, a zarazem fałszujące ją romanse historyczne, lecz używa jej w celach i widokach czysto artystycznych, jako charakterystycznego tła i uzupełnienia akcyi epickiej. Pod tym względem różni się ona nawet dość znacznie od dawniejszych utworów naszego autora, w których motywy i postaci dziejowe daleko większą odgrywają rolę i bardziej na pierwszy plan są wysunięte, jak np. postaci Jeremiego Wiśniowieckiego i Bohdana Chmielnickiego oraz wojna kozacka w „Ogniem i mieczem”, lub postaci Radziwiłłów i wojna szwedzka w „Potopie”.

W „Krzyżakach” znane nam z dziejów wypadki i osobistości nigdy głównej roli w akcyi nie odgrywają, ukazują się zazwyczaj w głębi obrazu powieściowego, nakreślone w rysach nielicznych, ale nader wyrazistych i dosadnych, a przytem wziętych nie tyle z historyi, ile z tradycyi narodowej.

We wszystkich prawie momentach historycznych, wspominanych lub zaznaczonych w osnowie powieści, naczelne miejsce zaj-

mują zawsze „Krzyżacy” w swym stosunku do Polski i Litwy. Sprawcy wszelkich zawikłań i katastrof w losach głównych bohaterów powieści, są oni zarazem najważniejszym, choć ujemnym oczywiście, czynnikiem widowni dziejowej, na której rozgrywa się akcya epicka. Stąd doskonała jedność w rozwoju tej akcyi oraz ścisła jej odpowiedniość do tła i otoczenia historycznego. Ale walka Polski z Zakonem krzyżackim należy nie tylko do historyi (jak np. wojny kozackie lub szwedzkie), lecz także do tradycyi narodowej, do owej żywej wieści, „arki przymierza między dawnymi i młodszymi laty”, z której Mickiewicz wysnuł symboliczną postać straszliwego widziadła, przyodzianego „w płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony”. Rola, którą krzyżacy odgrywają w powieści Sienkiewicza, jest niejako rozwinięciem i uprzedmiotowieniem całej grozy, tkwiącej w owej potężnej symbolice mickiewiczowskiej, a czyż nie uprzytamnia nam ona zarazem odwiecznej, w czasach przeddziejowych jeszcze poczętej i do dziś dnia trwającej waśni plemiennej między germanizmem a Słowiańszczyzną? Wiemy już, że w tym blizkim i bezpośrednim stosunku do życia i żywej tradycyi tkwi głównie czysto-epicki charakter powieści Sienkiewicza, nadający im takie wyjątkowe znaczenie artystyczne wśród ogółu współczesnego powieściopisarstwa historycznego.

Owóż pod tym względem „Krzyżacy” przewyższają jeszcze poprzednie dzieła swego twórcy. Niema w nich może tak potężnego rozmachu heroiczno-epickiego, jaki podziwiano słusznie w wielu ustępach „Trylogii”, ale jest zupełniejszy, bardziej artystyczny typ prawdziwej epiki, która, jak wszelka prawdziwa poezya, tylko z wrażeń życiowych może wykwitnąć, nigdy z badań i ślęczeń nad zbutwiałymi pomnikami przebrzmiałej przeszłości dziejowej.

Nie chcę przez to powiedzieć, żeby autor „Krzyżaków” nie posługiwał się w swej pracy twórczej źródłami historycznemi. Byłoby to twierdzenie bezpodstawne i sprzeczne z prawdą. Powołam się tylko na to, co wyżej już napomknąłem o stosunku pomysłu poetyckiego do środków jego realizacyi technicznej. Chodzi o to, aby źródłem tego pomysłu było samorodne natchnienie twórcze, wykonanie zaś dzieła jest nie tylko rzeczą talentu, lecz także umiejętności i pracy. Dzieło rzeźby lub budownictwa dla wykonania swego wymaga licznych środków materyalnych i znacznego nakładu umiejętnej pracy fizycznej, a niemniej przeto może być płodem najszczerszych natchnień artystycznych. Dla powieściopisarza historycznego jednym z głównych środków pracy wykonawczej jest zbadanie i zużytkowanie umiejętne źródeł dziejowych, ale powinny one prawdzi-

wie artystycznie przezeń być zużytkowane, jak marmur przez rzeźbiarza i farby przez malarza, t. j. powinny być owładnięte całkowicie przez natchnienie twórcze, jako materyał, służący do odpowiedniego ukształtowania i zabarwienia poczętych samorodnie w fantazyi autora kreacyi poetyckich.

W ten sposób zużytkowuje Sienkiewicz materyał dziejowy we wszystkich swych powieściach historycznych, a osobliwie w „Krzyżakach". Fantazya jego potężna i nawskroś samodzielna przyswaja sobie tak zupełnie motywy, z dziejów zaczerpnięte, przetwarza je tak doskonale na czysto poetyckie kreacye, iż zdają się one być całkiem samorodnymi jej tworami, z realnych wrażeń życiowych bezpośrednio ukształtowanymi. Nie tylko postaci fikcyjne, ale także postaci historyczne, występujące w „Krzyżakach", w swej wyrazistości plastycznej i niezrównanej prawdzie szczeroludzkiej są jakby wprost z życia realnego wyrwane, a całe tło obyczajowe epoki w swej typowości i charakterystycznem zabarwieniu zdaje się być dziełem jakiejś cudownej intuicyi twórczej, która nie potrzebuje wcale posługiwać się wskazówkami, przez źródła dziejowe dostarczanemi. Wrażenie to w znacznej części przypisać należy złudzeniu, wywołanemu przez wielki artyzm autora, ale w pewnej mierze pochodzi ono stąd, że istotnie intuicya bardzo doniosłą w twórczości Sienkiewicza odgrywa rolę, a żywa tradycya narodowa, kto wie czy nie więcej dostarczyła mu rysów do jego niezrównanych kreacyi, aniżeli źródła dziejowe i studya, na nich oparte?

Z żywiołów tradycyi ukształtowane są przeważnie naczelne postaci historyczne epoki, a osobliwie otoczone taką głęboką czcią w pamięci całego narodu i tak żywo jej zawsze przytomne postaci Jadwigi i Jagiełły. Trzymane one są w „Krzyżakach" zdala od właściwej akcyi powieściowej, ukazują się rzadko (Jadwiga raz tylko, i to przelotnie), a zawsze w ważnych lub podniosłych chwilach, wśród bardzo uroczystego nastroju. Dzięki temu, chociaż przedstawione nader prawdziwie, niekiedy nawet realistycznie, zdają się jaśnieć jakimś idealnym blaskiem, jakim tradycya ludów opromienia zawsze wielkie postaci przeszłości.

Zjawienie się Jadwigi, otoczonej nadziemskim urokiem doskonałej cnoty i świętości, to jeden z najpodnioślejszych ustępów powieści, przeniknięty nawskroś duchem wiary i tradycyi. Zjawia się ona na chwilę tylko podczas uroczystego nabożeństwa w kościele Najświętszej Maryi Panny, a rozjaśnia swą postacią całą dalszą osnowę powieściową, przez którą ciągnie się, jakby smug świetlisty wśród mroków nienawiści i żądzy mściwej, uczucie czci i miłości dla

pamięci uwielbianej, przedwcześnie zgasłej królowej. Taka Jadwiga to nie postać, krytycznie wydobyta z archiwum przeszłości, oczyszczona przez sztukę z pyłu i pleśni źródeł dziejowych, to żywy kwiat z wieńca dawnej tradycyi, najpiękniejszy kwiat wiekowych jej wspomnień.

A z jakim nieporównanym artyzmem, z jaką sobie tylko właściwą prostotą uprzytamnia nam Sienkiewicz urok niebiańskiej postaci! Żadnych opisów, kilka tylko w trzech wierszach zawartych rysów znamiennych („liliowa twarz, niebieskie źrenice, rysy anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia") — żadnych uniesień lirycznych, tylko szczupła wiązanka faktów z życia królowej i zwięzły opis wrażenia, jakie na Zbyszka z Bogdańca czyni nagle jej pojawienie się w kościele. Dusza młodego rycerzyka w porywie swego naiwnego uwielbienia jest jakby streszczoną duszą całego ludu, wielbiącego od wieków uosobiony w postaci Jadwigi ideał miłości i poświęcenia.

Jakże charakterystycznie odbija od tej idealnej, nieomal nadziemskiej postaci bardzo realna , bardzo ziemska, nieco szorstka i prostacka, ale tak ujmująca w swej serdecznej dobroci i pełna takiej godności monarszej postać króla Władysława Jagiełły! Jadwiga raz tylko, na chwilę się pojawia, Jagiełło ukazuje się kilkakrotnie, ale zawsze na bardzo krótko i zawsze po kilka słów zaledwie przemawia. I jego osobistość tedy uprzytomniona nam jest w nader zwięzłej charakterystyce, ale jak żywej i dosadnej! Cała przez pół barbarzyńska, pierwotna i surowa, a tak głęboka jednak natura świeżo nawróconego księcia litewskiego z dziwną wyrazistością zarysowuje się w wyobraźni czytelnika.

Jak żywo maluje Sienkiewicz szczerą i serdeczną religijność Jagiełły, przenikniętego uniesieniem, zachwytem, rozkoszą i przestrachem przy słuchaniu mszy świętej, albo niepohamowaną jego gwałtowność, gdy wybucha gniewem, dowiedziawszy się o lekkomyślnym napadzie Zbyszka na Lichtensteina, lub wreszcie jego miękką dobrotliwość i uczuciowość wrażliwą na niedolę ludzką wobec Danusi, błagającej o łaskę dla Zbyszka, i przed bitwą grunwaldzką, gdy myśli o potokach krwi chrześcijańskiej, mających niebawem popłynąć!

Z przedziwną plastyką przedstawiona została zewnętrzna postać króla, jego ruchy, gra fizyognomii, wyraz oczu i dźwięk głosu.

Tak np., gdy Lichtenstein wyraża złośliwą wątpliwość o chrześcijańskich obyczajach Polaków. — „Co to! odezwał się grubym głosem Jagiełło. — Nie chrześcijański ja król? co?" A nieco dalej

wśród gwaru, wywołanego wiadomością o szalonym napadzie Zbyszka na posła: „Czemuś ty go nie ubił? zagrzmiał król”, poczem znów „zerwawszy się z zaiskrzonemi oczyma, począł wołać zdyszanym od gniewu głosem, podobnym do turkotu, jaki wydaje wóz toczący się po kamieniach: Uciąć mu szyję! Uciąć mu szyję!”

Jak tu, w tych i tym podobnych drobnych szczegółach, dosadnych rysach, urywkowych wyrazach, uprzytamnia się nam żywo postać owego króla, świeżo nawróconego barbarzyńcy, postać, tak znacząca w naszych dziejach, swojska od dzieciństwa każdemu Polakowi, obznajmionemu z pierwiastkami historyi narodowej. Poeta kształtuje ją z nielicznych rysów, rozproszonych w świadomości dziejowej całego narodu, i stawia ją nam przed oczyma w całej szczerej jej prostocie i wyrazistej typowej prawdzie. Czy nie na tem polega istotne natchnienie epickie w jego przeciwieństwie do kunsztownej i uczonej techniki nowożytnego powieściopisarstwa historycznego?

Tak samo w epickim stylu przeważnie trzymane są i inne, nieliczne zresztą bardzo i epizodycznie tylko zaznaczone postaci dziejowe powieści. Oto np. sędziwy Jaśko z Tęczyna, ukazany w „Krzyżakach” nie jako typ męża stanu i możnowładcy małopolskiego, lecz jako typowa czysto epicka postać pełnego powagi majestatycznej starca, który doświadczeniem, mądrością i radą dojrzałą panuje nad umysłami tłumów i cześć ich powszechną sobie zjednywa. Są wprawdzie w powieści Sienkiewicza postaci w bardziej historycznem ukazane oświetleniu, jak Zyndram z Maszkowa, Janusz książę Mazowiecki, mistrz krzyżacki Konrad Jungingen, ale i w tych występuje zawsze na plan pierwszy jakiś typowy, zasadniczy rys ogólno-ludzki, np. bystry, przezorny rozum Zyndrama lub tragiczna melancholia Wielkiego Mistrza, który, mając władzę w ręku, sam czysty na duszy i pragnący dobra, widzi potworne zło i blizką zgubę Zakonu, a nie ma dość siły, aby przywieść go do upamiętania i powstrzymać na drodze upadku. Jest to odwieczna tragedya dobrej, ale bezsilnej woli ludzkiej, rozbijającej się o fatalną potęgę zła lub przez nią nawet owładniętej.

Oprócz wyżej wymienionych są jeszcze w „Krzyżakach” postaci historyczne, zaznaczone tylko lub wspomniane okolicznościowo bądź w opowiadaniu, bądź w dyalogu, jak np. grono rycerzy i panów małopolskich z Zawiszą Czarnym na czele, kilku książąt mazowieckich, kilku sławnych wojowników ówczesnych, znamienity Witold litewski, straszliwy zdobywca mongolski Tymur i inne osobistości współczesne, zarysowujące się na dalszych planach epoki dziejowej. Są wreszcie niektóre postaci, jak np. Anna Danuta Gedyminówna,

żona Janusza Mazowieckiego, z imienia tylko historyczne, a z charakterystyki czysto epickie, t. j. ukształtowane samorodnie w wyobraźni poety, jako typy życia i obyczajów danej epoki.

Wogóle różnorodne stosunki życiowe i obyczajowe daleko szerzej i wszechstronniej w „Krzyżakach” zostały przedstawione, aniżeli w dawniejszych „powieściach historycznych“ Sienkiewicza, w których działania wojenne i dążenia polityczne większe posiadały znaczenie. W „Krzyżakach” polityki nie spotykamy prawie wcale, bo przecież nic z nią nie ma wspólnego ów żywiołowy, plemienny antagonizm krzyżacko-polski, stanowiący zasadniczy wątek osnowy powieściowej, i tylko związane z nim niektóre szczegóły, jak układy w Raciążku, poselstwo do Malborga, wkraczają poniekąd w dziedzinę polityczną, jako uboczne odnogi głównej akcyi. I wojny w tej rycerskiej powieści stosunkowo niewiele (w stosunku mianowicie do „Trylogii”); zapełnia ona całkowicie tylko grunwaldzki epilog powieści, dość luźno połączony z całą jej osnową, a przedtem raz tylko ukazana jest bezpośrednio w działaniu w wybornym opisie potyczki Żmudzinów z Krzyżakami; poza tem słyszymy o niej tylko ze wspomnień (jak o bitwie płowieckiej) lub z opowiadań i rozmów (jak o walkach pod Wilnem, o wyprawie Witolda przeciw Tatarom).

A jednak życie rycerskie napełnia całą powieść, i duch wojowniczy ją przenika, ale występuje w niej nie jako czynnik polityczny i dziejowy, wytworzony przez warunki bytu państwowego, lecz jako żywioł bohaterski, jako objaw energii żywotnej młodzieńczego, stojącego zaledwie na progu cywilizacyi społeczeństwa. Stąd wynika zasadniczy heroiczno-epicki rys, ciągnący się wzdłuż całej osnowy powieści i tak dosadnio uwydatniony w charakterystyce głównych jej postaci.

IV.

Dotąd rozważaliśmy tylko zarysowane szkicowo figury historycznego tła powieści, obecnie zwróćmy się do czysto epickich jej postaci, rozwiniętych w całej pełni, jako poetyckie upostaciowanie jej zasadniczej, ogólno-ludzkiej treści życiowej.

Jak w doskonałych tworach sztuk plastycznych, malarstwa i rzeźby, pod odzieżą i strojem pewnej epoki zarysowują się zawsze żywe, realne kształty ciała ludzkiego, podobnie w wyborowych kreacyach poetyckich żywa, realna, wiekuiście prawdziwa natura ludzka daje się zawsze odczuć pod zewnętrzną szatą zwyczajów, obyczajów

i wogóle stosunków życiowych określonej chwili dziejowej. Takie znaczenie posiadają wszystkie prawie kreacye sienkiewiczowskie, między któremi naczelne postaci „Krzyżaków” należą do najgłębiej pomyślanych i najpotężniej uplastycznionych.

Na czem polega zasadniczy ich charakter? Na niezmiernie wiernem i typowem odtworzeniu w nich prawdziwego człowieczeństwa w jego bardzo pierwotnych i bardzo bezpośrednich objawach. Jest to znamienny rys epiki bohaterskiej, przedstawiającej nam człowieka w bogatej pełni jego czysto ludzkiego bytu i w ścisłej łączności z przyrodzonem jego środowiskiem, od którego nie oddzielił się jeszcze przez cały szereg urządzeń i instytucyi cywilizacyjnych. W epoce wyższej kultury w bezpośredniej łączności z przyrodą pozostają tylko niższe warstwy społeczne, tak zwane warstwy ludowe, nie biorące udziału w szerszych dążeniach życia współczesnego. Inaczej za czasów bohatersko- epicznych, w dobie poczynającej się cywilizacyi: wtedy człowiek pierwotny, człowiek natury może rozwijać jak najrozleglejszą działalność, może żyć pełnem życiem swej epoki.

Sienkiewicz posiada przedziwny, wyjątkowy w literaturze nowożytnej dar odtwarzania takich ludzi. Podczas gdy u ogółu naszych powieściopisarzy czy epików historycznych postaci bohaterskie przeszłości są to bądź ukostyumowane manekiny (co najczęściej się zdarza), bądź ludzie dzisiejsi, przybrani w strój starodawny, u Sienkiewicza żyją one jak najszerszem i najprawdziwszem życiem, a przytem tak są różne od otaczających nas, współczesnych nam postaci ludzkich. Ostatecznie nie możemy ręczyć, czy ludzie wieku XVII-go lub XV-go zupełnie byli podobni do sienkiewiczowskich Skrzetuskich, Kmiciców i Zbyszków, ale że ci zupełnie są niepodobni do ludzi naszego wieku, że inaczej od nich myślą i czują, inaczej mówią, działają i poruszają się, to nie ulega żadnej wątpliwości. A to jest wszystko, czego domagać się możemy od poetyckiego obrazu przeszłości. Chodzi o to, aby miał on w sobie życie prawdziwe i aby był logiczny w układzie wszystkich swych szczegółów, we wzajemnem ustosunkowaniu swych zarysów i barw, swych cieniów i świateł. Przeciwko temu zasadniczemu warunkowi grzeszy każdy obraz poetycki, w którym pomieszane zostały dowolnie rysy różnych epok i różnych stanów kultury. Nie chodzi tu o fałsz historyczny (historya nic tu nie ma do powiedzenia), lecz o fałsz życiowy. Taki obraz jest sprzeczny w sobie, nielogiczny, a zatem pozbawiony życia i prawdy.

Sienkiewicz niezrównanym jest mistrzem w chwytaniu wewnętrznej logiki czyli, co na jedno wychodzi, wewnętrznej prawdy życia, to też, skoro kreśli obraz jakiejś epoki przeszłości, wszystkie jego rysy zgodne będą z sobą i wytworzą jednolity, konsekwentnie rozwinięty całokształt życiowy. Stąd wynika obok prawdy poetyckiej i prawda historyczna, bo dwie prawdy nie mogą być z sobą sprzeczne, druga z nich może być podziwiana przez znawców historyi, ale tylko pierwsza winna być brana pod uwagę w ocenie danego utworu, jako dzieła sztuki.

Prawda poetycka „Krzyżaków" polega na wspaniałem i przedziwnie konsekwentnem odtworzeniu w tej powieści rysów heroicznej siły i dzielności. Niebrak ich i w dawniejszych utworach naszego epika, występują one może tam z większą potęgą i w szerszym zakresie, ale nie w tak samorodnej i pierwotnej postaci, jak w ostatniej powieści. Bohaterowie „Trylogii" przy całym swym heroicznym rozmachu przeniknięci są więcej wpływem wyższej kultury, wzrośli w atmosferze ściślej określonych stosunków politycznych i społecznych, — bohaterowie „Krzyżaków" bliżsi są natury, bardziej naiwni i bezpośredni, a zatem bardziej epiccy. Wprawdzie i oni nie są ludźmi pierwotnymi, mitycznymi, jak Achillesy, Rustemy i Siegfriedy; pozytywne warunki dziejowe nie pozostały bez wpływu na nich ale warunki te bardzo są nieliczne i bardzo proste, a główny z nich: rycerskość zachodnia, ma charakter raczej bohaterski, aniżeli polityczny, a zatem jest żywiołem czysto epickim, harmonijnym z objawami samorodnej siły i dzielności sienkiewiczowskich wojaków. O ile zaś obyczajowość rycerska przybiera charakter konwencyonalny w różnych przepisach i formułkach etykiety towarzyskiej lub wojennej, jakże odbija ona od naiwnej prostoty roztoczonego w powieści obrazu życia, jak przez kontrast z nim uwydatnia dosadnie samorodne pierwotne jego formy bytu w ich stosunku do zwyczajów obcych, będących wynikiem bez porównania bardziej wyrobionej i wyrafinowanej kultury!

Przeciwieństwo tych obcych i swojskich żywiołów występuje przedewszystkiem w charakterystyce głównego bohatera powieści — Zbyszka z Bogdańca. Poznajemy go naprzód, jako dzielnego i układnego „rycerzyka" o silnej dłoni i czułem sercu. Nieustraszony w boju, wrażliwy jest niezmiernie na uroki i powaby niewieście. Skoro tylko ujrzał w gospodzie tynieckiej wdzięczną, choć przez pół dziecięcą jeszcze Danusię, zapłonął nagłą ku niej miłością i obyczajem rycerskim służbę jej wierną ślubuje.

W zewnętrznej, obrzędowej stronie owych ślubów niebrak sztucznej egzaltacyi, do której młodość po wszystkie czasy tak bardzo okazuje się pochopną, skoro wyobraźnia jej olśnioną zostanie blaskiem jakiejś niezwykłej i jaskrawej nowości, ale istotna ich pobudka wynika ze źródeł czysto rodzimych: z zaciekłej względem wroga plemiennego nienawiści i z żądzy odwetu za niezliczone przez cały naród doznane krzywdy. Uczucia te stanowią, jak wiemy, główną sprężynę akcyi powieściowej i główny rys rozwijającego się w niej obrazu życia, to też tam najwydatniej występują, gdzie energia czynów i dążeń życiowych największe osiąga natężenie w młodzieńczej, heroicznej indywidualności, skupiającej w sobie całą siłę i dzielność młodzieńczego, rozpoczynającego zaledwie swój zawód dziejowy społeczeństwa.

W tem znaczeniu Zbyszko, jako rycerz nieszczęsnej Danusi, jako niezwyciężony mściciel okropnych krzywd, spadających na nią i na całą jej rodzinę, jest główną postacią powieści i postacią nawskroś epicką. Owiewa go tchnienie świeżej, samorodnej poezyi, przenikającej poranną porę ludów, które mają przed sobą długi dzień sławy i wielkości, ożywia go duch bohaterski, wybuchający nadmiarem energii żywotnej, przez którą młode owe ludy, zwalczając potężny nacisk wrogich żywiołów, stwierdzają prawo swe do bytu i rozwoju. Wszystkie czyny Zbyszka, wszystkie jego walki i zwycięstwa, począwszy od szalonego napadu na komtura Lichtensteina, aż do udziału w bitwie grunwaldzkiej, są objawem tego rodzimego słowiańsko-polskiego heroizmu. Rycerskość zachodnio-europejska przenika go i uszlachetnia swym wpływem, o ile jest objawem wyższych, duchowych dążeń chrześcijaństwa, ale wydaje się czemś zupełnie mu obcem i sztucznie doń przyczepionem we wszystkich swych formach i przepisach etykietalnych, tak jaskrawo, tak komicznie nieraz odbijających od prostej, naiwnej natury młodego wojaka polskiego.

Jaskrawiej jeszcze występuje to przeciwieństwo między szczerą swojską prostotą a sztuczną na obcą modłę egzaltacyą w uczuciach miłosnych Zbyszka. Jako rycerz Danusi, przestrzega on zawsze przepisów sentymentalno-romansowej etykiety rycerskiej. Nawet osadzony w więzieniu pod groźbą rychłej śmierci nie zapomina wyrazić obowiązkowego podziwu nad nadzwyczajną urodą „swej paniej". Ale patrzmy, jak za chwilę potem, wzruszony piosnką Danusi, porwany siłą prawdziwego uczucia, zapomina o wszelkiej etykiecie romansowej i, chwyciwszy za ręce ukochaną dziewczynę, chodzi z nią po izbie, powtarzając w uniesieniu: „Niechby mię Bóg wy-

ratował, niechbyś dorosła — i niechby rodzice pozwolili — toby ja cię brał, dziewczyno! .. Hej!..." A żal w nim zostawał coraz większy, który, płynąc z głębi polnej natury słowiańskiej, zmienił się w tej prostej duszy nieomal w pieśń polną:

Toby ja cię brał, dziewczyno!
Toby ja cię brał!....."

Ta rodząca się wprost z podnieconego uczucia „pieśń polna", swojska pieśń ludowa jakże żywo uprzytamnia nam istotną naturę zbyszkowej miłości, tak świeżej i bezpośredniej we wszystkich swych objawach, dalekiej od wszelkiej egzaltacyi romansowej i wyrafinowanego sentymentalizmu! A owa urocza Danusia, owa Zbyszkowa „pani", której młody wojak rycerską swą służbę ślubował, czyż podobna jest w czemkolwiek do bohaterek sentymentalnych romansów rycerskich? Dzieweczka znacznego rodu, córka srogiego wojownika i pogromcy Krzyżaków, jest ona tak blizką sfery czysto ludowej, jak blizkiem jej jest całe życie ówczesne, niezróżniczkowane jeszcze przez wpływ obcej kultury, rozwijające się tak samorodnie w bezpośrednim związku z przyrodą i w całej pierwotnej swej jednolitości plemiennej; poetyczną jest Danusia niezmiernie, jest to jedna z najpoetyczniejszych postaci Sienkiewicza, nakreślona w rysach delikatnych, jak tchnienie wiosny, idealnych, jak marzenie, a jednak jak prawdziwych i charakterystycznych! Czyż owa wdzięczna dzieweczka w wianuszku rucianym i z luteńką w ręku, tak powabna i miła napozór w swej naiwności dziecięcej, a następnie w swem szczerem, serdecznem uczuciu dziewiczem — czyż nie jest żywą, realną postacią, doskonale przystosowaną do roztoczonego w powieści obrazu życia? — A czy nieszczęsna, tragiczna jej dola nie jest typowym przykładem doli tysięcy, gnębionych przez przewrotność i złośliwość potężnego wroga? A jednak przy całej swej charakterystycznej i typowej prawdzie urocza córa Juranda jest postacią nieomal nieziemską: ze swą „luteńką" i piosenką, które stanowią niby jej atrybut stały i motyw przewodni, wydaje się ona, jakby wcielonym duchem poezyi ludowej z całym jej wdziękiem naiwnym, z jej szczerą prostotą i rzewnością niewysłowioną. W postaci Zbyszka zawiera się wrząca nadmiarem młodzieńczej, męskiej siły poezya heroicznego czynu, postać Danusi otoczona jest poetyckim czarem tęsknych marzeń i pragnień, wykwitających w pieśni ludowej z nadmiaru uczuć dziewiczych.

Gdybym ci ja miała
Skrzydłeczka, jak gąska,
Poleciałaby ja
Za Jaśkiem do Śląska!

Oto Danusin „motyw przewodni", tak charakterystyczny i zasadniczy motyw uczuciowego nastroju naszej liryki ludowej.

W trzeciej głównej postaci powieści, w postaci Jagienki ze Zgorzelic, daje nam autor poezyę serca niewieściego w całej żywej, realnej jego prawdzie. Danusia — to marzenie, Jagienka — to rzeczywistość. Danusia cudna jest, jakby „jakowaś figurka z kościoła lub z jasełeczek", a pełna smutku, jak królewna z bajki, strzeżona przez smoka. Jagienka piękna jest pięknością świeżego młodego życia w pełnym jego rozkwicie, promienieje w blaskach serdecznego uczucia, niby poranna zorza młodości, a wśród zawiei i słot życiowych roztacza dokoła siebie słoneczne ciepło serca niewieściego.

W jak dosadnych rysach uwydatnia Sienkiewicz naiwną prostotę, powiedzmy nawet prostactwo rodzime w zewnętrznej postaci, obyczajach i mowach pięknej Zychówny! Oto pierwsze jej spotkanie ze Zbyszkiem i z Maćkiem w lesie podczas polowania na dziki: „Na chybkim srokaczu sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w ręku i oszczepem na plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą, jak zorza, na piersiach rozchełstaną koszulinę, a na koszuli serdak wełną do góry". Z jakim przedziwnym realizmem ukazana tu została ta dziewoja wiejska, to prawdziwe dziecię natury, tchnące taką świeżą, samorodną jej energią! W podobnym charakterze zjawia się nam Jagienka, gdy wśród nocnej zasadzki przychodzi z pomocą Zbyszkowi, pasującemu się z niedźwiedziem, albo gdy wyprawia się z nim na bobry i, ustrzeliwszy jednego z nich, wnet wpław się za nim rzuca i wyciąga go z wody. Te i inne postępki Jagienki dają nam ją poznać zawsze, jako śmiałą i silną dziewczynę, która czuje się w swoim żywiole wśród otaczającej ją dzikiej przyrody i z iście męską odwagą stawia czoło wszelkim jej niebezpieczeństwom.

A jednak posiada ona typowo niewieścią naturę wrażliwą, uczuciową o mnóstwie delikatnych odcieni. Miłość jej dla Zbyszka wynika z podziwu dla jego prawdziwie męskiej urody i siły. Wobec niego harda dziewczyna okazuje się zawsze kochającą i uległą kobietą, która w uczuciu swem, daleka od wszelkiego samolubstwa, pragnie tylko szczęścia ukochanego i gotowa najcięższe ponieść dlań ofiary. Jakkolwiek w chwili wyjazdu Zbyszka na dwór mazowie-

cki stracić musiała wszelką nadzieję możności pozyskania jego wzajemności, miłość jej ani na chwilę nie zostaje zachwianą i okazuje się w gorliwej, w niewyczerpanej serdeczności, jaką wciąż otacza straconego już dla niej człowieka. I nie tylko względem ukochanego, ale także względem wszystkich ludzi, blizkich jej i potrzebujących jej pomocy, Jagienka zawsze jest kochającą, skłonną do poświęceń kobietą. Usposobienie to jej najdobitniej występuje w stosunku do nieszczęsnego męczennika Juranda w chwili, gdy ślepy, niemy i okaleczony okropnie powraca z niewoli u Krzyżaków i umiera otoczony najtroskliwszą, serdeczną i pełną delikatności opieką Jagienki.

A w tych wszystkich objawach jej uczucia nie ma ani cienia sztucznego sentymentalizmu i tkliwego rozczulenia. Wynikają one wprost z samorodnych, można powiedzieć, żywiołowych poruszeń serca niewieściego, mają w sobie jakąś szczególną świeżość prostej bezpośredniej natury niewieściej. Jagienka przemawia zawsze z wielką prostotą, niekiedy nawet w sposób prostacki, gdy np. wyśmiewa swych niefortunnych zalotników, Wilka i Cztana, lub gdy z naiwną niezręcznością usiłuje ukryć przed Zbyszkiem niewzajemną swą miłość. A jednak jakie w tej prostej, naiwnej dziewczynie poczucie godności, jaki takt szlachetny w jej postępowaniu! W jak naturalny sposób owa rubaszna dziewoja wiejska, którą widzieliśmy najprzód w juchtowych butach, rozchełstanej na piersiach koszulinie i obróconym wełną do góry serdaku, gdy się znajdzie w odpowiedniem otoczeniu na dworze książęcym, staje się naraz wytworną panną szlachetnego rodu, wzbudzającą zachwyty egzaltowanych rycerzy! Sienkiewicz posiada przedziwny dar odtwarzania z jednaką prawdą najbardziej pierwotnych i najbardziej wyrafinowanych objawów natury ludzkiej. Jest to może główny rys jego geniuszu epickiego. A nigdzie u Sienkiewicza objawy te nie wystąpiły w większej prawdziwości i pełni, jak w charakterystyce Jagienki, i nigdzie nie wytworzyły w doskonałem organicznem swem zespoleniu postaci, mającej więcej życia, poezyi i dosadnego, jędrnego realizmu. A jaka to typowo epicka kreacya! Bo czyż nie jest to najistotniejsze zadanie epiki ukazać naturę ludzką w jej, że tak powiem, źródłowej i potencyalnej treści, t. j. wykwitającą bezpośrednio z łona przyrody i zawierającą w sobie główne zarodki późniejszego rozwoju kulturalnego? Owóż czy Jagienka nie jest istnem dzieckiem przyrody, kobietą nieomal pierwotną, a zarazem czyż nie posiada w sobie zasadniczych rysów, określających cywilizacyjne i społeczne znaczenie prawdziwej kobiecości?

I inne postaci „Krzyżaków” nie ustępują jej pod względem tej szerokiej, epickiej typowości. W Zbyszku mamy skupienie pierwotnej, żywiołowej dzielności plemiennej z objawami rycerskiej kultury zachodniej, która na gruncie narodowo-polskim tak odrębny i swoisty miała przybrać charakter.

Danusia owiana jest idącem od rodzinnych pól słowiańskich świeżem tchnieniem poezyi ludowej, ale jest w niej też jakaś eteryczna poezya natury niewieściej w najwyższem jej wydelikaceniu pod wpływem bardzo wyrafinowanej kultury. Podobna ona do królewny z bajki ludowej, ale czemże są takie kreacye fantazyi ludu, jeśli nie upostaciowaniem jego marzeń o jakimś idealnym stanie kultury, nieskończenie wzniesionym ponad otaczającą go rzeczywistość życiową?

We wzajemnym stosunku tych trzech postaci, Zbyszka, Danusi i Jagienki, daje się dostrzedz wydatny rys symboliczny, wynikający, bez świadomego może zamiaru autora, z szerokiej, idealnej typowości jego kreacyi. Zbyszko, uosobienie poetyckie czynnej, męskiej energii życia, postawiony jest pomiędzy dwiema postaciami niewieściemi, uosabiającemi niejako energię uczuciową wieczno-kobiecego (jakby powiedział Goethe) pierwiastku życiowego. Przytem pierwsza z tych postaci wyobraża kobiecość w jej znaczeniu realnem i konkretnem, druga — w idealnym jej uroku. Tamta jest podporą i dźwignią męskiego życia wśród otaczającej go rzeczywistości, ta natchnieniem i pobudką najwznioślejszych jego dążeń, wznoszących się ku dziedzinie ideału. To też młody wojak z Bogdańca przez miłość dla Danusi stanie się nieustraszonym rycerzem bez trwogi i zarzutu, obrońcą i mścicielem uciśnionej przez przemoc słabości czyli wykonawcą najszlachetniejszego zadania, jakie siła męska ma do spełnienia tu na ziemi, a w miłości dla Jagienki znajdzie tę miarę szczęścia ziemskiego, jaka jedynie za sprawą wiernego niezłomnie serca niewieściego może stać się udziałem mężczyzny.

Szczęście idealne, którego pożądamy, ucieka przed nami, marzenia nasze w puch się rozwiewają, szczęście rzeczywiste przybywa z tej strony, z której najmniej było oczekiwane i wygląda inaczej zupełnie, jak w naszych marzeniach. Oto jest doświadczenie, które przebył bohater Sienkiewicza i w którem zawiera się rozwiązanie jego zawikłań życiowych. Proste jest ono bardzo, może wydać się zbyt prostem w stosunku do zawiłych warunków bytu ogólno-ludzkiego. Ale pamiętać należy, że mamy tu do czynienia z nader pierwotnymi, a zatem pełnymi prostoty jego objawami. Jest to znamienny rys prawdziwej epiki — stanowi on szczególny urok epi-

ckich powieści Sienkiewicza i główną może przyczynę nadzwyczajnego ich powodzenia w całym świecie ucywilizowanym naszych czasów, zmęczonym i wyczerpanym do najwyższego stopnia przez niesłychaną zawiłość stosunków, otaczających go obecnie w życiu, w literaturze i w sztuce.

V.

Żywioł epicki w bardzo prawdziwej i bardzo typowej swej postaci napełnia głównie osnowę sienkiewiczowskich „Krzyżaków"; wszelako zawierają się w niej i inne żywioły poetyckie. Przedewszystkiem liryzm, bądź czysto uczuciowy, bądź zabarwiony mniej lub więcej refleksyjnie.

Jako wyraz nastroju uczuciowego, znajduje się on w każdej prawdziwej epice, najbardziej nawet samorodnej, naiwnej i przedmiotowej. Skądże wynikają jej natchnienia, jeśli nie z uczuć czci i podziwu dla wielkich bohaterów przeszłości, dla ich czynów wiekopomnych i poświęceń heroicznych? I oto jest żywioł liryczny i podmiotowy, towarzyszący nieodzownie wszelkiej twórczości epickiej. Tylko oczywiście inaczej zupełnie objawiał się on u naiwnego śpiewaka ludowego, jak u świadomego swych zadań twórczych powieściopisarza-artysty. Ten ostatni zdaje sobie sprawę ze swych uczuć względem przedmiotu i wyraża je w określony sposób, tamten oddaje je bezwiednie w uroczystym tonie i nastroju swej pieśni. Przytem ów nowożytny opowiadacz chwały przodków wysławia ją nie tylko w pojedyńczych bohaterach (jak to czyni epik naiwny), lecz raczej w całym ogóle bohaterskiego życia przeszłości, które uczuciem swem ogarnia i myślą swą przenika. Stąd będący źródłem natchnienia epickiego nastrój liryczny musi mieć u niego ogólniejszy, szerszy zakres, ton bardziej osobisty i musi zawierać różne refleksye nad przedstawionemi w opowieści zjawiskami i stosunkami życia.

Wiadomo, że te pierwiastki nieodzownymi są czynnikami nowożytnego powieściopisarstwa i często pochłaniają zupełnie epicką jego osnowę. Nie brak ich też w „Krzyżakach", ale z jaką miarą tu użyte, w jakiem doskonałem ustosunkowaniu do przedmiotowej strony powieści, bez ujmy dla epickiego jej charakteru! Tu i owdzie tylko rzuca autor jakąś uwagę o stosunkach krajowych, wplatając ją naturalnie w wątek powieściowy i utrzymując ją zawsze w zasadniczym tonie jego stylu.

Tak np., gdy opowiada o powodzeniu rodu Zbyszka z Bogdańca, dodaje następną uwagę: „Widziano w tem jakąś łaskę Bożą nad rodem Gradów . . . . . I podziw był wielki, ale, że towarzyszyło mu ogólne instynktowne poczucie, że cały naród idzie także niepowstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego dorobku i że z woli Bożej taki właśnie ma być porządek rzeczy, więc nie było w tem podziwie złej zawiści. Owszem chełpiła się okolica i była dumna z tych rycerzy z Bogdańca . . . . .”

Mamy tu w kilku dosadnych słowach wyrażony pogląd autora na rozkwit dziejowy Polski XV-go wieku, a jak naturalnie wynika on z toku opowieści, jak ściśle złączony z charakterystyką głównych jej postaci! W podobnym tonie trzymane są też zwięzłe uwagi o świetnej kulturze krajów małopolskich, ugruntowanej przez „króla Kazimierzową gospodarkę”, o sytuacyi politycznej państwa Jagiełłowego, o groźnej, a jednak zachwianej w swych postawach, potędze Zakonu krzyżackiego.

A czy można zwięźlej wyrazić zasadniczy motyw przenikającego powieść nastroju uczuciowego, jak w następujących słowach, kończących opis grunwaldzkiego tryumfu:

„Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!”

W tych słowach skupia się ogromna siła uczucia, będącego źródłem twórczego natchnienia. A jednak jak autor zdołał je opanować potęgą swego artyzmu! Jak dłoń jego nigdy nie zadrży od nadmiaru wzruszenia przy kreśleniu pełnych grozy i mocy obrazów zbrodni potwornych, czynów wzniosłych i cierpień okropnych, jak pewnymi, wyrazistymi zawsze kreśli je rysami! Oto jest prawdziwa przedmiotowość epicka! Daleka ona od owej głoszonej przez doktrynerów pseudoklasycyzmu obojętności na treść przedmiotu, owszem wynika z głębokiego odczucia tej treści i z potężnego nią owładnięcia przez moc twórczego natchnienia. Jest to ogólne prawo życia. We wszystkich jego dziedzinach ci tylko dokonają rzeczy wielkich, którzy czują głęboko, pojmują jasno, a silną wolą nad uczuciami swemi i pojęciami zapanują.

W „Krzyżakach” było to zadanie tem trudniejsze, ile że przedstawione tu straszliwe krzywdy dziejowe, choć odległe od nas w czasie, tak nam są blizkie w swych następstwach i analogiach współczesnych. A jednak nigdy nie wywołują one u Sienkiewicza wybuchów liryzmu, ani tem mniej gromów krasomówstwa, uwydatnione są zawsze w przedmiotowo zarysowanych stosunkach i sytuacyach,

w bohaterskich czynach, w kollizyach dramatycznych, wznoszących się często do najwyższego tragizmu.

Wspomniałem tu nowy żywioł powieści Sienkiewicza, występujący nieodzownie we wszystkich prawie powieściach nowożytnych, jako wynik ścierania się uczuć i dążności, żywioł dramatyczny. Wszelako zdawałoby się, że odtworzona w „Krzyżakach" sfera tak prostych, tak nawskroś epickich (jak to wyżej zaznaczyliśmy) stosunków życiowych i odpowiadających im zjawisk psychicznych powinnaby nie zawierać w sobie wcale dramatycznych starć i zawikłań.

Ale pamiętać należy, że wśród tych zjawisk i stosunków znajduje się jeden czynnik duchowy, który z natury swej, jako wnikający do najgłębszych pokładów duszy ludzkiej, może spowodować w niej nader gwałtowne kollizye i wstrząśnienia. — Jest to religijne uczucie chrześcijańskie, bardzo silnie i szeroko w „Krzyżakach" uwydatnione w stosunku swym do zasadniczych motywów powieści. Główne pomiędzy nimi miejsce zajmują straszliwe zbrodnie i krzywdy, przez obłudnych i przewrotnych mnichów popełniane. Tam, gdzie one wywołują potężny i aż nadto usprawiedliwiony odwet, mamy czysto epickie czyny heroiczne, dokonane przez Zbyszka, Maćka i przez całe rycerstwo polskie na polach Grunwaldu; tam, gdzie krzywdy przekraczają wszelką miarę, tak, iż przez żaden, najpotężniejszy nawet odwet powetowane być nie mogą, mamy wewnętrzny czyn dramatyczny, wynikający z kolizyi między najwyższą grozą nienawiści i najwznioślejszym heroizmem miłości i przebaczenia chrześcijańskiego.

Bohaterem tego wielkiego dramatu duchowego, rozgrywającego się w osnowie powieści, jest Jurand ze Spychowa, postać, nakreślona tak olbrzymimi rysami, iż nie znaleźć nad nią wznioślejszej w całej galeryi sienkiewiczowskich kreacyi.

Trzy uczucia w największem swem natężeniu określają głównie charakter Juranda: niezmierna miłość rodzinna, miłość małżonka i ojca, nienawiść nieprzebłagana względem morderców i katów najdroższych mu istot, wreszcie bezwarunkowe przebaczenie wszelkich doznanych krzywd i rozpłynięcie się wszelkich ludzkich, ziemskich uczuć w nadziemskiej ekstazie uczucia chrześcijańskiego.

Wśród wszystkich tych postaci silnych, niezłomnych i żywotnych, jakiemi Sienkiewicz zaludnił osnowę swej powieści bohaterskiej, postać Juranda jest jedną z najsilniejszych i najżywotniejszych. Nię ustępuje on żadnemu z rycerzy polskich ni krzyżackich w dzielności dłoni i sprawności bojowej. Jego miecz zwycięski naj-

waleczniejszych gromi wrogów, a nienasycona jego mściwość ze straszliwem znęca się nad nimi okrucieństwem. Groza jego imienia trwogą napełnia serca zuchwałych Teutonów. Iluż ich padło pod ciosami jurandowej dłoni lub pomarło w lochach spychowskiego zamku!

A jednakże ten groźny rycerz śmierci nie jest wcale z natury dzikim okrutnikiem i mężobójcą. Jakże różni się on od ogółu rycerzy współczesnych! Większość ich walczy, zabija, gnębi swych wrogów, powodowana żądzą sławy, zdobyczy lub poprostu nadmiarem wrzącej werwy wojowniczej. Rycerskie czyny, gwałty i okrucieństwa jurandowe wynikają wyłącznie z nienawiści, która powstała, jako okropne przeciwieństwo straszliwie skrzywdzonej i zdruzgotanej miłości. Ale nienawiść nie jest przyrodzonym żywiołem rycerza ze Spychowa. Inni ludzie ówcześni żyją nią i oddychają, weselą się wśród zabójstw i okrucieństw. Jurandowi zdają się one tylko pomnażać ból i mękę wewnętrzną. Zemsta nie daje mu pociechy ani ukojenia. Od samego początku, gdy o nim słyszymy i gdy go poznajemy, dostrzegamy w nim nie tylko cierpienie i żądzę zemsty, ale także jakieś tragiczne rozdarcie duszy, wynikające z walki uczuć sprzecznych.

Wogóle Jurand to natura psychiczna, wyróżniająca się skupioną w sobie mocą. Energia żywotna u większości ludzi ówczesnych, całkiem prawie nazewnątrz zwrócona, u niego objawia się też wewnętrznem bogactwem duszy, ogromną siłą uczucia. Jego dzielność i waleczność są wynikiem skojarzenia olbrzymiej siły fizycznej z potężniejszą jeszcze siłą ducha. To też ta ostatnia odnosi zwycięstwo nad pierwszą, skoro między niemi zajdzie kollizya.

Powodowany miłością dla córki, pragnąc ją wyzwolić z drapieżnych rąk krzyżackich, Jurand nie tylko poświęci życie swe i wolność, ale złamie przemocą swą dumę wrodzoną, dobrowolnie odda się wrogom na pohańbienie, ukorzy się i stanie przed nimi w worze pokutniczym, z powrozem na szyi, aby znosić cierpliwie wszelkie szyderstwa i urągowiska nikczemnej gawiedzi. I dopiero, gdy dotknięty zostanie w tem, co najświętsze i najdroższe jego sercu, wybuchnie gniewem okropnym i raz jeszcze da uczuć wrogom śmiertelnym straszliwą siłę swego ramienia.

Będzie to ostatni jej wybuch, ale nie ostatni objaw energii żywotnej tej potężnej i niespożytej natury ludzkiej. Groźny rycerz, ubezwładniony przez tysiąckrotną przewagę liczebną wrogów, umęczony i okaleczony przez nich okrutnie, jako nędzny, ślepy, bezsilny starzec, stoczy jeszcze we własnem sercu najcięższą walkę i odnie-

sie najwalniejsze ze wszystkich zwycięstw, jakie w życiu odnieść mu było dano: zwycięstwo nad nienawiścią i żądzą zemsty za krzywdy, cierpienia, męki, przechodzące wszelką miarę wytrzymałości ludzkiej. I Jurand przebaczy pozostającemu w jego mocy najsroższemu ze swych katów i dręczycieli Danusi, Bogu pozostawiając wymiar sprawiedliwości.

W przedstawieniu tego faktu przebaczenia i wogóle ostatnich chwil i świątobliwej śmierci Juranda wznosi się Sienkiewicz do szczytu wzniosłości tragicznej, a zarazem i duchowej prawdy życia, stanowiącej przeciwieństwo tej ziemskiej jego prawdy, tak dobitnie przez Schillera sformułowanej: „To jest przekleństwo złego czynu, że zło bez końca rodzić z siebie musi". Istotnie: krzywda wywołuje nienawiść i odwet, które z kolei stają się źródłem nowych krzywd, a po nich napływa ponowna fala nienawiści. I tak bez końca ciągnie się przez dzieje świata ten łańcuch ludzkich zbrodni i występków, — aż naraz przybywa miłość chrześcijańska i przebaczeniem swem przecina pasmo przeklęte, zwycięża i niweczy na wieki tkwiący w niem pierwiastek zła.

Oto jest owa zasadnicza, duchowa prawda życia, tak genialnie przez Sienkiewicza w tragicznej doli Juranda uwydatniona. Bo tragiczność nie jest jakimś niezwykłym w życiu ludzkiem objawem, lecz stanowi jego istotę wewnętrzną i występuje wszędzie, gdziekolwiek najgłębsza treść życiowa przez geniusz twórczy unaoczniona nam zostanie.

Wszelako w powieści Sienkiewicza, jak w każdej czysto epickiej kompozycyi, pojawia się ona istotnie wyjątkowo tylko, gdyż główne zadanie polega tu na przedstawieniu nie psychicznej głębi życia, lecz raczej malowniczej jego powierzchni z różnobarwnem pasmem rozwijających się na niej zdarzeń. To też w przeciwieństwie do owego tragicznego pesymizmu, który nieodzownie wynika z każdego spojrzenia w głąb życia, w zasadniczej osnowie powieściowej i w jej zakończeniu panuje przeważnie ton optymistyczny. Wprawdzie krew obficie w niej się leje i łez niemało upływa, ale cierpienia i ofiary nie pozostają bezpłodne: jednostki giną, ogół kwitnie i rozwija się. Cały naród, jak się wyraża autor, niewstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego idzie dorobku, do bogactwa, potęgi i chwały. Odnosi tryumf nad swym wrogiem, zaludnia puste ziemie, trzebi puszcze i roztacza dokoła owoce swej pracy i zabiegliwości.

Najwybitniejszym przedstawicielem tej optymistycznej strony roztoczonego w „Krzyżakach" obrazu życiowego jest stary Maćko

z Bogdańca, przedziwny typ przedsiębiorczej, zabiegliwej natury ludzkiej, łączącej w sobie zasadnicze przymioty, które pozwalają człowiekowi wyjść zwycięsko z zaciekłej walki o byt: siłę lwa i przebiegłość lisa, piorunową szybkość czynu dzielnego i wytrwałą, niewyczerpaną cierpliwość w dążeniu do powziętego celu. Celem tym dla Maćka: wyniesienie rodu, przyszła jego pomyślność, bogactwo, znaczenie i chwała. Żywotna energia, objawiająca się u Zbyszka w porywie uczuć młodzieńczych i heroicznych zapędów, widna w tragicznej grozie i wzniosłości zemsty jurandowej i jurandowego przebaczenia, — u Maćka streszcza się całkowicie nieomal w poczuciu rodowem i w wynikających stąd czynach, walecznych i chytrych zabiegach na pożytek i na sławę przyszłych Gradów.

W tem podporządkowaniu dobra osobistego dobru rodowemu, w tej gotowości do ofiar i poświęceń na rzecz tego ostatniego zawiera się szlachetna strona dążeń Maćkowych, ale zarazem ich poziomość i ciasna wyłączność. Maćko to jakby wcielenie zachowawczego instynktu rodu. W tym charakterze swoim wznosi się on wysoko ponad najniższą postać tego instynktu — ponad egoizm jednostkowy (który w „Krzyżakach” wyobrażany jest np. przez tchórzliwego, a przebiegłego awanturnika Sanderusa), ale stoi bardzo nizko w stosunku do zupełnego wyrzeczenia się i zaprzeczenia wszelkich instynktów ziemskich, jakie widzimy w tragicznej rezygnacyi Juranda.

Pod względem zalet czysto artystycznych, wyrazistej plastyki oraz prawdy, siły i konsekwencyi w charakterystyce, postać Maćka należy do najświetniejszych kreacyi Sienkiewiczowskich i w swym dosadnym realizmie, w swem lekkiem, a tak niezrównanie zawsze charakterystycznem zabarwieniu komicznem stanowi wyborne przeciwstawienie idealnie wzniosłej i tragicznej postaci Juranda.

VI.

Oprócz rozważonych dotąd postaci historycznych, występujących w perspektywicznej oddali na dziejowem tle akcyi powieściowej, oraz typowych postaci fikcyjnych, odgrywających w niej główną lub przeważną rolę, znajdujemy w „Krzyżakach” liczny zastęp figur drugorzędnych, nakreślonych niekiedy z nieporównanym artyzmem i zawierających w niewielu swych rysach znamiennych mnóstwo typowej i charakterystycznej prawdy życia.

Jak to z natury rzeczy wynika, postaci rycerskie najwięcej zajmują miejsca w tej rycerskiej nawskroś i heroicznej powieści. Widzieliśmy, że nawet niewiasty, jak Jagienka ze Zgorzelic lub księżna Anna Danuta, rade chwytają za miecz lub oszczep, a mężczyźni wszyscy prawie mniej lub więcej dzielnymi są wojownikami. Wyjątek stanowią tylko wspomniany wyżej awanturnik i przekupień relikwii, Sanderus, chwilowo tylko ukazujące się na początku powieści postaci mieszczan krakowskich i zakonników benedyktyńskich, wreszcie dwaj księża: Wyszoniek na dworze mazowieckim i Kaleb, kapelan Juranda. Pierwszy, pełny dobroci i łagodności, gotów zawsze nieść pomoc bliźnim, a w sztuce medycznej, jak wielu księży ówczesnych, osobliwie biegły, drugi—bardziej uduchowiony i ascetyczny, pełny namaszczenia kapłańskiego i odczuwający głęboko podniosły, świątobliwy nastrój umierającego Juranda.

Inny zupełnie jest trzeci przedstawiciel duchowieństwa: wojowniczy, zamaszysty opat, jedna z tych postaci sienkiewiczowskich, które pod względem pełni bujnego życia, szalonej werwy i dosadnego humoru nie mają sobie podobno równych w całem powieściopisarstwie nowożytnem. Postać dzielnego opata zarysowana z taką nieporównaną plastyką, każde jego słowo tak charakterystyczne, każdy ruch tak wyrazisty, cała natura jego duchowa tak doskonale uzewnętrzniona, iż na zawsze ryje się w pamięci czytelnika, jak żywa, staje przed wzrokiem wyobraźni.

Słyszymy rubaszny śmiech opata, gdy sobie żartuje z zawstydzonej Jagienki i każe jej się schować w szeroki rękaw swej sukni, widzimy go, gdy z hukaniem i śpiewaniem na czele swych wagantów wjeżdża na podwórze bogdanieckiego dworu, odczuwamy jego gniew szalony, gdy oburzony na Zbyszka wypada z alkierza, drzwi wywaliwszy nogą, okłada „lagą” wagantów i, skoczywszy na konia, pędzi wcwał z rozwianymi przez wiatr rękawami, podobny do olbrzymiego czerwonego ptaka. A jak się to doskonale czuje, że pod tą niepohamowaną gwałtownością kryje się natura dobra, serdeczna i miękka w gruncie rzeczy, wodzona na pasku przez słodycz ukochanej córuchny chrzestnej, a tylko wobec wszelkiego oporu wybuchająca żywiołową iście potęgą gniewnej zapalczywości. Są w „Krzyżakach” i w innych powieściach Sienkiewicza postaci, szerzej zarysowane, głębiej ujęte, ale wyraźniejszych i bardziej plastycznych od owego tulczynieckiego opata napróżnoby między niemi szukać.

Jakkolwiek też Sienkiewicz nakreślił mnóstwo wybornych postaci humorystycznych, a przedewszystkiem króla humoru polskie-

go, Imci Pana Zagłobę, to przecież i dobroduszny, jowialny, śmiejący się wciąż a śpiewający Zych ze Zgorzelic nie powstydziłby się tej wesołej kompanii i ani przy kuflu, ani w ochocie nikomu zapewne nie dałby się uprzedzić. Zych bardziej jeszcze, aniżeli Maćko, utrzymuje się na optymistycznej powierzchni życia, ślizga się tylko po grzbietach fal życiowych, nie troszcząc się wcale o to, co się pod niemi ukrywa, aż nagle wpada do głębi i ginie w niej bez śladu z tą samą nieświadomością, z jaką żył i używał życia.

W podobnym zlekka humorystycznym tonie trzymane są jeszcze niektóre inne postaci powieści, jak giermek rycerski, Czech Głowacz, dość niewyraźnie zresztą i blado scharakteryzowany, występujący nie tyle jako znamienny typ życiowy, ile jako jeden z działaczy bardzo różnorodnych i awanturniczo powikłanych wydarzeń. Nierównie bardziej typowy i wyraźniej humorystycznymi nakreślony rysami jest sentymentalno-romantyczny pan de Lorche. Humorystyka tej postaci polega nie tylko na komicznej jej przesadzie, ale także na dosadnem w niej uwydatnieniu przeciwieństwa między zdrowym rozumem i szczerą prostotą ludzi blizkich przyrody a niedorzeczną egzaltacyą wychowańców sztucznej, przerafinowanej kultury. Przypomina to w „Panu Tadeuszu" stosunek romantycznego Hrabiego do otaczającej go prostej, rubasznej nieco, ale tak zdroworozumnej sfery wiejskiego życia. Zresztą w owym panu de Lorche pod dziwacznymi, czasem komicznymi zgoła pozorami kryje się prawdziwie szlachetne serce i wysoce podniosły, rycersko-heroiczny nastrój duszy. Sienkiewicz przedstawia w nim, podobnie jak w Ketlingu z „Trylogii", jednego z owych szlachetnych cudzoziemców, którzy, powodowani serdeczną sympatyą, dobrowolnie przystali do naszego narodu, wnosząc z sobą świeże zasoby kultury zachodniej i wyrobionych przez nią różnorodnych uzdolnień.

Krańcowem przeciwieństwem tej szlachetności rycerskiej i szczero-ludzkich uczuć sympatycznych jest grupa rycerzy krzyżackich z Danveldem i Zygfrydem na czele.

Wyżej zaznaczyłem, że Krzyżacy odgrywają (zgodnie z jej tytułem) główną rolę w powieści, nie jako typy indywidualne, lecz jako potęga zbiorowa Zakonu, niby jakowaś zła, demoniczna siła, ciążąca nad roztaczającym się przed nami obrazem życia. Pojedyńczy rycerze zakonni występują, jako figury epizodyczne, ale z jaką nieporównaną siłą i dosadnością przedstawione, jak żywo uprzytamniające nam cały ogrom zepsucia zwyrodniałej instytucyi, zatraty w niej nie tylko cnoty chrześcijańskiej i czci rycerskiej, ale nawet wszelkich szczero-ludzkich uczuć i instynktów.

Pomijając drugorzędne figury Krzyżaków i ich gości rycerskich, weźmy pod uwagę te dwie tak demonicznie potężne w swej zwyrodniałości moralnej, a tak przytem różne postaci Danvelda i Zygfryda.

Pierwszy—to istne wcielenie wszelkiej nikczemności i podłości. Obłudnik bez czci i wiary, pokorny wobec możnych, zuchwały i pyszny wobec słabych, dziko okrutny, a przytem zmysłowy i rozpustny bezgranicznie jest on typem najniższego upadku i zwyrodnienia ostatecznego natury ludzkiej; a jak się wydaje prawdziwym, wolnym od wszelkiej przesady, tak częstej w różnych demonach ludzkich i czarnych charakterach wielu naszych powieści i dramatów!

Głębiej jeszcze ujętą i bardziej interesującą jest postać starego Zygfryda. Rysem jego naczelnym, główną, pochłaniającą go namiętnością jest kult bałwochwalczy dla instytucyi Zakonu, której poświęca wszystkie swe uczucia ludzkie, spokój sumienia, szczęście życia doczesnego i zbawienie w życiu przyszłem. Dla Zakonu popełnia zbrodnie i okrucieństwa niezliczone, dla Zakonu on, brzydzący się z natury fałszem, ucieka się do kłamstw i podstępów. Zakon jest dlań istnem bożyszczem, na którego ołtarzu serce jego płonie ofiarą całopalną w cierpieniu i męce. Jest jakaś dzika, potworna tragiczność w tych objawach ludzkiego uczucia i czci ludzkiej, zwracających się ku potędze złowrogiej, bezdusznej i zwyrodniałej wewnętrznie. A czy podobne objawy nie powtarzają się w życiu ludzkości od najdawniejszych czasów aż po dni nasze? Czy cześć ludzka nie zwraca się nieraz ku rzeczom martwym, ku fałszywym bożyszczom potęgi złej a okrutnej? Mimowoli przychodzi na myśl, że między dzisiejszymi potomkami czy następcami Zygfryda de Löwe niejeden jest człowiek dobrej wiary, otaczający taką samą bałwochwalczą czcią państwo pruskie, jaką otaczano niegdyś pruski Zakon, i podobne w imię tej czci popełniający krzywdy, zbrodnie i okrucieństwa.

VII.

Tak się przedstawiają ludzie w powieści Sienkiewicza. Należałoby jeszcze rozważyć tło przyrodzone, na którem im działać przeznaczono, oraz tło obyczajowe, wyrobione przez tradycyonalne warunki ich życia. Ale ten ostatni temat, rozwinięty w całej swej rozciągłości, rozszerzyłby bardzo rozmiary tego i tak nader obszernego rozbioru; pierwszy zaś temat znaleźć może czytelnik roztoczony

w przedziwnie pięknej formie i z bardzo głębokiem odczuciem w studyum „O Krzyżakach" znakomitej naszej poetki, p. Maryi Konopnickiej [1]).

Ja zauważę tu tylko, że podobnie, jak we wszystkich swych utworach, i w tej ostatniej swej powieści rozwinął Sienkiewicz ogromną plastykę i żywość obrazowania poetyckiego, odpowiadającego doskonale plastycznej i żywej charakterystyce działających osób. A jak oszczędnie, z jakiem umiarkowaniem używa autor „Krzyżaków" swego niezrównanie malowniczego talentu! Nie znaleźć w jego powieści owych przydługich opisów, które tak często zapełniają nic nie mówiące, a przytem solennie nudne stronice nowożytnych romansów.

Sienkiewicz, jak prawdziwy epik, w duchu znanej, a zawsze prawdziwej zasady Lessinga, nie opisuje, lecz opowiada. Idzie ze swymi bohaterami na pola, na lasy, na puszcze dzikie i wody rozlewne, kreśli nam ich wrażenia, mówi nam o ich przygodach rozlicznych, i oto nie wiedzieć jak i kiedy w rozwinięciu naturalnem wątku powieściowego wysnuwają się obrazy przyrody, występują przed nami rozliczne jej zjawiska i kształty, zarysowują się przeróżne sytuacye życiowe: całe tło malownicze bytu ludzkiego przesuwa się przed naszemi oczyma, mieniące się bogactwem barw, uwydatnione w dosadnych zarysach, w ustosunkowaniu rozlicznem cieniów, świateł i blasków.

Nie mam tu miejsca na rozważanie poszczególnych przykładów, wspomnę tylko niektóre z nich, na chybił trafił chwycone. Oto zaraz na początku powieści przybycie księżny mazowieckiej z orszakiem do karczmy tynieckiej i następnie sceny ludowe w Krakowie, ocalenie Zbyszka od miecza katowskiego, podróż Zbyszka i Maćka i spotkanie ich z Zychem, a potem z Jagienką, zasadzka Zbyszka na niedźwiedzia i wyprawa z Jagienką na bobry. Dalej polowanie w lasach mazowieckich, obóz Żmudzinów i potyczka ich z Krzyżakami, sceny w krzyżackiem Szczytnie, odnalezienie Danusi, jej śmierć i pogrzeb, ostatnie chwile Juranda, ponura śmierć Zygfryda i tyle, tyle innych sytuacyi przedziwnie plastycznych i pełnych charakteru.

Niezupełnie to samo da się powiedzieć o różnych zdarzeniach i faktach, rozwiniętych w osnowie powieściowej „Krzyżaków", o niezliczonych przygodach, niespodzianych spotkaniach, nagłych

[1]) Biblioteka Warszawska. Grudzień, 1900.

niebezpieczeństwach i nadzwyczajnych ocaleniach. Zapewne, wszystkie one przedstawione są żywo, zajmująco, dosadnie, ale czy zawsze są charakterystyczne? czy zawsze mogą być artystycznie uzasadnione? Sądzę, że przecząco chyba przyjdzie na to pytanie odpowiedzieć. Materyalna osnowa zdarzeń przemaga nieraz u Sienkiewicza nad charakterystycznem ich znaczeniem oraz nad artystycznem ich zobrazowaniem i układem. Jest to właściwość, powtarzająca się w różnym stopniu we wszystkich powieściach historycznych Sienkiewicza: wynika ona z niezmiernej żywości i bogactwa wyobraźni epickiej, której pomysły, następujące po sobie w wielkiej obfitości, nie mogą się skrystalizować w luźnej formie prozaicznej i dlatego czasami przelewają się w niej w bezkształtnej materyalnej masie.

Treść powieści staje się przez to obfitsza, bardziej zaciekawiająca, a zatem poczytniejsza, ale forma jej artystyczna, a zatem jej trwałość, jako dzieła sztuki, ponosi stąd niemałą ujmę. Ujemny ten objaw wynika z samej natury powieści prozaicznej zasadniczo nieartystycznej, podniesionej tylko do pewnego znaczenia artystycznego przez szczególny kierunek rozwojowy nowożytnej literatury pięknej, a wzniesionej w pewnym względzie na sam szczyt artyzmu przez geniusz epicki Sienkiewicza, który wszelako nie zdołał w całości przetopić jej rudy prozaicznej na czysty, dźwięczny i trwały metal poezyi.

A jeśli kto, to z pewnością autor „Krzyżaków" mógłby dopełnić tego zadania, gdyby ono wogóle dopełnione być mogło. Jakoż istotnie Sienkiewicz zbliżył się najbardziej do najdalszych jego kresów, do ideału artystycznej prozy powieściowej. Wytworzył sobie styl, łączący chyba wszelkie możliwe zalety mowy prozaicznej: jasność, wyrazistość, płynność, prostotę, ożywienie, dosadność, barwność i zwięzłość. W „Krzyżakach" Sienkiewicz święci nowe tryumfy nieporównanego swego stylu i rozwija wszelkie jego przymioty w nowem, nawskroś samoistnem, a niezmiernie szczęśliwem ich zastosowaniu. W „Trylogii" miał pierwowzory stylu w zabytkach literatury staropolskiej, w dziełach znakomitych pisarzy i poetów nowożytnych, którzy mniej lub więcej doskonale uchwycili i odtworzyli ducha dawnej polszczyzny, — w „Krzyżakach" genialny nasz stylista pozbawiony był wszelkich wzorów, wszelkich wskazówek. Stworzył tu mowę, zupełnie różną od mowy wieku XVII-go i XVI-go, noszącą niewątpliwe cechy większej starożytności, a zatem przynależną przypuszczalnie do epoki dawniejszej — a stworzył ją, można powiedzieć, prawie z niczego, a przynaj-

mniej z tak nielicznych i tak rozproszonych w przestrzeni i w czasie materyałów, że trudno prawdziwie pojąć, jakim sposobem mógł z nich powstać tak żywy, jednolity i tak logicznie ukształtowany organizm językowy, jakim się posługują bohaterowie „Krzyżaków".

Wiadomo, że cenniejszych pomników literackich mowa nasza z przed wieku XVI-go nie posiada wcale, posiada tylko zabytki piśmiennicze o treści nader ubogiej i mało żywotnej, a o formie bardzo nieudolnej. Z tego źródła niewiele mógł zaczerpnąć twórca „Krzyżaków", to też niewątpliwie głównem jego źródłem stała się żywa mowa ludowa, która podobnie, jak podania ludowe, owa opiewana przez Mickiewicza „wieść gminna", może być uważana za „arkę przymierza między dawnymi i młodszymi laty", za naturalny łącznik między mową ojców i odległych potomków. U ludu tedy, w tej nieprzebranej skarbnicy dawnej tradycyi, dawnej wiary i dawnej prawdy zaczerpnął Sienkiewicz pierwiastki, z których ukształtował styl i język swej epopei krzyżackiej. Ale ukształtował go zupełnie samodzielnie, mocą swej genialnej intuicyi twórczej, swego, że tak powiem, instynktu językowego, który pozwolił mu wybrać i uchwycić najwłaściwsze pierwiastki, połączyć je w najodpowiedniejszych stosunkach i tchnąć w nie ducha, odpowiadającego psychicznym warunkom tej sfery życiowej, która w mowie owej miała osiągnąć przyrodzony swój organ.

Nie można powiedzieć, aby osoby, występujące w „Krzyżakach", mówiły językiem ludowym, jak również (jak to już raz zaznaczyłem) nie jest to język Pasków ani Rejów. Mówią one swym własnym, odrębnym językiem, przystosowanym do ich natury, do ich potrzeb, do całego ich nastroju fizycznego i duchowego zarazem. Przez ten język wnikamy do ich duszy, czujemy ich czuciem, myślimy ich myślą, radujemy się ich naiwnej prostocie i czerpiemy siły z niespożytej ich dzielności. Przez ten język powieść Sienkiewicza staje się czemś niezmiernie żywem, staje się istnem wskrzeszeniem przeszłości, która przemawia tu do nas nie w jakichś przekładach nowożytnych, ani w nowożytnych tonacyach, ale własnym swym głosem i we własnym swym tonie. Stąd to zbliżenie, to bezpośrednie jakby zetknięcie się z przeszłością, które staje się naszym udziałem za sprawą historycznych powieści Sienkiewicza.

Walery Gostomski.

SPADKOBRANIE
i działy majątkowe wśród włościan
w KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Badanie stosunków agrarnych włościańskich z punktu widzenia prawnego ostatnimi czasy coraz żywsze budzi zainteresowanie w sferach inteligencyi.

Niema wątpliwości, że do smutnego stanu ekonomicznego włościan przyczyniają się wiele nieurodzaje, nizka kultura gospodarstwa, zniżka cen na rynkach zbożowych, powiększanie się ludności przy jednakowej ilości ziemi i t. p. przyczyny, lecz nie można zaprzeczyć i tego faktu, że sfera interesów w życiu codziennem naszych włościan pod względem etycznym, prawnym i praktycznym wiele pozostawia do życzenia.

Upadek gospodarki rolnej i niepomierne rozdrabnianie się osad włościańskich skutkiem przeprowadzenia częstych działów familijnych oraz masowe wychodztwo ludu naszego w odległe kraje mają związek pośredni z dziedziną prawa.

Jeżeli przyrzymy się bliżej stosunkom prawno - majątkowym włościan-rolników, to nie znajdziemy w nich określonych zwyczajów, tradycyjnie przechodzących z pokolenia na pokolenie i praktyką codzienną uświęconych. Napróżno szukalibyśmy wśród ludu naszego niezachwianych zasad, powszechnie obowiązujących przepisów w urządzeniach jego bytowych i stosunkach ekonomicznych, któreby służyły za podstawę przy rozstrzyganiu sporów i waśni, za katechizm moralności na gruncie praktycznym. Niema regulatora, któryby kiełznał samowolę jednostek. Natomiast istnieje niepohamowana, niczem nieprzeparta pożądliwość posiadania ziemi za jakąkolwiek bądź cenę, choćby z pogwałceniem węzłów rodzinnych i nieuszanowaniem woli ostatniej; ślepe przywiązanie i miłość ku matce-karmicielce, zdolne popchnąć syna.nawet do zbrodni.

Jeżeli może być mowa o zwyczajach prawnych, regulujących stosunki majątkowe włościan w kwestyi spadkobrania i działów, to najpowszechniejsze z nich dają się sprowadzić do dwu następujących: 1) przekazywanie osady wraz z gruntem tą lub inną drogą (o czem niżej) synom z pominięciem córek, które muszą poprzestawać na niewielkiej spłacie tytułem posagu; 2) faworyzowanie i wyróżnianie jednych dzieci kosztem drugich, z widoczną krzywdą tych ostatnich lub z zupełnem ich pominięciem.

Stosunki podobne w rodzinie włościańskiej pociągają za sobą opłakane skutki i następstwa, które nie pozostają bez wpływu na moralną i etyczną stronę jej członków, zacierając w nich poczucie tego, co słuszne i niesłuszne, godziwe i niegodziwe, pobudzając do wzajemnej niezgody i nieposzanowania cudzej własności, do braku wyrozumiałości na cudzą krzywdę i niedolę. Po śmierci ojca rodziny, jako głowy domu, która wszystko trzyma w karbach i pilnuje wspólnych interesów, każde z dzieci, dążąc do niezależności ekonomicznej i swoje tylko interesy mając na celu, odosabnia się od reszty rodziny, staje się dla niej obcym i obojętnym człowiekiem, wprost wrogo usposobionym względem swych braci i sióstr. Niejednokrotnie zdarza się, że stosunki rodziny, która w drodze działów rozpadła się na oddzielne jednostki gospodarskie, dochodzą do takiego stopnia naprężenia, że brat nie pozwoli bratu czerpać wody ze studni lub poić przy niej inwentarza jedynie dlatego, że studnia znajduje się w wyłącznem jego posiadaniu. Starsi wiekiem i poważani śród swoich gospodarze-włościanie kiwają głowami i powtarzają, że zepsuło się coś w gromadzie i rodzinie, z trwogą spoglądają w przyszłość, a z żalem i skargą na czasy teraźniejsze, których objawem jest ciągłe rozdrabnianie się osad włościańskich, spłaty rodzeństwa

i, co za tem idzie, ruina wielu rodzin. Skutki są dla nich wiadome i zrozumiałe, lecz nie mogą oni pojąć i zrozumieć tego, że przyczyna i źródło owego zła koniecznego tkwi w nieuświadomionym przez nich indywidualizmie, bo chłop polski wszędzie jest indywidualistą w całem tego wyrazu znaczeniu. Ten sam indywidualizm przejawia się w formie przeprowadzania działów familijnych: synowie nie chcą się gospodarować wspólnie, lecz każdy z nich dąży do założenia samodzielnego gospodarstwa, jako niezależnej jednostki ekonomicznej. „Duch indywidualizmu, zaszczepiony na gruncie usamowolnienia i uwłaszczenia, rozplenił się szybko w rodzinie i gromadzie, rozsadzając wszelkie dotychczasowe spoidła..... niema teraz gromady w dawnem znaczeniu: jest aglomerat jednostek, z których każda, dążąc do swego celu wyłącznie, ignoruje losy innych“ [1]).

I.

Przeprowadzenie działów włościańskich odbywa się w trojaki sposób: 1) prywatnie, za zgodą wszystkich członków rodziny, przystępujących do działów, a przynajmniej pełnoletnich; 2) w braku jedności i zgody pomiędzy członkami rodziny — przez sąd i 3) rejentalnie, kiedy ojciec rodziny za życia rozporządza swem mieniem, czy to w formie aktu kupna-sprzedaży, czy też w formie testamentu. Podział gruntu między spadkobiercami drogą prywatną, pocichu zdarza się najczęściej, ponieważ tym sposobem obchodzą przepis o 6-o morgowem minimum. Ojcowizną dzielą się w naturze, krając grunt na tyle pasków, ile jest głów. Gdybyż to każde z nich otrzymało swój dział przynajmniej w jednym całkowitym kawałku! Ale zwykle każde z nich dziedziczy kilka nieraz bardzo od siebie odległych parcel. Grunt zwykle krają wzdłuż na paski, które mają formę długich, a wązkich wstążek, jakie widzi się często na gruntach włościańskich.

Działki te bywają tak wązkie, że, aby je zaorać, wystarcza puścić pług jeden raz tam i z powrotem czyli „odwalić dwie skiby“, a całe pole zorane. Jedna para bron w zupełności obejmuje szerokość takiego działu i przy „nawrocie“ bronujący pomimo woli musi

---

[1]) Patrz Wisła, t. III, str. 68. Zygmunt Wasilewski, „Stosunki we wsi Jagodne“ (pow. Łukowski).

najechać na grunt sąsiada, aby drugi raz puścić brony na swój działek - pasek. Podział gruntu wzdłuż odbywa się dla dwu przyczyn: aby mieć dostęp do swego działku od drogi publicznej dla uprawy roli i wywiezienia nawozu, siewu i sprzętu, nie przejeżdżając przez działy cudze, co dałoby powód do częstych zatargów; następnie grunt, podzielony na paski wzdłuż, daje jeszcze tę przewagę, że, jeżeli są nierówności powierzchni, to urodzaj na wyższych miejscach wynagradza wymoki i straty na niższych. Nie wyłącza to jednak możliwości podziału gruntu i wpoprzek, co najczęściej ma miejsce w tych wypadkach, kiedy zagon z powodu częstych podziałów między następnymi spadkobiercami dojdzie do minimalnej szerokości i dalej nie może być już wzdłuż dzielony. Zwyczaj ten znajdujemy w niektórych okolicach powiatu łukowskiego, gdzie zagon, którym spadkobiercy nie mogą podzielić się wzdłuż, dzielą na „przeciętki" i biorą według starszeństwa urodzenia [1]).

Inwentarzem żywym i martwym oraz ruchomościami dzielą się również w naturze, dopłacając różnicę gotówką. Z zabudowań gospodarskich albo korzystają w równych częściach, albo biorą jeden budynek za drugi, dopłacając przy zamianie różnicę pieniędzmi, stosownie do oszacowania przez biegłych, albo też, kiedy nie może nastąpić zgoda między współspadkobiercami, rozbierają budynki i dzielą się dylami i deskami (sic!). Płoty na wartość schedy nie wpływają, lecz i te w wyjątkowych razach podlegają podziałowi *in natura*. Jeżeli jednak osada posiada ogród owocowy, to ten podnosi wartość schedy i podlega oszacowaniu przez biegłych.

Różnicy między mieniem odziedziczonem a dorobkowem włościanie nie robią żadnej: całe mienie ojcowskie idzie do podziału między dzieci. Majątek małżeński jest wspólny. Przy działach dzieci prawie nigdy nie robią różnicy między majątkiem ojcowskim a macierzyńskim.

Najstarszy syn nie korzysta z żadnych przywilejów i nie posiada żadnych szczególnych praw spadkowych w stosunku do reszty rodzeństwa. Jeżeli zdarza się, że starszy syn albo nawet i młodszy, otrzymując od ojca za życia lub po jego śmierci w formie zapisu część, przewyższającą inne, to nie należy w tym wypadku dopatrywać się zwyczaju „majoratu" lub „minoratu" — tem się nie kierują nasi włościanie — lecz osobistych względów i faworyzowania

---

[1]) Ob. „Zwyczaje pow. łukowskiego" — artykuł J. M. Lewoncewicza. Gaz. Sąd. 1890, № 19.

jednego kosztem drugich. Gdyby w podobnych razach przeważał pewny i ustalony zwyczaj, praktyką długoletnią uświęcony, to nie spotykalibyśmy zajść tego rodzaju, jak znane mi fakty, że ojciec, dawszy starszemu synowi ustne przyrzeczenie, iż odstąpi mu kawałek gruntu i wystawi chatę, następnie z powodu kłótni i nieporozumień przyrzeczenia nie dotrzymuje albo też odbiera synowi grunt i wypędza go z nowej chaty. Po ożenieniu się synowie rzadko kiedy wyprowadzają się na swoje gospodarstwo, ale zostają zazwyczaj przy rodzicach żony lub swoich i najmują się oboje do robót polnych albo godzą się do służby przy dworze. Każda z córek, wychodząc zamąż, otrzymuje od rodziców tytułem wyprawy: krowę, przyodziewek (sukmanę, kożuch, buty, płótno na bieliznę), skrzynię wyprawną, czasem wieprzka odkarmionego, czasem i trochę gotówki (w tajemnicy przed resztą rodzeństwa). Wartość wyprawy zależna jest od większej lub mniejszej zamożności rodziców i ilości głów rodzeństwa. Przy działach familijnych, jeżeli i córka przystępuje do spadku, wyprawa i koszty weselne nie zaliczają się do ogólnej masy spadkowej. Zdarza się też, ale rzadziej, że bracia zarachowują siostrze na schedę tylko inwentarz, otrzymany na wyprawę. Posagu przy zamążpójściu córki nie otrzymują — rzadki to wypadek — ponieważ rodzice nie posiadają większej gotówki w zapasie, mając często spłaty długów i procentów od nich. W posagu najczęściej przypada córkom spłata przy działach, rzadziej grunt. Posag - spłata stanowić ma jakoby oświadczenie woli rodziców, że ojcowiznę dziedziczy syn, a córka powinna kontentować się gotówką [1]). W wyjątkowych tylko razach otrzymuje córka w posagu grunt. Pewna wdowa, posiadająca 18 morgów gruntu ukazowego, wydając córkę zamąż (rodzeństwo składa się z pięciu sióstr i 14-letniego wyrostka), zapisała rejentalnie 6 morgów zięciowi przed ślubem, gdyż inaczej nie chciał „przystać do niej za zięcia". Tłómaczyć podobny wypadek należy li tylko krytycznem położeniem wdowy, obarczonej dziećmi, nie mającej męskiej opieki i gospodarza, któryby mógł zająć się całem gospodarstwem sumienniej, niż najemnicy lub parobcy.

Jeżeli się zdarza, że mąż, biorąc za żonę córkę majętniejszego gospodarza, otrzymuje posag w gotowiźnie, to przeznacza go zwykle

---

[1]) Porówn. w artykule I. M. Lewoncewicza. — Gaz. Sąd. 1890 r. Nr. 19. — „Zwyczaje pow. łukowskiego": Życzeniem rodziców jest, ażeby na „fortunie" osiadł syn, a córka poszła na stronę. Zwyczaj ten, stosowany w dzisiejszych czasach, przejęty został, według zdania autora, całkowicie od szlachty.

na ulepszenia w gospodarstwie, wzniesienie budowli, kupno inwentarza albo też najczęściej obraca posag żony na spłaty rodzeństwa, aby samemu odziedziczyć całe gospodarstwo po rodzicach lub część ponad przypadającą dla niego schedę.

Należy jeszcze nadmienić, że przy podziale osady *in natura*, kiedy podział odbywa się pocichu, prawie nigdy nie dochodzi do spłat pieniężnych, ponieważ każdy ze współspadkobierców przekłada grunt, choćby w najmniejszym działku, nad pieniądze, a głównie, obawia się podejścia ze strony spłacającego, że spłata nie będzie odpowiednią przypadającej schedzie, że pieniądze mogą łatwo rozejść się, grunt pozostanie.

Brak dostatecznego kapitału, potrzebnego na spłacenie rodzeństwa, trudność zaciągnięcia pożyczki i uciążliwe warunki, stawiane przez wierzyciela, stają często na przeszkodzie przeprowadzeniu działów familijnych. Znam gospodarstwo, składające się z 11 morgów i 150 prętów, które w drodze spadku po śmierci rodziców dostało się czworgu rodzeństwa (brat i 3 siostry) w opłakanym stanie: grunt, pomimo niezłej gleby, wyjałowiony i zapuszczony, brak inwentarza, budynki, chylące się do upadku, a ratować niema czem, ponieważ żadne z rodzeństwa nie ma środków do podtrzymania gospodarstwa, objęcia na siebie i spłacenia pozostałych spadkobierców. Jedna z sióstr poszła na służbę, druga gospodaruje na 2 morgach bez inwentarza, którego dostarczają sąsiedzi za zapłatę lub odrobek na dni, trzecia zamężna i mieszka w innej wsi. Resztę gruntu 9 morg. 150 prt. obrabia brat, rozporządzając jednym koniem. Szwagier chce otrzymać spłatę, lecz nie może popierać działów na drodze sądowej, gdyż sam nie posiada środków do przeprowadzenia sprawy. Cała rzecz idzie w odwłokę, a gospodarstwo na tem cierpi.

Sądy gminne przy rozstrzyganiu spraw działowych włościańskich przedewszystkiem kierować się muszą przepisami prawa obowiązującego, a jednak przepisy te (Kod. Nap. Dział VI, art. 815 i nast.) w obecnej procedurze działowej sądów gminnych niewielkie przy działach włościańskich mają zastosowanie. Prawem zwyczajowem kierować się trudno, gdyż przeszłość nie wyrobiła i nie ustaliła zwyczaju, jako normy stałej i powszechnie obowiązującej, którą sąd mógłby się powodować w sferze interesów majątkowych naszych włościan. Wskutek tego, że sądy gminne uskuteczniać muszą działy w myśl Ukazu Najwyższego z roku 1864, nie naruszając *6-o morgowego minimum*, i kierować się przy przeprowadzeniu działów z jednej strony przepisami prawa obowiązującego, z drugiej zaś brać pod uwagę zwyczaje miejscowe, w ten lub inny sposób

układające i normujące stosunki bytowe i ekonomiczne włościan, praktyka sądowa bywa różna i niejednostajna w różnych okręgach sądowych. Należy jednak przypuszczać, że na mocy zebranego materyału od czasu reformy 1876 roku i wprowadzenia nowej ustawy sądowej postępowanie działowe z czasem ujednostajni się i wyrobi normy, ogólnie przyjęte i powszechnie obowiązujące. Typowym działem włościańskim, z którym nasze sądy gminne najczęściej mają do czynienia, jest dział osady z budowlami i inwentarzem żywym i martwym między zstępnymi spadkodawcy i pozostałym przy życiu współmałżonkiem.

Całe zadanie sądu gminnego polega głównie na doprowadzeniu spadkobierców do zgodnego i polubownego podziału, w przeciwnym bowiem razie grozi im przymusowa sprzedaż osady w drodze licytacyi w zjeździe za cenę, zwykle znacznie niższą od ustanowionej w sporządzonym spisie majątkowym, a następnie kupno osady przez osobę obcą i koszty, połączone ze sprawą. Wobec przywiązania naszych włościan do ziemi wogóle, a do ojcowizny w szczególności, każdy ze spadkobierców pragnie przy działach, aby osada została mu przyznaną przez sąd.

Wybór w takich warunkach pomiędzy spadkobiercami tego z nich, którýby dawał największą rękojmię utrzymania się przy ojcowiźnie i spłacenia pozostałych współspadkobierców, pozostawiony jest sądowi; a w danym wypadku ani prawo, ani zwyczaje nie dają mu żadnych wskazówek. Jedynie zatem wspólny interes spadkobierców musi wskazywać sądowi drogę, której się trzymać powinien.

Sędzia więc, jak to już nadmieniłem, przedewszystkiem starać się winien skłonić strony do zgody, przedstawiając, a nawet grożąc publiczną sprzedażą, której nie życzy sobie żaden ze spadkobierców, a każdy się obawia. Przy dobrej woli, umiejętności i cierpliwości sędziego, jak również przy pewnych ustępstwach jednych na korzyść drugich, a najczęściej przy podniesieniu szacunku osady daje się cel osiągnąć: zadowolić wszystkich do spadku przystępujących. W przeciwnym zaś razie, gdy spadkobiercy, powodując się więcej uporem w zatrzymaniu osady każdy dla siebie, aniżeli interesem, podnoszą nadmiernie cenę osady i wzajemnie się licytują, należałoby w duchu prawa obowiązującego i z natury rzeczy przyznać osadę najwięcej dającemu. Żaden jednak obeznany z miejscowymi stosunkami sędzia tego nie zrobi. Przy rozpasanych namiętnościach i pożądliwości posiadania ziemi zdarza się, że suma, którą tak pochopnie w sądzie ofiarowano, jest bezwarunkowo za wysoka.

a utrzymujący się w takich razach przy osadzie spadkobierca najczęściej nie jest w stanie spłacić sched i z góry skazany jest na wywłaszczenie; przy licytacyi zaś za ową osadę nie dadzą nawet połowy lekkomyślnie przy działach postąpionej sumy. Na mocy jednak doświadczenia i praktyki sądy najczęściej przyznają osadę jednemu ze spadkobierców za sumę, ustanowioną bądź w spisie majątku, bądź też przez sąd przy udziale biegłych, t. j. dwu zasługujących na zaufanie gospodarzy ze wsi, w której położona jest osada spadkowa.

Wybór sądu pada przedewszystkiem:

1) na spadkobiercę, który faktycznie po śmierci ojca wszedł w posiadanie osady i na niej gospodaruje;

2) na najstarszego syna i

3) na najzamożniejszego, dającego rękojmię spłaty sched pozostałemu rodzeństwu.

Działy sądowe stosownie do przepisów art. 745 i nast. Kod. Nap. przeprowadzane są według liczby głów spadkobierców z uwzględnieniem zstępnych i wstępnych, jak to bliżej określono w prawie. Jeżeli 6-morgowych działów wystarcza, każdy ze spadkobierców otrzymuje 6 morgów, jeżeli jednak osada nie może być podzielona, to wszyscy członkowie rodziny na mocy wyroku sądowego pozostają w nierozdzielnem władaniu osadą (wbrew wyrokowi dzielą się pocichu między sobą) lub też jedni z nich utrzymują się przy gruncie, a reszta bierze spłaty. Najmniejsza osada do podziału powinna zawierać 12 morgów. Przy podziale sądowym panuje ta sama zasada, co i przy prywatnym: podział uskutecznia się stosownie do życzenia spadkobierców, i scheda każdego z nich wypada w kilku różnych kawałkach, z jakich składała się sama osada przed podziałem. Każdy dziedziczy we wszystkich kawałkach gruntu ornego, lasu lub pastwiska, co jeszcze bardziej pomnaża i tak już liczne szachownice włościańskie. Uniknąć tej niedogodności poniekąd trudno, zwłaszcza tam, gdzie te oddzielne kawałki gruntu są różnej wartości. Na żądanie dzielących się osadą wyrok ściśle oznacza, z jakich kawałków i gdzie położonych składa się przypadający na każdego dział. W aktach sądowych spotykamy wyrażenia: „pierwsza, druga ręka", oznaczające schedę, złożoną z kilku nie w jednem miejscu położonych kawałków, których granice oznaczają się z całą dokładnością, aby w razie nieporozumienia można było rozstrzygnąć spór. Włościanie okolic Łukowa (gub. Siedlecka) dziedziczą w ten sposób, że starszy wiekiem bierze z wschodniej i południowej,

a młodszy z północnej i zachodniej strony, w tymże porządku dziedziczą i ich zstępni [1]).

Jeżeli do działów przystępują i nieletni, to sąd przyznaje im schedy z procentem 6 — 8 rocznie. Pieniądze dla nieletnich opiekunowie w razie odbioru przed ich pełnoletnością obowiązani są składać do kas pożyczkowych gminnych.

Dla ulżenia pozostającemu przy gruncie spadkobiercy sąd gminny odracza nieraz termin spłaty sched na $^1/_2$ roku lub dłużej, z obowiązkiem w takim razie płacenia procentów od przyznanych sched do czasu wypłaty samej schedy.

W ścisłym związku z działami włościańskimi pozostaje kwestya dożywocia jednego z pozostałych przy życiu małżonków. Położenie dożywotnika zmienia się odpowiednio do tego, czy działy familijne przeprowadzone zostały drogą prywatną (pocichu), czy też sądownie lub na mocy aktu rejentalnego.

Jeżeli spadkobiercy przeprowadzili podział prywatnie i polubownie z obejściem 6-morgowego minimum, podzieliwszy grunt na tyle pasków, ile jest dzieci, to każdy z nich odstępuje dożywotnio matce albo ojcu jeden zagon względnej wielkości: dożywotnik tym sposobem posiada używalność kilku oddzielnych cząstek na tak zw. „przysiew". To zaś z dzieci, przy którem została chałupa, bierze dożywotnika do siebie „w komorne", natomiast nie daje zagonu. Dożywocie tego rodzaju pod nazwą „komornego przy dziecku", „siedzenia przy dziecku", „przeżycia" [2]) spotykamy w pow. krasnostawskim i nowoaleksandryjskim (g. lubelska),—w p. lubelskim pod nazwą „wyżytku" [3]). Część gruntu, jaką sobie po przeprowadzeniu działów między dzieci pozostawił dożywotnik na wyłączną używalność do śmierci, w pow. jędrzejowskim (gub. kielecka) nazywają „wycinkiem". Samo dożywocie nosi nazwę „wymowy" [4]).

W okolicach Łukowa rodzice, wydzielając majątek dzieciom, używają dożywotnio z jednej cząstki, którą albo sami uprawiają i obsiewają, albo puszczają w użytkowanie jednemu z dzieci pod warunkiem dostarczania rodzicom wiktu i całkowitego przyodziewku. Ten sam zwyczaj spotykamy śród włościan w Międzyrzeckiem. Je-

---

[1]) Ob. Gaz. Sąd. 1890 r. Nr. 19 — artykuł Lewoncewicza. Podobny zwyczaj spotykamy u mieszczan tyszowieckich (Tyszowce, gub. Lubelska).

[2]) Ob. Wisła, t. III, str. 371 i 372.

[3]) Ibid. t. II, str. 847.

[4]) Ibid. t. III, str. 373.

żeli jednak dziecko nie wywiązuje się należycie z przyjętych na się obowiązków, rodzice domagają się „ornaryi” w mące, kaszy, zbożu i kartoflach, nadto żądają oddzielnej izdebki. Przy dobrem i zgodnem pożyciu śród rodziny dzieci mówią, że rodzice są na „dochówku” lub rzadziej na dożywociu; wyraz „ornarya” cechuje zatargi starych rodziców z dziećmi [1]). We wsiach, w blizkości Kielc położonych, istnieje zwyczaj dożywocia, czwarcizną zwanego, który polega na tem, że podeszły w latach włościanin dzieli swój majątek ruchomy i nieruchomy między dzieci, zostawiając sobie czwartą część gruntu i żywego inwentarza. Dożywotnik taki zamieszkuje we wspólnej izbie z dziećmi i jest na swoim „garnuszku”, co znaczy, że przy wspólnym ogniu gotuje sobie pożywienie z własnych produktów. Grunt dożywocia, uprawiany przez dzieci, po śmierci dożywotnika idzie do równego podziału między pozostałe dzieci lub też zgodnie z ostatnią wolą dostaje się w spadku temu z dzieci, przy którem ojciec ostatka lat swoich dokonał [2]).

Zdarzają się także zrzeczenia i inne dobrowolne umowy w sprawie dożywocia.

W myśl art. 232 Kod. Cywil. z r. 1825 „małżonkowi, przy życiu pozostałemu, należy się po współmałżonku zmarłym część spadku dożywotnio, równa części, jaka na każde dziecko przypada...”

Praktyka jednak wykazuje, że między dosłownem brzmieniem przytoczonego artykułu kodeksu a zastosowaniem tego przepisu w życiu zachodzi wielka różnica. Przepis prawny, nie powołany do życia przez samo życie, pozostaje martwą literą, a nierzadko w życiu praktycznem staje się nie tem, czem go wola prawodawcza mieć chciała. Taka niezgodność przepisów prawnych ze stosunkami życiowymi najjaskrawiej uwydatnia się w sferze włościańskiej na gruncie interesów ekonomicznych.

Prócz obowiązującego przepisu art. 232 Kod. Cywil. z r. 1825 sędzia gminny musi brać w rachubę interesy czysto lokalne: warunki życiowe danej miejscowości, potrzeby i wymagania, wiek i stan zdrowia dożywotnika, ilość głów współspadkobierców, wielkość osady i wartość gruntu. Całe zadanie sądu gminnego, mniemam, polegać powinno na tem, aby dożywotnik nie był pozostawiony na łasce i niełasce swych dzieci i zmuszony pójść z kijem w ręku na żebraninę, gdy zapracować nie będzie już w stanie. Fakty wypędzania

---

[1]) i [2]) Wisła, t. II, str. 847 i 848.

starych rodziców z chałupy zdarzają się bardzo rzadko, lecz zdarzają się.

Przy działach sądowych po śmierci tabelowego właściciela, jeżeli 6-morgowych działów wystarcza dla wszystkich głów, dożywotnik otrzymuje część, równą działom dzieci, w kilku kawałkach, rzadziej w jednym, z których korzysta dożywotnio; w przeciwnym razie otrzymuje jeden, dwa, trzy zagony, mórg lub więcej ziemi ornej albo ogrodu stosownie do wielkości osady, z obowiązkiem (i bez obowiązku) bezpłatnej uprawy roli przez utrzymującego się przy osadzie. Jeżeli w naturze podziału uskutecznić nie można, to część pieniężną (ze sprzedaży lub spłaty) składa się do kasy gminnej na przechowanie, a dożywotnik pobiera procenty od tej sumy do śmierci. Dział, z którego użytkował dożywotnik za życia, po jego śmierci przechodzi w spadku do pozostałych dzieci w równych częściach. Najrzadziej, i to jedynie skutkiem polubownej ugody, sąd zobowiązuje posiadacza chałupy przyjąć do siebie „w komorne" dożywotniczkę-matkę, a spadkobierców dostarczać jej corocznie alimenta w zbożu i kartoflach. Przyodziewek zaś dostaje albo od tego dziecka, z którem pracuje na roli, albo sprawia sobie z zarobku.

Bywają wypadki, że ojciec za życia oddaje osadę dzieciom („rozpisuje gront rejentnie"), pozostawiając dla siebie prawo używalności dożywotniej $^1/_6$ — $^1/_{12}$ osady, według własnego wyboru. Dożywocia, szeroko omawiane, z wyłuszczeniem potrzeb dożywotnika spotykamy najczęściej w aktach rejentalnych, przy których zawieraniu ojciec wymaga od dziecka, któremu wyświadczył dobrodziejstwo, pewnego równoważnika w alimentach. Czytamy np. w akcie [1]): rodzice pozostawiają swemu synowi, Janowi K. sumę 240 rb. (jako resztę szacunku za osadę) „pod przepadkiem" (*à fonds perdus*), żądając wzamian za nią następujących alimentów: 1) wspólnej izby z komorą, w razie zaś przebudowy domu, mieszkania w oddzielnej przyzwoitej izbie; 2) dożywotniej używalności z drzewa na opał w lesie, znajdującym się na gruntach sprzedanej osady; 3) korzystania z mleka od jednej krowy z wyboru (wybór krowy co pół roku — 1 stycznia i 1 lipca); 4) zoranej i nawożonej ziemi morg pod kartofle, takiejże ziemi zagon pod kapustę i zagon pod len; 5) pozwolenia utrzymywania 3 kur; 6) 5 rb. na wieprza i chlewu dla niego; 7) zboża w czystem i suchem ziarnie: 4 korce żyta, po korcu owsa i jęczmienia, po osiem garncy grochu i pszenicy (rocznie); 8)

---

[1]) Akt not. z r. 1886 za Nr. 248 z pow. gostyńskiego.

dostarczania furmanki na każde żądanie do miasta, po księdza, doktora i w innych potrzebach.

W innym akcie [1]) czytamy: Antoni K. będzie dawał rodzicom swoim do końca ich życia alimenta (wycug[2]) — mieszkanie, 10 mor. nawiezionej i zoranej ziemi i kawałek łąki (w określonem przez akt miejscu). W razie nieudolności rodziców do pracy syn Antoni obowiązuje się wzamian za ziemię i łąkę utrzymywać swoim kosztem w lecie i w zimie 2 krowy, dawać rocznie 10 korcy węgli i 2 sążnie drzewa na opał, jedną karmną świnię, nie przeszkadzać rodzicom do utrzymywania drobiu i korzystania z wody dla tegoż drobiu, dostarczać rocznie 12 furmanek na rozjazdy, 4 korce żyta, 2 korce owsa, 12 korcy kartofli i pud soli. Ze śmiercią jednego z rodziców pozostające przy życiu korzystać będzie z alimentów w połowie.

Wobec widocznego faworu i wyświadczonego dobrodziejstwa jednemu z dzieci z krzywdą dla innych przez zapisanie całej ojcowizny jednemu i wyznaczenie nieodpowiednich do wartości osady spłat pozostałym dzieciom alimenta nie mogą być ciężarem dla posiadacza osady.

Gdybyż przynajmniej dzieci wywiązywały się z przyjętych na się obowiązków względem rodziców! Smutna to konieczność, gdy rodzice starzy i niezdolni do pracy zastrzegają sobie prawnie utrzymanie do śmierci. Doświadczenie bowiem uczy, że nawet prawo nie zawsze zabezpiecza los rodziców: świadczą o tem akta sądowe. Niejednokrotnie ojciec wnosi skargę do sądu na własnego syna, któremu zapisał całą ojcowiznę, iż ten go nie szanuje, nawet bije (!), odmawia łyżki strawy i wysyła na żebraninę, skoro nie może zapracować na życie i przyodziewek [3]).

Jako illustracyę smutnego i pożałowania godnego losu dożywotnika mógłbym przytoczyć wiele faktów, które słyszałem z ust sędziwych gospodarzy, że niejednokrotnie ojciec rodziny, który rejentalnie zapisał swym dzieciom osadę, zmuszony był poźniej szukać dachu i łyżki strawy u obcych, bo własne dzieci wypędziły go z zagrody.

---

[1]) Akt notar. z 13/V 1897 r. pow. łódzki.

[2]) Wyraz, zapożyczony od Niemców. Tegoż wyrazu używają na określenie dożywocia w Kaliskiem — „mieszkać na wycugu“ (ob. Wisła, t. II. str. 847). W Poznańskiem i części niemieckiego Śląska „wycug“ — Auszug, — „żyć na wycugu“ (ob. Wisła, t. II, str. 616 i nast.).

[3]) Z praktyki u sędziego śledczego znam podobne sprawy, w których często nakłaniałem do zgody powaśnionego ojca z synem (ob. art. 1534 Kod. Kar. wyd. 1885 r.).

Jeżeli ich nie przytaczam, to raz dlatego, że większości czytelników znane są podobne opowieści, nabrzmiałe bólem i skargą, a powtóre nie jest to w zakresie mojego artykułu.

Sporządzanie aktów urzędowych—notaryalnych przez włościan praktykuje się w większości wypadków w celu obejścia prawa przez sprzedaż całej osady jednemu z dzieci z krzywdą drugich. Znaną jest powszechnie rzeczą, że w tych razach, kiedy włościanin zapisuje majątek swój dzieciom aktem rejentalnym w formie aktu kupna-sprzedaży lub testamentu [1]), zawsze faworyzuje jednych lub jednego kosztem drugich, nadaje charakter prawny temu, co nosi cechy widocznego bezprawia.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć kilka charakterystycznych aktów rejentalnych, ponieważ rzucają one dostateczne światło na stosunki majątkowe w sferze włościańskiej, wykazując dobitnie, że idea równości pod względem prawnym nie jest ściśle zachowana w stosunku do dzieci jednych rodziców.

Oboje rodzice K. aktem rejentalnym [2]) sprzedają synowi swemu, Janowi K., osadę, z 14 morgów 135$^1/_2$ prętów złożoną (gm. Słupice), z połową budynków i ze wszystkiem tem, co stanowi nieruchomość: z ozimymi i jarymi zasiewami, jednym koniem, bryczką, wozem, pługiem, broną i jednym byczkiem, — za sumę 840 rb. Warunki następujące: sumę 150 rub. jakoby pobrali rodzice od syna przed aktem; 450 rb. przeznaczają trojgu pozostałym dzieciom: Ignacemu, Andrzejowi i Małgorzacie (poprzednio rodzice zapisali starszej córce i zięciowi również 14 morg. 135$^1/_2$ prt. z połową budynków), każdemu po 150 rb., które syn Jan obowiązuje się wypłacić rodzeństwu po dojściu każdego z nich do pełnoletności. Pozostałą zaś sumę 240 rb. pozostawiają synowi Janowi „pod przepadkiem” i żądają za nią alimentów (o czem była mowa wyżej). Zamiast komentarzy zestawmy cyfry, nie uważając atoli sumy 840 rb. za istotną i rzeczywistą wartość osady, ponieważ wiadomo, iż włościanie przy sporządzaniu aktów rejentalnych nigdy nie wykazują istotnej wartości nieruchomości, aby uniknąć zbyt wielkich kosztów stemplowych.

Wartość całej osady (28 morg. 271 prt.), bez wartości bu-

---

[1]) Darowizny między włościanami nie zdarzają się nigdy. Testamentów, własnoręcznie sporządzonych przez włościan, nie spotyka się, ponieważ większość niepiśmienna.

[2]) Akt notar. z r. 1886 № 248 pow. gostyńskiego.

dynków, — licząc 300-prętowy morg po 75 rb. [1]), wynosi 2167,75 rb., czyli na każde z pięciorga dzieci w równych działach przypada po 433,55 rb. Według zaś zapisu rodziców przypada na troje nieletnich razem 450 rb., —czyli że każde z dzieci tych otrzymuje o 283,55 rb. mniej, niż na nie przypada według prawa (przeszło 5 morg.). Nie na tem jednak koniec. Suma 2166,75 rb., prócz wartości budynków nie obejmuje w sobie wartości inwentarza żywego i martwego oraz wartości kawałka lasu, który znajduje się na gruntach tej osady. Tych kilku cyfr chyba dosyć, aby dać miarę słuszności zapisów rejentalnych i wyrobić sobie sąd o tem, w jakich okolicznościach włościanie sporządzają akty prawne.

Przypatrzmy się teraz, jakie ma obowiązki i ciężary utrzymujący się przy ojcowiźnie? Prócz opłaty · niewielkich podatków utrzymuje przy sobie rodziców, wydając im obiecane alimenta (ntb. jeżeli panuje zgoda w domu) i opiekuje się czas jakiś młodszem rodzeństwem, dając kąt w izbie i łyżkę strawy, za co mu pomagają w gospodarstwie: pasą bydło, biorą udział w robotach polnych, chodzą na zarobek do dworu i t. p. Jednem słowem, taki Jan K., jako aktualny posiadacz kolonii (14 morg. 135½ prt.) z budynkami, inwentarzem żywym i martwym, z zasiewami i kawałkiem lasu, nie obdłużonej, przy rządnem i pilnem gospodarowaniu może dojść do względnego dobrobytu i nawet robić co rok pewne oszczędności w normalnych warunkach (do nienormalnych zaliczam nieurodzaj, pożar, powódź, gradobicie, chorobę.), tak, że owe spłaty 150-rublowe na rzecz rodzeństwa nie przyniosą mu prawie żadnego uszczerbku w gospodarstwie tem bardziej, że rozłożone są na całe lata i w różnych terminach, — względnie do pełnoletności członków rodziny. Szczęśliwy a niezasłużony (faworyzowany!) zostaje zamożnym gospodarzem w stosunku do swych braci i siostry, którzy po kilku lub kilkunastu latach ciężkiej pracy w służbie otrzymują 150-rublową schedę i w dodatku bez procentu, jako dowód pamięci rodziców, bo wszakże mogli ich pominąć i nic nie zapisać. Dobrze jeszcze, jeżeli brat zechce oddać spłatę dobrowolnie, w całości lub częściowo, a jeżeli nie zechce, wypadnie biorącym spłaty pogodzić się ze swoim losem albo na drodze sądowej dochodzić pogwałconych praw, oddać się częstokroć w ręce pokątnych doradców prawnych

---

[1]) Ojciec dokupił 6 morg. gruntu od sąsiada za sumę 600 rubli, — o czem wzmianka w tymże akcie.

i pozbyć się reszty zaoszczędzonego grosiwa, zdobytego ciężką i mozolną pracą.

W testamencie [1]), sporządzonym rejentalnie przez Jakóba O., właściciela 3 gospodarek w pow. łódzkim, czytamy: zapisuję 1-ą gospodarkę z 30 morgów bez zabudowań zamężnej córce Antoninie S.; 2-ą — z 20 morg. z budynkami zamężnym córkom: Maryannie połowę z budynkami i Annie połowę bez budynków, a zato Maryanna zapłaci Annie 50 rb. i da obórkę; 3-ą gospodarkę z 32 morg. z budynkami — małoletnim dzieciom: Adamowi, Barbarze i Helenie w równych częściach (podkreślone wyrazem „koniecznie"). Testament ten aż nadto dobrze wykazuje słabość i wyjątkową miłość ojca ku córce Antoninie. Czy jednak rodzeństwo po śmierci zapisodawcy uszanuje ostatnią jego wolę i wykona ściśle zapisy, czy nieletni po dojściu do pełnoletności upomną się o swoje prawa lub nie, — to inna kwestya; bądź co bądź, kość niezgody rzucona, ponieważ testament sporządzony z obrazą art. 745 Kod. Nap.

Jeszcze jeden akt kupna-sprzedaży. Małżonkowie S. sprzedają aktem rejentalnym [2]) synowi Michałowi 8 morg. 104 pręty ziemi we wsi Malanów (pow. łódzki) za 450 rb. (poprzednio nabyte za 750 rb.). Syn płaci: 1) siostrze Antoninie 150 rb. za 2 lata bez procentu; 2) siostrom Nepomucenie i Maryannie po 120 rb. i Michalinie 60 rb., — wszystkie trzy ostatnie sumy za 6 lat bez procentu; 3) zobowiązuje się utrzymywać rodziców przyzwoicie, trzymać dla nich zimą i latem jedną krowę (t. zw. żelazną [3]), a po śmierci pochować ich swoim kosztem.

Wszystkie tego rodzaju zapisy, sporządzane przez włościan w kancelaryi rejentów, bądź w formie aktu sprzedaży (ukryta darowizna) między żyjącymi, bądź w formie testamentu, należy uważać za symulacyjne i uczynione z obrazą art. 913 Kod. Nap., według którego część rozporządzalna nie może przenosić połowy majątku rozporządzającego, gdy pozostawia po swym zgonie jedno tylko dziecko prawe, — trzeciej części, jeżeli pozostawia dwoje dzieci i t. d. Jest to jednak *pium desiderium*, ponieważ sądy gminne wobec obowiązujących przepisów i zgodnie z literą § 1, art. 31 i art. 1491 Ust. Post. Cywil. nie mają prawa rozstrząsać ważności lub nieważ-

---

[1]) Test. notar. z dn. 3/V 1888 r. (pow. łódzki).

[2]) Akt notar. z dn. 16/VIII 1895 r. (pow. łódzki).

[3]) Przeznaczoną na wyłączny użytek rodziców, którym przysługuje prawo wyboru i zmiany. Porówn. Wisła, t. III, str. 373.

ności aktów, tyczących się praw rzeczowych na nieruchomość i formalnie zawartych. Jeżeli zaś strony interesowane nie posiadają dostatecznych funduszów do wystąpienia w sądzie okręgowym z akcyą o unieważnienie aktu, krzywdzącego prawa innych, to akt taki najczęściej utrzymuje się w swej mocy, i faworyzowane dziecko zagarnia całą ojcowiznę lub dział, przewyższający z prawa mu należną schedę.

Posiadaczom podobnych aktów, na mocy których uważają siebie za prawnych właścicieli ojcowizny, grozi inne jeszcze niebezpieczeństwo, — niebezpieczeństwo poważne i w skutkach swych fatalne: akt kupna-sprzedaży osady, spisany nie przez właściwego rejenta, jest *ipso jure* nieważny, jeżeli w ciągu roku nie został złożony w kopii właściwemu (powiatowemu) sędziemu pokoju do zatwierdzenia [1]). Niejednokrotnie zdarza się też, że po latach kilkunastu spokojnego posiadania osady przez nabywcę lub jego spadkobierców sądy zjazdowe na skutek wniesienia skargi unieważniają takie akty w braku prawem przepisanej formalności. Rzecz prosta, że unieważnienie aktu wywołuje cały szereg spraw, pociągających za sobą wielkie koszty z krzywdą nabywcy w dobrej wierze (*bona fide possessor*).

Właściwiej przepis ten należałoby tłómaczyć w duchu wpisów hipotecznych, t. j. że niezatwierdzenie aktu przez właściwą władzę w ciągu roku nie daje mu znaczenia tylko względem osób trzecich, lecz nie może nie obowiązywać samych stron, które go dobrowolnie zawarły i zgodnie z wymaganymi przez prawo przepisami.

II.

Brak szczegółowych danych statystycznych o gminach (bo te, które posiadamy, pozostawiają wiele do życzenia pod względem ścisłości i dokładności) daje się bardzo odczuwać w tych razach, kiedy nam chodzi o wykazanie istotnego stanu własności rolnej śród włościan. By dać jednak choć w przybliżeniu pojęcie o tem, jak dalece zmniejszają się z biegiem czasu osady włościańskie, pozwolę sobie umieścić kilka szczegółów według niżej podanej tablicy, dotyczących zmian w osadach tabelowych gminy Kotlice pow. tomaszowskiego gub. lubelskiej od r. 1864 do r. 1898 włącznie.

---

[1]) Artykuły 256 i 257 Ust. Notar.

Nazwy wsi w gminie Kotlice	Ilość osad w roku 1864.	Ogólna przestrzeń gruntów w roku 1864		Ilość morgów na każdą osadę w r. 1864	Ilość osad podzielonych do r. 1898 włącznie	Ilość całych osad w r. 1898
		Morgi	Pręty			
Kotlice	82	1312	98	16	72	10
Honiatycze . . .	57	836	88	14,6	52	5
Honiatyczki . .	51	628	66	12,3	46	5
Dub	110	1412	99	12,8	98	12
Dub poduchowny.	10	127	231	12,7	8	2
Perespa	107	1171	7	11	97	10
Niewirków z Majdanem. . . .	65	772	261	12	60	5
Cześniki	112	1235	257	11	102	10
Carska Miłost'. .	33	160	167	4,8	„	33 [1])
	627	7657	74	„	535	92

Z zestawienia powyższych cyfr widzimy, iż od r. 1864 do 1898 r. uległo podziałowi 85,3% osad włościańskich i, kiedy przeciętna wielkość każdej z nich wynosiła w r. 1864 12,2 morg., dzisiejsza wielkość jej przy ogólnej przestrzeni gruntów w całej gminie 17741[2]) morg., jeżeli przypuścimy, że ilość osad przez przeciąg czasu 34 lat tylko się potroiła, wynosić będzie 9,4 morg. Cyfra ta nie wydaje mi się bardzą małą, bo znam osady w tejże gminie, nie wynoszące obowiązkowego 6-morgowego minimum, jeżeli będziemy mieli na względzie i tę okoliczność, że cyfry z podziałów, odbywanych „po cichu", nie figurują w tablicach statystycznych.

---

[1]) Nazwą „Carska Miłost'" (łaska Monarsza) objęte są grunty poduchowne, nadane starym żołnierzom za wysługę lat. Carska Miłost' nie stanowi właściwej wsi, bo jest częścią Duba, lecz nosi taką nomenklaturę w tabelkach gminnych.

[2]) W ciągu 34 lat gmina powiększyła się o 10084 morgi, bądź nabyte, bądź otrzymane za służebności, czyli że każda z 8 wsi powiększyła się o 37,06 morg., co wynosi rocznie po 1,09 morg. na każdą wieś.

Podobne zmniejszanie się osad włościańskich widzimy i w innych miejscowościach, np. we wsi Jagodne, gm. Dąbie (pow. łukowskiego). W ciągu jednego pokolenia według danych, zebranych przez Zygmunta Wasilewskiego [1]), połowa pierwotnych osad w Jagodnem uległa rozdrobnieniu. Przy uwłaszczeniu było we wsi 23 osady od 25 do 30 morg. każda, czyli przeciętnie po 27 morgów. W r. 1889 Jagodne liczyło 40 działów gospodarskich, czyli o 74% więcej, niż przy nadaniu. Przeciętna osada zmalała do $15^1/_2$ morg., to jest w porównaniu z poprzednią normą zmniejszyła się o 42,6%.

Według danych statystycznych, zebranych przez W. Czajewskiego [2]), przeciętna wielkość osady w gub. siedleckiej zmniejszyła się nieco, bo zamiast 18 morg. (przy nadaniu) w r. 1886 wynosiła już tylko $17^1/_3$ morga.

We wsi Chmielniku [3]) (pow. lubelski) na 85 rodzin (chat jest 58) bezrolnych jest do 12 rodzin: są to synowie tych, którzy byli niegdyś obdarowani; małorolnych od 3 morg. niema wcale; od 5 — 15 morg. — około 20 rodzin; od 15 — 30 morg. ze 30 rodzin; wyżej 30 morg. trzy rodziny. Ogółem posiadaczy jest 53; wyrobników, komorników i parobków razem do 20 rodzin. Taki stosunek do ilości posiadanego gruntu był między włościanami tej wsi w r. 1889, jaki jest dzisiaj, trudno mi orzec w braku danych, nie sądzę jednak, aby się polepszył przy ogólnym upadku gospodarstw włościańskich z powodu częstych podziałów między dziećmi.

Przytoczone wyżej przykłady dotyczą pojedyńczych miejscowości i nie mogą służyć za podstawę do ogólnych wniosków w sprawie włościańskiej Królestwa Polskiego.

Na dowód jednak że rozdrabnianie się osad włościańskich jest zjawiskiem ciągłem i dosięga nawet poważnych rozmiarów na całej przestrzeni Królestwa, przytoczę dane, które zaczerpnąłem z rocznych wykazów sądów gminnych za cztery lata, od 1895 do 1898 r., dotyczących spraw o spadki i postępowania spadkowego we wszystkich gub. Królestwa Polskiego.

Dane te według zamieszczonych poniżej tablic przedstawiają się, jak następuje:

---

[1]) Patrz Wisła, r. 1889, t. III, str. 68.

[2]) Ibidem, str. 10.

[3]) Ibidem, str. 237.

GUBERNIA	Rok 1895	Ogólna liczba spraw o spadki	Ilość spraw o podział spadków	Stosunek procentowy	Ilość sprzedaży spadków	Rok 1897	Ogólna liczba spraw o spadki	Ilość spraw o podział spadków	Stosunek procentowy	Ilość sprzedaży spadków
Warszawska . .	,,	751	396	52,7%	111	,,	480	335	69,7%	70
Piotrkowska . .	,,	4596	3137	83,1	68	,,	1392	1086	78	62
Kaliska	,,	581	398	68,5	67	,,	435	339	77,9	39
Radomska . . .	,,	1260	1115	88,4	19	,,	1383	1349	97,5	17
Kielecka	,,	1495	1368	91,5	9	,,	1523	1478	97	13
Lubelska	,,	1989	1903	95,6	16	,,	2672	1842	68,9	13
Siedlecka. . . .	,,	870	841	96,6	40	,,	938	825	87,9	26
Płocka	,,	203	73	35,9	43	,,	192	66	34,3	29
Łomżyńska. . .	,,	540	296	54,8	37	,,	522	299	57,2	46
Suwalska. . . .	,,	729	411	56,3	9	,,	690	567	82,1	6
	1896					1898				
Warszawska . .	,,	1462	372	25,4%	71	,,	498	283	56,8%	44
Piotrkowska . .	,,	1583	1291	81,5	53	,,	1273	958	75,2	67
Kaliska	,,	460	411	89,3	47	,,	391	353	90,2	32
Radomska . . .	,,	2114	1855	87,7	21	,,	1151	1074	93,3	12
Kielecka	,,	1463	1448	98,9	6	,,	1604	1562	97,3	8
Lubelska	,,	1867	1679	89,9	17	,,	2858	1920	67,1	14
Siedlecka. . . .	,,	999	904	90,4	26	,,	923	845	91,5	33
Płocka	,,	886	63	7,1	27	,,	201	76	37,8	17
Łomżyńska. . .	,,	529	314	59,3	35	,,	557	330	59,2	39
Suwalska. . . .	,,	694	481	69,3	7	,,	678	453	66,8	12

Największa ilość podziałów osad włościańskich w r. 1895 przypada na gub. siedlecką (96,6%), następnie idą gubernie: lubelska (95,6%), kielecka (91,5%), radomska (88,4%), piotrkowska (83,1%); najmniejsza ilość podziałów przypada na gub. Płocką (35,9%).

W r. 1896 stosunek ten zmienia się. Gub. kielecka, która w poprzednim roku zajmowała trzecie miejsce, w tym roku zajmuje pierwsze (98,9%), gub. siedlecka usuwa się na drugie miejsce (90,4%), lubelska z drugiego na trzecie (89,9%), czwarte kaliska (89,3%), która w r. 1895 zajmowała szóste miejsce. Najmniejszy procent wykazuje gub. płocka (7,1%), w której ilość podziałów w porównaniu z rokiem poprzednim zmniejszyła się więcej, niż o pięć razy. W r. 1897 wysuwa się na pierwszy plan gub. radomska (97,5%), gdy tymczasem w r. 1895 zajmowała czwarte, a w r. 1896 zaledwie piąte miejsce co do ilości podziałów. Gub. kielecka zajmuje drugie (97%), trzecie zaś miejsce gub. siedlecka (87,9%). Natomiast w gub. płockiej liczba podziałów powiększyła się prawie o 5 razy.

W r. 1898 ilość podziałów co do gubernii przedstawia się w następującym porządku: kielecka (97,3%), radomska (93,3%), siedlecka (91,5%), kaliska (90,2%). W gub. płockiej liczba podziałów wzrosła (37,8%) w stosunku do poprzedniego roku.

Podział osad włościańskich z pewnem wahaniem się cyfr w stosunku procentowym za ubiegłe 4-lecie na całej przestrzeni Królestwa Polskiego przedstawia się tak:

Gubernia	Kielecka . .	od	91,5%	do	98,9%
„	Radomska .	od	87,7	do	97,5
„	Siedlecka. .	od	87,9	do	96,6
„	Lubelska . .	od	67,1	do	95,6
„	Kaliska . .	od	68,5	do	90,2
„	Piotrkowska.	od	75,2	do	83,1
„	Suwalska. .	od	56,3	od	82,1
„	Warszawska	od	25,4	do	69,7
„	Łomżyńska .	od	54,8	do	59,3
„	Płocka. . .	od	7,1	do	37,8

Ogółem w ciągu 4-ch lat podzieliło się 34796 osad, a zatem na każdą gubernię w ciągu roku przypada przeciętnie 870 podziałów.

Jeżeli następnie porównamy według wyżej zamieszczonej tablicy rubryki cyfr o podział i sprzedaż spadków, to przekonamy się, że różnica jest olbrzymia: na największe cyfry podziałów przypadają stosunkowo bardzo małe cyfry sprzedaży spadków. Największa ilość sprzedaży osad przy działach familijnych przypada na gubernie warszawską i piotrkowską. W pierwszej z nich w ciągu ubiegłego 4-lecia sprzedano z licytacyi 296, w drugiej tylko 250 osad. W innych guberniach stosunek ten znacznie jest mniejszy, a najmniejsza

liczba sprzedaży spadków przypada na gub. suwalską, bo od r. 1895 do 1898 sprzedano w niej tylko 34 osady.

Nie będziemy się temu dziwić, bo wiemy wszyscy bardzo dobrze o tem, że włościanie nasi odznaczają się nadzwyczajnem przywiązaniem do ojcowizny, rolę miłują do tego stopnia, że niema prawie takiego poświęcenia się, któregoby nie uczynił włościanin, aby się utrzymać przy roli, i nie pozwoli sobie jej wydrzeć obcym. Miłość ziemi przewyższa i zagłusza w nich wszelkie inne uczucia. Ostateczność tylko nieubłagana może popchnąć włościanina do sprzedaży swej ojcowizny i szukania zarobku poza swoją rodzinną wsią.

Wyludnianie się naszych wsi i częste emigracye za ocean mają daleko głębszą i donioślejszą przyczynę społeczno - ekonomiczną, niż łatwy i prędki zarobek, chęć zysku i użycia, brak ochoty do cięższej pracy, bo lud nasz wogóle jest pracowity, trzeźwy i oszczędny. Brak jedynie umiłowanej roli, na której się urodził, wzrósł i zaprawił do pracy, usuwanie się jej z pod nóg zmusza naszego włościanina, rolnika z krwi i kości, porzucić swe rodzinne progi, a często i ojczyznę, aby na obczyźnie szukać oparcia i źródła pracy, częstokroć w twardych i prawie niepokonanych warunkach.

Ciągłe rozdrabnianie się gruntów włościańskich w skutek nieustających podziałów między spadkobiercami doprowadziło gospodarstwo rolne większości włościan w Królestwie Polskiem do tego stanu, który wprost uniemożliwia prowadzenie choćby o tyle tylko udoskonalonego systemu uprawy roli, aby zabezpieczyć mógł dostateczny urodzaj. Ilość ziemi, przypadająca na każdego gospodarza-włościanina, wskutek naturalnego przyrostu ludności z biegiem czasu zmniejsza się do tego stopnia, że uprawiany i obsiewany przez tegoż gospodarza działek staje się częstokroć tak mał, iż nie daje możności wyżywienia się rodzinie i zaspokojenia nadto ciężarów gruntowych.

O jakiejkolwiek gałęzi przemysłu w gospodarstwach włościańskich przy dzisiejszych w nich warunkach mowy być nie może. Kulturą swoją, sposobem uprawy roli, zastosowaniem narzędzi rolniczych, hodowlą lepszych gatunków zboża, nie wspominając już o nędznym stanie zabudowań gospodarskich i lichym inwentarzu, nasze gospodarstwa włościańskie stoją bardzo nizko.

Rzecz prosta, gospodarowanie na kilku działkach, w różnych i odległych od siebie miejscach położonych, wymaga większej ilości rąk roboczych, powiększenia inwentarza i połączone jest z większą stratą czasu i mitręgą w robocie. Mam tu na myśli szachownice, —

ów wrzód, że się tak wyrażę, trapiący organizm każdego gospodarstwa, jako jednostki ekonomicznej. Im wcześniej wrzód ten zostanie przecięty, tem prędzej organizm powróci do zdrowia i odzyska swe siły produkcyjne. Tylko przez ustalenie granic, usunięcie szachownic osady włościańskie skrystalizować się mogą w gospodarczo zdrowe jednostki i pomyśleć o wprowadzeniu racyonalnego gospodarstwa.

Doniosłość tego żywotnego zagadnienia społeczno-ekonomicznego pojmują rozsądniejsze i więcej przewidujące jednostki śród włościan, czego dowodem są wsie, w których włościanie przeprowadzili komasacyę swych gruntów i utworzyli nowe kolonie bez szachownic.

Są to jednak fakty sporadyczne, które samej sprawy nie rozstrzygają. Najlepsze chęci pojedyńczych osobników rozbijają się o upór całej gromady, a częstokroć zamiary większości obracają się w niwecz przez złą wolę i intrygi jednostki. Dlatego nie wierzę w przeprowadzenie komasacyi i rozkolonizowanie gruntów drogą polubownej ugody ze strony włościan bez pewnego rodzaju przymusu. Włościanin nasz jest konserwatystą z przekonań i nadto przywiązany do starych zwyczajów i nawyknień, aby zdradzał pochopność do zmian i reform tego, co uświęcone zostało długoletnią praktyką przez jego przodków. Brak mu również dostatecznej oświaty, któraby mu mogła otworzyć oczy na to, iż prowadzenie gospodarstwa w kilku odległych miejscach na małych działkach przynosi wręcz ujemne rezultaty i przyprawia o upadek całe gospodarstwo.

Sądzę, że do uskutecznienia tego planu potrzeba silnego bodźca zzewnątrz, — bodźca, sankcyonowanego przez władzę, któraby w drodze prawodawczej przeprowadziła przymusową komasacyę i kolonizacyę gruntów na podstawach legalnych; następnie, aby przeciąć raz na zawsze możliwość powrotu do poprzedniego stanu gospodarstwa, należałoby wydać dla włościan obowiązujący przepis ujęty w formę prawną, mocą którego władze zabraniałyby im przeprowadzania podziałów spadkowych w postaci szachownic.

W ostatnich czasach odpowiednie władze i prasa zwróciły szczególniejszą uwagę na nienormalny rozwój rolnictwa w państwie i żywo wzięły do serca sprawę serwitutów i szachownic, trapiących jak pasorzyt organizm, wielkie posiadłości i gospodarstwa włościańskie. W niedalekiej przyszłości należy się spodziewać, iż zostanie rozwiązaną w drodze prawodawczej ta najżywotniejszaa na dobi

sprawa, tem bardziej, że, jak donosiły dzienniki[1]), w Radzie Państwa rozpatrywany miał być jeszcze r. 1899 projekt separacyi gruntów włościańskich, oparty na zasadach dobrowolnej umowy między stronami. Jest więc nadzieja, że z kolei rzeczy wejdzie na porządek dzienny niemniej ważna sprawa szachownic włościańskich.

Częste podziały nie tylko materyalnie, ekonomicznie źle i ujemnie wpływają na włościan, lecz wnoszą do rodzin pierwiastek demoralizujący, rozsprzęgający wszelką łączność i wspólność interesów, wytwarzają niebezpieczny ferment, który szuka ujścia nazewnątrz w czynie z pogwałceniem praw Boskich i ludzkich. Bodaj, że bardzo znaczna odsetka zbrodni i łotrowstw między ludem naszym w stosunku dzieci do rodziców i braci do braci i sióstr, z powodu podziału majątku wynika.

Zacięte spory i waśnie, jakie prowadzą z sobą włościanie o każdą piędź ziemi, rozwijają w nich ducha pieniactwa, podtrzymywanego i podżeganego przez pokątnych doradców. Powodu do kłótni i sprzeczek, a następnie do procesowania się, dostarczają, jak zwykle, działy familijne i powstające przez nie na gruntach włościańskich szachownice. One to, jako zjawisko nienormalne i bezwzględnie szkodliwe dla rolnictwa, są źródłem pogwałcenia praw cudzej własności, przyczyną materyalnego i moralnego upadku naszych włościan.

Worywanie się w cudze grunta i miedze, wypasanie zasiewów sąsiada, pogwałcenie kopców i granic, kradzieże w polu i wszelkiego rodzaju szkody i nadużycia są zwykłymi objawami w tych miejscowościach, gdzie panuje wszechwładnie system szachownic.

Dane statystyki z całego Królestwa dają najlepsze świadectwo w tej kwestyi i stwierdzają dobitnie fakt pogwałcenia i zawładnięcia cudzej własności, której przywrócenie do *status quo* odbywa się przez sąd. Ilość spraw, dotyczących przywrócenia pogwałconego władania ziemią, przedstawia się w oddzielnych guberniach za ubiegłe cztery lata, jak niżej wykazuje tablica:

Gubernia	1895	1896	1897	1898
Warszawska . .	811	2044	2934	797
Piotrkowska . .	854	1035	887	1172
Kaliska . . .	455	488	492	570

[1]) Patrz „Juridiczeskaja Gazieta“ za r. 1899, Nr. 73.

Gubernia	1895	1896	1897	1898
Radomska. . .	969	1235	1127	2423
Kielecka . . .	951	1054	1129	1328
Lubelska . . .	850	680	1420	1507
Siedlecka . . .	1815	1734	1822	1887
Płocka	582	768	574	527
Łomżyńska . .	1178	1395	1178	1234
Suwalska . . .	675	628	596	626
Razem .	9140	11061	12159	12071

Największa ilość zawłaszczeń przypada, jak widzimy, na gub. radomską, siedlecką, lubelską i kielecką. Jeżeli porównamy cyfry podziałów z cyframi zawłaszczeń, to przekonamy się, iż największa ilość zawłaszczeń stoi w pewnym stosunku proporcyonalnym z ilością podziałów. Naprzykład, na gubernię radomską, zajmującą drugie miejsce co do podziałów, wypada 2423 zawłaszczenia; gubernia siedlecka zajmuje drugie miejsce co do zawłaszczeń, a trzecie co do podziałów. Najwięcej oddala się od tej normy gubernia kielecka, która zajmuje pierwsze miejsce co do podziałów, a czwarte zaledwie co do zawłaszczeń. Najmniejsza cyfra zawłaszczeń przypada w roku 1898 na gubernię płocką, która zajmuje ostatnie miejsce w rzędzie gubernii co do podziałów. Razem na całe Królestwo w ciągu 4-lecia przypada 44431, t. j. na każdą gubernię w ciągu roku przeciętnie po 1110,8 zawłaszczeń.

Z usunięciem szachownic, tej kości niezgody, należy sądzić, zmniejszą się zatargi o zawłaszczenia, a z biegiem czasu zupełnie ustaną.

Działy włościańskie jest to *malum necessarium:* skasować ich nie można, bo byłby to zamach na wolność rozporządzania się swem mieniem, czego i prawo nie zabrania, lecz należałoby je przeprowadzić tak, ażeby gospodarka rolna na tem nie cierpiała, do czego w znacznej mierze przyczyniają się szachownice. Dzisiejszy byt włościan znajduje się w opłakanym stanie, czego dowodem wzrastająca z każdym rokiem cyfra bezrolnych, którzy emigrują z kraju. Brak zaś rąk roboczych po wsiach źle oddziaływa na większe posiadłości ziemskie.

Włościanie sami nie zdobędą się na środki zaradcze do usunięcia złego, które tkwi w łonie ich gospodarki rolnej, bo nie

chcą, a być może nie mogą, nie rozumiejąc doniosłości tego zagadnienia socyalno - ekonomicznego, jakiem jest prowadzenie racyonalnego gospodarstwa. Odszukanie i zastosowanie tych środków jest obowiązkiem i powinnością sfer miarodajnych i wszystkich tych, którym na sercu leży pomyślność i dobrobyt maluczkich, bo z ich dobrobytem podniesie się ogólny dobrobyt gospodarki krajowej.

Jan Czeraszkiewicz.

POTĘPIENIEC

(HISTORYA PRAWDZIWA).

I.

W K*** były baraki budującego się dystansu części drogi żelaznej syberyjskiej. Na nasypie kolejowym, w pośród stert ziemi, kamieni, szyn, podkładów, taczek i narzędzi, wśród gęstych przekleństw, co chwila wszędzie i od wszystkich padających, pracowali ludzie.

Jasne, oślepiające słońce prażyło nielitościwie, rozlewając szeroko po świecie zuchwałe swe promienie. Suche powietrze przenikało z trudem w płuca i wywoływało uczucie jakiejś duszności niezwyczajnej. Z czół, z obnażonych rąk, karków i piersi spływał gęsty pot, oczy z umęczeniem wpatrywały się przed siebie...

Ciężka, znojna praca była udziałem robotników...

Było pomiędzy nimi wielu zbrodniarzy-katorżników z Sachalinu, używanych do sypania plantu i układania szyn, ponurych i dzikich, z twarzami wyniszczonemi i groźnemi, — chudych, znędzniałych, prawie strasznych. Pchali taczki przed siebie, napełniając je raz w raz ziemią i wysypując ją pośpiesnie, ruszali do kopanych wspólnie dołów po świeżą. Czasami powstawał gwar, podobny do

pomruku głucho idącej fali, tam rozległo się zwierzęce przekleństwo, ówdzie śmiech zabrzmiał nieszczery, wyjący... Dozorcy zaś biegali, wymyślając od próżniaków i nicponiów, uszy jednak były już do tych krzyków nawykłe: nie czyniły wrażenia. Od czasu do czasu przemknęła postać inżyniera, tam stała gromadka techników i naradzała się wrzaskliwie, gdzieindziej rozlegały się krótkie, jak komenda, głosy majstrów. A mrowie ruszało się, pracując.

Lecz nagle zakotłowało się coś przy nasypie. Pchający taczki poczęli się kupić, a ci, co kopali, pobiegli zobaczyć, co się stało. Wnet zebrała się gromada duża, która, obstąpiwszy owo miejsce, wpatrywała się w nie uważnie, szemrząc, krzycząc, nawołując... Ale rozpędził ich bat. Po chwili zabrzmiał groźny głos:

— Kto tam do stu tysięcy dyabłów znowu się położył?

„Kładli" się czasami katorżnicy, udając chorobę, by nie kopać i nie wozić ziemi. Ten jednak, który się teraz „położył", zachorował naprawdę. Leżał unurzany w ziemi, bijąc nogami o rozbite jej grudy, na twarzy obok żółtości złowrogiej miał sine pręgi, i wstrząsały nim nagłe, co chwila powstające spazmy nudności...

— Na nosze i do baraku! — zakomenderował dozorca, kułakując kilku nie zbiegłych w porę gapiów.

Porwano go. Rzucili, niby piłkę, przykryli płachtą, choć było gorąco, i pobiegli, jakby z psem nieżywym... A on leżał cichy i spokojny, targany tylko od czasu do czasu kurczem żołądka, pełen śliny w ustach, z oczyma wytrzeszczonemi i w niebo wpatrzonemi, ze zmierzwioną, na dół owisłą czupryną... Patrzał i zdawał się nic nie widzieć.

Wrzucono go do baraku. Tam litościwa dusza jakaś zajęła się nim dość śpiesznie, łeb rozcierać mu zaczęła, odwaru jakiegoś lejąc w gębę obficie. Potem okutała go w zimowniki baranie, by się wypocił, i ułożyła na kupie gałganów...

Katorżnik jęczał z cicha.

II.

Z pośród wszystkich zbrodniarzy, którzy pracowali w K***, żaden nie wydawał się tak dziwnym, tak pomimo jednakich napozór z innymi cech i właściwości odmiennym, jak Hryńko, ten mały, suchy Hryńko, którego katorżnicy stale nazywali „kotem", a który właśnie tak wtedy zasłabł, że aż go do baraku nieść było potrzeba.

Hryńko był to chłop poleski, nieduży, wątło zbudowany, prawie niesilny. Była w nim jakaś zapamiętałość jednak i upór bezgraniczny, gdy szło o spełnienie jakiejkolwiek roboty, którą większość bez widocznego wysiłku wykonywała, a on, choć mu szło ciężko, chciał wypełnić przez ambicyę.

Wszyscy o Hryńku wiedzieli to tylko, co sam o sobie powiadał. Zwał się Hryńkiem Pawluczakiem, pochodził z Polesia, większą część młodości spędził jednak w guberniach środkowych Cesarstwa. Ostatnio przebywał w Moskwie, gdzie, jak i wszędzie zresztą, najmował się do robót stolarskich. Za morderstwo jakieś, ze znęcaniem się podobno połączone, skazany został na Sachalin.

To były wszystkie wiadomości, poza tem nic. Ale bo też mruk to był niesłychany, mruk! Poza musowemi monosylabami, które wydawał, słowa od niego nad miarę dopytać się nigdy nie można było. Inni, poczęści ze swą dolą pogodzeni, poczęści patrzący na nią, jak na coś musowego i nieuniknionego, czasem w weselszych chwilach oddawali się grze w kości, pogawędce lub wreszcie pijaństwu; on zawsze był niewzruszony i ponury, jakby go kto ze śpiżu ulał...

Chamska twarda dusza!

Większość z partyi dawała się określić tak: dzikie lub posępne twarze, wejrzenia złe albo nienawistne, zachowanie pod przykrywką strachu złowróżbne... Byli oni wszyscy pod tym względem nadzwyczaj do siebie podobni, prawie jednakowi, i tylko Hryńko jeden chyba, co uderzał odrębnością w każdym calu.

Taka dziwna chamska dusza!

W partyi było bożyszcze, bo wszędzie bożyszcze być musi. A był niem Herszek, wysoki polski Żyd, jak tyczka, chudy, z kłaczatą i rudą brodą, suchy, barczysty, żylasty. Strasznej to był siły człek i ogromnie niesforny. Przepadała jednak za nim i bała go się cała partya, bo imponował jej niemało: czy mocą się popisać, czy żebro komu zgruchotać, czy pobić do bezwładności lub chwycić tak i ścisnąć, że chwycony aż zieleniał z bólu, a oczy, niby obłąkanemu, na wierzch mu wychodziły — jedyny był do tego Hersz! Miano też przed nim respekt niesłychany i jednano sobie jego przyjaźń na wszelkie możliwe sposoby. Hersz przyjmował to, jak coś, zupełnie sobie należnego i naturalnego, chętnie też od czasu do czasu dla utrzymania swej dziwnej popularności i nieosłabienia swego okrutnego uroku gruchotał kości i żebra...

Dumny był z swego prawa silniejszego.

Ten Żyd oto upatrzył sobie coś do Hryńka i spokoju mu nie dawał, a wiadomo było, że gorze temu, kogo Hersz sobie w pamięci zapisał. Często groził, iż to „ścierwo milczące, przeklęte" gdzieś przy drodze zatłucze. Hryńko wiedział o tem, ale nie mówił nic — jak zwykle. Może myślał: raz maty rodyła! a może nie zwracał zbytniej uwagi na te pogróżki, dość, że czekał spokojnie, prawie cierpliwie...

Żyd, który zwady szukał już dawno, znalazł ją nareszcie. Sposobność nastręczyła mu niegodziwa jego przed dozorcą denuncyacya, jakoby kradzież, której on sam się dopuścił, spełnił Hryńko. Sprawa ostatecznie się wyjaśniła, kary jednak, spadłej nań początkowo, nie uniknął Pawluczak. Więc, gdy wobec towarzyszów wyrzucał Żydowi nikczemne jego postąpienie, Hersz, niewiele się namyślając, z dzikiem zadowoleniem zbira schwycił go za gardło i zaczął dusić. Lecz nagle szybkim nerwowym ruchem odstąpił od Poleszuka, puszczając go wolno. Niektórzy, co na to patrzali, zwrócili ku niemu pytające swe, pełne nierozumienia spojrzenia, a kilku splunęło przez zęby z pogardą:

— Durna sobaka Hersz!

Lecz i Hersz splunął. Z twarzy jego nie schodził wyraz prostaczego jakiegoś zdumienia, w oczach miał jakieś oszołomienie. Oddalił się prędko, pod nosem klął i mamrotał cicho. Wkrótce rozeszli się wszyscy, a głośne przekleństwa znamionowały silne niezadowolenie z nieudania się widowiska.

Wieczorem już, kładąc się na spoczynek, towarzysze z najbliższych tapczanów, popijając ukrytą wódkę i zaciągając się obrzydliwą machorką, pytali ciekawie Hersza, coby go też do tak niesłychanej u niego względności skłoniło. Żyd zaś, wychylając haust wódki i trzaskając pustą butelką o ziemię, odpowiedział z przekonaniem:

— Nie wiem. U niego w oczach czorta waszego czy co ja zobaczył, złe takie, nieczystą siłę, że niech go pioruny!

— Hospody pomiłuj! — mruknęło kilku, żegnając się na wszelki wypadek pobożnie i poglądając z niedowierzaniem na Hersza.

— Tak! Ja tam w „wasze" nie wierzę, ale mnie się niedobrze zrobiło... Powiadam wam — nieczystego coś!

— Hospody pomiłuj! — powtórzyli.—Do czorta z nim i z tobą.

III.

A oczy miał Hryńko wistocie dyabelskie, palące, przenikliwe i tak głębokie, że oczu tych prędko zapomnieć nie można było.

„Kot" to był, „kot"!

Zdarzyło się, że jednemu z panów kontrolerów wydziałowych przyszła ochota badać Hryńka, ale tak, by Hryńko o tem nie wiedział. I ostatecznie doszedł ten pan do wniosku, że najcharakterystyczniejszą cechą Poleszuka jest jego ciężka do zrozumienia uczciwość.

— Bo uczciwość w zbrodniarzu, nie wzruszajcie ramionami,— mówił do kolegów kontroler — to fenomen!

I rzeczywiście Hryńko był czysty.

Nieraz podstępami i zasadzką starał się pan kontroler przekonać o jego uczciwości, i Hryńko wychodził z tej próby zwycięsko. I dlatego pan kontroler, który był człowiekiem, niedawno na Syberyę przybyłym i przytem młodym, więc cokolwiek uczuciowym i trochę nawet idealistą, często w długie, głuche, śmiertelnie nudnie noce syberyjskie, trapiony bezsennością przeklętą, przemyśliwał nad Hryńkiem. Przypuszczał, że to może tylko jakaś dusza zbłąkana, zaprzepaszczona, pogrążona w otchłań bezmiernej nędzy ludzkiej i straszliwych cierpień moralnych za jedną chwilę szału, że to może jedna z tych istot, które, nie będąc zepsute zupełnie, upadają chwilowo, by potem życie całe w okropnych mękach odpokutować... I zdawało mu się tak szczególniej wtedy, gdy, przechodząc koło partyi zajętych robotą skazańców, widział nieraz, jak oczy Hryńka przelotnie spoczywały na nim i jak w tych oczach obok zwykłej przenikliwości można było czytać coś dziecięco jasnego, niewinnego, prawie przezroczego, często zmęczonego i omdlałego...

Ale to było złudzenie. Pan kontroler, zaciekawiony na seryo, począł rozpytywać tych, co mu informacyi dokładnych udzielić mogli. A wiadomości były jaknajgorsze. Według tego prędzej za zwierzę podłe i plugawe poczytywać Pawluczaka można było, niżeli za człowieka. W sądzie nawet podobno stawał zimny i obojętny na wszystko. Ofiarę jego znaleziono z rozpłataną siekierą głową, unurzaną we krwi. Mściwy był.

Tak więc kontroler-idealista odwrócił się ze wzgardą od bestyi ludzkiej. Potem zapomniał o dziwnym katorżniku. Zresztą przeniesiono go gdzieśindziej i znikł z horyzontu K***.

Wkrótce roboty posunęły się dalej, i Hryńko wraz z resztą powędrował również. I tak wlókł się z etapu na etap i, cierpiąc za winy, ciągnął swą taczkę wiecznie jednakowo, wiecznie bez słowa skargi i rozpaczy, ale też zawsze martwy, jak kamień, z twarzą nieruchomą i zastygłą, zimny, sztywny, niewzruszony, skamieniały w tem, co go pożerało i wyczerpywało, — zbrodniarz pospolity!

IV.

Tak doszły roboty do L***. W L*** spodziewano się zastać więcej urzędników, bo tu był główny magazyn i główne składy, przytem tu płynęła rzeka, przez którą należało przerzucić most.

Zaroiło się też w L*** od inżynierów, techników, majstrów, buchalterów, rzemieślników i robotników, gdyż prowadzono robotę ciężką i zmudną: zakładano kesony.

Był pomiędzy inżynierami człowiek młody, wesoły, rzutki, szaławiła i, jak to mówią, „niezły chłopiec”, który tylko co do L*** przyjechał, z Moskwy podobno, i już narzekał na „pogańskie bezludzie”. A nie był przecież najnieszczęśliwszy, bo razem z nim przyjechała kobieta, wcale niestara, lat może trzydziestu, duża, czarnowłosa, ognista, która wnet po przyjeździe swoim stała się ogólnym przedmiotem rozmów L — ej kolonii, wzbudzając swem pojawieniem się całą moc opowiadań, anegdot i komentarzy.

Pani ta wraz z przyjacielem swym, który, choć dwuznacznie dawał do zrozumienia, że jest jej „mężem”, w rzeczywistości jednak żonaty z nią był tylko „po sybirsku”, mieszkała w oddalonej części osady, w domku, urządzonym niezgorzej.

Pan chodził na roboty, wiercił, kręcił, dyrygował plutonami katorżników, pracując przy zakładaniu mostu. „Pani” siadywała w domu, klnąc pocichu na jednostajność otoczenia, żałując w duchu, że na ten przyjazd kochankowi namówić się dała. Łagodziły ją tylko spojrzenia jego czarnych oczów, któremi, gdy wracał, obsypywał ją czule wzamian za bohaterskość jej poświęcenia, no, i sute i częste upominki, dziwnie szczodrze jej ofiarowywane.

Tonęli często w objęciach... Pan uskarżał się czasami pocichu, że „pani” go za drogo kosztuje, nie ośmielił się jednak nigdy wprost jej tego wyznać, bo trudno się było łudzić co do skutku takiej szczerości: straciłby ją odrazu i na zawsze.

Poznali się wypadkiem w Moskwie, którędy on na Syberyę przejeżdżał. Prędko ocenił wartość jej, jako „wolnej towarzyszki”. Miała cudowny biust i takie biodra, przy których biodra Wenus milońskiej nawet wydały mu się płaskiemi deskami. Olśniły go prześliczna cera jej twarzy i płomienne, koloru morza oczy. Poznali się, to i przyjechała z nim, nie mając chwilowo kochanka. Była kobietą z gminu, wieści krążyły o niej nie najmoralniejsze. Ongi nawet posiadała podobno męża, lecz mąż przeniósł się jakoś do wieczności, ona natomiast od tej chwili mogła zmieniać kochanków, jak rękawiczki, i zmieniała.

Pan iżynier był ostatnim, ale tylko czasowo. Szeptano sobie do ucha, że „żona” zbyt długo przy „skarbie” swym nie wytrzyma. Czy to było prawdą, tego nawet najdowcipniejszy i najdomyślniejszy człowiek w L***, podtatusiały, ale żwawy jeszcze doktór W., stanowczo orzec nie mógł. Wyszydzano tylko trochę młodego inżyniera, że całą pensyę gotów na tę damę serca tracić, poczęści zazdroszczono mu (i to bardzo nawet, bo w L*** kobiet „przyzwoitszych” wcale prawie nie było), poczęści oczekiwano z tajoną ciekawością zakończenia romansu. Główny bohater jednak nie zwracał uwagi na przycinki i dwuznaczniki znajomych. Drwił w myśli z tych wszystkich, którzy z musu uprawiali cnotę, prowadząc żywot statecznych kawalerów.

Pewnego razu w stronę domku inżynierskiego szedł Hryńko. Pora była obiednia, ale jemu jeszcze nie dozwolono spocząć. Twarz żółtą zwiesił, brodę opuścił aż na koszulę, a ponure oczy jakby wgwoździł w ziemię. Szedł śpiesznie, bo za domem inżynierskim znajdował się magazyn, z którego kazano mu przynieść kilka olbrzymich haków.

Przeszedł koło domu, nie spostrzegłszy przy nim nikogo. Pani „inżynierowej” Hryńko nie widział nigdy, a zresztą cóż mogła go ona i oni wszyscy obchodzić? Wiedział tylko, jak wszyscy ostatecznie w L*** wiedzieli, że pan inżynier ma „kobietę”, że z nią żyje i że ta kobieta, nie będąc jego żoną, zażywa opinii bardzo „wesołej” niewiasty. Po chwili zniknął na zakręcie.

Wkrótce potem z domu inżynierskiego wyszło dwoje ludzi. Byli to młody pan inżynier i ona. Usiedli na ławce. Pan obcierał jeszcze chustką usta po obiedzie i leniwym ruchem drugiej ręki sięgał do bocznej kieszeni marynarki po papierosy. Przeciągnął się wygodnie, zapalił cygaretkę i począł puszczać kółka błękitnego dymu.

— Nudzę się — ziewnęła pani. — Jakiż to kąt dziki?

Przycisnęła ręką swój czarujący biust i utkwiła znudzone wielkie oczy w niebo.

— I ja, Matreno. Niech wszyscy dyabli porwą ten projekt przyjazdu tutaj!

— Widzisz, mówiłam ci już w Moskwie, że lepiej było wziąć miejsce w okolicy ludnej i nie na Syberyi!

Ziewnęła znowu przeciągle i przycisnęła silniej rękę do falujących lekko piersi.

— W okolicy ludnej i nie na Syberyi nie potrzebowałbym ciebie — mruknął do siebie inżynier. Na to bezludzie i kobiety sprowadzić potrzeba!—dodał w duszy, jakby zniechęcony.

— Czy mówisz co? — zagadnęła pani.

— Ach, nie! — odrzekł zły nieco. — Myślę tylko, że mogłabyś mnie popieścić trochę? Tak się czuję pełny po tym obiedzie... Dziwnie chłodna jesteś!

Matrena zarumieniła się. Pan jej się gniewał. Źle spełniała swe obowiązki.

— Nie chmurz się — przecedziła, przysuwając się do niego i biorąc go za ręce—nie chmurz się... Ja cię kocham, ty wiesz przecież, że ja cię kocham...

Przysunęła się jeszcze bliżej.

— O tak, tak—ciągnęła, zarzucając mu jego ręce na swą szyję i przyciskając swą pierś do jego piersi — o tak—mówiła, obejmując jego szyję rękoma—tak — szepnęła, całując jego usta.

Rozchmurzył się i rozruszał. Przygarnął ją silnie ku sobie i poczęli całować się, śmiejąc. Lecz w myśli analizowała Matrena przelotnie kochanka, i ironiczny grymas przeleciał jej po wargach. O, przejadł jej się już cokolwiek ten gorący inżynierek, a jednak musiała dbać o niego chwilowo i śmiać się, gdy tego zażądał. Gdyby tak w Moskwie!

Przez myśl jej przemknęła wesoła, wielka Moskwa, gdzie tak przyjemnie żyć można. Westchnęła. W Moskwie miałaby już dziesięciu innych!

Na zakręcie ukazał się znów Hryńko, wracający z magazynu. Szedł cichy i obojętny. Z kieszeni wyglądały mu wsunięte tam haki. Kurta, obciążona nadmiernym ich ciężarem, wyciągnęła się z jednej strony, zwisając fałdami. Nie zważał na to.

Śpieszył się, bo w myśli widział ciągle srogą twarz dozorcy, który nie lubił być wyrozumiałym. Wiedział dobrze, jak niebezpiecznie wywołać jego gniew. Śpieszyć się więc było warto.

Lecz nagle spojrzał w stronę, uderzony wesołym jakimś śmiechem.

Drgnął, usłyszawszy ten śmiech. Potem nadstawił uszu: śmiech zabrzmiał znowu. Stanął, jakby zmartwiały. Zdało się, że w słuch się cały konwulsyjny zamienił. Gdzie on słyszał już, gdzie słyszał ten śmiech? Kto śmiał się w ten właśnie sposób??? Wpatrzył się z natężeniem w siedzących. Nie zdawali się go postrzegać. Nagle drgnął po raz wtóry gwałtownie i tak już został bez ruchu.

Stał, wlepiwszy oczy w kobietę, jakby coś nieczłowieczego zobaczył. Wargi odchylił, nozdrza rozdął, piersią zaczął robić gwałtownie. Potem po twarzy jęły mu przelatywać kurcze, a ciało zaczęło dygotać... Wzrok zamigotał wściekłością. Chwilę stał tak jeszcze, patrząc na całującego ją inżyniera i na nią, niedbale w jego objęciu rozpartą, śmiejącą się, od czasu do czasu, jakby dla zadowolenia mężczyzny, oddającą mu pocałunek...

Lecz nagle wyprężył się tak, że aż mu stawy w kościach zatrzeszczały, a potem zaraz zgiął się, jak zwierz, do skoku się szykujący, i, wydawszy dziki, straszny okrzyk, rzucił się ku siedzącym.

A oni teraz dopiero go spostrzegli i jakby zmartwieli. Kobieta chwilę wpatrywała się z natężeniem w biegnącego i wreszcie, poznawszy go widocznie, krzyknęła przerażona. Rękoma wpiła się konwulsyjnie w ręce siedzącego przy niej mężczyzny. Lecz ten, widząc rozszalałego i złowrogo biegnącego ku nim katorżnika, zadrżał i począł wyrywać swe ręce z jej rąk.

Potem, gdy ona go nie puszczała, zaczął się z nią szamotać i wreszcie, przerażony zbliżającem się niebezpieczeństwem, równocześnie z jej rozpaczliwym okrzykiem: broń mnie, nie opuszczaj! uwolnił się z jej spazmatycznego uścisku i błyskawicznym ruchem kota znikł we wnętrzu domu.

Została tylko ona. Przerażająco zmieniła się twarz jej, przed chwilą tak niedbała i swobodna. Na policzkach osiadła jej trupia bladość, w wzroku zaś, który wpiła w napastnika, obok nieopisanego strachu, odbiło się zdumienie bezmierne...

A Hryńko stał już przy niej i wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem zdjął czapkę z głowy i, bijąc pokłon do ziemi, zapytał ochrypłym głosem:

— A szczo, ty li to, Matrena, il niet?

Lecz nie doczekawszy się odpowiedzi, spytał po raz wtóry:

— A tot panoczek mołody lubczyk twoj mileńkij?

Zaśmiał się, ale tak jakoś strasznie, że siedząca kobieta aż zadygotała. Nie mówiła nic, nie mogła wymówić nic.

Hryńkowi zaś, temu katorżnikowi wyklętemu, w miarę, jak patrzał na ową kobietę, która zdawała się teraz z przerażenia obumarłą, powstawało w głowie, jak żywe, jak rozszalałe, wszystko to, co się stało kiedyś dawno, dawno, co już uważał za zmarłe i pogrzebane na wieki, a co teraz oto przychodziło znowu, jakby echo wspomnień, ale już inne, nowe, ohydne swą nieoczekiwaną bezczelnością, w całkiem odmiennem oświetleniu przeszłość obecnie malujące . . .

Och, jakże piekielną, jak potworną przedstawiła mu się rzeczywistość!

. . . .

Gdy Hryńko Pawluczak, młodym chłopcem będąc, opuścił dom rodzicielski, by szukać szczęścia poza granicami głuchej poleskiej Newadówki, potrzebą zarobku gnany, powędrował w świat. Bywał w Kijowie, w Woroneżu, w Saratowie, w Niżnym, w Petersburgu nawet, najmując się do robót stolarskich. Wreszcie udał się do Moskwy. Znalazł zajęcie bardzo dobre, roboty miał dosyć, a pomału zaczął nawet robić oszczędności. Coraz częściej, składając w sienniku uzbierane na czarną godzinę pieniądze, myślał o powrocie do rodzinnych stron, do umiłowanej Newadówki, o której oddawna marzył już i do której wzdychał...

Ot, poprostu kuczyło mu się.

Bo ni po swojemu się uśmiać, ni zabawić po swojemu i rozweselić... W duszy jego rodziło się coraz większe pragnienie powrotu, a to nurtujące co chwila potężniej uczucie tęsknoty mamiło go i rozgorączkowywało... Wtedy widział Newadówkę, jak na dłoni. Na tle błot i trzęsawisk, jak kępa między niemi pośród boru dzikiego, rozłożyła się ta Newadówka... Chat było niewiele, mieszkańców też niewielu. Ale za to wszystko było tam takie rodzone i kochane, takie swojskie, dobre, że nawet łby kołtuniaste we wspomnieniach nie raziły.

Ot, w Moskwie było wszystko ogromne, bogatsze i wspanialsze, ba, nawet podobieństwa żadnego upatrywać nie można było, a jednak gdzie się jej z Newadówką równać! Hej, Boże miły, sokół

jasny ona, zorza poranna lśniąca, słońce gorące, świecące... Hej! Światło ona jedyne, Newadówka!

Życie tułacze z dnia na dzień obrzydło mu. Tęsknił. Ale nie czas jeszcze, niestety, było wracać. Zapasy w sienniku były za drobne, by o powrocie myśleć. Wszakżeć za to, co jest, ani piędzi ziemi w Newadówce nie odkupisz i chałupy porządnej nie nabędziesz! Trzeba być cierpliwym! Jeszcze nie teraz...

Rzekł to sobie i przyjął miejsce u stolarza Morozowa, dawny majster bowiem umarł, a wdowa, kobieta już wiekowa, — „interes zwijała". Miejsce było stosunkowo dobrze płatne, roboty tylko było dużo, ale tej Hryńko nigdy się nie lękał.

Morozow, jak wielu, miał żonę. Była to kobieta młoda, lat dwudziestu najwyżej — zdrowa, silnie zbudowana, czarnowłosa... Białe, lekko śmietankowe, smagłe ciało miała, figurę krągłą, a wszystko w sobie, jak utoczone. W staniku piersi jej wybujałe uwydatniały się wspaniale, biodra pod spódnicą się krągliły... Ładna, rozkwitła, bujna była,—„sławna" była!

A ona wiedziała o tem. Lecz Hryńko nie patrzał na nią, gdyż nie miał zwyczaju spozierać na cudze żony z upodobaniem. Pilnował roboty i Morozowa, gospodynię omijając...

Nieraz, gdy heblował, wypadała z kuchni, ręce białe do łokcia zakasawszy, wyginając szyję, obnażoną z powodu buchającego od pieca gorąca, i mówiła coś do męża... Wtedy czasami jej oczy zielone, które nie wiadomo czemu mieniły się, jak fala wodna, patrzały na Hryńka krótko, przelotnie... Spojrzał: błyskały niecierpliwością, — rozdrażnione, wyzywające. Ale po chwili gasły. Spojrzał znowu: Morozowowej już nie było.

Wtedy często zadumany, nie zdający sobie z tego sprawy, wzruszony, pytał sam siebie, coby to znaczyć miało, ale skąd i jaka mogła być odpowiedź? Splunął w ręce i brał się do roboty z energią podwójną.

Głupia baba Matrena!

A Morozow nie był bardzo z nią, Matreną, szczęśliwy. Przedewszystkiem był starszy od niej, daleko starszy i poważny, surowy, stateczny. Czasami przy wieczerzy wyszczerzała Matrena białe, równe zęby i, odsłaniając w uśmiechu malinowe usta, chichotała nieszczerze, drwiąco, szydząc ze spokoju i powagi męża. Wtedy często oczy jej się zwężały, nabierając jakby barwy stali, we wzroku pod uśmiechem kryła się złość, prawdę mówiąc — nienawiść... I, gdy, bywało, pół-siedząc, jakby zwisając nieco omdlale, z podaną naprzód twarzą, falując lekko i drgając, poglądała na nich dziwna i nie taka,

jak zwykle, wybuchając przytem śmiechem cichym, ale do odgłosów burzy podobnym, urywanym, — wtedy zdawało się, że ją jakaś wesołość ogarnia... Ale nie. Patrzała jeszcze na nich, ot, rzekłbyś, że na duszy jej swobodnie, a nagle uderzała Morozowa, niby żartem, lecz ze złością i wołała:

— Durnyż ty, Iwan, durny! Ej, stary. W kącieby już tobie przy piecu leżeć, pacierze klepać, Hospoda Boha o śmierć lekką prosić!

To było żartem, ale w tym żarcie czuć było jakąś dziką prawdę, jakąś niezgłębienie szczerą chęć, by żart-życzenie spełnić się zechciało, odrazę jakąś zresztą, żal i wybuchającą żywiołowo nienawiść do tego starego sensata-chłopa, który dla kobiety młodej i ognistej tylko obrzydliwym być mógł!

Hryńko tego dobrze nie odgadywał, lecz dusza jego drżała w takich chwilach, jakby coś niejasnego wyczuwała... Polubił Morozowa, i dlatego jakby żal mu było majstra, określić jednak żalu jasno i wyraźnie nie umiał.

Czasami, później szczególniej, w kilka miesięcy już po objęciu miejsca u Morozowa, gdy często nieraz natykała się Matrena wypadkowo na niego, patrząc mu w twarz tak niezwyczajnie jakoś, jakby właśnie coś dla niego w oczach swoich miała, — napozór zimny, w duszy jednak wzburzony i rozdrażniony, mawiał do siebie:

— Ot, głupi człowiek Morozow. Jemu to się żenić było i żonkę młodą brać? Kobieta ogień, kobieta żar, kobieta płomień... W niej krutytsia, w niej wertytsia, w niej Bih znajet szczo! Krew jej na ciało bije, całe ciało zalewa. W niej siła jakaś nieszczera, siła wielka, może sam czort siedzi? Jemu, temu staremu, tolko łycho z toho!

Wtedy często stawało mu się markotno. Z jednej strony żal mu było Morozowa, tej durnej, starej szczapy, dziada głupiego, któremu w pięćdziesiątce zabawy i rozkoszy z młodą żoną się zachciało, — z drugiej zaś coraz uporczywiej poczęły mu przychodzić na myśl wszystkie „jej” dziwne spojrzenia, przelotne ruchy, nic nie znaczące, a jednak wielce znamienne zdania, które czasami wypowiadała.

Zaczynało to już teraz często nurtować Hryńka. Przytem zdało mu się, jak gdyby dotąd drzemał czy też był ślepym lub głuchym tylko... Bo nie myślał nigdy o kobietach tak, jak o nich myślećby może wypadało, i to mu się dopiero teraz u Morozowów dziwne wydawać poczęło... Aj, bo nie durnyż był?

Matrena zaś poglądała na niego ciągle dziwnie i niespokojnie. Ot, taka bestya była, że słowa wyraźnie po ludzku nie zagadała, jeno w niej coś takiego tkwiło i od niej szło, — takiego niezwyczajnego, no, takiego niezwyczajnego, że aż cudnie było wspominać!

I czasami zaprzestawał chwilowo roboty, „drzemiąc” nad futryną albo drzwiami, które heblował, i rozmyślał a rozmyślał nad Matreną, nad jej siłą drażniącą, idącą coraz więcej od niej, bijącą coraz silniej...

— A co? Nie idzie, zepsuło się?—zapytał gdzieś z kąta dłubiący pracowicie Morozow.

Hryńko się budził z zamyślenia, z ust jego zaś wylatywało ciche na siebie samego przekleństwo. Głosem podnieconym odpowiadał:

— Nie! Dyabli nadali tylko, na sęk jakiś pogański natrafiłem!

I brał się ze zdwojoną energią do roboty. Czasami zaś spoglądał z pod oka na Morozowa i mruczał:

— Ot, szczob ja na twoje misto! Dobry ty człowiek, ale nie dla młodej kobiety ty, dla krasawicy takiej, dla ognia takiego! Majster ty dobry, doskonały rzemieślnik, ale nie mąż! Siła ona niezmierzona, przepaść nieprzeskoczona, jej z tobą nic!

Mruczał i spoglądał na Morozowa, jakby mu owe myśli głośno wykładał. Schylał głowę i dumał.

— Krasna ona, swit jasnyj! Ej, kaby mnie takoj mołodyci!

Wzdychał, w ręce pluł i pracował gorręcej, ale krew mu się burzyła. Obojętny i wesoły Hryńko począł stawać się posępnym i patrzał z podełba, jak wilk. Morozow klepał go po ramieniu:

— Szczo z toboj? No, idziem do „kabaku”! Chodź, bracie!

A gdy już pili, Hryńko, chwytany za serce pitą na rachunek Morozowa wódkę, durzony przez wzbierającą mu czułość, chciał często już pofolgować jej i powiedzieć od serca majstrowi:

— Iwan Nikiticz! Ty dobry człowiek, i ja ciebie lubię! Ty, Iwan Nikiticz, żonę dziwną masz... Ty jej pilnuj i hołub ją, a i pilnuj, powtarzam!

Potem zaś, jakby go jeszcze większe rozczulenie porywało, chciał dodawać:

— I wiesz, co ci powiem, Nikiticz? Twoja żonka patrzy na mnie strasznie cudnie! Ja drżę od tych spojrzeń, a jej w oczach gorzeje... Więc pilnuj jej, pamiętaj, pilnuj!

Ale nie mówił nic. Poprostu jakiś instynkt mówić mu nie pozwalał. A w chwilach takich widział Matrenę lepiej, niż na jawie: jej toczone piersi, białą szyję i ręce, krągłe biodra, gładkie lica, smagłe, krucze włosy i te oczy, te szatańskie zielone oczy...

Rozczulał się i pieścił ją wtedy w myśli. Lecz z przeciwnej strony, z za stołu miast twarzy Matreny wyłaniało się spocone oblicze jej męża, i poczciwy Hryńko mruczał:

— Ot, czyż na męża ty jej zdatny? I cóż, żeś człowiek dobry, sumienny majster, rzemieślnik doskonały? Ona ogień, ona przepaść zawrotna, ona wszystko, ale nie żona dla ciebie! I jakże ty tego widzieć nie możesz?...

* * *

Raz wyszedł Morozow raniutko na miasto dla przyjęcia roboty stolarskiej. W izbie warsztatowej nie było nikogo, bo chłopców wyprawił majster po drzewo, które mieli przed południem przywieźć, a czeladnika zabrał z sobą.

Hryńko zaś jeszcze nie nadszedł. W kuchni, gdzie sypiali Morozowowie, panowała cisza, Matrena bowiem, nastawiwszy samowar i dawszy mężowi i chłopcom jeść naprędce, ile że było jeszcze wcześnie i że zawsze pospać dłużej lubiła, zaraz po wyjściu Morozowa, korzystając z jego nieobecności, ułożyła się do snu ponownie.

Na dworze dzień już był zupełny. Poranny, wiosenny chłód, pomieszany z rzeźką świeżością, wyganiał z powietrza resztki oparu, który się w niem kłębił i rozpościerał smugami. Opar ten, rozdzierając się i rozpraszając, odsłaniał powoli z mglistych swoich konturów świat. Domki zarysowywały się już wyraźnie, gdzieniegdzie odrapana murowana kamieniczka świeciła wypełzłym swym kolorem, tuż przy niej za płotem sad duży, jakby na wsi, się rozciągał...

Było tam ogrodów więcej. Raz w raz trafiałeś na nie, rzekłbyś, nie w mieście się znajdujesz. Ale to były krańce Moskwy, kąty już dalekie i ustronne, gdzie nierzadko też za domem biegło na przełaj pole... Drzew tu też było i krzaków! W porannej mgle rodzącego się wiosennego dnia jakby budziły się z odrętwienia, w które je noc zakuła, i, wciągając chciwie ożywczy chłód, prostowały członki. Na wielu z nich posiadały już rojem ptaki, poważne wróble szare i, ćwirkając pracowicie, skakały, trzepotały hałaśliwie skrzydełkami. Od czasu do czasu spłoszone przez rzadkich przechodniów podrywały się całemi stadkami i przelatywały z wrzaskiem na są-

siednie krzaki lub drzewa. Na niebie zaś, hen, gdzieś nizko, z za dalekich falistych chmur, podnosiło się wolno niewyraźne słońce...

W godzinę może potem do drzwi mieszkania Morozowów zapukał, jak zwykle, Hryńko. Odnajmował on izdebkę w sąsiednim zaraz domu, w warsztatowej bowiem izbie u majstra nie chciał razem z chłopcami i czeladnikiem sypiać. Morozow nazywał go zato żartem „arystokratą".

Zapukał. Nikt nie otworzył. Z kuchni dochodził szmer lekkiego chrapania. Po chwili zapukał znowu.

Ozwał się gniewny głos Matreny, jakby nagle ze snu zbudzonej:

— Kto „stuczy"?

— Ja! — ze zdziwieniem odparł Hryńko.

— A, wy??

Głos zmiękł. W minutę później ozwał się całkiem już inaczej:

— Poczekajcie trochę, zaraz wam otworzę!

Hryńko słyszał, jak wstawała i krzątała się chwilę po kuchni.

W minutę, dwie drzwi otworzyły się naoścież.

— Wchodźcie — zaśmiała się wesoło i głośno — a nie patrzcie bardzo, bo i nie ubranam jeszcze z pośpiechu...

Hryńko stał zdziwiony. Jakże to? Witała go tak swobodnie, bezceremonialnie, witała go, tłómacząc się, iż „nie bardzo" ubrana, a pora była przecież już zwykła, o której zawsze przychodził? I spała jeszcze, gdy zastukał, hałasu zaś w izbie warsztatowej, huku, od roboty idącego, nie słyszał wcale...

Obejrzał się po kuchni. Nie spostrzegł nikogo. Łóżko Morozowa było puste, przykryte derką, jej — bieliło się pościelą, dopiero co widać opuszczone...

Rozejrzał się znowu, wreszcie wykrzyknął:

— Gdzież wy?

Z kąta, za drzwiami odezwał się śmiech:

— Nie patrzcie... Wiecie przecież, żem nieubrana. Idźcie do warsztatu, a ja skoczę i ubiorę się!

Hryńko odwrócił się szybko. Za drzwiami, ciągle do wnętrza kuchni od sieni rozwartemi, przytulona do nich i do ściany, stała Matrena.

Spojrzał, i ciarki przeszły po ciele, potem krew rzuciła mu się do głowy i wnet spłynęła do serca. W głowie mu zaszumiało, wargi zadrżały, oczy wpił w kobietę i patrzał a patrzał...

Wreszcie ona tupnęła nogą, obutą we włożony naprędce „klapeć".

— No, cóż, czego stoicie?

Nie odpowiedział nic. Drzwi tylko popychał, jakby je pragnął zamknąć za sobą.

Nie puściła klamki, on pchał.

— Idźcie do izby warsztatowej—tupnęła znowu.

W oczach jej zaświeciły iskry, ale nie gniewu. Po wargach przeleciał jej lekki, drwiący grymas.

Stała w narzuconej naprędce spódnicy, odsłaniającej nogi, obute w „klapcie". Na ramionach miała chustkę, rodzaj szalu, który przytrzymywała jedną ręką, gdyż drugą ściskała klamkę. Nieszczelnie ją ta chustka zakrywała. Zwisając jednym końcem, odsłaniała na piersiach głęboko wyciętą koszulę i wyzierające z niej złotawe śliczne piersi...

— A, a, a?—bąkał pytająco Hryńko, a w oczach jego palił się płomień, po ciele przechodziły drgania.—A, a, a?...

— Pójdziecie czy nie?! — niby gniewnie, lecz z pół-śmiechem zapytała Matrena, starając się niby osłonić trochę zbyt odkryte piersi.

— Ja idę, idę...—bąkał, próbując jednocześnie zamknąć koniecznie drzwi.

Lecz ją to wszystko rozbawiło. Zaczęła się śmiać serdecznie:

— Ha, ha, ha, ha!... Ha, ha, ha, ha!... Zgłupieliście czy co? Ha, ha, ha, ha!

Zamknął drzwi. Przestała się temu sprzeciwiać. Ujrzał ją w pełnem świetle.

W głowie mu zatętniało, zęby zacisnął kurczowo.

— Krasawica, krasawica, krasawica! — wyrzucił przez nie sykliwie — krasawica!

— Co mówicie?

Oprzytomniał. Drżącym głosem zapytał:

— Szczo to? Gdzie Morozow?

Ukazał na uchylone drzwi do izby warsztatowej:

— Gdzie chłopcy?

Zaśmiała się znowu:

— Nie rozumiecie? Chłopcy poszli po drzewo, przecież wiecie, że mieli dzisiaj iść, a Morozow do Sacharowa po robotę. Stopka też!

— Poszli? Morozow poszedł? Kiedy?

— Durnyż wy! Rano dzisiaj, — dawno!

— A mnie o tem nic wczoraj nie mówił? — zadziwił się.

— Bo po waszem wyjściu o robocie dopiero się dowiedział. Przyszedł Sacharow i mówi: ojcze rodzony, musicie iść, roboty huk, podzielimy się! On, Morozow, nie chciał. Mówi: nie mogę, i swojej dosyć! Ale ten nie ustępuje, prosi, zapewnia, że do nikogo takiego zaufania, jak do niego, nie ma... Cóż? Poszedł Iwan, a i czeladnik też... Hryńka — powiada — nie wezmę, bo i nic ważnego... Niech — powiada — rano, gdy przyjdzie, tę robotę kończy, co ją wczoraj ze mną zaczął, a po południu to i ja już pewnie nadejdę, gdyż tylko obejrzeć idziemy, pomiary zrobić i z budowniczym pogadać... No, więc nie posyłano po was! Pocóż było posyłać?

— I Morozow poszedł?

— A poszedł!

— I wy sami?

— A sama!

— I tak spaliście do tej pory?

— A spała!

— I tak mnie otworzyliście?

— Durnyż wy czy co? Przecie, że otworzyłam... Któż otworzył? Widzieliście?

— Widziałem! I tak sama zostaliście i spaliście do tej pory, i Morozow ze Stopką do Sacharowa poszli, chłopcy zaś po drzewo, a mnie to wczorajsze kończyć, com z Nikiticzem zaczął? Dziw, dziw!

— Co tu dziw? Wściekliście się czy co?

— A to herbaty nawet nie dacie? — zapytał po chwili przeciągle, takim jednak głosem, jakby mu więcej o przedłużenie tu pobytu, niż o śniadanie, chodziło.

Spojrzała na niego, zgarniając chustę na piersiach...

— Aj, prawda! — wykrzyknęła — toż wam się herbata należy. Zapomniałam!

Zaraz jednak dodała:

— Ale idźcie już, idźcie do izby warsztatowej, tam wam przyniosę! Widzicie, i samowar wygasł, rozdmuchać nanowo potrzeba!

Lecz on się nie ruszał. Jakby pragnąc wbić sobie w pamięć obraz obecny tej kobiety, patrzał a patrzał...

Ot, taką, nie inną widywał ją, tę dziwną, w snach i rojeniach... Taka, nie inna dur mu zadawała...

A ona usiadła na łóżku i, gniotąc biodrami miękką pościel, żałośnie, całkiem dla niego niespodzianie, mówić zaczęła:

— Bogaż wy się nie boicie, Hryńko, wstydu za grosz w sercu

nie macie, stateczności w duszy! Widziane, by chłop obcy do nieubranej kobiety, żony cudzej, przychodził i stał tak a patrzał i ślepia wytrzeszczał? Toż wam w oczach nieczyste świeci! Wyż nie wiecie, co robicie! Nu, przyszli, zastali jeszcze śpiącą, i trza było nazad iść! Toż nie mogłam ubrać się odrazu, na poczekaniu i już ubrana otworzyć? Tego ja nie potrafię! A wyście się dobijali! Więc otworzyłam, ledwie się nakrywszy, wy zaś, zamiast iść, po kątach patrzycie, zali mnie nie wypatrzycie, a jak wypatrzyliście — to i dawaj drzwi zamykać! I wciąż pogląda a pogląda, jakby było na co i wstydu porządnej kobiecie nie oszczędzi i jeszcze prosi, żeby samowar przy nim nastawiać! Wyż patrzcie, żem ja nieubrana, i wstyd mi, powinniście iść... Idźcież! A Morozow, gdyby był, to nie wiem, coby na to powiedział!

Usta Matreny się skarżyły i gromiły, oczy jednak nie zdawały się tego powtarzać.

Hryńko stał, jak uroczony. Zapomniał o wszystkiem, co go otaczało. Widział tylko ją, dyablicę pyszną i kuszącą, pełną niezmiernego uroku. Przez spieczone wargi syczał:

— Aj, Matrena, Matrena!

Lecz z nią zaszła jakby nagła zmiana. Przestała mówić o niewłaściwem jego postępowaniu. Przez twarz przeleciała jej fala krwi i rozlała się gorącym rumieńcem po szyi. Oczy zabłysły, zagorzały, zapaliły się płomieniem dziwnym. Spojrzała na niego przeciągle, długo, tak, jak Demon chyba tylko spogląda...

Hryńka zadławiło w gardle, do ust poczęła mu napływać gęsta ślina, która kleiła jego wargi. Zaczął drżeć i dygotać.

Ona przestała się śmiać, przestała mówić: tylko patrzała...

Szał go ogarnął. Zbladł, zzieleniał, na twarz wystąpiły mu plamy...

Ona patrzała.

Zbliżył się do niej szybko, jakby pragnąc, by mu nie uciekła, i dławiony namiętnością bełkotać zaczął:

— Szczo, szczo, szczo?...

Lecz ona nie ulękła się, nie drgnęła nawet. Słyszała wyraźnie gwałtowny szczęk jego zębów, uderzających o siebie, jakby w paroksyzmie. Tęczówki jej się zwęziły. Zuchwale spojrzała mu w oczy:

— Niczego! — rzuciła wzgardziwie, pewna tryumfu.

Zmysłowa woń i ciepło, które od niej szły i biły już blizko, odurzyły go do reszty. Chwycił ją za ramiona, chustka opadła jej z pleców. Zaświeciły mleczne jej ręce, ramiona i gors...

— Matrena, Matrena!

— Puść!

— Matrena, Matrena!

— Boże... Puść!!

— Matrena, Matrena... szeptał blademi wargami, krwią nabiegłemi oczyma pożerając ją...

Był jak w konwulsyi. Ona udawała, że się broni. Ciało jej rozgorzało, niby wulkan. Wzywała męża, odpychała Hryńka, ciągnąc go zarazem ku sobie. On otoczył ją rękoma i, przytuliwszy do siebie z całej mocy, wpił swe usta w jej piersi i całował ją bez upamiętania... Jeszcze zdawała się bronić, ale już dreszcze poczęły nią wstrząsać i, jakby bezwiednie objąwszy go za szyję, oddała mu uścisk...

Dnia tego Morozow wrócił wesoły do domu. Dobry interes zrobił! Sacharow nie tylko, że połowę roboty mu odstąpił, ale jeszcze inną lepszą obiecał. Wesoło było w duszy...

Z radością uściskał żonę. Odsunęła się od niego, jakby ją wąż ukąsił.

Hryńko pracował, aż drzazgi sypały się na podłogę. Już z daleka usłyszał Morozow jego robotę. Gdy wszedł do izby warsztatowej zadziwił się:

— Już kończysz! A ja myślałem, że dla nas obu do jutra przy tem pracy starczy.

Hryńko nie odrzekł nic. Z głową na dół owisłą, z oczyma wlepionemi w deskę, heblował zapamiętale.

— Hryńko, a Hryńko, ty do roboty jedyny! Ciebieby zawsze w domu zostawić, a samemu choć do szynku... Wszystko zrobisz!

I zatarł Morozow ręce z zadowoleniem. Ten dzień był dla niego pomyślnym.

* * *

Dla Hryńka zaczęły się chwile upojenia, okres szczęścia i szału. Tę, która w myśli jego już dawno pierwsze zajęła miejsce, posiadł. Oddała mu się cała, oddała zupełnie.

Szara natura Poleszuka zdolną była do uniesień. I patrzał odtąd w jej oczy, aby myśl każdą z nich odgadnąć, zamiar najlżejszy przeczuć. Kochał ją, kochał!

Bez wahania oddał jej kryniczność swej czystej dotychczas duszy, rzucił na własność szczerość uczciwego serca... I tylko jedno piekło go i bolało, jedno tylko krwawiło i spokoju mu nie dawało...

Nurtowało go uczucie winy.

Bo był przecież wiarołomcą, złodziejem cudzego szczęścia, grabicielem cudzej pomyślności. Oszukał Morozowa, oszukał swego ducha dobrego! On to był Judaszem-Iskaryotą, on!

Myśl ta, jak posępne widmo, wpiła się w mózg jego i, wlokąc się za nim wszędzie, nie dawała spokoju nigdzie, wyrzucając mu w oczy bez wytchnienia podłość jego i niegodziwość.

To był głos sumienia.

Daremnie wmawiał w siebie, że to, co się stało, stać się musiało, że prędzej czy później stałoby się — nieuniknienie! Daremnie...

Sumienie wykazywało mu obłudę tych dowodzeń, fałsz wykrętów... I w takich chwilach, pragnąc zagłuszenia i odurzenia, rzucał się jeszcze silniej w odmęt pieszczot miłosnych Matreny. W jej objęciach chciał zapomnieć o wszystkiem, wymazać wszystko...

A ona była taki płomień, taki żar! Moc oddania w niej była tak bezmierna!

Instynktownie jednak, przebiegle, tą przebiegłością, którą daje miłość niedozwolona, ukrywali oboje swój stosunek przed mężem. Morozow zajęty był, jak zwykle, tem bardziej, że i robotę miał teraz doskonałą, płatną dobrze i pewną. „Kapcaniał” tylko coraz bardziej, stygł, zimniał, ciężki się robił...

Ach! toż nieraz, gdy Hryńko już poszedł po robocie do siebie, gdy wieczór zapadał, a w izbie, w kuchni, lampa zajaśniała wesoło, Matrena, czując gorąco nieznośne, rozpinała cokolwiek stanik i odsłaniając ciało — krągłymi, jakby rzeźbionymi kształtami zapadała niedbale na krzesło, by dumać... Wtedy jej pyszna pierś podnosiła się i opadała równomiernie, jak fala pełna, lecz spokojna, harda zaś głowa przechylała się w tył i, znajdując tam podparcie z wzniesionych nad ramionami rąk, spoczywała na nich, bujnymi kędziorami swych włosów oplatając fantastycznie plecy...

Wtedy z przymkniętemi oczyma, z wyrazem nieuchwytnym na twarzy snuła nić... Przebiegała myślą wszystko, co się stało dawniej i teraz niedawno, wszystko, co przeszło albo dopiero przechodziło... Siłą wyobraźni budziła z wspomnienia fakty i układała je jeden po drugim...

A wspomnienie się kłębiło. Przychodziły na pamięć chwile różne, chwile dziwne i niejednakowe. Z tego zaś wszystkiego wyłaniało się niezłomne, pogardliwe przekonanie, którego na długo

przed pamiętnym rankiem nabrała, że Hryńko musiał stać się jej, jej!

I znowu zarysowywał się w myśli ten ranek i ten uścisk, i wszystko, wszystko!

Dreszcz ją przechodził, gorąca fala krwi płynęła po ciele i rozlewała się po tkankach ciepłem łechotliwem. Zamykała oczy zupełnie. Ot, zda się, niema nikogo, tylko Hryńko, tylko ona... Patrzy na nią, jakby ją żebrał wzrokiem: Matrena, Matrena? Ona uśmiecha się mglisto, zdaje się być bierną... Lecz oto zbliża się: ona czuje, czuje już coraz bliżej jego tchnienie... Przyciska rękę do zaczynających się burzyć pełnych swoich piersi: niech się zbliży! Po ciele błogi, drażniący przelata prąd...

Odchyla trochę powieki. Taka pyszna, taka zmysłowa, taka powabna! Drażniąca, wabiąca, do szaleństwa doprowadzić mogąca!

I patrzy: a tam w kącie Morozow siedzi, lulkę powoli ćmi, a lulka lada chwila zagaśnie. Kiwa się lekko i kołysze, sennemi oczami gdzieś w ścianę bezmyślnie pogląda. Usypia... Za chwilę zaśnie.

Ach, i nie widzi jej, nie odczuwa jej! Nic, nic nie widzi, nie może nawet, nie jest już w stanie odczuć uroku jej szatańskiego!

Otwiera oczy zupełnie. Tak, tu niema nikogo, niema Hryńka, jest tylko on, Morozow! Tylko on, ten stary trup, którego ona kilka tygodni temu zdradziła...

Ciało jej wstrząsa się dreszczem, usta zaciskają się. Świecącemi, rozszerzonemi, wrażemi oczyma rzuca mu:

— Nienawidzę...

We wzroku jej jaśnieje już teraz w całej swej bezdennej pełni niewyrażona nienawiść:

— Nienawidzę, stary trupie... Nienawidzę...

A Morozow już zasnął. Fajka upadła mu na kolana, a z kolan osunęła się na ziemię. Brodę opuścił na piersi i chrapie.

Matrena ma oczy szeroko otwarte. Patrzy niemi gdzieś w dal... W głowie jej szumi pytanie:

— Kiedyż i ten drugi stanie mi się równie wstrętnym?

* * *

Pewnego popołudnia niedzielnego udał się Hryńko do mieszkania Morozowów. Morozow miał wyjść gdzieś za interesem, Matrena czekała.

Lecz, gdy wszedł do ich kuchni, otworzywszy nie zamknięte na zatrzask drzwi, straszny przedstawił mu się widok. Włosy zjeżyły mu się na głowie, dzikie jakieś, paniczne przerażenie rozszerzyło mu oczy, a z przygniecionej jakby nagle obuchem piersi wydobył się tylko świst.

Na powalonem krwią łóżku i już nieżywy leżał z rozpłataną głową Morozow. Obok na podłodze leżała zwyczajna ciesielska siekiera, a w rogu, niedaleko pieca, z rozwianemi włosami i rozszalałem w oczach spojrzeniem siedziała Matrena.

Nagle drgnęła. Usłyszała, że ktoś wszedł. Zwróciła oczy ku drzwiom. Spostrzegła kochanka.

Przez chwilę jeszcze patrzała na niego. Potem zaśmiała się dziko:

— Już go niema!

Ukazała białą, zbroczoną krwią ręką na trupa.

— I nie będzie — dodała.

W obłąkanym wzroku Hryńka malowało się przerażenie. Widać było, że nie zrozumiał jeszcze dobrze strasznej tragedyi, że daremnie sili się na pojęcie, dlaczego ten człowiek oto nie żyje... Ale nagle, jakby umysł jego się rozświecił, ciemność, zalegająca go, rozdarła, jakby w tej chwili dopiero właśnie odczuł całą okropność tego, co się tu stało i co się już nie wróci, bo rzucił się ku martwemu ciału zamordowanego:

— Morozow, Morozow, Morozow — jęknął, chwytając zastygłą, bezwładnie zwieszającą się rękę trupa — Morozow!

W oczach jego była jakby niema prośba, nieme błaganie, modlitwa niema o to, by ten, co leżał już cichy i obojętny na wszystko, poruszył się, drgnął, powstał...

— Morozow, Morozow, Morozow... — żebrał, przyciskając rozpalone usta do ręki trupa, — Morozow, Morozow! — wykrzyknął głosem strasznym, rozdzierającym...

Ale ozwał się tylko śmiech kobiety:

— Już go nie będzie nigdy!

Klęczący mężczyzna wzdrygnął się. Zrozumiał okropną prawdę, i kurcz zatrząsnął nim na ten głos kochanki - zbrodniarki, głos mężobójczyni... Pochylił się jeszcze bardziej. Usta jego wpiły się w rękę nieboszczyka, grube, palące łzy padały z oczu jego na nią i zastygały...

— Wiarołomca, Judasz-Iskaryota, grabiciel, łupieżca, złodziej! — huczało w jego głowie i obijało się echem tysiącznem o tkanki jego mózgu. — Kat!

Zdawało mu się, że ręka nieboszczyka drga wstrętem, że ją napawają obrzydzeniem łzy jego, łzy strasznego, piekielnego bólu, żalu...

— I już go nie będzie nigdy! Słysz, Hryńko, nigdy? I już go nigdy nie zobaczymy i nie przeszkodzi nam nigdy... Słysz, Hryńko, nigdy? Nigdy — ten pies, ten trup, to stare bezkrwiste bydlę... I nigdy spać się już nie położy. Słysz, Hryńko, nigdy? Ha, ha!!

Hryńko szeptał modlitwę za zmarłych. Może choć tego nieboszczyk nie odrzuci ze wstrętem, może choć to od swego krzywdziciela i pośrednio kata przyjmie...

A Matrena wstała, jakby oszołomiona, upojona, zbryzgana krwią, taka, jaką ją Hryńko niedawno teraz ujrzał, w koszuli na piersiach odkrytej, obnażona, pół - naga, i zbliżyła się do niego, jakby mu się tu, w obliczu tej śmierci i tego martwego ciała męża po raz ostatni, wolna już, z więzów wszelkich oswobodzona, oddać chciała.

Lecz on ją odtrącił.

— Zabiłaś! — wyrzekł chrapliwym głosem, ukazując ręką na trupa — jego zabiłaś! Precz!

Oto jaką była ta straszna kobieta, która mu życie złamała, którą kochał i za którą się poświęcił, wziąwszy dobrowolnie jej winę na siebie i obróciwszy wszystko przeciw sobie tak, że Matreny nawet nie aresztowano. W sądzie silił się na szyderstwo, opisując przebieg zamordowania przez siebie Morozowa, a choć w duszy miał piekło, a w sercu dziki obłęd — mówił to i czynił dla tej, w której chwilowy tylko upadek chciał wierzyć. Więc żył jedną w katordze myślą, że okropnem swem i beznadziejnem życiem okupił grzech i wyżebrał tam w pozagrobowym świecie u Morozowa przebaczenie dla niej i dla siebie i że duch zdradzonego przyjaciela pozwolił mu uważać Matrenę wobec Boga za małżonkę, wyprosiwszy u Najwyższego opamiętanie dla występnej, cnotliwą, pełną skruchy i niezgłębionego żalu pokutę wraz z pragnieniem dalszem życiem niezmazanem starcia z siebie piętna ohydnego i straszliwego...

Tą nadzieją żył. I oto, że nie tylko nic z tego się nie spełniło, ale ujrzał ją upadłą już zupełnie, zbrodniarką bez poprawy, nałożnicą ostatnią, rynsztokową, plugawą! Wszakże to ona była ową osławioną kochanicą inżynierską, od której aż się trzęsło wszędzie w L***, łatwo zaś było odgadnąć, że nie był to pierwszy jej po nim kochanek... A lat tyle marzył, nie przestawszy kochać jej, że po

wspólnej — jej tam, a jego tu pokucie — dusze ich, już czyste, spotkają się z duszą Morozowa w światłości wiekuistej za grobem, by żyć w niezmąconem szczęściu — szlachetne!

Tak marzył biedny, nieszczęśliwy, z pośród społeczeństwa uczciwych na zawsze wygnany wyrzutek, a ona, zbrodniarka nikczemna, ot co!

. . . .

Ból, szaleństwo i niezmierzona nienawiść zatargały nim:

— Suka ty nieszczera, gadzina, padalica! Bestya, żmija, płaz! Porwał jej rękę i, cisnąc gwałtownie zbielałą ze strachu wiarołomczynią, począł szeptać złowieszczo, chrapliwie, dziko:

— Ja tebe wierył.. Ty u mnie jedyna była, swit moj była i ja tebe prodawsia... Prodał sławu, prodał szczastie, prodał joho—Morozowa, prodał wsio! A ty, suka, szczo, szczo, szczo!

Rzuciła się przed nim na kolana, wijąc się u nóg jego.

— Hryńko—wyła—Hryńko, pomyłuj, pomyłuuuuj!...

Odskoczył od niej ze wstrętem, jakby wąż go ukąsił. Straszny był.

— Ne! — wydusił rzężąc. — Bud' proklata, bud' proklata, bud' proklata!

Ręka jego spoczęła błyskawicznie na haku, który mu wyglądał z kieszeni. Przez chwilę cisnął go konwulsyjnie, jakby go chciał wydobyć i jednem uderzeniem rozpłatać czerep szatanicy... Ale na twarzy jego odmalowała się okropna walka, pasował się z sobą... Włożył hak napowrót do kieszeni.

I tylko, jakby raz jeszcze chcąc spojrzeć w te zielone, mieniące się oczy, które kiedyś były mu szczęściem całem, zbliżył się do niej i wyrzucił chrapliwie:

— Ot, żeby ty człowiek była, jaby ciebie nogami pokopał, podeptał, stratował! Żeby ty bestya była, jaby ciebie zarżnął, zamordował! Ale ty nie człowiek, nie bestya, ty potwór! Ja ciebie dotknąć się brzydzę, ja ciebie nienawidzę!

— Hryńko!!

— Won, sobaka, nie dotykaj!

Pełzała jeszcze, nurzając się w pyle ziemi... Włosy jej się rozwiały, suknia rozdarła. Swemi zielonemi, przejmującemi oczyma wpatrywała się w niego, jak pies, żebrząc łaski, i zarazem, jak śmiertelny, zakamieniały wróg, dyszący zemstą za wzgardę. Potem, przyciskając rękę do rozdartego na piersiach stanika, wpiła w niego

swe oślepiające, zachodzące krwią białka i, wyszczerzając jakby do konwulsyjnego uśmiechu swe ostre równe zęby, czekała...

Lecz on się zatoczył, jak pijany, pełny tak piekielnego bólu, że aż z rozkoszą graniczył, i, idąc w drogę swojego ciemnego przeznaczenia, w straszną drogę swego beznadziejnego, okropnego życia, wyszeptał jej raz jeszcze spiekłemi ustami:

— Proklata, proklata... Na wiki wików proklata!

Z okna domu swego patrzał na niego zmartwiały ze strachu inżynier...

Jan Augustynowicz.

Ruch literacki ostatniego dwudziestolecia

w Danii i Norwegii.

Anarchia — oto, zdaniem krytyka duńskiego, Jensena, jedyne określenie stosunków, panujących w tych latach w literaturze duńsko-norweskiej. Niema szkoły, którąby na płodach literackich wyciskała swoje piętno, niema kierunku, któremuby jakaś grupa pisarzów wyłącznie hołdowała.

A jednak początek tego okresu zaznaczył się ostrem starciem żywiołów, których walka od wieków trwa i wieki jeszcze będzie trwała, to zaostrzając się, to słabnąc. Starsza generacya romantyków wydała Jacobsena „Niels Lyhne", powstający realizm zapowiedział się powieścią Hermana Banga „Haablöse Slaegter" (Beznadziejne pokolenia). Oba te utwory najlepiej charakteryzują odrębne kierunki literackie: z jednej strony najpiękniejszy kwiat romantyzmu, z drugiej niejednolity, ale ogniem tryskający wytwór realizmu. Widocznie jednak biła z tego niedojrzałego pióra wielka siła i oryginalność, skoro uznano w autorze przeciwnika, godnego Jacobsena.

Bohater powieści, William Hög nie marzy, jak Niels Lyhne.

Mimo bardzo młodego wieku on wie napewno, że niema się czego spodziewać od życia, ale takiego, jakiem jest, znieść nie może.

Już w tej młodzieńczej pracy (Bang miał zaledwie lat 22, gdy ją wydał) występują jasno cechy znamienne talentu tego przywódcy realizmu, a przedewszystkiem nadzwyczajna dramatyczność. On nie opowiada, nie opisuje, nie maluje, lecz przedstawia sceny z życia krótkiemi, czasem nerwowo urywanemi zdaniami. Drugą cechą jego jest umiejętność chwytania najdrobniejszych faktów szarego, codziennego życia i wiernego ich odtwarzania. Dramatyczność jest mu wrodzona, on wszystko widzi przed sobą zgrupowane w sceny. Marzeniem też jego od dzieciństwa była praca na deskach teatralnych. I oto tragedya dusz, zbyt pełnych wewnętrznego ognia, od którego same się spalą, a nie potrafią go drugim udzielić: mimo znakomitego daru deklamacyi, głębokiego znawstwa sztuki i wielkiej ku niej miłości, Bang nie był nigdy dobrym artystą (natomiast był świetnym nauczycielem scenicznym), a co dziwniejsza, nie stworzył dzieła scenicznego, godnego tak wielkiego talentu. Drugi przymiot, t. j. bystrą obserwacyę i zdolność odtwarzania nieuchwytnych dla innych subtelności, wyrobił w sobie, idąc, jak sam przyznaje, w ślady uwielbianego mistrza Jonasza Liego. Arcydziełami pod tym względem są drobne nowelki, zawarte w zbiorkach p. t. „Under Aaget” (W jarzmie), „Typy kobiece”, „Księża” i t. p.

Obie właściwości w wysokim stopniu posiada najlepsza w Skandynawii, a jedna z najlepszych w literaturze świata powieść p. t. „Ved Vejen” (Przy drodze). Odtworzył w niej autor wspomnienia i spostrzeżenia z dzieciństwa, spędzonego w małej, prowincyonalnej mieścinie, gdzie jednostajność życia urozmaica tylko przebiegający od czasu do czasu pociąg, który rzuca zgłodniałym nowości ze świata, garść wrażeń, mających starczyć na kilka godzin rozstrząsań i domysłów, — i rusza dalej. A cisza tem głuchsza zapada znów nad miasteczkiem, budzącem się znowu do życia, gdy się zbliża chwila nadejścia następnego pociągu. W takiej to mieścinie, na samej stacyi kolejowej, odbywa się cichy dramat. Naczelnik stacyi, przeciętny człowiek, ale, co gorzej, brutalny, gburowaty, chociaż w gruncie niezły, ma cichą, tkliwą, delikatną kobietę za żonę. Wegetuje tu ona i powoli gaśnie, jak lampa, której płomienia nic nie podsyca. Na chwilę ożywia się, budzą się w niej dawne, dziewczęce marzenia, gdy zjeżdża nowy rządca do właściciela dóbr w okolicy. Nie uświadamiając sobie własnego uczucia pokochała, głęboką miłością na to, aby się jej dobrowolnie wyrzec bez wielkich przygotowań i refleksyi. Katinka (takie ma imię bohaterka) biernością swoją

i sympatyczną miękkością przypomina nieco Emmę z „Pani Bovary”. Różnice, zachodzące między niemi, wypływają z różnic szczepowych. Towarzystwo młodej kobiety stanowią: wiekowy proboszcz z żoną i stara panna Jensen. Ma owa panna jedną jedyną żywą istotę — mopsa. Wracając z nim ze stacyi wieczorem, rozejrzawszy się, czy nikt jej nie widzi, bierze go na ręce, aby go czuć bliżej siebie, a w domu otacza go troskliwością, jak najstaranniejsza matka. Sobie od ust odejmuje, aby jego karmić przysmakami, taką ma nieprzepartą potrzebę poświęcenia się dla kogoś. Przedziwnie umie Bang odczuć niedolę tych biednych, wyśmiewanych istot, o których się zupełnie zapomina, a które niejednokrotnie same nie pamiętają, że przecież miały czas młodości, zachwytów i przeczuć miłosnych rozkoszy. Te upośledzone istoty, które przestały sprawiać wrażenie istot o określonej płci, potrafił uczynić głęboko wzruszającemi (Under Aaget).

Znakomicie są uchwycone w tej powieści typy inteligencyi małomiasteczkowej, do której należy też wdowa ze swojemi „kurczątkami”, czubiącemi się i bijącemi, ilekroć przypuszczają, że ich nikt nie widzi, a słodkiemi, jak aniołki, gdy patrzą na nie. Po kilkoletnich daremnych wyprawach do stolicy po męża ułowiła go wreszcie jedna, a druga stała się współczującą pocieszycielką wdowca-naczelnika z nadzieją poślubienia go, która to nadzieja prawdopodobnie jej nie zawiedzie.

Życie codziennie zwykłych śmiertelników, żyjących obok siebie bez wzajemnego rozumienia się, gdzie przy każdej sposobności ścierają się ich egoizmy, a większy, naturalnie, bierze górę, jak w rodzinie koleżanki Katinki, Tory, — jest przedstawione z wielką prawdą. Wyżej, niż tem arcydziełem, wzbić się Bang nie może. Inne prace jego nie przewyższają „Ved Vejen”; może w przyszłości napisze coś równie pięknego, narazie jest ta powieść jego najlepszą.

Na wspomnieniach z dzieciństwa opartą jest także powieść p. t. „Tine”, napisana w roku 1889, jako w dwudziestopiątą rocznicę nieszczęśliwej wojny duńsko-niemieckiej. Cichą, spokojną wioskę przeszedł niszczący płomień poblizkiej, krwawej walki; ogarnął wszystko, co się zająć dało, i zniknął, zostawiwszy pogorzelisko— wydarłszy ojców rodzinom, żonom mężów, rodzicom dzieci. Od płomienia tego zapalił się też na krótko ogień miłości w piersi rozdrażnionego niepewnością losów bitwy leśniczego, oficera rezerwowego, do bohaterki „Tiny”. W niej jednak uczucie to nieświadomie tkwiło oddawna, wypełniając całe jej jestestwo. A kiedy zrozumiała, że dla ukochanego była niczem... ot zaspokojeniem chwilowego podnie-

cenia, że nie poświęcił jej ani jednej przelotnej myśli, niepomna, iż jest jedyną pociechą i podporą rodziców, zdziecinniałych staruszków, odbiera sobie życie. Jedyny zarzut możnaby tu zrobić autorowi, że dziewczynie o tak spokojnem, równem usposobieniu, posiadającej tak dużo prawdziwej dobroci, nie tej biernej, słabej, lecz energicznej, czynnej, idącej zawsze w parze z myślą o drugich, pozwolił dopuścić się tak okrutnego czynu wobec rodziców. Wielkie wrażenie wywołuje w powieści kontrast między cichem, jednostajnem, w swojej martwocie szczęśliwem życiem wioski i rodzin, ją zamieszkujących, a nieładem, rozsprzężeniem, gwarem i zamętem, sprowadzonym przez wojnę. Zarzut, że Bang nie przedstawił prawdziwie owej wojny, przesadzając jej okropności, nie wytrzymuje krytyki; poecie chyba wolno potęgować swe wrażenia. Jako kilkoletnie dziecko, uciekał autor z rodziną z miejsca na miejsce w miarę, jak pole walki posuwało się coraz dalej ku północy. Musiały to więc być silne wrażenia, skoro po tylu latach odświeżyły się w umyśle autora z taką potęgą!

Także przesadzony nieco jest w powieści „Stuk" obraz życia kopenhaskiego, pulsującego gwałtownie, nerwowo. Przedstawił tu Bang niepowodzenie swe w przedsiębiorstwie literackiem, do którego się dał wciągnąć wbrew swojej naturze arystokraty duchowego, miłośnika czystego piękna, nie znającego się na interesach.

W „Nowelach ekscentrycznych", z których najpiękniejsza jest nie objęta zbiorkiem „De fire Djaevel" (Czterej dyabli), umiał Bang wniknąć głęboko w dusze istot, wybiegających subtelnością uczuć poza swoją sferę: klownów cyrkowych, akrobatów, kelnerów i t. p. A wszędzie tkwi głęboki, rozdzierający pesymizm, który, zdaje się, trawi samego autora, ssąc z niego wszystkie siły żywotne.

Że „Beznadziejne pokolenia" nie pozostały bez wpływu, okazało się wkrótce, bo już we dwa lata po nich (r. 1883) wydał P i o t r N a n s e n powieść „Unge Mennesker" (Młodzi ludzie). Bohater Nansena nie sądzi, iżby warto było życie sobie zatruwać, skoro ono i tak nic nie warto, więc, straciwszy wiarę w ideały, nie bawi się w analizowanie własnej duszy, patrzy na wszystko sceptycznie, a życie stara się urządzić sobie jaknajwygodniej.

Nansen to bystry obserwator, zwłaszcza ma wydelikacone oko na zewnętrzne akcesorya życia. Jego bohaterowie i bohaterki lubują się w rozmaitych tajemnicach tualetowych, rocznice scen miłosnych obchodzić muszą przy sutem oświetleniu i dobrem winie. Mężczyźni są przeważnie typu francuskiego: przeżyci, zimni egoiści, niezdolni do prawdziwych uczuć, kobiety szczersze, gorętsze, pro-

stotą swoją ujmujące. Nie puszcza się autor na większe wody, ale zna doskonale stosunek obu płci do siebie, a psychologia postaci bywa u niego czasem wprost mistrzowska, jak w „Dzienniku Julii” i w „Małżeństwie Judyty”.

Henryk Pontoppidan walczy ciągle z romantyzmem. Szarpany wewnętrzną rozterką drwi sam siebie, a gorycz wylewa w dotkliwej ironii. Pchany żądzą poznania ludzi i świata puścił się Pontoppidan pieszo przez Niemcy i Szwajcaryę. Gdy wrócił, „wydała mu się ojczyzna jeszcze ciaśniejszą, ludzie bardziej zacofani, niż dawniej”. Temu uczuciu swojemu dał wyraz w powieści p. t. „Staekkede Vinger” (Podcięte skrzydła). Pragnie on swój kraj podźwignąć, wie, że marzenia jego — to czcze mrzonki, mimo to jednak chce wprowadzić nowe życie w zatęchłą prowincyę. Nieudane próby, walkę wewnętrzną opisał w powieści „Lykke. Per. I. Hans Ungdom” (Lykke. Per. I. Młodość), gdzie losy swoje utożsamia z losami bohatera, który także wielkie plany, wielkie ulepszenia ma zamiar wprowadzić na to, aby się przekonać, że to wszystko — bańki mydlane. Jak to często bywa, w ciągu pracy rozrósł się pomysł i ma objąć całokształt życia duńskiego.

Pesymizm Pontoppidana nie wyklucza w nim jednak chęci czynu. Nie opuścił on rąk, lecz, porzuciwszy studya techniczne, osiadł między ludem, dla którego pracuje, jako nauczyciel. Z tego bezpośredniego zetknięcia się jego z tą warstwą społeczną wypłynęła wielka jej znajomość, jak tego dowodzą znakomite obrazki, zawarte w dwu zbiorkach: „Landsbybilleder” (Obrazki wiejskie) i „Fra Hytterne“ (Z chat). Zupełne odosobnienie, w jakiem żyje Pontoppidan, wpłynęło dodatnio na pogłębienie jego talentu, na zrozumienie i odczucie innego rodzaju nędz ludzkich, nie tylko nędzy materyalnej. Owocem tych zalet jego umysłu i serca jest ostatnia nowella p. t. „Lille Rödhaette“ (Czerwona czapeczka). Nazwał autor tę nowellę portretem. Jest to istotnie wierny portret duszy kobiecej, stworzonej może, jak inne, do łez i uśmiechów, którą zawody życia zmieniły w demona pychy, a nawet zbrodni. Nienawidząca ludzi zna tylko jedno uczucie — miłość macierzyńską. Straszna nemezys mści się na niej, bo i w tem ostatniem jedynem uczuciu zostaje zawiedziona, zdradzona przez to dziecię, które w łonie swojem nosiła, dla którego poświęciła wszystko i stała się zbrodniarką. Jest to jedna z istot, które pod wpływem nieszczęścia nie upadają, nie słabną, lecz podnoszą się bardziej, oporne i harde, niż przedtem. Chociaż więc życie staje się dla niej największą męką, nie popełnia samobójstwa przez złość, aby wyrodnej córce nie oszczędzić wstydu,

że matkę jej osadzono w więzieniu za zwykłe oszustwo, ukrycie testamentu, którym zmarły ojciec część majątku córki przeznaczył na cel publiczny. Nowella ta sprawia wrażenie wstrząsającego dramatu i bardzo łatwo dałaby się na scenę przerobić, a bohaterka budzi grozę, ale też i litość, bo autor umiał odsłonić przed nami tajniki jej duszy, — pojęliśmy, że taka natura pod wpływem wskazanych okoliczności tylko w szatana wcielić się mogła.

Spokojnym pesymistą, nie czującym żalu do nikogo, lecz badającym życie takie, jakiem ono jest, i przedstawiającym je z artyzmem skończonym, jest Karol Larsen. Karyerę literacką zaczął późno, bo w trzydziestym roku życia, ale wystąpił odrazu, jako mistrz pióra. Czy to więc będzie powieść współczesna, wzięta z życia warstw najniższych, czy z pośród kwiatu inteligencyi, czy małomieszczańska lub prowincyonalna, czy wreszcie, jak „Den brogede Bog“ (Mieszanina), zbiór legend i podań średniowiecznych, — wszędzie uderza przedziwny artyzm, wszędzie panuje najpiękniejsza harmonia treści i formy. W „Kvinder“ (Kobiety) przedstawił doskonale typy kobiece z odrębnych zupełnie światów, scharakteryzował je świetnie, a zwłaszcza umiał zręcznie uchwycić i oddać subtelności języka: inaczej mówią kobiety średniego stanu, inaczej biedne zarobnice. Jak umiał przeniknąć ducha proletaryatu miejskiego, świadczy „Kresjan Vesterbro“. Jest to typ kopenhaskiego włóczęgi, wyrastającego na ulicy, bez żadnych dogmatów, ale też bez uprzedzeń i przesądów.

Jako przeciwstawienie, może służyć powieść „Doktór Iks“. Osoby, występujące w niej, to artyści, estetycznie wykształceni dyletanci, uczeni. Wyrażają się pięknie, bawią się szermierką słów, używają zwrotów francuskich i niemieckich, bo są w duchu kosmopolitami. A ostatecznem słowem tej powieści jest niewiara w teoryę „sztuka dla sztuki“. Bohaterka bowiem, dopiero straciwszy nadzieję znalezienia takiej miłości, jakiej pragnęła, poświęca się sztuce, używając jej do wyrażenia swoich niezaspokojonych tęsknot i zawiedzionych nadziei. Doktór Iks, od którego pochodzi tytuł powieści, to postać symboliczna, wcielenie niewiary, pragnień nie dających się urzeczywistnić, — duch zwątpienia i rozkładu.

W „Idet gamle Voldkvarter“ (W starej dzielnicy) daje pełen nastroju obraz cichego, szczęśliwego, nie znającego burz i rozterek, zapleśniałego życia drobnomieszczańskiego. Ostatnią jego pracą jest niewymuszony, w prostocie swojej artystyczny portrecik młodego, szesnastoletniego dziewczątka, powoli odkrywającego bolesne strony życia.

Pesymizm Larsena to nie ból, jak u Banga, nie gniew i żal do kłamliwych, romantycznych teoryi Pontoppidana, lecz lekka, zimna ironia. Utwory jego to piękne, bezduszne posągi; dają najwyższe zadowolenie artystyczne, ale w sercu pozostawiają chłód.

Takiego artysty w powieści realistycznej brak Norwergczykom. U nich zawsze treść rozsadza formę, myśli nowe, świeże, oryginalne tłoczą się jedne na drugie, nie dozwalając im rozwinąć się w piękny, zaokrąglony okres. Realizm objawił się tu wcześniej, ale tylko sporadycznie, a szerzej rozwijać się zaczął niemal równorzędnie z realizmem duńskim. W chwili, kiedy Ibsen i Björnson hołdowali romantyzmowi, kiedy ten ostatni pod wpływem Brandesa zwrócił się nareszcie do opowiadań z życia chłopów, ale nie odtwarzał prawdy życiowej w swych sielankach fantastycznych, Jonasz Lie próbował odtwarzać to, co widział własnemi oczyma. Ale nieprędko znalazł naśladowców. Dopiero Arne Garborg rozpoczyna okres realistyczny w literaturze norweskiej. W cyklu, złożonym z czterech powieści, poruszył wszystkie najżywotniejsze sprawy współczesnego życia, przeprowadził ducha przez wszystkie męki piekła i czyśćca, aby w zupełnem stępieniu znalazł nareszcie spokój i uciszenie. Nie szanujący ni dogmatów kościelnych, ni obłudnych konwenansów światowych, ani nawet najdroższych społeczeństwu norweskiemu wierzeń w odrodzenie, które ma wyjść z ludu, odsłonił wszystkie najwstrętniejsze wrzody, jakie osypały ciało społeczeństwa, nie dlatego, żeby lubował się w brudzie i brzydocie, lecz dla otworzenia oczu i powstrzymania złego.

W pierwszej powieści z tego cyklu, w „Chłopach studentach" przedstawił typ wiejskiego chłopaka, który w dzieciństwie objawił pewien spryt i zdolność do nauki. Stał się więc nadzieją i dumą nie tylko rodziny, ale i proboszcza, który, spodziewając się po nim wiele, skłania niezamożnego chłopa do kształcenia syna w Chrystyanii. Okazało się jednak, że nie było w chłopcu zbytniego zapału do nauk, przeważyła w nim gnuśność —wcześnie doszedł do przekonania, że właściwie tylko pieniądz coś wart, bo pozwala na używanie bez pracy, bez wysiłku. Upatrzył sobie niemłodą, ale niby zamożną pannę i dobił do portu. Spotykamy go znowu w drugiej powieści p. t. „Mężczyźni", jako pozbawionego wszelkich marzeń i ambicyi kandydata na intratne probostwo. W tej powieści zajmują Garborga głównie: odwieczna, a wiecznie nowa sprawa wzajemnego stosunku obu płci, odpowiedzialność mężczyzny za czyny, z których on czerpie samą rozkosz tylko, pozostawiając hańbę i długoletnie troski i kłopoty słabszej stronie, obłuda i fałsz tam, gdzie panować po-

winno tylko zaufanie nieograniczone i szczerość. Dalszym ciągiem opisu istniejącego stanu rzeczy, z większem uwzględnieniem życia dziewcząt, jest powieść „U mamy". Ostatnia, „Znużone dusze", to już upadek sił, których nie staje bohaterowi ani na walkę ze światem, ani z samym sobą. Wszystkie materyały palne wypaliły się, pozostało tylko spokojne wegetowanie i wyczekiwanie końca.

Jaśniejszym, bo wykazującym, że, chociażfilary społeczne padną lub zdradzą najświętszą sprawę, idea żyć będzie i zawsze znajdzie gorących wyznawców, jest dramat z r. 1888 p. t. „Uforsönlige" (Nieprzejednani). W powieści „Pokój" przedstawił Garborg dzieciństwo swoje i dał wstrząsający obraz szaleństwa, rozwijającego się na tle religijnem. W ostatnich latach poświęcił się ten znakomity talent dziennikarstwu i polityce, działając, jako najpoważniejszy przywódca ruchu narodowościowego w Norwegii.

Wśród młodszych pisarzów, grupujących się około niego, najwybitniejsze miejsce zajmuje P i o t r E g g e. Jest to człowiek młody, bo zaledwie trzydziestoletni. Mimo braku wykształcenia akademickiego ogromnym talentem zyskał sławę nie tylko w Norwegii, ale w całej Skandynawii. Przeważnie pisze, jak Garborg, narzeczem. Pierwsze jego drobne nowelki, w zbiorku p. t. „Anfaegtelser" zawarte, mają jeszcze pewien polot romantyczny; z nich „Fjeldbaekken" (Górski strumyk) i „To Staerke" (Dwie siły) to prawdziwe perełki. W następnych już nowellach, powieściach, a zwłaszcza dramatach, jest czystej wody realistą. Szereg prac tego rodzaju rozpoczęła powieść p. t. „Almuc" (Lud), przedstawiająca życie górali norweskich. Najchętniej jednak i najlepiej maluje (bo też i zna najlepiej) przedmiejską ludność. Z niej to zaczerpnął temat do powieści „Nelly Martens" i zbiorku obrazków p. t. „Tröndere" (Trondyemczycy). Wykazuje w nich autor podobnie bystrą obserwacyę, jaką się odznacza Pontoppidan, ale gdy ten sercem tylko odczuwa niedolę i cierpienia ludu, przypisując je wyłącznie zewnętrznym wpływom, Egge patrzy bardziej na nie krytycznem okiem, a przyczynę złego widzi w ciemnocie, uprzedzeniach i uporze. Najpiękniejszą i najgłębszą z nich jest pierwsza nowelka, oparta na zabobonie, i u naszego ludu istniejącym, co do czarodziejskiego wpływu nocy świętojańskiej na losy ludzi.

W powieści realistycznej najwyżej pod względem formy stoi w Norwegii A m a l i a S k r a m, chociaż przed dwoma laty, oburzona na rodaków za złe przyjęcie jej jaskrawo realistycznej powieści „Afkom" (Potomstwo), przeniosła się na stałe do Kopenhagi i publicznie ogłosiła, iż odtąd uważa się za obywatelkę i autorkę duńską.

Włada ona świetnie piórem, umie pięknie opowiadać, obserwuje przenikliwie, podpatrując drobne intrygi i podstępy, nieuchwytne dla oka męskiego. Ale cechuje ją wielka jednostronność w ocenianiu charakterów. Wszyscy mężczyźni w jej powieściach to istoty bez serca, brutale i egoiści. Z tem wszystkiem jednak nie udało się jej stworzyć prawdziwie pięknej postaci kobiecej, jakich dużo stworzyli jej koledzy po piórze. Pisarze duńsko-norwescy bowiem przedstawiają typy kobiece przeważnie, jako wyższe od mężczyzn nie tylko głębią uczucia, ale i siłą charakteru. A jeśli nawet który z nich daje ujemny typ kobiecy, nagromadzi tyle środków łagodzących, jak Tomasz Krag w powieści p. t. „Wdowa”, że wzbudza w nas tylko wielkie współczucie, nigdy oburzenie.

Zmarły w lipcu r. 1899 Gabryel Finne mimo młodego wieku (bo, umierając, zaledwie przekroczył trzydziestkę) pozostawił sporo prac przeważnie dramatycznych, kilka nowel i bardzo dobrą powieść „Dr. Wang's Börn” (Dzieci dr. Wanga). Daje tu smutny, przykry obraz rozłamu, panującego w małżeństwie, skutkiem którego dzieci, nie znajdując oparcia w ognisku domowem, wyrastają we wzajemnej nienawiści, a zwłaszcza w żalu i wzgardzie dla rodziców. Powieść ta sprawiła wielkie wrażenie w Norwegii; rokowano autorowi wielką przyszłość, bo wykazał wiele zalet, głębokie wniknięcie w dusze ludzkie, siłę i obrazowość, brakło mu tylko miary artystycznej, ale tę zdobywa się z czasem. Niestety, czasu tego zbrakło młodemu talentowi.

Jeszcze zanim realizm doszedł do pewnej wybujałości u Amalii Skram np. i Gabryela Finne w Norwegii, a Edwarda Brandesa w Danii, zaczęła się objawiać reakcya przeciw niemu. Szare, codzienne życie nazbyt dokuczało, aby jeszcze starczyło ochoty na przypatrywanie mu się w dokładnem odbiciu. Obudziło się pragnienie czegoś wręcz przeciwnego, co pozwoliłoby właśnie zapomnieć o tem marnem, smutnem życiu. Zaczynają głosić: jedni powrót do wiary dziecięcej, drudzy podnoszą kult przyrody i miłości, jako naturalnego popędu zmysłów. Inni wreszcie łączą w dziełach swoich średniowieczny mistycyzm z pełnym zmysłowości renesansem.

Przedstawicielem pierwszego kierunku stał się znakomity liryk Jan Jörgensen. Stał się nim od lat kilku, bo w literaturze wystąpił, jako wybitny wielbiciel i piewca piękności natury. Jörgensen czuje się na świecie osamotniony, ciągle tęskni za czemś, wzdycha do czegoś. Wyrazem tego uczucia jest obrazek „En Fremmed” (Cudzoziemiec), gdzie bohater, jak Mongoł wśród Aryjczyków, czuje się obcy wśród swoich. Westchnienia jego odnoszą się do

uścisków pięknych kobiet, a uściski te pozostawiaja po sobie tylko niesmak i niezadowolenie — oto początek późniejszego zwrotu autora do chrystyanizmu. W pięknej, większej noweli p. t. „Den yderste Dag" (Ostatni dzień i Sąd ostateczny) przedstawia już rozkosze życiowe, jako grzeszne. Bohater na łożu śmiertelnem przeżywa myślą całe swoje życie, dochodzi do przekonania, jak złe ono było, i skruszony szepce dawno zapomniane słowa modlitwy. Odtąd brnie Jörgensen coraz głębiej w zaciekania i dowodzenia teologiczne, stylowo bardzo piękne, ale mało przekonywające.

Piękno natury opiewają pieśniami i prozą Viggo Stuckenberg i Sophus Michaëlis. Stuckenberg z poety miłości i piękna stał się w ostatnich latach psychologiem, badaczem dusz proletaryatu miejskiego. Pozostała w nim jednak zawsze wiara, że miłość jest najczęściej pobudką złych i dobrych czynów. Bardzo pięknie jest odtworzony w noweli p. t. „Hjemfalden" (Upadły) proces psychiczny, odbywający się w duszy człowieka, odsiadującego karę za sprzeniewierzenie, popełnione z miłości do dziecka i tegoż matki, na których nędzę nie mógł patrzeć. Między mistycznem dociekaniem przyczyn wszechbytu a pożądaniem rozkoszy i uciech zmysłowych waży się dusza bohatera pięknej noweli p. t. „Sol" (Słońce). Przeważnie realistyczną jest ostatnia większa praca Stuckenberga „Asmodeus", opisująca życie spróżniaczonego robotnika, którego to życia połowę spędza w więzieniu za kradzież. Do tego stanu doprowadziło go z jednej strony poczucie krzywdy, wyrządzonej mu przez własnego ojca i chęć odwetu, z drugiej miłość do zbyt wymagającej ukochanej.

Autor właściwe sobie subtelne poczucie piękna wciela w swoich bohaterów, a w nich razi ono cokolwiek.

Gorącym czcicielem życia w jego ustawicznym rozwoju jest Sophus Michaëlis. Śmierć u niego nie jest unicestwieniem, lecz przetworzeniem się. Pisze niewiele, ale wszystko, co z pod pióra jego wychodzi, jest doskonałe pod względem formy, a bogate w treść. Pierwszy zbiór jego liryków, wydany w 24 roku życia p. t. „Digte" (Poezye), wykazał w nim niezrównanego mistrza formy. Drugi (w r. 1899) p. t. „Syreny" dał poznać poetę, jako umysł głęboki, refleksyjny. Pierwsze jego prace nowelistyczne, jak „Astrid" i „Nelly", usiłują dowieść, że grzech tkwi nie w nieuświęconem błogosławieństwem kościoła połączeniu się w dwu młodych, zdrowych istot, lecz w zimnem, wstrętnem, podstępnem wyzyskiwaniu uczucia. Prawdziwym hymnem na cześć życiodajnej miłości jest liryczna powieść p. t. „Aebeloe". Michaëlis, bawiąc we Francyi, odda-

wał się studyom nad średniowiecznym romansem francuskim; owocem tej pracy jest właśnie ta pełna poetycznego czaru powieść.

Zbliżony talentem do tych dwu ostatnich pisarzów jest zmarły w sierpniu r. 1900, Norwegczyk S i g b j ö r n O b s t f e l d e r. Nie poskąpiły mu darów złe i dobre wróżki, otaczające jego kolebkę. Udzieliły mu fantazyi twórczej, duchowi dały moc przenikania głębokich tajemnic natury, obrazom myśli zdolność przybierania żywych kształtów, w serce rzuciły żary tęsknot i pragnień. Tułał się biedny poeta po ziemi; przed chłodem i mgłą północy uciekał do światła i słońca południowego, stąd zaś wracał do ojczyzny gasić ogień, tlejący mu w piersi, a wreszcie marna skorupa cielesna nie zdołała powstrzymać rwącego się we wszechświaty ducha. Umarł w kwiecie wieku. Prac pozostawił niewiele; prócz niezebranych jeszcze drobiazgów, rozrzuconych po czasopismach, wydał tomik poezyi, dramat symboliczny i dwie nowelle. Poezye jego tchną niewysłowioną tęsknotą, bólem istnienia. Dramat „De röde Draaber" (Czerwone krople) to symbol walki duchowej poety, pociąganego z jednej strony pełnem życiem ziemskiem, upostaciowanem w narzeczonej, Borghildzie, z drugiej rozpłynięciem się we wszechświecie, jako nikły atom. Zwycięża idealna, zaświatowa kochanka, Lilli. Mimo wielkiego uznania dla poetycznych piękności dramatu nie sprawił on wielkiego wrażenia, bo go nie rozumiano, dopiero po śmierci poety odgadła krytyka właściwą myśl utworu.

Zrozumialszą, chociażby dlatego, że traktującą przedmiot od wieków uprawiany — miłość — jest nowelka p. t. „Korset" (Krzyż), która dała początek sławie autora na Północy. Są to w formie pamiętnika, niby bezładnie rzucane wspomnienia rozkosznych wrażeń i bolesnych męk miłości. Mowa tu nie o świeżem, prostem uczuciu, lecz o namiętności potężnej, podsycanej zazdrością u mężczyzny, a gorącej, wiecznotrwałej w sercu kobiety. Kończy się nowelka wyrazem poczucia ludzkiej niemocy wobec wielkich tajemnic.

Zagadka wszechbytu, stosunek ludzi do bóstwa—oto kwestye, które przez całe życie zajmowały Obstfeldera. W żadnej pracy jednak umysł jego nie wzniósł się na takie wyżyny, nigdzie nie wniknął tak głęboko w jądro duszy ludzkiej, jak w pośmiertnym utworze „En Praests Dagbog" (Dziennik księdza). Pracował nad nim autor do ostatniej chwili... dawno był już przygotowany do druku, a zmarły nie mógł się zdecydować na puszczenie go w świat. Złożył on tu najpiękniejszą pracę swego ducha, spowiadał się z myśli, które go zajmowały, przenikając całą istotę, a chociaż posiadał dar słowa, jak

mało kto w Norwegii, zdawało mu się, że wykoślawił myśl, gdy ją przyszło przelać na papier.

Zupełnie odrębne indywidualności pisarskie to H a m s u n i T o m a s z K r a g w Norwegii, a K a r o l E w a l d w Danii.

W Hamsunie uderza szczególniej połączenie zdrowego, realnego pojmowania i rozumienia życia (Redaktor Lynge, Nowizna) i ogromnej fantazyi. Właściwości te najlepiej uwydatniają się w zbiorku szkiców p. t. „Siesta", gdzie znalazły się obok siebie: wybryki szczerego humoru, wylewy gorącego współczucia, objawy trafnego, bystrego sądu o głupocie ludzkiej i wybuchy nieokreślonej fantazyi. Ostatnią jego pracą jest wydana przed dwoma laty powieść „Wiktorya", łącząca w sobie pierwiastki czysto realistyczne z sytuacyami romantycznemi. Jak wszystko, co wyszło z pod pióra tego znakomitego pisarza, i ta powieść nie jest doskonała pod względem formy: fabułę powieściową przeplatają płody wyobraźni bohatera bez jakiegokolwiek wyjaśnienia ze strony autora; styl nerwowy, zaniedbany... a jednak sprawia wielkie wrażenie siłą i głębią uczucia.

Pod względem wykończenia stylowego i budowy powieściowej przewyższa Hamsuna Tomasz Krag swoimi przeważnie fantastycznymi utworami o podkładzie realnym (Wąż miedziany, Wdowa, poemat prozą „Ojczyzna" i t. d.). Dużo miłości natury tego tajemniczego, pięknego kraju dowodzą drobne obrazki i legendy, zebrane w zbiorki, z których jeden ma wielemówiący tytuł: „Głosy mórz i gór"—a ciekawe to są odgłosy, tłómaczące poniekąd niezwykłe usposobienie wsłuchującego się w nie ludu.

Karol Ewald wyrósł w atmosferze literackiej, jako syn powieściopisarza historycznego. Talent to wszechstronny, ale przedewszystkiem jest godnym następcą Andersena z tą różnicą, że, pisząc bajki, ma rzeczywiście na uwadze młodociane umysły. Głęboka miłość Ewalda do dzieci popchnęła go do badania życia rodzinnego. Spostrzeżenia swoje, pełne bystrości i głębi filozoficznej, wyraził w dwu nowelach: „Dengamle Stue" (Stara komnata) i „Cordts Sön" (Syn Cordta). Komnata ta ma być symbolem tradycyi małżeńskiej: w niej spędzali małżonkowie spokojne chwile na pracy, wzajemnej wymianie myśli, pełnych jedności i zgody. Ale najmłodsze szczepki nie stanowią już wzorowego małżeństwa, komnata nie jest dla nich tem, czem była dla pradziadów, a zwłaszcza żona mimo przywiązania do męża potrzebuje towarzystwa, zabaw; nie wystarcza jej ciche, domowe szczęście. Mąż z boleścią wymazuje ze starej księgi,

w której od wieków figurowały imiona małżeńskich par, swoje i żony imię.

W następnej nowelli występuje syn tego małżeństwa. Rozłam, dzielący rodziców, tkwi w duszy jego, ponieważ dziedziczył sprzeczne właściwości obojga. Prawdziwy to typ dziecka nowoczesnego małżeństwa — bez iskry młodzieńczego zapału, bez woli.

Pod wpływem tychże samych badań powstała oryginalna powieść p. t. „Min lille Dreng" (Mój mały). Jako dzieło sztuki, jest ona mniej cenna od poprzednich prac, ale bardziej zajmująca, głębsza może jeszcze, a dowcipna, pełna życia. Jest to pamiętnik, podzielony na trzy nierówne części. Pierwsza — to stan duszy ojca przed przyjściem na świat dziecka — druga to uczucie tryumfu, że dziecię pierworodne to syn, nie córka. Część trzecia, największa—to w żywych, pełnych humoru obrazach przebieg najwcześniejszego wychowania i budzenia w młodej duszyczce altruizmu, poczucia prawdy i honoru — wszystko to zastosowane do lilipuciej skali maleństwa.

Cofnięcie się w dawniejsze wieki było dla niektórych pisarzów koniecznym warunkiem wykazania swojego talentu w całej pełni. Zmarły przed rokiem przeszło, zaledwie 44-letni Viggo Holm (Duńczyk), pisujący pod pseudonimem Voldemar, o ile świetnie przedstawiał dzisiejsze namiętności, przywary i cnoty w kolorycie minionych czasów językiem starym, o tyle nie czuł się na siłach, aby stworzyć powieść współczesną. Najlepszem jego dziełem jest wydany w r. 1896 zbiór p. t. „Kuriose Historier fra Heksernes Tid" (Ciekawe historye z czasów czarownic).

Norwegczyk Jonas Dahl przypomina swoim rodakom dawne czasy, przedstawiając żywo i barwnie życie Bergeńczyków z przeszłego wieku w powieści p. t. „Cargadör Sahl".

Jak wszędzie dziś, tak i w literaturze duńsko-norweskiej, uderza przedewszystkiem niezwykły wzrost powieści i nowelli: berła współczesnego dramatu nie wypuścili jeszcze z rąk dwaj geniusze norwescy, Ibsen i Björnson, których posągi olbrzymie zdobią fronton niedawno otwartego teatru narodowego w Chrystyanii. Z młodych dramaturgów na pierwszy plan wybili się Norwegczyk, Gunnar Heiberg, i Duńczyk, Sven Lange. Berło humoru niepodzielnie dzierży Duńczyk, Gustaw Wied. Psotny to chochlik, wszystko ośmieszyć potrafi wesołym żartem, nawet śmierć nie jest dla niego świętością. Wesołość jego jednak ma podkład poważny: jest to cięty satyryk, umiejący podpatrywać u ludzi słabostki i przedstawiać im je przed oczy, aby, śmiejąc się serdecznie, poznawali je w sobie. Najlepszy jest zbiorek p. t. „Fire Satyrspil" (Cztery

sztuki satyryczne). Są to obrazki ze wszystkich warstw społecznych: szlachty, duchowieństwa, mieszczaństwa i chłopów. Ostatnia właśnie zatytułowana jest „Śmierć". Chodzi tu o spadek po starym, zmarłym mężu, który familia chce odebrać żonie, oskarżając ją o niewierność. Wykrętne matactwa wdowy, nie grzeszącej zbytnią cnotliwością, zbijanie wszystkich zarzutów niby rozumnych szwagrów i ostateczne jej zwycięstwo są przedmiotem tej zabawnej sztuki. Powieść „Lirsens Ondskab" to także właściwie szereg satyr, i autor przerobił ją już na scenę. Szkoda, że przy tej ogromnej bystrości, werwie i humorze dowcip jego trochę za pieprzny, efekty obliczone na mniej subtelne umysły.

Jak widzimy, „anarchia" na złe literaturze duńsko-norweskiej nie wyszła. Brak szkoły, którąby narzucała z góry dogmaty, dozwolił rozwijać się swobodnie talentom, a że niejeden z nich wybujał zbytnio i przekroczył granice sztuki, tem jaśniej występują prawdziwi artyści.

Józefa Klemensiewiczowa.

SYSTEMAT INDYWIDUALISTYCZNY,

jako filozofia narodowa.

Wincenty Lutosławski: *In Search of True Beings.* — *The Ethical Consequences of the Doctrine of Immortality.*—(Henri Erami). *Un peuple individualiste.*—*Uuber die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistischen Weltanschauung,* Helsingfors, 1898.—*Die Seelenmacht,* Lpz., 1899.—*Z dziedziny myśli,* 1900.—*Geneza Eleuteryzmu.* — *Źródła pessymizmu,* Kraków, 1899. — *O wychowaniu narodowem,* Kraków, 1900. — *Ueber Lotzes Begriff der metaphysischen Einheit aller Dinge.*

Mało jest zapewne wyrazów, z którymi łączą się tak rozmaite pojęcia, jak z terminem i n d y w i d u a l i z m. W metafizyce używano go dotąd, jako synonimu p l u r a l i z m u—dla oznaczenia nauki, przyjmującej odrębność pojedyńczych bytów (istot) w przeciwności do uniwersalizmu, który byt pojedyńczy uważa za częściowy tylko objaw. W etyce z wyrazem tym wiąże się nauka o odmiennem ukształtowaniu zasad etycznych stosownie do odrębności osobników (Jacobi, Fichte, Schleiermacher); w estetyce—nauka, przyjmująca, że wartościową w każdym przedmiocie jest jego odrębność; że osobnik jest nie dającym się przez inny zastąpić, charakterystycznym wyrazem typu rodzajowego. W naukach społecznych terminu tego używają to jako hasła walk praktycznych, to jako pojęcia teo-

retycznego. Indywidualizmem nazywają w zakresie prawa państw o wego naukę o prawach przyrodzonych jednostki, stanowiącą podstawę teoryi nowożytnego państwa oraz haseł walk rewolucyjnych w końcu zeszłego i w pierwszych trzech dziesiątkach lat bieżącego stulecia; w polityce ekonomicznej—naukę ekonomistów z przeszłego stulecia i początków bieżącego, usuwającą wszelkie wmieszanie się państwa w życie przemysłowe narodu; wreszcie w znaczeniu czysto teoretycznem proponuje H. Dietzel[1]) objąć pod nazwą indywidualizmu wszystkie poglądy, oparte na zasadzie indywidualnej, t. j. „na pewniku społeczno-politycznym, że jednostka jest sama sobie celem, formy zaś uspołecznienia — rodzina, stowarzyszenie, państwo, związek państw, z religią, z prawem, etyką i obyczajem — są tylko środkami służebnymi, powstającymi, trwającymi lub ulegającymi zmianie jedynie tylko przez wolę osobnika i dla niego". Jeśli rozszerzymy ten pogląd na rozwój historyczny ludzkości, to możemy dodać filozoficzno-dziejowe znaczenie terminu, podciągając pod nazwę indywidualizmu te doktryny, które jednostkę, jej rozwój wszechstronny i emancypacyę uważają za cel dziejów.

Do tych licznych współznaczeń wyrazu, dorzuca p. W. Lutosławski [2]) nowe, metafizyczne, proponując systemat filozoficzny, który nazywa indywidualistycznym, a w konsekwencyach jego etyczno - społecznych — e l e u t e r y z m e m, uważając go za wyraz filozofii narodowej.

Prace p. Lutosławskiego nad chronologią dyalogów Platona i rozwojem jego filozofii zjednały mu zasłużony rozgłos — nie tyle w kraju, gdzie mało kto się temi rzeczami zajmuje — ile w świecie uczonym Europy i Ameryki. Niedawno mieliśmy sposobność słyszeć na kongresie filozoficznym w Paryżu dwa komunikaty o Platonie,

---

[1]) Artykuł *Individualismus* w „Handwörterbuch der Staatswissenschaften, herausgegeben von Conrad, Elster, Lexis und Loening. Tom IV. str. 564.

[2]) Od niejakiego czasu stało się u nas zasadą ortograficzną (na wzór Niemców) cytowania głośniejszych autorów bez dodania litery *p*. Jeśliby to miało być odznaczeniem, to, sądzimy, należy się ono p. Lutosławskiemu w pierwszym rzędzie. Zdaje się wszakże, iż logiczniejszym i zgodniejszym z duchem naszego narodu byłby zwyczaj francuski stawiania *p.* przed nazwiskiem każdego żyjącego autora. Naprzód bowiem co to za trudne i niewdzięczne zadanie dla piszącego decydować czy ten, o którym pisze, zasłużył już na opuszczenie tej litery lub nie; powtóre—jeślibyśmy już tę rzecz mieli pozostawić do decyzyi piszących — dlaczego mamy traktować ludzi zasłużonych w sposób mniej grzeczny, niż debiutantów literackich?

oparte na jego pracy, których autorowie w sposób nader pochlebny podnosili te badania.

Gruntowną i niemniej pochlebną ocenę odkryć p. Lutosławskiego w tym zakresie dał w swoim czasie p. H. Struve[1]). Obecny artykuł poświęcamy drugiej stronie działalności p. Lutosławskiego, którą rozwijać zaczął przeważnie po ukończeniu swoich studyów nad Platonem, t. j. wyrobieniu i sformułowaniu swego poglądu na świat czyli filozofii indywidualistycznej. Pierwsze szkice jej były ogłoszone już przed pięciu laty; dziś mamy już całkowite przedstawienie tego poglądu w języku niemieckim w dziełach *Die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistischen Weltanschauung* oraz *Die Seelenmacht.*

Zajęcie, które system indywidualistyczny budzi naturalnie w czytelnikach polskich, zniewala nas do poddania go rozbiorowi szczegółowemu, chociaż sam autor nie uważa go za ukończony, lecz traktuje raczej wydane dotąd w tym kierunku prace za szkicowe i niedoskonałe przedstawienie poglądów, stopniowo się krystalizujących.

* * *

Zasadniczym rysem indywidualizmu p. Lutosławskiego nie jest ani duchowość istot pojedyńczych (spirytualizm Kartezyusza), ani konsekwentne przeprowadzenie tej duchowości z zachowaniem odrębności bezwarunkowej każdej istoty (monadologia Leibniza), ale zupełna niezależność tych istot—w tem właśnie tkwi oryginalna cecha jego indywidualizmu. Monady p. Lutosławskiego nie są anstworzone przez najwyższą monadę, ani od niej bezwarunkowo zależne. Trwają one wiecznie i w czynnościach swoich są wolne, chociaż w pewnych granicach. Indywidualizm p. Lutosławskiego uważać więc powinniśmy za jedną z form pluralizmu metafizycznego, a zanim przejdziemy do bliższego rozważania i oceny tej formy, wypada powiedzieć kilka słów o stanowisku systematów pluralistycznych wogóle do innych, a zwłaszcza do dwu wielkich gromad, na które (ze stanowiska istoty wszechświata) dzielą się wszystkie poglądy na świat: do idealizmu i materyalizmu.

---

[1]) Ob. w Bibl. Warsz. z r. 1898 („Logika Platona w związku z chronologią jego pism").

Idealizm w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, t. j. pogląd, według którego istota wszechświata ma większe pokrewieństwo z wewnętrzną częścią naszej istoty, z tem, co poznajemy w sobie, jako myśli, uczucia i pragnienia, słowem, jako objawy duchowe, niż z rzeczami zewnętrznemi, jak je poznajemy przez zmysły, t. j. cielesnemi i rozciągłemi, — pogląd ten najczęściej wiązał się w dziejach z uniwersalizmem. Jakoż istnieje tu pewne pokrewieństwo logiczne. Idealizm metafizyczny jest wynikiem racyonalizmu w teoryi poznania, t. j. tego kierunku, który czyste rozumowanie uważa za jedyną drogę do prawdy.

„Niech na tej drodze nie opanowuje cię często doświadczony nałóg dowierzania krótkowidzącemu oku, szumnemu uchu i językowi; myśleniem tylko masz rozebrać dowody prawdy, które ci odkryję”,—tak przemawia bogini do szukającego prawdy filozofa w poemacie Parmenidesa z Elei. Odrzucając zaś, jako złudzenie, to, co nam zmysły nasuwają, dochodzimy naturalnie do idealizmu, t. j. do uznania za „prawdę” tego, co za pomocą myślenia poznajemy, t. j. naszego świata umysłowego.

Pojęcie wszakże osobnika, bytu odrębnego, jest pojęciem zmysłowem. Na czem bowiem opieramy je przedewszystkiem, jeśli nie na rozdzielności przestrzeniowej? Przypomnijmy tylko trudności, które nasuwają w biologii nieznaczne przejścia pomiędzy osobnikiem, kolonią a organizmem złożonym, a decydujące znaczenie, jakie przypisujemy w tych kwestyach wątpliwych możności oddzielenia się czasowego lub trwałego osobników kolonii. Czyż wahamy się uważać za osobnika sadzonkę, odciętą od krzaka róży, skoro się zakorzeni? Pojęcie więc osobnika opiera się przedewszystkiem na probierzu zmysłowym; a skoro odrzucamy prawdziwość poznania zmysłowego, i to pojęcie naturalnie podaje się w wątpliwość. Dla tego też eleaci, którzy już byli racyonalistami, chociaż nie byli jeszcze idealistami, a nie mogli stanąć na tem stanowisku wskutek tego, że praca przygotowawcza analizy, rozczłonkowująca zjawisko złożone bytu na jego dwie strony: cielesną i duchową, nie była jeszcze zakończoną,—eleaci byli już uniwersalistami, streszczając tę doktrynę w krótkiem orzeczeniu „jedność i całość”. Skoro zaś ów proces rozkładu zjawiska na duchową i fizyczną stronę został wykonany, ukazują się dwa przeciwstawne sobie systematy: materyalistyczny Demokryta, ucznia atomistów, z którymi walczyli eleaci, oraz idealistyczny Platona, ucznia Parmenidesa. Demokryt jest pluralistą, przyznaje bowiem byt rzeczywisty niezliczonym atomom, z których

ma składać się świat według nauki jego; Platon, przeciwnie, jest uniwersalistą, wszystkie bowiem przedmioty są dla niego częściowemi, ustopniowanemi manifestacyami jednej Idei Najwyższej.

Niemniej wszakże już w zaraniu filozofii nowożytnej, w nauce Bruna, spotykamy się z ideą monady, nawpół uduchowionej, którą rozwija i łączy z poglądem czysto idealistycznym Leibniz. Monadologia Leibniza jest skończonym systematem pluralizmu idealistycznego i najgłośniejszym w dziejach filozofii konsekwentnym pluralizmem idealistycznym. Systemat ten sprawia wrażenie dosyć ryzykownej konstrukcyi, raczej śmiałej igraszki myśli, niż na seryo wziętego poglądu na świat. Ten charakter zdaje się być wynikiem zaznaczonej już niezgodności logicznej podstawowej pomiędzy pluralizmem a idealizmem. Idea zaś harmonii przedustawnej, która ma ratować sytuacyę, tłómacząc wzajemny stosunek dwu światów, podmiotowego i przedmiotowego, czyni go wysoce odrażającym dla umysłu ścisłego.

P. Lutosławski zaczął także od tego, że odrzucił tę ideę. Jego monady czyli duchowe byty niezależne oddziaływają na siebie wzajemnie. Tu musiał autor przełamać trudność, tkwiącą w zagadnieniu wzajemnego oddziaływania na siebie rzeczy. Ta trudność pobudziła Lotzego do zaprzeczenia odrębności istnień i popchnęła go na drogę uniwersalizmu. P. Lutosławski, jako uczeń Teichmüllera, pierwsze kroki swoje na polu filozofii stawiał pod wpływem filozofii Lotzego. Pierwszym zaś jego krokiem ku samodzielnemu poglądowi na świat była krytyka owych argumentów, które skłoniły Lotzego ku uniwersalizmowi. Zrobił on to w artykule, napisanym przed dwunastu laty, który ukazał się w druku dopiero w roku 1899-ym p. t. *Ueber Lotzes Begriff der metaphysischen Einheit aller Dinge.* Zaznacza on tu odrazu cel, ku któremu zmierza. Jest nim obalenie poglądu Lotzego, iż wszystkie istoty były w pewnym momencie stworzone, co go konsekwentnie doprowadza do zaprzeczenia wiecznej trwałości zarówno materyi, jak ducha. Zaczyna więc od krytyki punktu wyjścia Lotzego i wykazuje, że trudność wzajemnego oddziaływania redukuje się u filozofa niemieckiego do zagadnienia, często przez fizyków omawianego, działania na odległości. Źródłem wszakże pojęcia działania jest świadomość naszej własnej działalności, mianowicie w zakresie psychicznym. Samo przez się jest ono zrozumiałe. Dopiero, gdy je przenosimy na rzeczy zewnętrzne i rozciągłe, powstaje trudność. Wzajemne oddziaływanie psychiczne polega na blizkiem podobieństwie istot oddziaływających. Tu więc

tkwi istotny punkt zagadnienia. Metafizyka powinna przyjąć zasadę istotnego podobieństwa wszechrzeczy zamiast zasady ich niesamodzielności (jak to czyni Lotze). Oddziaływanie wzajemne rzeczy może być pojęte pod czterema postaciami: ducha na duch, ducha na materyę, materyi na duch i materyi na materyę. Im bardziej oddalamy się od terminów duchowości, tem oddziaływanie staje się mniej zrozumiałem. Sprowadzenie więc pierwszej z tych form do czwartej (co czyni materyalizm), nie posuwa zagadnienia ku rozwiązaniu, lecz, odwrotnie, oddala je. Takie uznanie formy oddziaływania psychicznego za zasadniczą i najbardziej zrozumiałą doprowadzi autora konsekwentnie do przyjęcia telepatyi.

Pomimo tej krytyki, pomimo zasądniczej w wielu punktach przeciwstawności z Lotzem, znalazł p. Lutosławski w jego metafizyce gotowe podwaliny dla swojej własnej. Lotze, jak wiadomo, łączy podstawy poglądu panteistycznego Spinozy z monadologią Leibniza. Zasadniczo istnieje dla niego jedna tylko nierozdzielna całość, Bóg-wszechświat, którą oznacza symbolem M, a której manifestacyami poszczególnemi są niezliczone atomy i światy, będące poprostu stanami wewnętrznymi tej całości, dla nas zaś objawiające się w formach zmysłowo-przestrzeniowych.

Odrzucając podstawę panteistyczną, przeciwstawną z pluralistycznie-indywidualistycznem dążeniem swojem, p. Lutosławski potrzebował tylko przeprowadzić konsekwencye tej modyfikacyi, aby systemat Lotzego przeobrazić w swoją monadologię. Modyfikacye te zaznaczone są i w jednej z wczesnych polskich prac, przez autora poświęconej obszernemu wykładowi metafizyki Lotzego[1]). Autor poddaje tu krytyce niektóre z wywodów znakomitego filozofa niemieckiego, rzucając, chociaż bardzo pobieżnie, własne sądy, dotyczące tych samych zagadnień.

Lotze odrzuca pojęcie bytu czystego, niezależnego od wszelkich innych, z żadnym innym nie związanego. Rzeczy istnieją dla niego tylko przez wzajemne oddziaływanie. „Rzecz, którąby nie była w żadnem miejscu przestrzeni, w żadnym oznaczonym

---

[1]) *Metafizyka współczesna* w Bibliotece Warszawskiej, marzec i maj, 1889; przedrukowany w zbiorku: *Z dziedziny myśli* p. t. „Metafizyka Lotzego“ (str. 47 do 96).

czasie, przez nikogo niepostrzeżona, niczemby się nie różniła od rzeczy nieistniejącej“, twierdzi on. P. Lutosławski nie zgadza się z tym wnioskiem. Istnieje taka rzecz, która istnieje niezależnie od wszelkich oddziaływań na nią lub jej na inne rzeczy. Jest nią nasze ja. „Zdanie „ja jestem” nie oznacza żadnego stosunku mego „Ja” do innych rzeczy — nie jestem dlatego, że coś widzę, słyszę, czuję lub działam, tylko jestem poprostu, nawet wtedy, gdy nic nie czuję prócz własnego mego istnienia” (str. 53). „Pojęcie istnienia przenosimy na rzeczy, ale tworzymy je w skutek świadomości naszego własnego istnienia“ (str. 53). W ten sposób zyskuje on pierwszą i główną podstawę swego poglądu na świat: niezależność bytu duszy, jej substancyalność, a więc niestwarzalność i nieznikomość. I tu staje p. Lutosławski w sprzeczności z twierdzeniem Lotzego, że w pojęciu substancyi niema nic, coby zmuszało do przyjęcia jej niezniszczalności, gdyż, jak wiemy, dla Lotzego istnieje tylko całość, oddzielne zaś rzeczy są tylko jej objawami, złudzeniami, pozorem. Lotze więc konsekwentnie nie przyznaje duszy nieśmiertelności, a nawet odmawia jej istnienia w chwilach nieświadomości (np. snu głębokiego).

„Nie ukrywa on tej konsekwencyi swej ontologii, powiada p. Lutosławski, i za to należy mu się wszelkie uznanie, bo ułatwia on nam wielce osądzenie zasadniczej swej hypotezy. Ktokolwiek ma żywą świadomość samodzielnego istnienia swego ja i przekonanie, że takie istnienie niczem przerwanem być nie może, kto—jeśli użyjemy więcej utartych wyrażeń—wierzy w nieśmiertelność duszy, ten będzie musiał odrzucić zasadnicze zapatrywanie Lotzego, według którego pojedyńcze rzeczy wogóle, a także i dusze ludzkie samodzielnego istnienia nie mają, a są tylko działaniami jednego M, ogarniającego świat cały. Kto zaś zasadniczą hipotezę metafizyki Lotzego przyjmie, będzie z nim też musiał zrzec się wszelkiego stanowczego orzeczenia o nieśmiertelności duszy“ (str. 86).

W ten sposób odsłania p. Lutosławski wewnętrzne pobudki, które wpływały na ukształtowanie jego metafizyki. Idea nieśmiertelności duszy jest stanowczo dominującym w niej motywem, tak, jak kamieniem węgielnym jego filozofii praktycznej.

Zresztą w poglądzie panteistycznym Lotzego dostrzega on pewną niejasność, a „punkt wyjścia, który Lotzego doprowadził do postawienia swej teoryi o M, mianowicie trudność zrozumienia wzajemnego działania rzeczy jednych na drugie, nie jest wcale przez tę teoryę wyjaśniony” (str. 61).

Te pierwsze zawiązki poglądu na świat znalazły wyraz bardziej określony i związały się w całość pod wpływem zetknięcia się z opiniami przeciwnemi i ożywionej dyskusyi, wywołanej przez nie w czasie pobytu p. Lutosławskiego w Chicago na t. zw. „Parlamencie Religii" w r. 1894. Wkrótce potem umieścił on w kwartalniku filozoficznym chicagowskim „*The Monist*" artykuł p. t. *In search of true beings* (W poszukiwaniu prawdziwych bytów), zawierający pierwszy szkic późniejszych jego prac w tym kierunku. „Jak trudno jest uniwersalistom zrozumieć indywidualistę—czytamy tu—o tem przekonać się miałem często sposobność, nigdy wszakże tak naocznie, jak kiedy spotkałem się w Parlamencie Religii w Chicago z przeważną większością uniwersalistów, pochodzących z rozmaitych części świata. Pytano mię, jaka jest moja wiara, a nie mogłem w tym względzie powołać się na żadne znane imię, nigdy bowiem nie spotkałem w dziełach filozofów cudzoziemskich dokładnego wyrazu dla mego polskiego indywidualizmu. Przypominając sobie pytania przyjaciół moich uniwersalistów, z którymi miewałem liczne dyskusye przed dwoma laty w Chicago, postarałem się wyjaśnić w krótkości naukę naszego bractwa polskiego, kościoła, który nie ma pism świętych ani powag, lecz ma najsilniejszą wiarę na ziemi" [1]).

Już te kilka słów wskazuje na to, iż główny nacisk zamierza położyć p. Lutosławski w swoim poglądzie na świat nie na pluralizm metafizyczny, lecz na indywidualizm etyczny, któremu chce zarazem (na wzór Libelta i innych duchów twórczych z okresu najpiękniejszego rozkwitu filozofii ojczystej), nadać charakter filozofii narodowej.

„Uniwersalista, czytamy dalej, czuje się zawsze zależnym od czegoś: od idei, atomów, Boga, społeczeństwa. Nigdy nie uznaje, iż jest sam prawdziwym, niezależnym bytem. W polityce broni wszechpotęgi państwa; w ekonomii — monopolu produkcyi; w religii — posłuszeństwa prawom ogólnym, raz na zawsze ustanowionym, zmuszającym każdą jednostkę do wyrzeczenia się swojej indywidualności; w psychologii zaprzecza wolności woli, a jeśli chce być konsekwentnym, nigdy nie uznaje nieśmiertelności osobowej". Przeciwstawnością tych poglądów jest indywidualizm. „Ja mam byt najrzeczywistszy, a obok mnie

---

[1]) *Monist.* 1895. str. 352.

istoty do mnie podobne" — tak formułuje p. Lutosławski zasadnicze twierdzenie indywidualizmu.

Co do narodowego charakteru indywidualizmu, to słusznie widzi p. Lutosławski w wymaganiu jednozgodności, które istniało w sejmie polskim, wyraz wysokiego szacunku dla wolności jednostki, chociaż przyznaje, że żądanie to pociągnęło za sobą fatalne następstwa. „Owo dziwne i nigdzie więcej nieznane uznanie dla mniejszości, nawet wtedy, gdy mniejszość tę reprezentuje jeden, doprowadziło Polskę do anarchii i do utraty niepodległości politycznej; niemniej wszakże zostaje dla całej ludzkości idealnem urzeczywistnieniem indywidualizmu. Nigdzie też indywidualizm nie znalazł tak typowych przedstawicieli, jak wśród Polaków. Za przykład cytuje autor improwizacyę Konrada z Dziadów[2]).

Na kilku stronicach wymienionego artykułu szkicuje p. Lutosławski cały zarys poglądu na świat, który w rozwiniętej formie znajdujemy w *Seelenmacht*, a rzec możemy, nie czyniąc ujmy tej książce, że w szkicowej formie pogląd ten jest bardziej przejrzysty, silniej wyrażony i ma większą siłę przekonywającą, niż w rozwiniętej.

„Jak przyrodnik wyobraża sobie, iż wszystko jest utworzone z atomów i że atomy te stanowią prawdziwe składniki każdego zjawiska materyalnego, tak metafizyk sprowadza sam atom do jego prawdziwej przyczyny, do monady świadomej, zdolnej wyobrażać atomy w umyśle swoim i tworzyć przestrzeń i czas dla ruchu tych

---

[2]) Nie możemy w artykule niniejszym wchodzić w bliższy rozbiór kwestyi. o ile indywidualizm, pojęty tak, jak go p. Lutosławski przedstawia, jest istotnie wyrazem ducha narodowego. Najbardziej udzielił miejsca tej myśli autor w artykule *Un peuple individualiste*, umieszczonym w „Bibliothèque Universelle" (Lozanna, 1895 r.). Zaznaczymy wszakże, że wcale niepochlebnem ani pociągającem jest podnoszenie do godności trwałych cech narodu (których wyrazem ma być filozofia indywidualistyczna) pewnych wad, przez samego autora za takie uznanych. Pomijamy już smutnej pamięci *liberum veto*. Ale autor chce uważać za cechę narodową skłonność do ufania silnym osobowościom, np. Napoleonowi i dodaje: „jest to cechą znamienną indywidualisty, że więcej ufa obietnicom jednostki, niż logice idei ogólnych" (l. c. 14). Przytoczywszy gdzieindziej zdanie, że, gdzie się spotka dwu Polaków, tam wygłoszone zostają trzy rozmaite opinie o tej samej rzeczy, dodaje: „Ten krańcowy indywidualizm, który czyni Polaków słabymi, gdy są w większej liczbie, stanowi ich siłę, gdy są rozdzieleni. Nie powinniśmy zapominać, że wielkie idee nie powstają w tłumach". Aleź obrona taka—to skazanie narodu na niemożliwość wspólnego działania!

wyobrażalnych atomów. Kartezyusz i Leibniz, czytamy w innem miejscu, nie byli, zdaje się, zupełnie pewni swego istnienia i sądzili, iż byt i czynności Boga łatwiej mogą być zrozumiane. Byli oni częściami, objawami lub sługami swego Boga; ja jestem panem siebie samego."

Bliższe określenie stosunku indywidualizmu do innych poglądów na świat znajdujemy w dziełku „*Ueber die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistischen Weltanschauung*". Wszystkie poglądy na świat dadzą się rozdzielić na dwa rodzaje: monistyczne i pluralistyczne. Moniści twierdzą, że wszystkie istoty tworzą jedną zamkniętą całość. Takie niezgodne z terminologią przyjętą określenie monizmu, kładące nacisk na ilościową jedność bytu— kiedy zwykle pod tą nazwą obejmujemy poglądy, przyjmujące jakościową tożsamość bytu (w przeciwstawności do dualizmu, opierającego się na przypuszczeniu dwu różnorodnych substancyi: duchowej i cielesnej), nie przeszkadza autorowi obok panteizmu i idealizmu zaliczyć do poglądów monistycznych także i materyalizmu atomistycznego, „który, pomimo uznania mnogości atomów, znosi ją natychmiast przez twierdzenie o ich jakościowej tożsamości."

Żaden z tych poglądów nie bierze pod uwagę jedności świadomości. Świadomość osobowa służy za punkt wyjścia spirytualizmowi, uznającemu rzeczywiste istnienie duszy. Krok ten uczynił już był Platon w swoim Teetecie. Wkorzeniona skłonność do sprowadzania wszelkiego bytu ku jedności nie dała się przezwyciężyć. Spirytualizm udał się do środka, restytuującego zerwaną jedność, wywodząc wszystkie dusze od jednego Stwórcy. Jest to ostatni pogląd monistyczny[1]), rozpowszechniony w szerokich kołach za pośrednictwem religii chrześcijańskiej. Wszystkim tym poglądom na świat, które zalicza do gromady monistycznych, przeciwstawia autor indywidualizm, jako pogląd pluralistyczny, dotąd jeszcze przez żadnego z filozofów konsekwentnie nie przeprowadzony, ale niejednokrotnie w życie wcielany przez jednostki lub całe narody. Do takich wybitnie indywidualistycznych narodów należą, zdaniem p. Lutosławskiego, Polacy.

Nie brakło wszakże i wśród wynurzeń filozofów myśli, które mniej lub więcej zbliżały się do indywidualizmu. W mistycznej for-

---

[1]) W znaczeniu autora; dualistyczny w potocznem użyciu wyrazu, gdyż przyjmuje materyę obok ducha.

mie wynurzył pogląd ten Platon w „Fedrze”, a w „Parmenidesie” uznał równe prawa przypuszczeniom mnogości i jedności bytu. Kartezyusz, uzasadniając całą filozofię na bycie własnym, stanął wyraźnie na stanowisku indywidualistycznem, lecz później zboczył z tej drogi, zmuszony do wprowadzenia pośrednictwa boskiego w oddziaływaniu wzajemnem dusz.

Kant, zbijając dowody na korzyść niesamodzielności dusz, utorował drogę dla indywidualizmu, a Herbart byłby dał mu wyraz zupełny, gdyby nie nadmierny nacisk, jaki kładł na prawidłowość zjawisk psychicznych. W najnowszych czasach motywy indywidualistyczne rozwijali Lotze i Teichmüller. Wymieniony jest także i Ruskin pomimo wyraźnej socyalistycznej tendencyi swojej, jako jeden z rzeczników indywidualizmu na polu etycznem i estetycznem, dziwnym zaś zbiegiem okoliczności pominięta zostaje cała polityczna filozofia XVII i XVIII stulecia, której indywidualizm zawdzięcza nazwę i pojęcie zasadnicze. Nie jest to pominięcie przypadkowem w tem tylko miejscu. Rozwijając swoje ideały polityczne w „Seelenmacht”, p. Lutosławski traktuje politykę tak, jak gdyby po Platonie i Arystotelesie nic nie zdziałano w tym zakresie.

Zaznaczywszy w ten sposób genezę systematu i jego stosunek do innych, przejdziemy do jego przedstawienia szczegółowego, trzymając się przeważnie głównego w tym przedmiocie dzieła—„Potęgi dusz” (Seelenmacht) z odwołaniem się w miarę potrzeby do innych prac.

Autor zaczyna swój wykład od krótkiego rozdziału o wierze i wiedzy. Wiedza nie stoi w sprzeczności z religią, ponieważ nigdy nie możemy wiedzieć o nieistnieniu czegoś. Nie można więc np. w imię wiedzy zwalczać objawienia; możemy nie ufać świadectwu jego, lecz nie możemy dać naukowego dowodu jego nieistnienia. „Ponieważ zaś wszystkie religie spoczywają na podaniach o objawieniu, niema więc sprzeczności między wiarą a wiedzą”. W niektórych wypadkach, gdy taka sprzeczność ukazywała się pozornie, jak np. w kwestyi ruchu ziemi, przedmiot nie należał właściwie do zakresu wiary religijnej, jak tego dowodzi pojednanie się późniejsze kościoła z nauką Kopernika. Wreszcie nie była to kwestya czysto teoretyczna: szło tu o narodzenie się obok kościoła nowej powagi w postaci wiedzy.

Jeśli więc ilość wierzących wśród tych, co oddają się wiedzy lub przyswajają sobie jej owoce, jest nieznaczna, nie pochodzi to

stąd, iżby wiedza logicznie obalała wiarę, ale stąd, że wyrabia ona nawyknienie przeciw wierze: polegania na tem tylko, co wiemy[1]).

Ponieważ zaś na wiele pytań, i to najważniejszych dla nas, wiedza nie daje wcale odpowiedzi, nauczyciele zaś rozmaitych religii zostają w sprzeczności z sobą, więc wielu ludzi wykształconych przez całe życie zostaje bez wiedzy i bez wiary w tych kwestyach.

Istnieje wszakże (od czasów Platona) umiejętność, która może dać o nich wiedzę. Jest nią filozofia. Przebiegłszy następnie przyczyny, które zachwiały w nowszych czasach wiarę w filozofią (w ich liczbie znajdujemy i tę, że wielu ludzi, nie mających pojęcia o filozofii, pisało o niej), autor przechodzi do wyliczenia wymagań, jakim dziś zadość czynić powinien filozof.

Powinien on przedewszystkiem mieć wykształcenie filozoficzne, wystarczające do czytania pism dawnych i nowych filozofów. Musi dalej posiadać gruntownie pojedyncze gałęzie przyrodoznawstwa, „nie na to, by na nich opierać swoją filozofię, lecz aby dostrzedz, jak każdy szereg zjawisk rozkłada się na inny, mniej dostępny, dopóki w tym postępie od zjawisk ku rzeczywistościom, które później okazują się również zjawiskami, nie zostanie nareszcie osiągnięta rzeczywistość bezwzględna.“ Dalej powinien filozof obeznać się doskonale z użyciem symbolów matematycznych, aby uniknąć niebezpieczeństwa pomieszania prawdopodobieństwa z pewnością, symbolu z rzeczą; powinien posiadać wiele języków, w których znalazły już wyraz zagadnienia filozoficzne, aby poznać stosunek wyrazów do pojęć, mowy do myśli. Powinien przebyć doświadczenia życiowe: uczucia i namiętności, aby poznać wnętrze swojej istoty, w jej rozterce bolesnej ze światem zewnętrznym wypróbować ciężar odpowiedzialności, którą pociąga za sobą zarząd majątkiem, władza polityczna, małżeństwo i wychowanie dzieci—gdyż w warunkach tych może najlepiej poznać rozmaitość stosunków osobistych; pożądanem jest, aby doznał także przemian i przeciwności losu oraz zmiany stosunków ludzkich przy odmiennej fortunie. Wreszcie zapomocą podróży powinien zapoznać się z wielką liczbą ludzi rozmaitych ras,

---

[1]) Świetne uzasadnienie historyczne tej zupełnie poprawnej pod względem psychologicznym uwagi daje H. Lecky w swojej *Historyi Oświaty w Europie.*

narodowości i religii, aby wznieść się ponad wszelkie przesądy i pojąć ludzkość, jako całość.

„Kto w świetle tych wszystkich doświadczeń wtajemniczy się w naukę największych myślicieli i dokładnie pozna to, co wszyscy mają wspólnego, co zatem stanowi jego dziedzictwo — wtedy niezawodnie osiągnie gruntowną i niezachwianą wiedzę o znaczeniu i celach życia, jeśli tylko przyniósł z sobą na świat najrzadszą ze zdolności ludzkich—zdolność oglądania czystej prawdy. Kto spodziewa się, iż znajdzie filozofię gotową w podręczniku, jak każdą inną umiejętność poszczególną, ten narażony jest na liczne zawody" [1]).

Widzimy, że niełatwo zdobyć miano filozofa w oczach p. Lutosławskiego. To też wylicza on zaledwie kilku filozofów prawdziwych w całych dziejach ludzkości.

Nie możemy tu pominąć milczeniem trafnych uwag, które czyni autor co do stopniowania w umiejętności czytania: wykazawszy nieskończony przedział, jaki oddziela sylabizowanie dziecka lub nawet wprawne czytanie chłopca od czynności uczonego, odcyfrowującego stary papirus, lub krytyka, badającego wszechstronnie dzieło, stawia on jeszcze wyższy ideał czytelnika. „Czytelnikiem takim jest badacz, który nie tylko doskonale rozumie i ocenia każdy wiersz przeczytany, lecz osądza jednocześnie wszystkie stosunki przeczytanego do zbliżonych lub przeciwnych poglądów, jasno rozumiejąc, co ono daje dla wiedzy ludzkiej, a nawet snując poprawne wnioski o osobie autora" [2]).

Takich czytelników oczywiście niewielu. Więc nieumiejętność czytania staje się jednem ze źródeł przesądu przeciw filozofii. Drugiem jest ta okoliczność, iż, aby dojść do pewnych pojęć wyższego typu, potrzebnem jest stopniowe przebycie szeregu niższych. Większość ludzi wykształconych zatrzymuje się w swoim rozwoju na pewnych stopniach niższych, nie dochodząc nigdy do pojęć szczytowych. Te same wyrazy mają inne znaczenie w zależności od stopnia, jaki osiągamy w hierarchii prawd.

Nawet w wiedzy przyrodniczej istnieją różnice osobiste w spostrzeżeniu, których nie można wykluczyć przez najlepsze narzędzia obserwacyi. Tem większe muszą być w filozofii, która polega na znajomości świata wewnętrznego, o wiele zależniejszego od indywi-

---

[1]) *Seelenmacht*, str. 8—9.

[2]) l. c. str. 10.

dualności badacza. Zgoda więc powszechna jest tu trudniejszą do osiągnięcia, nie jest wszakże niemożliwą.

„Prawdę przyrodniczą możemy dowieść tylko takim istotom, które podobne są pod względem ujęć zmysłowych do obserwującego. Również i każdą prawdę filozoficzną można uczynić jasną tylko dla ograniczonego koła myślicieli, dostatecznie przygotowanych, którzy przyswoili już pojęcia przygotowawcze i doszli do tegoż stanu psychologicznego, w jakim znajduje się ich nauczyciel" [1]).

Nie wszyscy ludzie obdarzeni są zupełnie jednakową wrażliwością zmysłową, na której spoczywa przyrodoznawstwo; ale częściej dają się dostrzedz pewne braki w danych świadomości (rodzaj daltonizmu umysłowego), chociaż dane, na których opiera się filozofia, wspólne są, mówiąc wogóle, wszystkim ludziom wykształconym. Postęp wiedzy przyrodniczej odbywa się dzięki udoskonaleniu przyrządów, filozofii—przez coraz wyższe wykształcenie umysłu. Ponieważ zaś w tym względzie zachodzą wielkie różnice indywidualne, zdarza się więc często, że mniej wykształceni hołdują poglądom, które przez filozofów dawno zostały odrzucone. Zmienność teoryi nie dowodzi chwiejności nauki, a przy powrocie pozornym dawnych poglądów znaczenie wyrazów i treść pojęcia ulega znacznej przemianie. Są wreszcie w filozofii prawdy zupełnie trwale udowodnione; tak np. nikt po Kancie nie może uważać rzeczy zmysłowych za rzeczywiście istniejące.

Zadaniem zresztą autora w tem dziele nie jest udowodnienie swego poglądu. Cel jego zostanie osiągnięty, jeśli potrafi uczynić go zrozumiałym. „Właściwem stanowiskiem czytelnika w stosunku do dzieła filozoficznego jest przedewszystkiem chęć zupełnego zrozumienia autora, zanim uczyni próbę przyjęcia lub odrzucenia poglądów jego. Powinniśmy sobie wyobrazić naprzód, że mamy do czynienia ze światem wewnętrznym pojedyńczego myśliciela, zanim zaczniemy badać jego doniosłość powszechną" [2]).

---

[1]) l. c. str. 15.

[1]) l. c. str. 17.

[8]) Rozdział ten stanowi niejako popularne przedstawienie zasad teoryi poznania autora. Uzupełniamy go skondensowanem przedstawieniem tych zasad, które znajdujemy w *Genezie Eleuteryzmu* („Sprawozdania Akademii Umiejętności w Krakowie", kwiecień, 1900): „W zakresie logiki eleuteryzm usuwa pewność bezwzględną t. zw. pewników i siłę obowiązującą praw przyrody lub ducha. Pewniki

Po tych uwagach wstępnych przechodzi autor do głównego punktu swojej nauki — istnienia duszy. Wielu jest takich, powiada on, którzy zaprzeczają istnienia duszy; ci wszakże nie rozumieją samego wyrazu. Używają jednak zaimka „ja", a znaczenie jego jest to samo, co duszy. „Na nic nie przyda się argument, że dusza jest tylko sumą władz lub czynności. Każda czynność przypuszcza kogoś, kto działa, jest czynnością czyjąś".

Wątpimy, aby dowodzenie to przekonało materyalistów, którzy wszakże twierdzić mogą, że machina także wykonywa czynności i że „działaczem" w danym wypadku może być nie dusza, lecz mózg. Największe oburzenie wśród fizyologów [1]) wywołało zaprzeczenie przez p. Lutosławskiego udziału mózgu w czynnościach psychicznych. Twierdzi on, że obserwowane zaburzenia czynności duchowych, wywołane przez uszkodzenia mózgu, nie mogą być przytaczane za dowód, jakoby czynności te były wytworem mózgu: dowodzą one tylko, że uszkodzenia owe przeszkadzają wyrażeniu ich nazewnątrz.

Jest pewien pozór słuszności w tej argumentacyi. Istotnie, jeśli odwołamy się do często używanego porównania mózgu z subtelnym instrumentem muzycznym, np. fortepianem, a duszy z muzykiem, to łatwo zrozumiemy, że współudział obu czynników (t. j. muzyka i fortepianu) jest niezbędnym dla prawidłowej czynności. Że wszakże temu, który owego muzyka nie będzie widział, pozory łudzące

---

są to sądy indywidualne, wspólne tym, którzy przeszli przez te same stadya rozwoju umysłowego. Nie mają one doniosłości poza kresami naszego psychologicznego doświadczenia i, nie będąc nawet fałszywymi, mogą być zastąpione przez nowe pewniki, gdy postęp umysłowy doprowadzi nas do nowych pojęć"... „Prawa przyrody są tylko zbliżonemi formułami dla wyrażenia wrażenia, wywartego przez monady pewnego rzędu (świat fizyczny) na monady wyższego rzędu (dusze przyrodników)"... „Każda prawda jest względna i wyraża tylko stosunek monady poznającej do monad, stanowiących przedmiot jej poznania" (str. 8, 9).

[1]) Nie sami wszakże fizyologowie. Z wielką stanowczością potępił podobneż zdania, wynurzone w *Grundvoraussetzungen* etc. (np. „weit davon entfernt, um denken zu dienen" ist der Gehirn vielmehr „ein Organ der Vergesslichkeit und Gedankenlosigkeit", „ein Hinderniss für das Denken" i t. p.), p. Arvid Grotenfelt w swoim rozbiorze tej książki („Zeitschrift für Philosophie, T. 114, zesz. 2). Niejednokrotnie i słusznie zaznaczano, że, skoro filozofia przestanie się liczyć ze zdobyczami naukowemi, popadnie niechybnie w taką samą pogardę, w jakiej znalazła się po wielkim kryzysie idealizmu. To też obowiązkiem wszystkich filozofów jest czuwać nad tem, aby nie popełniano tego rodzaju nadużyć, jakiemi są z jednej strony zaprzeczanie niewątpliwych faktów wiedzy, z drugiej—odwoływanie się do wątpliwych lub niedowiedzionych, jak np. telepatya.

z łatwością nasunąć mogą przypuszczenie, jakoby cała rzecz polegała tylko na fortepianie. Bo z jednej strony jakiś przypadkowy bodziec (np. wędrówka kota po klawiszach) wywoła szereg dźwięków, przypominający mniej więcej w takim stopniu pasaże artysty, w jakim doświadczenia nad ośrodkami psychomotorycznymi [1]) przypominają czynności świadome. Z drugiej zaś, jeśli fortepian będzie zupełnie odstrojony, tak, że odpowiedniość pomiędzy wysokością tonu a położeniem struny zostanie zupełnie zniweczoną, to ręce najwprawniejszego wirtuoza wywołają tylko bezładny chaos dźwięków—stan rzeczy, który możemy porównać do położenia obłąkanego. Nie możemy wszakże w żaden sposób przyjąć stanowiska tak dalece negacyjnego względem udziału mózgu w czynnościach psychicznych, jakie znajdujemy u p. Lutosławskiego. Przytaczano w tym sporze argument, stanowczo zbijający twierdzenie, jakoby mózg był tylko organem ruchu: jest nim czysto podmiotowa zmiana usposobienia i przebiegu myśli pod wpływem trucizn, działających na mózg (alkoholu, haszyszu i t. d.) Nie rozstrzyga to wszakże bezwzględnie kwestyi, czy myśl jest „wytworem” mózgu, czy nie.

Wszystko, cośmy przytoczyli, przemawia tylko za tem, że w obserwacyach psychologicznych ani fizyologicznych nie znajdujemy danych, wystarczających dla rozstrzygnięcia kwestyi na tę lub ową stronę. Istotne przezwyciężenie materyalizmu znajdujemy, jak wiadomo, w teoryi poznania, która wszakże również mało przychylną się okazuje i dla spirytualizmu, zwłaszcza tak dogmatycznie pojętego, jak u p. Lutosławskiego.

Stanowisko to, zdaje się, przyjął on bardzo wcześnie, twierdząc zgodnie z Schopenhauerem (który, jak wiadomo, krytykował Kanta na tym punkcie), że „jaźń” nie jest zjawiskiem, tylko rzeczą w sobie i że przez jej pośrednictwo możemy dojść do innych rzeczy pozazjawiskowych. Twierdzenie to spotykamy w jednym z najwcześniejszych artykułów p. Lutosławskiego[2]), gdzie również znajdujemy przychylny sąd o telepatyi. Przyjąwszy to założenie w samym początku swego zawodu filozoficznego, autor prawdopodobnie nie poddawał go dalszemu badaniu krytycznemu, zajęty więcej snuciem

---

[1]) Nie rozumiemy, dlaczego autor, argumentując przeciwko fizyologom, ogranicza ośrodki psychomotoryczne tylko do ośrodków mowy.

[1]) „Współczesny ruch teozoficzny w Anglii, Ameryce i Indyach Wschodnich“ w „Ateneum“, 1888, II, 204. Pierwsza praca drukowana p. Lutosławskiego ma datę 1885 r. Jest to rozprawa niemiecka „o prawie przyśpieszenia przy tworzeniu się eterów (chemia)“.

z niego konsekwencyi i doprowadzeniem ich do harmonii z poglądami etycznymi i społecznymi. To też ten węgielny punkt jego idealizmu indywidualistycznego najsłabiej jest uzasadniony.

Dowód substancyalności duszy oparty jest na dwuznaczności wyrazów: „Ponieważ wyraz „ja" odnosi się tylko do osoby, która go używa, potrzebujemy więc wyrazu na oznaczenie całego gatunku, którego jesteśmy jednym z przykładów i nazywamy istoty świadome siebie, tak, jak my tego jesteśmy, — duszami. Przez to rozstrzygnięta jest kwestya istnienia duszy, nikt bowiem nie wątpi o swem własnem istnieniu. Nazywamy poprostu duszą każdą istotę, która czuje, myśli i działa, wprawiając w ruch i ożywiając ciało" [1]). Nieco dalej znowu czytamy: „Dążenie do określenia duszy może być wszakże zadość uczynione, skoro znajdziemy pojęcie ogólne, w którem dusza może występować, jako przykład szczegółowy. Takie pojęcie ogólne nazywają filozofowie substancyą" [2]). Dwojakim sposobem dochodzono w ciągu dziejów myśli ludzkiej do pojęcia substancyi: to uważając ją za ostatnią przyczynę czynną wszechrzeczy, to jako całość, której częściami są wszystkie rzeczy. Początkowo wyobrażano sobie rozmaite substancye, jako ostatnią przyczynę wszechrzeczy. „Wszystkie te przypuszczenia wszakże nie brały pod uwagę, że wszechświat, atomy, eter zależą od czegoś innego; potrzebują mianowicie duszy, którahy je pojmowała. Pierwszy Platon uznał duszę za jedyną rzecz, nie potrzebującą dla swego istnienia żadnej innej, a jednocześnie zrozumiał, że objawy cielesne muszą być ruchami, których przyczyny ostatecznej szukać należy w duszy" [3]).

Nie ulega wątpliwości, że Platonowi przypada ta zasługa; a jeśli pojęcie duszy będziemy uważali, jako pomocnicze w badaniach naukowych z zakresu nauk duchowych, czyli humanitarnych (*humaniora)*, tak, jak już je sam Plato stosował, jako zasadę więc heurystyczną, możemy zgodnie z autorem nazwać myśl Platona „wielkiem odkryciem metafizycznem", niemniej płodnem w następstwa w dziedzinie swojej, jak płodnem okazało się w dziedzinie przyrodoznawstwa drugie równoległe „odkrycie": odkrycie substancyi materyalnej, bezwładnej, dokonane przez Leucyppa, a za podstawę mechanicznego pojmowania świata przyjęte przez Demokryta. Twierdzenie zaś p. Lutosławskiego, że odkrycie substancyalności duszy

---

[1]) *Seelenmacht*, str. 28.
[2]) l. c. str. 34. [3]) l. c. 35 — 36.

„nie wymagało żadnych innych środków prócz dojrzałości logicznej umysłu", można z równą słusznością zastosować do owego drugiego—bezwładności i substancyalności materyi. Jeśli wszakże p. Lutosławski, jako filozof, odrzuca dogmatyczne przyjęcie materyi, jako substancyi, rzeczywiście istniejącej, to ten sam krytycyzm konsekwentnie dałby się zastosować i do substancyalności duszy. Jedno i drugie przecież w oczach filozofa stanowi tylko hypotezę pomocniczą, nić przewodnią, dokoła której grupują się pojęcia każdej z obszernych gałęzi umiejętności ludzkich. Rozkład zjawiska wszechświatowego, cielesno-duchowego na te dwa czynniki był istotnie z jednej strony wynikiem dojrzałości myśli badawczej, z drugiej niezbędnym warunkiem dalszego badania naukowego, zaznaczając już na samym początku rozdział między dwoma obszarami wiedzy, z których jeden ma za przedmiot przeważnie zjawiska świadomości, wewnętrzne, drugi — przyrodę zewnętrzną. Teorya poznania uczy nas, że, jak pojęcie materyi jest wyrazem jedności apercepcyi (zewnętrznej), tak pojęcie duszy wciela w sobie jedność stanów świadomości, którą symbolizujemy słowem „ja". Istnienie więc tego zaimka nie jest lepszym dowodem substancyalności duszy, niż obecność w języku wyrazu „rzecz"—substancyalności materyi[1]).

Nie wolno więc filozofowi powoływać się w tym względzie na doświadczenie bezpośrednie, jako na dowód istnienia, a tembardziej

---

[1]) Bezzasadność argumentu, którym posługuje się p. Lutosławski, argumentu, używanego stale przez *Psychologia rationalis* szkoły Wolfa, wykazał Kant w „Krytyce czystego rozumu" w znakomitych paralogizmach swoich. „We wszystkich sądach, czytamy tu, jestem przedmiotem określającym owego stosunku, który omawia sąd. Że zaś owo Ja, które mam na myśli, musi być zawsze uważane w procesie myślenia za przedmiot, nie zaś za coś, co może stać się prostem orzeczeniem, dodanem do myślenia, jest to zdanie apodyktyczne, a nawet identyczne; nie znaczy ono wszakże, abym ja, jako przedmiot, był sam przez się istniejącym bytem, czyli substancyą."

Całe rozumowanie da się ująć w następującą formę wnioskowania:

Co nie może być pomyślane inaczej, jak podmiot, nie istnieje też inaczej, jak podmiot, a więc jest substancyą.

Istota myśląca, rozważana jako taka, nie może być inaczej pomyślana, tylko jako podmiot.

Istnieje więc tylko, jako taki, czyli jest substancyą. Przedmiot, o którym mowa w przesłance większej, nie jest identyczny z tym, który mamy na myśli w mniejszej; w pierwszej bowiem mówi się o istocie, która we wszelkich sposobach (a więc i w intuicyi) może być daną; w drugiej—tylko o podmiocie myśli. Jest to więc *sophisma figurae dictionis* (Elementarlehre II. Paralogismen der reinen Vernunft (str. 310—12 wyd. Meyera).

substancyalności duszy, jak to czyni p. Lutosławski, gdy mówi: „Widzimy zieloność trawy i w ten sam sposób zmuszeni jesteśmy doświadczyć substancyalności duszy, skoro tylko utworzymy pojęcie substancyi, a następnie zastosujemy je do siebie samych“ (str. 36). Również mało siły dowodnej zawiera i argument *ad personam*, który nieco niżej znajdujemy: ...„ktokolwiek nie umie odróżnić idei duszy od swojej własnej żywej duszy, ten nie dojrzał jeszcze do filozofii, ponieważ uważa sam siebie za nikogo i za nic, a więc nie zasługuje na to, by go traktowano, jako osobę“. Autorowi nie może być obcem, że wielu bardzo znakomitych filozofów, a w tej liczbie i Kant twierdzili, iż dusza jest ideą rozumu, to zaś, co bezpośrednio w sobie poznajemy, są to tylko pojedyńcze stany świadomości.

Zastosujmy się wszakże do życzenia autora: postarajmy się naprzód dobrze zrozumieć pogląd jego we wszystkich konsekwencyach, zanim zdecydujemy, czy mamy go przyjąć, czy odrzucić. Przyjmijmy więc tymczasowo jego twierdzenie zasadnicze, jako hipotezę, którą udowodnić z czasem wypadnie, i rozpatrzmy się w tym gmachu filozoficznym, który z niej się wysnuwa.

Kwestye oddziaływania duszy na ciało oraz umiejscowienia jej usuwają się, jako mało mające znaczenia dla metafizyka[1]): jak fizyk nie zajmuje się tem, co dzieje się wewnątrz atomów, ani nawet nie zadaje sobie pytania, czy mają one stany wewnętrzne, badając jedynie ich stosunki zewnętrzne, tak metafizyk nie pyta się, gdzie mieści się dusza ani jak wygląda, lecz — co się w niej dzieje. Duszę człowieka najlepiej poznajemy w wyrazie jego twarzy i w jego dziełach, nie zaś za pomocą sekcyi mózgu. Poznać i zrozumieć możemy dokładnie tylko dusze, zbliżone do naszej; możemy wszakże dostrzegać czynność i ocenić wyższość innych dusz. W ten sposób wytwarza się stopniowanie dusz: jedne zaledwie mogą nadać życie własnemu ciału, kiedy inne panują nad milionami i szerzą wpływ swój przez stulecia. Te różnice potęgi duchowej nie dadzą się w żaden sposób wytłómaczyć drobnemi różnicami budowy anatomicznej ciała[2]).

Należyte pojmowanie duszy polega na uważaniu jej za źródło wszelkich ruchów cielesnych. Rozumiejącego to nie zadziwią wcale

---

[1]) Druga zresztą rozwiązuje się przez przyjęcie podmiotowości przestrzeni w duchu Kanta.

[1]) I ten argument jest bardzo słaby; to bowiem, co przy niedokładnej wiedzy obecnej wydaje się drobną różnicą, może mieć ogromną doniosłość dla czynności fizyologicznej mózgu.

takie objawy, które nazywają cudami. Fizyka nie może zaprzeczać cudów: zajmuje się ona takimi tylko ruchami, których przyczyny są znane, i nic nie ma do czynienia z cudami. Wszakże najmniejszy ruch dowolny jest już cudem. Dusza działa na ciało: niema więc powodu, dlaczego nie miałaby działać na inne ciała, skoro, będąc nierozciągłą, jest do wszystkich jednakowo blizką. Choroba jest buntem ciała przeciwko duszy, a nieraz sam wysiłek woli może ją pokonać, czego rażącym dowodem — raptowne uzdrowienie Kościuszki w 1798 r. po otrzymaniu wiadomości o legionach. Potęgę duszy wyrabiamy drogą samopoznania.

Od pojedyńczej duszy przechodzi teraz autor do „świata dusz.” Jak dochodzimy do poznania istnienia innych dusz prócz naszej? Dlaczego nie uważamy innych ludzi za automaty? Trudną tę kwestyę rozwiązuje autor, przyjmując założenie, że każda dusza ma władzę oddziaływania na inne dusze. Tu już wchodzimy w zakres twierdzeń, najmniej zgodnych z duchem nowożytnego myślenia, którego stopniowy rozwój i wyrugowanie przeciwnego mu stanowiska średniowiecznego z taką głębią i subtelnością analizy przedstawił E. H. Lecky w swojej „Historyi Oświaty”; p. Lutosławski zrestytuowawszy już w poprzednim rozdziale niektóre z wierzeń owego tak dawno prześcignionego stanowiska, teraz przywrócić usiłuje takie, jak znaczenie snów, telepatya, które uzasadnia tem, że przecież mniej trudnem do zrozumienia jest oddziaływanie duszy na duszę, niż duszy na ciało, a widzi w niej nową władzę, którą powinniśmy w sobie rozwijać, ku czemu pierwszym krokiem jest wiara w jej istnienie. Działaniem bezpośredniem duszy na dusze innych tłómaczy autor wpływ genialnych dowódców na zwycięstwo wojska, działanie mówców, artystów i t. p., na co mu słusznie zarzuca jeden z krytyków obcych, że nie potrzebujemy się odwoływać do takich sposobów oddziaływania, skoro istnieją prostsze i widoczniejsze, jak mowa, gest i t. p. Działanie to wywierać może człowiek i na zwierzęta—jasny dowód, że i one dusze mają. Wogóle wszystkie czynności zwierzęce, nie wykluczając najniższych, są dziełem duszy. Analogia każe nam przyjąć, że i rośliny mają dusze. Rozwój zarodka, kiełkowanie jest dziełem duszy. „Las jest wielkiem społeczeństwem słabo rozwiniętych dusz, które pracują nad tem, aby z kwasu węglowego, zawartego w powietrzu, i z cząstek mineralnych wytwarzać drewno. Cel to zapewne skromny, lecz niemniej godny szacunku, jak niejedna praca ludzka” [1]). Walka o byt w świecie zwierzęcym i roślin-

---

[1]) l. c. str. 68.

nym jest szkołą dusz; uczy je rozszerzać zakres swojej czynności. Człowiek może oddziaływać i na dusze roślinne, gdyż, jak twierdzi nie bez słuszności autor, „skoro przyznaliśmy raz telepatyę, nie możemy jej żadnych granic zakreślić." Nie jest więc metaforą przysłowie, że ziemia tego najlepiej żywi, kto ją kocha.

Przechodząc wreszcie do świata nieorganicznego, p. Lutosławski bierze za podstawę ten obraz jego, który ku swoim celom wytworzyła fizyka. Atom staje się czującą monadą; przyciąganie i odpychanie — miłością i nienawiścią. Cały świat jest złożony z dusz o nieskończenie rozmaitem stopniowaniu. „Rzecz w sobie, której Kant szukał daremnie, znaleziona była już dawno przez Platona, a przez każdego, kto się poświęca filozofii, powinna być z równą jasnością uznana: bezpośrednio zna każdy z nas tylko jeden wzór rzeczy istotnej, t. j. siebie samego—według tego wzoru wszakże powinniśmy pojmować wszystko istniejące" [1]).

Jeśli wszakże zasadnicze pojęcie i nazwa pierwiastków, z których buduje swój świat p. Lutosławski, zapożyczone są od Leibniza, to w rozwoju pojęcia monady wykracza nasz filozof daleko poza granice swego pierwowzoru.

Jak wiadomo, u Leibniza każda z monad była zamkniętą w sobie: „Monada nie ma okien" [2]). Cały świat swój wewnętrzny rozwijała każda monada sama z siebie; aby zaś wyobrażenia wszystkich monad były zgodne z sobą (chociaż żadna nic nie wie o innych), t. j. aby myśli każdej odpowiadały rzeczywistości, do tego potrzebną była aż tak potworna myśl, jaką jest „harmonia przedustawna". Monady p. Lutosławskiego mogą, jak widzieliśmy, oddziaływać na siebie i obdarzone są wolnością zupełną, którą wyklucza systemat Leibniza, gdzie każda monada, stworzona przez Boga, ma w sobie wszystko z góry uregulowane, jak zegar, urządzony przez zegarmistrza na całą wieczność.

Wolności tej, stanowiącej główny punkt jego indywidualizmu, broni p. Lutosławski przeciwko roszczeniom determinizmu. „W gazach przyjmujemy pewną przeciętną prędkość cząsteczki dla określonej temperatury i ciśnienia. Lecz zboczenia pojedyńczych cząsteczek od tej przeciętnej są nieobliczalne". To samo stosuje się do działań ludzkich. Każda dusza ludzka zosobna ma świadomość wol-

---

[1]) l. c. str. 71.

[1]) *Monadologie* § 7 „Les Monades n'ont point de fenêtres, par lesquelles. quelque chose y puisse entrer ou sortir". Leibnitzii *Opera Omnia* Erdmanni ed. Vol. II, str. 705. Por. także § 11.

ności swej, lecz przy wielkiej masie czynności wydają się dosyć prawidłowe, aby można je było zgóry obliczyć. W ten sposób tłómaczy się stałość liczb statystycznych, dotyczących dowolnych czynności ludzkich. „W krótkim okresie, dla którego stałość ta ma miejsce, nie odbywa się znacznych zmian. Nielicznym duszom bowiem tylko dana jest możność przyśpieszenia swego naturalnego rozwoju zapomocą wysiłków woli, a dusze te nie mają wyraźnego wpływu na wynik zbiorowy, gdyż ludzie przeciętni stanowią ogromną przewagę” [1].

Wolność indywidualna monady jest tem większa, im bardziej rozwinięta monada, im szerszy zakres jej działalności oraz im dalej po za nią samą sięgają jej cele. Najprostsze społeczeństwo monad przedstawiają gazy, w których składające je jednostki usuwają się od obserwacyi, całość zaś tak się zachowuje, że wyniki można ująć w proste formuły. Bardziej skomplikowane stosunki panują w cieczach; komplikacya podnosi się bardziej, gdy mamy do czynienia z roztworami; zjawiska krystalizacyi stanowią dalszy stopień. Jeszcze wyższy znajdujemy w ciele rośliny: „Gdy botanik przypuszcza, iż może wytłómaczyć pochodzenie każdego pączka i sprowadzić do przyczyn nieuniknionych rozkład kwiatków na każdej gałązce, wiara ta na niczem nie jest oparta. Może on z największą starannością wytwarzać ściśle jednakowe warunki dla dwu jednakowych zarodków, a dostrzeże w dorosłej roślinie różnice, które jawnie świadczą o wolności dusz roślinnych, nie dają się bowiem wytłómaczyć powszechnemi i koniecznemi prawami przyrody [1]).

„To, co nazywamy koniecznością, nie jest niczem innem, jak tem, co jest wspólne wielu lub wszystkim jednostkom, a na każdym stopniu zostaje ono w walce z rozkwitającą wolnością. Nawet największy człowiek nie jest wolny od wszystkich więzów; prócz tego

---

[1]) l. c. str. 73.

[1]) Nie potrzebujemy tłómaczyć czytelnikom naszym, że argumentacya ta bynajmniejby nie przekonała botaników; niema bowiem ani dwu identycznych zarodków, ani też nie możliwe są do stworzenia identyczne warunki ich rozwoju. Drobne zaś zboczenia, nawet zupełnie niepochwytne dla najdokładniejszych, jak na dziś, środków badania, mogą mieć ogromną doniosłość dla dalszego rozwoju. Tak dwa różniczkowo małe odcinki krzywych mogą się wydawać zupełnie jednakowymi; ale już w ich zrównaniach różniczkowych zawierają się zawiązki różnic, które z całą jaskrawością występują przy całkowaniu. Jeśli wszakże autor chce powiedzieć, że zasada konieczności nie ma (i nie może mieć) podstawy d o ś w i a d c z a l n e j, to powinniśmy mu przyznać słuszność: zasada ta bowiem musi być przyjęta, jako warunek konieczny samego doświadczenia.

liczyć się musi z koniecznościami wewnętrznemi, z częściami swojej istoty, przez które właśnie jest człowiekiem podobnym do innych ludzi. A nawet cząsteczka, ustawiczne odbywająca wahania, uwięziona pozornie w ciasnych granicach konieczności, posiada już pewien pierwiastek wolności: fizyk może obliczyć jej prędkość przeciętną, nie jest wszakże w stanie wytłómaczyć, dlaczego mianowicie w tym momencie przedstawia takie, a nie inne zboczenie od owej przeciętnej wielkości" [1]).

W miarę, jak wznosimy się coraz wyżej w szeregu istot, dostrzegamy, iż zakres ich czynności rozszerza się stopniowo. „To, co nazywamy ruchami dowolnymi, jest zdolnością zmieniania naszych stosunków do innych monad, przyczem nowe uczucia, pragnienia i wrażenia rugują poprzednie i popychają nieustannie ku nowym celom. Potężny pisarz, jak Szekspir, oddziaływa na czytelników swoich w wielu krajach i przez stulecia, kiedy człowiek zwyczajny nie panuje nawet nad najbliższymi sąsiadami."

Nowe badania, wykazujące mnogość ośrodków nerwowych, potwierdzają, zdaniem autora, dawną naukę o kilku duszach, czyli monadach podrzędnych głównej. Tak np. sprawa trawienia może zostaje pod kontrolą specyalnej monady. Również i czynności automatyczne tłómaczy autor działaniem monad podrzędnych. Duszę bowiem poznajemy tylko przez świadomość; co nie należy do świadomości, nie jest czynnością duszy. Gdy piszemy np., myśl zajęta jest treścią i formą tego, co wypowiadamy: kształt liter nie zajmuje wcale naszej uwagi. Któż czyni to za nas? Kto pilnuje tej podrzędnej roboty? Jakaś dusza drugorzędna; monada, kierująca tą funkcyą. Inna wyszukuje wyrazy dla myśli mojej (str. 80) i t. d. Wszystkie te dusze podrzędne zostają w warunkach normalnych pod kontrolą głównej; skoro jedna z nich dochodzi do takiej przewagi, że ściera się z główną o panowanie nad ciałem, następują zjawiska rozdwojenia świadomości lub obłędu.

---

[1]) l. c. str. 76.—I ten argument, jak wogóle wszelka próba obrony wolności w świecie zjawiskowym, nie wytrzymuje krytyki ściślejszej. Nie tylko przyczyna „zboczeń" od przeciętnej prędkości, ale i same zboczenia nie istnieją dla fizyka, dopóki rozważa zjawisko ryczałtowo. Gdyby wszakże zechciał śledzić kierunek i wielkość prędkości jakiejkolwiek pojedyńczej cząsteczki, znalazłby zawsze zależność obu od poprzedniego stanu prędkości oraz warunków sprężystego spotkania z inną cząsteczką, ta zaś prędkość poprzedzająca tak samo okazałaby się zależną od warunków poprzedzającego spotkania i t. d. do nieskończoności. Ta przyczynowość dlatego właśnie nieodłączna jest od świata zjawiskowego, że ją doń wprowadzamy w chwili, gdy zaczynamy go badać.

„Obłąkany nie jest tą osobą, która panowała poprzednio nad tem samem ciałem. Dajemy się uwieść ową tożsamością ciała i mówimy o obłędzie, jako o cierpieniu duszy, gdy w rzeczywistości jest on tylko nieobecnością duszy" [1]).

Dusze podrzędne z czasem stają się prawdziwemi duszami ludzkiemi po odbyciu należytej szkoły w tem położeniu, „tak, jak w społeczeństwie ludzkim zdarza się, że uczeń zostaje następnie nauczycielem". Hypoteza hierarchii dusz tłómaczy wiele zjawisk, a w każdym razie czyni zbyteczną „niedorzeczność nieświadomych czynności duszy".

Przyjmując hierarchię dusz, czyli monad, dochodzi autor konsekwentnie do pytania, czyimi pomocnikami jesteśmy? Kto względem nas pełni tę rolę, jaka przypada duszy naszej w stosunku do monad, składających ciało? Większość wśród nas ma przywódców takich w osobie wybitnych ludzi; idzie wszakże o innych, mniej znanych. Według tradycyi ludów są nimi bogowie; tradycya to wszakże powstała jeszcze w tych czasach, gdy wymagania od objaśnień naukowych były bardzo niewysokie. Faktem jest wszakże, że w niektórych czynnościach swoich ludzie bywają powodowani przez wpływy wyższe, co nazywa się pospolicie natchnieniem. Nie potrzebujemy wszakże przypisywać wszystkich wpływów bezpośrednio najwyższej Istocie. Analogia każe nam przypuszczać istnienie całego szeregu istot, umieszczonych nad nami, jak istnieje szereg niższych od nas. „Nie mamy żadnego powodu do przypuszczenia, że jesteśmy bliżej do szczytu, niż do podstawy w piramidzie bytów". Co do miary wyższości istot, określa się ona tem, „im potężniej i w bardziej rozmaite sposoby może na nas oddziaływać istota owa w porównaniu z naszem oddziaływaniem na nią," w tem bowiem objawia się większe bogactwo i doskonałość jej stanów wewnętrznych. Dlatego też dusze wyższe mogą zrozumieć i wytłómaczyć niższe, ale nie odwrotnie.

Świat dusz nie jest sztywnym systematem, ulegającym konieczności, jak wymarzony przez fizyków świat atomów. Gdy według przypuszczeń niektórych przyrodników wiecznie jednakowe ruchy atomów prowadzą stopniowo do jednostajnego rozkładu energii, a w końcu do powszechnej śmierci, nasz pogląd, przyjmujący po-

---

[1]) „Utrata rozumu przez duszę jest w równej mierze nieprawdopodobną, jak utrata jednego kąta przez trójkąt lub rozciągłości przez materyę", czytamy w szkicu polskim „O istocie duszy" („Z dziedziny myśli", str. 123).

stęp dusz, odsłania bardziej pocieszające widoki budzących się wciąż nowych energii i możliwości życia"... „W tym postępie dusz mamy przed sobą nieskończoną perspektywę, prowadzącą nas, ludzi, ku potędze boskiej. Wskazanie drogi do tego najwyższego celu jest dążeniem filozofii" (str. 86).

Poglądy swoje na istotę duszy rozwinął autor także po polsku w artykule, pisanym w r. 1896, a ogłoszonym po raz pierwszy w zbiorze p. t. „Z dziedziny myśli" [1]). W sposób niezwykle plastyczny wyprowadza on tu pojęcie duszy z konkretnego przykładu „Piotra"; również usiłuje dowieść, że „ciało nie jest ściślej i bliżej związane z czyjąkolwiek jaźnią, niż pewne przedmioty zewnętrzne" (np. koń z jeźdźcem, pióro z piszącym); a tylko analogią językową tłómaczy potoczny sposób wysłowienia się „Piotr ma duszę" (zamiast „Piotr jest duszą"). Jednakże, jeśli już mamy powoływać się na potoczne sposoby wysławiania się, to warto się zastanowić nad tem równouprawnieniem, które nadaje język obu pojęciom, nazywając zarówno ciało, jak duszę, „mojemi", równouprawnieniem, niepozbawionem głębszych źródeł, tkwiących w istocie naszego poznania.

Dowód istnienia duszy opiera się na istnieniu wyrazu „ja". Ponieważ bez tego wyrazu nikt się obejść nie może, a coś przezeń rozumieć musi, więc każdy człowiek ma duszę" (str. 107).

Spotykamy się tu także z myślą, że związek z ciałem niezbędny jest dla rozwoju duszy (str. 126); daje się to widzieć w tem, że dusza w tym stanie rozwija się niezwykle szybko, kiedy przeciwnie całe wieki poprzedniego jej istnienia są tak ubogie we wrażenia, że nie zostawiają żadnych wspomnień o życiu, poprzedzającem wcielenie. Nie znajdujemy wszakże wyjaśnienia, w jaki sposób dusza, tak uniezależniona przez autora w czynnościach swoich od wpływu ciała, może korzystać ze związku tego dla rozwoju swego. Nie zatrzymuje się też autor nad tą kwestyą w rozdziale, poświęconym rozwojowi dusz w „Seelenmacht". Znajdujemy tu natomiast wiele trafnych myśli, dotyczących wad wychowania dzisiejszego, a zwłaszcza pominięcia ćwiczeń duchowych, również niezbędnych, jak i cielesne [2]), bezcelowości wielu przedmiotów szkolnych; znaczenia i racyonalnej metody nauczania języków i symbolów matematycznych, jako też ustopniowania i najlepszego sposobu nauki w innych

---

[1]) III. „O istocie duszy". Str. 97.

[2]) Myśl, zapożyczona poczęści z filozofii indyjskiej, której nieodłączną częścią jest tak zwana *joga*, t. j. ćwiczenie duchowe.

przedmiotach. „Jest to olbrzymie zadanie, powiada autor, przyswoić sobie wszystkie wyrazy ze słownika i wszystkie prawidła gramatyki; lecz bardzo łatwo można zgadywać intuicyjnie wyrazy i prawidła, skoro przyswoimy sobie ducha narodowego, który stworzył jedno i drugie, i przejmiemy się nim.” Przytoczymy tu niektóre z podnioślejszych myśli autora.

„Postęp ludzkości, powiada on, wygrywa na prawdopodobieństwie, skoro dusza jednostki ma przed sobą nieograniczoną możność rozwoju. Obecne szranki rozwoju jednostek zależą od wadliwości organizacyi społecznej i wychowania, które dałyby się usunąć przez krótki przeciąg czasu, nie przekraczający okresu życia ludzkiego. Obecnie większość ludzi pracuje pod przymusem głodu, zagrażającego im, skoroby przestali pracować. Ćwiczenie zaś władz duszy wymaga wolności i wczasu, dostępnych dziś tylko niewielu, które wszakże przy zmianie stosunków społecznych stać się mogą niebawem dziedzictwem wszystkich” (str. 92—93).

Dziś wykształcenie ogólne stoi w pewnej sprzeczności ze specyalnem, gdyż niewielu tylko może poświęcać się pierwszemu wobec troski o byt. Może jeden tylko na milion doprowadza władze swoje do najwyższego rozwoju, a wielu takich, którzy mają możność, nie czynią tego. „Gdyby wszyscy, którzy mają ku temu sposobność, pracowali zgodnie dla tego szlachetnego celu, owo dziś tak rzadkie wykształcenie ogólne stałoby się z czasem również pospolitem, jak dziś noszenie obuwia w Europie środkowej, które niegdyś należało do zbytku, lub umiejętność pisania — niegdyś cecha wyjątkowej uczoności (str. 111).

„Okolicznością, która w najwyższym stopniu przeszkadza prawdziwej produkcyjności i utrudnia wszelkie ćwiczenia, jest ta, że przymus materyalny jest dla większości pobudką do pracy, kiedy najwyższa produkcyjność osiąga się tylko pod warunkiem wolności i wczasu” (str. 112).

„Najważniejszym wynikiem wszechstronnego wykształcenia jest ściślejsze rozróżnienie wiedzy od wiary” (str. 113).

„Filozof wie, ...że całe życie doczesne jest stosunkowo krótką próbą, że śmierć zwalnia go od wielu ograniczeń, a nie przedstawia żadnego istotnego niebezpieczeństwa, skoro ponosimy ją za dobrą sprawę” (str. 98) [1]).

---

[1]) Podnosząc piękne myśli, rozrzucone obficie w tym rozdziale, nie powinniśmy pominąć i błędów. Niektóre z nich rażą swoją naiwnością. Tak, autor powiada, np. że „najwyższa wiedza ludzka jest najpewniejszą gwarancyą moralno-

Pojęciu najwyższej Istoty poświęca p. Lutosławski rożdz. V swojej „Seelenmacht". Skoro świat składa się z dusz nierównych, musi wśród nich być najwyższa. Może być wprawdzie kwestya, czy nie istnieje wiele podobnych równych sobie istot; sądzi wszakże autor, że zgodnie z tradycyami wszystkich objawień należy przyjąć istnienie jednej tylko, albowiem indywidualne różnice doskonałości stają się tem większe wśród każdego gatunku istot, im gatunek ten jest wyższy (np. większe są wśród poetów, niż wśród szewców). Wyobrażenia człowieka o Bogu odzwierciedlają typ organizacyi ludzkich i zmieniają się stosownie do zmian tych organizacyi. Filozof współczesny nie może sobie inaczej wyobrażać Boga, jak tylko, jako wielkiego nauczyciela, któremu dobrowolnie ulegają uczniowie. W przeciwnym razie musiałby go zaprzeczyć, „co dla myśliciela prawdziwego nie byłoby łatwem". „Ktokolwiek powstaje przeciwko antropomorfizmowi teologicznemu i czci prawa natury, jako najwyższą potęgę, zapoznaje istotę rozumu ludzkiego, w którym wszakże prawa natury ulegają naszym własnym koniecznościom myśli" (str. 118). Tym koniecznościom ulegać winniśmy i wtedy, gdy tworzymy pojęcie o Bogu. Złą więc drogę obierają niektórzy teologowie, gdy zaczynają od tego, iż uznają go za niepojętego. Pierwszym postulatem myślenia jest uznanie zrozumiałości tego, do czego z myślą naszą przystępujemy. Musimy więc tworzyć pojęcie o Bogu na podstawie analogii ludzkich.

Wzajemne oddziaływanie na siebie dusz ludzkich polega na wzajemnej zgodzie. Dusze wyższe zbyt cenią wolność niższych, aby używać nad niemi przemocy, gdyby ta przemoc nawet była możliwa. Zresztą żadna władza, oparta na przemocy, nie jest trwała. Każda dusza ma swój świat samodzielny, ulegający właściwym mu prawom. Ta wolność nasza, której jesteśmy świadomi, stanowi granicę wpływu boskiego, którego nie powinniśmy przeto uważać za wszechmoc. „Przypuszczając nawet, że Bóg pierwotnie był wszechmocny, najlepiej odpowiadać będzie naszemu o nim wyobrażeniu przypuszczenie, iż dobrowolnie podzielił z nami władzę swoją, zrzekając się wszechmocy, aby dać nam wolność" (str. 120).

Niepodobna też inaczej wytłómaczyć niedoskonałości i krzywd, które na każdym kroku spotykamy: ucisk słabych przez silnych,

---

ści", a uprzedzając zarzut, którego przeciwko temu twierdzeniu dostarcza przekupność Bacona, odpiera własnem wyznaniem Bacona, że nic nie wie o duszy, „przez co, dodaje autor, pozbawiony był wszelkiej podstawy do moralności" (str. 114). Argumentacya ta każe nam wrócić do owych błogich czasów, gdy spierano się o to, czy ateusz może być uczciwym człowiekiem, czy nie.

wyzysk dobrych przez złych i t. d. Przyjmując bowiem wszechmoc boską, musielibyśmy uznać Boga za gorszego od naszego sumienia, które te krzywdy potępia. „Nic więc nie pozostaje, jak przyjąć, że Bóg używa całej władzy swojej dla zapobieżenia złemu, lecz że złe egzystuje pomimo jego woli, czyli, że władza jego jest ograniczona".

Te dwa fakty: że złe istnieje oraz że jesteśmy wolni, stoją wyżej od wszystkiego, co wiemy o Bogu, pod względem pewności. Jeśli zaś błądzimy, sądząc o Nim, On zaś ma wszechmoc nad myślą naszą, to na Niego spada odpowiedzialność za błąd nasz i wybaczyć go nam musi.

Pogląd to zresztą czysto osobisty; a pod tym względem można rozdzielić ludzi na dwie kategorye: indywidualistów i uniwersalistów. „Indywidualista uważa siebie za niezależną i samodzielną przyczynę, sam decyduje o swoich celach, pracuje nad ich urzeczywistnieniem i przypisuje sobie powodzenia lub błędy, stosownie do osiągnięcia celu lub rozminięcia się z nim. Czuje własną moc, jako siłę określającą w stawaniu się wszechświatowem, i nie zgodzi się na twierdzenie, jakoby przyszłość była z góry przez wolę boską oznaczona. Następstwo zjawisk jest dla niego rzeczywistością, wytworzoną przez wysiłki jego własne oraz innych podobnych istot" (str. 122). Przeciwnie, uniwersalista nie ma własnej niezależnej świadomości; życie jego zależne jest od obcych potęg; polega na nich z ufnością i staje się bądź fatalistą, bądź deterministą. Wszystko, co się staje, jest dla niego zgóry oznaczone bądź przez mądrość boską, bądź przez konieczność praw natury, bądź też przez nieuniknioną konsekwencyę motywów. „Człowiek jest dla niego jakby igraszką, rzuconą przez krótki czas na ziemię dla wykonania ruchów, na które został obliczony, ku zabawie niewidzialnych widzów — bez przeszłości ani przyszłości, bez wolności ani samookreślenia, igraszka złudzenia, jakoby sam był panem swoim".

Takie są dwa przeciwne sobie poglądy na świat. Autor staje w obronie pierwszego przeciw drugiemu.

Dla uniwersalisty jednem z dzieł wszechmocy boskiej jest stwarzanie dusz. Jeśli wszakże mam świadomość niezależnego istnienia swego, to znaczy, że jestem niestworzony. Zresztą każda dusza jest niedoskonała; co za cel dla wszechmocy stwarzać niedoskonałość? Niezrozumiała byłaby wówczas hierarchia dusz. Wreszcie początek przypuszcza i koniec, a w ten sposób Bóg musiałby być i burzycielem świata. Zlanie się bowiem duszy z Bogiem byłoby jej zniszczeniem, jako bytu. Jeśli zmuszeni jesteśmy wyobrażać sobie Boga na wzór duszy ludzkiej, to powinniśmy Mu przypisać i tę główną jej cechę—zdolność do postępu.

Świat dusz nie potrzebuje być stworzonym. Nie jest wcale trudniej wyobrazić sobie nieskończone istnienie dusz w przeszłości, jak w przyszłości. Początku świata w czasie nie możemy sobie pomyśleć, gdyż czas jest w nas i mógł się rozpocząć dopiero razem z myślącą duszą.

Dusze mogą zarówno postępować, jak i cofać się w rozwoju; wszakże cechą lepszych jest postęp. Analogia więc każe przyjąć, że najlepszym nie zagraża upadek i że Bóg będzie wciąż postępował w swoim wpływie na świat.

Prawa natury również nie są dziełem Boga, jak i dusze; są one zresztą tylko formułkami, istniejącemi w umyśle ludzkim, i nie potrzebują wyższej władzy, aby trwać mogły. Wyrażają one stosunki trwałe zjawisk, spowodowanych czynnością najniższych monad czyli atomów. Prostota praw przyrody jest tylko wynikiem ich idealności; nie wyrażają one bowiem ściśle konkretnych wypadków (np. forma elipsy nie jest rzeczywistą drogą planet), a jeśli weźmiemy pod uwagę, że jeden metr sześcienny gazu zawiera więcej cząsteczek, niż jest ludzi i zwierząt na całej kuli ziemskiej, to stałość zjawisk ogólnych przy tak olbrzymich liczbach poszczególnych wypadków nie zdziwi nas wcale.

Mit o bezpośrednim wpływie Boga na monady najniższe opierał się głównie na przypuszczalnej piękności i doskonałości natury. Wiara w tę doskonałość została wszakże z dwu stron zachwiana. Naprzód postępy wiedzy przekonały o smutnej prawdzie walki o byt i przeżywania silniejszych (właściwiej — lepiej przystosowanych) tworów. Patrząc na to oczyma ludzkiemi, musimy przyznać, że my, ludzie, pomimo wszystkich wad stoimy wyżej od przyrody; my mamy współczucie dla słabszych i dzielimy się z nimi naszemi zdobyczami nad nielitościwą przyrodą. Z drugiej strony wynalazki ludzkie prześcigają często w doskonałości i piękności dzieła przyrody.

Władza boska nad przyrodą jest bez porównania większa od naszej; nie występuje ona wszakże w zwykłym biegu przyrody, lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach, kiedy bieg ten zostaje zakłócony z widoczną celowością. Są to cuda; nie mamy powodu odrzucać podań o cudach. Cuda nie są przeciwne prawom przyrody; prawa te bowiem wyrażają tylko przeciętne z wielkiej liczby wypadków, cuda zaś są wypadkami indywidualnymi, daleko odbiegającymi od owej przeciętnej. Z postępem wiedzy wprawdzie zmniejsza się ilość cudów, na żadnym wszakże stopniu jej rozwoju nie będzie możliwy dowód ich niemożliwości. Nic nie przemawia za tem,

aby wszystkie zjawiska dały się ująć w formuły praw bez żadnej reszty. „Gdy podnoszę kamień z ziemi, postępuję wbrew prawu ciążenia, a żadne wyjaśnienie fizyologów nie zdoła wkluczyć swobodnego postanowienia, które poprzedza mój ruch" (str. 130). Jeśli my mamy taką władzę, niema najmniejszej racyi odmawiać jej Bogu.

Równie bezzasadnem, jak przypuszczalny wpływ Boga na zwykły bieg przyrody, jest mniemanie niektórych, jakoby tylko przy pośrednictwie Boga możliwem było osiągnięcie prawdy dla człowieka. Przedmiotowość prawdy polega na dobrowolnej zgodzie dusz, która zawsze może dotyczeć tylko nieznacznej części treści myśli. Niektóre z pojęć i form ujęcia są nam wspólne z istotami wyższemi; do takich należą: przestrzeń, czas, przyczynowość i inne kategorye.

Trzecią dziedziną, w której usiłowano upatrzeć bezpośredni wpływ Boga, jest sumienie. Wszakże spotykamy błędy sumienia, jak i błędy myśli. Straszliwe zbrodnie, jak wojny religijne i prześladownictwo, wykonywane były pod urojonem przewodnictwem boskiem. „Prawo moralne wyraża prawidło zachowania się, zmierzające ku temu, aby spotęgować moc jednostki dla korzyści całości, a w ten sposób trwale zabezpieczyć także i zadowolenie jednostki. Nie każda jednak pomoc, okazana bliźniemu, jest moralna; nie każda ofiara z naszych najgorętszych pragnień na rzecz ogółu zbawienna." Uczynek możemy ocenić jedynie według zamkniętego szeregu jego następstw, który jest nieskończony. Prawo moralne nie może więc pochodzić ani z doświadczenia, ani też nie może być nam narzucone przez istotę wyższą, gdyż wartość jego dla nas zależy od naszych własnych uczuć i sądów. „Zadanie ujęcia nieskończonego szeregu w symbol skończony może być rozwiązane tylko przez rozum jednostki, nie zakłócony przez powagę zewnętrzną" (str. 134) [1].

Pochodzenie złego tłómaczono niegdyś za pomocą idei szatana. Wszakże już od dwu tysięcy lat wszystkie bardziej rozwinięte religie odrzuciły tę myśl, a nowsze próby odgrzania satanizmu są po większej części osobistemi usprawiedliwieniami własnych słabostek. Że złe nie ma potężnego obrońcy, świadczy o tem nietrwałość jego w porównaniu z żywotnością i rozwojem dobrego. Jeśli cele nasze zgodne są z celami boskimi, zostaną one ostatecznie osiągnięte; nie upoważnia to nas wszakże do bierności. Zależność, w jakiej nieraz

---

[1] „Na polu etyki najwyższe prawo jest: „bądź w zgodzie z samym sobą"— z czego wynika obowiązek dotrzymania zawsze danego słowa dla uniknięcia sprzeczności, psujących jedność, harmonię i zgodę" („Geneza Eleuteryzmu").

zostają najlepsi od najzuchwalszych, nie jest koniecznością; możemy się jej sprzeciwiać, jeśli chcemy. Jeśli zaś ustępujemy, to tylko dla tego, że wybieramy najmniejsze złe. Ocena w tym względzie wszakże nie zawsze jest poprawna. Zbyt często przeceniamy śmierć, jako złe, w skutek niewiadomości ludzi o nieśmiertelności duszy. „W rzeczywistości wyzwolenie z warunków obecnych życia nie jest niczem strasznem, skoro wynika stąd korzyść moralna" (str. 136). Gdyby prawa moralne ustanowione były przez Boga, nie mogłoby być takich różnic w ich pojmowaniu, jakie często postrzegamy.

Chcąc widzieć w Bogu ideał doskonałości, przez nas pojęty, nie powinniśmy przypisywać mu atrybutu nieskończoności. Wszelkie bowiem określenie przez przeczenie jest tylko oznaczeniem możliwości logicznej, nigdy zaś nie może być charakterystyką potężnej osobowości. Osobiste stosunki pomiędzy pojedyńczemi duszami a Bogiem są możliwe, nie są wszakże konieczne; istnieje bowiem szereg istot pośrednich. Wogóle ostrzega autor przeciw wyobrażeniu o Bogu, jako o autokracie wschodnim, gdy „w rzeczywistości jego oddziaływanie podobne jest do wpływu wolnego geniusza na ludzkość". Jedyną modlitwą godną Boga jest pragnienie nasze działać zgodnie z Jego celami, oddanie się idei dobrego bez względu na przyjemność lub korzyść osobistą. Ponieważ sympatya wzrasta z podobieństwem, więc najskuteczniejszym sposobem przypodobania się duchom wyższym jest dążenie ku zbliżeniu się do ich doskonałości.

Świat duchów wyższych od nas jest koniecznością myśli, gdyż możemy wyobrazić sobie istoty, o wiele nas przewyższające; a wpływ ch na ludzi musi być taki, jakim jest wpływ ludzi na zwierzęta i rośliny (str. 144).

Pierwszym krokiem ku boskiej doskonałości jest świadomość nieśmiertelności, która rozciąga wyobrażenia nasze o następstwach każdego czynu daleko poza granice krótkiego życia doczesnego.

O etycznych zasadach indywidualizmu, wyraża się autor w sposób bardzo określony w „Grundvoraussetzungen" etc. Przekonanie indywidualisty o substancyalności jego duszy każe mu sięgać w rozważaniu następstw swoich uczynków po za granice ziemskiego życia (str. 42). Miłość bliźniego stanowi dla indywidualisty najważniejszą podstawę jego stosunków społecznych, gdyż nie uznaje on żadnych zgóry ustanowionych obowiązków (str. 45). „Kochaj bliźniego więcej, niż siebie samego" — takie jest nie przykazanie, gdyż przykazań nie uznaje indywidualista, lecz wyraz jego wewnętrznej potrzeby (str. 46). Indywidualista pragnie podnieść wszystkie dusze

niższe do swego poziomu. W stosunkach społecznych i politycznych prawem dla niego jest jednozgodność. „To zwycięstwo miłości nad rozumem stanowi cechę charakterystyczną indywidualisty w przeciwstawności do idealisty” (str. 47).

Nieśmiertelności poświęca autor osobny rozdział. Na samym początku wszakże odrzuca wszelkie świadectwa, zaczerpnięte z doświadczeń spirytystycznych. Nieśmiertelności również nie można udowodnić doświadczalnie, jak i istnienia duszy. Jedyną metodą, prowadzącą do dowodu nieśmiertelności, jest ta sama, którą posługiwaliśmy się dla udowodnienia istnienia duszy: skoro tylko przez ćwiczenia logiczne utworzymy sobie pojęcie nieśmiertelności, staje się ono dla nas również nieodzownem, jak dowód twierdzenia geometrycznego. Aby przekonać innego o tem, powinniśmy mu wskazać drogę umysłową, którą sami przebyliśmy.

Nieśmiertelność pojmuje się w znaczeniu zupełnego zachowania wszystkich cech doczesnego życia: tylko ciało ulega zniszczeniu; dusza zaś zostaje ze wszystkiemi swojemi myślami, uczuciami i celami.

Tu autor, jak w wielu innych miejscach, zdaje się, nie dosyć konsekwentnie przeprowadza następstwa pierwotnego założenia. Ciało w jego wyobrażeniu bowiem jest społeczeństwem niezliczonych monad (bo każdy atom jest monadą), zostających pod oświeconą władzą najwyższej monady—duszy. Że dusza ta nie ma odpowiednika materyalnego, t. j. nie wyobraża siebie w postaci jakiegoś odrębnego atomu, tak jak wyobraża inne dusze, wchodzące w skład społeczeństwa-człowieka, to dałoby się jeszcze wytłómaczyć tem, że dusza sama siebie nie widzi (używając wyrazu tego w znaczeniu trochę metaforycznem); wyobrażenie bowiem cielesne jest wynikiem oddziaływania na nią tylko monad niższych. Ten postulat musi być przyjęty, jako podstawa doktryny p. Lutosławskiego; inaczej bowiem powinnibyśmy i Boga, również jak duchy wyższe, widzieć w formach cielesnych bądź wzrokiem cielesnym, bądź duchowym, jak widzimy np. w wyobraźni atomy i t. p. Powinniśmy więc przyjąć, jako jeden z postulatów monadologii autora, ten, że każda monada, zaczynając od równej nam i wyżej stojące przestaje oddziaływać na sferę naszej zmysłowości.

Jeśli teraz, jak pojmuje autor, śmierć zrywa tylko związek duszy z ciałem, to znaczy, oddziela ją od tego wielomiliardowego społeczeństwa, nad którem ona królowała, to pozbawia ją zarazem wszelkich oddziaływań tych niższych monad, z któremi była dotychczas w związku. Świat cielesny przestaje więc dla niej istnieć;

może wprawdzie zachować się w pamięci jej; ale wszystkie cele, uczucia i myśli, tak nierozerwalnie związane z tym całym narodem monad, muszą przestać istnieć dla oderwanej od niego duszy. Cały świat zapada się dla niej w chwili zerwania związku z ciałem. Może budzi się ona dla jakiegoś nowego? Wszakże to nowe życie w żadnym razie nie może być kontynuacyą dawnego, gdyż, wchodząc w spółkę z nowym narodem, t. j. z nowem ciałem, przebywać musi zupełnie inne uczucia i myśli, dążyć ku odmiennym celom.

Sam zresztą autor zachwiał jedyny punkt oparcia, na którym spoczywać mógł związek pomiędzy doczesnem a przyszłem życiem duszy, t. j. pamięć, a nie mógł nie uczynić tego wobec natarczywego pytania: dlaczego nie pamiętamy o naszej nieskończonej przeszłości? Wszak dusze są wieczne; żyją przez miryady lat; czyżby w całej tej przeszłości nie znalazło się nic godnego pamięci? Odpowiada na to twierdząco p. Lutosławski: „Nasze istnienie przed narodzeniem się mogło mieć jeszcze mniej rozmaitości, niż nasze dzieciństwo (o którem tak mało zostaje w pamięci), a to samo wystarczyłoby dla wytłómaczenia owego zapomnienia" (str. 155). Lecz, czując słabość tego argumentu, usiłuje go wzmocnić dowodzeniem, że wogóle zapomnienie jest normalnym stanem, pamięć — wyjątkiem.

Wyjątkowe zdolności tłómaczy pomimo to wspomnieniem poprzedniego życia (str. 158). Przychodzimy tu nie nadaremnie, lecz dla spełnienia jakiegoś celu; cel ten stanowi nasze powołanie, chociaż i nie pamiętamy o postanowieniu, które nas skłoniło do przyjęcia postaci ludzkiej. „Tak, zdarza się niekiedy, że odwiedzamy przyjaciela w celu naradzenia się z nim w jakiejś sprawie i że zapominamy w ciągu odwiedzin o tym celu. Nie zależy to od złej pamięci, lecz jedynie od zajęcia, jakie w nas budzą same odwiedziny" (159). Lecz, jeśli tak się zdarzy, to wyjdziemy od przyjaciela, nie spełniwszy zamiaru. A cóż się stanie z celem życia, o którem zapomnieliśmy, wkraczając do niego? „Może zapomniałem, poco tu przyszedłem, lecz jestem tym samym, który postanowienie to uczynił, powinienem więc ufać memu rozumowi co do moich celów najbliższych w nadziei, że albo osiągnę cele pierwotne, albo założę sobie jeszcze lepsze" (str. 160).

Nieśmiertelność nie jest dla p. Lutosławskiego przedmiotem wiary; jest ona pewnością, którą zapomocą takiego porównania tłómaczy:

„Aby, nie polegając na powagach, nabyć rzeczywistą wiedzę o tem, że wszelkie zjawiska materyalne mogą być sprowadzone na

ruchy, potrzeba gruntownie przestudyować chemię, fizykę i matematykę. Aby uczynić następny krok i zrozumieć zależność wyobrażeń ruchu od myślącej duszy, powinniśmy przejść logikę, psychologię i metafizykę; aby wreszcie powziąć postanowienie uważania siebie za substancyę, wbrew wszelkim przesądom, wpajanym nam z wielką powagą od dzieciństwa, do tego potrzebne są wysokie wykształcenie woli i niezależność ducha" (str. 165). Ci, którzy doszli do tej w i e d z y o nieśmiertelności, różnią się od innych ludzi w nierównie większym stopniu, niż jakakolwiek bądź gromada ludzka. Ludzie tacy odznaczać się będą przedewszystkiem zupełną pogardą śmierci i łatwiej oddadzą życie, niż poddadzą się niesprawiedliwości. Dla wyjaśnienia niektórych zjawisk (np. ukazywania się duchów, które uważa za dowiedzione historycznie) przyjmuje p. Lutosławski hipotezę „astralnego ciała." Zresztą niezależnie od tej hipotezy uważa za rzecz pewną to, że po śmierci będziemy mogli oddziaływać na dusze i ulegać ich działaniu, jak za życia, a więc będziemy mogli „widzieć i słyszeć" (str. 171); natomiast nie będą dla nas istniały odległości; a od woli naszej zależeć będzie przyjęcie lub nie wrażenia (str. 172). Te wnioski co do stanu przyszłego uważa za niemniej pewne, jąk jakakolwiek teorya, dotycząca formacyi geologicznych lub powstania naszej planety.

Dla filozofa śmierć jest wyzwoleniem. Nie boi się jej, lecz tęskni za nią. „Moje pragnienie wiedzy zostanie nierównie łatwiej zadowolone po śmierci, niż tu. Będę w stanie przebiegać całą ziemię i poznać inne światy; wtajemniczyć się w najbardziej ukryte czyny ludzi i innych istot; zbadać z zupełną dokładnością to, co obecnie, w życiu ludzkiem zostaje mi niejasnem. Cała księga żywota stanie przede mną otworem, ujawnią się najbardziej ukryte pobudki do czynów, liczne błędy zostaną sprostowane. Doświadczenie moje przekroczy w znacznym stopniu obecne granice, a swobodne obcowanie z największymi duchami wszystkich czasów nie będzie spaczone przez pobudki samolubne" (str. 173). Życie na ziemi jest rodzajem snu, z którego budzi nas śmierć, a przebudzenie to nie zmienia w niczem osobliwości naszej osoby.

Gdy czytamy te wiersze, mimowoli ciśnie się nam na usta pytanie:

„Chceszże, jak Indyanin, ocknąć się po zgonie?
Z twoim psem, z twą butelką i przy lubej żonie" [1]).

---

[1]) Pope. „Poemat o człowieku", przekł. Kamińskiego.

W rzeczywistości cały pogląd, przeprowadzony tu przez p. Lutosławskiego (nie mówimy już o jego zupełnej dowolności!), nie jest niczem innem jak, animizmem, możliwie oczyszczonym z surowych domieszek myśli pierwotnej i doprowadzony do jednolitości przez rozwianie materyalnej strony zjawiska w nasze wyobrażenie, przez konsekwentne przeprowadzenie duchowości całego wszechświata.

Nie stanowiłoby to ujmy dla niego[1]), bo wszak i w zasadniczych pojęciach przyrodoznawstwa wykrywamy fetysze myśli pierwotnej, a jedynem wymaganiem, jakie stawiać winniśmy, jest to, aby hipoteza filozoficzna spoczywała na danych teoryi poznania i nie mieszała bezkrytycznie pierwiastków, z odmiennych sfer umysłowości pochodzących. Pod tym względem równe prawa przyznać winniśmy monadologii filozoficznej z atomizmem przyrodniczym. Jedna buduje wyłącznie z danych doświadczenia wewnętrznego, druga ze zmysłowych. Darować moglibyśmy nawet paralogizm w dowodzeniu substancyalności duszy; nie brak podobnych rzeczy i w metafizyce przyrodniczej, a nawet matematyka, jak wiadomo, spoczywa na niedowiedzionych twierdzeniach.

Najlepszem świadectwem dla hipotezy jest sposób, w jaki wywiązuje się ona z przeznaczenia swego—wprowadzenia jedności i ładu do poznania. Pod tym względem zaś monadologia p. Lutosławskiego pozostawia wiele do życzenia. Nie ulega wątpliwości, że liczne fakty, które ona objaśnia, również jak i jeszcze liczniejsze, przez autora pominięte, dadzą się o wiele prościej i dokładniej wytłómaczyć powszechnie przyjętemi dziś zasadami biologii i fizyologii. Nie potrzebujemy objaśnień tych przytaczać; znane są każdemu z naszych czytelników, a najlepiej zapewne samemu autorowi, który nie tylko rozpoczął studya swoje od dokładnej znajomości z wiedzą przyrodniczą, lecz i samodzielnie pracował w tym zakresie[2]). Znaczenie wszakże hipotezy filozoficznej nie wyczerpuje się jej rolą w pojmowaniu teoretycznem. Hipoteza słabsza w roli metafizycznej może mieć wielką doniosłość, jako podstawa praktycznej części doktryny; może dawać poważny punkt oparcia dla dziedziny czynu.

Nie tylko łatwo jest wysnuć konsekwencye praktyczne wyłącznego uznania pierwiastka duchowego; mamy w dziejach bar-

---

[1]) Również i zarzut, jakoby monadologia wogóle była myślą daleką od współczesności, zdaje się, upada wobec faktu drugiego systematu monadologicznego przez K. Rénouviera.

[2]) Ob. jego rozprawę o prędkości reakcyi chemicznych (*Die Gesetze der Beschleunigung der Esterbildung)* Halle, 1885.

dzo wybitny przykład oddziaływania takiego poglądu na społeczeństwo europejskie. Znany jest wpływ myśli platońskich na typ umysłowy średniowiecza.

Pogarda dla spraw doczesnych i skupienie uwagi na zbawienie w życiu przyszłem; odwrócenie się od przyrody i pogarda dla wiedzy przyrodniczej i doświadczalnej; potępienie wszystkiego, co płynie z ciała i ascetyzm—te są najbliższe wyniki nauki, według której ciało nasze i cały świat cielesny jest znikomością, a zarazem przeszkodą i ciężarem dla duszy. Do tych dołączyć w naszym wypadku winniśmy inne konsekwencye, płynące z monadologicznej formy duchowego podścieliska wszechświata. Zarówno cały wszechświat, jak i każda istota konkretna (człowiek z jego ciałem), przedstawiają typy społeczności duchów, rządzone przez jedną duszę najwyższą. Niema więc tu miejsca dla demokratycznego indywidualizmu XVIII stulecia, opartego na równości obywatelskiej jednostek, do którego więcej analogii znajdujemy w świecie atomów fizycznych; lecz przeciwnie, widzimy tu hierarchię duchów i panowanie jednego z nich nad ogromną mnogością innych, a przytem panowanie bezwzględne, chociaż oparte na wyższości duchowej. Jest to więc rodzaj oświeconego despotyzmu w metafizyce wszechświata.

Jakież konsekwencye wysnuwa z niej sam autor dla świata moralnego?

Poznaliśmy już niektóre etyczne wyniki indywidualizmu, jako to: autonomię jednostki w zakresie moralnym (każda jednostka sama sobie zakreśla prawa swego postępowania); pogardę śmierci, a obliczanie czynów na dalsze mety, niż życie doczesne i t. p. Cementem wszakże, który spaja w całość te niezliczone, niezależne duchy, jest miłość.

W metafizyce, której jedynym składnikiem są istoty duchowe, wystarczy ta jedna siła atrakcyjna. Nie potrzebujemy tu na wzór Empedoklesa dodawać nienawiści. Filozof grecki wobec hilozoistycznego pojęcia materyi nie mógł się wyzwolić z pod wyobrażenia przestrzeniowego rozkładu bytów. Fizyka dzisiejsza potrzebuje również dwu sił: przyciągania i odpychania, dlatego, że muszą one być funkcyami odległości międzyatomowej. Ale dla bytów czysto duchowych, jakiemi są monady, niema przestrzeni; miłość sama wystarczy, aby powołać dwie braterskie dusze z systematów Syryusza i Słońca do zjednoczenia się.

Chcąc konsekwentnie przeprowadzić system swój, musiałby nam autor przedstawić, jakim sposobem drogą miłości, t. j. atrakcyi duchowej, tworzą się owe olbrzymie społeczeństwa monad, które

nazywamy ludźmi, zwierzętami, roślinami, rzeczami. Musiałby wytłómaczyć, dlaczego te niezliczone monady poddają się pod kierownictwo duszy rządzącej i jak pogodzić absolutną władzę tej duszy nad swojem ciałem z autonomią składających je monad; jaka jest przyczyna rozkładu tego społeczeństwa, który pospolicie nazywamy śmiercią i t. d. Te wszystkie i wiele innych pytań nasuwa naturalnie hipoteza monadologiczna autora, a pozwolimy sobie wyrazić wątpliwość, czy możliwem wogóle byłoby pokonanie tych trudności bez licznych i dodatkowych założeń i przypuszczeń.

Pan Lutosławski poddaje rozbiorowi tylko jeden szczegółowy wypadek działania tej siły powszechnej, mianowicie miłość płciową, czyli „pary dusz" — tak zatytułowany jest rozdział, traktujący o tym przedmiocie. Stanowisko, jakie zajmuje w tej kwestyi, jest zupełnie zgodne z platońskim punktem wyjścia. Jest to znowuż średniowieczne przeciwstawienie „miłości prawdziwej" czystej i duchowej — „miłości zmysłowej".

Pojęcie owej czystej miłości jest istotnie czyste i wzniosłe. „W miłości prawdziwej, czytamy, niema swatów, niema walki, niema oporu, któryby wymagał oblężenia. Dwie dusze spotykają się po raz pierwszy i ufają sobie więcej, niż wypróbowanym przyjaciołom, których od lat znają. Mówią o najtajniejszych uczuciach i odkrywają ze zdumieniem, że mają wspólne osobliwości, skłonności, nawyknienia. Nie potrzebują wyznawać sobie miłości i nie są w stanie wskazać, kiedy rozpoczęło się to uczucie. Kochankowie tacy wiedzą z największą pewnością, że tylko wspólnie urzeczywistnić mogą swoje cele życiowe; że życie wspólne zapewnia dla nich najwyższe szczęście i największą produkcyjność pracy" (str. 187). „Jest to dowolny pociąg wzajemny bez domieszki litości, zmysłowości lub względów materyalnych" (str. 189).

Śmiesznem jest poddawać taką miłość pod gwarancyę jakichkolwiek instytucyi ludzkich. Prawdziwi kochankowie nie mają najmniejszej wątpliwości co do wierności wzajemnej. Jeśli zaś uczucia ich zmienią się, to nic nie pomogą zewnętrzne narzucone więzy. Dobrowolne rozłączenie się jest w takim wypadku jedynem rozwiązaniem zagadnienia (str. 189).

Tej miłości prawdziwej, pozbawionej pierwiastku zmysłowego, przeciwstawia się prosty pociąg zmysłowy, który często niesłusznie nazywany bywa miłością. Autor szczegółowo rozstrząsa charakter jednej i drugiego, następstwa, wynikające z każdego typu miłości (idealnej i zmysłowej) dla rodziny, wychowania dzieci i t. p. Nie będziemy wchodzili w szczegóły tego rozdziału, zawierającego wiele

myśli pięknych i zasługujących na uznanie. należącego wszakże prędzej do zakresu publicystyki, niż filozofii praktycznej. Zastanowimy się tylko na idei zasadniczej, aby wypróbować zarówno jej związek z metafizycznemi założeniami autora, jako też i jej wartość bezwzględną.

Dla p. Lutosławskiego człowiek jest, jak wiemy, społeczeństwem monad, zostających pod władzą duchową najdoskonalszej z nich — duszy. Miłość idealna jest atrakcyą dusz; miłość zmysłowa — pociągiem ciał, t. j. wzajemnem upodobaniem miliardów dusz niższego typu, wchodzących w skład tych dwu społeczeństw. Dla czegożby ta atrakcya dwu narodów monad byłaby godną pogardy, atrakcya zaś dwu przewodniczących monad tak wysoce wartościową i wzniosłą? Są one wprawdzie najwyższe; lecz tamte bez porównania liczniejsze. Dlaczegożby gwałt, zadany uczuciom miliardów dusz niższych miał mniej ważyć na szali oceny wartościowej, niż gwałt nad uczuciami dwu dusz wyższych?

Nie w tym zresztą tylko przypadku, lecz i w wielu innych pokazuje się, że z niezliczonych dusz, zostających względem siebie w stosunkach hierarchicznych, autor wyróżnił tylko te, które są duszami ludzkiemi, i z tego uduchownionego antropocentrycznego stanowiska rozważa cały świat duchów. Dusze ludzkie wywierają najbezwzględniejszy despotyzm nad monadami niższemi: przybywamy tu na ziemię dla urzeczywistnienia swoich celów i dla nich posługujemy się najbezwzględniej monadami, z których utworzyliśmy swoje ciała. Dlaczegożby jednak te monady nie mogły mieć swoich celów i dążyć do ich urzeczywistnienia — w granicach oczywiście ich własnego rozwoju? Jednakże takie samowładztwo duszy nad niemi autor uznaje za rzecz słuszną. Skoro wszakże przychodzi do istot wyższych — a tu, jak widzieliśmy, zaznaczywszy w przelocie wysokie prawdopodobieństwo istnienia szeregu istot pośrednich pomiędzy nami a Bogiem, autor nie wchodzi bliżej w ocenę ich stosunku do nas, tak, iż wyraźnie mamy nakreślone tylko trzy stopnie hierarchii: materya, dusza, Bóg, — skoro więc przechodzi do oceny stosunku Boga do dusz ludzkich, uważa za słuszne przypuścić, że Bóg zrzeka się wszechmocy swojej, aby zabezpieczyć nam wolność, tak, jak to czyni monarcha absolutny, darując kartę konstytucyjną swoim poddanym. Konsekwentniej byłoby przyjąć (jak zresztą gdzie niegdzie napomyka [1]) że duchy wyższe rządzą nami

---

[1]) Tak na str. 144—5 używa nawet zupełnie na seryo przykładu Voltairowskiego osła-teleologa i azino-centryka, uszlachetniając go zresztą przez postawie-

również bezwzględnie, jak my duchami niższymi. Lecz cóżby się wtedy stało z naszą wolnością — z tem podstawowem założeniem indywidualizmu, przemawiającego dobitnie przez usta swego autora: „nie chcę być czyimkolwiekbądź sługą"?

Niekonsekwencya ta pomiędzy założeniami metafizycznemi a praktycznymi wywodami występuje szczególniej na jaw w teoryi miłości. Widzimy tu niespojone z sobą w harmonijną całość dwa poglądy, wysnute z dwu odmiennych stanowisk: platońskiego i monadologicznego.

Dla Platona ciało i materya wogóle były nicością (τὸ μὴ ὄν), pierwiastkiem bezwładnym, który więził duszę i przyćmiewał niejako to światło, które na nią spadało z dziedziny Idei. Z tego punktu wyjścia bardzo naturalnie rozwinęła się (zwłaszcza po spojeniu neoplatonizmu z doktrynami mistycznemi Judei i wcieleniu obu do dogmatów chrześcijańskich) pogarda dla ciała, potępienie zmysłowości i duch ascetyzmu, cechujący typ myśli średniowiecznej.

Znamionami myśli nowożytnej są przeciwnie: restytucya stopniowa praw materyi i zwrot od średniowiecznego dualizmu materyi i ducha, przeciwstawianych sobie, jako pierwiastek zły dobremu, ku panteizmowi, uważającemu oba za objawy lub atrybucye jednej i tej samej substancyi, a więc za równouprawnione. Miłość cielesna przestaje być grzechem, zaledwie tolerowanym przez ustępstwo dla słabości ludzkiej. Pierwiastek duchowy i zmysłowy powinny spoić się harmonijnie w miłości prawdziwej. Rzecz prosta, że człowiek, duchowo rozwinięty, kłaść będzie nacisk przeważny na pierwszy, w nim widząc istotną podstawę ścisłego związku dwu istot ludzkich. Znajomość wszakże nauk przyrodniczych, pogardzanych przez myśl średniowieczną, jak wszystko, co dotyczy materyi, nie pozwoli mu zapoznać znaczenia i doniosłości warunków fizycznych dla utrzymania harmonii i zdrowego charakteru tego związku ani też rozrywać dwu stron zjawiska, tak ściśle z sobą spojonych, jak duchowa i fizyczna natura w człowieku.

Stanowisko więc panteistyczne daje bardziej zdecydowany i zgodniejszy z typem myślenia nowożytnego człowieka punkt wyjścia dla filozofii miłości, niż monadologia p. Lutosławskiego, która

---

nie konia na miejsce osła i pozbawiając porównanie pierwiastku humorystycznego. Wyścigowiec, powiada p. L., może mniemać, że jego warunki istnienia są naturalne, i nie rozumieć, że człowiek, który pozornie mu usługuje, ma jakieś cele i kieruje ku nim jego istnienie.

zmusza do wikłania się w awanturnicze objaśnienia i przypuszczenia. Do takich należy np. następujące:

„Połączenie dwu ciał dla zrodzenia trzeciego, potrzebnego dla wcielenia pokrewnej duszy, nie powinno być nigdy skalane przez pospolitą zmysłowość. Potężne powinowactwo dusz udziela związkowi kochanków charakter idealny zaklęcia, wzywającego ich nienarodzone jeszcze, lecz już ukochane dziecię, aby do nich przyszło, utworzyło sobie nowe ciało z ich krwi, żyło z nimi życiem wspólnem i współdziałało w ich pracach, dzieliło ich radości i cierpienia. Takie niesamolubne, natchnione, wzniosłe zaklęcie działa, jak cudowne czary: powołuje do życia ziemskiego najlepsze dusze, godne i zdolne stać się pomocnikami i spadkobiercami kochanków“ (str. 202).

Na wielkie trudności napotyka również czysto duchowe pojmowanie miłości, gdy ściera się z pytaniem, dlaczego miłość istnieje tylko między osobami różnej płci, skoro sam autor przyznał, że duchowo obie są sobie równe i tylko różnią się nieznacznemi cechami zewnętrznemi. Do tegoż porządku zagadnień należy kwestya, tak subtelnie podjęta przez p. L. Godlewską w „Dobranych parach”, zagadnienie, dlaczego mężczyźni wyższego typu tak często wybierają zupełnie niegodne siebie towarzyszki życia, a zamiast je podnieść do siebie, zniżają się do nich? Kwestya, którą tak dosadnie sformułował był przed dwudziestu laty Sienkiewicz, że mam nadzieję, nie wezmą mi za złe czytelnicy, jeśli pozwolę sobie przypomnieć ten mało znany ustęp z jego sprawozdania o przekładach Heinego:

„Na Jowisza! Cóż to za dziwny objaw w dziedzinie ducha! Słuchajcie tylko: z jednej strony jakaś Anielcia, Zosia lub Ludka: lat dwadzieścia, włosy jasne, oczy niebieskie, wzrost mierny, stanik mierny, nos i broda mierne, inteligencya mierna, trochę fortepianu, świadectwo z pensyi, usposobienie lekko-poetyczne, dużo fałszywego apetytu, skłonność do roli anioła... w braku innego zajęcia; — serce... w lewym boku; na sumieniu kilku studentów różnych fakultetów: z drugiej strony Mickiewicz, Słowacki, Musset lub Heine”...

„Pensyonarka, prowadząca na nitce Prometeusza!... A jednak wielki samotnik daje się prowadzić, bo kocha, i oto dramat rozpoczęty. Olbrzym robi się dla dziewczyny zwykłym śmiertelnikiem. By nie przerastać jej głową, kładzie się u jej nóg, sam staje się dzieckiem, zbiera kwiaty, a z nimi razem jej uśmiechy i wejrzenia”...

...„Oto dzika okolica, powietrze drży od huku piorunów: przepaści i skały. Przy jednej z nich tytan, połamany bólem, napróżno szarpie za łańcuchy, by odgonić sępa, pożerającego mu wnętrzności;

z drugiej strony — ty, Aspazyo, wychodzisz za handlarza wołami; ty, Lauro, masz dwanaścioro dzieci, wy, Marylle i Ludki, szukacie obywateli wiejskich lub miejskich z mniej więcej czystą hipoteką"...

..."Kim i czem więc byłaś, ty, dla której wyśpiewano symfonię? — Niczem. — Co w tobie było? — Nic. — Takich kwiatów, jak ty, setki na każdej łące. Mogłaś bezpiecznie zdobić dziurkę od guzika w surducie pierwszego lepszego kantorowicza, kancelisty, bakałarza albo w najlepszym razie — kapitalisty bez innego zajęcia. Dopiero, gdy on ubrał cię w duszę własną, wypiękniałaś dla niego, bo oddał ci, co w nim samym było najpiękniejszego"... [1])

Jakież tłómaczenie daje na to monadologia? Oto, że "wielki myśliciel może pokochać kobietę próżną, dlatego, że dostrzeże w niej pewne rzadkie skłonności lub opinie, do których szczególną przywiązuje wagę, chociaż stanowią one tylko nieznaczną część w całości charakteru osobistego" (str. 210).

Jest to również niewystarczające, jak tłómaczenie siły miłości między płciami owemi drobnemi różnicami zewnętrznemi, które je dzielą.

Z sympatycznych myśli autora w tej dziedzinie podnieść należy żądanie czystości od mężczyzn, wynikające z zupełnie słusznej myśli równości ludzkiej obu płci, oraz to, co mówi o wypadku, gdy jedna ze stron zostaje przeciągnięta przez miłość wyższą i silniejszą, niż ta, która dotąd łączyła kochanków. "W tym wypadku, powiada autor, dusze szlachetne rozdzielą się bez nienawiści i zazdrości, a potrafią zamienić niedoskonałą miłość na dobrą przyjaźń". I to zagadnienie pięknie uplastyczniła i rozwiązała p. Godlewska w swoim "Katonie".

Od par dusz, które stanowią podstawę najmniejszej komórki społecznej — rodziny — przechodzi autor do całości społeczeństwa.

Rozdział wszakże o instytucyach społecznych zaliczamy do najmniej udatnych. Grzeszy on zarówno nieliczeniem się z faktami rzeczywistymi, jako też z olbrzymią literaturą naukową przedmiotu. Zaznaczywszy istnienie w państwach współczesnych dążności anti-indywidualistycznej, której nadaje miano socyalistycznej (co uczynił zresztą i H. Dietzel w *Handwörterbuch der Staatswis-*

[1]) Litwos. Mieszaniny literacko-artystyczne. („Niwa". 1881).

senschaften art. *Individualismus* w t. IV[1]) który tą nazwą chce oznaczyć wszystkie dążności i teorye przeciwne indywidualizmowi, utożsamia ją natychmiast z socyalizmem ekonomicznym, przeciwstawiając mu anarchizm czyli indywidualistyczne dążenie do zredukowania czynności państwowej do minimum, a w ten sposób z jednej strony zapoznaje wspólny z socyalizmem ekonomiczny punkt wyjścia ostatniej z wymienionych doktryn, z drugiej zaś miesza przez utożsamienie nazw rzeczy, bardzo od siebie różne, jakiemi są doktryna socyalizmu ekonomicznego a zbiorowa nazwa dla wszystkich wogóle dążności ku przewadze ogółu nad jednostką.

[1]) Od chwili prawie, w której człowiek zaczął badać świadomie zjawiska życia zbiorowego, ścierają się z sobą dwa poglądy. Jeden z nich uważa jednostkę za cel ostateczny dziejów, wszystkie zaś formy uspołecznienia—rodzinę, stowarzyszenie, państwo i związki państw ze wszystkiemi ich urządzeniami — za środki, które służą rozwojowi jednostki, powstają dla niej i przez jej wolę, a przez tę wolę tylko istnieją i przez nią zmienione być mogą. Wszystkie teorye społeczne, ukształtowane według tej zasady, proponuje H. Dietzel objąć nazwą i n d y w i d u a l i z m u. Dla przeciwnego zaś poglądu, uważającego wyżej wymienione formy uspołecznienia za cel właściwy, jednostkę zaś za środek do jego urzeczywistnienia, proponuje uczony niemiecki termin s o c y a l i z m u lub teoryi o r g a n i c z n i e - s o c y a l i s t y c z n e j. Rozszerzając wszakże w tym stopniu pojęcie socyalizmu, autor niemiecki rozumie, że nie można go w tym sensie utożsamiać z pojęciem socyalizmu, jako doktryny, żądającej upaństwowienia produkcyi. „Nie tylko liberalizm, powiada on, ale i komunizm w rozmaitych odmianach swoich, jest teoryą indywidualistyczną.“ W rzeczywistości każdy z tych prądów może być jedną z faz wielkiego ruchu ku emancypacyi jednostki, który nazwał autor indywidualizmem; a czy ta emancypacya (w jednej z faz historycznych) odbywa się przez zmniejszenie policyjnej władzy państwa, czy też (w innej fazie) przez rozszerzenie ekonomicznych jego funkcyi, nic to nie zmienia w jej istotnym charakterze. Dążność jedna i druga będzie indywidualistyczną, skoro przeprowadzane zmiany czynione są gwoli jednostce.—Jeszcze niewielki ustęp z cytowanego już autora wystarczy, aby dokładnie scharakteryzować przeciwstawność obu tych prądów. „Z jednej strony istnieje dążność do wywyższenia całości ponad część, dążność do tego, aby jednostkę wprządz na usługi rodziny, stanu lub państwa, aby ją upokorzyć wobec religii, prawa moralności i obyczaju, wobec przedmiotowych celów i potęg, które powstały bez jej zgody, zostały jej przekazane z przeszłości, a jednak żądają od niej posłuszeństwa i poddania się. Dążność ta natrafia wszędzie na przeciwną sobie, która odwraca się od całości, która chce wyzwolić jednostkę od wszelkiego przymusu i uczynić z niej najwyższego władcę *(souverain)* społeczeństwa. Interesy i prawa tej jednostki do wszechstronnego rozwoju naginają się wobec danego porządku społecznego tylko o tyle, o ile ten dogadza jej podmiotowości, a rozum jego decyduje, jako najwyższy sędzia, o tym porządku, zatwierdzając go, zaprzeczając lub przekształcając.“

Środki, którymi chce zabezpieczyć autor mniejszość od tyranii większości (gdybyż o to tylko szło w państwach współczesnych!), należą do najbardziej potępionych przez teoryę i praktykę prawa państwowego; są to kilko-stopniowe wybory, niezwykłe długi (10-letni) czas wyborczy, ograniczenie prawa wyborczego tylko do ojców i matek rodzin oraz do ludzi, posiadających elementarne wykształcenie), konieczność $^3/_4$ głosów dla decyzyi itp.

Jeszcze trudniejszym do przyjęcia jest system finansowy autora, który ma dążyć do zabezpieczenia potrzeb państwowych nie w drodze dowolnego opodatkowania obywateli (autor nie dostrzega, że, skoro obywatele sami opodatkowują siebie na rzecz ogółu, to krzywdy w tem niema), lecz rozgraniczenia pomiędzy prawem własności jednostki a państwa. To, co stanowi zdobycz i najcenniejszą gwarancyę parlamentaryzmu współczesnego — wyłączne prawo parlamentów ustanawiania podatków — uważane jest przez autora, jako zbyteczny dla nich ciężar!

Autor często powraca do myśli, że filozofowie są naturalnymi przywódcami społeczeństwa, porównywając rząd, przez nich wywierany, do oddziaływania czysto moralnego nauczycieli na uczniów w szkole, które przeciwstawia przymusowi dzisiejszego państwa. „Jak filozofia jest najwyższym stopniem wiedzy teoretycznej, tak polityka jest najwyższą działalnością praktyczną, a mąż stanu potrzebuje wiedzy filozoficznej, jak inżynier—matematyki“—powiada p. Lutosławski. Pozwolimy sobie zauważyć, iż jest gałąź wiedzy, jeszcze potrzebniejsza dla męża stanu, niż filozofia; jest nią polityka, a niemniej jest potrzebną i dla tych, którzy zamierzają kreślić podwaliny nowych instytucyi państwowych. Bez tej pomocy plany podobne rzadko zasłużyć mogą na poważne rozstrząsanie.

Nie wiele nowych myśli przynosi i następny rozdział—o c e l a c h ż y c i o w y c h. Celem ostatecznym życia jest doskonałość, której zresztą nie należy pojmować, jako stanu biernego, lecz jako najwyższą czynność. Od dzieciństwa do największego rozwoju pracy geniusza dostrzegamy cały szereg stopni w celach życiowych. Najwłaściwszym sposobem doskonalenia się w obranem powołaniu jest oddanie się pod kierownictwo doświadczonego nauczyciela. Największą przeszkodą w dążeniach ku celom wyższym jest troska o byt. Zdawało by się, że ta prosta prawda, przezeń uznana, powinnaby przychylnie usposobić autora do dążności, usiłujących złagodzić troskę o byt w społeczeństwie ludzkiem. Ogranicza się on wszakże do stwierdzenia, że „wspólna praca wszystkich mieszkańców pewnego kraju zupełnie wystarczyłaby, aby im dać utrzyma-

nie bez żadnej walki i bez zawodów, z którymi są obecnie spotykamy“ (str. 273). Radzi następnie, aby każdy zaczynał swoją działalność od tego, co najpotrzebniejsze dla innych. Najlepszym środkiem, zabezpieczającym od zawodów i spowodowanych przez nie upadków energii, jest przyjaźń pokrewnych dusz. Celem życia ludzkiego—popierać dusze w ich działalności. Szczęścia szukać nie powinniśmy; znajduje się ono samo na drodze do doskonałości. Kto kocha dusze lub dąży do ideałów, nie bywa całkiem nieszczęśliwy, chociaż może nigdy nie będzie zupełnie szczęśliwy w tem życiu, dopóki widzi cierpienie braci swoich (str. 280).

Znajomość teraźniejszości pozwala wnosić o przyszłości. Takim widokom przyszłości poświęcony jest ostatni rozdział *Seelenmacht*. Spodziewa się może czytelnik jednego z tych wspaniałych obrazów przyszłego społeczeństwa, jaki znajdujemy np. u Wilhelma Morris'a? Że roztoczy przed nami obraz swojej Eleuteryi, onego raju mędrców i filozofów? Tak daleko nie odlatuje wszakże autor na skrzydłach wyobraźni od dnia dzisiejszego, a to, co nam kreśli, jako przyszłość pożądaną, mało czem się różni od teraźniejszości. Rewolucya, zupełnie pokojowa, odbędzie się przez przyjęcie trzech zasad, które mają moc cudotwórczą. Są to: nieśmiertelność duszy, kierownictwo boskie nad czynnościami ludzkiemi i powszechne braterstwo czyli miłość bliźniego.

Ależ, zawoła czytelnik, już od dwu tysięcy lat zasady te szerzą się przez dwie najbardziej rozpowszechnione na kuli ziemskiej religie—buddyzm i chrześcijaństwo, a mimo to przedstawiciele obu wyrzynają się nawzajem, wyzysk najokropniejszy panuje wśród owego braterstwa, i jakoś ani świtu nawet nie widać lepszej przyszłości? Autor zgodzi się z czytelnikiem. Twierdzi wszakże, iż złe pochodzi stąd, że prawdy te uznają się tylko zewnętrznie. Dwa tysiące lat, i nic a nic w głąb nie przeszły — myśli sobie uparty czytelnik—i oblicza w duchu, ileż to jeszcze tysięcy czekać wypadnie, zanim nastąpi upragniona przez autora Eleuterya?—Ale przedewszystkiem zobaczmy, czy warto na nią tak długo czekać?

Rządzić będą w Eleuteryi, rozumie się, najmędrsi i najlepsi, nikt bowiem z ambicyi nie będzie się ubiegał o władzę. Prawa, wyrobione raz przez doświadczonych i filozoficznie wykształconych, nie będą wymagały prawie żadnych zmian. Procesy i kłótnie będą bardzo rzadkie. Ministeryum zagraniczne będzie miało bardzo mało do czynienia, gdyż eleuteryści nie zechcą mieszać się w sprawy obcych ludów. Ich posłowie będą się cieszyli uznaniem wśród innych ludów i wszelkie zatargi będą się rozstrzygały zapomocą są-

dów polubownych. W razie zaś najazdu eleuteryści gotowi będą raczej umrzeć, niż wyrzec się niepodległości. Dlatego nieliczna armia i flota wystarczy na ich obronę. Wszystko przyczyniać się będzie do podniesienia bogactwa kraju. Będą więc w Eleuteryi bogate muzea i biblioteki, piękne parki. Poczta dla wszystkich bezpłatna, również jak i podróże dla ułatwienia przyjacielskich stosunków. Mimo to wszystko będą w Eleuteryi bogaci i ubodzy, „gdyż zdolności osobiste różnego stopnia będą tak wynagradzane, jak na to zasługują.“ Nie będzie tylko zbytku i nieczynności—chociaż przez żadne prawa zakazane nie będą. Nie chciał p. Lutosławski zrobić tej przyjemności eleuterystom, aby wyzwolić ich od widoku nędzy współbraci, chociażby to również go mało kosztowało, jak i urządzenie parków i bibliotek— oczywiście przez obawę zbliżenia się do do utopii socyalistycznych, których przeciwstawność stanowić ma Eleuterya.

Dyskretnie zamilcza się o tem, czy będą także w Eleuteryi domy robocze dla ubogich; zato rozwija się plan akademii, która tworzyć będzie rodzaj państwa, rządzonego przez korporacyę uczonych. Dziwnego wrażenia doznajemy[1]), czytając ten ostatni rozdział książki p. Lutosławskiego; zdaje się, jakby autor sądził, iż główną rzeczą, której brakuje ludzkości do szczęścia — jest dobrze urządzona biblioteka. Narzekaniom na brak podobnej instytucyi poświęca autor niemało miejsca.

Z przykrem uczuciem zawodu zamykamy książkę p. Lutosławskiego! Spodziewaliśmy się znaleźć w niej metafizyczne podstawy indywidualizmu i jego konsekwencye filozoficzne i społeczne. Tymczasem o indywidualizmie właściwym, o indywidualizmie, jako prądzie potężnym i wyzwoleńczym, który ożywczym strumieniem przebiegł przez dzieje, stworzył prawo przyrodzone, wyemancypował jednostkę i na wspaniałym gmachu teoretycznym, jeszcze nie zakończonym, a zdolnym do dalszego rozwoju, osnuł teoryę państwa i społeczeństwa nowożytnego—o tym indywidualizmie pomimo za-

[1]) Ideałem politycznym Eleuteryzmu, czytamy w *Genezie Eleuteryzmu*, jest wolna organizacya narodów. bo naród jest samoistnym związkiem najbliższych duchowo sobie jednostek bez względu na różnice państwowe ani terytoryalne...“ „Eleuteryzm daje teoretyczną podstawę partyom narodowym, tak samo, jak idealizm lub panteizm prowadzi w polityce do socyalizmu, a materyalizm i uznanie brutalnej siły— do polityki oportunistycznej.“ (str. 10).

powiedzi autora, iż książka jego będzie zwalczeniem socyalizmu, (w znaczeniu, przez autora przyjętem, a więc jako dążności społeczeństwa do zaabsorbowania jednostki), nie znajdujemy w niej ani słowa. Czy się odważył rzucić w kilku rysach wydatnych dzieje tego indywidualizmu, jak to uczynił był L. Blanc w pierwszym tomie swojej Historyi Rewolucyi? Czy chociaż odczuł zależność od tej przeszłości współczesnych instytucyi parlamentarnych, które krytykuje bez ich głębszego zrozumienia?—Nie.—Z całej tej formacyi walk bohaterskich o indywidualizm wyjrzał w Seelenmacht tylko uparty mieszczuch, gotowy zawsze kłócić się z państwem o te kilka groszy podatku i bronić swego świętego i nietykalnego prawa własności.

Ogromne rusztowanie metafizyczne, sztucznie odnowiona monadologia ze wszystkiemi nieprawdopodobieństwami i niekonsekwencyami swemi okazała się potrzebną na to, by podtrzymywać ideał społeczny, tak mało zachęcający.

Czy chociaż go podtrzymuje? Nie było to przypadkiem, że metafizycznym na świat poglądem, który wiązał się z aspiracyami indywidualistycznemi przodujących umysłów, w końcu XVIII wieku był atomizm mechaniczny. Pogląd ten w istocie jest w nierównie większym stopniu „demokratycznym“ i „indywidualistycznym“ (jeśli wolno użyć tego wyrazu), niż monadologia, prowadząca do hierarchii dusz i porządku feudalnego, będącego prostem przeciwieństwem indywidualizmu. W rzeczywistości niema nic wspólnego między indywidualizmem polityczno-społecznym a pochodzeniem duszy od Boga lub jej wiecznem istnieniem. Prawa bowiem osobowe jednostki wyśmiewają się z jej godności ludzkiej, a dla wszystkich jednostek równej, i nie mają nic wspólnego z wiarą w trwanie osobowości wieczne lub czasowe. Również i stawianie wogóle moralnego charakteru człowieka w zależność od jego wierzeń metafizycznych należy do stanowisk przebrzmiałych, które mogły mieć żywotność w epoce słynnych sporów o moralności ateuszów. Dziś wiemy zbyt dobrze, jak skomplikowane czynniki składają się na charakter moralny jednostki, aby uwierzyć, iż wiara w nieśmiertelność duszy może uczynić tchórza bohaterem. Z przeświadczenia podobnego płynęło średniowieczne mniemanie o karygodności pewnych opinii teoretycznych: wyobrażano sobie, iż niektóre założenia teoretyczne stanowią niezbędną podstawę prawideł postępowania i że ktokolwiek z nimi się rozmijał w teoryi, musiał w postępowaniu swojem koniecznie być niemoralnym. Nowożytne pojęcie o prawie do badań niezależnych i o wolności opinii teoretycznych jest wprost prze-

ciwstawne takim poglądom. Gdybyśmy oceniali każdą opinię teoretyczną ze stanowiska wniosków praktycznych, które z niej w rzeczywistości wysnuć się dadzą lub przez nieżyczliwych przeciwników wysnute być mogą, doszlibyśmy do zupełnego zaprzeczenia wolności badania: każde mniemanie mogłoby z góry zostać potępione dzięki jego przypuszczalnym następstwom praktycznym, niezależnie od jego prawdziwości lub nieprawdziwości.

Sprobujmy teraz zreasumować wyniki naszego rozbioru.

Pierwiastki składowe, z których utworzył się „indywidualistyczny pogląd na świat“ p. Lutosławskiego, są to: spirytualistyczno-kartezyańskie pojęcie o duszy substancyalnej, stanowiące jego kamień węgielny; monadologia Leibniza, odpowiednio zmodyfikowana; liczne wpływy platońskie, poczęści bezpośrednie (np. myśl, wspólna zresztą z St. Simon'em, o filozofach, jako naturalnych przywódcach ludzkości), bądź pośrednie—w formie dogmatów i tradycyi chrześcijańskich; wreszcie niektóre podniesione do zasady cechy antispołeczne lub wady charakteru narodowego, które niesłusznie utożsamiają się z indywidualizmem w lepszem znaczeniu wyrazu.

Ogólną cechą poglądu na świat p. Lutosławskiego jest jego niesłychany subjektywizm. Cecha ta przenika nawskroś całą filozofię indywidualistyczną, zaczynając od antropocentryzmu nauki o duszy i upodobań osobistych, ujawniających się w poglądach na życie przyszłe, a kończąc na podniesieniu skłonności osobistych do charakteru cech narodowych i kształtowaniu przyszłego ustroju społecznego według typu aspiracyi książkowca-intelektualisty.

Wpływ platonizmu kładzie pewne piętno średniowieczczyzny na cały charakter myślenia p. Lutosławskiego. Cały postęp myśli nowożytnej był zwrotem od platońsko-arystotelesowskiego stanowiska ku panteizmowi w metafizyce; od indywidualizmu pozaświatowego p. Lutosławskiego ku indywidualizmowi demokratycznemu szkoły prawa przyrodzonego; od hierarchii feudalnej ku idei równości obywatelskiej; był uniezależnieniem dziedziny praktycznej od wierzeń, nie dających się sprawdzić, i sekularyzacyą wszystkich wogóle dziedzin; wyzwoleniem ciała i przywróceniem jego godności; uznaniem dla warunków materyalnych i zabiegów ekonomicznych, wreszcie wygnaniem i ośmieszeniem wiary w telepatyę i wszelkiego rodzaju wpływy tajemnicze.

W poglądzie na świat p. Lutosławskiego znajdujemy przeci-

wieństwo prawie wszystkich tych dążności obok tak charakterystycznej dla wieków średnich pogardy dla faktów rzeczywistości, objawiającej się w tylu punktach, zaczynając od zaprzeczenia fizyologii dzisiejszej przy traktowaniu stosunku czynności mózgu do działalności psychicznej, a kończąc na ignorowaniu nauki prawa i ekonomii społecznej w teoryach o społeczeństwie.

Charakterystycznym dla metody logicznej p. Lutosławskiego jest stale powtarzający się błąd dwuznaczności terminu porównania we wnioskowaniu. Na tym paralogizmie opiera się, jak widzieliśmy, podstawowe twierdzenie jego—dowód substancyalności duszy. Na nim też opiera się podział poglądów na świat i przeciwstawność indywidualizmu innym; na podobnej dwuznaczności opiera p. Lutosławski przeciwstawność swego indywidualizmu z socyalizmem.

Nie tylko więc pojedyńcze składniki poglądu na świat indywidualistycznego, ale ogólny duch, objawiający się w nim, jest obcy typowi myśli nowożytnej.

Przyklaskując gorąco niektórym postępowym i sympatycznym myślom autora, sądzimy wszakże, iż znalazłyby one i bardziej odpowiednią dla siebie formę, i łatwiejszy przystęp do przekonania czytelników, gdyby odziane były we właściwą sobie szatę publicystyczną, a uwolnione od związku ze sztucznym i przeżytym systematem metafizycznym. Że autorowi taka forma traktowania przedmiotu nie jest obcą, najlepszym dowodem dowcipna chłosta, której poddaje wybryki innego rodzaju, a mianowicie pseudo-estetycznego pseudo-indywidualizmu[1]).

W. M. Kozłowski.

---

[1]) Ob. „Filozofia nagich a pijanych dusz".

Z DZIEJÓW LITERATURY
i oświaty w Rosyi.

(Z powodu dzieła Aleksandra Pypina, Historya Literatury Rosyjskiej, cztery tomy, Petersburg, 1898 i 1899).

Jak w innych literaturach słowiańskich, nie wyłączając polskiej, tak i w rosyjskiej dopiero wiek dziewiętnasty zaznaczył się dziełami niepospolitemi, w których skrystalizowały się myśli i uczucia narodowe, pragnienia i ideały, pomysły i popędy, obleczone w formę niezrównanej nieraz świetności. Na literaturę tę złożyły się od Tołstoja i Dostojewskiego, od Turgeniewa i Gonczarowa aż wstecz do Gogola i Puszkina, dzielne głowy i tkliwe serca, bogate wyobraźnie i głębokie refleksye; jest ona wprawdzie wytworem dopiero dziewiętnastego wieku, ale zarody jej kiełkują o wiele wcześniej; skład ducha, forma zewnętrzna wyprzedziły wiek ten znacznie; chcąc poznać przyczyny i pierwiastki, należy się też cofnąć o całe wieki.

Pracę ułatwiają znakomicie dziejopisarze umysłowości rosyjskiej. Nie zrażają się oni ubóstwem źródeł, niepokaźną ich szatą, powtarzaniem tych samych słów i myśli; ceniąc każdy, najdrobniej-

szy szczególik, oszlifowując go najstaranniej, osadzają go w jednostajnej, szarej powłoce dawnego życia umysłowego, ucząc nas, jak należy zabytki przeszłości umiłować, jak się w nie wpatrywać, co w nich odczuwać; my nie czcimy z takim pietyzmem naszej umysłowości starowiecznej, bo nie dozwalają nam tego względy, dopominające się o służbę żywą, codzienną, nie zaopatrzoną w przeszłość. Z dumą jednak możemy zaznaczyć, że i u nas zanosi się stanowczo na zwrot ku lepszemu: najnowsze dzieła o literaturze polskiej Chmielowskiego i Tarnowskiego rokują i naszym studyom przyszłość najlepszą.

Do najznakomitszych przedstawicieli i najsympatyczniejszych zarazem, owianych myślą europejską, bezstronnych, a mimo to patryotycznych należą w tym dziale nauki rosyjskiej trzej akademicy, Aleksander Wiesiełowski, Leonid Majkow, zmarły niestety r. z. wiceprezydent akademii, i Aleksander Pypin.

Wiesiełowski, powaga europejska, ceniony równie przez slawistów, jak przez germanistów i romanistów, zarzucających mu stale tylko jeden błąd—że nadto wyłącznie po rosyjsku pisze, co pp. G. Parisowi, T. Toblerowi i tylu innym bardzo nie na rękę, pracuje głównie na polu literatur średniowiecznych, ludowych, odrodzenia włoskiego. Tu należy np. znakomite dzieło jego o Bokacyuszu. Oczytanie nadzwyczajne, dar kombinacyjny, trzeźwość sądu i trafność poglądu nadają każdemu z niezliczonych przyczynków jego (większych konstrukcyi unika on raczej) niepospolitą wagę. Ulubionym przedmiotem badań jego jest badanie wędrówki motywów, wschodnich i zachodnich, apokryficznych i legendowych, romantycznych i obyczajowych na polu literatur słowiańskich, głównie ludowych; Słowianie bowiem, między światem wschodnim a zachodnim umieszczeni, przejmowali zewsząd i kolejno obce motywy, wymieniali je i splatali w nowych kombinacyach; dla wszelkich studyów porównawczych przedstawiają też literatury słowiańskie materyał nadzwyczaj obfity i doniosły.

Prace Majkowa i Pypina, nie ogarniając tak szerokich, europejskich widoków, ograniczają się na literaturze rosyjskiej lub wogóle słowiańskiej. Majkowowi zawdzięczamy znakomite szkice z różnych wieków i dziedzin literatury rosyjskiej, od XIV do XIX stulecia, i pyszne wydawnictwa, których koroną niedawno rozpoczęte wydanie dzieł Puszkina.

Pypin sił nie rozpraszał na szkice i studya, czyli raczej, pisząc swe studya i szkice, zawsze zgóry całość planował, na którą się

kiedyś te szkice złożyć miały. Tak powstały jego najnowsze i najobszerniejsze dzieła, historya etnografii rosyjskiej w czterech tomach, a potem i historya literatury rosyjskiej, równej objętości. Dawniejszych, niepospolitych dzieł (o Bielińskim i t. d.) nie wyliczamy; ale trudno nie wspomnieć o Historyi literatur słowiańskich, dla której Spasowicz polską napisał, a Pypin ją teraz wydaniem rosyjskiej (na skalę znacznie obszerniejszą) uzupełnił; albo pracy nad dawną powieścią rosyjską, która i dziś jeszcze cenę swą zachowała. Obok znakomitego uczonego witamy w Pypinie zarazem jednego z przedstawicieli liberalizmu rosyjskiego—chociaż nie tego, który, w zachód zapatrzony, wszystkiemu, co rosyjskie i słowiańskie, zgóry nie dowierzał, i panslawizmu równocześnie, ogarniającego jednak interesy całego Słowiaństwa, nie narzucającego Słowianom jednego języka, obrządku, ustroju. Miękka i dobrotliwa natura człowieka, nawet protestom przeciw wszelkim przymusom i fanatyzmom odbierająca ostrości, stawiała go zawsze po stronie krzywdzonej, chociaż nigdy o własnym narodzie i jego dobru zapominać mu nie daje; wieloletnia, wytężona praca uczyniła go przytem jednym z najgłębszych znawców umysłowości rosyjskiej. W ostatniem dziele, powstałem z przeróbki szkiców, ogłaszanych latami w „Wiestniku Jewropy", złożył on nowe dowody ciepłego serca, jasnej myśli i wielkiej wiedzy.

Dzieło jego stało się dla nas pobudką do kreślenia szkiców poniższych; nie są one jednak ani tłómaczeniem wybranych ustępów z Pypina, ani też streszczaniem jego wywodów; poruszamy nieraz szczegóły, których on ani tknął; miejscami polemizujemy z wywodami autora jawnie lub ukrycie; piszemy wreszcie dla czytelników polskich. Właśnie brak w naszej literaturze przedmiotowego, bezstronnego, naukowego przewodnika na polu literatury rosyjskiej; szkice nasze mają choć w części brakowi temu zapobiedz, stawiając sobie za cel czytelnika, nie obznajmionego bliżej z tą literaturą, wprowadzić w jej rozwój, tak powolny, nieznaczny i jednostajny przez długie wieki, tak nagły, oryginalny i wszechstronny w wieku dzisiejszym; przedstawić mu znamienne jej szczegóły, wybitnych działaczy, główne jej myśli przewodnie; ułatwić mu poznanie rosyjskiej psychy narodowej.

I.

Między wszystkimi Słowianami Ruś jedyna znalazła się w najszczęśliwszem położeniu. Granice przyrodzone na Bałka-

nie lub twardsze od granitu gór ludy ościenne tamowały rozrost Słowian na południu i zachodzie; Ruś jedyna mogła się szerzyć w nieskończoność aż do morza Lodowatego i do oceanu Spokojnego. Finn bowiem oporu nie stawiał, a i w Syberyi nań się nigdy nie zdobyto. Utraty na południu (od stepów) i na zachodzie (gdzie łapciasta Litwa dopiero późno z błot głowę wychyliła) wetował Wielkorus stokrotnie na północy i wschodzie; jak straszne wylewy morskie i nadzieja lżejszego bytu pchały setki tysięcy germańskie na wsze strony, tak ustępował i Wielkorus przed najlżejszym naciskiem w coraz dalsze bory i stepy. Olbrzymiość przez nikogo na seryo nigdy nie bronionego terytoryum i prądy obce, nie zaś jakieś cudowne właściwości i zadziwiające dary, stworzyły z materyału obcego państwo rosyjskie i typ rosyiski.

Typ rosyjski był pierwotnie tylko słowiańskim, i Słowianin nad Ilmeniem lub Wiatycz nad Oką byli nieodrodnymi braćmi Polanina nad Wartą lub Wiślanina; późniejsza przymieszka krwi fińskiej również nie odsłowiańszczyła Wielkorusów, gdyż Finn i Słowianin są odmiankami jednego typu, *homo Europaeus*. Element zaś całkiem obcy, bo tatarski, wpłynął wprawdzie bardzo silnie, na arystokracyę rosyjską, która chanów i murzów wchłaniała (z hordy wyszli przecież wcześnie Godunowy, Saburowy, Urusowy, Jusupowy, Sołtykowy, Aksakowy, Turgeniewy i inni), lecz sam lud wielkorosyjski od tej przymieszki pozostał wolnym, i znany „turanizm“ Duchińskiego jest poprostu nieudaną farsą; u „Ukraińców“ przymieszka krwi „turańskiej“ (od Pieczyngów i Połowców aż do Tatarów) była znaczniejszą. Jak podobni byli sobie niegdyś Polanie nad Dnieprem, Słowianie nad Ilmeniem i Polanie nad Wartą, o tem niech świadczy fakt, że występują u nich całkiem niezależnie te same podania historyczne, świadczące chyba o wspólnym ustroju myślowym i uczuciowym; na nie dotąd nie zwracano należytej uwagi.

Podanie polskie głosiło np. o siedmioletniej wojaczce pod dalekim Kijowem Bolesława Śmiałego, o stęsknieniu niewiast polskich za mężami i o sprzeniewierzeniu się ich, o buncie sług i chłopów pozostałych, krwawo później uśmierzonym. Ależ to samo opowiadali Nowogrodzianie Herberszteinowi r. 1519, dodając nowe szczegóły: ich przodkowie oblegali bowiem Korsuń grecki lat siedem; niewiasty tymczasem, stęsknione i zrozpaczone, powychodziły za niewolników; wrócili nakoniec panowie, zdobywszy miasto i zabrawszy z sobą wrota i dzwony „Korsuńskie“, lecz przeciw nim wystąpili do boju ich niewolnicy; oburzeni tem panowie rzucili za radą jednego bronie i chwycili, jak na niewolników przystoi, za puhy (nahaje) i kije; wy-

straszeni niewolnicy uciekli do Chłopiego Grodu, gdzie ich w końcu wysieczono*).

Cofnijmy się jeszcze dalej wstecz; Włodzimierz Wielki i Bolesław Chrobry panują spółcześnie, obaj dzielni, mądrzy i sprawiedliwi; jakież ich rysy utkwiły najgłębiej w pamięci narodowej, polskiej i ruskiej? O hojnych stołach, sutych obiadach dla zewsząd sproszonych, możnych i małych, panów i żebraków polski Gall i ruski Nestor opowiadają w równej mierze, a „łaskowyj", przydomek Włodzimierza w bylinie, moglibyśmy niemal „szczodrym" wytłómaczyć.

Nawet poza Włodzimierzami i Bolesławami, w głębokiej pomroce dziejowej zapisał kronikarz ruski dziwne podanie, jakoby Radzimicze i Wiatycze (dzisiejsi Wielkorusowie) wyszli od Lachów; że było dwuch Lachów, Radzim i Więtko (Więcław, Wacław, oba nazwiska są rzeczywiście „lackiemi") i że osiedli oni nad Sożą i nad Oką, a od nich przezwały się oba szczepy ruskie. I podobnych szczegółów moglibyśmy przytaczać więcej, choćby nawet ten, że starzy Pskowianie z polska, nie z ruska, włosy trefili i t. p.

Takto zlewały się niemal Polska i Ruś pierwotna, i trudno, albo wcale niepodobna, oznaczać dawne ich granice, polityczne i etnograficzne. Do kogoż np. należały właściwie t. z. grody czerwieńskie, o których kronika ruska pod r. 981 prawi? („szedł Włodzimierz ku Lachom i zajął grody ich Przemyśl, Czerwień i inne grody, które i do dziś pod Rusią są" — a więc niegdyś pod nią nie były? nazwy ziemi Bełskiej i grodu Bełza tylko pod tą polską formą istnieją—ruskiej nie znamy żadnej). Od Wisły po Bug były te granice widocznie bardzo chwiejne, i obrządek rozstrzygał bardziej, niż narodowość.

Były jednak i różnice; mową i zwyczajem wyodrębniały się już dawno plemiona słowiańskie, a odmienne warunki rozwoju dziejowego wyżłabiały z każdym dziesiątkiem lat coraz głębszą i szerszą przepaść między niemi; w warunkach tych odgrywa odmienność obrządku, a później i odmienność ustroju politycznego rolę pierwszo-

---

*) Podanie o zagnaniu lekceważonego wroga samemi „puhami" kołatało się długo w Polsce i na Rusi; przechwalał się tem jeszcze Orzechowski w Quincunxie r. 1564 („by też dobrze na ty niewolniki Polacy nie z szablami, ale z puhami na harc jechali"), przechwalali się również podchmieleni żołnierze ukraińscy wobec Gustawa Adolfa: („Cóż, morskich tych rzewluhów, śmierdzących śledziami, Niemieliby za morze zasiec nahajkami", prawi Twardowski S. we Władysławie IV, 1648 r.).

rzędną. Obok tych decydujących raz na zawsze czynników działały już dawniej i inne, niemniej charakterystyczne. I tak np. uderza nas dziwnie obfity rozwój ludowej poezyi epicznej na Rusi, a zanik jej całkowity w Czechach i w Polsce, choćby piastowskiej. Wpływ epiki wschodniej, irańskich i turskich koczowników na ruską, prawdopodobny w szczegółach niektórych, w całości nie rozstrzyga, gdyż i na Bałkanie, gdzie epika wschodnia (prócz greckiej) wcale nie oddziaływała, ludowa epika od wieków kwitnie, z której u Słowian zachodnich najmniejszego, uchwytnego śladu nie pozostało. Widocznie brakło jej ziemi i powietrza u Słowian nadłabskich, upadających wcześnie w strasznie nierównej walce z wrogiem zawziętym; nie pielęgnowane zarodki jej wcześnie więc zaginęły. Nie sprzyjały jej rozwojowi i warunki bytu w ziemiach przemysłowskich i piastowskich, odmienne od bałkańskich i ruskich. Ruś np. żyła i w dobie książęcej jakby w jakim wieku heroicznym; nie istniały w niej nadto głębokie różnice społeczne; książę, drużyna, lud grodzki i wiejski oddychali jeszcze jednem powietrzem, razem żyli i ginęli, demokracya słowiańska w Czechach i Polsce natomiast już daleko cofnięta, stany wyższe od niższych odgrodzone szczelnie, nie było już jednolitego życia narodowego, a z niem i pieśń narodowa lub zarodki jej przebrzmiały i nie odżyły już nigdy.

Stokroć ważniejszą stała się jednak już od X wieku owa różnica wyznaniowa, wznosząca niewzruszone granice, gdzie przyroda żadnych stworzyć nie śmiała. Oba plemiona należały bowiem od X wieku do dwu różnych Kościołów, i antagonizm kościelny, nic w ich gruncie nie obchodzący, wypielęgnowały najbujniej aż w antagonizm narodowy, chociaż całych wieków potrzeba było, aby przejąć je tą sztuczną różnicą. Wkraczamy tu w dziedzinę nie tylko wyznaniową i narodową, lecz i umysłową przedewszystkiem; losy i koleje umysłowości staroruskiej, tak odmienne od polskiej i od europejskich, wyjaśniają się bowiem w pierwszym rzędzie przyjęciem obrządku wschodniego.

W Czechach, w Polsce, nie mówiąc o dalszym zachodzie, z postępem czasu, wolniej czy prędzej, zmienia się literatura; na Rusi postępu niema, raczej upadek widoczny, i takich dzieł, jakie wiek XII stworzył, późniejsze aż do XVIII w. już więcej nie wydały. Gdzieindziej z postępem czasu zrywają z tradycyą, zapominają o dawnych ideałach, myśl i mowa kroczą nowymi torami—na Rusi, jak na wschodzie całym, żadnych zmian niema, wiek XII, czy XV, czy XVII czerpią z tych samych źródeł, myślą i mówią nawet zawsze jedno, zawsze jednemi słowami; dzielenie np. literatury i gałęzi jej na wieki, konie-

czne gdzieindziej, zbyteczne na Rusi, jak i na wschodzie: kronika, pałomnik (wędrówka i opis miejsc świętych), żywoty i legendy, homilie Złotoustego popłacają, jako wyłączne wzory i źródła za Alekseja Michajłowicza tak samo jeszcze, jak niegdyś za Włodzimierza Monomacha.

Skądżeż wziął się ten zastój?

Należałać wprawdzie metropolia kijowska do patryarchatu carogrodzkiego; ależ Grecy o losy tej najnowszej metropolii dbali tylko o tyle, żeby ją mogli Grekami obsadzać. Gdybyż jeszcze język jej był greckim! Niegdyś jednak dla Morawian, siedzących gdzieś za światem, dokąd żaden Grek dobrowolnieby nie poszedł, wysłano braci-apostołów z językiem słowiańskim w nadziei skutecznej rywalizacyi z Rzymem i tutaj, jak i w przyległej Bułgaryi. Nadzieje się wprawdzie nie ziściły; Cyryl i Metody uznali bowiem za głowę swą duchowną Rzym, nie Bizancyum, lecz zato w kilkadziesiąt lat później Bulgarya uczniów Metodyuszowych z ich liturgią i księgami słowiańskiemi przyjęła z otwartemi ramionami i ich sobie, inaczej jak Morawa, nikomu wydrzeć nie pozwoliiła.

Co Bulgarzy słowiańscy posiadali, nie można było tego po całym wieku zaprzeczyć Rusi słowiańskiej i mimo chrztu chersońskiego i hierarchii greckiej kościelny język i na Rusi pozostał tym samym, jaki w Przesławie i Ochrydzie panował. Musieli na to Grecy przystać, gdyż ramię ich nie sięgało tak daleko, jak ich chciwość; ale jak oni szczerze i z całej duszy obrządku słowiańskiego nienawidzili i do dziś nienawidzą, dowodzą tego dzieje, choćby XVIII i XIX wieku, choćby w Bułgaryi i Macedonii, tymczasem jednak, aby powtórzyć bajkę Ezopową, pilnik słowiański od zębów węża greckiego niewiele ucierpiał. Skutki fatalne wyłoniły się na innem polu.

Ułatwiała wprawdzie nadzwyczaj pracę chrystyanizacyi przystępność, zrozumiałość języka liturgii i ksiąg świętych, i dostawała się Rusom odrazu w dusze niby gotowa literatura w napoły własnym języku, i należało tylko z niej korzystać. Z łaciną byłaby rzecz o wiele trudniejsza; musiał Niemiec, Czech albo Polak długo ślęczeć w szkole, i to w szkole porządnej, nim się jej sensu dobadał. Rusin, znaucywszy się jako jako tako sylabizować, żadnej dalszej szkoły nie potrzebował, i już można go było, gdy miał lata po temu, wyświęcać, i mógł zostać popem, u ojca swego lub u djaka jakiego nauczywszy się psałterz czytać, nie rozumiejąc go zresztą należycie. Jednem słowem, Ruś przez liczne wieki obchodziła się bez szkoły, bo, co oni szkołą nazywają, szkołą nie było, chyba szkółką najelemen-

tarniejszą co najwyżej. W samych początkach, za Włodzimierza jeszcze zakrzątnięto się wprawdzie wobec krzyczącej potrzeby nieco raźniej około szkoły; opowiada kronika pod r. 988, że książę kazał zabierać dzieci znakomitszych ludzi i oddawać (popom) na naukę, a matki płakały za niemi, jakby za umarłemi. Lecz zapał ten wcześnie ostygł; niebawem uczył się tylko ten, kto do stanu duchownego wstępował, i to jak najmniej, żeby się nie przeuczył jeszcze i nie zheretyczał. Drastycznego opisu archiepiskopa nowogrodzkiego, Genadyusza, o stanie wiedzy wpół tysiąca (!) lat później nie przytaczamy; powtarzał on jedno: błagać gosudara, aby kazał szkoły urządzać. Ale w pół wieku później, na soborze r. 1551, te same skargi i te same stosunki spostrzegamy, i dopiero w XVII wieku pod wpływem Kijowa i patryarchów oryentalnych pomyślano w Moskwie o szkole i nauce. Dawniej, w XI do XIII w., bywały jednostki wykształcone, znające język grecki (a nawet nieco hebrajszczyzny), oswojone z formą literacką i naśladujące retorykę grecką; później jednak malała ta liczba, aż w wieku XVI w oczach cudzoziemców cała Ruś jakby w jednym wzroście (co do nieuctwa) stanęła.

Nie odczuwano potrzeby szkół, gdyż i wiedzy żadnej nie było: wiedza średniowieczna istniała tylko w języku łacińskim lub greckim; w żadnym narodowym jej nie było. Zresztą nawet u mistrzów, u Greków, wiedza prócz religijnej upadała stale, w przeciwieństwie do zachodu, gdzie myśl krytyczna z każdym dziesiątkiem lat w filozofii scholastycznej, w umiejętnościach ścisłych (matematyce, astronomii i medycynie), w kunsztach (muzyce i malarstwie), nakoniec w znajomości świata klasycznego i jego skarbów umysłowych tężała, gdy w Grecyi upadała. Nie można też sobie przedstawić większego kontrastu, niż np. po r. 1350 między cesarzem rzymskim i jego radą duchowną a cesarzem greckim i jego patryarchą: w Pradze Karol, nieciciel światła, bijącego na całą Europę środkową (*studium generale*), natchniony przez Petrarkę, dbały o dobrobyt materyalny i moralny kraju, zamyślający kasatę dóbr duchownych dla nieodzownej reformy obyczajów kleru; w Konstantynopolu natomiast cesarz i patryarchowie, wpatrujący się całodziennie w pępek, aby halucynacyi religijnych dostąpić, i prześladujący wszystkich, co zachwytów ascetycznych nie podzielali, mnisi kwietyści, nie wzdrygający się przed żebraniem pomocy u wrogów tureckich. Na zachodzie już sam fakt, że czytano autorów świeckich (Owidyusza i t. d., czy naśladowców ich średniowiecznych), że ćwiczono się w dyalektyce, a nie upośledzano wiedzy ścisłej, budził ducha, i największe przewroty w dziedzinie myśli i umiejętności dokonano albo przygotowano

w XIV i XV wieku (i Kopernik był tylko uczniem katolickiej szkoły średniowiecznej, jak przed nim Kolumb lub Guttenberg i tysiące innych). Na wschodzie zaś i literatura, i wiedza starożytna były kapitałem martwym, którego nie w ojczyźnie, chyba we Włoszech, używać się godziło; ascetyzm, jako jedyna zasada życiowa, a teologia, jako jedyna wiedza możliwa, uśpiły wszelki ruch umysłowy. Cóż więc dziwnego, że dla Słowian bałkańskich zasoby świata starożytnego, tak życiodajne na zachodzie, wcale nie istniały (prócz kilku gołych nazwisk), że o wiedzy i literaturze świeckiej nigdy tu ani mowy nawet nie było, że wszelkie potrzeby umysłowe zaspakajała wyłącznie literatura, nie kształcąca wcale ducha ani myśli nie budząca.

Ten brak szkół, wiedzy i krytyki odbił się jednak bardzo fatalnie w dziejach życia religijnego i narodowego na Rusi i objawia swe skutki po dziś dzień w „raskole“. Umysł niewykształcony, trwożliwy o prawowierność, w nieporadności swej ratował się jedną zasadą: nie odstępował ani na jotę od przyjętego raz, zadawnionego trybu, od litery. Że się pod tym trybem wszystkie możliwe, nawet jawne błędy i odstępstwa ukrywały, że litera grubo myliła, na poznanie tego nie starczyło już wiedzy i krytyki. Stąd ta nieufność i podejrzliwość wobec każdej, najniewinniejszej czy najsłuszniejszej nowości czy poprawy, idąca w parze z niesłychaną zarozumiałością o własnej prawowierności i wyższości nad światem przyległym.

Nieufność tę i zarozumiałość wypielęgnowali Grecy w końcu na własną szkodę. Zazdrośni o wpływy wdrażali oni w Ruś od samego jej niemowlęctwa religijnego przekonania o niebezpiecznem odszczepieństwie łacińskiem, o herezyach rzymskich w dogmacie i obrzędzie. Ruś niewinna poszła na ich lep i tak się zacietrzewiła, że w końcu na łacinników brednie niestworzone powymyśliwała, o których się nawet i mistrzom jej greckim nigdy nie śniło np. o tem, że „łacina“ łono strzyże, że ich księża siedem żon mają, że ziemię macierzą (materja!!), nazywają itp., albo zmyśliła baśń potworną o Piotrze Gęgniwym, który w Rzymie na miejsce Piotra Apostoła intruzem się wcisnął i stary prawowierny Rzym zwiódł i zbałamucił; nie wadzi jednak przypomnieć, że i łacinnicy nieraz podobną, acz nie tak grubą, monetą odpłacali. Narody bratnie i przyległe sobie uważały się więc za pogańskie; odosobniano się więc ściśle i mimo zlewania się granic, mimo niejednej próby unii, podejmowanej nieraz i w celach politycznych, łączność duchowa między zachodem a wschodem słowiańskim zerwano; wpływy łacińskie i zachodnie wykluczono rychło, jako pogańskie i dyabelskie, i Ruś żyła odtąd wyłącznie życiem własnem, ograniczonem, jednostronnem.

Widoki jednak polityczne, które np. Danielem halickim nie gdyś kierowały, zmusiły w końcu i Greków samych do szukania opory i poparcia u znienawidzonego zachodu; groza turecka uprzątnęła uprzedzenia wyznaniowe; aby ciało polityczne uratować, poświęcili cesarz i patryarcha duszę prawosławną na soborze florenckim. Rachuby ich zawiodły zupełnie; ani czerń konstantynopolitańska, ani Moskwa nie ustąpiły w niczem, i cała ugoda florencka zawisła odrazu w powietrzu. W następnej katastrofie politycznej zapomnieli Grecy sami o niej: tem bardziej pamiętała zato Moskwa o odstępstwie (niedoszłem) Greków i opanowanie stolicy przez Turków uważała za karę bożą za greckie od wiary odstępstwo, za bratanie się z pogańską łaciną. I oto po upadku Byzancyum, gdy św. Zofią w meczet, a patryarchę w pachołka tureckiego obrócono, zostali teraz na całym świecie jeden car prawosławny i jedna cerkiew, podniesiona do patryarszej r. 1589, niezawisłymi; w nich jedynych skupił się cały blask błahoczestia i prawowieria; Grecy, szukający opieki i jałmużny w Moskwie, sami ich w tem przekonaniu utwierdzali i osiągnęli w końcu ten skutek, że w niezawisłej, prawosławnej Moskwie nieufnie i podejrzliwie na Greków, pod „Agaryanami“ zostających, patrzono, że wymagano, aby się Grecy do Moskwy, nie odwrotnie stosowali w obrzędach, że każdą odmienność grecką, jako kacerską, piętnowano, że nawet autorytetem wszystkich patryarchów wschodnich gardzić poczęto.

Z obrządkiem greckim nie przeszła na Ruś i wiedza grecka. Klasyków greckich nie znano; jeśli się w pomnikach ruskich przewijają nazwy „Omira“ lub Demostena, to tylko w jakiejś „Pszczole” lub innych podobnych zbiorach czy florilegiach, zwanych złotemi Macicą, Krynicą czy Łańcuchem (Cep), krótką jaką sentencyę z nich przytaczano. Istniała w przekładach dosyć lichych, bo dosłownych, niewolniczych, literatura grecka chrześcijańska, pisma ojców kościoła i kilka kompilacyi kanonicznych i historycznych, dalej kilka traktatów polemicznych przeciwko „Łacinie“, i tylko te nikłe zasoby umysłowości greckiej powtarzały się w nieskończonych, a coraz gorszych odpisach przez liczne wieki. Wiedzy astronomicznej, matematycznej, geograficznej, lekarskiej nie było żadnej, ani tych początków nawet, jakie i najgłębsze średniowiecze na zachodzie przechowywało: płaska, nie kulista, ziemia spoczywała tu na czterech kitach (wielorybach); machinę niebios nakręcali aniołowie; burze zsyłał Bóg (odmienne, więcej europejskie zapatrywania uchodziły w oczach teologów moskiewskich jeszcze r. 1627 za herezye „*ellińskie*“). Z geografii wiedziano o miejscu raju ziemskiego, dokąd Mojsław

Nowogrodzianin z towarzyszami podpłynął; znano cztery rzeki rajskie, drogę na wschód i do ziemi świętej, wszystkie jej miejsca cudowne z ich atrybutami, siekierą Noego, deskami Mojżeszowemi, pępkiem ziemskim i palmami, sadzonemi ręką Zbawiciela. Fizyologia z anneksami była również niewybredną: Adama złożył Bóg z ośmiu części (z kamienia kości, z ziemi ciało, od słońca oczy itd.); siedemdziesiąt chorób wetknął w niego dyabeł; dwanaście trzęsawic (febr) nawiedzało go pilnie; za lekarstwo służyła, prócz modlitw, naszeptywań i ziół, „*bania*“ (łaźnia ruska z nazwiskiem romańskiem, *balneum*, *bain*), którą już apostoł Andrzej podziwiał—innemi lekarstwami, purgansami, klisterami brzydził się ruski człowiek jeszcze w XVII wieku. Historyę prócz biblijnej znano tylko „błahoczestywą“, t. j. grecką; składały się na nią „palea“ (stary testament) i chronograf, przystępowały do niej epizody z dziejów innych prawosławnych krajów i książąt, anegdotycznie zabarwione, np. powieść o gruzińskiej Tamarze, Dinarze, przypominająca nieco podanie o Wandzie krakowskiej, o mołdawskim Drakule, dyable, karzącym występki, jak Alfred brytyjski, i in.; historyę o epirockim Skanderbergu i jego walkach heroicznych z Turkiem miano nawet wcześniej, niż Polacy; przynajmniej Cypr. Bazylik, wydając r. 1569 polskie dzieje jego, twierdzi w przedmowie, że opowiadał mu „niepodły szlachcic ruskiego narodu“, jakoby czytał historyę o Skandebergu „w słowieńskim języku ruskiem pismem.“ O zachód nie pytano: dopiero, gdy Iwanom Wasilewiczom „stopnie“ ich od Ruryka już nie wystarczały, nawiązano do teoryi litewskiej (głoszonej niegdyś przez Butryma około r. 1400 i znanej Długoszowi), jakoby ród ruski wyszedł od *Prusów*, a Prusowie nazwani tak od Rzymianina, brata Augusta, Prusa, osadzonego przez cesarza między nimi. I wyparł się Groźny narodu swego i twierdził się Niemcem, gdyż oprócz pogańskiej Litwy t. j. Polski, każdy inny Europejczyk z zachodu uchodził niegdyś bez różnicy za Frjazina (Franka), a później za Niemca. Nie tęższe były i wiadomości z gramatyki, chociaż niektórzy początki jej z „Damaskinów“ znali, ale cóż to było wobec gruntowności właśnie tej wiedzy na zachodzie! Jednem słowem: nauki, jej surogatów nawet nie było; ograniczano się do czytania pilnego w księgach świętych, w ojcach kościoła, w kilku powieściach pogańskich o Troi i o Aleksandrze, w romansie chrześcijańskiej allegoryi (o Buddzie), t. j.) o Warłaamie i Joazafie, w przemądrym Akirze i w zbiorach bajek (ezopowych, właściwych i niewłaściwych t. zw. fizyologa, t. j. wykładu alegorycznego zwierząt i własności ich); „uczony“ ruski był tylko oczytanym i umiał rozprawiać od „pisania“ (świętego). Z późnych

i złych wzorów greckich, naśladowanych przez Bułgarów i Serbów, działających na Rusi, w XIV i XV wieku nauczył się on wreszcie najwyszukańszych opisywań najzwyklejszych rzeczy: „chytrze“ (kunsztownie) splecionemi słowami, przetykanemi ciągle owemi strasznemi „iże“ i „jeże“ (rodzajnikami, przejętymi wbrew duchowi języka z greczyzny), umiał on tak znakomicie sens przyćmiewać, że czytelnik dzisiejszy, rozumiejąc dokładnie każde poszczególne słowo, całości przecież nie zrozumie, pocieszając się chyba tem, że i pisarz sam nie zawsze dobrze wiedział, co kreślił, albo że umyślnie czy z nałogu jasności, zrozumiałości unikał, co jeszcze w opowiadaniach i chronikach, poświęconych „Smucie“ i samozwańcom (r. 1605—1612) z wielką stratą dla historyka się odbiło.

Kunsztów i sztuk pięknych nie uprawiano również. Muzyki kościelnej nie znano, był tylko śpiew przeciągły, konarchanie chomowe z nienaturalnem rozszerzaniem zgłosek. Budowle najznakomitsze stawiali obcy, mistrze greccy i frjascy, bo ruskie się rozsypywały; malarstwo, wyłącznie religijne, trzymało się ściśle tradycyi i przepisów; powtarzało te same śniade owale, długie ręce, szaty starorzymskie; posągów nie stawiano, medali nie rżnięto. Ascetyzm, propagowany przez duchowieństwo, inne sztuki i kunszty, mianowicie towarzyskie, surowo zabraniał: światowa pieśń i zabawa były dyabelstwem, wyklinanem i tępionem zawzięcie, z wielką szkodą dla literatury, odgarniającej trwożliwie wszelkie zbliżenie do pieśni narodowej, posilającej się nią wyjątkowo, urywkami; tańców, oprócz wiejskich pląsów „biesowskich“ w „rusalie“ i inne pory świąteczne, Rusin nie znał i szydził jeszcze w XVII wieku z takiego suwania się po kątach i szukania, czego się nie zgubiło, zostawiając to błaznom, „pocieszającym“ skokami swych panów; z gier kostki były ulubione i szachy, w które Moskwa znakomicie grywała, nawet na wózku w drodze: niedarmo też w „Szachach“ Kochanowskiego obaj bohaterowie zruska ochrzczeni (Fiedor, Borzuj). Płeć piękna zadowalała się porą letnią śpiewami, obrzędowemi, z klaskaniem w dłonie, po łąkach, i huśtaniem albo pojedyńczem na sznurze, albo w wielkiem kole, niby Fortuny, jak je opisuje zdziwiony takiem widowiskiem Herberstein. Dla czerni były kułaczki; zapasy lub sztuki z niedźwiedziami, wodzonymi przez rozwiązłych „skomrochów“; głównie zaś gorzałka, „wino zielone“, w kilka świąt dorocznych dozwolone; w całej też Europie najpierw na Rusi lud się gorzałką rozpił, i już wcześnie występuje, jako idealne marzenie w epice ludowej, jako nagroda upragniona za czyn bohaterski, za wybranie np. z śród wężów babilońskich regalii carskich lub za oswobodzenie matki Rusi od jakiegoś Idoli-

szcza, pić trzy lata po wszystkich kabakach carskich „bezdanno i bezposzlinno“. Gorzałka nęciła każdy stan, wiek i płeć, nawet popów i niewiasty.

Walczyła wprawdzie cerkiew uporczywie z niewykorzenionemi resztkami pogaństwa, z „*dwojewieriem*“—mieszaniną chrześcijańsko-pogańską, głównie po ukrainach z liczniejszą mieszaną ludnością ale z przesądami, zabobonami, występkami zwalczała ona równocześnie i najniewinniejszą zabawę albo choćby pomyślenie światowe, jako pokusę wszędzie i zawsze czyhającego na ludzi szatańst wa. Grzeszyło już duchowieństwo katolickje (średniowieczne) zbytnią drażliwością pod tym względem, działały na nerwy jego same pląsy, śpiewy i tańce, wydawało się mu klaskanie w dłoni obrzędowe obrażą majestatu bożego, ale nietolerancya prawosławna posuwa się jeszcze o wiele dalej: ideał ascetyczny, wypielęgnowany w Bizancyum, w przeciwstawieniu do wyrafinowanej zmysłowości pogańskiej, przeniesiony najniepotrzebniej i na Ruś słowiańską, przyjmował się powoli, lecz potężnie, gdyż prócz niego inny ideał, pojęcie życia innego, niż jako wyłączne kryteryum dla przyszłego żywota, nie wyrobiły się były: ascetyzm mniszy, atoński i pieczarski, zawładnął każdą myślą; że jednak o ascetyzmie samym wyżyć nie można, a kultury nie było, panował obok niego najskrajniejszy materyalizm, ciągle a bezskutecznie zwalczany przez „pouczenia, posłania i słowa“ duchowne, począwszy od pierwszych metropolitów-Greków aż do soborów XVI i XVIII wieku i do Dymitra Rostowskiego, wojującego jeszcze zawsze i z huśtawkami.

Literatura jednak cerkiewna nie działała tylko na serce i umysł, dawała ona i fantazyi bogatą, acz jednostronną, karm pod postacią ksiąg apokryficznych obok kanonicznych, a nieraz i więcej, niż one wzruszających ciekawość i wyobraźnię, nie tylko gminu prostego. Nie starto dotąd śladów, jakie księgi te, potępiane przez kościół i cerkiew zarówno, na umysłowości ludowej wybiły; i dziś jeszcze obfitują zapadłe albo zaniedbane kąty, nietylko np. na Polesiu lub Rusi węgierskiej, w podania i legendy, wymarzone przed licznymi wiekami głęboką, rozgorączkowaną religijnością wschodnią. Na Ruś dostawały się one od Greków za pośrednictwem południowosłowiańskiem, bułgarskiem i serbskiem; ale zajęcie, jakie budziły, było tak wielkie, że bez względu na różnicę wyznaniową sięgano po nie i na zachód. Z ksiąg tych dowiadywał się i wierzył Rusin w udział szatana przy tworzeniu świata; że liczbę odpadłych z Satanailem aniołów ludzie uzupełnić mieli, za co im Satanail zgubę zaprzysiągł i od Adama cyrograf na to wyłudził; raj ziemski nie znikł,

przebywają w nim Enoch i Eliasz (i łotr, na krzyżu nawrócony, doń się dostał); budowie arki szatan napróżno przeszkadzał i wtedy to Noego zapijać się nauczył, z arki też datuje się nieprzyjaźń kotów i myszy; Lot za kazirodztwo, jak Madej, pokutował. Grubszy jeszcze splot podań wschodnich ogarnął postać Salomonową; już dzieckiem okazywał on nadzwyczajną mądrość, chociaż nią na prześladowanie macochy zarabia, do sądów jego dorabiano nowe; najciekawsze przygody opowiadano o Kitowrasie, jak za jego pomocą świątynię Salomon budował, jak mu Kitowras żonę zwodził i jak Salomon pod samą szubienicą na nim się pomścił.

Liczniejsze jeszcze i ważniejsze opowiadania otaczają Bogarodzicę i Chrystusa; niedomówienia ewangelii zapełniają pseudoewangelie o poczęciu cudownem Anny, o dzieciństwie Maryi w świątyni, o wyborze oblubieńca, o nawiedzeniu i zwiastowaniu anielskiem, o próbach i dowodach dziewictwa niepokalanego, o cudach w dalekich ziemiach, np. perskiej, zwiastujących narodzenie Chrystusowe. Dalej toczy się rzecz o Chrystusie: o cudach, jakie w dzieciństwie, szczególniej w podróży do Egiptu i w pobycie nazareńskim pełnił, o wyborze Chrystusa między kapłany i nowym dowodzie dziewictwa Jego matki; o korespondencyi Jego z królem edeskim, Abgarem; o braterstwie z Prowem (waryant do historyi Tobiaszowej); o tem, jak orał pługiem. Rzeczy, znanych z ewangelii kanonicznych, apokryfy nie powtartają, zato dodają nowe szczegóły o męce, zejściu do otchłani, walce z szatanem, o tryumfie nad nim i nad niedowiarstwem żydowskiem; szczegóły bajeczne o Judaszu i Piłacie dopełniają obrazu. Wraca na plan pierwszy Bogarodzica; jej dalsze życie i „uśpienie“ okrążone najdziwniejszymi wymysłami, miejscami nie pozbawionymi wdzięku.

Nowy szereg legend otacza apostołów i świętych, Nikołę, wzywanego najgoręcej na lądzie i morzu, najskuteczniejszego z pomocników, o św. Jerzym, którego czcili najgorliwiej władcy północni, Długoręki Jurij i Andrzej Bogolubski. Lecz ważniejsze były apokryfy eschatologiczne, wieszczące o Antychryście, jego panowaniu i klęsce, o dniu sądnym; dalej wizye Bogarodzicy lub Pawła św. o mękach przyszłych.

Wszystkie te księgi powstały na wschodzie i przez Grecyę i Bułgaryę dostały się na Ruś; oryginalnego, słowiańskiego, apokryfów np. bogomilskich, jak nieraz mniemano, niema między nimi; dawne indeksy, wymieniające, jako autora, niejednego z utworów tych, popa Jeremię, Bogumiła, łudzą nas tylko. Prócz wschodnich i grec-

kich są między nimi i łacińskie, np. powieść „ojca naszego Hieronima“ o Judaszu (z legendy złotej wzięta), zupełna ewangelia Nikodema (z dwu części: Aktów Piłata i Zejścia do otchłani, spojona); niektóre żywoty świętych (Jerzego, Aleksego); list niedzielny z nieba spadły (o święceniu jej), a liczba ich mnoży się znacznie od końca XV wieku; wtedy to na Białej Rusi (która już nie moskiewską, jak dawniej—białego cara, lecz litewską oznaczała) z polskiego i z łaciny w zawody tłómaczono nowe apokryfy, nawet takie, których treść z dogmatem prawosławnym się sprzeczała. Tu należy Jana z Hildesheimu historya o trzech królach („czarnoksiężnikach“, t. j. wołchwach, magach w przekładzie ruskim), pełna najciekawszych szczegółów o ludach i sektach wschodnich; męka Jezusa „od przewrotnych Żydów“ z płaczem Matki Boskiej; wizya Tundala (rycerza irlandzkiego, mąk piekielnych i czyśćcowych —chociaż dogmat prawosławny czyśćca nie zna); postępek prawa czartowskiego (proces, przez Beliala w formie kanonicznej przeciw odkupieniu człowieka z Bogiem prowadzony); lucydaryusz (oświeciciel, chociaż go Maksym Grek słusznie tenebraryuszem, zaćmicielem nazywał, też *compendium theologiae*, *sowokuplenie tefologii* nazwane—dzieło to samo, nie odmienne jakieś!—w formie pytań i odpowiedzi między uczniem a mistrzem, wykładający ciekawe szczegóły o stworzeniu raju, o ciele i duszy, o Chrystusie i Antychryście i t. d.).

Własnych dodatków fantazyi ruskiej nie umiałbym wiele wskazać, ale były, np. dla jakiego to czynu jawnogrzesznica wielką świętą zosłała; jak Chrystus Swej Matki o pieniądz prosił, lecz ta go nie miała; o cudach św. Nikoły in. Bardzo ulubioną była Biesiada (rozmowa, w pytaniach i odpowiedziach) trzech „biskupów” (światitielej, Wasyla, Grzegorza i Złotoustego), której pierwszy zawiązek równie z Grecyi wyszedł, lecz na Rusi nadzwyczaj się przyjął i rozrósł, podobny nieco do Lucydaryusza, lecz znacznie krótszy i często całkiem do zagadki zbliżony, (np. jakie rzemiosło pierwsze na ziemi? krawieckie, bo już Adam i Ewa uszyli sobie odzież; która matka ssie własne dzieci? morze-rzeki; kiedy umarła czwarta część świata? gdy Kain Abla zabił; kiedy się uradował cały świat? gdy Noe z korabiu wyszedł; jakich zwierząt w korabiu nie było? ryby; kto się przed Adamem z brodą urodził? kozieł itd. itd.) Biesiada ta wpłynęła na literaturę ludową, „*stichi*“ jej t. j. wiersze pobożne, od kalek-żebraków śpiewane, np. na „stich“ o „*głubinnej*“ (głębokiej, mądrej) albo „*gołubinnej*“ księdze.

Wobec braku wiedzy i krytyki granic między pismami kanonicznemi a bajkami apokryfów ściśle nie przestrzegano, a gdy już

treść apokryfów wsiąkła w naród, wtedy dopiero zestawiano obszerne spisy ksiąg „*łożnych*“ i po niewczasie czytanie ich wzbraniano. Taką to, wyłącznie niemal religijną była karm umysłowa dawnej Rusi, z trwożliwością przesadną czuwającej nad autorytetem nietykalnym każdego obrzędu i każdej litery: gdy na rozkaz Maksyma Greka pisarz jego, Medowarcew, miał kilka linii (błędnych) w tekście „świętym“ wykreślić, dreszcz wielki po nim przebiegł i strach go napadł, jak sam przed soborem zeznał. Fanatyzm i obskurantyzm religijny rozszalały się więc na Rusi, i, jeśli tu do urządzenia stałej inkwizycyi św. nie przyszło, to nie dlatego, że inkwizytorów nie było, ale dlatego tylko, że sekciarzy liczniejszych brakło. Całą grozę sytuacyi oświeci nam fakt pierwszy lepszy. Ihumenowi Troickiej Ławry, Dyonizemu, z towarzyszami polecono przejrzenie i poprawę tekstu „trebnika;“ po półtorarocznej pracy przedstawili oni tekst poprawiony metropolicie Jonie, zawiadującemu patryarchią; między innemi poprawkami usunęli oni w modlitwie na na poświęcenie wody bezmyślny dodatek (oświeć wodę tę duchem Twoim świętym „i ogniem“—ani oryginał grecki, ani najlepsze rękopisy słowiańskie nie znały tego dodatku); oskarżono ich za to o heretyckie nowinki przed soborem moskiewskim r. 1618 i zasądzono: Dyonizego wyklęto, osadzono o dymie i głodzie, bito, w święta prowadzono go na łańcuchu przed metropolitę i na dworze wystawiano go na bicia i naigrawania czerni; dopiero energiczne wstawienie się patryarchy jerozolimskiego u cara i u patryarchy moskiewskiego go ocaliło. O wiele smutniejsze jeszcze były dzieje takiego Maksyma Greka, męczennika za prawosławie, nie krępujące się literą tekstów, nieraz błędnych; na Dyonizym „zrywali złość“ i za inne winy (również niepopełnione)—zbrodnią Maksyma zaś była wiedza jego i usługi rzeczywiste, oddawane prawosławiu..

Tak obchodzono się z najwierniejszymi sługami cerkwi—cóż mówić o tępieniu np. raskolników? Przedostatni patryarcha moskiewski, Joakim (1674—1690), straszny nieuk i fanatyk, zakasowałby i Arbuesa; palić i ścinać było jego jedynem hasłem, a prześladował on z równą nienawiścią raskolników, jak prawosławnych małoruskich, i nie spoczął, póki pobożny i uczony Miedwiediew po ciężkich torturach nie złożył głowy na rusztowaniu w istocie za to, że popierał stare (i małoruskie) mniemanie o chwili transsubstancyacyi, pozornie zaś za zbrodnię polityczną, której również nie było. W Joakimie wcielił się po raz ostatni duch zaślepienia i fanatyzmu moskiewskiego: wzbraniał on się siąść u stołu, przy którym człowiek innej wiary (jenerał Gordon) siedział; w czasie choroby odrzucił po-

moc lekarzy innowierców (ruskich nie było), a w testamencie błagał Piotra W., aby nie dopuszczał obcowania prawosławnych z wyklętymi od cerkwi „Łaciną, Lutrami, Kalwinami i Tatarami", jako z „wrogami bożymi i najgrawaczami cerkwi," aby zakazał ubiory cudzoziemskie itd.; tępiąc raskolników, dzielił Joakim wszystkie ich zasady, był ich bratem po duchu; różniły ich tylko nieznaczne cechy zewnętrzne.

Otóż tak przedstawia się nam umysłowość staroruska, modysfikująca powoli, lecz stale i głęboko charakter słowiański narodu.

II.

Mimo zastoju i martwoty, o których wspominaliśmy wyżej— dadzą się zaznaczyć zjawiska ciekawsze, zadatki bujniejszej przyszłości, odmiany i pewne wedle miejsca i czasu nowe prądy, bijące od wschodu i zachodu. Wszystkiego wyczerpać niepodobna, ale należy się zastanowić nad biegiem tej umysłowości, gdzie się łożysko rozdwaja, gdzie kierunek jego się zmienia, gdzie się ono rozszerza, a gdzie znowu się zlewa. Przy tym poglądzie ogólnym warto jednak i nad kilku szczegółami się zatrzymać: uwydatnią się w nich ludzie i czasy, myśli i uczucia.

Umysłowość staroruska i wyraz jej najzewnętrzniejszy, a nam najprzystępniejszy, piśmiennictwo staroruskie, stanowią tylko do XIII wieku całość jednolitą, nierozdzielną; południe z Kijowem stoją tu na pierwszym planie, na drugim Nowogród wielki, jeszcze dalej Rostów. Polityczne stosunki zaczynają wprawdzie pod koniec tego okresu bardzo znacznej ulegać zmianie: Kijów, centrum Rusi właściwej, macierz grodów ruskich, „stół" wielkoksiążęcy, przechodząc z rąk do rąk, traci na potędze i wpływie, niszczeje w ciągłych walkach i rabunkach; poczyna się nowe grupowanie ziemic, około nowych centrów, Suzdala, Włodzimierza, Tweru, Riazania, Halicza. Ale kultura jest jeszcze jednolitą, głównie kijowską, południoworuską; inne ziemice, na północy, wschodzie i zachodzie żyją z dorobku umysłowego kijowskiego. Tu powstają, szczególniej w ciągu dwunastego wieku utwory te, o których już raz zaznaczyliśmy, że ich liczne wieki późniejsze nie prześcignęły; na czele ich kronika pierwotna, tak zwany „Nestor", i Słowo o pułku (pochodzie, wyprawie) Igorowym.

Kronikę, której ostateczną redakcyę (jak ją dziś posiadamy) na początku tego (XII) wieku wykończono, najpoważniejszy i najcen-

niejszy zabytek staroruski, zestawiamy z pochodzącemi z tych samych niemal lat kroniką polską (obcego autora t. zw. Gallusa) i z czeską Koźmy. Francuz ów i Koźma górują nad „Nestorem“ wykształceniem i wiedzą szkolną, silą się na jakąśkolwiek kompozycyę albo przynajmniej formę i dzieła arcyświeckiego duchem i szczegółami religijnymi nie przeciążają. Mnich Kijowski, naśladując kroniki bizantyńskie, o stylu ani myśli, uwag i nauk pobożnych nie skąpi, korzysta gorliwie z dziejów nawrócenia Włodzimierza W., aby cały, obszerny traktat religijny (nie wolny od wstawek apokryficznych) przemycić. Zato czerpie on z tradycyi jeszcze pełnym strumieniem wobec ubogiej polskiej, a mętnej czeskiej; opowiada prostodusznie wszystko, co wie, złe i dobre, nie obwijając niczego w bawełnę, jak ów Francuz np.; język jego prosty, dobitny a malowniczy; w szczegółach znamiennych lubuje się tak, że i dawniejsi ludzie i czasy występują wypukło, wyraziście, nie tak blado i szablonowo, jak u Francuza lub Koźmy; nie ogranicza się przytem do akcyi książęcych, jak tamci, lecz wciąga wszystko możliwe, czy to zjawiska potworne w Połocku, czy oszustwa „wołchwów fińskich“—pełno też u niego rysów anegdotycznych, przysłów i przypowieści, dosadnych a barwnych. A co najciekawsze, mnich ten kijowski miał dokładniejsze i pełniejsze pojęcie o świecie słowiańskim i rozgałęzieniach jego, niż którykolwiek z późniejszych kronikarzy polskich i czeskich. Południe słowiańskie (Bułgarzy i Serbowie) nie zdobyło się nigdy na dzieło, któreby można z „Nestorem“ porównać; i zmysłu historycznego mu brakło i nie biła w niem tak żywo miłość ojczyzny, ziemi i ludu zarazem, ceniąca każdy ich szczegół. Z dzieła „Nestora“ wyszła cała późniejsza historyografia ruska—każda komplikacya kronikarska, i na Rusi północnej, od „Nestora“ zaczyna, i każdy naród może Rusi kijowskiej Nestora pozazdrościć. On mnich, a mimo to i o pogańskich ludziach i czasach, bo to swoi, z lubością rozprawia, nie tak, jak Francuz, gardzący Polakami - poganami, śpieszący do dziejów księcia, po którym nagrody się spodziewa. Historyozofia jego niegłęboka: mnich w każdym szczególe palec opatrzności, karę za winy odnajdzie i do skruchy i poprawy prowadzi. Wobec tej wązkości i jednostronności w zapatrywaniu uderzają tem bardziej niektóre koncepcye, świadczące o zmyśle historycznym, np. owa o jedności Słowian lub o tem, skąd Ruś niesłowiańska poszła, chociaż właśnie o tę ostatnią poczciwy mnich już od półtora wieku srogie odnosi połajanki od „patryotów“, którym nie w smak obcy początek „Rusi.“

Równocześnie (około r. 1110) opisał ihumen Daniel, również z południowej Rusi, wędrówkę do miejsc świętych. Warto opis ten

przypomnieć: zapoczął on bowiem bogatą literaturę, ciągnącą się nieprzerwanym ciągiem do XVIII wieku, nadzwyczaj lubioną i poważaną (niektóre z tych opisów przechowały się w setkach rękopisów), i nadał jej formalnie typ, normę. Opisów tych nie można porównywać np. z naszym, księcia Sierotki; opisujący o samej podróży nic nie prawi, chyba króciutko stacye wyliczy, nie zajmują go ani kraj, ani ludzie, ani przyroda i jej osobliwości; opowiada on wyłącznie o samych miejscach świętych, co wszystko widzieć tam można, jakby Chrystus i apostołowie jeszcze wędrowali—nie istnieje dla niego teraźniejszość, chyba że z westchnieniem o ucisku i ździerstwach „Agaryan“ wspomni. Szczegóły, które podaje, zajmą archeologa, legendy—ludoznawcę; z zadziwiającą łatwowiernością powtarza on wszystko, co mu Grecy nabają, i o krzyżu, wiszącym w powietrzu, i o ogniu wielkanocnym, schodzącym z nieba, i o otworze, do otchłani prowadzącym: a z każdym wiekiem przybywa bajek nowych, aż w końcu, w wieku XVII, powstaje opis zupełnie fantastyczny („Słowo starca pewnego“, o złocie, ciekącem z gór arabskich, o Jordanie, płynącym pod górę i na dół, o mieście „Egipcie“ z 14000 kabakami carskimi, z 14000 ulicami po 10000 dworów itd.). Pierwszy „pałomnik“ (od noszenia palm), Daniel, najsympatyczniejszy i najwiarogodniejszy, skromny i pobożny, na każdym kroku o miłej Rusi wspomina, za nią się modli i za książąt, ile ich spamiętać mógł; opowiada stylem prostym i niewymuszonym, płynnie; szczegółów nie skąpi. Arcybiskup nowogrodzki, Antoni, przy końcu stulecia (XII) Carogród nawiedził i cuda jego, świętości i cerkwie opisał, sucho i lakonicznie, jak wszystko, co w Nowogrodzie pisano i mówiono. Innych nie wyliczamy, najwięcej czytano „podróż Tryfona Korobejnikowa“ z czasu około r. 1582 (posiadamy jej więcej, niż dwieście, rękopisów i wydań czterdzieści (chociaż nie Tryfona to podróż); najdokładniejszy był i najkrytyczniejszy „Proskinitaryj“ Arsenia Suchanowa (1651—1653 r.). Z podobnymi utworami można się i po bibliotekach polskich spotykać; tak, widziałem „Putnik“ małoruskiego mnicha z r. 1590 i następnych, nieznany, o ile wiem, Rosyanom.

Wobec liczby opisów miejsc świętych nikną opisy innych stron; najciekawsze z nich podróż Suzdalców, Szymona i Abrahama, towarzyszów metropolity Izydora, na sobór florencki r. 1439, uderzonych nowością i pięknością widoków miast zachodnich i naiwnie spowiadających się z coraz nowych wrażeń (każde miasto u nich zawsze piękniejsze, niż wszystkie poprzednie— widzieli oni jednak i rzeczy niebywałe, np. miejsce urodzenia ponckiego Piłata, Pont nad rzeką Tisk pod Bambergiem! gdyż nietylko Judasz, lecz i Piłat, byli

Niemcami. Jeszcze ciekawsze byłyby, gdyby nie ich zbytnia ścisłość, zapiski kupca Twerskiego Nikitina, który Wołgą przez Persyę i Indyę aż do samego Cejlonu dotarł (r. 1466—1472), zwiedziony przez „psów - bisurman", co go widokami znakomitego kupna łudzili, a omal w nim prawosławia nie zachwiali.

Literatura to tak obfita i ceniona, że warto jej jeszcze kilka uwag poświęcić. Od odpowiedniej zachodniej różni się ona znakomitą rolą, jaką Carogród i jego świętości w niej odgrywają; jeden z niedawno (r. 1890) odszukanych jej zabytków wstawia opis świętości carogrodzkich (z czasu około r. 1321) w pobożną legendę o niewiernym a nawróconym carze wschodnim. Może się jednak z czasem jeszcze okaże, że, jak w każdej innej gałęzi literatury, tak nawet i w tej wpływów greckich przedewszystkiem doszukiwać się należy, że staroruska literatura pątnicza czerpie nie z własnych przygód i obserwacyi, nie tylko z ustnych, co pątnikom nabajali ich przewodnicy, lecz wręcz z pisanych źródeł greckich, że jest może mniej oryginalną, niźli się pierwej wydawało! twierdzą dziś np., że „podróż" Korobejnikowa nie z opisu Pozniakowa, jak mniemano, lecz ze źródła greckiego wyszła! Pomniki tej literatury są z sobą w ścisłym związku, i tak np. przytoczony wyżej ze „Słowa o starcu" szczegół o „mieście Egipcie" (Kairze) nie jest wymysłem fantazyi raskolniczej, lecz pochodzi dosłownie z relacyi naocznego świadka, djaka Muniechina, który około r. 1493 był w Egipcie i notatki o podróży swej pozostawił, które się i do „Chronografów" dostały; raskolnik zamienił tylko zrozumialszym terminem „kabak" „kermesaraje" t. j. karawanseraje oryginału, prawiącego i o 14000 „mergitach" (meczetach).

Lecz wróćmy od tych „pałomników" na chwilę do wieku XII. Na koniec jego przypada bowiem ów najdziwniejszy z pomników staroruskich, Słowo o pułku Igorowym. Wspominaliśmy wyżej, że „literatura" odgarniała od siebie trwożliwie wszelkie naleciałości narodowe; zupełnie się od nich jednak ustrzedz nie mogła, choćby w języku samym, który, mimo bułgarskiego podkładu, brzmienia i słowa potoczne, t. j. ruskie, mimowolnie nabywał; kronika musiała ze względu na rzecz samą podania narodowe uwzględniać; ale „Słowo" poszło najdalej, gdyż opowiadanie o zdarzeniu najświeższem, pojęte i wykonane w stylu piśmiennym (trudnoż rzec: książkowym), przetkało zwrotami, tchnącymi tu i owdzie jeszcze pogaństwem, przejętymi chyba ze spółczesnej epiki ludowej. Niestety, jedyny a bardzo późny odpis przechował nam ten unikat literatur słowiańskich, odpis, nie wolny od błędów, więc mylący badaczów, silących

się na rozwiązanie niejednej łamigłówki napróżno. Pomnik byłby zupełnie odosobnionym, gdyby nie naśladowanie, niezdarne zresztą, jakiego się w dwieście lat później na północy doczekał. Z powodu odosobnienia tego i tej niezwykłości znaleźli się nawet sceptycy, powątpiewający o autentyczności zabytku: pierwszy tłómacz polski nazwał go wręcz „poemą A. I. Musin-Puszkina“ (Godebski w Warszawie 1821 r.; hr. Musin-Puszkin odszukał bowiem ów odpjs, który później w pożarze moskiewskim zaginął r. 1795), ale powątpiewania jakiekolwiek byłyby zupełnie bezzasadne; autentyczności Słowa dowodzą choćby późniejsze naśladowania.

Autor zabytku piśmiennego nie należał do cechu piśmiennego, do duchowieństwa; szukamy go w drużynie książęcej, do której się zwraca, opisując zdarzenie, ani ważne, ani rozgłośne w gruncie, epizod z walk połowieckich, o przejściach dramatycznych, niespodziewanych, zgadzając się zgrubsza z tem, co kroniki o tym fakcie zapisały. Ruś, już oddawna rozbita, każdy książę na własną rękę wojuje, z kim mu się podoba; niema wspólnej obrony, a korzystają skrzętnie z tego rozbicia stepowcy; wyprawy ku ich poskromieniu lub ukaraniu nie udają się, przedsiębrane nieopatrznie i dorywczo, jak właśnie ta wyprawa księcia nowogrodzkiego Igora i innych książątek siewierskich z r. 1185. Powodzi im się z początku nieźle, w końcu osaczeni na stepie przeważną ordą giną lub dostają się do niewoli, jak Igor sam, który się potem ucieczką z „wież“ połowieckich ratuje.

„Słowo“ nie odznacza się bynajmniej równością i spokojem epickim; opowiadanie, przerzucające się z miejsca na miejsce, uwydatnia tylko niektóre, wybrane obrazy: po krótkiej przygrywce niby rusza Igor, doczekawszy się brata, buj-tura Wsiewołoda; pochód i pierwsze zwycięstwo zbyte krótko, rozstrzygająca walka nad Kajałą opisana dokładniej. Najobszerniejszym i najwymowniejszym jest zwrot do poszczególnych książąt, od kijowskiego począwszy, którego sen „mętny“ o katastrofie przestrzega, aż do najdalszych, niszczących Ruś sobkowstwem i waśniami—o, jęczeć ruskiej ziemi, gdy wspomni pierwsze czasy i pierwszych książąt! Najpiękniejszym jest płacz Jarosławny, żony Igorowej, od „zabrodła“ w Putywlu rozlegający się z wiatrem porannym: kukułką poleci po Dunaju, omoczy rękaw bobrowy w rzece Kajale, obetrze księciu rany krwawe jego na stwardniałem ciele, zwracając się z prośbą kolejną do wiatru, który jej radość po stepie rozwiał, do Dniepru, aby jej męża nazad przykołysał, do słońca, które na bezwodziu żarem swym miłych sprażyło. Kończy się „Słowo“ opisem ucieczki Igorowej, której sa-

me żywioły sprzyjać się zdają; marna za nim pogoń połowiecka; ciężkoż głowie bez plecy, źle ciału bez głowy, ziemi ruskiej bez Igora, lecz teraz rade okolice, wesołe grody, śpiewające pieśń starym książętom, a potem młodym.

Kroniki ruskie wspominają nieraz o pieśniarzach książęcych; nie obywał się przecież i konung normański ani drużyna jego bez skaldów, sławiących ich czyny; lecz przebrzmiały pieśni ruskie. Słowo jedyne odzywa się ich echem, tem ciekawsze i tem niezrozumialsze w swych szczegółach, przenośniach i zwrotach, w słowach wyszukanych, w aluzyach dziwnych, historycznych, geograficznych, mityczno-epicznych.

Wymienione twory nie wyczerpują zasobów piśmiennictwa południoworuskiego, kijowskiego; moglibyśmy przytoczyć ciekawe treścią, a poważne formą „pouczenie“ Monomacha, charakterystyczne „słowa i posłania” Cyryla Turowskiego, retoryczną okrasą górujące nad innemi, albo jeszcze dawniejsze Hilariona Kijowskiego. Przemawia z nich duch żywszy i powiew wolniejszy; barwy ich ponętniejsze, uczucie cieplejsze, głowa otwartsza; nie trącą one fanatyzmem ani obskurantyzmem, mimo ich gorącego przywiązania do wiary i kraju.

Aż do XIII wieku nadawała Ruś południowa, kijowska ton i treść umysłowości ruskiej i utrzymywała mimo rozprzężenia politycznego jedność narodową, szczególniej duchową. Napad tatarski i wyłonienie się Litwy w wieku XIII rozbijają ostatecznie tę jedność, i coraz bardziej rozchodzą się kierunki, po których odtąd kroczą Ruś południowozachodnia, niebawem litewska, a po części polska, i Ruś północnowschodnia, suzdalska, twerska itd., a niebawem moskiewska. Odtąd istnieje Ruś dwojaka, dwie literatury, dwie umysłowości.

Najściu tatarskiemu prócz nadzwyczajnych skutków politycznych i moralnych przypisują i inne. Najpierw stawiają na karb jego zanik zupełny literatury staroruskiej; i rzeczywiście, pomników kijowskich liczba tak bajecznie mała, że koniecznie przypuścić należy wytrzebienie ich całkowite; przecież nawet Nestor lub Słowo Igorowo lub Pałomnik Danielowy posiadamy tylko w wielkoruskich odpisach XIV—XVI wieku! Z góry więc godzimy się na zupełne niemal zatracenie staroruskich południowych psałterzy, ewangelii, palej, trebników, tryodów, Złotoustych, pateryków itd.—lecz pozwalamy sobie bardzo powątpiewać o tem, czy też i literatura właściwa,

nie same księgi cerkiewne, poniosła znaczniejsze straty? Zdaje się nam przeciwnie, że północ przechowała niemal wszystko, że więc nie należy na karb zniszczenia tatarskiego obliczać jakieś skarby piśmienne, którebyśmy utracili na zawsze: jeźli nawet Słowo Igorowe się przechowało, pomnik tak drobny i specyalny zarazem, czegóż mielibyśmy się jeszcze spodziewać?

Nie zrujnowali więc Tatarzy, rujnując Kijów, i literatury kijowskiej—lecz, twierdzą inni, którzy słyszą, jak trawa rośnie, inwazya tatarska zmieniła zupełnie wygląd etnograficzny Kijowszczyzny i Rusi południowej. Zamieszkiwali ją bowiem niegdyś przodkowie Wielkorusów; przed Tatarami cofnęli się kijowscy Wielkorusowie z literaturą kijowską, z tradycyą kijowską, z epiką narodową kijowską na wschód i północ, do Suzdalu i Moskwy. Wiek dziewiętnasty, wyłonił i tę hipotezę, i odmówiono Małorusom wszelkiego historycznego prawa do Kijowszczyzny; przybłędy to, które z za Karpat, z Galicyi i Wołynia w XIV i XV wieku na spustoszonym zupełnie kraju osiedlać się poczęły; hipotezę tę Pogodina dziś wznowiono i dowodami filologicznymi podparto.

Małorusini widocznie z księżyca spadli na ziemię; w Galicyi przynajmniej również o nich nic wiedzieć nie chcą. Słysząc nieraz, jak i w Galicyi ich za późnych przybłędów, po pogromie tatarskim, tylko nie wiem już skąd przybyłych, podają, żałowałem, że nie mogłem mieć świadkami tych rozmów pp. Pogodina i Sobolewskiego. Argumenty jednych i drugich takie same—widzimisię słowiańskie, osłonięte jakimś listkiem figowym, historycznym czy filologicznym. Pogrom tatarski XIII wieku kazał się niby Wielkorusom wycofać z kraju; tak wytworzyła się tu *tabula rasa*; powoli pozaludniali go nowi całkiem przybysze, odmiennego typu etnicznego. Tymczasem nieprawdą jest, by Kijowszczyzna już w XIII wieku całkiem opustoszała; gorszą klęską, niż Baty, był dla niej Mengligerej i ciągłe trzydziestoletnie napady (1482—1515), które ludność strasznie przetrzebiły; lecz po przycichęciu burz wracała zawsze d a w n a ludność na zgliszcza i pustkowia. Oto jeszcze np. 1669 r. palili Tatarzy wsie tak doszczętnie, że tylko czernielizna zdradzała miejsce ludzkiej osady, a mimo to za lat kilka wszystko było znowu po dawnemu osiadłe. Tak było i z Kijowszczyzną; nikt nie przeczy, że znaczną rolę odgrywała i kolonizacya przybyszów nowych, (obok wracających tubylców), Poleszuków głównie; ale od tego faktu do hipotezy o zupełnej zmianie etnograficznej w ciągu XIII wieku niema przejścia żadnego.

Twierdzono, że językiem dawnej Kijowszczyzny był wielkoruski, ponieważ niema w bardzo nielicznych zresztą pomnikach kijowskich wyraźnych śladów małoruskiego narzecza; dalej, że, skoro epika kijowska, t. j. cykl o Włodzimierzu i drużynie jego, przechowała się do dziś tylko na północy, w ołonieckim i archangielskim kraju, a zaginęła na Ukrainie, należy stąd wnosić, że i lud sam, śpiewający i słuchający *byliny*, z Ukrainy na północ przeniósł się wraz z pieśnią, która na północy powstać nie mogła. Ależ w pomnikach kijowskich niema i wielkoruskich cech narzeczowych; zresztą sama wymowa g, jak h, w terminach chrześcijańskich (hospodi, boh, błaho), istniejąca do dziś na Wielkiej Rusi, chociaż jej obca, wskazuje, jak to g niegdyś w Kijowie wymawiano, t. j. z „ukraińska“, nie z wielkoruska. Co się zaś epiki tyczy, zachowała się w zupełnie odludnem, nieprzystępnem ustroniu północnem, między ludem, żyjącym niezamąconą niczem tradycyą, pieśń dawna; na Ukrainie, gdzie życie całkiem odmiennymi, coraz nowymi kroczyło torami, gdzie walka o byt i wiarę i swobodę z Tatarami i z Polską siły narodowe wytężała i pochłaniała, zabrakło porostu powietrza dla owych zamierzchłych pieśni; nowe boje nowych *dum* wymagały; cóż przemawiał Włodzimierz-Krasnoje Sołnyszko do serca i wyobraźni ludowi, wpatrującemu się w żywego „Chmiela”, jak w zbawcę swego, któremu kobzarz

„Grał zaporowskie dumy ich żałosne, trele
„Wywodząc o wojennych ekspedycyj dziele,
„O Sulimie, Neczaju, o Szachnowym mostu”

(Adam Korczyński w noweli rękopiśmiennej z r. 1698). Jeżeli byliny wylęgły się wyłącznie u Wielkorusów, dlaczegóż nie znają ich w Moskwie ani w guberniach centralnych? Sam fakt istnienia dum ukraińskich dowodzi, że nie zaginęła epika ludowa, że zmieniła tylko treść, a z nią i szatę.

Nie uznajemy więc tych pseudodowodów Pogodina i Sobolewskiego, odsądzających Małoruś od Kijowa, od Nestora i Igora, przysądzających ich Wielkiej Rusi; w naszych oczach najazd tatarski ani literatury do szczętu nie zubożył, ani wyglądu etnograficznego radykalnie nie zmienił. W samej literaturze odbił się on dosyć nieznacznie; jeśli pominiemy ustępy po kronikach (najwymowniejszy z nich w kronice wołyńskiej, gdy Daniel halicki, będąc „w woli tatarskiej“ do ordy wyjeżdżał r. 1250), to odnajdziemy go tylko w „słowach” (kazaniach) episkopa włodzimierskiego Serapio-

na i w bardzo ciekawym urywku p. t. Słowo o pogibieli ruskiej ziemi, niedawno odszukanym, gdzie przedstawiona „boleźń chrześcijan" dzisiejsza, tak rażąca wobec dawnej potęgi ruskiej, uosobionej w Monomachu, „któremu Połowcy dzieci w kołysce (zakładników?) nosili, a Litwa z błota na świat nie wynikała, a Węgrzy kamienne grody żelaznemi wrotami utwierdzali, aby na nich wielki Włodzimierz nie wjechał."

Rozdzielają się więc od XIII wieku Ruś zachodnia i wschodnia i ich umysłowość obopólna; dopiero w XVII zaczną się one ponownie stykać i zlewać; dopiero w XVII spotkamy się więc znowu z zachodnioruską literaturą; lecz zaznaczmy już tutaj, czem się obie różniły.

Wciągnięcie Rusi zachodniej w system polityczny litewski i polski utorowało przedewszystkiem wpływom zachodnim w obrządku i umysłowości pierwszy przystęp, gdy Ruś wschodnia, dokąd po upadku Kijowa i metropolita siedzibę swą przeniósł, do Włodzimierza nad Klaźmą, a potem do Moskwy, jak najtwardziej przyprawosławiu stała i o oświatę zachodnią nie dbała. Jeszcze halicki Daniel na unię z Rzymem się godził; w wieku XIV i XV, nawet bez Greków lub wbrew im, kiełkowała myśl o unii śród duchowieństwa zachodnioruskiego; swary z Moskwą i Bizancyum o obsadzenie osobnej metropolii kijowskiej, zaniedbywanej przez metropolitę moskiewskiego, podsycały te dążenia; grożono wręcz odstępstwem do „Łaciny", jeśli patryarcha życzeń nie spełni. I otóż najciekawsza rzecz: metropolici moskiewscy i kijowscy, św. Cypryan i Grzegorz Cambłak (o najdalej idącym, Izydorze, kardynale rzymskim po unii florenckiej, wcale nie mówimy), światła cerkwi prawosławnej (jeszcze w r. 1644 Księga Kiryłowa wymienia pisma Cambłaka tuż obok Złotoustego) nie wahają się przyklaskiwać myśli o unii, a Cambłak na czele orszaku różnobarwnego i wielojęzycznego, złożonego z Rusi, Wołochów, Tatarów, zjawia się w lutym 1418 r. na soborze konstanckim i wita papieża Marcina V przemową, w której unię kościołów gorąco wychwala—przyszedł niestety zapóźno; sobór już się miał ku końcowi i nowej kwestyi podołać już nie mógł.*) O dal-

---

*) Prof. Pypin mówi nieraz o Cambłaku, szczególnie obszernie o życiu jego w t. II, str. 223, lecz o tym najważniejszym fakcie ani słówkiem nie wspomina, a przecież to fakt, znany ogólnikowo oddawna, dokładniej zaś już od lat dziesięciu. Metropolita kijowski, klękający przed papieżem, sam południowy Słowianin, otoczony ruskimi bazylianami. wprowadzony przez polskich biskupów, dający Czechowi odczytywać łacińskie tłómaczenie swej przemowy—tOż

szych losach unii nie wspominamy, ponieważ pomników literakichc (prócz późniejszego awanturniczego opisu „zbójeckiego“ soboru florenckiego) nie pozostawiła. Gdy w. książe moskiewski od metropolity-Greka (ostatniego), Izydora, ruszającego do Ferrary—Florencyi, wymagał, aby nic nowego stamtąd do domu nie przywoził, konstatujemy z łatwością odmienność zapatrywań na Rusi zachodniej, przystępniejszej wpływom i oświacie łacińskiej już w wieku XV; z końca tego wieku lub z początku XVI pochodzą tu pierwsze przekłady z polskiego i łaciny, cerkiewne druki krakowskie, europejskie wykształcenie coraz liczniejszych jednostek (np. doktór Skorina); dalej wpływy protestantyzmu i propagandy jego nawet drukiem cerkiewnym (Budnego); wreszcie—wobec grozy z Rzymu i protestantyzmu—wysiłki stworzenia szkół na normę zachodnią.

Ale wschód nie tylko prawosławia strzegł zazdrośnie; nawet w języku samym odnajdziemy znaczące różnice. Jezyk cerkiewny, t. j. zarazem i piśmienny jedyny, nie był ruskim, lecz bułgarskim i w pierwszym (XI) wieku istnienia na Rusi normę bułgarską sta-

---

toj pierwszy kongres słowiański, wyprzedzający o lat czterysta zgórą praski i moskiewski!! O tym Cambłaku dziwna dotąd panuje sprzeczność: historycy polscy każą mu umierać w Kijowie r. 1419 od powietrza morowego; wedle ruskich zaś i rumuńskich, składa on metropolię kijowską dla nieporozumień z Moskwą i Carogrodem i wraca na południe, skąd przybył; w Serbii Stefan Despot osadza go w słynnych Deczanach ihumenem, później przenosi się on (dlaczego?) do Mołdawii i umiera ihumenem w równie słynnym Niamcu około r. 1450; nazywają go nawet metropolitą mołdawskim. Wszystko to wierutne bajki, chociaż je Pypin, jako niewątpliwą prawdę, przytacza: wylęgły się one w niekrytycznej, wszystko gmatwającej tradycyi rumuńskiej, a wypiastowali ję archiepiskop Melchizedek i p. P. Syrku, który w „*Żurn. Min. Ośw.*“ 1884 XI rezultaty Melchizedekowe omawiał i dopełniał. Metropolita Makary w dziejach cerkwi ruskiej (IV, str. 101) bardzo słusznie baśni te pominął. Kroniki ruskie jednozgodnie twierdzą o zejściu Cambłaka ze świata r. 1419/1420; przedtem wspominają, że wysłał go Witold w „Rim“ (do papieża, zamiast do Konstancyi)—więc są dobrze poinformowane. I cóż za przyczyna mogłaby skłonić Cambłaka, za którym i Witold i całe duchowieństwo litewskie, jako ze swym wybrańcem silnie stali, aby zrzekać się ni stąd ni zowąd metropolii i uchodzić dla pięknych oczu Focyusza na południe, gdzie z powodu samej Konstancyi i unii ani miejsca dla niego być nie mogło? Gdyby Cambłak opuścił był metropolię, nie wyrzekaliby się na pewno biskupi rosyjscy w swojem wyznaniu wiary i nie przeklinaliby „Grzegorza Cambłakowego cerkiewnego rozdarcia“ jeszcze w XVI wieku! Śmierć tylko mogła uprzątnąć niebezpiecznego rywala Focyuszowego. Czynność jego literacka (głównie „słowa“, kazania na dnie świąteczne, a jedno i przeciw „łacinie“ i jej 35 błędom zwrócone?) przypada na czasy wcześniejsze, przed objęciem metropolii kijowskiej, po powrocie z Konstantynopola, i rozgrywała się między Rumunami i na Rusi.

rannie naśladował. Brak systematycznej szkoły i dyscyplin gramatycznych wywołał jednak w niewielu pokoleniach wykolejenie tego języka, mimowolne przejmowanie brzmień, form i słów ruskich; obfitowały w nie szczególniej pomniki świeckie (np. jurydyczne i dyplomatyczne), ustępy w kronice, gdzie osoby mówiące wprowadzano itp. Otóż na Rusi zachodniej proces ten rozwinął się dalej, na wschodniej wstrzymano go gwałtem. Napływ uczonych południowosłowiańskich (św. Cypryan, Grzegorz Cambłak, Serb Pachomiusz), wedle których się wzorowano (szczególniej Pachomiusz, mnich atoński, był pisarzem nadzwyczaj płodnym i wpływowym; on to był ojcem tego retorycznego „dobrosłowia“, pod którego grubą warstwą ledwie się faktów domacać można); liczne nowe dzieła (t. j. tłómaczenia z greckiego) lub nowe redakcye dawnych tłómaczeń, jakie poprzywozili i jakie na Rusi znowu przepisywano, pokrzepiły upadającą już cerkiewszczyznę; w XVI wieku z całą świadomością usuwają z tekstów rusyzmy i zastępują je cerkiewnemi, t. j. bulgarskiemi, słowami; wymagają, aby język ludowy oświetlał się niemi; nie dopuszczają, aby wyraz ludowy, „prosty“ wciskał się do piśmiennictwa. Gdy Fursow r. 1683 przełożył psałterz na „prosty, zwykły język dla ogólnego pożytku,“ zakazał go patryarcha Joakim.

Na Rusi zachodniej wszystko przeciwnie. Upada prawosławie; życie religijne zaczyna się psować; tradycye staroruskie miejscami się zrywają, zapominają. Nic więc dziwnego, że i język piśmienny zaczyna ustępować naporowi polskiemu; dzieje się to najpierw w życiu potocznem, dalej w sądownictwie, a przenosi się w końcu i do piśmiennictwa cerkiewnego; obok polonizacyi języka tego idzie i jego rusyfikacya, t. z. brzmienia i formy białoruskie i małoruskie wypierają południowosłowiańskie i staroruskie. Nowy ten język, białorusko-polsko-cerkiewny (litewski, litewskoruski) lub małorusko-cerkiewny spotykamy w przekładach pisma św., które doktór Skorina w Pradze i Wilnie drukował, w owych tłómaczeniach białoruskich, w małoruskiej ewangelii peresopnickiej itd. nim posługuje się propaganda protestancka, wreszcie cała literatura polemiczna o unię. A cel tego używania języka ludowego łatwy do odgadnięcia: aby człowiek „pospolity“ mógł czytać i rozumieć pismo św.; w tem się zgadzają wszyscy, Skorina i Bazyli Ciapiński (szlachcic ubogi połocki, drukujący około r. 1580 własnym nakładem tekst słowiański cerkiewny i białoruski ewangelii), i tłómacz peresopnicki i wydawca Chodkiewiczowskiego „ewangelia uczytelnego.“ Że prócz języka i treść sama najpierw na Rusi zachodniej

się zmienia, choćby w wierszach i dramatach szkolnych, że się pogłębia, jak w gramatyce Smotryckiego, obowiązującej przez półtora wieku, w słowniku Beryndy, w utworach polemicznych przeciw „Łacinie“, innego autoramentu, jak były owe pierwotne, świadczące o nieuctwie i dziecińśtwie piszących, łatwo zrozumieć.

Lecz wieje z nich i duch inny, temperament. życie. Dawno już zauważono różnicę między południową a północną Rusią, od początków niemal piśmiennictwa, od kronik począwszy; kroniki północne, suzdalska, moskiewska, nowogrodzka, bezbarwne, suche, sztywne, lakoniczne, w szczegóły nie wchodzą, zamilczają raczej, co wiedzą, nie wykrywają przyczyn, regestrują same zdarzenia. Kronika kijowska i wołyńska natomiast pełne barw, życia, rozmaitości, wznoszą się ustępami do poetyckiego polotu, czerpią ze skarbów epiki narodowej; jak szczegółowo i malowniczo opisany np. pochód Daniela na Jaćwingów, a jak czuć „aromat stepu“ w owym słynnym ustępie o obu chanach połowieckich i zielu stepowem jewszanie.*) Równie obcym północy, jak ta żywość i barwność, jest i dobroduszny humor południowy. Humorystycznie zabarwione są już liczne ustępy w literaturze polemicznej, np. u Smotryckich obu (u ojca i syna), u Kassyana Sakowicza i Sylwestra Kossowa; nawet Łazarz Baranowicz na humor się wysila nie zawsze bez skutku, a w wieku XIX dźwięczy ta nuta humorystyczna u Nareżnego, u Gogola, u Potapienki nakoniec, tak odmienna od żółciowych sarkazmów i ironii Sałtykowa (Szczedrina), od złośliwych docinków Iwana Groźnego, od uwag uszczypliwych w „moleniu“ (prośbie) Daniela Wygnańca (Zatocznika, z XIII wieku).

III.

Od XIII i XIV wieku datuje się więc samoistny rozwój literatury i umysłowości ruskiej na północy i wschodzie, górujący w niezmienionem przechowywaniu dawnej tradycyi prawosławnej,

---

*) Przed Monomachem, pijącym z Donu złotym hełmem, uciekł Otrok na Kaukaz; otóż po śmierci Monomacha posyła Syrczan gęślarza swego do Otroka, niechaj wraca teraz do swej ziemi: mów mu słowa moje, śpiewaj mu pieśni połowieckie, a gdy nie zechce, daj mu popachać jewszanu. Gdy chan wracać nie chciał ani pieśni słuchał, dał mu guślarz jewszanu i popachał chan, zapłakał i rzekł: lepiej ledz z kośćmi na ziemi własnej, niż być sławnym na obcej, i wrócił do ziemi. Żadna północna kronika nie zna podobnego ustępu. Zapach zielska stepowego i w tradycyi innej hordy, madiarskiej, odgrywa rolę znamienną.

we wzrastającym fanatyzmie religijnym, spoglądającym niebawem nieufnie na prawosławną Ruś zachodnią, na „Litwę", zarażoną łacińnstwem, a potem i na Greków nawet, niewolników „agareńskich." I rośnie coraz jednostronniej poczucie narodowe i wyznaniowe zarazem; jedyną twierdzą prawosławia i ruskości staje się Moskwa, strzegąca swych dzieci, by się nie zarażały od zachodu, nie wypuszczająca ich za swe granice, zamykająca przystęp obcym. I nie byłoby o czem donosić z tych wieków zastoju, i w nich wyróżnilibyśmy tylko jeden fakt nowego zasilenia i rozszerzenia literatury cerkiewnej przez przybyszów z Bulgaryi i Serbii, gdzie szczególniej za wpływem patryarchy ternowskiego Eutymiusza po raz ostatni przed zgaśnięciem zupełnem zabłysło światełko nauki i literatury,—gdyby nie sekciarstwo staroruskie, budzące umysły w wieku XIV, a silniej jeszcze w XV. Naturalnie, nie na moskiewskim, niepodatnym gruncie ono urosło, lecz na zachodzie, w Nowogrodzie Wielkim i stąd się do Moskwy przeszczepiło.

Już w imię związków handlowych wystawiony był całkiem autonomiczny Nowogród na silniejsze działanie zachodu, i może pod wpływem zachodnim wytworzyła się pierwsza sekta jego, t. zw. strygolnicy, w wieku XIV; lecz wobec braku źródeł—ograniczeniśmy do pisemek polemicznych patryarchów carogrodzkich—trudno stanowczo orzekać; myślano i o wpływach bogomilskich, coby niemal na jedno wychodzilo, gdyż i sekty zachodnie z bogomilstwa wyszły.

Więcej wiemy o „żydowstwujuszczych nowogrodzkich" XV wieku; Żydów Ruś wschodnia nigdy nie dopuszczała do granic, zato na Rusi południowej odgrywał żywioł ten już od czasów Chazarskich pewną rolę, tak dalece, że mamy nawet pomniki literatury cerkiewnej ruskiej, przeciw Żydom zwróconej, mianowicie Paleja tołkowaja (t. j. Stary testament z komentarzem) zwalcza żydów ich własnemi świadectwami. Z Rusi litewskiej przybył r. 1471 uczony żyd Scharia do Nowogrodu i zaraził kilku „kniżników", od nich rozszerzała się herezya i do Moskwy, sprzyjali jej nawet wielki książę, a szczególniej metropolita, lecz energiczne wystąpienie Genadyusza, archiepiskopa nowogrodzkiego, i Józefa Wołockiego pismem (Józef wydał „Oświeciciela") i ustnie zgniotło herezyę na soborze moskiewskim r. 1491 w zarodku. Zarazili się nią nieliczni, wykształceńsi (pomawiano ich naturalnie o naukę czartowską, bo innej nie znano, a więc o astrologię i podobne gusła) duchowni, djacy (sekretarze) i kupcy; oczekiwanie końca świata w r. 1492 (7000 lat od stworzenia!) wzburzało i tak umysły; wyśmiewali heretycy prawo-

sławnych, gdy rok minął szczęśliwie; odrzucali oni wszystko, co przeciw rozumowi i przyrodzeniu walczyło, dogmaty i życie zakonne, skłaniali się ku powadze starego zakonu, przeczyli cerkwi. Herezyę wytępiono, ale iskry jej tliły się aż do połowy XVI wieku; ostatni jej zwolennicy uszli do Wilna, gdzie herezya, łącząc się z nowochrzczeństwem, nanowo odżyła. Odtąd spokój cerkwi moskiewskiej pozostał niezamąconym; gdy w całej Europie burze religijne najokropniej wrzały, w Moskwie od lat wielu jedną parę ludzi o wiarę sądzono.

Podczas prześladowania żydowszczyków objawiły się jednak scysye w łonie duchowieństwa. Gdy bowiem Genadyusz i Józef wytępienia heretyków ogniem i mieczem żądali, nie zgadzał się na to Nil Sorski, świątobliwy wychowanek Atonu, w imię miłości chrześcijańskiej, radził ich przekonywać, nakłaniać do pokuty i poprawy, nie palić i ścinać. Niebawem rozeszli się Józef i Nil w innej materyi jeszcze stanowczej. W ciągu ubiegłych dwu wieków rozwielmożniły się monastery nadzwyczaj, skupiły nadmierne bogactwa w ludziach, ziemi i kapitałach; hojnie nadawane przez książąt i prywatnych urosły one w potęgę pieniężną i gospodarczą, a odbiegły temsamem od ideałów życia zakonnego. Do ideałów tych nawoływał Nil, któremu i ostra reguła monasteru Cyrylskiego nad Białem Jeziorem nie wystarczała; po powrocie z Atonu osiadł on też w mało dostępnej pustelni nad Sorą. Roku 1503 żądał Nil, a z nim „zawołscy starcy" na soborze w nieobecność Józefa, aby monasterom odebrano dobra, aby w myśl ustaw czerńcy żyli w pustelniach i karmili się pracą rąk własnych—lecz mała garstka Zawołżców żądań swych nie przeparła, chociaż i między świeckimi gorliwych popleczników znalazła, broniących i na piśmie owych zapatrywań. Rozchodzili się Józef i Nil na każdym niemal punkcie: dla Józefa cała literatura cerkiewna razem z życiami świętych i dziełami ojców kościoła była jednem „boskiem pisaniem", równie obowiązującem; Nil rozróżniał starannie naukę Chrystusową i apostolską od nauk i żyć świętych ojców, które tylko cenił, o ile się z rozumem jego zgadzały. Józef i Józefianie pragnęli wpływów i władzy, dzieląc się nią ze świeckimi, Nil unikał świata, uchodził w askezę, która mu jednak serca i miłości bliźniego nie wystudziła.

Zwyciężyli Józefianie na całej linii, ale braki duchowieństwa, a szczególniej ksiąg jego, owych „zborników" popów wiejskich z ich niesłychanemi dziwami, były tak krzyczące, że i oni o poprawie błędów widocznych myśleć musieli; gdy zaś zadaniu temu o własnych siłach sprostać nie było możliwem, udano się r. 1515 do Ato-

nu z prośbą o przysłanie „tłómacza ksiąg"; Bałkan sam, skąd cerkiew ruska luminarzy swych jeszcze w XV wieku dobywała, zalegały już mgły ciemnoty zupełnej. Atos zamiast tłómacza wysłał trzech Greków, Maksyma między nimi, ucznia szkół wschodnich i włoskich, który we Florencyi znał i podziwiał Sawonarolę, a ze szkół filologicznych i teologicznych wyniósł znajomość literatury starożytnej i cerkiewnej, jakiej na Rusi nie było; mąż stałego charakteru, gorącej wiary, oddany swej Grecyi, pokładającej w Moskwie nadzieję na uwolnienie prawosławia od kajdan tureckich, lecz nie godzącej się na pomijanie autorytetu carogrodzkiego, na samowolną autokefalię metropolii moskiewskiej. Wiedza, charakter i miłość Grecyi zgubiły go. Z początku pracę jego redaktorską— nim się w cerkiewszczyznę włożył, tłómaczył teksty na łacinę, a djacy łacinę jego dyktowali po rusku pisarzom—oceniano bardzo życzliwie.

Lecz niebawem zasępiło się niebo nad Maksymem: gniewano się na niego o wszystko: o bezceremonialne popraw ki świętych tekstów, wedle których się przecież „nasi swiatyteli spasali"—bluźnił więc Grek na nich—o wytykanie różnych błędów, o godzenie za Nilem na dobra monasterskie, o znoszenia się z ludźmi, politycznie skompromitowanymi. Chroniąc się burzy, prosił Maksym o pozwolenie powrotu na Atos, lecz, czem usilniej on sam błagał i czem goręcej się za nim patryarchowie wschodni wstawiali, tem twardsze ściskały więzy nieszczęśliwego Greka, który się zbyt dobrze porządkom ruskim przypatrzył, by go wypuszczać miano: na nieufność podobną zarabiali i inni obcy bez winy własnej. Herbersteinowi opowiadano, że „Maksymiliana"— tak go on zowie—utopiono; nie w wodzie jednak, zato w również szczelnem więzieniu morzono „heretyka" przez lat trzydzieści; po latach jeszcze, gdy metropolitę Makarego o wstawienie prosił, ten mu odpisał: więzy twoje, jakby świętego jakiego, całujemy, lecz pomódz ci nie możemy. Dopiero przy końcu życia rygor znacznie zwolniono*).

---

*) O Maksymie opowiada Pypin, nie wymieniając źródła (dopiero z XVIII wieku), jakoby i on podziwiał nadzwyczajne bogactwo zbioru rękopisów greckich w książnicy hosudarowej, że ani Grecya, ani Włochy nawet podobnego zbioru nie posiadały, Wspominamy o tem umyślnie dla usunięcia mylnej, acz upornej (bo już od XVI wieku w całej Europie rzeczonej) legendy, tem bardziej, żeśmy sami w Ateneum 1898 II, str. 432 z listu J. Łaskiego świadectwo o domniemanych skarbach greckich, chociażby tylko literatury cerkiewnej w Moskwie, przytoczyli (listy z r. 1526 i 1527). Świadectwo Maksyma jest apokryficznem. Dowiódł tego p. Bie-

Nie powiodła się próba z Maksymem—dopiero po wieku całym podjęto nanowo tę pracę; mimo to nie zaginęły ślady wpływów jego; i z celi monasterskiej bowiem pisywał on o najrozmaiszych kwestyach religijnych, przeciw Łacinie i Ormianom, Żydom i Mohametanom, Hellenom (ich pokusie pogańskiej) i Lutrom, przeciw obrzędowości zewnętrznej, godzącej się w najlepsze z wszelką złością, lichwą itd., przeciw przesądom rozmaitym, za poprawą ksiąg, za ważnością szkół (wskazując na przykład Paryża); objaśniając modlitwy itd., używając i alegoryi i okras retorycznych; język tylko ciężki i twardy, wyuczony i wymuszony.

Myśli Maksyma padały nieraz na grunt podatny; miewał on gorących wielbicieli, jak kniaź Wassian Patrikiejew, którego Józefianie również umorzyli w monasterze; kniaź Andrzej Kurbski, co przed „opałą“ Groźnego do Litwy zbiegł (1564) i inni; nawet cerkiew cała np. na soborze r. 1551 pisała się na niektóre projekty i uwagi Maksymowe. Lecz martwy konserwatyzm w gruncie nie był jeszcze zachwiany; dowodzą tego choćby inne uchwały tegoż samego soboru w t. z. Stogławie, uświęcające różne nadużycia cerkiewne (np. żegnanie się dwoma, nie trzema palcami itd., dlatego cieszył się Stogław nadzwyczajnem poważaniem u raskolników, a przez cerkiew oficyalną, przez Nikonianów został wyklętym). Do-

---

łokurow w rozległej, około 900 str. liczącej publikacyi, poświęconej pytaniu o bibliotece hosudarowej XVI wieku (r. 1899). Pytanie to stało się aktualnem, gdy r. 1891 profesor strasburski umyślnie do Moskwy jeździł, lecz opukiwano daremnie sklepienia i płyty kremlowe. W Europie, nie znając Moskwy, uwierzono naiwnie jej przechwałkom o posiadaniu skarbów rękopiśmiennych greckich; i Piotrowi Arkadyuszowi, znanej z dziejów unii osobistości, Grekowi, pomocnikowi metropolity Pocieja—dziś jeszcze są po książnicach polskich książki ciekawe jego własności —gdy w orszaku poselskim Lwa Sapiehy r. 1600 i 1601 w Moskwie gościł, opowiadano to samo, lecz przyparci do muru ograniczali te skarby do rzeczy wyłącznie cerkiewnych—w Europie klasycznych się głównie spodziewano—i do liczby drobnej. Oto najautentyczniejsze świadectwo. Biełokurow przeczy więc istnieniu tych skarbów i ma racyę, choć może niezupełną. Rękopisy, choć ani klasyczne, ani nadto liczne, mogły śmiało istnieć, a zginęły r. 1612, gdy Polaków w Kremlu oblegano. Oblężonych trapił najstraszliwszy głód, wyjedli nie tylko wszystkie szczury kremlowskie i trupy własne, lecz w końcu i do biblioteki się dobrali i z pargaminów jej klej pożywny wygotowywali. Uwagę moją zwrócił na ten fakt ks. kanonik A. Petruszewicz. I rzeczywiście, można np. w pamiętniku Maskiewicza odszukać ustęp, zdający się temu przyświadczać. Takim sposobem książnica hosudarowa w żołądkach polskich byt zakończyła, i nie miała Moskwa po r. 1612 rękopisów greckich cerkiewnych, aż Ars. Suchanowa (por. wyż.) po nie wysłano, który około 500 ze wschodu przywiózł.

wodzą tego dalej wielkie prace zbiorowe, jakby dla ostatecznego utwierdzenia na zawsze dawnego dorobku umysłowego podejmowane; wychodziły one od metropolity Makarego. I tak kazał on zebrać nakilkunastu tysięcach kart całą niemal literaturę staroruską, układając ją według dni i świąt w t. zw. Czetjach—Miniejach (żywoty, legendy, „słowa“ i pisma ojców kościoła, pałomnik itd.) i zachowując tem niejeden pomnik od zaguby; do niego odnoszą redakcyę t. z. Stiepiennej knigi, t. j. kroniki, ułożonej wedle stopni czyli pokoleń carskich (liczono ich 17 od Włodzimierza W. do Iwana Groźnego), gdzie również żywoty niektóre i inne zabytki wciągnięto; jeszcze w końcu XV wieku kazał był podobnie archiepiskop Genadyusz biblię całkowitą z różnych tekstów i rękopisów po raz pierwszy ułożyć: korzystał z niej ks. Ostrogski dla druku swej biblii. Obok tych kompilacyi staje znamiennie t. zw. Domostroj (ekonomia), łączony z pamięcią Adaszewa, jednego z doradców Groźnego z lepszych czasów, chociaż Adaszew tylko częściowo do pomnika nowogrodzkiego żywotu rękę przykładał. Jeśli ten pomnik jest rzeczywiście nowogrodzki, to nie należy on do tych świetnych czasów, kiedy Ruś północną kolonizowano, a od bogatej Hanzy złoto i kosztowności w „krancach” składano—wyłupił je Iwan III doszczętnie — lecz do czasów ostatecznego upadku, małodusznego skąpstwa, potakiwania możniejszym, ochraniania własnej „spiny”, a nieżałowania za to „pleci” na żonę, dzieci i domowników: ideał tej ekonomii wązko-utylitarny, aby z najmniejszą szkódką przeprowadzić przez mielizny i wiry łódkę własną, a przytem ascetyczny, pobożny, lecz tak, żeby świat o tem dokładnie informowano; wszystko dla pozoru i oka. Niewinnych rozrywek świeckich i tu się wcale nie uznaje; jednym tchem zakazuje się obżarstwo, cudzołóstwo, wróżbiarstwo, czary, łowy z psami i ptakami, wyścigi konne, pląsy i skoki, bębny i trąby, szachy i warcaby; wszystko podciąga się pod „bohomierzkoje” dzieło i biesowskie „ugodie.” Utwór zresztą nie oryginalny; całe partye pochodzą z literatury cerkiewnej dawniejszej.

Obok tych streszczeń niemal mądrości wiekowej sławna korespondencya Iwana Groźnego i Kurbskiego, sześć listów, pełne wyrzutów obopólnych; pisania Groźnego, „szerokoprawiące i mnogoszumiące,” godzą w przeciwnika ironią „kąsającą“ i cytatami, nachwytanemi z pism uświęconych z „mnogą złością i wściekłością“; Kurbski, spokojniejszy, wytrawniejszy odpłacił Groźnemu głównie w swej Historyi w. ks. moskiewskiego itd., sięgającej od młodości Iwana do r. 1578, pierwszem dziele historycznem ruskiem o pewnym planie i jawnej tendencyi: kroniką złości nazywa ją Puszkin,

tak odmienną od innych, jak burzliwe życie wychodźcy od spokoju mnicha-kronikarza.

I zdawało się, że raz na zawsze, w nieruchomości wschodniej zamrze życie umysłowe na Wielkiej Rusi, że nic już nie wzruszy autorytetu i znaczenia najgrubszej średniowieczczyzny, ustalonych na wieki; lecz pod te mury chińskie podkopywał się powoli, nieznacznie, a coraz skuteczniej wróg dwojaki.

Mogła Ruś moskiewska brzydzić się zachodem i duchem jego, tak dalece, że, według świadectw obcych, rodzice np. raczejby dzieci swe martwemi widzieli, niżby na ich podróż zagraniczną i możliwą zarazę moralną, t. j. zheretyczenie, przyzwolili, lecz niemożliwem było ignorowanie materyalnych postępów i zdobyczy zachodu, inaczej stawała się walka o byt wprost niemożliwą. Cóż było począć np. z wojskiem: tysiące owej jazdy tatarskiej, uzbrojonej w łuki, musiałyby przed jednym wystrzałem działowym pierzchać i rzeczywiście nie mogły sprostać w wolnem polu zastępom polskim. Po głębokim upadku i zastoju XIV wieku widzimy też, od XV począwszy, stopniowe wkraczanie na ścieżki, które w końcu do reformy Piotra W. doprowadzić musiały. Zaczyna się w Moskwie przypływ obcych architektów i inżynierów (np. taki Bolończyk Aristotile Fioraventi, budowniczy soboru uspieńskiego—katedry wniebowzięcia—w Kremlu i mistrz do wszystkiego, i inni „Friazini“, Frankowie), puszkarzy (Niemców), lekarzy i aptekarzy (wyłącznie dla rodziny carskiej), rzemieślników, towarzyszących np. Zofii Paleolożance; później przebiegają angielscy kupcy kraj od Archangielska do Moskwy, a Iwan Groźny prowadzi wojny, aby zabezpieczyć sobie dostęp własny do Bałtyku, aby nie być zdanym na niełaskę sąsiadów, pragnących świadomie zastoju moskiewskiego, karzących śmiercią obcych, ruszających na wezwanie carskie do Moskwy. I niebawem sadowi się cała kolonia obca, „słoboda”, obok Moskwy i, chociaż narazie życie obu płynie zupełnie odrębnemi korytami, miała w końcu „słoboda” zawojować stolicę. Groziło jeszcze za Groźnego uczenie się obcego języka lub posiadanie obcych dzieł niebezpieczeństwem i trzeba się było troskliwie z tem ukrywać; już Godunow jednak wysyłał młodych ludzi dla nauki zagranicę, lecz ptaszki do klatki już nie wróciły gorączka—Samozwaniec marzył na seryo o otwarciu szkół europejskich w Moskwie, choćby narazie z obcymi uczniami. Nawet reakcya narodowa przeciw gospodarce obcej z r. 1612 nie mogła w istocie tego przesiąkania stopniowego obczyzny powstrzymać; niebawem stają nie tylko obce roty zaciężne w wojsku moskiewskiem, lecz obcy obejmują komendę nad zastępami moskiewskimi i poucza-

ją je do obcego szyku; „słoboda" rośnie coraz w siłę i liczbę; między świeckimi coraz częściej spotyka się ślady zachodniego wykształcenia; oni namówią nawet cara Aleksieja do urządzania widowisk scenicznych i wynajdą sposoby, aby i carowa im się przypatrywać mogła. Zmiany zajdą nawet w stroju; jeszcze stary Wasyl Iwanowicz ostrzygł był brodę dla przypodobania się młodej Glińskiej, ale naśladowców nie znalazł, tylko przed wygolonym Herbersztejnem cieszył się swojem „brił"; zato w XVII wieku rozszerza się coraz bardziej strój obcy mimo nawoływań duchowieństwa, wolnieje widocznie stopniowo dawny rygor moskiewski; uchodzą przed nim do Polski, a w Moskwie obawiają się coraz bardziej ogólnej „zarazy" obyczajowej od Polski.

Podczas XVI i XVII wieku obcy ten prąd pozostaje jednak obcym i nie zlewa się z życiem „rosyjskiem" (termin grecki od XVI wieku coraz częściej zamiast ruskiego używany); na rychłe i stanowcze zwycięstwo jego przed Piotrem W. bynajmniej się nie zanosiło. Świetniejsze nadzieje rokował bowiem prąd inny, więcej swojski niby, bo od łacińskiej Polski przez prawosławną Ruś zachodnio-południową, przez Kijów dążący, modyfikujący już nie szczegóły zewnętrzne, lecz samą treść myśli moskiewskiej.

Wspominaliśmy wyżej o tendencyach do unii kościelnej, wzmagających się na Rusi zachodniej w miarę słabnącej tradycyi prawosławnej. Możnaby liczne szczegóły tego osłabnięcia przytaczać od samowolnych poprawek w tekstach świętych, na jakie sobie Kimbar, ihumen supraślski, pozwalał (zamiast *Simonie Wariona* pisząc *Simonie howory o nich* itp.) i od wprowadzania języka narodowego do ksiąg cerkiewnych aż do urządzania bractw cerkiewnych na wzór zachodni. Bractwa te miały niebawem ważną odegrać rolę. Gdy się bowiem pokazało, że prawosławie propagandzie protestanckiej, a później katolickiej, ostać się nie może, że dla braku szkół nieoświecone duchowieństwo urzędowi pasterskiemu nie podoła, że wszelka jego i świeckich karność zupełnie się rozsprzęgła, że coraz liczniej opuszczano starą cerkiew dla sekt czy dla Rzymu, poczęto ze strony prawosławnej, od ks. Ostrogskiego aż do Rahozy i Pocieja, coraz częściej przemyśliwać o unii z Rzymem, aby za uznanie prymatu rzymskiego zachować przynajmniej obrządek i język, zaprowadzić własne szkoły na wzór łacińskich, podnieść znaczenie upadającego coraz niżej stanu duchownego, zrównać go z łacińskim pod względem stanowiska społecznego i politycznego, zapobiedz masowej apostazyi od wiary ojców; tem bardziej nawoływali do unii tej jezuici, Skarga i Herbest, pismami, wykazującemi greckie od jed-

ności kościelnej odstępstwo; po świeżych, walnych zwycięstwach, odnoszonych nad wysoce oświeconymi sekciarzami, liczyli jezuici tem pewniej na zawojowanie ciemnych tłumów prawosławnych, o których wodzach duchownych jeszcze Izydor we Florencyi papieża uspakajał, że ci episkopi ludzie nie „knižnyje.“ Zawiedli się jednak jezuici grubo, nie obliczyli (jak i w zatargach z akademią krakowską) opornej siły tradycyi i w końcu na obu polach przegrali. Tymczasowo jednak nie umieli prawosławni o własnych siłach wiekowej, niewzruszonej nawet publikacyi jezuickiej odpierać i musieli aryan, później kalwinów, w pomocniki sobie sposobić. Niebezpieczeństwo, grożące od protestantów, od Rzymu i unii, niebawem (1596) w Brześciu dokonanej, wzruszyło Ruś z letargu; kwestya szkół, już w Ostrogu podjęta, we Lwowie i Wilnie, nakoniec w Kijowie i innych miastach, z porządku dziennego już nie schodziła, i owe wyżej wspomniane bractwa cerkiewne najgorliwiej się koło niej zakrzątnęły. Pierwsze kroki stawiano niepewnie; jakiś czas łudzono się możliwością greko-słowiańskich szkół, lecz praktyka życiowa, nieodzowna potrzeba łaciny w umiejętności, w życiu politycznem, w sądach, wypróbowana dyalektyka szkół zachodnich, ulubiona wreszcie ich poetyka wzięły górę stanowczo, i szkoła, a z nią i literatura cerkiewna, mimo przekonań prawosławnych nabierała wszelkich cech łacińskich; władanie łaciną, pisanie wierszy, wprawa oratorska, w końcu nawet widowiska sceniczne przechodzą od szkół akademickich i jezuickich do brackich i monasterskich, a dosięgają szczytu znaczenia i rozwoju w kolegium mohilańskiem, późniejszej Akademii Kijowskiej. Wychowańcy tych szkół to już nie dawni uczniowie dyaczków i popów, którzy pilnem rozczytywaniem się w literaturze cerkiewnej, wyuczaniem na pamięć jej tekstów i pogardą każdej innej nauki ponad ograniczoną i fanatyczną jednostronność wznieść się nie mogli.*) Byli to teraz wychowańcy nau-

---

*) Ciekawe bywają sądy tych ludzi, np. takiego Iwana Wiszeńskiego, Małorusina, mnicha Atońskiego, gorącego szermierza za prawosławiem, a wroga unii; wedle niego dyabeł prześladuje język „słowiański“ (cerkiewny), ponieważ on najpłodniejszy z języków i Bogu najmilszy, bo bez pogańskich chytrości i sztuczek, t. j. gramatyk, retoryk, dyalektyk i innych próżnych wymysłów dyabelskich, samem pilnem czytaniem ku Bogu przywodzi. Program jego, czego dzieci dla zbawienia duszy uczyć, obejmuje „zamiast kłamliwej dyalektyki... bogomodlny i prawdosłowny czasosłowiec (brewiarzyk); zamiast chytromownych sylogizmów i wielosłownej retoryki bogomodlny psałterz; zamiast filozofii płaczliwy i pokornomądry oktoich (pieśni kościelne).... a jeślibyś chciał i dworskiej mądrości chytrość uznać, nie broni ci się bawić Syrachem, przypowieśćmi Salomonowemi itd., tylko do po-

ki, acz scholastycznej w gruncie, zawsze jednak napełniającej głowę wiadomościami, nadającej metodę, przyzwyczajającej do ścisłości myślenia, do badania, i, jeśli się ona narazie łaciną, logiką z dyalektyką i teologią ograniczała, to był to wobec dawnego wyłącznego „czytania cerkiewnego" postęp olbrzymi i zwrot radykalny; Bizancyum i jego tradycye cofały się stanowczo przed Rzymem i jego oświatą.

Z niezatajonem niedowierzaniem spoglądała Moskwa na jednowierców zachodnich; dzieła ich (np. Stawrowieckiego i Zyzanii) podlegały r. 1627 ostrej krytyce, zarzucano im odstępstwo od normy cerkiewnej dla mądrości frankskiej i jellińskiej. Lecz nie sposób było obejść się bez ich pomocy, szkół! szkół! wołali Grecy w Moskwie, a szkoły urządzać, dla pras drukarskich teksty ksiąg cerkiewnych przygotowywać, walkę wieść z raskołem mogli tylko uczeni kijowscy. I zwabia się ich do Moskwy i nadaje się im znaczenie, wpływy i urzędy; Epifaniusz Sławiniecki (rewizor tłómaczeń), Szymon Połocki (nauczyciel cara Fedora), Dymitr Tuptało (episkop rostowski), wszyscy Kijowianie, należą już do najwybitniejszych działaczy na polu umysłowem w drugiej połowie wieku; czynność Sławinieckiego ogranicza się wprawdzie na szkole i prasach; zręczny Połocki utrzymuje wbrew patryarsze stanowisko przeważne na dworze u cara Aleksieja, Fiedora, Zofii, i dopiero po jego śmierci natarto otwarcie na ucznia jego, pierwszego uczonego rosyjskiego, Sylwestra Miedwiediewa, który względy Zofii, nawyczki kijowskie i przywiązanie do mistrza życiem na rusztowaniu przypłacił; św. Dymitr, wytrwały, cichy, bogobojny pracownik, swoimi Żywotami Świętych (Miniejami), kazaniami, staraniami o szkołę, gdzie i dramat pielęgnowano, znakomicie się Rosyi odwdzięczył; inny Kijowianin, Gizel, napisał kronikę (*Synopsis*), zażywającą przez cały wiek (acz mało

---

gańskich nauczycieli i do łacińskiego chytrosłownego kłamstwa nie chodź, bo wiarę stracisz;" autor chwali się, że „w kunszcie retorskiego uczenia i rzemiosła jellino—albo łacinomędrców udziału nie brał, ani od chytrodyalektycznych sylogizmów niczego się nie nauczył." Na początku XVII wieku przyznawał się więc głośno do takich zasad mąż wielkiego serca i niepospolitych darów umysłowych; w spółczesnej Moskwie zasad tych wprawdzie nikt nie formułował wyraźnie, ale na nich właśnie ufundowana była cała jej umysłowość; nawet tacy, jak Kurbski, w gruncie rzeczy podstawy tej nie opuszczali, „Arystotelesów i Platonów" tylko z niechęcią i nieufnością wspominali; wyuczył się wprawdzie Kurbski na swe siwe włosy łaciny i innych do niej nawoływał, ale celem jego był i tu łatwiejszy przystęp—do dawnych ojców greckiego kościoła, do usuwania „baśni bułgarskich" (apokryfów), zaprzątających niepotrzebnie głowy prawosławne, kiedy się na zachodzie już czas ich naukowego rozbioru przybliżał.

zasłużonej) powagi; jeszcze inni, Radziwiłowski, Galatowski, Baranowicz, pismami z Kijowa i Nowogródka (Siewierskiego) zasilali, albo raczej wskrzeszali piśmiennictwo rosyjskie. Żaden z nich (prócz Sławinieckiego) nie zacierał śladów szkoły, wychowania, nauki łacińsko-polskiej; wierszowali zawzięcie rzeczy, najmniej wierszów godne, panegiryczne, dogmatyczne, legendowe, moralizujące, szczególniej niezmordowany wierszokleta Baranowicz, którego tylko metropolita Maksymowicz prześcignął, w 25000 drewnianych wierszach chwałę Matki Boskiej opiewający. W kazaniach widnieje również wpływ szkoły polskiej, alegorye jej, anegdoty duchowne i świeckie, ścisła partycya szkolarska, sztuczki retoryczne. I język ich bywał polskoruskim; tylko przechodząc do Moskwy, wyzbywał się nadto licznych polonizmów, chociaż nieraz ruskie ich dzieła musiano w Moskwie jeszcze raz na ruskie tłumaczyć. W istocie bowiem szyk i wybór słów był zupełnie polskim; oni myśleli po polsku i wyrażali tylko ruskimi znakami i formami tok szczeropolski; razi też dziwnie dzisiejszego czytelnika ta mieszanina, ta polszczyzna w szacie cyrylickiej. Niektórzy z pisarzy małoruskich, szczególniej Galatowski i Baranowicz, należą wręcz do obu literatur, wydając to samo dzieło po polsku i rusku (t. j. w cerkiewnym języku), a niejedno pisząc tylko po polsku—cóż dziwnego, skoro najważniejsze dzieła np. polemiczne (Filaleta, Smotryckiego, Mohiły), nawet pateryki i historye cudów prawosławnych wychodziły od Kijowian i innych albo wyłącznie, albo pierwotnie po polsku. Czynności ich dopełniały liczne przekłady z polskiego i łaciny; widzimy między nimi obok przekładów średniowiecznego zbioru kazań (Węgra Mefreta) i również średniowiecznego, chociaż od jezuity (Wysockiego) zredagowanego zbioru historyi ascetycznych (Zwierciadła Wielkiego) już i przekłady dzieł historycznych (Starowolskiego, Bazylika, Bielskiego itd.) i beletrystycznych (budujących Historyi Rzymskich lub Apoftegmat Budnego i wcale nie budujących Facecyi polskich, Magielony, Meluzyny, Olundy, Ottona, nowel Bokacyuszowych, Historyi o siedmiu mędrcach itd.) Jak z rogu obfitości, wetując niby długowiekowy zastój, sypią się teraz te przekłady z polszczyzny i łaciny; odnajdziemy między nimi książki ascetyczne (Tomasza a Kempis, jezuity Drekseliusza, Bellarmina, papieża Innocentego, ś. Augustyna itd. aż do prostych „pacierzy“); medyczne (zielniki, tajemnice lekarskie, gadki Arystotelesowe, cieplice—nie o cieplarniach, oranżeryach, jak Szlapkin mniema, traktujące, lecz E. Syksta o termach); astronomiczne (obok Heweliusza, tłómaczonego już na rosyjskie, zanim o nim w Polsce ogół coś wiedział, i kalendarze krakowskie i nauki

o kometach); matematyczne; gramatyczne (Donat, raz już na początku XVI wieku tłómaczony, teraz powtórnie); nawet pątników naszych (Anzelma i ks. Sierotkę) tłómaczono i pisma polityczne, np. Modrzewskiego (nie z łacińskiego oryginału, lecz z tłómaczenia C. Bazylika) albo Arystotelesa „Domostrój" wedle Petrycego. Szerzyła się w Moskwie samej znajomość języka i ksiąg polskich; psałterz Kochanowskiego był tak rozpowszechniony, że go Połocki własnym, acz niezdarnym przekładem rugować zamierzał; w sferach decydujących, u Zofii, Golicyna, rzeczy Polskie, nawyknienia, mody znachodziły niedwuznaczne poparcie.*) Zmieniło się to dopiero za Piotra Wielkiego, lecz na polu duchownem, mimo chwilowych reakcyi, zwyciężyli w końcu Kijowianie z polsko-łacińskim trybem naukowym, gdy eksperyment grecki (z Lichudami) się nie powiódł; planowana już „akademia" moskiewska miała kijowską odtworzyć.

Prace Kijowian zajmują więc czoło literatury rosyjskiej drugiej połowy XVII wieku; najgłośniejsze jej nazwiska to Szymon Połocki i Dymitr Rostowski; Kijów odgrywa rolę, jaka od XII wieku nie przypadła mu była w udziale; prowincya zdobywa stolicę. Nie obeszło się przytem bez rozmaitych uchybień: Kijowianie, nie chcąc się „litewszczyzną" zdradzać, pisali dla Moskwy najtwardszą cerkiewszczyzną (*Synopsis* Gizela silniej nią przesiąkła, niż sam Nestor); wzory polskie ślepo naśladując, narzucili młodej poezyi—albo raczej wierszoróbstwu—formę najniemożliwszą, przeciwną zasadom tonicznym języka, rzeżącą niemiłościwie uszy (tak zwane wiersze sylabiczne, bez względu na akcent budowane), a cóż mówić o panegirykach, powiększających morze pochlebstw nowymi dopływami, o schola-

---

*) Bogaty zbiór faktów i wiadomości co do szerzenia się wpływów polskich w Moskwie XVII wieku zebrał p. *J. Szlapkin* w dziele o Dymitrze Rostowskim (1891 r.) na str. 52—108. Przytoczymy tylko dwie cytacye. Baranowicz pisze carowi Aleksiejowi: wydałem książkę po polsku, gdy wiem, że carewicz Fiedor księgi czyta nie tylko w naszym przyrodnim, lecz i w polskim języku... wiem bo, że i W. Wieliczestwa senat językiem tym nie gardzi, lecz czytają księgi i historye polskie „w sładost". O wpływie żony Fiedora, carowej Agaty (Hruszeckiej, córki szlachcica smoleńskiego) czytamy: która to carowa, będąc z porody od ojca polskiej, wiele dobrego państwu moskiewskiemu przyniosła; najprzód ochobnie, t. j. suknie plugawe białogłowskie, które na nie był car włożył, że z wojska, nie bijąc się, sromotnie pouciekali (częsty motyw bajeczny, znany dobrze i w tradycyi polskiej) zrzucić namówiła, kudły i brody golić, szable u boku (w Moskwie nikt broni nosić nie śmiał) i kontusze polskie nosić, a co większa, szkoły polskie i łacińskie na Moskwie zakładać poczęto... jedni to chwalili, drudzy ganili, mówiąc, że niezadługo lacką wiarę za swojemi fakcyami wprowadzą na Moskwę itd.

styce, na zachodzie samym z pola stanowczo ustępującej, o niezdatnem wierszoklectwie? Lecz koniec końcem nauce, wyższej obyczajowości, reformom szeroki dostęp był umożliwiony, i nie poszłyby tak gładko przeobrażenia Piotra W. w państwie, towarzystwie, cerkwi i szkole, gdyby im nie utorowały drogi prace i myśli Kijowian, budzące, mimo głównego, religijnego, nastroju i wątku, ducha, rozszerzające zbyt ciasny widnokrąg, łagodzące fanatyczną nieufność ku zachodowi, łączące się niemal z działaniem „słobody."

Wobec prac kijowskich nikną rosyjskie—nie możemy do nich zaliczać lingwistycznych i politycznych rozpraw Križanića, katolika-Chorwaty, panslawisty osobliwszego autoramentu, męczennika, jak Maksym Grek, za winy niepopełnione. Ciekawe zato i dla historyka ważne szkice o Rosyi Kotoszychina, Hercena XVII wieku, tylko że ze Sztokholmu, nie z Londynu, tajemnice rosyjskiego dworca, prikazów i życia domowego ogłaszające: dyak, wysmagany niegdyś za opuszczenie słowa w tytule carskim, umknął przed gorszą „opałą" zagranicę, jak Kurbski niegdyś, i podał memoryał o rzeczach rosyjskich, gdzie z zupełną swobodą, nie czerniąc ani przesadzając w niczem, zapisał, co wiedział, o ceremoniach, o nieuctwie bojarów, o praktykach oszukańczych w razriadzie i przy ślubach o urzędach, wojsku itd.

W Moskwie samej tymczasem zaprzątały uwagę ludzi piśmiennych i czerni ulicznej spory teologiczne; i dziwny to kontrast albo raczej istny anachronizm: obok masowego napływu dzieł, idei, obyczajów zachodnich swary zacięte, przy których to słowach liturgii właściwie transsubstancyacya się dzieje, kiedy dzwonić należy itp.—przypominamy sobie Carogród IV wieku, gdzie i krupniczki, i zubiarki, roznamiętnione pytaniami o dwoistej naturze Chrystusa, zawzięcie debatują zamiast sprzedawać i uciekają z kościoła, gdy patryarcha theotokos—Bogarodzicę inaczej wspomni; lecz im choć o dogmata, nie o szczegół dzwonienia chodziło.

Dwojakim nawrotem sprzeczki religijne pochłonęły wszelkie zajęcie: walka raskolników pod Awakumem, Neronowym Pustoswiatem itd. z „Nikonianami" i walka grecko-rosyjskiego, ultrakonserwatywnego duchowieństwa pod Ioakimem z łacińsko-rosyjskim, małoruskim odłamem, górującym wykształceniem i postępowością, pod Miedwiediewem, zalewają nie tylko ulicę, lecz przedewszystkiem prasy drukarskie i rękopisy spółczesne, rojące się od czołobitni, broszur i dzieł z jednej i drugiej strony. Wyliczać nam ich nie sposób; nie wadzi jednak zaznaczyć, że nawet w tej polemice, mimo całej zaśniedziałości pojęć, przebija jakiś nowy ton; to sam aparat umiejęt-

ny zasobniejszy, to znowu język zrzuca martwą cerkiewszczyznę: szczególniej pisma protopopa Awakuma odznaczają się prostotą i siłą zwrotów; nie szczędzi on wprawdzie przeciwnikom wyzwisk najniecenzuralniejszych—prześcigając nawet kompanów po fachu, dawnych teologów niemieckich, swą karczemnością—lecz równocześnie ów męczennik za wiarę (spalony r. 1681), tak w swej prostocie wymowny, styl jego tak jędrny i dosadny, że nawet marną polemiką teologiczną nas zająć potrafi, cóż dopiero, gdy straszne przejścia swej autobiografii opowiada, katusze fizyczne i moralne, które złamałyby najsilniejszego człowieka, lecz żelaznym Awakumem ani nie zachwiały. I zginął on i setki raskolników od rąk katów, a inni w zawody palili się sami, aby tylko ujść „pieczęci antychrystowej“ t. j. żegnania trzema palcami; aby nie wzywać Nikołaja i Parascewy, lecz Nikołę i Praskowię; aby nie patrzeć na wstrętne druki Nikonowskie z herbami i dedykacyami; nie słyszeć w cerkwi łacińskich bajęd, t. j. kazania, zarzuconego w Moskwie od dawnych wieków, ani „wycia (śpiewu) partesnego.” Srogość prześladowania rozszerzyła tylko i pogłębiła przepaść, tak nieznaczną z początku, na wieki całe.

Z końcem XVII wieku, z Awakumem i Joakimem, ze „strzelcami“, dysputującymi teologicznie, i z bojarami, walczącymi w „miestnictwie” (spory o miejsca, rangę), z nieuctwem, rozpierającem się w dumie i patryarchii, i z trwożliwą pogardą wszystkiego obcego, z despotyzmem wobec familii i czeladzi, nizkiem płaszczeniem się na zewnątrz, z czytywaniem pobożnych książeczek i sumiennem wypełnianiem praktyk religijnych, a najgrubszym materyalizmem życiowym—wyczerpują się zasoby umysłowe średniowiecza czy „stariny” ruskiej.

Pora ich minęła na zawsze; ze wszystkich stron napływały nowe myśli i formy, ludzie i książki, mody i zwyczaje, nie wstrzymywane już oporem czy nawoływaniem starowierczem. I bez olbrzymiej inicyatywy a żelaznej woli Piotra Wielkiego los „stariny” moskiewskiej był rozstrzygnięty; ustępowała ona wszędzie, w cerkwi i szkole Małorusom, w wojsku cudzoziemcom, w formach życiowych wpływom polskim. Reforma Piotrowa, właściwe jej znaczenie, nie polega też na kompletnem, gwałtownem zarzuceniu skazanej na zagładę „stariny“, ile raczej na kierunku, nadanym jej przez Piotra, nawiązującego stosunki ponad Kijów i Warszawę wprost z zachodem, stojącym niezrównanie wyżej od samej Małorusi i Polski.

A. Brückner.

DŁUGOTERMINOWY
kredyt włościański.

Sprawę kredytu włościańskiego na potrzeby bieżące, na kapitał obrotowy można uważać ze stanowiska prawnego za załatwioną przez prawo o drobnym kredycie z dnia 1 czerwca 1895 i normalną ustawę towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, zatwierdzoną w dniu (13) 25 kwietnia 1896. Założony w roku 1900 dla całego państwa Centralny bank drobnego kredytu i pod względem finansowym ugruntuje byt i rozwój pożytecznych tych instytucyi.

Teraz od nas tylko, od społeczeństwa, zależy rozpostrzeć po kraju sieć towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, zastosowanych do potrzeb ludności wiejskiej, towarzystw, które w Niemczech, Austryi i Cesarstwie na tysiące się liczą.

Zyskawszy podstawę dla kredytu włościańskiego osobistego, krótkoterminowego, należy teraz wysunąć na porządek dzienny sprawę kredytu rzeczowego, długoterminowegó, opartego na ziemi, na gruntach włościańskich.

Pierwszą trudność, którą na tej drodze napotykamy, jest rozpo-

wszechnione pojęcie prawne, uświęcone nawet wyrokami senatu, o niemożności zakładania hipotek dla uwłaszczonych osad włościańskich, i przeszkody, stawiane pod tym względem przez niektóre sądy, a wiadomo, że bez hipoteki niema kredytu ziemskiego.

Sprawę tę przedewszystkiem przeto wyjaśnić należy.

Na początku ubiegłego stulecia, kiedy skutkiem klęsk politycznych i ekonomicznych większa własność ziemska upadała pod ciężarem nadmiernych długów i zachodziła potrzeba ratowania jej zapomocą należycie uorganizowanego kredytu ziemskiego, wówczas nasunęła się taka sama trudność, jaką obecnie napotykamy przy organizacyi kredytu włościańskiego, a mianowicie wadliwy system hipoteczny kodeksu Napoleona.

Ale przy ówczesnym, przyśpieszonym ruchu prawodawczym potrzebie tej wnet zaradzono. Na sejmie w r. 1818 uchwalono nowe prawo hipoteczne; ponieważ jednak szło wówczas o ratowanie zagrożonej większej własności, przeto moc obowiązującą nowego prawa rozciągnięto tylko do dóbr ziemskich większej własności, tudzież do miast gubernialnych.

Ze względu, że panowanie w kraju dwu odmiennych systemów hipotecznych, jednego dla większej, drugiego dla mniejszej własności, okazało się pod każdym względem niewłaściwem, przeto na sejmie z r. 1825 rozciągnięto moc obowiązującą prawa hipotecznego do wszystkich bez wyjątku własności nieruchomych w kraju z taką organizacyą, że dla większej własności ziemskiej i dla miast gubernialnych siedlisko hipoteki, zwanej gubernialną, mieści się przy obecnych sądach okręgowych, a dla wszelkiej pozostałej własności nieruchomej utworzono hipotekę powiatową czyli okręgową, mającą siedlisko swoje przy sądach pokoju.

Główna różnica pomiędzy jedną a drugą hipoteką polega na tem, że hipoteka gubernialna jest przymusową dla wszystkich większych dóbr ziemskich i nieruchomości w obrębie miast gubernialnych, zakładanie zaś ksiąg hipotecznych w okręgowej hipotece dla małej własności ziemskiej i dla nieruchomości w miastach niegubernialnych pozostawione jest dowolności ich właścicieli, a ponieważ drobni właściciele tak wiejscy, jak i miejscy, albo nie rozumieją, albo nie czują jeszcze potrzeby instytucyi hipotecznej, przeto po większej części nieruchomości mniejsze nie mają jeszcze po dziś dzień urzędowych hipotek.

Uwłaszczenie włościan nie mogło pozostać bez wpływu na kwestyę hipoteki dla drobnej własności ziemskiej.

Dopóki grunty włościańskie stanowiły składową część dóbr

dominialnych, dopóty były nieobjęte hipoteką tychże dóbr, i dług, zaciągnięty przez właściciela dominialnego, obciążał zarazem i wchodzące w skład jego majątku grunty włościańskie.

Na mocy Ukazu z r. 1864 oswobodzone zostały grunty włościańskie od wszelkich zobowiązań na rzecz dominiów, ale i od wszelkich zobowiązań na rzecz osób trzecich, przez właścicieli dóbr zaciągniętych i na całości dóbr zahipotekowanych.

W przepisach o wydaniu listów likwidacyjnych z d. 4 (16) stycznia 1865 polecono wydziałom hipotecznym wykreślić z wykazów hipotecznych dóbr dominialnych tak grunty, przeszłe na rzecz włościan, jak i zobowiązania, przez samych włościan zaciągnięte i na ich prawach hipotecznie zabezpieczone. Odnosiło się to do takich gruntów włościańskich, których prawa ujawnione były w dziale III wykazu hipotecznego dóbr dominialnych. W dalszym ciągu powyższe przepisy stanowią, że władze hipoteczne obowiązane są zakładać oddzielne hipoteki okręgowe dla tych osad włościańskich, które są długami obciążone.

Następnie Komitet Urządzający w instrukcyi, wydanej dla wydziałów hipotecznych z dnia 21 sierpnia (7 września) 1865 r., polecił, aby kopie w s z y s t k i c h powykreślanych z hipotek dominialnych, a do praw włościańskich odnoszących się wpisów i zastrzeżeń przesłane były pisarzom sądów pokoju celem założenia hipotek okręgowych dla wyłączonych z hipoteki gubernialnej gruntów włościańskich.

Gdyby polecenie to było w swoim czasie wykonane, wszystkie uwłaszczone osady włościańskie miałyby z urzędu założone hipoteki okręgowe, i pierwsza ta trudność, którą obecnie napotykamy na drodze do ziemskiego kredytu włościańskiego, byłaby stanowczo usunięta.

Tymczasem komentarze, jakie poczęto czynić celem wyjaśnienia tego postanowienia komitetu urządzającego, do tego stopnia je zaciemniły, że nie tylko nie przystąpiono do regulacyi hipotek włościańskich z urzędu, ale nawet zakwestyonowano byt i legalność hipoteki włościańskiej wogóle.

Pomimo wyraźnego tekstu polecenia, aby kopie w s z y s t k i c h wpisów i zastrzeżeń przesłano do pisarzy sądów pokoju celem zakładania hipotek okręgowych, niektóre sądy przypominały sobie, że w przepisach o wydaniu listów likwidacyjnych jest mowa tylko o hipotekach dla gruntów włościańskich, obciążonych długami odniosły się przeto do zwierzchniej swej władzy z zapytaniem: czy hipoteki okręgowe mają być zakładane dla wszystkich uwłaszczonych

osad włościańskich, czy tylko dla tych, które są długami obciążane?

Była Komisya Rządowa Sprawieliwości odniosła się z kolei o wyjaśnienie do Komitetu Urządzającego, przyczem uczyniła ze swej strony wniosek, że właściciele osad, wolnych od długów, nie powinni się znajdować w gorszem położeniu cd właścicieli gruntów obdłużonych, że, jeżeli hipoteka ma być urządzona dla jednych, to byłoby niesprawiedliwością nie rozciągać tego dobrodziejstwa i do tych, których jedyną winą było to, że są rządni i w długi nie popadli.

Komitet Urządzający do wniosku tego jednak nie przychylił się, wskutek czego Komisya Sprawiedliwości, udzielając podwładnym sobie sądom odpowiedź na zadane pytanie, wydała rozporządzenie, aby dla takich tylko osad włościańskich zakładać hipoteki, które są obciążone długami hipotecznymi, natomiast powstrzymać się od ich zakładania dla wszelkich innych osad aż do czasu, gdy to przez rząd dozwolonem zostanie.

W rozporządzeniu tem tkwi błąd zasadniczy; ani Komitet Urządzający, ani Komisya Sprawiedliwości nie miały władzy uchylić prawa o przywilejach i hipotekach z r. 1825, które z art. 11 stanowi, że „regulacya hipoteczna każdej szczegółowej nieruchomości przedsięwziętą zostanie, gdy o to zajdzie żądanie ze strony interesowanej". Komitet Urządzający wcale też przepisu tego się nie dotknął i uchylić go bynajmniej nie miał zamiaru, polecenie jego miało jedynie na celu zakładanie hipotek z u r z ę d u, co było koniecznem dla osad, obciążonych długami. Przy wypłacie bowiem listów zastawnych wykreślono z u r z ę d u długi, zahipotekowane na gruntach włościan, nie można przeto było bez pogwałcenia praw wierzycieli pozostawić ich wpisów bez przeniesienia do nowych ksiąg hipotecznych, których zakładanie stało się z tego powodu niezbędnem, i dlatego Komitet Urządzający zgodnie z art. 33 przepisów o wydaniu listów likwidacyjnych polecił zakładać z u r z ę d u księgi hipoteczne okręgowe dla osad uwłaszczonych, obciążonych długami, celem przypisania długów do nich tychże długów, wykreślonych z ksiąg hipotecznych gubernialnych. Natomiast dla osad uwłaszczonych, wolnych od długów, konieczność ta nie istniała, tu bowiem prawa osób trzecich nie były zagrożone, przy braku wierzycieli nie miano co przenosić do nowych ksiąg hipotecznych; Komitet urządzający nie widział przeto potrzeby obciążać sądów obowiązkiem zakładania dla nich ksiąg hipotecznych z u r z ę d u, pozostawiając w myśl art. 11 praw z r. 1825 każdemu interesowanemu swobodę hipotecznego ure-

gulowania swojej nieruchomości, jeżeli to za potrzebne uważać dla siebie będzie.

Komisya Sprawiedliwości niewłaściwie interpretowała rozporządzenie Komitetu Urządzającego; z tego, że nie należy zakładać z urzędu hipotek dla nieobdłużonych osad włościańskich, wyprowadziła ona mylny wniosek, jakoby dla nich hipotek zakładać nie było wolno, nawet w wypadku, kiedy strona interesowana sama dobrowolnie osadę swoją hipotecznie uregnlować pragnie. Za śladem Komisyi Sprawiedliwości wstąpiła na mylną tę drogę i jurysprudencya sądowa.

Możność zakładania hipotek dla wszelkich gruntów włościańskich, tak obciążonych, jak i nieobciążonych długami, jest i przez późniejsze akty prawodawcze stwierdzona.

Ustawy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z r. 1869 i 1888 tudzież Najwyższe postanowienie z d. 3 lipca 1871, dozwalające udzielać pożyczki na posiadłości włościańskie, przepisują warunki, w jakich kredyt Towarzystwa ma być udzielany na osady tak uwłaszczone, jak i nieuwłaszczone, różnicy żadnej pomiędzy osadami obdłużonemi i nieobdłużonemi nie czyni; przepisy te nie miałyby racyi bytu, gdyby dla osad właściańskich nie wolno było zakładać hipotek.

Nakoniec Najwyżej zatwierdzone w d. 11 czerwca 1891 r. zdanie Rady Państwa o sposobie zbywania, zastawiania i dzielenia osad i ziem włościańskich stanowi, że nie zabrania się włościanom zabezpieczać hipotecznie zaciągniętych przez nich pożyczek (art. 11). Ażeby zaś można to uskutecznić, trzeba przedewszystkiem mieć księgi hipoteczne, tych zaś nie byłoby, gdyby prawo zabroniło ich zakładania.

Wielka stała się krzywda nie tylko sprawie kredytu włościańskiego, ale całej wogóle sprawie własności włościańskiej, że pierwotne postanowienie Komitetu Urządzającego z dnia 21 sierpnia (2 września) 1865, polecające obowiązkowe zakładanie hipotek okręgowych dla wszystkich wyłączonych z hipotek gubernialnych gruntów włościańskich, nie zostało wykonane w taki sam sposób, jak w stosunku do większej i średniej własności ziemskiej wykonaną została po roku 1818 ustawa hipoteczna.

Późniejsze postanowienie Komitetu Urządzającego, ograniczające obowiązkowe zakładanie ksiąg hipotecznych tylko do osad obdłużonych, motywowane było tem, iż należałoby ochronić ludność wiejską od popadania w długi, przedwczesna zaś regulacya hipotek ułatwiłaby proces obdłużania ziemi włościańskiej.

W dalszym ciągu niniejszej pracy zasada ta znajdzie właściwe

swoje wyświetlenie, w tem miejscu nadmienimy tylko, że błędne jest traktowanie instytucyi hipotecznej, jako machiny do robienia długów i w tym tylko celu do życia powołanej; hipoteka ma przed sobą inne zadania, a interesuje się ona zarówno prawami właściciela nieruchomości, jak i jego wierzycieli, powstała ona i istnieje w celu zabezpieczenia praw i interesów tak jednych, jak i drugich, o czem przekonywa sama nazwa ustawy z r. 1818, która brzmi: „Prawa o ustaleniu własności dóbr nieruchomych o przywilejach i hipotekach". Na pierwszem tedy miejscu jest mowa o ustaleniu własności, a dopiero później idą prawa wierzycieli, zyskujących hipoteki na tej własności.

Od chwili uwłaszczenia włościan do dnia dzisiejszego tysiące osad włościańskich zmieniły już to w drodze sukcesyi, już to w drodze alienacyi, pierwotnych swoich właścicieli, ujawnionych w tabelach likwidacyjnych. Zmiany zaś tytułu własności mogą być skutecznie kontrolowane tylko w księgach hipotecznych; wszelkie akty, zobowiązania, testamenty, legitymacye sukcesorów, działy spadkowe i inne czynności, mające za przedmiot prawa własności nieruchomej, nie ujawnione w księgach hipotecznych i nie rozpoznawane pod względem legalności przez władze hipoteczne, nie zabezpieczają dostatecznie ani właścicieli, ani osób trzecich, wchodzących z nimi w stosunki, i nie ochraniają od kolizyi, jakie wyniknąć mogą z roszczenia przez większą liczbę osób pretensyi do jednej i tej samej własności.

Tak liczebny wzrost ludności wiejskiej, jak i terytoryalny wzrost przestrzeni, przechodzących na własność włościan, wywołuje konieczność hipotecznego uregulowania ich posiadłości, bynajmniej nie w interesie ich wierzycieli, bynajmniej nie w celach ułatwienia kredytu, ale w interesie samych właścicieli, w celach ustalenia ich praw własności; im dłużej zwleka się sprawa regulacyi hipotek włościańskich, tem większe powstaje zamieszanie, z którego coraz trudniej będzie wybrnąć.

Reasumując wszystko to, cośmy o hipotece włościańskiej tu przytoczyli, dochodzimy do tego niewątpliwego wniosku, że dla ogółu własności włościańskiej nie istnieje wprawdzie obowiązkowa regulacya hipotek, jak to przepisane zostało przez prawo z r. 1818 dla większej własności, że nie istnieje również regulacya z urzędu, jak to przepisanem zostało przez postanowienie Komitetu Urządzającego z r. 1865, że natomiast w całej swojej sile pozostały art. 10 i 11 prawa o przywilejach i hipotekach z r. 1825, wedle których ustawy hipoteczne są obowiązujące względem wszystkich nieruchomości

w kraju, że każdemu bez wyjątku, a zatem i uwłaszczonemu włościaninowi, dozwolone jest hipoteczne uregulowanie swojej nieruchomości, a żądanie pod tym względem strony interesowanej sądy obowiązane są wykonać.

II.

Usunąwszy z drogi pierwszą przeszkodę dla kredytu włościańskiego, jaką upatrywano w niemożności zakładania hipotek włościańskich, możemy w badaniu nad kredytem włościańskim posunąć się krok dalej i zastanowić się z kolei nad jego potrzebą, która nietylko przez Komitet Urządzający była kwestyonowaną, ale i w innych sferach niewielkie znajduje uznanie.

Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, udzielając w ciągu $^3/_4$ wieku pożyczki na większą i średnią własność ziemską, niejednokrotnie zwracało uwagę i na kredyt dla drobnej własności. Przy samem założeniu Towarzystwa w r. 1825 minimalna wartość dóbr, kwalifikujących się do korzystania z kredytu, ustanowioną została na 1500 rubli, a najniższa pożyczka na 900 rubli, w r. 1838 minimalna wartość dóbr zniżoną została do 750 rubli, a minimalna pożyczka do rub. 45. Uwzględniając nowe stosunki, wytworzone przez uwłaszczenie włościan, prawo z r. 1869 rozciągnęło działalność Towarzystwa na wszelkie dobra ziemskie, mające hipotekę gubernialną, nie kładąc żadnej granicy ani pod względem wartości, ani rozległości, z tem jedynie zastrzeżeniem, aby posiadłości, nie dochodzące 90 morgów rozległości, miały ustalone granice i nie były przedzielone obcą własnością; ostatni ten warunek postawiony był tylko dla uwłaszczonych posiadłości, wszelkie inne ograniczeniu temu co do rozległości nie podlegały, najmniejsze przeto gospodarstwa mogły korzystać z kredytu Towarzystwa, byleby na nie mogła być udzielona pożyczka w sumie 100 rubli, na niższą bowiem sumę Towarzystwo listów zastawnych wydawać nie mogło. W okresie czasu od roku 1869 do 1888 r. z drobnych pożyczek od 100 do 500 rubli korzystało 232 gospodarstw wiejskich.

W ustawie z r. 1888 Towarzystwo cofnęło się pod tym względem, posiadłości bowiem, nie przedstawiające wartości 1000 rubli i nie kwalifikujące się do otrzymania pożyczki w sumie 500 rubli, z kredytu Towarzystwa korzystać nie mogą.

Jako motyw tego ścieśnienia granic kredytu ziemskiego, przytacza się, że Towarzystwo nie uznaje za rzecz pożyteczną ułatwiać za-

pomocą kredytu zbytnie rozdrabnianie własności ziemskiej, a do określenia minimalnej wartości dóbr na 1000 rubli Towarzystwo doszło zapomocą następującego obliczenia. W kraju naszym samoistne gospodarstwo rolne, zdolne utrzymać rodzinę i dostarczyć członkom jej zajęcia, winno obejmować przynajmniej 15 morgów przestrzeni gruntu w średniej glebie. Przyjmując tedy zgodnie z zasadami taksacyjnemi przeciętną cenę tego gatunku ziemi na 54 ruble za mórg, dodawszy wartość budowli na 200 rubli, — cena 15 morgowej osady wyniesie 1010 rubli. Otóż Towarzystwo uważa, że do wytworzenia mniejszych gospodarstw rolnych, jako nie posiadających warunków samodzielnego i pomyślnego bytu ekonomicznego, ręki swej przykładać nie powinno i z tych to powodów podniosło minimum pożyczki do 500 rubli.

Zobaczmy teraz, o ile w tych warunkach włościanie z kredytu Towarzystwa korzystać są w stanie.

Wedle statystyki urzędowej, średni rozmiar własności włościańskiej wynosi w kraju naszym jak następuje:

w	gubernii	Kieleckiej	4,9	dziesięciny
„	„	Kaliskiej	5,5	„
„	„	Płockiej	6,2	„
„	„	Piotrkowskiej	6,4	„
„	„	Radomskiej	6,6	„
„	„	Warszawskiej	6,7	„
„	„	Łomżyńskiej	7,7	„
„	„	Lubelskiej	8,3	„
„	„	Siedleckiej	9,8	„
„	„	Suwalskiej	11,9	„

Wogóle w całym kraju, razem wziąwszy, wypada na jedno gospodarstwo włościańskie gruntu przecięciowo 7,2 dziesięciny, a zatem mniej, aniżeli 15 morgów, stanowiących 7,65 dziesięciny. Jeżeli przytem weźmiemy pod uwagę, że znaczna ilość działów rodzinnych dokonywa się pomiędzy włościanami bez przeprowadzenia formalności prawnych, że przeto osady, figurujące w wykazach urzędowych, jako włość, *de facto* są często rozdzielone, że nawet w wielu wypadkach podział osad urzędownie wykazany być nie może, a mianowicie w wypadkach, kiedy osada wbrew zakazowi prawa rozdzielona zostaje na części, nie dochodzące 6 morgów, co faktycznie, jak powszechnie o tem wiadomo, nierzadko miewa miejsce,—kiedy weźmiemy wszystko to pod uwagę, dojdziemy do wniosku, że średni

obszar własności włościańskiej musi być jeszcze mniejszy, aniżeli statystyka urzędowa wykazuje.

Jeżeliby tedy rzeczywiście tylko osady włościańskie, mające *minimum* 15 morgów rozległości, kwalifikowały się do kredytu długoterminowego, to nader mały procent włościan byłby w możności z kredytu tego korzystać, i cała ta sprawa straciłaby na swej doniosłości, i możnaby bez wielkiej dla stanu włościańskiego szkody przejść nad nią do porządku dziennego.

Zachodzi jednak pytanie, czy drobna własność ziemska, mniejsza od owego typowego 15 morgowego gospodarstwa, pozbawiona jest w istocie racyi bytu i na pomoc kredytową nie zasługuje?

W zasadzie takie tylko gospodarstwo włościańskie uważane być może za ekonomicznie zdrowe, które nie tylko jest w stanie wyżywić swego właściciela i jego rodzinę, ale nadto dostarcza dostateczne zatrudnienie rodzinie włościańskiej i zabiera całkowity jej czas. Jeżeli bowiem włościaninowi brak zajęcia przez kilka godzin w ciągu dnia, przez kilka dni w miesiącu, przez całe wreszcie tygodnie w porze zimowej, wówczas tak on, jak i całe społeczeństwo, nie tylko traci wartość, jakaby w czasie tego przymusowego próżniactwa wyprodukowana być mogła, ale nadto przynosi nieobliczone straty moralne. Ludność, żyjąca w takich warunkach, rozpróżniacza się, leniwieje, popada w nałogi, oddaje się pijaństwu, a kiedy nadchodzi pora do pracy, wykonywa ją niechętnie, źle i niedbale.

Z tych powodów wielu ekonomistów, zwłaszcza niemieckich, walczy przeciwko wytwarzaniu gospodarstw, sprzyjających takiemu rozpróżniaczaniu się ludu wiejskiego. Poglądy jednak ekonomistów niemieckich nie mogą być żywcem na nasz grunt przeszczepione. W Niemczech przeważa drobna własność ziemska, przy której każda rodzina posiada w swojem łonie dostateczną i nawet zbywającą siłę roboczą, i włościanin, nie znajdujący zajęcia we własnem gospodarstwie, nie może pracy swojej nigdzie indziej spożytkować. U nas wszakże, gdzie większa i średnia własność, potrzebująca robotnika i często nie znajdująca go, obejmuje tyleż prawie przestrzeni, co własność drobna, gdzie zatem małorolny obok dochodu z własnego gospodarstwa znaleźć może dodatkowy zarobek na sąsiednim folwarku, drobna własność, która z jednej strony dostarcza większym majątkom potrzebnego im robotnika, a z drugiej strony daje temuż robotnikowi punkt oparcia na własnym gruncie, nie może być uważana za instytucyę, wytwarzającą szkodliwy proletaryat rolny, nie zasługującą na poparcie ze strony instytucyi kredytowych.

We Francyi własność ziemska jest, wedle stosownego wyraże-

nia Francuzów, rozpylona (*poussières*), a pomimo to nadmierne nawet rozdrobnienie ziemi nie wydaje tam rezultatów ujemnych. Pochodzi to stąd, że właścicielem karłowatych tych posiadłości jest po większej części ludność robotnicza, przemysłowa, która oszczędności swoje obraca na kupno kawałka ziemi, a rzemiosła, praca po fabrykach, drobny handel stanowi, główne jej zajęcie, rolnictwo zaś zajęcie dodatkowe.

U nas stosunek jest odwrotny, praca na własnej ziemi stanowi zasadnicze, główne zajęcie małorolnego włościanina, a zarobki na sąsiednich większych gospodarstwach przynosi dochód dodatkowy poboczny.

Znajduje się jednak i u nas obfity materyał, dla którego tak samo, jak we Francyi, zajęcie na własnym skrawku ziemi może stać się dochodem dodatkowym, a praca najemnicza zajęciem głównem, materyałem tym jest ludność bezrolna. Ludność ta obliczona jest w kraju naszym na 900,000 głów, a obok tego słyszymy ciągłe skargi na brak robotnika do robót polnych. Skąd pochodzi ta anomalia? jak pogodzić zjawisko braku rąk roboczych obok blizko miliona ludności wiejskiej, pozbawionej ziemi i zmuszonej szukać zarobku w pracy rąk swoich? Dziwne to zjawisko znajduje wytłómaczenie w znanem powszechnie prawie ekonomicznem, że praca ludzka, tak samo, jak każdy inny towar, szuka pokupu tam, gdzie cena jest wyższa, a ponieważ w sąsiednich krajach cena pracy ludzkiej jest droższa, aniżeli u nas, przeto na każdą wiosnę odbywa się prawdziwa wędrówka narodów, rolnicza ludność robocza chmarami wędruje do wschodnich prowincyi Prus i dalej, gdzie znajduje lepszy, aniżeli w domu, zarobek. Otóż, gdyby ludność ta posiadała mały skrawek własnej ziemi, nie dochodzący bynajmniej do idealnych 15 morgów, gdyby ta ruchoma masa ludzi została unieruchomioną przez przywiązanie jej do kilku choćby morgów własnego gruntu, wówczas nizką płacę roboczą, jaką znajduje w sąsiednim folwarku, uzupełniłaby skromnym dochodem z własnego gospodarstwa, i ani właściciel sąsiedniego folwarku nie byłby pozbawiony rąk roboczych, ani robotnik wiejski nie byłby zmuszony szukać kawałka chleba poza górami i lasami, w krajach, które bynajmniej gościnnymi dla niego nie są i z barbarzyńską bezwzględnością go wyganiają, z chwilą, kiedy praca jego staje się im niepotrzebną.

Otóż, gdybyśmy posiadali liczną ludność małorolną, któraby tak samo, jak we Francyi, umiała łączyć zajęcia gospodarza na własnej roli z zajęciem najemnika w obcem gospodarstwie, ciągnąc dochody tak z jednego, jak i drugiego źródła, wówczas tak samo, jak

we Francyi, nie słyszelibyśmy utyskiwań na złe skutki rozdrabniania ziemi i nie mielibyśmy powodu odmawiać rolnikowi, nie posiadającemu przynajmniej 15 morgów gruntu, prawa do pomocy kredytowej.

Niezależnie od przytoczonych powyżej motywów natury agrarnej, istnieją jeszcze inne powody, natury finansowej i technicznej, którymi Towarzystwo Kredytowe Ziemskie usprawiedliwia podwyższenie minimum pożyczek z 100 na 500 rubli, a mianowicie koszty skomplikowanej procedury udzielania pożyczek przez Towarzystwo i hipotecznego ich zabezpieczenia, któreto koszty przy znacznej pożyczce rozkładając się na większą sumę, stanowią nieznaczny jakiś jej odsetek, przy drobnej zaś pożyczce, ciążąc całem brzemieniem na małej sumie, nie tylko czynią pożyczkę niepomiernie drogą, ale często znaczną jej część w zupełności pochłaniają.

Wedle dawniejszych ustaw Towarzystwa, które dozwalaly udzielać pożyczki na podstawie szacunku, wyprowadzonego z podatku gruntowego, koszty nie były tak znaczne, jak dzisiaj, kiedy każdą pożyczkę wyprzedzać musi szczegółowa taksa. Obecnie koszty przy zaciągnięciu najdrobniejszej chociażby pożyczki wynoszą najmniej 80 rubli, co przy pożyczce 500 rublowej wynosi już 16%, dla mniejszych pożyczek stosunek ten jest jeszcze gorszy; ciężar uciążliwy, kredyt, w takich warunkach udzielany, przestaje być dobrodziejstwem, nie dziw przeto, że władze Towarzystwa Kredytowego cofnęły się przed udzielaniem tak uciążliwych pożyczek.

Towarzystwo Kredytowe, uznając, jak widzieliśmy, za niemożliwe zastosowanie swoich przepisów do potrzeb kredytowych osad, nie obejmujących przynajmniej 15 morgów rozległości, nie stanęło jednak w zasadniczej opozycyi przeciwko drobnemu kredytowi ziemskiemu, nie mogącemu pomieścić się w ramach jego ustawy; przeciwnie, oświadczyło się jak najwyraźniej za tymże kredytem, i to nie platonicznie, ale czynnie, wygotowawszy w r. 1870 projekt udzielania pożyczek na hipoteki okręgowe i osady włościańskie, z procedurą, wielce uproszczoną, mało kosztowną i do potrzeb drobnego kredytu umiejętnie zastosowaną.

Projekt ten, który następnie szczegółowo przedstawię, nie zyskał zatwierdzenia władzy, głównie z powodu nieprzychylnej opinii ówczesnego prezesa dyrekcyi głównej, jenerała Giecewicza, który był zdania, że, ponieważ włościanie długów zaciągać nie mogą, przeto nie należy ich z tego szczęśliwego położenia wyprowadzać, że, zamiast zachęcać włościan przez zakładanie dla nich instytucyi kredytowych, aby własność swoją długami hipotecznymi obciążali, nale-

żałoby raczej powściągać ich ku temu skłonność, gdyby ona objawiać się zaczęła.

Szlachetna dążność niewyganiania włościanina z nie znającego długów raju i niedania mu do skosztowania gorzkiego jabłka kredytowego godną jest ze wszech miar uznania; ale nie tylko chłop, lecz i każdy szlachcic chętnieby w kraju tym pozostał, gdyby tak jego, jak i włościanina, nieubłagana konieczność z niego nie wygnała.

Wogóle kredyt jest urządzeniem ekonomicznem, bez którego ludzkość na pewnym stopniu rozwoju kulturalnego obejść się nie może. Nie odbiegam bynajmniej od przypuszczenia, że ludzie, nie znający mydła ani banków, są może w swojej naiwności szczęśliwsi od tych, którzy codziennie się myją i korzystają z pożyczek amortyzacyjnych, z tem wszystkiem ludzkość chcąc nie chcąc ulega prawom rozwoju i postępu, które pociągają za sobą coraz większą konsumcyę mydła i coraz rozleglejsze zastosowanie instytucyi kredytowych. W szczególności zaś kredyt ziemski, to jest odbłużanie ziemi, nie jest we wszystkich swoich objawach aktem dobrej woli rolnika, ale poniekąd wynikiem siły żywiołowej, mającej źródło swoje z jednej strony w mnożeniu się ludności rolnej, a z drugiej w prawach i zwyczajach spadkobrania.

W chwili zawiązania Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego łudzono się nadzieją, że przy pomocy pożyczek amortyzacyjnych oczyszczą się dobra z wszelkich długów i że po umorzeniu listów zastawnych hipoteki pozostaną czyste, jak łza. Z tego też powodu Towarzystwo Kredytowe Ziemskie zawiązane zostało pierwiastkowo tylko na lat 28 w przewidywaniu, że po upływie tego okresu długi hipoteczne na dobrach istnieć przestaną, i Towarzystwo utraci swoją racyę bytu, a gdy w trakcie dyskusyi nad ustawą Towarzystwa ktoś zaproponował, ażeby oznaczyć termin umorzenia pożyczek dłuższy, niż na lat 28, odpowiedziano mu, że przy dłuższym terminie amortyzacyjnym dłużnik, którego Towarzystwo zastało w dojrzałym wieku, nie zdążyłby za życia pożyczki umorzyć i nie doczekałby się pociechy przekazania dzieciom oczyszczonego z długu majątku. Tak samo w chwili powstania we Francyi *Crédit foncier* ówczesny minister rolnictwa w raporcie do cesarza Napoleona III wyraża się: można już dziś przewidzieć dzień, w którym ziemia francuska zwolniona zostanie od długu hipotecznego, przekazanego jej przez długie wieki.

Tymczasem u nas upłynęło już $^3/_4$, a w Francyi $^1/_2$ wieku

a długi hipoteczne ani u nas, ani we Francyi nie tylko nie znikły z dóbr ziemskich, ale przeciwnie, niepomiernie wzrosły.

Z tego wzrostu długu hipotecznego zamiast jego zaniku niektórzy wyprowadzają nader niekorzystne wnioski dla obywateli ziemskich. Wzrost długu hipotecznego przypisują mianowicie marnotrawstwu, życiu nad stan i nieumiejętności gospodarowania. O ile jednak wnioski te są nieuzasadnione, łatwo się przekonać, przyjrzawszy się bliżej najpowszechniejszemu procesowi zadłużania dóbr ziemskich.

Weźmy za przykład obywatela ziemskiego, który chlubnie ukończył wyższy zakład agronomiczny, teorye, z akademii wyniesione, umie jak najtrafniej w praktyce stosować, a przytem jest pracowity, rządny i oszczędny. Dzięki swej nauce i osobistym przymiotom zdołał oczyścić odziedziczony majątek ze wszystkich długów, hipoteka jest czysta, a gospodarstwo kwitnące. Nadchodzi jednak śmierć, i wzorowy ten obywatel pozostawia średnią pod względem liczebnym rodzinę, złożoną z czworga dzieci. Co wówczas staje się z majątkiem? W kraju naszym, nie znającym majoratów ani substytucyi, a rządzonym przez demokratyczny kodeks francuski, majątek musi uledz rozdziałowi na 4 części. Gdyby majątek składał się z gotowizny, nie byłoby nic łatwiejszego, jak rozdzielić go na 4 kupki, z których każdy z sukcesorów zabiera sobie jedną, ale dobra ziemskie, stanowiące dobrze uorganizowane gospodartwo rolne, z odpowiednią do potrzeb ilością pól ornych, łąk, zabudowań i inwentarzy, nie dają się pokrajać, jak płachta, na cztery części. Majątek taki musi po większej części przejść w niezmienionej formie na rzecz jednego z sukcesorów, który spłaca pozostałych, a ponieważ gotowizny nie ma, przeto nowy dziedzic zaciąga względem swego rodzeństwa dług w wysokości $^3/_4$ wartości majątku. I oto powstał znaczny dług, nie będący wynikiem ani życia nad stan, ani złego gospodarowania, ani nawet melioracyi lub klęsk elementarnych. Nowy dziedzic, który jest nieodrodnym synem swego ojca, wstępuje w jego ślady, zabiera się z całą energią do pracy, w ciągu pracowitego i oszczędnego swego żywota spłaca dług, zaciągnięty u rodzeństwa i hipotekę dóbr oczyszcza, ale i on nie jest wieczny, śmierć i jego zabiera, a wówczas oczyszczony jego majątek nanowo obdłużony zostaje na korzyść sukcesorów, i w ten sposób powstaje *perpetuum mobile*, maszyna, która niezależnie od wszelkich wypadków, jakim podlega życie i majątek człowieka, z konieczności w każdej nowej generacyi obciąża dobra ziemskie nowym, i to nader znacznym długiem.

Kapitały zatem, które tak ciężkiem brzemieniem ciążą na hipotekach dóbr ziemskich, nie zostały przez ich właścicieli zmarnowane, ale wyciągnięte zostały z dóbr przez rodzeństwo właścicieli, które, opuszczając domową zagrodę, zabiera z sobą przeważającą część wartości odziedziczonych dóbr i groszem, z domu wyniesionym, szuka dla siebie egzystencyi na szerokim świecie. Bez przesady twierdzić można, iż wielka ilość domów po miastach i zakładów fabrycznych wzrosła i wzrasta z soków, w powyższy sposób z ziemi wyciągniętych.

W ten sam sposób odbywa się proces obdłużania ziemi włościańskiej. Po śmierci właściciela osady, pozostawiającego mniej lub więcej dzieci, nasuwają się dwie ewentualności: albo podzielić pomiędzy sukcesorami osadę w naturze, albo przekazać ją jednemu z nich, włożywszy na niego obowiązek wypłacenia rodzeństwu przynależnych mu sched. Podział osad w naturze możliwy jest do pewnej tylko granicy, dla osad uwłaszczonych prawo granicę tę zakreśla do 6 morgów. Pozostaje przeto tylko druga ewentualność, a mianowicie zatrzymanie osady przez jednego z sukcesorów ze spłatą pozostałych, a ponieważ nowy właściciel nie posiada potrzebnych do tego funduszów, przeto, nie bacząc na wszelkie usiłowania opiekunów, którzy pragnęliby uchronić go od klęski robienia długów, musi z konieczności dług zaciągnąć i ziemię obciążyć.

Stanąć w drodze tej konieczności znaczy to samo, co popychać ludność wiejską do nieskończonego dzielenia gruntów w naturze; odmawianie drobnej własności kredytu w widokach tamowania przez to zbytniego jej rozdrabniania osiąga cel wprost przeciwny zamierzonemu.

Kredyt ma bez wątpienia swoje dodatnie i ujemne strony. Dotychczas, ilekroć szło o kredyt dla większej własności ziemskiej, przeważał pogląd optymistyczny: upatrywano w nim tylko dobre strony, ilekroć zaś szło o kredyt dla drobnej własności brał górę pogląd pesymistyczny: widziano w nim tylko złe strony. Unikać wszakże należy wszelkich ostateczności. Kredyt, w miarę używany, jest użyteczny tak dla większego właściciela, jak i dla włościanina, kredyt nadużywany jest zgubny tak dla jednego, jak i dla drugiego.

III.

Uzasadniwszy potrzebę długoterminowego kredytu włościańskiego, zastanowić się z kolei należy nad jego organizacyą; pod tym

względem nic lepszego według mnie uczynić nie można, jak korzystać z projektu, wypracowanego przez władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, najkompetentniejszego bez wątpienia znawcę tak spraw kredytu długoterminowego, jak i potrzeb pod tym względem ludu wiejskiego.

Główne zasady projektu tego, wypracowanego jeszcze w roku 1870, są następujące.

Z kredytu instytucyi korzystają drobne posiadłości ziemskie, nie wyłączając osad włościańskich, tak tych, które podpadają pod ukaz o uwłaszczeniu, jako i wszelkich pozostałych.

Maximum pożyczki stanowi suma 1500 rubli; posiadłości ziemskie, kwalifikujące się do otrzymania wyższej pożyczki, winny mieć urządzoną hipotekę gubernialną i korzystają z pożyczek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na ogólnych zasadach.

Jądrem instytucyi pożyczek na hipoteki okręgowe jest gmina. Pożyczka wówczas dopiero może być udzieloną, jeżeli w gminie utworzy się stowarzyszenie, złożone przynajmniej z 30 właścicieli osad, z których każda ma urządzoną hipotekę okręgową i płaci nie mniej, jak 4 ruble podatku gruntowego.

Stowarzyszenie to przyjmuje na siebie w $^1/_{10}$ części odpowiedzialność udziałową za wszystkie pożyczki, udzielone członkom stowarzyszenia gminnego, a z drugiej strony korzysta z prawa wybierania z własnego grona 5 kuratorów, którzy pod przewodnictwem wójta gminy są przedstawicielami stowarzyszenia, decydują o przyjmowaniu do niego nowych członków, sprawdzają stan osady, na którą pożyczka ma być udzieloną, oceniają jej wartość, ustanawiają wysokość pożyczki i wogóle czuwają nad dobrem i bezpieczeństwem interesów tak stowarzyszenia gminnego, jak i całej instytucyi.

To przeniesienie punktu ciężkości instytucyi do gminy ma wielką doniosłość ekonomicznę i społeczną, przedewszystkiem otwiera przed gminą szerszy widnokrąg, powołuje członków jej do czynnego udziału w sprawach ogólnych i wytwarza pomiędzy nimi poczucie solidarności i wzajemnej pomocy. W granicach gminy stowarzyszeni, znając się nawzajem dokładnie, najlepiej wiedzą, kto z nich i w jakich granicach na kredyt zasługuje, jaki z pożyczki czyni użytek, a włożony na nich obowiązek odpowiadania w $^1/_{10}$ części za wszystkie pożyczki, w gminie udzielone, jest ochroną przed faworyzowaniem miejscowych interesów, przed wyświadczaniem sąsiedzkich usług ze szkodą dla całości instytucyi.

Za pozostałe $^9/_{10}$ części ciąży odpowiedzialność wspólna na

wszystkich osadach, korzystających z pożyczek, udzielonych na hipoteki okręgowe.

Pragnący przystąpić do stowarzyszenia gminnego powinien przedewszystkiem założyć dla swojej osady hipoteczną księgę okręgową z dokładnem określeniem w niej granic i przestrzeni na zasadzie planu geometry i rejestru pomiarowego.

Celem uniknienia kosztów taksacyi pożyczka udziela się nie na zasadzie szczegółowego szacowania, ale w stosunku płaconego podatku. Główny tedy podatek gruntowy z doliczeniem do niego 50%, pomnożony przez 5, uważa się za czysty dochód osady, ten znowu pomnożony przez 16, czyli innemi słowy podatek gruntowy, pomnożony przez 80, wyobraża normalny szacunek osady. Jest to więc ta sama zasada szacowania ziemi, jaka na mocy prawa z r. 1869 przyjęta była dla dóbr, stowarzyszonych w Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem. W stosunku do ustanowionego w powyższy sposób normalnego szacunku pożyczki udzielają się w następującej wysokości:

a) osada z zabudowaniami, odpowiadającemi potrzebom gospodarstwa, jeżeli ma ustalone granice i nie jest przedzielona obcą własnością, może otrzymać pożyczkę do połowy normalnego szacunku;

b) osada z takiemiż zabudowaniami, mająca ustalone granice, ale przedzielona obcą własnością może otrzymać pożyczkę tylko do $^1/_4$ części normalnego szacunku.

Niezabudowane pustkowia, tudzież osady, na których nie jest prowadzone żadne gospodarstwo wiejskie, chociażby na nich znajdowały się zabudowania, nie mogą wcale korzystać z pożyczek; tak samo niedostępny jest kredyt instytucyi dla osad, nie zawierających sześciu morgów rozległości.

Najniższa pożyczka oznacza się na rubli 100. Jeżeli na zasadzie normalnego szacunku pożyczka może być udzieloną wyżej 100 rubli, lecz niżej 200, to pożyczka udziela się tylko w sumie 100 rubli, a po upływie lat trzech, jeżeli przez ten czas raty regularnie były opłacane, może być udzielona nowa pożyczka w sumie 100 rubli, a po upływie lat trzech, jeżeli przez ten czas raty regularnie były opłacane, może być udzielona nowa pożyczka w sumie 100 rubli; wyższe pożyczki, poczynając od 250, mogą być wydawane po 300, 350, 400, 450 rubli i tak dalej z pominięciem zawsze niepełnych 50 rubli.

Ze względu na nader nizki stopień zamożności klienteli, korzystać mającej z pożyczek na hipoteki okręgowe, projekt przepisuje wyjątkowe środki zabezpieczenia udzielanego kredytu. Widzieliśmy już wyżej, iż niezależnie od ogólnej odpowiedzialności wszyst-

kich dłużników uczestnicy stowarzyszenia gminnego odpowiadają w $^1/_{10}$ części za pożyczki, udzielone w obrębie gminy, a oprócz tego do stowarzyszenia gminnego, a zatem do otrzymania pożyczki ten tylko może być dopuszczony, kto złożył w gotowiznie sumę, potrzebną na pokrycie kosztów hipotecznego zabezpieczenia pożyczki tudzież na wytworzenie funduszów rezerwowego i zapasowego.

Wreszcie sama procedura hipotecznego zabezpieczenia udzielonej pożyczki uzbrojona jest w cały arsenał nieznanych dotychczas środków ostrożności.

Z uwagi, że hipoteka okręgowa umieszcza się przy sądach pokoju w lichych po większej części domach, rozrzuconych po małych miastach prowincyonalnych, nie jest dostatecznie zabezpieczona od pożaru, kradzieży i innych niebezpieczeństw, przeto projekt nie poprzestaje na tej hipotece, ale żąda ustanowienia dodatkowych jeszcze ksiąg hipotecznych przy sądach okręgowych. Ostatnie te księgi nie mają służyć dla pojedyńczych osad, ale dla całej gminy. Sposób zaś zahipotekowania pożyczki w dwu tych księgach, jednej dla osady, drugiej dla gminy, ma się odbywać w sposób następujący.

W hipotece okręgowej osady zapisuje się na pierwszym numerze działu IV kaucya na zabezpieczenie opłat, które należeć się będą z tytułu pożyczki w wysokości 75 razy pomnożonego głównego podatku gruntowego.

Po przyznaniu pożyczki przesyła się odpowiednią ilość listów zastawnych sądowi pokoju do wypłaty i sporządzenia w okręgowej księdze hipotecznej aktu pokwitowania ze strony zaciągającego pożyczkę.

Po dokonanej wypłacie pożyczki następuje na mocy aktu wypłaty, sporządzonego w sądzie pokoju, zabezpieczenie wydanych listów zastawnych w księdze hipotecznej, znajdującej się w wydziale hipotecznym sądu okręgowego. W księdze tej, służącej dla całej gminy, każda oddzielna osada ma dwie swoje stronnice; na jednej z nich znajduje się kopia kaucyi, figurującej w dziale IV księgi okręgowej właściwej osady, na drugiej czyni się wzmianka o cyfrze pożyczki, wypłaconej w listach zastawnych i na kaucyi tej zahipotekowanej.

Nakoniec niezależnie od powyższego ujawnienia pożyczki włościańskiej w dwu księgach hipotecznych projekt przepisuje jeszcze jeden sposób publikacyi, przypominający formą swoją hipotekę grecką, matkę wszystkich późniejszych urządzeń hipotecznych.

A mianowicie przed udzieleniem pożyczki ogłasza się na miejscu w obecności wójta gminy i dwu sąsiadów, że na daną osadę udzieloną zostaje pożyczka w takiej a takiej sumie, od której przez tyle a tyle lat należy opłacać półroczne raty w takiej a takiej wysokości, a nadto na głównym budynku osady umieszcza się tablica blaszana z napisem o ciążącej na osadzie pożyczce.

Wszystkie te środki zdawały się jeszcze niedostatecznymi dla zabezpieczenia praw wierzycieli, i dlatego projekt nakazuje jeszcze wytworzenie silnych funduszów rezerwowych i zapasowych, które powstać mają z następujących źródeł:

Na wytworzenie funduszu rezerwowego każdy przystępujący do stowarzyszenia gminnego złożyć powinien z góry dwie raty, czyli 6% zaciągnąć się mającej przez niego pożyczki; bez tego do stowarzyszenia przyjętym być nie może.

Fundusz ten rezerwowy zabezpiecza następujące wypłaty:

a) raty, przynależne od pożyczki, wydanej osadzie;

b) należności, przypadać mogące z tytułu poręczenia, danego w $^1/_{10}$ części za wszystkie osady w gminie;

c) należności, przypadać mogące z tytułu poręczenia, danego w $^9/_{10}$ częściach za wszystkie osady włościańskie w kraju, korzystający z kredytu instytucyi, o ile kapitał zapasowy okaże się niewystarczającym na pokrycie wynikłych z tego tytułu strat.

Fundusz rezerwowy stanowi własność osady, która go złożyła, i przechodzi na nowonabywcę razem z tytułem nabycia osady, po umorzeniu pożyczki zwraca się właścicielowi osady wraz z narosłym procentem, rozumie się o ile przez straty, na których pokrycie jest przeznaczony, wyczerpany nie został.

Na wytworzenie znowu funduszu zapasowego każdy przystępujący do stowarzyszenia gminnego winien złożyć 1% żądanej pożyczki, do której to sumy przyrastają wpływy z kar i innych źródeł.

Fundusz ten nie stanowi już własności osady, której nigdy zwróconym nie zostaje, ale staje się ogólną własnością instytucyi i przeznaczony jest na pokrycie $^9/_{10}$ części strat, jakie mogą być poniesione na pożyczkach, udzielonych na ogół hipotek okręgowych.

Zaległości w opłacie rat od zaciągniętych pożyczek pociąga za sobą obowiązek płacenia jednorazowej kary w stosunku 1% od sumy ratowej, a nadto procentu w stosunku $^1/_2$% miesięcznie od daty uchybienia do czasu zapłaty.

Jeżeli po upływie trzech miesięcy zaległość nie zostaje zaspokojona, to wójt gminy przy współudziale kuratorów stowarzyszenia gminnego stosuje następujące środki egzekucyjne:

1) naprzód sprzedaje się zapas zboża, z wyłączeniem ilości, koniecznej do zasiewów i wyżywienia rodziny do czasu przyszłego zboża, tudzież inwentarz żywy z wyłączeniem roboczego;

2) jeżeli to nie wystarcza na zaspokojenie zaległości, wystawia się na sprzedaż w kancelaryi wójta gminy majątek nieruchomy z zastosowaniem przepisów procedury, nader uproszczonej.

Takie są w ogólnych zarysach zasady projektu, wypracowanego przez władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Projekt ten w zasadniczych swych punktach odpowiada w zupełności swemu celowi, i wprowadzenie go w wykonanie byłoby ze wszech miar pożądane.

IV.

Z porządku rzeczy wprowadzenie w wykonanie powyższego projektu należy się jego inicyatorom i autorom, to jest władzom Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Wieloletnie doświadczenie Towarzystwa na polu kredytu ziemskiego, płodna jego w tej dziedzinie działalność, umysłowe i materyalne jego zasoby, zaufanie, jakiem się cieszy w świecie finansowym, wysoki kurs jego listów zastawnych, przychylność dla ludu wiejskiego, czego wymownym dowodem jest wypracowanie powyższego projektu, są to niewątpliwie ważne powody, przemawiające za połączeniem instytucyi drobnego kredytu włościańskiego z Towarzystwem, które od $^3/_4$ wieku zaspakaja wybornie potrzeby kredytowe własności większej.

Z drugiej wszakże strony kredyt włościański będzie zawsze tylko dodatkowem, podrzędnem zadaniem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, założonego i funkcyonującego w innym zupełnie celu i z innem zadaniem, zachodzi przeto obawa, żeby kredyt włościański nie był piątem kołem u wozu Towarzystwa, tamującem z jednej strony swobodne ruchy instytucyi w kierunku dotychczasowej jej działalności i nie posuwającem z drugiej strony nowej sprawy z tą chyżością, jakiej dawno zaległe pole wymaga. Przytem z wieloletniego doświadczenia wiadomo, że oddanie interesów stanu

włościańskiego pod opiekę przedstawicieli większej własności ziemskiej nie leży w zamiarach rządu, projekt zatem instytucyi długoterminowego kredytu włościańskiego z taką organizacyą zarządu, jaka jest przez władze Towarzystwa proponowana, nie może liczyć na prędkie urzeczywistnienie.

Nierównie prędzej do celu się dojdzie, jeżeli dla długoterminowego kredytu włościańskiego zaprojektowana będzie oddzielna instytucya, nie mająca żadnej łączności z Towarzystwem Kredytowem Ziemskiem.

Tu wszakże na samym wstępie napotykamy bardzo poważne trudności. Wiadomo, że większej własności dostarczają kredytu ziemskiego dwojakiego rodzaju instytucye: jedne, oparte na wzajemności, drugie—na zasadzie akcyjnej; tymczasem do potrzeb kredytu włościańskiego ani jedne, ani drugie zastosować się nie dają.

Towarzystwa kredytowe ziemskie, na wzajemności oparte, założone pierwiastkowo w Prusiech wyłącznie dla dóbr rycerskich, utraciły wprawdzie z biegiem czasu swój charakter szlachecki, i nawet ludność miejska przyswoiła sobie ich zasady i organizacyę, zakładając podobnego rodzaju instytucye dla zaspakajania potrzeb kredytowych nieruchomości miejskich, ludności wszakże wiejskiej do naśladownictwa pobudzać nie zdołały, siły bowiem tak intelektualne, jak i materyalne stanu włościańskiego nie dorosły do dźwignięcia na własnych barkach instytucyi, która dla kredytu swego potrzebuje większych zasobów materyalnych, a do zarządu wyższego stopnia wykształcenia, aniżeli je posiada włościanin nawet w krajach bogatych i wysoko ucywilizowanych.

Zdawałoby się, że forma towarzystw akcyjnych, w których potrzebującemu kredytu właścicielowi nieruchomości przychodzi w pomoc kapitał i inteligencya przedsiębiorcy-akcyonaryusza, łatwiejby do kredytu włościańskiego się nadała, ale nie widzimy, aby kapitał w tę stronę się garnął, nie przewiduje on tu widać korzystnego dla siebie pola eksploatacyi. Był czas, kiedy banki hipoteczne powstawały w ilości, przewyższającej ich potrzebę, prowadziły ze sobą szaloną konkurencyę, ze świecami szukały przedmiotu, nadającego się do zastawu, a pomimo to w zakres swoich czynności gruntów włościańskich nie wciągnęły. Były w tym kierunku czynione pewne nieudatne próby, jak np. galicyjski zakład kredytu włościańskiego, króry jednak runął, zasypując gruzami swymi tak akcyonaryuszów, jak i zadłużonych w nim włościan.

Przy tych trudnościach państwo widziało się w konieczności

ujęcia w swoje ręce sprawy kredytu włościańskiego. Naprzód tedy w Rosyi wytworzony został Państwowy włościański bank ziemski, a następnie w Prusiech również państwowe banki rentowe.

Działalność jednak tych instytucyi nie wyczerpuje całego obszaru kredytu włościańskiego, ogranicza się ona dotychczas na dostarczaniu ludowi wiejskiemu funduszów wyłącznie tylko na kupno ziemi, istnieje przeto dla inicyatywy prywatnej szerokie jeszcze pole, którego bez uprawy pozostawić nie można.

Nie widząc możności utworzenia instytucyi długoterminowego kredytu ziemskiego ani na zasadzie wzajemnej, ani akcyjnej, proponuję połączenie obu tych zasad, wyciągnięcie tak z jednej, jak i z drugiej stron dodatnich z pominięciem ujemnych i powołanie do życia instytucyi akcyjno-wzajemnej, której wzory już gdzie indziej znajdujemy.

Każde towarzystwo, na wzajemności oparte, ma tę słabą stronę, iż rozpoczyna działalność bez kapitału, przez co nie może budzić zaufania, koniecznego dla kredytu, i przy najmniejszem nieporozumieniu, które towarzyszy każdemu niemal początkowi, narażone jest na wielkie niebezpieczeństwo. Im ekonomicznie słabsze są jednostki, wchodzące w skład towarzystwa, tem groźniejsze jest widmo klęski.

W powyższym projekcie Towarzystwa widzieliśmy, jak rozliczne przedsiębrane są środki celem zabezpieczenia bytu instytucyi, pozbawionej kapitału zakładowego. Pomiędzy innemi stawiane jest żądanie, ażeby biedny chłop, przychodzący po pożyczkę, zanim jeszcze grosz z instytucyi zobaczy, sam złożył na kapitał rezerwowy 6% żądanej pożyczki, a na kapitał zapasowy 1%. Wymagania te są zupełnie usprawiedliwione ze stanowiska wierzyciela, żądającego bezpieczeństwa dla wypożyczonego kapitału, ale nader uciążliwe, a nawet niewykonalne dla dłużnika, który w chwili, kiedy szuka pomocy kredytowej, nie posiada zwykle środków na tworzenie kapitałów rezerwowych i zapasowych.

Wedle mego zdania, kapitału gwarancyjnego szukać trzeba nie u biednego chłopa, który przychodzi do instytucyi nie poto, aby dać pieniądze, ale aby je dostać, kapitału tego szukać trzeba u kapitalistów.

Instytucya tedy kredytu włościańskiego powstać musi przy pomocy kapitału akcyjnego, który stanowić winien główny filar, na którym opiera się bezpieczeństwo instytucyi. Tu jednak budzą się poważne refleksye. Przewodnią myślą każdego towarzystwa akcyj-

nego jest zysk, dywidenda. W tem niema jednak nic złego, przeciwnie zysk umiarkowany jest dźwignią rozwoju i postępu ekonomicznego, złe tkwi tylko w tem, iż kapitalista często nie poprzestaje na zysku, ale ucieka się do wyzysku.

Lud wiejski mniej jest odporny na działalność lichwy, niż inne warstwy społeczne, dlatego też i instytucye kredytowe, dla włościan przeznaczone, muszą bardziej od innych być obwarowane rękojmiami, wykluczającemi możliwość wyzysku ze strony kapitału.

Jedną z takich rękojmi jest ograniczenie zaraz z góry, w ustawie towarzystwa, wysokości dywidendy, wypłacać się mającej akcyonaryuszom z operacyi instytucyi.

Środek ten zdaje się być mrzonką, bo jaki to akcyonaryusz zgodzi się na takie ograniczenie dywidendy? Kapitalista, który chce poprzestać na stałym, umiarkowanym procencie, lokuje swoje fundusze w listach zastawnych, rencie lub innych papierach procentowych, ten zaś, kto lokuje fundusze swoje w akcyach, w przedsiębiorstwach, połączonych z ryzykiem, jak z jednej strony musi być przygotowany na straty, tak z drugiej strony nie może być pozbawionym nadziei wysokich zysków.

Fakty jednak przekonywają, że zasada ograniczenia dywidendy akcyonaryuszów, wyszła już z krainy fantazyi i przeszła do rzeczywistości. Faktów tych nie trzeba szukać daleko, mamy je u siebie, w domu.

Gdy w kraju naszym powstała myśl szerzenia tak mało u nas rozpowszechnionej cnoty oszczędności i przezorności zapomocą instytucyi ubezpieczeń życiowych, wówczas nasunęły się te same trudności, które obecnie napotykamy w dziedzinie kredytu włościańskiego. Na wzajemności instytucyi ubezpieczeń życiowych oprzeć nie można było, w przewidywaniu, że przy braku kapitału zakładowego funkcyonować nie będzie w stanie, od towarzystwa znowu akcyjnego odstraszała obawa zbyt wielkich ofiar, jakie przyjdzie złożyć na ołtarzu kapitału.

Celem wyprowadzenia sprawy z błędnego tego koła pewna grupa kapitalistów krajowych powołała do życia towarzystwo ubezpieczeń „Przezorność" przy pomocy kapitału akcyjnego, przyczem sami założyciele ograniczyli wysokość dywidendy do 6% od kapitału akcyjnego; przewidywana tam jest wprawdzie jeszcze i superdywidenda po wydzieleniu znacznych części zysków na kapitały zasobowe i amortyzacyjne, na dywidendę dla ubezpieczonych i t. d., ale ta ewentualność wypłacenia superdywidendy jest

tak daleka, że jej wcale w rachubę brać nie można, a w każdym razie w bardzo małym stopniu przyczynić się może do powiększenia zysków akcyonaryuszów.

Otóż, jeżeli znaleźli się kapitaliści, którzy nie wahali się włożyć kapitałów w przedsiębiorstwo ubezpieczeń życiowych, poprzestając na umiarkowanym zysku w formie ograniczonej dywidendy, to ani na chwilę wątpić nie należy, że znajdą się kapitaliści, którzy w ten sam sposób przyjdą z pomocą tak doniosłej i ważnej nie tylko dla wielomilionowej ludności włościańskiej, ale i dla całego wogóle kraju sprawie kredytu włościańskiego.

Jeżeli tedy z jednej strony instytucya powstanie przy pomocy kapitału akcyjnego, a z drugiej strony każdy właściciel osady, otrzymujący pożyczkę, odpowiadać będzie wspólnie za zobowiązania, zaciągnięte przez wszystkich, korzystających z kredytu instytucyi, wówczas istnieć będzie to, co nazwaliśmy wyżej towarzystwem akcyjno-wzajemnem, instytucyą mieszaną, łączącą w sobie zasady towarzystw tak akcyjnych, jak i wzajemnych.

Wzajemność nie może się ograniczyć na samej odpowiedzialności każdego dłużnika za zobowiązania wszystkich współdłużników; kto przyjmuje tak wielką odpowiedzialność, temu powinno być przyznane i prawo wglądania i kontrolowania czynności zarządu, a nawet czynnego wpływu na sprawy przedsiębiorstwa. Wedle powyżej przedstawionego projektu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego pożyczek na hipoteki okręgowe stowarzyszeniu gminnemu przyznane jest prawo przyjmowania nowych uczestników, szacowania osad i ustanowienia wysokości pożyczek. Jest to już ważny wpływ na sprawy instytucyi, na tem jednak poprzestać nie można; stowarzyszeniu gminnemu powinno nadto przysługiwać prawo wysyłania swego delegata na ogólne zebrania z prawem głosu.

Z biegiem czasu żywioł akcyjny coraz bardziej w instytucyi słabnąć będzie, a natomiast wzmacniać się będzie żywioł wzajemności, część bowiem corocznych zysków przeznaczać się będzie z jednej strony na wytworzenie silnego kapitału zapasowego, a z drugiej strony na amortyzacyę akcyi, po zupełnem wykupieniu których towarzystwo stanie się kompletnie wzajemnem, bez żadnej domieszki akcyonaryuszów. Przez ten czas i delegaci stowarzyszeń gminnych, biorąc udział naprzód w zebraniach ogólnych, a następnie w zasadzie zapoznają się z machiną administracyjną instytucyi i po zamortyzowaniu całego kapitału akcyjnego będą już dostatecznie przygotowani do

dźwigania na własnych barkach całego ciężaru administracyi. Instytucya posiadać już wówczas będzie nie tylko zasób sił materyalnych w kapitale zapasowym, ale i zasób sił intelektualnych we własnych członkach.

Proponowane przeze mnie połączenie zasad towarzystw akcyjnych i wzajemnych nie jest nowością; w dziedzinie kredytu ziemskiego; znajdujemy dla niego precedens w St.-Petersburskiem Towarzystwie Wzajemnego Kredytu Ziemskiego. Towarzystwo to, jak nazwa jego wskazuje, było na wzajemności oparte, do życia jednak powołane zostało przy pomocy kapitału akcyjnego w sumie miliona rubli, kapitał ten miał być stopniowo umorzony częścią zysków, osiągniętych z operacyi, poczem instytucya miała stać się czysto wzajemną; do tego jednak nie doszło wskutek nieszczęśliwych operacyi Towarzystwa z metalicznymi listami zastawnymi i przekształcenia następnie Towarzystwa w oddział Szlacheckiego Banku Ziemskiego.

Organizacya wszakże tego Towarzystwa może poniekąd posłużyć za wzór dla proponowanej instytucyi kredytu włościańskiego.

Ze względu na mieszany charakter towarzystwa do składu zarządu nie wchodzili wyłącznie ani sami akcyonaryusze, jak to ma miejsce w towarzystwach akcyjnych, ani sami właściciele obdłużonych nieruchomości, jak to ma miejsce w towarzystwach wzajemnych, ale w zasadzie mogli wchodzić tak jedni, jak i drudzy, a w ogólnych zebraniach uczestniczyli z prawem głosu tak jedni, jak i drudzy. Tak w zasadzie, jak i na ogólnych zebraniach, uczestniczyli nadto jeszcze i główni dostarczyciele funduszów, to jest właściciele listów zastawnych.

Stosunek rozlicznych tych żywiołów był następujący. Na ogólnem zebraniu posiadał jeden głos:

1) każdy kłaściciel 100 akcyi, to jest 10,000 rubli kapitału zakładowego,

2) każdy właściciel listów zastawnych towarzystwa na sumę 30,000 rubli,

3) każdy właściciel nieruchomości, korzystający z pożyczki towarzystwa w sumie 10,000 rubli.

Prawo wyboru dawało jednocześnie i prawo wybieralności do zarządu, każdy zatem z właścicieli 100 akcyi, 30,000 rubli

listów zastawnych, lub nieruchomości, obciążonej 10,000 rub. pożyczki towarzystwa, mógł być wybrany na członka zarządu.

Taki jest szkic proponowanej przeze mnie instytucyi długoterminowego kredytu włyściańskiego. Ulegnie on bez wątpienia w szczegółach, a nawet w całości, radykalnym zmianom, ale w każdym razie służyć może za punkt wyjścia dla dyskusyi nad przedmiotem, który wejść powinien na porządek dzienny najważniejszych spraw krajowych i z krainy rozpraw najprędzej przejść do urzeczywistnienia.

J. Kirszrot-Prawnicki.

Z najnowszych powieści.

II.

St. Przybyszewski: *Homo sapiens, Na tym padole płaczu.* — E. Orzeszkowa: *Chwile.* — W. Gomulicki: *Biała.* — M. Rodziewiczówna: *Błękitni.* — A. Krechowiecki: *Fiat lux!* — A. Gruszecki: *Na wyścigach.* — H. St. Pytliński: *Koledzy.* — Wł. Zdora: *Fuimus!* — C. Walewska: *Bez duszy.* — Bohowityn: *Słoneczniki.* — A. Suszczyńska: *Przekonana.* — K. Rojan: *Mara.* — A. W. Jednota: *Ideały ziemiańskie.* — Paź: *Obrazki.* — T. Brog: *Przystąpił.* — M. hr. Piniński: *Szkice z życia wiejskiego.* — K. Witte: *Szkice z pamięci.* — J. Orwicz: *Okruchy życia.* — Fr. Rawita-Gawroński: *Złudzenia.* — M. Mutermilch: *Ironia.* — J. Baudouin de Courtenay: *Nowele.* — Opisy podróży: St. Poraj-Sucheckiego, dr. Karwowskiego, T. Trzcińskiego.

Stanowczo najpopularniejszym obecnie człowiekiem w Warszawie jest Przybyszewski!

Stwierdziły to tajemnicze poszepty, krążące od kilku miesięcy po naszym grodzie, że mistrz naszych modernistów w jego murach przebywa, że będzie miał odczyt — dwa odczyty; stwierdziły to (że się stylem reporterskim wyrażę) urocze Warszawianki, które napełniły po brzegi salę odczytową, podczas gdy z katedry rozlegały się gromy potępienia na „literaturę"; stwierdziły to wreszcie dzienniki warszawskie opisujące drobiazgowo i z lubością kolor włosów i oczu,

chód, głos, sposób ocierania czoła chustką, popijania wody sodowej autora „De profundis", nie mówiąc już o roju plotek, krążących, jak stado kruków, nad świeżym grobem jego żony.

Dopóki Przybyszewski pisywał po niemiecku, mówiło się i słuchało o nim, jak o żelaznym wilku; mieliśmy o nim takie wyobrażenie, jak poczciwy Rey o „kokodryłach latających" i innych cudach zamorskich. Od chwili jednak, kiedy zaczął pisać po polsku i przekładać swoje utwory niemieckie na język ojczysty, zaczynamy zapoznawać się z nim coraz bliżej, staje się coraz bardziej naszym. Możeby więc wypadało krytyce naszej wydać o nim sąd ostateczny, bezstronny i sprawiedliwy? Oto leżą przed nami dwa tomy trylogii „Homo sapiens": „Na rozstaju" i „Po drodze" oraz ozdobne wydanie utworu „Na tym padolu płaczu" z rysunkami Stanisława Wyspiańskiego — jakie pojęcie można sobie stworzyć o autorze na podstawie tych utworów?

Sądów rozlicznych, wydawanych na Przybyszewskiego przez ludzi różnego autoramentu, mieliśmy już bardzo wiele; ale bezstronności i sprawiedliwości bardzo mało. Niewielu zapewne znalazłoby się autorów, o których tyle czczych, banalnych słyszało się frazesów: bezmyślne zachwyty lub pobożne gromy oburzenia, a jedne i drugie płytkie, jak przekonania społeczne.... piętnastoletniej emancypantki. Hasła: „naga dusza", „nowa sztuka", „precz z mydlarzami!", „niech żyje bezpośredniość wrażeń", rozlegają się z jednej strony, a z drugiej podnoszą się syki: „konwulsyjne skurcze erotomanów", „czkawka pijacka", „sataniczne orgie szaleństwa i rozpusty", „taniec szkieletów, uwieńczonych różami" i t. d.

Zamiast czerpać z cuchnących studzien zwróćmy się do źródła. Co mówi o sobie i o swoich Przybyszewski, w co wierzy, czego żąda, do czego dąży?

Wierzy — w „nowe symbole... nowe słowa, nową barwę, nowy dźwięk". Dąży do uchwycenia takich stanów duszy, jakich nikt jeszcze nie wyraził, bo przed nim „nie było boleści, która stoi ponad boleścią, nie było rozkoszy, która zamienia się w boleść, nie było całego zasobu nowych pojęć, w których spływają się w jedno wszystkie zmysły... tak, tak, nie było jeszcze tych tysięcy wrażeń, które ledwie d w u, t r z e c h, najwyżej d z i e s i ę c i u współczesnych umie odczuć". A żąda — żądania jego są bardzo wysokie —: „chcę życia i jego straszliwych głębi, jego przepaścistych otchłani... Sztuka jest dla mnie najgłębszym instynktem życia, świętą drogą ku przyszłości życia, wiecznością życia, i dlatego żądam wielkich, ciężarnych myśli, które przygotowują nowy dobór płciowy, wytworzą no-

wy świat, nowe pojęcie świata...” W to wierzy, do tego dąży, tego żąda bohater „Homo sapiens”, Eryk Falk, a wraz z nim i sam autor.

„Wraz z nim”, mówimy, a mówimy nie dlatego, że w bohaterze chcemy widzieć twórcę, jego sobowtóra, bo to należy do kroniki skandalicznej, nie zaś do krytyki literackiej, lecz dlatego, że wszechwładny subjektywizm Przybyszewskiego nie pozwala nam oddzielić chemicznie duszy twórcy od duszy tworu; on najczęściej przemawia w pierwszej osobie i potrafi tak wcielić się w postać zmyśloną, iż nią i za nią czuje, myśli, pracuje każdem włóknem nerwów, każdą falą krwi, napływającą do mózgu. To cecha nader znamienna; z tego punktu widzenia powinniśmy patrzeć na utwory Przybyszewskiego.

Któż jest ów Eryk Falk? co robi w jednej i drugiej powieści? Treść ich daje się ująć w kilku słowach. W pierwszej części „Homo sapiens” Falk odbiera swemu przyjacielowi narzeczoną, czem popycha go do samobójstwa, a czyni to, wiedziony wyższą siłą natury, poza jego świadomością i wolą leżącą, prawem doboru płciowego, dla którego ani moralności, ani współczucia, ani poszanowania praw słabszej jednostki niemasz — niechaj ginie, wyrzucona „przez pokład”, zdeptana. W drugiej części trylogii tenże Eryk Falk uwodzi biedną Maryt „po drodze”, aby jej na drugi dzień powiedzieć, że jest żonaty, i pokazać kontrakt ślubny; Maryt topi się, tak, jak Mikita w pierwszej powieści rozsadza sobie czaszkę wystrzałem z rewolweru. I to wszystko.

A wyrzuty sumienia? Nie, Falk - nadczłowiek ich nie ma- „O Mikicie nie myślał prawie. Dziwna rzecz, jak mało się o niego troszczył. Ale skoro... No, na to niema rady, człowiek musi zginąć, jeżeli nie ma siły do życia, jeżeli brakuje mu właściwych warunków do życia; temu przecież nikt nie jest winien, i na to rady niema”. Falk ma na swoje usprawiedliwienie pozory logiczności: „Dlaczego miał poświęcać swoje szczęście dla Mikity? Dlatego, że tkwił w nim okruch pogrzebanej przeszłości, okruch głupiego sumienia, atawistyczna pozostałość pojęć posiadania, własności, czasu wcześniejszego i późniejszego... Tak samo mógłby być p r z e d Mikitą, a Mikita mógłby tak samo zrobić to, co on chciał zrobić”. Tyle dla Mikity.

A Maryt? On wie, że ją zabił. Ale odtrąca od siebie precz „okruchy głupiego sumienia”. „I dlaczego miałbym się męczyć? — powiada Falk — śmieszne! Czy błyskawica wie, dlaczego zabija? A ma-li wolę pokierować się tak, jak zechce?! Nie, może tylko skonstatować, że tam i tam uderzyła lub to albo owo zniszczyła.

I ja konstatuję i zaciągam do protokułu, żem zniszczył niewinną gołąbkę..."

Co to jest? co za monstrualne samolubstwo? co za szalone wyuzdanie rozpętanego indywidualizmu? i co za związek takich postępków z „nowymi symbolami, nowem słowem, nową barwą, nowym dźwiękiem?"

Przedewszystkiem pomińmy wszelkie względy moralne; one dla „nad - człowieka", za jakiego uważa siebie Falk, nie istnieją. Precz z nimi!

Ale i ze strony wymagań kultury artystycznej w programie Falka „pęknięcie serca znać". A jeden jest punkt zasadniczy.

Falk głosi, iż on i jego wyznawcy stworzyli tysiące nowych wrażeń, które „ledwie d w u, t r z e c h, najwyżej d z i e s i ę c i u współczesnych może odczuć". Czyż tak? Więc ta nowa sztuka, o którą walczą „najmłodsi", ma być przywilejem tak szczupłej garstki wybranych? więc dla tych 2 — 3 czy nawet 10 łamie się i druzgoce wszystko dokoła, stare formy i normy, obłudy i tradycye, wiary i zabobony? Możnaby podziwiać ten ogrom niszczycielskiej pracy, gdyby się wierzyło w szczerość oświadczenia Falka.

Więc może Falk, niezrozumiany przez współczesnych, pracuje dla potomnych? Lecz, jeżeli tak jest, to — gra nie warta świecy. Co przyszłość skorzysta na tem, że zginie Mikita, że utopi się Maryt? Jakże błahe, jakże marne zdają się rezultaty demonizmu Falka wobec np. Popiela z „Króla-Ducha", który chciał i mógł cały naród w krwawej unurzać kąpieli, by zmyć zeń winę wymordowania Wenedów? Cóż znaczy wobec tego jeden Mikita i jedna Maryt, choćby nawet takich ofiar „nadczłowieczeństwa" Falka były dziesiątki?

Ale nie! Frazes o 2 — 3 czy dziesięciu czcicielach nie może i nie powinien być szczery. Czasy magów egipskich i tajemnic eleuzyjskich, czasy *odi profanum vulgus et arceo* minęły bezpowrotnie. Dziś nie wolno być artyście fakirem, zatopionym w kontemplacyi siebie samego, pogardy pełnym dla podłego tłumu tych, co nie znają jego ekstaz i rozkosz duchowych. Arystokratyzm duchowy, posunięty *ad absurdum*, w dzisiejszem życiu społeczeństw europejskich nie zda się na nic. Jak piana na oceanie życia, spłynie, rozpryśnie się, zniknie. Czyż nie lepiej nowym prądom literatury zmierzyć ku głębiom tych toni zamiast ślizgać się po ich powierzchni?

Ale bo też i ten magizm artystyczny, i to przenerwienie chorobliwe, i ten stan pół-gorączkowy bohaterów, i ta erotomania, podniecająca się zapachem kwiatów, gorącymi napojami, elektrycznością,

unoszącą się w powietrzu przed burzą, i styl ucinkowy, rwący się, jak słaba nić, pod naciskiem namiętności, i te wybuchy złego, gardłowego śmiechu, jak złowieszcze zgrzyty, rozlegające się w przemówieniach bohaterów — to wszystko tylko piana, brudna, mętna piana! Jak słońce kraśniejsze jest o wschodzie i zachodzie, niż w południe, tak i świt i epigonizm każdego kierunku skrajniejszy bywa, niż jego rozkwit. Kto mógł przypuszczać, że „duchy, w głupstwa wywarzone kuźni", „twory karczemnej gawiedzi" dadzą w rozwoju swoim w rychle jedyną w całych dziejach ludzkości naszą poezyę romantyczną? czyż starzy krytycy z obozu klasyków mogli się nie śmiać, patrząc na te harce czartów, upiorów, czarownic, na te puszczyki i sowy, na pędzących, niewiadomo gdzie i niewiadomo poco kozaków, na owe gromkie hop! hop! i hip! hip! atamanów stepowych? Zaprawdę, każdy z nas, gdyby był się urodził i wychował w „wieku oświecenia", wzruszałby ramionami na te „duby bab wiejskich" wraz z Janem Śniadeckim i za Osińskim powtórzyłby pomnikowe „głupio było, głupio będzie". Ale niewiele lat upłynęło, a cała ta maniera upiorowo-cmentarna i atamańsko-kozacka przeminęła, łupina opadła, i kwiat, o całym przepychu barw i woni, „błysnął ze złotych osłonek".

Nie chcę przedłużać porównania. Literatura nasza wespół z europejską przechodzi obecnie, jak w pierwszej ćwierci XIX stulecia, kryzys. Stare ideały wygasły, wyziębły; idealizm romantyczny zamilkł wobec wymagań wszechpotężnego życia; burżuazyjny materyalizm zbrzydł do reszty. Odczuwa się potrzebę oczyszczenia atmosfery: deszczu, gradu bodaj, huraganu! Zaczynają się pojawiać nowe objawy, nie zrównoważone jeszcze, dziwaczne, istne kwiaty cieplarniane o cudacznych kształtach, sprzeczne same z sobą, zlane z pierwiastków różnolitych, ale pełne siły, wiary w siebie, żądzy walki, jak np. „Na tym padole płaczu" Przybyszewskiego, gdzie melancholia mistyczna łączy się z tęsknotą płciową, a zagadki bytu rozwiązuje się na podstawie stosunku samca do samicy, jako dwu potęg żywiołowych wszechświata, jedną stanowiących całość, jedno kosmiczne Ja—Ty. Nie łudźmy się, że to właśnie jest ostatnim wyrazem nowej sztuki; to dopiero jej świt, świt, co błyszczy całą gamą czerwieni i fioletu, ale jeszcze nie grzeje. I jeżeli wolno krytykowi stawiać horoskopy, wszystko to, co w mniemaniu zwolenników, a bardziej jeszcze przeciwników t. zw. modernizmu (miano śmieszne, istny dziwoląg logiczny i językowy, a przytem nic nie określające), jest jego rdzeniem i treścią, odpadnie kiedyś, jak łuska z dojrzałego

owocu, a sztuka zaprawdę nowa zrodzi się na świat, piękna i młoda, i zapanuje wszechwładnie nad sercem i wyobraźnią.

Z dzisiejszego modernizmu dla przyszłości pozostanie tylko to, co jest jego cząstką najzdrowszą i najżywotniejszą: to protest, gorący, namiętny protest przeciw przegniłym tradycyom i pseudotradycyom: „Homo sapiens” to krwawy policzek, wymierzony współczesnemu społeczeństwu, jego literaturze, która, zamknąwszy się w ciasnem kole karmelkowych poezyi i filisterskich powieści, przeżuwa wiecznie tę samą strawę, jego sztuce, która jest słabą kopią natury, wykonaną przy pomocy środków techniczno-rzemieślniczych. Krzyk protestu wielki, niebotyczny, a jak każda reakcya, skrajny i w drugą wpadający ostateczność. Ale protest, być może, płodny w następstwa dla przyszłości.

Z pod ogólnego rachunku miernot, do których radzi nie radzi przejść musimy, z radością wyłączamy jeden utwór beletrystyczny, a raczej zbiór utworów, które wyszły pod pióra utalentowanego zasłużonej autorki „Nad Niemnem”. Mówimy tu o „Chwilach” Orzeszkowej. Tytuł w zupełności odpowiada treści: to chwile życia, chwile natchnienia, chwile żywego bicia serca i natężonej myśli. Ale jedna taka „chwila” więcej warta, niż całe tomy współczesnej naszej beletrystyki autorów *minorum gentium*: okruchy to, ale w każdym z nich kryje się żyła rodzimego złota. Tem złotem — wielkie serce, tem złotem — niepospolity talent, tem złotem — dar odgadywania dusz, zwłaszcza kobiecych, dar kreślenia pięknych postaci współczesnego świata. W tem, co się tyczy duszy ludzkiej, jest Orzeszkowa o wiele bystrzejszą obserwatorką i genialniejszą malarką, niż w tem, co się tyczy przyrody. Profilów czystych, subtelnie skreślonych, bez drobiazgowego wszakże cieniowania, jest w „Chwilach” kilka, a jeden ciekawszy i piękniejszy od drugiego.

Nie szukajmy długo. Taka np. „Porcelanka”, kobieta, zawiedziona w małżeństwie, trawiona serdeczną tęsknotą, której mąż, obojętny i wiecznie zajęty poza domem, zaspokoić nie chce i nie umie, wzywa przyjaciela swej młodości, aby zwierzyć mu się w zaufaniu, podzielić się z nim brzemieniem swego smutku i w bezwzględnej szczerości ulżyć pustce swego serca; ale gdy ten miast odpowiedzi przyciska ją do piersi i składa na jej ustach pocałunek miłosny, odpycha go, a w słowach, któremi go żegna, brzmi bezmierna gorycz po raz drugi zawiedzionego niewieściego serca. Ile w tem prawdy, ile cichego smutku i tragedyi, w głębi duszy ukrytej!

Niemniej smutną jest „Zagadka”. I tu zawód serca jest osią

krystalizacyi. Tym razem doznaje go młoda dziewczyna, która przedtem nigdy smutku nie zaznała, dusza czysta, nieskalana, która, jak kwiat, otwiera się ku słońcu: wszystko kocha i wszystkiem się raduje, a wkoło rozsiewa blaski pogody, ciepła i wesela. Jak straszną musiała być dla takiej duszy pierwsza boleść, kiedy dowiedziała się, że ten, co wyznał jej miłość, jest oddawna narzeczonym, i przytem jej przyjaciółki, pojąć nietrudno.

Jest jeszcze jeden typ, najdziwniejszy ze wszystkich. Maluje go autorka w noweli „Kiedy u nas o zmroku...” W obcem mieście bohater opowiadania spotyka dwukrotnie niezwykłą kobietę: raz na cmentarzu, u grobu matki, rozświeconą łzami i wspomnieniami tych chwil niepowrotnych, które u stóp tej matki przeżyła, kiedy na Anioł Pański dzwoniły dzwony, jakby aniołowie w srebrne skrzydła uderzali: dzę—dzę! dzę—dzę! dzę—dzę!

I drugi raz spotykamy tę samą kobietę, ale jakże inną: na balu, w szalonym wirze zabawy tanecznej, w orgii uciechy tonącą, jak bachantka. Zrazu bohater oczom swoim nie wierzy: czy to ta sama kobieta? a przekonawszy się, że się nie myli, przy wyjściu rzuca jej przypomnienie dzwonów na Anioł Pański. A ona: „podniosła na mnie zamyślone oczy i z resztką balowej wesołości, uśmiechem wijącą się po ustach, głosem, dźwięk dzwonów naśladującym, odpowiedziała: Dzę—dzę! dzę—dzę! Głos miała ochrypły i oczy pełne łez”. I oto stoimy przed prawdziwym rebusem, nierozwikłaną zagadką psychiki kobiecej.

W innych nowelach samo zestawienie sytuacyi i charakterów jest powodem artystycznych wzruszeń dla czytelnika i łzę mu z oczu wyciska. W pierwszej naprzykład nowelce p. t. „Dymy” autorka przeciwstawia dwojakiego rodzaju dymy: dym, unoszący się nad ogniskiem, dokoła którego bawi się ochoczo i wesoło towarzystwo z dworu, i dym, zwiastun groźnej łuny pożaru, który za chwilę obróci w perzynę wioskę i strawi ubogi dobytek jej mieszkańców. Albo np. „Moment”, jeden obraz, jedna chwila z życia człowieka, ale ileż tu gorącego uczucia, ile szczerości i głębokiego liryzmu: utalentowana śpiewaczka po gorzkim zawodzie miłosnym wraca do swego majątku i po drodze zatrzymuje się w nędznem miasteczku, w brudnej oberży żydowskiej; w nocnej ciszy boleść swego serca wylewa w pieśni, pieśni rozstania ze szczęściem i nadzieją. I cóż? Ta pieśń duszy rozdartej przez jedną chwilę staje się źródłem szczęścia, ukojenia i szlachetniejszych drgnień serca dla biednych i nędznych mieszkańców miasteczka: tą pieśnią pokrzepieni pójdą oni w dalszą grudną drogę życia.

W nowelach, których tłem jest przyroda, świat zwierzęcy i roślinny, jak np. „Wśród kwiatów”, „Wesele Wiesiołka”, autorka nie wznosi się na takie wyżyny, dając nam zamiast obrazów rejestry zoologiczno-botaniczne, chociaż i w tych nowelach są niektóre miejsca silne, jak np. w zakończeniu „Wesela Wiesiołka” obraz śmierci kwiatów pod postacią chłopa w białej koszuli, z kosą w ręku, obraz, któregoby się nie powstydził żaden wyznawca Maeterlincka.

Prócz Orzeszkowej starsze pokolenie powieściopisarzów nie dało nam tym razem nic wiekopomnego. Gomulicki zebrał kilka nowel w zbiorek, zatytułowany od pierwszej z nich „Biała”. Większa część z nich jest owocem szlachetnego idealizmu, a raczej ideologii, która na swe poparcie niełatwo znalazłaby fakty z życia. Pierwsza z nowel „Biała” daje obraz kobiety „białej”, nieskalanej żadnym brudem ziemskim, żadną zmazą, wzbudzającej i w innych ludziach dokoła siebie lepsze, szlachetniejsze popędy. Potęgi jej uroku doświadcza na sobie bohater opowieści, przeżyty birbant i cynik, który pod jej wpływem spełnia szereg czynów szlachetnych. Jedno tylko możnaby zarzucić autorowi: jego „Biała” jest zbyt wyanieloną, za mało ziemską, ażeby ze sfery mglistych „pomysłów” literackich mogła przejść w wyobraźni czytelnika w dziedzinę życia rzeczywistego.

Tę samą uwagę możnaby zastosować do następnej noweli p. t. „Chałat”. Treść jej uboga. Żyd-furman nakrywa własnym chałatem ziębnącego na jego bryce podczas mrozu chłopca — i nie otrzymuje za to nawet: Bóg zapłać! Idealny filosemityzm Gomulickiego, znany już nam z jego poezyi, przejawił się tutaj raz jeszcze. Godzimy się na szlachetność pobudek autora „El mole rahim”, ale bierze nas ochota zapytać: „I cóż z tego? i cóż z tego, że jeden Żyd ustrzegł od choroby, może nawet od śmierci jedno dziecko chrześcijańskie? czy to czego dowodzi?”

Z pozostałych nowel dwie: „Te przeklęte czarne oczy...” i „Alleluja” są monografiami, dość odczutemi, chorych dusz; ostatnia zaś „Kwiaty z lasu” nie dość jasną alegoryą czy fantazyą.

„Błękitnych” Rodziewiczówny, wydanych w „Bibliotece dzieł wyborowych”, możemy śmiało pominąć, raz, że to wydanie powtórne, a po drugie, że rzecz to dość słaba, o szybującej po obłokach fantazyi, pozbawiona wszelkiej podstawy na ziemi. Bo i gdzie szukać arystokraty z krwi i kości, kniazia na stu wsiach, któryby zakochał się w szlachciance z zaścianka, pozostał jej wiernym przez długie lata i wreszcie — ożenił się z nią. O nie! prawdziwy kniaź na samą

wzmiankę o takiem małżeństwie wybuchnie śmiechem, jak bohater „Pieśni przerwanej" Orzeszkowej...

Że uniwersytet Jagielloński w roku ubiegłym święcił pięćsetlecie swego istnienia, więc Krechowiecki napisał z tego powodu „obraz historyczny" z czasów Jadwigi i Jagiełły p. t. „Fiat lux!" Obraz ten nie przynosi zaszczytu autorowi „Veto!" Braki tej powieści najlepiej się ujawnią, skoro zestawimy ją z cyklem powieści „O tron". Tam druga połowa wieku XVII, tu schyłek XIV; ale gdzież szukać różnicy charakterów, obyczajowości, temperamontów, języka? Ludzie w „O tron" i ludzie w „Fiat lux!" zupełnie są do siebie podobni, mogliby zasiadać przy jednym stole. Powieści Krechowieckiego podobne są pod tym względem do mapy, która na płaskim obrazie przedstawia całą rozmaitość powierzchni globu: miasta, większe czy mniejsze, bogate czy ubogie, ludne czy puste — kółkiem, rzeki — wartkie czy leniwie płynące, przepaściste czy miałkie — kreską i t. d. U Krechowieckiego takich konwencyonalnych kółek i kresek pełno: to król, to królowa, to rycerz, to mnich, to kochanek. Przytem cykl powieści „O tron" stoi jeszcze znacznie wyżej od „Fiat lux!": tam przynajmniej był jakiś zawiązek kompozycyi artystycznej, jakieś charaktery, tutaj — nic podobnego. W „Fiat lux!" jest tylko chronologiczna kolej wypadków, szereg illustracyi do panowania Jadwigi i Jagiełły: 1) Jadwiga przyjeżdza do Krakowa, 2) Jadwiga podnosi topór, by skruszyć bramę, która ją oddziela od Wilhelma, 3) Jadwiga przyjmuje Jagiełłę, 4) ślub Jagiełły z Jadwigą, 5) Jagiełło i Jadwiga jadą chrzcić Litwę i t. d. aż do śmierci Jadwigi. Poza tem ani jednego pomysłu literackiego, ani jednego błysku twórczości—suche illustrowanie dyalogami wypadków, wśród których nie pomija się ani wyprawy Jadwigi na Ruś, ani oszczerstwa Gniewosza z Dalewic.

Dla urozmaicenia akcyi Krechowiecki używa metody podwajania sytuacyi, zapożyczonej od Szekspira. Polega ona na tem, iż obok głównego bohatera dla podniesienia grozy stawia się drugorzędnego, który ulega podobnym, jak tamten, kolejom losu (np. Edgar w „Królu Learze"). Otóż w „Fiat lux!" obok Jadwigi postawił autor jej towarzyszkę, Elżbietkę Bebekównę, która również, jak jej pani, kocha obcego księcia, Jana z Münsterberga i podobnie, jak ona, wychodzi za polskiego rycerza, Spytka z Melsztyna. Pomysł to niezły, ale nie może przyczynić się do ożywienia sytuacyi, która wlecze się z roku na rok ociężałym krokiem, póki śmierć Jadwigi kresu jej nie położy.

I Gruszeckiemu nie udała się ostatnia powieść. Artyzm padł

tym razem ofiarą aktualności, inaczej mówiąc, chęci dogodzenia czytelnikowi.

I dawniej Gruszecki poświęcał powieści jakiejś „sprawie“ społecznej: to rolników śląskich, to górników, to antysemityzmowi, to przemysłowi w Galicyi itd., ale w przedstawieniu tych spraw kierowała nim szlachetna tendencya, a braki artystyczne wynagradza to stokrotnie bogactwo obserwacyi. Teraz Gruszecki poruszył inną sprawę „na czasie“: sprawę hazardu sportowego i napisał powieść dwutomową p. t. „Na wyścigach“ (Biblioteka dzieł wyborowych Nr. 167 i 168). Odsłaniając wszystkie zakulisowe tajniki toru wyścigowego, wszystkie oszustwa, jakich dopuszczają się przecherni dżokeje, chciał może powstrzymać ludzi od sportu końskiego? Daremne usiłowania! teraz zwłaszcza, w obecnym „sezonie“, w chwili rozgrywania wielkiego „derby“ i roznamiętnienia tłumów amerykańską metodą jazdy, wydaje się to tak bezgranicznie bezskutecznem.

Strona życiowa powieści „Na wyścigach“ wychodzi ułomnie. Rzecz prosta, że wyścigi muszą być osią powieści, że do nich muszą być dopasowane i wypadki, i ludzie, i sytuacye, ale jakież tego rezultaty? Zupełne skrzywienie rzeczywistości, która w powieści Gruszeckiego wygląda tak, jakgdyby poza wyścigami żadnych innych spraw nie było, jak gdyby bieg rzeczy w innych korytach stanął, znieruchomiał. Jest tu i sprawa sercowa, ale również zależna od koni wyścigowych. Bohater oświadcza się pannie ze sfery arystokracyi czy plutokracyi, a ona, chcąc go się pozbyć, odpowiada, że, jeżeli założy u siebie stajnię wyścigową i wygra wielkie „derby“, to wyjdzie za niego! A co dziwniejsza, ów bohater, zresztą bardzo przeciętne indywiduum, bierze to na seryo i rujnuje się na wyścigowce, aby w końcu dostać odkosza. I to wszystko mamy uważać za dokumenty życiowe, za drgający nerw społeczeństwa warszawskiego?

Jeden jest tylko epizod w powieści, który nie ma wcale związku z totalizatorem: jakieś posiedzenie, na którem zebrani ludzie dobrej woli radzą o założeniu bursy rzemieślniczej dla synów włościan wsi, zajmujących się przemysłem domowym, ale epizod ten, obcy zupełnie wątkowi powieści, a wprowadzony pomiędzy stajnię a salon sportsmeński, robi wrażenie intruza.

Sympatyczny obrazek dał nam p. H. St. Pytliński w powieści p. t. „Koledzy.“ Rzecz wzięta z życia studenckiego i przypomina nieco ów szablon mundurkowo-akademicki, który zapanował w naszej beletrystyce i nawet na scenie od czasu Gamastona; intryga

obraca się na osi konkursu na powieść, ogłoszonego przez redakcyę postępowego tygodnika „Ognisko“. Szablon wyraża się w postaciach trzech kolegów, z których dwóch, Korzec i Łęski, jest szlachetnych i utalentowanych, trzeci zaś, imieniem Halicki — blagier, karyerowicz, a przytem nikczemnik; cały przebieg akcyi, jak w komedyach pseudoklasycznych, polega na przeciwstawienie tych krańcowości. Korzec i Halicki ubiegają się o względy jednej dziewczyny; ale Korzec jest uczciwy i chce się z nią ożenić, a Halicki usiłuje ją uwieść. Łęski i Halicki biorą udział w konkursie: Łęski idzie prostą drogą i otrzymuje drugą nagrodę, Halicki podstępem dostaje pierwszą. (Podstęp polega na tem, iż ktoś, komu szło o to, by Halickiego zbliżyć do „Ogniska“, prenumeruje pismo w kilkuset egzemplarzach i, kiedy przychodzi do głosowania czytelników, wszystkie głosy oddaje Halickiemu — rzecz mało prawdopodobna w założeniu). Łęski i Halicki starają się o rękę córki redaktora „Ogniska“; ale Łęski kocha ją szczerze, a Halickiemu chodzi tylko o sekretarkę w „Ognisku“, a kiedyś i redakcyę w spadku po przyszłym teściu. W końcu nędznik, znowu jak w komedyach pseudoklasycznych, ze wstydem uchodzi. Poza tą pewną szablonowością figur, poza wyżej wskazanem nieprawdopodobieństwem sytuacyi powieść przeprowadzona konsekwentnie; wysokich zalet ani w treści, ani w formie nie posiada, ale wznosi się ponad poziom pospolitych ramot, pisanych bez talentu, jakich obecnie w naszej beletrystyce —bardzo wiele.

Nie posiada również wielkich zalet literackich powieść Władysława Zdory p. t. „Fuimus!“, ale wyróżnia się tragizmem i siłą uczucia. Tragizm polega nie tylko na tem, iż bohater pada w nierównej walce, lecz i na tem także, iż —zapóźno, niestety! — dochodzi do przekonania, iż szedł po fałszywej drodze, iż i życie zmarnował i społeczeństwu własnemu pożytku nie przyniósł, bo i na obcym działał gruncie i w obcym kierunku zwrócił usiłowania. Powieść przygnębia i wstrząsa, nie brak jej epizodów silnych i dramatycznych, np. pobyt młodego bohatera powieści wraz z dziadkiem w Wilnie i wiele innych. Nie jestem wprawdzie zwolennikiem publicystyki w powieści, ale „Fuimus!“ zmysłu artystycznego nie razi.

Pani Cecylia Walewska dała nam „fantazyę powieściową“ p. t. „Bez duszy“. Bohaterka tej powieści, pani Nuna, nie jest jakąś postacią demoniczną, jakby można sądzić z tytułu; to tylko rozkapryszona i zepsuta dostatkiem egoistka, której autorka dlatego jedynie odmawia duszy, iż prócz siebie nikogo nie kocha. Ojciec ją pieścił i dogadzał wszelkim jej zachciankom; z mężem rozstać się musiała,

bo 2000 rubli jego rocznej pensyi nawet przy gratyfikacyi noworocznej dla pani „bez duszy” to nędza; wolała więc rozwieść się z nim i wyjść za starego, lecz bogatego przemysłowca, którego stać na wszystkie jej kaprysy. Otóż pani Nuna w jednem z miejsc kuracyjnych na morzu Północnem poznaje znakomitego malarza, Nordena, który — budzi w niej duszę, ale w ten sposób oryginalny, że skłania ją do powtórnego wiarołomstwa i podzielenia z nim — jego pracowni. Chociaż ta miłość, według zapewnień autorki, jest lepszą i szlachetniejszą od dawnych, bo zmusza panią Nunę do uczynienia ofiary ze swego egoizmu, chociaż autorka usiłuje wmówić w czytelnika obecność w tem uczuciu pierwiastka trancendentalno-mistycznego: braterstwa dusz, ich wzajemnego dla siebie przeznaczenia i t. d., my nie możemy w tej „fantazyi” widzieć nic więcej ponad illustracyę do bajeczki doktora Tolosana z „Naszych najserdeczniejszych” W. Sardou o połówkach gruszek i ich wzajemnem poszukiwaniu się.

Przykrą jest rzeczą dla sprawozdawcy mówić o rzeczach miernych: nie chciałby być niesprawiedliwym, a zbyt względnym mu być nie wolno, aby nie pozwolić na rozplenianie się chwastów i obniżanie się poziomu wymagań literackich w społeczeństwie. Jesteśmy tego zdania, że z dwu alternatyw lepiej wybrać tę, która jest pożyteczniejszą dla literatury, boć o nią wszak chodzi jedynie, i gorzkiej prawdy nikomu nie szczędzić. Prawdziwy talent nie zlęknie się krytyki, choćby najostrzejszej, przeciwnie, zahartuje się i uzbroi w stal, wytrzymałą na pociski niesłuszne, a że temu czy owemu grafomanowi wytrąci się pióro z ręki, toć dla piśmiennictwa także korzyść niepoślednia. A grafomanów, a zwłaszcza grafomanek, namnożyło się w naszej beletrystyce bez liku. Grafomanki! złowieszcze słowo! pretensyi wiele, a zdolności — ni śladu, a wszystko podlane obficie uniwersalnym sosem postępowo-emancypacyjnym, mdłym rozpaczliwie. Osławioną jest w historyi piśmiennictwa angielskiego t. zw. „literatura guwernantek”, sentymentalna, ckliwa i nudna, jak kazanie pastora anglikańskiego; u nas w ostatnich czasach wytworzyło się coś pod względem literackim jeszcze niższego, coś, co możnaby śmiało nazwać „literaturą pensyonarek”: takie to literacko i społecznie naiwne i niedojrzałe.

Gdyby pan Bohowityn nie był publicznie oświadczył w pismach, iż należy do brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, przysiądzby można, iż powieść jego p. t. „Słoneczniki” napisała kobieta: i w poglądach społecznych, i w sposobie ujęcia charakterów i akcyi bije w oczy kobieca maniera pisania. Lecz mniejsza o płeć autora. Krótko i węzłowato — rzecz jest mierna. Co za mnogość postaci:

arystokracya, plutokracya, szlachta z zaścianka, chłopi, a wszystko to powystrzygane z papieru figurki z napisami objaśniającymi: hrabina ta i ta, książę ten i ten, pan ...ski, pani ...wiczowa. Tom wielki, ale treści mało. Dwa słoneczniki, t. j. dwie emancypantki, hrabianka i jej przyjaciółka z zaścianka walczą z tradycyjnymi przesądami: pierwsza kocha ubogiego szlachcica i byłaby za niego wyszła, gdyby nie to, że ten pan (także bohater!), złożywszy niejednokrotnie wyznanie miłosne, w końcu oświadcza, iż ma już żonę, oddawna — w szpitalu dla obłąkanych; druga zaś zakłada w małem miasteczku aptekę kobiecą, walcząc z przeróżnemi trudnościami, uprzedzeniem i zawiścią. Oczywiście, o licznych epizodach powieści, niekiedy bardzo drastycznych, jak np. romans 14-letniej hrabianki Mińci z rówieśnym jej chłopakiem z sąsiedztwa, — niema co nawet mówić.

Powieść p. A. Suszczyńskiej p. t. „Przekonana" mogłaby pozostać na dnie teki autorskiej. Cała treść powieści polega na tem, iż kapryśna dziewczyna nie wierzyła w miłość, póki... nie poznała młodego inżyniera; przytem powieść to w listach, co z góry uwalnia autorkę od liczenia się z względami kompozycyi artystycznej albo choćby porządku logicznego. Ani jednego charakteru, ani jednego obrazu, ani jednej obserwacyi życiowej; nic zgoła! W końcu autorka uśmierca swą bohaterkę, kazawszy jej przedtem dla wypróbowania stałości uczuć narzeczonego napisać do niego, że go nie kocha; młodzieniec, oczywiście, obraził się i pojechał, i stąd katastrofa. A język? „smolić papierosy", „pikujemy się" (t. j. dokuczamy sobie nawzajem), „absorbować", „wszystko, co wiem, domyślam się tylko", „cudo", „ale wiem jednak", „aplomb", „szesnastówka", „brawować opinię", przytem niezliczona moc zdań francuskich, po kilka na każdej stronie, to chyba wystarcza do zakwalifikowania „Przekonanej" do „literatury pensyonarek". Czy p. Suszczyńska napisze kiedyś rzecz lepszą, rokować trudno, a „Przekonana" nie daje do tego żadnej podstawy.

Pan Rojan napisał już kilka niezłych powieści, nie najlepszych wprawdzie, ale poprawnych. Ale „Mara" mu się nie udała. Ma to być satyra na życie nad stan, pogoń za złotym cielcem *per fas et nefas*, próżność ludzką i t. d. — wszystko to „mara", nie zaś rzeczywistość; rzeczywistość bowiem jest gdzieindziej: w cnocie, pracy, miłości i t. d. Stare, oklepane komunały. Ażeby zaś dowieść rzeczy tak prostej, używa się środków aż nadto wyszukanych: więc niedoszły proces kryminalny, który grozi jednemu z bohaterów za sfałszowanie jakiegoś dokumentu — niedoszły, bo bohater zdążył wczas

drapnąć... do Transwaalu; więc niedoszła katastrofa kolejowa—niedoszła, bo, choć pociąg się wykoleił, drugi z bohaterów, który nim jechał, wyszedł z niej zdrowo i cało; więc wreszcie niedoszłe samobójstwo bohaterki — której w ostatniej chwili, gdy już niosła do ust szklankę z trucizną, zbrakło odwagi. Aż tyle nadzwyczajności, aby okazać światu, że fałszerstwo jest zbrodnią, a stałość w uczuciach cnotą. Za wiele efektów pospolitych, a za mało prawdy życiowej; podział zaś osób na czarne i jasne charaktery grzeszy konwencyonalnością i świadczy, iż z życia realnego powieść p. Rojana nie wchłonęła w siebie ani jednego promyka.

Przechodzimy do kamienia obrazy naszego piśmiennictwa współczesnego — do nowelistyki. Dlaczego tak wielu niepowołanych rzuca się do tego rodzaju twórczości, nietrudno zrozumieć: jest to rodzaj pozornie najłatwiejszy, nie wymaga żadnych studyów, żadnej kompozycyi; ot, poprostu jakiś wypadeczek — a wypadeczki mniej lub więcej ciekawe każdemu zdarzają się w życiu — opisać piórem, toć każdy potrafi, a że pod względem literackim (często i gramatycznym) wypadeczek kuleje, mniejsza o to! „nowela”, „szkic”, „obrazek” jest gotów i idzie pod prasę. Nie rozumieją ci przygodni noweliści, którzy mogą być wprawdzie dobrymi doktorami, adwokatami, inżynierami, nauczycielkami, ale nigdy literatami, iż napisać dobrą nowelę może trudniej, niż znośną powieść, że trzeba być prawdziwym artystą, aby w drobnych rozmiarach zawrzeć tyle piękna, ile go jest w kropli rosy, odbijającej w sobie słońce.

Nie mówię już o takich skandalach literackich, jak „Ideały ziemiańskie „zdjęte z natury” pana A. W. Jednoty lub „Obrazki” jakiegoś pana, ukrywającego się pod pięknym pseudonimem Pazia, bo te „utwory” godne są tego, aby je publicznie na rynku palono.

Kto? po co? dla kogo? jakiem prawem takiemi bredniami zachwaszcza literaturę--trudno zgadnąć.

Ale i inne utwory z tego działu wiele bardzo pozostawiają do życzenia. Weźmy np. „obrazek z niedalekiej rzeczywistości” p. Broga p. t. „Przystąpił”: bohater zmienia wyznanie, a odtrącony od wszystkich wiesza się. Słusznie! Ale dlaczego to uczynił? co go skłoniło do tego kroku? już nie tylko umotywowania psychologicznego, ale nawet najlżejszej wzmianki o tem niemasz; a bez tego „obrazek” nie ma wartości.

Ktoś inny, Mieczysław hr. Piniński, napisze duży tom „Szkiców z życia wiejskiego”, a w nim wszystkiego cztery „szkice”, z których jeden tylko „Rozbitek”, wizerunek starego, wykolejonego oficyalisty, wykonany po literacku. Inne — nie wiemy, jak nazwać

i jak ocenić. Coś, jak szuflada maniaka-kolekcyonisty, gdzie wszystko znajdziemy: od starych guzików i połamanych stalówek do bižuteryi, jakiś stek materyału obserwacyi, nagromadzonego bez ładu i składu, jakiś lamus zwalonych na kupę przedmiotów, nikomu nie potrzebnych i nikomu nieużytecznych, chaos, w którym biedny wątek opowieści rwie się, plącze i znów nawiązuje i znowu ginie, aż w końcu czytelnik poprostu już nie wie, co jest treścią, a co dodatkiem do treści. Odrzućmy epizody, to znowu z treści nic nie zostanie, bo treść błaha, pospolita, wprost—żadna. Przytem język upstrzony galicyanizmami aż do utorturowania cierpliwego uszu czytelnika.

„Szkice z pamięci" p. Kazimierza Wittego o wiele lepsze, ale znowu tę mają słabą stronę, że uderzają w struny, rozpaczliwie ograne. Uwiedzenie szwaczki przez zawodowego donżuana, światek dziecięcy, zdrada małżeńska i t. p. oto tematy „Szkiców". Mają wogóle te utwory charakter bardziej publicystyczny, niż literacki: np. obrazek „Bez opieki", przygody obłąkanej w podróży, zda się na illustracyę artykułu dziennikarskiego o potrzebie opieki nad umysłowo-chorymi, ale jakiż to ma związek z literaturą i jej wymaganiami? Najlepszy z tych „Szkiców" nosi tytuł „Premiera"; kontrast tryumfu i boleści wywołuje tu efekt dość silny: tego samego bowiem wieczoru, gdy wystawiają na scenie pierwszą sztukę początkującego autora, umiera mu ukochana małżonka. I to może temat nie nowy, ale dość zręcznie zużytkowany.

„Okruchy życia" p. Jerzego Orwicza najzupełniej odpowiadają swemu tytułowi: szczere to okruchy, i to tak drobne, że nie dają pojęcia o materyale, z którego drobienia powstały. Oto literat, który, nie podnieciwszy się alkoholem, już tworzyć nie potrafi; oto sylwetka waryata na sześciu stronicach; oto krytyk gadzinowy, który pisze sprawozdania nie z głębi przekonań, lecz według okoliczności; oto jeszcze dwie szczęśliwe pary małżeńskie i t. d. Niema w tem wszystkiem nic charakterystycznego ani społecznie, ani artystycznie; niejeden z tych fragmentów zdałby się może na epizod większego utworu, ale, jako odrębna całość, razi pospolitością i błahością tematu.

Tomik „Złudzeń" p. Fr. Rawity — zawiera cztery obrazki, z których za najlepszy uważamy „Na stusię", choć pomysł to wcale nie nowy: autor przedstawia tu „okrutny wyzysk, którego dopuszczają się arendarze-Żydzi i przedajni urzędnicy, a którego ofiarą pada ciemny i niedoświadczony lud. O innych nowelach niewiele mamy do powiedzenia: „Andzia" przedstawia pannę z bogatego domu, wysoce inteligentną i uduchowioną, ale potwornie

brzydką; nieszczęśliwa, pokochawszy studenta, z którym z za maski przez dłuższy czas rozmawiała na maskaradzie, a nie spodziewając się wzajemności, odbiera sobie życie — rzecz trochę przesadna i melodramatyczna, inna, p. t. „W starej wieży" daje sylwetkę starego dzwonnika; ostatnia wreszcie, „Czy to było?" jest dość niezręczną i naiwną propagandą medyumizmu, materyalizacyi i t. p. zjawisk, niezręczną, bo w utworze literackim niema miejsca na tego rodzaju apostołowanie, naiwną, bo wypadki, opowiedziane w tym obrazku, wyglądają nie na zjawiska medyumistyczne, lecz raczej na halucynacye rozgorączkowanej wyobraźni.

Do lepszych należą nowele p. M. Mutermilcha p. t. „Ironia". Autor obserwuje życie nie tylko z jego strony zewnętrznej, faktycznej, ale stara się również wniknąć w jego treść, odgadnąć tajne sprężyny dusz ludzkich i stosunków ludzkich, pokryte wyszywaną szychem powłoką pozorów. Stąd tytuł zbiorku —„Ironia"; a ironią w utworach p. Mutermilcha jest sprzeczność pomiędzy tem, co wszyscy widzą, a tem, czego nikt nie zobaczy, nie domyśli się. Najlepiej charakteryzują pod tym względem poglądy autora nowele: „Świetna partya (kartki z pamiętnika dziwnego człowieka)" oraz „W wagonie".

Pierwsza nowelka p. t. „Marynia", upokorzenia młodej dziewczyny w bogatym domu, gdzie służy za pokojówkę, nie oświetla w równym stopniu, jak tamte, mrocznych głębin życia, gdyż temat jej — nadto pospolity. Co zaś do ironii, zawartej w noweli „Bohater", możnaby się posprzeczać z autorem. P. Bonenfant, spokojny mieszczuch paryski, wpadł przypadkiem w tłum manifestantów republikańskich i poległ, ugodzony kulą żołnierza królewskiego. I odtąd p. Bonenfant stał się bohaterem w tradycyi Paryża, i corocznie w rocznicę jego śmierci nad jego mogiłą powiewają sztandary. I gdzież tu ironia? zapewne, p. Bonenfant „bohaterem" nie był, ale zapomniał o tem autor, iż republikanie, składając wieńce na jego grobie, czczą w nim nie jakiegoś p. Bonenfant, lecz symbol, symbol ofiary dla tej idei, którą sami wyznają, choć p. Bonenfant nie był bynajmniej jej wyznawcą. Lecz o to mniejsza. Imię nawet „bohatera" z biegiem lat zginie w pamięci narodu, a na jego grobie będą zawsze powiewały sztandary, będą się składały wieńce — i słusznie.

P. Janina Baudouin de Courtenay rozumie widocznie wybornie, że odtwarzanie szarej jeno powszedniości życia jest zadaniem fotografii, nie zaś sztuki; do „Nowel" więc swoich prócz realistycznej prozy wprowadziła pierwiastek mistyczny. Niedoświadczenie wszak-

że autorki sprawiło, że pierwiastki te, zamiast zlać się w harmonijną całość, skłóciły się z sobą najfatalniej. Rezultatem zaś tej niezgody stało się to, że czytelnik nie wie, czy to, co widzi w utworach p. Baudouin, jest rzeczywistością, przywidzeniem, czy też czystą fantazyą; a to znowu wywołało z kolei niezrozumiałość i niejasność niektórych „Nowel", tych zwłaszcza, w których autorka obraca się w sferach oderwanych, np. „Zapóźno", „Cud", „Wydanie pośmiertne; inne, do których treść czerpie się bardziej ze świata realnego, jak np. „Ismael", „Po wyroku", o wiele lepsze. „Opowieść grecka" p. t. „Uwieńczony" z życia starożytnej Sparty jest omyłką autorską: kwalifikuje się na wypracowanie szkolne, nie zaś do druku.

Niniejszy obraz ruchu beletrystycznego z ostatnich dni byłby niezupełny, gdybyśmy kilka słów nie poświęcili opisom podróży. Ukazało się ich kilka. Z pomiędzy nich dwa: p. Stefana Poraj-Sucheckiego „Wschodniem wybrzeżem Afryki" oraz p. Karwowskiego „Na pokładzie „Kanclerza" i „Itapariki", ze wspomnień lekarza okrętowego", nie wznoszą się ponad zwykły poprawny szablon tego rodzaju utworów i zaletami literackiemi nie odznaczają się. Forma i język u p. Karwowskiego poprawniejsze, niż u drugiego podróżnika, za to u p. Sucheckiego opowiadanie jest nieco żywsze. Nowych szczegółów geograficznych, etnograficznych, przyrodniczych ani jedna, ani druga książka nie zawierają; nie są więc wkładem do skarbnicy wiedzy, ale stanowić mogą przyjemną i zdrową lekturę.

Nieskończenie wyżej od obu poprzednich podróżników stoi p. T. Trzciński, który w dodatkach do „Gazety Polskiej" wydrukował kartki z podróży p. t. „Riwiera—Korsyka". Wielka erudycya, nie tylko przyrodnicza, lecz i literacka, daje możność autorowi przykucia uwagi czytelnika do najdrobniejszego szczegółu opisu, do niedbale napozór rzuconego zwrotu, cytaty, porównania. Przytem p. Trzciński jest wytwornym stylistą, pod względem więc zewnętrznym jego „kartkom z podróży" nic zarzucić nie można. Książkę okrasza wyborny humor, który nie opuszcza autora ani na chwilę i nie pozwala czytelnikowi odłożyć książki, aż nie doczyta do ostatniego wiersza.

Henryk Galle.

Rozbiory i Sprawozdania.

A. Brückner. **Cywilizacya i Język.** Szkic z dziejów obyczajowości polskiej. Warszawa, 1901, str. 154.

Zbyteczna rozszerzać się nad wartością naukową przyczynków do dziejów naszej kultury, wychodzących z pod pióra prof. Brücknera. Są to wszystko rzeczy, rzucające dużo światła na naszą obyczajowość i historyę, szkoda tylko, iż ogłaszane w czasopismach specyalnych lub nawet ogólniejszych, ale nie posiadających zbyt wielkiego grona czytelników, pozostają nieznane szerszemu ogółowi, a tymczasem zebrane w całość i wydane dostarczyłyby bardzo pożywnego pokarmu umysłowego.

W pracy „Cywilizacya i Język“ autor usiłuje z pomocą wyrazów obcego pochodzenia odtworzyć wpływy obce kulturalne, które w ciągu wieków oddziaływały na nasz naród i pozostawiały w nim osad nowych urządzeń, zwyczajów i umiejętności, a osadowi temu towarzyszyło odpowiednie wzbogacenie lub zcudzoziemczenie naszego słownictwa, a przynajmniej dźwiękowni.

„Przy badaniu dziejów pierwotnych — pisze prof. Brückner—język nadzwyczajną odgrywa rolę, pierwotne rozsiedlenie np. Litwinów, Niemców i Celtów żaden antropolog lub archeolog, tylko lingwista oznaczyć może.... Na podstawie języka, wedle imion własnych, miejscowych i osobowych nie tylko o przynależności etnicznej ludu jakiegoś wywnioskować można, lecz z zasobu słów jego i stan jego kultury odtwarzać, chociaż tu nigdy dość ostrożnym być nie można.“

„W badaniach dziejowych obok imion topograficznych, ludowych, osobowych, obok zasobu własnych słów pospolitych, dowodzących pewnego stopnia rodzimej kultury, należy nieraz główną uwagę zwracać na słowa obce, zapożyczone powierzchownie lub zeswojszczone zupełnie, przetrawione i przetopione tak, że je

od własnych i odróżnić trudno. Im starszy i znaczniejszy naród, im rożnorodniejszym wpływom podlegał w następstwie wieków i w zmianach siedzib, tem więcej w jego słownictwie będzie obcych domieszek, jedynych śladów nieraz owych zamierzchłych czasów i zanikłych związków.... zdejmując zasłonę ze słów obcych, wykazując ich pochodzenie, służymy nauce dziejowej i językowej zarazem. Nawet w czasach, rozświeconych kronikami, aktami, pamiętnikami, wykaz słów takich uwydatnia miarę wpływu, rodzaj związku czy wymiany, zachodzących między narodami, illustruje je niemal dokładnie, a bezstronnie: z ilości i jakości tych słów możemy oznaczyć dziedziny, jakich te wpływy sięgały.“

Wpływy działały z różnych stron i przychodziły w różnym czasie. Przed początkiem dziejów pisanych Goci i ludy fińskie, a nawet scytyjskie (erańskie) i dackie, zaznajamiały nas z nowemi pojęciami, a raczej umiejętnościami i rzeczami, z któremi pożyczaliśmy od obczyzny odpowiednie symbole słowne. Z przyjęciem religii chrześcijańskiej powstają w kraju naszym nieznane dawniej urządzenia i obrzędy, warstwy i potrzeby, przebywają tłumnie wychowańcy odmiennej kultury, a z nimi napływają nieznane umiejętności. Rozwój miast, które wzrastają dzięki przybyszom—Niemcom, stwarza nieznane ongi w kraju naszym ognisko kultury,—przemysłowo-handlowe, wyłania z siebie nowe potrzeby, stosunki i urządzenia. Rozkwit umysłowy Czech w epoce walk ludu czeskiego o swoją niepodległość kulturalną oddziaływa na nas, i my od pobratymców swoich uczymy się pisać, a wpływ ten pozostawia bardzo liczne ślady w mowie naszej, zwłaszcza zaś w dźwiękowni. W okresie wszechwładztwa szlacheckiego zjawiają się wpływy kulturalne jeszcze obfitsze. Każde z tych, że się tak wyrazimy, ciśnień kulturalnych oddziaływało na pewną stronę naszego życia, jedno stwarzało organizacyę polityczną, inne—handel i przemysł, jeszcze inne—nowe potrzeby duchowe, a każde pozostawiało w języku ślady w pewnym dziale określonym jego słownictwa. Słowa, zapożyczone każdorazowo, tworzą wyraźną formacyę; termin ten, zapożyczony z geologii, najlepiej przedstawia, w jaki sposób obcego pochodzenia wyrazy osadziły się w naszem słownictwie.

Książka prof. Brücknera jest poświęcona rozbiorowi i charakterystyce takich formacyi. Nie będziemy zapuszczali się w przedstawienie jego wywodów, odsyłając ciekawego czytelnika do samej pracy, zatrzymamy się tylko nad jedną z formacyi najodleglejszych, tą, którą osadziła się w naszem słownictwie pod działaniem kultury gockiej.

Jak wyrazy gockie, w naszym języku istniejące, świadczą, dalecy przodkowie nasi przyjęli od Gota uzbrojenie i taktykę wojenną oraz zapożyczyli terminy dla oznaczenia przedstawicieli władzy politycznej. Miecz, szłom, pułk, chorągiew, książę, duma (rada) stamtąd pochodzą; od Gotów nauczono się stawiać „chyże“, (domy), grodzić tyny i grody, chlewy (ongi domy dla ludzi); nazwy izba, szkło również od nich przyszły. Od sąsiadów tych uczono się i nowych „leków“, zjawiali się stamtąd coraz częściej „kupcy“, którzy okupywali „mytem“ mir, a wszelkie ubytki wynagradzała im „lichwa“; nasz „chleb“ jest gockiego pochodzenia, tem mianem przezwano prawdopodobnie jakieś osobliwsze, nieznane dotychczas pieczywo. A kto naówczas w oczach Słowianina uchodził za wzór ozdobności i dzielności, tego dowodzą gockie przymiotniki: chędogi, gotowy, gorazdy (to ostatnie u nas tylko w nazwach przechowane); dowodzi tego i rzeczownik leść, t. j. przebiegłość.

Jak wyobrażać sobie te wpływy gockie? Prof. Brückner potrąca o to pytanie w pracy swojej, poświęconej stosunkowi wzajemnemu i psychologii szczepów

słowiańskich i staro-germańskich, a jego poszukiwania mają na swe potwierdzenie to, co jeszcze dzisiaj istnieje na całej przestrzeni środkowego i zachodniego Sudanu, tam gdzie zetknęły się ludy pokojowe i rolnicze murzyńskie, a pastersko-koczownicze fulbskie. Ci ostatni wsiąkają w społeczeństwa murzyńskie, jako zaborcy-kolonizatorzy, a nawet jako pojedyńczy inicyatorowie, a zawsze spełniają zadanie organizatorów państwowości, przemysłu i handlu. Nie jest to najazd w znaczeniu, nadawanem temu wyrazowi przoz prof. Piekosińskiego, bo Fulbowie wynoszą zaledwie pół procentu ludności na całej przestrzeni Sudanu, a tylko oplątywanie pajęczyną organizacyi ludów, przebywających w rozstrzeleniu społecznem, przez szczep nieliczny, ruchliwy, łatwo wynaradawiający się. *L. Krzywicki.*

Wacław Nałkowski. **Ziemia i człowiek.** Szkice i studya geograficzne. Warszawa, 1901, str. 288.

Geografia wraz z astronomią stanowią dziś smutną parę nauk, zaniedbanych prawie całkiem w naszem życiu duchowem. Pozbawione bezpośredniej łączności z pilnemi potrzebami i praktycznemi zadaniami życia, nie znajdując oparcia w odpowiednich instytucyach naukowych, gotują one nielicznym ochotnikom, zabierającym się do uprawy tych opuszczonych pól, obok trudnych do pokonania przeszkód w pracy, rozczarowania i zawody. Stąd ta smutna pustka na tych rozległych obszarach „Apparent rari nantes .....“

Osamotnienie sprzyja rozwijaniu w duszach, walczących z trudnościami pracy, bytu materyalnego i obojętnością ogółu, zgryźliwości, mizantropii obok spotęgowanego przeświadczenia o ważności podejmowanych studyów. Nastrój taki musi znowu oddziaływać szkodliwie na postępy i owoce pracy. Tem jedynie można wytłómaczyć fakt, iż jeden z najzdolniejszych naszych geografów, p. Wacław Nałkowski, wydając obecnie zbiór swoich prac z lat 25 działalności na tem polu, mógł je zamknąć w niewielkim tomiku o 280 stronach.

Na czele zbioru pomieścił p. N. zarys swej ewolucyi duchowej, w którym przyszły biograf znajdzie ciekawe wskazówki, a czytelnik książki—wytłómaczenie zarówno skromnych rozmiarów plonu pracy ćwierć wiekowej, jak i wybuchów żółciowych, niepotrzebnie zakłócających powagę przedmiotu i spokój, niezbędny głosicielom prawd nauki.

Przywiązany wielce do wszystkiego, co wyszło z pod jego pióra, autor nie mógł się zdobyć na pominięcie w tym zbiorze drobnych okolicznościowych artykulików, pomieszczonych w różnych czasopismach przed laty dwudziestu. Napróżno jednak szukać będziemy niezbędnego zaiste u każdego, co podejmuje zaniedbane zdawna badania, rzutu oka na rozwój pracy geograficznej w Polsce. Znajdujemy tu wprawdzie oddzielne oceny zasług Hubego, Śniadeckiego i Kołłątaja na tem polu, ale to są tylko fragmenty z historyi nauki, której tak świetny początek daje Długosz i Maciej z Miechowa. „Opis obojga Sarmacyi“ tego ostatniego obiegł całą ówczesną Europę, zarówno w licznych wydaniach oryginału łacińskiego, jak i w przekładach na wszystkie ważniejsze języki.

Większą część zbioru p. N. wypełniają ciekawe, a przy ubóstwie naszej literatury geograficznej dotąd świeże, zarysy krajoznawcze, oparte na obcych badaniach.

Dowiaduje się z nich czytelnik o właściwościach fizycznych takich odległych a ciekawych krain, jak: Islandya, Abissynia, Afganistan, Dżungarya, lub uczy się lepiej rozumieć znaczenie dziejowe morza Śródziemnego lub doliny Nilu, lecz

daremnie upatrywać będzie prac, któreby wytłómaczyłyby naukowo właściwości nizin nadwiślańskich, tajemnice pojezierza baltyckiego, kotlin Polesia itp.

Sądzę, że główną przyczyną zaznaczonej w przedmowie kollizyi między p. N., jako geografem, a otoczeniem było niezrozumienie potrzeb społeczeństwa, które pragnęło i pragnie nie tyle zapoznawania się z postępami geografii w zakresie ziemioznawstwa powszechnego, ile przystosowania metod nowych do zbadania własnego kraju, wyjaśnienia właściwości obszaru, na którym rozwija się nasze życie.

To też z całem uznaniem i wdzięcznością przyjęto piękny „Zarys geograficzny dawnej Polski", opracowany dla „Słownika geograficznego" (wydany też w odbitce). Rozwinięciem tego zarysu w szczegółowy, wyczerpujący obraz oddałby p. Nałkowski nauce i społeczeństwu doniosłą usługę, a sobie trwały wystawił pomnik.

W ciągu ostatnich lat 20 nagromadzono przecie u nas tak wiele pomocniczych materyałów i opracowań z zakresu krajoznawstwa. Tymczasem p. Nałkowski oświadcza we wstępnem „Słowie od autora", iż wobec „zachwaszczenia" naszego gruntu, nie pozwalającego na zasiew ziarn wiedzy, zmuszony jest porzucić studya geograficzne, by „pługiem krytyki" przeorać zdziczały ugór i przygotować dopiero rolę dla posiewu przyszlych pracowników. Sądzę jednak, że społeczeństwo nasze byłoby daleko wdzięczniejsze p. N. za piękne opracowania krajoznawcze, niż za przyobiecane operacye krytyczne. *Br. Ch.*

Utwory Teokryta (Idylle i epigramaty.) Przetłómaczył, wstępem i przypisami objaśnił *Kazimierz Kaszewski*. Warszawa, 1901. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Druk P. Laskauera i W. Babickiego. 8-vo. s. 172.

W literaturze naszej nie mieliśmy dotąd zupełnego przekładu utworów Teokryta, kilka tylko sielanek przetłómaczył Szymon Szymonowicz, Kniaźnin, Zygmunt Węclewski i Lucyan Siemieński. Idylle Teokryta domagały się jednak koniecznie całkowitego tłómaczenia, jako jeden z najpiękniejszych zabytków literatury greckiej: przemawiało za tem nadto i to, że Teokryt wywarł wielki wpływ na rozwój poezyi sielskiej polskiej; przekład zupełny Teokryta był bardzo pożądany dla tych, którzy, nie posiadając dostatecznej znajomości języka greckiego, nie mogą poznać Teokryta w oryginale. Stąd też wielką jest zasługą p. Kaszewskiego, tak niestrudzonego w tłómaczeniu arcydzieł poezyi greckiej, że dał nam zupełny przekład utworów Teokryta.

Tłómacz poprzedza przekład zwięzłą charakterystyką twórczości Teokryta: zastanawia się w niej pokrótce nad życiem poety, poczem przechodzi do oceny jego działalności literackiej. Omówiwszy utwory epiczne i liryczne Teokryta, zastanawia się szczegółowo nad znaczeniem poety, jako sielankopisarza. W tym rodzaju poezyi pozyskał sobie Teokryt wielką sławę z następujących powodów: on pierwszy wykształcił i doprowadził do szczytu artyzmu poetycznego sielankę, rodzaj, przedtem prawie nieznany; podrugie wielką wartość jego sielanek stanowi wierne odtworzenie stosunków, opisywanych przez niego; potrzecie wreszcie, nadając utworom swoim formę dyalogów, przedstawia osoby, w sielankach występujące, jak się tłómacz wyraża, z ciałem i duszą. Nie dziw też, że sielanki Teokryta wywołały cały szereg naśladowców, najpierw w późniejszej literaturze greckiej, a potem rzymskiej, w dalszym zaś ciągu szereg naśladowców w literaturze nowej. I w naszej literaturze wywarł wielki wpływ Teokryt na rozwój sielanki: Szymonowicz, Zimorowicz, Gawiński, Chełchowski, Naruszewicz, Kniaźnin, Karpiński—oto

szereg najważniejszych tylko naśladowców starożytnego poety. Kwestyi tej dotąd jeszcze należycie nie opracowano, wymaga ona osobnej szczegółowej monografii. Najdokładniej jeszcze zbadany jest stosunek Szymonowicza do Teokryta: do badań dotychczasowych nad tym przedmiotem dorzuca ze swej strony tłómacz szereg cennych spostrzeżeń.

Za podstawę tłómaczenia służyło tłómaczowi trzecie wydanie utworów Teokryta, dokonane przez Zieglera; posługiwał się jednak także innemi wydaniami i komentarzami różnych wydawców, kierując się zawsze umiejętną krytyką. Teokryt nastręcza tłómaczowi niezmierne trudności, już to z powodu błędnie nieraz przekazanego tekstu, już to z powodu rozmaitych dyalektów, w jakich poeta tworzył, przedewszystkiem zaś z powodu specyalnego kolorytu lokalnego, nadanego sielankom. Praca nad przyswojeniem jego dzieł wymaga nie tylko gruntownej znajomości świata starożytnego, lecz także prawdziwego natchnienia poetycznego. Zadaniu temu odpowiedział w zupełności Kazimierz Kaszewski, znakomity badacz świata greckiego, obdarzony niezwykłym darem odczuwania piękności w utworach poetów starożytnych, wyborny przytem znawca języka polskiego, obdarzony też sam niemałym zasobem talentu poetycznego.

Chcąc należycie ocenić pracę tłómacza, powinieniem podane poniżej uwagi poprzeć całym szeregiem zestawień oryginału greckiego z tłómaczeniem polskiem; na podstawie takiego porównania wystąpiłyby dopiero w należytem świetle zasługi tłómacza; charakter jednak literacki pisma, w którem umieszczam tę recenzyę, nie pozwala mi wdawać się w wywody czysto filologiczne, ograniczę się przeto tylko do podania kilku ogólnych uwag, jakie mi się nasunęły przy czytaniu tłómaczenia. Sam tłómacz trafnie charakteryzuje swoją pracę, jako przekład, „nie mający pretensyi być dziełem filologicznem“: jest on pracą przeważnie literacką. Jako jedną z wielkich zalet przekładu, wymieniam przedewszystkiem wierność, z jaką tłómacz oddaje wiersz po wierszu myśl oryginału: wierność jest tak wielką, iż tłómacz w żadnym poemacie nie użył większej ilości wierszy, aniżeli jest ich w tekście greckim. Tę ścisłość osiągnął tłómacz w ten sposób, że używał rozmaitych rodzajów wierszy, przedewszystkiem przy tłómaczeniu sielanek, pisanych w oryginale heksametrem. Ponieważ heksametry greckie przy niezmiernej treściwości języka greckiego zawierają zwykle tyle treści, jakiej język polski nie może pomieścić w trzynastozgłoskowym wierszu rymowanym, zastępującym zwykle w naszych tłómaczeniach heksametr grecki, posługiwał się tłómacz z powodów wymienionych trudności wierszami dłuższymi, 14, 15 i 16-tu zgłoskowymi. Dzięki temu osiągnął zupełną zgodność z ilością wierszy greckich. Przekład p. K. odznacza się dalej wielką poetycznością; tłómacz oddał przedziwnie prostotę i wdzięk sielanek greckich, zachowując wiernie koloryt Teokryta, tak trudny do oddania; bez przesady można też śmiało powiedzieć, że tłómaczenie polskie dorównywa zupełnie oryginałowi. Z wielką siłą odtwarza najrozmaitsze sceny z życia pasterzy, umie też oddać przeróżne stany serc ludzi, przedstawionych w sielankach, głęboką ich miłość, nienawiść, rozpacz, z wielkim też artyzmem zachowuje realistyczny pierwiastek, tak charakterystyczny w sielankach. Po odczytaniu tłómaczenia p. K. porównałem z niem przekład niemiecki H. Vossa, uważany za najlepszy przekład niemiecki Teokryta; porównanie moje wypadło na korzyść tłómaczenia polskiego; tłómaczenie niemieckie czyni wrażenie rzeczy sztucznej, wymuszonej, przeciwnie w tłómaczeniu p. K. widoczne jest gorące przejęcie się starożytnym poetą, głębokie jego zrozumienie i wniknięcie w ducha sielanek.

Pragnąc poprzeć swoje słowa choć kilku przykładami, przytaczam poniżej wyjątki: w sielance pierwszej np. zwraca uwagę świetny opis czary, oddany nadzwyczaj pięknie przez tłómacza (ww. 27. nn.):

Dam czarę, wewnątrz wylaną gładziutkim woskiem, głęboką,
Dwuuszną, świeżo rzeźbioną, że, zda się, rylec z niej wionie;
U wrębów po jednej stronie bluszcze się wiją wysoko,
Słonecznikami przetkane nawskroś; po drugiej zaś stronie,
Wzdłuż na podporach, wśród liści złociste widnieją grona.
Po środku,—dzieło rąk bożych,—stoi kobieta rzeźbiona,
W płaszczu i z czółkiem na głowie. Przy niej dwaj piękni młodzieńcy
Z kędzierzawymi włosami, lecz ona słów tych do serca nie bierze:
Na tego spojrzy z uśmiechem, lecz zaraz w równej też mierze
Przymili się i drugiemu. Obaj miłosne w nią oczy
Wpijają chciwo, lecz czują, że walka próżno się toczy.

Z sielanki 8-ej przytaczam dwa czterowiersze:

Wszędzie wiosna, pastwiska, mlekiem wzdęte wszędzie
Wymiona, młodzież się tuczy wesoła,
Gdzie stąpi piękne dziewczę, lecz gdy ta ubędzie,
Pousychają i pasterz, i zioła.

i drugi: ww. 53—56: Nie chcę ziemi Pelopsa, ni talentów złota,
Ani mi wiatry prześcigać ochota,
Wolę w uścisku twoim śpiewać przy tej skale,
Patrząc na oczy, na sykulskie fale.

Z siłą też oddane są błagania Cyklopa w sielance jedenastej:

Przyjdź do mnie, a nie gorzej będzieć, niż u matki.
Porzuć błękitne morze, niech tłucze opoki;
Przyjemniej spędzać będziesz noce w grocie mojej:
Są tam wawrzyny, cyprys smukły i wysoki,
Ciemny bluszcz, w słodkich gronach winnica też stoi;
Potok ze śniegów spuszcza mi Etna lesista:
Woda istna ambrozya, zimna i przeczysta. (w w. 42—48.)

Podobnie pięknie oddanych wierszy mógłbym przytoczyć jeszcze cały szereg: dostarcza ich każda strona książki.

Cennem uzupełnicniem tłómaczenia są przypisy p. K. do idylli i epigramatów, ułatwiające znacznie zrozumienie poematów: dają one nam możność wniknięcia choć w części w pracę autora, który w niejednej swej uwadze zwierza się przed czytelnikiem z licznemi wątpliwościami i trudnościami, jakie mu się nasuwały wśród pracy.

Streszczając swój sąd o tłómaczeniu p. K., muszę je zaliczyć do najcenniejszych przekładów literatury starożytnej; przysparza ono czcigodnemu tłómaczowi nowych laurów, wszystkim zas miłośnikom literatury starożytnej każe uczuwać dla tłómacza niezmierną wdzięczność za obdarzenie nas przekładem tak znakomi-

tym, dorównywającym pięknością poprzednim tłómaczeniom Aischylosa i Sofoklesa, dokonanym przez niego.

Dr. Wiktor Hahn.

„Der Entwicklungsgang der Schleiermacher'schen Dialektik", eine kritisch-vergleichende Untersuchung von *J. Halpern*. Odbitka z czasopisma „Archif für Geschichte der Philosophie," wydawanego przez L. Steina, (Berlin, 1901).

Mam przed sobą rozprawę akademicką, napisaną przez J. Halperna, Polaka, o stopniowem kształtowaniu się dyalektyki Schleiermachera. Autor zadał sobie rzetelną pracę, ażeby zanalizować pomysły spekulatywne tego filozofującego teologa, którym obecnie zaledwie garstka specyalistów się zajmuje, Niegdyś Schleiermacher miał sławę równie głośnego mędrca, jak Fichte, Schelling i Hegel, których słowa stawały się wyrocznią dla całego pokolenia. I u nas były tęgie umysły, poddające się wpływowi niemieckich mistrzów ze szkodą własnej oryginalności. W świetle późniejszej krytyki i skutkiem powszechnego otrzeźwienia intelektualnego metafizyka tych wielkości, niegdyś rozgłośnych i sławnych, okazała się igraszką słów, pojęć bez treści, stekiem sofizmatów niekiedy bardzo niezręcznie skleconych. Z całego też szeregu filozofów niemieckich przed kilkudziesięciu laty znanych i uznanych, ostał się jeden tylko. Schopenhauer: ten wzgardzony przez wyrocznie uniwersyteckie Schopenhauer ostał się tak, jak był przepowiedział sam, smagając nielitościwie w owych dziełach zarówno Hegla, jak i jego towarzyszów. Nazywał on ich słusznie filozofastrami, sofistami, deprawującymi język niemiecki przez wprowadzenie do niego słów i pojąć bez treści, zakuwających mózgi młodzieży. Są jednak do dzisiejszego dnia w Niemczech ludzie (chwała Bogu, iż u nas ich niema), którzy nie mogą się pozbyć uroku, rzuconego ongi przez hegelianizm i schleiermacheryzm. Dla tych miłośników czczej metafizyki nasz młody uczony napisał niniejsze studyum.

Schleiermacher—mówi p. Halpern—chciał z dyalektyki uczynić teoryę poznania, uważając, iż problematem jej jest wiedza (das Wisssen), dla umożliwienia której postępu należy wysnuć prawa i formuły. W duchu transcendentalnej filozofii Schleiermacher ująć pragnie ową wiedzę przez „absolut", ponieważ poszukiwane prawa i zasady nie muszą być czem innem, jak temi siłami, które w naturalnym (żywiołowym) stanie wiedzy w konstrukcyi tejże są czynne. P. Halpern porównywa i analizuje szczegółowo rękopisy kursów uniwersyteckich Schleiermachera, traktujące o dyalektyce, pokazując nam, jakim zmianom uległy pierwsze pomysły spekulatywne tego filozofa w ciągu długich lat (1811—1831). Widzimy w tym, niekiedy bardzo subtelnym rozbiorze wysiłki filozofującego teologa protestanckiego, ażeby połączyć pojęcia bytu i myślenia, żeby bliżej wyjaśnić ów nieujęty absolut i przykroić dlań szalę monoteistyczną, zgodną z chrześcijańską ideą Boga, żeby wreszcie usunąć sprzeczności, gromadzące się coraz bardziej. Schleiermacher był przedewszystkiem teologiem i, gdyby był nim pozostał, uniknąłby tych nienaturalnych naciągań i skoków, jakie są widoczne w jego dyalektyce. Ale on chciał także być filozofem i na drodze metafizycznych spekulacyi pragnął wynaleźć dowody dogmatów. Stąd te jego sprzeczności, te łamańce, ta igraszka pustych pojęć, nieuchwytnych omówień. Schleiermacher mówi o absolucie, ulubionym koniku filozofów à la Hegel, a myśli o Bogu, określonym dogmatycznie. Powiada np.: „Niema świata bez Boga, a Boga bez świata," potem zaś: „Byt jest

myśleniem, a myślenie jest bytem—razem zaś oba pojącia są identyczne". Jak tu jedno z drugiem pogodzić?... Nie można, podobnie jak nie można utożsamić podmiotu z przedmiotem w ten sposób, żeby każdy istniał oddzielnie. Badanie istoty rzeczy, stosunku myślenia do bytu, Boga do świata musiało konsekwentnie doprowadzić Schleiermachera do panteizmu. Otóż filozof ów, nie chcąc opuścić gruntu teologii chrześcijańskiej, broni się przed tą koniecznością wszelkimi sposobami i zawraca w stronę dziwacznego mistycyzmu, w którym mają się wszelkie sprzeczności pogodzić. Przeszedłszy cierpliwie i pracowicie wszystkie studya kształtowania się dyalektyki omawianego filozofa, p. Halpern dochodzi do następujących wniosków:

1-o. W teoryi poznania Schleiermacher trzyma się granic krytycyzmu i poza niego wychodzi. W tych granicach analizuje wiedzę w obu jej formach — pojęcia i sądu w tym celu, ażeby postawić zasady rozwoju wiedzy w całym jej zakresie. Rozważa zatem wzajemny stosunek wyższych form myślenia, ich genezę i działanie. Takim sposobem w dyalektyce jego występuje charakterystyczna cecha całego systematu -- ewolucya w procesie poznania.

2-o. W stosunku do absolutu Schleiermacher opuszcza granice krytycyzmu i zawraca w stronę religijnego uczucia. Tu następuje gmatwanina, ponieważ w stosunku do poznania absolut musi być intellektualnym i wystąpić, jako całość, tożsamość, spójnia, jedność. To zaś razem uwidocznia drugą charakterystyczną cechę systematu — panteizm.

Z tego zestawienia obu charakterystycznych cech systematu — mówi p. Halpern (str. 269) — ujawnia się antynomia pojęć. Skoro bowiem uznajemy rozwój, to nie może być mowy o absolucie, ile że to, co ma być podstawą, czemś niezmiennem, nie może się dopiero stawać. Jeżeli zaś absolut ujmiemy, jako coś niezmiennego (immanent) — tożsamość bytu i myślenia, objektu, to będziemy mieli panteizm, wykluczający wszelki rozwój. Absolut — powiada p. Halpern — oznacza coś jednogatunkowego, niezmiennego, a rozwój — cały szereg członków, różniących się pomiędzy sobą; otóż te dwa pojęcia nie dadzą się w żaden sposób pogodzić. Słusznie też zaznacza w końcu, że pomimo ogromnych wysiłków i subtelnych dociekań rezultat pozytywny filozofii Schleiermachera jest tak szczupły, iż daje się zredukować do kilku formuł wyższych i form praktycznych wskazówek, dotyczących t. zw. rozumu biernego (ratio ignava).

Tyle o filozofii Schleiermachera. Teraz kilka słów o autorze niniejszej rozprawy. Otóż naprzód trzeba przyznać, że p. Halpern analizę dyalektyki Schleiermachera przeprowadza bardzo sumiennie i ze znajomością przedmiotu. Subtelnościami terminologii metafizycznej owych czasów zawładnął znakomicie: wie, o czem mówi i do czego zmierza— na tem też polega jego wyższość nad owymi filozofostrami, jak ich nazywa Schopenhauer. Nie gubi się w labiryncie suchych, beztreściwych pojęć, owszem szuka wyjścia i trafia na nie w swych krytycznych wnioskach. Widać także w rozprawie niniejszej zamiłowanie przedmiotu, co jest tem dziwniejsze, że trudno się w podobnej gadaninie lubować. Nawiasowo muszę dodać, że czytanie Hegla, Scheiermachera *et consortium* uważam za gimnastykę umysłową tego rodzaju, która wyczerpuje siły intellektualne bez pożytku a ze stratą czasu. Człowiek nie staje się mądrzejszym przez badanie dzieł tych sztucznych wielkości, a staje się natomiast skłonny do przelewania z pustego w próżne. Dlatego też radzibyśmy byli, ażeby autor omawianej pracy, jako jeden z rzadkich u nas adeptów „matki wszystkich nauk", zwrócił swoją uwa-

gę na tych mistrzów prawdziwej filozofii, którzy na wieki pozostaną gwiazdami jasnemi dla ludzkości, filozofujących zaś teologów w rodzaju Schleiermachera pozostawił w spokoju wspomnienia, na który sobie rzetelnie zasłużyli.

Antoni Miecznik.

„Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni", przedstawił *Zygmunt Gloger* (z czterdziestu rycinami). Warszawa, (bez daty), Jan Fiszer, Nowy Świat, 9, str. 384 in 4-o.

Autor „Roku Polskiego" należy do bardzo szczęśliwszych, do najszczęśliwszych może u nas pisarzy: jest optymistą. Rzadki to okaz. Na tysiąc osób spotkasz dziś, w naszych czasach i warunkach zaledwie, trzy, cztery jednostki, któreby miały i myśl tak pogodną, i styl tak jasny. Jasność i pogoda płyną z wiary. P. Gloger szczerze i mocno zdaje się w to wierzyć, że, byle społeczeństwo święcie przechowywało odwieczne swe obyczaje, to już i wszystko,—prawie, że wszystko. Jeszcze w książce, wydanej przed kilku laty—tejże, co i obecna, treści, tylko bez rysunków, bez ampflikacyi i pożyczek antologicznych, autor powiadał literalnie to samo, co i dzisiaj w słowie wstępnem: „Ludzie, wystudzeni wszechświatowością, zatracają obyczaj rodzinny i są, j a k o ś m i e c i e, którym wszystko jedno, do jakiego kąta zamiecione będą..." Zwrócono już i wtedy uwagę p. Glogera na niewłaściwość i zawodność uogólnień zbyt pochopnych. Łatwiej bowiem jeszcze dałoby się dowieść twierdzenie wręcz przeciwne, odwrotne, a mianowicie, że ci, co najskrupulatniej i najzawzięciej tradycyi dawnej, i obyczaju ojców strzegli i do upadłego ich bronili, najłacniej właśnie zamiatać się w kąt dawali... Historya z końca wieku XVIII posiada pod tym względem illustracyi o tyleż wspaniałe, o ile smutne: w pamiętnikach Kitowicza i Matuszewicza, w pismach Rzewuskiego, u Matejki nawet, u Mickiewicza w niektórych ustępach „Pana Tadeusza..."

Upór na upór—niech-że szanowny autor „Roku polskiego" pozwoli nam obecnie przytoczyć choć kilka drobnych przykładów z jego własnej pracy na dowód, że, oprócz niezmiernie rzadkich wyjątków, każdy w ogólności obyczaj z natury swojej zachowuje się n e u t r a l n i e i biernie w sprawach tego rodzaju, co etyka indywidualna i zbiorowa, co godziwość lub niegodziwość postępowania w życiu prywatnem i publicznem,— i że zatem skłonność lub gotowość do garnięcia się ku śmietnikom pokątnym najswobodniej obracać się może w życiu potocznem i krzątać się po świecie zarówno w łupinie obyczaju, jak i bez tej łupiny.

A najpierw—obyczaj to nie jedno, co obyczajność. Obyczaj, gdy się przeżyje i skaduczeje, może być zupełnie nieobyczajnym, nawet potwornym, wtedy, gdy obyczajność, zawarta w nim niegdyś, oddawna przybrała dla swego objawu pancerz inny, zgodniejszy z potrzebami zachowawczości postępowej, rozumnej, moralnej. Alboż była obyczajność jakakolwiek w owych obyczajach ojców a nawet starszych braci naszych, które im pozwalały, klepiąc trzy po trzy zdrowaśki z różańca, przeplatać je jednocześnie scenami, wyjętemi jakby żywcem z „Opowiadań" Żeromskiego: „i nie skończył jeszcze drugiego zdrowaśka, gdy spostrzegł Jurahę, skradającego się do jabłek za parkanem, więc poskoczył ku niemu, jak tygrys i powiadając... b ł o g o s ł a w i o n y o w o c ż y w o t a t w o j e g o... złodzieju ty j akiś! rżnął go najpierw obcasem w brzuch, oburącz następnie porwał za gardło, jął tłuc głową ledwie dyszącego podrostka o parkan i w końcu—ze słowami: t e r a z i w g o d z i n ę ś m i e r c i n a s z ej, a m e n... — dał mu stanowcze pchnięcie w bok, zwane ze staropolska d u r c h..." To jeden obyczaj, przedadwentowy. Za drugi starczyć powinien mięsopust dawny: „my sobie jedziem kuligiem, i w noc

i we dnie, wesołe, szalone, przednie... lecim saniami, i jadą z nami wrzawa, śmiech pusty"... poprzez zagony, pomiędzy chlewy, wśród chat zwalonych, izb nieoszklonych, wśród dziatwy bosej,—na łeb na szyję, jak opętani lecim ze śmiechem, gdzie gołe jary, i kościół stary, i dziury w moście, i lud osowiały w modlttwie, poście, spędza wiek cały...

Nie uwzględniwszy różnicy pomiędzy obyczajnością a obyczajem, p. Gloger nie uważał też za stosowne oddzielić zwyczaju od obyczaju. Stłoczone to zostało w jego książce w sposób taki, iż możnaby autora pomówić o umyślne lekceważenie określeń etymologicznych największej wagi. Szafuje i jednem, i drugiem pojęciem bez żadnego zastanowienia. Adwent—powiada—„zaczynał się niegdyś po Ś-tym Marcinie. Stąd powstał z w y c z a j ucztowania na gęsi pieczonej, jako przysmaku mięsnym w dniu ostatnim przed tak długim postem. A że w polskim klimacie jest to początek zimy, więc... (racya fizyka) poczęto w r ó ż y ć sobie, jaka będzie z kości spożytej gęsi. Z pierwszą niedzielą adwentu zaczyna się nowy rok kościelny, że zaś polskim o b y c z a j e m... (Kaśka butów nie ma) w ostatnim dniu roku starego czyniono z a w s z e (?) wróżby na rok nowy, ztąd poszły owe wróżby zamążpójścia..." (str. 19). Pomijamy już wiązania stylowe, z których często niepodobna się domyśleć, czy koniec poszedł od początku, czy początek od końca, ani też dociec, azali zwyczaje poprzedzają obyczaj albo też naodwrót, z niego rodowód swój czerpią; natomiast, niepodobna się powstrzymać od pytania, jakim sposobem się stało, że autor, przypisawszy w przedmowie rolę tak ważną o b y c z a j o m narodowym, przepełnił swą książkę opisami zwyczajów — najpodrzędniejszejszej, najlichszej, nijakiej obyczajowej wartości?—Niektóre z tych koszałek opałek wprost oburzają swem przeplataniem wątków to szacownych, to idyotycznie skoślawionych. W ostatni wtorek zapust—powtarza p. Gloger za K. Wł. Wojcickim—ktoś z gości lub domowników, włożywszy na siebie koszulę zamiast komży, stawał na stołku i prawił kazanie. Była to mieszanina zdań, „z umysłu śmieszni e powiązanych lub z w i ą z k u z sobą nie mających, a zwykle okraszanych p r a w d z i w y m staropolskim dowcipem i z ł o t y m humorem" (102). Prawdziwy, złoty humor i dowcip staropolski nasadzony na monolog bez związku, bez sensu!—cóż to za kpinki, i z kogo, i poco?—„W środę półpostną, czyli na półpoście s w a w o l n i c y, wziąwszy rano stary garnek i napełniwszy go skorupami i popiołem, podbiegają ukradkiem i rozbijają o drzwi lub okienice ś p i ą c e g o sąsiada" (130). Zwyczaj ten—tłómaczy autor—po dziś dzień zachowywany bywa przez lud wiejski i miejski; ponieważ zaś pochodzi z pierwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce, kiedy od półpościa do Wielkiejnocy nie używano już wcale gotowanej strawy, a to na pamiątkę czy dla uczczenia męki Chrystusa Pana, możnaby zatem całą tę praktykę podnieść do godności o b y c z a j u narodowego, zwłaszcza, że i wyższe towarzystwo, nie tylko gmin, obrzucało się nawzajem takimi garnkami po wyjściu z mieszkania, na ulicy, — przyczem mężczyzni powiadali niewiastom: „Półpoście, mościa pani" (lub panno)! — a niewiasty mężczyznom: „półpoście, mości panie!"... Bardzo ładnie... Ale dlaczego autor nie poucza nas, jak tych skorup używać dziś należy w celu uchronienia się od wymieceuia w kąt?—W innem znów miejscu (209) p. Gloger, określając znaczenie „dyngusów" i „śmigusów" wielkanocnych, przytacza opis ks. Andrzeja Kitowicza, z którego się okazuje, że za Augusta III Sasa w powszechnem u nas użyciu, nie tylko między pospólstwem, ale też i między osobami „dystyngowanemi", było „oblewanie się rozmaitym sposobem..." „Amanci dystyngowani—pisze Kitowicz chcąc tę ceremonię odprawić amantkom swoim bez przykrości, oblewali je lekko

różaną lub inną pachnącą wodą, po ręce, a najwięcej po gorsie, małą jaką sikawką lub flaszeczką...“ Inni „oblewali damy wodą prostą“, znienacka niespodziewanie, „chlustając garnkami, szklanicami, dużemi sikawkami, prosto w twarz, lub od nóg do góry...“ Tu także — jak i w secinie innych tego rodzaju obrzędów zwyczajowych lub obyczajowych — rodzi się pytanie: co dzisiejsza polskość traci lub zyskuje w następstwie zachowywania i przechowywania czczych owych przeżytków, czyli, jak chce Kitowicz, „s w a w o l i powszechnych“, i jakby one bronić miały społeczność naszą od „zaśmiecenia się...“?

Z kilku dorocznych obchodów lub zabaw, jakiemi są np. sobótki, dożynki, wieńce śto-jańskie, kolędy, jasełka, uczty polne śto-jerskie (gdzie się utrzymały), możnaby zapewne wysnuć jakąś przędzę żywotną, artystycznie podniesioną do znaczenia i wysokości, nadanej przez Mickiewicza „pieśni gminnej“ w nieśmiertelnem do niej wezwaniu. Ale i to wymagałoby przedewszystkiem pewnego wydzielenia motywów i wątków swojskich z masy pierwiastków przybłędnych, obcych. Te niby „nasze“ jodełki w wigilię Bożego Narodzenia, kosztowne, niezdrowe, niebezpieczne, obwieszane łakociami na suty sposób wszelkich naszych z niemiecka odświętnych, kielichowych biesiad, tak niehigienicznie wetujących zbytkiem doraźnym suchednie minione lub nadchodzące,—są naprawdę o tyle rodzinne, o ile istotnie w lasach polskich zostały wycięte...

Znajdujemy i w książce p. Glogera kilka lekkich dwu-trzywierszowych napomknień etymologicznych i rodowodowych, zaznaczających „słowiańską“ genezę niektórych zabytków. Wielkanocny „dyngus“ od niemieckiego dünn-gass, „musi być bardzo starożytny—powiada autor—skoro w i d z i m y go zarówno u kolebki ludów aryjskich w Azyi, jak i u nas, w Słowiańszczyźnie..,“ I tyle tylko. To ma starczyć za dowód. „Widzimy!“—lecz właśnie wcale tego nie widzimy. Należałoby ową „kolebkę aryjską“ choć jako tako związać z naszym, po dziś dzień trwającym dyngusem, a to przez przytoczenie jakichkolwiek ogniw pośrednich: zbliżeń, zestawień, przejść dziejowych. Bo co do ogniwa starosławiańskiego, p. Gloger utrzymuje zanadto zwięźle i ogólnikowo, że „kronika ruska (która? — bo jest ich kilka) odnosi ten zwyczaj do czasów pogańskich, dodając, że Rusini tak dalece p r z e s a d z a l i (?) w zwyczajach śmigusowych, iż osoby płci obojej w r z u c a n o (?) nieraz s w a w o l n i e (?) do rzeki, przyprawiając niejedną o śmierć!!...“ Jeżeli jest tu mowa o kronice kijowskiej mnicha Nestora, w takim razie szkoda, że autor uważniej nie przejrzał I tomu „Monumentów“ Bielowskiego: znalazłby tam niewątpliwe poszlaki dowodów, że owe kąpiele śmigusowe nie były wcale swawolą u Polan i Dregowiczów naddnieprzańskich, lecz stanowiły poważny i z wielu względów znaczący w owych czasach obrzęd zaślubin, których nowoczesne dyngusy (chodzenia za podarunkami, czyli za „włóczebnem“) i śmigusy (urządzanie lań lub sprawianie łaźni) są już dziś tylko odłamkami schudzonymi, pozbawionymi wszelkiej społecznej treści i wartości.

Poza pobieżnymi suchymi opisami i notatkami p. Glogera, znanymi z poprzednich jego prac w dziedzinie ludoznawstwa, jak np. przysłowia i wróżby jesienne, gody weselne, zaduszki, przypowieści i prognostyki na porę letnią, okrężne, konik zwierzyniecki, przepowiednie siejby wiosennej, Bielany i Zielone Święta, rękawka, witanie nowego lata, Prima Aprilis, święcone wielkanocne, roraty itd.,— poza temi notatkami „Rok polski“ zawiera mnóstwo pożyczek literackich, wierszy i opowiadań ulotnych z pism Syrokomli („Dni doroczne“), Żmichowskiej („Prządki“), Pługa („Zagon rodzinny“), Glińskiego Kazimierza („Do Betleem“), Pola („Pieśń o domu“), Karpińskiego („Bóg się rodzi“), Woronicza („Kolęda na r.

1784"), Mickiewicza („Hymn na dzień Zwiastowania"), Koźmiana (wyjątek z „Ziemiaństwa"), Odyńca („Alleluja"). Deotymy („Boże ciało za Piastów"), Oppmana („Boże ciało r. 1685"), Kochowskiego („Prośba o deszcz"), Kochanowskiego Jana („Obraz skwarnego lata"), Lenartowicza (ustęp z „Małego światka"), Duchińskiej („Przepióreczka"), Lei („Na przedzimiu"), Sabowskiego („W wigilię Ś-go Andrzeja"), Asnyka („Na nowy rok 1875") etc. Pożyczki te tak dalece pochłaniają właściwą osnowę etnograficznych zarysów samego autora, że całość uważać należy za rodzaj „wypisów", o których, tak samo, jak i o rysunkach, przeważnie Andriollego, recenzent miałby to chyba do nadmienienia, że zasługują one na dobre i serdeczne przyjęcie w każdym domu polskim, jako starzy i bardzo już dawni znajomi.

Hodi.

„Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX." Warszawa, nakład M. Chełmońskiej, 1900, t. I, str. 500 in folio.

Ustawiając w prostym chronologicznym porządku życiorysowe zasoby „Albumu", otrzymuje się dość dokładny, lubo fragmentowo skreślony obraz historyi samego społeczeństwa polskiego w wieku XIX, w rozmaitych zakresach jego działalności, politycznej, wojskowej, umiejętnej, artystycznej. W tomie pierwszym z konieczności przeważają też i dzieje pierwszej wieku połowy, do roku mniej więcej 1846; granicy jednakże nie przestrzegano ściśle, i to stanowi pewien powab wydawnictwa, które pomimo nieuniknionej nieraz pobieżności wykładu daje należycie jasne i w wielu razach szczegółowe wyobrażenie o pracy i usiłowaniach naszych w ciągu ostatnich lat stu.

Przewodnikiem w ciężkiej, powiedziećby nawet wolno, straszliwej i okrutnej przeprawie ze starego na nowy brzeg życia jest jedna z najpiękniejszych, prawdziwie Pluturchowych naszych postaci: Stanisław Małachowski (ur. 24 sierpnia 1736, † 29 grudnia 1809), marszałek Sejmu wielkiego, prezes Komisyi, rządzącej w początkach Księstwa Warszawskiego, następnie zaś po ukonstytuowaniu się Księstwa, prezes jego Rady stanu i Senatu. Biografię zacnego człowieka i dobrego obywatela skreślił p. Józef Bojasiński z tem ciepłem serdecznem, które dopiero w najmłodszem, ostatniem pokoleniu naszych publicystów przypomina cokolwiek apologetyczny okres historyografii polskiej z przed r. 1863. Ale i krytycyzm późniejszy niewieleby tu miał do czynienia. Mężem stanu, dyplomatą, politykiem Małachowski nie był; chorążym stronnictwa postępowego obwołano go dla wielkich jego cnót i przymiotów serca, nie dla bystrości rozumu, rozległości wiedzy lub niezwykłych zdolności administracyjnych. Listy jego nie są podobno ortograficznie poprawne. Ale zato stylistyka postępowania, pełnego godności, taktu, zdrowego rozsądku i zdumiewającego, bezgranicznego w sprawach publicznych poświęcenia osobą i mieniem—jest w najpiękniejszem znaczeniu słowa klasyczną. „Po upadku konstytucyi 3 maja — pisze p. Bojasiński — Małachowski zaniósł do ksiąg ziemskich warszawskich energiczny manifest (25 lipca 1792 r.) przeciw aktowi targowickiemu, poczem opuścił kraj i udał się do Saksonii razem z Ig. Potockim, Tad. Mostowskim, Kołłątajem i innymi, bawiąc kolejno w Lipsku i Dreźnie. Po kilku latach pobytu we Włoszech powrócił do Galicyi i osiadł na wsi. W r. 1798 obwiniono go o knowanie spisków tajemnych w Medyolanie i oddano pod ścisły nadzór policyjny razem z Potockim Ign., Stanisławem Sołtykiem i innymi, a w końcu uwięziono i przewieziono do Krakowa, gdzie go trzymano przez osiem miesięcy. Pod koniec rządów pruskich mieszkał w Warszawie. W grudniu 1806

na czele szczupłego grona dawnych uczestników sejmu witał Napoleona w murach Warszawy...“ O tych czternastu latach życia Małachowskiego pragnęłoby się wiedzieć znacznie więcej. Cząstka ta historyi krajowej jest bardzo mało znaną ogółowi, a przecież posiada wagę pierwszorzędną: na wyspę nowych przeznaczeń byliśmy wtedy wyrzuceni zupełnie, jak Robinson Crusoe—i wygrzebaliśmy się tam jakoś. Wartoby to opowiedzieć dorastającej dziatwie na gwiazdkę nowego wieku.

Czasy legionów mocno w „Albumie“ osadzone zostały. Reprezentują je: Henryk Dąbrowski (1755—1818), Karol Kniaziewicz (1762—1842), Jan Leon Kozietulski (1781—1821) i ks. Józef Poniatowski (1763—1813) w opracowaniach pp. Adama Dobrowolskiego, Aleksandra Kraushara, Artura Oppmana. Łatając i uzupełniając jedne wskazówki drugiemi, otrzymuje się niemal spis kompletny losów, zdarzeń, przejść, zmian, strat, zawodów, jakim zawiązki wojska polskiego w wieku XIX ulegały, i zwycięstw, jakie odnosiły, od umowy zawartej, z rządem lombardzkim w początkach r. 1797, aż do kongresu wiedeńskiego, który byt rozbitków napoleońskich ustalił i rozszerzył. Tło tylko, podłoże, perspektywa dziejowa zatraca się i niknie w rozbiciu i rozproszeniu dat i wypadków, które w charakterystykach jednostek wszystkie są ważne i potrzebne, ale w zarysach całostek zbiorowych gmatwają i zacierają główne linie i etapy ciągłości historycznej. Szczególnie źródła i początki ruchu nikną i zatracają się w takich luźnych, rozstrzęsionych drobiazgach biograficznych. Najświetniejsze zjawisko w oderwaniu od powodujących je przyczyn, wygląda nieracyonalnie, zagadkowo i często niezrozumiale. Nasze piśmiennictwo historyczne w kwestyi ogólnego znaczenia Legionów świeci po dziś dzień luką szkodliwą i pod pewnym względem złowrogą. Ze skutków wnosimy o przyczynach i przypisujemy olśnienie i wierze w Napoleona to, co się zaczęło i rozwinęło na lat kilka wpierw, nim imię to weszło na widownię dziejów. Nie wtedy powstały legiony, kiedy Rewolucya francuska zaczęła narzucać Europie swe prawa i urojenia, ale kiedy ona sama w okresie organicznego swego wzrostu opadniętą została przez Europę średniowieczną i zacofaną. Bez uwzględnienia różnic, jakie fakt ten sprowadza w oświetleniu wypadków, nie dziw, że legionistów naszych pomówiono w dziejach i prasie polskiej o kondotyerstwo, o najemnictwo... Pamiętamy o wyprawie hiszpańskiej, o Smoleńsku i Lipsku, zapominamy zaś o tem, że to był tylko „ciąg dalszy“ służb i ślubów, zaciągniętych wtedy, gdy polskość z imienia nawet wymazaną została z roczników świata.

Nie wymaga żadnych tego rodzaju uwag i zastrzeżeń nauka i literatura tejże epoki. Jest ona w „Albumie“ prawie w komplecie,—a obrobioną została wielce starannie w niektórych działach. Niestarzejąca się walka romantyzmu z pseudoklasycyzmem nacechowana na niekorzyść drugiego tego kierunku bardzo niekiedy silnie i stanowczo. „Zatęchły, strupieszały, broniący się tylko siłą wiekowej tradycyi“—tak piętnuje klasycyzm p. Henryk Galle w monografii Tymona Zaborowskiego (1799—1828), poety nie dość jednak wybitnych zdolności, aby wobec niego kwalifikacya „starych“ wybitnie na jaw wystąpić mogła. Ale nie zbyt inaczej przedstawia się ta sprawa i u p. Romana Plenkiewicza, który się podjął uciążliwego zadania skreślenia sylwetki koryfeusza klasycyzmu, Ludwika Osińskiego (1757—1828) „poety, pedagoga, wyższego urzędnika sądowego, mówcy, redaktora, profesora uniwersytetu, dyrektora Teatru Narodowego, członka Tow. przyjaciół nauk i wszechwładnego niemal w swoim czasie krytyka“, o którym przecież pokolenie dzisiejsze wie niezbyt zapewne więcej nad to, iż sparafrazował dwuwiersz Mickiewicza: „Ciemno wszędzie, głupio wszędzie, nic nie było, nic nie

będzie“ i, zraniwszy się własnym tym dowcipem—wcale zresztą dobrodusznym—już się następnie nie podniósł z niemocy. Pomimo lekkiej ironii, z jaką p. Plenkiewicz traktuje uroszczenia Osińskiego, czuć w słowach biografa i dużo też serdecznego współczucia dla pisarza, „zanadto“ co prawda poważnego i sztywnego, ale bardzo dobrego człowieka i zacnego obywatela. Drugi przedstawiciel kierunku, Kajetan Koźmian (1771—1856), autor „Ody na zawieszenie orłów w Lublinie“ w r. 1809, satyry „Na tańcujący Kraków“ z r. 1813, „Ziemiaństwa“, „Stefana Czarnieckiego“ itd., nie ucierpiał również pod piórem p. Ignacego Chrzanowskiego. Przesyciliśmy się widocznie nieustającą zgryźliwością ocen pobieżnych, i ton łagodniejszy wywierać dziś na nas zaczyna wrażenie miłe. Nie przeczymy,—powiada krytyk—że w „Ziemiaństwie“ opisy zajęć rolniczych są suche, robione, prawidłowo wymęczone; ale są też i ustępy świeże, prawdziwie poetyczne, jak np. opisy natury, uroczystości wiejskich, pożar lasu itd. Tu i owdzie widocznym jest nawet wpływ nowych prądów poezyi—i opis np. borów w pieśni trzeciej przypomina opis puszcz litewskich Mickiewicza. Jest nadto jeszcze jedna rzecz w „Ziemiaństwie“ dodająca mu niezaprzeczonego uroku, ..to pierwiastek liryczny pod postacią szczerego i serdecznego uczucia do ziemi i natury rodzinnej, do cichego życia na wsi i do ludu wiejskiego, który Koźmian kochał gorąco i prawdziwie...“

Z szacownych pozostałości wieku XVIII i epoki stanisławowskiej śpiewak „Justyny“, Franciszek Karpiński nie mógł odsłonić p. Maryanowi Gawalewiczowi żadnych nowych widoków na poezyę, ale zato autor „Pamiętników, obejmujących epokę czasu od 1741 do 1822“, podał mu sposobność wejrzenia w powody skarg poety na rzekomą niewdzięczność ludzką i do zaznaczenia, w tonie cokolwiek za suchym, jak na wydawnictwo z natury swej popularyzacyjne, iż poeta, „trawiony ambicyą“, dążący do odznaczeń wyższych nawet, niż zasługiwał, nie był w rzeczywistości pokrzywdzonym ani materyalnie, ani moralnie...“ Drugie to „ani“ wydaje się zbytecznem wobec dalszych słów biografa: „d a w a n o mu korzystne dzierżawy, w y r o b i o n o intratne miejsca, t r z y m a n o n a d w o r a c h...“ Dawanie, wyrabianie, utrzymanie, karmienie może jeszcze—to nie z każdą moralnością chodzi w parze. Przenosimy nad to wglądanie w domowe życie znakomitych ludzi—z konieczności, dla braku miejsca, zbyt zwięzłe i kuse, treściwe przedstawienie publicznego żywota mężów i niewiast zasłużonych. Treściwością taką odznaczają się, między innemi, biografie, skreślone przez p. Stanisława Dembego, a na ich czele biografia Franciszka Ksawerego Dmochowskiego (1762—1808), tłómacza Homera; nawzajem, życiorys Joachima Chreptowicza (1729—1812) tegoż pióra jest o tyle pobieżnym, czy też skróconym mimowolnie, że niema w nim nawet wzmianki o kuratorstwie podkanclerzego litewskiego w Akademii wileńskiej, przed Czartoryskim.

Naogół „Album“ zawiera do stu dwudziestu zarysów biograficznych, opatrzonych przeważnie portretami, w tekście lub osobno. Dział filozoficzny opracowany został przez prof. Henryka Struvego (Kremer), Wł. M. Kozłowskiego (Cieszkowski), Massoniusa (Libelt i Cieszkowski) itd.; malarstwo—przez prof. Wojciecha Gersona (Bacciarelli, Plersch, Smuglewicz, Stachowicz, Rustem, Brodowski) lub Henryka Piątkowskiego (Orłowski, Płoński); muzyka—przez A. Polińskiego (Elsner, Kurpiński); sztuka lecznicza—przez dra Peszkego (Czekierski, Czerwiakowski, Arnold, Dybek); literatura—przez Piotra Chmielowskiego (Hoffmanowa, Brodziński, Malczewski, Bernatowicz), Kazimierza Glińskiego (Bohdan Zaleski, Gosławski, Gaszyński), Plenkiewicza (Mickiewicz, Staszic, Kopczyński), Kraushara (Mochnacki), Henryka Gallego (Zan, Domeyko), Glogera (Czeczott), Zdziechowskie-

go (Al. Chodźko); nauka—przez dr. Zygm. Kramsztyka (Jędrzej Śniadecki), S. Dicksteina (Jan Śniadecki), Kraushara (Czacki, Kołłątaj), Askenazego (ks. Adam Czartoryski) itd.

Określając w przedmowie cel „Albumu" („przypomnienie sil czynnych a wybitnych w XIX wieku, odświeżenie w pamięci dzisiejszej ludzi, wsławionych geniuszem, talentem, wiedzą, pracą i zasługą, przesunięcie ich przed oczyma dzisiejszego pokolenia w zwięzłych, treściwych zarysach, a o ileby talent piszącego dopomógł, to i w życiem tętniących obrazach"), Stanisław Krzemiński dodaje, że spełnienie tego zadania „było niełatwem, a nawet znojnem." Ze swojej strony wydawnictwo zaznacza, że mimo zabiegów i pracy niektóre portrety tomu pierwszego niezupełnie może odpowiadają pod względem artystycznego wykonania wysokim wymaganiom," jakie stawiać należy dziełom tego rodzaju. Wobec tych zastrzeżeń, najściślej—o ile się zdaje—zgodnych z prawdą, recenzent wyrazić tylko może serdecznie życzenie wytwałości na obranej drodze. ***

Listy Stefana Witwickiego do Józefa Bohdana Zaleskiego wydał *Dyonizy Zaleski.* We Lwowie. Nakładem wydawcy. 1901. Druk Wł. Łozińskiego, w 8-ce. str. 4 nl. i 135.

Materyałów do biografii autora „Pieśni sielskich" posiadamy dotychczas bardzo a bardzo mało. Tak samo bardzo skąpe są dotychczasowe studya nad jego utworami. Za wielką tedy zasługę powinniśmy uważać omawiany zbiorek listów Witwickiego, bo przynosi on sporą wiązankę faktów do biografii ich autora, a nadto posiada nader wielką wagę dlu biografii Zaleskiego, z którym Witwicki żył w ścisłych stosunkach przyjacielskich od lat warszawskich przed powstaniem listopadowem aż do zgonu. Prócz tego posiada niniejszy zbiór listów Witwickiego także niemałą wartość dla charakterystyki stosunków emigracyjnych. A chyba wobec tych wszystkich zalet wiele wdzięczności winniśmy p. Dyonizemu Zaleskiemu, który w krótkim przeciągu czasu obdarzył historyków literatury cennymi przyczynkami w formie „Korespondencyi" Bohdana Zaleskiego, „Listów Dyonizyi Poniatowskiej" i nakoniec omawianego wydania „Listów Witwickiego."

Zaczyna się ten zbiorek dość późnym listem, bo datowanym 30 grudnia 1838 roku. Z lat warszawskich i emigracyjnych do tej daty mamy tylko uzupełnienie tego zbiorku w 1-szym tomie „Korespondencyi" Zaleskiego, w listach jego, do Witwickiego pisanych. Ze wszystkich listów, tutaj zawartych, przebija ogromna miłość, jaką Witwicki ukochał Bohdana, jedynego swojego przyjaciela, bo przed nim otwiera swoje serce do głębi, bo nie ma żadnych tajemnic, dzieli się z nim wszystkiemi wiadomościami, jakich nieraz łaknął Zaleski podczas pobytu swego w Sèvres lub w odległem Endoume w południowej Prowancyi, dokąd uciekał rad, ażeby przyjść trochę do siebie po życiu na paryskim bruku. Sam chory i smutny po większej części pociesza przyjaciela, jak może, w smutkach lub nieszczęściu czy to z Néris, czy z Freiwaldau, a nawet przyprowadza do skutku małżeństwo Bohdana z p. Zofią Rosengardtówną. W ogólności o sobie mówi Wltwicki chyba z konieczności, przeważnie o swojej chorobie, a całe listy poświęca kronice, rzeczby można, faktów, które wydarzały się na emigracyi, to też nietrudno spotkać się w tych listacb z wiadomościami o pracach różnych komitetów emigracyjnych, bardzo zaś często całe listy mówią nam o Mickiewiczu i tych wszystkich, którzy stali najbliżej Zaleskiego.

O sobie jeśli mówi — to znać odrazu ze słów jego ton skromny: „Nie dobra to jakaś rasa, panie bracie, pisze w r. 1839,—te poety, i ja wlazłem w nią, jak Piłat w Credo, dajcie mi już odstawkę, dajcie krzyżyk na drogę, służyłem wam wiernie duszą i sercem przez lat 37, nie chcę więcej; cóżem sobie wysłużył, czem u was płacą? Jaka u was ordynarya? Za moje dni młode, silne, zielone, za wszystkie moje siły cóżem u was dostał, jakie wysługi? Niech was Pan Bóg ma, powtarzam, w swojej świętej opiece, podaję się do dymisyi i basta.“ (str. 10.) Czując, że sam już nie może dalej tworzyć, zachęca często Zaleskiego do pracy: „Co także powinieneś zrobić, to przełożyć wszystkie celniejsze hymny kościelne, jak już masz „Stabat Mater“, rzecz tego godna, a tak, jak ty, nikt tego zrobić nie potrafi, a szkoda i nawet nie godzi się spuszczać się na gorszych robotników, zrób to, zrób, kochany Bohdanie, dla naszej literatury, a co większa, dla pożytku własnej duszy i dla pożytku dusz innych. Radbym zwrócić na to jak najmocniej twoją uwagę i ochotę, będzie to rzecz wielka, sławna i prześliczna i ani myśl, żeby to miał robić kto inny, tę chęć zastąpienia cię chyba ci zły duch poddaje, biję więc przeciw temu, jak tylko mogę. „Stabat Mater“ przełożyłeś nieporównanym sposobem, powtarzam i powtarzam jeszcze raz i po sto razy, że trzeba koniecznie, żebyś tych pieśni co najwięcej przełożył.“ (str. 14—15.) Zachęcany do pracy napisał Zaleski teraz cały cykl, wydany póżniej p. t. H y m n y, które mają charakter rozmyślań, wśród jakich długie godziny spędzał Zaleski, lub też są przekładami łacińskich pieśni kościelnych. Ale ten tak zachwalany przez Witwickiego utwór p. t. „Stabat Mater“ wykazuje, jak dalece Witwicki zaślepiał się, ilekroć chodziło o wydanie sądu o utworze religijnym. Hymn ten bowiem nie ma nawet w całej twórczości poetyckiej Zaleskiego równego sobie: taka nawet słaba dumka pod względem formy i wyrażeń, jak owa parafraza piosnki „Ne chody Hryciu“ — stoi o wiele wyżej—mimo, że należy do najpierwszych prób poety. Forma jego przypomina odrazu—pieśni kantyczkowe. A i sam dobór wyrazów miejscami tak niefortunny, że zjawiska tego niepodobna sobie nawet wytłómaczyć. Dla przykładu tylko przytoczymy parę zwrotów np. „spółuczucie,“ „pośledni“ (t. j. ostatni), lub też: „nie uwielbi tę (s i c!) Maryę“ „wnętrznościami nie zaboli.“

Wogóle religijność Witwickiego widoczna jest w każdym niemal z tych listów. To też niemało troskał się poeta, kiedy Mickiewicz zaliczył się do wyznawców nauki Towiańskiego: „Widzisz, w co brnie Adam,—pisał w r. 1841 do Zaleskiego,—a ty nie śmiesz mu szczerze i otwarcie prawdy powiedzieć? Mówisz, że nie wiesz czy to herezya, a to spytaj się pierwszego księdza, spytaj się naprzykład o Świętych... Do spowiedzi Adam nie chodził jeszcze, twój list pokazywał mi, jak gdyby wyrzucając, żem skłamał, mówiąc, że obadwa z tobą jednako myślimy. I coraz bardziej osuwa się w Towiańszczyznę, jak mucha w pajęczynę... smutny jest przytem i uciśniony. Mnie serce się na to kraje, przyjaźń nasza dziwnie sposępniała, w chmurę się grubą odziała... Modlę się za niego codzień, a Bogu zgryzotę moją ofiaruję“ (str. 77.) To też niejednokrotnie prowadził z Mickiewiczem dysputy na temat nauki Towiańskiego: „Adam wyrzucał mi—pisze w innem miejscu,— że nie chcę postępować duchem, że nie chcę szukać Prawdy, upominał, że, coby uszło innym, to nie ujdzie mnie etc. Ja na to, że Prawdę już mam w Kościele, postępować chcę, bo chcę codzień być lepszy, przynajmniej codzień być mniejszym grzesznikiem, niż jestem etc. Ja swoje, on swoje, jest jakby w jakiejś mgle, w której nic bierze za coś, a wyraźnego zboczenia z drogi katolicyzmu, to

jest chrześcijaństwa nie postrzega“ (str. 81). Jak zaś silna była wiara Witwickiego, tego dowodem zerwanie stosunków z Mickiewiczem i wystąpienie ostre i gwałtowne przeciwko nowej nauce w piśmie p. t. „Towiańszczyzna“. wydanem w roku 1844.

Kończąc nasze sprawozdanie z listów Witwickiego, zaznaczamy raz jeszcze, że są one znakomitem źródłem nie tylko do biografii Witwickiego, Zaleskiego i Mickiewicza, ale także do charakterystyki ówczesnych działań na emigracyi.

Stanisław Zdziarski.

Marya Konopnicka. **Italia.** Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1901.

Pod tym tytułem zebrała p. Konopnicka swoje poezye liryczne, zawierające wrażenia i wspomnienia z Włoch. Odtwarzając poetycznie cuda przyrody i sztuki włoskiej, znalazła wdzięczne pole do rozwinięcia całej świetności i całego przepychu swego stylu. Jakoż zachwyca nas tu i olśniewa bogactwem różnorodnych form rytmicznych, pięknością obrazów i przenośni poetyckich, istną powodzią świateł, barw i blasków. Mamy tu jakby symfonię poetycką, wysnutą z motywów ojczyzny słońca i piękna. Występują one naprzemian skupione w potężnych akordach, rozprowadzone w szerokich modulacyach harmonijnych lub płynące falami wyrazistych i pełnych wdzięku melodyi.

Naprzód uroczyste wezwanie piękna, jako zasadniczego motywu wszystkich dalszych pieśni poetki:

Którzy idziemy w słoneczny twój chram,
O wieczne piękno!
Tchnij w nas moc twoją i siłę daj nam,
Wstrząsnąć zawory u złotych twych bram,
Aż dla nas pękną.

Następuje potem cykl „Sonetów włoskich“ w liczbie dziesięciu. Oprócz entuzyastycznej „Inwokacyi“, w której poetka składa hołd artystycznej i słonecznej Italii, zawierają one głównie wrażenia z Wenecyi. Najpiękniejszy z nich w całym zbiorze daje nam wspaniały obraz poranku w Wenecyi.

Rajski ptak słońca wzleciał, rozstrząsnął swe pióra,
Zapalił pół niebiosów, zaiskrzył pół morza
I pieśń światła wyrzucił w niezmierne przestworza
I zgłuszył śpiew księżyca, nocy trubadura.
. . . .

Italio! Dzień kochankiem pośpiesza do ciebie,
Na ogromnych twych wodach, na szerokiem niebie
Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata.

Ale ja z krain idę, kędy na dnia progu
Świt we łzach cały, długo wyprasza się Bogu,
By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata.

Zwracam uwagę na niewymowną piękność ostatniej zwrotki, może jednej z najpiękniejszych jakie Konopnicka napisała,—tyle w niej uczucia, myśli i poezyi. Ów „świt we łzach cały“ jak wymowny i jak prawdziwy w swym rzewnym nastro-

ju. Wogóle powtarzające się jeszcze kilkakrotnie w ciągu tej poetyckiej symfonii włoskiej wspomnienia ojczystego kraju stanowią najpiękniejsze jej tony.

Drugi z kolei cykl p. t. „W drodze“ składa się z szeregu pieśni, odtwarzających obrazy przyrody oraz wspomnienia przeszłości i dawnej chwały Italii. Na równinach Lombardyi („Nad Ticino“) widzi poetka w wyobraźni białego konia Barbarossy, jak pędzi „do starych bojów i do chwały“. W zatoce Baji widok willi Cycerona przywodzi jej na pamięć wielkiego statystę rzymskiego, którego wysławia w bardzo entuzyastycznym, ale niedość może plastycznym obrazie. Dalej mamy obraz poranku i nocy na Carignano z kilkoma bardzo rzewnymi tonami lirycznymi, dwa tak zwane „nokturny rzymskie“ z nastrojową wielce wizyą w kościele świętego Piotra, o zmierzchu, przy dźwięku organów, wrażenia w „loggiach“ Rafaela, wspomnienia Torquatta Tassa („Na krużganku Eremitów“, „Na Faniculum“, „W San Onofrio“) i Mickiewicza („Willa Wołkońskich“), pełen blasków i barw świetnych obraz zachodu słońca w Fiesole i wreszcie, na zakończenie tego cyklu, przepiękna, śpiewna pieśń „Do wierzby w Prato“. Widok drzewa ojczystego przenosi myśl poetki do dalekich niw polskich i wyrywa jej z duszy kilka tonów przedziwnej rzewności.

Zabłąkane my rówieśnie
W obcą, cudzą dal...
Jedne w sercu brzmią nam pieśnie,
Jeden w piersiach żal!...

Jedno po nas też zostanie,
Gdy się skończy już
Fujarkowe ciche granie
W echach pól i dusz!

Zabytki sztuki starożytnej natchnęły autorce dwie fantazye poetyckie: z pompejańskiego fryzu wysnuła żartobliwy i pełen wdzięku poemacik „Prace Amora“, wrażenia, rozbudzone przez rzeźby starogreckie, odtworzyła poetycznie w trylogii „Faun“ („Faun tańczy“, „Faun pijany“, „Faun śpiący“). Cykl „Echa florenckie“ poświęcony jest wspomnieniom Lenartowicza, pełnym rzewności, ale nadto może mglistym.

W cyklu „Madonny“ jest kilka bardzo pięknych o głębokim nastroju uczuciowym ustępów lirycznych. I tutaj najpiękniejsze tony wzbudzone są wspomnieniami ojczystego kraju. I tak prostota Madonny Giotta przypomina poetce Najświętszą Pannę ludu naszego:

Iśćby mogła między pola nasze,
A nie zlękłoby się nawet ptaszę...
Iśćby mogła między nasze płoty,
A nie zlękłyby się i sieroty.

Tylko nędzarz podniósłby się z ławy,
W ciemnej twarzy wzrok utopił mgławy
I wybuchnął łez nawałą złotą...
Taką ją tutaj nam wstawił Giotto.

Dziwnie poetycznie i rzewnie, z wielką i nawskroś swojską prostotą oddane jest wrażenie Madonny z dwoma grającymi aniołami na obrazie Corregia:

Dwaj anieli Tobie grają cudne pieśnie,
Ten jeden radośnie, ten drugi boleśnie.

A temu jednemu gęśliki się złocą,
A drugi ma prostą ligawkę sierocą.

A jedna pieśń w niebo tonami rajskiemi,
A druga pieśń płynie w westchnieniach ku ziemi.

Ta jedna — o wiośnie, co kwitnie wieczyście,
Ta druga — o wichrze, co z puszczy rwie liście.

Ta jedna — o jasnych jutrzenek świtaniu,
Ta druga — o głuchem po nocy wołaniu.

I niesie ci pieśni zachodni wiew obie:
Tę jedną we złocie, tę drugą w żałobie.

Ty słuchasz i patrzysz oczyma smutnemi
Na tego anioła, co śpiewa ból ziemi.

Czyż to nie czysty ton naszej pieśni ludowej? A jaka w nim siła uczucia, jaka delikatna wrażliwość artystyczna! Niemniej żywo, poetycznie i w niemniej swojskim tonie odczuta jest „Sistina“ Rafaela. Opiewa ją poetka, jak idzie „przez gwiaździstą rosę, przez miesięczne blaski“, aby ukojenie i pociechę nieść niedoli ziemskiej:

— A po cóż tak śpieszysz,
Królowo ty raju?
— Bo płaczą słowiki
Po nocach mi w gaju.
— A pocóż ty rzucasz
Niebieskie te wrota?
— Bo skarży się nocą
Ta ziemia sierota.

— A pocóż tak patrzysz
W bolesnej zadumie?
— Bo jęki tam lecą
W wichrowym puszcz szumie.
— A pocóż ty niesiesz
Dzieciątko to Boże?
— Bo groby wołają
O żywot, o zorze!

Zaznaczyłem tu tylko najpiękniejsze ustępy — zbyt wiele zajęłoby to miejsca, gdybym chciał podnosić wszystkie piękności tej pełnej wdzięku parafrazy poetyckiej Madonn włoskich.

Odmienny jest nastrój następnego cyklu „W Sykstynie“. Tu poetka dobywa ze swej liry tonów silnych, aby oddać grozę i wzniosłość tragicznych natchnień Michała Anioła w „Sybilli“, w „Stworzeniu człowieka“ i w „Sądzie ostatecznym“. Nie zdaje mi się wszakże, aby gromowa potęga mistrza włoskiego oddana tu została w odpowiedniem natężeniu tonu poetyckiego. Nie brak tu wprawdzie ustępów pięknych i silnych, rytmów wyrazistych, zwrotów dobitnych, ale naogół obrazowanie poetyckie nie dość ma mocy, a niekiedy w swym dosadnym realizmie zatraca wzniosłość zasadniczego nastroju, jak np. w następującym ustępie:

Koście do kości dążą,
Mięsa się na nich wiążą,
Stawu się chwyta staw...
I z tego, co był niczem,
Powstaje człek z obliczem
I krzyczy: Zbaw!

Z pozostałych utworów, zawartych w zbiorze, wiersz p. t. „Miserere“ dużo ma uczucia i kilka pięknych ustępów, uderzających szczerym, swojskim tonem, sonety, odtwarzające wrażenia morza, odznaczają się niekiedy wspaniałem i pięknem obrazowaniem poetyckiem („Adwokacya“, „Widzenie morza“, „Baquacco“, „Wieści morza“ i t. d.) lub też podniołym nastrojem i głęboką myślą, jak „Noc w Nerwi“, „Oto łódź moja“, „Mewy“, a osobliwie „U grobu Pergolesa“ i „Fiumicino“. W przedostatnim z tych utworów poetka słyszy w odwiecznym szumie morza jakby żałośne „Stabat mater dolorosa“ starego mistrza włoskiego: to ziemia śpiewa skargę o męce wiekowej syna swego człowieka:

„...O ja ziemia, ja matka, rodząca boleśnie!
Oto na krzyżu czasu jest ukrzyżowany
Syn mój, człowiek! Oto się krwawią jego rany!“
— Morze gra... słyszę głosy dalekie... jak we śnie.

W zwrotce tej dźwięczy minorowy ton współczucia dla niedoli ludzkiej, ton, który, odzywając się nieraz wśród szumnych akordów tych pieśni, głoszących chwałę sztuki i piękna, stanowi największy ich urok i najwymowniejszą piękność, bo płynie z najgłębszych pokładów serca poetki i przemawia do nas głosem, rozbrzmiewającym wzdłuż całej jej twórczości.

Walery Gostomski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Franciszek Podlewski. **O spadkach i testamentach.** Wykład popularny prawa obowiązującego z uwzględnieniem prawa rosyjskiego, austryackiego i niemieckiego. Warszawa, 1900.

Prawo spadkowe należy do najbardziej zawiłych i najtrudniejszych działów prawa wogóle, a prawa cywilnego w szczególności. Kwestye, wynikające ze sporów pomiędzy spadkobiercami, zastanawiają częstokroć nawet najpoważniejszych prawników-specyalistów, dla ogółu zaś, nawet dla t. zw. inteligencyi, jest to w znacznej większości wypadków terra incognita — chińszczyzna. Tymczasem każdy, kto cokolwiek posiada, każdy, kto ma zamożnych rodziców lub krewnych, przynajmniej raz w życiu miewa styczność z prawem spadkowem, czy to jako spadkobierca, otrzymujący spadek po zmarłych krewnych, czy też jako spadkodawca, chcący rozporządzić swoim majątkiem na wypadek śmierci. Studyować zawiłe przepisy kodeksu Napoleona niełatwo, nie każdemu się chce zabierać do takiej roboty, a niejeden z przyjemnością i pożytkiem zaznajomiłby się z obowiązującem prawem spadkowem, gdyby mu dano łatwy i prosty wykład odnośnych przepisów, ubrany w lekką i przystępną formę. Ułatwić ogółowi poznanie zasad prawa spadkowego, zamiast ciężkich i zawiłych artykułów kodeksu dać ich popularne streszczenie — oto cel, zakreślony przez autora. Czy jednak ten cel został całkowicie osiągnięty? Dziełko „O spadkach i testamentach" jest spopularyzowanym wykładem prawa spadkowego, o wiele przystępniejszym od specyalnych dzieł komentatorów kodeksu; wykład jest dokładny, niema w nim zasadniczych błędów z zakresu prawa. To już bardzo wiele, za to jedno należy się autorowi szczere uznanie. Niestety jednak, wykład przedmiotu jest za mało prosty i jasny. Autor nie umie się utrzymać w roli popularyzatora: z jednej strony wpada co chwila w zawiły styl prawniczy, z drugiej zaś, chcąc dokładniej wyłożyć daną kwestyę, zanadto się wdaje w szczegóły. Tak np. zbyt częste używanie wyrazów „wstępni" i „zstępni" — wyrazów o brzmieniu bardzo zbliżonem, a przytem wcale nie używanych w mowie potocznej, przyczynia się do zagmatwania myśli; bardzo długie okresy, najeżone spójnikami, także nie ułatwiają zrozumienia rzeczy. Tak np. na str. 54 w jednym okresie jest 7 „iż" i jedno „że". Nie brak i błędów językowych, a niektóre z nich powtarzają się prawie na każdej stronnicy, np. *za* wyjątkiem. Jest także co najmniej zbytecznem rozstrzyganie drobiazgowych kwestyi akademickich, jak np., kto po kim dziedziczy, jeżeli dwie osoby spokrewnione giną jednocześnie podczas rozbicia pociągu, ale jedna z nich jechała drugą klasą, a druga trzecią, wagony zaś II klasy uległy rozbiciu wcześniej, niż wagony III klasy. Prócz tego, zdaje mi się, że wykład porównawczy obcych prawodawstw, bardzo pożądany w dziełach ściśle naukowych, stanowi wadę dzieł popularnych. Zasadą wykładu popularnego jest jak najmniejsze komplikowanie kwestyi, tymczasem łączenie w jednem dziełku przepisów czterech prawodawstw musi wywrzeć szkodliwy wpływ na jasność wrażenia w umyśle niespecyalisty. Jednakże wszystkie te słabe strony są usterkami, które z łatwością dadzą się usunąć w drugiem wydaniu, a na drugie wydanie nie będziemy chyba długo czekali, gdyż dziełko

„O spadkach i testamentach“, jako niezbędne w każdym zamożnym domu, powinno się rozejść w tysiącach egzemplarzy.

Ą. Mogilnicki.

Dr. Szymon Rundstein. **Kodyfikacya prawa międzynarodowego prywatnego w Niemczech.** Studyum dogmatyczne. Warszawa, 1901, str. 153.

Z pracy niniejszej, która stanowi odbitkę z Gazety Sądowej (jakkolwiek karta tytułowa o tem nie wspomina), dowiadujemy się, że od 1 stycznia roku 1900 w Niemczech obowiązują nowe przepisy z dziedziny prawa międzynarodowo-prywatnego, przepisy, które obecnie po raz pierwszy zostały skodyfikowane dla całego państwa niemieckiego. „Dwie przyczyny — mówi autor (str. 8) — skłoniły nas do przedstawienia w krótkim zarysie stanu współczesnej kodyfikacyi niemieckiej. Mieliśmy na oku, przedewszystkiem, rozgałęzione stosunki, jakie łączą Królestwo z państwem Niemieckiem: przy blizkiem sąsiedztwie dwu obszarów kolizye są nieuniknione... powtóre — teoretyczna strona rzeczy pociąga ku sobie badacza“.

Dziełko zaczyna się od historycznego rzutu oka na rozwój teoryi, prawodawstwa i jurysprudencyi niemieckiej, zokończonego najbliższą historyą wydania omawianych przepisów obowiązujących. „Mapa prawna Niemiec przedstawiała do roku 1900 różnobarwny obraz krzyżujących się kodyfikacyi, praw zwyczajowych, statutów i postanowień partykularnych. Jedność w tej dziedzinie była marzeniem teoretyków. Przy takim stanie rzeczy nie mogło być mowy o skrystalizowaniu norm, tyczących się kolizyi praw... Wobec braku wytycznych punktów w zakresie prawa międzynarodowo-prywatnego teorya rozwijała się w Niemczech dość słabo, bez względu na to, że różnorodność praw partykularnych wywoływała różne kolizye... Dopiero ostatnio ruch wzmógł się nieco, chociaż widocznie fatum jakieś zawisło nad prawem międzynarodowo-prywatnem. W komisyach kodyfikacyjnych traktowano je po macoszemu: w pierwszem czytaniu odnośne paragrafy zostały przez kanclerza Rzeszy skreślone zupełnie; druga komisya wypracowała projekt obszerny, lecz rada związkowa szeroko pojęty punkt widzenia komisyi ścieśniła znacznie... W tak zwanym II projekcie kodeksu cywilnego prawo międzynarodowe prywatne figuruje w obrobieniu ostatecznem, jako księga VI-a, zatytułowana „Zastosowanie praw cudzoziemskich“. Owa księga VI-a stała zupełnie na wysokości wymagań czasu: najczęściej w stosunkach międzynarodowo-prywatnych zachodzące wypadki zostały skrupulatnie przewidziane i zarazem unormowane w ten sposób, że dla jakichkolwiek wątpliwości nie było wcale miejsca. Ale rada związkowa... radykalnie zmieniła przepisy II-go projektu. Przedewszystkiem skreślono zupełnie księgę VI-tą i odnośne paragrafy pomieszczono w Ustawie wprowadzającej do kodeksu cywilnego (art. 7 — 31). Rozbiór tych 25 artykułów stanowi treść niniejszego dziełka. Autor ostro krytykuje zaprowadzone przez Radę państwa zmiany, szczególnie zaś występuje przeciwko zasadzie zwrotnego działania, zupełnie według niego niezgodnej z wymaganiami najnowszej teoryi.

Książka dzieli się na 10 rozdziałów: pierwszy obejmuje uwagi wstępne, drugi daje rys historyczny i ogólną charakterystykę przepisów międzynarodowo-prywatnych kodeksu, trzeci jest poświęcony klasyfikacyi norm, czwarty mówi o stosunku nowych przepisów do umów międzynarodowych i do przepisów dawniejszych. Te cztery rozdziały (str. 1 — 42) stanowią niejako wstęp teoretycz-

no-historyczny. W pozostałej części dzieła mamy właściwy rozbiór krytyczny nowych przepisów, a mianowicie: rozdział V część ogólna (42 — 72), VI prawo osobowe (73 — 96), VII prawo zobowiązań (97 — 107), VIII prawa rzeczowe (108 — 111), IX prawo familijne (112 — 139) i X prawo prawo spadkowe (140 — 153).

Wogóle praca niniejsza stanowi poważny i wszechstronny, a zarazem krótki i zwięzły komentarz do rzeczonych przepisów i, jako jedyna w swoim rodzaju, jest bez wątpienia potrzebną nie tylko dla zwolenników teoryi, ale i dla praktyków, mających jakąbądź styczność z kolizyą naszego prawa cywilnego z prawem niemieckiem. *A. Mogilnicki.*

Dr. Ernest Till. **Wykład austryackiego prawa małżeńskiego osobowego i majątkowego.** We Lwowie, 1901, str. 253.

Jak mówi karta tytułowa, jest to monografia, stanowiąca część składową dzieła p. t. „Prawo prywatne austryackie“, podjętego przez autora na większą skalę. Poprzednie tomy zawierają: tom I. Wykład nauk ogólnych prawa prywatnego austryackiego, tom II. Wykład prawa rzeczowego austyackiego (prawo własności, prawo służebności i prawo zastawu), tom III. Wykład nauki o stosunkach obowiązkowych (część ogólna) i tom IV. Wykład nauki o stosunkach obowiązkowych (część szczegółowa). Wykład prawa małżeńskiego stanowi pierwszą część piątego tomu, objętego ogólnym tytułem „Wykład prawa familijnego“.

Mając przed sobą tylko nieznaczną cząstkę nieskończonego jeszcze dzieła, trudno o nim stanowczo sądzić. Nazwisko jednak autora i jego dotychczasowe prace dają dostateczną rękojmię, że dzieło będzie ukończone z pożytkiem dla literatury prawniczej, — monografia zaś, którą mamy przed oczyma, zawiera pewne cechy charakterystyczne, dające niejakie pojęcie o całości. Wykład, poprzedzony krótkim wstępem, tyczącym się prawa familijnego wogóle (str. 1 — 7), dzieli się na dwie nierówne części: „O prawie małżeńskiem osobowem“ (str. 8 — 171) i „O prawie małżeńskiem majątkowem“ (str. 172 — 253). W pierwszej części autor mówi o zaręczynach i małżeństwie w ogólności, o warunkach ważności małżeństwa, o nieważności i zakazach małżeństwa, o jego prawnych skutkach i rozwiązaniu, wreszcie o wyjątkach ze względu na małżeństwa izraelskie. Druga część zawiera szczegółowy rozbiór ustawowego i umownego prawa majątkowego małżeńskiego, zakończony kilkoma uwagami o wpływie zniesienia spólności małżeńskiej na prawa majątkowe małżonków. Monografia obejmuje wyłącznie prawo obowiązujące austryackie.

Przedmiot całkowicie wyczerpany, wykład zwięzły, prosty i jasny. Styl wykładu bardzo przystępny, nieledwie popularny; pomimo to dzieło nie straciło cech ściśle naukowej rozprawy, gdyż autor poddaje krytyce wyrażenia prawa obowiązującego i przytacza całe szeregi cytat z najpoważniejszych autorów polskich, czeskich i niemieckich, jako to: Rittnera, Pachmana, Andersa, Dnicstrzańskiego, Pfaffa i in. Te ściśle naukowe badania nie wpływają jednak na zmniejszenie przystępności wykładu, gdyż są umieszczane przeważnie w obszernych odsyłaczach, przewyższających objętością główny tekst.

Język przeważnie czysty, niezupełnie jednak pozbawiony archaizmów w rodzaju „znachodzimy“ (str. 2, ods. 2) i naleciałości np. „d w o m a osobami“ (str. 3), „w y k l u c z a ć“ (stt. 140, 152), „p o m y ś l i § 1374“ (str. 239) i t. d.

A. Mogilnicki.

Czasopismo prawnicze i ekonomiczne. Rocznik II, zeszyt 1 i 2. Kraków, 1901.

Nowe pismo prawnicze rozpoczęło drugi rok swego istnienia. A istnienie to trudne, zwłaszcza u nas, gdzie dziwna jakaś obojętność panuje w dziedzinie literatury prawnej. Z wyjątkiem komentarzy, omawiających specyalne kwestye prawne, zdarzające się na każdym kroku w praktyce, nikt prawie u nas do literatury prawnej nie zagląda. Dzieła ściśle teoretyczne rozchodzą się w kilkunastu egzemplarzach, a dochód z ich sprzedaży pokrywa zaledwie małą cząstkę kosztów druku. To też mało kto pisze dzieła prawne, mało kto czynną przykłada rękę do rozwoju literatury w tej dziedzinie. Kwestye, dotyczące prawa obowiązującego, łatwiej znajdują oddźwięk, bo książka lub artykuł, o nich mówiące, przydają się w codziennej praktyce. Zwolenników zaś teoryi prawa możnaby nieledwie przeliczyć na palcach. Bijącym w oczy tego dowodem był konkurs Gazety Sądowej, ogłoszony w roku 1899 na napisanie artykułu z teoryi prawa, obejmującego około dwu arkuszy druku. Zdawałoby się, że ze sto artykułów się znajdzie, i sąd będzie w kłopocie, któremu oddać pierszeństwo. Tymczasem nadesłano zaledwie trzy prace, z których jedna zupełnie nawet nie kwalifikowała się do druku.

Ta obojętność w dziedzinie teoryi prawa odbija się i na treści „Czasopisma“. Nie wątpię, że redakcya chciałaby zgodnie z programem popierać przedewszystkiem teoryę, ale najwidoczniej brak jej odpowiedniego materyału. W omawianym zeszycie znajdujemy jedną tylko pracę z teoryi prawa i jedną z teoryi ekonomii politycznej, mianowicie „Szkic teoryi o „uznaniu“ władz administracyjnych w stosunku do orzecznictwa Trybunału Państwa“ przez dr. Stanisława Madeyskiego (str. 1 — 25) i „Historyczna szkoła ekonomistów niemieckich a metoda badań historycznych w dziedzinie ekonomii politycznej“ przez dr. Stanisława Grabskiego (str. 53 — 91). I to pierwsza z tych prac nie jest ściśle teoretyczna, stoi bowiem na gruncie obowiązującego prawa austryackiego i praktyki sądowej. Pozostałe 5 artykułów są to komentarze do obowiązującego w Austryi ustawodawstwa lub też projekty jego reformy.

W dziale „Krytyki i sprawozdania“ nie mogę już powtórzyć zarzutu, jaki uczyniłem w recenzyi zeszłorocznej (Ateneum, wszesień, 1900, str. 591) — zarzutu zbytecznego uwzględnienia literatury niemieckiej ze szkodą innych. „Ruch naukowy“ przez prof. dr. Józefa Brzezińskiego obejmuje oprócz niemieckich cały szereg prac łacińskich, francuskich i angielskich; „Recenzye“ dają nam sprawozdanie z dwu dzieł francuskich, dwu niemieckich i trzech polskich; „Notatki bibliograficzne“ omawiają literaturę czeską i rusińską i donoszą o dwu nowych wydawnictwach prawniczych, pod względem zakresu i formy zbliżonych do „Czasopisma“, — są to: czeski „Sbornik věd právnich a státnich“ i rusińska „Czasopyś prawnicza i ekonomiczna“.

W końcu maleńkie zapytanie. Dlaczego redakcya, wydając dwa zeszyty rocznie, pisze, że wydaje cztery? Dlaczego każdy zeszyt nosi podwójny numer? Nie wpływa to na treść i wartość pisma, to prawda, ale po co pisać inaczej, a robić inaczej? Dlaczego rocznik nie ma się składać nominalnie z dwu zeszytów, co odpowiada rzeczywistości, zamiast n o m i n a l n i e z czterech, a f a k t y c z n i e z dwu? Rozumiem, że redakcya może wyjątkowo wydać dwa numery w jednym zeszycie, jeżeli zeszyty wychodzą peryodycznie, a wydanie w danym terminie nie mogło z tych lub innych przyczyn dojść do skutku — wydaje się wtenczas dwa numery odrazu. Można to uwzględnić, jako wyjątek, ale robienie z tego reguły jest conajmniej dziwne.

A. Mogilnicki.

Piotr Chmielowski. **Adam Mickiewicz.** Zarys biograficzno-literacki, z 2-ma portretami poety. Tom I i II. Warszawa, 1901. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Dzieło Chmielowskiego jest do dziś jedyną wyczerpującą biografią Mickiewicza, opracowaną po literacku i krytycznie, zawierającą przytem i rozbiór dzieł poety, i charakterystykę jego twórczości w różnych jej fazach. Kiedy w roku 1886 ukazało się pierwsze wydanie tej książki (napisanej w roku 1885 na uczczenie „30-tej rocznicy zgonu wielkiego wieszcza"), poświęcono jej szereg rozbiorów i ocen (Tretiak, Nehring, Kallenbach i inni), które wykazały znaczenie tej monografii w literaturze o Mickiewiczu i wartość jej, jako pracy krytyczno-literackiej. Znaczenie to i wartość dzieła Chmielowskiego bynajmniej się nie zmniejszyły, pomimo że po niem ukazały się dwie monografie o Mickiewiczu, ogarniające również całość jego życia i rozwoju duchowego — Władysława Mickiewicza i Kallenbacha. Czterotomowy „Żywot Adama Mickiewicza" (wyd. w r. 1890 — 1895), napisany przez syna poety, jest właściwie tylko zbiorem materyałów biograficznych; praca zaś Kallenbacha („Adam Mickiewicz", 1897) zajmuje się głównie rozbiorem dzieł poety. Chmielowski sam najlepiej scharakteryzował swoją książkę: „Co do mnie, starałem się równomiernie obrobić obie strony życia i działalności Mickiewicza: na tle biograficznem przedstawić stopniowy rozwój ducha poety i widomych śladów tego rozwoju w jego utworach natchnionych".

Drugie wydanie dzieła Chmielowskiego, poprawione i uzupełnione na podstawie nowoogłoszonych prac, wyszło w setną rocznicę urodzin Mickiewicza (1898). Obecnie mamy wydanie „trzecie".

Właściwie jest to przedruk wydania 2-go, w tomie II-gim skrócony. Tom II-gi w wydaniu obecnem ma stronic 450, w wydaniu zaś 1-em zawierał stronic 482, a w 2-giem — str. 488). Napis na tytule, położony przez wydawców, że jest to wydanie „poprawione", rozmija się z prawdą, autor bowiem ręki do tych „poprawek" nie przyłożył, — widać to chociażby stąd, że „Sprostowania i dopełnienia", pomieszczone przy końcu wydania 2-go, pozostały w wydaniu 3-iem na swojem miejscu, t. j. nie zostały wciągnięte do tekstu.

Korekta wydania obecnego jest wielce niedbała — na dowód przytoczę dwa ustępy z tomu I-go: na str. 388 — 389 czytamy, że jest jeszcze wielu recenzentów, którzy „całą filozofię, estetykę i literaturę niemiecką uważają chaos, gdzie się niby we mgle nierozwikłanej myśli, nakształt złych duchów albo zwodniczych gnomów" (tak!). W zdaniu tem, rzecz oczywista, sensu niema. Zaglądamy do wydania 1-go — tam na str. 429 brzmi ono: „...całą filozofię, estetykę i literaturę niemiecką uważają, jako chaos, gdzie się niby we mgle nierozwikłanej j e s z c z e k r e a c y i r o z u m u l u d z k i e g o s n u j ą n i e d o ś c i g ł e p r z e p a ś c i e myśli, nakształt złych duchów" i t. d. Opuszczono zatem powyżej cały wiersz, co uczyniło zdanie niezrozumiałem. O kilka kartek dalej, na str. 396 — 397, czytamy znowu: „W początkach roku 1829 wszedł jeszcze kreacyi rozumu ludzkiego snują niedościgłe przepaście on w służbę do kolegium interesów zagranicznych" (tak!). A więc ów brakujący na str. 388 wiersz znalazł się aż na str. 397! Kto jednak nie ma pod ręką wydania pierwszego, trudno mu będzie rozwikłać oba te ustępy.

Wogóle wydanie „trzecie", nazwane przez wydawców samowolnie „poprawionem", jest gorsze od wydania pierwszego i zastąpić go nie może.

G. Korbut.

A. Małecki. **Juliusz Słowacki**, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki. Trzecie poprawne i pomnożone wydanie. 3 tomy. Lwów, 1901.

W historyografii naszej literackiej książka Małeckiego ma epokowe znaczenie. Kiedy się ukazała, w r. 1866, była to pierwsza u nas monografia biograficzno-literacka, na szerszą skalę skreślona. Do dziś nie tylko nie straciła ona swojej wartości, ale jest poniekąd klasyczną książką w swoim rodzaju. Znaczenie jej historyczne polega na tem, że stała się ona wzorem dla następnych monografistów w zakresie historyi literatury;— literackie,— że jest to pierwsza w literaturze naszej wszechstronna charakterystyka poety polskiego wogóle, poety, jako poety, obraz jego ducha i jego twórczości, z dokumentów, nie z fantazyi, plastycznie, nie mglisto, odmalowany. Jest to przytem pierwsza źródłowa i wyczerpująca biografia Słowackiego, jakiej Mickiewicz daleko później, w lat 20 potem (1886), się doczekał (dzięki Chmielowskiemu). Pod względem objętości i drobiazgowości w przedstawieniu rzeczy przewyższa książkę Małeckiego olbrzymie dzieło F. Hösicka o Słowackim, ale nie może mu dorównać pod względem wartości krytycznej i estetycznej. W swej „biografii psychologicznej" p. Hösick zanadto popuścił wodze fantazyi i zamiast wizerunku duchowego (psychicznego) dał nam mimo swej woli jakąś karykaturę poety. P. Hösick pominął przytem całkiem rozbiór jego utworów; nie jest więc jego praca monografią Słowackiego, rzecz wyczerpującą.

„Juliusz Słowacki" prof. Małeckiego ukazał się w drugiem wydaniu w r. 1881, prędko się wyczerpał, a dziś mamy nareszcie, po latach dwudziestu, wydanie trzecie. W przeciągu tego długiego czasu ogłoszono mnóstwo materyałów i dokumentów (listów, fragmentów poetyckich i t. d.) do dziejów żywota i charakterystyki autora „Króla Ducha" oraz cały szereg studyów, rozpraw i przyczynków do badań nad twórczością jego. Wszystko to, przystępując do wydania trzeciego, należało zużytkować i przetrawić. Niestety, prof. Małecki z powodu braku czasu, a głównie zapewne skutkiem zobojętnienia swego do studyów literackich (jak wiadomo bowiem, pracuje obecnie w innej dziedzinie) nie chciał się podjąć odpowiedniej przeróbki i uzupełnienia swego dzieła i zgodził się tylko na nowe wydanie bez zmiany tekstu wydania poprzedniego, ale z niezbędnymi, oczywiście, przypiskami. Pracę przygotowania do druku nowej edycyi powierzył znanemu badaczowi na polu historyi literatury polskiej, dr. Bronisławowi Gubrynowiczowi.

Dr. Gubrynowicz wywiązał się z niełatwego i poniekąd niewdzięcznego zadania bardzo dobrze, ze znajomością przedmiotu i sumiennością podziwu godną. Wyczerpał i zużytkował całą, tak bogatą dziś literaturę o Słowackim i jego twórczości i umieścił na każdej niemal stronicy książki mnóstwo przypisków, prostujących, uzupełniających lub wyjaśniających podane w tekście wiadomości lub sądy autora. Dr. Gubrynowicz nie poprzestał na tem,—sprawdził jeszcze tekst licznych ustępów z listów Słowackiego, przytoczonych przez Małeckiego, i sprostował (na podstawie poprawnego ich wydania, ogłoszonego przed dwoma laty przez p. L. Méyeta). W „Dodatkach" dr. Gubrynowicz wydrukował nadto bardzo ciekawe urywki z listów matki poety do Odyńca, pisanych w latach 1826—1829 (ogłoszonych pierwotnie w „Przewodniku naukowym i literackim" w r. 1898), charakteryzujące stosunek jej do syna w okresie pierwszej jego młodości, oraz przepiękne listy Słowackiego do Joanny Bobrowej (ogłoszone przed kilku laty w „Bibliotece Warszawskiej"). Listów tych jest dziewięć; pisane są w latach 1841—1845.

Pomimo, że wszystkie te przypiski i dodatki dr. Gubrynowicza są bardzo

cenne i podnoszą niezmiernie wartość wydania 3-go, żałować jednakże wypada, że prof. Małecki nie wcielił wyników ostatnich badań co do Słowackiego organicznie do dzieła; przypisków tych bowiem i dodatków jest stanowczo za dużo i zaprzeczają nieraz temu, co znajdujemy w tekście, a całość pod względem kompozycyjnym i artystycznym bardzo na tem ucierpiała.

Wogóle udziału samego autora w nowem wydaniu jego dzieła prawie nie znać; zauważyliśmy tylko kilka dopisków, jak się zdaje, podyktowanych wydawcy przez autora; tak np. w jednym odrzuca prof. Małecki hypotezę p. Hösicka co do przyczyny nagłego wyjazdu Słowackiego z Warszawy i podtrzymuje stanowczo swoją własną. *G. Korbut.*

Jan Czubek. **Wesparyan z Kochowa Kochowski.** Studyum biograficzne napisał... (Odbitka z 32-go tomu Rozpraw Wydziału filologicznego). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1900, str. 2 nl. i 189.

Dotychczas nie mieliśmy naukowo opracowanego życiorysu autora „Klimakterów", „Nieprożnującego próżnowania" i „Psalmodyi", głównie z braku dostatecznych materyałów. Pierwsi biografowie jego— Ambroży Grabowski i Sobieszczański powiedzieli nam nadzwyczaj mało. Monografia znowu, opracowana przez Rzążewskiego, była w wysokim stopniu niekrytyczna, gdyż autor pozwalał unosić się fantazyi, a nadto nie zadał sobie trudu, ażeby przeczytać uważnie wszystkie dzieła Kochowskiego. Później Rybarski i ks. Gacki dorzucili kilka szczegółów do życiorysu, który pomimo to nie był jeszcze zupełny. Teraz dopiero otrzymała nauka polska nader sumienną pracę pióra p. Czubka, dzięki temu, że autor nie tylko zaznajomił się doskonale z dziełami Kochowskiego i wyzyskał z nich wszystkie dane do biografii, lecz także zebrał z aktów województwa krakowskiego całe mnóstwo wiadomości, objaśniających stosunki rodzinne, towarzyskie i społeczne poety, a wreszcie przejrzał rękopisy biblioteki Jagiellońskiej i Ossolińskich i Muzeum X. X. Czartoryskich.

Skutkiem tego uzyskał wiele nowych, nieznanych bądź dotąd zupełnie, bądź niedokładnie, danych do życiorysu Kochowskiego, zwłaszcza do lat późniejszych życia. Z ważniejszych zdobyczy naukowych, które ta praca przyniosła, na wymienienie zasługuje ustalenie imienia Kochowskiego, którego Rzążewski koniecznie chciał mieć Hieronimem, jakoteż ustalenie reku urodzenia na r. 1633. Z lat młodych na uwagę zasługuje dowód, przeprowadzony przez p. Czubka, że Kochowski nie chodził na uniwersytet krakowski, lecz tylko do szkoły, która była do pewnego stopnia częścią składową akademii. Ustalił nadto autor lata pobytu Kochowskiego w szkole między rokiem 1646 a 1648 i dał dokładny obraz, czego to uczył się Kochowski, a czego się nauczył. Na podstawie niezwykłej plastyki opisów, zawartych w „Rocznikach" Kochowskiego, jakoteż wielu innych okoliczności, udowodnił, że poeta spędził dziesięć lat (1651—1660) w obozie i że najprawdopodobniej brał udział w wycieczce na Pomorze szwedzkie w r. 1657. Ustalił dalej datę ślubu Kochowskiego na r. 1658 między 9 a 17 grudnia i zgonu na r. 1700 między 22 stycznia a 6 lipca. Na podstawie nakoniec aktów grodzkich krakowskich odtworzył doskonale i szczegółowo życie prywatne poety po ożenieniu się jego, awantury i zatargi pieniężne, stosunki majątkowe i różne kłopoty domowe, których miał Kochowski wiele w swojem życiu. Streszczanie tego wszystkiego zajęłoby wiele

czasu i miejsca i nie dałoby dokładnego wyobrażenia o mrówczej pracowitości, z jaką p. Czubek wywiązał się ze swego zadania.

Stanisław Zdziarski.

Adam Krechowiecki. **Bohdan Zaleski o sobie i współczesnych.** (Na podstawie korespondencyi). Lwów. Druk Wł. Łozińskiego. 1901, w 16-ce, str. 52.

Listy Bohdana Zaleskiego, ogłaszane przez syna jego w lwowskim „Przewodniku naukowym i literackim", od roku 1899 począwszy, dały redaktorowi tegoż pisma doskonałą sposobność do napisania tego pięknego szkicu, który był przedmiotem odczytu, wygłoszonego niedawno w Krakowie. Praca omawiana jest odbitką z „Gazety lwowskiej", gdzie ją autor naprzód ogłosił.

Że szkic ten nie wyczerpuje przedmiotu do dna, że nie zawiera w sobie całokształtu sądów Zaleskiego, to nie jest wcale winą autora. To też, oceniając tę pracę, należy liczyć się z tym faktem, iż jest to odczyt, przeznaczony dla szerszej publiczności, a nie dla specyalistów, że celem jego jest wyłącznie zaznajomienie czytelników z najważniejszemi zdaniami, jakie Zaleski wypowiedział o sobie i o innych współczesnych poetach. A jeśli cel ten został osiągnięty, jeśli autor umiejętnie rzecz przedstawił i podał ją w formie zajmującej, —to więcej niepodobna żądać od niego, jakkolwiek czujemy uzasadniony żal do autora, że nie podjął się napisania naukowej pracy na ten temat. A praca taka byłaby nadzwyczaj interesująca, bo korespondencya Zaleskiego obfituje w zdania niemal o wszystkich współczesnych i blizkich mu poetach naszych i obcych, jakoteż o nim samym, byłaby więc ciekawym i cennym przyczynkiem do charakterystyki pojęć ukraińskiego słowika. Do napisania zaś takiej pracy dziś nikt może nie jest lepiej przygotowanym od p. Krechowieckiego: z jednej bowiem strony zna on korespondencyę poety na wylot, z drugiej znowu umie ująć opowiadanie w świetną formę.

Obie te zalety przebijają z każdej karty omawianego szkicu w całej pełni. Ujęcie bowiem przedmiotu jest pod każdym względem doskonałe, obznajmienie się zaś szan. autora z korespondencyą Zaleskiego, zarówno ogłoszoną dotąd, jak spoczywającą jeszcze w rękopisie, wszechstronne. Potrafił też p. Krechowiecki wydobyć z ogromnego tego materyału, jaki przyniosły listy Zaleskiego wszystko to, co było najważniejsze, i w ten sposób dać czytelnikowi przynajmniej w ogólnych zarysach najważniejsze sądy poety, jakie wypowiedział czy to o swoich utworach, czy też o poezyi innych. Przegląd zaś ten zdań Zaleskiego jest bardzo ciekawy, bo rzuca spory snop światła na całe usposobienie jego, na jego zapatrywania i poglądy, na jego charakter nakoniec. A zważyć należy, że z tego poglądu wynosimy wrażenie, a raczej przekonanie, że dusza poety była nieskalana, że charakter jego był czysty, jak łza. To też dobrze się stało, że z pod pióra p. Krechowieckiego dostaliśmy tę ogólną charakterystykę pojęć Zaleskiego, o którym tak mało dotąd wiedzieliśmy, bo „za to, że był takim, że wytrwał niezłomnie, należy mu się od ojczyzny, do której tak tęsknił, od narodu, który tak kochał" gorąco, „należy mu się od nas wszystkich nie tylko podziw, lecz wielka miłość i ogromna cześć" (str. 52.) A przecież Zaleski—nie posiada dotychczas naukowo opracowanej monografii.

Stanisław Zdziarski.

Grabowski Tadeusz dr. **Ludwik Osiński** i ówczęsna krytyka literacka. W Krakowie. Druk „Czasu“. Nakładem autora. 1901, w 8-ce, str. 4 nl. i 92.

Rozprawie tej musimy uczynić dwa nader ciężkie zarzuty, a mianowicie powierzchowność w traktowaniu przedmiotu. niedostateczne obznajmienie się autora z literaturą, tyczącą się Osińskiego. Co się tyczy samego ujęcia tematu—razi w niej nierównomierność, dwie trzecie bowiem książki zajmuje rzecz o krytyce, współczesnej Osińskiemu, a tylko mała cząstka poświęcona została temu, który wówczas był głównym filarem krytyki w Polsce. Ale i obraz krytyki nie jest w tej pracy taki, jaki być powinien, bo autor pominął mnóstwo najcharakterystyczniejszych poglądów tego czy innego krytyka, zastępując je frazesami, z których czytelnik dowiaduje się bardzo mało, a najczęściej nic. W tym obrazie krytyki pominął autor nadto nadzwyczaj ważne poglądy Krasickiego, zawarte w dwu dużych rozprawach „O krytyce“. W ogólności ta część pracy, w której autor mówi o innych krytykach ówczesnych, jest bardzo powierzchowna i nie jest w stanie dać dokładnego pojęcia o poglądach krytycznych przy końcu XVIII i na początku XIX wieku u nas.

Z Osińskim załatwił się dr. Grabowski na 20 kilku stronach; w stosunku do objętości całej pracy jest to wcale mały zakres. Literatury, traktującej o Osińskim, nie zna autor dokładnie. Nieznana mu jest prcca A. E. Koźmiana w „Przeglądzie poznańskim“ z r. 1837, ani Rzętkowskiego w „Tygodniku illustrowanym“ z r. 1875. Na *osiem* tedy prac o Osińskim nie zna autor *dwu!* To, co zaczerpnął Osiński z Laharpe'a, jest przedstawione bardzo niedokładnie. Nauka ma prawo żądać, ażeby w monografii specyalnej było stwierdzone, ile wziął nasz krytyk od obcego. Kwestya ta pomimo monografii dra Grabowskiego pozostaje nadal nierozstrzygnięta. Podobnie powierzchownie traktuje autor poglądy Osińskiego na poezyę, opuszcza z nich i pomija wiele ważnych. Nie dodaje żadnych uwag od siebie, tyczących się ignorancyi Osińskiego w rzeczach literatury powszechnej, kiedy to Osiński przenosił trubadurów prowansalskich poza Pireneje i uważał Homera za osobę historyczną, podczas gdy współcześnie Groddeck w wykładach wileńskich przyjmował teoryę homerycką Wolffa. Nie mówi nam dalej ta praca nic o poglądach Osińskiego na romantyków polskich, ani nie wykazuje całego mnóstwa sprzeczności, jakie zachodzą w wykładach tego krytyka warszawskiego. A to wszystko należało do zakresu podjętej pracy, którą skutkiem tych braków musimy uznać za niesumienną i bardzo powierzchowną. Jeśliby który z czytelników chciał zapoznać się ze szczegółami zarzutów, tu wypowiedzianych, raczy wziąć do ręki recenzyę, zamieszczoną w lipcowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego.“

St. Żdziarski.

Pelczar Jan prof. **Mikołaj Husowski,** jego życie i pisma. Ustęp z dziejów humanizmu w Polsce, napisał... W Krakowie. Nakładem autora. 1900, w 8-ce str. 2 nl. i 52.

Życie Hussowianusa-Hussowskiego jest dotąd pomimo poszukiwań skrzętnych nierozjaśnione w wielu punktach. Wiemy o nim tylko tyle, ile nam w swoich utworach o sobie powiedział. Nie wiemy natomiast, kiedy się urodził, ani gdzie, czy i jakie posiadł wykształcenie? W tych kwestyach istnieją same tylko przypuszczenia, a mianowicie, że urodził się w Hussowie w Galicyi, w latach 1475—1485, i kształcił się na uniwersytecie jagiellońskim, chociaż to ostatnie przypuszczenie nie ma, naszem zdaniem, większego prawdopodobieństwa. Młodość

spędził na dworze jakiegoś możnego pana. Szare to życie ubogiego poety rozjaśnia się z chwilą, gdy Hussowski dostał się na dwór biskupa płockiego, Erazma Ciołka, z którym udał się do Niemiec, a następnie do Rzymu w poselstwie do papieża Leona X. Tutaj też w r. 1521 powstał poemat „De statura, feritate ac venatione bisontis" z następującego powodu. Papieżowi opowiadano raz o łowach. Kiedy zaś biskup Ciołek odezwał się także i opowiedział o polowaniu na żubry, papież zapragnął widzieć to zwierzę. Napisał tedy Ciołek do wojewody wileńskiego. Mikołaja Radziwiłła, z prośbą o przysłanie skóry żubra, Hussowskiemu zaś polecił opisać tego zwierza wierszami. Hussowski zabrał się do pracy, lecz zanim, zdążył wykończyć utwór, papież umarł, i poemat pozostał w tece. Tymczasem biskup Ciołek umiera niebawem także, a Hussowski wraca do Polski, ubogi, jak dawniej, w dodatku chory. Stara się tedy, ile może, o poparcie i protekcyę możnych panów, to mu się jednak nie udaje. Drukuje więc teraz swój poemat o żubrze i poświęca go królowej Bonie. Jak przyjęto na dworze ten utwór, niewiadomo. Wiemy natomiast, że Hussowski, pozostając w ciągłym niedostatku, pracuje dalej i wydaje w r. 1524 w Krakowie utwór o zwycięstwie Firleja nad hordami Tatarów koło Trębowli p. t. „Nova et miranda victoria de Turcis mense Julio", jakoteż w r. 1525 „De vita et gestis divi Hyacynthi" z okazyi prowadzonego podówczas procesu kanonizacyjnego błog. Jacka. O dalszych kolejach życia nie wiadomo nic, nawet daty zgonu nie można oznaczyć. Wieść o nim ginie w r. 1533. Poeta to był miernego talentu i posiadał wiele niedostatków, które jednak równoważy czystość i prostota jego stylu, jakoteż ta okoliczność, że on pierwszy z poetów polsko-łacińskich nawiązywał w swoich utworach myśl z tendencyą polityczną, że często robił alluzye do stosunków węwnętrznych i zewnętrznych Polski.

W pracy swojej zebrał autor wszystkie wiadomości o Hussowskim, jakie się zachowały, wyzyskał treść utworów, rozpatrzył należycie i gruntownie ich zalety i wady. Jedna rzecz razi tylko w opracowaniu przedmiotu, mianowicie zanadto długie streszczenia utworów Hussowskiego, jakoteż zbyt wielkie zajęcie się Ciołkiem i papieżem Leonem X, o których autor rozpisuje się niepotrzebnie szeroko, skutkiem czego przerywa wątek właściwego przedmiotu.

Stanisław Zdziarski.

Bronisław Grabowski. **Teorya literatury** (stylu, prozy i poezyi) do użytku szkolnego i nauki domowej, Warszawa, Skład główny w Księgarni E. Wendego i S-ki, 1901 r.

Po niedawno zmarłym poecie, slawiście i pedagogu. Bron. Grabowskim, pozostała w spuściznie niniejsza książeczka, przeznaczona „do użytku szkolnego i nauki domowej." Zamiarem autora było zapełnić dotkliwy brak w naszej literaturze pedagogicznej dobrego podręcznika stylistyki oraz teoryi prozy i poezyi; zadania tego jednak „Teorya literatury" nie spełnia. Wątpić należy, czy książka ta nauczycielowi przy wykładzie szkolnym czy samoukowi na cokolwiek przydać się może. Autor zapewnia w przedmowie, że podręcznik niniejszy starał się udoskonalić pod względem jasności i treściwości. Żaden z tych celów nie został osiągnięty; zwłaszcza pierwszy: autor bowiem usiłował wprowadzić do wykładu pierwiastek filozoficzny, stosował go jednak wcale nieumiejętnie. Stąd określenia jego są tak niejasne, niedokładne i splątane, że nic nikogo nie nauczą, np: „nauka, mówiąca o uczuciu, pięknie i sztuce, nazywa się estetyką" (str. 63); „wiersz jest to

połączenie dźwięków mowy w jedną dźwięczną, piękną całość" (str. 65); „rytm polega na prawidłowem (?) następstwie zgłosek długich i krótkich" (str. 66): „istota epiki polega na poetycznem przedstawieniu treści myślenia. Epika przedstawia nam myśl, prawdę, a raczej prawdopodobieństwo, te jednak muszą być obrobione według wymagań uczucia, t. j. muszą treścią i formą robić wrażenie na uczucia" (str. 89); „aktem zowie się część od podniesienia zasłony (kurtyny) do jej zapadnięcia, poczem następuje przerwa, zwana antraktem" (str. 99) i t. d.

Wogóle w wykładzie panuje chaos niemożliwy: wyrażeń nieścisłych — jak naprzykład „narzecza łączą się w jeden język" (str. 13) — mnóstwo; wiele rzeczy zupełnie nieobjaśnionych, inne pomieszane w sposób, świadczący, że autor sam tych rzeczy dobrze nie rozumie: naprzykład ballada, romansa, duma, śpiew historyczny — to synonimy; sestyny i sekstyny widocznie autor nie rozróżnia. Jedne rzeczy omawia szeroko, inne zbywa byle czem, naprzykład dramat i t. d.

Wszystko to czyni podręcznik niniejszy i w użytku szkolnym i w nauce domowej bezpożytecznym, a nawet szkodliwym.

H. Galle.

Roman Plenkiewicz. **Monografa Szkoły Handlowej imienia Leopolda Kronenberga.** Warszawa, nakładem b. wychowańców szkoły.

Jeden z długoletnich wychowawców Szkoły imienia L. Kronenberga, p. Roman Plenkiewicz, wiedziony serdecznemi wspomnieniami, jakie go wiązały z tym zakładem, poświęcił wiele mozolnej pracy przy odtworzeniu dziejów tej pożytecznej ze wszech miar instytucyi, która w roku 1900 po 25 latach istnienia zakończyła swój żywot. Panu Plenkiewiczowi stało otworem archiwum szkoły, wyzyskał je też nader starannie i drobiazgowo. Owocem tej pracy jest wymieniona w nagłówku „Monografia Szkoły Handlowej", rzecz poważna rozmiarami (przeszło 250 stron dużej ćwiartki). Dzieje zakładu p. Plenkiewicz kreśli rok za rokiem szczegółowo, może nawet zbyt szczegółowo: podaje liczbę uczniów w każdej klasie, w każdym roku szkolnym liczbę abituryentów, ich stosunek procentowy względnie do wyznań i przygotowania początkowego; nie pomija żadnego z profesorów, podaje ich charakterystyki, zwłaszcza wybitniejszych, np. pierwszego kierownika szkoły, b. dziekana Szkoły Głównej i Uniwersytetu Warszawskiego, Stanisława Przystańskiego, i jego następców; podaje szczegółowy plan w każdej z klas przed i po reorganizacyi, która nastąpiła w roku 1888 i t. d. Nie cofa się nawet p. Plenkiewicz przed szczególikami natury drastycznej, np. objawy niekarności wśród młodzieży, co naszem zdaniem mogłoby być zupełnie usunięte.

Wartość „Monografii" podnosi kilka dodatków: skład ciała nauczycielskiego w Szkole Handlowej od roku 1875 — 1900; tablica, wykazująca ruch uczniów w ciągu 25-lecia istnienia szkoły, bardzo pouczająca, i niemniej ciekawe zestawienie odpowiedzi na kwestyonaryusz, rozesłany wychowańcom szkoły, a dotyczący ich stanu majątkowego i rodzinnego, wreszcie kompletna lista wychowańców, zawierająca 602 nazwiska, pomiędzy niemi wiele znanych i poważnych.

Na podniesienie zasługuje uczucie serdeczne, prawdziwie ojcowskie, z jakiem p. Plenkiewicz traktuje swój przedmiot, oraz chęć stworzenia z rozproszonych po świecie wychowańców szkoły jednej wielkiej rodziny, związanej węzłami

wspólnych wspomnień przeszłości i tej przyjaźni młodzieńczej, której ani czas, ani oddalenie wygasić nie zdołają.

Książka powinna się znaleźć w ręku każdego, kto kiedykolwiek w życiu, czy jako wychowawca, czy jako wychowaniec, miał styczność ze Szkołą.

H. Galle.

„Crescendo na tle podróży“ przez *Józefa Rosenzweiga*, tom I. Warszawa 1901 r., stron 369.

Tłem niniejszej książki są nastrojowe wrażenia, którym autor ulegał w podróży, odbytej do Włoch, Tunisu i Algieru, treść zaś właściwą stanowią ujęte w dyalog refleksye filozoficzne o stosunku strony myślowej człowieka do uczuciowej. Autor umie patrzeć na przyrodę tych krajów, przez które przejeżdżał, umie zastanawiać się także nad charakterem przedmiotów i osób widzianych, dlatego też opisy jego odznaczają się niekiedy bardzo subtelnym rysunkiem, jest w nich dużo poezyi i szczerego liryzmu. Przytem trzeba dodać, iż nie powtarza tego, co różni podróżnicy już dawniej wielokrotnie byli podchwycili. Postępuje w tym wypadku nader słusznie, ile że w opisie chce mieć tło dla książki, treść jej wysnuwając z istoty własnego ducha. Los zdarzył tak, iż autor spotkał się w drodze do Tunisu z młodem małżeństwem, odbywającem podróż dla przyjemności. Para ta jest przedmiotem szczególnej obserwacyi p. Rosenzweiga: mąż to jakiś wojskowy, człowiek dobry, szlachetny, ale bardzo pospolity; natomiast żona, pani Berta, stanowi rzadki typ kobiety inteligentnej i pełnej uczuć głębokich. Autor widzi w niej naturę pokrewną sobie i nawiązuje z nią bliższy, idealny stosunek, wyrażający się w całym szeregu zwierzeń osobistych i pragnień społecznych. Opowiada jej, jakie zmiany zachodziły od dzieciństwa w duszy jego, jaka się odbywała w nim przez długie lata walka uczuć z myślami, przez jakie koleje przechodziła nieujęta tęsknota za szczęściem, harmonią wewnętrzną. Pani Berta słucha ze wzrastającem współczuciem i niekłamaną sympatyą dla mówiącego. On zaś jest niemal szczęśliwy, iż może się wypowiedzieć i znaleźć w tem niejakie ukojenie swoich zgryzot serdecznych.

„Człowiekiem należy być sercem całem, przestawać nim być mózgiem... stawać się człowiekiem w odczuwaniu, a przestawać nim być w myśleniu“... Oto są zasady, które autor rozwija w barwnym, lecz luźno powiązanym, łańcuchu swych refleksyi. Nie możemy autorowi zarzucić, iż myśli, powyżej przytoczonych, nie wyłożył metodycznie i nie dowiódł ich prawdziwości przy zastosowaniu logiki ścisłego badania: chodziło mu bowiem głównie o popularne rzucenie nasion duchowych w ludzkość, zapominającą w życiu albo stronę uczuciową, albo myślową. Filozofia p. Rosenzweiga jest filozofią codziennego, powszedniego życia, nie zaś absolutnem dociekaniem istoty rzeczy. Nie chce on tworzyć nowego systematu metafizycznego, lecz kusi się wskazać społeczeństwom cywilizowanym drogę do stopniowego wyzwalania się ze sprzeczności, zachodzących w biegu realnego życia. Higiena to duchowa, jakaś pedagogia socyalna ma wypłynąć z pomysłów filozoficznych p. Rosenzweiga, nie zaś metafizyka... Życie i życie realne, zmienne, wartko a rozbieżnie bieżące w niepojętą dal — oto, co zajmuje autora. Stając też na stanowisku autora, musimy powiedzieć, iż w swem „Crescendzie“ starał się ująć owe sprzeczności, antagonizmy, ową dysharmonię życiową w sposób nie tyle ścisły i dokładny, ile przemawiający jakąś egzaltacyą do umysłu zwykłego czytelnika. To prawda, człowiek pospolity, a z takich się składa cała niemal ludzkość, nie jest w sta-

nie badać metodycznie natury poczuć i myśli, serca i umysłu, lecz może ulegać wpływowi popularnej filozofii, zniewalającej ją do chwilowego zastanowienia się nad tem, czem udręczona lub do czego stęskniona jest dusza jego. Nie przeznaczona jest ta książka dla filozofa, ponieważ tego ostatniego nie wzruszą wzloty erotyczne w krainę ułudnych marzeń, nie wzruszy go także jakaś wiara autora w prawdziwość głoszonych przekonań. Przeciętnego czytelnika, człowieka pospolitego, podlegającego antropomorficznie zabarwionym sądom, nurzającego się w przesądach społecznych, książka p. Rosenzw. może nieco otrzeźwić i wprowadzić mu do mózgu pewien ferment sceptyczny... Ale filozof szuka podstaw, gruntu metody, a tego wszystkiego w „Crescendo" p. R. nie daje. Mówi on o p oczuciach jako o faktach istniejących, myśli są dla niego również czemś realnem, operuje niemi, jak powieściopisarz, bujający w sferach zachwytów miłosnych i uniesień marzycielskich. Autor powiada, iż utartą drogą wątpliwości, drogą ewolucyi społecznej, dziedziczności ludzkość zdoła wyzwolić myśl swą z fałszujących ją poczuć wszelkich, które będą stanowić ze swej strony łożysko dla nowych idei, rodzących się w duszy każdego...

Chociaż, co prawda, nieokreślony charakter książki niniejszej mógłby mnie zwolnić od ścisłej analizy myśli, w niej zawartych, chociaż mógłbym stanąć objektywnie na stanowisku pani Berty, olśnionej potokami błyskotliwych zwrotów autora, jednakże ponieważ pomysły filozoficzne pana Rosenzweiga poruszają ogólny temat zagadnień, nad których rozwiązaniem mozoliły się potężne umysły wielkich filozofów, powiem o nich słów kilka, stojąc na gruncie bardziej specyalnym. Najprzód błędnem jest mniemanie p. Rosenzweiga, jakoby człowiek był w stanie za pomocą zaleconej przez niego metody stopniowego wątpienia dojść do wyzwolenia w sobie myśli i uczuć w ten sposób, iżby wyzwolona myśl i takież uczucie mogły funkcyonować niezależnie. Natura ludzka jest jednolita i niezmienna: umysł wiekuiście będzie ujmował przejawy zewnętrznego świata w pewien stały sposób, zależny od ogólnych form bytu, w które się układają spostrzeżenia. Wyzwolona myśl jest jedynie zdolna do wnikania w treść rozbieżnych kształtów rzeczy i patrzenia na nie, jako na świat zmiennych pozorów prawdziwej rzeczywistości, bytującej poza człowiekiem. Ten, co wyzwolił rozum swój z więzów wszelkich poczuć, zachowuje się wobec tych ostatnich co najwyżej obojętnie: świat barwny razem z tem wszystkiem, co na nim istnieje, razem ze wszystkiemi namiętnościami, pożądaniami, zachceniami jest dla niego złudą, nicością... Wyzwalanie się stopniowe z iluzyi, ze złudnych marzeń, z więzów namiętnych, zmysłowych pożądań oczyszcza mu myśl, która nie chce, nie znosi żadnej domieszki uczuciowej. Ideałem takiego człowieka jest filozof-asceta, t. j. istota nadzwyczajnie rzadka na tym padole niedoli i płaczu.

Z drugiej strony, człowiek, chcący żyć, poddając się bezgranicznie uczuciom, niezdolny jest wznieść się do myśli podniosłych, sąd jego o rzeczach zawsze zabarwiony będzie wszelkiego rodzaju iluzyami, zawsze będzie uległy podmuchom chuci zmysłowych. Taki człowiek będzie się bawił, kochał, używał świata, ale nie myślał!... Gdyby się też z takich oto osobników ludzkość składała, byłby koniec wszelkiej cywilizacyi. Zresztą, stopniowe wątpienie, sceptycyzm, stosowany od dzieciństwa, czyż nie wywiałby z człowieka wszelkiej wrażliwości na prawdziwe odczuwanie rozkoszy, nawet zmysłowej?... Ten świata naprawdę używa, kto przypisuje wartość rzeczywistą temu użyciu, nie zaś kto wątpi w nią. Ze stanowiska przeto bezwzględnego, myśli p. Rosenzweiga nie wytrzymują krytyki.

Następnie błędnym mi się wydaje optymizm autora. Mówi on o szczęściu... Cóż jest według niego szczęściem?... Jakiś zrównoważony sceptycyzm. Mojem

zdaniem, szczęście to mamidło, przesłaniające człowiekowi wzrok duszy. Są momenty błogie, rozkoszne, szczęśliwe, ale natomiast na długie pasmo ludzkiego żywota składa się cały szereg udręczeń, katuszy moralnych i cielesnych, a w najlepszym razie wrażeń monotonnych i nudnych. — Takiem też to życie zawsze będzie: człowiek wiecznie będzie pożądał, cierpiał, wątpił, rozczarowywał się... Pociechą też jego nie może być wątpienie, sceptycyzm, lecz wiara w cośkolwiek, zapełniająca mu pustkę serca. Filozof w badaniu swem znajdzie jeszcze niejakieś ukojenie, pozostanie jednak zawsze poza obrębem powszednich zabiegów ludzkich: to jednostka, stojąca, że się tak wyrażę, nazewnątrz świata pozorów. A człowiek zwykły będzie sobie jednocześnie wierzył i wątpił w miarę nastręczających się okoliczności życia. On od wieków stosuje praktycznie w życiu swem o tyle o ile metodę, wykombinowaną przez p. Rosenzweiga. Na tem też polega to, co pospolicie nazywa się filozofią powszedniego życia. Ma się rozumieć, podczas pisania „Crescenda“ autorowi myśli te nie przyszły do głowy, zresztą, gdyby nawet były przyszły, to mógł ich nie podawać czytelnikowi, ponieważ, jak już zaznaczyliśmy, nie tworzył systematu filozoficznego, lecz książkę o charakterze nieokreślonym, książkę, w której jest i opis podróży, i nastrój liryczny, i powieść, i ustęp pamiętnikowy. — Ale, że niniejszy tom jest jeno wstępem do większej pracy metodycznej, uważamy za stosowne zwrócić uwagę jego na nader ważną rolę ścisłości określeń, na konieczność ustalenia genezy pojęć, o które mu chodzi, jednem słowem na to wszystko, bez czego niema badania poważnego.

Musimy pochwalić staranność stylu tej książki, widać, że p. Rosenzweig pracował nad wyrażeniem myśli swych językiem poprawnym. Ustępy opisowe i liryczne są najlepsze, najłatwiej się też czytają, natomiast brak autorowi jasności i prostoty tam, gdzie porusza kwestye filozoficzne. Trzeba się bardzo wczytać żeby pochwycić bieg myśli jego: jakoś nie wiążą się one i nie łączą w organiczną całość. A szkoda, bo jeżeli autorowi chodziło o to, żeby każdy zrozumiał jego refleksye, powinien był mówić przejrzyściej. Są jeszcze pewne rozdźwięki w tej książce, które szkodzą myślom poważnym autora. Rozmowy np. z panią Bertą mimowoli czynią wrażenie jakiegoś flirtu, z którego powinien się był wyłonić cały romans ze wszystkiemi właściwościami swemi. Autor chciał nauczyć czytelnika myśleć, a tymczasem czytelnik biegnie za nitką sympatyczną, nawiązaną pomiędzy nim a słuchającą go kobietą. To też, doczytując książkę, myśli on sobie nie o filozofii, lecz o rozczarowaniu, jakie go spotkało; pragnie rozwiązania, a autor mu rozwiązania nie daje. Podróż ciągle się urywa, sympatyczna zaś pani Berta niknie gdzieś, niby senne marzenie, roztapia się w czysto subjektywnych a mglistych refleksyach autora, na których „Crescendo“ się kończy.

Książka p. Rosenzweiga została wydana nadzwyczaj starannie, powiem nawet, zbytkownie: druk duży, czytelny, papier elegancki. Autor niczego nie zaniedbał, ażeby utwór swój w jak najpiękniejszej szacie pokazać światu.

Antoni Miecznik.

Bolesław Błażek. **Studya psychometryczne.**

Autor „Znużenia w szkole“ (o którem to dziełku daliśmy sprawozdanie w zeszycie grudniowym r. 1900) w niniejszej pracy rozwija dalej swą wielce interesującą, pouczającą i ważną dla pedagogów teoryę.

Podług pana Brożka, nauczanie masowe jest wadliwe, a głównemi jego ujemnemi stronami są: obowiązek przejścia tak zwanego „kursu“, te same wymagania, zastosowane do wszystkich uczniów, egzaminy na lekcyi, egzaminy roczne. Każde dziecko ma odmienny umysł, zdolności, system nerwowy, z każdem więc inaczej

należy postępować. Nie od wszystkich dzieci w klasie można zatem żądać jednakowego zrozumienia rzeczy i jednakowego postępu. Najgłówniejszem więc zadaniem nauczyciela — poznać indywidualność ucznia i zrozumieć, że umysł nie rozwija się przez „ilość“ udzielanej wiedzy, lecz przez „sposób“, w jaki ta wiedza udzielona została. Niwelacya szkolna jest wielce szkodliwa, w szkole marnuje się mnóstwo umysłów, które — rozwijane innym systemem — mogłyby oddać społeczeństwu wielkie może usługi. — Jeżeli więc nauczanie masowe jest wadliwe, dla tego, że jest „masowe“, a uniknąć tego niepodobna, bo szkoły istnieć muszą, zadaniem nauki jest sprowadzić tę wadliwość do możliwego minimum. Należy więc poznawać różnice umysłów dzieci, ich cechy indywidualne zapomocą badań psychometrycznych. Narodziny psychofizyki przypadają na rok 1879, kiedy Wundt założył w Lipsku prywatną pracownię doświadczalną. Po latach dwudziestu — skromna pracownia zamieniła się w obszerny zakład, utrzymywany kosztem państwa, zaopatrzony we wszelkie środki techniczne i przyrządy. Powstały też podobne zakłady w Berlinie, Getyndze, Bonn, Kopenhadze, Paryżu. Uczniowie Wundta prowadzą dalej dzieło mistrza, zdobywając coraz nowe drogi doświadczalne w celu poznania duchowego życia człowieka.

W dalszym ciągu swej pracy mówi p. Błażek o metodach psychologicznych; tłómaczy, w jaki sposób można badać wrażliwość każdej jednostki i objaśnia istniejące przyrządy, służące do doświadczeń. Zapomocą tych przyrządów można mierzyć różnice, jakie zachodzą w szybkości odbieranych wrażeń.

Nakoniec zestawia autor niezmiernie ciekawe rezultaty badań i pomiarów, dokonywanych w różnych epokach dnia i na różnych uczniach. Z zestawionych wyników badań dochodzi do takiej konkluzyi: 1) w ciągu dwu pierwszych godzin nauki następuje nagły ubytek depresyi, powinna więc tutaj nastąpić dłuższa pauza, ale taka, aby uczeń podczas niej w niczem nie był krępowany; 2) optimum pracy ucznia przedstawia godzina trzecia; 3) fakt egzaminowania lub spodziewanie się jego podnosi depresyę; zniesienie zatem egzaminowania leży w interesie nauki, a w miejsce jego należy wprowadzić sokratesowski, indukcyjny sposób uczenia; 4) depresya dzienna zwiększa się w miarę zbliżania się końca roku, tak iż w ostatnich tygodniach nie może jej nawet usunąć wypoczynek nocny; 5) jedyną drogą przyjścia w pomoc uczniowi jest większe staranie się o jego rozwój fizyczny.

Zapoznanie się z pracami p. Błażka polecamy gorąco pedagogom i tym wszystkim, których interesuje wychowanie młodzieży. *W.*

Eligiusz Niewiadomski. **Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych** wobec potrzeb naszej sztuki. Jan Fiszer, 1901.

Działalność Tow. Zach. Szt. Pięk., krytykowana już nieraz w przygodnych artykułach dziennikarskich, została wreszcie poddana sumiennej i wyczerpującej analizie w broszurze p. Niewiadomskiego. Ze względu na widomie zbliżający się rozkwit naszej sztuki oraz ze względu na większe zainteresowanie się nią ogółu praca p. N. jest bardzo na czasie.

„Braki i anomalie“ gospodarki, które zdobyły T-wu bardzo niezaszczytny przydomek zniechęcającego do sztuki, płyną, podług autora, z dwu źródeł: 1) z wadliwości ustawy, która, jako przestarzała, bo wydana r. 1860, nie może już odpowiadać potrzebom dzisiejszym, oraz 2) z nieumiejętnego lub niedbałego pełnienia funkcyi, zakreślonych tą ustawą. Pierwsze źródło tych błędów może być usunięte przez uczynienie podania do władz właściwych z prośbą o zmianę niektórych paragrafów. Niestety, komitet T-wa broni się przeciw temu z niczem nie-

wytłómaczonym uporem, nie dopuszczając nawet, jak to miało miejsce w r. 1897, do rozpraw nad tym przedmiotem. Co się tyczy punktu drugiego, to i ten dałby się usunąć przez zmianę składu osobistego komitetu i przez wybór ludzi, bardziej odpowiednich, bardziej czułych i wykształconych, bardziej wrażliwych na potrzeby sztuki. Odpowiedzialność za zachowanie się komitetu spada w tym wypadku na członków T-wa, których obojętność dla spraw T-wa i dziwny zaiste nepotyzm uniemożebniają wszelkie reformy. A reformy są konieczne. Przedewszystkiem wystawa ciągła straciła dawno racyę bytu. Zamieniła się ona na sklepik „kunsthaendlera“ w gorszym gatunku. Nasza kolonia artystyczna nie jest ani tak liczna, ani tak bogata w jednostki wybitne, aby mogła pracami o większej wartości zasilać 365 dni trwającą wystawę. „Salon“, otwarty przez miesiąc lub dwa, wystarczyłby najzupełniej; w pomoc mogłyby mu przyjść jakieś wystawy okolicznościowe (sztuk stosowanej np.), kolektywne, artystów zagranicznych lub też poświęcone pewnym odłamom sztuki (portret, pejzaż i t. p.) oraz pewnym rodzajom (sztycharstwo, litografii, akwaforty). „Zakup“ dzieł do rozlosowania w tej formie, w jakiej istnieje teraz, jest „hańbą wobec sztuki i stanowi najciemniejszą stronę działalności T-wa.“ Sprowadza się on bowiem dzięki ograniczoności funduszów i konieczności zakupywania stosunkowo znacznej ilości prac do protegowania dzieł sztuki pięknej a taniej i do wytwarzania „ogromnej ilości tandety artystycznej“, specyalnie przeznaczonej na ów nieszczęsny zakup. Rozważywszy błędy i niedokładności artykułu 23 ustawy, zawierającego atrybucye i obowiązki Komitetu, autor przechodzi do rozbioru kwestyi zbiorów, konkursów i stypendyów T-wa. Rezultaty tego rozbioru są, niestety, również opłakane. Zbiory cierpią z powodu niedostateczności funduszów oraz nieumiejętnego z nich korzystania na suchoty pod względem ilościowym i jakościowym. Konkursy, jako sztuczne środki pobudzania twórczości, a w dodatku nie zawsze szczęśliwie rozstrzygane (przypomnijmy sobie dzieje Kurzawy) nie dały sztuce nic. A stypendya?

„Jeżeli weźmiemy do ręki listę stypendystów (poczynając od roku 1879) T-wa, to po wykreśleniu malarki Bilińskiej (1884), rzeźbiarzy Laszczki (1891—96) i Wasikowskiego (1891—93) oraz rytownika i akwafortysty Łopieńskiego — otrzymamy długi szereg przeszło czterdziestu nazwisk, mało albo wcale nieznanych i sztuce obojętnych“. Wnioski z wywodów tak smutnych muszą być oczywiście opłakane. Po zbadaniu wszelkich *plusów* i *minusów* działalności T-wa w rezultacie otrzymujemy zero lub też wielkość, niewiele od niego się różniącą. Konieczność reform jest widoczna. Społeczeństwo nasze jest zbyt ubogie, aby mogło wyrzucać kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie — w błoto. *M. M.*

Dr. med. Stanisław Kozłowski. **Co wiemy o żywieniu się ludu naszego?** Warszawa, 1900, str. 24.

Dotknąwszy pobieżnie dziejów pańszczyźnianych ludu polskiego za czasów Rzeczypospolitej i wymieniwszy z nazwiska co głośniejszych dobroczyńców wieku XVIII, autor wymienia prace, poświęcone badaniom nad kwestyą odżywiania się włościan w Galicyi i Królestwie, wskazuje ich główne braki oraz podsumowuje wyniki, co do których posiadamy już pewność. Zdaje mi się jednak, że czyni to zbyt pośpiesznie, że naprawdę materyał, zgromadzony przez dr-ów Cybulskiego, Chełchowskiego, Peltyna i Rutkowskiego—choć bardzo cenny i ugrupowany umiejętnie—nie pozwala jeszcze wyprowadzić wniosków ostatecznych, bo pozyskany został na podstawie nielicznych względnie obserwacyi. Sam autor próbuje dotrzeć do jądra sprawy inną drogą, a mianowicie usiłuje określić ilość białka, przyswajanego przez chłopa, zapomocą wyliczenia ilości mocznika, wydzielanego

w ciągu doby. Ale cyfry, otrzymane z analizy moczu 6 osób, poddanych obserwacyi, są tak bardzo dalekie od normy (wynoszą ledwo $^2/_3$, czasami $^1/_3$ ilości przeciętnej), że dr. Kozłowski wprost nie uważa za możliwe oprzeć na nich wniosków o odżywianiu się; sądzi raczej, iż dyeta przeważnie roślinna pociąga za sobą zmiany w trawieniu i przyswajaniu, o których dotąd fizyologia wie niewiele, a przeto niepodobna tłómaczyć ich w sposób zwykły.

Wobec tego broszura dr. Kozłowskiego posiada znaczenie wyłącznie prawie sprawozdawcze. *Jan Stecki.*

Pamiętnik Fizyograficzny. Tom XVI. Warszawa, 1900, str. 410; z tabl. litogr. Wyd. z zapomogi Kasy imienia d-ra Mianowskiego.

Opuścił prasę nowy rocznik „Pamiętnika Fizyograficznego“, wydanego pod redakcyą pp. K. Deikego, K. Jurkiewicza, Wł. Kwietniewskiego, J. Trejdosiewicza, W. Wróblewskiego i Br. Znatowicza (wydawcy: W. Wróblewski i Br. Znatowicz), jak zwykle, z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Tom ten słusznie redakcya i wydawcy poświęcili pamięci Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Największą część rocznika zajmuje, jak i w latach poprzednich, dział I, poświęcany meteorologii i hidrografii. Dział ten obejmuje spostrzeżenia meteorologiczne, dokonane w ciągu r. 1895 na stacyach, urządzonych staraniem Sekcyi cukrowniczej Warsz. O. Tow. Pop. Przem. i Handlu, i zaopatrzony jest w szczegółowe tablice, zestawiające wyniki poszczególnych badań wszystkich stacyi meteorologicznych w kraju. Dział II, poświęcony geologii z chemią, zapełniły dwie prace St. Doborzyńskiego: 1) Złoża rudy żelaznej w majątku Klucze, 2) Uzupełnienie do rozprawy o złożach minerałów na wapieniu podstawowym. Wreszcie dział III, przeznaczony dla prac z dziedziny botaniki i zoologii, wypełniły tylko 2 prace, dotyczące flory krajowej: 1) J. Paczoskiego: O formacyach roślinnych i o pochodzeniu flory poleskiej i 2) B. Eichlera: Materyały, do flory grzybów. Każdy rocznik Pamiętnika, stanowiącego jedyny u nas organ, poświęcony gromadzeniu badań i spostrzeżeń fizyograficznych, dotyczących przyrodzonych warunków naszego kraju, witamy z prawdziwą radością, jako nowy dowód, iż zamiłowanie do tego rodzaju badań u nas nie gaśnie pomimo warunków niezwykle trudnych. Ze smutkiem tylko spoglądamy na listę prenumeratorów tego pożytecznego wydawnictwa, której liczba wciąż jeszcze nie przekracza 100. *m. h.*

Prof. Dr. Józef Nusbaum. **Z zagadek życia.** Szkice i odczyty z dziedziny biologii. Lwów, Warszawa, 1900. „Wiedza i życie“. Zagadnienia i prądy współczesne w dziedzinie wiedzy, sztuki i życia społecznego. Serya II. Tom 4. Str. 206. Cena 60 kop.

W zaznaczeniu już przez nas wielokrotnie pożytecznem wydawnictwie „Wiedza i życie“, wydawanem przez księgarnie H. Altenberga we Lwowie i E. Wende i S-ka w Warszawie, drugi już tomik, napisany przez znanego przyrodnika Dr. Józ. Nusbauma, poświęcony jest popularnemu przedstawieniu nowszych zapatrywań na kwestye żywotne biologii. Poprzedni tomik tegoż autora, p. t. Z zagadnień biologii i filozofii przyrody (Wiedza i życie. Serya I, tom II) obejmował 5 oddzielnych artykułów: 1) Z dziejów darwinizmu po Darwinie; 2) T. H. Huxley, jako biolog, pedagog i filozof; 2) Pochodzenie snu; 4) Geneza zabawy; 5) Estetyka w biologii. Obecny obejmuje ich tyleż: 1) Granica pomiędzy światem roślinnym a zwierzęcym w świetle nowych badań; 2) Dawniejsze i nowsze poglądy na rozwój osobnika zwierzęcego; 3) Z nowszej psychobiologii porównawczej;

4) Parazytyzm i symbioza w przyrodzie; 5) Etyczna korzyść studyów biologicznych. Rozdziały te, stanowiące, również jak i poprzednio wymienione, przeważnie przedruk z pewnemi dopełnieniami ogłoszonych już dawniej w „Bibl. Warszawskiej“ artykułów i wygłoszonych przez autora we Lwowie odczytów, mogą zwłaszcza dla czytelników, nie zajmujących się specyalnie sprawami biologii, stanowić łatwy i przyjemny sposób obeznania się z zasadniczymi poglądami współczesnej nauki o życiu. *m. h.*

Dr. Ludwik Silberstein. **Wstęp do dziedziny zjawisk elektro-magnetycznych.** Część I. Niezmienne pole magnetyczne. Z 61 rysunkami w tekście. Warszawa, (str. 196). Cena 1 rub.

Na dziełko to złożyła się rozszerzona treść odczytów publicznych, które autor, docent fizyki matematycznej w uniwersytecie bolońskim, wygłosił w r. 1896 we Lwowie po polsku. Część I-a tego dzieła, obecnie wydana, obejmuje cztery pierwsze wykłady, starające się w sposób możliwie dostępny obeznać czytelników z niezmiennem w czasie polem magnetycznem. Autor zapowiada jednak wydanie dalszych części, z których II-ga traktować będzie o niezmiennem polu elektrycznem, III-cia zaś o polu elekro-magnetycznem (wogóle zmiennem w czasie i przestrzeni). Nader systematyczny i szczegółowy wykład, odznaczający się wszystkiemi cechami prawdziwie naukowego wykładu, dotyczący tak ważnych obecnie zarówno dla teoryi nauki, jak i dla zastosowań praktycznych, podstawowych zjawisk elektro-magnetycznych, zainteresować winien w pierwszym rzędzie teoretyków i praktyków odnośnej dziedziny wiedzy, jakkolwiek jasność i możliwa przystępność wykładu oraz czystość języka ułatwi niewątpliwie zrozumienie treści tym, którym nieobce są zasadnicze wiadomości z dziedziny magnetyzmu i elektryczności. *m. h.*

Władysław Umiński. **Jak powstała nasza ziemia i jaki ją czeka koniec.** Z 12 rys. Warszawa. Nakł. A. G. Dubowsklego. 1901, str. 82. Cena 30 kop.

Jest to krótki i nader popularnie ułożony rys zasadniczych poglądów kosmogonii, przeznaczony dla ludzi, nie mających jeszcze żadnego przygotowania naukowego do czytania dzieł poważniejszych. Do zrozumienia tej książeczki wystarcza mieć ogólne pojęcie o zasadach kosmografii. *m. h.*

Dr. St. Ciechanowski. **Dżuma.** Kraków, 1900, str. 30.

Niepokojące wieści o pojawieniu się groźnej choroby zakaźnej w kilku miejscowościach i o zbliżaniu się jej do Europy, wypadki w Wiedniu i w Krakowie, spowodowane nieostrożnością służby w pracowniach naukowych, zajmujących się badaniem zarazków tej choroby, skłoniły autora do napisania wzmiankowanej w tytule broszurki, mającej na celu obeznanie szerszej publiczności z objawami dżumy, ze środkami zabezpieczenia się przed nią i z możliwymi sposobami jej zwalczenia w razie pojawienia się jej. Dochód z rozprzedaży broszurki autor przeznaczył na cel dobroczynny. Broszurka zasługuje ze wszech miar na rozpowszechnienie. *m. h.*

Wilhelm Feldman. **Czyste ręce,** dramat w 4-ch aktach. Warszawa. Księgarnia Jana Fiszera, 1901.

Powtarzające się ostatnimi czasy w Galicyi coraz częściej, niestety, katastrofy finansowe, bankructwa i przeniewierstwa dostarczyły mnóstwa pomysłów i tematów nie tylko dziennikarzom, lecz także powieściopisarzom i dramaturgom, którzy wogóle za dni naszych dzielnymi stali się współzawodnikami reporteryi dziennikarskiej w chwytaniu wszelkiego rodzaju „aktualności“, zdolnej zaciekawić

i zająć czytającą publiczność. Oczywiście autorom takich aktualnych i sensacyjnych utworów chodzi nie o to, aby pobudzać pustą ciekawość; gromadzą oni tak zwane „dokumenty ludzkie“, rozwijają pewne tradycye społeczne, wytykają zdrożności, a jeśli publiczność, niewiele się troszcząc o te dokumenty i tendencye, szuka tylko silnych wrażeń i sensacyi, tem lepiej, bo taka jej dążność najlepszą jest rękojmią powodzenia danych utworów, a co przecież w czasach tak wspaniałego rozkwitu przemysłu literackiego każdy autor przedewszystkiem dbać powinien. Wymieniony powyżej dramat p. Feldmana duże ma szanse powodzenia. Sensacyi w nim nie brak. Co krok spotykamy w nim łotrowstwo jakieś, przeniewierstwo, wiarołomstwo, cudzołóstwo, a wszystko to na tle najaktualniejszych stosunków galicyjskich, odmalowanych w możliwie najciemniejszych barwach realizmu pesymistycznego z przyczepioną doń idealistyczną tendencyą społeczną. Akcya dramatu rozgrywa się w jednem z większych miast galicyjskich. Głównym jej bohaterem jest dyrektor banku miejscowego, który przy współudziale jednego z urzędników popełnił liczne nadużycia, a następnie stara się je naprawić, popierając dążenia szlachetnego spolecznika - idealisty, usiłującego otworzyć swym współobywatelom nowe drogi, wiodące do bogactwa i rozwoju Wszelako usiłowania te zostają udaremnione poczęści przez złą wolę, poczęści przez głupotę ludzką i sztuka kończy się katastrofą, w której ginie pokutujący za swe winy grzesznik, upada szlachetny i pełen poświęcenia dla dobra ogólnego idealista, a tryumfują wyrafinowani i cyniczni bez czci i wiary nikczemnicy. Wszystko się więc odbywa, jak wymaga reguła zasadnicza współczesnego pesymizmu, i odpowiednio do tej reguły charaktery ujemne przedstawione są żywo i dosadnie, niekiedy (np. młody cynik hr. Jaszczur) w rysach oryginalnych i subtelnych, charaktery zaś dodatnie nie mają w sobie ani cienia prawdy i naturalności. Główny z nich, ów idealista-reformator społeczny, Skaliński, jest najnudniejszym okazem pedantycznego, nadzianego frazesami bohatera cnoty, który poto tylko zdaje się wygłaszać swoje napuszyste tyrady, aby służyć za dowód, o ile wyrafinowane łotry lub choćby głupcy zabawni bardziej są zajmujący w nowoczesnym dramacie od takich cnotliwych i rozumnych nudziarzy. Pod względem rozwoju akcyi i jej warunków scenicznych sztuka p. Feldmana wiele ma zalet, jest „dobrze zrobiona“, jak się dzisiaj mówi w terminologii krytycznej. Ze względu na swe efekty teatralne, połączone z sensacyjnością i aktualnością, może ona osiągnąć niemałe powodzenie u publiczności dzisiejszej, żądającej przedewszystkiem, aby ją szarpano za nerwy jak najjaskrawszymi obrazami łotrowstwa wszelkiego rodzaju, choćby ją przytem i ponudzono trochę cnotliwymi frazesami.

W. Gostomski.

Wydawca: ***Wł. Spasowicz.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

Str.

XXIV. **Systemat indywidualistyczny,** jako filozofia narodowa. Przez *W. M. Kozłowskiego* 863

XXV. **Z dziejów literatury i oświaty w Rosyi.** Przez *A. Brücknera* 911

XXVI. **Długoterminowy kredyt włościański.** Przez *J. Kirszrot-Prawnickiego* 952

XXVII. **Z najnowszych powieści.** Przez *Henryka Gallego* . . . 977

XXVIII. **Rozbiory i sprawozdania:**

A. Brückner. Cywilizacya i język. Szkic z dziejów obyczajowości polskiej. Warszawa, 1901, str. 154. Ocenił *L. Krzywicki* 954
Wacław Nałkowski. Szkice i studya geograficzne. Warszawa, 1901, str. 288. Ocenił *Br. Ch.* 996
Utwory Teokryta (Idylle i epigramaty). Przetłómaczył, wstępem i przypisami objaśnił Kazimierz Kaszewski. Warszawa, 1901. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Druk P. Laskauera i W. Babickiego. 8-vo, st. 172. Ocenił *Dr. Wiktor Hahn* 997
„Der Entwicklungsgang der Schleiermacher'schen Dialektik", eine kritisch-vergleichende Untersuchung von J. Halpern. Odbitka z czasopisma „Archiv für Geschichte der Philosophie", wydawanego przez L. Steina (Berlin, 1901). Ocenił *Antoni Miecznik.* 1000
„Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni", przedstawił Zygmunt Gloger (z czterdziestu rycinami). Warszawa (bez daty), Jan Fiszer, Nowy-Świat Nr. 9, str. 384 in 4-o. Ocenił *Hodi* 1002
„Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX". Warszawa, nakład M. Chełmońskiej, 1900, t. I, str. 500 in folio. Ocenił ***. 1005
Listy Stefana Witwickiego do Józefa Bohdana Zaleskiego. Wydał Dyonizy Zaleski. We Lwowie. Nakładem wydawcy. 1901. Druk Wł. Łozińskiego, w 8-ce, str. 4 nl. i 135. Ocenił *Stanisław Zdziarski* 1008
Marya Konopnicka. Italia. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1901. Ocenił *Walery Gostomski.* 1010

XXIX. **Nowości naukowe i literackie** 1014

Zeszyt zawiera arkuszy **37**

Druk ukończono d. 9 lipca 1901 r

KSIĄZKI, NADESŁANE DO REDAKCYI

„ATENEUM“.

= **Cerchowie-Kopera.** Pomniki Krakowa, zeszyt XIV, Kraków - Warszawa.

= **Ch. I. ks.** Ślepi wodzowie... kilka skromnych artykułów pod adresem: butnych teologów w surducie, Warszawa, 1901.

= **Cromerus Martinus.** Polonia sive de situ, populis, moribus, magistratibus et Republica regni Polonici libri duo 1578, wydał dr. Wiktor Czermak (Biblioteka Pisarzów Polskich, T. 40), Kraków, 1901 (Akademia Umiejętności).

= **Decius Jodocus Ludovicus.** De Sigismundis regis temporibus liber 1521, wydał dr. Wiktor Czermak (Biblioteka Pisarzów Polskich, T. 39), Kraków, 1901 (Akademia Umiejętności),

= **Dębicki Władysław Michał ks.** Studya i szkice religijno-filozoficzne, serya II (Biblioteka dzieł chrześcijańskich), Warszawa, 1901.

= **Filipkiewicz Stefan Dr.** Cieplice Trenczyńskie na górnych Węgrzech, tereny siarczane, ich własności, wpływ leczniczy oraz uwagi, tyczące zachowania się wśród kuracyi, wydanie II, Kraków, 1901 (S. A. Krzyżanowski).

= **Gawalewicz Maryan.** Królowa Niebios, pobożne legendy o Matce Boskiej, wydanie piąte, przejrzane i poprawione przez autora, Mikołów - Warszawa, 1901 (K. Miarka).

= **Gebauer Jan.** Slovník staročeský, sešit 2, v Praze, 1901.

= **Gumplowicz Maksymilian Dr.** Żywot Balduina Gallusa, biskupa kruszwickiego (1066—1145), z teki pozgonnej, odbitka z „Ateneum“, Warszawa, 1901 (Wende i Sp.).

= **Kozłowski Stanisław.** Dyana, komedya obyczajowa w IV aktach, Warszawa-Kraków (Gebethner i Wolff).

= **Kucharzewski Jan.** Początki prawa małżeńskiego, Warszawa, 1901 (Kasa Mianowskiego — Wende).

= **James W.** Czy warto żyć? z ang. przełożył W. Kosiakiewicz (Filozofia Praktyczna, I), Warszawa, 1901 (Przegląd Filozoficzny).

= **Mercier D.** Biblioteka neo-scholastyczna, kryteryologia, zeszyt 9, Warszawa, 1901 (Fiszer).

= **Mogilnicki Aleksander.** Obrońca kryminalny a opinia publiczna, odbitka z „Ateneum“, Warszawa (Wende i Sp.).

= **Mutermilch Michał.** Ironia, Kraków, 1901 (G. Gebethner).

= **Otto J.** Atlas zeměpisný, pomoci řady odborníků vydáná česká společnost zeměvědná, rediguje prof. dr. Jindřich Metelka, nakladatel —, Sešit 1. Praha, 1901.

= **Pytliński St. St.** Koledzy, powieść, Warszawa, 1901 (Mieczyński).

= **Słownik Geograficzny**, zeszyt 173, zawiera dopełnienie do ukończonego już dzieła od wyrazu: „Chorążyszki“ do: „Demitrów“.

= **Sprawozdanie** dziewiętnaste z czynności Komitetu Zarządzającego Kasą Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra med. Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1901.

= **Sprawozdanie** wydziału Czytelni Polskiej akademików górniczych w Leoben za lata administracyjne 1897—99.